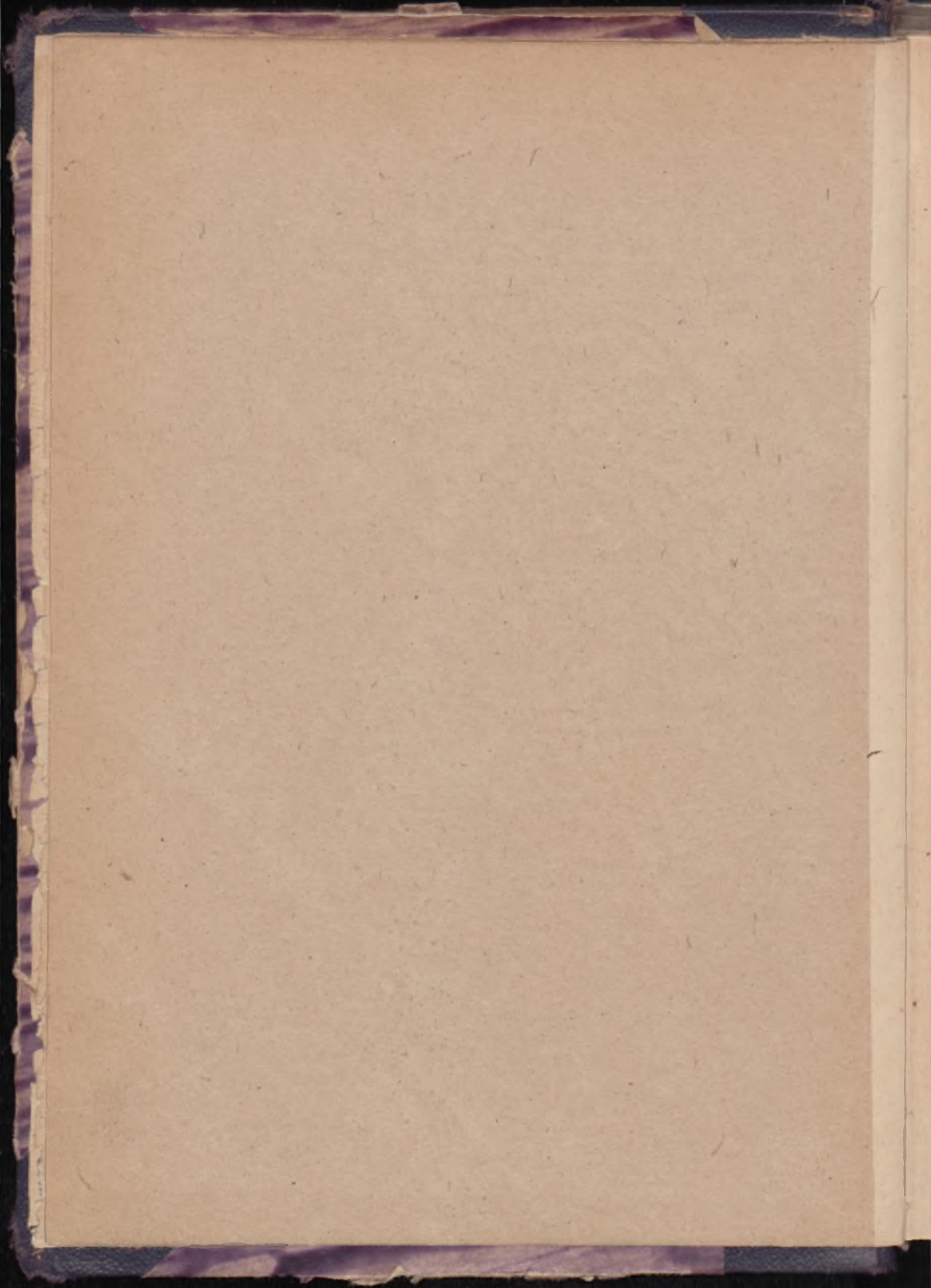


JAROSLAV HAŠEK



**PRZYGODY DOBREGO
WOJAKA SZWEJKA**

· KSIĄŻKA & WIEDZA ·



JAROSLAV HAŠEK
*
SZWEJK NA TYŁACH

1914

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA SZWEJKA
PODCZAS WOJNY ŚWIATOWEJ

I

Szwejk na tyłach

II

Szwejk na froncie

III

Przesławne lanie

IV

Po przesławnym laniu

JAROSLAV HAŠEK

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA
SZWEJKA

PODCZAS
WOJNY ŚWIATOWEJ

★

Szwejk na tyłach

• KSIĄŻKA I WIEDZA •
Spółdzielnia Wydawnicza

Warszawa 1949

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza”
Warszawa
Printed in Poland
Marzec 1949 rok

*

Autoryzowany przekład z czeskiego
P. HULKI-LASKOWSKIEGO

*

Okładkę projektował
IGNACY WITZ

*

Z praw wydawniczych
Towarzystwa Wydawniczego „Rój”



11.524.592

F. 37601

Tłoczono 15.370 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” w Wałbrzychu
Obj. 15,25 ark. Papier dzielowy kl. V, 70 g, 61X86 m.

1044 001047/
2.2

WSTĘP

Wielkie czasy wymagają wielkich ludzi. Istnieją bohaterowie nieznanymi, skromni, bez sławy i historii Napoleona. Analiza ich charakteru zaćmiłaby sławę nawet Aleksandra Macedońskiego. Dzisiaj na ulicach praskich możecie spotkać męża, który sam nawet nie wie, jakie znaczenie ma w historii nowych wielkich czasów. Idzie sobie skromnie swoją drogą, nikomu się nie naprzykrza i jemu też nie naprzykrzają się dziennikarze, którzy by domagali się od niego wywiadu. Gdybyście go zapytali, jak się nazywa, odpowiedziałby wam skromniutko i prosto: — Jestem Szwejk...

Otóż ten cichy, skromny człowiek jest naprawdę tym starym, poczciwym wojakiem Szwejkem, mężnym i statecznym, który niegdyś za czasów Austrii był na ustach wszystkich obywateli królestwa czeskiego, a którego sława nie zagaśnie nawet w republice.

Bardzo kocham zacnego wojaka Szwejka, i opisując jego losy czasu wojny światowej, mam nadzieję, że wy wszyscy będziecie sympatyzowali z tym skromnym, nieznanym bohaterem. On nie podpalił świątyni bogini w Efezie, jak to uczynił ten cymbał Herostrates, aby się dostać do gazet i do czytanek szkolnych.

To wiele.

Autor

I

Jak dobry wojak Szwejk wkroczył na widownię
wojny światowej.

— A to nam zabili Ferdynanda — rzekła posługaczka do pana Szwejka, który, opuściwszy przed laty służbę w wojsku, gdy ostatecznie przez lekarską komisję wojskową uznany został za idiotę, utrzymywał się z handlu psami, pokracznymi, nierasowymi kundlami, których rodowody fałszował.

Prócz tego zajęcia dotknięty był reumatyzmem i właśnie nacierał sobie kolana opodeldokiem.

— Którego Ferdynanda, pani Müllerowo? — zapytał Szwejk nie przestając masować kolan. — Ja znam dwóch Ferdynandów: jeden jest posługaczem u drogisty Pruszy i wypił tam razu pewnego jakiegoś smarowanie na porost włosów, a potem znam jeszcze Ferdynanda Kokoszkę, tego, co zbiera psie gówienka. Obu nie ma co żałować.

— Ależ, proszę pana, pana arcyksięcia Ferdynanda, tego z Konopisztu, tego tłustego, pobożnego.

— Jezus, Maria! — zawołał Szwejk. — To jest dobre! A gdzie też to się panu arcyksięciu przytrafiło?

— Kropnęli go w Serajewie, proszę pana, z rewolweru. wie pan. Jechał tam ze swoją arcyksiężną w automobilu.

— Patrzcie państwo, moja pani Müllerowo, w automobilu! Juścić, taki pan może sobie na to pozwolić i nawet nie pomyśli, jak taka jazda automobilem może się skończyć nieszczęśliwie. I jeszcze do tego w Serajewie, to jest w Bośni, pani Müllerowo. To na pewno zrobili Turcy. Nie trza im było tej Bośni i Hercegowiny zabierać. Tak to, tak, pani Müllerowo. Więc pan arcyksiążę, że tak powiem, już na sądzie boskim. Długo też się męczył?

— Pan arcyksiążę był od razu trup, proszę pana. Sam pan wie, że z rewolwerem nie ma szpasów. Niedawno temu też się jeden bawił rewolwerem i powystrzelał całą rodzinę, a nawet stróża, który poszedł zobaczyć, kto też tam strzela na trzecim piętrze.

— Niektóry rewolwer, pani Müllerowo, nie wystrzeli, choćby się człek skręcił. Takich systemów jest dużo. Ale na pana arcyksięcia kupili sobie z pewnością taki z tych lepszych. No i założyłbym się z panią, pani Müllerowo, że ten człowiek, co mu to zrobił, ładnie się na to ubrał. Miarkuje pani sama, że strzelanie do arcyksięcia to robota bardzo trudna, to nie to samo, jak kłusownik strzela do gajowego. Tutaj chodzi o to, jak się do niego dobrać; na takiego pana nie można się wybierać w jakichś szmatach. Musisz, bratku, iść w cylindrze, żeby cię przedtem nie capnął policjant.

— Podobno więcej ich tam było, proszę pana.

— Ma się wiedzieć, pani Müllerowo — rzekł Szwejk, kończąc nacieranie kolana. — Jakby pani chciała zastrzelić arcyksięcia albo pana cesarza, to by się pani na pewno z kim narażiła. Ile głów, tyle rozumów. Ten doradzi to, tamten owo, i w ten sposób zbożne dzieło się powiedzie, jak o tym śpiewamy w naszym hymnie państwowym. Główna rzecz obliczyć sobie dokładnie, kiedy taki pan będzie przechodził. Tak samo, jak ten pan Luccheni, jeśli pani jeszcze pamięta, co to przekłuł naszą nieboszczkę Elżbietę pilnikiem. I wierz tu komu! Od tego czasu żadna cesarzowa nie wychodzi na spacer. A to

samo czeka jeszcze wiele osób. Zobaczysz pani Müllerowa, że się jeszcze dobiorą i do cara, i do carowej, a nie daj Boże i do naszego pana cesarza, kiedy tak obces wzięli się do jego stryjaszka. Nasz starszy pan ma sporo nieprzyjaciół. Jeszcze więcej niż ten Ferdynand. Niedawno temu mówił jeden pan w piwiarni, że nastanie taki czas, że cesarze będą padali jeden po drugim i że nawet sam pan prokurator nic im nie poradzi. A potem nie miał czym zapłacić i gospodarz musiał go kazać aresztować. A ten go trzask w pysk, a policjanta dwa razy. Odwieźli go potem w plecionce, żeby wytrzeźwiał. Tak, tak, pani Müllerowo, takie to dzisiejsze czasy. Ano dla Austrii znowuż strata to niemała. Jakem służył w wojsku, to jeden piechur zastrzelił tam kapitana. Nabił flintę i włożył do kancelarii. Powiedzieli mu tam, żeby sobie poszedł, bo w kancelarii nie jego miejsce, a on wciąż swoje, że musi się rozmówić z panem kapitanem. Ten kapitan wyszedł i zaraz mu wlepił koszarówkę. A ten wziął flintę i kropnął go prosto w serce. Kula przeleciała panu kapitanowi przez plecy i jeszcze narobiła szkody w kancelarii. Rozbiła butelkę z atramentem, a ten atrament rozlał się po urzędowych aktach.

— A co się stało z tym żołnierzem? — zapytała po chwili pani Müllerowa, gdy Szwejk się ubierał.

— Powiesił się na szelkach — rzekł Szwejk czyszcząc melonik. — A te szelki nawet nie były jego własnością. Musiał je sobie pożyczyć od strażnika, że niby to mu opadały spodnie. A co? Miał może czekać, aż go rozstrzelają? Nie trudno zmiarkować, moja pani Müllerowo, że w takiej sytuacji człowiekowi się we łbie mąci. Strażnika za to zdegradowali i dali mu sześć miesięcy. Ale nie siedział. Uciekł do Szwajcarii i dzisiaj jest tam ponoć kaznodzieją jakiegoś kościoła. Mało dziś dobrych ludzi, pani Müllerowo. Wyobrażam sobie, że i pan arcyksiążę Ferdynand w mieście Serajewie też się grubo zawiódł na tym człowieku, co do niego strzelił. Widział jakiegoś pana i pomyślał sobie: — Jakiś porządny człowiek, kiedy

wiwatuje na moją cześć. — A tymczasem ten pan trach do niego! Kropnął go raz, czy parę razy?

— W gazetach piszą, proszę pana, że pan arcyksiążę był podziurawiony jak sito. Wystrzelił do niego wszystkie naboje.

— To idzie bardzo szybko, pani Müllerowo, strasznie szybko. Ja bym sobie na taką sprawę kupił browning. Wygląda to jak cacko, ale tym cackiem można przez dwie minuty postrzelać dwudziestu arcyksiążąt, chudych albo tłustych. Aczkolwiek, między nami mówiąc, do tłustego arcyksięcia trafi daleko łatwiej niż do chudego. Pamięta pani, jak to wtedy w Portugalii ustrzelili sobie tego swego króla? Też był taki tłusty. Wiadomo, że król nie będzie chudeusz. Więc teraz idę do gospody „Pod kielichem“, a jakby tu ktoś przyszedł po tego ratlerka, com za niego wziął zaliczkę, to trzeba powiedzieć, że mam go w swojej psiarni na prowincji, że mu niedawno przyciąłem uszy i że teraz nie można go przewozić, póki mu się uszy nie zagoją, żeby mu się nie zaziębiły. Klucz pani zostawi u stróżki.

W gospodzie „Pod kielichem“ siedział tylko jeden gość. Był to wywiadowca Bretschneider, będący na służbie policji państwowej. Gospodarz Paliwec zmywał podstawki, a Bretschneider daremnie usiłował wyciągnąć go na poważną rozmowę.

Paliwec był znany grubianin i co drugie jego słowo było dupa albo gównno. Ale jednocześnie był czytany i zalecał każdemu, aby sobie przeczytał, co o tym drugim przedmiocie napisał Wiktor Hugo, opisując ostatnią odpowiedź napoleońskiej starej gwardii, daną Anglikom w bitwie pod Waterloo.

— Ładne lato mamy — rozpoczynał Bretschneider swoją poważną rozmowę.

— Wszystko to gównno warte — odpowiedział Paliwec, układając podstawki w kredensie.

— Ładnej kaszy nam nawarzyli w tym Serajewie —
ozwał się Bretschneider tracąc nadzieję.

— W jakim Serajewie? — zapytał Paliwec. — W nusel-
skiej winiarni? Tam się co dzień za łby wodzą. Wiadomo,
przedmieście.

— W bośniackim Serajewie, panie gospodarzu. Zastrzelili
tam pana arcyksięcia Ferdynanda. Co pan na to powie?

— Ja się do takich rzeczy nie mieszam, z tym niech mnie
każdy pocałuje w dupę — grzecznie odpowiedział pan Pali-
wec zapalając fajkę. — Do takich rzeczy mieszać się nie
warto, bo można grubo oberwać. Mam swój handelek i tyle.
Gdy kto przychodzi i każe sobie podać piwa, to mu podam.
Ale jakieś tam Serajewy, polityka albo nieboszczyk pan arcy-
książę, to nie dla nas, bo można się dostać za kraty na
Pankrac.

Bretschneider zamilkł i pełen rozczarowania rozglądał się
po pustej szynkowni.

— Tutaj wisiał niegdyś obraz najjaśniejszego pana —
ozwał się znów po chwili — akurat tam, gdzie teraz wisi
lustro.

— A tak, ma pan rację — odpowiedział Paliwec — wisiał
tam, ale obsrywały go muchy, więc zaniósłem go na strych.
Wiadomo, jak to bywa. Jeszczeby kto zrobił głupią uwagę
i miałby człowiek kram. Potrzebne mi to?

— Ale w tym Serajewie stała się rzecz paskudna, prawda,
panie gospodarzu?

Na to pozornie proste, ale podstępne pytanie, odpowiedział
pan Paliwec niezwykle ostrożnie:

— O tej porze bywa w Bośni i Hercegowinie strasznie go-
rąco. Jakem tam służył w wojsku, to naszemu oberlejtnants-
owi musieli na głowę lód przykładać.

— W jakim pułku służył pan, panie gospodarzu?

— Na takie głupstwa nie mam pamięci. Nigdy się takimi
osielstwami nie interesowałem i nigdy mnie nic takiego nie za-

ciekawiało — odpowiedział pan Paliwec. — Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Wywiadowca Bretschneider zamilkł ostatecznie, a jego ponura twarz pojaśniała dopiero wówczas, gdy do gospody wszedł pan Szwejk, który kazał sobie podać ciemne piwo, dorzucając trafną uwagę:

— Bo w Wiedniu też dziś mają żalobę.

W oczach Bretschneidera zapaliła się nadzieja. Dorzucił rzeczowo:

— Na zamku w Konopiszcie jest dziesięć czarnych chorałowi.

— A powinno być dwanaście — rzekł Szwejk, popiwszy piwa.

— Dlaczego sądzi pan, że dwanaście? — zapytał Bretschneider.

— Żeby był równy rachunek, akurat tuzin. Łatwiej to zliczyć, no i na tuziny wszystko jest tańsze — odpowiedział Szwejk.

Zapanowała cisza, którą Szwejk przerwał westchnieniem:

— Więc już biedak ziemię gryzie, Panie świeć nad jego duszą! Nie doczekał się nawet cesarzowania. Jakem był w wojsku, to jeden generał spadł z konia i zabił się całkiem spokojnie. Chcieli go podnieść i wsadzić na konia i zdziwili się, że był zupełnie martwy. A też miał dostać awans na feldmarszałka. Stało się to przy przeglądzie wojska. Wszystkie te przeglądy nie zdały się na nic. W Serajewie też był jakiś przegląd. Pamiętam, że pewnego razu brakowało mi przy takim przeglądzie dwadzieścia guzików przy mundurze i że mnie za to wsadzili do paki na dwa tygodnie w pojedynkę, a przez dwa dni leżałem jak ten łazarz, w kij związany. Ale w wojsku dyscyplina musi być, bo inaczej nikt by sobie z niczego nie robił. Nasz oberlejtant Makowec mawiał nam nieraz: „Dyscyplina musi być, wy łby zakute, bo bez niej to byście łazili po drzewach, jak te małpy, ale wojsko robi z was ludzi,

wy trąby powietrzne!“ A czy nie miał racji? Przedstawmy sobie park na przykład na placu Karola, a na każdym drzewie po żołnierzu bez dyscypliny. Tego się zawsze najbardziej obawiałem.

— W Serajewie całą tę sprawę splełali Serbowie — nawiązywał pan Bretschneider.

— Myli się pan — odpowiedział Szwejk. — To zrobili Turcy przez tę Bośnię i Hercegowinę.

I Szwejk rozwinął swoje poglądy na międzynarodową politykę Austrii na Bałkanach. Turcy przegrali wojnę w roku 1912 z Serbią, Bułgarią i Grecją. Chcieli, żeby ich Austria poratowała, a gdy Austria nie chciała, zastrzelili Ferdynanda.

— Lubisz Turków? — zwrócił się Szwejk do gospodarza Paliwca. — Lubisz tych psów pogańskich? Prawda, że nie lubisz?

— Każdy gość jest dobry — odpowiedział Paliwec — niech sobie będzie i Turek. Dla nas, handlowców, polityka nie ma znaczenia. Zapłać, co wypijesz, siedź sobie w knajpie i wygaduj, co ci ślina na język przyniesie. To moja zasada. Czy to zrobił temu naszemu Ferdynandowi Serb czy Turek, katolik czy mahometanin, anarchista czy młodoczech, mnie wszystko jedno.

— Dobrze, panie gospodarzu — ozwał się Bretschneider, który znowu tracił nadzieję, czy uda się przyłapać jednego z tych dwóch na jakim słowie — ale zgadza się pan chyba, że to wielka strata dla Austrii.

Zamiast gospodarza odpowiedział Szwejk:

— Strata bo strata, temu przeczyć nie można. Okropna strata. Ferdynanda nie może zastąpić pierwszy lepszy cymbał. Tylko szkoda, że nie był jeszcze tłściejszy.

— Niby dlaczego? — ożywił się Bretschneider.

— Niby dlatego, że jakby był jeszcze tłściejszy, to byłby go trafił szlag już dawniej, kiedy w Konopiszcie gonił babiny

zbierające w jego lesie chrust i grzyby, i nie potrzebowałyby umierać taką nieprzystojną śmiercią. W głowie się człowiekowi nie mieści: stryjaszek najjaśniejszego pana, a siaki taki go zastrzeli. Przecież to wstyd, bo w gazetach o tym pełno. U nas w Budziejowicach przed paru laty na targu bydłym przebili niejakiego Brzeczysława Ludwika, handlarza bydła. Ten kupiec miał syna Bogusława i gdziekolwiek ten syn przyszedł ze świniami na sprzedaż, nikt od niego nie chciał nic kupić, a każdy mawiał: „To syn tego przebitego, to musi być też łotr niezgorszy“. Musiał w Krumlowie skoczyć z mostu do Wełtawy, musieli go wyciągać, musieli go cucić, musieli z niego wodę pompować, a on im musiał umrzeć w objęciach lekarza, gdy mu coś zastryknął pod skórę.

— Skąd pan bierze takie dziwne porównania? — rzekł Bretschneider z naciskiem. — Mówi pan naprzód o Ferdynandzie, a potem o handlarzu bydła.

— Znikąd nie biorę żadnych porównań — bronił się Szwejk. — Niech mnie Bóg broni, żebym ja miał kogoś do kogoś porównywać! Pan gospodarz mnie zna. No, powiedz sam, że nigdy nikogo do nikogo nie przyrównywałem. Tylko, że nie chciałem być w skórze tej wdowy po arcyksięciu. Co ona teraz zrobi? Dzieci sieroty, dobra na Konopiszcie bez pana. A wydawać się znowuż za jakiego nowego arcyksięcia...? Co by z tego miała? Pojechałaby z nim znowuż do Serajewa i zostałaby wdową po raz drugi. We Zliwii koło Hlubokiej był przed laty gajowy, a miał takie obrzydliwe nazwisko Pindziur. Kłusownicy go zastrzelili, a została po nim wdowa z trojgiem dzieci i po roku wyszła znowuż za gajowego, Pepika Szewłowiaka z Mydłowarów. I tego zastrzelili także. Wyszła za męża po raz trzeci i znowuż za gajowego, mówiąc sobie: — Do trzech razy sztuka. Jeśli i to się nie uda, to już nie wiem, co zrobić. — Rzecz prosta, że i tego zastrzelili, a ona tymczasem miała z tymi gajowymi już sześcioro dzieci. Była nawet w kancelarii księcia pana w Hlubokiej i skarżyła się



na swoje utrapienie z tymi gajowymi. Więc jej nastęrczyli dozorcę stawów, Jaresza spod rażyckiej baszty. I powiedzcie państwo: utopili jej chłopą przy połowie ryb, a miała z nim dwoje dzieci! Potem wydała się za trzebiciela nierogacizny, a ten pewnej nocy trzepnął ją siekierą i z dobrej woli poszedł się oskarżyć. Gdy go potem z wyroku sądu okręgowego w Pisku wieszali, ugryzł księdzu nos, powiedział, że niczego nie żałuje, a do tego powiedział jeszcze coś bardzo brzydkiego o najjaśniejszym panu.

— A nie wie pan czasem, co takiego powiedział? — zapytał Bretschneider głosem pełnym nadziei.

— Tego powiedzieć panu nie mogę, bo nikt się tego nie odważy powtórzyć. Ale było to podobno coś tak okropnego, że pewien radca sądowy, który był przy tym, oszalał od tego i jeszcze dzisiaj trzymany jest w izolacji, żeby się nie wydało. Nie była to zwyczajna obraza najjaśniejszego pana, jakiej się ludzie dopuszczają po pijanemu.

— A jakiej obrazy najjaśniejszego pana dopuszczają się ludzie po pijanemu? — zapytał Bretschneider.

— Proszę was, panowie, odwróćcie kartę — ozwał się pan Paliwec. — Wiecie dobrze, że takich rzeczy nie lubię. Słowo z pyska wyleci, a potem bieda.

— Jakiej obrazy najjaśniejszego pana dopuszczają się ludzie po pijanemu? — powtórzył Szwejk. — Rozmaicie bywa. Upij się pan, każ sobie zagrać austriacki hymn, a zobaczysz, co będziesz mówił. Wymyśli pan sobie tyle różnych rzeczy o panu cesarzu, że gdyby choć połowa z tego była prawdą, to miałby biedak wstydu na całe życie. Ale ten starszy pan naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie. Weź pan na ten przykład taką rzecz. Syna Rudolfa stracił w młodocianym wieku, w pełnej sile męskiej. Małżonkę Elżbietę mu przebili pilnikiem, potem zginął mu Jan Ort, brata jego, cesarza meksykańskiego, zastrzelili mu w jakiejś twierdzy przy jakimś murze, a teraz na stare lata zastrzelili mu stryjaska. I raptem

schła się jakiś pijanica i zacznie na niego wygadywać. Przecież takie rzeczy działają na nerwy. Gdyby się dzisiaj miało coś zdarzyć, to z dobrej woli pójdę i będę służył panu cesarzowi do ostatka sił.

Szwejk napił się dokumentnie i ciągnął dalej:

— Myślisz pan może, że najjaśniejszy pan puści to płazem? Nie znasz go pan w takim razie. Wojna z Turkami musi być. Zabiliście mi stryjaszka, to ja was też przez pysk zdzielę. Wojna jest pewna. Serbia i Rosja dopomogą nam w tej wojnie. Ej, będzie rzeź, aż miło!

W tym proroczym natchnieniu Szwejk był piękny. Jego dobronczna twarz, uśmiechnięta jak księżyc w pełni, promieniała zapałem. Wszystko wydawało mu się bardzo jasne.

— Może się zdarzyć — wywodził dalej, mówiąc o przyszłości Austrii — że w razie wojny napadną na nas Niemcy, bo Niemcy i Turcy trzymają z sobą. To takie dranie, że drugich takich nie znaleźć. Ale możemy się sprzymierzyć z Francją, która od roku siedemdziesiątego pierwszego krzywo patrzy na Niemca. I damy sobie radę. Wojna będzie, więcej nie powiem.

Bretschneider wstał i rzekł uroczyście:

— Więcej pan mówić nie potrzebuje. Niech pan wyjdzie ze mną do sieni, to panu coś powiem.

Szwejk wyszedł za wywiadowcą do sieni, gdzie go oczekiwała mała niespodzianka, gdy jego sąsiad szynkowniany pokazał mu orzełka i rzekł, że go aresztuje i że natychmiast zaprowadzi go do komisariatu policji. Szwejk starał się wytłumaczyć i wywodził, że ten pan się zapewne myli, bo on jest całkiem niewinny, jako że nie wymówił ani jednego słowa, które mogłoby kogokolwiek obrazić.

Bretschneider rzekł mu wszakże, iż faktycznie dopuścił się kilku karalnych czynów, wśród których pewną rolę gra także zbrodnia zdrady głównej.

Potem powrócili do szynkowni i Szwejk rzekł do Paliwca:

— Mam pięć piw i jeden rogalik z parówkami. Teraz daj

mi jeszcze jedną śliwownicę, bo już muszę iść, jako że jestem aresztowany.

Bretschneider pokazał panu Paliwcowi orzełka, przez chwilę spoglądał na pana Paliwca, a potem zapytał:

— Czy pan żonaty?

— Żonaty.

— A czy pańska małżonka może prowadzić interes w czasie pańskiej nieobecności?

— Może.

— A więc wszystko w porządku, panie gospodarzu — wesoło rzekł Bretschneider. — Zawoła pan swoją żonę, przekaze jej wszystko, a wieczorem przyjdziemy po pana.

— Nie przejmuj się tym — pocieszał go Szwejk. — Mnie zabierają tylko z powodu zdrady stanu.

— Ale za co mnie? — zabiadał pan Paliwec. — Ja byłem taki ostrożny!

Bretschneider uśmiechnął się i rzekł zwycięsko:

— Za to, że pan powiedział, że muchy srały na najjaśniejszego pana. Już tam panu najjaśniejszego pana z głowy wybiją.

Szwejk opuścił gospodę „Pod kielichem“ w towarzystwie wywiadowcy policyjnego, którego, gdy wyszli na ulicę zapytał, nie przestając spoglądać na jego twarz z dobrotliwym uśmiechem:

— Czy każe mi pan zejść z chodnika?

— Dlaczego niby?

— Sądzę, że jako aresztowany nie mam prawa chodzić po trotuarze.

Kiedy wchodzili do bramy komisariatu policji, rzekł Szwejk:

— Tak mile zleciał nam czas. Czy często bywa pan „Pod kielichem“?

Podczas gdy Szwejka sprowadzano do kancelarii przyjmu-

jącej aresztantów, pan Paliwec przekazywał gospodę „Pod kielichem“ swojej płaczącej żonie, pocieszając ją na swój sposób:

— Nie płacz, nie rycz, co mi mogą zrobić za zasrany obraz najjaśniejszego pana?

W taki to sposób dobry wojak Szwejk wkroczył na widownię wojny światowej, po swojemu mile i ujmująco. Historyków zainteresuje niezawodnie, iż przewidywał daleką przyszłość. Jeśli sytuacja rozwinęła się nieco inaczej, niż on malował ją „Pod kielichem“, musimy wziąć pod uwagę fakt, że brak mu było gruntownego wykształcenia dyplomatycznego.

II

Dobry wojak Szwejk w komisariacie policji.

Zamach serajewski nappełnił komisariat policji licznymi ofiarami. Przyprawdzali tu jednego za drugim, a stary inspektor w kancelarii przyjmoczej powtarzał głosem dobrodusznego człowieka:

— Źle wyjdziecie na tym, Ferdynandzie.

Gdy Szwejka zamknięto w jednej z liczych cel na pierwszym piętrze, znalazł tam towarzystwo sześciorga osób. Pięciu areztantów siedzielo przy stole, a w rogu na pryczy siedzielo, jakby stroniąc od reszty towarzystwa, mężczyzna w średnim wieku.

Szwejk zaczął rozpytywać jednego po drugim, za co zostali areztowani.

Od tych pięciu, którzy siedzieli przy stole, otrzymał niejako jednobrzmiącą odpowiedź:

— Za Serajewo! — Za Ferdynanda! — Za zamordowanie pana arcyksięcia! — Przez Ferdynanda! — Za to, że pana arcyksięcia zastrzelili w Serajewie!

Szósty, który od tych pięciu stronił, rzekł, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego, żeby na niego nie padło jakie podejrzenie, bo on został areztowany jedynie za usiłowanie morderstwa rabunkowego na pewnym gospodarzu z Holic.

Szwejk przysiadł się do stołu do towarzystwa spiskowców, którzy już po raz dziesiąty opowiadali sobie, w jaki sposób dostali się tutaj.

Wszyscy z wyjątkiem jednego, zostali aresztowani bądź w gospodzie, bądź w winiarni albo w kawiarni. Wyjątkiem był niezwykle otyły pan w okularach, z oczyma zapłakanymi, który został aresztowany w domu we własnym mieszkaniu, ponieważ na dwa dni przed zamachem w Serajewie płacił w gospodzie „u Brejszki“ za dwóch serbskich studentów politechniki, a prócz tego widziano go pijanego w ich towarzystwie, w „Montmartrze“ przy ulicy Łańcuchowej, gdzie, jak to stwierdził protokolarnie własnym podpisem, także za nich płacił. Widział go tam detektyw Brixi.

Na wszystkie pytania podczas śledztwa wstępno kwilił stereotypowo:

— Ja mam handel papierem.

Na co otrzymywał podobnie stereotypową odpowiedź:

— To pana nie tłumaczy.

Pan małego wzrostu, którego spotkała ta przygoda w winiarni, był profesorem historii i wykładał właścicielowi winiarni dzieje różnych zamachów. Aresztowany został w chwili, kiedy kończył psychologiczną analizę jednego z zamachów słowy:

— Myśl zamachu jest tak prosta, jak jajko Kolumba.

— I taka jasna, jak to, że pan się dostanie na Pankrac — uzupełnił jego zdanie komisarz policji przy badaniu.

Trzeci spiskowiec był prezesem dobroczynnego stowarzyszenia „Dobromil“ w Hodkowiczkach. Tego dnia, w którym zdarzył się zamach, „Dobromil“ urządzał zabawę ogrodową, połączoną z koncertem. Wachmistrz żandarmerii przybył do ogrodu i wezwał uczestników, żeby się rozeszli, bo Austria ma żalobę, na co prezes „Dobromila“ odpowiedział dobroduszenie: — Zaczekaj pan chwileczkę, niech dograją „Hej Słowianie“.

Teraz siedział w areszcie z głową opuszczoną i narzekał:
— W sierpniu mamy nowe wybory zarządu. Jeśli do tego czasu nie będę w domu, to się może trafić, że mnie nie wybiorą. Już po raz dziesiąty jestem prezesem. Ja tego wstydu nie przeżyję.

W sposób osobliwy poigrał sobie nieboszczyk Ferdynand z czwartym aresztantem, mężem czystego charakteru i nienagannej przeszłości. Przez całe dwa dni uchylał się od jakiegokolwiek rozmowy o Ferdynandzie, aż wieczorem w kawiarni przy mariaszu, zabijając żołądznego króla atutową siódmką dzwonkową, rzekł:

— Siedem dzwonek, jak siedem kul w Serajewie.

Człowiek piąty, który, jak sam się wyraził, siedział przez to morderstwo popełnione na panu arcyksięciu w Serajewie, jeszcze teraz miał włosy i wąsy zjeżone z przerażenia, tak że głowa jego przypominała pinczera.

Ten aresztant nie odezwał się ani słowem w restauracji, w której go aresztowano, ba, nawet nie czytał gazet o zabiciu Ferdynanda i siedział przy stole zupełnie sam, gdy wtem podszedł do niego jakiś pan, usiadł naprzeciw niego i rzekł z pośpiechem:

— Czytał pan o tym?

— Nie czytałem.

— Wie pan o tym?

— Nie wiem.

— A wie pan, o co chodzi?

— Nie wiem, bo mnie to nie interesuje.

— A jednak powinno to pana zainteresować.

— Nie wiem, co by mnie miało interesować. Wypalę cygaro, wypiję parę szklanek, zjem kolację i dość. Gazet nie czytam. Gazety kłamią. Po co się denerwować?

— Więc pana nie interesuje nawet to morderstwo w Serajewie?

— Mnie w ogóle żadne morderstwo nie interesuje, czy w Pradze, czy w Wiedniu, czy w Serajewie, czy w Londynie. Od tego są urzędy, sądy i policja. Jeśli gdzieś kiedyś kogo zabiją, to dobrze mu tak, po co jest bałwan i taki nieostrożny, że się da zabić?

Były to jego ostatnie słowa w tej rozmowie. Od tej chwili powtarzał głośno i w pięciominutowych pauzach te słowa:

— Ja jestem niewinny. Ja jestem niewinny.

Słowa te wykrzykiwał i w bramie komisariatu policji, słowa te będzie powtarzał i przy przewożeniu go do sądu karne go w Pradze i z tymi słowy wkroczy do swej celi więziennej.

Gdy Szwejk wysłuchał wszystkich tych straszliwych opowieści spiskowych, uznał za właściwe pouczyć spiskowców o całkowitej beznadziejności ich sytuacji.

— Ze wszystkimi nami jest bardzo źle — zaczął swoje słowa pociechy. — Nie jest to prawdą, że się wam, nam wszystkim, nie może stać nic złego. Od czego mamy policję, jak nie od tego, żeby nas karała za nasze gadulstwo? Jeśli nastąły takie niebezpieczne czasy, że strzelają do arcyksiążąt, to nikt nie powinien się dziwić, że go przyprowadzą do komisariatu. To wszystko robi się dla pompy, żeby Ferdynand miał reklamę przed swoim pogrzebem. Im więcej nas tu będzie, tym lepiej dla nas, bo nam będzie weselej. Kiedym służył w wojsku, to nieraz pół kompanii siedziało w pace. A wielu to niewinnych ludzi zostało skazanych! I nie tylko w wojsku, ale i przez inne sądy. Pamiętam, że raz jedna kobieta została skazana za to, że udusiła swoje nowonarodzone bliźnięta. Chociaż przysięgała, że nie mogła udusić bliźnięt, bo urodziła się jej tylko jedna dziewczynka, którą udało się udusić całkiem bez bólu, to jednak skazana została za morderstwo podwójne. Albo na przykład ten niewinny Cygan w Zabiehlicach, co się włamał do sklepiku w nocy na Boże Narodzenie. Przysięgał, że chciał się tylko ogrzać, i nic mu to nie pomogło. Jak tylko sąd weźmie sobie coś w swoje ręce, to już kłapa. Ale tak musi

być. Może być, że wszyscy ludzie nie są takimi draniami, jak o nich przypuszczać należy, ale w jaki sposób dzisiaj odróżnisz człowieka dobrego od galgana, osobliwie teraz, w takich poważnych czasach, gdy zakatrupili tego Ferdynanda? Tam u nas, kiedy służyłem w wojsku w Budziejowicach, zastrzelili w lesie za placem ćwiczeń psa pana kapitana. Kiedy się o tym pan kapitan dowiedział, zwołał nas wszystkich, kazał nam stanąć przed sobą i powiada, żeby co dziesiąty wystąpił z szeregu. Rzecz prosta, że i ja byłem dziesiąty, i tak staliśmy h a b a c h t, nawet nie mrugając. Kapitan chodzi sobie koło nas i powiada: — wy psubraty, podlecy, świńtuchy, hieny cętkowane, tak bym wam z przyjemnością wlepił pojedynek, posiekałbym was na makaron, porozstrzeliwał i zrobił karpia na niebiesko. Żebyście wiedzieli, że się z wami nie będę bawił, dam wam wszystkim dwa tygodnie koszarówki. — Widzicie panowie, wtedy chodziło tylko o pieska, a dzisiaj chodzi nawet o pana arcyksięcia. I dlatego musi być zgroza, żeby żałoba była jak się patrzy.

— Ja jestem niewinny. Ja jestem niewinny — powtarzał człowiek o zjeżonych włosach.

— Chrystus Pan też był niewinny — rzekł Szwejk — i też go ukrzyżowali. Nigdy nikomu nie zależało na jakimś tam niewinnym człowieku. *Maul halten und weiter dienen!* — jak nam mawiali w wojsku. To jest najlepsze i najpiękniejsze.

Szwejk wyciągnął się na pryczy i usnął snem sprawiedliwego.

Tymczasem przybyło dwóch nowych aresztantów. Jeden z nich był Bośniakiem. Chodził po izbie, zgrzytał zębami i co drugie jego słowo brzmiało: „*J e b e n t i d u s z u*“. Męczyła go myśl, że w komisariacie policji zginie mu jego koszyk.

Drugim gościem był Paliwec, właściciel gospody, który zauważywszy swego znajomego, Szwejka, zbudził go i głosem pełnym tragiki wołał:

— Jestem tu więc i ja!

Szwejk uściśnął mu serdecznie rękę i rzekł:

— Cieszę się szczerze. Wiedziałem, że ten pan dotrzyma słowa, gdy zapewniał, że wieczorem po pana przyjdą. Taka punktualność to dobra rzecz.

Pan Paliwec zauważył wszakże, że taka punktualność głównie warta i po cichu spytał Szwejka, czy ci inni aresztanci nie są aby złodziejaskami, bo to mogłoby mu zaszkodzić jako właścicielowi gospody.

Szwejk objaśnił go, że wszyscy z wyjątkiem jednego pana, który dostał się tu za usiłowanie morderstwa rabunkowego na osobie gospodarza z Holic, należą do ich towarzystwa i siedzą przez pana arcyksięcia.

Pan Paliwec obraził się i rzekł, że nie został aresztowany dla jakiegoś głupiego arcyksięcia, ale z powodu samego najjaśniejszego pana. Ponieważ reszta towarzystwa zaczęła się tym interesować, opowiedział, jak to muchy zanieczyściły mu obraz cesarza.

— Zapaskudziły mi go, bestie — kończył opowiadanie swej przygody — a mnie zaprowadziły do kryminału. Ale ja tego tym muchom nie daruję — odgrażał się.

Szwejk udał się znowuż na spoczynek, ale nie spał długo, bo przyszli po niego, aby go zaprowadzić na śledztwo.

Wchodząc po schodach na wyższe piętra w drodze do III wydziału dla przesłuchania, Szwejk dźwigał swój krzyż na szczyt golgoty, sam nie dostrzegając swojego męczeństwa.

Zauważywszy napis, że pluć na korytarzach nie wolno, poprosił strażnika, aby mu pozwolił spluć do spluwaczki i promieniejąc wielkością swojej prostoty, wkroczył do kancelarii ze słowy:

— Dobry wieczór szanownym panom, wszystkim razem.

Zamiast odpowiedzi dostał szturchaniec pod żebro i zaraz potem stanął przy stole, za którym siedział pan o rysach twa-

rzy pełnych zwierzęcego okrucieństwa, jakby właśnie wypadł z książki Lombrosa „O typach zbrodniczych“.

Okiem, chłepącym krew, spojrzął na Szwejka i rzekł:

— Nie udawaj pan takiego idioty.

— Bardzo mi przykro — odpowiedział Szwejk z wielką powagą — ale w wojsku byłem poddany superarbitracji z powodu idiotyzmu i urzędowo zostałem przez komisję zadeklarowany jako idiota. Ja jestem idiota z urzędu.

Pan o zbrodniczym typie szczęknął zębami:

— To, o co jesteś pan oskarżony i czegoś się pan dopuścił, świadczy, że masz rozum w porządku.

I wymienił Szwejkowi długi szereg różnych zbrodni, poczynając od zdrady głównej a kończąc na obrazie jego cesarskiej mości i członków domu cesarskiego. Pośrodku tych przestępstw jaśniało pochwalanie morderstwa arcyksięcia Ferdynanda; od niego wychodziły odnóża nowych przestępstw, śród których błyszczała zbrodnia podburzania do nieposłuszeństwa władzom, ponieważ wszystko to stało się w lokalu publicznym.

— Co pan na to? — zwycięsko zapytał pan o rysach znamionujących wielkie okrucieństwo.

— Ano, sporo się tego nazbierało — odpowiedział naiwnie Szwejk. — Co za dużo, to niezdrowo.

— No, widzi pan, sam się pan przyznaje.

— Ja się przyznaję do wszystkiego, proszę pana, surowość musi być, bez surowości ładnie byśmy wyglądali. Jeszcze kiedyś służyłem w wojsku...

— Stul pan gębę — wrzasnął radca policji na Szwejka — i mów pan tylko to, o co się pytam. Rozumie pan?

— Jakżeby nie miał rozumieć? — rzekł Szwejk. — Posłusznie melduję, że rozumiem i że we wszystkim, co pan raczy do mnie mówić, mogę się orientować.

— Z kim pan utrzymuje stosunki?

— Ze swoją posługaczką, proszę pana.

— A w miejscowych kołach politycznych nie masz pan znajomych?

— Mam, proszę pana, kupuję sobie południowe wydania „Narodni Politiki“, jak się mówi, suczki.

— Precz! — wrzasnął na Szwejka pan o zwierzęcym wyrazie.

Gdy Szwejka wyprowadzano z kancelarii rzekł:

— Dobrej nocy, wielmożny panie.

Powróciwszy do izby aresztanckiej, oznajmił Szwejk obecnym, że takie przesłuchiwanie to niezgorsza frajda. — Trochę tam pokrzyczą, a w końcu człeka wypędzą.

— Dawniej — wywodził Szwejk — bywało gorzej. Czytałem kiedyś taką książkę, że oskarżeni musieli chodzić po rozpalonym żelazie i pić roztopiony ołów, żeby się pokazało, kto jest niewinny. Albo wtykali nogi badanego w buty hiszpańskie i rozciągali go na drabinie, jeśli nie chciał się przyznać, albo też przypalali mu boki strażackimi pochodniami, jak to robili na przykład świętemu Janowi Nepomukowi. Podobno ryczał przy tym, jakby go na noże brali, i nie zamilkł, dopóki nie zrzucili go z mostu Eliszki do Wełtawy, i to w worku nieprzemakalnym. Takich wypadków było więcej, a jeszcze do tego człowieka ćwiartowali albo wbijali go na pal gdzieś tam koło Muzeum. A jeśli wrzucili kogo do głodomorni, to taki człowiek czuł się z uciechy jak odrodzony.

— Dzisiaj to jedna wielka frajda dostać się do aresztu — pochwalał Szwejk nowe czasy — nie ma ćwiartowania, nie ma hiszpańskich butów. Prycze mamy, stół mamy, ławki mamy, nie potrzebujemy pchać się jeden na drugiego, zupełną dostajemy, chleb też nam dają, dzban wody przyniosą, wychodek mamy prosto pod gębą. We wszystkim widać postęp. Prawda, że na śledztwo trochę niby daleko, bo aż przez trzy korytarze i o piętro wyżej, ale za to na korytarzach jest czysto i żywo. Tu prowadzą jednego, tam drugiego, młodego, starego, płci męskiej, płci żeńskiej. Człek się cieszy już i z tego, że nie sie-

dzi tu sam. Każdy idzie spokojnie swoją drogą i nie potrzebuje się obawiać, że mu w kancelarii powiedzą: — Więc naradziliśmy się i jutro zostanie pan poćwiartowany albo spalony na stosie, wedle swego własnego wyboru. — Rozmyślanie o takich rzeczach byłoby z pewnością nielekkie, a ja sędzę, panowie, że niejeden z nas byłby w takim momencie całkiem zdetonowany. No, dzisiaj stosunki zmieniły się już na naszą korzyść.

Właśnie kończył był apologię współczesnego więzienia obywateli, gdy dozorca otworzył drzwi i zawołał:

— Szwejk, ubrać się i dalej na śledztwo!

— Ja się ubiorę — odpowiedział Szwejk — przeciwko temu nie mam nic do powiedzenia, ale boję się, że to pewno pomyłka, bo już raz zostałem ze śledztwa wyrzucony. I jeszcze się boję, aby reszta tych panów, co tutaj są razem ze mną, nie pogniewała się na mnie, że ja chodzę dwa razy z kolei na śledztwo, a oni nie byli tam dzisiejszego wieczora jeszcze ani razu. Może to wzbudzić zawiść.

— Ruszać się i nie ględzić — brzmiała odpowiedź na gentlemeński wywód Szwejka.

Szwejk znalazł się znowuż przed panem o zbrodniczym typie, który bez jakiegokolwiek wstępu zapytał go twardo i nieubłagalnie:

— Przyznaje się pan do wszystkiego?

Szwejk zwrócił ku nieubłaganemu człowiekowi swoje dobre, modre oczy i rzekł miękko:

— Jeśli pan sobie życzy, proszę pana, abym się przyznał, to się przyznaję, bo mnie to nic nie szkodzi. Ale gdyby pan powiedział: — Szwejku, nie przyznawajcie się do niczego — to się będę wykręcał do ostatnich sił.

Surowy pan pisał coś w aktach i podawszy Szwejkowi pióro, wezwał go, aby akt podpisał.

I Szwejk podpisał oskarżenie Bretschneidera wraz z dodatkiem:

Wszystkie wyżej wymienione oskarżenia przeciwko mnie opierają się na prawdzie.

Józef Szwejk

Podpisawszy, zwrócił się do surowego pana:

— Czy każe mi pan jeszcze coś podpisać? Czy może mam przyjść dopiero jutro rano?

— Z rana zostanie pan wywieziony do sądu karnego — usłyszał w odpowiedzi.

— O której godzinie, proszę pana? Żebym przecie, broń mnie Boże, nie zasnął!

— Precz! — zabrzmiało na Szwejka dzisiaj po raz drugi to słowo zza stołu, przy którym stał.

Powracając do swego nowego zakratowanego mieszkania, Szwejk rzekł do dozorczy, który go przyprowadził:

— Wszystko tu jest akuratne, jak w zegarku.

Jak tylko drzwi się za nim zamknęły, jego współaresztowani zasypali go mnóstwem pytań, na które Szwejk odpowiedział jasno:

— Akurat się przyznałem, że zabiłem arcyksięcia Ferdynanda.

Sześcioro ludzi skuliło się w przestkach pod zawieszonymi kocami, tylko Bośniak rzekł:

— Dobro doszli.

Układając się na pryczy, mówił Szwejk:

— Głupia sprawa, że nie mamy tutaj budzika.

Ale rano zbudzili go bez budzika i punktualnie o szóstej wywozili Szwejka w „zielonym Antku“ do krajowego sądu karnego.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — rzekł Szwejk do swoich towarzyszy podróży, gdy „zielony Antek“ wyjeżdżał z bramy komisariatu policji.

III

Szwejk przed lekarzami sądowymi.

Czyste, przytulne pokoiki krajowego, „jako karnego sądu“, wywarły na Szwejku jak najlepsze wrażenie. Wybielone ściany, czarno malowane kraty i otyły pan Demartini, starszy dozorca aresztu śledczego, z fioletowymi lampasami i wypustkami na urzędowej czapce, wszystko mu się podobało. Barwa fioletowa przepisana jest nie tylko tutaj, lecz i przy obrzędach kościelnych w Środę Popielcową i w Wielki Piątek.

Powtarza się przesławna historia rzymskiego panowania nad Jerozolimą. Więźniów wyprowadzano i przedstawiano ich Piłatom z roku tysiąc dziewięćset czternastego, rezydującym na parterze. A sędziowie śledczy, nowoczesne Piłaty, zamiast rzetelnie umyć ręce, posyłali sobie po papryczkę i piwo pilzneńskie do Teissiga, dostarczając coraz nowych oskarżeń prokuraturze państwa.

Tutaj znikła wszelka logika, a zwyciężał §, dusił §, bałwanil §, paraskał §, śmiał się §, groził § i nie przepuszczał nikomu. Byli to żonglerzy praw, kapłani liter kodeksowych, pożercy oskarżonych, tygrysy austriackiej dżungli, wymierzający skok na oskarżonego podług liczb paragrafów.

Wyjątek stanowiło kilku panów (tak samo jak i w komisaracie policji), którzy kodeksem nie przejmowali się nad-

miernie, bowiem wszędzie znajdzie się ziarno pszenicy wśród kąkolu.

Do jednego z takich panów przyprawiono Szwejka na śledztwo. Starszy pan o wyglądzie dobrodusznym, ten sam, który niegdyś, badając znanego mordercę Walesza, nie zapomniał nigdy rzec do niego: — Raczy pan usiąść, panie Walesz, akurat mamy tu wolne krzeselko.

Gdy Szwejka przyprawiono do niego, pan ten poprosił go z wrodzoną sobie uprzejmością, aby usiadł, i rzekł:

— A więc to pan jest ten Szwejk?

— Przypuszczam — odpowiedział Szwejk — że muszę nim być, bo mój ojciec był Szwejk, a matka Szwejkowa. Nie mogę zrobić im takiego wstydu, żebym się miał wypierać swego nazwiska.

Życzliwy uśmiech przeleciał po twarzy badającego radcy sądu.

— Nawarzył pan sobie ładnego piwa. Dużo sprawek ma pan na sumieniu.

— Ja mam zawsze dużo na sumieniu — rzekł Szwejk uśmiechając się jeszcze uprzejmiej niż pan radca sądu. — Może nawet mam na sumieniu więcej, niż raczy mieć pan, wielmożny panie.

— Widać to i w protokole, który pan podpisał — niemniej uprzejmym tonem rzekł radca sądu. — Czy nie wywierali na pana jakiego nacisku w komisariacie policji?

— Broń Boże, wielmożny panie. Ja sam się ich pytałem, czy mam podpisać, a gdy powiedzieli, żebym podpisał, to usłu-chałem. Przecież nie będę się z nimi wodził za łby dla własnego podpisu. Na dobre by mi taka rzecz nie wyszła. Porządek musi być.

— A czy pan się czuje zupełnie zdrowy, panie Szwejku?

— Zupełnie zdrowy to ja nie jestem, wielmożny panie radco. Mam reumatyzm, smaruję się opodeldokiem.

Starszy pan znowuż uśmiechnął się uprzejmie.

— Co by pan powiedział na to, gdybyśmy pana polecili zbadać przez lekarzy sądowych?

— Ja sędzę, że nie jest tak źle, żeby ci panowie mieli na próżno tracić dla mnie czas. Mnie już badał jeden doktor w komisariacie policji, czy nie mam trypra.

— Wiesz pan co, panie Szwejk, my jednak zrobimy próbę z tymi lekarzami sądowymi. Złożymy ładną komisyjkę, przekażemy pana do aresztu śledczego, a tymczasem pan sobie dobrze odpocznie. Na razie jedno pytanie: Podług protokołu miał pan się wyrażać i rozgłaszać, że teraz niedługo wybuchnie wojna.

— Proszę pana radcy, wojna wybuchnie w krótkim czasie.

— A czy nie miewa pan czasem jakich napadów?

— Napadów, proszę pana, nie mam, tylko raz byłbym o mały figiel wpadł pod automobil na placu Karola. Ale to już ładnych parę lat temu.

Na tym przesłuchanie było skończone. Szwejk podał panu radcy sądu rękę, a po powrocie do swego pokoiku rzekł swoim sąsiadom:

— No więc przez to zamordowanie pana arcyksięcia Ferdynanda będą mnie badali lekarze sądowi.

— Ja też już byłem badany przez lekarzy sądowych — rzekł pewien młody człowiek. — Było to wtedy, kiedym się z powodu kobierców dostał przed sąd przysięgłych. Uznali mnie za słabego na umyśle. Teraz zdefraudowałem parową młockarnię i nic mi nie mogą za to zrobić. Wczoraj powiedział mi mój adwokat, że jeśli już raz zostałem uznany za słabego na umyśle, to powinienem mieć z tego korzyść na całe życie.

— Ja tym lekarzom sądowym nic nie wierzę — zauważył człowiek o wyglądzie inteligentnym. — Kiedy razu pewnego sfalszowałem weksle, zacząłem na wszelki przypadek chodzić na wykłady psychiatryczne doktora Hoverocha, a gdy mnie złapali, symulowałem paranoika akurat tak, jak wypadało po-

dług tych wykładów doktora Hoverocha. Jednego z lekarzy ugryzłem w nogę podczas komisji, wypilem atrament z kałammarza i wyknociłem się z przeproszeniem w kącie izby przed całą komisją. Ale za to, żem jednego z tych panów ugryzł w łydkę, uznali mnie za zupełnie zdrowego i byłem stracony.

— Ja się badania tych panów nic a nic nie boję — zadeklarował Szwejk. — Jakem służył w wojsku, to mnie badał jeden weterynarz i nic mi się nie stało.

— Lekarze sądowi to dranie — ozwał się mały, skulony człowiek. — Niedawno temu jakimś trafem wykopano na mojej łące szkielet, a lekarze sądowi powiedzieli, że ten szkielet był zamordowany jakimś tępym narzędziem w głowę, i to przed czterdziestu laty. Ja mam lat trzydzieści osiem i zostałem aresztowany, chociaż mam metrykę chrztu, wyciąg z ksiąg stanu cywilnego i paszport.

— Sądzę — rzekł Szwejk — że na wszystko powinniśmy spoglądać od strony pogodniejszej. Każdy omylić się może, a musi się omylić tym bardziej, im bardziej o czymś rozmyśla. Lekarze sądowi to ludzie, a ludzie mają swoje wady. Raz trafiło się w Nuslach, że przez rzekę Boticz podszedł do mnie pewien pan, kiedym powracał z gospody od Banzetów, i trzasnął mnie bykowcem przez głowę, a gdym leżał na ziemi, przyjrzał mi się przy świetle latarki i powiada: — To pomyłka. To nie ten. — I tak go ta pomyłka rozzłościła, że mnie przeciągnął bykowcem jeszcze raz przez plecy. Taka to już jest natura ludzka, że człowiek myli się aż do śmierci. Był też taki jeden pan, który znalazł w nocy wściekłego psa na pół zmarzłego, zabrał go z sobą i wsunął go żonie pod pierzynę. Jak się mój pies rozgrzał i okrzepł, to pogryzł całą rodzinę, a najmłodsze dziecko rozszarpał i zeżarł. Albo dam wam przykład, jak w naszych stronach pomylił się pewien tokarz. Otworzył sobie kluczem podolski kościółek, bo myślał, że jest w domu, w zakrystii zdjął buty i przykrył się takimi zasłonami ze świętymi napisami, a pod głowę położył sobie ewangelię

i inne księgi święte, żeby miał wygodę. Rano kościelny znalazł go w kościele, a ten, gdy się już całkiem opamiętał, powiada całkiem dobrodusznie, że to pomyłka. — Ładna pomyłka — rzekł kościelny — kiedy przez tę pomyłkę będziemy musieli kościół na nowo wyświęcać. — Potem tego tokarza badali lekarze sądowi i dowiedli mu, że był zupełnie poczytalny i trzeźwy, ponieważ gdyby był schlany, to by nie trafił kluczem do zamku drzwi kościelnych. Potem ten tokarz umarł na Pankracu w więzieniu. Dam wam też przykład, jak na Kładnie pomylił się pewien pies policyjny, wilk tego znanego rotmistrza Rottera. Rotmistrz Rotter hodował takie psy i robił doświadczenia z włóczęgami, tak że wszystkie wędrusy zaczęły Kładno omijać. Więc wydał rozkaz, żeby żandarmi za wszelką cenę przyprowadzili człowieka podejrzanego. Przyprowadzili mu tedy dość przyzwoicie ubranego człowieka, którego znaleźli w łańskich lasach siedzącego na jakimś pniaku. Zaraz odcięli mu kawałek poły od surduta, ten kawałek surduta kazali obwąchać swoim żandarmskim psom policyjnym, a potem zaprowadzili tego człowieka do jakiejś cegielni za miastem, a jego śladem puścili te wytresowane psy, które go też znalazły i przyprowadziły z powrotem. Potem ten człowiek musiał wlaźć po drabinie na strych, skakać przez mur, wskoczyć do stawu, a psy za nim. W końcu pokazało się, że ten człowiek to był jeden czeski poseł radykalny, który wyjechał sobie na wycieczkę do łańskich lasów, bo go parlament już zmierzył. Toteż mówię, że ludzie mają swoje wady i myślą się, czy to będzie uczony, czy też głupi, nieokrzesany idiota. Mylą się i ministrowie.

Komisja sądowo-lekarska, która miała decydować, o tym, czy duchowy horyzont Szwejka odpowiada, czy nie odpowiada wszystkim tym zbrodniom, o które został oskarżony, składała się z trzech niezwykle poważnych panów, o poglądach, którymi każdy z nich różnił się zasadniczo od poglądów obu pozostałych kolegów.

Panowie ci reprezentowali trzy różne szkoły psychiatryczne i różne poglądy naukowe.

Jeśli pomimo to w przypadku Szwejka doszło do całkowitej zgody między trzema przeciwnymi sobie obozami, to da się to wyjaśnić jedynie dzięki oszałamiającemu wrażeniu, jakie na całej komisji wywarł Szwejk, gdy wszedłszy do sali, w której miał być badany jego stan umysłowy, i ujrawszy na ścianie obraz austriackiego monarchy, zawołał: — Panowie, niech żyje cesarz Franciszek Józef I!

Sprawa była całkiem jasna. Spontaniczna manifestacja Szwejka usuwała cały szereg kwestyj, pozostawiając tylko niektóre najważniejsze pytania, wymagane przez system doktora psychiatrii Kallersona, doktora Heverocha i Anglika Weikinda.

— Czy radium jest cięższe od ołowiu?

— Ja go, proszę panów, nie ważyłem — odpowiedział Szwejk ze swoim miłym uśmiechem.

— Czy wierzysz pan w koniec świata?

— Naprzód musiałbym ten koniec zobaczyć — niedbale odpowiedział Szwejk. — Ale z pewnością jeszcze nie jutro nastąpi.

— Czy potrafiłby pan obliczyć przekrój kuli ziemskiej?

— Nie umiałbym, proszę panów — odpowiedział Szwejk — ale i ja bym panom też mógł zadać zagadkę. Jest dom o trzech piętrach, każde piętro ma osiem okien. Na dachu są dwa dymniki i dwa kominy. Na każdym piętrze mieszkają dwaj lokatorzy. A teraz powiedzcie, panowie, którego roku umarła babka stróża?

Lekarze sądowi spojrzeli po sobie wymownie, ale tym niemniej jeden z nich zadał Szwejkowi takie pytanie:

— Czy zna pan największą głębłość Oceanu Spokojnego?

— Nie znam, proszę panów — brzmiała odpowiedź — ale sądzę, że z pewnością jest większa, niż w Wełtawie pod bramą Wyszehradzką.

Prezes komisji zapytał krótko:

— Wystarczy?

Ale pomimo to jeden z członków zadał Szwejkowi jeszcze takie pytanie:

— Ile będzie, gdy dwanaście tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt siedem pomnożymy przez trzynaście tysięcy osiemset sześćdziesiąt trzy?

— Siedemset dwadzieścia pięć — odpowiedział Szwejk prosto z mostu.

— Sądzę, że to zupełnie wystarczy — rzekł prezes komisji, a zwracając się do strażnika, rzekł: — Proszę odprowadzić tego oskarżonego na dawne miejsce.

— Dziękuję wam, panowie — grzecznie skłonił się Szwejk. — Mnie to też zupełnie wystarczy.

Po jego wyjściu kolegium trzech zgodziło się łatwo, że Szwejk jest notoryczny matolek i idiota według wszystkich praw przyrody, wynalezionych przez uczonych psychiatrów.

W relacji, przesłanej sędziemu śledczemu, stało między innymi:

Niżej podpisani lekarze sądowi ustalają całkowitą tępotę umysłową i wrodzony kretynizm przedstawionego wyżej wymienionej komisji Józefa Szwejka, która to tępota wyraża się takimi słowami, jak np.: Niech żyje cesarz Franciszek Józef I! — co samo przez się wystarcza do oświelenia stanu umysłowego Józefa Szwejka jako notorycznego matolka. Niżej podpisana komisja proponuje zatem: 1) Umorzyć dochodzenie przeciwko Józefowi Szwejkowi, 2) odesłać Józefa Szwejka na klinikę psychiatryczną dla ustalenia, jak dalece jego stan umysłowy może stać się niebezpiecznym dla otoczenia.

Podczas gdy relacja ta była układana, Szwejk opowiadał swoim współaresztowanym:

— O Ferdynandzie nie było wcale mowy, ale rozmawiali ze mną o jeszcze większych cymbalstwach. Wreszcie powiedzieliśmy sobie, że to, o czym była mowa, zupełnie nam wystarczy, i rozeszliśmy się.

— Ja tam nikomu nie wierzę — zauważył mały, skulony człowieczek, na którego łące przypadkowo wykopano szkielet. — Złodziej na złodzieju.

— I złodziejstwo też musi być — rzekł Szwejk układając się na pryczy. — Gdyby wszyscy ludzie życzyli sobie nawzajem dobrze, to by sobie niedługo łby pourywali.

IV

Szwejka wypędzili z domu wariatów.

Gdy w czasach późniejszych Szwejk opowiadał o życiu w domu wariatów, nie znajdował słów na pochwałę dla tej instytucji. — Doprawdy, że nie mogę zrozumieć, dlaczego wariaty gniewają się, że każą im tam siedzieć. Człowiek sobie może łązić nago po podłodze, wyc jak szakal, wściekać się i kąsać. Gdyby człek zrobił coś podobnego gdzieś na promenadzie, to by ludzie otwierali gęby, ale tam takie rzeczy należą do najzwyczajniejszych. Taka tam panuje wolność, o jakiej nawet socjalistom się nie śniło. Można się tam podawać za Pana Boga albo za Przenajświętszą Panienkę, za papieża, za angielskiego króla, za najjaśniejszego pana czy za świętego Wacława, aczkolwiek ten ostatni był ciągle związany i leżał w izolacji. Był tam też jeden, który wykrzykiwał, że jest arcybiskupem, ale nic nie robił, tylko żarł, spał i jeszcze coś robił takiego, co można łatwo zrymować, ale tam się takich rzeczy nikt nie wstydzi. Jeden podawał się tam nawet za świętego Cyryla i Metodego, żeby mu dawali podwójne porcje. Inny znowuż pan był w ciąży i każdego zapraszał na chrzciny. Siedziało tam pod kluczem bardzo dużo szachistów, polityków, rybaków i skautów, zbieraczy marek, fotografów i ma-

larzy. Pewien człowiek siedział z powodu jakichś starych garnków, które nazywał popielnicami.

Jednego trzymali tam stale w kaftanie bezpieczeństwa, żeby nie mógł wyliczyć, kiedy nastąpi koniec świata. Spotkałem tam też kilku profesorów. Jeden z nich stale chodził za mną i dowodził mi, że kolebka Cyganów jest w Karkonoszach, a ten drugi objaśniał mnie, że wewnątrz kuli ziemskiej znajduje się jeszcze jedna, daleko większa od zewnętrznej.

Każdy mógł tam wygadywać, co mu ślina na język przyniosła, jakby był w parlamencie. Czasem opowiadali sobie tam bajki i bili się, gdy z jaką królową źle się skończyło. Najbardziej opętany był jeden pan, który podawał się za szesnasty tom „Naukowego Słownika“ Otty i każdego prosił, żeby go otworzył i odszukał hasło „Kartonażowa maszyna do szycia“, bo inaczej zginie. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy mu włożono kaftan bezpieczeństwa. Pochwalał to sobie, mówiąc, że się dostał do introligatorskiej prasy, i prosił, żeby mu zrobili modny sznyt. W ogóle żyło się tam jak w raj. Można tam wrzeszczeć, ryczeć, śpiewać, płakać, pobekiwać, jęczeć, skakać, modlić się, fikać kozły, chodzić po czworakach, podskakiwać na jednej nodze, kręcić się w kółko, tańczyć, hopsać, siedzieć przez cały dzień w kuczki i wdrapywać się na ściany. Nikt do nikogo nie podejdzie i nie powie: — Tego robić nie wolno, to nie wypada, tego się trzeba wstydzić, jeśli chcesz uchodzić za człowieka dobrze wychowanego. — Ale trzeba dodać, że nie brak tam też całkiem cichych wariatów. Był tam na przykład jeden wykształcony wynalazca, który ciągle dłubał w nosie i tylko raz na dzień mówił: — W tej chwili wynalazłem elektryczność. — Bogiem a prawdą bardzo ładnie tam było i te kilka dni, które spędziłem w domu wariatów, należą do najpiękniejszych chwil mego życia.

Istotnie, już samo przywitanie, jakie oczekiwało Szwejka w domu wariatów, gdy został tam przewieziony z sądu krajowego na obserwację, przekroczyło wszystkie jego najśmielsze

oczekiwania. Naprzód rozebrali go do naga, ubrali go w miękki szlafrok i zaprowadzili do kąpieli. Pielęgniarze ujęli go delikatnie pod ramię, a jeden z nich opowiadał mu wesołą anegdotę o Żydach. W łazience zanurzono go w wannie z ciepłą wodą, a potem zaprowadzono pod chłodny natrysk. Powtórzywszy to trzy razy, pytali go, jak mu się to podoba. Szwejk odpowiedział, że to daleko lepsze od łazienek przy moście Karola i że bardzo lubi się kąpać. — Jeśli jeszcze ostrzyżecie mi włosy i przytniecie mi paznokcie, to już niczego mi nie braknie do zupełnego szczęścia — dodał uśmiechając się przyjemnie.

I temu życzeniu uczyniono zadość, a potem porządnie go umyli gąbką, owinęli w prześcieradło i zanieśli do pierwszego oddziału na łóżko, gdzie okryli go starannie kołdrą i poprosili, żeby zasnął.

Jeszcze dzisiaj Szwejk opowiada o tym wszystkim z zachwytem: — Wyobraźcie sobie, że mnie nieśli, naprawdę nieśli! Było mi w owej chwili całkiem błogo.

W łóżku z tej błogości zaraz zasnął. Potem go obudzili i postawili przed nim kubek mleka i bułkę. Bułka była już pokrajana na drobne kawałki i podczas gdy jeden z pielęgniarzy trzymał Szwejka za obie ręce, drugi maczał te kawałki bułki w mleku i karmił go nimi, jak się karmi gęś kluskami. Gdy już był nakarmiony, wzięli go pod pachy i zaprowadzili do ustępu, gdzie poprosili go, aby wykonał małą i dużą potrzebę cielesną.

I o tej pięknej chwili wspomina Szwejk ze wzruszeniem, a nie potrzebuję chyba powtarzać jego słów o tym, co mu potem zrobili. Nadmienię tu jedynie, iż Szwejk mawia:

— Wyobraźcie sobie, że jeden z nich trzymał mnie przy tym w objęciach.

Gdy go przyprowadzili na salę, położyli go znowuż do łóżka i znowuż prosili, aby zasnął. Gdy zasnął, zbudzili go i zaprowadzili do gabinetu na badanie, gdzie Szwejk, stojąc

zupełnie nagi przed dwoma lekarzami, przypomniał sobie sławne czasy poboru do wojska. Mimo woli z ust wyrwało mu się słowo:

— Tauglich.

— Co mówicie? — zapytał jeden z lekarzy. — Zróbcie pięć kroków naprzód i pięć w tył.

Szwejk zrobił od razu kroków dziesięć.

— Mówilem przecie, że macie zrobić pięć kroków — mówił lekarz.

— Ja tam, proszę pana, paru kroków nie żałuję — odpowiedział Szwejk.

Potem wezwali go lekarze, aby usiadł na krześle, a jeden z nich stukał go w kolana. Rzekł wtedy do drugiego lekarza, że odruchy są całkiem prawidłowe, ale tamten pokręcił głową i sam zaczął stukać go w kolana, podczas gdy pierwszy przymykał i odchyłał powieki Szwejka i przyglądał się jego źrenicom. Potem oddalili się ku stołowi i rzucili sobie kilka wyrazów łacińskich.

— Słuchajcie no, umiecie wy śpiewać? — zapytał Szwejk jeden z lekarzy. — Może nam zaśpiewacie jaką piosenkę.

— Naturalnie, proszę panów — odpowiedział Szwejk. — Co prawda, nie mam ani głosu, ani słuchu muzycznego, ale jeśli panowie chcą użyć przyjemności, to spróbuję spełnić wasze życzenie.

I Szwejk zaśpiewał:

Hej ten młody mnich na ławie
Czoło nad prawicą skłonił,
I na blade swe policzki
Dwie gorące łzy uronił...

— Dalej nie umiem — mówił Szwejk. — Jeśli panowie chcą, to zaśpiewam co innego:

O, jak mi ciężko dziś na sercu,
Jak ciężko piersi się oddycha,
Gdy cicho siedzę, z myślą się biedzę,
A pierś za dalą tęsknie wzdycha...

— I tego też dalej nie umiem — westchnął Szwejk. — Umieję jeszcze pierwszą strofę „Kde domov muj“ i „Generał Windischgrätz, i wojenne pany od samego wschodu słońca wojowały“ i jeszcze parę takich ludowych piosenek, jak np. „Panie Boże, chroń cesarza“, „Jakeśmy szli do Jaromierza“ i „Bądź tysiąckroć pozdrowiona...“

Obaj panowie doktorzy spojrzeli po sobie i jeden z nich zadał Szwejkowi pytanie: — Czy wasz stan umysłowy był już kiedy badany?

— W wojsku — odpowiedział Szwejk solennie i dumnie — byłem przez panów wojskowych lekarzy urzędowo uznany jako notoryczny idiota.

— Mnie się zdaje, że jesteście symulant! — krzyknął drugi lekarz na Szwejka.

— Ja, proszę panów — bronił się Szwejk — nie jestem żaden symulant, ja jestem naprawdę idiota, możecie się panowie spytać w Czeskich Budziejowicach albo w komendzie uzupełnień w Karlinie.

Starszy lekarz zrobił ręką beznadziejny gest, a wskazując Szwejka, rzekł do pielęgniarzy: — Temu człowiekowi oddacie ubranie i przeniesiecie go na trzeci oddział do pierwszego korytarza, potem jeden z was wróci i zaniesiecie wszystkie jego papiery do kancelarii. I powiecie tam, niech się śpieszą i prędko sprawę załatwiają, żebyśmy go tu zbyt długo nie mieli na karku.

Lekarze rzucili jeszcze jedno miażdżące spojrzenie na Szwejka, który z szacunkiem cofał się ku drzwiom i grzecznie się kłaniał. Na pytanie jednego z pielęgniarzy, dlaczego robi takie głupstwa, odpowiedział: — Ponieważ jestem nieubrany, czyli nagi, więc nie chcę na tych panów nic takiego wypinać, żeby nie powiedzieli, że jestem niegrzeczny albo cham.

Od chwili, gdy dozorczy otrzymali rozkaz zwrócenia Szwejkowi ubrania, nie okazywali mu już żadnej pieczołowitości i troski. Nakazali mu, aby się ubrał, a jeden z nich odprowa-

dził go na trzeci oddział, gdzie Szwejk miał sposobność do czynienia ciekawych swoich spostrzeżeń przez tych kilka dni, zanim w kancelarii załatwiono urzędowo sprawę jego wylania ze szpitala. Rozczarowani lekarze wystawili mu świadectwo, że jest „symulantem upośledzonym na umyśle“, a ponieważ ze szpitala wydalali go przed obiadem, doszło do drobnego zatargu.

Szwejk zadeklarował, że jeśli go z domu wariatów wyrzucą, to powinni dać mu obiad.

Awanturze uczynił koniec policjant, wezwany przez odźwiernego. Szwejk został zaprowadzony do komisariatu przy ulicy Salma.

Szwejk w komisariacie policji przy ulicy Salma.

Po pięknych słonecznych dniach w domu wariatów zwaliły się na Szwejka godziny ciężkich prześladowań. Inspektor policji Braun scenę spotkania ze Szwejkiem zaaranżował z okrucieństwem rzymskich żołdaków z czasów przemilego cesarza Nerona. Tak, jak wtedy mawiano: — Rzućcie tego łajdaka chrześcijanina lwom — tak pan inspektor Braun rzekł twardo: — Za kratę z nim!

Ani słówka więcej, ani mniej. Tylko oczy pana inspektora policji Brauna błysnęły osobliwą rozkoszą perwesji.

Szwejk skłonił się i rzekł: — Jestem gotów, panowie. Mniemam, że krata znaczy to samo, co separacja, a to nie jest takie kiepskie.

— Nie pytlujcie nam tu za wiele — odpowiedział policjant, na co Szwejk replikował: — Jestem całkiem skromny i wdzięczny za wszystko, co panowie dla mnie uczynić raczą.

W celi siedział na pryczy mąż niejaki w głębokiej zadumie. Siedział apatycznie, a z miny jego było widać, że ani na chwilę nie przypuszczał, że to dla niego otwierają drzwi, aby mu przywrócić wolność, gdy w zamku zazgrzytał klucz.

— Moje uszanowanie wielmożnemu panu — rzekł Szwejk siadając obok niego na pryczy. — Która też może być godzina?

— Ja na godzinę gwizdę — odpowiedział mąż zamyślony.

— Jest tu nienajgorzej — nawiązywał Szwejk rozmowę — na przykład ta prycza jest z drzewa heblowanego.

Poważny człowiek nie odpowiedział, ale wstał i zaczął chodzić po celi krokiem szybkim, przemierzając przestrzeń między pryczą a drzwiami, jakby się śpieszył i pragnął coś uratować.

Tymczasem Szwejk z dużym zainteresowaniem przyglądał się napisom nagryzmołonym na ścianach. Był tam na przykład jeden napis, którego autor przysięgał niebu toczyć z policją walkę na śmierć i życie. Tekst był taki:

Dam ja wam, draniel

Inny więzień napisał:

Całujcie mnie w nos koguty.

Inny stwierdzał prosty fakt:

Siedziałem tu 5 czerwca 1913 i obchodzono się ze mną przyzwoicie. Józef Mareczek, kupiec z Wrszowic.

Ale był tu też jeden napis, wstrząsający do głębi:

Łaski, wielki Boże! a pod tym dopisek:

Pocałujcie mnie w d.

Litera d była przekreślona, a na boku dużymi literami przypisano: POŁĘ. Jakaś dusza poetycka napisała obok tego wiersze:

Nad strumykiem zasmucony siedzę,
Góra słońko złote przesłoniła,
A ja tęsknym okiem w dal spoglądam,
Tam, gdzie mieszka moja miła.

Człowiek, który biegał między drzwiami a pryczą tak szybko, jakby chciał zdobyć rekord w biegu maratońskim, zatrzymał się zdyszany, usiadł na dawnym swoim miejscu, wsparł głowę na dłoniach i ryknął nagle: — Wypuście mnie na wolność!

— Nie, oni mnie nie wypuszczą — odpowiadał sam sobie — nie wpuszczą i nie wypuszczą. Jestem tutaj już od godziny szóstej rano.

Stał się nagle rozmowny, wyprostował się i zapytał Szwejka:

— Czy nie ma pan przypadkiem rzemieennego pasa, żebym mógł z tym skończyć?

— Z miłą chęcią mogę panu posłużyć — odpowiedział Szwejk, odpinając pas. — Jeszcze nigdy nie widziałem, jak się ludzie w areszcie wieszają na rzemieennym pasie.

— Tylko z tym kłopot — mówił Szwejk rozglądając się dookoła — że tu nigdzie nie ma porządnego haka. Klamka okienka pana nie utrzyma. Chyba że powiesiłby się pan klęcząc, na prycy, jak zrobił ten mnich w klasztorze Emauskim, co się powiesił na krucyfiksie przez jedną młodą Żydówkę. Ja samobójców bardzo lubię. Dalej, a żwawo!

Ponury człowiek, któremu Szwejk wetknął pas w rękę, spojrział na ramię, rzucił go w kąt i wybuchnął płaczem, rozmazując brudnymi rękoma łzy po całej twarzy. Skrzeczącym głosem wyrzucał przy tym zdanie za zdaniem: — Ja mam dziateczki, ja się tu dostałem za pijaństwo i za niemoralne życie. Jezus, Maria, moja biedna żona, co też powiedzą teraz w urzędzie? Ja mam dziateczki, ja tu jestem za pijaństwo i życie niemoralne itd. w kółko i bez końca.

Wreszcie uspokoił się trochę, podszedł ku drzwiom i zaczął w nie kopać i walić pięściami. Za drzwiami dały się słyszeć kroki i ozwał się głos:

— Czego tam?

— Wypuście mnie na wolność! — rzekł aresztant takim głosem, jakby wolność była do istnienia koniecznie potrzebna.

— Gdzie panu tak pilno? — pytano z drugiej strony drzwi.

— Do urzędu — odpowiedział nieszczęśliwy ojciec, małżonek, urzędnik, pijak i rozpustnik.

Ozwał się śmiech, upiorny śmiech wśród ciszy korytarza, i kroki się znowu oddaliły.

— Jeśli się nie mylę, to ten pan nienawidzi pana, skoro się z pana tak śmieje — mówił Szwejk, podczas gdy złamany na duchu mąż znowu usiadł obok niego. — Taki dozorca jest zdolny do wszystkiego, gdy się rozzłości. Niech pan siedzi spokojnie, skoro nie chce się pan powiesić, i niech pan czeka, co będzie dalej. Jeśli pan jest urzędnikiem, żonatym i jeszcze do tego ma dzieci, to zgadzam się, że to jest straszne. Jeśli się nie mylę, to pan jest przekonany, że pana wydalą z urzędu.

— Tego panu powiedzieć nie mogę — westchnął zapytany — ponieważ sam już nie pamiętam, co wyrabiałem, wiem tylko tyle, że mnie skądś wyrzucili i że wróciłem tam i chciałem sobie zapalić cygaro. Ale przedtem było jeszcze ładniej. Naczelnik naszego oddziału obchodził imieniny i zaprosił nas do pewnej winiarni, potem poszliśmy do drugiej, do trzeciej, do czwartej, do piątej, do szóstej, do siódmej, do ósmej, do dziewiątej...

— Może pan sobie życzy, żeby mu pomóc liczyć — zapytał Szwejk. — Ja się na tych rzeczach znam, bo pewnej nocy byłem w dwudziestu ośmiu lokalach. Ale muszę się pochwalić, że nigdzie nie miałem nic więcej nad trzy piwa.

— Jednym słowem — mówił dalej nieszczęśliwy podwładny pana naczelnika, który tak wspaniale obchodził imieniny — gdyśmy absolwowali z tuzin tych spelunczek, zauważyliśmy, że pan naczelnik nam się gdzieś zapodział, pomimo że uwiązaliśmy go na szpagacie i wodziliśmy z sobą jak pieska. Więc gdy nam zginął, poszliśmy go szukać, a przy tym szukaniu poginęliśmy sobie nawzajem, aż wreszcie sam jeden znalazłem się w nocnej kawiarni na Winohradach, w bardzo przyzwoitym lokalu, gdzie piłem jakiś likier prosto z butelki. Co później jeszcze robiłem, tego już nie pamiętam, wiem tylko tyle, że już w komisariacie, gdy zostałem tutaj przyprowadzony, obaj policjanci, co mnie prowadzili, składali raport, że

się upiłem, że się zachowywałem niemoralnie, że pobiłem pewną damę, że szczyrykiem porznąłem czyjś kapelusz, który zdjąłem z wieszaka, rozpędziłem damską kapelę, oskarżyłem publicznie oberkelnera, że ukradł mi dwadzieścia koron, przetrąciłem marmurową płytę stołu, przy którym siedziałem, i rozmyślnie naplułem w czarną kawę pewnemu panu, który siedział przy stole sąsiednim. Więcej nic nie zrobiłem, a przynajmniej nie mogę sobie przypomnieć, abym zrobił jeszcze coś takiego. I proszę mi wierzyć, że jestem taki porządny, inteligentny człowiek, który nie myśli o niczym innym, tylko o swojej rodzinie. Co pan o tym wszystkim powie? Przecież ja nie jestem żaden awanturnik!

— Dużo też pan miał roboty z przetrącaniem tej płyty marmurowej? — zapytał Szwejk, okazując duże zainteresowanie. — Czy może przetrącił pan ją od jednego zamachu?

— Od jednego — odpowiedział inteligentny pan.

— W takim razie jest pan zgubiony — rzekł Szwejk w zamyśleniu. — Dowiodą panu, że pan się na to przygotowywał pilnym ćwiczeniem. A ta kawa obcego pana, w którą pan napluł, czy była z rumem, czy bez rumu?

I nie czekając odpowiedzi, wyjaśniał:

— Jeśli była z rumem, to sprawa będzie gorsza, ponieważ taka kawa jest droższa. W sądzie oblicza się wszystko skrupulatnie, żeby można było doliczyć się przynajmniej grubej zbrodni.

— W sądzie — jęknął bezradnie sumienny ojciec rodziny i opuściwszy głowę popadł w niemiły stan, w którym człowiek żrą wyrzuty sumienia*.

— A czy w domu wiedzą już, że pan się dostał za kratę? — pytał Szwejk. — Czy też będą czekali, aż o tym będzie w gazetach?

* Niektórzy pisarze używają wyrażenia: „gryzą wyrzuty sumienia“. Uważam takie wyrażenie za nie dość ściśle. I tygrys żre człowieka, a nie gryzie.

— Pan sądzi, że to się dostanie do gazet? — naiwnie spytała ofiara imienin swego przełożonego.

— To więcej niż pewne — brzmiała surowa odpowiedź, bowiem Szwejk nigdy nie miał zwyczaju ukrywać coś przed ludźmi. — Wszystkie te rzeczy będą się czytelnikom gazet ogromnie podobały. Ja też bardzo lubię odczytywać rubrykę o pijanicach i ich awanturach. Niedawno temu „Pod kielichem“ pewien gość nie zrobił nic osobliwego, tylko tyle, że sam sobie stłukł kufel na głowie. Podrzucił go do góry i stanął pod nim. Odwieźli go z gospody, a rano już mieliśmy o tym czytanie: Albo na ten przykład w Bendlówce dałem razu pewnego jednemu karawaniarzowi w pysk, a on mi oddał. Abyśmy się mogli pogodzić, musieli nas obu aresztować i zaraz było o tym w wieczorowych gazetkach. Albo gdy w kawiarni „Pod trupem“ potłukł pan radca dwie podstawki, to myśli pan, że mieli wzgląd na niego? Zaraz na drugi dzień był w gazetach. Może pan zrobić tylko tyle, że z aresztu pošle pan do gazet sprostowanie, iż wiadomości, które zostały zamieszczone, nie dotyczą pana i że z tym panem, o którym mowa, nie jest pan ani spokrewniony, ani zaprzyjaźniony. Zaś do domu napisze pan, żeby panu to sprostowanie z gazety wycięli; przeczyta je pan sobie, jak odsiedzi karę.

— Czy panu nie chłodno? — zapytał Szwejk ze współczuciem, gdy zauważył, że się inteligentny pan trzęsie. — Latosi koniec lata jest trochę chłodnawy.

— Ja jestem skompromitowany — zapłakał towarzysz Szwejka. — Kariera moja skończona.

— A tak — jak najchętniej zgadzał się Szwejk. — Gdy po odsiedzeniu kary nie przyjmą pana na dawne stanowisko, to nie wiem, czy tak łatwo znajdzie pan inne miejsce, bo każdy pracodawca, choćby i hycel, żąda świadectwa moralności. Święta prawda, że taka chwilka rozkoszy, jakiej pan sobie użyczył, nie opłaca się. A czy małżonka pańska i dzieci mają środki utrzymania przez ten czas, kiedy pan będzie sie-

dział? Czy też będą musiały chodzić żebrać i oddawać się różnym występkom.

Ozwało się łkanie.

— Moje biedne dziatki! Moja biedna żona!

Niesumienny skruszony grzesznik wstał i rozgadał się o swoich dziatkach: ma ich pięcioro, najstarszy ma lat dwanaście i należy do tych tam harcerzy. Pije tylko wodę, a ojciec powinien sobie brać przykład z niego, taki ojciec, który po raz pierwszy w życiu dopuścił się takiej rzeczy.

— Do harcerzy należy? — zapytał Szwejk. — Bardzo lubię słuchać opowiadania o tych harcerzach. Pewnego razu w Mydłowarach koło Zliwia, powiat Hluboka, kapitanat Czeskie Budziejowice, akurat wtedy, jakieś tam — dziewięćdziesiąty pierwszy pułk — mieli ćwiczenia, chłopci okoliczni zrobili obławę na harcerzy w lesie gminnym, bo im się tam bardzo rozplenili. Złapali trzech. Ten najmniejszy z nich, gdy go wiązali, kwilił, piszczał i tak narzekał, że my, zahartowane wojski, nie mogliśmy na to patrzeć i woleliśmy odejść. Przy tym wiązaniu ci trzej harcerze pokąsali ośmiu chłopów. Potem na mękach u wójta, pod trzcina zeznali, że w całej okolicy nie ma ani jednej łąki, której nie byliby wygnietli, gdy się wygrzewali na słońcu, dalej, że jeden łąn żyta na pniu przed samymi żniwami koło Rażyc spalił się tylko skutkiem nieszczęśliwego wypadku, kiedy sobie w życie na różnie piekli sarenkę, upolowaną przy pomocy noża w lesie gminnym. W ich norze leśnej znaleziono przeszło pół korca ogryzionych kości drobiu i dzierzyny, ogromne mnóstwo pestek czereśni, zatrząsienie ogryzków z niedojrzałych jabłek i innych dobrych rzeczy.

Ale niefortunny ojciec harcerza pocieszyć się nie dał.

— Co ja zrobiłem? — biadał. — Reputację mam zmarnowaną!

— Słusznie pan powiedział — rzekł Szwejk z wrodzoną szczerością. — Po tym, co się stało, musi pan mieć reputację zmarnowaną na całe życie, ponieważ znajomi pańscy dodadzą

jeszcze to i owo do tego, co będą czytali w gazetach o panu. To się zawsze tak robi, ale niech pan się tym nie przejmuję. Takich ludzi, co mają zaszarganą albo zmarnowaną reputację, jest na świecie przynajmniej dziesięć razy tyle, ile jest ludzi z dobrą reputacją. To jest taka drobnostka, o której nie warto gadać.

Na korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki, klucz zachrzęścił w zamku, drzwi się otwarły, a od progu policjant wołał Szwejka po imieniu i nazwisku.

— Przepraszam pana — rzekł rycerski Szwejk — ja tu jestem dopiero od godziny dwunastej, a ten pan już od szóstej rano, więc mnie nie pilno.

Zamiast odpowiedzi krzepka ręka policjanta wyciągnęła Szwejka na korytarz i bez jednego słowa poprowadziła go po schodach na piętro.

W drugim pokoju przy stole siedział komisarz policji, otyły pan o dobrodusznym wyglądzie. Pan ten ozwał się uprzejmie:

— Aha, to pan jest ten Szwejk? A w jaki sposób pan się tutaj dostał?

— W sposób najzwyczajniejszy — odpowiedział Szwejk. — Przyprowadził mnie tu jeden pan policjant, ponieważ nie chciałem się zgodzić na to, żeby mnie z domu wariatów wyrzucali na czczo. Bo to jest tak, jakby mnie uważali za taką dziwkę z ulicy, co to ją można kopnąć.

— Wie pan co, panie Szwejk — rzekł uprzejmie pan komisarz. — Po co mamy się tu z panem ambarasować? Czy nie lepiej będzie, gdy pošlemy pana do dyrekcji policji?

— Pan jest, że się tak wyrażę, panem sytuacji — mówił Szwejk spokojnie. — Teraz pod wieczór taki spacerek będzie bardzo przyjemny.

— Bardzo mi przyjemnie, żeśmy się tak łatwo zgadali — rzekł wesoło komisarz policji. — Najlepiej zgadzać się z sobą. Prawda, panie Szwejk?

— Ja też bardzo lubię zgodzić się z każdym — odpowiedział Szwejk. — Ja pańskiej dobroci nigdy nie zapomnę. Niech mi pan wierzy, panie komisarzu.

Skłoniwszy się grzecznie, oddalał się z policjantem i już po upływie kwadransa widać było Szwejka pod opieką policji na rogu ulicy Jecznej i placu Karola. Policjant miał pod pachą dużą księgę z niemieckim napisem: „Arrestantenbuch“.

Na rogu ulicy Spalonej Szwejk, idący ze swoim towarzyszem, zetknął się z tłumem ludzi tłoczących się dokoła wielkiego obwieszczenia.

— To manifest najjaśniejszego pana o wypowiedzeniu wojny — rzekł policjant do Szwejka.

— Ja to przewidziałem — rzekł Szwejk — ale u wariatów nic jeszcze o tym nie wiedzą, chociaż powinni by to mieć z pierwszej ręki.

— Jak pan to rozumie? — zapytał policjant Szwejka.

— Ponieważ u wariatów siedzi pod kluczem dużo panów oficerów — tłumaczył Szwejk, a gdy zrównali się z tłumem, stojącym przed manifestem, Szwejk zawołał:

— Cesarz Franciszek Józef niech żyje! Tę wojnę wygramy!

Jakiś entuzjasta z ulicy wbił Szwejkowi kapelusz na uszy, po czym ofiara zapалу wojennego z środka tłumy weszła prosto w bramę dykcji policji.

— Tę wojnę wygramy z całą pewnością, powtarzam to jeszcze raz, panowie! — zawołał Szwejk, rozstając się z tłumem, który mu towarzyszył.

A gdzieś w mrocznych dalach historii ujawniała się prawda, że dzień jutrzejszy zburzy plany teraźniejszości.

VI

Szwejk przerywa zaczarowane koło i dostaje się znowu do domu.

Budowlę dyrekcji policji przewiewał chłód obcego autorytetu, który ustalał, jak dalece ludność entuzjazmuje się wojną. Prócz garści ludzi, którzy się nie wyparli, że są synami narodu mającego przelewać krew za sprawy zgoła mu obce, dyrekcja policji była kolekcją biurokratycznych drapieżników, którzy za jedyne narzędzie obrony państwa uważali więzienie i szubienicę.

Z ofiarami swymi ludzie ci obchodzili się z jadowitą uprzejmością, czyhając bacznie na każde ich słowo.

— Bardzo mi przykro — rzekł jeden z tych czarnożółtych drapieżników, gdy przyprowadzono doń Szwejka — że pan znowu dostał się w nasze ręce. Myśleliśmy, że się pan poprawi, ale spotkał nas zawód.

Szwejk bez słowa potakiwał głową i miał minę tak niewinną, że czarnożółta bestia spojrzała na niego z dużym zaciekawieniem i rzekła z naciskiem:

— Nie rób pan takiej idiotycznej miny:

Ale natychmiast przeszła znowuż w ton wielkiej uprzejmości i mówiła dalej:

— Dla nas jest rzeczą bardzo niemiłą trzymać pana w areszcie i mogę pana zapewnić, że zdaniem moim wina pańska nie jest taka wielka, bo przy malej pańskiej inteligencji nie można wątpić, że został pan oszukany. Niech pan mi powie, panie Szwejk, kto też pana namawia, aby pan wyprawiał takie głupstwa?

Szwejk zakaszlał i ozwał się:

— Ja, proszę pana, o żadnych głupstwach nic nie wiem.

— A czyż to nie jest głupstwo, panie Szwejk — wywodził urzędnik obłudnym tonem ojcowskim — gdy pan, według opowiadania policjanta, który pana tutaj przyprowadził, spowodowałeś zbiegowisko przed manifestem o wojnie, wywieszonym na rogu ulicy, i gdy podburzałeś lud wołaniem: „Niech żyje cesarz Franciszek Józef! Ta wojna jest wygrana!?”

— Nie mogę próżnować — zadeklarował Szwejk, spoglądając swymi zacnymi oczami w oczy inkwizytora. — Oburzyło mnie to, gdy widziałem, że wszyscy czytają ten manifest o wojnie, a nikt nie okazuje radości. Nikt nie wiwatuje, nikt nie woła hura, w ogóle, nic, panie radco. To tak, jakby ich to wcale nie obchodziło. Więc ja, stary wojak z dziewięćdziesiątego pierwszego regimentu, nie mogłem już na to patrzeć, krzyknąłem, co się należało, i myśle, że gdyby pan był na moim miejscu, to byłby pan postąpił tak samo, jak ja. Jak jest wojna, to musi być wygrana i trzeba wołać wiwat na cześć najjaśniejszego pana, tego mnie nikt uczyć nie potrzebuje.

Przeświadczony i skruszony, czarnożółty drapieznik nie zniósł spojrzenia niewinnego baranka Szwejka, opuścił więc oczy na urzędowe akty i rzekł:

— Uznaję całkowicie pański zapał, ale powinien się on przejawiać w innych okolicznościach. Sam pan wie dobrze, że prowadził pana policjant, więc taki wybuch patriotyzmu musiał wyrzucić na publiczności wrażenie raczej ironiczne niż poważne.

— Gdy kogoś prowadzi policjant — odpowiedział Szwejk — to taki moment życia jest ciężki. Ale gdy człowiek nawet w takim momencie nie zapomina o tym, co należy robić po wypowiedzeniu wojny, to ja sędzę, że taki człowiek nie jest zły.

Czarnożółta bestia zawarczała i jeszcze raz spojrzała Szwejkowi w oczy.

Szwejk odpowiedział niewinnym, miękkim, skromnym i tkliwym ciepłem swego spojrzenia.

Przez chwilę ci dwaj patrzyli sobie w oczy wytrwale.

— Pal pana diabli, panie Szwejk — rzekła wreszcie gęba urzędowa — ale jeśli dostanie się tu pan jeszcze raz, to w ogóle nie będę pana o nic pytał, ale odeślę pana bez jednego słowa do wojennego sądu na Hradczany. Zrozumiał pan?

Nim się pan radca opatrzył, Szwejk podszedł ku niemu, pocałował go w rękę i rzekł:

— Bóg zapłać za wszystko. Gdyby pan potrzebował czasem jakiego rasowego pieska, to niech pan się zwróci do mnie. Ja handluję psami.

W taki sposób Szwejk znalazł się znowu na wolności i na drodze do domu.

Zaczął się zastanawiać, czy po drodze nie należałoby wstąpić naprzód do gospody „Pod kielichem“. Skończyło się na tym, że otworzył drzwi, którymi wyszedł był swego czasu w towarzystwie detektywa Bretschneidera.

W szynkowni panowała grobowa cisza. Siedziało tam kilku gości, a wśród nich kościelny z kościoła św. Apolinarego. Wszyscy mieli miny ponure. Za szynkwasem siedziała gospodyni Paliwcowa i tępo spoglądała na kurki od piwa.

— Otom i ja — rzekł Szwejk wesoło. — Proszę o szklanekę piwa. A gdzie to pan Paliwec? Czy też już w domu?

Zamiast odpowiedzi Paliwcowa zaczęła płakać. Całe niezczęście swoje akcentowała w sposób osobliwy na każdym słowie, gdy mówiła:

— Dostał... dziesięć... lat... przed... tygodniem.

— No, to już sobie tydzień odsiedział — rzekł Szwejk.

— On był taki ostrożny — płakała Paliwcowa — sam to ciągle o sobie powtarzał.

Goście w szynkowni uparcie milczeli, jakby po izbie błędził duch Paliwca i napominał ich do jeszcze większej ostrożności.

— Ostrożność to matka mądrości — rzekł Szwejk, zasiadając do stołu nad szklanką piwa. W pianie tego piwa były dziurki od łez pani Paliwcowej, która płakała, podając Szwejkowi piwo. Dzisiejsze czasy są takie, że zmuszają człowieka do ostrożności.

— Wczoraj mieliśmy dwa pogrzeby — zmieniał temat rozmowy kościelny z kościoła św. Apolinarego.

— Widać ktoś umarł — rzekł drugi gość, a trzeci dodał pytanie:

— Czy te pogrzeby były z katafalkiem?

— Chciałbym wiedzieć — rzekł Szwejk — jakie teraz w czasie wojny będą pogrzeby wojenne.

Goście wstawali, placili, co się od nich należało, i bez słowa wychodzili. Tylko Szwejk został sam na sam z Paliwcową.

— Nawet nie byłbym pomyślał, żeby niewinnego człowieka skazywali na dziesięć lat — rzekł Szwejk. — Że jednego niewinnego skazali na pięć lat, o tym już słyszałem, ale na dziesięć, to trochę za dużo.

— Bo mój chłop się przyznał — płakała Paliwcowa — do tego, co tutaj mówił o tych muchach i o tym obrazie, i powtórzył to w dyrekcji policji i w sądzie. Byłam w sądzie na sprawie jako świadek, ale cóż ja tam mogłam świadczyć, kiedy mi powiedzieli, że jestem w stosunku pokrewieństwa i że mogę się rzec świadczenia. Ja się tak wystraszyłam tego stosunku pokrewieństwa, żeby z tego nie było jeszcze czego gorszego, i rzekłam się świadczenia, a mój biedny stary tak na mnie spojrział, że do samej śmierci nie zapomnę tego spojrzenia. A potem po wyroku, kiedy go odprowadzali, krzyknął tam na

korytarzu: — Niech żyje wolna myśl! — Bo z tego wszystkiego całkiem zgłupiał.

— A pan Bretschneider już tu nie bywa? — pytał Szwejk.

— Był tu parę razy — odpowiedziała pani gospodyni — wypił piwo, albo dwa, pytał, kto tu bywa, i przysłuchiwał się, jak goście rozmawiają o futbolu. A jego podrzucało, jakby miał dostać ataku furii i wielkiej choroby. Przez ten cały czas nabrał tylko jednego tapicera z ulicy Przecznej.

— To rzecz wprawdy — rzekł Szwejk. — Czy ten tapicer był głupi człowiek?

— Taki jak mój mąż, mniej więcej — odpowiedziała z płaczem. — Pytał się go czy strzelałby do Serbów. A on odpowiedział, że nie umie strzelać, że był raz pewnego w strzelnicy i postrzelał tam całą koronę. Potem słyszeliśmy wszyscy, jak pan Bretschneider rzekł, zapisując sobie w notatniku: — Patrzcie państwo, znowuż taka ładna zdrada stanu — i zabrał z sobą tego tapicera z Przecznej ulicy, który już nie wrócił.

— Dużo jest takich, co już nie powrócą — mówił Szwejk.

— Proszę o rum.

Właśnie zamawiał sobie Szwejk drugą porcję rumu, gdy do szynkowni wszedł cywilny policjant Bretschneider. Rzucawszy pobieżne spojrzenie na Szwejka, kazał sobie podać piwa i czekał, co powie Szwejk.

A Szwejk, zdjawszy z wieszaka jakąś gazetę i przeglądając ostatnią stronicę ogłoszeń odezwał się:

— Patrzcie państwo, niejaki pan Czimpera w Straszkuwie, numer piąty, poczta Raczyńskie — wieś, sprzedaje gospodarstwo z trzynastoma morgami własnego pola. Szkoła i kolej na miejscu.

Bretschneider nerwowo bębnił palcami i zwracając się do Szwejka, rzekł:

— Dziwię się, że pana takie gospodarstwo zajmuje, panie Szwejk.

— Ach, to pan — rzekł Szwejk wyciągając rękę na przywitanie. — Nie poznałem pana od razu, bo mam bardzo słabą pamięć. Ostatnio widzieliśmy się bodaj że w kancelarii przyjemczej dyrekcji policji, prawda? Co pan porabiał w tym czasie? Czy zachodzi pan tu często?

— Dzisiaj przyszedłem tu, żeby się spotkać z panem — rzekł Bretschneider. — W dyrekcji policji powiedziano mi, że pan sprzedaje psy. Potrzebuję ładnego ratlerka albo szpica, czy coś w tym rodzaju.

— Mogę panu służyć psami każdego gatunku — odpowiedział Szwejk. — Życzy pan sobie zwierzę rasowe czy też zwyczajne?

— Sądzę — odpowiedział Bretschneider — że lepiej od razu wziąć rasowe zwierzę.

— No, a psa policyjnego nie życzyłyby pan sobie? — zapytał Szwejk. — Takiego, mianowicie, który natychmiast wszystko wytropi i naprowadzi na ślad zbrodni? Ma takiego psa jeden rzeźnik we Wrszowicach, a ten pies wozi wózek, bo, jak to się mówi, minął się ze swoim powołaniem.

— Chciałbym jednak szpica — ze spokojnym uporem mówił Bretschneider. — Szpica, który by nie kąsał.

— A więc życzy pan sobie szpica bez zębów? — zapytał Szwejk. — Wiem o takim szpicu. Ma go pewien właściciel gospody w Dejwicach.

— No, to już lepiej ratlerka — ozwał się zakłopotany pan Bretschneider, którego wiadomości o psach były bardzo nikłe i gdyby nie rozkaz dyrekcji policji, to nigdy nie byłby się psami interesował.

Ale rozkaz był jasny i wyraźny: zapoznać się bliżej ze Szwejkem, korzystając z jego handlu psami, a w tym celu miał prawo dobrać sobie pomocników i rozporządzać pewnymi sumami na kupno psów.

— Ratlery są większe i mniejsze — rzekł Szwejk. — Wiem o dwóch małych i o trzech większych. Wszystkich

pięcioro można sobie położyć na kolanach. Mogę ich panu polecić jak najgoręcej.

— Taki ratler bardzo by mi się podobał — zdecydował się Bretschneider. — A ile też kosztuje taki piesek?

— To zależy od wielkości — odpowiedział Szwejk. — Wielkość gra tu ważną rolę. Bo ratlerek to nie ciele. U ratlerków odwrotnie: im mniejszy, tym droższy.

— Ja bym reflektował na większego, który by stróżował — odpowiedział Bretschneider w obawie, aby nie obciążył nadmiernie sekretnego funduszu policji państwowej.

— Dobrze — rzekł Szwejk — większego ratlerka mogę panu sprzedać za pięćdziesiąt koron, a jeszcze większego za czterdzieści pięć, ale zapomnieliśmy o jednej rzeczy: czy to mają być szczenięta czy też stare psy i czy chodzi o psy czy o suki.

— Mnie wszystko jedno — odpowiedział Bretschneider, który zetknął się tu nagle z nieznanymi mu dotychczas zagadnieniami. — Niech pan mi się wystara o pieska, a ja jutro wieczorem o siódmej przyjdę po niego. Będzie?

— Niech pan przyjdzie — sucho odpowiedział Szwejk. — Pies będzie, ale w takim razie jestem zmuszony prosić o zaliczkę trzydziestu koron.

— Rzecz prosta — rzekł Bretschneider wyliczając Szwejkowi pieniądze. — A teraz zafundujemy sobie po ćwiartce wina na mój rachunek.

Kiedy pili już po piątej ćwiartce, Bretschneider wezwał Szwejka, żeby się go nie obawiał, bo dzisiaj nie ma służby i każdy śmiało może z nim rozmawiać o polityce.

Szwejk zadeklarował, że w szynku nigdy o polityce nie rozmawia, bo cała polityka to zabawka dla małych dzieci.

Bretschneider, przeciwnie, ujawniał wielce rewolucyjne poglądy i mówił, że każde słabe państwo skazane jest na zagładę. Przy sposobności zapytał Szwejka, jakie są jego poglądy w tej materii.

Szwejk zameldował mu, że jeszcze nigdy nie miał nic do czynienia z państwem, ale że kiedyś miał pod opieką słabe szczenię bernardyna, które karmił sucharami wojskowymi, i też zdechło.

Przy szóstej ćwiartce Bretschneider wypowiedział się za anarchizmem i pytał Szwejka, do jakiej organizacji przystać najlepiej.

Szwejk odpowiedział, że razu pewnego jakiś anarchista kupił u niego psa leonbergera za sto koron i ostatniej raty mu nie dopłacił.

Przy siódmej ćwiartce Bretschneider mówił o rewolucji i występował ostro przeciwko mobilizacji, na co Szwejk odpowiedział mu szeptem, pochylając się nad jego uchem:

— Akurat przyszedł do lokalu jakiś gość, więc uważaj pan, żeby nic nie słyszał, bo mógłby pan z tego mieć przykrości. Widzi pan przecie, że Paliwcowa już płacze.

Pani Paliwcowa naprawdę płakała, siedząc w krześle przy szynkwasiu.

— Czemu pani płacze, pani gospodyni? — zapytał Bretschneider. — Po trzech miesiącach wygramy wojnę, będzie amnestia, mąż pani wróci do domu i zrobimy sobie fundę.

— Czy może jest pan zdania, że tej wojny nie wygramy? — zwrócił się do Szwejka.

— Kto by tam ciągle walcował takie rzeczy? — rzekł Szwejk. — Wygrać musimy i basta, ale teraz idę do domu, bo już czas na mnie.

Szwejk zapłacił, co był winien, i powrócił do swojej starej posługaczki, pani Müllerowej, która się bardzo wystraszyła, gdy spostrzegła, że człowiekiem, który otwiera kluczem drzwi, jest pan Szwejk.

— Myślałam, proszę pana, że pan powróci dopiero za lat kilka — rzekła ze zwykłą swoją szczerością. — Ja tymczasem z żalu za panem wzięłam sobie na kwaterę portiera z nocnej kawiarni, bo u nas była już trzy razy rewizja, a gdy nic nie

mogli znaleźć, powiedzieli, że pan jest zgubiony, bo widać, jaki pan wyrafinowany, skoro pan tak dobrze wszystko ukrył.

Szwejk zauważył natychmiast, że nieznany obcy człowiek urządził się w jego mieszkaniu jak najwygodniej. Spał na jego łóżku i okazał się nawet tak dalece szlachetnym, że zadowolił się połową łóżka, a na drugiej połowie umieścił jakieś długowłose stworzenie, które spało, objąwszy go przez wdzięczność za szyję. Zaś przed łóżkiem leżały w nieładzie części garderoby męskiej i damskiej. Z tego chaosu można było łatwo wywnioskować, że portier nocnej kawiarni powrócił do domu w dobrym usposobieniu.

— Panie — rzekł Szwejk potrząsając intruzem — niech pan się nie spóźni na obiad. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pan na mnie narzekał, że wyrzuciłem pana dopiero wtedy, jak już nigdzie nie było można dostać czegoś do zjedzenia.

Portier nocnej kawiarni był bardzo zaspany, więc trwało dość długo, zanim pojął, że właściciel łóżka powrócił do domu i ma do tego łóżka pretensje.

Obyczajem wszystkich portierów nocnych kawiarni i ten pan wyraził się, że spierze każdego, kto go będzie budził i próbował spać dalej.

Szwejk pozbierał tymczasem części jego garderoby, przyniósł mu je do łóżka i potrząsając śpiochem energicznie, rzekł:

— Jeśli pan się nie ubierze, to spróbuję wyrzucić pana na ulicę tak, jak pan leży w łóżku. Dla pana będzie wielkim przywilejem, jeśli wyleci pan stąd ubrany.

— Chciałem spać do godziny ósmej wieczorem — odezwał się portier wdziewając spodnie. — Płacę tu za łóżko dwie korony dziennie tej pani i mam prawo przyprowadzać tu sobie panienki z kawiarni. Wstawaj, Mańka.

Gdy zapinał kołnierzyk i zawiązywał krawat, opamiętał się już tak dalece, że zaczął zapewniać Szwejka, iż nocna kawiarnia „Mimoza“ jest jednym z najprzyzwoitszych nocnych

lokali, do którego mają dostęp jedynie te damy, które mają książeczki policyjne w zupełnym porządku. Zaprosił też Szwejka, aby zechciał odwiedzić jego kawiarnię.

Natomiast towarzyszka jego nie była zadowolona z takiego obrotu rzeczy i zaczęła wymyślać Szwejkowi, używając bardzo przyzwoitych wyrazów, z których najprzyzwoitszy był:

— Ty smyku arcykapłański!

Po odejściu intruzów zabrał się Szwejk do zrobienia porządku ze swoją gospodynią, ale nie znalazł po niej żadnego śladu, prócz kawałka papieru, na którym były ołówkiem nagryzmolone słowa pani Müllerowej, wypowiadającej się zazwyczaj z wielką łatwością. Tym razem chodziło o żalostną przygodę z odnajściem pana Szwejkowego łóżka portierowi nocnej kawiarni.

— Niech mi pan wielmożny wybaczy, że mnie pan już nigdy nie zobaczy, albowiem wyskoczę oknem.

— Łgarstwo — rzekł Szwejk i czekał.

Po upływie pół godziny pani Müllerowa wsunęła się na palcach do kuchni, nieszczęśliwa i skruszona, a na jej zgnębionej twarzy widać było, iż oczekuje od Szwejka słowa pociechy.

— Jak pani chcesz skakać oknem — rzekł Szwejk — to idź pani do pokoju, okno otworzyłem. Skakanie z okna kuchennego odradzam pani, ponieważ spadniesz pani do ogródka, krzaki się pogniotą i trzeba będzie za nie płacić. Z okna w pokoju spadniesz pani na trotuar, a jeśli dobrze pójdzie, to i skręcisz pani kark. Ale jeśli masz pani pecha, to połamiesz pani tylko wszystkie żebra, ręce i nogi, będzie tylko wydatek na doktora i na szpital.

Pani Müllerowa wybuchnęła płaczem, oddaliła się po cichu do pokoju, zamknęła okno, a gdy wróciła, rzekła:

— Jest taki przeciąg, a to niedobrze przy pańskim reumatyzmie.

Potem poszła zastać łóżko, z niezwykłą troskliwością do-

prowadziła wszystko do porządku i wróciwszy do Szwejka, który siedział w kuchni, mówiła roniąc łzy.

— Te dwa szczenięta, proszę pana, cośmy mieli na podwórku, zdechły. A ten bernardyn uciekł, jak tu robili rewizję.

— A, na miły Bóg! — Biedny pies może się ładnie wsypać, bo teraz z pewnością szukać go będzie policja.

— Ugryzł jednego pana komisarza policji, gdy go przy rewizji ten pan wyciągał spod łóżka — mówiła dalej pani Müllerowa. — Naprzód jeden z tych panów rzekł, że ktoś siedzi pod łóżkiem, więc wezwali tego bernardyna w imieniu prawa, żeby wylazł spod łóżka, a ponieważ nie usłuchał, więc go wyciągnęli. A on ich chciał pożreć, a potem rzucił się do drzwi i więcej nie wrócił. I mnie też przesłuchiwali, kto do nas chodzi i czy nie dostajemy jakich pieniędzy z obcych krajów, a potem robili uwagi, że jestem głupia, gdy im powiedziałam, że z obcych krajów przychodzą teraz pieniądze bardzo rzadko, że ostatnio przyszły pieniądze od pana dyrektora z Brna, niby ta zaliczka sześćdziesiąt koron na kota angorskiego, którego pan ogłaszał w „Narodni Polityce“, a zamiast którego posłał mu pan w skrzynce od daktyli ślepe szcenię foxterriera. Potem rozmawiali ze mną bardzo grzecznie i polecili mi tego portiera z nocnej kawiarni, żebym się sama w mieszkaniu nie bała. O, tego portiera, którego pan raczył wyrzucić...

— Ja już mam z urzędami takiego pecha, pani Müllerowo. Teraz zobaczy pani, ilu tych panów będzie przychodziło kupować psy — westchnął Szwejk.

Nie wiem, czy ci panowie, którzy po powrocie przeglądali archiwum policji, zdolali odszyfrować pozycje sekretne funduszu policji państwowej, wśród których znajdowały się takie: B... 40 K, F... 50 K, L... 80 K itd., ale mylili się stanowczo, jeśli przypuszczali, że B., F., L., to początkowe litery nazwisk takich panów, którzy za 40, 50 i 80 koron sprzedawali naród czeski czarnożółtemu orłu.

„B“ znaczyło bernardyn, „F“ — foxterrier, a „L“ leonberger. Wszystkie te psy sprowadzał Bretschneider od Szwejka do dyrekcji policji. Były to pokraczne kundle nie mające nic wspólnego z jakimikolwiek rasowymi psami, za jakie je Szwejk sprzedawał.

Bernardyn był mieszańcem jakiegoś partackiego pudla i bardzo byle jakiego burka, których jest pełno na ulicach, foxterrier miał uszy jamnika, był duży jak pies rzeźnicki, a nogi miał takie pałąkowate, jakby właśnie przebył angielską chorobę. Leonberger łbem przypominał kudłaty łeb stajennego pinczera, ogon miał ucięty, był niski jak jamnik, z zadek miał taki goły, jak słynne amerykańskie pieski — naguski.

Potem poszedł do Szwejka detektyw Kalous i kupił jakiegoś wystraszonego potworka przypominającego hienę cętkowaną, z grzywą szkockiego owczarka, a w pozycjach sekretnego funduszu znalazła się notatka: D... 90 K.

Ten potworek musiał reprezentować doga...

Ale nawet Kalousowi nie udało się usłyszeć czegoś od Szwejka. Zyskał on akurat tyle, co i Bretschneider. Najzręczniejsze dyskursy polityczne umiał Szwejk przeprowadzić na temat leczenia nosacizny u szczeniąt, a najchytrzej i najpodstępniej zastawiane sidła miały tylko ten jeden skutek, że Bretschneider nabywał od Szwejka coraz pokraczniejsze kundle, pokrzyżowane wprost fantastycznie.

I na tym skończyła się kariera sławnego detektywa Bretschneidera. Kiedy w mieszkaniu swoim miał już siedem takich kundli pokracznych, zamknął się razem z nimi w pokoju i tak długo nie dawał im nic jeść, dopóki go nie pożarły.

Miał tyle honoru, że skarbowi zaoszczędził kosztów swego pogrzebu.

W jego służbowych papierach w dyrekcji policji w rubryce „Awanse służbowe“ znalazła się taka uwaga, pełna tragizmu: „Pożarty przez własne psy“.

Gdy Szwejk dowiedział się o tym tragicznym wydarzeniu,
rzekł tylko:

— Jak takiego Bretschneidera złożą do kupy na sądzie
ostatecznym?

VII

Szwejk rusza na wojnę.

W czasach, gdy lasy nad Rabą w Galicji widziały uciekające przez Rabę wojska austriackie, a dalej na południu austriackie dywizje jedna po drugiej dostawały w skórę, co im się zresztą dawno i rzetelnie należało, przypomniało sobie austriackie ministerstwo wojny o Szwejku i wezwało go, aby pośpieszył wyciągać mocarstwo z bryndzy.

Gdy Szwejkowi przynieśli wezwanie, że za tydzień ma się stawić na Strzelecką Wyspę do superrewizji wojskowej, leżał akurat w łóżku, dotknięty atakiem reumatyzmu.

Pani Müllerowa była w kuchni i gotowała mu kawę.

— Pani Müllerowo — ozwał się w pokoju cichy głos Szwejka — pani Müllerowo, proszę do mnie na chwilkę.

Gdy posługaczka stanęła przy łóżku, rzekł Szwejk znowuż takim cichym głosem:

— Niech pani siada, pani Müllerowo.

W głosie jego drgało coś tajemniczego i uroczystego.

Gdy pani Müllerowa usiadła, Szwejk wyprostował się na łóżku i rzekł:

— Idę na wojnę.

— Przenajświętsza Panienko! — zawołała pani Müllerowa. — Co pan tam będzie robił?

— Walczyć będę — grobowym głosem odpowiedział Szwejk. — Z Austrią kłapa. U góry włożą nam już do Krakowa, a na dole pchają się do Węgier. Młóca nas jakby żyto jakie, gdzie spojrzeć, lanie, i dlatego wołają mnie na wojnę. Przecież czytałem pani wczoraj gazetę, jako drogą ojczyznę naszą spowiły niejake chmury.

— Ale przecież pan się ruszać nie może.

— To nic nie szkodzi, pani Müllerowo, pojedę na wojnę w wózku. Zna pani tego cukiernika na rogu, toż on ma taki wózek. Woził w nim przed laty swego chromego i złośliwego dziadunia na świeże powietrze. Na tym wózku, pani Müllerowo, zawiezie mnie pani na wojnę.

Pani Müllerowa wybuchnęła płaczem.

— Proszę pana, czy nie każe pan przyprowadzić doktora?

— Nie trzeba. Prócz tych moich nóg, to ja jestem całkiem zdrowy kanonenfutter, a w takich czasach, gdy z Austrią jest tak kiepsko, każdy kaleka musi być na swoim miejscu. Proszę spokojnie gotować kawę.

Podczas zaś, gdy pani Müllerowa, zapłakana i wzruszona, zlewała kawę, dobry wojak Szwejk śpiewał sobie w łóżku:

Jenerał Windischgrätz i wojenne pany
Od samego wschodu słońca wojowały.
Hop, hop, hop!
Wojnę rozpoczęli i tak zawołali:
Pomóż nam Chrystus Pan z Przenajświętszą Banną.
Hop, hop, hop!

Wystraszona pani Müllerowa pod wrażeniem straszliwego śpiewu wojennego zapomniała o kawie i drżąc na całym ciele przysłuchiwała się, jak dobry wojak Szwejk, siedząc w łóżku, dalej wyśpiewywał:

Z Panienką Maryją i te cztery mosty,
Hej postaw, Piemencie, mocniejsze forposty!
Hop, hop, hop!

Była bitwa, była, tam pod Solferino,
Aż tam krew żołnierska potokami płynie,
Hop, hop, hop!
Krwi aż po kolana, trupów co niemiara,
Bo tam krzepko wojowała nasza wiara,
Hop, hop, hop!
Hej, ty dzielna wiaro, nie lękaj się nędzy,
Bo za tobą wiozą pełen wóz pieniędzy,
Hop, hop, hop!

— Ola Boga, proszę pana — ozwał się w kuchni głos żalosny, ale Szwejk kończył akurat swoją pieśń wojenną i nie dał sobie przerywać.

Pełen wóz pieniędzy, w powozie dziewczęta —
Nie masz świetniejszego nad nasz regimentu,
Hop, hop, hop!

Pani Müllerowa dopadła drzwi i pobiegła po lekarza. Powróciła za godzinę, kiedy Szwejk właśnie podzrywał.

Zbudził go ze snu grubawy pan, który przez chwilę trzymał dłoń na jego czole i mówił:

— Niech pan się nie boi, ja jestem doktor Pawek z Winohrad. Daj pan rękę. Ten termometr proszę włożyć pod pachę... Dobrze. Pokaż pan język — jeszcze — schowaj pan język. Na co umarł pański ojciec? Na co matka?

W chwili więc, gdy Wiedeń życzył sobie, aby wszystkie narody Austro-Węgier składały najświetniejsze przykłady wierności i uległości, doktor Pawek zapisywał Szwejkowi brom, aby zmniejszyć jego zapał patriotyczny, i zalecał statecznemu i dzielnemu wojakowi Szwejkowi, aby nie myślał o wojnie.

— Niech pan leży spokojnie i nie denerwuje się, a ja jutro znowu przyjdę.

Gdy przyszedł nazajutrz, pytał w kuchni panią Müllerową, jak się ma chory.

— Coraz gorzej, panie doktorze — odpowiedziała z prawdziwym smutkiem. — W nocy śpiewał, z przeproszeniem, hymn austriacki.

Doktór Pawek uważał, że na ten nowy wybuch lojalności pacjenta trzeba zareagować zwiększeniem dawki bromu.

Na trzeci dzień meldowała mu pani Müllerowa, że Szwejk ma się jeszcze gorzej.

— Po obiedzie, panie doktorze, posłał po mapę widowni wojny, a w nocy majaczyło mu się, że Austria wygra tę wojnę.

— A czy bierze proszki według przepisu?

— Jeszcze nawet nie posłał po nie.

Doktór Pawek wybuchnął gniewem, nie szczędząc pacjentowi ostrych wyrzutów, i zanim odszedł, zapewnił Szwejka, że nigdy do niego nie przyjdzie i nie będzie leczył człowieka, który nie przyjmuje jego lekarskiej pomocy i bromu.

Pozostawały już tylko dwa dni do terminu, w którym Szwejk miał stanąć przed komisją poborową.

Tymczasem Szwejk poczynił należyte przygotowania. Naprzód wysłał panią Müllerową, aby mu kupiła czapkę wojskową, a następnie polecił jej, aby od cukiernika na rogu wypożyczyła wózek, na którym cukiernik woził swego chromego i złego dziadunia na świeże powietrze. Potem przypomniał sobie, że potrzebne mu są kule. Na szczęście cukiernik miał jeszcze i kule jako rodzinną pamiątkę po swoim dziaduniu.

Brakło już tylko rekruckiego bukiecika. Postarała się oń pani Müllerowa, która w ciągu tych kilku dni nadzwyczajnie schudła i gdzie się ruszyła, tam płakała.

I oto pewnego pamiętnego dnia na ulicach praskich ukazał się żywy dowód wzruszającej lojalności.

Stara niewiasta popychała wózek, na którym siedział człowiek w czapce wojskowej z wyglansowanym „bączkiem“. Człowiek ten wymachiwał kulami, a na jego surducie jaśniał rekrucki bukiecik.

A mąż ów, nie przestając wymachiwać kulami, wołał po praskich ulicach:

— Na Białogród! Na Białogród!

Za nim kroczył tłum ludzi, który z małej gromadki rozstał się coraz bardziej i szedł za Szwejkiem wiernie do samego domu, z którego ten wyruszył na wojnę.

Szwejk zdołał zauważyć, że niektórzy policjanci, stojący na rogach ulic, salutowali go.

Na placu Wacławskim tłum otaczający wózek Szwejka wzrósł do kilkuset głów, a na rogu ulicy Krakowskiej tłum ten obił jakiegoś bursza, który idąc w czapeczce knajpianej wołał do Szwejka:

— Heil! Nieder mit den Serben!

Na rogu ulicy Vodički na tłum wpadła policja konna i rozpędziła go.

Gdy Szwejk przedstawił rewirowemu inspektorowi czarno na białym, że dzisiaj musi stanąć przed komisją poborową, inspektor był trochę rozczarowany, a chcąc zapobiec awanturze, wysłał dwóch konnych policjantów, aby towarzyszyli Szwejkowi aż na Strzelecką Wyspę.

O całym tym wydarzeniu ukazał się w „Praskiej Gazecie Urzędowej“ taki artykuł:

PATRIOTYZM KALEKI.

Wczoraj przed południem przechodnie na ulicach praskich byli świadkami sceny, która wymownie świadczy o tym, że w tej wielkiej i poważnej dobie także i synowie narodu naszego składają najświetniejsze przykłady wierności i uległości dla tronu i dla sędziwego monarchy. Wydaje nam się, jakby powróciły czasy starożytnych Greków i Rzymian, kiedy to Mucius Scaevola podążył do boju, zapomniawszy o swej spalonej ręce. Najświętsze uczucia i interesy były wczoraj zademonstrowane przez kalekę o kulach, którego stara matuchna wiozła na wózku dla chorych. Ten syn narodu czeskiego z dobrej woli, nie bacząc na swoje cierpienie, zgłosił się do wojska, aby życie swoje i mienie oddać za cesarza. A jeśli wołanie jego: „Na Białogród!“ znalazło takie żywe echo na ulicach praskich, jest to tylko dowodem, że prażanie są żywymi wzorami miłości ojczyzny i domu monarchiego.

Mniej więcej tak samo pisał „Prager Tageblatt“, kończąc artykuł swój słowami, iż kalece-ochotnikowi towarzyszył zastęp Niemców, którzy własnymi rękoma osłaniali go przed zlinczowaniem przez czeskich agentów sławetnej koalicji.

„Bohemia“ zamieściła tę wiadomość, żądając, aby kaleka-patriota został nagrodzony, i dodała, że dla niego przyjmować będzie od niemieckich obywateli ofiary, które składać należy w administracji pisma.

Podług tych trzech pism ziemia czeska nie mogła być wydać obywatela szlachetniejszego niż był Szwejk, ale w komisji poborowej byli zgola odmiennego zdania.

Osobliwie nie zgadzał się z głosami pism główny lekarz wojskowy, Bautze. Był to mąż nieubłagany, który we wszystkim dopatrywał się próby oszukańczego uchylenia się od wojny, frontu, kuli i szrapnela.

Znane jest jego zdanie:

— Das ganze tschechische Volk ist eine Simulantenbande!

W ciągu dziesięciu tygodni swej działalności wśród jedenastu tysięcy cywilów zdemaskował dziesięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt i dziewięć symulantów i byłby zdemaskował także i jedenastotysięcznego, gdyby tego biedaka nie był ruszył paraliż akurat w chwili, gdy Bautze ryknął na niego: — **Kehrt euch!**

— Zabrać tego symulanta! — rozkazał, stwierdziwszy, że nie żyje.

Przed nim tedy stawał owego pamiętnego dnia Szwejk, tak jak inni całkiem nagi, skromnie osłaniając nagość swoją kulami, na których się opierał.

— Das ist wirklich ein besonderes Feigenblatt — rzekł Bautze. — Takich listków figowych w raju nie było.

— Superarbitrowany z powodu idiotyzmu — zauważył wachmistrz, zaglądając do papierów urzędowych.

— I co panu jeszcze brakuje? — zapytał Bautze.

— Posłusznie melduję, że mam reumatyzm, ale najjaśniejszemu panu będę służył do ostatniej kropli krwi — rzekł Szwejk. — Mam obrzękłe kolana.

Bautze spojrział na dobrego wojaka Szwejka straszliwym spojrzeniem i ryknął:

— Sie sind ein Simulant! — a zwracając się do wachmistrza, z lodowatym spokojem dodał:

— Den Kerl sogleich einsperren!

Dwaj żołnierze z bagnetami odprowadzili Szwejka do więzienia garnizonowego.

Szwejk szedł wspierając się na kulach i z przerażeniem spostrzegął, że jego reumatyzm znikać zaczyna.

Pani Müllerowa, która czekała na Szwejka na moście przy wózku, zapłakała, ujrawszy Szwejka idącego pod bagnetami żołnierzy i oddaliła się od wózka, aby już nigdy do niego nie powrócić.

Zaś dobry wojak Szwejk kroczył skromnie w asyście uzbrojonych obrońców państwa.

Bagnety błyszczały w promieniach słońca, a na Małej Strojnie obrócił się Szwejk przed pomnikiem Radetzkiego i zwracając się do tłumu, który mu towarzyszył, zawołał:

— Na Białogród! Na Białogród!

A marszałek Radetzky w zadumie spoglądał ze swego cokołu za oddalającym się dobrym wojakiem Szwejkim, ozdobionym na surducie rekruckim bukiecikiem, kulejącym i wspartym na starych kulach, podczas gdy jakiś poważny pan pouczał ludzi przechodzących obok, że prowadzą „desentera“.

VIII

Szwejk symulantem.

W owych wielkich czasach lekarze wojskowi czynili wszystko, co tylko mogli, aby z symulantów wypędzić szatana sabotażu i powrócić ich na łono armii.

Zaprowadzono kilka stopni tortur symulantów i ludzi podejrzanych o symulowanie, do jakich należeli: suchotnicy, reumatycy, ludzie dotknięci przepukliną, chorobą nerek, tyfusem, cukrzycą, zapaleniem płuc i innymi chorobami.

Tortury, którym symulanci byli poddawani, tworzyły pewien system, a stopnie mąk przedstawiały się tak:

1. Dieta bezwzględna, rano i wieczorem po filiżance herbaty w ciągu trzech dni, przy czym wszystkim, bez względu, na co się kto skarżył, dawano aspirynę na poty.
2. Żeby ludzie nie myśleli, że wojna to miód, dawano im obfite porcje chininy, co się nazywało „lizaniem chininy“.
3. Płukanie żołądka dwa razy dziennie litrem ciepłej wody.
4. Irygator z wodą mydlaną i gliceryną.
5. Zawijanie w prześcieradło umaczane w zimnej wodzie.

Byli tacy dzielni ludzie, którzy przecierpieli wszystkie pięć stopni mąk i zostali wywiezieni w prostej trumnie na cmentarz wojskowy. Ale nie brakło też takich małodusznych, którzy gdy doszli do irygatora, meldowali, iż już czują się dobrze

i że nie życzą sobie niczego innego, tylko odejść z najbliższym marszbatalionem do okopów.

W garnizonowym więzieniu umieścili Szwejka w baraku szpitalnym, właśnie między takimi małodusznymi symulantami.

Ja już nie wytrzymam — rzekł jego sąsiad, gdy go wprowadzili z gabinetu lekarskiego, gdzie już po raz drugi wypłukano mu żołądek.

Człowiek ten symulował krótkowzroczność.

— Jutro pojedę do pułku — zdecydował się drugi sąsiad ze strony lewej, który akurat dostał był irygator a symulował, że jest głuchy jak pień.

Na łóżku przy drzwiach umierał jakiś suchotnik, zawinięty w prześcieradło umaczone w zimnej wodzie.

— Już trzeci w tym tygodniu — rzekł sąsiad z prawej strony. — A tobie co dolega?

— Ja mam reumatyzm — odpowiedział Szwejk, co spowodowało wybuch wesołego śmiechu dookoła. Śmiał się nawet umierający suchotnik.

— Z reumatyzmem nie pchaj się między nas — poważnie napominał Szwejka grubawy mężczyzna. — Reumatyzm znaczy u nas akurat tyle, co odciski. Ja mam anemię, brak mi połowy żołądka i pięciu żeber, a nikt mi nie wierzy. Był tu nawet jeden głuchoniemy, przez dwa tygodnie zawijali go co pół godziny w mokre prześcieradło maczane w zimnej wodzie, co dzień dawali mu irygator i płukali mu żołądek. Wszyscy sanitariusze byli przekonani, że już sprawę wygrał i że pójdzie do domu, a tu pan doktor przepisał mu coś na wymioty. Mało go te wymioty nie porozrywały i wtedy biedak stał się małoduszny. — Nie mogę — powiada — nadal udawać głuchoniemego. Odzyskałem mowę i słuch. — Wszyscy mu przymawiali, żeby się nie zgubił, ale on swoje, że słyszy i mówi, jak wszyscy ludzie. No i podczas wizyty zameldował się jako zdrowy.

— Trzymał się dość długo — zauważył człowiek, udający, że ma jedną nogę krótszą o cały decymetr. — Nie tak długo trzymał się ten, co to udawał, że go trafił szlag. Dość mu było trzech proszków chininy, jednego irygatora i jednodniowego postu. Przyznał się i zanim doszło do płukania żołądka, po paraliżu nie zostało śladu. Najdłużej trzymał się ten, co był pokąsany przez wściekłego psa. Gryzł, wył i trzeba przyznać, że swoją rzecz robił znakomicie, ale w żaden sposób nie mógł się zdobyć na pianę koło ust. Pomagaliśmy mu, jak tylko mogliśmy. Łaskotaliśmy go czasem przez całą godzinę przed wizytą, aż dostawał kurczów i siniał, ale piany przy ustach zmajstrować nie umieliśmy i nie zmajstrowaliśmy. Było to okropne. Gdy pewnego dnia o porannej wizycie poddawał się, było nam go żal. Stał przy łóżku, wyprostowany jak świeca, zsalutował i rzekł: — Posłusznie melduję, panie oberarzt, że ten pies, co mnie pokąsał, pewno nie był wściekły. — Doktor spojrział na niego tak jakoś dziwnie, że pokąsany może się trząść na całym ciele i mówił dalej: — Posłusznie melduję, że mnie żaden pies w ogóle nie pokąsał, tylko ja sam ugryzłem się w rękę. — Po tym przyznaniu oddali go pod śledztwo za to, że chciał sobie odgryźć rękę, żeby nie musiał iść na wojnę.

— Wszystkie te choroby, w których potrzebna jest piana na ustach — mówił grubawy symulant — symuluje się bardzo ciężko. Jak na ten przykład epilepsja. Był tu jeden taki z padaczką i mawiał, że jeden atak mniej czy więcej, to mu wszystko jedno, więc miewał tych ataków do dziesięciu na dzień. Wił się w kurczach, zacinał pięści, wywalał oczy, że wyłąziły mu całkiem na wierzch, tłukł sobą o ziemię, wywalał język, jednym słowem powiem wam, była to wielka choroba pierwszej klasy, taka wspaniała i rzetelna. Nagle zrobiły mu się wrzody, dwa na karku, dwa na plecach i było po epilepsji, po zwijaniu się w kurczach, kiedy nie mógł głową poruszać, ani leżeć, ani siedzieć. Dostał gorączki i w tej gorączce przy wizycie wszystko na siebie wygadał. I mieliśmy krzyż pański

z tymi jego wrzodami, ponieważ musiał u nas jeszcze przez trzy dni leżeć, zanim mu poobierały, i dostał się na dietę. Rano dostawał kawę z bułką, wieczorem kaszę albo zupę, a my musieliśmy patrzeć na niego z wyplukanymi żołądkami przy całkowitej diecie, jak ten drab żarł, mlaskał, chleptał, sapał i bekał z przeżarcia. Trzem spośród nas odebrał resztę odwagi, więc też się przyznali. Leżeli tu z wadami serca.

— Zdaje się — mówił jeden z symulantów — że najlepiej symulować wariację. Tutaj w sąsiedniej izbie są dwaj nauczyciele, z których jeden dniem i nocą powtarza: — Stos Giordana Bruna jeszcze kopci, zrewidujcie proiec Galileusza — a ten drugi szczeka, naprzód trzy razy powoli: hau-hau-hau, a potem pięć razy szybko raz za razem: hauhauhauhauhau, i znowu powoli, i tak bez końca. Wytrzymali tę hecę już przez trzy tygodnie. Ja zrazu też chciałem udawać wariata, a mianowicie szał religijny i wygłaszać kazania o nieomyślności papieskiej, ale wreszcie zdobyłem raka żołądka od jednego fryzjera na Małej Stronie. Dałem mu piętnaście koron.

— Ja znam jednego kominiarza w Brzewnowie — wtrącił inny pacjent — który za dziesięć koron zrobi wam taką gorączkę, że wyskoczycie oknem.

— To nie takiego — rzekł inny. — We Wrszowicach jest jedna akuszerka, która za dwadzieścia koron umie wykręcić nogę tak ładnie, że się jest kaleką do samej śmierci.

— Mnie wykręcili nogę za pięć koron — dał się słyszeć głos z łóżka, stojącego przy oknie. — Pięć koron i trzy piwa.

— Moja choroba kosztuje mnie już przeszło dwieście koron — rzekł jego sąsiad, człowiek suchy jak tyczka. — Wymieńcie truciznę, jaką tylko chcecie, ja używałem już wszystkich po trosze. Jestem żywym składem trucizn. Piłem sublimat, wdychałem parę rtęciową, gryzłem arsenik, paliłem i piłem opium, morfiną posypywałem sobie chleb, połykałem strychninę, piłem roztwór fosforu w siarkowodorze i kwas pikrynowy.

Zmarnowałem sobie wątrobę, płuca, nerki, żółć, mózg, serce, kiszki. Nikt nie wie, na co jestem chory.

— Najlepiej — mówił jakiś głos od drzwi — zastrzyknąć sobie nafty pod skórę na rękę. Mój bratanek miał takie szczęście, że mu amputowali rękę po łokieć i teraz ma spokój z całą wojną.

— Widzicie więc — rzekł Szwejk — ile ludzie muszą wycierpieć dla najjaśniejszego pana. I płukania żołądka i irygatory. Kiedym przed laty służył w pułku, bywało jeszcze gorzej. Takiego pacjenta wiązali w kij i wrzucali do lochu, żeby się wykurował. Gdzie tam było szukać łóżek z materacami, jak tutaj, albo spluwaczek. Gołe prycze i na takich gołych pryczach leżeli chorzy. Raz miał jeden chory prawdziwy tyfus, a drugi czarną ospę. Obaj byli związani w kij, a pułkowy doktor kopał ich w brzuchy i mówił, że są symulanty. Potem, gdy obaj ci żołnierze pomarli, dostała się ta rzecz do parlamentu i było o tym w gazetach. Zakazali nam czytać pisma i robili rewizję kuferków, czy kto ma takie gazety. A ponieważ ja zawsze muszę mieć pecha, więc w całym pułku u nikogo takiej gazety nie znaleźli, tylko u mnie. Zaprowadzili mnie do raportu pułkowego, a nasz oberst, taka małpa, Panie świeć nad jego duszą, zaczął na mnie ryczeć, żebym stał prosto i żebym powiedział, kto o tym do gazety napisał, bo jak nie, to mi gębę rozedrze od ucha do ucha i wsadzi mnie do paki, aż szczernieję. Potem przyszedł doktor pułkowy, wymachiwał mi pięścią przed nosem i krzyczał: *Sie verfluchter Hund, sie schäbiges Wesen, sie unglückliches Mistvieh* ty smyku socjalistyczny! — Spoglądam wszystkim rzetelnie w oczy, nawet nie mrugnę i milczę, a jedną rękę trzymam przy czapce, drugą na szwie u portek. Latali koło mnie jak te psy, szczekali na mnie, a ja ciągle nic. Milczę, salutuję, a lewą rękę trzymam na szwie portek. Gdy się tak wściekali przez jakie pół godziny, rozpedził się oberst prosto do mnie i ryknął: — Jesteś idiota, czy nie jesteś

idiota? — Posłusznie melduję, panie oberst, że jestem idiota. — Dwadzieścia i jeden dzień surowego więzienia za idiotyzm, dwa posty tygodniowo, miesiąc koszarówki, czterdzieści osiem godzin słupka, natychmiast go zamknąć, nie dać mu zreć, związać go, pokazać mu, że skarb idiotów nie potrzebuje. My ci tutaj, łajdaku, gazetki wytłuczemy z głowy — zdecydował się wreszcie po długim lataniu pan oberst. Podczas gdy siedziałem, działy się w koszarach istne cuda. Nasz oberst zakazał wszystkim żołnierzom czytywać gazety, choćby nawet „Praską Gazetą Urzędową“, a w kantynie nie wolno było zawiązać w gazety nawet parówek ani gomólek. Od owego czasu żołnierze zaczęli czytywać gazety i nasz pułk należał do najbardziej wykształconych. Czytywaliśmy wszystkie gazety, a w każdej kompanii układano wierszyki i piosenki na pana obersta. A jak się w pułku coś takiego przytrafiło, to zawsze wśród szeregowców znalazł się taki dobrodziej, który przesłał do gazet opis pod tytułem: „Maltretowanie żołnierzy“. Ale nie dość na tym. Pisali do posłów w Wiedniu, żeby się za nimi wstawiali, a ci zaczęli wnosić interpelacje jedną za drugą, że nasz pan oberst jest zwierzę itp. Jakiś minister wyprawił do nas komisję, żeby wszystko zbadała, a niejaki Franta Henczel z Hlubokiej dostał potem dwa lata, ponieważ to on zwrócił się do Wiednia do posłów z powodu policzka, który dostał na placu ćwiczeń od pana obersta. A gdy komisja odjechała, pan oberst kazał nam wszystkim stanąć w szeregach i przed całym pułkiem wywodził, że żołnierz, to żołnierz, musi stulić pysk i służyć, a jeśli mu się coś nie podoba, to wyłamuje się spod subordynacji. — Takeście sobie, łajdaki, myślały, że wam ta komisja coś pomoże — mówił pan oberst; — d r e k wam pomogła. A teraz każda kompania będzie przede mną defilowała i będzie głośno powtarzała, co właśnie powiedziałem. — Więc maszerowaliśmy, jedna kompania za drugą, r e c h t s s c h a u t, gdzie stał pan oberst, ręce trzymaliśmy na rzemieniu flint i ryczeliśmy na niego: — „Takeśmy sobie,

łajdaki, myślały, że nam ta komisja coś pomoże; d r e k nam pomogła“. — Pan oberst się śmiał, aż się za brzuch trzymał, ale wreszcie przysłała kolej na jedenastą kompanię. Idzie, wali nożyskami w ziemię, a gdy podchodzi do pana obersta, nic, milczy, ani słówka. Pan oberst się zaczerwienił jak kogut i cofnął kompanię, żeby powtórzyła. Defiluje i milczy, tylko szereg za szeregiem impertynencko patrzy panu oberstowi w oczy. — R u h t! — powiada pan oberst, chodzi po dziedzińcu, bije się biczyskiem po cholewach, pluje, potem nagle staje i ryczy: — A b t r e t e n! Siada na swoją szkapinę i wyjeżdża za bramę. Czekaliśmy z wielkim zaciekawieniem, co się stanie z jedenastą kompanią, a tymczasem nic i ciągle nic. Pan oberst się już w koszarach wcale nie pokazał, z czego szeregowcy, podoficerowie i oficerowie ogromnie się cieszyli. Potem dali nam nowego obersta, a o tym dawnym mówili, że jest w jakimś sanatorium, ponieważ napisał własnoręcznie list do cesarza, że jedenasta kompania się zbuntowała.

Nadeszła pora popołudniowej wizyty. Wojskowy lekarz Grūnstein chodził od łóżka do łóżka, a za nim podoficer-sanitariusz z księgą ordynacyjną.

— Macuna?

— Jestem!

— Irygator i aspiryna! — Pokorny?!

— Jestem!

— Płukanie żołądka i chinina! — Kowarzik?!

— Jestem!

— Irygator i aspiryna! — Kotiatko?!

— Jestem!

— Płukanie żołądka i chinina!

I w takim porządku szło jedno za drugim, mechanicznie, ostro, bez litości.

— Szwejk?!

— Jestem!

Doktor Grünstein popatrzył na nowego gościa.

— Co wam jest?

— Posłusznie melduję, że mam reumatyzm!

Doktor Grünstein podczas wykonywania swego zawodu przyswoił sobie dużo wyrażen łagodnie ironicznych, które działały nieraz daleko skuteczniej niż krzyk.

— Aha, reumatyzm — odpowiedział Szwejkowi. — Oczywiście, bardzo ciężka choroba. I jaki wyjątkowy przypadek, żeby dostać reumatyzmu akurat wtedy, gdy jest wojna światowa i gdy trzeba iść na wojnę. Przypuszczam, że wam bardzo przykro z tej racji.

— Posłusznie melduję, że mi jest, panie oberarzt, strasznie przykro z tej racji.

— Patrzcież państwo, jest mu przykro. Bardzo to pięknie z waszej strony, żeście sobie reumatyzm zostawili właśnie na teraz i żeście o nas pomyśleli. W czasie pokoju biega taki biedaczek jak koźlę, ale gdy wybuchnie wojna, zaraz dostaje reumatyzmu i kolana przestają mu służyć. Kolana was nie bolą?

— Posłusznie melduję, że bolą.

— I całymi nocami nie możecie sypiać, prawda? Reumatyzm to bardzo niebezpieczna choroba, ale myśmy tu poczynili duże doświadczenia z reumatykami i wiemy, jak się do nich zabrać. Bezwzględna dieta i inne nasze sposoby leczenia okazały się środkami bardzo skutecznymi. Wyzdrowiejecie tu prędzej niż w Piszczanach, a na front pomaszrujecie tak zwawo, aż się za wami będzie kurzyło.

Zwracając się do podoficera-sanitariusza, rzekł:

— Proszę pisać: Szwejk, dieta zupełna, dwa razy dziennie płukanie żołądka, raz na dzień irygator, a co dalej, to się pokaze. Tymczasem odprowadzić go do gabinetu, przepłukać mu żołądek, a jak trochę oprzytomnieje, dać mu irygator, ale porządny, żeby wołał wszystkich świętych. Zaraz się ten jego reumatyzm przestraszy i ucieknie.

Zwracając się potem do reszty swoich pacjentów, wygłosił mowę, pełną pięknych i mądrych sentencji:

— Nie myślcie sobie, że macie do czynienia z jakimś cymbałem, który pozwoli wodzić się za nos. Mnie wasze postępowanie bynajmniej nie wytrąca z równowagi. Ja wiem, że wszyscy jesteście symulanci, że chcecie się wymigać od woj-ska. Przeżyłem wiele setek takich żołnierzy jak wy. Na tych łózkach leżały całe masy ludzi, którym nie brakło niczego, prócz ducha wojskowego. Podczas gdy ich towarzysze walczyli na froncie, myśleli sobie, że będą się wylegiwali w łóżku, że będą dostawali szpitalne jedzenie i poczekają sobie, aż się wojna skończy. Po psiakrewsku się przeliczyli, a i wy też się tak po psiakrewsku przeliczycie. Jeszcze po dwudziestu latach będziecie krzyczeli przez sen, gdy wam się przyśni, jakeście to u mnie symulowali.

— Posłusznie melduję, panie o b e r a r z t — ozwał się cichy głos z łóżka przy oknie — że już jestem zdrow. W nocy zauważyłem, że już nie mam duszności.

— Nazwisko?

— Kowarzik, melduję posłusznie, mam dostać irygator.

— Doskonale, irygator dostaniecie jeszcze na drogę — zdecydował doktor Grünstein — żebyście się nie skarżyli, żeśmy was tu nie leczyli. Tak, a teraz wszyscy chorzy, których wymieniłem, marsz za podoficerem, żeby każdy dostał, co mu się należy.

I każdy dostał porcję rzetelną, według przepisu. Niektórzy starali się oddziaływać na wykonawcę rozkazów prośbami czy nawet wygrażaniem, że też pójda między sanitariuszy i że każdy może potem wpaść w ich ręce, ale Szwejk trzymał się oddzielnie.

— Nie oszczędzaj mnie — mówił do swego kata dającego mu irygator — pamiętaj o swej przysiędze. Gdyby tu leżał nawet twój ojciec albo własny brat, dawaj im irygator bez mru-

gnięcia. Pomyśl, że na takich irygatorach spoczywa Austria, a zwycięstwo będzie nasze!

Nazajutrz przy wizycie zapytał doktor Grünstein Szwejka, jak mu się podoba w szpitalu wojskowym.

Szwejk odpowiedział, że to przedsięwzięcie jest akuratne i wzniosłe. W nagrodę dostał to samo, co i wczoraj, a nadto aspirynę i trzy proszki chininy, które wsypali mu do wody, żeby je natychmiast wypił.

Nawet Sokrates nie pił swej czaszy cykuty z takim spokojem, jak pił chininę Szwejk, na którym doktor Grünstein wypróbował wszystkie stopnie mąk.

Gdy Szwejka zawijali w mokre prześcieradło w obecności lekarza, na jego pytanie, jak mu się to podoba, Szwejk odpowiedział:

— Posłuszenie melduję, panie oberarzt, że to mniej więcej tak jak na plaży albo w kąpieli morskiej.

— A reumatyzm macie jeszcze?

— Posłuszenie melduję, panie oberarzt, że zdrowie nie chce się poprawić.

Szwejka wzięto na nowe męki.

W tym czasie wdowa po generale piechoty, baronowa von Botzenheim, miała bardzo wiele kłopotów z wyszukiwaniem tego żołnierza, o którym pisała niedawno „Bohemia“, iż na wózku dla chorych kazał się zawieźć do wojska i że on, kaleka, wołał: „Na Białogród! Na Białogród!“ Na skutek takiego patriotyzmu „Bohemia“ wezwała swoich czytelników, aby składali ofiary na rzecz lojalnego kaleki-bohatera.

Wreszcie zwróciła się do dyrekcji policji i tam ustalono, że tym dzielnym żołnierzem był Szwejk, a dalej sprawa już poszła gładko. Baronowa von Botzenheim zabrała z sobą swoją towarzyszkę i kamerdynera z koszem pełnym dobrych rzeczy i pojechała z tym na Hradczany.

Biedna pani baronowa nawet pojęcia nie miała, co to znaczy leżeć w wojskowym szpitalu więzienia garnizonowego.

Jej bilet wojskowy otworzył przed nią bramę więzienia, w kancelarii okazywali jej ogromnie dużo grzeczności i po upływie pięciu minut wiedziała już, że „der brave soldat Szwejk“, o którego pytała, leży w trzecim baraku, łóżko numer siedemnasty. Do baraku udał się z nią sam doktor Grünstein, który z tego wszystkiego zbaraniał.

Szwejk siedział akurat na łóżku po zwykłych codziennych zabiegach przepisanych przez doktora Grünsteina, otoczony gromadką wychudzonych i zagłodzonych symulantów, którzy nie poddali się jeszcze i uparcie walczyli z doktorem Grünsteinem na gruncie diety całkowitej.

Kto by się był przysłuchiwał ich rozmowie, byłby miał wrażenie, że znalazł się w towarzystwie na kursach dla specjalistów od przyrządzania smakołyków.

— Nawet proste skwarki od słoniny są dobre do jedzenia — opowiadał właśnie jeden z pacjentów, który był tu leczony na zastarzały katar żołądka. — Ale muszą być ciepłe. Po wytopieniu słoniny trzeba je wycisnąć na sucho, osolic, opieprzyć, a ja wam mówię, że są lepsze od gęsich skwarków.

— Aby już gęsim skwarkom nie przymawiaj — rzekł mąż, dotknięty rakiem żołądka. — Nie ma nic lepszego od gęsich skwarków. Gdzie tu się pchać z wieprzowymi skwarkami przeciwko gęsim! Naturalnie, że muszą być usmażone na kolor złotawy, jak to robią Żydzi. Biorą tłustą gęś i ściągają na skwarki sadło razem ze skórą.

— Mylisz się, bratku, jeśli chodzi o skwarki wieprzowe — zauważył sąsiad Szwejka. — Oczywiście, że mówię tylko o skwarkach ze słoniny domowej, o tych, co się je zwykle nazywa skwarkami domowymi. Nie powinny być czerwone, ale i żółte też nie, trzeba znaleźć właściwy odcień między tymi dwoma kolorami. Taki skwarek nie może być ani zbyt twardy, ani zbyt miękki, musi rozplynać się na języku, a nie można przy tym mieć wrażenia, że po brodzie cieknie tłuszcz.

— Kto z was jadł skwarki z końskiego łaju? — ozwał się

czyjś głos, na który nikt nie dał odpowiedzi, ponieważ do baraku wbiegł podoficer-sanitariusz:

— Wszyscy do łóżek, bo idzie tu jakaś arcyksiężna! Niech nikt nie wyścibia brudnych nóg spod deki!

Nawet arcyksiężna nie mogła wejść na salę z taką powagą, z jaką weszła baronowa von Botzenheim. Za nią waliła cała świta, w której nie brakło nawet wachmistrza rachuby z kancelarii szpitala. Przywidziało mu się, że w tym wszystkim jest jakaś tajemnicza ręka rewizji, która oderwie go od obfitego żłobu na tyłach i rzuci go przed zasieki z drutu kolczastego na pastwę szrapneli.

Był blady, ale jeszcze bledszy był doktor Grünstein. Przed jego oczami migotał mały bilecik starej baronowej z tytułem: „wdowa po generale“, a z tytułem tym kojarzyło się niesłychanie wiele, jak na przykład: znajomości, protekcje, skargi, translokacje na front i inne okropności.

— Tutaj mamy Szwejkę — rzekł zachowując sztuczny spokój i prowadząc panią baronową ku łóżku, na którym spoczywał Szwejk. — Jest bardzo cierpliwy.

Baronowa von Botzenheim usiadła na podanym jej krześle przy łóżku Szwejki i rzekła:

— Ceński solniesz, topra solniesz, kalika być topry solniesz. Barso lubić ceński Austriak.

Przy tych słowach głaskała Szwejkę po jego niegolonej twarzy i mówiła dalej:

— Ja citać wsistko w gazeta, ja psinosić jeść, papu, palić. Ceński solniesz topra solniesz. J o h a n n, k o m m e n s i e h e r!

Kamerdyner, przypominający swoimi bokobrodami zbójcę Balińskiego, przyciągnął ku łóżku olbrzymi kosz, podczas gdy towarzysząca starej baronowej, wysoka dama o zapłakanej twarzy, przysiadła na łóżku i podparła Szwejkę słomianą poduszką, bo jej się wydawało, że tak właśnie trzeba dogadzać chorym bohaterom.

Tymczasem baronowa wyjmowała z kosza prezenty. Tuzin pieczonych kurcząt pozawijanych w różową bibułkę i poprzewiązywanych czarno-żółtą wstążką jedwabną, dwie butelki jakiegoś wonnego likieru z etykietą „Gott strafe England!“ Na drugiej stronie butelki był obrazek Franciszka Józefa i Wilhelma, trzymających się za ręce, jakby się zmagali, kto mocniejszy i wytrzymalszy.

Potem wydobyla z kosza trzy butelki wina dla rekonwalescentów i dwa pudełka papierosów. Wszystko elegancko układała na pustym łóżku obok Szwejka, dodając do tego jeszcze pięknie oprawną książkę: „Zdarzenia z życia naszego monarchy“, którą napisał był wielce zasłużony redaktor naczelny „Urzędowej Gazety Praskiej“, będący sobowtórem starego Franciszka. Potem znalazły się na łóżku paczuszki czekolady z takim samym napisem: „Gott strafe England“. I na nich były obrazki obu cesarzy: austriackiego i niemieckiego. Na czekoladzie już się nie trzymali za ręce, ale z jakimś despektem odwracali się od siebie. Ładna była dwurzędowa szczoteczka do zębów z napisem „Viribus unitis“, aby każdy, kto będzie czyścił zęby, wspomniał o Austrii. Eleganckim i dla żołnierza idącego na front do okopów bardzo stosownym prezentem był neseser z kompletem przyborów do czyszczenia poznoki. Na pudełku był obrazek przedstawiający szrapnel w chwili wybuchu i jakiegoś człowieka, który w szyszaku na głowie pędzi gdzieś z bagnetem w rękę. Pod tym był napis: „Für Gott, Kaiser und Vaterland!“ Bez obrazka była paczka suszonych owoców, ale za to był na tej paczce wierszyk:

Oesterreich, du edles Haus,
steck deine Fahne aus,
lass sie im Winde wehn.
Oesterreich muss ewig stehn!

Był oczywiście i przekład tego pięknego wierszyka, na drugiej stronie:

Austrio, ty domie szlachetny,
Wyścib chorągiew swoją,
Kaź jej na wietrze wiać.
Austria musi wiecznie stać!

Ostatnim prezentem był biały hiacynt w doniczce.

Kiedy już to wszystko znalazło się po rozpakowaniu na łóżku, pani baronowa von Botzenheim nie mogła opanować lez wzruszenia. Kilku wygłodzonym symulantom pociekła ślina z ust. Towarzyszka pani baronowej podpieriała siedzącego Szwejka i także ronila łzy. Było cicho jak w kościele, gdy wtem Szwejk złożył ręce i przerwał uroczystą ciszę:

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje... pardon, wielmożna pani, to nie tak, chciałem tylko powiedzieć: Panie Boże, Ojcie niebieski, błogosław te dary, które z obfitości Twojej spożywać będziemy. Amen.

Po tych słowach sięgnął po jedno z kurcząt i wgryzł się w nie, podczas gdy doktor Grünstein spoglądał nań okiem przerażonym.

— Ach, jak mu smakuje, żołnierzykowi — entuzjazmowała się stara baronowa, zwracając się do doktora Grünsteina. — On jest niezawodnie już zdrow i może wyruszyć w pole. Bardzo się cieszę, że przyniosłam mu te rzeczy w porę.

Potem chodziła od łóżka do łóżka i rozdawała papierosy i czekoladki. Wreszcie zawróciła ku łóżku Szwejka, pogłaskała go po głowie, szepnęła: *Behüt euch Gott* — i z całą świtą wyszła z sali:

Zanim doktor Grünstein powrócił z dołu po odprowadzeniu baronowej, Szwejk porozdawał kurczęta, które zostały pożarte przez pacjentów z taką szybkością, że zamiast kurcząt znalazł doktor Grünstein tylko kupkę kości ogryzionych tak czyściutko, jakby kurczęta za życia wpadły były do gniazda sępów, a ich ogryzione kości leżały parę miesięcy na spieczym słońcu.

Znikł też likier wojenny i trzy butelki wina. Poprzepadały w żołądkach paczuszki czekolady i paczka suszonych owoców. Ktoś wypił w pośpiechu nawet buteleczkę lakieru do poznokci, która znajdowała się w neseserze i nadgryzł pastę do zębów, przyłączoną do szczoteczki.

Doktór Grünstein, powróciwszy na salę, przybrał od razu postawę bojową i wygłosił długą mowę. Kamień spadł mu z serca, że pani baronowa już sobie poszła. Kupa ogryzionych kości utwierdziła go w mniemaniu, że wszyscy są niepoprawni.

— Żołnierze! — zaczął swoje przemówienie. — Gdybyście mieli trochę rozsądku, to bylibyście wszystko pozostawili i bylibyście sobie powiedzieli, że jeśli to pożremy, to pan oberarzt nie będzie nam wierzył, iż jesteśmy ciężko chorzy. Sami wystawiliście sobie świadectwo, iż nic sobie nie robicie z mojej dobroci. Płuczę wam żołądki, daję wam irygatory, staram się utrzymać was na bezwzględnej diecie, a wy przeładowujecie sobie brzuchy. Czy chcecie dostać kataru żołądka? Mylicie się! Zanim wasze żołądki spróbują strawić to wszystko, wyczyszczę wam je tak dokumentnie, że do końca życia o tym nie zapomnicie i jeszcze dzieciom swoim opowiecie, jakieście się razu pewnego poobżerali kurczętami i innymi smakołykami i jak to wszystko nie utrzymało się w was nawet przez kwadrans, bo wam wypompowano żołądki na poczekaniu. Dalej więc, jeden za drugim za mną, abyście nie zapomnieli, że nie jestem żaden wół, jak wy, ale jednak nieco sprytniejszy niż wy wszyscy razem. Prócz tego zapowiadam wam, że jutro sprowadzę na was komisję, bo wylegujecie się tu już zbyt długo, a żadnemu z was nic nie jest, jeśli potraficie w ciągu paru minut zapaskudzić sobie żołądki tak ładnie, jakieście to właśnie zrobili. Dalej, naprzód i marsz!

Gdy przyszła kolej na Szwejka, doktor Grünstein spojrzął na niego i jakaś reminiscencja w związku z dzisiejszą tajemniczą wizytą zmusiła go do zapytania:

— Czy wy znacie panią baronową?

— To moja niewłasna matka — odpowiedział spokojnie Szwejk. — W niemowlęcym wieku porzuciła mnie, a teraz odnalazła...

Doktor Grünstein rzekł zwięźle:

— Potem dajcie Szwejkowi jeszcze irygator.

Wieczorem było w baraku smutno. Przed paru godzinami wszyscy mieli w żołądkach różne dobre i smakowite rzeczy, a teraz mają w nich tylko słabą herbatę i kromkę chleba.

Numer dwudziesty pierwszy ozwał się od okna:

— Wierzycie, koledzy, że wolę raczej kurczę smażone niż pieczone?

Ktoś mruknął: — Dajcie mu dekę — ale wszyscy byli tak osłabieni po niefortunnej wyzerce, że nikt się nie chciał ruszyć.

Doktor Grünstein dotrzymał słowa. Przed południem przyszło kilku lekarzy wojskowych z osławionej komisji.

Kroczyli poważnie wśród szeregów łóżek i nic nie było słychać, prócz tego:

— Pokażcie język!

Szwejk wysunął język tak daleko, że twarz jego wykrzywiła się w głupi grymas, a oczy się zamknęły.

— Posłusznie melduję, panie stabsarzt, że już więcej języka nie mam.

Zaczęła się interesująca rozprawa między Szwejkim a komisją. Szwejk twierdził, że uwagę o języku zrobił tylko dlatego, aby na niego nie padło podejrzenie, iż ukrywa część języka. Natomiast członkowie komisji różnili się zasadniczo w swoich zdaniach o Szwejku.

Połowa lekarzy była zdania, że Szwejk jest „ein blöder Kerl“, podczas gdy druga połowa uważała, iż jest to łotr, który sobie z wojska pokpiwa.

— Do stu tysięcy piorunów! — ryknął na Szwejka prezes komisji. — Sam diabeł musiałby ci pomagać, żebyśmy ci rady dać nie mieli.

Szwejk spoglądał na całą komisję z boskim spokojem niewinnego dziecięcia.

Wyższy lekarz sztabowy podszedł jak najbliżej do Szwejka:

— Chciałbym ja wiedzieć, wy, morska świnio, co wy teraz myślicie?

— Posłusznie melduję, że ja w ogóle nie myślę.

— *Himmeldonnerwetter!* — wrzeszczał jeden z członków komisji pobrzękując szablą. — Patrzcie go, on nic nie myśli! A czemuż to nic nie myślicie, wy, słoni syjamski?

— Posłusznie melduję, że ja dlatego nic nie myślę, ponieważ żołnierzom na służbie jest to zakazane. Kiedy przed laty służyłem w dziewięćdziesiątym pierwszym pułku, to nasz pan kapitan zawsze mawiał: — Żołnierzowi nie wolno myśleć. Za niego myśli jego przełożony. Jak tylko żołnierz zacznie myśleć, to już nie jest żołnierzem, ale marnym, wszawym cywilem. Myślenie nie prowadzi...

— Stulcie pysk! — przerwał Szwejkowi wściekły prezes komisji. — Już o was słyszeliśmy. *Der Kerl meint, man wird glauben, er sei ein wirklicher Idiot.* Nie jesteście idiota, Szwejku, ale przebiegły jesteście, sprytny, gałgan, ulicznik jesteście, wszawy lajdak, rozumiecie?

— Posłusznie melduję, że rozumiem.

— Już wam mówiłem, żebyście stulili pysk. Słyszeliście?

— Posłusznie melduję, że słyszałem, że mam stulić pysk.

— *Himmelhergott*, no to stulcie ten pysk. Czy nie wiecie, że jak wam każę być cicho, to nie macie mleć jęzorem?

— Posłusznie melduję, że wiem, że nie mam mleć jęzorem.

Wojskowi panowie spojrzeli po sobie i wezwali wachmistrza.

— Tego człowieka — rzekł wyższy lekarz sztabowy i prezes komisji, wskazując na Szwejka — zaprowadzicie do kancelarii i poczekacie na naszą relację i raport. Chłopisko zdro-

we jak ryba, symuluje i jeszcze miele ozorem, a z przełożonych sobie pokpiwa. Zdaje mu się, że przełożeni są dla jego zabawy, że cała wojna jest uciechą i zabawką. W garnizonie to wam, mój Szwejku, wyperswadują, że wojna to nie żadna srajda.

Szwejk oddał się z wachmistrzem do kancelarii i w drodze przez dziedziniec pośpiewywał sobie:

Zawszem sobie myślał,
Że wojna to szpas;
Że pobędę na niej tydzień, dwa tygodnie.
I powrócę znowuż między was...

Podczas gdy w kancelarii dyżurny oficer ryczał na Szwejka, że takich drabów, jak Szwejk, powinno się rozstrzeliwać, komisja w barakach szpitalnych dziesiątkowała symulantów. Spośród siedemdziesięciu pacjentów ocalało tylko dwóch: jeden miał nogę przetrąconą granatem, a drugi miał prawdziwą gruźlicę kości.

Tylko ci dwaj nie usłyszeli słówka „t a u g l i c h“, wszyscy inni, nie wyłączając umierających suchotników, uznani zostali za zdatnych do pełnienia służby wojskowej w polu. Przy sposobności wyższy lekarz sztabowy nie oparł się potrzebie wygłoszenia przemowy.

Mowa jego była naszpikowana różnymi wyzwiskami, a w treści była zwięzła. Wszyscy, jeden w drugiego, to bydłeta i gnój i jedynie w tym wypadku, gdy będą dzielnie walczyli za najjaśniejszego pana, będą mogli powrócić do społeczności ludzkiej, a po wojnie będzie im odpuszczone, że się chcieli wykpić z wojska i symulowali. Ale on osobiście w to nie wierzy i jest przekonany, że wszystkich czeka stryczek.

Jakiś młodziutki lekarz wojskowy, dusza czysta dotąd i niezepsuta, poprosił wyższego lekarza sztabowego, aby mu pozwolono też przemówić. Mowa jego różniła się od słów przełożonego optymizmem i naiwnością. Mówił po niemiecku.

Dużo mówił o tym, że każdy z tych, którzy opuszczają

szpital, aby odejść do swoich pulków w polu, musi być bohaterem i rycerzem. On sam jest przekonany, że będą dzielni we władaniu bronią na polu walki i szlachetni we wszystkich sprawach wojskowych i prywatnych. Że będą niepokonanymi bojownikami, pamiętnymi sławy Radetzkiego i księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Że użyzną krwią swoją rozległe pola chwały monarchii i zwycięsko dokonają zadania, jakie wyznaczyła im historia. W śmiałej odwadze, gardząc życiem swoim, runą naprzód pod rozstrzelanymi sztandarami, ku nowej sławie i nowym zwycięstwom.

Potem na korytarzu wyższy lekarz sztabowy rzekł do tego naiwnego młodziana:

— Panie kolego, mogę pana zapewnić, że to wszystko na nic. Z tych łajdaków nie wychowaliby żołnierzy ani Radetzki, ani księżę Eugeniusz Sabaudzki. Mówić do nich po anielsku czy po diabelsku, to wszystko jedno. Jest to hołota.

IX

Szwejk w garnizonie.

Ostatnim schronieniem ludzi, którym nie chciało się wojsować, był garnizon. Znałem pewnego suplenta, który, jako matematyk, nie chciał strzelać z armat i dlatego ukradł jakiemuś nadporucznikowi zegarek, żeby się tylko dostać do garnizonu. Zrobił to po gruntownym namyśle. Wojna mu nie imponowała i nie zachwycała go. Strzelanie do nieprzyjaciela i zabijanie takich samych nieszczęśliwych suplentów i matematyków po stronie przeciwnej, jakim był sam, uważał za idiotyzm.

— Nie chcę być nienawidzony za swoje gwałty — powiedział sobie i ukradł zegarek.

Naprzód badali jego stan umysłowy, a gdy oświadczył, że chciał się z bogacić, wyprawili go do garnizonu. Sporo było takich, którzy siedzieli w garnizonie za kradzieże i oszustwa, idealistów i nieidealistów. Byli tam ludzie, uważający wojnę za źródło dochodów, różni podoficerowie z rachuby, zarówno z tyłów jak i z frontu, którzy dopuszczali się najróżniejszych manipulacyj z prowiantami i z żołdem, i byli różni drobni złodzieje, stokroć uczciwsi od tych łotrów, którzy ich tu przysłali. Następnie siedzieli w garnizonie żołnierze za różne inne wykroczenia czysto wojskowe, jak niesubordynacja, próby

buntu, dezercja. Wreszcie typem osobliwym byli polityczni, wśród których osiemdziesiąt procent było zupełnie niewinnych, ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent spośród nich skazywano.

Aparat audytorów był wspaniały. Właśnie taki aparat sądowy, jaki był tutaj, ma każde państwo przed powszechnym politycznym, gospodarczym i moralnym upadkiem.

Takie państwo ochrania resztki swego spłowiałego nimbu przy pomocy sądów, policji, żandarmerii i sprzedajnej zgrai donosicieli.

W każdym oddziale wojskowym miała Austria szpiclów, którzy denuncjowali swoich towarzyszy, sypiających z nimi na tych samych pryczach i dzielących się z nimi kawałkiem chleba podczas marszów.

Także i policja państwowa dostarczała do garnizonu sporo materiału, osobliwie tacy panowie, jak Klima, Slaviček et Comp. Cenzura wojskowa dostarczała tu autorów korespondencji, jaką prowadzili ludzie z frontu z tymi, których pozostawili w domu, zrozpaczonych, bezradnych. Tutaj sprawadzali żandarmi nawet starych dożywotników, którzy pisywali listy na front, a sąd wojskowy miotał im na głowy po dwanaście lat więzienia za ich słowa pociechy i za opisy biedy domowej.

Z hradeckiego garnizonu przez Brzewnow prowadziła też droga na motolski plac ćwiczeń. Na czele w towarzystwie żołnierzy kroczył człowiek z łańcuchami na rękach, a za nim toczył się wóz z trumną. Na motolskim placu ćwiczeń rozbrzmiewał krótki rozkaz: „A n! Feuer!“ Po czym po wszystkich pułkach i batalionach odczytywali rozkaz pułkowy, że znowu rozstrzelano jednego za bunt, gdy stawał do wojska, a pan kapitan ciął szablą jego żonę za to, że nie mogła się oderwać od swego męża.

A w garnizonie była taka trójka: sztabowy profos Slavik, kapitan Linhart i sierżant Rzepa, przezywany katem. Ci trzej spełniali swoje obowiązki bardzo sumiennie. Wieluż to ludzi

zatłukli oni w celkach osobnych! Być może, że kapitan Linhart i za republiki jest dalej kapitanem. Życzylbym sobie, żeby mu były zaliczone lata służby w garnizonie. Sławičkowi i Klimie z policji państwowej lata te zaliczone zostały. Rzepa jest teraz cywilem i wykonywa dalej swoje powołanie majstra mularskiego. Być może, że jest członkiem patriotycznych stowarzyszeń w republice.

Sztabowy profos Slavik stał się za republiki złodziejem i jest dzisiaj pod kluczem. Nie zaczął się biedak w republice, jak inni wojskowi.

•
•
•

Jest rzeczą zgoła naturalną, że sztabowy profos Slavik, przyjmując Szwejka, rzucił nań spojrzenie pełne niemego wyrzutu.

— I ty, bratku, masz tak dalece zaszarganą opinię, iż dostałeś się aż tutaj, między nas? My ci tu, kochanie, pobyt osłodzimy, jako i wszystkim, którzy wpadli w nasze ręce, a te ręce nasze niczym nie przypominają delikatnych rączek damskich.

Aby zaś dodać powagi spojrzeniu, przytknął swoją muskularną i ciężką pięść do nosa Szwejka i rzekł:

— Powąchaj, łajdaku!

Szwejk powąchał i rzekł:

— Nie chciałbym dostać nią w nos, bo to pachnie cmentarzem.

Spokojne, poważne słowo podobało się sztabowemu profesowi.

— He — rzekł trącając Szwejka pięścią w brzuch. — Stój prosto. Co masz w kieszeniach? Jeśli masz papieros, to go sobie możesz zostawić, ale pieniądze dawaj, żeby ci ich nie ukradli. Więcej nie masz? Nie kłam; kłamstwo karzemy.

— Gdzie go wsadzimy? — zapytał sierżanta Rzepę.

— Wsadzimy go do szesnastki — zdecydował sztabowy profos — między tych, co chodzą w gaciach. Nie widzi pan, że do papierów pan kapitan Linhart dopisał: „Streng behüten! Beobachten!“ — No tak, tak — zwrócił się uroczyście do Szwejka — z łajdakami postępuje się po łajdacku. Jak się kto opiera, to go prowadzimy do pojedynki i łamiemy mu tam wszystkie żebra, a potem zostawiamy go tam samego, dopóki nie zdechnie. Mamy swoje prawo. Poradziliśmy tu sobie z jednym rzeźnikiem, pamiętacie, Rzepo?

— No, co prawda, to prawda, napociliśmy się nad nim, panie profosie — marzycielsko odpowiedział sierżant Rzepa. — Co to było za ciało! Przez pięć minut musiałem po nim deptać, zanim zaczęły mu trzeszczeć żebra i puściła mu się krew ustami. I jeszcze dziesięć dni żył potem. Mocne miał życie.

— Widzisz więc, łajdaku, jak to się u nas robi, jeśli ktoś stawia opór — kończył swój pedagogiczny wykład sztabowy profos Slavik. — To samo, gdy ktoś chce uciec. To tak, jakby ktoś popełnił samobójstwo, które u nas karze się tak samo. Albo niech cię ręka boska broni, ty gówniarzu, gdyby ci przyszło do głowy skarżyć się na coś, gdy przychodzi inspekcja. Gdy inspekcja przyjdzie i zapyta: — Czy macie jakie skargi? — to masz, śmierdzielu, stać na baczność, salutować i odpowiadać: — Posłusznie melduję, że nie mam, że jestem zupełnie zadowolony. — Jak powiesz, niedojdo! Powtórz!

— Posłusznie melduję, że nie mam, że jestem zupełnie zadowolony — powtórzył Szwejk z takim miłym wyrazem, że sztabowy profos został oszukany, bo mu się wydało, że to jest rzetelne staranie i uczciwość.

— Rozbierz się do gatek i pójdziesz do szesnastki — rzekł grzecznie, nie dodając żadnego z tych pięknych słów, jak: śmierdziel, niedojda, chociaż to było jego zwyczajem.

W szesnastce spotkał się Szwejk z dwudziestu ludźmi w gatkach. Byli to tacy, którzy w papierach swoich mieli uwagę:

„Streng behüten! Beobachten!“ — Pilnowano ich też bardzo troskliwie, aby nie puciekali.

Gdyby te kalesony były czyste, a okna nie miały krat, to na pierwsze spojrzenie można by było mniemać, że się jest w szatni łaźni parowej.

Szwejka przyjął tzw. cimrkomendant — służbowy szesnastki, chłop zarośnięty i w rozchełstanej koszuli. Zapisał sobie jego nazwisko na skrawku papieru wiszącego na ścianie i powiedział:

— A jutro to będzie u nas teatr. Zaprowadzą nas do kaplicy na kazanie. My, wszyscy w gaciach, stoimy zawsze pod amboną. To ci będzie frajda. — Kaplica domowa cieszyła się wielkim powodzeniem w garnizonie, jak zresztą cieszy się zawsze we wszystkich więzieniach i domach poprawczych. Bo wcale nie chodziło o to, aby przymusowe odwiedzanie kaplicy więziennej miało przybliżyć odwiedzających do Boga albo podnieść ich moralnie. O takich głupstwach nie mogło być mowy.

Nabożeństwa i kazania były wspaniałym urozmaiceniem nudy garnizonowej. Nie chodziło o to, żeby się znaleźć bliżej Boga, ale o to, że po drodze do kaplicy jest możliwość znalezienia odrzuconego niedopałka papierosa lub cygara. Bóg został całkowicie przesłonięty przez mały niedopałek beznadziejnie walający się w spluwacze lub w kurzu na ziemi. Ten maleńki woniejący przedmiot odsunął całkowicie zainteresowanie się Bogiem i zbawieniem duszy. A przy tym jeszcze te kazania, ta frajda i ta zabawa!

Kapelan wojskowy, Otto Katz, był jednakże przemiłym człowiekiem. Kazania jego były niezmiernie zajmujące, wesołe i odświeżające nudę garnizonową. Umiał cudownie głądzić o niezmiernej łasce bożej, podtrzymując na duchu opuszczonych więźniów i pohańbionych mężów. Umiał wspaniale wymyślać z kazalnicy, bajecznie także ryczał sprzed ołtarza swoje: „ite missa est“. Całe nabożeństwo odprawiał w sposób wysoce oryginalny, odwracając cały porządek mszy świętej;

a gdy był mocno pijany wymyślał sobie modlitwy, nową mszę świętą i swój własny rytuał, w ogóle coś, czego tutaj jeszcze nie było.

I jeszcze ta uciecha, kiedy czasami pośliznął się i upadł z kielichem, z monstrancją czy mszałem: potem oskarżał głośno ministranta — brał ich spośród więźniów — że mu umyślnie podstawił nogę, i natychmiast, w obliczu przenajświętszego sakramentu karał go separatką i kajdankami.

A domniemany winowajca cieszy się, że bierze udział w tej całej frajdzie w kaplicy więziennej. Gra wielką rolę i z godnością się z niej wywiązuje.

Kapelan polowy, Otto Katz, najdoskonalszy ksiądz wojskowy, był Żydem. Nie ma w tym zresztą nic osobliwego. Arcybiskup Kohn był też Żydem, i jeszcze do tego kolegą Machara.

Kapelan polowy Otto Katz miał jeszcze barwniejszą przeszłość niż sławny arcybiskup Kohn.

Odbywał studia w Akademii handlowej i służył w wojsku jako jednoroczny ochotnik. Na wekslach i prawie wekslowym znał się tak świetnie, że w ciągu tej jednorocznej służby wojskowej doprowadził firmę Katz i Sp. do bankructwa; stary pan Katz wyjechał do Ameryki Północnej, wykombinowawszy jakie takie wyrównanie z wierzycielami bez wiedzy swego wspólnika, który wyjechał do Argentyny.

Gdy więc Ameryka Północna i Południowa podzieliły między siebie to, co byłoby tworzyło spadek Ottona Katza, znalazł się on w sytuacji człowieka, który, nie mając żadnych widoków spadkowych, nie wie, gdzieby głowę skłonił, a przeto musi aktywować się w wojsku.

Ale przedtem obmyślił sobie Otto Katz ogromnie uroczystą rzecz. Kazał się ochrzcić. Nawrócił się do Chrystusa, żeby mu pomógł zrobić karierę. Nawrócił się do niego z zaufaniem bezwzględny, uważając to za sprawę handlową między nim a mocami niebieskimi.

Chrzczili go uroczyście w klasztorze Emauskim. Sam pater Albin zwilżał go w chrzcielnicy. Widowisko było wspaniałe. Asystował przy nim pewien pobożny major z pułku, w którym Otto Katz służył, jakaś stara panna z Instytutu Szlachcianek na Hradczanach i pewien grubousty przedstawiciel konsystorza, który był chrzestnym ojcem.

Egzamin oficerski wypadł pomyślnie i nowy chrześcijanin, Otto Katz, pozostał w wojsku. Zrazu zdawało mu się, że wszystko pójdzie dobrze i chciał się nawet zabrać do studiowania kursów sztabowych.

Ale pewnego dnia upił się i poszedł do klasztoru: porzucił szablę i przywdział habit. Zwrócił się do arcybiskupa na Hradczanach i dostał się do seminarium. Przed swym wyświęceniem upił się, jak bela w jednym bardzo przyzwoitym domu z obsługą damską przy zacisznej uliczce i prosto z wiru uciech i zabawy poszedł na wyświęcenie. Po wyświęceniu udał się do swego pułku z prośbą o protekcję, a gdy go mianowano kapelanem wojskowym, kupił sobie konia, odbywał przejażdżki po Pradze i uczestniczył we wszystkich birbantkach oficerów swego pułku.

W sieni domu, gdzie mieszkał, bardzo często odzywały się przekleństwa niezaspokojonych wierzących. Przyprawiał sobie do mieszkania dziewczyny z ulicy albo posyłał po nie swego ordynansa. Bardzo lubił grywać w werbla, a chociaż istniały pewne uzasadnione przypuszczenia, że nie trzyma się zbyt pedantycznie reguł gry, to jednak nikt nie zdołał mu udowodnić, że w obszernym rękawie swego płaszcza trzymał w pogotowiu przydatnego asa. W kołach oficerskich nazywali go świętym ojcem.

Do kazania nigdy się nie przygotowywał, czym różnił się od swego poprzednika, który też odwiedzał garnizon. Tamten był dotknięty myślą natrętną, że ludzi więzionych w garnizonie można poprawić napominaniem z kazalnicy. Czcigodny ten kapelan pobożnie wywracał oczy i wykladał więźniom,

że konieczna jest reforma prostytucji, reforma opieki nad niezamężnymi matkami, a także mówił o wychowaniu dzieci nieprawego łoża. Kazania jego były bardzo oderwane, a jako pobawione związku z sytuacją aktualną, nudziły słuchaczy.

Natomiast kapelan wojskowy, Otto Katz, wygłaszał kazania, z których cieszyli się wszyscy.

Chwila była uroczysta, gdy izbę „szesnastkę“ prowadzili do kaplicy w gaciach, ponieważ ubieranie tych więźniów połączone było z ryzykiem ich ucieczki. Ustawiano tych dwadzieścia par kalesonów niby białych aniołów, tuż pod kazalnica. Niektórzy z nich używali na niedopałkach papierosów i cygar, jeśli po drodze udało im się coś znaleźć. Rzecz prosta, że wobec braku kieszeni nie mieli gdzie schować znalezin i dlatego musieli spożywać je natychmiast.

Obok nich stali inni więźniowie garnizonu i cieszyli oczy swoje widokiem dwudziestu par kalesonów pod kazalnica, na którą wchodził kapelan wojskowy pobrzękując ostrogami.

— H a b t a c h t — wykrzyknął. — Modlitwa. Wszyscy powtarzają za mną, co będę mówił. A ty tam w końcu, łobuzie jeden, nie smarcz w garść, jesteś w świątyni pańskiej, bo inaczej każę cię przymknąć. Wy łaziki jedne, czyście przypadkiem nie zapomnieli ojczenasza? No to spróbujemy... No tak, od razu wiedziałem, że to nie pójdzie. Gdzież wam tam do ojczenasza! Wtrząchnąć tak dwie porcje mięsa z fasolową sałatką, położyć się pępkiem do góry, dłubać w nosie i nie myśleć nawet o Panu Bogu, to by się wam podobało! Czy nie mam racji?

Spojrzał z kazalnicy na dół, na dwadzieścia białych aniołów w kalesonach, którzy, jak zresztą i wszyscy obecni, doskonale się bawili.

W tyle żołnierze grali w „oko“.

— To jest wspaniałe — szepnął Szwejk sąsiadowi, którego podejrzewano, że za trzy korony odrąbał swemu towarzyszowi

wszystkie palce u ręki, aby w ten sposób wymigać go od wójczki.

— To się dopiero zacznie — odpowiedziano mu. — Dziś jest mocno wstawiony, więc będzie na pewno mówił o ciernistej drodze grzechu.

Kapelan był dziś rzeczywiście w doskonałym usposobieniu. Sam nie zdawał sobie sprawy, że ciągle wychyla się z kazalnicy i raz omal nie wypadł z niej, straciwszy równowagę.

— Chłopcy, zaśpiewajcież coś! — krzyknął w dół. — A może chcecie, żebym was nauczył nowej piosenki? Śpiewajcie więc za mną!

Mam ja swoją ukochaną
Z wszystkich panien wybieraną.
Nie chodzę też za nią sam,
Chodzi za nią innych więcej.
Kochanków ma na tysiące.
A ta moja najmilejsza
Jest Panienska Maryja.

— Ale, wy, łobuzy, nigdy się tego nie nauczycie -- mówił dalej kapelan. — Jestem za tym, aby was wszystkich powyrzelać. Czy dobrze mnie rozumiecie? Stwierdzam to, z tego oto świętego miejsca, wy nikczemnicy, że wahacie się nawrócić do Chrystusa, ale wolicie kroczyć ciernistą drogą grzechu — ale Bóg jest to coś, co się was nie boi, zakręci wami tak, że aż zgłupiejecie.

— A więc już się zaczęło, jest porządnie wlany — szepnął radośnie sąsiad do Szwejka.

— Ciernista droga grzechu, wy głupcy jedni, jest walką z występkiem. Jesteście synami marnotrawnymi, którzy wolą raczej siedzieć w separatkach, niż nawrócić się do Ojca niebieskiego. Wnieście tylko wasz wzrok, wy ulicznicy, dalej i wyżej, aż pod niebiosy, i zwyciężycie. W duszach waszych zagości pokój. Wypraszam sobie, aby tam z tyłu ktoś parsknął. Nie jest koniem i nie stoi w stajni, ale jest w świątyni pań-

skiej — zwracam wam na to uwagę, moi najmilsi. No tak, na czymże to ja skończyłem? Ja, über den Seelenfrieden, sehr gut. Pamiętajcie sobie, wy bydlęta, że jesteście ludźmi i że musicie patrzeć nawet skroś ciemny mrok w daleką przestrzeń i widzieć, że tu wszystko trwa do czasu, a Bóg jest na wieki. Sehr gut, nicht wahr meine Herren? Musiałbym się za was modlić dniem i nocą, aby miłosierny Bóg, wy głupcy, wlał duszę swą w wasze zimne serca, a miłością swoją zmył grzechy wasze, abyście stali się jego na wieki, wy gałgany jedne, i żeby was zawsze miłował. Ale wy się mylicie. Ja was do tego raju wprowadzać nie będę! — Kapelan zaczął czekać. — I nie będę — powtarzał uparcie — nic dla was nie uczynię, ani mi się śni, bo jesteście niepoprawni nikczemnicy. Dobroć pańska nie będzie was prowadziła po drogach waszych, nie przeniknie was tchnienie łaski bożej, ponieważ Panu Bogu nie będzie się śniło zajmować się takimi lotrami. Czy słyszycie to, wy tam na dole w tych gaciach?

Dwadzieścia par kalesonów spojrzało w górę i odrzekło jednym tchem:

— Posłusznie meldujemy, że słyszymy.

— Nie wystarczy tylko słyszeć — kazał w dalszym ciągu kapelan — ciemny mrok żywota, w którym żal nie zabierze wam uśmiechu bożego, wy głupcy, ponieważ dobroć boża ma także swoje granice — a ty tam, ośle jeden, co stoisz z tyłu, nie chrząkaj, bo jak cię każę zamknąć, to aż ci bokiem wyjdzie. A wy tam na dole nie myślcie sobie, że jesteście w knajpie, Bóg jest wprawdzie najmiłosierniejszy, ale tylko dla porządnych ludzi, a nie dla wyrzutków społeczeństwa, które nie spełniają jego przykazań i nie trzymają się regulaminu służbowego. To właśnie chciałem wam powiedzieć. Nie umiecie się modlić, a myślicie sobie, że chodzenie do kaplicy jest rozrywką, że tutaj jest jakiś teatr czy kino. Ale ja wam to szybko wybije z głowy, abyście sobie nie myśleli, że jestem tutaj po to, aby was bawić i dać wam radość życia. Porozsadzam was

po separatkach, to wam zrobię, wy łobuzy. Tracę dla was czas i widzę, że to idzie wszystko na marne. Żeby tu był sam pan polny marszałek, albo nawet arcybiskup, to się i tak nie naprawicie i nie nawrócicie do Boga. A jednak kiedyś to sobie przypomnicie, żem wam dobrze życzył.

Wśród dwudziestu par gaci ozwało się łkanie. To Szwejk się rozbeczał. Kapelan spojrział na dół. Stał tam Szwejk i pięścią ocierał sobie oczy.

Wokół było widać radosne przytakiwanie.

Kapelan kazał dalej, wskazując na Szwejka:

— Niech sobie każdy weźmie przykład z tego oto człowieka. Co on czyni? Płacze. Nie płacz, powiadam ci, nie płacz. Chcesz się naprawić? To ci się, chłopaczku, tak łatwo nie uda. Teraz płaczesz, ale jak tylko wrócisz do cymru, będziesz znowu taki sam łobuz jak przedtem. Musisz jeszcze dużo przemyśleć o nieskończonej miłości i miłosierdziu bożym, bardzo się starać, aby twoja grzeszna dusza mogła znaleźć na świecie tę prawdziwą drogę, po której winna kroczyć. Dziś widzimy, że oto rozbeczał nam się jeden mąż, który chce się nawrócić, a cóż czynicie wy, pozostali? Zgoła nic. Tam oto ten, żuje tytoń, tak jakby jego rodzice byli przeżuwaczami; a znowu wy tam, szukacie sobie w koszulach wszy w świątyni pańskiej. Cóż to, nie możecie się drapać w domu i musicie sobie to pozostawiać akurat na nabożeństwo w kościele? Panie sztabowy profosie, pan także niczego nie widzi. Jesteście przecież wszyscy żołnierzami, a nie głupimi cywilami. Musicie zachowywać się, jak przystało na żołnierzy, nawet kiedy jesteście w kościele. Psiakrew rzućcie się na poszukiwanie Boga, a wszy szukajcie sobie w domu. Tymi słowami kończę, wy ulicznicy, i żądam, abyście zachowywali się przyzwoicie podczas mszy świętej, nie tak jak ostatnio, kiedy ci z ostatnich szeregów zamieniali sobie wojskową bieliznę na chleb i żarli go w czasie podniesienia.

Kapelan zszedł z ambony i udał się do zakrystii, dokąd po-

dążył za nim sztabowy profos. Po chwili profos powrócił, a zwracając się wprost do Szwejka, wyciągnął go z grupy ka-lesonowej dwudziestki i zaprowadził do zakrystii.

Kapelan rozsiadł się wygodnie na stole i skręcał sobie pa-pierosa. Gdy Szwejk wszedł, kapelan powiedział:

— A więc mam cię tu. Wszystko już sobie rozważyłem i myślę, że cię przejrzałem, jak się należy, rozumiesz chłopie! To mi się zdarza po raz pierwszy, żeby mi się ktoś w kościele rozbeczał.

Zeskoczył ze stołu i potrząsając ramieniem Szwejka krzy-czał na niego pod wielkim, smutnym obrazem św. Franciszka Salezego:

— Przyznaj się, ty łotrze, że beczaleś tylko tak sobie, dla kawału!

A św. Franciszek Salezy spoglądał z obrazu na Szweika pytająco. Z drugiej strony, z innego obrazu patrzył na niego uporczywie jakiś męczennik, który miał wbite w pośladek zęby piły, którą piłowali go jacyś rzymscy żołdacy. Na twa-rzy męczennika nie było widać ani śladu cierpienia, nie malo-wała się też na niej ani radość, ani żar męczeński. Patrzył tylko ze zdziwieniem, jakby chciał rzec: — Jak też do tego właściwie doszło, co to, panowie, ze mną robicie?

— Puszusznie melduję, panie feldkurat — rzekł Szwejk z wielką powagą, stawiając wszystko na jedną kartę — że się spowiadam Bogu wszechmogącemu i tobie, ojczy duchowny, który jesteś na miejscu bożym, że...

— Przyznaj się, łotrze, że beczaleś tylko tak sobie, dla kawału.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat — rzekł Szwejk z wielką powagą, stawiając wszystko na jedną kartę — że beczalem naprawdę tylko dla kawału. Widziałem, że przy ta-kim kazaniu brak jest jednego nawróconego grzesznika, któ-rego pan feldkurat daremnie szukał. Chciałem panu feldku-

ratowi sprawić przyjemność, żeby pan nie myślał, a sobie chciałem sprawić uciechę, żeby mi ulżyło.

Kapelan spojrział badawczo w prostoduszną twarz Szwejka.

Promień słoneczny musnął zasmucający obraz św. Franciszka Salezego i ogrzał swym ciepłem wystraszonego męczennika na przeciwnej ścianie.

— Zaczynacie mi się podobać — rzekł siadając znowu na stole. — Do którego pułku należycie? — Dostał czkawki.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że należę i nie należę do dziewięćdziesiątego pierwszego pułku i że sam nie wiem, jak to ze mną właściwie jest.

— A za co tu siedzicie? — pytał kapelan, nie przestając czkać.

Z kaplicy dochodziły dźwięki fisharmonii, która tam zastępowała organy. Jeden z przymkniętych za dezercję, nauczyciel muzyki, wyzalał się na tym instrumencie w tęsknych melodiach kościelnych. Razem z czawką feldkurata zlewały się te dźwięki w nową tonację dorycką.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że naprawdę nie wiem, za co tu siedzę, ale nie skarżę się na swój los. Ja mam już takiego pecha. Zawsze chcę wszystko zrobić dobrze, a w końcu wszystko obraca się ku złemu, jak temu męczennikowi na tym obrazie.

Kapelan spojrział na obraz, uśmiechnął się i rzekł:

— Podobacie mi się naprawdę, muszę się o was wypytać pana audytora i dalej gadać z wami nie będę. Mam jeszcze dużo roboty. *Kehrt euch! Abtreten!*

Gdy Szwejk powrócił do swej rodzimej gromady gatek pod kazalnicą, na wszystkie stawiane mu pytania, czego chciał od niego kapelan, odpowiedział bardzo sucho i zwięźle:

— Jest wstawiony.

Nowy wyczyn kapelana, msza święta, była słuchana przez wszystkich z wielkim zainteresowaniem i szczerą sympatią. Jeden z tych spod ambony założył się w końcu, że kapelano-

wi wypadnie monstrancja z rąk. Stawiał całą swoją porcję chleba przeciwko dwom uderzeniom po głębie i zakład wygrał.

To, co napełniało dusze wszystkich obecnych w kaplicy, gdy patrzyli na spełnianie obrzędów przez feldkurata, nie było mistycyzmem wierzących ani pobożnością szczerych katolików. Było to uczucie, jakiego doznajemy w teatrze, gdy nie znamy treści sztuki, gdy akcja się wikła i z napięciem oczekujemy rozwiązania. Pogrążyli się w podziwianiu obrazu, który im z tak wielką ofiarnością dostarczał ten pan feldkurat przy ołtarzu. Oddawali się estetycznemu przeżywaniu piękna ornatu, który feldkurat włożył na lewą stronę i w cichym porozumieniu i podnieceniu obserwowali wszystko, co się działo przy ołtarzu.

Rudy ministrant, dezterter ze sfer kościelnych, specjalista w drobnych kradzieżach, z 28 pułku, uczciwie usiłował wywołać z pamięci cały porządek, technikę i treść mszy świętej. Był on jednocześnie ministrantem i suflerem feldkurata, który z całą lekkomyślnością przerzucał karty mszału i zamiast zwyczajnej mszy zaczął odśpiewywać roraty, ku ucieście wszystkich obecnych.

Nie miał on ani głosu, ani słuchu muzycznego i pod sklepieniem kaplicy ozwały się okropne kwiki i jęki, jak w świąskim chlewiku.

— Ten się dzisiaj spił! — powtarzali zgromadzeni przed ołtarzem z całkowitym zadowoleniem i radością. — Ale jest wlany! A to go wzięło!

Na pewno się schlał gdzieś u dziwek.

Już przynajmniej po raz trzeci ozwał się od ołtarza śpiew kapelana: „Ite missa est!“ — jak bojowy ryk Indian, aż brzęczały szyby.

Potem kapelan spojrział raz jeszcze do kielicha, czy nie została tam choćby kropelka wina, uczynił ruch pełen złości i odwrócił się do słuchaczy:

— A więc możecie już iść do domu, łobuzy jedne, już się skończyło. Zauważyłem, wy ulicznicy, że nie objawiacie tej prawdziwej pobożności, jaką winni byćście mieć w kościele w obliczu najświętszej świętości ołtarza. Twarzą w twarz z najwyższym Bogiem, nie wstydzicie się śmiać na głos, kaszlać, rechotać, szurać nogami, i to nawet wobec mnie, który tutaj zastępuję Przenajświętszą Panią, Chrystusa Pana i Boga Ojca.

Jeśli się to będzie powtarzało na przyszłość, to wiedźcie, że ja z wami zatańczę jak należy i popamiętacie, że jest nie tylko to jedno piekło, o którym wam przedostatnim razem kazałem, ale że jest także piekło na ziemi. I nawet gdyby się wam udało wymigać przed tym pierwszym, to owo drugie piekło was nie minie. *A b t r e t e n!*

Kapelan, który w praktyce tak pięknie wykladał tę diabelnie starą rzecz o nawiedzaniu więzionych, odszedł do zakrystii, przebrał się, kazał sobie nalać kielich mszalnego wina, wypił je i przy pomocy rudego ministranta wsiadł na swego wierzchowca, przywiązanego na dworze. Przypomniał sobie Szwejka, zszedł z konia i poszedł do kancelarii do audytora Bernisa.

Audytor śledczy, Bernis, był człowiekiem z towarzystwa, wytwornym tancerzem i rozpustnikiem, który w garnizonie nudził się straszliwie i pisywał niemieckie wiersze pamiątkowe, żeby ich mieć trochę na zapas. Był on jednym z najważniejszych ogniw całego aparatu sądu wojennego, ponieważ miał takie mnóstwo zaległości i taką gmatwaninę w aktach, że cały sąd wojenny na Hradczanach musiał mieć dla niego wyjątkowy szacunek. Gubił materiał oskarżający i musiał zmyślać nowy. Plątał sobie nazwiska, tracił wątek oskarżenia i snuł nowy, jak mu się akurat ubrdało. Dezerterów sądził za kradzież, a złodziei za dezercję. Wplątywał do tego wszystkiego i polityczne procesy, kombinowane na poczekaniu. Robił najrozmaitsze hokus-pokus, aby oskarżonym dowieść zbrodni, o jakich im się nawet nie śniło. Kombinował obrazy maje-

statu, a wymyślone przez siebie zdania zbrodnicze przypisywał zawsze komuś innemu, którego akta lub protokoły zagubił i zaprzepaścił w wiekuistym chaosie urzędowych akt i pism.

— Servus — rzekł kapelan, podając mu rękę. — Jak się masz?

— Nie bardzo — odpowiedział śledczy audytor Bernis. — Pomieszali mi materiał i teraz sam diabeł tego wszystkiego nie rozwikła. Wczoraj wysłałem do sądu opracowany materiał, dotyczący jednego draba oskarżonego o bunt, a wszystko odesłali mi z powrotem, twierdząc, że w tym wypadku nie chodzi o bunt, ale o kradzież puszkki konserw. I jeszcze napisałem na fascykule niewłaściwy numer, ale jak to się stało, Bóg raczy wiedzieć.

Audytor splunął.

— Chodzisz jeszcze na karty? — pytał kapelan.

— Zgrałem się do ostatniej nitki. Ostatnio graliśmy z tym łysem pułkownikiem w makao i przegrałem do niego wszystko, co miałem. Ale mam ładną dziewczynkę. A co ty porabiasz, święty ojcze?

— Potrzebuję bursza — rzekł kapelan polowy. — Miałem dotychczas takiego starego buchaltera bez akademickiego wykształcenia, ale bydlę pierwszej klasy. Ciągłe tylko postękiwał i modlił się, żeby go Pan Bóg zachował, więc posłałem go z pierwszym marszbatalionem na front. Mówią, że ten batalion został rozbity na amen. Potem dali mi takiego figlarza, który nic nie robił, tylko siadywał w szynku i pił na mój rachunek. Człowiek to był do pewnego stopnia znośny, ale po ciły mu się nogi. Więc także wyprawiłem go z marszbatalionem. Dziś znalazłem tu podczas kazania takiego draba, który mi się dla kawału rozbeczał. Taki człowiek bardzo by mi się podobał. Nazywa się Szwejk i siedzi w szesnastce. Chciałbym wiedzieć, za co się dostał pod klucz i czy nie dałoby się jakoś zrobić, żebym go sobie mógł zabrać.

Audytor szukał po szufladach odpowiednich akt dotyczących Szwejka, ale, jak zwykle, nie mógł ich znaleźć.

— Będą niezawodnie u kapitana Linharta — rzekł po długim szukaniu. — Diabli wiedzą, gdzie mi się te wszystkie akta zapodziejają. Posłałem je niezawodnie Linhartowi. Zaraz zatelefonuję — — — Halo, tutaj nadpułkownik audytor Bernis, panie kapitanie. Proszę pana, czy pan nie ma akt dotyczących niejakiego Szwejka... U mnie mają być? To dziwne... Sam miałem odbierać? Naprawdę, bardzo dziwne... Siedzi w szesnastce... Ja wiem, panie kapitanie, że szesnastka to moja rzecz. Ale myślałem, że akta dotyczące Szwejka poniewierają się u pana... Pan sobie wyprasza takie wyrażenia, bo u pana nic się nie poniewiera? Halo, halo...

Audytor Bernis usiadł i z goryczą potępiał nieporządki panujące w prowadzeniu śledztwa. Między nim a kapitanem Linhartem już od dawna istniało naprężenie, konsekwentnie podtrzymywane ze stron obu. Jeśli do rąk Bernisa dostał się jakiś papier należący do Linharta, to go Bernis zaprzepaszczał tak doskonale, że nikt nie mógł go odszukać. Linhart robił to samo z papierami Bernisa. Wzajemnie gubili swoje załączniki*.

— Ten Szwejk mi się zgubił — rzekł audytor Bernis. — Każę go zawołać i jeśli się do niczego nie przyzna, to go wypuszczę i każę go zaprowadzić do ciebie, a ty już załatwisz sprawę z pułkiem.

Po odejściu kapelana polowego audytor Bernis wezwał Szwejka, któremu kazał stać przy drzwiach, ponieważ akurat

* Trzydzieści procent ludzi, którzy siedzieli w garnizonie, spędziło tam wszystkie lata wojny bez jedyne go przesłuchania. Papiery dotyczące Szwejka znaleziono w archiwum sądu wojennego dopiero po przewrocie, z taką relacją: „Zamierzał zrzucić maskę obłudnika i osobiście wystąpić przeciwko osobie naszego monarchy i naszego państwa”. Papiery te były wsunięte w fascykuł dotyczący niejakiego Józefa Koudeli. Na okładce był krzyżyk, a pod nim data i słowo: „Załatwione“.

dostał telefonogram z dyrekcji policji, że żądany materiał do aktu oskarżenia numer siedem tysięcy dwieście sześćdziesiąt siedem, dotyczący piechura Maixnera, został odebrany w kancelarii numer 1 za podpisem kapitana Linharta.

W tej chwili właśnie Szwejk rozglądał się po kancelarii audytora.

Nie można było twierdzić, że wywierała ona wrażenie osobliwie miłe, a już wcale nie można powiedzieć tego o fotografiach, które ozdabiały jej ściany. Były to fotografie różnych egzekucyj wykonywanych przez armię w Galicji i w Serbii. Fotografie artystyczne z popalonymi chałupami i z drzewami, których gałęzie uginały się pod ciężarem powieszonych. Osobliwie piękna była fotografia z Serbii, przedstawiająca powieszoną rodzinę. Mały chłopiec, ojciec i matka. Dwaj żołnierze z bagnietami pilnują drzewa z wisielcami, a jakiś oficer jako zwycięzca stoi opodal i pali papierosa. Po drugiej stronie obrazka na tylnym planie widać kuchnię polową przy robocie.

— No więc, jak to będzie, mój Szwejku? — zapytał audytor Bernis, ułożywszy telefonogram ad acta. — Coście zrobili? Wolicie się przyznać, czy też będziecie czekali, aż zostanie napisany akt oskarżenia? Nie myślcie sobie, że stajecie przed sądem złożonym z jakichś głupich cywilów. My tu mamy sądy wojenne, k. u. k. Militärgericht. Jedynym ratunkiem dla was i uniknięciem surowej i sprawiedliwej kary może być tylko szczere przyznanie się.

Gdy audytor Bernis zgubił materiał dotyczący jakiegoś oskarżonego, to uciekał się do osobliwej metody badania. Nie było w niej nic osobliwego, ale też nie można się dziwić, że i wyniki takiego badania w każdym wypadku równały się zeru.

Audytor Bernis uważał się jednak za człowieka bardzo przebiegłego i przewidującego. Nie mając materiału i nie wiedząc, o co oskarżać danego aresztanta, bardzo uważnie śledził zachowanie się delikwenta i przez badanie jego fizjonomii do-

chodził do pewnych wniosków, za co też tego a tego człowieka trzymają w garnizonie.

Jego spostrzegawczość i znajomość ludzi była tak wielka, że pewnego Cygana, który ze swego pułku wysłany został do garnizonu za kradzież paru tuzinów bielizny (był pomocnikiem magazyniera), oskarżył o zbrodnie polityczne, jakoby gdzieś w szynku miał mówić żołnierzom o samodzielnym państwie narodowym z ziem korony św. Wacława i Słowaczyny ze słowiańskim królem na czele.

— My mamy na to dokumenty — rzekł audytor do nieszczęśliwego Cygana. — Pozostaje wam tylko przyznanie się do winy i wskazanie, w którym szynku o tym mówiliście, z którego pułku byli ci żołnierze, którzy was słuchali, i kiedy to było.

Nieszczęśliwy Cygan wymyślił sobie datę i szynk, a także numer pułku tych żołnierzy, którzy mieli być jego słuchaczami, ale gdy wracał ze śledztwa, uciekł z garnizonu i tyle go widzieli.

— Nie chcecie przyznać się do niczego — rzekł audytor Bernis, gdy Szwejk milczał jak grób. — Nie chcecie mi powiedzieć, za co tu siedzicie i za co was wzięli pod klucz? Mnie moglibyście o tym powiedzieć, bo jak nie, to powiem wam sam. Wzywam was, żebyście się dobrowolnie przyznali. Dla was lepiej, bo to ułatwia śledztwo i łagodzi karę. Pod tym względem jest u nas tak samo jak u cywilów.

— Posłusznie melduję — rzekł Szwejk swoim pocziwym głosem — że w garnizonie jestem jako podrzutek.

— Co to ma znaczyć?

— Posłusznie melduję, że mogę to objaśnić bardzo prostym przykładem. W naszej okolicy jest węglarz, a ten węglarz miał całkiem niewinnego dwuletniego chłopczyka, a ten chłopczyk poszedł sobie razu pewnego z Winohrad piechotą aż do Libni, gdzie go policjant znalazł na chodniku. Tego chłopczyka zaprowadził potem do komisariatu i tam zamknęli to dwulet-

nie niewinne dziecko. Jak pan widzi, ten dwuletni chłopczyk był zupełnie niewinny, a jednak został aresztowany. Gdyby był umiał mówić i gdyby ktoś go zapytał, za co dostał się do aresztu, to też nie byłby wiedział. Mnie przytrafiło się coś podobnego. Ja jestem taki podrzutek.

Bystre spojrzenie audytora przeleciało przez twarz Szwejka, zmierzyło całą jego postać i rozbiło się o jej spokój. Taka doskonała obojętność i niewinność promieniowała z całej tej istoty stojącej przed audytorem, że Bernis zaczął nerwowo spacerować po kancelarii i gdyby nie obiecał kapelanowi, że mu Szwejka przyśle, to diabli wiedzą, jak byłoby się to wszystko dla Szwejka skończyło.

Wreszcie przestał spacerować i zatrzymał się przy biurku.

— Słuchajcie — rzekł do Szwejka, który obojętnie spoglądał przed siebie — jeśli spotkam się z wami jeszcze raz, to mnie popamiętacie. Zabrać go!

Gdy Szwejka odprowadzano z powrotem do szesnastki, audytor Bernis kazał zawołać sztabowego profosa Slavika.

— Przed ostateczną decyzją — rzekł zwięźle — odsyła się Szwejka do dyspozycji kapelana polowego Katza. Przygotować mu papiery zwalniające i pod eskortą dwóch szeregowców odesłać go do kapelana.

— Czy dać mu kajdanki na drogę, panie nadporučniku? Audytor uderzył pięścią w stół.

— Jesteście głupi jak wół. Mówię wam wyraźnie, że macie przygotować papiery zwalniające.

I wszystko, co w ciągu całego dnia osiadło na duszy pana audytora, kapitan Linhart i Szwejk, wylało się jak rwący potok na głowę profosa, a skończyło się słowami:

— Czy wreszcie rozumiecie, że jesteście koronowany osiel?

Przemawiać w ten sposób należy jedynie do królów i cesarzów, ale nawet prosty sztabowy profos, głowa niekoronowana, nie był z tego zadowolony. Powracając od audytora skopał jakiegoś więźnia, który sprzątał korytarz.

Co do Szwejka, to profos postanowił, że aresztant musi przespać przynajmniej jeszcze jedną noc w garnizonie, żeby i on czegoś użył.

* * *

Noc spędzona w garnizonie należy zawsze do wspomnień miłych.

Obok szesnastki była pojedynka, ponura dziura do izolowania aresztantów. I tej nocy odbywało się z niej wycie jakiegoś więzionego żołnierza, któremu kapral Rzepa za jakieś dyscyplinarne wykroczenie z rozkazu sztabowego profosa Slavika łamał żebra.

Gdy wycie przycichło, słyhać było w szesnastce trzaskanie wszy, które dostały się w ręce więźniów przy wiskaniu.

Nad drzwiami w małej niszcze w murze znajdowała się lampa naftowa, osłonięta żelazną kratką. Światła dawała mało, kopciło dużo. Smród nafty mieszał się z naturalnymi wyziewami niemytych ludzkich ciał i ze smrodem kubła, który po każdorazowym użyciu rozwierał swą powierzchnię, aby rzucić falę złej woni na całą szesnastkę.

Marne pożywienie powodowało u wszystkich zaburzenia w trawieniu i większość cierpiała na wiatry, wypuszczane w nocną ciszę, przy czym ludzie odpowiadali sobie tymi sygnałami z dodatkiem żartobliwych uwag.

Na korytarzach słyhać było miarowy krok strażników. Od czasu do czasu dozorca uchylał zasuwkę w drzwiach i zaglądał do wewnątrz.

Na środkowej pryczy ktoś z cicha opowiadał:

— Zanim próbowałem uciec i zanim potem dostałem się tutaj między was, byłem pod numerem dwunastym. Tam siedzą ci niby lżejsi. Pewnego razu przyprowadzono tam do nas jakiegoś człowieka z prowincji. Dostał ten zacny człowiek dwa tygodnie, ponieważ nocował u siebie żołnierzy. Naprzód

myślano, że to jakieś sprzysiężenie, ale potem się pokazało, że robił to dla pieniędzy. Areszt miał odsiadywać między najłżejszymi, ale ponieważ tam było przepelnienie, więc dostał się między nas. Czego ten człowiek nie przyniósł sobie z domu i czego mu jeszcze nie przysłali! Bo mu pozwolili, żeby się sam prowiantował, i mógł sobie używać. Nawet palić miał prawo. Miał dwie szynki, olbrzymie dwa bochenki chleba, jajka, masło, papierosy, tytoń, słowem wszystko, czego dusza zapagnie, można było znaleźć w jego tobołach. I jeszcze mu się zdawało, że wszystko to musi zezreć sam. Prosililiśmy go o kawałek tego czy owego, ale mu nawet do głowy nie przyszło, że powinien dzielić się z nami, jak się dzielili inni, gdy coś dostali. Ten chciwy drab myślał tylko o sobie i wywodził, że przez dwa tygodnie będzie pod kluczem i że nie będzie jadł z nami zgniłych kartofli i kapusty, bo popsułby sobie żołądek. Może nam — powiada — oddać całą swoją porcję więzienną, na tym mu nie zależy, możemy się tym obdzielić albo brać sobie po kolei za niego, jak chcemy. Powiem wam, że to był taki elegancki człowiek, iż nawet na kubie siadać nie chciał, ale czekał zawsze do następnego dnia i podczas spaceru załatwiał się w latrynie. Był taki rozpieszczony, że przywiózł sobie nawet zapas papieru klozetowego. Powiedzieliśmy mu, że gwiźdzemy na jego porcję, i cierpieliśmy dzień jeden, drugi, trzeci. Chłop żarł szynkę, smarował chleb masłem, obierał jajka, jednym słowem używał. Palił papierosy, ale nikomu nie dał nawet dymu. Nam, powiada, palić nie wolno, więc gdyby dozorca widział, że nam daje dymu, to by go ukarał. Jak powiedziałem, cierpieliśmy przez trzy dni. Dnia czwartego w nocy zrobiliśmy, co się należało. Chłopisko budzi się rano i... Zapomniałem wam powiedzieć, że zawsze z rana, w południe i wieczorem, zanim zaczął żreć, modlił się długo i gruntownie. Więc modli się i wyciąga spod pryczy toboły. Toboły, juścić były, ale płaskie, pomarszczone jak suszona śliwka. Zaczął krzyczeć, że został okradziony, że mu zło-

dzieje zostawili tylko papier do klozetu. Potem przez jakieś pięć minut myślał, że zrobiliśmy tylko taki kawał i że te jego prowianty gdzieś pochowaliśmy. Więc mówi do nas tak sobie, na wesoło: — Ja wiem, że to tylko tak dla kawału. Schowaliście, ale oddacie. Udało wam się. — Był tam między nami jakiś jeden z Libni i ten powiada: — Wiesz pan, co? Przykryj się pan deką i licz do dziesięciu, a potem zajrzyj do tobołów. — Przykrył się jak posłuszny chłopaczek i liczy: raz, dwa, trzy. A ten Libniak znowuż swoje: — Tak prędko nie można, trzeba liczyć pomalutku. — Więc tamten liczy pomalutku: raz — dwa — trzy... Kiedy naliczył do dziesięciu i wyłazł spod deki, żeby zajrzeć do swoich tobołów, zaczął krzyzczeć: — Jezus, Maria, ludzie kochane, toboły puste jak przedtem! — A twarz jego miała wyraz taki głupi, że mało nie popękaliśmy od śmiechu. — Spróbuj pan jeszcze raz — powiada ten Libniak. — I dacie wiarę? Taki był zbaraniały z tego wszystkiego, że spróbował jeszcze raz, a gdy widział, że w tobołach nie ma nic, prócz klozetowego papieru, zaczął walić do drzwi i wrzeszczeć: — Okradli mnie, ratujcie, otwórzcie, na Boga, otwórzcie! — Zaraz tam przylecieli, zawołali sztabowego profosa i kaprała Rzepę. My wszyscy jeden w drugiego twierdziliśmy, że ten chłop oszalał, że wczoraj przez całą noc żarł i wszystko zeżarł. A on płakał i wciąż powtarzał: — Przecież muszą być gdzieś okruszyny. — Więc szukali okruszyn, ale nie znaleźli, bo i my byliśmy tacy mądrzy, żeby okruszyny pousuwać. Czegośmy sami zjeść nie mogli, tośmy pocztą po sznurze posłali na drugie piętro. Nie mogli nam niczego dowieść, chociaż ten głupiec powtarzał ciągle swoje: — Przecież gdzieś muszą być okruszyny. Przez cały dzień nic nie jadł i bacznie pilnował, czy ktoś czego nie je albo czy nie pali. Nazajutrz w południe jeszcze nie tknął więziennego wikt, ale wieczorem już mu zasmakowały te zgniłe kartofle i kapusta, tylko że już się nie modlił jak przedtem, gdy zabierał się do spożywania szynki i jajek. Potem jeden

z nas w jakiś sposób dostał papierosów i wtedy tamten zaczął z nami rozmawiać i prosić o dym. Nie daliśmy mu nic.

— Już myślałem, żeście mu dym dali — odezwał się Szwejk. — Oczywiście, że całe opowiadanie byłoby zepsute. Taką szlachetność spotyka się tylko w opowieściach, ale w garnizonie przy takich okolicznościach byłoby to głupotą.

— A deki nie daliście mu? — zapytał jakiś głos.

— Zapomnieliśmy.

Powstała cicha dyskusja, czy powinien być dostać dekę, czy nie. Większość wypodziała się za deką.

Gawęda powoli zacichała. Ludzie zasypiali drapiąc się pod pachami, po piersiach i brzuchach, to jest po miejscach, gdzie w bieliźnie trzyma się najwięcej wszy. Ci, co byli senni, przykrywali głowy zawoszonymi dekami, żeby im nie przeszkadzało światło naftowej lampki.

Rano o godzinie ósmej zawołano Szwejka, żeby poszedł do kancelarii.

— Z lewej strony drzwi koło kancelarii jest spluwaczka. Bywają w niej niedopalki — pouczał Szwejka jeden z towarzyszków niedoli. — Na pierwszym piętrze będziesz przechodził także obok spluwaczki. Korytarze zamiatają dopiero o dziewiątej, więc i tam coś będzie.

Ale Szwejk zawiódł ich oczekiwania. Nie wrócił już do szesnastki. Właściciele dziewiętnastu par gaci kombinowali i zgadywali, co się stać mogło.

Jakiś piegowaty żołnierz z landwery, który miał najbujniejszą wyobraźnię, rozgłosił, że Szwejk strzelił do swego kapitana, że więc dzisiaj odprowadzono go na motolski plac ćwiczeń na egzekucję.

X

Szwejk jako bursz kapelana polowego.

Znowu zaczynała się Odyseja pod honorową eskortą dwóch żołnierzy z bagnetami, którzy mieli odprowadzić Szwejka do kapelana polowego.

Eskortujący żołnierze uzupełniali się wzajemnie. Jeden był wysoki i chudy, drugi mały i tłusty. Wysoki utykał na prawą nogę, mały na lewą. Obaj służyli na tyłach, ponieważ jeszcze kiedyś tam przed wojną zostali od służby zwolnieni na dobre.

Kroczyli z wielką powagą koło chodnika i od czasu do czasu rzucali ukośne spojrzenie na Szwejka, który szedł między nimi i salutował wszystkich i każdego. Jego cywilne ubranie zginęło razem z wojskową czapką, w której wybrał się do wojska, więc zanim został wypuszczony, ubrano go w stary mundur wojskowy, który nosił był jakiś grubas o głowę wyższy od Szwejka.

W spodniach, które miał na sobie, byłoby się zmieściło jeszcze trzech Szwejków. Olbrzymie fałdy od nóg aż do piersi — bo aż do piersi sięgały spodnie — budziły w przechodniach mimowolny zachwyty. Ogromna bluza z łatami leżała na Szwejkowi jak na jakimś straszycdle. Spodnie wisiały na nim, jak szarawary na kłownie w cyrku. Czapka wojskowa, którą w garnizonie też mu zamienili, opadała mu na uszy.

Na uśmiechy przechodniów odpowiadał Szwejk miękkim uśmiechem, ciepłem i tkliwością swoich pocziwych oczu.

Tak wędrowali ku dzielnicy karlińskiej, gdzie mieszkał kapelan polowy.

Pierwszy odezwał się do Szwejka mały grubas. Znajdowali się akurat na Małej Stronie i szli cienistą aleją, gdy grubas zapytał:

— Skąd pochodzisz?

— Z Pragi.

— Nie uciekniesz nam?

Do rozmowy przyłączył się wysoki, chudy. Jest to osobliwym i ciekawym zjawiskiem, że podczas gdy małe grubasy bywają przeważnie pocziwcami i optymistami, ludzie chudzi i wysocy należą do sceptyków.

I dlatego wysoki chudziak rzekł do małego grubasa:

— Żeby mógł, to by uciekł.

— Po co miałby uciekać — ozwał się grubasek. — Jest przecie na wolności, bo z garnizonu został zwolniony. Niosę papiery zwalniające.

— A co jest w tych papierach? — pytał chudziak.

— Tego nie wiem.

— Widzisz. Nie wiesz, a gadasz.

Przez most Karola szli w głębokim milczeniu. Na ulicy Karola ozwał się znowu mały grubas do Szwejka:

— Czy nie wiesz, po co cię prowadzimy do kapelana polowego?

— Do spowiedzi — rzucił Szwejk od niechcienia. — Jutro będą mnie wieszali. To się zawsze tak robi i to się nazywa pociecha duchowna.

— A za co cię będą niby tego... — ostrożnie pytał chudziak, podczas gdy mały grubas ze współczuciem spoglądał na Szwejka.

Obaj byli rzemieślnikami z prowincji, ojcami rodzin.

— Nie wiem — odpowiedział Szwejk uśmiechając się poczciwie. — Ja o niczym nie wiem. Widać taki już los.

— Urodziłeś się widać pod nieszczęśliwą planetą — tonem znawcy zdecydował grubasek. — U nas w Jasenie koło Józefowa jeszcze w pruską wojnę też jednego tak samo powiesili. Przyszli po niego, nic mu nie powiedzieli i w Józefowie go powiesili.

— Myślę, że tak sobie bez przyczyny człowieka nie wiszą — rzekł sceptycznie chudziak. — Jakaś przyczyna musi być, żeby były powody i dowody.

— Jak nie ma wojny — rzekł Szwejk — to potrzebne są dowody, ale jak jest wojna, to się jednego człowieka nie liczy. Czy ma paść na froncie, czy ma zostać powieszony w domu, to wszystko jedno. Co ma wisieć, nie utonie.

— Słuchaj no, bratku, czyś ty aby nie z politycznych? — zapytał chudeusz. Z tonu jego pytania można było wymiarkować, że zaczyna dla Szwejka nabierać sympatii.

— Nawet bardzo jestem polityczny — uśmiechnął się Szwejk.

— Czyś ty czasem nie narodowy socjalista?

Mały grubasek zaczynał teraz mieć się na baczności i zabrał głos. — Co nam do tego — rzekł. Wszędzie pełno ludzi i patrzą na nas. Żeby można było przynajmniej zdjąć bagnety w której bramie, to byśmy nie zwracali na siebie takiej uwagi. Dobrze mówię, Antoś? — zwrócił się do chudziaka, który szeptem odpowiedział:

— Bagnety zdjąć można. Przecież to swój człowiek.

Przestał być sceptykiem, a duszę jego napelniło współczucie dla Szwejka. Szukali więc sposobnej bramy, żeby zdjąć bagnety, a grubas pozwolił Szwejkowi iść obok siebie.

— Popaliłbyś, co? — zapytał. — Czy też ci... — Chciał zapytać: — Czy też ci dadzą popalić, zanim cię powieszą? — Ale nie dokończył pytania, czując, że byłby to nietakt.

Wszyscy zapalili papierosy, a towarzysze Szwejka zaczęli

mu opowiadać o swoich rodzinach, mieszkających w okolicach Hradca Králowej, o żonach, dzieciach, o kawałku ziemi, o krówce.

— Pić mi się chce — rzekł Szwejk.

Chudziak i grubas spojrzeli po sobie.

— Można by tu gdzieś wstąpić na jednego — rzekł mały, wiedząc, że duży nie będzie oponował. — Ale trzeba wstąpić gdzieś na ustroniu.

— Chodźmy na Kuklik — zaproponował Szwejk. — Karabiny postawicie w kuchni, gospodarz Serabona jest Sokolem, więc bać się nie trzeba.

— Grają tam na skrzypcach i na harmonii — ciągnął Szwejk dalej — i przesiadują tam uczynne dziewczynki i inne dobre towarzystwo, którego nie puszczają do salonów municypalnych.

Chudziak i tłuścioch spojrzeli po sobie jeszcze raz, po czym chudziak rzekł:

— No to chodźmy. Do Karlina jeszcze daleko.

W drodze do szynku Szwejk opowiadał im różne anegdoty, więc w dobrym nastroju wstąpili na Kuklik i zrobili tak, jak im Szwejk radził. Karabiny schowali w kuchni i weszli do szynkowni, gdzie skrzypce i harmonia napełniały izbę dźwiękami ulubionej piosenki:

Na Pankowcu, na tym pagóreczku,
jest alejka ładna i cienista...

Jakaś panienska, siedząca na kolanach sfatygowanego młodzieńca o włosach gładko rozczesanych, śpiewała głosem ochrypłym:

Miałem dziewczynę, jak malinę,
inny mi ją wziął...

Przy jednym ze stołów spał pijany sprzedawca sardynek. Co chwila budził się, walił pięścią w stół i mruczał: — Nie można — po czym spał dalej. Za bilardem pod lustrem siedziały trzy inne panienski i wołały na jakiegoś konduktora

kolejowego: — Panie kawalerze, zafunduj nam pan wermutu! — Koło muzykantów toczyła się sprzeczka o jakąś Mańkę, którą wczoraj zagarnęła policja. Jeden widział to na własne oczy, drugi twierdził, że szła tylko z jakimś żołnierzem na nocleg do Walszów do hotelu.

Przy samych drzwiach siedział żołnierz z kilku cywilami i opowiadał im o tym, jak został raniony w Serbii. Rękę miał obandażowaną, a w kieszeniach pełno papierosów, którymi go obdarowano. Mówił, że już nie może pić, ale jeden z towarzysza, łysy dziadek, zachęcał go bezustannie: — Pij, bracie żołnierzyku, kto wie, czy się jeszcze kiedy spotkamy. Może chcesz, żeby ci kazać coś zagrać. Lubisz piosenkę o sierotce?

Była to ulubiona piosenka łysiego dziadka i po chwili skrzypce i harmonia kwiliły żałośnie, a dziadek z oczyma pełnymi łez śpiewał drżącym głosem:

Gdy już rozum miało,
a matkę pytało,
a matkę pytało...

Z drugiego końca stołu ozwał się głos:

— Dajcie no spokój i każcie się wypchać albo się powieście. Do diabła z sierotką!

I jako ostatni atut przeciw piosence o sierocie, nieprzyjacielski stół zaczął śpiewać:

Rozstanie, ach rozstanie,
to smutek i płkanie...

— Te, Franek! — wołali na rannego żołnierza, gdy przestali śpiewać dla przygłuszenia piosenki o sierotce — puść ich kantem i przysiądź się do nas. Pluń ty na nich i poślij nam po papierosy. Będziesz tam z nimi gadał, z fujarami!

Szwejk i jego towarzysze przyglądali się temu wszystkiemu z dużym zainteresowaniem.

Przypominały się Szwejkowi te dobre czasy przed wojną, kiedy przesiedział tu niejedną godzinę. Pamiętał dobrze ko-

misarza policji Drasznera, który bywał tu często z urzędu, rewidując lokal. prostytutki bały się go, ale układały o nim piosenki pełne odwagi. Nieraz chórem śpiewały:

Za pana Drasznera
Była awantura.
Mańka się upiła,
Z Drasznera sobie kpiła.

Ale właśnie w takich chwilach zdarzało się, że Draszner pojawiał się nagle w towarzystwie policjantów, straszliwy i nieubłagany. W szynkowni kotłowało się wtedy, jakby ktoś strzelił w stado kuropatw. Policjanci cywilni ustawiali całe towarzystwo w szeregi, aby je zaprowadzić do komisariatu. I Szwejk pechowiec znalazł się razu pewnego w takiej gromadzie, bo gdy Draszner wezwał go, aby się wylegitymował, zapytał komisarza: — A czy ma pan na to pozwolenie od dyrekcji policji? — Pamiętał też pewnego poetę, który siadywał na Kukliku pod zwierciadłem i w tym rozgardiaszu, przy śpiewie i dźwiękach harmonii, pisywał wiersze i czytywał je dziewczynom.

Natomiast towarzysze Szwejka nie mieli żadnych takich reminiscencyj. Było to dla nich czymś zgoła nowym. Zaczynało się im tutaj podobać. Tłuścioch poczuł się tu od razu szczęśliwy i zadowolony, albowiem tacy ludzie prócz optymizmu mają jeszcze duże skłonności do epikureizmu. Chudeusz przez chwilę walczył ze swoimi skłonnościami, ale jak pozbył się swego sceptycyzmu, tak też pozbył się swej roztropności i rozwagi.

— Będę tańczył — rzekł po piątym kuflu piwa, widząc, jak pary tańczą deptaka.

Grubasek oddał się rozkosznictwu bez zastrzeżeń. Obok niego siedziała panienska i gadała mocno od rzeczy. W oczach zapalały mu się iskierki.

Szwejk pił. Chudeusz potańczył i usiadł ze swoją tancerką przy stole. Potem śpiewali, tańczyli, pili bezustannie

i poklepywali swoje towarzyszki. I w tej atmosferze kupnej miłości, nikotyny i alkoholu zdawało się wirować hasło stare, jak świat: — Po nas niech będzie potop!

Po południu przysiadł się do nich jakiś żołnierz i proponował im, że za pięć koron może zrobić flegmonę i zatrucie krwi. Ma przy sobie strzykawkę i może zastrzyknąć naftę w rękę albo w nogę*. Żołnierz zapewniał ich, że w szpitalu będą mogli przesiedzieć najmniej dwa miesiące, a jeśli będą jątrzyć ranę śliną, to sprawa może się wlec i przez pół roku i mogą zostać zwolnieni z wojska raz na zawsze.

Chudziak, który już zupełnie stracił równowagę ducha, kazał sobie zastrzyknąć nafty w nogę. Operacji dokonano w wychodku.

Gdy się miało ku wieczorowi, zaproponował Szwejk, aby się wybrali w drogę do kapelana polowego. Grubasek, którego słowa się już plątały, namawiał Szwejka, żeby poczekał jeszcze chwilę. Ale Szwejkowi już się na Kukliku nie podobało i dlatego zagroził swoim towarzyszom, że pójdzie sam.

Ruszyli tedy w drogę, ale musiał im Szwejk obiecać, że z nimi jeszcze gdzieś po drodze wstąpi.

Wstąpili do małej kawiarenki za Florencją, gdzie grubasek sprzedawał swój srebrny zegarek, aby się mogli jeszcze trochę poweselić.

Stamtąd musiał Szwejk prowadzić obu swoich towarzyszy pod rękę. Kosztowało go to dużo wysiłków. Grubasek byłby o mały figiel zgubił papiery, przeznaczone dla kapelana polowego, tak że Szwejkowi wypadło zaopiekować się i tymi papierami.

Co chwila musiał Szwejk zwracać im uwagę, że idzie oficer czy podoficer. Po nadludzkich wysiłkach i trudach

* Był to środek niezawodny na dostanie się do szpitala. Ale woń nafty, która pozostawała w obrzmieniu, była zdradziecka. Benzyna okazała się lepszym środkiem, bo szybciej wietrzała. Później zastrzykiwano eter z benzyną, a jeszcze później proceder ten został bardziej udoskonalony.

udało mu się dowlec ich do domu przy ul. Królewskiej, gdzie mieszkał kapelan polowy.

Sam powsadzał im bagnety na karabiny i szturchańcami pod zebra przymuszał obu, żeby oni prowadzili jego, a nie on ich.

Na pierwszym piętrze był na drzwiach bilet wizytowy: Otto Katz, Feldkurat. Drzwi otworzył im jakiś żołnierz. Z pokoju słyhać było głosy, brzęk butelek i szklanek.

— Wir — melden — gehorsam — Herr — Feldkurat — mówił z wysiłkiem chudeusz, salutując żołnierza, — ein — Paket — und ein Mann gebracht.

— Właście dalej — rzekł żołnierz. — Gdzieście się tak urządzili? Bo pan feldkurat też sobie... — Splunął z obrzydzeniem.

Żołnierz oddalił się z papierami. Czekali w przedpokoju długo, zanim otworzyły się drzwi i do przedpokoju — nie wszedł — ale wpadł kapelan polowy. Był w kamizelce, w ręku trzymał cygaro.

— Więc jesteś, bratku — rzekł do Szwejka. — Przyprawdzili cię, aha. Macie zapaliki?

— Posłusznie melduję, panie kapelanie, że nie mam.

— E, tak, a dlaczego nie macie zapalek? Każdy żołnierz powinien mieć zapaliki, żeby mógł zapalić papierosa. Żołnierz, który nie ma zapalek, jest... No, co jest?

— Posłusznie melduję, jest bez zapalek — odpowiedział Szwejk.

— Bardzo dobrze, jest bez zapalek i nie może nikomu podać ognia. Tak, to jest po pierwsze, a po drugie, czy nie śmierdzą wam nogi, Szwejku?

— Posłusznie melduję, że nie śmierdzą.

— Tak, po drugie, a teraz trzecie. Pijecie wódkę?

— Posłusznie melduję, że wódki nie piję, ale arak.

— No dobrze, popatrzcie na tego żołnierza. Pożyczyłem go sobie na dzisiejszy wieczór od oberlejtanta Feldhubera,

to jego pucybut. Ale on nic nie pije, jest ab-ab-ab-sty-nent i dlatego pójdzie na front. Po-nieważ taki człowiek jest do niczego. To nie pucybut, ale krowa. Krowa pije tylko wodę i ryczy jak wół.

— Ty jesteś abstynent — zwrócił się do żołnierza — i nie wstyd ci, fujaro. Po pysku należałoby cię sprać.

Kapelan zwrócił uwagę na tych, którzy Szwejką przypro-wadzili i którzy dla utrzymania równowagi kiwali się na wszystkie strony, daremnie opierając się o karabiny.

— Jesteście pi-pi-pi-jani — rzekł kapelan. — Upiłicie się na służbie i za to każę was wsadzić do pa-pa-paki. Odbierzcie im, Szwejkę karabiny i zaprowadźcie ich do kuchni, i pilnujcie ich, dopóki nie przyjdzie patrol. Ja zaraz zatelefonu-nuję do koszar.

Słowa Napoleona, że „na wojnie sytuacja zmienia się co chwila“, sprawdziły się w całej pełni i w tym wypadku.

Rano ci żołnierze prowadzili Szwejkę pod bagnetami i bali się, żeby im nie uciekł, potem on sam przyprowadził ich tutaj, a wreszcie musi ich pilnować.

Zrazu nie zdawali sobie sprawy z takiego obrotu rzeczy, ale gdy siedzieli w kuchni i widzieli, że Szwejk stanął przy drzwiach z bagnetem na karabinie, zrozumieli, co się stało.

— Napiłbym się czego — westchnął grubasek optymista, a chudeusz popadł znowu w swój dawny sceptycyzm i rzekł, że to wszystko jest nędzną zdradą. Zaczął głośno oskarżać Szwejkę, że to on wprowadził ich w taką sytuację, i gorzko mu wyrzucał, że im obiecał, jako jutro rano będzie powieszony, a teraz widać, że sobie z nich zakpił i z tą spowiedzią i wieszaniem.

Szwejk milczał i chodził przed drzwiami.

— Osły jesteście! — krzyczał wysoki chudy.

Wysłuchawszy wszystkich oskarżeń, Szwejk ozwał się wreszcie:

— Teraz widzicie przynajmniej, że wojna to nie żaden miód. Ja pełnię swój obowiązek. Dostałem się w to wszystko tak samo jak i wy, ale w mowie powszechnej mówi się w takich razach, że fortuna się do mnie uśmiechnęła.

— Napiłbym się czego — powtarzał zrozpaczony optymista.

Wysoki chudy wstał i krokiem chwiejnym podszedł ku drzwiom:

— Puść nas do domu — rzekł do Szwejka — i nie baw się, kolego.

— Odejdź ode mnie — odpowiedział Szwejk. — Muszę was pilnować. Nie znamy się.

We drzwiach ukazał się kapelan polowy:

— W żaden sposób nie mogę się dodzwonić do koszar, więc idźcie do domu i pa-pa-pamiętajcie, że na służbie chłać nie wo-wo-lno. Marsz!

Na dobro pana feldkurata należy zapisać, że do koszar nie telefonował, bo nie miał w domu telefonu, ale przemawiał do podstawki lampki elektrycznej.

* * *

Już trzeci dzień był Szwejk sługą kapelana polowego Ottona Katza i przez cały ten czas widział go tylko raz. Na trzeci dzień przyszedł bursz nadporucznika Helmicha i kazał Szwejkowi, żeby przyszedł zabrać kapelana polowego.

Po drodze powiedział Szwejkowi, że kapelan polowy pokłócił się z nadporucznikiem, potłukł pianino, jest pijany jak bela i nie chce iść do domu.

Ponieważ nadporucznik Helmich jest także pijany, więc wyrzucił kapelana do sieni, a ten siedzi pod drzwiami i podrzemuje.

Po przybyciu na miejsce Szwejk potrząsnął feldkuratą, a gdy ten otworzył oczy i coś mruknął, Szwejk zasalutował i rzekł:

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że przyszedłem.

— A czego wy tu chcecie?

— Posłusznie melduję, że mi po pana feldkurata kazali przyjść.

— Kazali wam po mnie przyjść, a gdzie pójdziemy?

— Do mieszkania pana feldkurata.

— A dlaczego mam iść do swego mieszkania? Czy nie jestem w swoim mieszkaniu?

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że tu jest się w obcym domu.

— A — jak — ja — się tu dostałem?

— Posłusznie melduję, że pan feldkurat był tu w gościnie.

— W go-go-gościnie nie-nie-nie byłem. My-my-licie się...

Szwejk podniósł kapelana i oparł go o ścianę. Kapelan polowy kiwał się na wszystkie strony, opadał na Szwejka i mówił:

— Ja się przewrócę. Przewrócę się — powtórzył jeszcze raz, uśmiechając się głupawo. Nareszcie udało się Szwejkowi przycisnąć go do muru, ale kapelan i w tej nowej pozycji zaczął drzemać. Szwejk zbudził go.

— Czego sobie życzycie? — rzekł kapelan polowy, daremnie usiłując osunąć się po ścianie na podłogę. — Co wy za jeden?

— Posłusznie melduję — odpowiedział Szwejk podtrzymując kapelana polowego i przyciskając go do ściany — że jestem pana feldkurata pucybut.

— Ja żadnego pucybuta nie mam — rzekł z wysiłkiem kapelan polowy robiąc nową próbę przewrócenia się na Szwejka. — Ja nie jestem żaden feldkurat.

— Ja jestem prosię — rzekł ze szczerością pijaka. — Puść mnie pan, ja pana nie znam.

Krótką walką skończyła się całkowitym zwycięstwem Szwejka, który przewagę swoją wykorzystał na to, że ściągnął kapelana na dół i stanął z nim w bramie, gdzie kape-

lan opierał się wszystkimi siłami, aby Szwejk nie mógł wyciągnąć go na ulicę.

— Ja pana nie znam, mój panie — powtarzał bezustannie, opierając się Szwejkowi. — Znasz pan Ottona Katza? To właśnie ja.

— Ja byłem u arcybiskupa, rozumiesz pan? — wykrzykiwał w bramie. — Watykan się mną interesuje!

Szwejk przestał „posłusznie meldować” i zaczął rozmawiać z feldkuratem tonem zgoła już poufałym.

— Puść bramę — perswadował, — bo dam po łapach. Idziemy do domu i basta. Bez gadania!

Feldkurat puścił bramę i zwałił się na Szwejka.

— No, to wstąpmy gdzieś, ale do Szuhów nie pójdę, bo mam tam długi.

Szwejk wypchnął go z bramy i chodnikiem włókł ku domowi.

— Co to za jeden ten pan? — zapytał jakiś przechodzień.

— To mój brat — odpowiedział Szwejk. — Dostał urlop, przyjechał do mnie w odwiedziny i z uciechy upił się, ponieważ myślał, że ja już nie żyję.

Feldkurat nucił sobie jakieś melodie operetkowe, które trudno było rozpoznać. Gdy zasłyszał ostatnie słowa, zwrócił się do przechodniów:

— Kto z was nie żyje, niech się zamelduje w komendzie korpusu w ciągu trzech dni, aby jego zwłoki mogły dostać pokropek.

I zamilkł, starając się upaść nosem na chodnik, podczas gdy Szwejk, trzymając go pod pachę, włókł go do domu.

Z głową wyciągniętą naprzód i włókąc nogi za sobą, jak kot z przetrąconym grzbietem, feldkurat mruzczał pod nosem: Dominus vobiscum et cum spiritu tuo. Dominus vobiscum.

Koło stacji dorożek Szwejk ustawił feldkurata pod murem i poszedł układać się z dorożkarzem o kurs do domu.

Jeden z dorożkarzy oświadczył, że tego pana bardzo dobrze zna, że już go raz wioził i więcej go nie powiezie.

— Porzygał mi wszystko w dorożce — wyraził się jak najpotoczniej — i nie zapłacił za kurs. Przeszło dwie godziny go wozilem, zanim trafił wreszcie do swego mieszkania. I dopiero po tygodniu, gdy zachodziłem do niego ze trzy razy, dał mi za to wszystko pięć koron.

Po długich targach zdecydował się jeden z dorożkarzy zawieźć feldkurata do domu.

Szwejk powrócił do swego pana, który spał. Czarny melonik (ubierał się zazwyczaj po cywilnemu) zdjął mu tymczasem ktoś z głowy i zabrał sobie.

Szwejk zbudził go i przy pomocy dorożkarza usadowił w dorożce. Tymczasem kapelan popadł w zupełną prostrację i zaczął traktować Szwejka jako pułkownika Justa z siedemdziesiątego piątego pułku piechoty i raz za razem powtarzał:

— Wybacz, kolego, że cię tykam. Jestem prosię.

W pewnej chwili zdawało się, że skutkiem trzęsienia się dorożki odzyskuje przytomność. Usiadł prosto i zaczął śpiewać strofkę z nieznannej Szwejkowi piosenki. Być może, iż była to jego improwizacja:

Wspominam te złote czasy,
Gdy mnie darzył pieszczotami,
Mieszkaliśmy na Merklinie
Ach, pod Domażlicami.

Po chwili popadł znowu w stan prostracji i zwracając się do Szwejka mrużył jedno oko i pytał:

— Jak się szanowna pani dzisiaj miewa? Czy wyjeżdża pani dokąd na letnie mieszkanie? — pytał uprzejmie, a ponieważ w oczach mu się dwoiło, dodał: — Szanowna pani ma już dorosłego syna? — Palcem wskazywał na Szwejka.

— Siedzieć! — krzyknął Szwejk, gdy feldkurat usiłował stanąć na siedzeniu. Nauczę ja cię moresu!

Kapelan uspokoił się i malutkimi świńskimi oczkami wyglądał z dorożki, nie wiedząc, co się z nim dzieje.

Stracił zupełnie przytomność i zwracając się do Szwejka, rzekł:

— Otwórzcie mi, kobietko, klozet pierwszej klasy. — Próbował spuścić spodnie.

— Zapniesz mi się zaraz, ty proszę! — krzyknął nań Szwejk. — Już cię znają wszyscy dorożkarze. Już się raz porzygałeś w dorożce, a teraz jeszcze takie rzeczy! Nie myśl, bratku, że znowu ci będą kredytowali, jak kiedyś.

Feldkurat melancholijnie wsparł głowę na dłoni i zaczął śpiewać:

Mnie już nikt nie kocha...

Przerwał wszakże tę piosenkę i rzekł: — Entschuldigen sie, lieber Kamerad, sie sind ein Trottel, ich kann singen, was ich will.

Próbował gwizdać jakąś melodię, ale zamiast gwizdania spłynęło mu z warg takie potężne: „pr“, że konie stanęły.

Gdy na wezwanie Szwejka dorożkarz ruszył dalej, kapelan zaczął zapalać cygarniczkę.

— Nie chce się palić — rzekł zrozpaczony, gdy popsuł całe pudełko zapalek. — Wy mi gasicie zapalki.

Zgubił wątek myśli i zaczął się śmiać:

— To ci, bracie, szpas! Jesteśmy tylko my dwaj w tramwaju, prawda, panie kolego? — Zaczął szukać po kieszeniach.

— Zgubiłem bilet jazdy! — krzyczał. — Stanąć proszę, bo muszę szukać biletu.

Zrezygnowany machnął ręką: — Niech jadą...

Potem mruczał pod nosem:

— W najliczniejszych przypadkach... Tak jest, w porządku... We wszystkich przypadkach... Pan się myli... Drugie piętro?... To wykręty... Nie o mnie chodzi, ale o szanowną panią... Płacić... Mam czarną kawę...

W północy zaczął się sprzeczać z jakimś domniemanym nieprzyjacielem, który odmawiał mu rzekomo prawa do siedzenia przy oknie restauracji. Potem zaczął dorożkę uważać za pociąg, wychylał się i wykrzykiwał po czesku i po niemiecku na całą ulicę:

— Nymburg! Przesiadać się!

Szwejk pociągnął go ku sobie, a feldkurat, zapomniawszy o pociągu, naśladował różne głosy zwierząt. Najdłużej naśladował koguta, a jego zwyczajnie kukuryku słychać było w całej okolicy.

Był w ogóle bardzo ruchliwy i przedsiębiorczy, usiłując wypaść z dorożki i wyzywając mijanych przechodniów od uliczników. Potem wyrzucił z dorożki chustkę do nosa i krzyczał, że trzeba stanąć, bo zgubił swoje toboły. Wreszcie zaczął opowiadać:

— W Budziejowicach był jeden tambor. Ożenił się. Po roku umarł. Czy to nie świetna anegdotka? — Wybuchnął śmiechem.

Przez cały ten czas Szwejk był dla kapelana surowy i bezwzględny.

Przy różnych żarcikach feldkurata, jak na przykład przy próbie wypadnięcia z dorożki, rozdarcia siedzenia, Szwejk dawał mu sójkę w bok, co kapelan przyjmował z zupełną obojętnością.

Tylko raz spróbował zbuntować się i wyskoczyć z dorożki, oświadczając, że dalej nie pojedzie, bo wie, że zamiast do Budziejowic, jadą do Podmokli. W ciągu minuty Szwejk zlikwidował ten bunt całkowicie i zmusił feldkurata, aby siedział przyzwoicie, a jednocześnie pilnował, aby pijany nie usnął. Napominał go też delikatnie:

— Nie śpij, ty zdechlaku!

Feldkurat popadł nagle w melancholię i ze łzami w oczach jął wypytywać Szwejka, czy miał matkę.

— Ja, ludzie kochani, jestem na tym świecie sam! — pokrzykiwał żałośnie. — Ulitujcie się nade mną!

— Nie rób mi wstydu — napominał go Szwejk. — Prze-
stań wyrabiać takie rzeczy, bo ludzie powiedzą, żeś się upił.

— Ja nic nie piłem, kolego — odpowiedział feldkurat. — Je-
stem całkiem trzeźwy.

Nagle zerwał się i salutował:

— Ich melde gehorsamst, Herr Oberst,
ich bin besoffen.

— Jestem prosię — powtarzał dziesięć razy z rzędu ze
szczerą, rozpaczliwą beznadziejnością.

A zwracając się do Szwejka, prosił i żebrał natrętnie:

— Wyrzućcie mnie z automobilu. Dlaczego wieziecie mnie
z sobą?

Po chwili usiadł i mruzczał pod nosem: Hej, miesięczku
miły, czemuś taki smutny? Czy pan kapitan wierzy w nie-
śmiertelność duszy? Czy koń może się dostać do nieba?

Zaczął śmiać się na cały głos, ale po chwili posmutniał
znowu i apatycznie spoglądał na Szwejka, mówiąc do niego:

— Pan pozwoli, ale ja pana już gdzieś widziałem. Czy nie
był pan w Wiedniu? Pamiętam pana z seminarium.

Przez chwilę bawiło go skandowanie wierszy łacińskich: —
Aurea prima satast aetas, quae vindice
nullo.

— Dalej nie umiem! — rzekł. — Wyrzućcie mnie na ulicę?
Nic mi się nie stanie.

— Chcę upaść na nos — oświadczył kategorycznie.

— Panie — zaczął prosić głosem żebrzącym — przyjacie-
lu drogi, daj mi w łeb.

— Raz, czy kilka razy? — pytał Szwejk — Dwa razy?
Służę...

Feldkurat liczył głośno szturchańce i uśmiechał się błogo.

— To bardzo przyjemnie — rzekł. — To zdrowo na żo-
łądek, bo poprawia trawienie. Proszę mi dać w pysk.

— Serdecznie dziękuję! — zawołał, gdy Szwejk szybko

uczynił zadość jego życzeniu. — Jestem zupełnie zadowolony. Proszę pana, niech pan rozedrze moją kamizelkę.

Wyrażał najróżniejsze życzenia. Życzył sobie, aby mu Szwejk wykręcił nogę, aby go przydusił troszeczkę, aby mu obciął paznokcie, wybił przednie zęby.

Budziły się w nim pragnienia męczeńskie, więc domagał się od Szwejka, aby mu urwał głowę i rzucił ją w Wełtawę.

— Mnie byłoby ładnie w gwiazdkach dokoła głowy. Przydałoby mi się ich dziesięć.

Potem zaczął mówić o wyścigach i szybko przeszedł do baletu, ale nie zatrzymywał się przy nim zbyt długo.

— Czy tańczy pan czardasza? — pytał Szwejka. — A zna pan taniec niedźwiedzia? O, tak...

Chciał podskoczyć, ale zwałił się na Szwejka, który zbksował go naprzód, a potem ułożył na siedzeniu.

— Ja czegoś chcę! — krzyczał feldkurat. — Ale nie wiem, czego chcę. Może pan wie lepiej ode mnie? — Zwiesił głowę w zupełnej rezygnacji.

— Co mi zresztą do tego, czego chcę — rzekł poważnie. — I panu też nic do tego. Ja pana nie znam. Jak pan śmie spoglądać na mnie tak impertynencko. Zna się pan na fechtunku?

Przez chwilę był bardzo przedsiębiorczy i próbował zepchnąć Szwejka z siedzenia. Potem zaś, gdy Szwejk go uspokoił, bez wahania dając mu odczuć swoją przewagę fizyczną, feldkurat zapytał go:

— Czy dziś poniedziałek, czy piątek?

Zaciekawiało go też, czy to grudzień, czy czerwiec i wykażał wielkie zdolności w zadawaniu pytań:

— Czy pan żonaty? Czy lubi pan ser Gorgonzola? Czy pan ma w domu pluskwy? Czy pies pański miał nosaciznę?

Stał się bardzo rozmowny. Opowiadał, że winien jest szewcowi za buty do jazdy konnej, pejcz i siodło, że przed laty miał rzeżączkę i leczył ją hipermanganem.

— O niczym innym nie było można nawet myśleć — rzekł

czkając. — Być może, iż wydaje się to panu dość cierpkie, ale niech pan eh, ah, sam powie, co ja mam robić? Musi mi pan wybaczyć.

— Autotherm — mówił dalej, zapomniawszy o tym, o czym mówił przed chwilą — to takie naczynia, które utrzymują napoje i pokarmy w stanie ciepłym. A co pan sądzi, panie kolego, która gra jest sprawiedliwsza: werbel, czy oko?

— Ja cię naprawdę już gdzieś widziałem! — zawołał, próbując objąć Szwejka i ucałować go zaslinionymi ustami. — Chodziliśmy razem do szkoły.

— Ty pocziwcze zacny — wywodził tkliwie, głaszcząc swoją nogę — jakieś ty podrósł od czasu, gdy widziałem cię po raz ostatni. Zapominam o wszystkich udrękach z samej uciechy, że cię widzę.

Opanował go nastrój poetyczny, więc zaczął mówić o powrocie do blasków słonecznych, zadowolonych twarzy i gorących serc.

Potem ukląkł i zaczął się modlić: „Zdrowaś Maria“, śmiejąc się przy tym na całe gardło.

Gdy konie stanęły przed jego domem, było bardzo trudno wydostać go z dorożki.

— Jeszcze nie jesteśmy na miejscu! — krzyczał. — Ratujcie! Porywają mnie!

W pełnym znaczeniu tego słowa został wyciągnięty z dorożki, jak gotowany ślimak z muszli. Przez chwilę zdawało się, że go przerwą, bo nogi zaplątały mu się pod siedzeniem.

— Przerwiecie mnie, panowie! — wołał ze śmiechem, ciesząc się, że dorożkarza i Szwejka wyprowadził w pole.

Potem wleczono go przez bramę i po schodach aż do mieszkania i Szwejk rzucił go na kanapę jak bezwładny tobół. Oświadczył, że nie myśli płacić za ten automobil, którego nie zamawiał i przez kwadrans trzeba było tłumaczyć mu, że to była dorożka.

Ale i wówczas nie przestał się kłócić, dowodząc, że jeździ tylko fiakrem.

— Chcecie mnie oszukać — mówił feldkurat, wymownie mrugając na Szwejka i na dorożkarza. Przecież szliśmy piechotą.

I nagle w przyływie wielkoduszności rzucił dorożkarzowi portmonetkę.

— Zabieraj wszystko! Ich kann bezahlen. Ja się o parę grajcarów nie kłócę.

Gdyby chodziło o ścisłość, to powinien był powiedzieć, że mu nie zależy na trzydziestu sześciu grajcarach, bo w portmonetce było akurat tyle. Na szczęście dorożkarz poddał go ścisłej rewizji osobistej, mówiąc przy tym o dawaniu po łbie.

— No to wal — odpowiedział feldkurat. — To nie osobliwego. Jestem wytrzymały.

W kieszeni kamizelki znalazł dorożkarz pięć koron. Wychodził, przeklinając swój los i feldkurata, że mu zabrał tyle czasu i nie płaci.

Kapelan zasypiał powoli i ciągle robił jakieś plany. Zamierzał czynić różne rzeczy, grać na fortepianie, brać lekcje tańca i smażyć rybki.

Potem obiecywał wydać za Szwejka swoją siostrę, której nie miał. Życzył sobie też, żeby go zanieśli na łóżko, i wreszcie zasnął, oświadczając, że życzy sobie, aby w nim uszanowany był człowiek, czyli jednostka posiadająca wartość nie mniejszą od świni.

* * *

Gdy nazajutrz z rana Szwejk wszedł do pokoju, w którym feldkurat spał, znalazł go na kanapie rozmyślającego usilnie nad tym, jak i co się mogło stać, że został polany tak osobliwie, iż spodnie przylepiły się do skórzanej kanapy.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat — rzekł Szwejk — że pan w nocy...

Niewielu słowy wytłumaczył mu, jak straszliwie się myli, przypuszczając, że został polany. Feldkurat miał głowę niezwykle ciężką i znajdował się w stanie wielkiej depresji.

— Nie mogę sobie przypomnieć — mówił — w jaki sposób z łóżka dostałem się na kanapę.

— Pan feldkurat wcale na łóżku nie był. Jak tylko przyjechaliśmy, to zaraz pana feldkurata ułożyłem na kanapie, bo dalej zaciągnąć go nie mogłem.

— A co ja wyrabiałem? Czy zrobiłem coś nieprzyzwoitego? Czy może byłem pijany?

— Jak bela — odpowiedział Szwejk. — Był pan feldkurat pijany akuratnie i miał łagodne delirium. Przypuszczam, że będzie panu feldkuratowi lepiej gdy się przebierze i umyje.

— Tak mi jest, jakby mnie kto zbił — narzekał pan feldkurat. — No i pragnienie mnie męczy. Czy nie biłem się wczoraj z kimkolwiek?

— Można było wytrzymać, panie feldkurat. Pragnienie jest następstwem wczorajszego pragnienia. Wydostać się z takiego pragnienia nie tak łatwo. Znałem pewnego stolarza który pierwszy raz upił się na Sylwestra roku tysiąc dziewięćset dziesięć, a pierwszego stycznia miał takie pragnienie i czuł się tak niedobrze, że musiał kupić sobie śledzia, a potem pił znowu i tak się to powtarza już od czterech lat i nikt nie może mu na to poradzić, ponieważ w sobotę kupuje zawsze śledzi na cały tydzień. To taki kołowrót, jak mawiał pewien starszy sierżant dziewięćdziesiątego pierwszego pułku.

Kapelan miał dokumentny katzenjammer i ciężką depresję. Kto by się był przysłuchiwał jego wywodom, byłby miał wrażenie, że słucha odczytu doktora Aleksandra Batka: — Wypowiedzmy wojnę na śmierć i życie demonowi alkoholu, który morduje naszych mężów najlepszych. — I byłoby mu się zdawało, że czyta tegoż autora „Sto iskier technicznych“.

Trzeba przyznać, że kapelan zmienił nieco tekst i mówił tak:

— Gdyby się człek trzymał przynajmniej takich szlachetnych napojów, jak arak maraschino, koniak, ale ja piłem wczoraj borówkową. Dziwię się, że mogę ją tak chlać. Smak ma obrzydliwy. Żeby to przynajmniej Griotte. Ludzie wykombinują różne świństwa i piją je jak wodę. Taka wódka borówkowa nie ma smaku ani barwy i pali gardło. I żeby jeszcze była prawdziwa, jak bywają destylaty z jałowca, które pijałem na Morawach. Ale ta borówkowa była z jakiegoś drzewnego spirytusu i z olejów. Uważajcie, jak mi się odbija.

— Wódka jest trucizną — zdecydował. — Powinna być prawdziwa i oryginalna, a nie taka, jaką wyrabiają po fabryczkach na zimno. Tak samo jest z arakiem. Dobry arak to osobliwość.

Żeby teraz była w domu prawdziwa orzechówka — westchnął — to by mi doprowadziła żołądek do porządku. Taka orzechówka, jaką miewa pan kapitan Sznabl w Brusce.

Zaczął przeglądać kieszenie.

— Mam wszystkiego trzydzieści sześć grajcarów. Czyby nie sprzedać kanapy? — zastanawiał się. — Co wy na to? Czy znalazłby się kupiec na kanapę? Gospodarzowi się powie, że ją wypożyczyłem albo że nam ją ukradli. Nie, kanapę sobie zostawię. Poślę do pana kapitana Sznabla, żeby mi pożyczył sto koron. Onegdaj wygrał w karty. Jeśli wam się tam nie poszczęści, to pójdziecie do Wrszowic do koszar do nadporucznika Mahlera. Jeśli i tam się nie uda, to pójdziecie na Hradczany do kapitana Fiszera. Powiecie mu, że muszę zapłacić furaz dla konia, a pieniądze przepiłem. Gdyby się i to nie udało, to zastawimy fortepian, niech się dzieje, co chce. Napiszę wam ogólnikowo parę słów. Nie dawajcie się zbyć byle czym. Powiedzcie, że potrzebuję koniecznie, bo nie mam ani grosza. Wykombinujcie, co chcecie, ale nie wracajcie do domu z pustymi rękoma, bo was wyprawię na front.

Spytajcie kapitana Sznable, gdzie kupuje tę orzechówkę, i kupcie dwie butelki.

Szwejk wypełnił swoje zadanie świetnie. Jego dobroduszość i poczciwa twarz budziła wszędzie zaufanie i wiarę, że to, co mówi, jest prawdą.

Szwejk uznał za właściwe, aby przed kapitanem Sznablem, kapitanem Fiszerem i nadporucznikiem Mahlerem mówić nie o tym, że feldkurat musi płacić furaz dla konia, ale umotywować prośbę tym, że feldkurat musi płacić alimenty. Pieniądzy dali mu wszędzie.

Gdy po powrocie do domu pokazywał trzysta koron, dumny z wyprawy, feldkurat, który tymczasem umył się i ubrał, był bardzo zdziwiony.

— Załatwiłem wszystko od jednego zamachu — rzekł Szwejk — żebyśmy jutro albo pojutrze nie potrzebowali znowu troszczyć się o pieniądze. Poszło mi dość gładko, tylko przed panem kapitanem Sznablem musiałem paść na kolana. Jakiś nieludzki człowiek. Ale jakem mu rzekł, że musimy płacić alimenty...

— Alimenty — powtórzył wystraszony feldkurat.

— A tak, alimenty, proszę pana feldkurata, niby odczepne dziewczynom. Pan feldkurat kazał mi, żebym coś wykombinował, a mnie nic lepszego nie przyszło do głowy. Tam u nas jeden szewc płacił alimenty pięciu dziewczynom i był z tego wszystkiego zrozpaczony. Też musiał na to pożyczać, ale każdy mu chętnie pożyczał, bo wiedział, że ten szewc jest w okropnym położeniu. Pytali się, co to za dziewczyna, a ja powiedziałem, że bardzo ładna i jeszcze nie skończyła piętnastu lat. Więc chcieli adres.

— Ładnych rzeczy nabroiliście, Szwejku — westchnął feldkurat i zaczął chodzić po pokoju.

— Co za hańba! — powtarzał chwytając się za głowę. — Mam mocny ból głowy.

— Ja im dałem adres pewnej starej głuchej pani z naszej

ulicy — tłumaczył się Szwejk. — Chciałem wszystko zrobić jak najlepiej, bo rozkaz to rozkaz. Nie pozwoliłem zbyć się byle czym i trzeba było coś wykombinować. Aha, w sieni czekają ludzie na fortepian, żeby go zawieźć do lombardu, proszę pana feldkurata. Będzie nieźle, jak się pozbędziemy fortepianu. W mieszkaniu będzie więcej miejsca, a w kieszeni będzie więcej pieniędzy. Przez parę dni będzie spokój. A jeśli pan gospodarz będzie się o ten fortepian dopytywał, to mu powiem, że się w nim poprzerzywały druty i że trzeba było oddać go do fabryki do reperacji. Stróżce już o tym powiedziałem, żeby się niczemu nie dziwiła, gdy fortepian będą wynosili. Znalazłem też kupca na kanapę. Jest nim mój znajomy, handlarz starych mebli, a przyjdzie po południu. Teraz dobrze płacą za skórzane kanapy.

— Więcej już nic nie spłataliście? — pytał kapelan trzymając się za głowę. Był zrozpaczony.

— Przyniosłem, proszę pana feldkurata, zamiast dwóch butelek orzechówki takiej, jaką pije pan kapitan Sznabl, od razu pięć, żeby w domu był pewien zapas i żebyśmy mieli co pić. Czy ludzie mogą zabierać teraz ten fortepian? Bo lombard niedługo zamkną.

Kapelan machnął ręką beznadziejnie i po chwili fortepian układali na wózku.

Gdy Szwejk powrócił z lombardu, ujrzał feldkurata siedzącego przy otwartej butelce orzechówki i wymyślającego na jakichś ludzi, którzy na obiad podali mu nie dosmażony kotlet.

Feldkurat odzyskiwał równowagę ducha. Oświadczał Szwejkowi, że od jutra rozpocznie nowe życie.

Picie alkoholu to haniebny materializm. Trzeba życie uduchować.

Mówił filozoficznie przez jakieś pół godziny. Gdy otwierał trzecią butelkę, przyszedł handlarz kupujący stare meble. Feld-

kurat sprzedał mu za bagatelę kanapę i zaprosił go na pogawędkę. Bardzo był niezadowolony, gdy handlarz podziękował za zaproszenie i tłumaczył się, że idzie właśnie kupować nocny stolik.

— Szkoda, że nie mam nocnego stolika — rzekł feldkurat z żalem. — Trudno pamiętać o wszystkim.

Po odejściu handlarza starych mebli feldkurat wdał się w przyjacielski dyskurs ze Szwejkem i wypił z nim dalszą butelkę. Część rozmowy poświęcona była zagadnieniom osobistego stosunku do kobiet i kart.

Siedzieli długo. Nadszedł wieczór, a przyjacielska rozmowa Szwejka z feldkuratem nie miała jeszcze końca.

Ale w nocy sytuacja się zmieniła. Feldkurat znalazł się w stanie podobnym do wczorajszego, brał Szwejka za kogoś innego i mówił:

— Bynajmniej. Niech pan nie odchodzi. A czy pamięta pan jeszcze tego rudego kadeta od taborów?

Sielanka trwała dość długo, aż wreszcie Szwejk rzekł do feldkurata:

— Już mam tego dość. Teraz wleziesz do łóżka i będziesz gnił. Rozumiesz?

— Wlezę, kochanie, wlezę, jakże miałbym nie wleźć — mruzczał feldkurat. — Pamiętasz, bratku, jak chodziliśmy razem do piątej klasy i jak ci robiłem wypracowania z greckiego? Pan ma willę na Zbrasławiu. Może pan jeździć parostatkami przez Wełtawę. Wie pan, co jest Wełtawa?

Szwejk zmusił feldkurata do zdjęcia ubrania i butów. Feldkurat poddał się przymusowi, ale zwrócił się z protestem do jakichś nieznanych osób.

— Widzicie, panowie — przemawiał do szafy i figowca — jak obchodzą się ze mną moi krewni.

— Nie znam swoich krewnych — zdecydował nagle i po-

łożył się do łóżka. — Gdyby niebo i ziemia wystąpiły przeciwko mnie, nie znam ich...

Po chwili w pokoju słychać było chrapanie feldkurata.

* * *

W tych dniach Szwejk odwiedził swoją starą posługaczkę, panią Müllerową, w jej mieszkaniu. Zastał tam siostrzenicę pani Müllerowej, która z płaczem oznajmiła mu, że pani Müllerowa została zaaresztowana tegoż samego dnia, gdy odwiozła Szwejka do wojska. Starą panią sądził sąd wojenny, a ponieważ nie mogli jej niczego dowieść, wywieźli ją do obozu koncentracyjnego w Steinhofie. Przyszła karta od niej.

Szwejk sięgnął po tę rodzinną relikwię i czytał:

Kochana Anusiu! Mamy się tu wszyscy bardzo dobrze, wszyscy jesteśmy zdrowi. Sąsiadka, której łóżko stoi obok mojego, ma plamisty ————. Mamy tu też czarną ————. Ale poza tym wszystko w porządku ————. Jedzenia mamy dosyć i zbieramy ———— od kartofli na polewkę. Słyszałam, że pan Szwejk też już ————, więc się sprytnie dowiedz, gdzie leży, żebyśmy po wojnie mogły jego grób obłożyć. Zapomniałam ci powiedzieć, że na strychu w ciemnym kącie jest w skrzynce mały piesek, ratlerek, szczeniátko. Ale już parę tygodni nie dostał nic jeść, mianowicie od tego czasu, kiedy po mnie przyszli ————. Myślę więc, że już za późno i że ten piesek też już ————.

Wzdłuż pocztówki była odbita czerwona pieczętka: *Zensuriert. K. u. k. Konzentrationslager, Steinhof* i w tekście widniały tłuste czarne plamy, którymi cenzura zamazała niebezpieczne słowa.

— I naprawdę ten piesek był już zdechły — rozplakała się siostrzenica pani Müllerowej. — A mieszkania swego to by pan nawet nie poznał. Mieszkają w nim szwaczki i z pokoju zrobiły sobie damski salonik. Po ścianach damskie mody, a na oknach kwiatki.

Siostrzenica pani Müllerowej była nieutulona.

Nie przestając szlochać i narzekać, wyraziła wreszcie obawę, że Szwejk musiał uciec z wojska, chce ją zgubić i wtrącić w nieszczęście. Wreszcie rozmawiała z nim tak, jak się rozmawia z ostatnim łotrem i awanturnikiem.

— To bardzo szpasowne — rzekł Szwejk — to mi się bajecznie podoba. Więc żeby pani wiedziała, pani Kejrzowo, ma pani rację, że uciekłem. Ale musiałem zabić piętnastu wachmistrzów i feldfeblów. Tylko niech pani nikomu nic nie mówi...

I Szwejk odszedł z domu swego, który go nie przyjął. Na odchodnym rzekł:

— W pralni mam parę kołnierzyków i półkoszulków, pani Kejrzowo, trzeba je odebrać, żebym się miał w co ubrać, jak wrócę z wojny. I trzeba przypilnować, żeby się do ubrania w szafie nie dostały mole. A te panienki, co sypiają w moim łóżku, proszę pięknie pozdrowić ode mnie.

Potem poszedł Szwejk zajrzeć „Pod kielich“. Widząc go, pani Paliwcowa oświadczyła, że mu nic nie poda, bo pewno uciekł z wojska.

— Mój mąż — zaczęła rozmazywać starą historię — był taki ostrożny i siedzi. Siedzi nieborak zamknięty, nie wiadomo za co i po co. A tacy ludzie chodzą sobie po świecie i uciekają z wojska. Już przeszłego tygodnia szukali tu pana. My jesteśmy ostrożniejsi od pana — kończyła swoje wywody — a wpadliśmy w nieszczęście. Nie każdy ma takie szczęście, jak pan.

Podczas tej rozmowy był w szynku pewien starszy pan, ślusarz ze Smichowa. Ten pan podszedł do Szwejka i rzekł:

— Proszę, niech pan poczeka na mnie na dworze. Muszę z panem porozmawiać.

Na ulicy zgadał się ze Szwejkim, którego na skutek rekomendacji pani Paliwcowej uważał, jak i ona, za dezertera.

Powiedział mu, że ma syna, który też uciekł z wojska i siedzi u babki w Jasonej pod Józefowem.

Ani słuchać nie chciał, gdy Szwejk go zapewniał, iż nie jest dezserterem, i wsunął mu w rękę dziesięć koron.

— To taka pomoc na pierwszy ogień — rzekł pociągając go z sobą do winiarni na rogu. — Ja pana rozumiem, mnie się obawiać nie trzeba.

Późną nocą wrócił Szwejk do mieszkania feldkurata, który jeszcze nie wrócił.

Przyszedł dopiero nad ranem, zbudził Szwejka i rzekł:

— Jutro będzie msza polowa. Gotujcie czarną kawę i dajcie arak. Albo jeszcze lepiej, ugotujcie grogu.

XI

Szwejk jedzie z kapelanem odprawić mszę polową.

Przygotowania do uśmiercania ludzi odbywały się zawsze w imieniu Boga, czy też w ogóle w imieniu jakiejś domniemanej wyższej istoty, którą ludzkość sobie wyimaginowała i stworzyła w swej wyobraźni. Starożytni Fenicjanie, zanim poderżnęli gardło jakiemuś jeńcowi, odprawiali tak samo uroczyste nabożeństwa, jak w kilka tysięcy lat później czyniły to nowe pokolenia ludzkości przed pójściem na wojnę, w której tępiły swoich wrogów ogniem i mieczem.

Ludożercy polinezyjscy przed pożarciem swoich jeńców lub ludzi niepotrzebnych, jak: misjonarzy, podróżników, agentów handlowych różnych firm, czy też po prostu turystów, odprawiają przedtem swoim bożkom najrozmaitsze religijne obrzędy. Ponieważ nie dotarła jeszcze do nich kultura ornatów, przeto ozdabiają swoje biodra pękami pstrokatych piór leśnych ptaków.

Nim święta inkwizycja paliła swe ofiary, odprawiała najuroczystsze nabożeństwo, wielką mszę świętą ze śpiewami.

A przy wykonywaniu wyroków śmierci zawsze bywają duchowni, krępując swoją obecnością skazanego.

W Prusach pastor prowadził biedaka pod topór, w Austrii

ksiądz katolicki na szubienicę, we Francji pod gilotynę, w Ameryce duchowny na krzesło elektryczne, w Hiszpanii na stół, gdzie skazany był specjalnym narzędziem duszony, a w Rosji brodaty pop rewolucjonistę, itd. itd. Wszędzie też duchowni zmuszali skazańca do odbycia ostatniej pielgrzymki w towarzystwie ukrzyżowanego, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Tobie to tylko urąbią głowę, ciebie tylko powieszają, uduszą, puszczą na ciebie piętnaście tysięcy woltów, ale co ten biedak musiał przeżywać...!”

Wielkie jatki wojny światowej nie obeszły się bez błogosławieństw duchownych. Kapelani wojskowi wszystkich armii modlili się i odprawiali msze święte o zwycięstwo dla tej armii, której chleb jedli. Przy egzekucjach zrewoltowanych żołnierzy też się zjawiał ksiądz. Przy egzekucjach legionistów czeskich także się widywało duchownego. Nic się też nie zmieniło od owych czasów, kiedy to wielki łupieżca Wojciech, później świętym przezwany, brał udział w tępieniu i mordowaniu Słowian nadbałtyckich, dzierżąc w jednym ręku miecz a w drugim krzyż.

Ludzie całej Europy szli jak bydłota na rzeź, dokąd obok rzeźników-cesarzy, królów i innych potentatów i wodzów prowadzili ich księża wszystkich wyznań, błogosławiąc im i pozwalając fałszywie przysięgać, że na ziemi, w powietrzu, na morzu itd.

Dwukrotnie odprawiano msze polowe. Raz, kiedy część oddziałów odchodziła na front, a drugi raz, za frontem, przed krwawą rzezią, przed zabijaniem. Pamiętam, jak pewnego razu, podczas mszy polowej samolot nieprzyjacielski zrzucił bombę w sam ołtarz polowy, a z kapelana pozostało tylko parę krwawych strzępów. Potem pisało się o nim jako o męczenniku, wówczas, kiedy nasze samoloty przyczyniły się do podobnej sławy kapelanów po drugiej stronie frontu.

Mieliśmy z tej racji niebывałą uciechę, a na prowizorycz-

nym krzyżu, postawionym na miejscu, gdzie pochowano szczątki kapelana, pojawił się w nocy taki nagrobkowy napis:

To, co nas spotkać może, spadło już na ciebie.
Przyrzekłeś nam, brachu miły, śliczny pobyt w niebie,
Niebo samo spadło dziś na twą głowę biedną,
Zostawiając nam po tobie małą plamkę jedną.

* * *

Szwejk ugotował sławny grog, przewyższający swą jakością grogi starych marynarzy. Taki grog mogli byli pijać piraci osiemnastego stulecia i byliby zadowoleni.

Kapelan Otto Katz był zachwycony i zapytał:

— Kto was nauczył przyrządzać taki wspaniały napój?

— Kiedy przed laty wędrowałem po świecie — odpowiedział Szwejk — spotkałem w Bremie pewnego rozpustnego marynarza, który mówił, że grog musi być taki mocny, aby ten, co by po jego wypiciu wpadł do morza, mógł przepłynąć cały kanał La Manche. Po słabym grogu utopi się jak szczenię.

— Po takim grogu, Szwejk, będzie się nam dobrze odprawiało mszę polową — zauważył kapelan — myślę, że najpierw będę musiał wygłosić kilka słów pożegnania. Msza polowa to nie jest taka zabawa jak odprawianie mszy świętej w garnizonie albo wygłaszanie kazania do tych tam łobuzów. W tym wypadku musi człowiek mieć wszystkie klepki w porządku. Ołtarz polowy mamy. Wydanie kieszonkowe, do składania.

— Jezus, Maria, Szwejk — chwycił się za głowę — ale też jesteśmy idioci! Wiecie, gdzie schowałem ołtarz polowy? Do otomany, którą sprzedaliśmy.

— Tak, to jest nieszczęście, panie feldkuracie — rzekł Szwejk — ja wprawdzie znam tego tandeciarza, przedwcześniej właśnie spotkałem jego żonę. On siedzi w ciupie z powodu jakiejś ukradzonej szafy, a nasza otomana jest u pewne-

go nauczyciela w Wrszowicach. To będzie heca z tym „ontarzem“ polowym. Najlepiej będzie, jak się napijemy grogu i pójdziemy na poszukiwanie — ponieważ myślę, że jednak bez „ontarza“ polowego nie będzie można odprawić mszy świętej.

— Brakuje nam rzeczywiście jeszcze tylko polowego ołtarza — rzekł melancholijnie kapelan. Cieśle już zrobili podium. Monstrancję pożyczą nam z Brzewnowa, kielich powinienem mieć swój, ale gdzież on jest...?

Zamyślił się:

Powiedzmy sobie, że go zgubiłem. Więc dostaniemy puchar sportowy od nadporucznika Witingera z siedemdziesiątego piątego pułku. Kiedyś przed laty, zdobył go w biegach, jako nagrodę „Sport Faworit“. Był to doskonały biegacz. Jak się sam zawsze chwalił, robił czterdzieści kilometrów Wiedeń—Mödling w godzinę i czterdzieści osiem minut. Już wczoraj omówiłem z nim tę sprawę. Jestem bydlę, że wszystko odkładam zawsze na ostatnią chwilę. Dlaczego ja, bałwan, nie zajrzałem do otomany?

Pod wpływem grogu, sporządzonego podług przepisu rozwiązłego marynarza, zaczął sobie głupio wymyślać i oświadczał w najrozmaitszych sentencjach, gdzie właściwie powinien się znajdować.

— Może byśmy wreszcie poszli na poszukiwanie „ontarza“ polowego — zapraszał Szwejk — już jest ranek.

— Muszę się jeszcze ubrać w mundur i napić trochę grogu.

Nareszcie wyszli. Po drodze do żony handlarza starymi meblami kapelan opowiadał Szwejkowi, że wczoraj z „błogosławieństwem bożym“ wygrał dużo pieniędzy i jeśli dobrze pójdzie, to wykupi fortepian z lombardu.

Było to tak, jak gdy poganie ślubują jakąś ofiarę. Od zaspanej żony handlarza starymi meblami dowiedzieli się adresu nauczyciela w Wrszowicach, nowego właściciela otomany.

Kapelan okazał niezwykłą szczodrość. Uszczypnął żonę handlarza w policzki i polechtał pod brodą.

Do Wrszowic poszli piechotą, ponieważ kapelan oświadczył, że musi się przejść na świeżym powietrzu, żeby sobie zmienić bieg myśli. W mieszkaniu nauczyciela, starego, pobożnego pana, czekała ich niemiła niespodzianka. Znalazłszy ołtarz polowy w otomanie, stary pan uważał to za zrządzenie boże i podarował go do zakrystii miejscowego kościoła, zastrzegając sobie umieszczenie napisu: Ofiarowany ku czci i chwale bożej przez pana Kolarzyka, nauczyciela w stanie spoczynku. Roku pańskiego 1914. Starszy pan był bardzo zakłopotany, gdyż zastali go w bieliźnie.

Z rozmowy z nim widać było, że do znalezionej ołtarza przywiązywał znaczenie cudu i znaku bożego. Gdy kupował otomanę, to jakiś głos wewnętrzny mówił mu: „Zobacz, co jest wewnątrz w otomanie“. Widział też we śnie anioła, który mu wprost rozkazał: „Otwórz otomanę!“ — Usłuchał. A kiedy tam ujrzał miniaturowy, składany, trójdzielny ołtarz ze skrytką na tabernakulum, ukląkł przed otomaną i modlił się długo i gorąco, chwając Boga i uważając to za znak z nieba, aby przyozdobić tym kościół we Wrszowicach.

— To nas nie interesuje — rzekł kapelan — taką rzecz, która do pana nie należała, powinien pan być oddać w policji, a nie do jakiejś przeklętej zakrystii.

— Z powodu tego cudu — dodał Szwejk zwracając się do nauczyciela — może się jeszcze w coś wplątać. Kupił kanapę, a nie żaden „ontarz“, który jest własnością władz wojskowych. Taki znak boży może go drogo kosztować. Nie powinien był się przejmować aniołami. Pewien człowiek w Zhorzy też wyorał jakiś kielich w polu, który pochodził ze świętokradztwa i był tam schowany na lepsze czasy, kiedy sprawa pójdzie w zapomnienie. Uważał to także za cud i zamiast go sprzedać na złom, poszedł z tym kielichem do proboszcza, że chce go ofiarować do kościoła. A proboszcz myślał, że on jest tym zło-

dzieniem i ma wyrzuty sumienia, posłał więc po wójta, a wójt po policję i znalazca został niewinnie skazany za świętokradztwo, tylko dlatego że ciągle coś gadał o cudzie. Najlepiej zrobi, jak pójdzie z nami do tutejszego proboszcza, żeby nam zwrócił majątek państwowy. „Ontarz“ polowy to nie jest ani kotka, ani onuca, którą może podarować komu chce.

Stary pan trząsł się cały i ubierając się szczykał zębami: — Ja naprawdę nic złego i podłego nie myślałem i nic nie ukrywałem. Sądziłem, że tym zrządzeniem bożym mogę się przyczynić do przyozdobienia naszej ubogiej świątyni pańskiej w Wrszowicach.

— Rozumie się na rachunek władz wojskowych — rzekł twardo i szorstko Szwejk. — Bóg zapłać za takie zrządzenie boże. Niejaki Pivonka z Chocieborza uważał też raz pewnego za zrządzenie boże, kiedy mu się do rąk przyplątał postronek z cudzą krową.

Starszy pan zgłupiał zupełnie od tego całego gadania i przestał się w ogóle bronić, starając się jak najprędzej ubrać i załatwić sprawę.

Wrszowicki proboszcz jeszcze spał, obudzony hałasem, począł zrzędzić, bo rozespany myślał, że ma iść kogoś przygotować na śmierć.

— Teżby już sobie dali spokój z tym ostatnim namaszczeniem — mamrotał ubierając się niechętnie. Zachciewa im się umierać, kiedy się człowiekowi najlepiej śpi, i żeby się później z nimi targować o pieniądze. Spotkali się więc w przedpokoju: jeden zastępca Pana Boga wśród wrszowickich cywilów, drugi zastępca boży przy władzach wojskowych.

Rzeczywiście był to spór między cywilem a żołnierzem. Jeśli bowiem proboszcz twierdził, że polowy oltarz w żadnym razie nie powinien być się znajdować w otomanie, to znowu kapelan utrzymywał, że tym bardziej nie powinien być w zakrystii kościelnej, dokąd chodzą sami cywile. Szwejk robił przy tym różne uwagi o wzbogacaniu ubogich kościołów na

rachunek władz wojskowych. Ze specjalnym przekąsem wymawiał słowo „ubogi“.

W końcu poszli do zakrystii i proboszcz wydał ołtarz polowy za następującym pokwitowaniem:

Przyjąłem ołtarz polowy, który się przypadkowo dostał do świątyni we Wrszowicach.

Kapelan wojskowy Otto Katz

Ow sławny ołtarz polowy był z żydowskiej firmy „Maurycy Mahler w Wiedniu“, która wyrabiała rozmaite przedmioty kultu, przybory do mszy i dewocjonała, jak różańce, obrazki świętych itp.

Ołtarz składał się z trzech części i był bogato złożony sztucznym złotem. Bez bujnej fantazji nie można było odgadnąć, co przedstawiają obrazy namalowane na trzech częściach ołtarza. Pewne jest tylko, że był to ołtarz, którego mogliby używać poganie z dorzecza Zambezi równie dobrze, jak i szamani Buriatów i Mongolów.

Namalowany krzyczącymi barwami wyglądał z daleka jak kolorowe tablice przeznaczone do badania na daltonizm kandydatów do służby kolejowej. Wyróżniała się tam jedna figura. Był to jakiś nagi człowiek z aureolą nad głową i ciałem koloru zielonkawego, jak gęsi kuper, kiedy jest w rozkładzie i załatuje.

Temu świętemu nikt krzywdy nie czynił. Przeciwnie, po obu stronach był otoczony jakimiś skrzydlatymi stworami, które miały przedstawiać aniołów. Widz miał wrażenie, że ten święty mąż ryczy ze zgrozy nad społeczeństwem, które go otacza. Anioły wyglądały na straszdyła z bajek, coś tak, jak uskrzydłone koty czy też bestie apokaliptyczne.

Przeciwstawieniem tego obrazu był obraz mający przedstawiać Trójcę Świętą. Jeśli chodzi o gołębicę, to malarz nie mógł sprawy zanadto pokpić. Namalował jakiegoś ptaka, który mógł

być równie dobrze gołębicą, jak też kwoką z rasy białych wyandottów.

Za to Bóg Ojciec wyglądał jak zbój z Dzikiego Zachodu, taki, jakich się widuje w filmach cowboyskich.

Syn boży był przeciwstawieniem tamtego: młody, wesół mężczyzna z pięknym brzuszkiem, przysłoniętym czymś w rodzaju majteczek kąpielowych. Całość robiła wrażenie sportowca. Krzyż trzymał z taką gracją, jakby to była rakietka tenisowa. Z daleka wszystko to zlewało się w jedną całość i miało się wrażenie, że obraz przedstawia pociąg wjeżdżający na stację.

Co miał przedstawiać trzeci obraz, nie można było w ogóle dociec. Żołnierze klócili się zawsze na ten temat i usiłowali rozwiązać ten rebus. Ktoś nawet twierdził, że jest to krajobraz znad Szawy. Był wszakże pod tym napis: „Heilige Maria, Mutter Gottes, erbarme Dich unser“.

Szwejk ulokował szczęśliwie ołtarz polowy w dorożce, sam usiadł na koźle obok dorożkarza, a kapelan rozsiadł się wygodnie i wyciągnął nogi na ołtarzu.

Szwejk rozmawiał z dorożkarzem o wojnie. Dorożkarz był rebeliantem. Robił różne uwagi o zwycięstwach broni austriackich w rodzaju: „Ale też namachali tych Serbów“ i tym podobne. Kiedy przejeżdżali przez rogatki, zapytał ich mytnik co wiozą. Szwejk odpowiedział:

— Tróję Świętą i Przenajświętszą Panienkę z feldkuratem.

Tymczasem na placu ćwiczeń czekały niecierpliwie kompanie marszowe. Czekaly długo. Pojechali bowiem jeszcze po puchar sportowy do nadporucznika Witingera, potem po monstrancję, cyborium i inne potrzebne do mszy świętej rzeczy, nie wyłączając butelki mszalnego wina aż do klasztoru brzewnowskiego. Z tego widać, że to nie jest wcale takie proste odprawić mszę polową.

— My to odwalamy byle jak — mówił Szwejk do dorożkarza.

I miał rację. Gdy bowiem zajechali już na plac ćwiczeń i byli u podium z balustradą i stołem, na którym miał być ustawiony ołtarz polowy, okazało się, że kapelan zapomniał o ministrancie.

Ministrował mu zwykle pewien żołnierz z piechoty, który wolał jednak iść do łączności i odjechał na front.

— Nie szkodzi, panie feldkurat — mówił Szwejk — ja to także mogę odstawić.

— A potrafisz ministrować?

— Nigdy tego nie robiłem — odpowiedział Szwejk — ale popróbować można wszystkiego. Teraz jest wojna, a na wojnie ludzie robią takie rzeczy, o których im się nawet nie śniło. To, jakies tam *et cum spiritu tuo* na pańskie *dominus vobiscum* — także jakoś sklecę. Zresztą uważam, że to nic trudnego chodzić koło pana feldkurata, jak kot koło gorącej kaszy, myć panu ręce i nalewać wino z ampulek...

— Dobrze — powiedział kapelan — ale wody mi nie nalewajcie. Najlepiej od razu nalejcie do tej drugiej ampulki także wina. Zresztą zawsze wam powiem, Szwejku, czy macie iść na prawo czy na lewo. Jeśli po cichutku zagwiżdżę raz, to znaczy na prawo, dwa razy na lewo. Z mszałem także nie musicie zanadto się obnosić. Poza tym jest to gra. Czy nie macie tremy?

— Ja się niczego nie boję, panie kapelanie, nawet ministrować.

Kapelan miał rację mówiąc, że jest to gra. Wszystko bowiem poszło niezwykle gładko. Przemówienie kapelana było bardzo krótkie.

— Żołnierze! Zebraliśmy się tutaj, aby przed odejściem na pole walki zwrócić swe serca do Boga i prosić go o zwycięstwo i zachowanie nas przy zdrowiu. Nie będę was dłużej zatrzymywał i życzę wam wszystkiego najlepszego.

— Spocznij — zakomenderował stary pułkownik na lewym skrzydle.

Polową mszę św. nazywamy dlatego polową, że podlega ona temu samemu ustawodawstwu co i taktyka wojskowa na wojnie. Za czasów długich manewrów wojny trzydziestoletniej msze polowe były niezwykle długie. Przy współczesnej taktyce, kiedy ruchy wojsk są szybkie i zdecydowane, msza polowa musi być także szybka i żwawa.

Ta msza trwała zaledwie dziesięć minut i ci żołnierze, którzy stali bliżej, byli niezmiernie zdziwieni, że kapelan sobie w czasie mszy pogwizduje.

Szwejk szybko opanował sygnalizację, chodził na prawą, to na lewą stronę ołtarza i nic innego nie mówił jak: *et cum spiritu tuo*. Wyglądało to na indiański taniec wokół kamienia ofiarnego, ale robiło dobre wrażenie, rozpraszając nudę zakurzonego placu ćwiczeń z aleją drzew śliwkowych z tyłu i latrynami, których zapach zastępował mistyczną woń kadzideł w świątyniach gotyckich.

Wszyscy bawili się nadzwyczajnie. Oficerowie zgromadzeni wokół pułkownika opowiadali sobie anegdoty i wszystko szło w zupełnym porządku. Tu i ówdzie między żołnierzami słychać było: — Daj pociągnąć. I jak dym ofiarny wznosiły się nad kompanią niebieskie obłoczki dymu tytoniowego. Palily wszystkie szarże, gdy zauważyły, że pan pułkownik sobie zapalił.

Nareszcie usłyszano: — *Z u m G e b e t* — na placu ćwiczeń uniósł się tuman kurzu i szary czworobok mundurów zgiął swe kolana przed sportowym pucharem nadporucznika Witingera, który go zdobył jako nagrodę „Sport Faworit“ w biegu Wiedeń—Mödling.

Puchar był pełen. Manipulacjom kapelana towarzyszyło uznanie wyrażające się słowami: — Ten to wtrąbił od razu! — podawanymi z ust do ust. Wyczyn ten powtórzył się jeszcze dwukrotnie. Potem raz jeszcze zawołał: — Modlitwa!

— Orkiestra zagrała dla anímuszu *Gott erhalte* — i po uszeregowaniu się nastąpił odmarsz.

— Zbierzcie te manatki, Szwejku — mówił kapelan, wskazując na ołtarz polowy, żebyśmy mogli wszystko porozwozić, co do kogo należy.

Pojechali więc ze swoim dorożkarzem i pozwracali wszystko uczciwie, oprócz butelki wina mszalnego.

A gdy wrócili do domu i odesłali nieszczęśliwego dorożkarza do dowództwa w sprawie wynagrodzenia za te wszystkie długie jazdy, Szwejk zwrócił się do kapelana tymi słowy:

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, czy ministrant musi być tego samego wyznania co i ten, któremu służy do mszy?

— Zapewne — odpowiedział kapelan — inaczej msza nie byłaby ważnie odprawiona.

— W takim razie panie feldkurat stała się wielka pomyłka — powiedział Szwejk — bo ja jestem bezwyznaniowy. Mam już takiego pecha.

Kapelan popatrzył na Szwejka i zamilkł na chwilę, potem poklepał go po ramieniu i powiedział: — Możecie sobie wypić resztę wina mszalnego, które zostało w butelce, i pomyślcie sobie, Szwejku, żeście na nowo wstąpili na łono kościoła.

XII

Religijna dysputa.

Zdarzało się, że Szwejk po kilka dni z rzędu nie widywał feldkurata, który spełnianie obowiązków przeplatał przyjemnościami i z rzadka przychodził do domu...

Po powrocie do domu, jeśli jeszcze mógł mówić, to przed zaśnięciem rozmawiał ze Szwejkim o wzniosłych celach życia, o entuzjazmie i przyjemnościach rozmyślania.

Czasem próbował mówić wierszami i cytował Heinego.

Szwejk służył feldkuratowi jako ministrant u saperów, gdzie przez pomyłkę znalazł się jeszcze jeden feldkurat, były katecheta i człowiek wielce pobożny. Spoglądał on na swego kolegę z wielkim zdziwieniem, gdy Katz zaproponował mu łyk koniaku z połowej flaszki Szwejka, którą ten zawsze nosił z sobą, gdy towarzyszył kapelanowi.

— Dobra marka — rzekł feldkurat Katz. — Napijcie się, kolego, i idźcie do domu, a ja załatwię tu już wszystko, co potrzeba, bo muszę pobyć na świeżym powietrzu. Głowa mnie dziś boli.

Pobożny kapelan oddalił się kręcąc głową, a Katz świetnie, jak zwykle, spełnił swe zadanie.

Wino miał tym razem mocniejsze, a kazanie dłuższe. Co trzecie słowo mówił: „i tam dalej“ i „że tak powiem“.

— Dzisiaj, żołnierze, odchodzicie na front i tam dalej. Zwracajcie się tedy ku Bogu i tam dalej, że tak powiem. Nie wiecie, że tak powiem, co was spotka i tam dalej. — Oba zwroty „że tak powiem“ „i tam dalej“ przeplatał kaznodzieja słowami o sprawach świętych.

W zapale krasomówczym wymienił feldkurat także i księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, jako świętego, który czuwać będzie nad saperami, gdy będą budowali mosty.

Pomimo wszystko msza polowa zakończyła się dobrze ku powszechnemu zadowoleniu. Saperzy byli żywo uradowani.

W drodze powrotnej nie chciano ich wpuścić z polowym ołtarzem do tramwaju.

— Czekał no, dam ja ci po łbie tę świętością — zagroził Szwejk motorniczemu.

Gdy wreszcie dotarli do domu, stwierdzili, że gdzieś w drodze zgubili tabernakulum.

— To nic nie szkodzi — pocieszał się Szwejk. — Pierwsi chrześcijanie też odprawiali mszę świętą bez tabernakulum. Gdybyśmy o zgubie zamieścili w pismach ogłoszenie, to uczciwy znalazca żądałby od nas nagrody. Gdyby chodziło o pieniądze, to może nie znalazłby się taki uczciwy znalazca, aczkolwiek trafiają się i tacy ludzie. U nas w Budziejowicach służył w pułku pewien żołnierz, taki pocziwy idiota, który raz pewnego znalazł na ulicy sześćset koron i oddał je w biurze policji, a gazety pisały o nim, jako o uczciwym znalazcy, więc nazał się niemało wstydu. Nikt nie chciał z nim gadać i każdy mówił: — Ty mało jedna, co za głupstwa wyrabiasz? Przecież teraz będziesz się musiał wstydzić do samej śmierci, jeśli masz w brzuchu choćby trochę honoru. — Miał dziewczynę, ale ona przestała z nim rozmawiać. Gdy przyjechał na urlop i poszedł do karczmy na tańce, to go koledzy za to wyrzucili za drzwi. Zaczął schnąć, bo sobie to wszystko nadmiernie brał do głowy i wreszcie rzucił się pod

pociąg. Jeden znowuż krawiec z naszej ulicy znalazł złoty pierścionek. Ludzie go napominali, żeby go nie oddawał policji, ale on się nie dał przekonać. Policja przyjęła go bardzo uprzejmie, bo już meldowano zgubę złotego pierścienia z brylantem. Ale potem patrzą na kamień i powiadają: — Hehe, bratku, przecież to szkło, a nie brylant. Wiele też panu za ten brylant dali? Takich uczciwych znalazców znamy. — Wreszcie wyjaśniło się, że jeszcze jeden człowiek zgubił złoty pierścionek z fałszywym brylantem, jakoby pamiątkę rodzinną, ale krawiec i tak przesiedział trzy dni, ponieważ w podrażnieniu dopuścił się obrazy policji. Dostał prawem przepisaną nagrodę, dziesięć procent, to znaczy koronę i dwadzieścia halerzy, bo cały ten pierścionek wart był dwanaście koron. Mój krawiec rzucił tę przepiśowaną nagrodę właścicielowi pierścienia w twarz, a on zaskarżył go o obrazę, więc krawiec musiał jeszcze zapłacić dziesięć koron grzywny. Potem mawiał zawsze, że każdy uczciwy znalazca wart jest dwudziestu pięciu batów i że trzeba takiego rznąć mocno, aż zsinieje, i publicznie, żeby sobie ludzie zapamiętali, jak trzeba postępować. Sądzę, że naszego tabernakulum nikt nam nie odniesie, chociaż jest na nim znaczek administracji wojskowej, bo z wojskowymi rzeczami też nikt nie lubi mieć do czynienia. Lepiej rzuci w wodę, niżby się narażał na różne kłopoty. Wczoraj w gospodzie „Pod złotym wieńcem“ rozmawiałem z jednym człowiekiem ze wsi. Ma już pięćdziesiąt sześć lat i przyszedł do okręgowego kapitana tu, żeby się zapytać, dlaczego zarekwirowali mu bryczkę. Gdy z okręgowego kapitanatu został wyrzucony, przyglądał się taborom, które akurat przyjechały i stały na rynku. Jakiś młody człowiek poprosił go, żeby przez chwilę popilnował jego koni, bo on wiezie konserwy wojskowe. Jak poszedł, tak przepadł. Kiedy tabory ruszyły, ten człowiek, co pilnował koni, musiał iść razem z nimi i dostał się aż na Węgry, gdzie też poprosił kogoś, żeby mu popilnował koni i tylko w ten sposób się wymigał, bo byliby go zapędzili aż do Serbii. Przyjechał do domu

zastrachany i od tego czasu nie chce mieć do czynienia z rzeczami wojskowymi.

Wieczorem przyszedł z wizytą do feldkurata nabożny kapelan, który także nazajutrz pragnął odprawić mszę św. dla saperów. Był to fanatyk, który chciał każdego zbliżyć do Boga. Kiedy był jeszcze prefektem, rozwinął u dzieci religijny kult dla bicia po głowie, tak że od czasu do czasu ukazywały się w pismach notatki: „Brutalny katecheta“, „Prefekt, który bije dzieci po głowach“ itp. Był przekonany, że katechizmu dzieci najlepiej nauczą się systemem różeczkowym. Utykał trochę na jedną nogę, co było następstwem spotkania z ojcem pewnego ucznia, którego wytlukł po głowie za to, że śmiało powątpiewać w istnienie Trójcy Świętej. Dostał więc trzykroć po łbie: raz za Boga Ojca, raz za Syna Bożego i raz za Ducha Świętego.

Dzisiaj przyszedł sprowadzić na drogę cnoty swego kolegę Katza i przemówić do jego duszy. Zaczął od uwagi:

— Jestem zdziwiony, że nie widzę u was krzyża! Gdzie odmawiacie brewiarz? Ani jednego obrazu świętego nie widać na ścianach waszego pokoju! A co wisi u was nad łóżkiem?

Katz uśmiechnął się.

— To jest „Zuzanna w kąpielii“, a ta naga kobieta poniżej, to jest moja dawna znajoma. Na prawo widzicie japońszczyznę, obrazek przedstawia akt płciowy gejszy i starego samuraja. Coś niezwykle oryginalnego, prawda? Brewiarz mam w kuchni. Szwejk, przynieście mi brewiarz i otwórzcie go na trzeciej stronie.

Szwejk wyszedł i z kuchni słyhać było odkorkowywanie trzech butelek.

Pobożny kapelan był przerażony, gdy na stole rzeczywiście pojawiły się trzy butelki wina.

— Proszę, panie kolego, to jest lekkie wino mszalne — mówił Katz — wysokiego gatunku ryzling. Przypomina w smaku wino mozelskie.

— Nie będę pił — zapowiedział z uporem nabożny kapelan. — Przyszedłem tutaj, żeby wam przemówić do duszy.

— To wam w gardle wyschnie, panie kolego — powiedział Katz. — Napijcie się, a ja będę słuchał tego, co mi chcecie powiedzieć. Jestem zgodliwy i chętnie wysłucham waszych przekonań.

Nabożny kapelan napił się trochę i wytrzeszczył oczy.

— Diabelnie dobre wino, nieprawda, panie kolego?

Fanatyk powiedział twardo:

— Spostrzegam, że przeklinacie!

— To tylko przyzwyczajenie — odpowiedział Katz; nieraz się przyłapuje na tym, że nawet bluźnię. Należycie, Szwejku, księdzu kapelanowi. Mogę was też zapewnić, że mówię również: *Himmelherrgott*, *Krucifix* i *sacra*. Myślę, że gdy posłużycie w wojsku tak długo jak ja, to się także wprawicie. To nic trudnego, nic uciążliwego, a nam duchownym bardzo bliskie: niebo, Bóg, krzyż, święty sakrament. Czyż nie brzmi to pięknie i zawodowo? Pijcie, panie kolego!

Były katecheta napił się odruchowo. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale nie może. Zbierał myśli.

— Panie kolego — mówił dalej Katz — głowa do góry. Jesteście tacy smutni, jakby was mieli wieszać za pięć minut. Słyszałem, że kiedyś zjedliście w restauracji w piątek kotlet wieprzowy, sądząc, że to jest czwartek. Potem poszliście do ustępu, włożyliście palec do gardła, żeby wszystko zwrócić, boście myśleli, że Bóg was zgładzi. Ja tam się nie boję jeść w poście mięsa, nawet piekła się nie boję. Przepraszam, napijcie się! Czy już wam lepiej? Czy macie postępowy pogląd na piekło i czy w ogóle idziecie z duchem czasu, z reformistami? Jest to miejsce dla ubogich grzeszników; kotły z siarką, kotły Papina, kotły z wysokim ciśnieniem, grzesznicy wysmażają się w nich na margarynę, różny elektryczne, wielkie walce do walcowania szos walczą przez miliony lat

grzeszników, zgrzytanie zębów odstawiają dentyści specjalnymi narzędziami, biadania i narzekania nagrywa się na płyty, które się potem odsyła na górę do nieba, ku rozweseleniu sprawiedliwych. Zaś w raju są czynne rozpylacze z wodą kolońską, a filharmonia niebieska tak długo gra Brahmsa, że na pewno dacie pierwszeństwo piekłu i czyśćcowi. Aniołki mają w zadeczkach śmigła samolotowe, żeby się tak nie musiały namachać skrzydełkami. Pijcie, panie kolego! Szwejku, nalejcie mu trochę koniaku, bo mam wrażenie, że się źle czuje.

Kiedy nabożny kapelan opamiętał się, szepnął:

— Religia jest to pojęcie oderwane. Kto nie wierzy w istnienie Trójcy Świętej...

— Szwejku, nalejcie panu kapelanowi jeszcze trochę koniaku, żeby się mógł opamiętać. Szwejku, opowiedzcie mu coś.

— Pod Włazzymiem, posłusznie melduję, panie feldkurat — zaczął Szwejk — był dziekan, który miał tylko posługaczkę, od czasu gdy mu stara gospodyni uciekła z jakimś młodym chłopcem i pieniędzmi. Ten dziekan na stare lata zabrał się do studiowania pism św. Augustyna, o którym się mówi, że należy do ojców kościoła, i doczytał się tam, że kto wierzy w antypody, winien być przeklęty. Więc zawołał sobie posługaczkę i mówi:

— Słuchajcie, mówiliście mi kiedyś, że syn wasz jest mechanikiem i że wyjechał do Australii. To byłby wśród antypodów, a święty Augustyn mówi, że każdy kto wierzy w antypody jest przeklęty.

— Ależ dobrodzieju — odpowiada kobieta — przecież mój syn pisuje do mnie i posyła mi pieniądze z Australii.

— To jest złuda diabelska — odpowiada jej dziekan — żadna Australia nie istnieje, to antychryst was zwodzi.

A w niedzielę wyklął ją publicznie i krzyczał, że Australia nie istnieje. Więc go wprost z kościoła odwieźli do domu obłąkanych. Należałoby ich tam odwieźć więcej. Znowu w klasztorze Urszulanek mają buteleczkę z mlekiem Panny Marii,

którym karmiła małego Jezuska, a jak do sierocińca pod Bene-
szowem przywieźli wodę z Lourdes, to się po niej sierotki po-
chorowały na taką biegunkę, jakiej świat nie widział.

Nabożnego kapelana aż zamroczyło i opamiętał się dopie-
ro po nowym łyku koniaku, który mu uderzył do głowy.

Mrużąc oczy, zapytał Katza:

— Wy pewno nie wierzycie w niepokalane poczęcie Prze-
najświętszej Panienki, ani w to, że palec Jana Chrzyciciela, któ-
ry przechowują pijarzy, jest prawdziwy. Czy w ogóle wierzy-
cie w Boga? A jeżeli nie wierzycie, to dlaczego jesteście ka-
pelanem?

— Panie kolego — odpowiedział Katz, klepiąc go poufale
po plecach — dopóki państwo będzie uważało, że żołnierze,
idąc na śmierć, na polach bitew potrzebują błogosławieństwa
bożego, to kapelaństwo polowe będzie dobrze płatnym zaję-
ciem, przy którym się człowiek nie przepracuje. Poza tym uwa-
żałem to za lepsze zajęcie niż bieganie po placu ćwiczeń i cho-
dzenie na manewry. Wówczas otrzymywałem rozkazy od prze-
łożonych, a dzisiaj robię sobie, co chcę. Zastępuję kogoś, kto
nie istnieje, i sam gram rolę bożą. A jak komuś nie chcę dać
rozgrzeszenia, to mu nie dam, choćby mnie na kolanach prosił.
Zresztą, takich jest cholernie mało.

— Ja kocham Pana Boga — odezwał się pobożny kapelan,
zaczynając czać — bardzo go kocham. Dajcie mi trochę wina.

— Ja Pana Boga szanuję — mówił potem dalej — bardzo
go szanuję i czczę. Nikogo tak nie poważam, jak właśnie jego.

Uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły butelki. — Bóg jest
uosobieniem czegoś wzniosłego, czegoś nieziemskiego. Jest ho-
norowy w swych sprawach. Jest to słoneczna zjawa, tego mi
nikt nie zabierze. Ja św. Józefa szanuję i wszystkich świętych
poważam, wyłączając św. Serapiona. Ma takie obrzydliwe imię.

— Powinien wystąpić o zmianę imienia — wtrącił Szwejk.

— Św. Ludmiłę kocham i św. Bernarda — mówił dalej był

prefekt — uratował moc pielgrzymów na św. Gotardzie. Ma na szyi butelkę koniaku i odgrzebuje zasypanych śniegiem.

Zabawa zesła na inne tory. Nabożny kapelan zaczął pleść od rzeczy.

— Młodzieniaszków czczę. Mają imieniny 28 grudnia. Heroda nienawidzę.

Jak kury śpią, to nie można dostać świeżych jajek.

Śmiał się i zaczął śpiewać: „Święty Boże, święty, mocny...”

Przerwał wszakże od razu i zwracając się do Katza zapytał ostro:

— Wy nie wierzycie, że piętnastego sierpnia jest święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny?

Bawili się doskonale. Zjawily się jeszcze inne butelki. Chwilami odzywał się Katz: — Powiedz, że nie wierzysz w Pana Boga, bo inaczej ci nie należę...

Zdawało się, że wracają się czasy prześladowania pierwszych chrześcijan. Były prefekt śpiewał jakąś pieśń męczennika z rzymskiej areny i ryczał: — Wierzę w Pana Boga, nie wyprę się go. Wypchaj się swoim winem. Mogę sobie sam po wino posłać.

W końcu ułożyli go spać. Nim usnął, wznosił prawicę swoją jak do przysięgi i wygłosił: — Wierzę w Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego. Przynieście mi brewiarz.

Szwejk włożył mu do rąk jakąś książkę leżącą na nocnej szafce i w ten sposób kapelan usnął z „Dekameronem“ G. Boccaccia w ręce.

XIII

Szwejk idzie namaszczać.

Feldkurat Otto Katz siedział w zamyśleniu nad okólnikiem, który właśnie przyniósł sobie z koszar. Było to zastrzeżenie ministerstwa wojny.

Ministerstwo wojny kasuje na czas wojny przepisy obowiązujące, dotyczące ostatniego namaszczenia dla żołnierzy armii, i ustanawia dla kapelanów wojskowych przepisy następujące:

§ 1. Na froncie ostatnie namaszczenie zostaje zniesione.

§ 2. Ciężko rannym i chorym żołnierzom nie wolno udawać się na tyły dla otrzymania ostatniego namaszczenia. Duchowni wojskowi obowiązani są oddawać takich szeregowców natychmiast władzom wojskowym dla dalszego dochodzenia.

§ 3. W szpitalach wojskowych na tyłach wolno udzielać ostatniego namaszczenia zbiorowo na podstawie orzeczenia lekarzy wojskowych, o tyle jednak, o ile ostatnie namaszczenie nie jest uciążliwe dla odpowiedniej instytucji wojskowej.

§ 4. W wypadkach wyjątkowych dowództwa szpitali wojskowych na tyłach mogą zezwolić na przyjęcie ostatniego namaszczenia.

§ 5. Na wezwanie dowództw szpitali wojskowych duchowni wojskowi obowiązani są udzielać ostatniego namaszczenia tym, których dowództwa polecają.

Potem feldkurat przeczytał jeszcze raz pismo, którym został powiadomiony, że jutro ma się udać na plac Karola do

szpitala wojskowego, aby udzielić ostatniego namaszczenia ciężko rannym.

— Słuchajcie, Szwejku — zawołał feldkurat — czy to porządek? Jak gdyby w całej Pradze nie było innego feldkurata, prócz mnie. Czemu nie poślą do szpitala tego pobożnego kapelana, co to niedawno spał u nas? Ja już nawet nie pamiętam, jak to się robi.

— Kupimy sobie katechizm, panie feldkuracie, w katechizmie piszą o takich rzeczach — rzekł Szwejk. — Katechizm to dobry przewodnik dla duszpasterzy. W klasztorze Emauskim pracował pewien pomocnik ogrodnika. Gdy postanowił wstąpić do zakonu laickiego i dostał habit, żeby nie zdzierać własnego ubrania, musiał kupić sobie katechizm, aby się dowiedzieć, jak się robi znak krzyża, kto jedynie nie podpada pod prawo grzechu pierworodnego, co to znaczy czyste sumienie i tam dalej. Potem sprzedał sekretnie połowę ogórków z ogrodu klasztornego i ze wstydem wyleciał z klasztoru. Kiedy się z nim spotkałem, powiedział mi: — Ogórki mogłem sprzedawać i bez katechizmu.

Szwejk kupił katechizm, a feldkurat, odwracając kartki, rzekł:

— Ostatniego namaszczenia może udzielać tylko ksiądz i to olejem poświęcanym przez biskupa.

— Więc widzicie, Szwejku, wy sam ostatniego namaszczenia udzielić nie możecie. Przeczytajcie mi, jak się udziela ostatniego namaszczenia.

Szwejk czytał: — Czyni się to tak: ksiądz namaszcza poszczególne zmysły chorego modląc się przy tym:

— Przez to święte namaszczenie, niechaj przedobrotliwe miłosierdzie boże odpuści ci cokolwiek zgrzeszyłeś wzrokiem, słuchem, powonieniem, smakiem, językiem, dotykiem, chodem“.

— Ciekaw jestem, Szwejku — odezwał się kapelan, jak też człowiek może nagrzeszyć dotykiem, możecie mi to wyjaśnić?

— Wiele rzeczy, panie feldkurat, sięgnie choćby do cudzej kieszeni, albo i na zabawie tanecznej, wszak mnie ksiądz kapelan rozumie — jakie tam bywa przedstawienie.

— A chodem Szwejku?

— Kiedy zacznie utykać, żeby wzbudzić litość.

— A powonieniem?

— Kiedy mu się jakiś smród nie podoba.

— A smakiem, Szwejku?

— Kiedy ma się na kogoś apetyt.

— A mową?

— To już idzie razem ze słuchem, panie feldkurat. Jak jeden dużo gada, a drugi słucha.

Po tych filozoficznych uwagach kapelan zamilkł i po chwili powiedział:

— Potrzeba nam więcej oleju poświęconego przez biskupa — rzekł po chwili. — Daję wam dziesięć koron na butelkę takiego oleju. W intendenturze wojskowej go nie mają.

Szwejk wybrał się więc na poszukiwanie oleju, poświęconego przez biskupa. Poszukiwanie takiej rzeczy jest daleko trudniejsze od szukania żywej wody w baśniach Bożenny Niemcowej.

Szwejk był w kilku drogeriach, ale gdy wyraził życzenie: — Proszę buteleczkę oleju poświęcanego przez biskupa — jedni wybuchali śmiechem, drudzy ze strachu chowali się po kontuarem. Szwejk zachowywał przy tym wielką powagę.

Postanowił spróbować szczęścia w aptekach. Z pierwszej kazano laborantowi wyrzucić go za drzwi. W drugiej chciano telefonować po pogotowie ratunkowe, w trzeciej zaś powiedział mu prowizor, że firma Polak przy ulicy Długiej, handel olejami i farbami, z pewnością będzie miała żądany olej na składzie.

Firma Polak przy ulicy Długiej była naprawdę bardzo ruchliwa. Nie pozwoliła odejść żadnemu klientowi bez zadowo-

lenia jego życzenia. Jeśli ktoś życzył sobie balsamu kopaiwanego, nalali mu do butelki terpentyny i też było dobrze.

Gdy Szwejk wszedł do sklepu i zażądał za dziesięć koron oleju poświęcanego przez biskupa, szef rzekł do subiekta:

— Niech pan mu naleje, panie Tauchen, dziesięć deka oleju konopnego, numer trzeci.

A subiekt, zawijając butelkę w papier, rzekł do Szwejka czysto po kupiecku:

— Pierwszy gatunek. Gdyby pan potrzebował pędzli, lakieru, pokostu, prosimy zwrócić się do nas. Obsłużymy pana solidnie.

Tymczasem kapelan powtarzał sobie z katechizmu to, co w seminarium nie utkwilo mu zbyt dobrze w pamięci. Bardzo mu się podobało to niezwykle uduchowione zdanie, z którego się szczerze uśmieł: „Nazwa ostatnie olejem św. namaszczenie pochodzi stąd, że to namaszczenie bywa zazwyczaj ostatnim ze wszystkich namaszczeń jakie kościół św. udziela“. Albo inne: „Ostatnie namaszczenie może przyjąć każdy chrześcijanin wyznania rzymskokatolickiego, który ciężko zachorował i jest przytomny“.

Następnie ordynans przyniósł mu list, którym feldkurat zostaje powiadomiony, że jutro przy jego posługach religijnych w szpitalu asystować będzie „Stowarzyszenie szlachcianek religijnego wychowania żołnierzy“.

Stowarzyszenie to składało się z historycznych bab i rozdawało żołnierzom po szpitalach obrazki świętych i opowiadki o żołnierzu katoliku, umierającym za najjaśniejszego pana. Na tych opowiadkach był barwny obrazek przedstawiający pobojowisko. Dokoła leżą trupy ludzi i koni, powywracane wozy taborowe i armaty lawetami do góry. Na horyzoncie pali się wieś i pękają szrapnele, a na przedzie leży umierający żołnierz bez nogi, nad nim zaś pochyla się anioł i podaje mu wieniec ze wstęgą, na której jest napis: — Jeszcze dziś będziesz ze

mną w raju. — Umierający zaś uśmiecha się tak błogo, jak by mu podawali lody śmietankowe.

Przeczytawszy list, Otto Katz splunął i pomyślał:

— Będę miał jutro ładny dzień.

Znał te natrętne baby z kościoła św. Ignacego, gdy przed laty miewał tam kazania dla żołnierzy. Wtedy pracował jeszcze nad kazaniami bardzo starannie, a „Stowarzyszenie“ siadało tuż za pułkownikiem. Dwie chude gidie w czarnych sukniach, z różańcami, które razu pewnego przyczepiły się do niego i przez dwie godziny gadały o religijnym wychowaniu żołnierzy, aż wreszcie rozgniewał się i rzekł im:

— Szanowne panie raczą wybaczyć, ale pan kapitan czeka na mnie z kartami.

— Olej już mamy — rzekł uroczyście Szwejk, gdy powrócił ze sklepu firmy Polak. — Konopny olej, numer trzeci, pierwszy sort, bardzo dobry. Solidna firma. Sprzedaje także pokost, lakier i pędzle. Potrzeba jeszcze dzwonka.

— Na co dzwonek, Szwejku?

— Trzeba po drodze dzwonić, żeby ludzie zdejmowali czapki, jak będziemy szli namaszczać.

To się tak robi. Już wielu ludzi, którzy na to nie zwrócili uwagi, zostało przymkniętych za to, że czapek nie zdjęli. Na Żyżkowie pewien ksiądz pobił niewidomego za to, że przy takiej okazji nie zdjął czapki. Sąd skazał ślepcę na areszt, bo mu udowodniono, że nie był głuchoniemym tylko ociemniałym i musiał słyszeć dźwięk dzwonka, uważali też, że był powodem zgorzenia, mimo iż to była noc. To coś tak, jak w Boże Ciało. Inaczej by nas ludzie nawet nie zauważyli, a tak będą nam się kłaniali. Jeśli pan feldkurat się zgadza, to zaraz go przyniosę.

Otrzymawszy pozwolenie, Szwejk wrócił za pół godziny z dzwonkiem.

— Jest z bramy zajazdu „Pod Krzyżkami“ — rzekł. — Ko-

sztował mnie pięć minut strachu i musiałem długo czekać, bo się ciągle ludzie kręcili.

— Idę do kawiarni, Szwejku; gdyby kto przyszedł, to niech poczeka.

Mniej więcej po godzinie przyszedł stary siwy pan, prostej postawy i o surowym spojrzeniu.

Cała jego postać była wyrazem uporu i złości. Patrzył przed siebie tak, jakby go losy wysłały, aby zniszczył naszą nędzną planetę i zatarł jej ślady we wszechświecie. Mowa jego była szorstka, sucha i surowa:

— W domu? Do kawiarni poszedł? Mam czekać? Dobrze, będę czekał do samego rana. Na kawiarnię to ma, ale długów płacić mu się nie chce. Tfu, do diabła!

Splunął na podłogę kuchni.

— Proszę pana, niech pan tu nie pluje — rzekł Szwejk spoglądając na obcego pana z dużym zainteresowaniem.

— Jeszcze raz splunę, o tak — rzekł z naciskiem uparty surowy pan, spluwając po raz drugi na podłogę. — Że też mu nie wstyd! Wojskowy kapelan! Hańba!

— Jeśli pan jesteś człowiekiem wykształconym, to niech się pan odzwyczai spluwać w cudzym mieszkaniu. Czy może zdaje się panu, że jak jest wojna światowa, to już zaraz może pan sobie pozwalać na wszystko? Powinien pan zachowywać się przyzwoicie, a nie jak jaki obwieś. Trzeba postępować delikatnie, mówić przyzwoicie i nie poczynać sobie jak jaki drab. Widzicie go, zgłupiałego cywila!

Surowy pan powstał z krzesła, zaczął się trząść ze wzburzenia i krzyczał:

— Co to za napaść? Jakim prawem ośmielasz się pan mówić, że nie jestem przyzwoitym człowiekiem? Cóż więc jestem w takim razie? Mów pan...

— Jesteś pan gówniarz — odpowiedział Szwejk zaglądając gościowi w oczy. — Plujesz pan na podłogę, jakbyś pan siedział w tramwaju, w pociągu, albo w innym lokalu publicz-

nym. Zawsze się dziwiłem, na co są te karteczki z napisami, że na podłogę pluć nie wolno, a teraz widzę, że to dla pana. Muszą pana już wszędzie dobrze znać.

Surowy pan czerwienił się i bladł na przemian i starał się odpowiedzieć potokiem wyzwisk pod adresem Szwejka i feldkurata.

— Skończyłeś pan? — zapytał Szwejk spokojnie, gdy z ust gościa padły ostatnie słowa: „obydwaj jesteście gałgany“ i „jaki pan, taki kram“. — Czy może chce pan słowa swoje jeszcze jakoś uzupełnić, zanim spadnie pan ze schodów?

Ponieważ surowy pan był już tak dalece wyczerpany, że na myśl nie przyszła mu żadna porządna uwaga, więc milczał. Szwejk rozumiał milczenie po swojemu, że na uzupełnienie wyzwisk nie ma co czekać.

Otworzył więc drzwi, ustawił w nich surowego pana twarzą ku sieni i — takiego shoota nie byłby się powstydził najlepszy gracz najlepszego międzynarodowego mistrzowskiego zespołu piłki nożnej.

Za surowym panem, spadającym ze schodów, leciały słowa Szwejka:

— Na drugi raz, jak się pójdzie z wizytą między porządnymi ludźmi, to trzeba zachowywać się przyzwoicie.

Surowy pan długo chodził pod oknami i czekał na feldkurata.

Szwejk otworzył okno i przyglądał mu się.

Wreszcie gość doczekał się powrotu gospodarza, który wprowadził go do pokoju i wskazał mu krzesło obok siebie.

Szwejk bez słowa przyniósł spluwaczkę i postawił ją koło gościa.

— Co wy robicie, Szwejku?

— Posłusznie melduję, panie feldkurat, że już miałem z tym panem nieporozumienie o plucie na podłogę.

— Opuśćcie nas, Szwejku; mamy do załatwienia sprawy osobiste.

Szwejk zasalutował i rzekł:

— Posłusznie melduję, że pana feldkurata opuszczam.

Poszedł do kuchni, a w pokoju toczyła się tymczasem bardzo interesująca rozmowa.

— Przyszedł pan po pieniądze, dane mi na weksel, jeśli się nie mylę? — zapytał feldkurat swego gościa.

— Tak jest, mam nadzieję...

Feldkurat westchnął.

— Człowiek znajduje się niekiedy w takiej sytuacji, że nie pozostaje mu nic innego, tylko mieć nadzieję. Co za piękne słowo: „Ufaj!“ Najpiękniejsze z trojga słów, które wznoszą człowieka ponad chaos życia: wiara, nadzieja i miłość.

— Mam nadzieję, panie feldkuracie, że suma...

— Ma pan rację, szanowny panie — przerwał mu kapelan. — Mogę panu jeszcze raz powtórzyć, że ufność krzepi człowieka w walce z życiem. Niech i pan nie traci nadziei. Bardzo to pięknie mieć pewien ideał, być niewinną, czystą istotą, która pożycza pieniądze na weksle i ma nadzieję, że należność otrzyma. Niech pan się nie pozbywa nadziei i ufa stale, że spłacę panu tysiąc dwieście koron, gdy w kieszeni mam niecałych sto.

— A więc pan feldkurat...

— A więc ja istotnie — odpowiedział kapelan.

Twarz gościa przybrała znowu wyraz uporu i złości.

— Panie, to jest oszustwo — rzekł wstając.

— Niech pan się uspokoi, szanowny panie...

— To oszustwo! — krzyczał uparty gość. — Nadużył pan mego zaufania!

— Mój panie — rzekł feldkurat — panu jest koniecznie potrzebna zmiana powietrza. Tu jest zbyt duszno.

— Szwejku! — wołał w kierunku kuchni. — Ten pan życzy sobie wyjść na świeże powietrze.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat — mówił nadchodzący Szwejk — że już go raz wyrzuciłem.

— Powtórzyć! — brzmiał rozkaz, który został wykonany szybko, sprawnie i bezwzględnie.

— Bardzo dobrze, panie feldkuracie — rzekł Szwejk powracając z sieni — że załatwiliśmy się z tym panem, zanim dopuścił się tu jakiej awantury. W Maleszycach był karczmarz znający dobrze Pismo Święte i gdy czasem łoł jakiego gościa bykowcem, to zawsze mawiał: „Kto żaluje różgi, nienawidzi syna swego, ale kto go miłuje, wczas go karze“. Ja ci dam bić się w gospodzie!

— Widzicie, mój Szwejku, co spotyka człowieka, który nie szanuje kapłana — uśmiechnął się feldkurat.

Św. Jan złotousty powiedział: — Kto czci księdza, czci Chrystusa, kto robi przykrości księdzu, czyni też przykrości Chrystusowi, którego zastępcą jest właśnie ksiądz. Na jutro musimy się doskonale przygotować. Usmażcie jajka z szynką, ugotujcie poncz na winie bordeaux, a resztę czasu poświęćmy na rozmyślania, tak jak to jest w modlitwie wieczornej: „Niechaj łaska boża odwróci wszelkie układy nieprzyjaciół o ten przybytek“.

Są na świecie ludzie ogromnie wytrwali i do takich należał mąż, po dwakroć już wyrzucony z mieszkania feldkurata. W chwili gdy kolacja była gotowa, ktoś zadzwonił. Szwejk pośpieszył otworzyć drzwi i po chwili zameldował:

— Już znowu przyszedł, proszę pana feldkurata. Zamknąłem go tymczasem w łazience, żebyśmy mogli spokojnie zjeść kolację.

— Uczyniliście niedobrze, mój Szwejku — rzekł feldkurat. — Gość w dom Bóg w dom. Za dawnych czasów biesiadnicy kazali różnym potworkom, by ich zabawiali. Przeprowadźcie go, niech nas bawi.

Szwejk wrócił po chwili z mężem wytrwałym, który spoglądał ponuro.

— Niech pan siada — uprzejmie zaprosił go feldkurat. — Akurat kończymy kolację. Mieliśmy homary, łososia, a te-

raz jeszcze zjemy trochę jajecznicy z szynką. Można sobie pozwalać, gdy dobrzy ludzie pożyczają pieniądze.

— Zdaje mi się, że nie przyszedłem tutaj dla żartów — rzekł mąż ponuro. — Już trzeci raz tu jestem. Mam nadzieję, że teraz wszystko się wyjaśni.

— Posłusznie melduję, panie feldkurat — wtrącił Szejnk — że ten pan jest taki wytrwały, jak niejaki Bouszek z Libni. Osiemnaście razy w ciągu jednego wieczora wyrzucili go od „Exnerów“, a on po każdym wyrzuceniu wracał, że niby zapomniał tam fajkę. Właził oknem, drzwiami, przez kuchnię, przez mur ogrodu, przez piwnicę i byłby może wlaź nawet kominem, gdyby go strażacy nie byli zdjęli z dachu. Był taki wytrwały, że byłby mógł stać się ministrem albo i posłem. Zrobili dla niego w tej gospodzie, co tylko mogli.

Wytrwały człowiek, nie zwracając uwagi na to, o czym się mówiło, powtarzał z uporem:

— Chcę, żeby wszystko było jasne, i proszę mnie wysłuchać.

— Może szanowny pan mówić — rzekł feldkurat — pozwalam panu. Niech pan mówi tak długo, jak się panu podoba, a my tymczasem będziemy biesiadowali dalej. Szejnku, podawajcie.

— Jak panu wiadomo — mówił wytrwały wierzyciel — szaleje wojna. Pieniądze pożyczyłem panu feldkuratowi przed wojną i gdyby nie wojna, nie domagałbym się tak bardzo ich zwrotu. Ale mam pewne doświadczenia.

Wyjął z kieszeni notatnik i mówił dalej:

— Wszystko mam pozapisywane. Nadporucznik Janata był mi winien siedemset koron i odważył się paść nad Dryną. Porucznik Praszek dostał się na rosyjskim froncie do niewoli, a winien mi dwa tysiące koron. Kapitan Wichterle jest mi winien taką samą sumę i został zabity pod Rawą Ruską przez własnych żołnierzy. Nadporucznik Machek dostał się do niewoli w Serbii, a jest mi winien tysiąc pięćset koron. Ale są jeszcze inni podobni. Ten padł w Karpatach, nie zapłaciwszy

weksła, tamten poszedł do niewoli, ów utonął w Serbii, jeszcze inny umarł w szpitalu na Węgrzech. Czy pan feldkurat rozumie teraz mój niepokój? Przecie ta wojna zrujnuje mnie ostatecznie, jeśli nie będę energiczny i nieubłagany. Może mi pan powie, że feldkuratom nie zagraża żadne niebezpieczeństwo? Niech pan patrzy.

Podsunał swój notatnik pod nos feldkurata.

— Proszę: feldkurat Matiasz w Brnie, zmarł w szpitalu izolacyjnym zeszłego tygodnia. Włosy rwać z rozpacz! Nie oddał mi tysiąca ośmuset koron i poszedł do cholerycznego baraku z wiatykiem do jakiegoś człowieka, który go nic nie obchodzi.

— Było to jego obowiązkiem, szanowny panie — rzekł feldkurat. — Ja także idę jutro do chorych.

— I także do cholerycznego baraku — wtrącił Szwejk. — Może pan pójść z nami, żeby pan widział, co znaczy poświęcenie.

— Panie feldkuracie — rzekł mąż wytrwały — proszę mi wierzyć, że jestem w sytuacji rozpaczliwej. Czyż na to wybuchła wojna, aby zgładziła wszystkich moich dłużników?

— Jak pana wezmą do wojska i wyślą pana w pole — ponownie wtrącił się do rozmowy Szwejk — odprawimy z panem feldkuratem mszę świętą, aby Bóg niebieski dał, iżby pierwszy granat pana przetrącił raczył.

— Panie feldkuracie, to sprawa poważna — rzekł człowiek wytrwały do feldkurata — więc proszę, aby służący pański nie wtrącał się do naszej rozmowy. Trzeba koniecznie z tym skończyć.

— Posłusznie proszę pana feldkurata — odezwał się Szwejk — aby mi naprawdę raczył zakazać wtrącania się do rozmowy, bo w przeciwnym razie będę dalej bronił interesów pana feldkurata, jak na porządnego żołnierza przystało. Ten pan ma rację, że chce odejść stąd sam, bo ja też nie lubię awantur i jestem człowiekiem towarzyskim.

— Mój Szwejku, mnie to wszystko zaczyna już nudzić — rzekł feldkurat, jakby nie dostrzegając obecności gościa. — Myślałem, że nas ten człowiek zabawi, że opowie nam jaką anegdotę, a on chce, żebym wam rozkazał nie wtrącać się do tej sprawy, chociaż mieliście z nim już dwa razy do czynienia. Wieczorem w wigilię dnia tak ważnego, gdy trzeba skupić wszystkie myśli i uczucia, zamęcza mnie jakąś idiotyczną historią o nędznych kilkunastu setkach koron. Odwraca myśl moją od spraw wyższych i chce, abym mu jeszcze raz powiedział, że mu teraz nic nie dam. Nie będę z nim więcej rozmawiał, aby mi nie zepsuł reszty tego świętego wieczoru. Powiedzcie wy mu, Szwejku, sam: — Pan feldkurat nic panu nie da.

Szwejk wypełnił rozkaz, wrzaskliwie powtórzywszy te słowa nad uchem gościa.

Ale wytrwały gość nie ruszył się z miejsca.

— Zapytajcie, Szwejku — wezwał feldkurat służącego — jak długo zamierza ten jegomość rozsiadywać się tutaj.

— Nie ruszę się stąd, dopóki nie otrzymam swej należności! — twierdził z uporem wytrwały człowiek.

Kapelan wstał, podszedł ku oknu i rzekł:

— W takim razie oddaję go wam, Szwejku; róbcie sobie z nim, co się wam podoba.

— Niech no pan idzie — rzekł Szwejk, uchwyciwszy nie milego gościa za ramię. — Do trzech razy sztuka.

I powtórzył swoją sztukę szybko i elegancko, podczas gdy feldkurat bębnił na oknie rytm marsza pogrzebowego.

Wieczór, poświęcony rozmyślaniu, miał kilka faz. Rozmyślenia feldkurata były tak głębokie, że jeszcze o dwunastej godzinie w nocy słychać było w jego mieszkaniu śpiew:

A gdyśmy maszerowali,
Wszystkie dziewczęta płakały...

Dobry żołnierz Szwejk śpiewał także.

Na ostatnie namaszczenie czekali w szpitalu dwaj ranni. Pewien stary major i pewien dysponent banku, oficer rezerwy. Obaj byli zranieni w brzuch podczas walk w Karpatach i obaj leżeli koło siebie. Oficer rezerwy uważał za swoją powinność czynić to, co czyni jego przełożony. Przeciwnie postępowanie byłby uważał za naruszenie subordynacji. Pobożny major miał nadzieję, że może poprawi mu się zdrowie. Ale w nocy obaj pomarli i gdy nazajutrz feldkurat ze Szwejkem przybyli do szpitala, nieboszczycy z twarzami szerniałymi, jak wszyscy ci, co umierają skutkiem uduszenia, leżeli pod prześcieradłami.

— Tyle kłopotów mieliśmy, a oni nie czekali — dąsał się Szwejk, gdy w kancelarii powiedziano im, że ranni oficerowie już ich nie potrzebują.

Szwejk miał rację, że było dużo kłopotów. Jechali dorożką, Szwejk dzwonił, a feldkurat trzymał w ręku buteleczkę z olejem zawiniętą w serwetkę... Przechodnie zdejmowali czapki

Za dorożką biegło kilka niewinnych pacholąt, z których jedno przysiadło się na resorach, po czym wszystkie inne pacholęta wrzeszczały unisono:

— Batem go, batem!

Szwejk dzwonił, dorożkarz chlastał biczem za dorożkę.

Na ulicy Wodiczkowej jakaś dozorczyńca domu, członkini kongregacji mariańskiej klusem dogoniła dorożkę i kazała się pobłogosławić. Przeżegnała się, splunęła i powiedziała:

— Jadą z tym Panem Bogiem jak wszyscy diabli. Można dostać suchot — i zadyszana zawróciła do swego domu.

Najbardziej irytował dzwonek szkapinę dorożkarską, której musiał widać coś przypominać, bo stale oglądała się za siebie i próbowała zatańczyć na jezdni.

Feldkurat poszedł do kancelarii dla załatwienia rachunku za swoje wydatki. Sierżantowi rachuby wyliczył dokładnie, że władze wojskowe winny mu sto i pięćdziesiąt koron za olej.

Potem powstał spór między dowódcą szpitala a feldkuratem, przy czym ten ostatni uderzył kilka razy pięścią w stół i wołał:

— Niech pan nie myśli, panie kapitanie, że wszystko jest darmo. Gdy oficer dragonów zostaje odkomenderowany do stadniny, żeby kupić konie, to też dostaje diety. Jest mi bardzo przykro, że przybyłem za późno.

Szwejk czekał tymczasem na dole na odwachu, trzymając buteleczkę z olejem, która wśród żołnierzy budziła duże zainteresowanie.

Ktoś mówił, że tym olejem można by doskonale czyścić karabiny i bagnety.

Żołnierze robili najróżniejsze uwagi. Jakiś zacny żołnierz z czeskomorawskiego płaskowyzą, który jeszcze wierzył w Boga, prosił, aby o rzeczach świętych mówiono delikatnie i aby się nie wyzbywano nadziei.

Stary rezerwista spojrział na żółtodzioba i rzekł:

— Ładna nadzieja, że szrapnel urwie ci głowę. Wodzą nas za nos. Pewnego razu przyjechał do nas jakiś poseł klerykalny i gadał o pokoju bożym, który wznosi się nad ziemią; dowodził, że Bóg nie chce wojny i że trzeba, abyśmy żyli w pokoju i kochali się, jak bracia. A teraz patrzcie! Jak tylko wybuchła wojna, we wszystkich kościołach modlą się o powodzenie wojny, a o Bogu mówi się, jak o jakim naczelniku sztabu generalnego, który wojną rządzi i dyryguje. Z tego szpitala wojskowego wywieźli nieboszczyków co niemiara i pełne wozy urzniętych rąk i nóg.

— A żołnierzy chowają bez ubrania — rzekł inny żołnierz — bo w mundury nieboszczyków ubierają ludzi żywych i tak w kółko.

— Dopóki nie zwyciężymy — zauważył Szwejk.

— Takiej fujarzy zachciewa się zwycięstwa — odezwał się z kąta kapral. — Na front was zapędzić, do okopów, i gnać was na bagnety, na druty kolczaste, na miny i wilcze doły,

i nic nie pytać. Wylegiwać się na tyłach, to każdy potrafi, ale zginąć nie chce się nikomu.

— Ja też myślę, że to bardzo ładnie, gdy żołnierz zostanie przebity bagnetem — rzekł Szwejk. — Kula w brzuchu też niebrzydka rzecz, ale jeszcze ładniejsza sprawa, gdy człeka przetrąci granat, a oczy wylażą z głowy i dziwują się, że nogi i brzuch poniekąd oddaliły się od piersi. Taki człowiek dziwuje się i temu, że umiera od takiej przygody wcześniej, niż mu ją ktoś wyświecić zdoła.

Młodziutki żołnierz westchnął serdecznie. Sam żałował swego młodego życia i myślał, jak to źle, iż urodził się w takim głupim stuleciu, że zostanie zarżnięty jak krowa w jatce. Na co to wszystko?

Pewien żołnierz, nauczyciel z powołania, rzekł, jakby czytał w jego myślach:

— Niektórzy uczeni objaśniają wojnę pojawieniem się plam na słońcu. Jak tylko pokaże się taka plama, dzieje się zawsze coś okropnego. Zdobycie Kartaginy...

— Zostaw pan sobie swoją uczoność — przerwał mu kapral — i idź pan zamieść izbę, bo dzisiaj kolej na pana. A nam diabli do jakichś tam bałwańskich plam na słońcu. Choćby ich tam było ze dwadzieścia, to i tak za nie nic nie dostanę.

— Ale te plamy na słońcu mają jednak wielkie znaczenie — wtrącił się do rozmowy Szwejk. — Razu jednego pokazała się taka jedna plama i jeszcze tego samego dnia zostałem obity u „Banzetów“ w Nuslach. Od tego czasu, gdy się gdzie wybierałem, zawsze zaglądałem do gazet, czy nie pokazała się jaka plama. A jeśli się pokazała, to adiu, Maryniu, nigdzie nie chodziłem i przesiedziałem plamę w domu. Jak wtedy wulkan Mont-Pelé zgładził całą wyspę Martinikę, to jeden profesor pisał w „Narodni Politice“, że już od dawna ostrzegał swoich czytelników przed wielką plamą na słońcu. Ale ta „Narodni Politika“ nie doszła na wyspę i biedni ludzie grubo ucierpieli.

Tymczasem feldkurat spotkał się w szpitalu z jedną damą ze „Stowarzyszenia szlachcianek religijnego wychowywania żołnierzy“, ze starą wstrętną megierą, już od samego rana chodzącą po szpitalu i wszędzie rozdającą obrazki świętych.

Podczas swego łązиковania denerwowała wszystkich swoim głupim gadulstwem i napominaniem, żeby szczerze żalowali za grzechy i prawdziwie się poprawili, iżby po śmierci Bóg niebieski dał im wiekuste zbawienie.

Była blada, gdy rozmawiała z feldkuratem, i wzdychała, jaka ta wojna straszna, bo zamiast uszlachetniać ludzi, robi z nich zwierzęta. Na przykład na dole ranni żołnierze wywalali na nią języki i powiedzieli jej, że jest pokraką i kozą niebiańską.

— Das ist wirklich schrecklich, Herr Feldkurat. Das Volk ist verdorben.

I rozgadała się o tym, jak sobie wyobrażała religijne wychowanie żołnierza. Albowiem tylko wtedy walczy żołnierz dzielnie za swego najjaśniejszego pana, gdy wierzy w Boga i ma uczucie religijne, bo nie boi się śmierci, wiedząc, iż czeka na niego raj.

Gadatliwa megiera wygłosiła jeszcze kilka podobnych komunałów, a widać po niej było, że jest zdecydowana nie wypuścić feldkurata ze swoich pazurów; on jednak odczepił się bardzo nieelegancko.

— Jedziemy do domu, Szwejku! — zawołał zwracając się w stronę odwachu.

W drodze powrotnej nie zwracali na siebie niczyjej uwagi.

— Niech na przyszłość posyłają do szpitala, kogo chcą — rzekł kapelan. — Za swoją szlachetność trzeba się z nimi kłócić o każdy grosz. Same buchaltery i rachmistrze! Hołota!

Widząc w ręku Szwejka buteleczkę z „poświęcanym“ olejem, nachmurzył się i powiedział:

— Najlepiej zrobimy, Szwejku, jeśli tym olejem nasmarujecie mnie i sobie buty.

— Spróbuję także naoliwić zamek — dodał Szwejk. — Ogromnie skrzypi, gdy ksiądz kapelan wraca nocą do domu.

Tak skończyło się ostatnie namaszczenie, do którego w ogóle nie doszło.

XIV

Szwejk staje się burszem nadporucznika Lukaszka.

Szczęście Szwejka było nietrwale. Nieubłagany los przerwał przyjaźń, jaka istniała między nim a feldkuratem. Aczkolwiek feldkurat dotychczas przedstawiał się jako osoba sympatyczna, to, czego dopuścił się teraz, odziera go z wszelkiej dla niego sympatii.

Feldkurat sprzedał Szwejka nadporucznikowi Lukaszowi, a raczej przegrał go w karty. Tak samo dawnymi czasy sprzedawano w Rosji chłopów pańszczyźnianych. Rzecz stała się zgoła nieoczekiwanie. U nadporucznika Lukaszka było wyborowe towarzystwo i grało w oko.

Feldkurat przegrał wszystko, co miał, i wreszcie rzekł:

— Ile pożyczycie mi na mego bursza? Odmowny idiota i interesująca postać. Coś non plus ultra. Jeszcze nikt i nigdy nie miał takiego bursza.

— Pożyczę ci sto koron — zaproponował nadporucznik Lukasz. — Jeśli nie oddasz do trzeciego dnia, to mi ten rarytas przysłesz. Mój pucybut to wstrętny człowiek. Ciągłe wzdycha i kradnie, czego dotknie. Biłem go nawet; na nic się nie zdało. Wybiłem mu parę przednich zębów, ale chłop się nie poprawił.

— Zgoda — rzekł lekkomyślny feldkurat. — Pojutrze sto koron albo Szwejk.

Przegrał i tych sto koron i smutny wracał do domu. Wiedział z całą pewnością i nie oddawał się żadnym złudzeniom, że do pojutrze tych stu koron nie zdobędzie i że właśnie sprzedał Szwejka nikczemnie i podle.

— Powinienem był zażądać dwieście koron — gniewał się na siebie, przesiadając się z tramwaju, aby za chwilę dotrzeć do domu. Stał się nagle tkliwym i sentymentalnym.

— Nieladnie to z mojej strony — pomyślał dzwoniąc do drzwi swego mieszkania. — Jak ja teraz spojrzę w jego idiotyczne, pocziwe oczy!

— Kochany Szwejk — rzekł znalazłszy się w domu. — Stała się rzecz niezwykła. Prześladował mnie pech w kartach. Puściłem się, bo miałem pod ręką asa, a potem dostałem dziesiątkę, a bankier, chociaż miał waleta, dociągnął także do dwudziestu jeden. Puszcząłem się pary razy na asa albo na dziesiątkę i zawsze miałem tyle, co i bankier. Przegrałem wszystkie pieniądze.

Chwilę milczał.

— W końcu przegrałem i was. Pożyczyłem sobie na was sto koron i jeśli nie oddam ich pojutrze, to już będziecie nie mój, ale pana nadporucznika Lukasz. Bardzo mi przykro. Naprawdę.

— Sto koron jeszcze mam — rzekł Szwejk — mogę panu feldkuratowi pożyczyć.

— Dawajcie! — ożywił się feldkurat. — Natychmiast zaniosę je Lukaszowi. Prawdę mówię, że nie chciałbym się z wami rozstać.

Lukasz był bardzo zdziwiony, że feldkurat wraca.

— Idę ci oddać dług — rzekł kapelan, rozglądając się zwycięsko dokoła. — Dajcie i mnie kartę.

— *Va banque* — zawołał, gdy kolej przyszła na niego. — O jedno oczko przewóz.

— Jeszcze raz *va banque* na ciemno — odezwał się przy drugiej kolei.

— Dwadzieścia bierze — wołał bankier.

— Mam akurat dziewiętnaście — cicho bąknął feldkurat, składając na stole ostatnie czterdzieści koron z setki, którą pożyczył mu był Szwejk, aby go wykupił z niewoli.

Wracając do domu, wiedział feldkurat z całą pewnością, że już koniec, że Szwejka niczym już ocalić nie może i że jest jego przeznaczeniem, aby służył u nadporucznika Łukasza. Gdy Szwejk otworzył drzwi, feldkurat rzekł:

— Wszystko na próżno, Szwejku. Przeciw przeznaczeniu trudno walczyć. Przegrałem was i tych waszych sto koron. Robilem wszystko, co było w mojej mocy, ale los jest mocniejszy ode mnie. Rzuciłem was w szpony nadporucznika Łukasza; nastanie czas, że będziemy musieli rozstać się.

— A dużo było w banku? — zapytał Szwejk spokojnie. — Czy puszczał się pan feldkurat na ciemno? Gdy karta nie idzie, to nic się nie da zrobić, ale czasem bywa też nie dobrze, gdy się karta pcha bezwstydnie. Na Zderazie mieszkał niejaki Vejvoda, blacharz, który grywał w mariasza w pewnym szynku za „Stuletnią kawiarnią“. Raz go diabeł skuł i mój blacharz powiada: — Zagrajmy sobie w oczko o pięć koronek. — Grali więc taniutko, a on miał bank. Wszyscy się przyłączyli i bank urósł do dziesięciu koron. Stary Vejvoda chciał, żeby i inni grali, więc robił, co mógł, żeby przegrać, ale mu się to nie udawało, a w banku była już setka. Spośród graczy nikt nie miał tyle pieniędzy przy sobie, żeby móc zagrać *va banque*, a na Vejvodę były już siódme poty. Było tak cicho, że słycać było tylko szelest kart i głos Vejvody, który od czasu do czasu przywoływał małą kiepską blotkę, żeby przegrać. Stawiali po pięć koron i wpadali jeden po drugim. Jeden majster kominiarski rozłościł się, poszedł do domu po pieniądze i zagrał *va banque*, gdy w banku było już półtorej setki. Vejvoda chciał się tego po-

zbyć i, jak potem mówił, chciał ciągnąć choćby do trzydziestu, żeby mieć przewóz, ale dostał dwa asy. Udawał, że nie ma i rozmyślnie powiada: — Szesnaście bierze. — A ten majster kominiarski miał wszystkiego piętnaście. Czy to nie pech? Stary Vejevoda był blady i zgnębiony, bo dokoła już sobie szeptali i urągali, że robi manipulacje, ktoś nawet powiedział, że już go raz zbili za fałszywą grę, chociaż był to najzaciejszy gracz. Dokładali więc dalej, aż było w banku pięćset koron. Szynek nie wytrzymał. Miał akurat przyszykowane pieniądze dla browaru za piwo, przysiadł się, postawił dwa razy po dwie setki, a potem zamknął oczy, zakręcił krzesłem na szczęście i oświadczył, że bije wszystko v a b a n q u e. — Ale — powiada — gramy w otwarte karty. — Stary Vejevoda byłby nie wiem co dał za to, żeby przegrać. Wszyscy się dziwili, gdy wyrzucił kartę i pokazała się siódemka, a on ją zatrzymał. Szynek śmiał się pod wąsem, bo miał dwadzieścia jeden. Vejevoda dostał drugą siódemkę, a szynek powiada: — Teraz będzie as albo dziesiątka. Głowę daję, panie Vejevodo, że będzie przewóz. — Zapanowała wielka cisza. Vejevoda wyrzuca trzecią kartę: siódemka! Szynek zrobił się blady jak kreda, bo to były jego ostatnie pieniądze, poszedł do kuchni, a po chwili przyleciał chłopak, który w gospodzie terminował, i wołał, żebyśmy poszli pana gospodarza oderżnąć, bo się powiesił na okiennym haku. Oderżnęliśmy go, ocucili i grało się dalej. Nikt już nie miał pieniędzy, bo wszystko było w banku, a stary Vejevoda ciągle wołał małą kiepską blotkę, żeby przegrać, ale w żaden sposób nie mógł przeciągnąć, bo grał w otwarte karty. Wszyscy zgłupieli wobec takiego wielkiego szczęścia, a ponieważ nie mieli pieniędzy, więc dawali rewersy. Po paru godzinach przed starym Vejevodą leżały tysiące, setki tysięcy, miliony. Majster kominiarski był już bankowi winien przeszło półtora miliona, stróż ze „Stuletniej kawiarni“ osiemset tysięcy, węglarz ze Zderaza około miliona, jeden medyk dwa miliony. Jednym słowem ogromne pieniądze.

Stary Vejdoda próbował i tak i tak. Ciągłe wychodził niby za potrzebą i za każdym razem oddawał bank jednemu z graczy, żeby grał za niego, a gdy wracał, mówili mu, że wygrał, że miał oko. Posłali po nowe karty, ale i to się na nic nie zdało. Gdy Vejdoda stanął na piętnastu, to partner miał na pewno czternaście. Wszyscy spoglądali na starego blacharza z wielką wściekłością, a najgłośniej urągał pewien brukarz, który miał w banku jakichś marnych osiem koron. Oświadczył otwarcie, że tacy ludzie, jak Vejdoda, nie powinni latać po świecie, że należałoby go skopać, wyrzucić za drzwi i utopić jak szczenię. Rozpacz starego Vejdody trudno sobie wyobrazić. Wreszcie wpadł na dobry koncept. — Ja muszę wyjść — powiada do kominiarza — niech pan gra za mnie, panie majstrze. — Wyleciał bez kapelusza i prosto w ulicę Myslika po policję. Spotkał patrol i powiedział, że w tej a w tej gospodzie grają o pieniądze. Policjanci wezwali go, aby poszedł naprzód, że zaraz przyjdą za nim. Wrócił więc między graczy i dowiedział się, że tymczasem medyk przegrał przeszło dwa miliony, a stróż przeszło trzy. Rewersów na stole przybyło. Po chwili do szynku weszli policjanci. Brukarz krzyknął: — Uciekajcie, sąsiedzi! — Ale nie zdało się to na nic. Bank został skonfiskowany, wszystkich zabrano do biura policji. Ponieważ węglarz ze Zderazu sprzeciwił się, więc zawieźli go w plecionce. W banku było rewersów na przeszło pół miliarda, a w gotówce tysiąc pięćset.

— Takiego hazardu jeszcze, jak żyję, nie widziałem — rzekł inspektor policji, widząc rewersy na takie zawrotne sumy. — Przecież to jest gorsze od Monte Carlo.

W areszcie zostali do rana wszyscy z wyjątkiem Vejdody, który za doniesienie został uwolniony i miał przyrzeczoną trzecią część skonfiskowanego banku, czyli przeszło sto sześćdziesiąt milionów, ale biedak w nocy zwariował i od samego rana chodził po Pradze i na tuziny zamawiał kasy ogniotrwałej. To się nazywa szczęście w kartach.

Potem zabrał się Szwejk do gotowania grogu, a udał mu się tak świetnie, że późną nocą, gdy ułożył feldkurata na łóżku, chociaż przyszło to z wielkim trudem, feldkurat rozplakał się rzewnymi łzami i lkał:

— Sprzedałem cię, kolego, haniebnie. Przeklinaj mnie, bij, nic nie powiem. Rzuciłem cię na pastwę losu. W oczy ci spojrzeć nie mogę. Drap mnie, gryź, zgładź! Nie zasługuję na nic lepszego. Wiesz, co ja jestem?

I zanurzając zapłakaną twarz w poduszkę, rzekł cichym, delikatnym, miękkim głosem:

— Jestem łotr bez charakteru.

I zaraz zasnął snem sprawiedliwego.

Nazajutrz feldkurat unikał spojrzenia Szwejka, wyszedł z domu bardzo wczesnie i powrócił dopiero w nocy z jakimś grubym piechurem.

— Pokaż mu, Szwejk — mówił unikając spojrzenia swego usługi — gdzie co leży i powiedzcie mu, jak się gotuje grog. Rano zameldujecie się u nadporucznika Lukasz.

Szwejk i nowy sługa feldkurata spędzili noc bardzo przyjemnie na gotowaniu grogu. Nad ranem piechur ledwo trzymał się na nogach i nucił sobie pod nosem dziwną mieszalinę różnych piosnek ludowych: „Czemuś oczki zapłakała, szynkareczko, szafareczko, cztery lata pije Kuba, hej, gwiazdeczko, coś błyszczła, stoi ułan na pikiecie, uciekła mi przepióreczka...”

— Będzie ci, bratku, dobrze na świecie — rzekł Szwejk do niego. — Przy takich zdolnościach utrzymasz się u feldkurata długo.

Takim sposobem stało się, że tegoż samego przedpołudnia nadporucznik Lukasz po raz pierwszy ujrzał pocziwą i szczerą twarz dobrego wojaka Szwejka, który mu się meldował:

— Posłusznie melduję panu oberlejtantowi, że jestem ten Szwejk, co go pan feldkurat przegrał w karty.

Instytucja oficerskich służących jest stara jak świat. Zdaje się, że już Aleksander Macedoński miał swego pucybuta, ale pewne jest tylko to, że w czasach feudalnych zadanie to spełniali giermkowie rycerzy. Czym był Sancho Pansa wobec Don Quichota? Dziwię się, że nikt dotąd nie napisał historii oficerskich służących. W historii takiej znaleźlibyśmy wieść o tym, że książę de Almagro podczas oblężenia miasta Toledo spożył swego wojskowego służącego bez soli, o czym sam pisze w swoim pamiętniku. Opowiada też, że sługa jego miał mięso delikatne, miękkie, smakiem przypominające coś pośredniego między mięsem kurczęcim a mięsem oślim.

W starej kronice szwabskiej o sztuce wojennej znajdujemy także wskazania dla służących oficerskich. Pucybut dawnych czasów powinien był wyróżniać się pobożnością, cnotliwością, musiał być skromny, odważny, mężny, uczciwy, pracowity. Słowem — miał to być wzór człowieka. Czasy nasze zmieniły się pod tym względem bardzo. Współczesny totumfacki zazwyczaj nie bywa ani pobożny ani cnotliwy, ani prawdomówny. Łże, oszukuje, jak się da, i często gęsto życie swego pana przemienia w prawdziwe piekło. Jest to przebiegły niewolnik, który wymyśla najróżniejsze podstępne kawały, aby zatruć życie swego pana.

W nowym pokoleniu pucybutów nie ma już takich ofiar-nych istot, które pozwoliłyby swemu panu zjeść się bez soli, jak szlachetny Fernando księcia de Almagro. Z drugiej strony widzimy, że dowódcy, walcząc na życie i śmierć ze swoimi współczesnymi służącymi, stosują najróżniejsze środki dla utrzymania swego autorytetu. Niekiedy bywa to rodzaj terroru. W 112 roku odbywał się w Gratzu proces sądowy, w którym rolę główną odegrał pewien kapitan: skopał na śmierć swego pucybuta. Został uniewinniony, ponieważ uczynił to dopiero drugi raz. W poglądach tych panów życie pucybuta

nie przedstawia żadnej wartości. Jest to zwyczajna rzecz; pucybut to w wielu wypadkach pajac od brania w pysk, niewolnik, sługa do wszystkiego. Oczywiście, nic dziwnego, że taka sytuacja zmusza niewolnika, aby był przebiegły i podstępny. Sytuację jego na naszej planecie porównać można jedynie do cierpienia pikolaków dawnych czasów, którym pięścią i udrękami wpajano uczciwość.

Zdarza się wszakże, że pucybut awansuje na faworyta, a wówczas staje się upiorem całej kompanii, czy batalionu. Cała podoficerska starszyna stara się podkopywać go. On decyduje o urlopie, on może się wstawić, za kim chce, żeby przy raporcie wszystko dobrze wypadło.

Tacy faworyci bywali podczas wojny nagradzani wielkimi i małymi medalami srebrnymi za odwagę i męstwo.

W pułku dziewięćdziesiątym pierwszym znałem takich kilku. Jeden pucybut dostał wielki srebrny medal za to, że umiał bajecznie piec gęsi, które kradł. Drugi dostał mały srebrny medal za to, że z domu otrzymywał wspaniałe przesyłki aprowizacyjne, tak że jego pan w czasach powszechnego głodu wojennego tak się przeżarł, iż nie mógł łązić.

Propozycję nagrodzenia tego człowieka medalem stylizował jego pan tak:

— Za to, że w walkach okazuje niezwykłą odwagę i męstwo, że gardził życiem i nie opuszczał swego oficera na krok pod silnym ogniem nieprzyjacielskim.

A on tymczasem gdzieś na tyłach plądrował kurniki. Wojna zmieniła stosunek pucybuta do pana i uczyniła z niego istotę najbardziej niewinną dla wszystkich szeregowców. Pucybut zawsze dostawał całą puszkę konserw, nawet wtedy, gdy jedna puszka wydawana była na pięciu szeregowców. Jego flaszka polowa była zawsze napełniona rumem albo koniakiem. Przez cały dzień taki pokraka żuł czekoladę i objadał się słod-

kimi sucharami oficerskimi, palił papierosy swego oficera kuchcił, gotował w ciągu długich godzin i nosił odświętną bluzę.

Służący oficera był z ordynansem na stopie najbardziej popularnej i obdarzał go obficie odpadkami swego stołu i wszystkich tych przywilejów, z jakich korzystał. Do triumwiratu przybierał sobie nadto sierżanta rachuby. Cała ta trójka, mająca bezpośrednie stosunki z oficerem, znała wszystkie operacje i plany wojenne.

Kiedy się coś znacznie, wiedział zawsze najlepiej ten pluton, którego kapral przyjaźnił się ze służącym oficera.

Gdy taki powiedział: — O drugiej trzydzieści pięć dajemy dęba — to ściśle o drugiej trzydzieści pięć żołnierze austriaccy zrywali kontakt z nieprzyjacielem.

Służący oficera utrzymywał najpoufalsze stosunki z kuchnią polową, lubił się kręcić koło kotła i rozkazywał tak, jakby siedział w restauracji i odczytywał jadłospis:

— Ja chcę żebro — mówił do kucharza — wczoraj dałeś mi ogon. Dodaj mi też kawałek wątroby do zupy; wiesz przecie, że śledziony nie lubię.

Ale najwspanialej umiał pucybut robić panikę. Przy ostrzeżeniu okopów serce spadło mu w portki. W takich chwilach siedział ze swoimi i swego pana tobołami w najbezpieczniejszym schronie i nakrywał głowę kołdrą, aby granat do niego nie trafił. Nie miał innego pragnienia, tylko to jedno, aby jego pan został raniony i aby razem z nim można było dostać się daleko na tyły.

Panikę podtrzymywał systematycznie, okraszając ją sekretem.

— Zdaje mi się, że składają telefon — rozповідаł sekretnie po plutonach. Był szczęśliwy nad wyraz, gdy mógł rzec: — Już go złożyli.

Nikt tak bardzo nie lubił odwrotów, jak on. W takich chwilach zapominał, że nad głową świszczą mu granaty i szrapnele, ale z uporem i niestrudzeniem przebijał się, objuczony to-

bojami, ku sztabowi, gdzie stały tabory. Cenił austriackie tabory i bardzo lubił jeździć wozem. W razach najgorszych korzystał nawet z sanitarnych dwukólek. Gdy musiał iść pieczo, wywierał wrażenie najbardziej zgnębionego człowieka. W takich razach pozostawiał toboły swego pana w okopach i zabierał jedynie swoje mienie.

Jeśli się złożyło tak, że oficer uniknął niewoli, a pucybut dostał się do niej, to nie zdarzyło się ani razu, aby zapomniał zabrać z sobą do niewoli także i tobołów swego pana. Stawały się one po prostu jego własnością, do której przywiązywał się całym sercem.

Widziałem jednego sługę oficera, który od samego Dubna szedł razem z innymi piechotą aż do Darnicy za Kijowem. Obok swego tobołka miał także toboły swego oficera, który uniknął niewoli, pięć walizek różnej wielkości, dwie kołdry i poduszkę, nie mówiąc o jakimś bagażyku, który niósł na głowie. Skarżył się, że kozacy skradli mu dwie walizki.

Nigdy nie zapomnę tego człowieka, który włókł te toboły przez całą Ukrainę. Był to żywy wóz ekspedytora i nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób mógł to wszystko dźwigać i wlec na przestrzeni setek kilometrów, a potem jechać z tym aż do Taszkientu, pilnować i strzec wszystkiego, aby wreszcie umrzeć na swoich tobołach w obozie jeńców na tyfus plamisty.

Dzisiaj dawni służący oficerów rozproszeni są po całej republice i opowiadają o swoich czynach bohaterskich. Oni szturmowali Sokal, Dubno, Nisz, Piawę. Każdy z nich był Napoleonem:

— Powiedziałem swemu pułkownikowi, żeby telefonował do sztabu, że już można zaczynać.

Przeważnie byli to reakcyjniści, a szeregowcy nienawidzili ich. Niektórzy byli donosicielami i doznawali osobliwej przyjemności, widząc, że kogoś przywiązują do słupka.

Była to osobliwa kasta. Ich egoizm nie znał granic.

Nadporucznik Lukasz był typowym oficerem służby czynnej w armii marniejącej monarchii austriackiej. W szkole wojskowej wyuczył się obłudy: w towarzystwie mówił po niemiecku i pisał po niemiecku, ale czytywał czeskie książki, a gdy nauczał w szkole jednorocznych ochotników, samych Czechów, mawiał do nich w zaufaniu:

— Bądźmy Czechami, ale nie afiszujmy się. Ja też jestem Czech.

Czeskość uważał za jakąś tajną organizację, od której lepiej trzymać się z dala.

Poza tym był to człowiek dobry, nie bał się swoich przełożonych, a podczas manewrów dbał o swój oddział, jak się należy, zawsze znajdował dla niego wygodne noclegi po stodołach, a często gęsto ze skromnych swoich środków kazał wywalić żołnierzom beczkę piwa.

Lubił, gdy żołnierze śpiewali podczas marszu. Kazał im śpiewać, gdy szli na ćwiczenia i gdy wracali z ćwiczeń. Sam zaś, krocząc obok swego oddziału, śpiewał razem z żołnierzami:

A jak było po północy
Owies z worka wyskoczył —
Zumtarija bum!

Żołnierze lubili go, ponieważ był niezwykle sprawiedliwy i nikogo nie szykanował.

Subalterni bali się go jak ognia, bo z najbrutalniejszego kaprała w ciągu miesiąca potrafił zrobić istnego baranka.

Umiał, rzecz prosta, krzyczeć, ale nigdy nie wyzywał żołnierzy. Używał wybranych słów i stylizowanych zdań.

— Widzicie — mawiał — że ja naprawdę nie lubię karać żołnierzy, ale, mój chłopcze, nie ma rady, bo na dyscyplinie opiera się zdatność wojska, a bez dyscypliny armia byłaby trzcinaą chwiejącą się na wietrze. Jeśli munduru nie macie

w porządku, a guziki są źle przyszyte albo ich brak, to wi-
dać, że zapominacie o swoich obowiązkach względem armii.
Być może, iż wydaje się wam to niepojętym, że zostaniecie
wsadzony do paki za to, że wczoraj przy przeglądzie brakło
wam jednego guzika przy bluzie. Taka to malutka, marna
rzecz, na jaką cywil nawet uwagi nie zwraca. Ale w wojsku
takie przeoczenie musi być karane. A dlaczego? Nie o to
chodzi, że brak wam jednego guzika, ale o to, że musicie przy-
zwyczajając się do porządku. Dzisiaj nie przyszyjecie sobie gu-
zika i zaczynacie sobie folgować. Jutro wyda się wam, że
szkoda fatygi na rozbieranie i czyszczenie karabinu, pojutrze
zapomnicie gdzieś w szynku bagnetu i wreszcie zaśniecie na
warcie, a to wszystko dlatego, że od tego nieszczęsnego guzika
zaczęliście wieść życie łajdackie. Tak to, kochany chłopcze. Ka-
rzę was dlatego, aby was ustrzec od rzeczy gorszych, jakich
moglibyście się dopuścić, zapominając powoli, ale stale o swo-
ich obowiązkach. Skazuję was na pięć dni i życzę sobie, aby-
ście o chlebie i wodzie pomyśleli o tym, że kara nie jest
zemstą, ale wyłącznie środkiem wychowawczym, mającym
na celu poprawę karanego żołnierza.

Już dawno powinien był zostać kapitanem, ale ponieważ
z przełożonymi był otwarty i szczerzy, nie znając w stosunkach
służbowych żadnego lizusostwa, więc nie zdała mu się na
nic jego ostrożność w sprawach narodowościowych.

Tyle pozostało mu z charakteru południowo-czeskiego chło-
pa. Urodził się bowiem na wsi, na południu, wśród czarnych
borów i stawów.

Chociaż dla żołnierzy był bardzo sprawiedliwy i nie drę-
czył ich, to jednak w charakterze jego była osobliwa rysa.
Nienawidził swoich służących, ponieważ zawsze tak się skła-
dało, że dostawał najniegodziwszego z pucybutów.

Prął ich po twarzy i po głowie i starał się wychować ich
słowem i czynem, chociaż nie uważał ich za żołnierzy. Wal-
czył z nimi beznadziejnie przez szereg lat, zmieniał ich bar-

dzo często, ale w końcu zawsze machnął ręką i westchnął: — Znowu dostałem podle bydłę. — Służących swoich uważał za niższy gatunek istot żywych.

Bardzo lubił zwierzęta. Miał harceńskiego kanarka, angorskiego kota i pinczera. Wszyscy służący Lukasz obchodzili się z tymi zwierzętami nie gorzej, niż ich pan obchodził się z nimi, gdy dopuścili się względem niego jakiej podłości.

Kanarka morzyli głodem, jeden ze służących wybił angorskiemu kotu oko, pinczera bił każdy z nich, ile włożyło, aż w końcu jeden z poprzedników Szwejka zaprowadził biedaka na Pankrac do czyściciela i kazał go zabić, nie żałując na to dziesięciu koron z własnej kieszeni. Nadporucznikowi zameldował potem po prostu, że pies mu się wyrwał i uciekł podczas spaceru. Ale nazajutrz maszerował ten pucybut na front.

Gdy Szwejk przyszedł do nadporucznika zameldować się jako jego nowy służący, Lukasz zaprowadził go do pokoju i rzekł:

— Poleciał mi was feldkurat Katz, więc życzę sobie, żebyście się okazali godnym tego polecenia. Miałem już tuzin służących, ale żaden u mnie miejsca nie zagrzał. Zwracam uwagę waszą na to, że jestem bardzo surowy i że ostro karzę każdą podłość i każde kłamstwo. Życzę sobie, abyście mówili zawsze prawdę i żebyście bez szemrania wykonywali wszystkie moje rozkazy. Gdy rozkażę: Skaczcie w ogień! to musicie skoczyć w ogień, choćby się wam nie chciało. Gdzież się gapiacie?

Szwejk z zainteresowaniem spoglądał na ścianę, na której wisiała klatka z kanarkiem, a zapytany, gdzie się gapi, zwrócił swoje pocziwe oczy na nadporucznika i odpowiedział miłym, uprzejmym tonem:

— Posłusznie melduję, panie nadporuczniku, że tam jest harceński kanarek.

Przerwany został w ten sposób potok wymowy oficerskiej,

Szwejk stał na baczność i bez mrugnęcia spoglądał w oczy swego pana.

Lukasz chciał rzec coś ostrego, ale rozbroił go niewinny wyraz twarzy Szwejka. Rzekł więc tylko:

— Pan feldkurat polecił mi was jako wielkiego głuptaka i zdaje się, że miał rację.

— Posłusznie melduję, panie nadporuczniku, że pan feldkurat naprawdę miał rację. Kiedym służył w wojsku, to zostałem zwolniony przez idiotyzm, i jeszcze do tego notoryczny. Z tego powodu zwolnili wtedy z pulku dwóch: mnie i jeszcze jednego, pana kapitana von Kaunitza. Ten pan kapitan z przeproszeniem pana nadporucznika, gdy szedł ulicą, to jednocześnie palcem lewej ręki dłubał w lewej dziurce nosa, a palcem drugiej ręki dłubał w drugiej dziurce. A jak nas wyprowadził na ćwiczenia, to nas ustawiał tak, jak się ustawia żołnierzy do defilady, i mówił: — Żołnierze, eh, pamiętajcie dobrze, eh, że dzisiaj środa, ch, ponieważ jutro będzie czwartek, eh.

Nadporucznik Lukasz wzruszył ramionami jak człowiek, który nie wie, co rzec, i nie znajduje na poczekaniu słów dla wyrażenia pewnej myśli.

Przeszedł się od drzwi ku przeciwległemu oknu i z powrotem, przy czym Szwejk sumiennie śledził jego kroki i tak dokumentnie podrzucał głowę „w prawo patrz“ i „w lewo patrz“, że nadporucznik spuścił oczy i spoglądając na dywan rzekł coś, co nie było w żadnym związku z uwagami Szwejka o głupawym kapitanie.

— Tak jest, u mnie musi być porządek. Lubię uczciwość. Nienawidzę kłamstwa i karzę je bez miłosierdzia. Czy dobrze rozumiecie?

— Posłusznie melduję, panie nadporuczniku, że rozumiem. Nie ma nic gorszego od kłamiącego człowieka. Jak tylko zacznie się plątać, to zgubiony. W jednej wsi za Pelhrzymowem był nauczyciel, niejaki Marek, i zalecał się do córki gajowego Szpe-

ry, a ten gajowy kazał mu powiedzieć, że jeśli będzie spotykał się w lesie z jego dziewczyną, to jak go napotka, to mu z fuzji wlepi w zadek szczeciny z solą. Nauczyciel kazał mu odpowiedzieć, że to nieprawda, ale razu pewnego, kiedy właśnie miał się spotkać z córką gajowego, spotkał go ów gajowy i chciał mu zrobić tę operację, ale nauczyciel tłumaczył się, że zbiera jakieś kwiatuszki, potem znowuż mówił, że łapał jakieś robaczki, i plątał się coraz bardziej, aż wreszcie z samego strachu zaprzysiął się, że zastawiał sidła na zające. Więc mój gajowy złapał go za kołnierz i zaprowadził go prosto z lasu na posterunek żandarmów. Rzecz poszła do sądu i nauczyciel o mały figiel byłby się dostał do kozy. Gdyby był powiedział szczerą prawdę, to najwyżej byłby miał w zadku te szczeciny z solą. Ja jestem tego zdania, że najlepiej zawsze przyznać się, być szczerym, a jeśli się już coś splątało, to iść i powiedzieć: — Posłusznie melduję, że popełniłem to a to. — Co zaś do uczciwości, to jest to rzecz bardzo piękna, ponieważ człowiek zajdzie z nią zawsze najdalej. Jak na przykład przy zawodach szybkiego chodu. Jak tylko zaczniesz taki podskakiwać i cyganić, zaraz go zdystansują. Zdarzyła się taka rzecz mojemu bratankowi. Uczciwego człowieka wszędzie szanują i poważają, i sam też jest z siebie zadowolony, bo się czuje, jak nowonarodzone dziecko, gdy udaje się na spoczynek i może sobie powiedzieć: — Dzisiaj znowuż byłem uczciwy.

Podczas tego przemówienia nadporucznik Lukasz już dawno siedział na krześle i spoglądając na buty Szwejka myślał:

— Mily Boże, przecież i ja wygaduję czasem takie bałwaństwa, a cała różnica jest tylko w formie zewnętrznej.

Ale nie chcąc tracić na powadze, rzekł do Szwejka, gdy ten skończył:

— U mnie musicie mieć buty czyste, uniform w porządku, guziki poprząszywane, jak się należy, i musicie wywierać wrażenie żołnierza, a nie jakiegoś cywila-niezdugły. Dziwi mnie to,

że żaden z was nie potrafi trzymać się po wojskowemu. Tylko jeden miał postawę wojskową, ale w końcu skradł mi parady uniform i sprzedał Żydom.

Zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej, wyliczając Szwejkowi wszystkie jego obowiązki, przy czym nie zapomniał położyć nacisku na tym, że Szwejk musi być wierny i nigdzie nie mówić o tym, co się dzieje w domu.

— Czasem odwiedzają mnie damy — rzekł między innymi. — Zdarza się, że niektóra zostaje u mnie na noc, jeśli nazajutrz nie mam służby. W takim razie podajecie kawę do łóżka, gdy zadzwonię, rozumiecie?

— Posłusznie melduję, że rozumiem, panie oberlejtant. Gdybym się bez dzwonięcia zbliżył do łóżka, to niektórej damie mogłoby to być niemiłe. Ja też razu pewnego przyprowadziłem sobie do domu panienkę, a rano moja posługaczka podawała nam kawę do łóżka akurat wtedy, gdyśmy się bardzo wesoło bawili. Wystraszyła się i połała mi całe plecy, i jeszcze rzekła: — Dzień dobry państwu. — Ja wiem co wypada, a co nie wypada, gdy gdzieś nocuje dama.

— Dobrze, Szwejku względem dam musimy zawsze zachowywać się z wielkim taktem — rzekł nadporucznik, którego humor poprawiał się, bo rozmowa przechodziła na sprawy, które wypełniały wszystek jego wolny czas poza koszarami, placem ćwiczeń i grą w karty.

Kobiety były duszą jego mieszkania. One tworzyły jego ognisko domowe. Było ich parę tuzinów, a prawie każda z nich podczas swego pobytu u niego starała się ozdobić mieszkanie różnymi cackami.

Jedna z tych pań, żona właściciela kawiarni, która spędziła u niego całe dwa tygodnie, zanim pan małżonek po nią przyjechał, wyszyła mu bardzo miłutki laufer na stół, a całą bieliznę jego poznażyła monogramami. Byłaby niezawodnie ukończyła wyszywanie dużego dywana ściennego, gdyby pan małżonek nie przerwał tej sielanki.

Inna dama, po którą po trzech tygodniach przyjechali jej rodzice, chciała z jego sypialni zrobić damski buduar i porozstawiała wszędzie różne caczuszka i wazoniki, a nad łóżkiem zawiesiła mu Anioła-Stróża.

W każdym kąciку sypialni i jadalni widać było ślady ręki kobiecej. Kobiety wtargnęły nawet do jego kuchni, gdzie można było oglądać najprzeróżniejsze naczynia i narzędzia kuchenne, będące wspaniałym prezentem jednej zakochanej pani fabrykantowej, która prócz namiętności swojej przywiozła z sobą przyrząd do krajania wszelkich jarzyn i kapusty, przyrządy do tarcia bułeczki, rozcierania wątróbki, rondelki, brytfanny, kociołki, warząchewki i Bóg raczy wiedzieć, co tam jeszcze.

Wyjechała wszakże już po tygodniu, ponieważ nie mogła pogodzić się z myślą, że nadporucznik oprócz niej ma jeszcze około dwudziestu innych kochanek, co pozostawiało niezadowolone ślady na jego amanckiej sprawności.

Nadporucznik Lukasz prowadził też obszerną korespondencję, miał album swoich kochanek i zbiór różnych relikwii, bo w ciągu ostatnich dwóch lat ujawniała się w nim coraz większa skłonność do fetyszyzmu. Miał więc kilka odmiennych podwiązek damskich, cztery pary przemiłych majtek z wyszywaniem i trzy przezrocze damskie koszulki, batystowe chusteczki do nosa, a nawet jeden gorset i kilka pończoszek.

— Dzisiaj mam służbę — rzekł — przyjdę dopiero w nocy. Dopilnujcie wszystkiego i zróbcie porządek w mieszkaniu. Ostatni mój bursz za swoją nikczemność odjechał dzisiaj z marszkompanią na front.

Wydawszy jeszcze kilka rozkazów, dotyczących kanarka i kota angorskiego, nadporucznik wyszedł, ale jeszcze we drzwiach odwrócił się do Szwejka i rzucił mu kilka słów o uczciwości i porządku.

Po jego odejściu Szwejk zrobił w mieszkaniu gruntowny

porządek, tak że gdy Lukasz wrócił w nocy do domu, jego służący mógł mu meldować:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że wszystko jest w porządku, tylko kot jest gałgan i żezał kanarka.

— Jak to? — zagrzmiął nadporucznik.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że tak: Ja wiedziałem, że koty nie lubią kanarków i że je krzywdzą. Więc chciałem tych dwoje zapoznać ze sobą i gdyby ta bestia kot był chciał coś przedsięwziąć, to byłbym mu przetrzepał futro, żeby do samej śmierci nie zapomniał, jak się ma obchodzić z kanarkami. Bo ja bardzo lubię zwierzęta. W naszym domu jest kapelusznik, który tak wyuczył kota, że chociaż mu ten kot zjadł trzy kanarki, to teraz nie zje ani jednego, choćby kanarek na nim usiadł. Więc chciałem też spróbować, czy się nie uda. Wyjąłem kanarka z klatki i podsunąłem mu go pod nos, żeby powąchał, a on podlec, zanim się spostrzegłem, ugryzł mu głowę. Doprawdy, nie spodziewałem się takiego gałgaństwa ze strony tego kota. Gdyby to był, proszę pana oberlejtanta, wróbel, to bym nic nie mówił, ale taki ładny kanarek i jeszcze harceński. I jak chciwie go żarł! Nawet pierza nie zostawił i mruczał bestia z wielkiej uciechy. Podobno koty nie mają słuchu muzycznego i nie znoszą śpiewu kanarka, bo się na tym śpiewaniu te bestie nie znają. Zezwałem tego kota, jak się patrzy, ale, broń Boże, złego nic mu nie zrobiłem. Czekałem na rozkaz pana oberlejtanta, co trzeba będzie zrobić temu parszywcowi za jego gałgański postępek.

Opowiadając o tym zdarzeniu, Szwejk spoglądał tak szczerze w oczy nadporucznika, że Lukasz opuścił rękę i usiadł na krześle, chociaż zrazu podszedł do Szwejka z bardzo wyraźnym brutalnym zamiarem.

— Słuchajcie, Szwejku — rzekł — czy naprawdę jesteście takim skończonym osłem?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — uroczyście odpowiedział Szwejk — że jestem. Od maleńkości mam ta-

kiego pecha. Zawsze chcę coś naprawić, zrobić dobrze, i zawsze stanie się z tego jakaś nieprzyjemność dla mnie i dla otoczenia. Ja naprawdę chciałem tych dwoje zapoznać z sobą, żeby się zaprzyjaźnili, i nie jestem temu winien, że kot go zeżarł i że już jest po przyjaźni. W jednym domu kot zeżarł nawet papugę, bo go przedrzeźniała i miauczała jak on. Ale koty mają twarde życie. Jeśli pan każe go zgladzić, to trzeba będzie wsadzić mu łeb między drzwi i mocno szarpnąć za ogon, bo inaczej trudno kota zabić.

I Szwejk z najniewinniejszym wyrazem twarzy i z miłym pocziwym uśmiechem wykladał nadporucznikowi, jak się zabija koty. Wykład jego był tego rodzaju, że mógł zapędzić do domu wariatów całe stowarzyszenie opieki nad zwierzętami.

Wykazał przy tym sporo wiadomości tak dalece fachowych, że nadporucznik Lukasz zapominając o swoim gniewie zapytał:

— Umiecie obchodzić się ze zwierzętami? Macie dobre uczucia i życzliwość dla zwierząt?

— Najbardziej lubię psy — odpowiedział Szwejk — ponieważ na handlu psami można dobrze zarabiać, gdy się je umie sprzedawać. Ja nie umiałem, ponieważ zawsze byłem uczciwy, a i tak przychodzili do mnie ludzie z pretensjami, że niby sprzedałem im zdechłego kundla zamiast rasowego, zdrowego psa, jakby wszystkie psy musiały być zdrowe i rasowe. I każdy kupiec chciał od razu rodowodu, więc musiałem zaopatrzyć się w druki i z ulicznych kundli, co się uległy w cegielni, robić najczystsza rasową szlachtę pieską z bawarskiej psiarni Armina von Barnheim. A ludzie naprawdę byli radzi, że wszystko wypadło według ich życzenia i że mają w domu rasowe zwierzę. Można im było zaproponować wrszowickiego szpica jako jamnika, a ludziska dziwili się tylko temu, że taki szlachetny pies, który pochodzi aż z Niemiec, jest kudłaty i nie ma krzywych nóg. Takie rzeczy robi się we wszystkich psiarniach i pan oberlejtant zdziwiłby się bardzo, gdy-

by widział, jak w wielkich psiarniach fabrykują rodowody. Mało jest takich psów, które mogłyby rzec o sobie, że są rasowe i czystej krwi. Albo się takiemu pieskowi zapomniała mama z jakim kundlem, albo babcia, albo też miał sporo ojców i po każdym coś odziedziczył. Od jednego wziął uszy, od drugiego ogon, od trzeciego pysk i kudły na pysku, od czwartego kuszykające łapy, od piątego wielkość itd. Jeśli ojców było dwunastu, to pan oberlejtant łatwo sobie może wyobrazić, jak taki pies potem wygląda. Kupiłem kiedyś takie wielkie psisko, a było po swoich ojcach takie szpetne, że wszystkie psy od niego uciekały. Kupiłem go, bom się nad nim litowałem, że taki jest opuszczony. Siadywał w domu w kąciku i był taki smutny, że musiałem go sprzedać jako pinczera. Najwięcej kłopotu miałem z przemalowaniem jego sierści, żeby kolorem przypominała pieprz i sól. Dostał się ten piesek ze swoim panem aż na Morawy i od tego czasu nie widziałem go ani razu.

Nadporucznika bardzo interesował ten fachowy wykład o psach, więc Szwejk mógł mówić bez przeszkód ze strony swego pana.

— Psy same nie mogą sobie farbować włosów, jak to robią damy; o takie rzeczy musi się kłopotać ten, kto je sprzedaje. Gdy pies jest na przykład taki stary, że jest cały siwy, a pan go chce sprzedać jako jednoroczne szczenię albo nawet chce takiego dziadka przemienić w dziewięciomiesięczne dzieciątko, to kupuje się „piorunku“ rtęci, rozpuszcza się i farbuje psa na czarno, że wygląda, jak młodziutki. Żeby okrzepł, trzeba mu dawać, jak koniowi, strychninę, a zęby wyczyścić mu szmerglem, takim samym, jakim czyści się żardzewiałe noże. A zanim prowadzi się go do klienta, który chce go nabyć, trzeba mu nalać w pysk trochę śliwownicy, żeby się psina schłodziła, to zaraz jest wesoła, ruchliwa, szczeka uciesznie i zaprzyjaźnia się z każdym, jak pijany radny miejski. Ale najważniejsza rzecz, panie oberlejtant, to gadanie.

Trzeba do ludzi gadać i gadać, aż z tego gadania zbaranieją. Jeśli ktoś chce sobie kupić ratlerka, a pan nie ma w domu innych psów, prócz myśliwskich, to trzeba umieć przekonać tego klienta, żeby sobie zamiast ratlerka kupił psa myśliwskiego. Albo, jeśli kto chce złego niemieckiego doga do pilnowania domu, a pan ma tylko małego ratlerka, to trzeba tego kupca tak wygłupić, żeby sobie poszedł do domu z tym ratlerkiem w kieszeni, zamiast z dogiem. Kiedym jeszcze dawniej handlował zwierzętami, przyszła do mnie jakaś dama i powiada, że jej papuga wyleciała do ogrodu, a ponieważ bawiły się tam jakieś pacholęta w Indian, więc powyrywały papudze wszystkie pióra z ogona i przystroiły się nimi, jako policjanci. Papuga rozchorowała się ze wstydu, że nie miała ogona, a weterynarz dobił ją jakimiś proszkami. Chciała więc ta pani kupić nową papugę, ale przyzwoitą, nie taką, która umie tylko pyskować. Cóż było robić, kiedy w domu papugi nie miałem i o żadnej nie wiedziałem? Miałem w domu tylko buldoga, złego i ślepego. Więc musiałem, proszę pana oberlejtanta, przemawiać do tej pani od czwartej po południu do siódmej wieczorem, dopóki zamiast papugi nie kupiła tego buldoga. Była to sprawa gorsza od intrygi dyplomatycznej, ale kiedy się oddalała, mogłem rzec: — Niech chłopcy spróbują wyrwać ogon jemu! — Więcej z tą panią nie rozmawiałem, bo musiała wyprowadzić się z Pragi przez tego buldoga, który pogryzł cały dom. Czy pan oberlejtant uwierzy, że porządne zwierzę trudno znaleźć?

— Ja bardzo lubię psy — rzekł nadporucznik. — Niektórzy koledzy na froncie mają przy sobie psy i pisali nieraz, że w towarzystwie takiego dobrego i wiernego zwierzęcia wojna szybciej upływa. Znaćcie dobrze wszystkie gatunki psów i mam nadzieję, że gdybym miał psa, to byście się nim dobrze opiekowali. Który gatunek jest, zdaniem waszym najlepszy? Mianowicie chciałbym mieć psa do towarzystwa. Niegdyś miałem pinczera, ale nie wiem...

— Zdaniem moim, proszę pana oberlejtanta, pinczer to bardzo miły pies. Prawda, że nie każdemu się podoba, ponieważ jest szczeciniasty, a na pysku ma takie ostre wąsy, że przypomina przestępcę wypuszczonego z kryminału. Jest taki brzydki, aż z tej brzydoty jest ładny, a do tego jest przebiegły. Ani się umywa do niego głupawy bernardyn. Jest jeszcze sprytniejszy niż foxterrier. Znałem jednego...

Nadporucznik Lukasz spojrział na zegarek i przerwał wywody Szwejka:

— Już późno, muszę iść spać. Jutro mam znowu służbę, więc przez cały dzień będziecie mogli szukać dla mnie ładnego pinczera.

Nadporucznik poszedł spać, zaś Szwejk wyciągnął się na kanapie w kuchni i czytał gazety, które pan jego przyniósł z sobą z koszar.

— No, patrzcież państwo — rzekł Szwejk do siebie, śledząc w gazetach przebieg najważniejszych wydarzeń — sultan odznaczył cesarza Wilhelma medalem wojennym, a ja nie mam nawet małego srebrnego.

Zamyślił się nad czymś, a potem zerwał się na równe nogi.

— O mały figiel byłbym zapomniał...

Szwejk wszedł do pokoju, w którym nadporucznik spał już twardym snem, i zbudził go:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że nie mam żadnych rozkazów co do tego kota.

Zaspany porucznik przewrócił się na drugi bok i przez sen mruzczał:

— Trzy dni koszarówki! — i spał dalej.

Szwejk po cichu wyszedł z pokoju, wyciągnął nieszczęsnego kota spod kanapy i rzekł do niego:

— Masz trzy dni koszarówki. **Abtreten!**
Angorski kot znowu wlaź pod kanapę.

Szwejk szykował się do wyjścia na miasto, aby się rozejrzeć za jakim pinczerem stajennym, gdy u drzwi zadzwoniła młoda dama i pytała o nadporucznika Lukasza. Obok niej stały dwa ciężkie kufry, a na schodach dojrzał Szwejk jeszcze czapkę posłańca, który schodził na dół.

— Nie ma go w domu — rzekł Szwejk twardo, ale młoda dama weszła tymczasem do przedpokoju i wydała Szwejkowi kategoryczny rozkaz:

— Wnieście kufry do pokoju.

— Bez pozwolenia pana nadporucznika nie można — rzekł Szwejk. — Pan nadporucznik nakazał mi, abym bez jego zezwolenia nigdy nic nie robił.

— Zwariowaliście, czy co? — zawołała młoda dama. — Przyjechałam do pana nadporucznika w gościnę.

— Nic o tym nie wiem — odpowiedział Szwejk. — Pan nadporucznik jest na służbie i wróci do domu dopiero w nocy, a ja otrzymałem rozkaz wyszukania dla niego pinczera. O żadnych kufrach nic nie wiem. Teraz zamykam mieszkanie, więc proszę, aby pani wyszła. Mnie nikt nic nie powiedział, a żadnej obcej osoby, której nie znam, nie mogę pozostawić tutaj w mieszkaniu. Tam w naszej ulicy u cukiernika Bielczyckiego zostawili w mieszkaniu jakiegoś człowieka, a on sobie otworzył szafę, zabrał, co mu się podobało, i poszedł.

— Ja nic złego o pani nie myślę — mówił Szwejk dalej, widząc, że młoda dama załamuje ręce i płacze — ale zostawić pani tutaj nie mogę. Sama to pani rozumie, ponieważ mieszkanie zostało oddane pod moją opiekę, a ja jestem odpowiedzialny za każdy drobiazg. Dlatego jeszcze raz grzecznie panią proszę, żeby się pani nie fatygowała wcale mnie przekonać. Dopóki nie otrzymam rozkazu, ani brat ani swat mi nie rządzi. Bardzo mi przykro, że muszę z panią w taki sposób rozmawiać, ale w wojsku musi być porządek.

Tymczasem młoda dama uspokoiła się trochę. Z torebki wyjęła bilet, napisała na nim kilka słów ołówkiem, włożyła go do milutkiej małej koperty i, tłumiąc łkanie, rzekła:

— Zanieście to panu nadporucznikowi, ja tu poczekam tymczasem. Macie pięć koron za fatygę.

— Nic z tego nie będzie — odpowiedział Szwejk, dotknięty nieustępliwością niespodziewanego gościa. — Niech pani zabierze swoje pięć koron, ma je tu pani na krzeselku, i jeśli pani chce, to niech pani idzie razem ze mną do koszar. Poczekaj pani chwilę, a ja list oddam i przyniosę odpowiedź. Ale żeby pani miała tymczasem tutaj siedzieć, to o tym nie ma mowy.

Po tych słowach wciągnął kufry do przedpokoju i, szcękając kluczami, jak jaki klucznik na zamku, rzekł z naciskiem:

— Zamykamy!

Młoda dama, zupełnie bezradna, wyszła do sieni, Szwejk zamknął drzwi i ruszył naprzód, a ona jak piesek dreptała za nim i dogoniła go dopiero wtedy, gdy Szwejk wstąpił do trafiki po papierosy.

Szła teraz obok niego i starała się nawiązać rozmowę.

— Czy oddacie list z pewnością?

— Kiedy mówię, że oddam, to oddam.

— A czy pan nadporucznik będzie w koszarach?

— Tego nie wiem.

Szli obok siebie w milczeniu i dopiero po długiej chwili towarzysza Szwejka zaczęła mówić:

— Przypuszczacie więc, że pana nadporucznika nie ma w koszarach?

— Nie przypuszczam.

— A jak sądzicie, gdzie mógłby być?

— Tego nie wiem.

Rozmowa znowu została przerwana na długo i dopiero pytanie młodej damy wznowiło ją:

— Czy nie zgubiliście mego listu?

— Jak dotąd, jeszcze nie.

— A więc na pewno oddacie go panu nadporucznikowi?

— Tak.

— A czy aby jest w koszarach?

— Mówiłem już, że nie wiem — odpowiedział Szwejk. —

Nawet się dziwię, że są na świecie ludzie tacy ciekawi i wciąż pytają o tę samą rzecz. To tak samo, jakbym ja zatrzymywał na ulicy co drugiego człowieka i zapytywał go, którego dzisiaj mamy.

Na tym się skończyła próba nawiązania rozmowy z Szwejkem, a dalsza droga w stronę koszar upłynęła obojgu w zupełnym milczeniu. Dopiero gdy stali koło koszar, Szwejk poprosił damę, aby nań poczekała, i wdał się w rozmowę o wojnie z żołnierzem stojącym w bramie, z czego młoda dama musiała mieć osobliwą uciechę, gdyż przechadzała się nerwowo po chodniku i wyglądała jak wcielenie rozpacz, widząc, że Szwejk zabiera się do gruntownych wywodów o wojnie z tak głupim wyrazem twarzy, jaki można było widzieć onego czasu w „Kronice wojny światowej“, gdzie była fotografia z podpisem: — Austriacki następca tronu rozmawia z dwoma lotnikami, którzy zestrzelili aeroplan rosyjski.

Szwejk usiadł na ławie w bramie i wywodził, że na froncie karpackim ataki wojsk nieprzyjacielskich zostały odparte, a z drugiej strony dowódca Przemyśla, generał Kusmanek, przybył do Kijowa, że za nami pozostało w Serbii jedenaście punktów oparcia i że Serbowie nie wytrzymają zbyt długo takiego pędzenia za naszymi żołnierzami.

Następnie zabrał się do krytyki poszczególnych znanych bitw i objawił światu wielką prawdę, że oddział wojska, otoczony ze wszystkich stron, musi się poddać.

Gdy się już dość nagadał, uznał za właściwe wyjść przed bramę i rzec rozpaczającej damie, żeby nigdzie nie chodziła, bo on zaraz wróci. Poszedł na górę do kancelarii, gdzie zastał nadporucznika Lukaszka, który porucznikowi jakimś

objasniał budowę rowów strzeleckich i wyrzucał mu, że nie umie rysować i nie ma pojęcia o geometrii.

— Patrzcie, kolego, rysuje się tak. Jeśli do danej poziomej mamy dorysować prostopadłą, to trzeba nakreślić taką, aby tworzyła z tamtą kąt prosty. Rozumiecie? Tylko w taki sposób prowadzi się rowy strzeleckie we właściwym kierunku, i nie doprowadza się ich do nieprzyjaciela. Pozostajecie w odległości sześciuset metrów od niego. Ale tak, jak wy kreślicie, to wpakujecie pozycję w linię nieprzyjacielską i staniecie prostopadle nad nieprzyjacielem. Kąt musi być prosty zupełnie. Przecież to zupełnie jasne, czy nie?

A porucznik rezerwy, kasjer jakiegoś banku, stał zrozpaczony nad planem, nie rozumiał z niego nic i odetchnął z głębi, gdy Szwejk podszedł do nadporucznika:

— Posłusznie melduję, panie nadporuczniku, że jakaś pani posyła panu ten list i czeka na odpowiedź.

Mówiąc to, mrugnął bardzo wymownie i poufale.

Treść listu nie wywarła na nadporuczniku wrażenia przyjemnego:

Lieber Heinrich! Mein Mann verfolgt mich. Ich muss unbedingt bei Dir ein paar Tage gastieren. Dein Bursch ist ein grosses Mistvieh. Ich bin unglücklich. Deine Katy.

Nadporucznik Lukasz westchnął, pociągnął ze sobą Szwejka do pustej bocznej kancelarii, zamknął drzwi i zaczął przechadzać się między stołami. Gdy wreszcie stanął obok Szwejka, rzekł do niego:

— Ta dama pisze, że jesteście bydłem. Co jej zrobiliście?

— Nic jej nie zrobiłem, melduję posłusznie. Zachowywałem się wobec niej bardzo przyzwoicie, proszę pana oberlejtanta, ale ona chciała się od razu usadowić w mieszkaniu. A ponieważ nie otrzymałem od pana żadnego rozkazu, więc jej w mieszkaniu nie zostawiłem. I jeszcze do tego przyjechała z dwoma kuframi, jak do siebie.

Nadporucznik westchnął głośno jeszcze raz, co Szwejk powtórzył za nim.

— Co to ma znaczyć? — groźnie krzyknął nadporucznik.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że to ciężka sprawa. Przy ulicy świętego Wojciecha wprowadziła się do mieszkania pewnego tapicera jakaś panienska, a on nie mógł jej wypędzić od siebie i musiał otruć gazem świetlnym siebie i ją. Było po uciesze. Z kobietami jest krzyż pański. Wiem, ja, wiem.

— Ciężka sprawa — powtórzył nadporucznik za Szwejkim i nigdy bodaj nie powiedział czegoś bardziej szczerego. Kochany Henryk znajdował się istotnie w sytuacji fatalnej. Małżonka, prześladowana przez swego męża, przyjeżdża na kilka dni akurat wtedy, gdy ma zjechać do niego pani Mickowa z Trzebonia, aby w ciągu trzech dni powtarzać to, co przepowiadała sobie z nim co kwartał, gdy przyjeżdżała do Pragi po zakupy. Następnie pojutrze miała przyjść do niego pewna panna, która solennie obiecała mu, że pozwoli się uwieść, ponieważ dopiero za miesiąc wychodzi za mąż za pewnego inżyniera.

Nadporucznik siedział teraz na stole z głową pochyloną i rozmyślał, ale nie wymyślił nic roztropnego. Tyle tylko, że wreszcie siadł na krześle, sięgnął po papier i kopertę i napisał na urzędowym formularzu:

Kochana Katy. Służba do 9 wieczorem. Przyjdę o dziesiątej. Proszę, abyś się rozgościła u mnie, jak u siebie w domu. Co do Szwejka, mego służącego, to wydałem mu rozkazy, aby spełniał wszystkie twoje życzenia.

Twój Henryk.

— List ten oddajcie przyjezdnej pani — rzekł nadporucznik. — Rozkazuję wam, abyście się względem niej zachowywali z szacunkiem i taktem i żebyście spełniali wszystkie jej życzenia, które muszą być dla was rozkazem. Musicie zachowywać się elegancko i służyć jej rzetelnie. Macie sto koron do wyliczenia, bo może się zdarzyć, że ta pani was pośle po

to lub owo, zamówcie dla niej obiad, kolację i tam dalej. Następnie kupcie trzy butelki wina i pudełko papierosów „Memfis“. Tak. Tymczasem więcej nic. Możecie odejść, ale jeszcze raz napominam was, że trzeba odgadywać wszystkie jej życzenia i spełniać je.

Przyjezdna pani straciła już wszelką nadzieję, że zobaczy Szwejką, i była bardzo zdziwiona, gdy ujrzała go wychodzącego z koszar i zmierzającego ku niej z listem.

Szwejk zasalutował, oddał jej list i meldował:

— Według rozkazu pana oberlejtanta mam się względem szanownej pani zachowywać z szacunkiem i taktem, obsługiwać panią rzetelnie, odgadywać życzenia pani i spełniać je. Kazał pan nadporucznik, żebym pani zamówił jedzenie i żebym kupił wszystko, co pani każe. Dostałem od pana oberlejtanta sto koron, ale muszę z tego kupić trzy butelki wina i pudełko papierosów.

Gdy przeczytała list, odzyskała pewność siebie, która wyraziła się w tym, że Szwejk został wysłany po dorożkę. Gdy wrócił z dorożką, kazała mu siąść na koźle obok dorożkarza. Pojechali do domu.

W mieszkaniu odegrała znakomicie rolę pani domu. Kufry kazała Szwejkowi zanieść do sypialni, dywany wytrzepać na podwórzu, a jakieś drobne pasemko pajęczyny za lustrem bardzo ją rozgniewało.

Wszystko zdawało się przemawiać za tym, że przyjezdna pani pragnie się okopać na tej linii bojowej na bardzo długo.

Szwejk się pocił. Gdy wytrzepał dywany, przypomniała sobie, że trzeba zdjąć firanki z okien i okurzyć je. Potem otrzymał rozkaz umyć okna w kuchni i w pokoju. Potem zaczęła przestawiać sprzęty, a czyniła to bardzo nerwowo, bo gdy Szwejk przesuwał meble z kąta w kąt, nie podobało się jej i znowu kombinowała nowe przegrupowania.

Powywracała w mieszkaniu wszystko do góry nogami, aż

stopniowo jej energia w urządzaniu gniazda zaczęła się wyczerpywać i plądrowanie się skończyło.

Z bieliźniarki wyjęła jeszcze czystą bieliznę pościelową, powlekła poduszki i kołdrę sama, a widać było, że czyniła to z uczuciem życzliwości dla łóżka, który to sprzęt wprawiał w zmysłowe drżenie jej nozdrza.

Potem posłała Szwejkę po obiad i wino. Zanim wrócił, przebrała się w zwiewną matinkę, która czyniła ją niezwykle powabną i zwodniczą.

Przy obiedzie wypila butelkę wina, wypaliła dużo papierosów i położyła się do łóżka, podczas gdy Szwejk zajadał chleb fasowany, maczając go w szklance jakiejś słodkiej wódki.

— Szwejku! — ozwało się wołanie z sypialni. — Szwejku!

Szwejk otworzył drzwi i ujrzał młodą kobietę rozłożoną na poduszkach w powabnej pozycji.

— Chodźcie no tu!

Szwejk zbliżył się, ona zaś z osobliwym uśmiechem obrzucała spojrzeniem jego krępą postać i krzepkie biodra.

Zgarniając z siebie delikatną materię, która osłaniała jej wdzięki, rzekła surowo:

— Zrzućcie buty i spodnie! Chodźcie no tu...

Stało się tedy, że dobry wojak Szwejk mógł zameldować nadporucznikowi, gdy ten powrócił z koszar:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że wypełniłem wszystkie życzenia wielmożnej pani i obsłużyłem ją uczciwie według rozkazu.

— Dziękuję wam, Szwejku — rzekł nadporucznik — a dużo miała życzeń?

— Ze sześć — odpowiedział Szwejk. — Teraz śpi jak zabita z tej fatygi. Odgadywałem rzetelnie jej życzenia.

* * *

Podczas gdy masy wojsk, usadowionych w lasach nad Dunajcem i Rabą, znajdowały się stale pod deszczem granatów,

a działa grubego kalibru rozszarpywały całe kompanie i grzebały je w Karpatach, zaś na horyzoncie wszystkich pobojowisk paliły się wsie i miasta, nadporucznik Lukasz i Szwejk przeżywali niemiłą sielankę z damą, która uciekła od swego męża i stała się panią ich domu.

Gdy wyszła na spacer, nadporucznik Lukasz odbył ze Szwejkim naradę wojenną, w jaki sposób można by się jej pozbyć.

— Najlepiej byłoby, panie oberlejtant — rzekł Szwejk — gdyby ten jej mąż, od którego uciekła, a który jej szuka, jak pan oberlejtant powiada, iż było w tym liście, który przyniosłem do koszar, dowiedział się o tym, gdzie ona jest, i gdyby po nią przyjechał. Trzeba mu posłać telegram, że jest u pana oberlejtanta i że może ją sobie odebrać. We Wszenorach zdarzyła się zeszłego roku taka sprawa w jednej willi. Ale telegram wysłała sama ta niewiasta do swego męża, który przyjechał i sprął po gębie ją i jego. Obaj byli cywile, ale w naszym wypadku będzie miał respekt przed oficerem. Zresztą pan oberlejtant nic nie zawinił, ponieważ nikogo pan nie zapraszał, a ta pani uciekła na własną rękę. Zobacz pan oberlejtant, że taka depesza zrobi swoje. Choćby tam sobie dali nawet po pysku...

— On jest bardzo inteligentny — przerwał mu nadporucznik Lukasz. — Ja go znam, on handluje chmielem en gros. Stanowczo muszę się z nim rozmówić. Depeszę pošlę.

Telegram, który został wysłany, był bardzo lapidarny, kupiecki:

Obecny adres małżonki pańskiej —

dopisany był adres mieszkania nadporucznika Lukasza.

Zdarzyło się tedy, że pani Katy była bardzo niemile zaskoczona, gdy drzwi się rozwarły, a w nich ukazał się handlarz chmielem. Miał minę bardzo roztrofną i zatroskaną, gdy pani Katy, nie tracąc w tej chwili równowagi, zapoznawała z sobą obu panów:

— Mój mąż — pan nadporucznik Lukasz. — Nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

— Niech pan siada, panie Wendler — odezwał się uprzejmie nadporucznik Lukasz, wyjmując z kieszeni papierośnicę. — Czy można panu służyć?

Inteligentny kupiec, handlujący chmielem, grzecznie przyjął papierosa, a wypuszczając ustami dym, rzekł rozważnie:

— Pewno niedługo pojedzie pan na front, panie nadporuczniku?

— Złożyłem podanie, aby mnie translokowano do dziewięćdziesiątego pierwszego pułku do Budziejowic. Pojadę tam niezawodnie, jak tylko skończę robotę w szkole jednorocznych ochotników. Potrzebujemy masę oficerów, a dzisiaj spotykamy się często ze smutnym objawem, że młodzież, mająca prawo do odbywania służby jednorocznej, rezygnuje z tego prawa. Woli taki zostać zwyczajnym piechurem, niż stać się kadetem.

— Wojna wyrządziła wielkie szkody w handlu chmielem, ale sądzę, że nie będzie trwała zbyt długo — zauważył kupiec spoglądając na przemian to na żonę, to na nadporucznika.

— Sytuacja nasza jest bardzo dobra — rzekł nadporucznik Lukasz. — Dzisiaj już nikt nie wątpi, że wojna skończy się zwycięstwem państw centralnych. Francja, Anglia i Rosja są zbyt słabe w porównaniu ze skądą austriacko-turecko-niemiecką. Prawda, że mieliśmy drobne niepowodzenia na niektórych frontach, ale jak tylko przerwiemy front rosyjski między Karpatami a środkowym Dunajcem, to bez najmniejszej wątpliwości będzie to koniec wojny. Tak samo Francuzom zagraża w czasach najbliższych utrata całej wschodniej Francji i wtargnięcie wojsk niemieckich do Paryża. To jest bezwzględnie pewne. Prócz tego nasze manewrowanie w Serbii spotyka się z dużym powodzeniem, a ustępowanie naszych wojsk, które faktycznie jest tylko przegrupowaniem, tłumaczą sobie niektórzy zgoła inaczej, niż tego wymaga w czasie wojny

absolutnie zimna krew. Niebawem zobaczymy, że nasze dobrze obliczone manewrowanie na południowym terenie wojny zacznie wydawać owoce. Niech pan spojrzy...

Nadporucznik Lukasz ujął kupca delikatnie za ramię i pociągnął go ku mapie terenów wojennych, wiszącej na ścianie, i wskazując poszczególne punkty, mówił:

— Wschodnie Beskidy są dla nas znakomitym punktem oparcia. Na odcinkach karpackich, jak pan widzi, mamy także mocne pozycje. Mocne uderzenie na tej linii — a nie zatrzymamy się, dopóki nie staniemy w Moskwie. Wojna skończy się prędzej, niż przypuszczamy.

— A jak tam z Turcją? — zapytał kupiec handlujący chmielem, zastanawiając się przy tym, w jaki sposób dostać się do jądra sprawy, która go tu sprowadziła.

— Turcy trzymają się dobrze — odpowiedział nadporucznik prowadząc gościa do stołu. — Prezes parlamentu tureckiego, Hali bej i Ali bej, przyjechali do Wiednia. Naczelnym wodzem dardanelskiej armii tureckiej jest marszałek Liman von Sanders. Goltz-basza przyjechał z Konstantynopola do Berlina, a nasz cesarz odznaczył Enver-baszę, wiceadmirala Use-doma-baszę i generała Dzewada-baszę. Jest to stosunkowo dużo odznaczeń w czasie tak krótkim.

Przez chwilę wszyscy siedzieli obok siebie w milczeniu, aż wreszcie nadporucznik uznał za stosowne przerwać niemłą sytuację pytaniem:

— Kiedy pan przyjechał, panie Wendler?

— Dzisiaj rano.

— Bardzo mi przyjemnie, że mnie pan odszukał i zastał w domu, ponieważ po południu udaję się zawsze do koszar i mam nocną służbę. Ponieważ mieszkanie moje jest właściwie całymi dniami puste, mogłem być ofiarować szanownej małżonce pańskiej gościnę. Ma tu zupełną swobodę przez czas swego pobytu w Pradze. Ponieważ jesteśmy starzy znajomi...

Kupiec handlujący chmielem zakaszłał:

— Katy jest doprawdy dziwną kobietą. Panie poruczniku, niech pan przyjmie moje serdeczne podziękowanie za wszystko, co pan dla niej uczynił. Wpadnie jej do głowy ni z tego, ni z owego, pojechać do Pragi, żeby się leczyć na nerwy. Ja byłem w podróży, wracam do domu, a dom pusty. Katy nie ma.

Przybierając jak najmiłszy wyraz twarzy, pogroził jej palcem i z wymuszonym uśmiechem zapytał:

— Tyś zapewne myślała, że jeśli ja podróżuję, to i ty możesz sobie podróżować. Nie pomyślałaś, oczywiście...

Nadporucznik Lukasz, widząc, że rozmowa zaczyna nabierać niemiłych akcentów, podprowadził inteligentnego kupca handlującego chmielem ku mapie i wskazując mu punkty podkreślone, mówił:

— Zapomniałem zwrócić uwagę pańską na pewną bardzo ważną okoliczność. Na ten wielki łuk, zwrócony ku południowemu zachodowi, gdzie ta grupa gór tworzy wielkie przedmoście. Tutaj zwrócona jest ofensywa sprzymierzeńców. Przez zamknięcie tej drogi, która łączy przedmoście z główną linią obronną nieprzyjaciela, musiałoby zostać przerwane połączenie między skrzydłem prawym a armią północną nad Wisłą. Teraz pan zapewne rozumie?

Kupiec odpowiedział, że rozumie wszystko bardzo dobrze, a obawiając się przy swoim wrodzonym takcie, aby to, co powiedział, nie było uważane za dwuznacznik, zawrócił ku stolowi i zaczął znowuż o chmielu:

— Nasz chmiel przez wojnę stracił zagraniczny rynek zbytu. Przepadła dla chmielu Francja, Anglia, Rosja, Balkany. Wysyłamy jeszcze trochę chmielu do Włoch, ale obawiam się, że i Włochy wmieszają się do wojny. No, za to po zwycięskiej wojnie ceny za towar wyznaczać będziemy sami.

— Włochy zachowają ścisłą neutralność — pocieszał go nadporucznik. — To jest...

— To czemu nie oświadczą wyraźnie, że są związane umową trójprzymierza, zawartą między Austro-Węgrami a Niemcami? — rozłościł się nagle kupiec, któremu raptem uderzyło do głowy wszystko razem: chmiel, żona, wojna. — Spodziewałem się, że Włochy ruszą razem z nami przeciwko Serbii. Wojna byłaby już skończona. Chmiel mi w magazynach gnije, transakcje krajowe są marne, eksportu nie ma, a Włochy zachowują neutralność! Dlaczegoż to jeszcze w roku tysiąc dziewięćset dwunastym odnowiły umowę trójprzymierza? Gdzie się podział włoski minister spraw zagranicznych, markiz di San Giuliano? Co ten pan robi? Śpi, czy co? Czy ten pan wie, jaki miałem obrót przed wojną i jaki dzisiaj?

Spoglądał wściekle na nadporucznika, który, siedząc, spokojnie puszczał kółka dymu rozplywające się jedno w drugim. Potem mówił dalej:

— Niech pan nie myśli, że nie śledzę wypadków wojennych. Dlaczego Niemcy cofnęli się znowu ku granicy, skoro byli już pod Paryżem? Dlaczego między Mozą a Mozelą toczą się znowu ostre walki artyleryjskie? Czy pan wie, że w Combres i Voevre w pobliżu Marche spłonęły trzy wielkie browary, którym przed wojną dostarczałem rocznie przeszło pięćset worków chmielu? Podobnie i w Wogezach spalił się browar w Hartmansweiler, z ziemią zrównany został browar w Niederaspach koło Miluzy. To znaczy o tysiąc dwieście worków chmielu mniejszy obrót roczny. Sześć razy walczyli Niemcy z Belgią o browar w Klostehoek, to jest, proszę pana, trzysta pięćdziesiąt worków chmielu rocznie.

Był tak wzburzony, że nie mógł mówić. Wstał, podszedł do żony i rzekł:

— Katy, natychmiast pojedziesz ze mną do domu. Ubieraj się.

— Wszystkie te wydarzenia mnie denerwują — rzekł po chwili, jakby się tłumaczył. — Byłem dawniej zupełnie spokojny.

Gdy pani wyszła, aby się ubierać, rzekł szeptem do nadporucznika:

— To nie pierwszy jej kawałek. W roku zeszłym wyjechała sobie z jakimś suplentem i znalazłem ją dopiero w Zagrzebiu. Przy tej sposobności zawarłem z miejskim browarem w Zagrzebiu umowę o sześćset worków chmielu. Południe w ogóle było dla nas kopalnią złota. Nasz chmiel szedł aż do Konstantynopola. Dzisiaj jestem na poły zrujnowany. Jeśli rząd ograniczy wyrób piwa w kraju, to zada nam cios ostatni.

Zapalając podanego mu papierosa, mówił z rozpaczą w głosie.

— Sama Warszawa brała od nas dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt worków chmielu. Są tam wielkie browary. Przedstawiciel jednego z nich bywał u mnie corocznie gościem. Po prostu rozpacz. Jeszcze dobrze, że nie mam dzieci.

Ten wniosek logiczny, wysnuty z corocznej gościny przedstawiciela wielkiego browaru warszawskiego, spowodował to, że nadporucznik uśmiechnął się łagodnie, co kupiec handlujący chmielem zauważył i dlatego wywodził dalej:

— Węgierskie browary w Szoproniu i w Wielkiej Kaniży brały ode mnie chmiel na swoje piwo eksportowe, które wozily aż do Aleksandrii. Przeciętnie tysiąc worków chmielu. Dzisiaj odrzucają wszelkie oferty skutkiem blokady. Oferuję im chmiel o trzydzieści procent taniej, ale nie zamawiają nawet jednego worka. Stagnacja, upadek, bieda, a do tego jeszcze kłopoty domowe.

Kupiec zamilkł i dopiero pani Katy, ubrana w kostium podróżny, przerwała jego milczenie pytaniem:

— Co zrobimy z moimi kuframi?

— Pośle się po nie tragarza — rzekł kupiec, kontent, że wszystko skończyło się bez awantur i scen gorszących. — Jeśli chcesz jeszcze kupić sobie to i owo, to czas najwyższy, bo pociąg odchodzi o drugiej dwadzieścia.

Państwo pożegnali nadporucznika bardzo przyjaźnie, a kupiec był taki ucieszony, że wszystko załatwione, iż na odchodnym w przedpokoju rzekł do nadporucznika:

— Gdyby pan, broń Boże, został raniony, niech pan przyjedzie do nas na wypoczynek. Będziemy opiekować się panem jak najtroskliwiej.

Powróciwszy do sypialni, gdzie pani Katy ubierała się przed podróżą, ujrzał nadporucznik na umywalni czterysta koron i bilet tej treści:

Panie nadporuczniku! Nie wziął mnie pan w obronę wobec tej małpy, mego męża, idioty pierwszej klasy. Pozwolił pan, aby zabrał mnie z sobą jak jaką rzecz znalezione przypadkowo. Przy tym pozwolił pan sobie zrobić uwagę, że zaproponował mi pan gościnę. Mam nadzieję, że nie spowodowałam panu wydatków większych niż założone czterysta koron, którymi raczy się pan podzielić ze swoim służącym.

Nadporucznik Lukasz stał przez chwilę z tym biletem w rękę, a potem podarł go powoli, z uśmiechem spojrzął na pieniądze leżące na umywalni, a widząc, że zdenerwowana pani zapomniała grzebyka na stoliku przed lustrem, złożył go między inne swoje relikwie fetyszystyczne.

Szwejk wrócił do domu po południu. Szukał pinczera dla pana nadporucznika.

— Szwejku — rzekł nadporucznik — macie szczęście. Ta dama, która mieszkała u mnie, już odjechała. Zabrał ją pan małżonek. Za wszystkie wasze usługi i uprzejmości zostawiła dla was na umywalni czterysta koron. Musicie podziękować jej grzecznie, albo jej panu małżonkowi, ponieważ jego to są pieniądze, które zabrała była na drogę. Ja wam list dyktuję.

Nadporucznik Lukasz dyktował:

Wielce Szanowny Panie! Raczy Pan przyjąć najserdeczniejsze podziękowanie za czterysta koron, które ofiarowała mi Pańska małżonka za usługi, wyświadczone jej

podczas pobytu w Pradze. Wszystko, co dla niej uczyniłem, pochodziło z dobrego serca i dlatego nie mogę przyjąć tej sumy i odsyłam ją...

— No-no, piszcie dalej, Szwejk. Czemu się tak kręcicie? Coście napisali?

— I odsyłam ją... — rzekł tragicznie drżącym głosem Szwejk.

— Więc dobrze:

odsyłam ją Panu z wyrazami najwyższego szacunku. Uniżone pozdrowienie i ucałowanie rąk dla Szanownej Pani. Józef Szwejk, służący nadporucznika Lukasz.

Napisane?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że jeszcze brak daty.

— Dwudziestego grudnia 1914. Tak, a teraz napiszcie adres na kopercie, weźcie tych czterysta koron, zanieście je na pocztę i wyślijcie pod tym adresem.

I nadporucznik Lukasz zaczął wesoło pogwizdywać arię z operetki „Rozwódka“.

— Jeszcze jedno, mój Szwejk — zawołał nadporucznik, gdy Szwejk wybierał się na pocztę. — Czy znaleźliście jakiego psa dla mnie?

— Mam jednego na oku, panie oberlejtant. Bardzo ładne zwierzę. Ale trudno będzie nabyć go. Mam wszakże nadzieję, że go jutro przyprowadzę. Gryzie.

* * *

Ostatniego słowa nadporucznik Lukasz nie dosłyszał, chociaż było takie ważne.

— Gryzie ten gałgan, jak wszyscy diabli — chciał Szwejk powtórzyć głośniejszym głosem, ale dał spokój, pomyślawszy: — Co nadporucznikowi do tego. Chce psa, będzie miał psa.

Łatwo to powiedzieć: — Przyprowadźcie mi psa! — Właściciele psów są bardzo ostrożni i pilnują ich, choćby psiska nie

miały z rasą nic wspólnego. Nawet zwyczajnego Medorka, który nic nie robi, tylko zagrzewa nogi jakiej staruszce, lubi właścicielka i nie da mu zrobić krzywdy.

Pies, osobliwie rasowy, sam musi mieć tyle instynktu, aby wiedzieć, że pewnego pięknego poranku zostanie swemu panu zabrany. Toteż każdy taki pies żyje w bezustannym strachu, że będzie skradziony, że musi być skradziony. Na przykład podczas spaceru pies odbiega od swego pana, jest zrazu wesoły i zbytkuje. Bawi się z innymi psami, wchodzi na nie niezdarnie, a one na niego, obwąchuje kamienie przydrożne, zadziera łapkę na każdym rogu i przy każdym koszu handlarki ulicznej, jednym słowem cieszy się z życia, a świat wydaje mu się taki piękny, jak młodzieńcowi po maturze.

Raptem wszakże daje się zauważyć, że jego wesołość znika, pies spostrzega, że się zgubił. I teraz opanowuje go wielka rozpacz. Biega tam i sam po ulicy, skowyczy w swojej bezradności, ogon wciąga między nogi, uszy kładzie po sobie i jak oszalały pędzi, sam nie wiedząc, gdzie. Gdyby umiał mówić, to by z pewnością powiedział:

— Ludzie kochani, zaraz mnie ktoś ukradnie!

Czy byliście kiedykolwiek w psiarni i widzieliście takie wystraszone psie istoty? To wszystko psy kradzione. Wielkie miasto posiada specjalny typ złodzieja, który zajmuje się wyłącznie kradzieżą psów. Istnieją małe pieski salonowe, karłowate ratlery wielkości rękawiczki; łatwo zmieści się taki piesek w kieszeni palta albo w mufce damskiej, ale i tam go złodziej znajdzie. Złego niemieckiego doga cętkowanego, który pilnuje willi na przedmieściu, skradną w nocy. Psa policyjnego capną detektywowi sprzed nosa. Prowadzicie sobie pieska na smyczy, przetną smycz i znikają z psem jak kamfora, a wy głupkowato spoglądacie na pusty sznurek. Pięćdziesiąt procent psów, które widuje się na ulicy, zmieniało kilkakrotnie właścicieli, a nieraz trafia się, że po latach kupicie własnego psa, którego skradziono wam podczas spaceru.

Największe niebezpieczeństwo zagraża psom, gdy, wyprowadzone na dwór, załatwiają dużą i małą potrzebę. Osobliwie przy załatwianiu dużej potrzeby ginie psów bardzo dużo. Dlatego każdy pies rozgląda się przy takiej sposobności tak uważnie dokoła siebie.

Istnieje kilka systemów kradzenia psów. Robi się to wprost, sposobem kradzieży kieszonkowej, lub też pośrednio przez podstęp i oszukanie biednego stworzenia. Pies jest zwierzęciem wiernym, ale tylko w czytankach szkolnych lub w podręcznikach zoologii. Dajcie wszakże najwierniejszemu psu powąchać kawałek smażonej końskiej wędzonki, a będzie zgubiony. Zapomni o panu, obok którego idzie, odwróci się i pobiegnie za wami. Z pyska cieknie mu ślina, a w przeczuciu wielkiej uciechy przy spożywaniu wędzonki, przyjaźnie merda ogonem i rozwiera nozdrza, jak najbujniejszy ogier, gdy zwietrzy klacz.

Koło schodów zamkowych na Małej Stronie jest mała piwiarenka. Pewnego dnia w mrocznym jej kąciku siedzieli dwaj mężowie: żołnierz i cywil. Pochyleni ku sobie, rozmawiali szeptem, tajemniczo. Podobni byli do spiskowców z czasów republiki weneckiej.

— Co dzień o ósmej — szeptał cywil do ucha żołnierza — prowadzi go służąca na róg placu Havlička ku ogrodowi. Ale to drań, gryzie jak wściekły. Nie da się pogłaskać.

I, pochylając się jeszcze niżej nad uchem żołnierza, dodał:

— Nawet serdelka nie żre.

— Smażonego? — zapytał Szwejk.

— Nawet smażonego.

Obaj splunęli.

— Więc co ten drań żre?

— Kto go tam wie! Niejeden pies jest rozpieszczony jak arcybiskup.

Żołnierz i cywil tręcili się, a cywil szeptał dalej:

— Pewnego razu jeden czarny szpic, który był mi potrzebny dla psiarni nad Klamówką, też nie chciał serdelka. Cho-

dziłem koło niego trzy dni, aż wreszcie nie wytrzymałem i zapytałem tę panią, co go prowadziła na smyczy, czym go karmi, że jest taki ładny. Niewieście pytanie pochlebilo, więc mi odpowiedziała, że najbardziej lubi kotlety. Więc kupiłem dla niego sznycel. Pomyślałem sobie, że to jeszcze lepsze. A widzisz, ten drań ani spojrzął na cielęcinę. Nałogowo żarł wieprzowinę. Trzeba było kupić kotlet wieprzowy. Dałem mu go powąchać i precz. Pies za mną. Pani wołała: Kropeczka! Kropeczka! — Ale gadaj zdrów! Kropeczka ani myślał słuchać. Za kotлетem poleciał aż za róg, tam zarzuciłem mu łańcuszek na kark, a nazajutrz znajdował się w psiarni nad Klamówką. Na szyi miał parę białych kłaczków, przemalowali je na czarno i nikt go nie poznał. Ale dużo było takich psów, które poleciały na koński serdelek smażony. Zrobiłbyś najlepiej, gdybyś jej zapytał, co ten pies najbardziej lubi. Jesteś żołnierz, postawę masz, to ci kobieta powie. Ja już się pytałem, ale ona spojrzała na mnie, jakby mnie chciała przebić spojrzeniem, i powiada: — Co komu do tego? — Nie bardzo ładna, taki małpison, ale z żołnierzem gadać będzie.

— Czy aby prawdziwy pinczer? Mój oberlejtant innego nie che.

— Jak malowanie. Pieprz i sól, prawdziwa rasa, tak jak ty Szwejk, a ja Blahnik. Chodzi o to, żeby się dowiedzieć, co on żre. Dam mu pojeść i przyprowadzę ci go.

Obaj przyjaciele znowuż się tręcili. Jeszcze przed wojną, kiedy Szwejk zajmował się handlem psami, Blahnik mu ich dostarczał. Był to mąż doświadczony. Opowiadano sobie o nim, że kupował psy od czyściciela, nawet podejrzane, i sprzedawał je za dobre pieniądze. Miał już nawet raz wściekлизnę, a w Instytucie Pasteurowskim w Wiedniu czuł się, jak u siebie w domu. Teraz uważał za swój obowiązek dopomóc wójakowi Szwejkowi. Znał wszystkie psy w Pradze i w okolicy, a szeptem mówił dlatego, że nie chciał zdradzić się wobec właściciela piwiarni, któremu przed paru miesiącami zabrał

i pod kapotą wyniósł z szynkowni szczenię jamnika. Dał pieskowi possać mleka z butelki ze smoczkiem, głupie szczenię wzięło go widać za mamę i ani pisnęło pod kapotą.

Zasadniczo kradł tylko rasowe psy i znał się tak dobrze na rzeczy, że byłby mógł występować jako ekspert sądowy. Dostarczał psów wszystkim psiarniom i osobom prywatnym, jak się zdarzyło. Gdy szedł ulicą, warczały na niego wszystkie psy, jakie kiedykolwiek ukradł, a jeśli zatrzymał się przed wystawą sklepową, to często-gęsto jaki mściwy psiak podniósł łapkę i pokropił mu spodnie.

Nazajutrz o godzinie ósmej rano dobry wojak Szwejk przechadzał się na rogu placu Havlička koło parku. Czekał na służącą z rasowym pieskiem. Nareszcie doczekał się jej: tuż koło niego przebiegł pies z mądrymi oczami i najeżoną sierścią. Był wesóły i zadowolony, jak wszystkie psy po załatwieniu swej potrzeby, i uganiał się za wróblami. spożywającymi śniadanie na kupie końskiego nawozu.

Potem przeszła obok niego ta, która psa pilnowała. Była to niewiasta nie pierwszej młodości, z warkoczami zgrabnie opiętymi dokoła głowy. Pogwizdywała na psa i bawiła się łańcuszkiem i eleganckim biczykiem.

Szwejk przemówił do niej:

— Przepraszam, panienko, którądy idzie się na Żyżków?

Przystanęła i spojrzała na niego, czy to aby nie kpiarz jaki, ale pocziwa twarz Szwejka przekonała ją, że ten żołnierzycy naprawdę chce iść na Żyżków. Wyras jej twarzy zmięknął i chętnie zaczęła mu tłumaczyć, jak to się idzie na ten Żyżków.

— Bo ja dopiero niedawno zostałem przeniesiony do Pragi — mówił Szwejk. — Ja nietutejszy. Jestem z prowincji, a panienska też widać nie z Pragi.

— Ja z Wodnian — odpowiedziała.

— No, to pochodzimy z tych samych stron — odpowiedział Szwejk. — Ja z Protiwina.

Znajomość geografii czeskiego południa, którą Szwejk przyswoił sobie kiedyś podczas manewrów, napełniła serce dziewczyny regionalnym ciepłem.

— To zna pan w Protiwinie na rynku rzeźnika Pejchara?

— Jakże go nie znać! To mój kuzyn. Bardzo go tam u nas wszyscy lubią — mówił Szwejk — to człowiek dobry, usłużny, ma dobre mięso i dobrze waży.

— Czy pan przypadkiem nie Jaresz? — zapytała dziewczyna, zaczynając odczuwać sympatię dla nieznajomego żołnierza.

— Jaresz.

— A z których Jareszów? Z tych z Krcza koło Protiwina, czy z Rażyc?

— Z Rażyc.

— A stary jeszcze rozwozi piwo?

— Ciągle.

— Też już będzie miał więcej, jak sześćdziesiąt.

— Sześćdziesiąt osiem skończył latoś z wiosny — odpowiedział spokojnie Szwejk. — Teraz kupił sobie psa i jazda, panie gazda. Pies siedzi na wozie i pilnuje. Akurat taki pies, jak ten, co goni wróble. Ładny piesek, bardzo ładny.

— To nasz — pouczała go nowa znajoma. — Ja jestem w obowiązku u pana pułkownika. Pan nie zna naszego pułkownika?

— Znam go, to bardzo inteligentny pan — rzekł Szwejk. — U nas w Budziejowicach też był taki jeden oberst.

— Nasz pan jest bardzo surowy, a gdy niedawno mówili, że nas w Serbii sprali, to przyszedł do domu wściekły, potłukł, w kuchni wszystkie talerze i chciał mnie wyrzucić.

— A więc to pana obersta piesek? — przerwał jej Szwejk. — Szkoda, że mój oberlejtant psów nie znosi, bo ja bardzo psy lubię. — Milczał przez chwilę, a potem rzekł: — Psy są wybredne. Niekażdy pies zje wszystko, co mu dają.

— Nasz Lux też bardzo wybredny. Przez jakiś czas nie chciał żreć nic, prócz mięsa, ale teraz żre znowu.

— A co mu najlepiej smakuje?

— Wątroba, gotowana wątroba.

— Cielęca czy wieprzowa?

— Wszystko jedno — roześmiała się „rodaczka“ Szwejka, uważając jego pytanie za licheski dowcip.

Spacerowali jeszcze przez chwilę, potem przyłączył się do nich pinczer, którego służąca wzięła na łańcuszek. Wobec Szwejka zachowywał się bardzo poufale i próbował rozedrzeć mu spodnie przynajmniej przy pomocy kagańca. Podskakiwał na Szwejka, ale nagle, jakby wyczuwszy jego złe względem siebie zamiary, przestał skakać, szedł przygnębiony obok niego i spoglądał na obcego człowieka spode łba, jakby chciał rzec: — A więc i mnie czeka to samo?

Znajoma powiedziała mu jeszcze, że wychodzi tu z psem także wieczorami, zawsze o szóstej, że żadnemu praskiemu mężczyźnie nie ufa, bo raz umieściła się w gazecie, zgłosił się jakiś ślusarz, oświadczając, że będzie się z nią żenił, wycygał od niej osiemset koron na jakiś tam wynalazek i przepadł. Na prowincji ludzie są stanowczo uczciwsi. Gdyby miała wychodzić za męża, to tylko za człowieka z prowincji, ale dopiero po wojnie. Wojenne małżeństwa uważa za głupstwo, ponieważ zazwyczaj każda taka niewiasta zostaje wdową.

Szwejk zapewnił ją uroczyście, że wieczorem przyjdzie, i przyszedł, aby powiedzieć Blahnikowi, że ten pies żre wątrobę, wszystko jedno, jaką.

— Poczęstuję go wołową — postanowił Blahnik — wzięłem na nią już raz bernardyna fabrykanta Vydry, zwierzątko ogromnie wierne. Jutro przyprowadzę ci psa w porządku.

Blahnik dotrzymał słowa. Gdy Szwejk kończył przedpołudniowe sprzątanie, ozwało się za drzwiami szczeknięcie i Blahnik wciągnął do mieszkania opierającego się pinczera, który był w tej chwili jeszcze bardziej zjezony niż zazwy-

czaj. Dziko wywracał oczy i spoglądał przed siebie tak ponuro, że przypominał głodnego tygrysa, zamkniętego w klatce, przed którą stoi wypasiony gość ogrodu zoologicznego. Szczękał zębami i warczał, jakby chciał rzec:

— Rozszarpię wszystko i zeżrę.

Przywiązali psa przy stole kuchennym, a Blahnik opowiedział, jak się wszystko odbyło.

— Umyślnie szedłem przy nim, a w papierze niosłem gotowaną wątrobę. Zaczął węszyć i podskakiwać ku mnie. Nie dałem mu nic i szedłem dalej. Koło parku skręciłem w ulicę Bredowa i tam dałem mu pierwszy kawałek. Pożerał wątrobę, nie zatrzymując się, żeby mnie z oczu nie stracić. Skręciłem w ulicę Jindrzyską i dałem mu nową porcję. Potem, gdy się nażarł, wziąłem go na łańcuszek i ciągnąłem go przez plac Wacława na Winohrady aż do Wrszowic. Po drodze wyrabiał mój piesek istne cuda. Kiedy przechodziłem przez tor tramwajowy, położył się i ani rusz. Chciał widać, żeby go tramwaj przejechał. Przyniosłem ci też czysty formularzyk rodowodu, który kupiłem u papiernika Fuchsa. Musisz znajstrować rodowód, Szwejku.

— Rodowód musi być wypisany twoją ręką. Napisz, że pochodzi z Lipska, z psiarni von Bülow. Ojciec Arnheim von Kahlsberg, matka Emma von Trautensdorf, po ojcu Siegfriedzie von Busenthal. Ojciec otrzymał pierwszą nagrodę na berlińskiej wystawie pinczerów w roku tysiąc dziewięćset dwunastym. Matka odznaczona złotym medalem norymberskich stowarzyszeń hodowców psów szlachetnych. Wiele lat może mieć, jak ci się zdaje?

— Podług zębów, dwa lata.

— Napisz półtora roku.

— Kiepsko ma uszy przycięte. Widzisz, Szwejku?

— Można poradzić. Jeśli będzie trzeba, to mu uszy przetniemy, gdy się do nas przyzwyczai. Teraz byłby jeszcze bardziej zły.

Porwany piesek warczał jak wściekły, sapał, rzucał się, aż wreszcie położył się z wywieszonym językiem, zmęczony, i czekał, co się z nim będzie dalej działo.

Uspokajał się powoli i tylko od czasu do czasu żałośnie skowyczał.

Szwejk położył przed nim resztę wątroby, otrzymaną od Blahnika. Ale pies odwrócił się od niej i rzucił na obu wściekłe spojrzenie, jakby mówił:

— Już raz wpadłem, sami sobie to zeżryjcie.

Leżał zrezygnowany i udawał, że drzemie. Potem strzeliło mu raptem coś do głowy, wstał, zaczął służyć i prosić przednimi łapami. Poddawał się.

Na Szwejkę ta wzruszająca scena nie wywarła najmniejszego wrażenia.

— Leżeć! — krzyknął na biedaka, który znowu przywarował, skomląc żałośnie.

— Jakie imię wpisujemy mu do rodowodu? — zapytał Blahnik. — Wabił się Lux, więc trzeba mu dać imię podobne, żeby się szybko przyzwyczaił.

— To go nazwiemy na przykład „Max“. Widziałeś, jak nadstawia uszy? Pójdź tu, Max!

Nieszczęśliwy rasowy pies, któremu zabrano dom, pana i imię, wstał i oczekiwał dalszych rozkazów.

— Myślę, że można go odwiązać — rzekł Szwejk. — Zobaczymy, co będzie robił.

Gdy go odwiązano, pies od razu zmierzył ku drzwiom. Szczeknął trzy razy na klamkę, licząc zapewne na wspaniałomyślność tych złych ludzi. Widząc wszakże, że nie mają zrozumienia dla jego pragnień wydostania się na dwór, zrobił przy drzwiach kałużę, w przekonaniu, że zostanie wyrzucony za drzwi, jak się działo niegdyś, gdy był młody, a pułkownik uczył go ostro, po wojskowemu, jak ma się zachowywać w mieszkaniu.

Zamiast tego Szwejk rzekł:

— Sprytna bestia! Jezuita z niego!

Rzekłszy to, przeciągnął go pasem i tak dokładnie unurzał mu pysk w kaluży, że pies nie nadążył się oblizywać.

Skomlił, pohańbiony, i zaczął biegać po kuchni, węsząc swój własny ślad, następnie podbiegł szybko ku stołowi, zżarł resztę wątroby, zostawionej dla niego na podłodze, położył się koło pieca i zasnął po całej tej awanturze.

— Wiele jestem ci winien? — zapytał Szwejk Blahnika, gdy się z nim żegnał.

— Nie mów o tym, Szwejku — rzekł Blahnik miękko. — Dla starego kamrata zrobię wszystko, tym bardziej, gdy służy w wojsku. Zostań z Bogiem, chłopie, i nie prowadź go nigdy przez plac Havlička, żeby się nie stało jakie nieszczęście. Gdyby ci był potrzebny jeszcze jaki piesek, to wiesz, gdzie mieszkam.

Szwejk pozwolił Maxowi wyspać się porządnie, tymczasem zaś kupił u rzeźnika ćwierć kilograma wątroby, ugotował ją i czekał na przebudzenie pieska. Pod nos położył mu kawalek wątroby.

Max zaczął się przez sen oblizywać, potem się przeciągnął, obwąchał wątrobę i pożarł ją. Następnie podszedł ku drzwiom i powtórzył próbę wydostania się na dwór.

— Pójdź tu, Max — zawołał Szwejk.

Pies zbliżył się do niego nieufnie. Szwejk pogłaskał go i Max po raz pierwszy zamerdał szczątkiem swego przyciętego ogona. Delikatnie złapał rękę Szwejka zębami i spojrzał na niego tak mądrze, jakby chciał rzec: — Tu się nie da nic zrobić. Już wiem, że sprawę przegrałem.

Szwejk głaskał go dalej i zaczął mu opowiadać głosem tkliwym:

— Był sobie jeden piesek, nazywał się Lux i mieszkał u niejakiego obersta. Służąca prowadziła go na spacer, aż przyszedł jeden pan i Luxa ukradł. Lux dostał się do wojska do jednego oberlejtanta i dali mu imię Max.

— Daj łapę, Max! No, widzisz, bydlę jedno, że będziemy dobrymi przyjaciółmi, gdy będziesz grzeczny i posłuszny. Bo jak nie, to lanie.

Max rozruszał się na dobre i zaczął ze Szwejkiem zbytkować. Wieczorem, gdy nadporucznik wrócił z koszar, Szwejk i Max byli najlepszymi przyjaciółmi.

Spoglądając na Maxa, filozofował Szwejk:

— Jak pomyśleć akuratnie, to każdy żołnierz jest właściwie także wykradzony ze swego domu, jak ten pies.

Nadporucznik Lukasz był bardzo mile zaskoczony widokiem Maxa, który też ucieszył się szczerze, zobaczywszy człowieka z szablą.

Na pytanie, skąd pies pochodzi i wiele kosztuje, odpowiedział Szwejk z zupełnym spokojem, że dostał psa w podarunku od jednego przyjaciela, który akurat musiał stanąć do wojska.

— Dobrze, Szwejku — rzekł nadporucznik bawiąc się z Maxem — na pierwszego dostaniecie ode mnie pięćdziesiąt koron za psa.

— Nie mogę przyjąć, panie oberlejtnant.

— Szwejku — rzekł surowo nadporucznik — kiedyście się meldowali na służbę u mnie, mówiłem wam, że musicie słuchać na słowo. Gdy wam mówię, że dostaniecie pięćdziesiąt koron, to musicie je przyjąć i przepić. Co zrobicie, Szwejku, z tymi pięćdziesięcioma koronami?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że je przepiję według rozkazu.

— A gdybym czasem zapomniał o tym, to rozkazuję wam, abyście mi meldowali, że wam się należy pięćdziesiąt koron. Rozumiecie? A pcheł ten pies nie ma? Lepiej go od razu wykąpać i wyczesać. Jutro mam służbę, ale pojutrze pójdę z nim na spacer.

Podczas gdy Szwejk kąpał Maxa, pułkownik, były jego

właściciel, strasznie awanturował się w domu i groził, że odda pod sąd polowy tego, kto mu psa ukradł, że go każe rozstrzelać, powiesić, zamknąć w więzieniu na dwadzieścia lat i rozsiekać na kawałki.

— Der Teufel soll den Kerl buserieren — krzychał pułkownik, aż okna brzęczały. — Mit solchen Meuchelmördern werde ich bald fertig.

Nad Szwejkiem i nad Lukaszem unosiła się w powietrzu katastrofa.

XV

Katastrofa.

Pułkownik Fryderyk Kraus, mający też przydomek von Zillergut, jako pamiątkę po jakiejś wioszczynie w Salzburgu, którą przodkowie jego przepili jeszcze w osiemnastym wieku, był czcigodnym bałwanem. Gdy coś opowiadał, to wygłaszał zdania ogromnie arbitralne, wypytując przy tym słuchaczy, czy aby zrozumieli najpierwotniejsze wyrazy.

— A więc okno, panowie. Wiecie, co to jest okno?

Albo na przykład:

— Droga, która po obu stronach ma rowy, nazywa się szosą. Tak, panowie. Wiecie, co to jest rów? Rów to wykop, nad którym pracuje sporo ludzi. Jest to zagłębienie. Tak. Robi się rydlami. Wiecie co to jest rydel?

Miał manię objaśniania wszystkiego, a czynił to z takim zapałem, jak jaki wynalazca, opowiadający o swoim dziele.

— Książka, proszę panów, to pewna ilość rozmaicie pociętych ćwiartek papieru różnego formatu, który jest zadrukowany, ułożony, zeszyty i zlepiony. Tak. Wiecie, panowie, co to jest klej? Klejem się lepi.

Był tak potwornie głupi, że oficerowie uciekali od niego i omijali go z dala, aby nie musieli słuchać jego wykładu, że chodnik oddzielony jest od jezdni i że jest to podwyższony pas

bruku przed frontem domu. Zaś front domu, to ta część, którą widzimy z ulicy lub z chodnika. Tylnej części domu z chodnika zobaczyć nie można, o czym łatwo się przekonać, gdy się stanie na jezdni.

Gotów był zademonstrować tę interesującą rzecz na poczekaniu, ale na szczęście przejechano go. Od tego czasu zgłębiał jeszcze bardziej. Zatrzymywał oficerów i wdawał się z nimi w nieskończenie długie rozmowy o omletach, słońcu, termometrach, pączkach, oknach i markach pocztowych.

Było naprawdę dziwne, że ten idiota mógł stosunkowo szybko awansować i że posiadał poparcie ludzi wpływowych, jak np. dowodzącego generała, który popierał go, pomimo jego absolutnej niezdatności.

Podczas manewrów dokazywał ze swoim pułkiem istnych cudów. Nigdy nie dotarł do oznaczonego celu na czas, prowadził żołnierzy kolumnami pod karabiny maszynowe, a kiedyś przed laty podczas manewrów cesarskich na południu Czech zdarzyło się, że razem ze swoim pułkiem zginął, dostał się aż na Morawy i włóczył się z nim jeszcze parę dni po ukończonych manewrach, gdy żołnierze innych pułków już dawno siedzieli w koszarach. Uszło mu i to.

Jego przyjacielskie stosunki z generałem dowodzącym i z innymi, niemniej idiotycznymi dygnitarzami wojskowymi starej Austrii przyniosły mu szereg odznaczeń i orderów. Czuł się ogromnie wyróżniony i uważał się za najlepszego żołnierza pod słońcem oraz za teoretyka strategii i wszystkich nauk wojskowych.

Podczas przeglądu pułku wdawał się w rozmowę z żołnierzami i pytał ich zawsze o to samo:

— Dlaczego karabin, jakiego używa wojsko, nazywa się manlicher?

W pułku przezywali go z tej racji „Manlicher trottel“. Był niezwykle mściwy, gubił podwładnych oficerów,

jeśli mu się nie podobali, a gdy który z nich chciał się żenić, to władzom wyższym wydawał o nim opinię jak najgorszą.

Brakło mu połowy lewego ucha, którą uciął mu w pojedynku jego przeciwnik, wyzwany przez niego za proste stwierdzenie faktu, że Fryderyk Kraus von Zillergut jest skończonym bałwanem.

Po rozbiorze jego przymiotów umysłowych doszlibyśmy do wniosku, że przymioty te nie były wcale lepsze od tych, które wślawiły gburowatego Habsburga, Franciszka Józefa, jako notorycznego idiotę.

Jego mowa miała te same akcenty, w jego głowie mieścił się taki sam zasób naiwności. Podczas pewnego bankietu w kasynie oficerskim, gdy rozmawiano o Schillerze, pułkownik Kraus von Zillergut wyrwał się ni w pięć ni w dziesięć:

— Widziałem wczoraj, moi panowie, pług parowy, pędzony przez lokomotywę, ale nie przez jedną, lecz przez dwie lokomotywy. Patrzę, dym, podchodzę bliżej, a to lokomotywa, a z drugiej strony druga. Powiedzcie, panowie, czy to nie śmieszne? Dwie lokomotywy, jakby nie dość było jednej.

Przez chwilę milczał, a potem dorzucił:

— Gdy się benzyna wyczerpie, to automobil musi się zatrzymać. To też wczoraj widziałem. I gędzi się o zachowaniu energii! Nie jedzie, stoi, nie ruszy się, bo nie ma benzyny. Czy to nie śmieszne?

Przy swojej tępotcie był niezwykle pobożny. W mieszkaniu miał ołtarz domowy. Często chodził do spowiedzi i do komunii, wyróżniając kościół św. Ignacego, a od początku wojny modlił się o powodzenie wojsk austriackich i niemieckich. Chrześcijaństwo mieszał sobie z marzeniami o hegemonii germańskiej. Bóg miał dopomóc zwycięzcom do wydarcia pokonanym ziemi i bogactw.

Wpadał zawsze w istny szal, gdy się dowiadywał, że przywieziono jeńców.

— Po co brać jeńców — mawiał. — Powystrzelać ich

wszystkich. Bez miłosierdzia. Tańczyć na trupach. Wszystkich cywilów w Serbii spalić co do jednego. Dzieci pozakłuwać bagnetami

Nie był wcale gorszy od niemieckiego poety Vierordta, który podczas wojny wydrukował wiersze wzywające ojczyznę niemiecką, aby duszą z żelaza nienawidziła i mordowała miliony diabłów francuskich.

Niech aż pod obłoki, ponad góry,
Gromadzą się kości ludzkie i dymiące ciała...

* * *

Skończywszy wykład w szkole jednorocznych ochotników, wyszedł nadporucznik Lukasz z Maxem na spacer.

— Pozwalam sobie zwrócić uwagę pana oberlejtanta — rzekł zatroskany Szwejk — że z tym psem trzeba bardzo ostrożnie, żeby nie uciekł. Może zatęsknić na ten przykład za dawnym panem i mógłby dać dęba, gdyby go pan spuścił ze smyczy. Nie radziłbym też chodzić z nim przez plac Hawlička, bo tam włóczy się jeden zły pies rzeźnicki spod „Mariańskiego obrazu“. To strasznie zły pies i jak tylko zobaczy w swoim rewirze cudzego psa, to zaraz strasznie zazdrosny, żeby mu czego nie zeżarł. Takie samo psisko, jak ten żebrak od świętego Hasztala.

Max podskakiwał wesoło i plątał się między nogami, okręcił łańcuszek dokoła szabli nadporucznika i wyrażał wielką radość, że pójdzie na spacer.

Wyszedszy na ulicę, nadporucznik Lukasz skierował się w stronę Przykopów. Miał się spotkać z pewną damą na rogu ulicy Pańskiej. Pogrążony był w myślach urzędowych. O czym ma jutro wykladać jednorocznym ochotnikom w szkole? Jak określamy wysokość pewnego wywyższenia? Dlaczego określamy wysokość zawsze nad powierzchnią morza? Jak z wysokości nad powierzchnią morza ustala się prostą wysokość wzgórzka od jęgo podłoża? Jakie figlarne jest ministerstwo

wojny, że takie sprawy włącza do programu szkolnego! To przeciw rzecz artylerii. Istnieją też mapy sztabu generalnego. Gdy nieprzyjaciel znajdować się będzie na wzgórzu 312, to nie będzie można rozmyślać o tym, dlaczego wysokość wzgórka podana jest od powierzchni morza i nikt nie będzie mógł zabrać się do określenia wysokości tego wzgórza. Spogląda się na mapę i basta.

Z rozmyślań tych wyrwało nadporucznika ostre wezwanie: „Halt!“ Ozwało się ono nad jego uchem akurat w chwili, gdy zbliżał się ku ulicy Pańskiej.

Jednocześnie z ozwaniem się tego głosu, pies szarpnął się na łańcuszku i z radosnym ujadaniem rzucił się w stronę człowieka, który krzyknął: „Halt!“

Przed nadporucznikiem stał pułkownik Kraus von Zillergut. Nadporucznik Lukasz salutował, tłumacząc się pułkownikowi, że go nie zauważył.

Pułkownik znany był z tego, że namiętnie lubił zatrzymywać podwładnych.

Salutowanie uważał za coś, od czego zawisły losy wojny i na czym oparta jest potęga armii.

— W salutowanie żołnierz powinien wkładać duszę — mawiał. Był to wyraz najpiękniejszego kapraleskiego mistycyzmu.

Pilnował i uważał, aby salutujący oddał ukłon wojskowy ściśle według przepisów do najsztelniejszych szczegółów, precyzyjnie, z powagą.

Czyhał na wszystkich, którzy go omijali: od piechura aż do podpułkownika. Tych szeregowców, którzy salutowali mimochodem, jakby chcieli rzec „Jak się masz?“ zatrzymywał i sam prowadził ich do koszar dla ukarania.

Jemu nie można było tłumaczyć się: — Nie widziałem.

— Żołnierz — mawiał — winien szukać swego przełożonego w tłumie i nie wolno mu myśleć o niczym innym, tylko o tym, aby spełnić swój obowiązek przepisany przez regulamin służbowy. Gdy pada na poboju, winien przed sko-

naniem zsalutować. Kto nie umie salutować, udaje, że nie widzi, albo saltuje niedbale, jest dla mnie bestią.

— Panie nadporuczniku — głosem strasliwym mówił pułkownik Kraus — niższe stopnie obowiązane są oddawać cześć wyższym. To nie jest zniesione. A po drugie: od kiedy to panowie oficerowie przyzwyczaili się chodzić na spacer z kradzionymi psami? Tak jest: z kradzionymi psami. Pies, który jest własnością kogoś innego, jest psem kradzionym.

— Ten pies, panie pułkowniku... — zaczęła się tłumaczyć Lukasz.

— Jest moim psem, panie nadporuczniku — szorstko przerwał mu pułkownik. — To mój Lux.

A Lux czy Max przypomniał sobie swego dawnego pana, nowego zaś wygnał z serca i wyrwawszy się nadporucznikowi obskakiwał pułkownika z takim nadmiarem radości, na jaką zdobyć się może tylko gimnazysta wysłuchany przez ukochaną.

— Chodzenie na spacer z kradzionymi psami nie daje się pogodzić z honorem oficerskim. Pan nie wiedział? Oficer nie może kupować psa, nie przekonawszy się, że może go kupić bez przykrych dla siebie następstw! — grzmiał pułkownik Kraus, głaszcząc Luxa-Maxa, który z psią podłością zaczął warczeć na nadporucznika i wyszczerzać zęby na niego, jakby go pułkownik był poszczuł na swoją ofiarę: — Weź go!

— Panie nadporuczniku — mówił pułkownik dalej — czy uważałby pan za właściwe jeździć na kradzionym koniu? Nie czytał pan ogłoszenia w „Bohemii“ i w „Tageblacie“, że zginął mi rasowy pinczer? Jak to, pan nie czytał ogłoszenia swego przełożonego?

Pułkownik wyrażał najwyższe zdumienie.

— Udali się ci młodzi oficerowie! A gdzież to dyscyplina? Pułkownik posyła do gazety ogłoszenie, a nadporucznik nie przeczyta go!

— Gdybym ci, dziadu stary, mógł dać parę razy w pysk...--

myślał nadporucznik Lukasz spoglądając na bokobrody pułkownika przypominające orangutana.

— Niech pan idzie ze mną kawałek — rzekł pułkownik.

Nadporucznik szedł obok przełożonego, prowadząc z nim miłą rozmowę:

— Na froncie, panie nadporuczniku, taka rzecz trafić się panu drugi raz nie może. Spacerować sobie na tyłach z kradzionymi psami, to rzecz przyjemna. Tak. Spacerować z psem swego przełożonego. I to w czasach, gdy co dzień tracimy setki najlepszych oficerów. A ogłoszeń się nie czyta. Przecież w taki sposób mógłbym zamieszczać ogłoszenia przez sto lat i obwieszczać światu, że mi zginął pies. Dwieście lat, trzy-sta lat!

Pułkownik głośno smarkał, co zawsze oznaczało u niego wysoki stopień wzburzenia, i rzekł: — Może pan spacerować dalej. — Odwrócił się i poszedł, chłuszcząc gniewnie poły płaszcza oficerskiego szpicrutą.

Nadporucznik Lukasz przeszedł na drugi chodnik, ale i tam usłyszał znowuż surowe: „Halt!“ Pułkownik zatrzymał właśnie jakiegoś nieszczęśliwego piechura, rezerwistę, który myślał o swojej mamie, siedzącej w domu, i przeoczył pułkownika.

Pułkownik własnoręcznie ciągnął go do koszar dla ukarania i wyzywał go od morskich świń.

— Co ja z tym Szwejkiem zrobię? — myślał nadporucznik. — Rozplątam mu gębę, ale to mało. Pasy drzeć z tego łotra, i tego nie dość.

Zapominając, że miał się spotkać z pewną damą, wzburzo-ny skierował się w stronę swego mieszkania.

— Zabiję tego drania! — rzekł wsiadając do tramwaju.

Tymczasem dobry wojak Szwejk zajęty był interesującą rozmową z ordynansem z koszar, który przyniósł dla nadporucznika jakies papiery do podpisania i czekał na niego.

Szwejk podejmował go kawą i przy tym napoju opowiadali sobie, że Austria się przejedzie.

Rozmawiali tak, jakby nic lepszego i pewniejszego nie mieli sobie do powiedzenia. Rozmowa ich składała się z szeregu zdań, które z wszelką pewnością byłyby przez sąd określone jako zdrada stanu i za które byliby powieszani.

— Najjaśniejszy pan musiał z tego wszystkiego zidocić — oświadczył Szwejk. — Nigdy nie był bardzo sprytny, ale ta wojna go z pewnością dobije.

— Już zidiociał — z całą pewnością zadeklarował żołnierz z koszar. — Idiota, jak nogi stołowe. Może on nawet nie wie, że jest wojna. Być może, że wstydzili się powiedzieć mu o tym. Ten podpis na manifestie do jego narodów to też pewno zło-dziejstwo. Kazali wydrukować bez jego wiedzy, bo on już o niczym myśleć nie może.

— Gotów jest i tyle — tonem znawcy zawyrokował Szwejk. Robi pod siebie i muszą go karmić jak małe dziecko. Niedawno opowiadał w szyncku jeden pan, że ma dwie mamki i że trzy razy dziennie dają cesarzowi ssać.

— Żeby nam wreszcie porządnie skórę złoili — westchnął z koszar żołnierz — byłby wreszcie z tą Austrią spokój.

Obaj rozmawiali w ten sposób dalej, aż wreszcie Szwejk potępił Austrię ostatecznie:

— Takiej idiotycznej monarchii nie powinno być na świecie.

Słowa te uzupełnił drugi żołnierz zdaniem, które było niejako wnioskiem praktycznym:

— Jak mnie poślą na front, to im zwieję.

Gdy obaj żołnierze w dalszym ciągu wyrażali poglądy czeskiego człowieka na wojnę, żołnierz z koszar powtórzył, o czym słyszał dzisiaj na mieście, że koło Nachoda słychać armaty i że w czasie najbliższym car będzie w Krakowie.

Potem opowiadali sobie o tym, że zboże z całego kraju

wywozi się dlatego do Niemiec, że niemieccy żołnierze dostają papierosy i czekoladę.

Następnie przypominali sobie wzajemne czasy dobrych, porządných wojen dawnych, a Szwejk poważnie wywodził, że wtedy, kiedy to za mury oblężonego miasta rzucano garnki, pełne smrodliwych rzeczy, też nie było osobliwą przyjemnością wojowanie w takim smrodzie. Opowiadał koledze, iż czytał, że jakiś zamek oblegany był przez całe trzy lata, a nieprzyjaciel oblegający nic innego nie robił, tylko dzień w dzień bawił się w taki właśnie sposób z oblężonymi.

Byłby niezawodnie powiedział jeszcze coś interesującego i pouczającego zarazem, ale rozmowę ich przerwał powrót nadporucznika Lukaszka. Rzuciwszy straszliwe, miażdżące spojrzenie na Szwejka, podpisał papiery, odesłał żołnierza i skinął na Szwejka, aby poszedł za nim do pokoju.

Oczy nadporucznika miotały straszliwe błyskawice. Siadłszy na krześle, zastanawiał się, spoglądając na Szwejka, kiedy rozpocznie masakrowanie.

— Najpierw dam mu parę razy w pysk — myślał nadporucznik — potem rozplątam mu nos i poobrywam uszy, a dalej się zobaczy.

Tymczasem spoglądała na niego szczerze i tkliwie para poczciwych, niewinnych oczu Szwejka, który odważył się przerwać ciszę przed burzą tymi słowy:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że kota już pan nie ma. Zeżarł pastę do butów i pozwolił sobie zdechnąć. Wrzuciłem go do piwnicy, ale do sąsiedniej. Takiego porządnego i ładnego kota angorskiego już pan nie znajdzie.

— Co ja z nim zrobię? — pomyślało się nadporucznikowi. — Na rany boskie, przecież ma taki idiotyczny wyraz twarzy!

Zaś poczciwe, niewinne oczy Szwejka dalej promieniały tkliwością i dobrocią, wikłającą się wyrazem obsolutnej równowagi ducha, jakby mówił, że wszystko jest w porządku

i nic się nie stało, a jeśli się nawet stało, to i to jest w porządku, że w ogóle coś się dzieje.

Nadporucznik Lukasz podskoczył ku Szwejkowi, ale go nie uderzył, jak pierwotnie zamierzał. Machnął mu pięścią pod nosem i ryknął:

— Wyście, Szwejku, ukradli psa!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że o żadnym takim wypadku nie wiem, i pozwalam sobie, panie oberlejtant, zauważyć, że z Maxem wyszedł pan po południu na spacer, więc go ukraść nie mogłem. Mnie zaraz to zastanowiło, że pan wrócił do domu bez psa. Pomyślałem, że musiało się coś stać. To się nazywa sytuacja. Przy ulicy Spalonej mieszkał jakiś rymarz Kuneś, to on też nie mógł wybrać się z psem na spacer, bo go zaraz zgubił. Zazwyczaj zapomniał go gdzieś w szynku, albo mu go kto ukradł, czy też pożyczył go sobie i nie oddał...

— Szwejku, bydlę jedno, Himmellaudon, stulcie pysk! Albo jesteście taki wyrafinowany nikczemnik, albo też jesteście taki bałwan i idiota, który nic nie rozumie. Ciągłe przytaczacie przykłady, ale ostrzegam was, że ze mną żartów nie ma! Skąd wzięliście tego psa? Kto wam go dał? Czy wiecie, że to pies naszego pułkownika, który zabrał mi go, gdyśmy się z nim przypadkowo spotkali? Czy rozumiecie, że to okropny wstyd dla mnie? Gadajcie prawdę: ukradliście go, czy nie?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że go nie ukradłem.

— Wiedzieliście o tym, że ten pies jest kradziony!

— Posłusznie melduję, że wiedziałem, że ten pies jest kradziony.

— Szwejku, Jezus Maria, Himmelherrgott, ja was zastrzelę, wy bydlę jedno, wy ośle, wy wole, wy gówniarzu jeden! Czy można być takim bałwanem?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że można.

— Czemuście mi przyprowadzili kradzionego psa? Czemuście mi tę bestię wprowadzili do mieszkania?

— Żeby sprawić panu przyjemność, panie oberlejtnant.

Oczy Szwejka łagodnie i tkliwie spoglądały na twarz nadporucznika, który usiadł i jęknął:

— Czemu Bóg mnie karze takim bydlakiem!

W cichej rezygnacji siedział nadporucznik na krześle i doznawał uczucia, że nie ma siły, aby Szwejka huknąć w łeb, a nawet nie ma jej tyle, aby skręcić papierosa. Sam nie wiedząc, dlaczego to czyni, posłał Szwejka po „Bohemię“ i po „Tageblatt“, żeby sobie Szwejk przeczytał ogłoszenie pułkownika o skradzionym psie.

Z gazetami rozłożonymi tak, że widać było ogłoszenia, Szwejk powrócił rozpromieniony i z radością meldował:

— Jest ogłoszenie, proszę pana oberlejtnanta. Tak ładnie opisał pan oberst tego skradzionego rasowego pinczera, aż miło czytać. I jeszcze obiecał sto koron nagrody temu, kto psa przyprowadzi. To bardzo przyzwoite wynagrodzenie. Zwykle daje się pięćdziesiąt koron nagrody. Niejaki Bożetech z Kosirzów utrzymywał się w taki sposób. Zawsze skradł jakiego psa, a potem czytał w ogłoszeniach, czy jest poszukiwany, i odprowadzał go. Pewnego razu ukradł ładnego czarnego szpica, a ponieważ właściciel nie poszukiwał psa przez ogłoszenia, zrobił próbę i sam ogłosił o szpicu w gazecie. Zapłacił pięć koron, po czym zgłosił się jeden pan, że to jego pies, że mu zginął i że myślał ten pan, iż szukanie nie zdałoby się na nic, bo nie wierzy w istnienie ludzi uczciwych. Zasadniczo, powiada, przeciwny jest wynagradzaniu uczciwości, ale na pamiątkę podaruje mu swoją książkę o hodowli kwiatów w domu i w ogródku. Mój zacny Bożetech złapał tego czarnego szpica za zadnie łapy i dał nim po łbie temu panu. Przysiągł sobie, że od tej chwili nigdy nie będzie zamieszczał ogłoszeń o znalezionych psach. Woli sprzedać psa do psiarni, gdy się o niego nikt nie troszczy i nie poszukuje go przez ogłoszenie.

— Idźcie spać, Szwejku — rozkazał nadporucznik. — Gotów jesteście bałwanić się tu do samego rana.

Sam też poszedł spać, a w nocy śniło mu się o Szwejku, że skradł konia następcy tronu, przyprowadził mu go, a podczas przeglądu następcy tronu tego konia poznał, gdy on, niešťczęśliwy nadporucznik Łukasz, jechał na nim przed swoim oddziałem.

Rano czuł się nadporucznik tak, jakby przez całą noc hulał i jeszcze do tego został obity. Leżała na nim jakaś niezwykle ciężka zmora i gnębiła go. Zasnął był nad ranem jeszcze raz, zmęczony straszliwym snem, ale zbudziło go pukanie do drzwi, a zza nich wychyliła się pocziwa twarz Szwejka i ozwało się pytanie, kiedy pan nadporucznik każe się zbudzić.

Nadporucznik jęknął na łóżku:

— Precz, bydlaku! To coś straszniego!

Gdy wstał i gdy Szwejk przyniósł mu śniadanie, nadporucznik został zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem swego słuźącego:

— Posłusznie melduję, panie nadporuczniku, czy nie zyczyłby pan sobie, żebym się postarał o jakiego pieska?

— Wiecie, Szwejku, że mam wielką ochotę oddać was pod sąd polowy — mówił nadporucznik wzdychając — ale was by sąd uniewinnił, bo czegoś tak kolosalnie idiotycznego, jak wy, jeszcze świat nie widział. Spójrzcie na siebie w zwierciadle. Czy nie mdli was sam widok waszego cymbalskiego wyrazu? Jesteście przecie najidiotyczniejszą igraszką przyrody, jakiej drugiej nie ma. No, powiedźcie sam, Szwejku, czy podobacie się sobie?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że się sobie nie podobam. Jestem w tym zwierciadle taki jakiś, jakby mi ktoś guzów ponabijał. To szkło nie jest szlifowane. U tego Chińczyka Stańka, co handluje herbatą, mieli kiedyś takie wypukłe lustro i jak ktoś spojrział w nie, to mu się chciało rzygać. Pysk taki, głowa jak ceber do pomyj, brzuch jak u pijane-

go kanonika, jednym słowem, figura. Przechodził tam kiedyś pan namiestnik, spojrzął na siebie, i zaraz musieli to lustro zdjąć.

Nadporucznik odwrócił się, westchnął i uznał za słuszne zająć się raczej kawą ze śmietanką niż Szwejkiem.

Szwejk gospodarował w kuchni i nadporucznik Lukasz słyszał jego śpiewanie:

Maszeruje Grenevil przez Prochową bramę.
Szable im się błyszczą, a dziewuchy piszczą...

Potem słysząc było inną piosenkę:

My, żołnierze, mamy święta,
Karty, wódka i dziewczęta,
I pieniędzy pełen trzos,
To ci los, to ci lo-ho-ho-hos...

— Takiemu bydlakowi wszędzie dobrze — pomyślał nadporucznik i splunął.

We drzwiach ukazała się głowa Szwejka:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że przyszedł ordynans z koszar, żeby pan się zaraz stawił u pana pułkownika.

I poufnie dodał:

— To pewno z powodu tego pieska.

— Już wiem — rzekł nadporucznik, gdy w sieni ordynans chciał mu się meldować.

Rzekł to głosem stłumionym i wychodząc rzucił na Szwejka spojrzenie miażdżące.

Nie chodziło o raport, ale o coś gorszego. Pułkownik siedział w fotelu ponury i zachmurzony, gdy nadporucznik wszedł do jego kancelarii.

— Przed dwoma laty, panie nadporuczniku, życzył pan sobie dostać się do Budziejowic do dziewięćdziesiątego pierwszego pułku — mówił pułkownik. — Wie pan, gdzie są Budziejowice? Nad Wełtawą, tak nad Wełtawą, tam, gdzie wpada do niej rzeka Ohrza, czy coś takiego. Miasto jest duże, że tak powiem, przyjemne, i jeśli się nie mylę, ma ono nadbrzeże.

Wie pan, co to jest nadbrzeże? Jest to mur, zbudowany nad wodą. Tak. Zresztą nie o to chodzi. Mieliśmy tam manewry.

Pułkownik zamilkł i spoglądając na kałamarz przeszedł do innego tematu:

— Ten mój pies zepsuł się u pana. Nie chce nic zreć. A w kałamarzu jest mucha. Dziwna rzecz, że w zimie wpadają muchy do kałamarza. Nieporządek.

— Gadaj, stary safandulo — myślał nadporucznik.

Pułkownik wstał i przeszedł się kilka razy po kancelarii.

— Długo myślałem nad tym, panie nadporuczniku, co właściwie mam zrobić z panem, żeby się taka rzecz powtórzyć nie mogła, i przypomniałem sobie, że życzył pan sobie zostać przeniesiony do dziewięćdziesiątego pierwszego pułku. Naczelne dowództwo donosi nam, że w pułku tym bardzo daje się odczuwać brak oficerów, ponieważ Serbowie nam ich wybili. Daję panu słowo honoru, że przed upływem trzech dni będzie pan w dziewięćdziesiątym pierwszym pułku w Budziejowicach, gdzie formują się marszbataliony. Niech pan dziękuje. Wojsko potrzebuje oficerów, którzy...

I nie wiedząc, co ma jeszcze powiedzieć, spojrzął na zegarek i dodał:

— Już pół do jedenastej. Najwyższy czas iść do raportu pułkowego.

Na tym urwała się przyjemna rozmowa i nadporucznik odetchnął, gdy wyszedł z kancelarii pułkownika i znalazł się w szkole jednorocznych ochotników, którym oznajmił, że za kilka dni udaje się na front i że urządza wieczorek pożegnalny w Nekazance.

Po powrocie do domu, rzekł do Szwejka z naciskiem:

— Wiecie wy, Szwejku, co to jest marszbatalion?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtнанt, że marszbatalion to jest marszbaciar, a marszkompania to marszkuma. My zawsze wszystko skracamy.

— Więc wam, Szwejku, powiem — rzekł nadporucznik gło-

sem uroczystym — że pojedziecie ze mną do takiego właśnie marszabaciara, kiedy tak lubicie skróty. Ale nie myślcie sobie, że na froncie będziecie wyprawiali takie idiotyczne kawały, jak tutaj. Cieszyście się?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że bardzo się cieszę — odpowiedział dobry wojak Szwejk. — Będzie to wspaniałe, gdy obaj polegniemy za najjaśniejszego pana i jego dom.

EPILOG

Kończąc pierwszą część książki mojej „Losy dobrego wojaka Szwejka“ („Na tyłach“), zawiadamiam, że wyjdą w szybkim tempie jedna za drugą dwie części: „Na froncie“ i „W niewoli“. I w tych następnych częściach żołnierze i obywatele cywilni będą mówili i postępowali tak, jak jest w rzeczywistości.

Stylizowanie lub wykropkowanie czegoś jest dla mnie najgłupszą obłudą. Słów prostych używa się i w parlamentach.

Słusznie powiedziano kiedyś, że dobrze wychowany człowiek może czytać wszystko. Nad tym, co jest naturalne, zastanawiają się tylko największe świętuchy i wyrafinowani rozpustnicy.

Przed laty czytałem krytykę jakiejś nowelki, w której krytyk oburzał się, że autor napisał: „Wysmarkał się i utarł nos“. Ma to się sprzeciwiać wszystkiemu, co jest estetyczne, wzniosłe, co narodowi dawać może literatura.

Ludzie, którzy zastanawiają się nad mocniejszym wyrażeniem, są tchórzami, bo rzeczywiste życie ich przeraża, a tacy słabi ludzie są właśnie największymi szkodnikami kultury i charakteru. Tacy wychowaliby naród jako gromadę przeczulonych człowieczków, masturbantów fałszywej kultury.

Tacy ludzie ujawniają publicznie swoje oburzenie, ale

z niezwykłym upodobaniem chodzą po publicznych szaletach dla odczytywania nieprzyzwoitych napisów na ścianach.

Przy tej sposobności zwracam uwagę, że właściciel gospody, Paliwec, żyje. Przetrwiał wojnę, którą spędził w więzieniu, i pozostał nadal tym, którym był wówczas, gdy miał znaną aferę z obrazem cesarza Franciszka Józefa.

Przyszedł do mnie w odwiedzin, gdy dowiedział się, że jest w książce, i nabył przeszło dwadzieścia egzemplarzy pierwszego zeszytu, które rozdał swoim znajomym, czym przyczynił się do rozpowszechnienia mojej książki.

Szczerze cieszył się, że o nim pisałem i że przedstawiłem go jako znanego prostaka.

— Mnie już nikt nie przerobi — rzekł do mnie — bo ja przez całe życie mówiłem po prostu, jak myślałem, i tak będę mówił dalej. Dla przypodobania się komukolwiek nie będę sobie zasłaniał ust serwetką. Dzisiaj jestem sławny.

Jego samowiedza spotęgowała się rzeczywiście. Sława jego oparta jest na kilku krzepkich wyrażeniach. Wystarcza mu to i daje zadowolenie, a gdybym chciał być przez wierne i dokładne reprodukowanie jego wyrażeń zwrócić mu uwagę, że nie powinien tak mówić, jak mówi, co oczywiście nie było moim zamiarem, to byłbym niezawodnie obraził tego dobrego człowieka.

Wyrazami niewyszukanymi, prosto i uczciwie wyraził wstręt czeskiego człowieka do wszelkiego bizantynizmu, sam o tym nie wiedząc. To było w jego krwi, ten brak szacunku dla cesarza i przyzwoitych wyrażeń.

Otto Katz też żyje. Po przewrocie cisnął wszystko w kąć, wystąpił z kościoła i jest dzisiaj prokurentem pewnej fabryki brązu i farb w Czechach północnych.

Napisał do mnie długi list, w którym grozi mi, że mnie nauczy moresu. Pewna gazeta niemiecka zamieściła mianowicie tłumaczenie rozdziału, w którym przedstawiony jest takim, jakim był rzeczywiście. Odwiedziłem go wtedy i wszyst-

ko zostało załatwione pomyślnie. O drugiej w nocy nie mógł utrzymać się na nogach, ale przemawiał, jak kaznodzieja: — Ja jestem Otto Katz, kapelan polowy, wy łby gipsowe.

Ludzi typu nieboszczyka Bretschneidera, rządowego detektywa starej Austrii, jeszcze dzisiaj włości się dużo po republice. Ogromnie interesują się tym, co kto mówi.

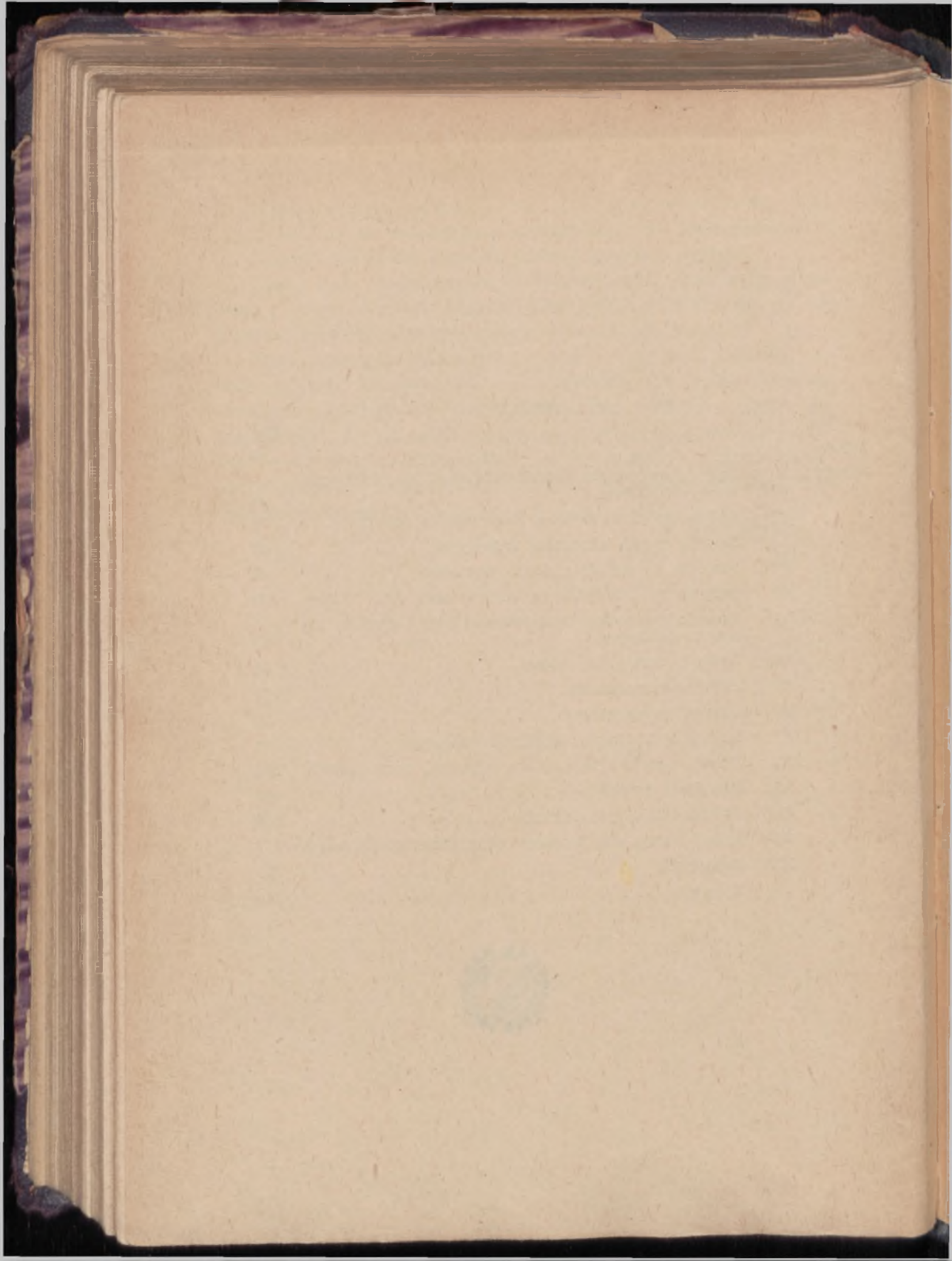
Nie wiem, czy udało mi się wyrazić w tej książce to, co zamierzałem. Już sam fakt, iż słyszałem, jak jeden człowiek rzekł do drugiego: — Jesteś głupi jak Szwejk — zdaje się świadczyć o czymś przeciwnym. Jeśli wszakże słowo „Szwejk“ stanie się nowym wyzwiskiem w kwiecistym wieńcu zelżywych epitetów, będę musiał zadowolić się takim wzbogaceniem języka czeskiego.

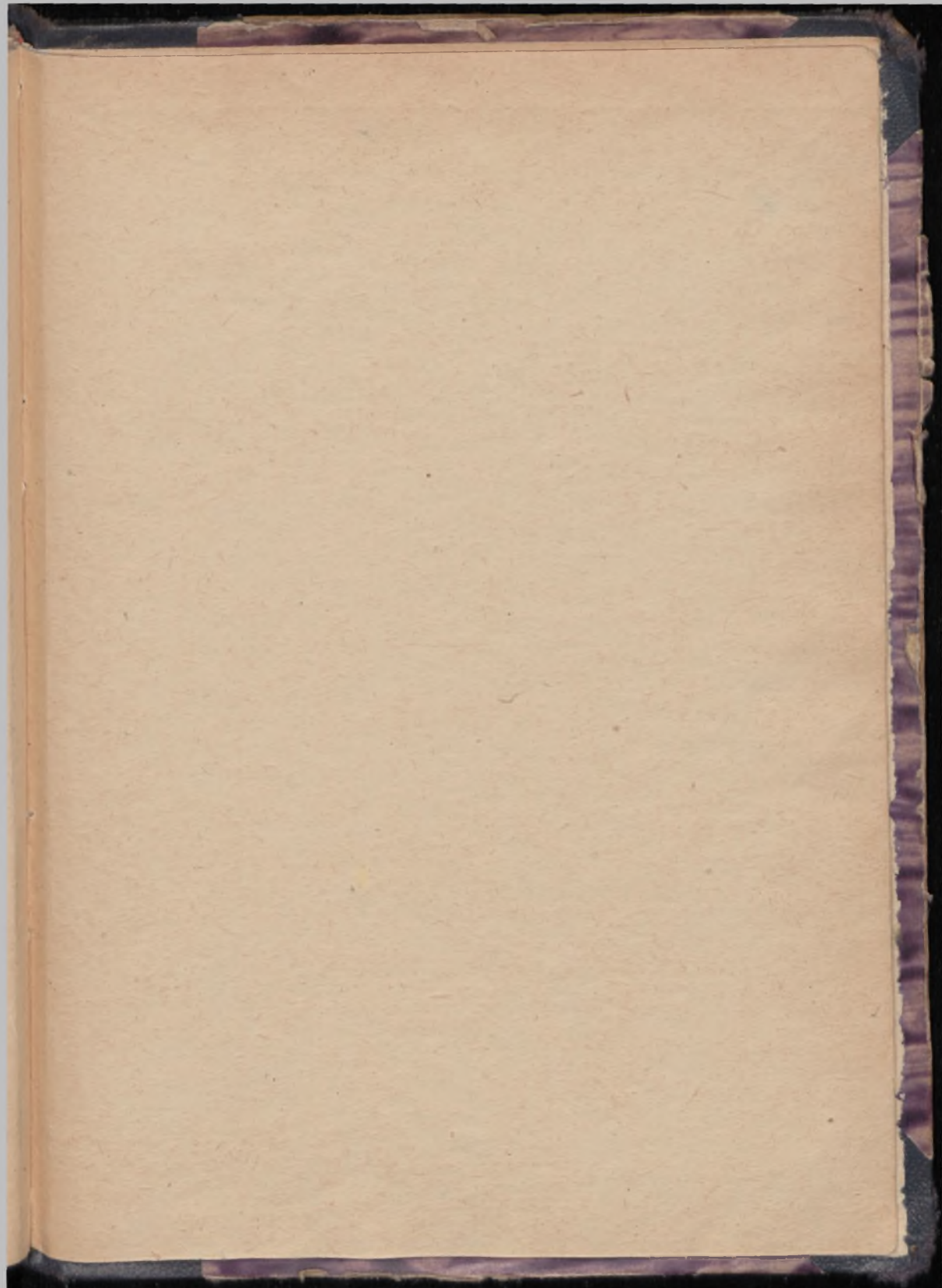
Jaroslav Hašek.

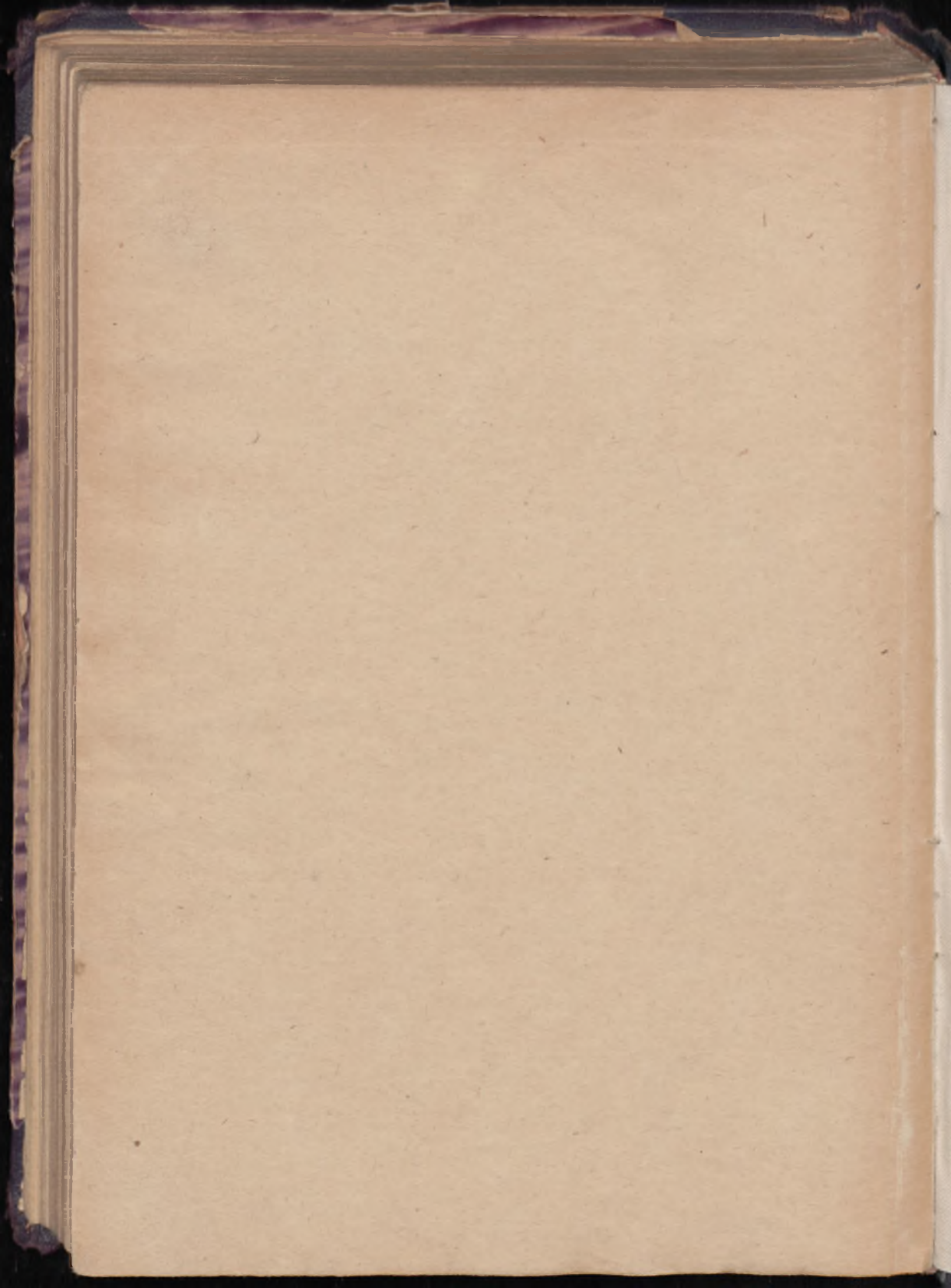
SPIS TREŚCI

	Str.
Wstęp	5
Rozdział I Jak dobry wojak Szwejk wkroczył na widownię wojny światowej	6
" II Dobry wojak Szwejk w komisariacie policji . . .	18
" III Szwejk przed lekarzami sądowymi	23
" IV Szwejka wypędzili z domu wariatów	36
" V Szwejk w komisariacie policji przy ulicy Salma	42
" VI Szwejk przerywa zaczarowane koło i dostaje się znowu do domu	51
" VII Szwejk rusza na wojnę	64
" VIII Szwejk symulantem	71
" IX Szwejk w garnizonie	90
" X Szwejk jako bursz kapelana polowego	114
" XI Szwejk jedzie z kapelanem odprawić mszę polową	141
" XII Religijna dysputa	152
" XIII Szwejk idzie namaszczać	160
" XIV Szwejk staje się burszem nadporucznika Łukasza	177
" XV Katastrofa	225
Epilog	240









Biblioteka Narodowa
Warszawa



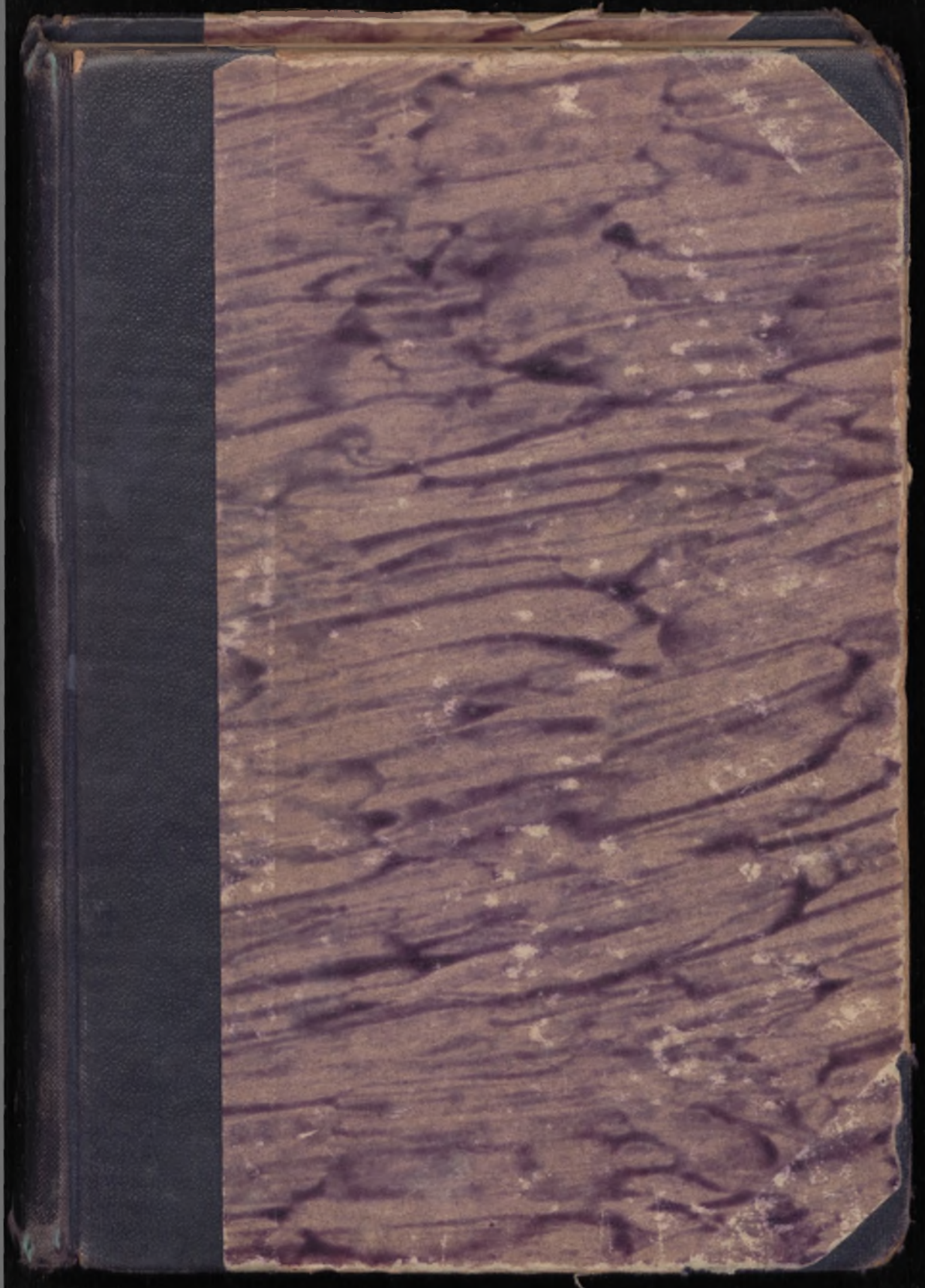
30001024267005

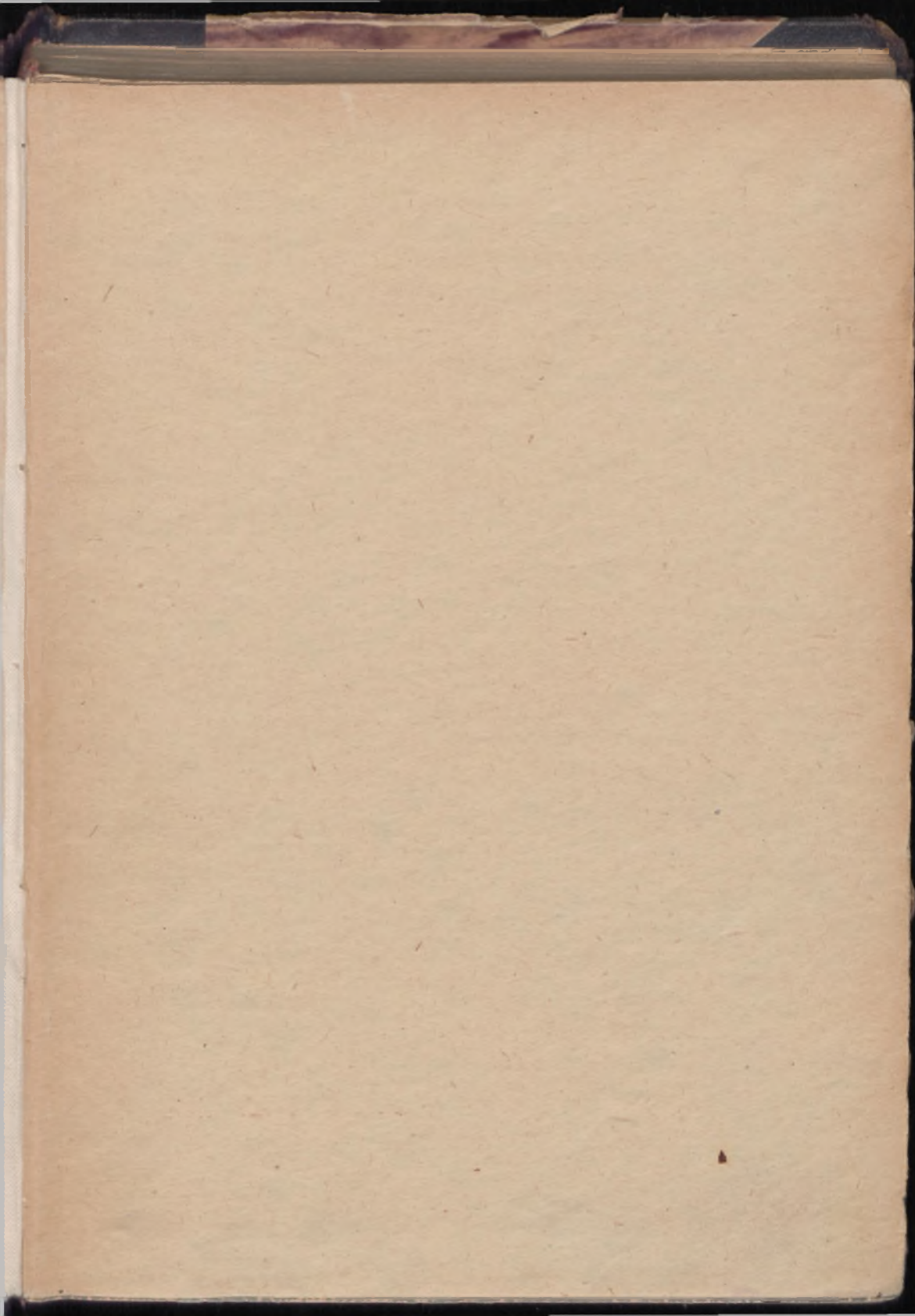


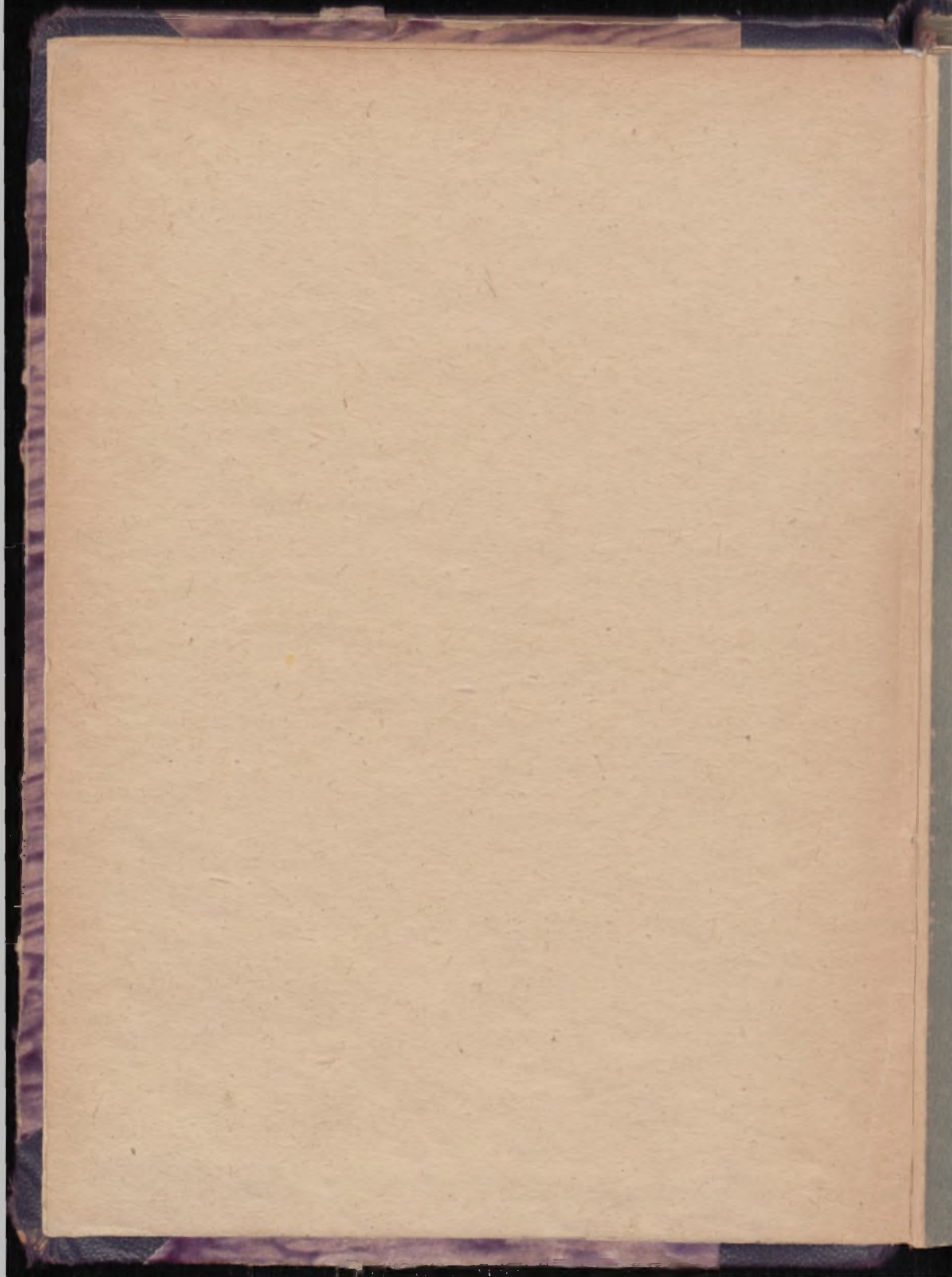
BIBLIOTEKA
NARODOWA

524592

A.





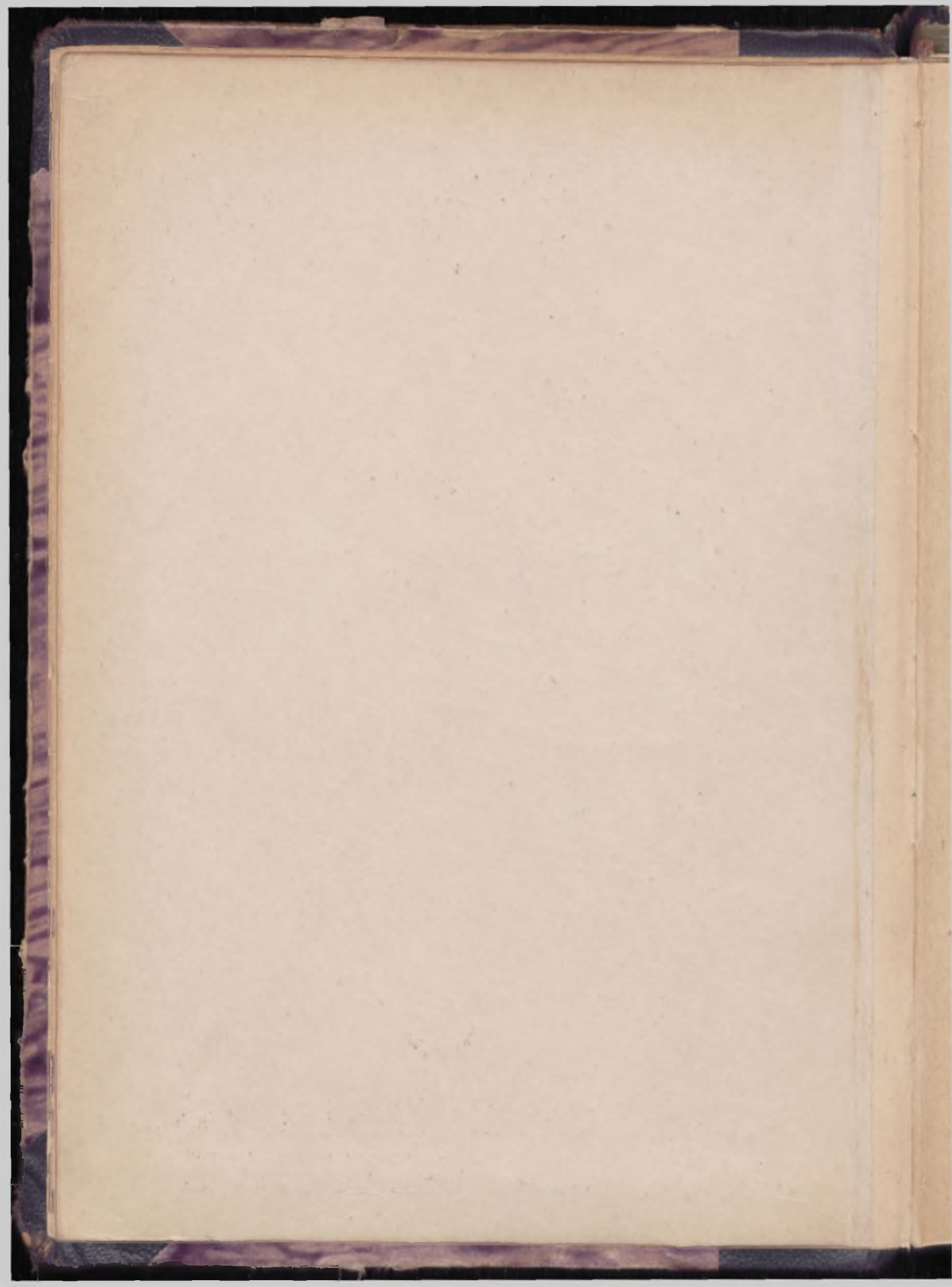


JAROSLAV HAŠEK



**PRZYGODY DOBREGO
WOJAKA SZWEJKA**

· KSIĄŻKA & WIEDZA ·



JAROSLAV HAŠEK
*
SZWEJK NA FRONCIE

1914

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA SZWEJKA
PODCZAS WOJNY ŚWIATOWEJ

I

Szwejk na tyłach

II

Szwejk na froncie

III

Przesławne lanie

IV

Po przesławnym laniu

JAROSLAV HAŠEK

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA
SZWEJKA

PODCZAS
WOJNY ŚWIATOWEJ

★ ★

Szwejk na froncie

• KSIĄŻKA I WIEDZA •
Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1949

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza”
Warszawa
Printed in Poland
Marzec 1949 rok

*

Autoryzowany przekład z czeskiego
P. HULKI-LASKOWSKIEGO

*

Okładkę projektował
IGNACY WITZ

*

Z praw wydawniczych
Towarzystwa Wydawniczego „Rój”



11.524.592

P. 37601

Tłoczono 15.370 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” w Wałbrzychu
Obj. 15,75 ark. Papier dzielawy kl. V, 70 g, 61×86 mm.

1949 201047 / 2.6

I

Przygody Szwejka w pociągu.

W przedziale drugiej klasy pociągu pośpiesznego Praga-Czeska — Budziejowice siedziało trzech pasażerów: nadporucznik Lukasz, naprzeciwko którego siedział starszy, zupełnie łysy pan, i Szwejk, który stał skromnie przy drzwiach, wiodących na korytarz, i szykował się akurat do wysłuchania nowego wybuchu gniewu swego nadporucznika, który, nie zwracając uwagi na obecność łysego cywila, dawał upust swej złości na Szwejka, wywodząc mu przez cały czas podróży, że jest bydlęciem Pana Boga itp.

Chodziło właściwie o drobnostkę, o liczbę tobołów, którymi Szwejk się opiekował.

— Skradli nam kufer — przedrzeźniał nadporucznik Szwejka. — Łatwo ci powiedzieć takie słowo, ty drabie!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant — głosem cichym odezwał się Szwejk — że naprawdę go skradli. Po dworcach zawsze się włóczy dużo takich indywiduów, a ja wyobrażam to sobie tak, że jednemu z nich musiał się podobać pański kufer i że ten człowiek niewątpliwie skorzystał z okazji, kiedy oddaliłem się od bagażu, żeby panu zameldować, że z bagażem naszym wszystko jest w porządku. Mógł on pański kufer skraść tylko w takim pomyślnym momencie. Na taki

moment oni czekają. Przed dwoma laty na północno-zachodnim dworcu skradli pewnej pani wózek dziecinny razem z dziewczynką w poduszkach, ale byli tacy szlachetni, że dziewczynkę oddali w komisariacie policji na naszej ulicy, że niby znaleźli ją podrzuconą w bramie. Potem gazety zrobiły z tej pani wyrodną matkę.

Po czym Szwejk zadeklarował z całym naciskiem:

— Na dworcach kradło się zawsze i będzie się kradło dalej. Inaczej nie można.

— Jestem przekonany, mój Szwejk — zabrał głos nadporučnik — że skończycie kiedyś najpaskudniej w świecie. Ciągłe jeszcze nie wiem, czy udajecie wielkiego bałwana, czy też urodziliście się już takim bałwanem. Co w tym kufrze było?

— Prawie że nic, panie oberlejtant — odpowiedział Szwejk, nie spuszczając oka z łysiny cywila, siedzącego naprzeciwko Lukasa, a jak się zdawało, zgoła obojętnego wobec kradzieży kufra. Czytał spokojnie „Neue Freie Presse”. — W całym tym kufrze było tylko lustro z naszego pokoju i żelazny wieszak z przedpokoju, tak że właściwie nie ponieśliśmy żadnej straty, ponieważ lustro i wieszak należały do gospodarza.

Widząc, że nadporučnik zrobił groźny gest, mówił Szwejk dalej głosem jak najłagodniejszym:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że przedtem nie o tym nie wiedziałem, że ten kufer będzie skradziony, a co do lustra i wieszaka, to powiedziałem panu gospodarzowi, że mu te rzeczy oddamy, jak wrócimy z wojny. W krajach nieprzyjacielskich jest dużo lusterek i wieszaków, tak że i pan gospodarz nie może ponieść żadnej straty. Jak tylko zdobędziemy jakie miasto...

— Stulić gębę! — straszliwym głosem przerwał mu nadporučnik. — Zobaczycie, że oddam was kiedy pod sąd polowy. Pomyślcie o tym dobrze, jeśli nie jesteście największym bał-

wanem na całym świecie. Inny, choćby żył tysiąc lat, nie narobiłby tyle błazeństw, ile wy narobiliście w ciągu paru tygodni. Mam nadzieję, że sami też to zauważyliście.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że zauważyłem, bo ja mam, jak to mówią, bardzo rozwinięty zmysł obserwacyjny i zawsze zauważę, gdy już za późno i gdy się stanie coś niemiłego. Mam takiego pecha, jak niejaki Nechleba z Nekazanki, który chodził do szynku w „Suczym gaiku“. Zawsze chciał postępować dobrze i od soboty prowadzić nowe życie, a na drugi dzień po takim postanowieniu mawiał zawsze: — Nad ranem zauważyłem, przyjaciele drodzy, że leżę na pry-czy. — I zawsze spotkała go taka rzecz, kiedy postanawiał, że do domu pójdzie w porządku, a w końcu pokazywało się, że wyrzucił gdzieś jakąś przegrodę albo wyprzągł komu konia, albo też chciał sobie przeciągnąć cybuch od fajki kogucim piórem z kapelusza patrolującego policjanta. Ogarniała go rozpacz z tego powodu, a najwięcej smuciło go to, że to była sprawa dziedziczna. Jego dziadek wybrał się na wędrowanie...

— Nie zwracajcie mi głowy swoimi głupimi opowiadania-mi!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że wszystko, co mówię, jest najświętszą prawdą. Jego dziadek poszedł na wędrowanie...

— Szwejku! — krzyknął rozszłoszczony nadporucznik — jeszcze raz rozkazuję wam, abyście mi nic nie opowiadali. Nie chcę nic słyszeć. Jak tylko przyjedziemy do Budziejowic, to się z wami rozliczę. Wiecie, że was każę wsadzić do paki?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że o tym nic nie wiem — miękko odpowiedział Szwejk — bo jeszcze pan o tym nie wspominał.

Nadporucznik mimo woli zazgrzytał zębami. Westchnął, wyjął z płaszcza „Bohemię“ i czytał wieści o wielkich zwycięstwach i o czynach niemieckiej łodzi podwodnej „E“, gra-sującej na Morzu Śródziemnym, ale gdy się doczytał o no-

wym wynalazku niemieckim wysadzania miast w powietrze przy pomocy specjalnych bomb, rzucanych z aeroplanów i wybuchających trzy razy z rzędu, przerwał mu głos Szwejka, który zwracał się do łysego pana:

— Przepraszam szanownego pana, czy pan nie jest panem Purkrabkiem, przedstawicielem banku Slavia?

Gdy łysy pan nie odpowiadał, Szwejk zwrócił się do nadporucznika:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtнант, że razu pewnego czytałem w gazecie, że człowiek normalny powinien mieć przeciętnie od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy włosów i że czarne włosy bywają rzadsze, jak widać w wielu wypadkach.

I nieubłaganie wywodził dalej:

— A jeden medyk w kawiarni „U Szpirków“ mówił, że najczęściej wypadają włosy skutkiem wstrząsu umysłowego przy połogu.

Ale w tej chwili stała się rzecz straszliwa. Łysy pan zerwał się i zaryczał na Szwejka:

— Marsz heraus, sie Schweinkerl! — Kopniakiem wyrzucił go za drzwi i powróciwszy na swoje miejsce, zgotował nadporucznikowi małą niespodziankę, przedstawiając mu się.

Chodziło o drobne nieporozumienie, bo łyse indywiduum nie było panem Purkrabkiem, przedstawicielem banku Slavia, lecz tylko generał-majorem von Schwarzburg. Pan generał odbywał w cywilnym ubraniu podróż do Budziejowic, aby je zaskoczyć niespodzianie.

Był to najstraszliwszy ze wszystkich generałów inspekcyjnych, jacy zrodzili się kiedykolwiek na tym padole, i jeśli znalazł coś nie w porządku, to z dowódcą garnizonu prowadził rozmowę bardzo zwięzłą:

— Czy pan ma rewolwer? — Mam. — Doskonale. Na pań-

skim miejscu wiedziałbym, jak z niego skorzystać, bo to, co tutaj widzę, to nie garnizon, ale stado świń.

I rzeczywiście, po jego podróży inspekcyjnej zawsze się gdzieś ktoś zastrzelił, co pan generał przyjmował do wiadomości z zadowoleniem:

— Tak być powinno! Żołnierz jak się patrzy!

Zdaje się, że nie lubił, gdy po jego inspekcji wszyscy pozostawali przy życiu. Miał manię przenoszenia oficerów na najgorsze miejsce. Wystarczył drobiazg, aby oficer żegnał się ze swoją żoną i wędrował na pogranicze czarnogórskie albo do jakiego pijanego, rozpaczliwego garnizonu w zapomnianym zakątku Galicji.

— Panie nadporuczniku — zapytał — gdzie pan kończył szkołę wojskową?

— W Pradze.

— A więc otrzymał pan wykształcenie w szkole wojskowej i nie wie pan, że oficer jest odpowiedzialny za swego podwładnego? Bardzo ładnie. Po drugie, gawędzi pan ze swoim służącym, jak z jakim zaufanym przyjacielem. Po trzecie, pozwala mu pan obrażać swoich przełożonych. I to jest właśnie najlepsze. Z tego wszystkiego wysnuję odpowiednie konsekwencje. Jak się pan nazywa, panie nadporuczniku?

— Lukasz.

— A w którym pułku pan służy?

— Byłem...

— Dziękuję. O tym, co było, nie ma mowy, chcę wiedzieć, gdzie pan jest teraz.

— W dziewięćdziesiątym pierwszym pułku piechoty, panie generale. Zostałem przeniesiony...

— A, przeniesiony... Bardzo dobrze zrobili. Nie zaszkodzi panu, gdy w czasie najbliższym przespaceruje się pan razem z dziewięćdziesiątym pierwszym pułkiem gdzieś na front.

— Co do tego decyzja już zapadła, panie generale.

Generał zaczął obszerny wykład o tym, iż oficerowie roz-

mawiają ze swoimi podwładnymi w tonie bardzo poufałym i że widzi w tym krzewienie niebezpiecznych zasad demokratycznych. Żołnierza trzeba trzymać w strachu przed przełożonymi, żołnierz musi drzeć przed swoim oficerem, bać się go. Oficerowie muszą trzymać żołnierzy dziesięć kroków od siebie i nie powinni im pozwalać, aby myśleli samodzielnie, w ogóle nie powinni tolerować myślenia, bo w tym spoczywa tragiczny zamęt ostatnich lat. Dawniej szeregowcy bali się oficerów jak ognia, ale dzisiaj...

Generał machnął ręką, jakby tracił wszelką nadzieję.

— Dzisiaj prawie wszyscy oficerowie pieszczą się z żołnierzami. To chciałem powiedzieć.

Generał rozłożył znowu gazetę i zabrał się do czytania. Nadporucznik Lukasz, blady, wyszedł na korytarz, żeby wziąć się za Szwejka.

Ujrzał go stojącego przy oknie z tak błogim i zadowolonym wyrazem twarzy, jaki może mieć tylko miesięczne dzieciątko, które się nassało i lula spokojnie.

Nadporucznik stanął, skinął na Szwejka i wskazał mu pusty przedział. Wszedł do niego za Szwejkiem i zamknął drzwi.

— Szwejku — rzekł uroczyście — nareszcie nadeszła chwila, w której dostaniecie parę razy w pysk, jak jeszcze nikt nie dostał. Dlaczego zaczepiliście tego łysego pana? Czy wiecie, że to jest generał Schwarzburg?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — odezwał się Szwejk z miną męczennika — że ja nigdy w życiu nie miałem zamiaru obrazić kogokolwiek i że w ogóle nie miałem wyobrażenia ani pojęcia, że taki pan generał jest na świecie. On naprawdę jest jak wykapany pan Purkrabek, przedstawiciel banku Slavia. Ten pan chodził do naszego szynku i gdy razu pewnego przy stole zasnął, to jakiś dobrodziej wypisał mu na jego łysinie ołówkiem atramentowym:

Niniejszym pozwalamy sobie podług stawki III. c. zaproponować panu uciułanie posagu i zaopatrzenie pańskich dzieci przy pomocy ubezpieczenia na życie.

Naturalnie, że wszyscy sobie poszli, a ja tam z nim zostałem sam, a ponieważ mam zawsze pecha, więc gdy się ten pan przebudził, to spojrział w lustro i rozżłościł się, bo myślał, że ja mu to zrobiłem, i chciał mi też dać parę razy w pysk.

Słowo „też” spłynęło z ust Szwejka tak tkliwie i w tonie takiej żalosalnej skargi, że nadporucznikowi opadły ręce.

Zaś Szwejk mówił dalej:

— O taką drobną pomyłkę to się ten pan nie potrzebuje złościć. On powinien naprawdę mieć od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu tysięcy włosów, jak czytałem w artykule o tym, co powinien mieć człowiek normalny. Mnie nawet na myśl nie przyszło, że jest na świecie jakiś łysy pan generał. To jest, jak się mówi tragiczna pomyłka, jaka trafić się może każdemu, gdy jeden coś powie, a drugi zaraz się tego czepi. Kiedyś opowiadał nam krawiec Hyvel, jak z miasta Styrii, w którym pracował, jechał do Pragi przez Leoben, a miał przy sobie szynkę, którą kupił sobie w Mariborze. Jedzie sobie pociągiem i nic, myślał, że jest jedynym Czechem między pasażerami, a jak koło St. Moritz zaczął sobie krajać płaty z tej szynki, to ten pan, co siedział naprzeciwko niego, spoglądał na nią oczami zakochanymi, a w gębie miał pełno ślin. Gdy ten krawiec to zobaczył, to rzekł do siebie na głos: — Żarłbyś, drabie drabiasty, żeby ci dali. — A tamten pan mu po czesku na to odpowiedział: — Jużci żarłbym, żebyś dał. — Więc tę szynkę do spółki zeżarli, zanim dojechali do Budziejowic, a ten pan nazywał się Wojciech Rous.

Nadporucznik spojrział na Szwejka i wyszedł z przedziału. Gdy znowu siedział na swoim miejscu naprzeciwko generała, we drzwiach przedziału ukazała się pocziwa twarz Szwejka.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że za pięć mi-

nut będziemy w Taborze. Pociąg stoi tam pięć minut. Czy nie każe pan przynieść coś do zjedzenia? Przed laty miesiali tutaj bardzo dobrą...

Nadporucznik zerwał się na równe nogi i wyrzuciwszy Szwejka za drzwi mówił do niego w korytarzyku:

— Jeszcze raz wam powtarzam, że im dalej jesteście ode mnie, tym lepiej dla was. Najszczęśliwszy byłbym, gdybyście w ogóle znikli z moich oczu, i bądźcie pewni, że postaram się o to. Nie zbliżajcie się do mnie w ogóle. Zniknijcie, przepadnijcie, wy, bydlę cymbalskie!

— Rozkaz, panie oberlejtnant.

Szwejk zasalutował, odwrócił się i krokiem wojskowym oddalił się na koniec korytarzyka, gdzie usiadł skromnie na ławeczce służbowej i nawiązał rozmowę z jakimś funkcjonariuszem kolejowym:

— Czy mi pan pozwoli zapytać się o coś?

Kolejarz, nie mający widać ochoty do wdawania się w rozmowę, skinął głową z lekka i apatycznie.

— Chadzał do mnie — zaczął Szwejk obszernie — pewien dobry człowiek, niejaki Hofmann, a ten Hofmann zawsze twierdził, że sygnały alarmowe w pociągach nigdy nie funkcjonują, jednym słowem, że to na nic, choć się i pociągnie za taką rączkę. Ja, prawdę powiedziawszy, nigdy się takimi rzeczami nie interesowałem, ale skorom już na ten sygnał alarmowy zwrócił tutaj uwagę, to chciałem wiedzieć, jak się rzeczy mają, bo może się zdarzyć, że trzeba będzie pociągnąć.

Szwejk wstał i razem z funkcjonariuszem kolejowym podszedł do hamulca alarmowego z napisem: „W razie niebezpieczeństwa“.

Kolejarz uważał za swój obowiązek objaśnić Szwejka, na czym polega cały mechanizm aparatu alarmowego.

— Słusznie panu powiedzieli, że trzeba pociągnąć za tę rączkę, ale ołgali pana, że to nie funkcjonuje. Zawsze zatrzyma się pociąg, ponieważ to idzie przez wszystkie wagony i jest

połączone z lokomotywą. Hamulec alarmowy musi funkcjonować.

Przy tym wykładzie obaj trzymali ręce na rączce hamulca i nie wiadomo, jak to się właściwie stało, że rączka się osunęła, a pociąg stanął.

Nie mogli się zgodzić z sobą, kto z nich właściwie dał sygnał alarmowy.

Szwejk twierdził, że to nie on, że nie mógł zrobić takiej rzeczy, bo nie jest przecie ulicznikiem.

— Mnie samemu dziwno — rzekł pocziwie do konduktora — dlaczego właściwie pociąg stanął tak od razu. Jedzie, jedzie i od razu stoi. Mnie to jeszcze bardziej irytuje niż pana.

Jakiś poważny pan stanął w obronie kolejarza i twierdził, że słyszał, jak ten żołnierz pierwszy zaczął rozmawiać o sygnałach alarmowych.

Natomiast Szwejk stale coś mówił o swojej uczciwości i o tym, że wcale nie jest zainteresowany w opóźnieniu pociągu, ponieważ jedzie na wojnę.

— Pan zawiadowca stacji wytłumaczy to panu — zadecydował konduktor. — Zapłaci pan za to dwadzieścia koron.

Tymczasem widać było, jak podróżni wychodzą z wagonów, nadkonduktor gwizdże, a jakaś pani biegnie wystraszona z walizką podróżną prosto w pole.

— To naprawdę warto dwadzieścia koron — rzekł roztropnie Szwejk, nie tracąc ani na chwilę spokoju. — To jeszcze, powiem panu, tanio. Pewnego razu, jak najjaśniejszy pan zwiedzał Żyżków, ta niejaki Franek Sznor zatrzymał jego powóz w ten sposób, że przed najjaśniejszym panem ukląkł na obu kolanach na środku jezdni. Potem komisarz policji z tego rewiru rzekł do Franka Sznora z płaczem, że nie powinien był robić mu tego w jego rewirze, ale o jedną ulicę dalej, która już należy do rewiru radcy policyjnego Krausego. Tam



powinien był złożyć hołd. No i tego pana Sznora wpakowali do ula.

Szwejk rozglądał się właśnie dokoła, gdy do słuchaczy jego przyłączył się nadkonduktor pociągu.

— Zdaje się — rzekł Szwejk — że czas jechać dalej. To nic przyjemnego, gdy pociąg się spóźnia. Żeby to jeszcze w czasie pokoju, to bym nic nie mówił, ale jak jest wojna, to wszyscy powinni wiedzieć, że każdym pociągiem jeżdżą osoby wojskowe, generałowie, oberlejtnantsy, bursze. Każde takie spóźnienie, to rzecz paskudna. Napoleon spóźnił się pod Waterloo o pięć minut i zapaskudził sobie całą swoją sławę...

W tej chwili przez gromadkę słuchaczy Szwejka przedarł się nadporucznik Lukasz. Był upiornie blady i nie zdobył się na nic innego, tylko na jedno słowo:

— Szwejku!...

Szwejk zasalutował i odezwał się:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że na mnie spychają, że to ja zatrzymałem pociąg. Administracja kolei żelaznej ma bardzo dziwne plomby przy hamulcach alarmowych. Człowiek nie powinien nawet zbliżać się do tego, bo może mieć przygodę i potem mogą chcieć od niego dwadzieścia koron, jak na przykład chcą ode mnie.

Nadkonduktor wyskoczył z wagonu, dał sygnał i pociąg ruszył dalej.

Słuchacze Szwejka porozchodzili się do przedziałów, a nadporucznik Lukasz bez słowa wrócił na swoje miejsce.

W sionce pozostał tylko konduktor z Szwejkim i funkcjonariuszem kolejowym. Konduktor wyjął z kieszeni książkę służbową i zapisywał relację o całym wypadku. Kolejarz spoglądał na Szwejka okiem nieprzyjaznym, ale Szwejk zapytał go życzliwie:

— Dawno pan służy na kolei?

Ponieważ kolejarz nie odpowiadał, przeto Szwejk zadeklaro-
rował, że znał niejakiego Franciszka Mliczko z Uhrzyniewsi

koło Pragi, który razu pewnego też pociągnął za rączkę takiego hamulca alarmowego i tak się przestraszył, że przez dwa tygodnie nie mógł mówić i odzyskał mowę dopiero wówczas, gdy przyszedł w odwiedziny do ogrodnika Wańka w Hostiwarzu, gdzie się z kimś przemówił, a tamten przetrącił przez niego bykowiec.

— To się stało — dodał Szwejk — w roku tysiąc dziewięćset dwunastym, w maju.

Kolejarz wszedł do klozetu i zamknął się w nim.

Ze Szwejkim pozostał tylko konduktor i dopominał się dwudziestu koron grzywny, podkreślając, że w razie przeciwnym będzie musiał zaprowadzić go w Taborze do zawiadowcy stacji.

— Bardzo dobrze — rzekł Szwejk — ja bardzo lubię porozmawiać z ludźmi wykształconymi i bardzo mi będzie przyjemnie poznać zawiadowcę stacji Tabor.

Wyjął z bluzy fajkę, zapalił i puszczając obłoki dymu z ostrego wojennego tytoniu, mówił dalej:

— Przed laty w Switawie był zawiadowcą stacji pan Wagner. Dla podwładnych swoich był skończonym draniem i szkanował ich gdzie tylko mógł, a najwięcej niejakiego Jungwirta, zwrotniczego, aż ten biedak z rozpaczyny poszedł i utopił się. Ale zanim się utopił, napisał list do zawiadowcy stacji, że po nocach będzie go straszyl. Prawdę mówię: straszyl go. Siedzi mój zawiadowca w nocy przy aparacie telegraficznym, a tu dzwonek dyń-dyń i zawiadowca przyjmuje depeşe: — Jak się masz, łotrze? Jungwirt. — A nocy następnej aparat stuku-puku: — Powieś się na semaforze koło mostu. I taki sam podpis: Jungwirt. — I pan zawiadowca go usłuchał. Potem przez to samobójstwo zawiadowcy zaaresztowali telegrafistę ze stacji przed Switawą. Widzi pan, że między niebem i ziemią dzieją się rzeczy, o jakich nie mamy pojęcia.

Pociąg wjechał na dworzec taborski, a Szwejk, zanim w to-

warzystwie konduktora wysiadł z pociągu, zameldował się jak przystało, u nadporucznika Lukaszka:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że mnie prowadzą do zawiadowcy stacji.

Nadporucznik Lukasz nie odpowiedział. Opanowała go zupełna apatia. Pomyślał, że najlepiej pluć na wszystko, a mianowicie na Szwejka tak samo jak i na tysego generała. Siedzieć spokojnie w wagonie, wysiąść w Budziejowicach, zameldować się w koszarach i pomaszęrować na front z jakim oddziałem marszowym. Na froncie zginąć, jeśli nie można inaczej, i uciec z tego świata, po którym włości się taka pokraka, jak Szwejk.

Gdy pociąg ruszył, nadporucznik Lukasz wyjrzał oknem i na peronie zauważył Szwejka, zajętego jakimś poważnym wykładem wobec zawiadowcy stacji. Szwejk otoczony był tłumem ludzi, w którym widać było także kilka uniformów kolejarzskich.

Nadporucznik westchnął, ale westchnienie jego nie oznaczało żalu. Zrobiło mu się lżej na sercu, że Szwejk pozostał na peronie. Nawet i ten łysy generał nie wydawał mu się teraz takim wstrętnym potworem, jak przed chwilą jeszcze.

Pociąg już dawno pędził ku Czeskim Budziejowicom, ale na peronie koło Szwejka ludzi nie ubywało.

Szwejk przemawiał o swojej niewinności i przekonał zebranych tak dalece, że jakaś pani wyraziła się:

— Znowuż szykanują tu jakiegoś żołnierzyka.

Tłum przyznał jej rację, a jakiś pan zwrócił się do zawiadowcy stacji i zadeklarował gotowość zapłacenia za Szwejka dwudziestu koron kary. Powiedział przy tej sposobności, iż jest przekonany, że ten żołnierz nic złego nie zrobił.

— Spójrzycie na niego — mówił, wysnuwając jakieś wnioski z niewinnego wyrazu twarzy Szwejka, który, stojąc przed tłumem, mówił:

— Ja, ludzie kochani, jestem niewinny.

Potem zjawił się wachmistrz żandarmerii i wyprowadził z tłumu pewnego obywatela, którego zaaresztował i pociągnął z sobą, przemawiając do niego:

— Za to pan odpowie. Ja panu pokażę podburzać ludzi i wygadywać, że jeśli w taki sposób postępuje się z żołnierzami, to nikt nie ma prawa oczekiwać od nich, aby Austria zwyciężyła.

Nieszczęśliwy obywatel nie zdobył się na nic innego, tylko na szczere zapewnienie, że jest majstrem rzeźnickim i ma sklep około starej bramy, a słów swoich użył w całkiem innym znaczeniu.

Tymczasem dobry człowiek, wierzący w niewinność Szwejka, zapłacił za niego w kancelarii zawiadowcy karę i zaprowadził Szwejka do restauracji trzeciej klasy, gdzie go poczęstował piwem, a dowiedziawszy się, że wojskowy bilet kolejowy i wszystkie inne dokumenty zostawił Szwejk w ręku nadporučnika Lukaszka, dał Szwejkowi wspaniałomyślnie jeszcze pięć koron na bilet do Budziejowic i na piwo.

Kiedy się z nim żegnał, szepnął mu poufnie na ucho:

— Uważajcie, żołnierzyku, jak będziecie w Rosji w niewoli, to kłaniajcie się ode mnie piwowarowi Zemanowi z Zdołbunowie. Imię moje macie wypisane na kwicie kolejowym. Tylko bądźcie sprytny, żebyście zbyt długo nie siedzieli na froncie.

— Niech się pan nie boi — odpowiedział Szwejk. — Zawsze to bardzo interesujące, gdy można zwiedzić jakie obce kraje niewielkim kosztem.

Szwejk pozostał przy stole sam i podczas, gdy przepijał pięć koron, otrzymanych od szlachetnego dobroczyńcy, ludzie na peronie opowiadali sobie z racji zbiegowiska, jakie powstało dokoła niego, że złapali jakiegoś szpiega, który fotografował dworzec, czemu energicznie przeczyła jakaś pani, mówiąc, że nie złapali żadnego szpiega, ale słyszała, że dragon zarąbał

oficera koło ustępu damskiego, ponieważ ten oficer pchał się tam za jego narzeczoną, która odprowadzała tego dragona.

Tym romantycznym kombinacjom, charakteryzującym nerwowość czasów wojennych, uczyniła koniec żandarmeria, usuwając tłum z peronu. A Szwejk pił sobie dalej w pokoju ducha, tkliwie wspominając swego nadporucznika. Co też on pocnie, gdy sam przyjedzie do Czeskich Budziejowic, a w całym pociągu nie znajdzie sługi swego?

Przed odejściem pociągu osobowego restauracja klasy trzeciej napełniła się żołnierzami i cywilami. Najwięcej było żołnierzy, a należeli oni do różnych pułków i różnych narodowości, pomieszanych z sobą przez zawieruchę wojenną i przywianych do taborskich lazaretów. Odjeżdżali teraz ponownie na front po nowe rany, kalectwa i cierpienia, aby za nie wysłużyć sobie prosty drewniany krzyż nad grobem. Na krzyżu tym jeszcze po latach wśród smutnych równin Galicji trzepotać się będą na wietrze strzępy czapki żołnierskiej z zardzewiałym bączkiem, zaś od czasu do czasu usiądzie na niej kruk, pamiętający dawne czasy biesiad bogatych, gdy pola usiane były mnóstwem trupów ludzkich i końskiej padliny, zaś akurat pod czapkami znajdowały się najsmaczniejsze kąski — oczy ludzkie.

Jeden z takich kandydatów nowych udręk, wypuszczony po operacji z wojskowego lazaretu, ubrany w bluzę brudną i zamazaną krwią i błotem, przysiadł się do Szwejka. Był to człeczyna chuderlawy, zabiedzony, smutny. Na stole położył małe zawiniątko, wyjął z kieszeni podartą portmonetkę i przeliczał pieniądze.

Potem spojrzał na Szwejka i zapytał:

— M a g y a r u l ?

— Ja jestem, kolego, Czech — odpowiedział Szwejk. — Chcesz się napić?

— N e t u d o m , b a t á r o m .

— Nic nie szkodzi, kolego — zachęcał go Szwejk, przysuwając pełny kufel przed smutnego żołnierza. — Pij, bracie, zdrowo.

Tamten zrozumiał, napił się, podziękował — K ö s z e n e n s z é p a n — i dalej przeglądał zawartość swej portmonetki. Wzdychał ciężko. Szwejk zrozumiał że ten Węgier chętnie zafundowałby sobie piwa, ale nie ma pieniędzy, więc kazał mu piwa podać. Węgier podziękował i zaczął opowiadać Szwejkowi o czymś smutnym przy pomocy gestów. Wskazywał swoją przestreloną rękę i mówił językiem międzynarodowym: — Pif, paf, puf!

Szwejk ze współczuciem kiwał głową, a chuderlawy rekonwalescent, opuszczając lewicę na pół metra od ziemi, a potem podnosząc trzy palce do góry, powiadamiał Szwejka, że ma troje dzieci.

— N i n c z h a m, n i n c z h a m — mówił dalej, pragnąc powiedzieć, że w domu nie mają co jeść. Brudnym rękawem swego płaszcza wojskowego ocierał oczy, z których trysnęły łzy. Rękaw był rozszarpany przez kulę, która zraniła chuderlawego człeczynę za króla węgierskiego.

Nic dziwnego, że przy takiej rozmowie nie pozostało Szwejkowi prawie nic z pięciu koron, otrzymanych od szlachetnego dobroczyńcy, i że coraz bardziej oddalał się od Czeskich Budziejowic, w miarę, jak siebie i węgierskiego rekonwalescenta fetował coraz nowymi kuflami piwa.

Przez stację znowuż przejechał pociąg odchodzący do Budziejowic, a Szwejk ciągle jeszcze siedział przy stole i słuchał, jak Węgier opowiada swoje: — Pif, paf, puf! H á r o m g y e r m e k, n i n c z h a m, e l j é n!

Tego ostatniego wyrazu używał, trącając się ze Szwejkim.

— Pij, chudzino węgierska — odpowiadał Szwejk. — Chlaj! U was to by naszego tak nie częstowali...

Przy sąsiednim stole jakiś żołnierz opowiadał, że kiedy je-

go dwudziesty ósmy pułk zajechał do Szegedynu, to Węgrzy pokazywali sobie ich palcami i podnosili ręce do góry.

Węgrzy mówili, oczywiście, świętą prawdę, ale opowiadający żołnierz czuł się tym najwidoczniej dotknięty, aczkolwiek wśród żołnierzy czeskich było to zjawiskiem bardzo powszednim, a wreszcie zaczęli naśladować ich i Węgrzy, gdy im się naprzykrzyły bijatyki w interesie króla węgierskiego.

Potem ten opowiadający żołnierz przysiadł się do Szwejka i mówił o tym, jak żwawo zabrali się w Szegedynie do Węgrów, jak ich sprali i powyrzucali z kilku szynków. Ale z uznaniem podniósł fakt, że Węgrzy też się bić umieją i że jeden z nich tak krzepko dziobnął go nożem w plecy, że trzeba było wysłać go za front na kurację.

Ale teraz, gdy wróci do pułku, to kapitan każe go niezawodnie wsadzić do paki za to, że już nie starczyło czasu, żeby temu Węgrowi też zrobić dziurę, i w ten sposób uratować honor pułku.

— Ire Dokumenten, wasi tokument? — odezwał się do Szwejka bardzo uprzejmie dowódca kontroli wojskowej, sierżant prowadzący czterech żołnierzy z bagnietami na karabinach. — Ja fidzieć, jak siedzi, nie jechać, tylko pić, furt pić. Bursz.

— Dokument? Nie mam, kochanie — odpowiedział Szwejk. — Pan oberlejtnant Lukasz, regiment numer dziewięćdziesiąty pierwszy, zabrał wszystkie dokumenty z sobą, a ja zostałem tu na dworcu.

— Was ist das Wort: kochanie? — zwrócił się sierżant do jednego ze swoich żołnierzy, starego landwerzysty, który jak się zdaje, nie bardzo wiernie służył swemu przełożonemu, bo spokojnie odpowiedział:

— Kochanie, das ist wie: Herr Feldwebel
Sierżant prowadził dalej rozmowę ze Szwejkiem:

— Tokument kaszty solnierz, pes tokument zamikacz na Bahnhofs-Militärkomman-

do, den lausigen Bursch, wie einen tollen Hund.

Szwejka zaprowadzono do dowództwa dworca, gdzie w izbie strażniczej siedzieli szeregowcy bardzo podobni do landwerzysty, który tak ładnie umiał tłumaczyć słowo „kochanie“ swemu naturalnemu wrogowi, zwierzchności sierżanckiej.

Izba strażnicza była ozdobiona fotografiami, jakie w owym czasie ministerstwo wojny rozsyłało po wszystkich kancelariach wojskowych, po szkołach i koszarach.

Dobrego wojaka Szwejka przywitał obraz, który, według podpisu przedstawiał scenę, jak plutonowy, Franciszek Hammel, i kaprale, Paulharst i Bachmayer, z 21c. k. pułku strzelców zachęcają oddział do wytrwania. Na drugiej stronie wisiał obraz z podpisem: „Plutonowy Jan Danko z 5 honwedzkiego pułku huzarów odkrywa stanowisko baterii nieprzyjacielskiej“.

Nieco dalej wisiał plakat z napisem:

Piękne przykłady odwagi.

Takimi to plakatami, których tekst ze zmyślonymi przykładami osobliwej odwagi układali w kancelariach ministerstwa różni niemieccy dziennikarze, chciała stara, zgłupiała Austria wzbudzić zapał wojenny w żołnierzach, którzy takich rzeczy nigdy nie czytali, a gdy im takie wzory męstwa posyłano na front w postaci broszurek, to używali ich papieru do skręcania papierosów albo też korzystali z niego jeszcze bezpośrednio, aby pożytek odpowiadał duchowi i wartości pomysłanych przykładów męstwa.

Podczas gdy sierżant szukał oficera dyżurnego, Szwejk przeczytał sobie treść plakatu:

Józef Bong, szeregowiec taborów.

Sanitariusze przenosili ciężko rannych żołnierzy na wozy, przygotowane w ukrytym wąwozie. Każdy z wozów po ułożeniu na nim rannych odjeżdżał na punkt opatrunkowy. Rosjanie wytropili je, i zaczęli ostrzeliwać granatami. Koń szeregowca tabo-

rów Józefa Bonga z c. i k. 3 szwadronu taborowego został uśmiercony odłamkiem granatu. Bong narzekał: — Mój biedny siwku, już po tobie! W tej chwili i jego ranił odłamek granatu. Pomimo to wyprzął zabitego konia, a pozostałą trójkę koni zaprowadził w miejsce bezpieczne. Potem wrócił po uprzęż swego zabitego konia. Rosjanie strzelali bezustannie. — Strzelajcie sobie, wściekli opętańcy, ja wam tu uprzęży nie zostawię — i mrużąc sobie te słowa pod nosem dalej zdejmował z konia uprzęż. Wreszcie skończył robotę i włókł się ze zdjętą uprzężą ku wozom, gdzie musiał wysłuchać sporo ostrych przemówek sanitariuszy za długą nieobecność. — Nie chciałem zostawić tam uprzęży, bo jest prawie nowa. Pomyślałem sobie, że byłoby jej szkoda. Nie mamy takich rzeczy za wiele — tłumaczył się dzielny żołnierz udając się na punkt opatrunkowy, gdzie dopiero zameldował się jako ranny. Rotmistrz ozdobił następnie pierś jego srebrnym medalem za męstwo.

Gdy skończył czytanie, a sierżant jeszcze nie wrócił, rzekł Szwejk do landwerzystów siedzących w izbie strażniczej:

— To jest bardzo piękny przykład męstwa. W taki sposób będziemy mieli w armii samą nową uprzęż. Ale gdy byłem w Pradze, to w „Praskiej Gazecie Urzędowej“ przeczytałem jeszcze piękniejszy przykład o niejakim doktorze Józefie Wojnie, jednorocznym ochotniku. Służył w Galicji w siódmym batalionie strzelców polowych, a gdy doszło do walki na bagnety, został ranny kulą w głowę. Sanitariusze nieśli go na punkt opatrunkowy, a ten sfukał ich brzydko i krzyczał, że z powodu takiego bagatelnego zadrapania nie pozwoli nakładać sobie opatrunku. I znowuż chciał ze swoim plutonem ruszyć naprzód, ale granat urwał mu stopę. Znowu chcieli go zanieść na punkt opatrunkowy, ale on kuszykał na linii bojowej, opierając się na kijku i tym kijkiem bronił się przed nieprzyjacielem, aż przyleciał nowy granat i urwał mu tę rękę, w której trzymał kijek. Przełożył kijek do drugiej ręki, ryknął wściekle, że im nie daruje, i Bóg wie, jakby się to wszystko skończyło, gdyby go po chwili nie rozszarpał na drobne kawałki szrapnel. Bardzo możliwe, że gdyby go nie do-

kończyli to byłby też dostał wielki srebrny medal za męstwo. Kiedy szrapnel oderwał mu głowę, to głowa ta tocząc się niby kula, krzyczała: — Niechaj wszyscy żołnierze zawsze myślą o tym, że naprzód obowiązek, a przyjemność potem!

— Napiszą też psiekrwie różnych głupstw w tych gazetach — rzekł jeden szeregowiec — ale gdyby wysłać takiego redaktora na godzinę na front, to zbaranieje do cna.

Landwerzysta splunął.

— U nas w Czaslawiu był jakiś redaktor z Wiednia, Niemiec. Służył jako chorąży. Do nas ani słowem nie chciał się odezwać po czesku, ale kiedy go przydzielili do marszkompanii, w której byli sami Czesi, od razu nauczył się po czesku.

We drzwiach ukazał się sierżant, zły jak wszyscy diabli. i krzyczał:

— Wenn man być drei Minuten weg, da hört man nichts, als ceski, ceski..

Wychodząc z kancelarii, zapewne do restauracji, rzekł do kaprała landwerzysty, wskazując na Szwejka, żeby tego wszawego łotra zaprowadził natychmiast do porucznika, jak tylko porucznik przyjdzie.

— Pan lejtnant romansuje sobie znowuż z telegrafistką na stycji — rzekł kapral po wyjściu sierżanta. — Łazi za nią już dwa tygodnie i jest zawsze wściekły, ile razy wraca z urzędu telegraficznego. Ciągłe powtarza jedno: — Das ist aber eine Hure, sie will nicht mit mir schlafen.

I tym razem był w takim wściekłym usposobieniu, ponieważ w chwilę po jego powrocie słycać było, że jakimiś księgami wali w stół.

— Trudna rada, bracie, musisz iść do niego — rzekł ze współczuciem kapral do Szwejka. — Przez jego ręce przeszło już bardzo wielu ludzi, młodych i starych.

Prowadził Szwejka do kancelarii, gdzie za stołem zawalonym papierami siedział młody porucznik, rozzłoszczony jak furiat.

Zobaczywszy Szwejka w towarzystwie kaprała, odezwał się obiecującym słowem „Aha!” — po czym wysłuchał raportu kaprała:

— Posłuszenie melduję, panie lejtnant, że ten szeregowiec został znaleziony na dworcu bez dokumentów.

Porucznik pokiwał głową, jakby chciał rzec, że już przed laty był pewien, iż tego dnia i o tej godzinie Szwejk zostanie znaleziony na dworcu bez dokumentów, bo kto w tej chwili spoglądał na Szwejka, ten musiał mieć wrażenie, że jest absolutnie wykluczone, aby człowiek o takiej minie i takiej postawie, jak Szwejk, mógł w ogóle posiadać jakiekolwiek dokumenty. Szwejk wyglądał w tej chwili, jakby właśnie spadł z jakiejś nieznannej planety, a teraz rozgląda się dokoła siebie po nieznanym obcym świecie i dziwi się, że od niego żądają takich jakichś nie znanych mu dotychczas głupstw, jak dokumenty.

Porucznik kiwnął głową, jakby aprobował to, co sam powie i jak powie. Wreszcie zapytał:

— Coście robili na dworcu?

— Posłuszenie melduję, panie lejtnant, że czekałem na pociąg, odchodzący do Czeskich Budziejowic, abym się mógł dostać do swego dziewięćdziesiątego pierwszego pułku piechoty, gdzie jestem burszem u pana oberlejtnanta Lukaszka, którego zmuszony byłem opuścić, kiedy zostałem zaprowadzony do zawiadowcy stacji z powodu kary pieniężnej, dlatego, że byłem podejrzany, że zatrzymałem kurier, którym jechaliśmy, przy pomocy hamulca ochronnego i alarmowego.

— Tego sam diabeł nie rozumie — wrzasnął porucznik. — Mówcie krótko i zwięźle i nie wygadujcie mi tu żadnych błażeństw.

— Posłuszenie melduję, panie lejtnant, że już od pierwszej chwili, jako tylko wsiedliśmy z panem oberlejtnantem Lukaszem do tego kuriera, który miał nas zawieźć i dostarczyć jak najszybciej do naszego dziewięćdziesiątego pierwszego ce i ka

pulku piechoty, mieliśmy pecha. Najprzód zginął nam jeden kufer, potem znowu — będę mówił wszystko po kolei, — jakiś pan generał-major, całkiem łysy...

— *Himmelherrgott!* — westchnął porucznik.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że trzeba, żeby ze mnie wszystko zlazło, jak z psa liniejącego, żeby sytuacja była całkiem przejrzysta. To samo mówił zawsze niejaki Petrlik, szewc, gdy zabierał się do sprania swego chłopaka i kazał mu zdjąć spodnie.

I podczas gdy porucznik sapał ze złości, Szwejk mówił dalej.

— Jakoś tak się stało, że nie podobałem się temu tysemu panu generałowi i pan Lukasz, którego jestem burszem, kazał mi wyjść na korytarz. Na korytarzu zostałem następnie oskarżony, że zrobiłem to, co już panu mówiłem. Zanim ta sprawa została załatwiona, zostałem na peronie sam. Pociąg odjechał, pan oberlejtnant z kuframi i ze wszystkimi dowodami moimi i swoimi też odjechał, a ja sterczałem na peronie jak ta sierota bez dokumentów.

Szwejk spojrział na porucznika tak wzruszająco i tkliwie, iż stawało się dla każdego całkiem jasne, że jest najświętszą prawdą to wszystko, co się słyszy z ust draba, wywierającego wrażenie idioty od urodzenia.

Porucznik wymienił Szwejkowi wszystkie pociągi, jakie po kurierze odeszły do Budziejowic, i zapytał go, dlaczego nie skorzystał z tych pociągów.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk z poczciwym uśmiechem — że podczas gdy czekałem na pociąg, spotkała mnie ta przygoda, że siedziałem przy stole i piłem jeden kufel piwa za drugim.

— Takiego bałwana jeszcze nie widziałem — pomyślał porucznik. — Przyznaje się do wszystkiego. Ile ich tu miałem, takich jak on, każdy się wypierał, a ten jak najspokojniej po-

wiada: „Przegapiłem wszystkie pociągi, bo piłem jeden kufel piwa po drugim“.

Myśli te zebrał w jedno zdanie i zdanie to rzucił Szwejkowi:

— Mój chłopie, wy jesteście degenerat. Wiecie, co to znaczy, gdy o kimś mówią, że jest degenerat?

— U nas na rogu Boiska i ulicy Katarzyny, posłusznie melduję, panie lejtnant, był też jeden człowiek zdegenerowany. Jego ojcem był jakiś hrabia, a matką akuszerka. Zamiatł ulice i w szynku nie pozwolił się nazywać inaczej, tylko panem hrabią.

Porucznik uważał, że trzeba tę sprawę skończyć tak lub owak, więc rzekł z naciskiem:

— Słuchajcie więc, wy idioto, bałwanie, co wam mówię. Pójdziecie do kasy biletowej, kupicie sobie bilet i pojedziecie do Budziejowic. Jeśli zobaczę was tu jeszcze raz, to zabiorę się do was jako do dezertera. *A b t r e t e n!*

Ponieważ Szwejk się nie ruszał i wciąż trzymał rękę przy daszku czapki, porucznik wrzasnął na niego:

— *Marsch hinaus!* Nie słyszycie, że mówię: *A b t r e t e n?* Korporal Palanek zabierzcie tego bałwana do kasy, kupcie mu bilet i wyprawcie go do Czeskich Budziejowic.

Kapral Palanek po chwili pokazał się znowu w kancelarii. Przez uchylone drzwi widać było za jego plecami pocziwą twarz Szwejka.

— Czego znowu?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — z tajemniczą miną szeptał Palanek — on nie ma pieniędzy na kolej i ja też nie mam. Darmo nie będą go więzli, ponieważ nie posiada tych wojskowych dokumentów, że jedzie do pułku.

Porucznik nie kazał czekać zbyt długo na salomonowe rozstrzygnięcie zawilej sprawy.

— Niech idzie pieszko — zdecydował. — Niech się w pułku

dostanie do paki za to, że się spóźnił. Dość tu mamy własnych kłopotów.

— Trudna rada, kolego — rzekł kapral Palanek do Szwejka, gdy wyszli z kancelarii. — Musisz, bratku iść piechotą do tych Budziejowic. Mamy w izbie bocheneczek komiśniaka, to go sobie zabierzesz na drogę.

W pół godziny później, gdy Szwejka napoili czarną kawą i prócz chleba dali mu jeszcze na drogę do pułku paczuszkę wojskowego tytoniu, wyruszył Szwejk z Taboru, grażąc się w ciemną noc z furiackim śpiewem na ustach.

Śpiewał sobie starą piosenkę żołnierską:

— Jak przyszedłszy do Jaromierza,
Czekała nas tam wieczerza...

Diabli wiedzą, jak to się stało, że dobry wojak Szwejk zamiast na południe ku Budziejowicom, szedł prościuteńko na zachód.

Szedł zaśnieżoną szosą, chroniąc się przed mrozem swoim płaszczem wojskowym, niby niedobitek gwardii Napoleona, powracający z wyprawy na Moskwę, z tą jedynie różnicą, że śpiewał sobie wesoło:

— Wyszedłem sobie na spacer
Do gaju zielonego...

Po zaśnieżonych lasach w ciszy nocnej odzywało się takie rozgłośne echo, aż się po okolicznych wsiach psy rozszczeły.

Gdy mu się śpiew naprzykrzył, usiadł Szwejk na kupce tłuczonego kamienia, zapalił fajkę i po krótkim odpoczynku ruszył dalej, na nowe przygody budziejowickiej anabasis.

II

Budziejowicka anabasis Szwajka.

Starożytny wojownik Ksenofont przewędrował bez mapy całą Azję Mniejszą i Bóg go raczy wiedzieć, gdzie nie był. Starzy Gotowie odbywali bardzo dalekie wyprawy bez wiadomości topograficznych. Maszerować wciąż naprzód, to się nazywa anabasis. Jest to przedzieranie się przez nieznanne krainy, wymykanie się czyhającym dokoła nieprzyjaciołom, którzy czekają tylko na to, żeby ci przy pierwszej nadarzonej sposobności skrócić kark. Gdy ktoś ma taką dobrą głowę, jak na przykład Ksenofont i wszystkie te zbójeckie plemiona, które przywędrowały do Europy Bóg wie z jakich stron i okolic Kaspjskiego albo Azowskiego Morza, to maszerując może dokonywać istnych cudów.

W jakichś stronach północnych nad Morzem Gallijskim znalazły się rzymskie legiony Cezara bez mapy, a następnie postanowiły wracać do domu innymi drogami, żeby użyć światła jak się patrzy, i też trafiły do Rzymu. Widać od tamtych czasów mówi się, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

Tak samo wszystkie drogi prowadzą do Czeskich Budziejowic, o czym głęboko był przekonany dobry wojak Szwajk, gdy zamiast okolic budziejowickich ujrzał przed sobą Milewsko.

Szedł wszakże bez odchyłeń dalej, bowiem żadnemu dobremu żołnierzowi nie może Milewsko zagrozić drogi tak dalece, aby się wreszcie nie dostał do Budziejowic.

Tak więc znalazł się Szwejk na zachodzie Milewska w Kwietowie, prześpiewawszy tymczasem znane mu pieśni żołnierskie o maszerowaniu, co zmusiło go do rozpoczęcia przed Kwietowem od początku:

— A gdyśmy maszerowali
Wszystkie dziewczęta plakały...

Jakaś stara babunia powracająca z kościoła, na drodze z Kwietowa do Wraży, co świadczy także o zachowaniu niezmiennej linii zachodniej, spotkała Szwejka i rozpoczęła z nim rozmowę pozdrowieniem chrześcijańskim:

— Dobre południe żołnierzyku! Dokąd też Bóg prowadzi?

— Ano idę, młoteczko, do Budziejowic, do regimentu — odpowiedział Szwejk. — Niby na wojnę.

— Jak tak, to pan żołnierz kiepsko idzie — zawołała babunia z przerażeniem. — Jak pan żołnierz będzie szedł tędy, to nigdy się do Budziejowic nie dostanie. Przez Wraż, jak się idzie ciągle prosto, to się przybywa do Klatowów.

— Ja znowuż myślę — rzekł Szwejk z determinacją — że i z Klatowów dostanie się człek do Budziejowic. Spacer juścić galanty, gdy człowiekowi pilno do swego regimentu, i jeszcze bać się trzcba, żeby za swoją dobrą wolę nie spotkała go jaka przykreść, gdyby się nie znalazł w czas na miejscu.

— U nas był też taki jeden figlarz. Miał pojechać do Pilzna do landwery, niejaki Antoś Maszków — westchnęła babunia — mojej siostrzenicy krewniak, i odjechał. A jak tydzień minął, to już go szukali żandarmi, że niby nie przyjechał do swego regimentu. A jak minął drugi tydzień, to przyszedł w cywilu do domu, że — powiada — puszczony na urlop. Poszedł starosta do żandarmów, a żandarmi zabrali go z tego urlopu. Pisał już z frontu, że jest ranny i że już jest bez nóżki.

Babunia zapatrzyła się na Szwejka ze współczuciem:

— Tam, w tym lasku, panie żołnierzyku, poczekajcie na mnie. Ja przyniosę trochę kartoflanki, to się pan rozgrzeje. Chałupę naszą widać stąd dobrze, za tym laskiem, na prawo. Przez tę wieś, niby Wraż, nie trzeba chodzić, bo tam żandarmy jak żbiki. Pójdzie pan potem z tego lasku na Malczyn, ominie pan Czyżową, ale koniecznie, bo żandarmy tam hycle i łapią „desenterów”. Trzeba iść prosto przez las na Siedlec koło Horaźdiowic. Tam jest bardzo porządny żandarm i każdego przez wieś przepuści. Ma pan żołnierz przy sobie jakie papiery?

— Nie mam, matuchno.

— To lepiej i tam nie chodzić i ruszyć od razu na Radomyśl, ale tak wymiarkować, żeby nadejść pod wieczór, jak wszyscy żandarmi siedzą w karczmie. Na Dolnej ulicy za Floriankiem znajdzie tam pan żołnierz taki domek, niebiesko malowany, to trzeba się zapytać o gospodarza Melicharka. To mój brat. Że mu niby posyłam ukłony, to on panu żołnierzowi pokaże, którądy idzie się do Budziejowic.

W lasku czekał Szwejk na babunię pół godziny przeszło, a gdy się rozgrzał kartoflanką, przyniesioną mu przez poczciwą starowinę w garnku otulonym poduszką, żeby nie ostygła, babunia wyjęła spod chustki kawał chleba i słoniny, wsadziła Szwejkowi jedno i drugie do kieszeni, zrobiła mu krzyżyk na czole i rzekła, że na wojnie ma dwóch wnuków.

Następnie jeszcze raz powtórzyła mu z naciskiem, którądy trzeba iść, co trzeba ominąć. Wreszcie z kieszeni sukienki wyjęła koronę, żeby sobie Szwejk kupił w Malczynie trochę wódki na drogę, bo do Radomyśla jest długa mila.

Od Czyżowej szedł Szwejk według rady babuni na Radomyśl w kierunku wschodnim, myśląc, że przecie do Budziejowic musi człowiek dotrzeć z każdej strony świata, z takiej czy innej.

Z Malczyna szedł z nim stary muzykant, grywający na harmonii. Szwejk poznał się z nim w szynku malczyńskim, gdy sobie kupował wódkę na tę długą milę do Radomyśla.

Muzykant uważał Szwejka za dezertera i radził mu, żeby z nim poszedł do Horażdiowic, bo tam ma córkę zamężną, której mąż też jest dezertorem. Muzykant podpisał sobie w Malczynie niezgorzej.

— Już dwa miesiące chowa córka swego męża w chlewie — mówił Szwejkowi. — Ciebie też schowa i przesiedzie tam sobie aż do końca wojny. We dwójkę nie będzie wam się przykrzyło.

Po grzecznym odrzuceniu propozycji bardzo się na Szwejka rozłościł i ruszył w lewo przez pole, grożąc Szwejkowi, że idzie do Czyżowej do żandarmów, oskarżyć go.

W Radomyślu na Dolnej ulicy znalazł Szwejk pod wieczór domek gospodarza Melicharka za Floriankiem. Gdy mu zakomunikował ukłony od siostry, wcale to gospodarza nie wzruszyło.

Ciągle domagał się od Szwejka papierów. Był to jakiś starodawny człowiek, bo mówił ciągle o rozbójnikach, rzeźmieszkach i złodziejach, których jakoby siła się włóczy po krainie Piseckiej.

— Ucieknie taki z wojny, służyć mu się nie chce, włóczy się po całej okolicy i gdzie się da, kradnie — mówił z naciśkiem, spoglądając Szwejkowi w oczy. — A każdy z nich wygląda jak niewiniątko.

— Tak to, tak, o prawdę gniewają się ludzie najbardziej — dodał, gdy Szwejk powstał z ławy. — Gdyby taki człowiek miał czyste sumienie, to będzie siedział spokojnie i pokaże papiery. Ale jak papierów nie ma...

— No to dobranoc, dziadziu.

— A dobranoc i z Bogiem. Innym razem trzeba sobie poszukać głupszego.

Gdy Szwejk wyszedł z izby, dziadek mruczał jeszcze dość długo.

— Idzie, powiada, do Budziejowic, do swego regimentu. Z Taboru. I idzie huncwot naprzód do Horaźdiowic, a potem dopiero na Pisek. Przecież to jest podróż dokoła świata.

Szwejk maszerował znów niemal całą noc, i dopiero koło Putimia znalazł w polu stóg. Rozgrzebał nieco słomę i z bliska usłyszał głos:

— Z którego regimentu? Gdzie idziesz?

— Z dziewięćdziesiątego pierwszego. Do Budziejowic.

— Gdzie cię tam diabli niosą!

— Ja tam mam swojego oberlejtanta.

Słysząc było, że śmieje się nie jeden głos, ale głosy trzy. Gdy śmiech przycichł, Szwejk zapytał, z jakiego pułku są oni. Dowiedział się, że dwaj są z trzydziestego piątego, a jeden z artylerii, też z Budziejowic.

Ci z trzydziestego piątego uciekli przed miesiącem, gdy się formowała marszkompania, artylerzysta zaś wędruje od samej mobilizacji. Pochodzi z Putimia, a stóg należy do niego. Noce spędza zawsze w stogu. Kolegów znalazł wczoraj w lesie, więc ich zabrał do siebie do stogu.

Wszyscy mieli nadzieję, że wojna musi się skończyć za miesiąc, za dwa. Zdawało im się, że Rosjanie już są za Budapesztem i na Morawach. Tak sobie w Putimiu wszyscy opowiadali. Nad ranem, przed świtem, matka dragona przynosi śniadanie. Ci z trzydziestego piątego pójdą do Strakonic, ponieważ jeden z nich ma tam ciotkę, a ta znowu ma w górach za Suszycą jakiegoś znajomego, właściciela tartaku. W tym tartaku będą dobrze ukryci.

— A ty, z dziewięćdziesiątego pierwszego, jeśli chcesz, to możesz iść z nami — zapraszali Szwejka. — Sraj na oberlejtanta.

— To nie tak łatwo — odpowiedział Szwejk i zakopał się głęboko w stogu.

Gdy się rano przebudził, nikogo już nie było. Któryś z nich, widać dragon, położył mu u nóg kawał chleba na drogę.

Szwejk szedł przez las i koło Sztiekna spotkał się z włóczęgą, starym wygą, który łykiem gorzałki przywitał się ze spotkanym, jak ze starym kamratem.

— W takich szmatach nie łaż, bracie — pouczał Szwejka. — Taki uniform wojskowy, to się dzisiaj nic a nic nie opłaca. Teraz wszędzie pełno żandarmów, a żebrać w takich gałganach też nie wygodnie. Na nas żandarmi już dzisiaj nie zwracają takiej uwagi, jak dawniej. Teraz szukają tylko was.

Tylko was szukają — powtórzył z taką siłą przekonania, że Szwejk postanowił nic mu raczej nie mówić o dziewięćdziesiątym pierwszym pułku. Niech go sobie uważa za kogo chce. Po co psuć złudzenia zacnemu staremu włóczędze?

— A gdzie idziesz? — zapytał włóczęga po chwili, gdy obaj zapalili fajki i nie śpiesząc się okrążali wioskę.

— Do Budziejowic.

— Jezus, Maria, Józefie święty! — przestraszył się włóczęga. — Tam cię, bratku, capną za minutę. Ani się ogrzejesz! Cywilne szmaty musisz zdobyć, musisz łązić cały obszarpany i zrobić z siebie pokrakę.

Ale nie martw się — mówił dalej. — Teraz pójdziemy na Strakonice, Wołyń, Dub i sam diabeł musiałby się w to wdać, żeby nam się nie udało zbębnić dla ciebie jakich łąchów cywilnych. Koło Strakoniec jest jeszcze sporo takich pocziwych bałwanów, co to na noc nie zamykają domu, a we dnie w ogóle wszystko otwarte. Teraz wzmie idzie sobie sąsiad do sąsiada na pogawędkę, więc o łąch nie trudno. Czego tobie potrzeba? Buty masz, więc tylko tak coś na plecy. Ten wojskowy płaszcz stary?

— Stary.

— To go sobie zostawisz. Po wsiach noszą takie płaszcze. Potrzebujesz spodnie i kapotę. Jak tylko zbębnimy dla ciebie cywil, to mundur i spodnie sprzedamy Żydowi Herrmanowi

w Wodnianach. On skupuje takie skarbowe rzeczy i rozprzedaje je potem po wsiach.

Dzisiaj pójdziemy na Strakonice — rozwijał dalej swój plan. Cztery milki stąd znajduje się stara owczarnia Szwarcenbergów. Tam jest pewien mój znajomy, owczarz, też już dziadyga starawy, przenocujemy u niego, a rano pójdziemy na Strakonice, żeby ci w tamtych okolicach wyszukać łachy cywilne.

W owczarni zastał Szwejk miłego dziadka, który pamiętał, jak to znowu jego dziadek opowiadał o wojnach francuskich. Owczarz był może o dwadzieścia lat starszy od włóczęgi i dlatego do jednego i drugiego ze swoich gości mówił: chłopcze.

— Widzicie, chłopcy — zaczął owczarz opowiadać, gdy wszyscy usadowili się dokoła kuchenki, na której gotowały się kartofle w mundurkach — onego czasu dziadek mój też zesenterował, jak ty na przykład. Ale capnęli go w Wodnianach i tak mu dupę zrąbali, że z niej strzępy leciały. I jeszcze mógł być rad, że miał takie szczęście. Z Rażyc za Protiwinem syn Jaresza, dziadek starego Jaresza, dostał za ucieczkę kulą w łeb w Pisku. Ale zanim go rozstrzelali na piseckich szanicach, musiał biec między rzędami żołnierzy i dostał sześćset kijów, tak że śmierć była dla niego ulgą i odkupieniem. — A ty, kiedy uciekłeś? — zwrócił spojrzenie wyblakłych oczu ku Szwejkowi.

— Po mobilizacji, kiedy nas zaprowadzili do koszar — odpowiedział Szwejk, rozumiejąc, że opowieść prawdziwa wyda się dziadkowi cygaństwem.

— Przez mur przełaziłeś? — pytał ciekawy owczarz, pamiętając niezawodnie opowiadanie dziadka, który z koszar też przez mur uciekał.

— Inaczej się nie szykowało, dziadziu.

— A warta duża była? Strzelali?

— Tak, dziadziu.

— A teraz, gdzie zamýślasz pójść?

— E, we łbie mu się zamąciło — odpowiedział za Szwejka włóczęga. — Upiera się pójść do Budziejowic. Wiadomo, człowiek młody, głupi, sam się pcha w nieszczęście. Muszę ja go trochę wziąć w obroty. Aby tylko zbębnić jakie łachy cywilne dla niego, to się do wiosny jakoś przebieduje, a potem pójdziemy na robotę do jakiego chłopca. Latoś mało będzie ludzi do roboty i już mówią, że będą zabierali do pracy w polu wędrownych ludzi, więc myślę, że lepiej będzie pójść z dobrej woli. Ludzi będzie mało, bo ich na wojnie wytluką.

— Jak to? Myślisz, że się wojna tego roku nie skończy? — pytał owczarz. — Może masz rację, mój chłopcze. Były już długie wojny. Ta napoliońska na przykład, co nam o niej opowiadali, szwedzkie wojny, siedmioletnie wojny. Ano, zasłużyli sobie ludzie na wojny. Przecież i miłosiernemu Panu Bogu niemiło było patrzeć, jak wszyscy spysznieli. Już i baraninka zaczęła ich kłuć w zęby, już jej, moi drodzy, zreć nie chcieli. Dawniej chadzali tu procesjami, żeby im sekretnie sprzedać jednego czy drugiego baranka, ale w ostatnich latach to już im się zachciewało samej wieprzowiny, drobiu, wszystko masłem albo smalcem podlewane. Więc się Pan Bóg na nich pogniewał za tę ich pychę. Ale się opamiętają, gdy zacząną znowu gotować lebiędę, jak bywało za wojny napoliońskiej. Sama zwierzchność nie wiedziała już, co robić z nygusami. Stary ksiązę pan Szwarzenberg jeździł jeszcze zwyczajnym powozem, a ten młody smarkacz ksiązęcy śmierdzi już automobilem. Ale Pan Bóg tą benzyną też mu pysk przetrze.

Woda na gotujących się kartoflach bulgotała, a stary owczarz, po krótkim milczeniu, rzekł tonem proroczym:

— I nasz najjaśniejszy pan tej wojny też nie wygra. Nie ma żadnego zapału dla tej wojny, bo, jak mawia pan bakałarz ze Strakonic, najjaśniejszy pan nie kazał się koronować na króla czeskiego. Niech teraz obiecuje komu chce złote góry, nikt mu nie uwierzy. Kiedyś, stary gałganie, obiecał, że się będziesz koronował, toś powinien był dotrzymać słowa.

— Ano, może teraz się weźmie do tego — wtrącił stary włóczęga.

— Teraz mu, chłopcze, każdy plunie na to — mówił podrażniony owczarz. — Żebyś słyszał, jak z sobą rozmawiają sąsiedzi w Skoczycach, gdy się zejdą na pogawędkę. Każdy ma kogoś w wojsku, więc rozmowy prowadzą aż miło. Po tej wojnie, mówią, będzie wolność, nie będzie ani pańskich dworów, ani cesarzy, a dobra książęce zostaną zabrane. Niejakiego Korzinka też już żandarmi za takie gadanie zabrali, że niby buntuje naród. Juścić, dzisiaj prawo mają żandarmi.

— Żandarmi mieli prawo i dawniej — odezwał się człowiek wędrowny. — Pamiętam, że na Kładnie był rotmistrzem żandarmów niejaki pan Rotter. Ni stąd, ni zowąd zaczął on hodować te, jakże im tam, psy policyjne, z wilków się wywodzące, co to wszystko wytropią, jak je przyuczyć. I miał ten pan rotmistrz z Kładna tych pieskich swoich urzędników więcej, niż potrzeba. Trzymał ich w osobnym domku i dogadzał im jakby jakim hrabiom. Strzeliło mu raptem do głowy, żeby z tymi psami robić doświadczenia na biednych ludziach wędrownych, niby na nas. I wydał rozkaz, żeby żandarmi po całej okolicy Kładna starannie zbierali wszystkich wędrownych i dostarczali ich do jego rąk własnych. Wyciągam ja raz pewnego kulasy w stronę Lan i migam się dość głęboko borem-lasem, ale wszystko na nic. Nie dostałem się do leśniczówki, do której się wybrałem, bo mnie złapali i prosto do pana rotmistrza. Ludzie kochane, nawet sobie tego akuratnie rozważyć nie możecie, czegom ja u tego pana rotmistrza z tymi psami nie wycierpiał. Najprzód kazał mnie tym psom obwąchać, potem musiałem włązić na drabinę, a kiedy był już dość wysoko, to puścili za mną jedną taką bestię, ta jucha ściągnęła mnie z drabiny na dół, powaliła na ziemię, stanęła na mnie i prosto w oczy wyszczerzyła na mnie zęby. Potem tego psa zabrali, a mnie powiedzieli, żebym się niby schował, gdzie mi się podoba. Puściłem się w dolinkę Kaczaku na lasy,

wlaziłem w szczelinę skalną, a za pół godziny przyleciały za mną dwie takie bestie, powaliły mnie i podczas gdy jedna trzymała mnie zębami za kark, druga poleciała do Kładna, a za godzinę przyszedł do mnie sam ten pan rotmistrz z żandarmami. Psa przywołał, podarował mi pięć koron i pozwolił mi przez całe dwa dni żebrać swobodnie po całym Kładnie. Ale ja od razu nóżki za pas i z miejsca truchtem do Berouna i już nigdy noga moja w Kładnie nie powstała. Omijali tamte strony wszyscy ludzie wędrowni, bo na wszystkich chciał pan rotmistrz robić te swoje próby. Te mądre psy okropnie lubił. Po posterunkach żandarmskich sobie opowiadali, że jak przybył gdzie na inspekcję i zobaczył tam wilka, to żadnej inspekcji nie robił, tylko z wielkiej uciechy przez cały dzień z wachmistrzem wstawiał.

Podczas gdy owczarz zlewał wodę z kartofli i napełniał misę zsiadłym owczym mlekiem, człowiek wędrowny opowiadał dalej, co wiedział o prawie żandarmów.

— W Lipnicy był niegdyś jeden wachmistrz żandarmski w dole przed zamkiem. Mieszkał tam, gdzie był posterunek żandarmski, a ja stary poczwiwiec, myślałem zawsze, że posterunek musi być na jakimś widnym miejscu, w rynku czy na jakim placu, a nie w ciasnej ustronnej uliczce. Więc biorę przedmieście, domek za domkiem, nie patrzę na napisy i w jednej takiej chałupinie otwieram drzwi na pierwszym piętrze i melduję się: — Uprasza pokornie ubogi wędrowny. — Ech, mój Boże, nogi mi odjęło! Wlaziłem prosto na posterunek żandarmski. Karabiny pod ścianami, krucyfiks na stole, rejestry na szafce, najjaśniejszy pan z obrazu nad stołem patrzy prosto na mnie. Zanim zdołałem coś wykrztusić, pan wachmajster przyskoczył do mnie i dał mi tak zdrowo w pysk, że od drzwi zleciałem po schodach na sam dół i nie zatrzymałem się aż w Kejzlicach. Takie jest prawo żandarmów.

Zabrali się do jedzenia i niebawem poukładali się do snu w ciepłej izbie na ławach.

W nocy Szwejk ubrał się po cichu i wyszedł na dwór. Na wschodzie pokazywał się księżyc i w jego nikłych blaskach ruszył Szwejk ku wschodowi, powtarzając sobie:

— Przecież to jest niemożliwe, żebym wreszcie do tych Budziejowic jakoś się nie dostał.

Ponieważ z prawej strony po wyjściu z lasów widać było jakieś miasto, więc Szwejk skierował się trochę ku północy, po czym zawrócił ku południowi, ale znów pokazało mu się jakieś miasto. (Były to Wodniany). Okrążył je zrećnie drogą przez łąki, a poranne słońce powitało go w zaśnieżonych zbożach nad Protiwinem.

— Stale naprzód — rzekł sobie dobry wojak Szwejk. — Obowiązek wzywa. Do Budziejowic dostać się muszę.

Zbiegiem nieszczęśliwych okoliczności, zamiast od Protiwina na południe ku Budziejowicom, zwróciły się kroki Szwejka ku północy na Pisek.

Okolo południa ujrzał Szwejk jakąś wieś w pobliżu. Schodząc z niewielkiego wzgórza, pomyślał sobie dobry wojak:

— Dalej tak nie można. Przepytałem się tu, którądy się idzie do Budziejowic.

Wkraczając do wsi był ogromnie zdziwiony, gdy na tablicy okolo pierwszego domku przeczytał: Wieś Putim.

— Na miłość boską! — westchnął Szwejk. — Znowuż więc jestem w Putimiu, gdzie spałem w stogu.

Nie dziwił się też bynajmniej, gdy zza sadzawki z domku czysto wybielonego, na którym wisiała kokoszka (jak miejscami nazywano orła państwowego) wyszedł żandarm, podobny do pająka, czyhającego śród pajęczyny.

Żandarm zmierzał prosto do Szwejka i zbliżywszy się doń nie rzekł nic więcej, tylko jedno słowo:

— Dokąd?

— Do Budziejowic, do swego pułku.

Żandarm się uśmiechnął:

— Idzie pan przecie od Budziejowic. Ma pan te swoje Budziejowice już za sobą — i wciągnął Szwejka na posterunek żandarmski.

Wachmistrz żandarmski w Putimiu znany był w całej okolicy z tego, że postępuje bardzo taktownie i bardzo sprytnie. Ludziom zatrzymanym lub aresztowanym nigdy nie rzekł marnego słowa, nie wymyślał i nie wyzywał, ale poddawał wszystkich takiemu krzyżowemu badaniu, że i niewinny przyznałby się do wszystkiego.

Obaj żandarmi posterunku przystosowali się do niego i badanie krzyżowe odbywało się zawsze przy uśmiechach całego personelu żandarmskiego.

— Kryminalistyka opiera się na uprzejmości i sprycie — mawiał często wachmistrz żandarmski w Putimiu do swoich podwładnych. — Wrzeszczeć na kogo, to nie ma najmniejszego sensu. Do delikwentów i ludzi podejrzanych trzeba zabierać się delikatnie, a przy tym trzeba się starać, żeby ich utopić w powodzi pytań.

— Uprzejmie pana witam, panie żołnierzu — rzekł wachmistrz. — Niech pan siada, bo pan jest wędrowną strudzony, i niech pan powie, dokąd pan się wybrał.

Szwejk powtórzył, że idzie do Czeskich Budziejowic do swego pułku.

— W takim razie zbił się pan z drogi — rzekł z uśmiechem wachmistrz — ponieważ idzie pan właśnie od Czeskich Budziejowic, o czym mogę pana przekonać. Oto tutaj wisi mapa Czech. Niech pan popatrzy. Na południe od nas jest Protiwin, dalej na południe jest Hluboka, a jeszcze dalej są Czeskie Budziejowice. No, sam pan widzi, że nie do Budziejowic pan idzie, ale z Budziejowic.

Wachmistrz spojrział na Szwejka uprzejmie, ten zaś odpowiedział spokojnie i z wielką godnością:

— A jednak ja idę do Budziejowic!

Było to czymś więcej niż słowo Galileusza: *E pur si muove* — ponieważ tamten rzucił te słowa niezawodnie z wyrazem podrażnienia.

— Wie pan co? — mówił wachmistrz z niezmienną uprzejmością. — Ja to panu wyperswaduję, a pan sam dojdzie do przekonania, że wszelkie zapieranie się utrudnia wyznanie.

— Ma pan zupełną rację — rzekł Szwejk — że każde zapieranie się utrudnia wyznanie i na odwrót.

— No, widzi pan, że jesteśmy jednego zdania w tej kwestii. Proszę mi powiedzieć całkiem rzetelnie, skąd pan wyszedł, wybierając się do tych swoich Budziejowic. Mówię umyślnie „swoich“, ponieważ muszą być jakieś inne Budziejowice, leżące na północ od Putimia, ale dotychczas nie ma ich na mapie.

— Wyszedłem z Taboru.

— A co pan robił w Taborze?

— Czekałem na pociąg, odchodzący do Budziejowic.

— A dlaczego nie pojechał pan do Budziejowic koleją?

— Bo nie miałem pieniędzy na bilet.

— A dlaczego panu, jako żołnierzowi, nie dali bezpłatnego biletu wojskowego?

— Ponieważ przy sobie nie miałem żadnych dokumentów.

— Otóż to — zatriumfował wachmistrz żandarmski, zwracając się do jednego z żandarmów. — Nie jest taki głupi, jak udaje, i zaczyna się bardzo ładnie płatać.

Wachmistrz zaczął na nowo, jak gdyby nie dostyszał ostatniej odpowiedzi o dokumentach.

— Wyszedł pan więc z Taboru. I dokąd pan szedł?

— Do Czeskich Budziejowic.

Twarz wachmistrza nabrała wyrazu nieco surowszego, a oczy jego zwróciły się ku mapie.

— Czy może nam pan pokazać na mapie, którąś szedł pan do Budziejowic?

— Wszystkich tych miejsc nie pamiętam, wiem tylko to jedno, że tutaj w Putimiu już raz byłem.

Cały personel żandarmskiego posterunku spojrzął po sobie badawczo, a wachmistrz mówił dalej:

— A więc w Taborze był pan na dworcu. Czy ma pan coś przy sobie? Proszę wszystko wyjąć.

Szwejk został bardzo dokładnie zrewidowany, ale nic u niego nie znaleziono, prócz fajki i zapalek.

— Niech no pan powie — zapytał wachmistrz — dlaczego też nie ma pan przy sobie nic, ale to nic?

— Bo ja niczego nie potrzebuję.

— Ech, mój Boże — westchnął wachmistrz — ciężka sprawa z panem! Powiada pan, że w Putimiu był pan już raz. Co pan tu robił?

— Przechodziłem koło Putimia idąc do Budziejowic.

— Teraz sam pan widzi, jak pan się płacze. Według słów pańskich szedł pan do Budziejowic, ale już pan chyba jest przekonany, że idzie pan z Budziejowic.

— Musiałem widać zrobić takie koło.

Wachmistrz znów wymienił z całym personelem wymowne spojrzenie.

— Te pańskie koła wyglądają na to, że pan się tu włóczy po okolicy. Czy długo pan siedział w Taborze na dworcu?

— Aż do odejścia ostatniego pociągu do Budziejowic.

— I cóż pan tam robił?

— Rozmawiałem z żołnierzami.

Nowe, wielce wymowne spojrzenie wachmistrza na personel.

— O czym też pan na ten przykład rozmawiał z żołnierzami i o co pan ich wypytywał?

— Pytałem się ich, z jakiego są pułku i dokąd jadą.

— Doskonale. A czy nie pytał pan ich, na przykład, ilu szeregowców ma taki pułk i na jakie części się dzieli?

— O to się nie pytałem, ponieważ już dawno znam to na pamięć.

— A więc jest pan dobrze poinformowany o formacjach naszego wojska?

— Tak jest, panie wachmistrzu.

Wachmistrz rozejrzał się triumfująco dookoła i rzucił ostatni wielki triumf:

— Po rosyjsku pan umie?

— Nie umiem.

Wachmistrz skinął na młodszego żandarma, a gdy obaj wyszli do przyległego pokoju rzekł w uniesieniu niechybnego zwycięstwa:

— Słyszał pan? — zacierał ręce. — Nie umie po rosyjsku! Spryciarz nad spryciarze! Do wszystkiego się przyznał, tylko najważniejszego się wypiera! Jutro odstawimy go do Pisku do sądu okręgowego. Kryminalistyka, to spryt i delikatność. Widział pan, jak go pogrążyliśmy w powodzi pytań? Kto by to był pomyślał! Wygląda tak jakoś żałośnie i idiotycznie, ale do takich spryciarzy trzeba zabierać się jeszcze sprytniej. Proszę go teraz gdzieś usadowić, a ja pójdę spisać protokół.

Było już dobrze pod wieczór, a żandarmski wachmistrz z miłym uśmiechem wciąż jeszcze pisał swój protokół, którego każde zdanie zawierało słówko: *Spionageverächtigt*.

Żandarmskiemu wachmistrzowi, Flanderce, sytuacja wydawała się coraz jaśniejsza, w miarę jak coraz więcej rozpisywał się dziwną niemiecką urzędową, aż wreszcie zakończył swój *Bericht* takimi słowy:

So melde ich gehorsam, wird der feindliche Offizier heutigen Tages nach Bezirks-gendarmeriekommando Pisek überliefert.

Uśmiechnął się z zadowoleniem do swego dzieła i zawołał swego frajtra:

— Czy dał pan temu nieprzyjacielskiemu oficerowi coś do zjedzenia?

— Według rozporządzenia pańskiego, panie wachmaj-

ster, dajemy pożywienie tylko tym, którzy zostają ujęci i przesłuchiwani przed godziną dwunastą.

— Mamy do czynienia z wielkim wyjątkiem — rzekł z godnością wachmistrz. — Jest to jakiś wyższy oficer, widać sztabowy. Sam pan chyba rozumie, że Rosjanie nie przysła tu na szpiegowanie jakiegoś frajtra. Niech pan pośle do gospody „Na Kocurku“ po obiad, a gdyby tam nic nie mieli, niech gotują. Następnie niech zrobią herbaty z arakiem i niech to wszystko tutaj przysła. Ale nie mówić dla kogo. W ogóle nic nie mówić, kogo tutaj mamy. To tajemnica wojskowa. Co też teraz robi?

— Prosił o trochę tytoniu, siedzi w izbie strażniczej i jest taki zadowolony, jakby siedział u siebie w domu. — Macie tu — powiada ciepłutko, aż miło. A piec nie dymi? Bardzo tu u was przyjemnie. Gdyby piec dymił, to najlepiej kazać go kominiarzowi przeciągnąć. Ale dopiero po obiedzie i nie wtedy, jak słońce stoi nad kominem.

— Co to za wyrafinowany człowiek! — z uniesieniem wołał wachmistrz. — Zachowuje się tak, jakby nie o niego chodziło. A sam wie przecie, że będzie rozstrzelany. Takiego człowieka trzeba szanować, chociaż to i nieprzyjaciel. Bo przecie taki idzie na pewną śmierć. Nie wiem, czy zdobylibyśmy się na coś podobnego. Moglibyśmy się zachwiać, pofolgować sobie. A ten siedzi spokojnie i nic. — Ciepłutko tu u was — powiada — i czy wam piec nie dymi. — Widzi pan, panie gefrajter, są na świecie i takie charaktery. Na to potrzebne są nerwy stalowe, samozaparcie, hart i zapał... Gdyby w Austrii był taki zapał... ale lepiej o tym nie mówmy. Chociaż i u nas trafiają się tacy zapaleńcy. Czytał pan w „Narodni Polityce“ o tym oberlejtncie Bergerze z artylerii, co to wlażł na wysoką sosnę i zrobił sobie tam na gałęzi *B e o b a c h t u n g s p u n k t*? Gdy nasi ustąpili, nie mógł już zleźć na dół, bo byłby się dostał do niewoli. Czekał więc tak długo, aż nasi znowuż nieprzyjaciela przepędzą i musiał czekać całe dwa tygodnie, nim

się ich wreszcie doczekał. Czternaście dni siedział na sośnie, poogryzał cały wierzchołek drzewa i żywił się igliwiami, żeby nie umrzeć z głodu. A gdy nasi wrócili, to był taki osłabiony, że już nie mógł się na drzewie utrzymać, spadł i zabił się. Po śmierci został nagrodzony złotym krzyżem zasługi za dzielność.

I wachmistrz dodał z wielką powagą:

— To jest poświęcenie, panie frajter, bohaterstwo, że tak powiem! No, ale my tu znowuż gadu gadu, a tamten czeka. Niech pan skoczy teraz po obiad, a jego niech pan pośle do mnie.

Frajter przyprowadził Szwejka, wachmistrz uprzejmie wskazał mu krzesło i rozpoczął rozmowę od pytania, czy ma rodziców.

— Nie mam.

Wachmistrz pomyślał, że to i lepiej nawet, bo przynajmniej nikt nie będzie tego biedaka opłakiwał. Zapatrzył się w poczciwą twarz Szwejka i w przystępie życzliwości poklepał go po ramieniu, pochylił się ku niemu i zapytał go tonem ojcowskim:

— No, a jak się panu w Czechach podoba?

— Mnie się wszędzie w Czechach podoba — odpowiedział Szwejk. — Po drodze spotykałem wszędzie dobrych ludzi.

Wachmistrz kiwał głową potakująco.

— Nasz lud jest bardzo dobry i miły. Że tam czasem ktoś komuś ukradnie bagatelę albo że się ludzie poczubią, to jest bez znaczenia. Jestem tu już lat piętnaście i gdyby wszystko dokładnie obliczyć, co się tu stało, to na rok wypadnie akurat trzy ćwierci morderstwa.

— Pan mówi o morderstwach niedokonanych? — zapytał Szwejk.

— E, nie. O dokonanych, tylko że przez lat piętnaście badaliśmy tu zaledwie jedenaście morderstw. Rabunkowych było pięć, a sześć takich zwyczajnych, nie wartych gadania.

Wachmistrz milczał przez chwilę, a potem znowuż przeszedł do swojej metody badania:

— Co właściwie chciał pan robić w Budziejowicach?

— Wstąpić do służby w dziewięćdziesiątym pierwszym pułku.

Wachmistrz wezwał Szwejka, aby udał się do izby strażniczej i śpiesząc się, aby nie zapomniał tego, co właśnie usłyszał, dodał do swego raportu, przeznaczonego dla dowództwa żandarmerii w Pisku:

Znając wybornie język czeski, zamierzał w Czeskich Budziejowicach podjąć próbę dostania się do dziewięćdziesiątego pierwszego pułku piechoty.

Zataił ręce z zadowolenia, że udało mu się zebrać taki bogaty materiał śledczy, pełen precyzyjnych wyników jego metody badania. Przypomniał sobie swego poprzednika, wachmistrza Bürgera, który z zatrzymanymi w ogóle nie rozmawiał, o nic nie pytał i natychmiast odsyłał ich do sądu okręgowego z krótkim raportem:

Według raportu frajtra został zatrzymany za włóczęgostwo i żebraninę.

Czy można nazwać to przesłuchiowaniem? I wachmistrz, spoglądając na stronicę raportu, uśmiechnął się z zadowoleniem. Z biurka swego wyjął tajną instrukcję krajowego dowództwa żandarmerii w Pradze, ze zwykłym zastrzeżeniem: „Ścisłe tajne!“ — i przeczytał ją sobie jeszcze raz:

Wszystkim posterunkom żandarmerii poleca się surowo, aby z uwagą jak najczujniejszą śledziły wszystkie osoby, przechodzące przez ich rewiry. Przesunięcia naszych wojsk w Galicji wschodniej spowodowały to, że pewne oddziały rosyjskie przekroczywszy Karpaty zajęły stanowiska wewnątrz granic naszej monarchii. Ta nowa sytuacja spowodowała przesunięcie frontu naszego w głąb terytorium mocarstwa ku zachodowi. Ona też umożliwiła szpiegom rosyjskim przedostanie się przy ruchliwości

frontu w głąb terytorium naszego mocarstwa, osobliwie na Śląsk i na Morawy, skąd według poufnych wiadomości bardzo wielu rosyjskich szpiegów udało się do Czech. Zostało stwierdzone, że wśród nich jest dużo Czechów rosyjskich, wychowanych w wysokich wojskowych szkołach sztabowych w Rosji, którzy, znając doskonale język czeski, stają się osobliwie niebezpiecznymi szpiegami, albowiem mogą przeprowadzić i na pewno przeprowadzą wśród mieszkańców czeskich propagandę antypaństwową. Dowództwo krajowe poleca przeto zatrzymywać wszystkich podejrzanych i zaostrzyć czujność osobliwie w tych miejscowościach, w których pobliżu znajdują się załogi, składy wojskowe i stacje kolejowe, przez które przechodzą pociągi wojskowe. Zatrzymanych należy natychmiast poddać rewizji i odstawić do wyższej instancji.

Wachmistrz żandarmerii, Flanderka, znów uśmiechnął się z zadowoleniem i włożył tajną instrukcję Sekretreserwat między inne instrukcje do teki z napisem: „Rozporządzenia tajne“.

Było ich dużo, bo ministerstwo spraw wewnętrznych przy współudziale ministerstwa obrony krajowej, którego władzy podlegała żandarmeria, wydawało ich tyle, że w dowództwie żandarmerii w Pradze nie nadążano z ich powielaniem i rozsyłaniem.

Żandarmi otrzymywali papiery, jak np.:

Rozporządzenie o kontrolowaniu lojalności ludności miejscowej.

Instrukcja, jak w rozmowach z miejscową ludnością badać należy wpływ, jaki na ludności wywierają wiadomości z terenów wojny.

Kwestionariusz co do tego, jak odnosi się miejscowa ludność względem rozpisanych pożyczek wojennych i składek.

Kwestionariusz o nastrojach wśród wezwanych do wojska i wśród tych, którzy mają zostać wezwani.

Kwestionariusz o nastrojach wśród członków samorządów miejscowych i wśród inteligencji.

Rozkaz natychmiastowego ustalenia, do jakich partyj politycznych należy ludność miejscowa i jaka jest siła poszczególnych partyj.

Rozporządzenie o kontroli działalności przywódców partyj, do których należy ludność miejscowa.

Kwestionariusz co do tego, jakie gazety, czasopisma i broszury przybywają do rewiru posterunku żandarmerii.

Instrukcja dotycząca ustalania, z kim obcują soby podejrzane o nielojalność i jak przejawia się ich nielojalność.

Instrukcje, jak pozyskiwać spośród ludności miejscowej informatorów płatnych, będących na służbie miejscowego posterunku żandarmerii.

Dzień w dzień przybywały nowe instrukcje, pouczenia, kwestionariusze i rozporządzenia. Zasypany tym mnóstwem wynalazków austriackiego ministerstwa spraw wewnętrznych, wachmistrz Flanderka miał masę zaległości i na kwestionariusze odpowiadał stereotypowo, że w jego rewirze wszystko w porządku, a lojalność wśród miejscowej ludności odpowiada stopniowi I a.

Austriackie ministerstwo spraw wewnętrznych wynalazło do mierzenia lojalności i wierności dla monarchii skalę stopni: I a, I b, I c — II a, II b, II c — III a, III b, III c — IV a, IV b, IV c. — Ta ostatnia czwórka rzymska w połączeniu z „a“ oznaczała zdradę stanu i stryżek, z literą „b“ internowanie, z literą „c“ obserwację i więzienie.

W szufladzie wachmistrza żandarmerii znajdowały się różne druki i rejestry. Rząd chciał wiedzieć o każdym obywatelu wszystko co ten obywatel o nim myśli.

Wachmistrz Flanderka bywał nieraz zrozpaczony i załamywał ręce nad drukami, które przychodziły każdą pocztą. Jak tylko ujrzał znane koperty z pieczętką *Portofreidienstlich*, serce uderzało mu mocniej, a w nocy, gdy rozmyślał

nad tym wszystkim, dochodził do przekonania, że końca wojny się nie doczeka i że krajowe dowództwo żandarmerii pozbawi go w ostatniej chwili rozumu, i że nie będzie już mógł cieszyć się ze zwycięstwa armii austriackiej, bo zgłupieje do cna. Zaś dowództwo okręgowe bombardowało go dzień w dzień zapytaniem, dlaczego nie odpowiedział jeszcze na kwestionariusz numer 7245/721 alfd, jak załatwiona została instrukcja za numerem 88992/822 gfehz, jakie praktyczne rezultaty wydała instrukcja pod numerem 123456/197 zb, itd.

Najwięcej kłopotów miał z instrukcją, w jaki sposób spośród ludności miejscowej wybierać należy płatnych donosicieli, aż wreszcie, uznawszy za niemożliwe pozyskanie kogoś z tych miejscowości, gdzie zaczynają się Blata i gdzie wszyscy jeden w drugiego mają twarde uparte łby, wpadł na koncept wyforowania na to stanowisko pastucha gminnego, którego wszyscy nazywali: „Pepiku, skocz no!“ Był to kretyn, który na takie wezwanie zawsze podskoczył. Jedną z tych nieszczęśliwych, przez przyrodę i ludzi upośledzonych istot, kaleka, który za kilka złotych rocznie i za trochę pożywienia pasał bydło wsiowe.

Tego więc Pepika kazał wachmistrz wezwać i rzekł do niego:

— Wiesz ty, Pepiku, kto to jest stary Prochazka?

— Beee---

— Nie becz i pamiętaj, że tak nazywają najjaśniejszego pana. Wiesz, kto to najjaśniejszy pan?

— To pan cisiaś.

— Doskonale, Pepiku! Więc pamiętaj, gdy chodząc po domach na obiady, usłyszysz, że pan cesarz jest bydłą albo co innego, to przyjdź do mnie i powiedz mi o tym. Dostaniesz dziesiątkę, a jeśli będzie ktoś mówił, że wojny nie wygramy, to tak samo przyjdiesz do mnie i powiesz mi, kto to mówił, i znowu dostaniesz dziesiątkę. Ale gdybym się dowiedział, że przede mną coś ukrywasz, to źle z tobą będzie. Zabiorę cię

i odstawię do Pisku. A teraz, Pepiku, skocz no! Pepik podskoczył, wachmistrz dał mu dwie dziesiątki i zadowolony z siebie napisał raport do okręgowego dowództwa żandarmerii, że już znalazł informatora.

Nazajutrz do wachmistrza przyszedł ksiądz proboszcz i donosił mu w głębokim sekrecie, że dzisiaj rano spotkał pastucha gminnego, Pepika skocz no, a Pepik mu opowiadał:

— Panie pjoboscu, a pan wachmajstel wciolaj mówił, że pan cisiaś jeść bydle i że wojny nie wyglamy. Beee hop!

Po dłuższym rozstrząsaniu sprawy i po rozmowie z księdzem proboszczem kazał wachmistrz żandarmerii, Flanderka, zaarrestować pastucha gminnego, który następnie przez sąd wojenny na Hradczanach skazany został na dwadzieścia lat więzienia za knowania antypaństwowe, za podburzanie do nieposłuszeństwa władzom, za obrazę najjaśniejszego pana i za kilka innych zbrodni i przestępstw.

Pepik skocz no zachowywał się wobec sądu, jak na pastwisku albo wśród sąsiadów. Na wszystkie pytania pobe kiwał jak koza, a po ogłoszeniu wyroku podskoczył i wrzasnął: Beee hop! — Za to został ukarany dyscyplinarnie twardym łóżem w osobnej celi i trzema postami.

Odtąd wachmistrz żandarmerii nie miał informatora i musiał zadowolnić się tym, że sobie takiego informatora wymyślił i podawszy nazwisko fikcyjne powiększył dochód swój o pięćdziesiąt koron miesięcznie, które przepijał w gospodzie „Na koczurku“. Pijąc dziesiąty kufel dostawał ataku sumienia, piwo przestawało mu smakować, a sąsiedzi zwracali się do niego zawsze z tym samym zdaniem:

— Pan wachmistrz jest dzisiaj taki jakiś smutny, jakby nieswój.

Przy tych słowach wachmistrz udawał się do domu, a po jego odejściu zawsze ktoś mawiał:

— Nasi widać znowuż dostali w Serbii po dupie, bo wachmajster zaniemował.

Zaś wachmistrz zabierał się w domu do pracy i wypełniał przynajmniej jeden z wielu kwestionariuszów:

— Nastrój wśród miejscowej ludności: I a.

Pan wachmistrz miewał ciężkie bezsenne noce. Bezustannie wyczekiwał inspekcji i dochodzenia. Śniło mu się nieraz o szubienicy i o stryczku, a pod szubienicą sam pan minister obrony krajowej pyta się go raz ostatni:

— Wachmeister wo ist die Antwort des Cirkulars Nr 1789678/2792 × 32?

Ale teraz! Jest jakoś tak, jakby ze wszystkich zakątków posterunku żandarmerii odzywały się fanfary triumfalne. Wachmistrz żandarmerii, Flanderka, nie wątpił, że dowódca okręgu poklepie go po ramieniu i powie:

— Ich gratuliere Ihnen, Herr Wachtmeister.

W duchu widział wachmistrz żandarmerii i inne uludne obrazy, jakie tały się w jednym ze zwojów jego urzędowego mózgu: odznaczenia, szybki awans i przeniesienie do wyższej rangi służbowej, ocena jego zdolności kryminalistycznych, świetna kariera. Wezwał frajtra i zapytał:

— Dostał pan obiad?

— Przynieśli mu wędzonkę z kapustą i knedlami, ale zupy już nie było. Wypił herbatę i prosi o jeszcze.

— Nie żałować mu! — wspaniałomyślnie zdecydował wachmistrz. — Jak tylko herbatę wypije, to proszę przyprowadzić go do mnie.

— No i jakże tam? Smakowało panu? — zapytał wachmistrz, gdy młodszy żandarm po upływie pół godziny przyprowadził Szwejka, sytego i zadowolonego, jak zawsze.

— Można wytrzymać, panie wachmajster, tylko kapusty było trochę za mało. Ale cóż robić? Wiem, że pan nie był na to przygotowany. Wędzonka była dobrze przewędzona. Przypuszczam, że było to mięso domowe ze świni swojego chowu. Herbata z arakiem też zrobiła mi dobrze.

Wachmistrz spojrział na Szwejka i zaczął:

— W Rosji pija się dużo herbaty, nieprawdaż? Czy mają także i arak?

— Arak mają po całym świecie.

— Tylko się bratku, nie wykręcaj — pomyślał wachmistrz. — Trzeba się było pilnować dawniej i nie gadać wszystkiego. — No, a ładnych dziewcząt dużo w Rosji? — zapytał, pochylając się ku Szwejkowi poufale.

— Ładne dziewczęta są po całym świecie, panie wachmajster.

— Figlarz z ciebie — pomyślał wachmistrz znowuż. — Teraz chciałbyś się z tego wszystkiego wykręcić.

Wytoczył na Szwejka najcięższy kaliber i zapytał:

— Co chciał pan robić w dziewięćdziesiątym pierwszym pułku?

— Chciałem udać się na front.

Wachmistrz z zadowoleniem popatrzył na Szwejka i rzekł jakby do siebie:

— Całkiem słusznie. Jest to najlepszy sposób dostania się do Rosji.

— Rzecz jest naprawdę świetnie obmyślana — promieniał wachmistrz, uważając, jakie też wrażenie wywrą na Szwejkowi jego słowa.

Ale w oczach jego nie mógł się doczytać niczego, prócz bezwzględnej spokoju.

— Ani brew nie drgnie — podziwiał wachmistrz Szwejka. — Takie świetne mają wychowanie wojskowe. Gdybym się znalazł w jego sytuacji i ktoś odezwałby się do mnie w taki sposób, to kolana roztrzęłyby się pode mną.

— Rano odwieziemy pana do Pisku — rzucił jakby od niechcienia. — Był pan już w Pisku?

— Roku tysiąc dziewięćset dziesiątego na manewrach cesarskich.

Uśmiech wachmistrza stał się po tej odpowiedzi jeszcze uprzejmiejszym i bardziej triumfującym. Doznawał uczucia, że swoim systemem zapytań prześcignął samego siebie.

— Brał pan udział w manewrach?

— Tak jest, panie wachmajster, jako szeregowiec.

I znów tak spokojnie, jak przedtem, spoglądał Szwejk na wachmistrza, który z uciechy siedział jak na szpilkach i nie mógł już wytrzymać, aby tego nie dodać do raportu. Zawołał frajtra, żeby Szwejka odprowadził, a sam uzupełnił swój raport:

Plan jego był taki: Wkradłszy się do szeregów dziewięćdziesiątego pierwszego pułku piechoty, chciał natychmiast zameldować się jako ochotnik na front i przy najbliższej sposobności dostać się do Rosji, zauważył bowiem, że przy czujności organów inna droga powrotna jest niemożliwa. Ze w dziewięćdziesiątym pierwszym pułku byłby mógł świetnie prosperować, jest bardzo prawdopodobne, gdyż po dłuższym krzyżowym badaniu przyznał się, że w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym brał udział w całych manewrach cesarskich w okolicy Pisku, jako szeregowiec. Z tego widać, że w specjalności swojej posiada wielkie zdolności. Zaznaczam jeszcze, że zebrane oskarżenia są rezultatem mego systemu krzyżowego badania.

We drzwiach ukazał się młodszy żandarm.

— Panie wachmajster, on chce iść do wychodka.

— B a j o n e t a u f! — zdecydował wachmistrz. — Albo lepiej, niech go pan przyprowadzi tutaj.

— Chce pan iść do wychodka? — uprzejmie zapytał wachmistrz. — Czy nie ma pan jakich innych zamiarów?

Badawczo patrzył w twarz Szwejka.

— Nie mam żadnych innych zamiarów, panie wachmistrzu, tylko pilną potrzebę — odpowiedział Szwejk.

— No no, żeby się tylko nie pokazało co innego — napominał go wachmistrz, przypinając służbowy rewolwer. — Pójdę z panem.

— To bardzo dobry rewolwer — mówił do Szwejka po drodze — siedmiostrzałowy i strzela bardzo precyzyjnie.

Zanim wyszli na dwór, wachmistrz zawołał frajtra i rzekł mu sekretnie:

— Pan załóż bagnet, stanie pan za wychodkiem i będzie pan uważał, żeby nam się nie przekopał przez gnojowisko.

Wychodek był to mały, zwyczajny szalecik drewniany, sterczący rozpaczliwie na środku podwórza nad gnojowiskiem i sąsiadujący z pobliską kupą nawozu.

Był to już stary weteran, w którym załatwiały swoje potrzeby całe pokolenia. Teraz siedział w nim Szwejk, przytrzymując jedną ręką drzwi za sznurek, podczas gdy od tyłu frajter spoglądał mu na zadek, żeby się aresztant nie przekopał przez gnojowisko.

Zaś jastrzębie oczy wachmistrza żandarmerii nie odwracały się ani na chwilę od drzwi, wachmistrz rozmyślał nad tym, w którą nogę należałoby postrzelić Szwejka, gdyby próbował uciec.

Ale drzwi otwały się spokojnie, z szaletu wyszedł zadowolony Szwejk i zwracając się do wachmistrza, pytał:

— Czy nie siedziałem zbyt długo? Może pan nie ma czasu?

— O, bynajmniej, bynajmniej — odpowiedział wachmistrz, a w duchu pomyślał: — Co za delikatny, wytworny człowiek! Wie, co go oczekuje, ale trzeba przyznać, że do ostatniej chwili jest przyzwoity. Czy nasz brat na jego miejscu umiałby się tak zachować?

Wachmistrz siedział obok Szwejka na materacu pustego łóżka żandarma Rampy, który miał nocną służbę i obchodził wsie, a w tej chwili siedział spokojnie „Pod czarnym koniem“ w Protiwinie i grał z majstrem szewskim w mariasza, wywołując w przerwach, że Austria musi wojnę wygrać.

Wachmistrz zapalił fajkę, podał tytoń Szwejkowi, frajter dorzucił węgla do pieca i posterunek żandarmerii przemienił

się w najmilsze miejsce na kuli ziemskiej, w przytulny zakątek, w ciepłe gniazdo, omotywane pajęczynami szarej godziny zmierzchu.

Wszyscy milczeli. Wachmistrz zastanawiał się nad jakąś myślą i wreszcie wypowiedział ją, zwracając się do Szwejka:

— Zdaniem moim niesprawiedliwie jest wieszać szpiegów. Człowiek poświęcający się dla obowiązku, za swoją, że tak powiem, ojczyznę, powinien być stracony z honorem, przy pomocy prochu i ołowiu. Co pan o tym sądzi? — zwrócił się do frajtra.

— Stanowczo rozstrzelać takiego, a nie wieszać — zgadzał się młody żandarm. — Dajmy na to, że i nas mogliby dokądś wysłać i rozkazałoby: — Musicie wyszpiegować, ile karabinów maszynowych mają Rosjanie w swoim maschinengewehrabteilungu. — Przebrałbym się i poszedłbym. I za to mieliby mnie wieszać, jak jakiego mordercę i rabusia?

Frajter żandarmerii tak się rozżościł, że wstał i zawołał:

— Żądam rozstrzelania i pogrzebu z honorami wojskowymi!

— Jest w tym kruczek — odezwał się Szwejk. — Gdy człowiek jest przebiegły, to mu nigdy nie dowiodą.

— Oho, dowiodą! — z naciskiem zawołał wachmistrz. — Ci, co prowadzą śledztwo, też są dość przebiegły i mają swoje sposoby. Pan sam się o tym przekona.

— Przekona się pan — powtórzył tonem już nieco łagodniejszym dodając do słów swoich uprzejmy uśmiech. — Nam się tu nikt nie wykręci, prawda, panie kolego?

Frajter skinął głową, że się zgadza, i dodał, że niektórzy ludzie przegrywają sprawę z góry i że maska zupełnego spokoju nic im nie pomoże, bo im spokojniejszy jest człowiek, tym bardziej sam siebie zasypuje.

— Pan ma moją szkołę, panie frajter — rzekł dumnie wachmistrz. — Spokój to bańka mydlana. Sztuczny spokój to corpus delicti.

Przerwał swój wykład i zwracając się do młodszego kolegi zapytał:

— Co będziemy dziś jedli na kolację?

— A do gospody pan wachmistrz dzisiaj nie pójdzie?

Pytanie to wyłoniło przed wachmistrzem nowe ciężkie zagadnienie, które domagało się natychmiastowego rozstrzygnięcia.

Co by to było, gdyby ten tu skorzystał z jego nieobecności i uciekł w nocy? Frajter jest wprawdzie człowiekiem zasługującym na zaufanie, ale uciekło mu już dwóch włóczęgów. Rzeczywiście sprawa miała się nieco inaczej: nie miał frajter ochoty wlec się z nimi po śniegu — było to zimą — aż do Pisku, więc w polu koło Rażyc puścił ich i dla formy strzelił w powietrze.

— Poślemy po kolację naszą babę, a piwo będzie nam nośła w dzbanku — rozstrzygnął wachmistrz ciężkie zagadnienie. — Niech się babina trochę przewietrzy.

I baba Pajzlerka, która im usługiwała, przewietrzyła się istotnie. Od samej kolacji komunikacja między posterunkiem żandarmerii a karczmą „Na kocurku“ była utrzymywana stale. Niezliczone ślady ciężkich i dużych trzewików baby Pajzlerki na tej linii łączności świadczyły o tym, że wachmistrz w pełnej mierze odszkodowuje się za swoją nieobecność „Na kocurku“.

Kiedy wreszcie po wielu kolejkach baba Pajzlerka przyleciała do szynkowni, powiadając, że pan wachmistrz kłania się grzecznie i prosi o butelkę kontuszówki, ciekawość szynkarza wzięła górę nad dyskrecją. Zaczął pytać.

— Kogo tam niby mają? — powtórzyła pytanie baba Pajzlerka. — Jakiegoś podejrzanego człowieka. Właśnie jak tutaj szłam, to go obaj ściskali za szyję, a pan wachmistrz głaskał go po głowie i mówił: — Ach, ty mój miły smyku słowiański, szpieguniu mój kochany.

Kiedy już było dobrze po północy, frajter spał na matera-

cu swego łóżka w pełnym uniformie i chrapał, aż szyby brzęczały.

Przy stole siedział wachmistrz z resztą kontuszówki w butelce, trzymał Szwejka za szyję, łzy spływały mu po ogorzałej twarzy, wąsy miał zlepione kontuszówką, a usta z wielkim wysiłkiem wymawiały słowa:

— Powiedz, bracie, szczerze, że w Rosji nie mają takiej dobrej kontuszówki, powiedz, żebym mógł spokojnie spać. Wyznaj to, jako uczciwy człowiek.

— Nie mają.

Wachmistrz zwałił się na Szwejka.

— Uradowałeś mnie, przyznałeś się. Tak być powinno przy badaniu. Jeśliś winny, to czemu się wypierać?

Wstał i zataczając się z pustą butelką do swego pokoju mamrotał:

— Gdybym nie był wkroczył na drogę niewłaściwą, to wszystko mogło wypaść całkiem inaczej.

Zanim zwałił się w uniformie na łóżko, dobył z szafy biurka swój raport i spróbował uzupełnić go takim materiałem:

Ich muss noch dazu beizufügen, dass die russische Kontuszówka na podstawie § 56...

Zrobił kleksa, zlizął go i uśmiechając się głupkowato, zwałił się na łóżko i zasnął jak pień.

Nad ranem frajter żandarmerii, leżący na łóżku na przeciwko Szwejka, zaczął tak mocno chrapać i gwizdać przez nos, że Szwejk się ocknął. Wstał, potrząsnął frajtrzem i znów się położył. Tymczasem zaczęły piąć koguty, a kiedy następnie weszło słońce i przysła baba Pajzlerka, która także spała dzisiaj nieco dłużej, żeby sobie powetować nocną bieganinę, to zanim zabrała się do palenia w piecu, zastanowiła się nad tym, że drzwi były nie zamknięte, a wszyscy spali, jak zarżnięci. Lampka naftowa w izbie strażniczej jeszcze kopciła. Baba Pajzlerka zrobiła alarm i ściągnęła frajtra i Szwejka

z łóżek. Do frajtra rzekła: — Że też panu nie wstyd spać w ubraniu, jak nieboskie stworzenie! — Do Szwejka zwróciła się z napomnieniem, żeby sobie przynajmniej zapiął spodnie, gdy widzi kobietę.

Wreszcie energicznie rozkazała zaspanemu frajtrowi, żeby poszedł zbudzić pana wachmistrza, bo to nie żaden porządek, gdy ludzie gniją tak długo.

— W ładne ręce pan się dostał — mamrotała baba, zwracając się do Szwejka, gdy frajter budził wachmistrza. — Jeden wielki pijak, a drugi jeszcze większy. Przepiliby nos spomiedzy oczu. Mnie już trzeci rok winni za usługiwanie, a gdy się upominam, to mi wachmistrz zawsze mówi: — Milczcie, babo, bo was każe aresztować. My wiemy, że wasz syn jest kłusownikiem i kradnie drzewo na pańskim. — Więc się z nimi tak morduję już czwarty rok!

Baba westchnęła głęboko i mamrotała dalej:

— Osobliwie niech się pan ma na baczości przed wachmistrzem. Słodki jak cukierek, a tymczasem jest to psubrat pierwszej klasy. Każdego tylko zasypać i aresztować.

Wachmistrza nie można było przebudzić. Frajter musiał go bardzo wymownie przekonywać, że trzeba wstać, bo już dzień.

Wreszcie otworzył oczy, tarł czoło i niewyraźnie zaczął sobie przypominać szczegóły dnia wczorajszego. Nagle przez głowę strzeliła mu myśl straszliwa, którą wyraził, spoglądając na frajtra z uczuciem niepewności:

— Uciek!?

— Gdzie tam! To porządny człowiek.

Frajter zaczął chodzić po pokoju, wyjrzał oknem, zawrócił, urwał kawałek gazety, leżącej na stole, ugniatał z papieru kulkę, jednym słowem widać było, że chce coś rzec.

Wachmistrz spoglądał na niego z uczuciem niepewności, aż wreszcie chcąc usłyszeć całą prawdę, którą zaledwie przeczuwał, odezwał się:

— Ja panu wszystko ułatwię, panie frajter. Musiałem widać wyrabiać wczoraj ładne rzeczy.

Frajter spojrział na swego przełożonego z wyrzutem i odpowiedział:

— Gdyby pan wiedział, panie wachmistrzu, czego pan wczoraj nie wygadywał! Jakie rozmowy pan z nim prowadził! Nachylając się nad uchem wachmistrza szeptał:

— Wszyscy Czesi, mówił pan, i Rosjanie, to jedna krew słowiańska, że Mikołaj Mikołajewicz na przyszły tydzień będzie w Przerowie, że Austria się nie utrzyma, żeby się tylko wszystkiego wypierał przy dalszym badaniu i żeby plół piąte przez dziesiąte, to się utrzyma tak długo, dopóki nie uwolnią go Kozacy. Bo już niedługo to wszystko weźmie w łeb i będzie tak jak za czasów wojen husyckich, chłopci pójdą z cepami na Wiedeń. Że cesarz jest schorzały dziadyga, że rychło patrzeć, trzaśnie kopytami, że cesarz Wilhelm jest zwierzę, że temu aresztowanemu będzie pan posyłał pieniądze do więzienia, żeby nie zaznał biedy, i dużo innych podobnych rzeczy...

Frajter cofnął się od wachmistrza:

— O tym wszystkim dobrze pamiętam, bo z początku byłem tylko troszkę zawiany. Ale potem też się schlałem i nie wiem, co było dalej.

Wachmistrz popatrzył na frajtra.

— A ja pamiętam — oświadczył wachmistrz — że pan mówił, iż w porównaniu z Rosją jesteśmy karzelkami i że ryczał pan przed tą babą: — Niech żyje Rosja!

Frajter zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

— Ryczał pan te słowa, jak ten byk — rzekł wachmistrz. — Potem zwałił się pan na łóżko i zaczął chrapać.

Frajter zatrzymał się przed oknem i bębniąc w nie oświadczył:

— Pan też wody w gębę nie nabierał przed tą naszą babą i pamiętam, panie wachmistrzu, że pan rzekł do niej: — Pamiętajcie, babo, że każdy cesarz czy król myśli tylko o swojej

kieszeni, i dlatego toczy wojnę, choćby był takim dziadym, jak nasz stary Prochazka, którego nie mogą wypuszczać z klozetu, żeby nie zapaskudził całego Schönbrunnu.

— Takie rzeczy mówiłem?

— Tak jest, panie wachmistrzu, takie rzeczy pan wygadywał, zanim wyszedł pan na dwór rzygać, i jeszcze pan wołał: — Wsadźcie mi, babo, palec w gardziel!

— Pan się też niezgorzej wyrażał — przerwał mu wachmistrz. — Skąd panu się na przykład ubrdalo, że Mikołaj Mikołajewicz będzie królem czeskim?

— Tego nie pamiętam — nieśmiało odpowiedział frajter.

— Jeszczeby też! Jak pan ma pamiętać, kiedy był pan pijany jak bela, miał pan małe świnię, a jak wypadło wyjść na dwór, to zamiast do drzwi, włożył pan na piec.

Obaj zamilkli i zamyślili się. Długie milczenie przerwał wachmistrz:

— Zawsze panu mówiłem, że alkohol, to zguba. Nie służy panu wódka, a pan pije. Co by to było, gdyby nam ten nasz był zwiał? Jak bylibyśmy się tłumaczyli? Boże mój, jak mi we łbie trzeszczy!

— Powiadam panu, panie frajter — mówił dalej wachmistrz — iż właśnie dlatego, że nie uciekł, sprawa jest całkiem jasna. Musi to być jakiś niesłychanie wyrafinowany człowiek. Jak go będą badali w wyższych instancjach, to powie, że przez całą noc drzwi były otwarte i że byliśmy pijani, więc mógł uciec, gdyby się czuł winnym. Całe szczęście, że takiemu człowiekowi nie wierzą, a jeszcze jak my pod służbową przysięgą powiemy, że to zmyślenie i zuchwałe kłamstwo ze strony tego człowieka, to mu święty Boże nie pomoże i będzie miał o jeden paragraf na karku więcej. Chociaż przy takiej sprawie podobne szczegóły są bez znaczenia. — Żeby mnie tylko ta głowa tak nie bolała...

Przez chwilę było cicho, po czym znów odezwał się wachmistrz:

— Niech pan zawoła naszą babę.

— Słuchajcie no, babo — rzekł wachmistrz do Pajzlerki, spoglądając jej surowo w oczy. — Proszę się wystarać o krucyfiks z postumentem i przynieść go tu.

Na pytające spojrzenie Pajzlerki, ryknął wachmistrz:

— Ruszać mi zaraz i nie gapić się!

Z szuflady wyjął wachmistrz dwie świece, na których były ślady laku od pieczętowania urzędowych papierów, a gdy Pajzlerka przykuszykała wreszcie, ustawił krzyż między dwiema świecami na skraju stołu, zapalił świece i rzekł z wielką powagą:

— Siadajcie, babo.

Wystraszona Pajzlerka usiadła na kanapie i wytrzeszczała oczy na wachmistrza, świece i krucyfiks. Ogarnęło ją przerażenie. Widać było, że jej ręce, złożone na fartuchu, trzęsą się razem z kolanami.

Wachmistrz z powagą przeszedł koło niej raz i drugi, po czym rzekł uroczyście:

— Wczoraj wieczorem byliście świadkiem wielkiego wydarzenia, moja babo. Być może, że wasz głupi rozum tego pojąć nie zdoła. Ten żołnierz, to wywiadowca, szpieg. Rozumiecie?

— Jezus, Maria! — krzyknęła Pajzlerka. — O, Najświętsza Panienko Skoczycka!

— Cicho, babo! Żeby z niego wyciągnąć jego sekrety, musieliśmy gadać z nim tak i owak. Słyszeliście przecie, jak dziwnie tu rozmawialiśmy, tak czy nie?

— Słyszeć słyszałam — odezwała się Pajzlerka drżącym głosem.

— Ale całe to gadanie, moja babo, było tylko na to, żeby nam zaufała i żeby się przed nami wygadała. No i udało nam się. Wyśpiewał wszystko. Capnęliśmy ptaszka.

Wachmistrz przerwał sobie na chwilę gadanie, oczyścił

knoty świec, a potem mówił z wielką powagą dalej, nie przestając surowo spoglądać na Pajzlerkę:

— Byliście tutaj, moja babo, i jesteście wtajemniczona w całą sprawę. Jest to tajemnica urzędowa. O tym nie wolno wam ani pisać. Nawet na łożu śmiertelnym trzeba trzymać język za zębami, bo was nie pochowają na cmentarzu.

— Jezus, Maria, Józef! — biadała Pajzlerka. — Po com ja tu, nieszczęśliwa, wlaźła!

— Nie ryczcie, babo, wstańcie, przystąpcie do krzyża, podnieście dwa palce prawicy i mówcie za mną.

Pajzlerka, zataczając się jak pijana, podeszła do stołu, nie przestając biadać:

— Przenajświętsza Panienko Skoczycka, że też ja tu wlaźłam!

Z krzyża spoglądała na nią umęczona twarz Chrystusa, świeczki kopciły, a wszystko to wydawało się Pajzlerce czymś upiornie niezemskim. Tonęła w jakichś straszliwych mrokach grozy, kolana się pod nią uginały, ręce się trzęsły.

Podniosła dwa palce, a wachmistrz żandarmerii uroczyście i z naciskiem podpowiadał jej:

— Przysięgam Bogu wszechmogącemu i wam, panie wachmistrzu, że o tym, co tutaj słyszałam i widziałam, nie powiem nikomu ani słowa do samej śmierci swojej, choćbym nawet była pytana. Tak mi dopomóż Bóg.

— Ucałujcie jeszcze krzyż, babo — rozkazywał wachmistrz, gdy Pajzlerka, okrutnie szlochając, przysięgła i przeżegnała się pobożnie.

— Dobrze, a teraz odnieście krucyfiks temu, kto wam go pożyczył, i powiedzcie, że potrzebowałam go do badania.

Zgnębiona Pajzlerka na paluszkach wyszła z krucyfiksem, a przez okno widać było, że bezustannie ogląda się w stronę posterunku, jakby się chciała przekonać, że to, co się właśnie zdarzyło, nie było snem, ale najstraszliwszą rzeczywistością jej żywota.

Tymczasem wachmistrz przepisywał swój raport, który przy nocnym uzupełnianiu powalał kleksami, a zlizując je rozmaszał cały rękopis, jakby weń była zawinięta marmolada.

Cały raport przerobił na nowo i przypomniał sobie, że aresztowanego nie zapytał o rzecz ważną. Kazał więc zawołać Szwejka i rzekł:

— Fotografować pan umie?

— Umiem.

— A dlaczego nie ma pan przy sobie aparatu?

— Bo go nie posiadam — brzmiała jasna i rzetelna odpowiedź.

— A gdyby pan miał aparat, to by pan fotografował? — pytał wachmistrz.

— Gdyby ciocia miała wąsy, to by była wujaszkiem — dobroduszenie odpowiedział Szwejk, spokojnie wytrzymał badawcze spojrzenie wachmistrza, którego w tej chwili tak mocno rozboleła głowa, że nie zdołał wymyślić żadnego innego pytania, prócz tego: — Czy dworzec kolejowy trudno fotografować?

— Lżej niż cokolwiek innego — odpowiedział Szwejk — bo dworzec się nie rusza i ciągle stoi na jednym miejscu, a fotograf nie potrzebuje go napominać, żeby zrobił przyjemny wyraz twarzy.

Wachmistrz mógł więc uzupełnić swój raport:

Zu dem Bericht Nr 2172, melde ich..

I pisał zamasyście:

Między innymi podczas mego krzyżowego badania przyznał się, że umie fotografować, a najchętniej fotografuje dworce kolejowe. Aparatu fotograficznego wprawdzie przy nim nie znaleziono, ale istnieje przypuszczenie, że go gdzieś ukrył i nie nosi go przy sobie dla odwrócenia uwagi, co potwierdza jego własne przyznanie się, że fotografowałby, gdyby miał aparat przy sobie.

Wachmistrz, który miał głowę ociężałą po wczorajszym

wieczorze, zapalał się coraz bardziej do wiadomości o fotografowaniu i pisał dalej:

Nie ulega wątpliwości, co wynika z jego własnych zeznań, iż tylko dlatego, że nie posiada aparatu fotograficznego przy sobie, nie mógł fotografować dworców kolejowych i miejsc ważnych pod względem strategicznym. Pewne jest, że byłby fotografował, gdyby miał wyżej wzmiankowany przyrząd fotograficzny przy sobie i nie ukrył go. Tylko tej okoliczności, iż aparatu fotograficznego nie miał pod ręką, można zawdzięczać, iż nie znaleziono u niego żadnych fotografii.

— Dosyć będzie — rzekł wreszcie i podpisał się.

Był ogromnie zadowolony ze swego dzieła i z wielką dumą przeczytał raport frajtrowi.

— Udało mi się — mówił. — Tak się pisze *berich ty*. W nich musi być wszystko. Badanie, proszę pana, to nie taka sobie byle jaka rzecz. Głównie chodzi o to, żeby wszystko było ładnie skomponowane. Niech teraz władze otwierają gęby. Proszę przyprowadzić tego naszego, bo trzeba zrobić z nim koniec.

— Więc pan frajter pana teraz odprowadzi do *Bezirks-gendameriekommando*. Według przepisów powinien pan dostać kajdanki, ale ponieważ przypuszczam, że pan przyzwoity człowiek, więc pójdzie pan bez kajdanek. Jestem przekonany, że i w drodze nie będzie pan próbował uciekać.

Wachmistrz był wyraźnie wzruszony widokiem pocziwej twarzy Szwejka i dlatego dodał:

— Niech pan nam nie pamięta nic złego. Niech pan go zabierze, panie frajter. A tutaj jest *Bericht*.

— Zostajcie, państwo, z Bogiem — rzekł miękko Szwejk. — Dziękuję panu, panie wachmajster, za wszystko, co pan dla mnie uczynił. Jeśli zdarzy się okazja, to do pana napiszę, a gdybym tędy przechodził, to do pana wstąpię.

Szwejk wyszedł z frajtrzem na szosę i obaj wdali się z sobą w taką przyjacielską rozmowę, że każdy, kto by ich spotkał, uważałby ich za starych znajomych, którzy spotkawszy się

przypadkowo, idą razem do miasta albo, powiedzmy, do kościoła.

— Nigdy nie byłbym przypuszczał — rzekł Szwejk — że taka podróż do Budziejowic połączona jest z tylu trudnościami. Taka sama historia jak z tym rzeźnikiem Chaurą z Kobylis, który pewnej nocy dostał się na Morań pod pomnik Pałackiego i do samego rana chodził dokoła niego, bo mu się zdawało, że ten postument, który on ciągle okrążał, jest murem bez końca. Był zrozpaczony, a o świcie był już tak zmęczony, że zaczął wzywać policję; gdy pozbiegali się policjanci, to się pytał, którądy idzie się do Kobylis, bo już pięć godzin idzie wzdłuż jakiegoś muru i końca nie widać. Zabrali go więc z sobą, a on w areszcie wszystko potłukł i połamał.

Frajter nie odpowiedział na to ani słowa i myślał sobie:

— Gadaj sobie zdrów. Znowuz zaczynasz jakieś bajeczki o Budziejowicach.

Przechodzili koło stawu i Szwejk z dużym zainteresowaniem wypytywał frajtra, czy w okolicy jest dużo kłusowników.

Tutaj kłusownicy jeden w drugiego — odpowiedział frajter. — Dawnego wachmistrza chcieli utopić. Dozorca stawów strzela im w zady szczecinami, ale to nic nie pomaga, bo każdy nosi w spodniach kawał blachy.

Frajter rozgawędził się o postępie i wynalazkach ludzkich na wszystkie potrzeby, a także o tym, jak jeden oszukuje drugiego. Potem rozwinął teorię, że ta wojna jest wielkim szczęściem dla ludzkości, ponieważ w bitwach ginąć będą nie tylko ludzie porządni, ale także psubraty i hycle.

— I tak już za dużo ludzi na świecie — mówił z zastanowieniem — jeden pcha się na drugiego, a ludzie rozplenili się, aż strach.

Zbliżali się do zajazdu.

— Wiatr dzisiaj dmucha jak wszyscy diabli — rzekł frajter. — Sądzę, że nie zaszkodziłoby wypić jednego. Nie mów

pan nikomu, że pana prowadzę do Pisku. To tajemnica państwowa.

Przed oczyma frajtra zatańczyła instrukcja władz centralnych, dotycząca ludzi podejrzanych i osobliwych oraz obowiązków każdego posterunku żandarmerii: — Wyłączyć takowych z obcowania z ludnością miejscową i pilnie przestrzegać, aby przy transportowaniu ich do wyższych instancji nie było okazji do niepotrzebnej gadaniny w okolicy.

— Nikt nie powinien wiedzieć, co pan za jeden — mówił dalej frajter. — Coś pan zrobił, toś pan zrobił, to nasza sprawa. Nie trzeba szerzyć paniki.

— W takich czasach wojennych panika jest rzeczą bardzo złą — mówił dalej. — Powie się słówko i już po całej okolicy niepokój i wzburzenie. Rozumie pan?

— No to nie będę szerzył paniki — rzekł Szwejk i zgodnie z tym zapewnieniem postępował, bo gdy szynkarz się z nim rozgadał, on powtarzał z naciskiem: — A mój brat powiada, że za godzinę będziemy w Pisku.

— To niby brat pański ma urlop? — zapytał ciekawy szynkarz pana frajtra, który bez drgnienia powiek zuchwale odpowiedział:

— Dziś mu się kończy.

— Nabraliśmy faceta — rzekł z uśmiechem do Szwejka, gdy szynkarz oddalił się na chwilę. — Broń Boże, szerzyć panikę. Czasy mamy wojenne.

Wchodząc do zajazdu, wyraził się frajter, że nie zaszkodziłoby wypić jednego, ale co do liczby okazał się kiepskim rachmistrzem. Gdy wypił dwunastego, oświadczył z wielką stanowczością, że dowódca okręgowego posterunku żandarmerii jest na obiedzie, że więc nie trzeba się śpieszyć, prócz tego zaczyna się zadymka. Gdy się do Pisku zajdzie na czwartą to czasu będzie aż nadto. Do szóstej sprawę załatwią. Pomaszują po ciemku, bo pogoda dzisiejsza marna. W ogóle wszyst-

ko jedno: czy się pójdzie teraz czy później. Pisek przecie nie zając.

— Bądźmy kontenci, że siedzimy w ciepłej izbie — dodał w końcu. — Tam w okopach, przy takiej niepogodzie nie ma takiej wygody jak tutaj przy piecu.

Wielki piec kaflowy grzał aż miło, a frajter ustalał fakt znany, że ciepło zewnętrzne łatwo można uzupełnić ciepłem wewnętrznym przy pomocy różnych wódek słodkich i mocnych, jak mówią w Galicji.

Szynkarz tego ustronia miał osiem gatunków takich wódek, nudził się i pił przy skowycie wichury, która wyla przy każdym rogu domu.

Frajter ciągle zachęcał szynkarza, żeby mu w picciu dotrzymał placu, i oskarżał go, że pije za mało, co było oczywiście krzywdą, bo szynkarz ledwo trzymał się na nogach, chciał bezustannie grać w ferbla i twierdził, że w nocy słyszał huk armat od strony wschodniej, na co frajter odpowiadała, czkając:

— Aby tylko nie szerzyć paniki. Od tego są instrukcje.

I zaczął wywodzić, że instrukcje, to zbiór najnowszych rozporządzeń. Przy sposobności wydał sekret kilku rozporządzeń ściśle tajnych. Gospodarz rozumiał z tego wszystkiego bardzo niewiele, i zdobył się jedynie na uwagę, że instrukcjami wojny się nie wygra.

Ciemno już było, gdy się frajter zdecydował ruszyć ze Szwejkem w dalszą drogę ku Piskowi. W zawiei śnieżnej nie widział pan frajter własnego nosa i bezustannie powtarzał:

— Trzeba iść ciągle prosto przed siebie, aż do Pisku.

Kiedy sentencję tę wygłosił po raz trzeci, głos jego nie brzmiał już na szosie, ale odzywał się skądś z dołu. Pan frajter stoczył się po miękkim śniegu do rowu. Wspierając się na karabinie, wdrapał się z wielkim wysiłkiem znów na szosę. Szwejk słyszał, jak żandarm śmieje się zduszonym śmiechem:

— Śli-i-zgawica!

Po chwili głos jego urwał się raptem, bo pan frajter znowu stoczył się do rowu, rycząc tak, że przegłuszył wicher:

— Zlecę na leb! Panika!

Frajter przemienił się w pracowitą mrówkę, która, gdy skądś spadnie, wdrapuje się pracowicie i uparcie z powrotem.

Pięć razy staczał się do rowu, a gdy po ostatnim upadku stał obok Szwejka, rzekł z poczuciem zupełnej bezradności:

— Wiesz pan co? Bardzo łatwo mógłbym pana zgubić po drodze.

— Niech się pan nie boi, panie frajter — rzekł Szwejk. — Najlepiej będzie, gdy się do siebie przywiążemy, to jeden drugiemu nie zginiemy. Czy ma pan przy sobie kajdanki?

— Każdy żandarm winien zawsze mieć przy sobie kajdanki — z naciskiem odpowiedział frajter, ślaniając się koło Szwejka. — To nasz chleb powszedni.

— No to przypnijmy się do siebie kajdankami — zachęcał Szwejk żandarma. — Niech pan spróbuje.

Mistrzowskim ruchem przypiął frajter żelazko do ręki Szwejka, a drugim końcem opiął swoją własną prawicę, tak iż byli z sobą złączeni jak bliźnięta. Zataczając się szosą, nie mogli oderwać się od siebie, a frajter, który prowadził Szwejka przez kupy kamieni, pociągał go za sobą, gdy się przewracał. Przy tej sposobności żelazka wrzynały im się w ręce i frajter zadeklarował, że dalej tak iść nie podobna, że trzeba zdjąć kajdanki. Po długim i daremnym wysiłku wyzwolenia się z żelaznych pęt westchnął frajter:

— Jesteśmy z sobą złączeni na wieki wieków.

— Amen! — dodał Szwejk i obaj z wielkim wysiłkiem pokonywali trudności terenu.

Frajter popadł w absolutne przygnębienie, a gdy po niewypowiedzianych udrękach marszu, późnym wieczorem dotarli do Pisku, do miejscowego dowództwa żandarmerii, odezwał się do Szwejka z bezradną małodusznością:

— Teraz będą się działy rzeczy okropne. Nie możemy się oderwać od siebie.

I rzeczywiście działy się rzeczy okropne, gdy wachmistrz posłał po dowódcę posterunku, rotmistrza Königa.

— Chuchnijcie na mnie! — rzekł rotmistrz na wstępie.

— Teraz rozumiem — rzekł surowo, gdy doświadczoneym i bystrym węchem zorientował się w sytuacji. — Arak, kon-tuszówka, jarzębinówka, wiśniówka, waniliówka i diabli wie-dzą, co tam jeszcze.

— Panie wachmistrzu — zwrócił się do swego podwładnego — tutaj ma pan przykład, jakim żandarm być nie po-winien. Takie postępowanie, to przestępstwo, którym zajmie się sąd wojenny. Związać się z delikwentem kajdankami! I przychodzi tutaj pijany, total besoffen. Przyłazi do mnie jak zwierzę! Niech pan im zdejmie żelazka!

— Co to ma być? — zwrócił się do frajtra, który ręką wolną salutował niezgodnie z przepisem.

— Posłusznie melduję, panie rotmistrzu, że przynoszę pa-nu Bericht.

— O was pójdzie Bericht do sądu — szorstko rzekł rotmistrz. — Panie wachmistrzu, niech pan weźmie do aresztu obu tych ludzi, a rano proszę przyprowadzić ich do przesłu-chania. Ten Bericht z Putimia przejrzy pan i przyśle mi do mieszkania.

Pisecki rotmistrz był mężem wielkiej sumienności urzędo-wej i konsekwentnie gnębił swoich podwładnych wszystkimi sposobami wytrawnego biurokratyzmu.

Na posterunkach żandarmerii w jego okręgu bezustannie odczuwano rękę pana rotmistrza, który całymi dniami załat-wiał różne sprawy, udzielał napomnień, ostrzegał i groził, nie zapominając o żadnym z podwładnych.

Od chwili wybuchu wojny nad posterunkami żandarmerii w okręgu piseckim wisały ciężkie chmury.

Nastrój był prawdziwie upiorny. Pioruny biurokratyzmu huczały i biły w lewo, i w prawo, w wachmistrzów, frajtrów, szeregowców, urzędników. Za byle głupstwo groziło śledztwo dyscyplinarne.

— Jeśli mamy wygrać wojnę — mawiał podczas swoich objazdów inspekcyjnych — to „a“ musi być „a“, „b“ powinno być „b“. Nad „i“ wszędzie musi być kropka.

Wszędzie węszył zdradę i wyobrażał sobie każdego żandarma jako człowieka obciążonego tajnymi grzechami, zrodzonymi z wojny. Był przekonany, że każdy z nich zaniedbuje się w służbie.

A władze przełożone bombardowały go pismami, w których ministerstwo obrony krajowej bezustannie zwracało uwagę na fakt, że żołnierze pochodzący z okręgu piseckiego przechodzą do nieprzyjaciela.

Zmuszali go do ciągłych objazdów i tropienia nielojalności w okręgu. Pan rotmistrz widywał, jak żony odprowadzały mężów wezwanych do wojska i wiedział że ci mężowie obiecywali żonom jak najuroczyściej, iż nie dadzą się zabić dla najjaśniejszego pana.

Czarno-żółty horyzont jęły przesłaniać chmury rewolucji. W Serbii, w Karpatach całe bataliony przechodziły na stronę nieprzyjaciela. Pułk dwudziesty ósmy, pułk jedenasty. W tym ostatnim służyli żołnierze z okręgu piseckiego i z okolicy. W takim przedrewolucyjnym nastroju przybywali rekruci z Wodnian z gwoździkami z czarnej organtyny. Przez dworzec pisecki przejeżdżali żołnierze spod Pragi i odrzucali czekoladę i papierosy, którymi obdarowywały ich panie z piseckiego towarzystwa.

Później przejeżdżał jakiś marszbatalion i kilku piseckich Żydów ryczało:

— Heil! Nieder mit den Serben!

Dostali za to tak zdrowo po karku, że przez tydzień nie mogli pokazywać się na ulicy.

Podczas gdy działy się takie rzeczy, które jasno dowodziły, że chociaż po kościołach organy grały hymn austriacki, to jednak lojalność była tylko maską zewnętrzną i obłudą; z posterunków żandarmerii wędrowały do władz wyższych odpowiedzi na znane kwestionariusze, że wszystko jest w najlepszym porządku, że nigdzie nie widać agitacji przeciw wojnie, że nastroj mieszkańców równa się I A, zapal wojenny — I a b.

— Wy nie żandarmi jesteście, ale policyjne piecuchy — mawiał pan rotmistrz przy swoich objazdach. — Zamiast podnieść swoją czujność o tysiąc procent, stajecie się powoli bydelkiem.

Po dokonaniu tego zoologicznego odkrycia, dodawał:

— Siedzicie w domu za piecem i myślicie sobie: Mit ganzen Krieg kann mann uns am Arsch lecken.

Po czym następowało wyliczanie wszystkich obowiązków nieszczęśliwych żandarmów i wykład o całokształcie sytuacji oraz napomnienie, jak trzeba wszystko brać w rękę, żeby zapanował należyty porządek. Po takich wykładach o doskonałości żandarmskiej, mającej podpieierać mocarstwo austriackie, następowały groźby, śledztwa dyscyplinarne, translokacje i wyzwiska.

Rotmistrz był niezachwianie przekonany, że stoi na straży czegoś, że coś ocala i ratuje i że wszyscy żandarmi jego okręgu — to banda gnuśnych piecuchów, egoistów, podłych drabów, oszustów, którzy w ogóle na niczym innym się nie znają, tylko na wódce, piwie i winie. A ponieważ mają dochody niewielkie, więc, aby mogli oddawać się pijaństwu, biorą łapówki i niszczą Austrię powoli, ale dokładnie. Jedyńm człowiekiem, którego pan rotmistrz darzył zaufaniem, był jego osobisty wachmistrz dowództwa okręgu, który siadując w szynku, mawiał o swoim przełożonym bardzo często:

— Znowuż miałem bujdę na resorach ze swoim starym fujarą...

Rotmistrz studiował „Bericht“ żandarmskiego wachmistrza z Putimia. Przed nim stał wachmistrz Matiejka i myślał sobie, że cały pan rotmistrz może go pocałować w nos razem ze swoimi berichtami, ponieważ w szynku około Otawy czekali na niego z partyjką „sznopsa“.

— Mówilem już panu — odezwał się rotmistrz — że największym idiotą, jakiego poznałem kiedykolwiek, jest wachmistrz z Protiwina, ale z tego berichtu widać, że go przewyższył wachmistrz z Putimia. Żołnierz, którego przyprowadził ten moczygęba frajter, sprzęgnięty z nim jak pies z psem, to przecie nie żaden szpieg. Jest to niezawodnie najzwyczajniejszy dezerterski. Pisze mi tu takie bałwaństwa, że każde dziecko na pierwsze spojrzenie poznać by musiało, że pan wachmistrz był schlany jak, nie przymierzając, prałat papieski.

— Niech pan przyprowadzi tego żołnierza — rozkazał po chwili, gdy doczytał do końca raport z Putimia. — Nigdy w życiu nie widziałem takiej kolekcji idiotyzmów, jak w tym raporcie, i jeszcze posyła mi tego podejrzanego draba pod konwojem takiego bydlaka, jakim jest jego frajter. Moi ludzie znają mnie widać jeszcze nie dość dobrze i nie wiedzą, że ja potrafię być draniem. Dopóki nie doprowadzę do tego, że trzy razy dziennie będą robili w portki ze strachu przede mną, będzie im się zdawało, że im pozwolę ciosać sobie kołki na łbie.

Rotmistrz rozgadał się o tym, jak to dzisiejsi żandarmi lekceważą sobie rozkazy, układając berichte w taki sposób, iż zaraz widać, że taki wachmistrz z niczego sobie nic nie robi i stara się każdą sprawę zaplątać jeszcze więcej.

Gdy władze zwracają uwagę, że nie jest wykluczone, iż po okolicy włączą się szpiegi, żandarmscy wachmistrze zaczynają fabrykować szpiegów masowo, i jeśli wojna potrwa jeszcze lat kilka, to cały świat przemieni się w jeden wielki dom wariatów. Niech z kancelarii wyprawią depeszę do Putimia,

żeby wachmistrz przyjechał jutro do Pisku. Trzeba będzie wybić mu ze łba to wielkie wydarzenie, o którym pisze.

— Z którego pułku uciekliście? — zapytał rotmistrz Szwejka.

— Z żadnego pułku.

Rotmistrz spojrział na Szwejka i ujrzał w jego spokojnej twarzy tyle beztrudnej obojętności, że zapytał:

— Skąd wzięliście uniformy?

— Każdy żołnierz przy rukowaniu do wojska dostaje uniformy — odpowiedział Szwejk z łagodnym uśmiechem. — Ja służę w dziewięćdziesiątym pierwszym pułku i nie tylko że ze swego pułku nie uciekłem, ale przeciwnie.

Słowo „przeciwnie“ zaakcentował Szwejk tak jakoś osobliwie, że rotmistrz zbaraniał i zapytał:

— Co to znaczy: przeciwnie?

— Sprawa to jest bardzo prosta — spowiadał się Szwejk. — Ja idę do swego pułku, nie uciekam od niego, ale go szukam. Niczego sobie tak nie życzę, jak dostać się co rychlej do swego pułku. Już jestem z tego wszystkiego cały zdenerwowany, bo mi się zdaje, że się oddalam od Czeskich Budziejowic. A tam przecie czeka na mnie cały pułk. Pomyśleć strach. Pan wachmistrz w Putimiu pokazywał mi na mapie, że Czeskie Budziejowice są na południu, a on tymczasem posyła mnie na północ.

Rotmistrz machnął ręką jakby chciał rzec:

— Ten cały wachmistrz robi jeszcze lepsze kawały — niż kierowanie ludzi na północ.

— Więc wy szukacie swego pułku i nie możecie go znaleźć?

Szwejk opowiedział wszystko szczegółowo. Wymienił Tabor i wszystkie miejscowości, przez które zdążył do Budziejowic: Milewsko Kwietów, Wraż, Malczyn, Czyżowa, Sedlec, Horądzowice, Radomyśl, Putim Sztiekno Strakonice Wołyń, Dub, Wodniany, Protiwin i znowuż Putim.

Z ogromnym zapalem malował Szwejk swoją walkę z losem, opowiadając jakimi nadludzkimi wysiłkami starał się dotrzeć do Budziejowic do swego dziewięćdziesiątego pierwszego regimentu, i jak wszystkie jego wysiłki pozostawały daremne.

Przemawiał z żarem, a rotmistrz tymczasem rysował mechanicznie ołówkiem na papierze błędne koło, z którego dobry wojak Szwejk nie mógł się wyrwać, choć tak bardzo pragnął dostać się do swego pułku.

— Była to praca herkulesowa — rzekł wreszcie, gdy z upodobaniem wysłuchał opowiadania Szwejka o tym, jak strasznie mu przykro, że tak długo błędził i nie mógł dotrzeć do swego pułku.

— Może byłbym wreszcie znalazł drogę — wtrącił Szwejk — gdyby nie ten wachmistrz w tej nieszczęsnej dziurze. Nie zapytał mnie ani o nazwisko, ani o pułk, tylko od razu wszystko zaczął uważać za jakieś osobliwe zdarzenie. Powinien był odesłać mnie do Budziejowic, a w koszarach byliby już powiedzieli, czy jestem ten Szwejk, co szuka swego pułku, czy też jestem jakim podejrzanym człowiekiem. Dziś mogłem już od dwóch dni być w swoim pułku i pełnić obowiązki wojskowe.

— Dlaczego nie zwróciliście wachmistrzowi w Putimiu uwagi, że to omyłka?

— Bo widziałem, że gadanie z nim na nic się nie zdało. To samo mawiał już stary szynkarz Rampa na Królewskich Winogradach, gdy ktoś chciał pić na kredyt, że przychodzą takie chwile w życiu człowieka, iż jest wobec wszystkiego głuchy jak pień.

Rotmistrz nie namyślał się długo. Był pewien, że taka okrężna droga człowieka, który za wszelką cenę chce się dostać do swego pułku, jest oznaką najwyższego możliwego zwyrodnienia. Na maszynie w kancelarii kazał wystukać doku-

ment, w którym nie brakło stylistycznych ozdóbek przepisanych prawidłami urzędowości:

Wysokie dowództwo c. i k. pułku piechoty nr 91
w Czeskich Budziejowicach.

W załączeniu sprowadza się Józefa Szwejka, który według odnośnego twierdzenia ma być szeregowcem tegoż pułku, a zatrzymany został na podstawie swego oświadczenia w Putimiu, okrąg Pisek, przez posterunek żandarmski, jako podejrzany o dezercję. Tenże dowodzi, że udaje się do swego wyżej oznaczonego pułku. Zatrzymany jest wzrostu niewysokiego, krępawy, twarz i nos ma proporcjonalne, oczy niebieskie. Znaków szczególnych nie ma. W załączniku B 1 przesyła się rachunek za żywienie wyżej wymienionego dla łaskawego przeprowadzenia na rachunek ministerstwa obrony krajowej. Uprasza się o pokwitowanie z odbioru zatrzymanego. W załączniku C 1 przesyła się dla potwierdzenia spis rzeczy skarbowych, jakie zatrzymany miał na sobie w chwili jego ujęcia.

Podróż z Pisku do Budziejowic pociągiem osobowym upłynęła Szwejkowi szybko i mile. Towarzyszył mu młody żandarm, nowicjusz, który nie spuszczał ze Szwejka oczu i strasznie się bał, żeby mu Szwejk nie uciekł. Przez całą drogę rozstrzygał ciężkie zagadnienie:

Co bym zrobił, gdyby mi teraz wypadło wyjść z małą albo i z dużą potrzebą?

Rozstrzygnął sprawę w ten sposób, że zabrał Szwejka z sobą.

Przez całą drogę od dworca kolejowego do koszar Mariańskich w Budziejowicach uporczywie spoglądał na swego aresztanta, a gdy zbliżali się do jakiegoś ruchliwszego skrzyżowania ulic lub skrętu kuszącego, zaczynał opowiadać Szwejkowi jakby od niechcenia, po ile ostrych naboju otrzymują do eskortowania aresztantów, na co Szwejk odpowiadał, że jest przekonany, iż żaden żandarm nie strzalałby na ulicy za uciekającym, żeby nie narobić nieszczęścia.

Żandarm spierał się z nim o to, aż dotarli do koszar.

Służbę w koszarach już drugi dzień pełnił nadporucznik Lukasz. Siedział w kancelarii, nie przeczuwając nic złego, gdy właśnie przyprowadzono do niego Szwejka z papierami.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że znowuż jestem — salutował Szwejk, przybierając minę bardzo uroczystą.

Świadkiem tej sceny był chorąży Kotiatko, który opowiadał później, że po tym zameldowaniu się Szwejka nadporucznik Lukasz podskoczył, schwycił się za głowę i przewrócił na wznak na Kotiatko, a gdy go ocucono, to Szwejk, który przez cały czas przepisowo salutował, powtórzył swój meldunek:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że znowuż jestem.

I wtedy nadporucznik Lukasz, błądy i drżący, przyjął papiery dotyczące Szwejka, podpisał, co było trzeba, poprosił wszystkich, aby wyszli, żandarmowi powiedział, że wszystko w porządku i sam zamknął się ze Szwejkiem w kancelarii.

Tak skończyła się budziejowicka anabasis Szwejka. Pewne jest, że gdyby Szwejkowi pozostawiono swobodę ruchów, to sam byłby dotarł do Budziejowic. Jeśli władze chelpiły się, że to one przytransportowały Szwejka na miejsce służby, to myliły się grubo. Przy energii Szwejka i przy jego niepokonanej ochocie uczestniczenia w wojnie, interwencja władz była po prostu rzucaniem kamieni pod jego nogi.

Szwejk i nadporucznik Lukasz spoglądali sobie w oczy.

W oczach nadporucznika błyszczało coś strasznego, groźnego i rozpaczliwego, podczas gdy Szwejk patrzył na niego tkliwie, serdecznie, z miłością, jak na straconą i odnalezioną kochankę.

W kancelarii było cicho jak w kościele. Na korytarzu słychać było wolne kroki. Jakiś sumienny jednoroczny ochotnik, który z powodu kataru pozostał w koszarach, łąził po korytarzu i przez zakatarzony nos przepowiadał sobie, jak należy w fortecach przyjmować członków domu cesarskiego. Wyraźnie słychać było słowa:

— Sobald die höchste Herrschaft in der Nähe der Festung anlangt, ist das Geschütz auf allen Bastionen und Werken abzufeuern, der Platzmajor empfängt dieselben mit dem Degen in der Hand zu Pferde, und reitet sodann vor.

— Stulić tam pysk do diabła! — ryknął nadporucznik. — Idź pan na zbity łeb, jeśli masz gorączkę, i połóż się pan do łóżka!

Słychać było, że pilny jednoroczny ochotnik oddała się powoli i tylko z końca korytarza dolatywał przycichający tubalny recytatyw:

— In dem Augenblicke, als der Kommandant salutiert, ist das Abfeuern des Geschützes zu wiederholen, welches bei dem Absteigen der höchsten Herrschaft zum drittenmale zu geschehen hat.

I znowuż nadporucznik Lukasz i Szwejk spoglądali na siebie w milczeniu, aż wreszcie z zabójczą ironią rzekł nadporucznik:

— Uprzejmie was witam w Czeskich Budziejowicach. Co ma wisieć, nie utonie. Już wysłali za wami listy gończe, a jutro staniecie do regimentsraportu. Ja się z wami mordować nie myślę. Dość się już namęczyłem i cierpliwość moja się skończyła. Nawet pojąć nie mogę, że tak długo wytrzymałem z takim idiotą jak wy...

Zaczął chodzić po kancelarii.

— Przecież to jest okropne — mówił dalej. — Dziwię się, że was nie zastrzeliłem. Co by mi zrobili? Nic. Zostałbym uniewinniony. Pojmujecie czy nie?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że doskonale pojmuję.

— Nie zaczynajcie tylko, mój Szwejku z tymi swoimi błazeństwami, bo naprawdę coś się stanie. Trafi kosa na kamień.

Stopniowaliście swój idiotyzm tak długo, aż zwała się katastrofa.

Nadporucznik Lukasz zatarł ręce:

— Teraz, mój Szwejku, amen z wami.

Podszedł do biurka, napisał na kawałku papieru kilka wierszy, zawołał wartownika sprzed kancelarii, kazał odprowadzić Szwejka do profosa i oddać mu kartkę.

Szwejka odprowadzono przez dziedziniec i nadporucznik z nieukrywaną radością spoglądał, jak profos otwiera drzwi, na których widniała czarno-żółta tabliczka: *Regimentsarrest*. Za tymi drzwiami zniknął Szwejk z profosem, a po chwili profos wyszedł nimi — sam.

— Chwałaż Bogu, już siedzi! — zawołał nadporucznik z uczuciem ulgi.

W mrocznej głodomorni koszar Mariańskich bardzo serdecznie przywitał Szwejka jednoroczny ochotnik, leżący na sienniku. Był jedynym więźniem i nudził się już drugi dzień. Na pytanie Szwejka, za co siedzi, odpowiedział, że za drobiazg. Przez pomyłkę dał po łbie pewnemu porucznikowi artylerii. Stało się to w nocy na rynku pod filarkami i w stanie pijanym. Właściwie nawet nie dał mu po łbie, ale zrzucił mu jedynie czapkę z głowy. Stało się to dlatego, że ten porucznik artylerii stał w nocy pod filarkami i czekał widać na jakąś dziewczynę. Stał odwrócony do niego tyłem i bardzo mu przypominał pewnego znajomego jednorocznego ochotnika, Franka Maternę.

— Tamten taki szczeniak — opowiadał Szwejkowi towarzyszy więzienny — więc podszedłem do niego po cichu, zrzuciłem mu czapkę i rzekłem: — Servus, Franek! — A ta małpa zaczęła zaraz gwizdać na patrol i zabrali mnie.

— Ostatecznie być może — dopuszczał jednoroczny ochotnik — że przy tej awanturze i w zamęcie dostał facet w łeb, ale ten fakt nic w sytuacji nie zmienia, ponieważ mamy do czynienia z najwyraźniejszą pomyłką. On sam przyznaje, że zawołałem: — Servus, Franek! — A jego imię chrzestne jest

Antoni. To chyba jasne. Zaszkodzić może mi chyba tylko to, że uciekłem ze szpitala, a jeśli wyda się rzecz z „krankenbuchem“.

Bo to było tak — opowiadał dalej jednoroczny ochotnik. — Kiedy zostałem powołany do wojska, to wynająłem pokój w mieście i starałem się dostać reumatyzmu. Trzy razy z rzędu wysmarowałem się czym trzeba, a potem położyłem się w rowie za miastem w czasie deszczu i zdjąłem buty. Wszystko na nic. Więc zacząłem się kąpać zimą w Malszy i przez cały tydzień się kąpałem, ale zamiast się zaziębić, tak się, kolego, zahartowałem, że przez całą noc mogłem się wylegiwać na podwórzu w śniegu, a gdy mnie rano budzili, to nogi miewałem tak ciepłe, jakbym nosił filcowe buty. Żeby choć zapalenie gardła: nic i nic! Nawet głupiego trypra dostać nie mogłem. Co dzień chodziłem do Port-Artura, niektórzy koledzy podostawiali już zapalenia jąder, a ja ciągle nic. Pech, kolego, niechrześcijański. Aż razu pewnego poznałem się z mądrym inwalidą z Hlubokiej. Zaprosił mnie, żebym do niego zaszedł której niedzieli, to na drugi dzień będę miał nogi jak konewki. Miał w domu igiełkę i strzykawkę, i rzeczywiście, ledwo dowlokłem się od niego do domu. Nie zawiodła mnie ta złota dusza. Nareszcie więc jednak zbębniłem reumatyzm stawowy. Zabrali mnie, bratku, do szpitala i zaczęło się używanie na cały regulator. A następnie szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz drugi. Do Budziejowic został przetranslokowany mój pociotek jakiś, doktor Masak z Żyżkowa, i jemu mogłem dziękować za to, że tak długo utrzymałem się w szpitalu. Byłby mnie szczęśliwie doprowadził aż do superarbitracji, gdybym sobie nie był zepsuł całej sprawy tym nieszczęsnym „krankenbuchem“. Myśl, oczywiście, była kapitalna, wyborna. Kupiłem dużą księgę, przyklepiłem do niej kartkę i wymalowałem na kartce: *K r a n k e n b u c h d e s 91 R e g.* Rubryki i wszystko inne było w porządku. Nawypisywałem ile włożyło nazwisk fikcyjnych, powyznaczałem stopnie gorączki, powymieniałem

choroby, i dzień w dzień po wizycie poobiedniej zuchwale wychodziłem na miasto z księgą pod pachą. W bramie stali na warcie landwerzyści, tak że i z tej strony nie było niebezpieczeństwa. Pokazałem księgę, zasalutowali i basta. Następnie szedłem sobie do pewnego znajomego urzędnika skarbowego, przebierałem się w cywil i siadywałem w miłym szyncku, gdzie w kole znajomych zdradzaliśmy monarchię myślą, wolą i słowem. Wreszcie tak się rozzuchwaliłem, że nawet się nie przebierałem w cywil i włóczyłem się w uniformie po szynkach i po mieście. Na łóżko do szpitala powracałem dopiero nad ranem, a jeśli zatrzymywał mnie patrol, to pokazywałem „krankenbuch“ 91 pułku i już mnie nikt o nic nie pytał. W bramie szpitala też pokazywałem swoją księgę i jakoś szczęśliwie dostawałem się zawsze do łóżka. Zuchwałość moja rosła coraz bardziej: zdawało mi się, że już nikt mi nic zrobić nie może, aż doszło do fatalnej pomyłki w nocy pod filarkami. Okazuje się, że żadne dostojęństwo nie zabezpiecza człowieka przed upadkiem. Pycha poprzedza zagładę, kolego. Ludzka sława, polna trawa. Ikar opalił sobie skrzydła. Człowiek myśli, że jest gigantem, a jest gówniarzem, kolego. Nie trzeba wierzyć w szczęśliwe przypadki, sprać się co dzień z rana i wieczorem po pysku i przypominać sobie, że ostrożność nigdy nie zawadzi, i że co za dużo, to niezdrowo. Po bachanaliach i orgiach zawsze przychodzi K a t z e n j a m m e r moralny. To jest jedno z praw przyrody, drogi przyjacielu. I pomyśleć, że popsulem sobie superarbitrację, że mogłem przecie zostać uznany jako f e l d d i e n s t u n f ä h i g !... Taka ogromna protekcja! Mogłem sobie, bracie, żyć i tyć w jakiej kancelarii komendy uzupełnień, ale nieostrożność moja podcięła mi nogi.

Spowiedź swoją zakończył jednoroczny ochotnik bardzo uroczyście:

— Przyszła kolej i na Kartago, z Niniwy pozostały ruiny. Ale uszy do góry, przyjacielu! Niech sobie nie myślą, że gdy pošlą mnie na front, to będę strzelał. R e g i m e n t s r a p o r t !

Wyrzucenie ze szkoły! Niech żyje c. i k. kretynizm! Jeszcze czego! Będę siedział w szkole i zdawał egzaminy! Kadet, fehnrych, lejtnant, oberlejtnant! Sram na wszystko! Offizierschule. Behandlung jener Schüler derselben, welche einen Jahrgang repetieren müssen! Paraliż wojskowy. Czy karabin nosi się na prawym ramieniu, czy na lewym? Ile gwiazdek ma kapral? Evidenzhaltung der Militärreservemänner! — Himmelherrgott, nie ma nic do palenia, kolego! A może chcesz pan się nauczyć pluć na sufit? Patrz pan, to się robi tak. Gdy się przy tym wypowiada jakie życzenie to takie życzenie się spełni. Jeśli kolega lubi piwo, to mogę mu polecić wyborną wodę w tym oto dzbanie. Jeśli jesteście głodni i chcecie dobrze podjeść, to polecam „Mieszczaną Besedę“. Dobrze też jest pisywać wiersze dla odpędzenia nudy. Ja już ułożyłem tu epepeję:

Co robi profos? Drzemka poobiednia
Spadła na świetnej armii środowisko,
Aż nowy befel przyjdzie potem z Wiednia,
Ze diabli wzięli znów pobojowisko.
Przeciw napaściom czarnej zdrady
Z prycz wznosi profos barykady,
A z ust mu pieśń rozgłośna płynie,
Serce się w jurny puszcza tan:
Austria nigdy nam nie zginie,
Niech żyje najjaśniejszy pan!

— Widzicie kolego — mówił dalej tłusty jednorocznik — ludzie wygadują, że w narodzie zanika miłość i szacunek dla naszej najmilszej monarchii. Oto więzień, który nie ma co palić i na którego czeka regimentsraport, składa najgłębszy dowód przywiązania do tronu. W pieśniach swoich wyraża hołd swojej szerszej ojczyźnie, której ze wszystkich stron zagrażanie. Pozbawiono go wolności, ale z ust jego płyną wiersze niezachwianej wierności. *Morituri te salutant, caesar!* Umierający pozdrawiają cię, cesarzu! Ale profos, to drab.

Ładnych grandziarzy podobierałeś sobie, cesarzu, na swoje usługi! Onegdaj dałem mu pięć koron, żeby mi kupił papierosów, a on, podlec, powiada mi dzisiaj rano, że palić tu nie wolno, że miałyby z tego powodu przykrości i że tych pięć koron odda mi, jak tylko dostanie żołąd. Tak to, przyjacielu. Dzisiaj nie wierzę nikomu. Najszczytniejsze zasady zachwiały się. Okradać więźniów, co za ohyda! I jeszcze do tego wszystkiego ten drab śpiewa przez cały dzień:

Wo man singt, da leg dich sicher nieder,
Böse Leute haben keine Lieder.

Nikczemnik, łobuz, łotr, zdrajca!

Jednoroczny ochotnik zapytał z kolei o winę Szwejka.

— Szukanie regimentu? — rzekł. — Ładny kawał drogi! Tabor, Milewsko Kwietow, Wraż, Malczyn, Czyżowa, Sedlec, Horaźdiowice, Radomyśl, Putim, Pisek, Budziejowice. Ciernista droga. I macie z tego jutro regimentsraport? A więc na szafocie się spotkamy, miły bracie. Jakąż to uciechę musi mieć z tego wszystkiego nasz oberst Schröder. Nie macie pojęcia, jak działają na niego wszystkie afery pułkowe. Biega po dziedzińcu jak wściekły brytan i wywiesza jęzor jak zgoniona kobyła.

A jak on umie gadać, napominać! Przy takiej sposobności pluje dokoła siebie jak uśliniony wielbłąd. I nie ma końca temu gadaniu, chociaż zdaje się, że za chwilę muszą się zwalić całe koszary Mariańskie. Znam go dobrze, bo już raz miałem taki miły regimentsraport. Stawiłem się do wojska w butach z cholewami, a na głowie miałem cylinder, ponieważ zaś krawiec nie uszył mi uniformu na czas, więc razem ze szkołą jednorocznych ochotników poszedłem na plac ćwiczeń w butach z cholewami i w cylindrze, stanąłem w szeregu i maszerowałem razem ze wszystkimi na lewym skrzydle. Oberst Schröder podjechał do mnie na koniu i mało co mnie nie przewrócił. — *Donnerwetter!* — wrzasnął tak głośno, że go chyba dosłyszeli aż na Szumawie. — *Was machen*

sie hier, sie Zivilist? — Odpowiedziałem mu grzecznie, że jestem jednorocznym ochotnikiem i że biorę udział w ćwiczeniach. Pojęcia nie macie, co się wtedy działo. Gadał przez pół godziny i dopiero potem zauważył, że salutuję w cylindrze. Krzyknął już tylko, że jutro mam się stawić do regimentraportu, i popędził na koniu Bóg raczy wiedzieć dokąd, jak jaki zdziczały cowboy. Ale zawrócił i znowu wrzeszczał, szalał, bił się w piersi i kazał stante pede zabrać mnie z placu ćwiczeń i zaprowadzić na odwach. Przy regimentraporcie wlepił mi dwa tygodnie koszarówki, kazał mnie ubrać w jakieś niemożliwe szmaty ze składu, groził, że każe mi odpruć naszywki.

— Jednoroczny ochotnik — bałwanął się ten idiota — to jest coś wzniosłego! Jest to embrion sławy, dostojęństw wojskowych bohaterstwa. Jednoroczny ochotnik Wohltat został mianowany kapralem, zameldował się natychmiast na front i wziął do niewoli piętnastu nieprzyjaciół, a przy oddawaniu ich został rozszarpany przez granat. W pięć minut nadszedł rozkaz, że jednoroczny ochotnik Wohltat został mianowany kadetem. I pan miałby możność dokonania takich czynów, które otwierają drogę ku świetnej przyszłości, ku awansom, odznaczeniom, a imię pańskie mogłoby zostać wpisane do złotej księgi pułku.

Jednoroczny ochotnik splunął.

— Widzicie, kolego, jakie to bydlątka rodzą się pod słońcem. Ja pluję na wszystko i na wszystkie przywileje. — Pannie jednoroczny ochotniku, pan jest bydlę! — Jak to cudnie brzmi: — Pan jest bydlę! A nie tak po prostacku: — Jesteś bydlę. — A po śmierci dostaniesz, bratku, signum laudis albo wielki srebrny medal. C. i k. dostawcy trupów z gwiazdkami i bez gwiazdek. O ileż szczęśliwszy jest każdy wół! Zabijają go w szlachtuzie i nie pędzą po placu ćwiczeń i na Feldschiessen.

Tłusty jednoroczny ochotnik przewalił się na drugi siennik i mówił dalej:

— Nie ulega wątpliwości, że to wszystko musi się kiedyś urwać, bo takie rzeczy nie mogą trwać wiecznie. Spróbujcie świnie nadać sławą, to pęknie. Gdybym został wyprawiony na front, to na wagonie wypisałbym:

Ludzkimi kośćmi użyźniamy łąn:

Acht Pferde oder achtundvierzig Mann.

Otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się profos, przynoszący po ćwiartce komiśniaka i świeżą wodę.

Leżąc na sienniku jednoroczny ochotnik powitał profosa taką przemową:

— Jakie to piękne i wzniosłe zadanie: więźniów nawiedzać! O święta Agnieszko dziewięćdziesiątego pierwszego pułku! Witaj nam, aniele dobroczynności, którego serce pełne jest współczucia! Obciążony jesteś kosztami jadła i napojów, abys zlagodził niedolę naszą. Nigdy nie zapomnimy tych dobrodziejstw, jakie nam wyświadczasz. Jesteś promiennym zjawiskiem w mrokach więzienia naszego.

— Przy regimentsraporcie odechce się panu żartować — mamrotał profos.

— Nie nadymaj się, żabo — odpowiedział jednoroczny ochotnik. — Przyznaj się raczej, że bardzo ci miło dręczyć ochotników. Nie gap się na nas tak głupio, kluczniku koszar Mariańskich! Dopieroż byś sobie używał, żeby ci tak dali władzę nad jednorocznymi ochotnikami. Jezus, Maria, żeby ja był ministrem wojny, nauczyłbym ja was moresu! A czy ty wiesz, że kąt padania równa się kątowi odbicia? O jedno cię tylko proszę: wskaż mi jeden punkt stały we wszechświecie, a dźwignę całą ziemię razem z tobą, pokrako!

Profos wybałuszył oczy, otrząsnął się i zatrzasnął drzwi.

— Stowarzyszenie wzajemnej pomocy dla wytępienia profosów — rzekł jednoroczny ochotnik, łamiąc chleb sprawiedli-

wie na dwie części. — Podług paragrafu szesnastego przepisów więziennych, więźniowie w koszarach aż do wyroku powinni otrzymywać menaż wojskową, ale tutaj panuje prawo prerii: kto się pierwszy dorwie, ten pierwszy zeźre.

Siedzieli z Szwejkiem na pryczy i żuli komiśniak.

— Na profosie widać wyraźnie — wywodził dalej jednoroczny ochotnik — jak wojna brutalizuje każdego. Człowiek ten, zanim wstąpił do wojska, był młodym, zacnym idealistą, płowowłosym cherubinem, tkliwym i czułym dla każdego, obrońcą nieszczęśliwych, który zawsze stawał do rzetelnych bijatyk, gdy mu ktoś chciał wziąć dziewczynę sprzed nosa podczas kiermaszu w stronach ojczystych. Niezawodnie wszyscy otaczali go szacunkiem, a dzisiaj...? Miły Boże, przecież chce mu się dać w pysk, tłuc jego łeb o pryczę i rzucić go na ten łeb do latryny. Ale i to, co mówię, jest, przyjacielu, dowodem brutalizacji uczuć i myśli przy rzemiośle wojennym.

Zaczął śpiewać:

Ani diabła się nie bała,
Aż ci spotkał ją kanonier...

— Drogi przyjacielu — wywodził dalej — gdy się rozglądamy w tym wszystkim z punktu widzenia naszej kochanej monarchii, to niezmiennie dochodzimy do wniosku, że z tą monarchią jest tak samo jak ze stryjaszkiem Puszkina, o którym ten poeta napisał, że ponieważ stryjaszek jest zdechlak, więc nie pozostaje nic innego, tylko:

...wzdychać i myśleć, wcięż to jedno,
Kiedyż cię wreszcie diabli wezmą...

Klucz zachrobotał w zamku ponownie i profos stojąc na korytarzu zapalał lampkę naftową.

— Promyczek światła w mrokach nocy! — wołał jednoroczny ochotnik. — Światłość ogarnia armię! Dobranoc, panie profosie! Niech pan się kłania wszystkim szarżom. Przyjemnych marzeń! Śnij, dobry człowieku, choćby o tym, że już od-

dałeś mi tych pięć koron, które dałem ci na papierosy, a które przepiełeś za moje zdrowie. Lulaj słodko, bestio!

Słychać było tylko, jak profos mamrotał coś o jutrzejszym regimentraporcie.

— Znów jesteśmy sami — rzekł jednoroczny ochotnik. — Teraz kilka chwil przed zaśnięciem poświęcę rozmyślaniom o tym, jak z każdym dniem stają się coraz bogatsze zoologiczne wiadomości szarż podoficerskich i oficerskich. Aby poprzerabiać ludzi na nowy i cenny materiał wojenny, a smakowite kąski dla armat, na to potrzeba obszernych studiów przyrodniczych, a przynajmniej książki wydanej przez Koczego pod tytułem: „Źródła dobrobytu gospodarczego“, w którym to dziele na każdej stronicy spotyka się słowa takie jak: bydlę, prosię, świnia. Ale w czasach ostatnich daje się zauważyć, że nasze postępowe koła wojskowe zaprowadzają nowe nazwy dla rekrutów. W kompanii jedenastej kapral Althof używa takich słów jak koza engadyńska, frajter Müller, niemiecki nauczyciel z gór Kasperskich nazywa rekrutów czeskimi śmierdzielami, sierżant Sondernummer — nadętymi żabami i yorkshirskimi kierdakami i stale obiecuje, że każdego rekruta wypcha. Używa przy tym takich fachowych zwrotów, jakby się wywodził z rodu zawodowych wypychaczy zwierząt. Wszyscy przełożeni wojskowi starają się zaszcześcić miłość dla szerszej ojczyzny takimi środkami, jak ryk i taniec dokoła rekrutów, wrzask wojenny, przypominający dzikusów afrykańskich, zabierających się do ściągania skóry z niewinnej antylopy albo do pieczenia udźca misjonarza, przygotowanego do zjedzenia. Oczywiście, że taka pedagogia nie dotyczy Niemców. Gdy sierżant Sondernummer mówi coś pięknego o „saubandzie“, to zaraz dodaje do tego: die tschechische, żeby się Niemcy nie obrazili i nie wzięli tych słów do serca jako skierowanych do nich. Nadto wszystkie szarże jedenastej kompanii wywracają oczy jak jaki biedny pies, który przez żarłoczność połknie gąbkę namoczoną w oleju i nie może jej zwo-

mitować. Pewnego razu słyszałem rozmowę frajtra Müllera z kapralem Althofem na temat wojskowego wyćwiczenia landwerzystów. W rozmowie tej wyróżniały się osobliwie takie słowa, jak: *Paar Ohrfeigen*. Zrazu myślałem, że między nimi doszło do zatargu i że rwie się niemiecka jedność wojskowa, ale myliłem się oczywiście. Chodziło jedynie o żołnierzy.

— Kiedy taka czeska świnią — wywodził roztropnie kapral Althof — nawet po trzydziestu: padnij! — nie nauczy się stać równo jak świeca, to nie dość sprać ją po pysku. Grzmotnij go grzecznie jedną pięścią pod żebra, a drugą wpakuj mu czapkę na uszy i skomenderuj: *Ke h r t e u c h!* Gdy się odwróci, to go kopnij w zadek i zobaczysz, jak się taki będzie przeciągał i jak się będzie śmiał *F ä h n r i c h* Dauerling.

— Ale muszę wam, kolego, powiedzieć coś o Dauerlingu — mówił jednoroczny ochotnik dalej. — Rekruci jedenastej kompanii opowiadają sobie o nim takie rzeczy, jakie opowiadać musi czcigodna staruszka, mieszkająca na fermie w pobliżu granicy meksykańskiej, o jakimś sławnym bandycie. Dauerling ma opinię ludożercy z jednego ze szczepów australijskich, pożerających członków innych szczepów, gdy który z nich dostanie się w ich ręce. Jego kariera życiowa jest wspaniała. Wkrótce po jego urodzeniu niańka przewróciła się i mały Konrad Dauerling uderzył się w główkę tak mocno, iż jeszcze dzisiaj na głowie jego widać spłaszczenie, jakby kometa zderzyła się z północnym biegunem ziemi. Wszyscy wątpili, czy z niego coś będzie, jeśli nawet przetrzyma to mocne wstrząśnienie mózgu. Tylko ojciec jego, pułkownik, nie tracił nadziei i twierdził, że bynajmniej szkodzić mu to nie może, ponieważ, rzecz prosta, młody Dauerling, jak tylko podrośnie, poświęci się służbie wojskowej. Po straszliwej walce z czterema klasami niższego gimnazjum realnego, które przeszedł trybem domowym, przy czym przedwcześnie posiwiął i zidiociał pierwszy jego nauczyciel domowy, a drugi zrozpaczony, chciał po-

pełnić samobójstwo przez zeskoczenie z wieży kościoła św. Szczepana, dostał się młody Dauerling do hainburskiej szkoły kadetów. W szkole tej nigdy nie zwracano uwagi na wykształcenie przedwstępne, bo takie wykształcenie może austriackiemu oficerowi służby czynnej najwyżej przeszkadzać. Ideału wojskowego dopatrywano się jedynie w zabawie w żołnierzyki. Wykształcenie uszlachetnia duszę, a tego w wojsku nikomu nie potrzeba. Im oficer brutalniejszy, tym lepszy.

Wychowanek szkoły wojskowej, Dauerling, nie wyróżniał się nawet w tych przedmiotach, które najgorsi uczniowie opanowywali jako tako. I w szkole wojskowej widoczne były ślady tego, że Dauerling w dzieciństwie upadł na główkę.

Jego odpowiedzi podczas egzaminów wyraźnie mówiły o skutkach tego nieszczęścia i odznaczały się taką głupotą, że uważane były wprost za klasyczne dla swojej głębokiej idiotyczności i tępoty. Profesorowie szkoły nie nazywali go inaczej, jak *unser braver Trottel*. Jego głuptactwo było tak olśniewające, iż istniała uzasadniona nadzieja, że po kilku dziesiątkach lat dostanie się do Terezjańskiej Akademii Wojskowej czy może nawet do ministerstwa wojny.

Po wybuchu wojny, gdy wszyscy młodzi kadeci awansowali na chorążych, dostał się na arkusz hainburskich mianowańców także i Konrad Dauerling i przydzielony został do dziewięćdziesiątego pierwszego pułku.

Jednoroczny ochotnik odsapnął i opowiadał dalej:

— Nakładem ministerstwa wojny wysła książka *Drill oder Erziehung*, a w tej książce doczytał się Dauerling, że żołnierzy należy terroryzować. Im więcej strachu puszcza się na żołnierzy, tym lepsze rezultaty. W terroryzowaniu żołnierzy miał Dauerling wielkie powodzenie. Żołnierze, aby uniknąć słuchania jego ryku, całymi plutonami zgłaszali się jako chorzy, co oczywiście nie na wiele im się zdało, bo kto meldował się jako chory dostawał trzy dni *verschärft*. Czy wiecie, kolego, co to znaczy *verschärft*? Przez całą

dzień pędzają człeka po placu ćwiczeń, a na noc go jeszcze wsadzają do paki. Toteż w oddziale Dauerlinga chorych nie było: siedzieli po prostu w pace. Dauerling na placu ćwiczeń zachowuje stale ten niewymuszony ton konwersacyjny, którego słownik zaczyna się wyrazem „świnia“, a kończy się dziwaczną mieszaniną zoologiczną: „świńskim psem“. Przy tym jest wszakże bardzo liberalny i pozostawia żołnierzom swobodę wyboru. — Co chcesz, słoniu — mawia — parę razy w ryj czy trzy dni verschärft? — Jeśli ktoś wybiera verschärft, to i tak dostaje dwa razy kułakiem w nos, do czego Dauerling dodaje zwykle takie wyjaśnienie: — Ach, ty nędzny tchórz, boisz się o swój ryj, a cóż będziesz robił gdy zacnie grać ciężka artyleria?

Pewnego razu gdy rekrutowi jakiemuś wybił oko, wyraził się:

— Pah, was, für Geschichte mit einem Kerl. Er muss so wie so krepieren. — To samo mawiał feldmarszałek Konrad von Hötzen Dorf: — Die Soldaten müssen so wie so krepieren.

Bardzo skutecznym i ulubionym środkiem pedagogicznym Dauerlinga jest ten, że przed wykładami swymi zwołuje czeskich szeregowców i mówi im o wojskowych zadaniach Austrii, przy czym ogólne zasady wychowania wojskowego ilustruje przykładami, poczynając od słupka a kończąc na szubienicy albo na rozstrzelaniu. Na początku zimy, zanim dostałem się do szpitala, miewaliśmy ćwiczenia na placu ćwiczeń obok jedenastej kompanii, a kiedy był odpoczynek, Dauerling wygłosił przemówienie do swoich czeskich rekrutów:

— Ja wiem — powiada — że jesteście łobuzy i że trzeba wam powybić z głowy wszelkie błazeństwa. Z językiem czeskim nie dostaniecie się nawet pod szubienicę. Nasz najwyższy wódz i pan też jest Niemiec. Słyszeliście? Himmellaudon, nieder!

Wszyscy padają na komendę, a podczas gdy leżą na ziemi, Dauerling przechadza się przed nimi i przemawia:

— Jak mówię nieder, to nieder, wy hołoto, choć byście w tym błocie zgnić mieli. Nieder było już w starożytnym Rzymie. Wtedy wszyscy musieli służyć od roku siedemnastego do sześćdziesiątego, a w polu służono przez lat trzydzieści. Nikt nie piecuchował po koszarach, jak te świnie dzisiejsze. I wtedy też był jednolity język wojskowy i rzymska komenda. Panowie oficerowie byliby nauczali żołnierzy moresu, gdyby ci próbowali mówić *etrurisch*. Ja też żądam, żebyście wszyscy odpowiadali po niemiecku, a nie takim swoim cygańskim żargonem. No, widzicie, jak ładnie leży się w błocie. Wyobraźcie sobie, co by to było, gdyby któremu z was nie chciało się leżeć dalej i wstałby. Co bym z takim zrobił? Rozdarłbym mu pysk od ucha do ucha, ponieważ byłoby to naruszeniem subordynacji, buntem, rękoszem, wykroczeniem przeciwko obowiązkom porządnego żołnierza, naruszeniem rygoru i dyscypliny, okazaniem pogardy dla wszelkich przepisów w ogóle, z czego wynika, że na takiego draba czeka stryczek i *Verwirkung des Anspruches auf die Achtung der Standesgenossen*.

Jednoroczny ochotnik zamilkł, a po chwili, kiedy niezawodnie ułożył sobie schemat dalszego wykładu o życiu koszarowym, mówił dalej:

— Był taki jeden kapitan Adamiczka, człowiek zupełnie apatyczny. Kiedy siedział w kancelarii, to zazwyczaj spoglądał w pustkę jak jaki łagodny wariat i miał taki wyraz twarzy, jakby chciał rzec: — Zeżryjcie mnie, muchy. — Przy batalionsraporcie myślał widać o niebieskich migdałach. Pewnego razu zameldował się do batalionsraportu żołnierz z kompanii jedenastej ze skargą, że chorąży Dauerling na ulicy nazwał go czeską świnia. Żołnierz ten był w cywilu introligatorem, a nadto uświadomionym działaczem narodowym.

— A więc tak się rzeczy mają — rzekł kapitan Adamiczka głosem cichym, bo on zawsze mówił bardzo cicho. — Tak się o was wyraził na ulicy. Trzeba sprawdzić, czy mieliście prawo opuszczać koszary. *Abtreten!*

— Zostało ustalone — rzekł i tym razem tak cicho jak zazwyczaj — że owego dnia mieliście prawo opuścić koszary i bawić na mieście do godziny dziesiątej. I dlatego karany nie będziecie. *Abtreten!*

O tym kapitanie Adamiczce mawiano później, że to człowiek sprawiedliwy, więc, kochany kolego, wyprawiono go w pole, a zamiast niego przybył tutaj major Wenzl. A ten major Wenzl, to był pieski syn i umiał sobie radzić z różnymi szukanami narodowościowymi. Otóż ten major zabrał się do Dauerlinga. Ożeniony jest z Czeszką i niczego się tak nie boi jak sporów narodowościowych. Kiedy przed laty służył w Kutnej Horze jako kapitan, zwymyślał po pijanemu starszego kelnera i nazwał go czeską hołotą. Zwracam uwagę kolegi, że w towarzystwie major Wenzl mówił wyłącznie po czesku i że synowie jego kształcili się w szkołach czeskich. Słówko wyleciało wróblem, a do gazet dostało się wołem, a jakiś poseł wniósł w wiedeńskim parlamencie interpelację z powodu niewłaściwego zachowania się majora Wenzla w hotelu. Wenzl miał z tego powodu grube nieprzyjemności, ponieważ było to akurat w czasie uchwalania budżetu wojskowego i pijany kapitan z Kutnej Hory wlaź w debaty parlamentarne, jak jaki słoń do sklepu z porcelaną.

Później kapitan Wenzl dowiedział się, że wszystkie te przykrości zawdzięcza pewnemu jednorocznemu ochotnikowi, zastępcy kadeta, Zitkowi. To on podał o wszystkim do gazet, bo między nim a kapitanem Wenzlem istniało nieprzyjemne napięcie od czasu, gdy ten jednoroczny ochotnik razu pewnego zaczął się zachwycać wspaniałością przyrody i w obecności Wenzla wywodził, że dobrze jest rozejrzeć się dookoła po boskiej naturze, przyglądać się chmurom przesłaniającym ho-

ryzont, górom wspinającym się ku niebu i wsłuchiwać się w huk wodospadów w lasach i w śpiew ptasząt.

— Dość jest — mówił ów zastępca kadeta, Zitko — zamyslić się nad tym wszystkim, a wtedy widać jasno, czym jest każdy kapitan w porównaniu ze wspaniałością przyrody. Jest to takie samo zero, jak każdy zastępca kadeta.

Ponieważ wszyscy wojskowi panowie byli wtedy wstawieni jak się patrzy, więc kapitan Wenzl chciał nieszczęśliwego filozofa zbić jak konia. Nie zbił go jednak, ale zapamiętał sobie jego wykład filozoficzny i szykanował go, gdzie tylko mógł i jak mógł, a to tym bardziej, że sentencja zastępcy kadeta stała się przysłowiem.

— Czym jest kapitan Wenzl wobec wspaniałości przyrody? — Te słowa powtarzano sobie po całej Kutnej Horze.

— Ja tego łobuza doprowadzę do samobójstwa — mawiał kapitan Wenzl, ale Zitko wystąpił z wojska i w dalszym ciągu studiował filozofię. Od tego czasu wściekłość kapitana Wenzla zwracała się przeciwko młodym oficerom. Nawet porucznik nie jest zabezpieczony przed jego szykanami. O kadetach i chorążych nawet mówić nie warto.

— Wygniotę ich jak pluskwy! — mówi kapitan Wenzl i biada temu chorążemu, który za jakieś drobne wykroczenie pociągałby żołnierza do batalionsraportu. Dla kapitana Wenzla miarodajne jest tylko wielkie i straszliwe wykroczenie, jak na przykład, gdy żołnierz zaśnie na warcie przy prochowni albo dopuści się jeszcze czegoś okropniejszego, to jest, gdy przełazi przez mur koszar Mariańskich i zaśnie na murze u góry, pozwoli się złapać landwerzystom lub artylerzystom patrolującym w nocy, jednym słowem, gdy dopuści się czegoś takiego, co jest hańbą dla całego pułku.

— Na miłość boską! — wrzeszczał pewnego razu na żołnierza, przechodząc przez korytarz — więc już po raz trzeci złapał go patrol landwerzystów. Zaraz mi tego drania załadujcie do paki, trzeba go przepędzić z pułku. Niech sobie idzie

do taborów i niech wozi gnój. I nawet się nie pobił z nimi! To nie żołnierz, ale śmieciarz. Żreć dajcie mu dopiero pojutrze, zabierzcie mu siennik, wpakujcie go do pojedynki i nawet kołdry mu nie dawajcie, takiemu synowi!

A teraz wyobraźcie sobie, przyjacielu, że zaraz po jego translokacji tutaj do nas, ten idiotyczny F ä h n r i c h D a u e r l i n g pociągnął do batalionsraportu pewnego szeregowca za to, że ten nie salutował go, gdy on przejeżdżał z jakąś panienką w dorozce. Opowiadali podoficerowie, że wtedy przy raporcie był dopust boży. Sierżant kancelarii batalionu uciekł z papierami, a major Wenzl ryczał na Dauerlinga:

— Ja to sobie wypraszam, H i m m e l d o n n e r w e t t e r, ja to zakazuję! Wiesz pan, panie F ä h n r i c h, co to jest B a t a l i o n s r a p o r t? B a t a l i o n s r a p o r t, to nie żaden S c h w e i n f e s t! Jakże mógł pana widzieć żołnierz, gdy pan przejeżdżał przez plac miejski! Zapomniał pan o tym, że sam pan uczył żołnierzy, iż cześć oddaje się szarżom, gdy się je spotyka, co nie znaczy wcale, aby żołnierz miał się gapić dookoła, żeby przecie wypatrzeć pana fenrycha przejeżdżającego dryndą po mieście. Niech pan nic nie mówi. B a t a l i o n s r a p o r t to instytucja bardzo poważna. Jeśli żołnierz mówi, że pana nie widział, ponieważ w tej samej chwili oddawał cześć mnie, zwrócony ku mnie, rozumie pan, ku majorowi Wenzlowi, więc nie mógł spoglądać za siebie na dorozkę, w której pan jechał, to temu trzeba wierzyć, jak mi się zdaje. Na przyszłość, proszę pana, aby pan nie zawracał mi głowy takimi drobiazgami.

Od tego czasu Dauerling zmienił się bardzo.

A teraz trzeba się wyspać, bo jutro R e g i m e n t s r a p o r t! — Jednoroczny ochotnik ziewnął. — Chciałem wam, kolego, tylko coś niecoś powiedzieć, co się dzieje w naszym pułku. Pułkownik Schröder nie lubi majora Wenzla, który w ogóle jest dziwadłem niezgorszym. Kapitan Sagner, który prowadzi szkołę jednorocznych ochotników, dopatruje się

w Schröderze wozu doskonałego żołnierza, aczkolwiek pułkownik Schröder niczego się tak nie boi, jak samej myśli, że miałby wyruszyć w pole. Sagner, to chłop chytry i przebiegły i tak samo jak Schröder nie lubi oficerów rezerwowych. Nazywa ich cywilnymi śmierdzielami. Na jednorocznych ochotników spogląda jak na dzikie zwierzęta, z których trzeba porobić maszyny wojenne, ponaszywać im gwiazdek i powysyłać ich na front, aby ich wytłukli zamiast szlachetnych oficerów służby czynnej, potrzebnych na zarybek.

W ogóle wszystko w całej armii gnije i śmierdzi — mówił jednoroczny ochotnik, nakrywając się kołdrą. — Ale dotychczas wystraszone masy jeszcze się nie zorientowały. Z wytrzeszczonymi oczyma idą i pozwalają się siec na makaron, a gdy taki bohater dostanie kulą, to szepnie tylko: — Mamusi... — i po wszystkim. Nie ma bohaterów, ale jest tylko bydło na ubój, a rzeźnikami są generałowie po sztabach. Ale zobaczycie, że w końcu wszystko im się zbuntuje, a wtedy będzie zamęt, jakiego świat nie widział. Dobranoc!

Jednoroczny ochotnik zamilkł, ale po chwili zaczął się kręcić pod kołdrą i zapytał:

— Śpicie, kolego?

— Nie śpię — odpowiedział Szwejk z drugiej pryczy. — Rozmyślam.

— O czym też rozmyślacie, kolego?

— O wielkim srebrnym medalu za męstwo. Medal taki otrzymał pewien stolarz z ulicy Vavry na Królewskich Winohradach, niejaki Mliczko, ponieważ był pierwszym w pułku, któremu na początku wojny granat urwał nogę. Dostał protezę i zaczął się wszędzie chełpić swoim medalem i tym, że jest najpierwszym wojennym kaleką pułku. Razu pewnego przyszedł sobie do „Apolla“ na Winohradach i wdał się w awanturę z rzeźnikami z rzeźni, którzy oderwali mu w końcu tę sztuczną nogę i sprali go nią po łbie. Ten, co mu ją oderwał, nie wiedział, że to jest noga sztuczna i tak się prze-

raził, że omdlał. Na posterunku policyjnym przypięli Mliczkowi nogę jak się patrzy, ale pierwszy kaleka pułkowy tak się rozzłościł na swój medal, że poszedł do lombardu, żeby go zastawić, a tam go zatrzymali. Miał korowody. Istnieje taki jakiś sąd honorowy do sądenia inwalidów wojennych i ten sąd zadecydował, że Mliczko nie jest godzien nosić medal srebrny i kazał odebrać mu także nogę...

— Jak to, i nogę?

— A tak. Pewnego dnia przybyła do niego komisja, oświadczyła mu, że nie jest godzien korzystać ze sztucznej nogi, więc protezę odpięli i zabrali.

Albo i to jest wielki szpas — mówił Szwejk dalej — gdy krewni jakiego poległego dostają raptem taki medal i list, w którym jest napisane, że udziela się im odznaczenia i zaleca się, żeby ten medal zawiesili na honorowym miejscu. Przy ulicy Bożetiecha na Wyszehradzie rozzłościł się pewien ojciec, bo mu się wydawało, że władze kpią sobie z niego, i medal otrzymany w taki sposób zawiesił w wychodku, a policjant, który mieszkał w tym samym domu i korzystał z tego samego wychodka, oskarżył rozszoszczonego ojca o zdradę stanu, no i ucierpiał biedak za swoje rozszoszczenie.

— Z tego wynika — rzekł jednoroczny ochotnik — że wszelka sława polna trawa. Niedawno wydano w Wiedniu „Pamiętnik jednorocznego ochotnika“, a w tym pamiętniku są takie ładne wiersze:

Poległ ochotnik w walce dzielny,
Lecz piękna o nim pieśń powtarza,
Że przykład dał nam nieśmiertelny,
Jak się umiera za cesarza.
Już zwłoki wiozą na lawecie,
Na pierś kapitan medal mu przypina,
Chwała po całym leci świecie,
Monarchia czci swojego syna...

— Czasem zdaje mi się — rzekł jednoroczny ochotnik po krótkim milczeniu — że zamiera w nas duch wojenny. Propo-

nuję więc, drogi przyjacielu, abyśmy w mrokach nocy i w ci-
szy naszego więzienia zaśpiewali pieśń o kanonierze Jaburku.
Podniesie to ducha wojennego. Ale trzeba dobywać głosu,
żeby pieśń była słyszana po całych koszarach Mariańskich.
Z tej racji proponuję, abyśmy stanęli w pobliżu drzwi.

Po chwili w areszcie rozbrzmiewał śpiew, od którego w ko-
rytarzu okna brzęczały:

...Przy armacie stał
I wciąż, i wciąż, i wciąż...
Przy armacie stał
I wciąż ją nabijał.
Leci kula jak szalona,
Oberwała mu ramiona,
A ten ciągle stał,
I wciąż, i wciąż, i wciąż...
Przy armacie stał
I wciąż ją nabijał..

Na dziedzińcu odezwały się kroki i głosy.

— To profos idzie — rzekł jednoroczny ochotnik. — Idzie
z nim lejtnant Pelikan, który dzisiaj ma służbę. Jest to oficer
rezerwy, mój znajomy z „Czeskiej Besedy“. W cywilu jest
rachmistrzem pewnego stowarzyszenia ubezpieczeń. Dostanie-
my od niego papierosów, ale trzeba ryczeć dalej.

I znowu odezwała się pieśń:

Przy armacie stał..

Profos był widocznie wzburzony obecnością oficera pełnią-
cego służbę, więc otworzywszy drzwi zawołał:

— Tu nie żadna menażeria!

— Pardon — odpowiedział jednoroczny ochotnik — tu jest
filia Rudolfinum. Odbywa się koncert na korzyść uwięzio-
nych. Właśnie skończyliśmy numer pierwszy programu: Sym-
fonia wojenna.

— Niech pan zachowuje spokój, panie jednoroczny ochot-
niku — rzekł porucznik Pelikan z udaną surowością. — Wie

pan chyba, że o dziewiątej idzie się na spoczynek i nie wolno robić hałasu. Ten koncert słyhać aż na rynku.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — rzekł jednoroczny ochotnik — że nie jesteśmy należycie przygotowani, więc jeśli razi pana dysharmonia...

— Takie rzeczy wyrabia co wieczór — oskarżał profos swego wroga — i w ogóle zachowuje się bardzo nieinteligentnie.

— Melduję posłusznie, panie lejtnant — odezwał się jednoroczny ochotnik — że chciałbym powiedzieć panu coś w cztery oczy. Niech profos poczeka za drzwiami.

Gdy życzenie jego zostało spełnione, jednoroczny ochotnik rzekł poufale:

— Dawaj, bracie, papierosy!

— Co? Takie lichutkie palisz? Jako lejtnant nie masz nic lepszego? — pytał ochotnik, widząc, że porucznik daje mu papierosy „Sport“. — No, trudna rada. Zostaw nam zapalki i idź z Bogiem.

— Marne papierosiny — rzekł po odejściu porucznika z wielką pogardą ochotnik. — Ale dobra głodnemu psu i mucha. Kurz, bracie, na dobranoc. Jutro czeka nas sąd ostateczny.

Zanim jednoroczny ochotnik ułożył się do snu, zaśpiewał sobie jeszcze melancholijną piosenkę:

Góry, doliny i skały wysokie,
To moi przyjaciele,
A smutki, moja miła dziewczyno,
Nie zdadzą się na wiele...

Jednoroczny ochotnik, przedstawiający pułkownika Schrödera jako potwora, nie miał bezwzględnej racji, bowiem pułkownik Schröder miał szacunek dla sprawiedliwości, a szacunek ten ujawniał się osobliwie po wesołych nocach, które spędzał w hotelu w stałym towarzystwie. Gdy go taka noc zadowolila, bywał nazajutrz najmiłszym człowiekiem. Inaczej bywało, gdy się towarzystwo nie udało.

Podczas gdy jednoroczny ochotnik poddawał życie pułku miazdzącej krytyce, pułkownik Schröder siedział w hotelu w towarzystwie oficerów i słuchał opowieści nadporucznika Kretschmanna, który wrócił z Serbii z chorą nogą (pobodła go krowa). Nadporucznik opowiadał, jak razem z całym sztabem przyglądał się atakowi na pozycje serbskie:

— Tak jest, wybiegli z rowów strzeleckich. Na całej długości dwóch kilometrów przełazą przez przeszkody z drutów kolczastych i rzucają się na nieprzyjaciela. Ręczne granaty za pasem, maski, pod pachą karabiny gotowe do strzału, do ataku. Kule gwizdzą. Pada jeden żołnierz w chwili wyłazenia z rowu strzeleckiego, drugi pada na szańcu, trzeci pada nieco dalej, ale ich towarzysze pędzą naprzód i krzyczą: Hura! Dym i kurz dokoła. A nieprzyjaciel strzela ze wszystkich stron, z rowów, z lejów od granatów i wali do nas z karabinów maszynowych. Znowuż padają żołnierze. Gromadka ludzi rzuca się na nieprzyjacielski karabin maszynowy. Padają wszyscy. Ale towarzysze pędzą naprzód. Hurr! Pada oficer... Nie słychać już karabinów piechoty. Szykuje się coś okropnego. Znowuż pada cały jeden pluton. Słychać nieprzyjacielskie karabiny maszynowe: ratatatata... Pada... Ja... przepraszam panów, ja... dalej mówić nie mogę, bo jestem pijany...

I oficer z bolącą nogą zamilka, kiwa się na krześle i tępo spogląda przed siebie. Pułkownik Schröder uśmiecha się łaskawie i przysłuchuje się, jak kapitan Spira, siedzący w pobliżu, grzmoci pięścią w stół, jakby się chciał klócić, i powtarza coś, co jest bez znaczenia i czego w żaden sposób nie można zrozumieć. Nikt nie wie, o co temu człowiekowi chodzi i co znaczą jego słowa:

— Proszę dobrze uważać. Mamy pod bronią austriackich ułanów landwery, austriackich landwerzystów, bośniackich strzelców, austriackich strzelców, austriacką piechotę, węgierską piechotę, tyrolskich strzelców cesarskich, bośniacką piechotę, węgierskich honwedów pieszych, węgierskich huzarów,

huzarów landwery, strzelców konnych, dragonów, ułanów, artylerię, tabory, saperów, sanitariuszy, marynarzy. Rozumiecie panowie? A Belgia? Pierwsze i drugie powołanie tworzy armię operującą, trzecie powołanie pełni służbę na tyłach armii...

Kapitan Spira huknął pięścią w stół:

— Landwera pełni służbę w kraju podczas pokoju!

Pewien młody oficer, siedzący koło pułkownika, starał się przekonać go o swojej wojskowej bezwzględności i głośno pouczał swojego sąsiada:

— Suchotnicy powinni być wysłani na front, to bardzo zdrowo dla nich, a następnie lepiej, gdy giną chorzy, a zdrowi zostają.

Pułkownik uśmiechał się, lecz nagle spochmurniał i zwracając się do majora Wenzla rzekł:

— Dziwię się, że nadporucznik Lukasz nas unika. Od chwili swego przyjazdu ani razu jeszcze nie był między nami.

— Pisz wierszyki — ironicznie odezwał się kapitan Sagner. — Natychmiast po przyjeździe zakochał się w pani inżynierowej Schreiterowej, z którą spotkał się w teatrze.

Pułkownik okiem ponurym spoglądał przed siebie.

— Podobno umie śpiewać kuplety.

— Już w szkole wojskowej wyśpiewywał ładne kuplety — odpowiedział kapitan Sagner — a co za anegdoty zna! Paluszki lizać. Dlaczego nie bywa między nami, nie wiem.

Pułkownik smutnie potrząsnął głową.

— Dzisiaj nie ma między nami prawdziwego dawniejszego koleżeństwa. Pamiętam, że dawniej każdy z oficerów starał się w miarę możliwości, żeby w kasynie było wesoło. Jeden z kolegów, niejaki nadporucznik Dank, rozbierał się do naga, kładł się na podłodze, wtykał sobie w zadek ogon śledzia i przedstawiał syrenę. Inny znowuż, porucznik Schleisner, umiał strzyc uszami i rzeć jak ogier, potrafił naśladować miauczenie kotów i bzykanie trzmieli. Pamiętam także kapitana Skodaya. Ile ra-

zy zażądaliśmy, zawsze przyprowadzał do kasyna dziewczyny, trzy siostry, a były wytresowane jak psy. Ustawiał je na stole, a one zaczynały przed nami rozbierać się do naga i to w takt batuty. Skoday miał taką małą batutkę i trzeba przyznać, że kapelmistrzem był świetnym. A czego on z nimi nie wyrabiał na kanapie! Kiedyś kazał sprowadzić wannę z ciepłą wodą, ustawić na środku lokalu, a my musieliśmy jeden po drugim kąpać się z tymi dziewczynami, on zaś nas fotografował.

Przy tym wspomnieniu pułkownik Schröder uśmiechał się oblesnie.

— A jakie zakłady robiliśmy w wannie! — mówił dalej mlaszcząc wstrętnie językiem i kręcąc się na krześle. — A dzisiaj? Czy to jest rozrywka? Nawet marnego kuplecisty nie ma. I pić młodszy oficerowie też już nie umieją. Do północy jeszcze daleko, a przy stole już pięciu pijanych, jak sam pan widzi. Bywało tak, że siedzieliśmy razem po dwa dni z rzędu, a im więcej piliśmy, tym byliśmy trzeźwiejsi. A zło-pało się wszystko co popadło: piwo, wino, likiery. Dzisiaj nie ma już tego dawnego prawdziwego ducha, wojennego. Diabli wiedzą, co się porobiło. Nie ma dowcipu, tylko takie głupie głędzenie bez końca. Niech pan słucha, co tam na końcu stołu opowiadają sobie o Ameryce.

Z końca stołu odzywał się czyjś głos poważny:

— Ameryka nie może rozpoczynać wojny. Amerykanie i Anglicy, to największy wrogowie. Ameryka nie jest przygotowana do wojny.

Pułkownik Schröder westchnął:

— Tak mogą głądzić tylko oficerowie rezerwy. Diabli nam tu ich nadali. Jeszcze wczoraj pisał taki człeczyna w jakim banku albo zawijał w papierek pieprz, angielskie ziele, cynamon i pastę do obuwia, a w najlepszym razie opowiadał dzieciom w szkole, że głód wypędza wilka z lasu, a dzisiaj chce być podobny do oficera służby czynnej, udaje, że na wszystkim się zna, i we wszystko wtyka nos. A chociaż mamy dość oficerów

służby czynnej, to taki na przykład Lukasz unika naszego towarzystwa.

Pułkownik Schröder poszedł do domu w usposobieniu jak najgorszym, a gdy się rano przebudził, usposobienie jego pogorszyło się jeszcze, bo w gazetach, które podano mu do łóżka, przeczytał kilka wiadomości z frontu, że wojska nasze znowu cofnęły się na pozycje z góry upatrzone. Były to pełne chwały dni armii austriackiej, jak dwie krople wody podobne do tych dni, w których brała ona generalne łanie w Serbii.

I z takimi właśnie pomieszаныmi uczuciami przystąpił o godzinie dziesiątej rano do sprawy, którą jednoroczny ochotnik nazwał dość trafnie sądem ostatecznym.

Szwejk i jednoroczny ochotnik stali na dziedzińcu w oczekiwaniu pułkownika. Znajdowali się tam już wszyscy podoficerowie, oficer pełniący służbę, adiutant pułku i sierżant kancelarii pułkowej z papierami winowajców, na których głowy spaść miał topór sprawiedliwości — *Regimentsraport*.

Wreszcie ukazał się ponury pułkownik w towarzystwie kapitana Sagnera ze szkoły jednorocznych ochotników, nerwowo chłuszczący biczykiem cholewy butów.

Przyjął raport i przy grobowej ciszy przeszedł kilka razy obok Szwejka i jednorocznego ochotnika, którzy podrzucali głowami „*rechtschaut*“ i „*linksschaut*“, zależnie od tego, czy pułkownik znajdował się po ich prawej czy lewej stronie. Czynili to bardzo dokładnie i omal że karków nie poskręcali, bo spacer pułkownika trwał dość długo. Wreszcie zatrzymał się pułkownik przed jednorocznym ochotnikiem, który zaczął meldować:

— Jednoroczny ochotnik...

— Wiem — rzekł ostro pułkownik. — Wyrzutek jednorocznych ochotników. Czym pan jest w cywilu? Studentem filologii klasycznej? A więc zapity inteligent...

— Panie kapitanie — zwrócił się do Sagnera — niech pan przyprowadzi całą szkołę jednorocznych ochotników.

— Naturalnie — przemawiał dalej do swojej ofiary — taki jasnie pan student filologii klasycznej, którego my tu musimy uczyć moresu. *K e h r t e u c h*! Oczywiście składki płaszcza nie w porządku. Jakby wyszedł od dziewczki albo tarzał się w bajzlu. Ja wielmożnego pana ochotnika rozkadłubię.

Szkoła jednorocznych ochotników wyszła na dziedziniec.

— Czworobok! — rozkazał pułkownik. Sędzia i podsądni zostali otoczeni.

— Popatrzcie na tego żołnierza — ryczał pułkownik, wskazując biczkiem jednorocznego ochotnika. — Przechłał wasz honor jednorocznych ochotników, z których wychowywać się winny kadry porządných oficerów, wiodących żołnierzy na pole chwały po zwycięstwo. Ale gdzie poprowadziłyby żołnierzy taki pijaczyna, jak ten tutaj? Z knajpy do knajpy wiódlby ich chyba. Cały fasunek rumu wychlałyby szeregowcom. Czy może pan powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie? Nie może pan. Patrzcie na niego. Nic nie ma do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie i jeszcze do tego studiuje w cywilu filologię klasyczną. Prawdziwy klasyczny przypadek.

Pułkownik wymówił te ostatnie wyrazy powoli i z naciśkiem, po czym splunął:

— Filolog klasyczny, który zachlewa się, łązi po nocy i zrzuca oficerom czapki z głowy. *M e n s c h*! Jeszcze całe szczęście, że to był tylko taki sobie oficer artylerii.

W słowach tych wyraziła się cała nienawiść dziewięćdziesiątego pierwszego pułku dla artylerii stojącej w Budziejowicach. Biada artylerzyście, który w nocy wpadł w ręce patrolu piechoty i odwrotnie! Nienawiść była okropna, nieprzejednana *v e n d e t t a*, krwawa mściwość, przekazywana z rocznika na rocznik, ilustrowana z obu stron anegdotami i legendami o tym, jak to piechurzy powrzucałi artylerzystów w Wełtawę lub odwrotnie. Jakie bitwy stoczono w „Port-Arturze“, „Pod różą“ i w innych licznych lokalach południowo-czeskiej metropolii, przeznaczonych na uciechy i radości.

— Tym niemniej — mówił dalej pułkownik — rzecz taka musi zostać przykładnie ukarana, tego draba należy wyłączyć ze szkoły jednorocznych ochotników i zniszczyć go moralnie. Dość już mamy w armii takich inteligentów. *Regimentskanzelen*.

Sierżant zbliżył się do pułkownika z papierami i ołówkiem. Był bardzo poważny i skupiony.

Cisza panowała głęboka, jak w sądzie, gdy na ławie oskarżonych siedzi morderca, a przewodniczący zaczyna odczytywać wyrok.

Takim samym głosem wyrokującym rzekł pułkownik:

— Jednorocznego ochotnika Marka skazuje się: dwadzieścia i jeden dzień *verschärft*, a po odbyciu kary zostaje przeniesiony do kuchni do skrobania kartofli.

Zwracając się ku szkole jednorocznych ochotników, wydał pułkownik rozkaz zszeregowania. Słysząc było, jak ochotnicy sprawnie tworzą czwórki i oddalają się. Ale pułkownik był niezadowolony i rzekł do kapitana Sagnera, że w ruchach tego oddziału nie ma rytmu i że po obiedzie trzeba z nim przerabiać kroki.

Kroki maszerującego wojska muszą grzmieć, panie kapitanie. I jeszcze jedno. Byłbym bez mała zapomniał. Niech pan im powie, że cała szkoła jednorocznych ochotników ma pięć dni koszarówki, żeby żaden z nich nie zapomniał byłego kolegi, tego łobuza Marka.

A łobuz Marek stał sobie koło Szwejka i miał minę człowieka zupełnie zadowolonego. Niczego lepszego nie mógł oczekiwać. Daleko lepiej przecie siedzieć w kuchni i skrobać kartofle czy też modelować pyzy albo ogryzać żeberko, niż z gatkami pełnymi strachu szwendać się pod huraganowym ogniem nieprzyjacielskim i wrzeszczeć na całe gardło:

— *Einzeln abfallen! Bajonett auf!*

Załatwiwszy rzecz z kapitanem Sagnerem, pułkownik Schröder zatrzymał się przed Szwejkiem i popatrzył na niego

bardzo uważnie. Szwejk w tej chwili reprezentował siebie swoją okrągłą uśmiechniętą twarzą, ozdobioną po bokach parą wielkich uszu, sterczących zawadiacko spod wtłoczonej na głowę czapki. Całość wywierała wrażenie bezwzględnego spokoju i nieświadomości jakiegokolwiek winy. Jego oczy pytały:

„Czy zrobiłem coś złego, proszę pana? Czy dopuściłem się czegoś niestosownego?“

Rezultat swej obserwacji zgarnął pułkownik w jedno pytanie, z którym zwrócił się do sierżanta kancelarii:

— Idiota?

— Posłusznie melduję, panie oberst, idiota — odpowiedział za sierżanta Szwejk.

Pułkownik Schröder skinął na adiutanta i odszedł z nim na stronę. Potem zawołał sierżanta i zabrał się do przeglądania papierów Szwejka.

— Aha — rzekł pułkownik Schröder — to jest ten okrzyczany służący nadporucznika Lukasz, który według jego raportu zginął w Taborze. Jestem zdania, że panowie oficerowie sami powinni wychowywać sobie swoich pucybutów. Gdy pan nadporucznik wybrał już sobie takiego notorycznego idiotę, to niech się nim kłopotczy sam. Ma dosyć czasu, skoro nie bywa między nami. Bo i pan nie widuje go przecie w naszym towarzystwie, panie kapitanie? A więc. Ma dosyć czasu i może sobie swego służącego wychowywać na człowieka.

Pułkownik Schröder podeszedł do Szwejka i patrząc w jego pocziwą, zacną twarz rzekł do niego:

— Trzy dni *verschärft*, wy bydlę idiotyczne, a po odbyciu kary zameldujecie się nadporucznikowi Lukaszowi.

Szwejk spotkał się więc ponownie z jednorocznym ochotnikiem Markiem w więzieniu pułkowym. Nadporucznik Lukasz nie wybuchnął radością, gdy pułkownik kazał go wezwać do siebie i rzekł do niego:

— Panie nadporuczniku, przed tygodniem mniej więcej, po przybyciu do pułku złożył mi pan podanie o przydzielenie

panu bursza zamiast tego, który zginął panu w drodze. Ponieważ bursz ten powrócił...

— Panie pułkowniku...! — prosząco jęknął nadporucznik Lukasz.

— Postanowiłem — mówił pułkownik z naciskiem — wsadzić go na trzy dni do paki, po czym odeślę go do pana.

Nadporucznik Lukasz, zmiażdżony tą decyzją, wyszedł z kancelarii pułkownika zataczając się jak pijany.

W ciągu trzech dni, które Szwejk spędził w towarzystwie jednorocznego ochotnika Marka, było mu bardzo dobrze i wesoło na świecie. Dzień w dzień wieczorem urządzali obaj patriotyczne manifestacje na pryczach.

Najprzód rozlegały się słowa hymnu austriackiego, potem „Prinz Eugen der Edle — Ritter“ i wiele innych pieśni żołnierskich, a gdy przychodził do nich profos, to witali go pieśnią najstosowniejszą:

A nasz stary pan profos
Będzie żył lat sporo,
Dopóki go wszyscy diabli
Do piekła nie zabiorą.
Przyjdą po niego
Z ogromną paradą:
— Pójdźże teraz w ciepłej smole
Posmażyć się, dziadu...

Nad pryczą wyrysował jednoroczny ochotnik profosa, a pod rysunkiem wypisał tekst starej znanej piosenki:

Kiedym szedł do Pragi, moja kochana,
Napotkałem w drodze starego Cygana.
Nie był to ci Cygan, jeno profosina:
Uciekajcie, ludzie, od takiego syna.

Podczas zaś gdy obaj drażnili profosa takimi śpiewkami i rysunkami, jak w Sewilli drażnią byków czerwonymi płachtami, nadporucznik Lukasz ze strachem oczekiwał Szwejka, który lada chwila miał się u niego zameldować.

III

Przygody Szwejka w Kiraly-Hida.

Dziewięćdziesiąty pierwszy pułk translokowano do Mostu nad Litawą — Kiraly-Hida.

Upływał trzeci dzień kary Szwejka, który za trzy godziny miał być wypuszczony z aresztu, gdy właśnie przyszła eskorta i razem z jednorocznym ochotnikiem został Szwejk odtransportowany na dworzec kolejowy.

— Już dawno było wiadomo — rzekł w drodze jednoroczny ochotnik — że zostaniemy przeniesieni do Węgier. Tam będą formowane marszbataliony, żołnierze wyćwiczą się w strzelaniu, pobiją się z Madziarami i wesoło pojedą w Karpaty. Tu, do Budziejowic przybędzie załoga madziarska i szczepy będą się mieszały aż miło. Istnieje taka teoria, że gwałcenie kobiet innej narodowości, tō najlepszy środek przeciwko degeneracji. To samo robili Szwedzi i Hiszpanie podczas wojny trzydziestoletniej, Francuzi za czasów Napoleona, a teraz w okolicach Budziejowic to samo robić będą Madziarzy, nie dopuszczając się nawet zbyt brutalnego gwałcenia. Z czasem wyrówna się wszystko. Chodzi tu o prostą wymianę. Żołnierz czeski prześpi się z Madziarką, a biedna czeska dziewczeczka przytuli się do węgierskiego honweda. Zaś po stuleciach niejedyn antropolog

łamać będzie głowę, skąd się wzięły na brzegach Malszy mongolskie kości policzkowe u ludu.

— Co do mieszania się różnych szczepów — wtrącił Szwejk — to dzieją się bardzo ciekawe rzeczy. W Pradze jest jeden kelner z Murzynów, Krystian, którego ojciec był królem abisyńskim i pokazywał się za pieniądze w Pradze na Sztwanicy w jakimś cyrku. Zakochała się w nim pewna nauczycielka, która pisywała wierszyki o pasterzach i strumykach leśnych i drukowała je w czasopiśmie dla ognisk rodzinnych, więc poszła z nim do hotelu i cudzołożyła, jak stoi w Piśmie Świętym, a następnie strasznie się dziwiła, gdy urodził się jej chłopczyk całkiem biały. No tak, ale po dwóch tygodniach dzieciątko zaczęło czerwienieć, a po miesiącu zrobiło się ciemne. Po upływie pół roku chłopczyk był taki czarny jak jego dziadek, król abisyński. Moja nauczycielka poszła ze swoim dzieckiem do kliniki chorób skórnych, żeby jej synka przebarwili, ale tam jej powiedzieli, że ma on na sobie akuratną i rzetelną skórę murzyńską i że nic na to poradzić nie można. Więc jej się od tego wszystkiego pomieszało w głowie i zaczęła listownie rozpytywać się po gazetach, co się robi przeciwko murzyństwu. Dostała się ostatecznie do czubków, a Murzynka zabrano do sierocińca, gdzie wszyscy mieli z niego ogromną uciechę. Ten Murzyn wyuczył się kelnerstwa i chodził po kawiarniach nocnych jako tancerz. Jeszcze dzisiaj rodzą się po nim czescy Mulaci z wielkim powodzeniem i dobrze im z tym, bo już nie są tacy kolorowi, jak on. Pewien medyk, który bywał często „Pod kielichem“, mówił nam, że ta sprawa bynajmniej nie jest taka prosta. Taki mieszaniec płodzi dalej mieszańców, którzy są już we wszystkim podobni do białych, aż raptem w jakimś tam pokoleniu zjawi się nieoczekiwanie Murzyn. Niech pan sobie wyobrazi, co to za miła niespodzianeczka. Żeni się pan z miłą panienką okropnie białą i bęc, rodzi panu Murzyna! Jeśli przypadkiem zdarzyło się jej bywać w jakim Varieté, gdzie odbywały się walki, w których

brał udział jaki Murzyn, to przypuszczam, że w umyśle pańskim zakielkowałaby nieufność.

— Na sprawę pańskiego Murzyna Krystiana — rzekł jednoroczny ochotnik — trzeba spojrzeć także ze stanowiska wojskowego. Przypuśćmy, że ten Murzyn został wzięty do wojska. Jako prażanin służy w dwudziestym ósmym pułku. Słyszał pan już, że pułk dwudziesty ósmy przeszedł do Rosjan. Jakże dziwiliby się Rosjanie, gdyby zabrali do niewoli także Murzyna Krystiana! Gazety rosyjskie pisały niezawodnie, że Austria wysyła już na front swoje wojska kolonialne, że musiała zmobilizować swoje rezerwy murzyńskie.

— Mówili, że Austria ma jakieś kolonie na północy — wtrącił Szejwk. — Jakąś tam ziemię cesarza Franciszka Józefa czy coś takiego...

— Tylko bez polityki, moi panowie — rzekł żołnierz z eskorty. — To bardzo ryzykowne mówić tak obcesowo o jakiejś ziemi cesarza Franciszka Józefa. Nie wymieniajcie niko- go, to będzie lepiej...

— No to niech pan popatrzy na mapę — odezwał się jednoroczny ochotnik — a przekona się pan, że naprawdę istnieje ziemia naszego najmiłościwszego monarchy Franciszka Józefa. Według statystyki jest tam wyłącznie lód, ale rozwożą go po świecie łamacze lodów, należące do praskich lodowni. Ten przemysł lodowy cieszy się po całym świecie wielkim szacunkiem, ponieważ przedsiębiorstwo to jest bardzo korzystne, aczkolwiek trochę niebezpieczne. Największe niebezpieczeństwa trzeba pokonywać przy transporcie lodu z ziemi Franciszka Józefa przez koło polarne. Nietrudno wyobrazić to sobie.

Żołnierz z eskorty mamrotał coś niewyraźnie, a kapral prowadzący eskortę podszedł bliżej i przysłuchiwał się dalszemu wykładowi jednorocznego ochotnika, który z wielką powagą wywodził:

— Ta jedyna kolonia austriacka może dostarczać lodu wszystkim lodowniom europejskim, jest więc znakomitym czynnikiem polityczno-gospodarczym. Kolonizacja czyni tam oczywiście postępy bardzo słabe, ponieważ koloniści po części nie zgłaszają się wcale, po części zaś marzną. Tym niemniej istnieje nadzieja, że przez uporządkowanie stosunków klimatycznych, czym interesuje się ministerstwo handlu, a także ministerstwo spraw zagranicznych, zostaną należycie wyzyskane wielkie płaszczyny lodowcowe. Przez zbudowanie kilku hoteli przyciągnie się wielkie masy turystów. Tylko, że trzeba będzie uporządkować drogi i ścieżki między krami lodowymi i poznaczać lodowce znakami orientacyjnymi dla turystów. Jedyną przeszkodą są Eskimosi, którzy uniemożliwiają pracę naszym organom miejscowym...

Galgany te Eskimosy, nie chcą się uczyć języka niemieckiego — mówił dalej jednoroczny ochotnik, widząc, że kapral przysłuchuje się jego wywodom uważnie. Chciwie pochłaniał wszystko, o czym nie miał najmniejszego pojęcia, a ideałem jego było dosługiwanie się dostępnych mu stopni wojskowych.

— Ministerstwo oświecenia, panie kapralu, zbudowało dla nich kosztem wielkich ofiar szkołę, a przy budowaniu jej zmarzło pięciu architektów.

— Murarze ocaleli — wtrącił Szwejk — gdyż mogli ogrzać się od zapalonych fajek.

— Nie wszyscy jednak — rzekł jednoroczny ochotnik. — Dwom z nich stała się niemiła przygoda, że zapomnieli ciągnąć i fajki pogasły. Musieli nieboraków zakopać w lodzie. Ale w końcu szkoła jednak została zbudowana z cegieł lodowych i żelazobetonu. Jedno z drugim trzyma się świetnie kupy, ale Eskimosi rozpalili ogień dokoła gmachu, używszy do tego drzewa z rozebranych statków handlowych, które zamarzyły były w pobliżu. Osiągnęli wszystko, o co im chodziło: lód, na którym szkoła była zbudowana, stopniał i cała budowla razem z kierownikiem i przedstawicielem rządu, który miał

asystować przy uroczystym poświęceniu szkoły, zwała się w morze. Usłyszano tylko okrzyk: — Gott strafe England! — wzniesiony przez przedstawiciela rządu, gdy już tkwił po brodzie w wodzie. Teraz posła tam niezawodnie wojsko, żeby Eskimosów nauczyć moresu. Rzecz prosta, że walka z nimi będzie bardzo trudna. Najbardziej przeszkadzać będą naszemu wojsku tresowane białe niedźwiedzie.

— Jeszcze tego brakło! — roztropnie zauważył kapral. — I tak już jest za dużo wynalazków wojskowych. Na przykład maski do zatruwania gazami. Naciągniesz sobie taką maskę na głowę i jesteś zatruty, jak nam wykładali w unteroffizierschule.

— Straszili was tylko — odezwał się Szwejk. — Żołnierz nie powinien się bać nigdy i niczego. Gdyby w zapale walki wpadł nawet do latryny, to się tylko obliże i dalej pędzi do gefechtu. A co do gazów trujących, to każdy łatwo przyzwyczaja się do nich w koszarach, gdy dają groch z kaszą i świeży komiśniak. Ale teraz wynaleźli Rosjanie podobno jakiś specjalny sposób na podoficerów...

— A tak, specjalny prąd elektryczny — uzupełnił słowa Szwejka jednoroczny ochotnik. — Prąd ten łączy się z gwiazdkami na kołnierzu i gwiazdki te wybuchają, ponieważ są z celuloidu. Dopieroż będzie ofiar!

Chociaż kapral, jako parobek, miał w cywilu do czynienia przeważnie z wołami, to jednak zrozumiał, że kpią sobie z niego, i oddalił się od kpiarzy na czoło patrolu.

Zresztą zbliżano się już do dworca, gdzie obywatele Budziejowic zebrali się, by pożegnać swój pułk. W pożegnaniu tym nie było nic urzędowego, ale plac przed dworcem był przepełniony publicznością, wyczekującą wojska.

Zaciekawienie Szwejka skupiło się na szpalerze publiczności. I, jak to już zawsze bywa, tak było i tym razem, że porządni żołnierze pozostali na szarym końcu, a ci, których trzeba było prowadzić pod bagnetami, szli pierwsi. Porządni

żołnierze zostaną następnie powpychani do wagonów bydłych, a Szwejk z jednorocznym ochotnikiem pojedą sobie wygodnie wagonem aresztanckim, który bywa przyczepiany tuż za wagonami sztabowymi. W takim wagonie aresztanckim miejsca jest aż nadto.

Szwejk nie mógł się wstrzymać, aby nie krzyknąć do publiczności: — Na zdar! — i nie zamachać czapką. Podziało to tak zaraźliwie na wszystkich, że cały tłum powtórzał głośno jego wołanie, słowa „Na zdar!” biegły coraz dalej i grzmiały przed dworcem, a z ust do ust leciało zapewnienie: — Już idą!

Kapral z eskorty czuł się wprost nieszczęśliwy i wrzasnął na Szwejka, aby zamknął gębę. Ale okrzyk leciał dalej jak wichura. Żandarmi spychali tłum na chodniki, aby zrobić drogę dla eskorty, lecz tłum wołał dalej: — Na zdar! — wymachując czapkami i kapeluszami.

Była to manifestacja jak się patrzy. W hotelu naprzeciwko dworca stały w oknach jakieś dwie panie, powiewały chusteczkami i wołały: — Heil! — Oba okrzyki: Na zdar! i Heil! mieszały się z sobą coraz bardziej, ale gdy jakiś entuzjasta skorzystał ze sposobności, aby zawołać: — Nieder mit den Serben! — ktoś podstawił mu zgrabnie nogę, a publiczność podeptała go zdrowo w sztucznym zamieszaniu.

Niby iskra elektryczna z ust do ust leciała wieść: — Już idą.

Ale na razie szedł tylko Szwejk, przesyłający publiczności dłonią całusy na lewo i na prawo, oraz jednoroczny ochotnik, salutujący z wielką powagą.

Weszli na dworzec i skierowali się ku przeznaczonemu pociągowi wojskowemu i w tej właśnie chwili orkiestra artylerii zdezorientowana przez nieoczekiwaną manifestację, o mały figiel że nie zagrała hymnu państwowego. Na szczęście, bardzo w porę ukazał się starszy kapelan wojskowy, pater Lacina,

z siódmej dywizji kawalerii i zaczął robić porządek, chociaż ubrany był po cywilnemu i miał na głowie sztywny, czarny kapelus, melonik.

Historia jego jest bardzo prosta. Przyjechał wczoraj wieczorem do Budziejowic, on, postrach i pogromca wszystkich jadłodajni oficerskich, nigdy niesyty żarłok i smakosz, i jakby nigdy nic, przyplątał się na oficerski bankiet odjeżdżającego pułku. Jadł, pił za dziesięciu i w stanie mniej więcej nietrzeźwym szwendał się po kuchni oficerskiej restauracji, aby wy-cyganić od kucharzy jaki smaczny kąsek. Pożerał resztki sosów z knedlami, jak drapieźnik ogryzał kości i dobrał się wreszcie w kuchni do rumu, a gdy się go nażłopał więcej niż trzeba, poszedł na pożegnalny wieczorek, urządzany przez oficerów odjeżdżającego pułku, gdzie spił się jak bela. Miał w tej dziedzinie bardzo bogate doświadczenie, a w siódmej dywizji kawalerii oficerowie dopłacali za jego picie i jedzenie. Rano strzełiło mu do głowy, że musi robić porządek przy odjeździe pierwszych wagonów pułku, i dlatego szwendał się wzdłuż całego szpaleru publiczności, a na dworcu rządził i głądził tak natrętnie, że oficerowie kierujący transportem pułku zamknęli się przed nim w kancelarii zawiadowcy stacji.

Ukazał się znów przed dworcem i akurat w porę złapał za batutę kapelmistrza orkiestry strzelców kurkowych, który dawał właśnie znak do zagrania hymnu austriackiego.

— Halt! — zawołał. — Jeszcze nie, dopiero, jak dam znak. Teraz: spoczniej! Ja za chwilę wrócę.

Poszedł na dworzec i ruszył za eskortą, którą zatrzymał energicznym: — Halt!

— Dokąd to? — surowo zapytał kaprała, który nie wiedział, co ma robić w nowej sytuacji.

Zamiast niego odpowiedział poczciwie i zacnie Szwejk:

— Do Brucku nas wiozą. Jeśli pan feldkurat raczy, to może pojechać razem z nami.

— Żebyś wiedział, że pojedę — zadeklarował pater Lacina i obracając się za eskortą, dodał: — Kto tam mówi, że nie mogę pojechać z wami? *Vorwärts! Marsch!*

Gdy oberfeldkurat znalazł się w wagonie aresztanckim i wyciągnął się na ławie, pocziwy, jak zawsze, Szwejk zdjął płaszcz i podłożył go patrowi pod głowę. Kapral przyglądał się temu okiem wystraszonem, ale jednoroczny ochotnik uspokoił go słowy, że oberfeldkuratami należy opiekować się troskliwie.

Pater Lacina, wygodnie wyciągnięty na ławie, zaczął wywódzić:

— Ragoût na grzybkach, moi panowie, jest tym lepsze, im więcej jest grzybków, ale grzybki należy przedtem usmażyć z cebulką i dopiero potem dodaje się listek bobkowy i cebulę...

— Cebulę raczył pan feldkurat wymienić już przedtem — odezwał się jednoroczny ochotnik ku wielkiemu przerażeniu kaprala, który w kapelanie widział swego zwierzchnika, chociaż ten zwierzchnik był mocno pijany.

Położenie kaprala było doprawdy rozpaczliwe.

— Tak jest — wtrącił Szwejk — pan oberfeldkurat ma zupełną rację. Im więcej cebuli, tym lepiej wszystko smakuje. W Pakomierzycach był taki piwowar, który do piwa dodawał cebulę, ponieważ cebula, jak mawiał, wzbudza pragnienie. Cebula to w ogóle rzecz bardzo pożyteczna. Pieczona cebula jest dobra nawet na wrzody...

Pater Lacina, leżąc na ławie, mówił tymczasem cicho, jakby w półśnie:

— Wszystko zależy od korzeni, od tego, jakie korzenie się bierze i do czego się bierze, i ile się bierze. Nie wolno nic przepieprzyć, przepaprykować...

Mówił coraz wolniej i coraz ciszej:

— Prze-cy-na-mo-no-wać, prze-cy-try-no-wać, prze-an-gielsko-zie-lić, prze-musz-kat...

Nie dokończył słowa, zasnął i zaczął chrapać, a gdy przestawał chrapać, to pogwizdywał przez nos.

Kapral spoglądał na niego zdrtwiałymi ze strachu, podczas gdy szeregowcy z eskorty uśmiechali się pod wąsem, sadowiąc się na ławach jak najwygodniej.

— Pośpi sobie ładnych parę godzin — rzekł Szwejk po chwili — bo schlał się jak nieboskie stworzenie.

Kapral dawał Szwejkowi znaki, aby milczał, ale Szwejk go uspokajał:

— To wszystko jedno, czy się milczy, czy się mówi. Zmienić tego faktu nie można, bo pan oberfeldkurat spił się zdrowo. Ma rangę kapitana. Każdy z tych feldkuratów ma już taki talent wrodzony, że schla się przy każdej sposobności, jak nie przymierzając to nieme bydłatko. Byłem burszem feldkurata Katza, który też zdrowo umiał pić. To, co ten tutaj wyprawia, jest głupstwem w porównaniu z kawałami tamtego pana. Sprzedawało się na picie ładne rzeczy i byłoby się sprzedało jeszcze ładniejsze, gdyby się był kupiec trafił.

Szwejk podszedł do patra Laciny i wyraził się tonem eksperta:

— Będzie gnił aż do samego Brucku. — Co rzekłszy wrócił na swoje miejsce, odprowadzany spojrzeniem zrozpaczonego kaprała, który w bezradności swojej nie wiedział, co ma robić.

— Zameldować chyba, czy jak? — rzekł do siebie.

— O tym nie może być gadania — rzekł jednoroczny ochotnik — bo pan jest Eskortenkommendant. Panu nie wolno oddalać się od nas. A według przepisu nie ma pan też prawa wysłać z meldunkiem nikogo z eskorty, dopóki nie ma pan zastępcy dla takiego posłańca. Jak pan widzi, ten orzech, jaki ma pan do zgryzienia, jest twardy. Co zaś do sygnałów strzelaniem, żeby tu ktoś przyszedł, to jest rzeczą także niedopuszczalną. Bo nic się tu właściwie nie stało takiego osobliwego, żeby strzelać. Z drugiej znowuż strony istnieje przepis, że prócz aresztowanych i eskorty nikogo

z postronnych wpuszczać do wagonów nie wolno. Postronnym wejście wzbronione. Nie może pan też marzyć o tym, żeby ślady swego wykroczenia zatrzeć przez wyrzucenie oberfeldkurata cichaczem z wagonu, bo są tacy, którzy widzieli, jak pan go wpuszczał do wagonu, chociaż nie wolno było go wpuszczać. Powiem panu, panie kapral, że degradacja jest mrowana.

Kapral tłumaczył się, że do wagonu nikogo nie wpuszczał, bo oberfeldkurat sam się do nich przyłączył, a jest to przecie jego przełożony.

— Tutaj przełożonym jest wyłącznie pan, panie kapralu — z całym naciskiem rzekł jednoroczny ochotnik, a jego słowa potwierdził Szwejk:

— Nawet gdyby sam najjaśniejszy pan chciał przyłączyć się do aresztantów, to pan mu na to pozwolić nie ma prawa. Jest tu tak samo jak na warcie. Podchodzi do wartownika oficer inspekcyjny i prosi grzecznie, żeby mu wartownik skoczył po papierosy, a ten jeszcze pyta, jaki gatunek pan oficer każe przynieść. Za takie rzeczy siedzi się w twierdzy.

Na to kapral zauważył nieśmiało, że Szwejk sam powiedział oberfeldkuratowi, iż może pojechać z nimi.

— Ja, panie kapral, mogę sobie na takie rzeczy pozwolić — odpowiedział Szwejk — ponieważ jestem idiota, ale po panu nikt by się takich rzeczy nie spodziewał.

— Czy dawno jest pan w służbie czynnej? — zapytał jednoroczny ochotnik jakby od niechcienia.

— Już trzeci rok. Obecnie mam zostać awansowany na zugsführera.

— No to postaw pan krzyżyk nad tym awansem — rzekł cynicznie jednoroczny ochotnik. — Mówię panu, że degradacja jest jak mur.

— Zresztą wszystko jedno — rzekł Szwejk — czy się padnie w bitwie jako szarża, czy jako szeregowiec. Tyle tylko, że degradowanych wypychają naprzód.

Oberfeldkurat poruszył się na ławie.

— Gnije fest — rzekł Szwejk, skontrolowawszy, czy wszystko jest w należyтым porządku. — Śni mu się pewno o jakim nowym żarciu. Boję się tylko, żeby mu się tu co nie przytrafiło. Mój feldkurat Katz, jak się dobrze wstawił, to tracił czucie. Pewnego razu...

I Szwejk zaczął opowiadać o swoich doświadczeniach, jakie poczynił w służbie feldkurata Ottona Katza. Opowiadał tak szczegółowo i interesująco, iż nikt nie zauważył, że pociąg ruszył.

Dopiero ogłuszający ryk żołnierzy jadących w ostatnich wagonach, przerwał opowiadanie Szwejka. Dwunasta kompania, w której służyli sami Niemcy z okolic Krumlowa i z gór Kacperskich, ryczała:

Wann ich kumm, wann ich kumm,
wann ich wiewda, wiewda kumm...

Jednocześnie z innego wagonu jakiś desperat ryczał w kierunku Budziejowic:

Und du, mein Schatz,
bleibst hier.
Holario, holario, holo!

Było to takie straszliwe jodlowanie i porykiwanie, że koledzy musieli siłą odciągnąć śpiewaka od otwartych drzwi wagonu bydlęcego.

— Aż mi dziwno — rzekł jednoroczny ochotnik do kaprała — że dotychczas nie pokazała się u nas inspekcja. Według przepisów powinien pan być zameldować nas komendantowi pociągu na dworcu, a nie zajmować się jakimś pijanym oberfeldkuratem.

Nieszczęśliwy kaprał milczał uporczywie i z wyrazem wściekłości spoglądał na słupy telegraficzne.

— Na samą myśl o tym, że nie jesteśmy nikomu zameldowani — mówił dalej jednoroczny ochotnik — i że na najbliższej stacji wlezie do nas z pewnością komendant pociągu,

buntuje się we mnie moja krew wojskowa. Przecie w taki sposób jesteśmy jak te...

— Cygany — wtrącił Szwejk — albo włóczęgi. Wygląda na to, jakbyśmy się bali światła dziennego i nie chcieli nikomu pokazywać się na oczy, żeby nas nie aresztowali.

— Prócz tego — rzekł jednoroczny ochotnik — na podstawie rozporządzenia z dnia dwudziestego pierwszego listopada roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego, przy transportowaniu aresztantów pociągami należy zachowywać przepisy następujące: po pierwsze: wagon aresztancki winien posiadać kraty ochronne. To jest takie jasne, jak słońce i wagon nasz kraty przepisane posiada. Siedzimy za doskonałymi kratami. Co do tego, wszystko jest w porządku. Po drugie: w uzupełnieniu c. k. rozporządzenia z dnia dwudziestego pierwszego listopada roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego, każdy wagon aresztancki powinien posiadać wychodek. Jeśli takowego nie ma, to w wagonie znajdować się winno naczynie przykrywane do wykonywania małej i dużej potrzeby aresztantów oraz straży im towarzyszącej. Tutaj właściwie nie może być mowy o wagonie aresztanckim, albowiem znajdujemy się w prostym przepołowionym wagonie, oddzieleni od reszty świata. Nie ma tu także owego naczynia krytego, które by...

— Możesz pan robić oknem — rzekł zrozpaczony kapral.

— Pan kapral zapomina — rzekł Szwejk — że żadnemu aresztantowi nie wolno zbliżyć się do okna.

— Po trzecie — wywodził dalej jednoroczny ochotnik — powinno znajdować się tu naczynie z wodą do picia. I o tym także pan nie pomyślał. A propos! Czy wiesz pan, na której stacji rozdawana będzie menaż? Nie wiesz pan? Naturalnie, wiedziałem, że pan się nie poinformował.

— Więc widzi pan, panie kapral — odezwał się Szwejk — że wożenie aresztantów, to nie żaden szpas. Nas trzeba otaczać troskliwą opieką. My nie jesteśmy takimi zwyczajnymi żołnierzami, którzy o wszystko kłopotać się muszą sami. Nam

trzeba przynosić wszystko pod sam nos, ponieważ są takie rozporządzenia w paragrafach, których każdy trzymać się musi, bo inaczej nie byłoby porządku. Człowiek aresztowany, to taka bezradna istota jak dzieciątko w poduszce — mawiał jeden mój znajomy włóczykij — o niego trzeba się kłopotać, żeby się nie zaziębił, żeby się nie irytował, żeby był zadowolony ze swego losu, żeby nieboraczkowi nikt krzywdy nie czynił.

— Zresztą — rzekł w końcu Szwejk, spoglądając przyjaźnie na kaprała — musi pan jeszcze pamiętać o tym, że jak będzie jedenasta, to mi pan powie.

Kapral spojrział na Szwejka okiem pytającym.

— Pan chce niezawodnie zapytać, panie kapral, dlaczego ma mi pan powiedzieć, gdy będzie godzina jedenasta. Otóż od godziny jedenastej będę przynależny do wagonu bydłowego, panie kapral — z całym naciskiem mówił Szwejk i uroczyście mówił dalej: — Przy regimentsraporcie zostałem skazany na trzy dni. O godzinie jedenastej zacząłem odsiadywać karę i dzisiaj o jedenastej muszę zostać zwolniony. Żadnego żołnierza nie wolno trzymać w pace dłużej, niż mu się należy, bo w wojsku trzeba zachowywać porządek i dyscyplinę, panie kapral.

Zrozpaczony kapral długo nie mógł oprzytomnieć po tym nowym ciosie, aż wreszcie wpadł na concept, że nie dostał żadnych papierów.

— Szanowny panie kapral — odezwał się jednoroczny ochotnik — papiery nie latają same za dowódcami eskorty. Gdy góra nie chce przyjść do Mahometa, to Mahomet musi pofatygować się do góry, czyli, że dowódca eskorty sam winien starać się o papiery. Oczywiście, że w ten sposób sytuacja pańska komplikuje się ponownie. Stanowczo nie może pan w areszcie przetrzymywać nikogo, kto ma przepisaną wolność. Z drugiej znowuż strony nikomu nie wolno opuszczać wagonu aresztanckiego. Doprawdy, że nie wiem, jak pan się wymiga

z takiej fatalnej sytuacji. Im dalej, tym lepiej. Mamy już pół do jedenastej.

Jednoroczny ochotnik spojrział na zegarek, a chowając go do kieszeni, rzekł:

— Ciekaw jestem, co pan robi za pół godziny.

— Za pół godziny będę przynależny do wagonu bydłęcego — marzycielsko powtarzał Szwejk, po których to słowach kapral pomieszany i zgnębiony zwrócił się do niego ze słowem pojednawczym:

— Sądzę, że nie będzie to dla pana żadną przykrością jechać tym wagonem, który jest przecie daleko wygodniejszy od wagonu bydłęcego. Przypuszczam...

Przerwał mu głos oberfeldkurata, który przez sen wołał:

— Więcej sosu!

— Śpij, śpij, bratku — rzekł pocziwy Szwejk, podsuwając mu pod głowę połę płaszczka, która zsunęła się na podłogę — i niech ci się śni o dobrym żarciu.

Zaś jednoroczny ochotnik zaczął śpiewać:

Spij dzieciątko już, siwe oczka zmrz.

Dobry Pan Bóg będzie blisko,

Aniołkowie nad kołyską, śpij dzieciątko już...

Zrozpaczony kapral nie reagował już na nic. Tępym okiem spoglądał na świat za oknem wagonu i pogodził się zupełnie z anarchią panującą w wagonie aresztanckim.

Koło przepierzenia żołnierze grali w „mięso“ i na wystawione zady spadały raz za razem mlaszczące i rzetelne klapsy. Gdy kapral spojrział w tamtą stronę, oko jego spotkało się z wystawionym zadem szeregowca. Kapral westchnął i wyglądał dalej oknem.

Jednoroczny ochotnik rozmyślał o czymś przez chwilę, a potem zwrócił się do zgnębionego kaprała z pytaniem:

— Czy zna pan czasopismo „Świat Zwierząt“?

— Czasopismo to prenumerował niegdyś nasz wiejski karczmarsz — odpowiedział kapral z dostrzegalną radością, że

rozmowa przechodzi na inny temat. — Lubił ogromnie rasowe kozy, a wszystkie mu pozdychały. Dlatego prosił redakcję tego czasopisma o poradę.

— Drogi kolego — rzekł jednoroczny ochotnik — to o czym teraz mówić będę, wykaże panu z całą możliwą dokładnością, że nikt nie jest wolny od pomyłek i błędów! Jestem przekonany, że i wy, panowie, którzy gracie w „mięso“, przerwiecie tę piękną grę, bo to, co mam do opowiedzenia, będzie interesujące i dlatego między innymi, iż wielu fachowych wyrażań wcale nie zrozumiecie. Opowiem wam rzeczy ciekawe o „Świecie Zwierząt“, abyśmy zapomnieli o troskach i kłopotach wojny.

W jaki sposób stałem się niegdyś redaktorem „Świata Zwierząt“, czasopisma wysoce interesującego, tego sam powiedzieć nie umiem. Było to dla mnie zagadką nierozwiązalną aż do chwili, w której doszedłem do wniosku, iż mogłem być stać się nim jedynie w stanie całkowicie niepoczytalnym. Do stanu takiego doprowadziła mnie przyjaźń i życzliwość dla kolegi Hajka, który dość długo redagował to czasopismo bardzo przyzwoicie, ale zakochał się w córeczce właściciela tego czasopisma, pana Fuchsa, który wyгнаł go *stante pede* z warunkiem, że wygnany postara się mu o redaktora porządnego.

Jak panowie widzicie, były onego czasu zgoła dziwne stosunki pracownicze.

Właściciel czasopisma, któremu przedstawił mnie kolega Hajek, przyjął mnie bardzo grzecznie i zapytał, czy mam jakie takie wiadomości o zwierzętach, i bardzo był zadowolony z mojej odpowiedzi, iż zwierzęta bardzo szanuję i widzę w nich ogniwo przechodnie ku człowiekowi, i osobliwie ucieszył się, że ze stanowiska ochrony zwierząt czynię wszystko, co tylko można, aby zwierzęta były zadowolone. Każde zwierzę pragnie przede wszystkim tylko tego, aby było uśmierco-

ne możliwie bezboleśnie, zanim człowiek przystąpi do zjedzenia tegoż zwierzęcia.

— Karp już od urodzenia dotknięty jest myślą natrętną, że to bardzo nieładnie ze strony kucharki, gdy mu za życia rozpruwa brzuch. Zwyczaj ścinania koguta, to początek szlachetnych usiłowań stowarzyszeń ochrony zwierząt, aby zarzucenie drobiu w ogóle nie było wykonywane ręką niefachową.

Poskręcane postaci piskorzów świadczą o tym, iż zwierzątka te umierając protestują przeciw smażeniu ich na margarynie żywcem. Co do indyka...

— Tak przemawiałem do tego pana, dopóki nie przerwał mi zapytaniem, czy znam się na drobiu, psach, królikach, pszczołach i na rozmaitościach z życia zwierząt, czy potrafię wycinać obrazki z obcych czasopism dla reprodukowania i tłumaczyć artykuły o zwierzętach z czasopism zagranicznych. Dalej, czy orientuję się w dziele Brehma i czy umiałbym pisywać razem z nim artykuły wstępne z uwzględnieniem świąt katolickich, pogody i pór roku, uroczystości narodowych i kościelnych. Jednym słowem, chodziło mu o to, abym się we wszystkim należycie orientował i abym umiał wyzyskać wszystko jako materiał do artykułów wstępnych. Oczywiście, że interesowały go w związku z tym także psy policyjne, wyścigi i łowy itd.

Powiedziałem, że o racjonalnym redagowaniu takiego czasopisma, jak „Świat Zwierząt“, myślałem już bardzo dużo, że więc wszystkie te rubryki i punkty będę umiał należycie wypełnić, bo materiał opanowuję całkowicie. Dodałem jeszcze, że usiłowaniem moim będzie podniesienie czasopisma na niebywałe wyżyny, że zreorganizuję je i w treści, i w formie.

Obiecałem wprowadzić „Wesoły kącik zwierząt“, a w nim uwzględnić należycie sytuację polityczną.

— Postanowiłem dawać czytelnikom rzeczy interesujące, jedną niespodziankę za drugą, żeby ich zupełnie zdezorientować mnóstwem materiału i zwierząt. Rubryki: „Z dnia zwie-

rząt“, „Nowy program rozwiązania kwestii bydła gospodarczego“ i „Ruch w świecie nierogacizny“, będą podawane na zmianę.

Znowuż mi przerwał i rzekł, że wystarczy mu to zupełnie i że jeżeli uda mi się spełnić choć połowę z tego, co obiecuję, to ofiaruje mi parę rasowych kurek karłowatych z ostatniej berlińskiej wystawy drobiu. Kurki te dostały pierwszą nagrodę, a ich właściciel został odznaczony medalem złotym za wyborny dobór tej parki.

Śmiało rzec mogę, że pracowałem uczciwie i realizowałem w czasopiśmie swój program rządowy, jak dalece siły moje starczały. Dodam nawet, iż niekiedy spostrzegałem, że artykuły moje przekraczają moje zdolności.

Pragnąc dać czytelnikom coś zupełnie nowego, wykombinowałem nowe zwierzęta.

Zdawałem sobie sprawę z tego faktu, że np. słoń, tygrys, lew, małpa, kret, koń, prosię itp. to zwierzęta znane bardzo dobrze każdemu czytelnikowi „Świata Zwierząt“.

Trzeba więc poruszyć czytelników czymś zgoła nowym, niebywałymi odkryciami i dlatego zrobiłem próbę z wielorybem syrobrzyckim. Nowy ten gatunek wieloryba nie przekraczał rozmiarami dorsza i miał pęcherz napełniony kwasem mrówkowym i osobną kloakę, z której wypuszczał narkotyzujący kwas na małe rybki, gdy chciał je pożreć. Kwas ten został nazwany kwasem wielorybim przez pewnego uczonego angielskiego, ale już nie pamiętam, jak tego uczonego nazwałem. Tłuszcz wielorybi znany był wszystkim aż nadto dobrze, ale nowy kwas wzbudził zainteresowanie kilku czytelników, którzy dopytywali się o firmę, wyrabiającą taki kwas.

Trzeba dodać, że czytelnicy „Świata Zwierząt“ są ludźmi bardzo ciekawymi.

Niebawem po wielorybie syrobrzyckim odkryłem szereg innych zwierząt. Wymieniam między innymi: bałagułę chytrego, ssaka z gatunku nabierców, wołu jadalnego, praojca kro-

wy, wstawiaka sepiowego, którego włączyłem do gatunku szczurów wędrownych.

Co dzień przybywały jakieś nowe zwierzęta. Mnie samego dziwiło wielkie powodzenie w tej dziedzinie. Nigdy przedtem nie pomyślałem, że zachodzi tak wielka potrzeba uzupełnienia zwierząt i że Brehm opuścił ich tyle w swoim dziele „Życie Zwierząt“. Czy na przykład wiedział Brehm albo inni pisarze cośkolwiek o moim nietoperzu islandzkim, „nietoperzu dalekim“, o moim kocie domowym z wierzchołka góry Kili-mandżaro, nazywanym „paczuchą jelenią, drażliwą“.

Albo czy uczeni wiedzieli coś niecoś o pchle inżyniera Khuna, którą odkryłem w bursztynie, a która była zupełnie ślepa, ponieważ pasożytowała na podziemnym i przedhistorycznym krecie, który także był ślepy, a to dlatego, że prababka jego sparzyła się, jak pisałem, ze ślepym macaratem jaskiniowym z jaskini Postojeńskiej, która w owych czasach sięgała aż do wybrzeży dzisiejszego oceanu Bałtyckiego?

Na tle tego drobnego wydarzenia rozwinęła się wielka polemika między „Czasem“ a „Czechem“, ponieważ „Czech“, przedrukowując mój artykuł o pchle przeze mnie odkrytej, dodał od siebie: „Wszystko, co Bóg czyni, jest dobre“. — Oczywiście, że „Czas“ swoim obyczajem realistycznym stał na proch całą moją pchlę razem z wielebnym „Czechem“ i od tego czasu zaczęło mnie opuszczać szczęście wynajdywacza nowych stworzeń. Prenumeratorzy „Świata Zwierząt“ zaczęli się niepokoić.

Powodem tego zaniepokojenia były różne moje wiadomości z dziedziny pszczelnictwa i hodowli drobiu, w których rozwijałem nowe teorie. Wywołały one istny popłoch, ponieważ po moich prostych radach trafił szlak znanego pszczelarza, pana Pazourka, a pszczelnictwo na Szumawie i Podkarkonoszu uległo zagładzie. Na drób zwała się zaraza generalna: zdychało wszystko. Prenumeratorzy pisywali do mnie listy z pogroźkami i odrzucali czasopismo.

Rzuciłem się na ptaki leśne i polne i jeszcze dzisiaj pamiętam szczegóły mej afery z redaktorem „Przeglądu Wiejskiego“, klerykalnym posłem i dyrektorem Józefem M. Kadlczakiem!

Z czasopisma angielskiego „Country Life“ wyciąłem obrazek jakiegoś ptaszka siedzącego na leszczynie. Nazwałem go orzechówką, tak samo, jak byłbym nazwał ptaszka siedzącego na jałowcu — jałowcówką albo nawet jałówką.

I masz tobie! Na zwyczajnej pocztówce zaatakował mnie pan Kadlczak, że ten ptak, to sójka, a nie żadna orzechówka, i że nazwa moja, to kiepski przekład niemieckiej nazwy Eichelhöher.

Napisałem list do niego, w którym to liście wyłożyłem mu całą swoją teorię o orzechówce, przeplatając zdania licznymi inwektywami i zmyślnymi zdaniami z dzieła Brehma.

Posel Kadlczak odpowiedział w „Przeglądzie Wiejskim“ artykułem wstępnym.

Mój wydawca, jak zazwyczaj, siedział w kawiarni i czytał gazety regionalne, ponieważ ostatnimi czasy bardzo dużo pisywano o moich interesujących artykułach w „Świecie Zwierząt“. Kiedym podszedł do niego, wskazał mi bez słowa „Przegląd Wiejski“, leżący na stole, i spojrzał na mnie swymi smutnymi oczami. Ostatnimi czasy oczy jego miały stale wyraz smutny.

Czytałem na głos przed całą publicznością kawiarnianą:

Szanowna Redakcjo!

Zwracałem już uwagę, że „Świat Zwierząt“ wprowadza terminologię niezwykłą i nieuzasadnioną, że nie troszczy się o czystość języka czeskiego i zmyśla różne nowe zwierzęta. Jako przykład przytoczyłem, że zamiast powszechnie używanej i starodawnej nazwy „sójka“ redaktor używa nazwy „orzechówka“, co ma niezawodnie uzasadnienie w tłumaczeniu z niemieckiego Eichelhöher — „sójka“.

— Sójka — powtórzył za mną zrozpaczony właściciel czasopisma.

Spokojnie czytałem dalej:

Prócz tego od redaktora otrzymałem list wyjątkowo ordynarny, pełen osobistych napaści i grubiaństw, w którym to liście zostałem karygodnie nazwany ignoranckim bydlakiem, co zasługuje na naganę doraźną. Tak nie odpowiada się na rzeczowe uwagi w polemice toczonej przez ludzi przyzwoitych. Pragnąłbym tylko wiedzieć, który z nas obu jest większym bydlakiem. Prawda, że nie należało może wszczynać polemiki na pocztówce, ale napisać list, lecz dla braku czasu nie zwróciłem uwagi na ten drobiazg, obecnie wszakże po ordynarnej napaści redaktora „Świata Zwierząt“, stawiam go pod pręgierzem opinii publicznej.

Pan redaktor myli się ogromnie, przypuszczając, że jestem niedouczonego osłem, który nawet pojęcia nie ma o tym, jak się który ptak nazywa. Ornitologię uprawiam już od szeregu lat i to nie po książkowemu albo przez osobiste obserwowanie przyrody, bo w klatce mam więcej ptaków, niż redaktor „Świata Zwierząt“ widział ich w ciągu całego swego życia, będąc niezawodnie stałym gościem praskich szynków i spelunek.

Atoli sprawy te są uboczne, aczkolwiek nie zaszkodziłoby takiemu redaktorowi, aby się najprzód przekonał, kogo wyzywa od bydlaków, zanim sięgnie po pióro i zacznie pisać. Nie trzeba lekceważyć czytelników, choćby nawet mieszkali na Morawach i we Frydlandzie pod Mistkiem, gdzie przed tym ordynarnym listem redaktora też był jeden prenumeratorem „Świata Zwierząt“.

Nie chodzi tu zresztą o polemikę osobistą z pierwszym lepszym idiotą, lecz o sprawę, i dlatego jeszcze raz powtarzam, że zmyślanie nazw podług języków obcych jest niedopuszczalne, kiedy mamy piękne słowo ojczyste, znane powszechnie: „sójka“.

— Tak jest, sójka — jeszcze smutniejszym głosem przemówił mój pracodawca.

Czytam wszakże spokojnie dalej i nie pozwalam sobie przerywać:

Rzecz prosta że takie wycieczki są gałgaństwem, gdy się ich dopuszczają niefachowcy i brutale. Któż bowiem kiedykolwiek mówił o jakiejś tam orzechówce? W dziele „Nasze ptaki“ na stronie sto czterdziestej i ósmej jest nazwa łacińska: *Ganulus glandarius* B. A. I to jest właśnie mój ptak: sójka.

Redaktor „Życia Zwierząt“ przyzna chyba, że lepiej znam swego ptaka, niż znać go może niefachowiec. Orzechówka nazy-

wa się według dra Bayera „nucifraga carycates B.“, a ta litera nie znaczy bynajmniej, jak pan redaktor raczył do mnie napisać, iż jest to początkowa litera słowa „bałwan“. Czescy ornitolodzy znają w ogóle tylko sójkę zwyczajną, a nie jakąś tam „orzeczkę“, zmyśloną właśnie przez tego pana, którego można by określić słowem zaczynającym się na „b“, według jego własnej teorii. Jest to łobuzerska napaść osobista, która rzeczy nie zmienia.

Sójka pozostanie sójką, choćby redaktor „Świata Zwierząt“ z tego wszystkiego ze . . . ał się w portki. Mamy tu jedynie dowód, jak lekkomyślnie pisuje się niekiedy, chociaż i on powołuje się na Brehma, czyniąc to oczywiście bardzo ordynarnie. Ten brutal pisze, że sójka należy do podgatunku krokodylowatych i powołuje się na stronicę 452, chociaż na tej stronie jest mowa o srokoszu zwyczajnym (*Lanius minor L.*). I jeszcze ten ignorant dowołuje się ponownie Brehma, że sójka należy do grupy piętnastej, a Brehm zalicza wróblowate do siedemnastej, a należą do niej kruki i kawki. Taki jest ordynarny, że i mnie nazwał gawronem (*Corvus frugilegus*) z wytartym dziobem, wroną niebieską, podgatunkiem srok cymbałowatych, aczkolwiek na wspomnianej stronie jest mowa o sójkach gajówkach i o srokach pstrych...

— O sójkach gajówkach — westchnął mój wydawca, łapiąc się za głowę — ja sam doczytam do końca. Niech pan da.

Wystraszyłem się słysząc jego zachrypły głos, gdy czytał dalej:

Drozd, czyli kos turecki, będzie i nadal w języku czeskim nazywany drozdem, a kwiczoł pozostanie zawsze kwiczołem...

— Co do kwiczoła — wtrąciłem — to należy nazywać go jałowczykiem albo jałowiczką, proszę pana, ponieważ żywi się jałowcem.

Pan Fuchs rzucił gazetę na stół i wlaź pod bilard, skąd głosem zachrypłym wykrzykiwał:

— *Turdus* — drozd. Nie sójka — ryczał spod bilardu — ale orzechówka! Będę gryzł, szanowni panowie!

Wyciągnięto go spod bilardu i na trzeci dzień skonał, otoczony rodziną, na grype mózgową.

Ostatnie jego słowa, gdy odzyskał na chwilę świadomość, były następujące:

— Nie chodzi tu o moją osobę, ale o pomyślność ogółu. Na tej podstawie raczy pan przyjąć moje zdanie tak spokojnie, jak... — i czknął.

Jednoroczny ochotnik milczał przez chwilę, a potem rzekł z jadowitą ironią do kaprała:

— Chciałem tylko powiedzieć, że każdy człowiek może się znaleźć w ciężkiej sytuacji i dopuścić się błędu.

Na ogół kaprał zrozumiał z tego wszystkiego tylko tyle, że jest człowiekiem błędzącym. Toteż odwrócił się ku oknu i okiem pośepnym spoglądał na krajobraz.

Nieco żywsze zainteresowanie wzbudziła opowieść jednorocznego ochotnika w Szwejku. Szeregowcy z eskorty spoglądali po sobie głupawymi wytrzeszczonymi oczami.

Szwejk zaczął mówić:

— Na tym świecie nic się nie ukryje i wszystko się wyda. Jakaście wszyscy słyszeli, nawet taka idiotyczna sójka nie jest orzechówką. Rzecz to ogromnie interesująca, że w ogóle da się ktoś nabrać na takie kawały. Zmyślać sobie zwierzęta, to rzecz jeszcze trudniejsza. Był sobie przed laty w Pradze niejaki Mestek, który znalazł morską dziewczę, czyli syrenę, i pokazywał ją za pieniądze w lokalu przy ulicy Havlička na Królewskich Winohradach, przez parawan. W parawanie była dziura i każdy mógł widzieć przez tę dziurę najzwyczajniejszą kanapę, a na niej tarzała się w półmroku jedna zwyczajna kobieta z Żyżkowa. Nogi miała omotane zieloną gazą, co miało przedstawiać ogon rybi, zaś włosy miała pomalowane na zielono, a na dłoniach miała pletwy z tekturek też na zielono pomalowane. Do krzyża przywiązali jej jakieś pletwy czy co. Młodzieży do lat szesnastu wstęp był zakazany, ale za to wszyscy, co już mieli lat szesnaście i pieniądze na bilet, bardzo byli zadowoleni, że ta morską dziewczę ma bardzo szeroki zad, na którym był napis: Do widzenia! — Co do piersi, to

inna sprawa, bo sływały jej na pępek, jak stara sforsowana guma. O godzinie siódmej wieczorem pan Mestek zamykał panoramę i mówił: — Dziewico morska, możesz iść do domu. — Więc ona się przebierała w inne ubranie, a o godzinie dziesiątej można było spotkać się z nią na ulicy Taborskiej i usłyszeć jej słowa, które powtarzała każdemu napotkanemu mężczyźnie: — Panie cacany, niech pan się pofatyguje ze mną. — Ponieważ nie miała książeczki w porządku, więc przy jakiejś tam okazji capnęli ją i pan Draszner z policji wsadzał ją do uła. Znikła morska dziewczica i pan Mestek nie miał już nic do pokazywania za pieniądze.

Oberfeldkurat spadł tymczasem z ławki i spał dalej na podłodze. Kapral spoglądał nań przez chwilę zgłupiałymi oczami, a potem bez niczyjej pomocy dźwigał go i układał z powrotem na ławie. Widać było, że stracił wszelki autorytet.

— Mógł mi też ktoś pomóc chyba, czy nie? — rzekł cichym i zrezygnowanym głosem, ale szeregowcy eskorty spoglądali po sobie i ani jeden się nie ruszył.

— Niechby sobie gnił na podłodze — rzekł Szwejk. — Ja też miałem swego feldkurata i nie przeszkadzałem mu spać, gdy się czasem zawziął. Raz zostawiłem go na noc w wychodku, innym razem wdrapał się na komodę, sypiał czasem w nieckach i to jeszcze w obcym domu. W ogóle różnie różni sypiają.

Kapral stał się raptem bardzo energicznym i zdecydowanym. Chciał pokazać, że on rządzi w wagonie i dlatego rzekł szorstko:

— Zamknij pan gębę i nie gładź od rzeczy. Wszystkie pucybuty za dużo gadają. I wciskają się wszędzie, jak te pluskwy.

— Ma się wiedzieć, że pucybut, to pucybut, ale kapral, to bożek, panie kapralu — odpowiedział Szwejk, zachowując równowagę ducha niby filozof, który po całym świecie chce zaprowadzić spokój i puszcza się przy tym na bardzo ryzy-

kowną polemikę. — Pan kapral, to macierz miłująca i życliwa.

— Panie Boże — zawołał jednoroczny ochotnik składając ręce jak do modlitwy — napełnij serca nasze miłością dla wszelkiego kapralstwa, abyśmy na nie spoglądali bez obrzydzenia. I niechaj panuje pokój w tej dziurze aresztanckiej na szynach!

Kapral zaczerwienił się i krzyknął:

— Wypraszam sobie wszelkie uwagi, panie jednoroczny! Zrozumiano?

— Pan kapral przecie niczemu nie winien — mówił dalej tonem pojednawczym jednoroczny ochotnik. — Są przecie na świecie takie stworzenia, którym przyroda odmówiła wszelkiej inteligencji. Przecież słyszał pan już niejedno opowiadanie o głupocie ludzkiej. Dla pana byłoby lepiej, gdyby pan się zrodził jako inny gatunek ssaka i nie nosił tej głupiej nazwy człowieka i jeszcze do tego kaprała. W tym jest wielkie pobłądzenie, iż wyobraża pan sobie, że jest stworzeniem najdoskonalszym i najbardziej rozwiniętym. Jak panu odprują gwiazdki, to będzie pan zerem, masowo rozstrzeliwanym po wszystkich rowach strzeleckich i wszystkich frontach i co najważniejsze, nikt się tym nie przejmuje. Jeśli przyszyją panu jeszcze jedną gwiazdkę i zrobią z pana stworzenie, które nazywa się sierżant, to i tak jeszcze nie wszystko będzie jasne. Duchowy horyzont pański zacieśni się jeszcze bardziej, a gdy na jednym z pobojuwisk złożysz pan swoje gnaty, skarłałe pod względem kulturalnym, to w całej Europie nikt pana oplakiwać nie będzie.

— Każę pana aresztować! — wrzasnął zrozpaczony kapral. Jednoroczny ochotnik roześmiał się:

— Pan przypuszcza, jak mi się zdaje, że można kazać mnie aresztować za to, że wymyślałem na pana. Oczywiście, kłamałby pan, ponieważ pański rozwój duchowy w ogóle niedostępny jest dla jakichkolwiek słów obraźliwych, a prócz tego

założę się z panem o co pan chce, że z całej naszej rozmowy nie zapamiętał pan zgoła nic. Gdybym powiedział panu, że pan jest embrion, to zapomni pan o tym nie tylko przed przybyciem naszego pociągu na najbliższą stację, ale przed mignięciem najbliższego słupa telegraficznego. Pan jest zamarłym zwojem mózgowym. W ogóle nie mogę sobie wyobrazić, aby pan zdołał jako tako zwięźle powtórzyć to, co tu mówiłem. Poza tym może pan zapytać kogokolwiek z obecnych, czy w słowach moich była jakaś najdrobniejsza obraza czy też przytyk do pańskiego horyzontu umysłowego.

— Oczywiście — potwierdził Szwejk — nikt nie rzekł tu panu ani jednego słowa, które mógłby pan sobie wyklądać niekorzystnie dla siebie. Zawsze jest w tym coś dziwnego, gdy ktoś czuje się obrażony. Pewnego razu siedziałem w nocnej kawiarni „Tunel” i prowadziliśmy żywą rozmowę o orangutanach. Siedział tam jakiś leśniczy i zaczął wywodzić, że takiego orangutana trudno odróżnić od niejednego brodatego obywatela, ponieważ i ta małpa też ma pysk zarośnięty kudłami, jak na przykład tamten pan przy trzecim stoliku. Obejrzeliliśmy się na brodatego pana, a ten pan wstał, podszedł do leśniczego i dał mu w pysk, a znowuż tamten rozwalił mu głowę butelką od piwa. Brodaty pan zwałił się na podłogę, a z leśniczym pożegnaliśmy się, bo zaraz poszedł sobie widząc, że gość leży jak zabity. Potem zabraliśmy się do cucenia tego pana, ale nie powinniśmy byli czynić tego, gdyż natychmiast po ocuceniu wezwał policję, a policja odprowadziła nas do komisariatu. I ciągle powtarzał w kółko, że traktowaliśmy go, jako orangutana i że o niczym nie mówiliśmy, tylko o nim. Uparł się i nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. My mu powiadamy, że nie jest orangutanem, a on powiada, że jest, bo słyszał dobrze. Więc prosiliśmy pana komisarza, żeby mu tę rzecz wytłumaczył. Pan komisarz tłumaczył mu bardzo grzecznie, co i jak, ale i to na nic się nie zdało. Powiedział panu komisarzowi, że się na tych rzeczach nie zna,

■ w dodatku zwąchał się z nami. Więc pan komisarz kazał go wsadzić do ula, żeby otrzeźwiał, a my też nie mogliśmy wrócić do „Tunelu“, ponieważ i nas także wsadził za kratę. Widzi pan sam, panie kapral, co może wyniknąć z marnego nieporozumienia, które nawet gadania niewarte. W Okrouhlicach był znowuż jeden obywatel, który obraził się, gdy ktoś w Niemieckim Brodzie powiedział na niego „krajta tygrysowata“. Dużo jest takich słów, za które kary nie ma. Na przykład, gdybym rzekł, że pan jest magnolia, czy mógłby się pan o to gniewać?

Kapral ryknął. Może nawet nie ryknął, tylko zawył wszystkim, czym może zawyc gniew, wściekłość, rozpacz. Wściekłe to wycie odezwało się przy akompaniamencie chrapania i poswistywania spiącego oberfeldkurata.

Po tym wybuchu kapral poddał się depresji. Usiadł na ławce, a jego wodniste oczy, pozbawione wszelkiego wyrazu, zapatrzyły się na dalekie lasy i góry.

— Panie kapralu — rzekł jednoroczny ochotnik — gdy patrzę na pana zapatrzonogo na wysokie góry i szumiące gaje, przypomina mi się postać Dantego. Takie samo oblicze poety, męża o sercu delikatnym i duchu subtelnym, wrażliwym na wszystko, co piękne i wzniosłe. Proszę pana, niech pan się nie rusza! Tak panu w tej zadumie do twarzy. Z jakimże uduchowieniem wytrzeszcza pan oczy na krajobraz, unikając wszelkiej pozy i afektacji. Jestem pewien, iż myśli pan o tym, jak pięknie będzie tu na wiosnę, gdy zamiast pustki dzisiejszej zazielenieją i rozkwiecą się kobierce łąk rozległych.

— Po których to kobiercach płynie szemrzący strumyczek — wtrącił Szwejk. — I zdaje mi się, że nad tym strumyczkiem siedzi pan kapral, ślini ołówek i pisze wierszyki do gazetki poniektórej.

Kapral stał całkiem apatycznie, a jednoroczny ochotnik twierdził z całą pewnością, że widział głowę kaprala wśród wystawionych prac pewnego rzeźbiarza.

— Przepraszam pana kaprala, czy nie portretował pana rzeźbiarz Stursa?

Kapral spojrział na jednorocznego ochotnika ze smutkiem i odpowiedział:

— Nie portretował.

Jednoroczny ochotnik zamilkł i wyciągnął się na ławce.

Szeregowcy eskorty grali w karty ze Szwejkem, zrozpaczony kapral kibicował i nawet pozwolił sobie zaznaczyć, że Szwejk popełnił błąd, wychodząc w asa winnego. Nie należało triumfować i zatrzymać siódemkę na ostatni sztych.

— Dawniej to po szynkach bywały takie ładne napisy przeciw kibicom — mówił Szwejk. — Zapamiętałem sobie taki jeden napis. — Stul, kibicu, paszczę, bo ci w nią naszczę.

Pociąg wojskowy wjeżdżał na stację, na której inspekcja wojskowa przeglądała wagony. Ozwały się sygnały, pociąg stanął.

— Naturalnie — rzekł nieubłagany jednoroczny ochotnik, wymownie spoglądając na kaprala — inspekcja depcze nam po piętach...

Do wagonu istotnie wkroczyła inspekcja.

Dowódcą pociągu wojskowego był oficer rezerwy doktor Mráz, wyznaczony przez sztab do czynności inspekcyjnych.

Do takich głupich czynności wyznaczano zawsze oficerów rezerwy. Doktor Mráz zgłupiał z tego wszystkiego. Ciągłe nie mógł doliczyć się jednego wagonu, aczkolwiek był w cywilu profesorem matematyki w gimnazjum realnym. Prócz tego liczebny stan wojska meldowany na ostatniej stacji nie zgadzał się z liczbami podanymi po zawagonowaniu pułku na stacji w Budziejowicach. Wydawało mu się przy przeglądaniu papierów, że ma o dwie kuchnie polowe więcej, niż mieć powinien. Po krzyżach rozlażyły mu się jakieś dziwne dreszczyki, gdy stwierdził, że konie rozmnożyły mu się w drodze diabli wiedzą, jakim sposobem. Natomiast w żaden sposób nie mógł się doszukać dwóch kadetów, którzy gdzieś się zapodzieli.

W kancelarii pułkowej w jednym z pierwszych wagonów szukano bezustannie jakiejś maszyny do pisania. Z tego zamętu rozboląła go głowa, połknął już trzy proszki aspiryny i teraz rewidował pociąg z bolesnym wyrazem twarzy.

Wszedłszy do wagonu aresztanckiego razem ze swoim pomocnikiem, zajrzał w papiery i odebrawszy raport od zgnębionego kaprała, który meldował, że wiezie dwóch aresztantów i że ma tylu a tylu szeregowców, porównał meldunek z notatkami w papierach i rozejrzał się dokoła.

— A kogoż to macie tutaj? — zapytał surowo, wskazując na oberfeldkurata, który leżał na brzuchu i zadnie policzki wystawił prowokacyjnie na inspekcję.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — jękał się kaprał — że my tego ten...

— Co za tego ten? — warknął doktor Mráz. — Mówcie jasno!

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odezwał się zamiast kaprała Szwejk — że ten pan, który tu śpi na brzuchu, jest pijanym oberfeldkuratem. Przyłączył się do nas i sam wlaź do wagonu, a ponieważ jest on naszym przełożonym, przeto nie mogliśmy go wyrzucić, gdyż byłoby to naruszenie subordynacji. On się niezawodnie pomylił i zamiast do sztabowego wagonu wlaź do aresztanckiego.

Doktor Mráz westchnął i zajrzał w swoje papiery. O jakimkolwiek oberfeldkuracie, który pociągiem wojskowym miałby jechać do Brucku, nie było w spisie ani wzmianeczki. Zamrugał nerwowo i rozglądał się bezradnie dokoła. Na ostatniej stacji przybyło mu raptem koni, a tu jeszcze w wagonie aresztanckim znaleźli się niespodziewany oberfeldkurat.

Nie zdobył się na nic innego, tylko wezwał kaprała, aby śpiącego na brzuchu oberfeldkurata obrócił, ponieważ w inny sposób trudno sprawdzić jego tożsamość.

Po długim wysiłku udało się kapralowi obrócić oberfeld-

kurata, który obudził się przy tej sposobności, a widząc oficera, rzekł:

— Eh, servus, Fredy, was gibts neues? Abendessen schon fertig?

Zamknął oczy i obróciwszy się ku ścianie, spał dalej.

Doktor Mráz spostrzegł od razu, że to ten sam żarłok, który od wczoraj grasował po kasynie oficerskim, osławiony wyzeracz wszystkich oficerskich jadłodajni i pieczeniarsz. Na ten widok westchnął.

— Za to — rzekł do kaprala — pójdziecie do raportu.

I oddalał się już, gdy wtem zatrzymał go Szwejk.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że ja już do aresztanckiego wagonu nie należę. Miałem być w areszcie tylko do pół do jedenastej, ponieważ dzisiaj kończy się moja kara. Skazany byłem na trzy dni, a teraz już mi się należy miejsce w wagonie bydłęcym. Już dawno po jedenastej, więc proszę pana lejtnanta, aby rozkazał mi wysiąść na tor albo przejść do wagonu bydłącego, gdzie mam prawo przebywać, albo też abym został przekazany nadporucznikowi Lukaszowi.

— Jak się nazywacie? — zapytał doktor Mráz, zaglądając do swoich papierów.

— Szwejk Józef, melduję posłusznie, panie lejtnant.

— Mhm, to wy jesteście ten sławetny Szwejk — rzekł doktor Mráz. — Rzeczywiście, należało wam się przeniesienie do innego wagonu już o pół do jedenastej, ale pan nadporucznik Lukasz prosił mnie, abym was wypuścił dopiero w Brucku. Uważa, że tak będzie bezpieczniej, bo przynajmniej w drodze nic nie splatacie.

Po odejściu inspekcji maltretowany kapral nie mógł się powstrzymać od jadowitej uwagi:

— Widzicie więc, mój Szwejku, że zwracanie się do wyższej instancji na gówno się zdało. Gdybym był chciał, to byłbym wam obu narobił kramu.

— Panie kapralu — odezwał się jednoroczny ochotnik — argumentowanie gównami jest zawsze i wszędzie bardzo przekonywające, ale człowiek inteligentny nie powinien używać takich słów, gdy jest zdenerwowany lub gdy chce kogo szykanować. I na co zdały się pańskie śmieszne pogroźki, że mógł nam pan narobić kramu? Dlaczego do wszystkich diabłów nie narobił pan nam tego kramu, skoro była okazja? Czy dlatego, że jest pan taki wielkoduszny i posiada nad nami przewagę duchową?

— Już mam tego dosyć! — krzyknął kapral. — Jednego i drugiego mogę zaprowadzić do kryminału.

— Ale za co, gołąbku? — zapytał z miną niewinną jednoroczny ochotnik.

— To moja rzecz! — dodawał sobie animuszu pan kapral.

— Nie tylko pańska rzecz, ale i nasza — odpowiedział jednoroczny ochotnik. — Jest tu tak samo jak w grze w karty: moja ciotka — twoja ciotka. Zdaje mi się raczej, że podziałała na pana wzmianka o raporcie i dlatego zaczyna pan na nas wrzeszczeć, aczkolwiek czyni pan to w drodze pozasłużbowej.

— Jesteście grubianie — rzekł kapral, czyniąc ostatni wysiłek, aby wyglądać strasznie.

— Powiem panu, panie kapral — wtrącił Szwejk, że jestem starym żołnierzem, służyłem jak wszyscy już przed wojną i wiem, że wyzwiska nie zawsze się opłacają. Kiedym służył przed laty w wojsku, to był u nas taki jakiś kapral Schreiter. Służył w wojsku z zamiłowania. Już dawno mógł być pójść do domu jako kapral, ale był, jak się mówi, w ciemę bity. Otóż ten człowiek jeździł po nas żołnierzach, ile tylko wlazło, przyklepał się do nas jak gówno do koszuli, a to mu się nie podobało, a to znowu tamto było przeciwko vorschiftom, szykanował nas, jak tylko mógł, i mawiał: — Wy nie żołnierze, ale stróże nocne. — Mnie się to przestało podobać i pewnego dnia poszedłem do raportu. — Czego ci tam? — pyta

kapitan. — Mam, posłusznie melduję, panie kapitanie, skargę na kaprała Schreitera. My nie żadne stróże nocne, ale cesarscy żołnierze. My służymy najjaśniejszemu panu, a nie jesteśmy od łazikowania i pilnowania.

— Uważajno, kundlu jeden, żebym się nie wziął za ciebie — odpowiedział kapitan. — A ja na to, że posłusznie proszę o przekazanie mnie do batalionsraportu.

— Przy batalionsraporcie, kiedym wszystko powiedział oberstlejtantowi i zaprotestował, że nie jesteśmy żadne stróże nocne, ale żołnierze cesarscy, oberstlejtant kazał mnie wsadzić do paki na dwa dni, ale ja zażądałem przekazania mnie do regimentsraportu. Przy regimentsraporcie po moim objaśnieniu pan oberst ryknął na mnie, że jestem idiota i żebym sobie poszedł do wszystkich diabłów, a ja na to: — Posłusznie melduję, panie oberst, że chcę być przekazany do brigadera-portu. — Tego się pan oberst zląkł i natychmiast kazał wezwać do kancelarii tego kaprała Schreitera, który musiał mnie przeprosić przed wszystkimi oficerami za to słowo: stróż nocny. Potem dogonił mnie ten kapral na dziedzińcu i powiedział mi, że odtąd nie będzie mnie wyzywał, ale zaprowadzi mnie do kryminału. Od tego czasu bardzo się pilnowałem, ale nie upilnowałem się. Stałem na warcie koło magazynu, a na murze każdy wartownik zawsze coś takiego wypisał. Albo wyrysował kobiece przyrodzenie, albo napisał jaki ładny wierszyk. Mnie nic nie przyszło do głowy, więc z nudów podpisałem się pod napisem:

Kapral Schreiter jest drab.

A ten pies Schreiter zaraz mnie oskarżył, ponieważ śledził mnie i tropił na każdym kroku. Na nieszczęście był pod moim podpisem jeszcze inny napis:

My o wojnę nie dbamy, my na wojnę nasramy.

Było to w roku 1912, kiedy mieliśmy wyruszyć do Serbii z powodu tego konsula Prochazki. Więc też wysłali mnie na-

tychmiast do Terezina do landgerichtu. Chyba z piętnaście razy fotografowali panowie z sądu wojskowego ten mur z napisami i z moim podpisem, a dla zbadania mego charakteru pisma kazali mi dziesięć razy napisać:

My o wojnę nie dbamy, my na wojnę nasramy

i piętnaście razy:

Kapral Schreiter jest drab.

Wreszcie zjechał jakiś znawca pisma i kazał mi napisać:

Było to 29 lipca 1897, gdy Dwór Królowej nad Łabą poznał grozę bystrej i wezbranej rzeki.

— To nie wystarcza — mówił audytor — bo nam głównie chodzi o to wysranie. Niech pan dyktuje coś takiego, w czym jest dużo „s“ i „r“. Więc dyktował: Serb, serwetka, srebro, sroka, cherubin, rubin, hołota. — Bo ten pan znawca pisma zgłupiał z tego wszystkiego niezgorzej i ciągle oglądał się za siebie, gdzie stał żołnierz z bagnietem, i wreszcie rzekł, że wszystko trzeba odesłać do Wiednia, i jeszcze raz kazał mi trzy razy napisać:

Zaczyna też już słońko przypiekać, ciepło jest znakomicie.

Cały materiał wyprawili do Wiednia i wreszcie skończyło się na tym, iż powiedzieli, że co do tych napisów, to zostały one napisane inną ręką, ale podpis jest mój, bo też sam się do niego przyznałem, i za to zostałem skazany na sześć tygodni, bo jak się wartownik podpisuje na murze, to przez ten czas podpisywania nie może dobrze wartać.

— Dobrze i to — rzekł kapral z zadowoleniem — że wykroczenie nie pozostało bez kary. Widać z tego jasno, że jesteś pan dobry kajdaniarz. Żebym ja był na miejscu tego landgerichtu, to bym panu wlepił nie sześć tygodni, ale sześć lat.

— Niech pan nie udaje takiego straszego — wtrącił się do rozmowy jednoroczny ochotnik — niech pan raczej pomyśli

o własnym końcu. Dopiero co inspekcja powiedziała panu, że trzeba będzie stanąć do raportu. Na taką rzecz należałoby przygotować się bardzo poważnie i zastanowić się nad rzeczami ostatecznymi kaprala. Czym jest pan zresztą w porównaniu ze wszechświatem, gdy pan zważy, że do najbliższego słońca jest od tego pociągu wojskowego 275.000 razy dalej niż do naszego słońca własnego, a taka odległość potrzebna jest, aby jej paralaksa tworzyła jedną sekundę. Gdyby się pan znajdował we wszechświecie jako słońce, byłby pan zbyt drobnym pyłem, aby pana mogli dostrzec gwiazdciarze przez najlepsze teleskopy. Dla pańskiej znikomości we wszechświecie nie ma odpowiedniego pojęcia. Przez pół roku wykonałby pan na firmamencie taki nieznaczny łuk, przez rok taką malutką elipsę, że dla ich wyrażenia przy pomocy liczb brak w ogóle pojęć. Paralaksa pańska byłaby zupełnie nie wymierna.

— W takim razie mógłby pan kapral być dumny z tego, że nikt nie może go zmierzyć — odezwał się Szwejk. Niech się dzieje przy raporcie, co chce, denerwować się nie trzeba, bo każde zdenerwowanie szkodzi zdrowiu, a teraz w czasie wojny każdy winien dbać o zdrowie, ponieważ trudy wojenne wymagają od każdego obywatela, żeby nie był zdechlakiem.

Gdyby pana wsadzili do paki, panie kapralu — mówił Szwejk dalej, z bardzo miłym uśmiechem — gdyby pana spotkała jaka gruba przykrość, to niech pan nie traci ducha. Niech oni sobie myślą swoje, a pan będzie myślał swoje. Znałem pewnego węglarza, z którym siedziałem w areszcie dyrekcji policji jeszcze na początku wojny, nazywał się Franciszek Szkwor i był oskarżony o zdradę stanu, a następnie, przypuszczam, stracony z powodu niejakiej sankcji pragmatycznej. Człowiek ten przy badaniu był zapytywany, czy ma jakie zastrzeżenia co do protokołu, ale odpowiadał zawsze jedno:

— Jak tam było, tak tam było, zawsze jakoś było. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było.

Następnie za to właśnie zamknięto go w ciemnej komórcie na dwa dni bez jedzenia i bez picia, a gdy go zaprowadzili do sędziego śledczego, to powtórzył swoje głębokie przekonanie, że jak tam było, tak tam było, zawsze jakoś jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było. Może być, że z takim przekonaniem poszedł na szubienicę, bo przekazano go sądowi wojskowemu.

— Teraz podobno sporo wieszają i rozstrzeliwują — rzekł jeden z szeregowców eskorty. — Niedawno odczytali nam na placu ćwiczeń befel, że w Motolu rozstrzelali rezerwistę Kudrnę, ponieważ kapitan ciął szablą jego chłopczyka, którego trzymała na ręku jego żona, gdy się z mężem chciała w Beneszowie pożegnać. No i ten Kudrna się uniósł z tego powodu. A politycznych wsadzają do ula w rumel. A na Morawach rozstrzelali już też podobno jednego redaktora. Nasz pan kapitan mówi, że i na resztę przyjdzie kolej.

— Wszystko ma swoje granice — rzekł jednoroczny ochotnik dwuznacznie.

— Ma pan rację — odezwał się kapral. — Za dużo sobie taki redaktor jeden z drugim pozwala. Tylko ludzi buntują. Zaprzeszłego roku, gdy byłem frajtrzem dopiero, to miałem pod sobą też jednego redaktora, który nie nazywał mnie inaczej, tylko zakałał armii, ale kiedym go uczył Gelenksübungów aż się pocił, to zawsze mawiał do mnie: — Proszę szanować we mnie człowieka. — No, pokazałem ja mu, jak się tego człowieka szanuje w kałużach i błocie, po komendzie: Padnij! Zaprowadziłem go przed kałużę i musiał jaśnie pan przewracać się w nią, aż woda bryzgała, jak na plaży. A po południu wszystko musiało być wyczyszczone do blasku, mundur musiał być czysty jak szkło. Czyścił, smyczył i stękał, robił nawet jakieś uwagi, a nazajutrz musiał się znowuż targać jak ta świnią w błocie, a ja stałem nad nim i mówiłem: — No i cóż, panie redaktorze, co jest więcej: zakałał

armii czy też tam ten pański człowiek? Taki był z niego prawdziwy i akuratny inteligent.

Kapral triumfująco spojrział na jednorocznego ochotnika i mówił dalej:

— On utracił prawa jednorocznego ochotnika przez swoją inteligencję, bo pisywał do gazet o szykanowaniu żołnierzy. Ale jak go nie szykanować, kiedy taki uczony człowiek, a nie umie rozebrać przy karabinie *verschluss*, choćby mu się dziesięć razy pokazywało, jak to się robi. Komenderuje się na ten przykład: — *Links schaut!* — a ten jakby naumyślnie kręci łbem na prawo i gapi się przy tym, jak cieleń na malowane wrota, a przy chwytach nie wie, jak wziąć się do rzeczy, czy za ramię złapać, czy za *patrontasz* i wytrzeszcza ślepie tak jakoś, że nie wiadomo, kpi, czy o drogę pyta, a nie potrafi powtórzyć ruchu, przy którym ręka ma zjechać po rzemieniu na dół. On nie wiedział nawet na którym ramieniu nosi się karabin i salutował jak małpa, a gdy się uczył chodzić, to nie daj Boże, co za obroty wyrabiał. Gdy mu się kazano odwrócić, to było mu wszystko jedno, którym kulasem ruszy naprzód, lewym czy prawym. *Cap, cap, cap*, ze sześć kroków zrobił nieraz po komendzie i dopiero zaczął kręcić łbem i kombinować, co ma być dalej. A przy maszerowaniu to się włókł jak stary podagryk albo podskakiwał jak stara dziwka w kiermasz przy tańcu.

Kapral splunął i mówił dalej:

— Wyfasował umyślnie karabin bardzo zardzewiały, żeby się nauczył czyścić go akuratnie, szorował go jak pies sukę, ale żeby kupił jeszcze ze dwa kila kądzieli, to i tak nie byłby się niczego doczyścił. Im więcej go czyścił, tym karabin był bardziej zardzewiały, a przy raporcie wędrował z ręki do ręki i każdy się dziwił, że w ogóle karabin może być taki zardzewiały. Nasz kapitan mówił mu często, że z niego nigdy żołnierz nie będzie, żeby się lepiej powiesił, bo darmo żre komiśniak. A ten tylko pomrukiwał oczkami pod okularami. Wiel-

kie to było święto dla niego, jeśli nie miał akurat *verschärft* albo koszarówki. W takie dni pisywał zwykle artykuły do gazet o szykanowaniu żołnierzy, aż razu pewnego zrobiono rewizję w jego kuferku. Książeczek sobie tam uzbierał całą kupę. I jeszcze miał same książki o rozbrojeniu i o pokoju międzynarodowym. Za to powędrował na garnizon i od tego czasu mieliśmy z nim spokój, aż pewnego poranku pojawił się raptem w kancelarii i wypisywał fasunki. Był osobno, żeby nie mógł rozmawiać z szeregowcami. Taki to był smutny koniec tego inteligenta. A mógł być panem całą gębą, żeby przez swoją głupotę nie był utracił prawa jednorocznego ochotnictwa. Mógł się stać nawet lejtnantem.

Kapral westchnął głęboko.

— Nawet zakładek na płaszczu ułożyć nie umiał. Do czyszczenia guzików sprowadzał sobie jakieś pasty i maście aż z Pragi, ale wszystko to na nic, bo każdy jego guzik był taki zardzewiały, jak ten Ezaw. Ale bajtlować umiał za dziesięciu, a gdy dostał się do kancelarii, to nic innego nie robił, tylko filozofował. Do filozofowania czuł powołanie już od dawna. Ciągłe tylko gadał o prawach człowieka. Pewnego razu, kiedy sobie filozofował w kałuży, do której musiał się zwalić na komendę: *Nieder!* — mówię do niego: — Kiedy pan ciągle gada o człowieku i o błocie, to zapamiętaj pan sobie, że człowiek został stworzony z błota — i musiał stulić pysk.

Wygadawszy się, kapral był zadowolony z siebie i czekał, co też na to wszystko odpowie jednoroczny ochotnik. Odezwał się wszakże Szwejk:

— Za takie same rzeczy, za takie maltretowanie, przebił niejaki Koniczek w trzydziestym piątym pułku siebie i kaprała. Było o tym w gazecie. Kapral miał w czole ze trzydzieści ran kłutych, z czego przeszło tuzin śmiertelnych. Ten żołnierz usiadł potem na tym zabitym kapralu i siedzący przebił się. Inny wypadek zdarzył się przed laty w Dalmacji, gdzie kaprała zarżnęli i do dzisiaj nikt nie wie, kto to zrobił. Mor-

derstwo otoczyła mgła tajemnicy, tyle tylko wiadomo, że ten zarżnięty kapral nazywał się Fiala i pochodził z Drabowny koło Turnowa. Wiem też jeszcze o jednym kapralu z siedemdziesiątego piątego pułku piechoty, nazywał się Rejmanek...

Miła ta opowieść przerwana została wielkim stękananiem śpiącego na ławie oberfeldkurata Laciny.

Pater budził się w całej swej dostojności i krasie. Przebudzeniu jego towarzyszyły te same zjawiska, które były nieodłączne od przebudzeń młodego olbrzyma Gargantui, którego ładnie opisał stary wesoły Rabelais.

Oberfeldkurat pierdział i bekał na ławie, i ziewał hałaśliwie na cały wagon. Wreszcie usiadł i spytał zdziwiony:

— Do stu tysięcy fur beczek, gdzie ja jestem?

Kapral widząc, że jego zwierzchnik się budzi, stanął na baczność i uniżenie odpowiedział:

— Posłusznie melduję, panie oberfeldkurat, że raczy się pan znajdować w aresztanckim wagonie.

Błysk zdziwienia przeleciał po twarzy oberfeldkurata. Przez chwilę siedział bez słowa i usilnie nad czymś rozmyślał. Darownie. Między tym, co przeżył przez noc i rano, a przebudzeniem się w wagonie, którego okna były zakratowane, istniało całe morze mroku.

Wreszcie zwrócił się do kaprala z zapytaniem:

— A na czyj niby rozkaz ja tego...

— Posłusznie melduję, że bez rozkazu, panie oberfeldkuracie.

Pater wstał i zaczął przechadzać się między ławkami, mamrocząc pod nosem, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. Usiadł i pytał:

— A dokąd właściwie jedziemy?

— Do Brucku, melduję posłusznie.

— A dlaczego jedziemy do Brucku?

— Posłusznie melduję, że został tam przeniesiony cały nasz dziewięćdziesiąty pierwszy pułk.

Pater zaczął znowuż bardzo usilnie rozmyślać nad tym, co się właściwie stało i w jaki sposób dostał się do takiego wagonu. Nie wiedział też dlaczego jedzie do Brucku i akurat razem z dziewięćdziesiątym pierwszym pułkiem.

Opamiętał się i otrzeźwiał tak dalece, że rozpoznał nawet jednorocznego ochotnika i zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Może mi pan powie, jak się tu dostałem?

— Bardzo chętnie — odpowiedział tonem koleżeńskiej gotowości jednoroczny ochotnik. — Rano przysiadł się pan oberfeldkurat do nas na dworcu w Budziejowicach, bo pan miał trochę w głowie.

Kaprał spojrział na niego surowo.

— Włazł pan sobie do wagonu, do nas — mówił dalej jednoroczny ochotnik — i nic więcej. Wyciągnął się pan na ławie, a ten oto żołnierz, Szwejk, podłożył panu oberfeldkuratowi swój płaszcz pod głowę. Podczas kontroli pociągu na poprzedniej stacji został pan zapisany w poczet oficerów, znajdujących się w pociągu. Został pan, że się tak wyrażę, urzędowo odkryty, a nasz pan kaprał pójdzie za to do raportu.

— Tak, tak — wzdychał pater — trzeba będzie na najbliższej stacji przejść do wagonu sztabowego. Czy obiad już wydany?

— Obiad będzie dopiero w Wiedniu, panie oberfeldkuracie — zameldował kaprał.

— A więc to wy podłożyliście mi pod głowę mantel? — zwrócił się pater do Szwejka. — Serdecznie wam dziękuję.

— Żadna wdzięczność mi się nie należy — odpowiedział Szwejk — bo postępowałem tylko, jak winien postępować każdy żołnierz wobec swego zwierzchnika, gdy widzi, że ten zwierzchnik nie ma nic pod głową, a wypił troszeczkę. Każdy żołnierz winien szanować swego zwierzchnika, choćby ten zwierzchnik był w stanie odmiennym. Ja mam bogate doświadczenie z feldkuratami, ponieważ byłem burszem u pana

feldkurata Ottona Katza. Feldkuraty, to naród wesoły i poczciwy.

Oberfeldkurat dostał ostrego ataku demokracji ze swego katzenjammeru po pijatyce wczorajszej, wyjął z kieszeni papierosa i podał go Szwejkowi:

— Masz, bracie, i kurz ile wlezie! A ty — zwrócił się do kaprała — masz podobno stawać do raportu z mojej przyczyny. Nie bój się, nic ci nie będzie, bo ja wszystko wytłumaczę.

— A ciebie — rzekł do Szwejka — zabiorę z sobą. Będzie ci u mnie jak w raju.

Dostał nowego napadu wielkoduszności i zaczął wszystkich zapewniać, że każdemu coś dobrego zrobi. Jednorocznemu ochotnikowi kupi czekolady, szeregowcom eskorty zafunduje araku, kaprała każe przenieść do oddziału fotograficznego przy sztabie siódmej dywizji kawalerii, wszystkich w ogóle pouwalcia i o nikim nie zapomni.

Zaczął rozdawać papierosy, częstując nie tylko Szwejka, ale wszystkich; oświadczył, że wszystkim aresztantom pozwala palić, i zapewniał ich, że wstawi się za nimi, aby kara ich była złagodzona i aby niedługo mogli powrócić do normalnego życia wojskowego.

— Nie chcę — mówił — abyście o mnie zapomnieli. Mam rozległe stosunki, więc przy mnie dobrze wam będzie. Wywieracie na mnie wrażenie ludzi przyzwoitych, których Bóg miłuje. Jeśli zgrzeszyliście, to pokutujecie teraz, a ja widzę, że chętnie i pokornie znosicie wszystko, co Bóg na was zesłał.

— Za co zostaliście ukarani? — zwrócił się do Szwejka.

— Bóg zesłał na mnie karę — pobożnie odpowiedział Szwejk — z powodu regimentsraportu i z przyczyny niezawnionego spóźnienia się na pociąg.

— Bóg jest niewypowiedzianie miłosierny i sprawiedliwy — uroczyście rzekł oberfeldkurat. — On wie kogo karać trzeba, albowiem w ten sposób ujawnia swoje przewidywa-

nie i swoją wszechmoc. A za co siedzi pan, panie jednoroczny ochotniku?

— Ponieważ — odpowiedział zapytany — Bóg miłosierny raczył zesłać mi reumatyzm, a ja stałem się z tej racji pyszny i dufny. Po odbyciu kary zostaną odesłani do kuchni.

— Co Bóg czyni, dobre jest — zawołał pater w zachwycie, słysząc o kuchni. — Nawet w kuchni może człowiek porządny zrobić karierę. Właśnie do kuchni powinni wysyłać jak najwięcej ludzi inteligentnych, już dla samego kombinowania różnych potraw, ponieważ chodzi nie tylko o to, co się gotuje, ale jak się gotuje i z jaką miłością dodaje się jedno do drugiego, estetyka pokarmu i tam dalej. Weźmy na ten przykład sosy. Gdy inteligentny człowiek zrobi sos cebulowy, to bierze do niego wszystkie rodzaje jarzyn i dusi je na maśle, potem dodaje korzenie, pieprz, angielskie ziele, trochę galki muszkatowej, imbiru, ale zwyczajny prostacki kucharz zagotuje cebulę i zalewa ją czarną fryturą z łoju. Pana chciałbym doprawdy widzieć w jakiej porządnej kuchni oficerskiej. Bez inteligencji obejdzie się człowiek w fachu zwyczajnym i w życiu powszednim, ale w kuchni zaraz się ten brak daje we znaki. Wczoraj wieczorem w oficerskim kasynie w Budziejowicach podali nam cynaderki à la madeira. Niech Bóg będzie miłościw temu, kto je przyrządził, albowiem musiał to być człowiek inteligentny. Słyszałem, że w tamtejszej kuchni oficerskiej jest naprawdę kucharz bardzo inteligentny, jakiś nauczyciel ze Skutcza. Takie same cynaderki à la madeira jadłem w oficerskim kasynie sześćdziesiątego czwartego landwehrrégimentu. Przyrządzili je tam na kminie, tak samo jak w zwyczajnych gospodach przyrządzają je na pieprzu. A któż to tak przyrządza cynaderki? Czym był ten fuszer w cywilu? Parobkiem od karmienia była w wielkim majątku.

Oberfeldkurat zamilkł, a potem zaczął się rozwodzić nad zagadnieniami kulinarnymi starego i nowego Testamentu, ja-

ko ludzie dawniejsi bardzo dbali o to, aby pokarmy spożywane po nabożeństwach i uroczystościach kościelnych były smakowite i pożywne. Wreszcie wezwał wszystkich, aby zaśpiewali coś ładnego, a Szwejk wyrwał się jak zawsze nie bardzo szczęśliwie i śpiewał:

Idzie Maryna od Hodonina,
A za nią proboszcz z baryłką wina...

Ale pan oberfeldkurat się nie obraził.

— Żeby był pod ręką przynajmniej łyk araku, to mogliśmy się obejść bez beczki wina — rzekł z uśmiechem zgoła przyjacielskim. — I tej Maryny też byśmy nie potrzebowali, bo tylko do grzechu zwodzi.

Dziesiątnik delikatnie sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął płaską flaszkę z arakiem.

— Posłusznie melduję, panie oberfeldkurat — odezwał się głosem tak cichym, iż widać było, jaką ofiarę czyni na rzecz bliźniego-zwierzchnika. — Gdyby pan oberfeldkurat nie pogardził...

— Skądże miałbym pogardzać mój chłopcze! — zawołał głosem rozradowanym pater. — Napiję się na naszą szczęśliwą podróż.

— Jezus Maria! — sapnął kapral, widząc, że po łyku oberfeldkurata pozostało w butelce niewiele araku.

— Moi drodzy — rzekł oberfeldkurat, uśmiechając się z pomrugiwaniem do jednorocznego ochotnika — dobrze jest na świecie, a tu sobie jeszcze niektórzy urągają. Pan ich za to skarże.

Pater łyknął jeszcze raz araku i podając resztę Szwejkowi, rozkazał tonem komendy:

— Doróżnij, bracie!

— Wojna, to wojna — rzekł Szwejk z uśmiechem do kaprała, oddając mu pustą butelkę, co kapral skwitował takim dziwnym błyskiem oczu, jaki się widuje tylko u szaleńców.

— A teraz przed Wiedniem jeszcze troszeczkę podrzemię — rzekł oberfeldkurat — i życzę sobie, abym został przebudzony, jak tylko dojedziemy do Wiednia.

— A wy — zwrócił się do Szwejka — pójdziecie do kuchni i przyniesiecie mi obiad. Powiecie tam, że to dla pana oberfeldkurata Laciny. Kierujcie się tak, żeby wam dali podwójną porcję. Gdyby były knedle, to nie bierzcie od czubka, bo na tym się tylko traci. Następnie przyniesiecie mi z kuchni butelkę wina i każecie sobie nalać rumu do menażki.

Pater Lacina zaczął doszukiwać się czegoś po kieszeniach.

— Słuchajcie no — zwrócił się do kaprała — nie mam drobnych. Pożyczcie mi dwie korony. — Wziął pieniądze z ręki kaprała i podając je Szwejkowi, mówił: — Macie tu za fa-tygę. Jak się nazywacie?

— Szwejk.

— Aha, więc macie, tu, mój Szwejku, dwie korony za fa-tygę! Panie kapralu, proszę mi pożyczyć jeszcze dwie korony. — Widzicie, mój Szwejku, te drugie dwie korony dostaniecie, jeśli przyniesiecie solidny obiad i tamte drobiazgi. Powiedzcie tam jeszcze, że nie mam papierosów i cygar. Jeśli będzie fasunek czekolady, to zawińcie porcję podwójną, a jeśli będą konserwy, to uważajcie, żebyście dostali wędzony ozór albo gęsią wątróbkę. Gdyby zaś fasowali ser szwajcarski, to pilnujcie, żeby wam nie dali z wierzchu, bo suchy. To samo z węgierskim salami: broń Boże od końca, ale ze środka, żeby był miękki i wilgotny.

Oberfeldkurat wyciągnął się na ławie i po chwili usnął.

— Sądzę — rzekł jednoroczny ochotnik do kaprała, gdy oberfeldkurat chrapał już na całego — że jest pan zupełnie zadowolony z naszego miłego gościa. Wyjątkowo miły człowiek ten nasz podrzutek.

— Jest to podrzutek — wtrącił Szwejk — odstawiony, jak się mówi, od piersi, bo już pije z flaszeczki, jak to pan kapral widział na własne oczy.

Kapral przez chwilę zmagał się ze sobą, ale nagle, tracąc wszelką unізoność, wybuchnął:

— Miły, bo miły!

— Podług tych drobnych, których mu zabrakło — mówił Szwejk — przypomina mi pan oberfeldukurat niejakiego pana Mliczko, murarza z Dejwic, który też nigdy nie miał drobnych i zadłużył się aż po dziurki w nosie, a potem dostał się za oszustwo do ula. Roztrwonil grube pieniądze, a drobnych nie miał.

— W siedemdziesiątym piątym pułku — odezwał się jeden z szeregowców eskorty — kapitan przechlał całą kasę pułkową. Było to przed wojną i musiał wystąpić z wojska, ale teraz znowuż jest kapitanem. A jeden feldfelbel, który skradł skarbowi sukno na naszywki — było tego sukna ze dwadzieścia sztuk — jest dzisiaj sztabfeldfeblem. Ale w Serbii został rozstrzelany jeden szeregowiec za to, że zjadł od razu konserwę, którą powinien był jeść przez trzy dni.

— To do rzeczy nie należy — oświadczył kapral — ale trzeba przyznać, że pożyczanie czterech koron od biednego kaprala na napiwek...

— Masz pan swoje dwie korony — rzekł Szwejk — nie chcę się z bogacić na pańskiej biedzie. A jeśli da mi i te drugie dwie korony, to je panu także zwrócę, żebyś pan się nie popłakał. Pan powinien cieszyć się z tego, że pański zwierzchnik wojskowy pożycza sobie od pana pieniądze na drobne wydatki. Pan jest wielki egoista. Chodzi tu o parę marnych koron, więc co by to było dopiero, gdyby pan miał poświęcić życie za swojego zwierzchnika, gdyby on leżał ranny na linii nieprzyjacielskiej, a pan miałby go ocalić i odnieść w bezpieczne miejsce na własnych rękach, gdy tymczasem nieprzyjaciel strzelałby za panem szrapnelami i inną amunicją.

— Pan by w portki narobił ze strachu, taki faja! — odciął się kapral.

— W gefechcie niejeden narobi w portki — odezwał się znowuż jeden z szeregowców. — Niedawno temu opowiadał nam pewien ranny kolega w Budziejowicach, że jak szli na-przód, to się zerznął trzy razy z rzędu. Najprzód, jak wy-łazili z dekunków na przedpiersie za zasiekami z drutu kol-czastego, potem, gdy Moskale zaczęli zdrowo strzelać, a po raz trzeci, gdy doszło do walki na bagnety i Moskale biegli, krzycząc „ura“! Potem zaczęli wiać nazad do rowów, za de-kunki, i z całej tyraliery nie było ani jednego, żeby mu się taka rzecz nie przytrafiła. Jeden zabity, który leżał na de-kunku nogami na dół, a któremu szrapnel ściał gładziutko pół głowy, też musiał mieć taki przykry przypadek, bo ze spodni spływało toto do dekunków razem z krwią. I nieda-leko od tego miejsca leżało pół jego głowy oderwanej przez szrapnel. Człowiek nawet nie spostrzeże, jak i co, a już się stało.

— Czasem zrowuż — mówił Szwejk — zrobi się człowie-kowi w gefechcie słabo z obrzydzenia. Opowiadał nam w Pra-dze na Pohorzeltu pewien chory rekonwalescent spod Przem-yśla, że tam pod fortecą doszło do walki na bagnety i że prze-ciwko niemu rozpędził się Moskal z bagnetem, chłop jak góra, ale z nosa spływała mu spora kropla, jak to się czasem trafia. Jak ten człowiek spojrział na ten zasmarkany nos, to mu się zrobiło tak słabo, że zaraz musiał lecieć na Hilfsplatz, gdzie uznali, że to jest człowiek chory na cholere i wyprawili go do szpitala cholerycznego w Peszcie, gdzie rzeczywiście rozchorował się na cholere.

— Co zacz był ten człowiek? Szeregowiec, czy kapral? — zapytał jednoroczny ochotnik.

— Kapral — odpowiedział Szwejk spokojnie.

— Taka rzecz mogłaby się przytrafić i jednorocznemu ochotnikowi — rzekł kapral z przygłupim uśmiechem i spoj-rzał na swego dręczyciela z takim triumfem, jakby chciał rzec: — A widzisz, masz! Co teraz powiesz?

Ale jednoroczny ochotnik nic nie odpowiedział i położył się na ławie.

Pociąg zbliżał się do Wiednia. Ci, co nie spali, przyglądali się oknami zasiekom z drutu kolczastego i okopom dokoła Wiednia, co na cały pułk musiało niezawodnie podziałać deprymująco.

Śpiew niemieckich żołnierzy z gór Kacperskich, który odzywał się bezustannie przez całą drogę, urwał się nagle, jakby się zaczepił o zasieki druciane nad okopami dokoła Wiednia.

— Wszystko w porządku — rzekł Szwejk, spoglądając na okopy — w najlepszym porządku jest tu wszystko, tylko, że wiedeńczycy podczas wycieczek mogą tu sobie podrzeć spodnie. Tutaj trzeba chodzić bardzo ostrożnie.

— Wiedeń jest w ogóle bardzo ważnym miastem — wywodził dalej. — W takiej na przykład schönbruńskiej menażerii ile to mają różnych dzikich zwierząt! Kiedy przed laty byłem w Wiedniu, to najchętniej lubiłem przypatrywać się małpom, ale jak jechała jaka osobistość z cesarskiego pałacu, to nikogo przez kordon nie puszczali. Razem ze mną był jeden krawiec z okręgu dziesiątego. Aresztowali go, bo koniecznie chciał widzieć te małpy.

— A czy był pan także w pałacu? — zapytał kapral.

— Bardzo tam ładnie — odpowiedział Szwejk. — Sam w pałacu nie byłem, ale opowiadał mi o tym jeden taki, co był w pałacu. Najładniejsza jest burgwacha. Każdy z tych wartowników musi podobno mieć dwa metry wysokości, a jak wysłuży, to dostaje trafikę. A księżniczek jest tam tyle, jak śmiecia.

Przejechali przez jakąś stację, skąd leciały za pociągiem dźwięki hymnu austriackiego granego przez orkiestrę, która dostała się na tę stację widać przez pomyłkę, bo dopiero po długiej chwili pociąg dojechał do stacji, na której się zatrzymał i na której dawano jeść i było uroczyste powitanie.

Ale uroczyste powitania nie były już takie jak na początku wojny, kiedy to żołnierze w drodze na front chorowali z przedzenia i kiedy na każdej stacji byli witani przez druchny w głupich białych sukienkach, o bardzo głupiutkim wyrazie twarzyczek i z nieodłącznymi bukietami w rękach. Te bukiety były wprost idiotyczne, ale jeszcze idiotyczniejsze były przemówienia różnych dam, których małżonkowie są obecnie wielkimi republikanami.

Powitania w Wiedniu dokonał komitet składający się, z trzech członkiń austriackiego Czerwonego Krzyża i z dwóch członkiń jakiegoś stowarzyszenia wojennego wiedeńskich pań i panien; asystował im z urzędu przedstawiciel magistratu wiedeńskiego i jakiś wojskowy.

Na wszystkich twarzach widać było znużenie. Pociągi wojskowe przejeżdżały dniem i nocą, wagony z rannymi przesuwały się co godzina, na stacjach tarasowały tory pociągi z jeńcami, a przy tym wszystkim musieli być z własnego uporu przedstawiciele najróżniejszych korporacji i stowarzyszeń. Powtarzało się to dzień w dzień i pierwotny entuzjazm przemieniał się w ziewanie. Ludzie ci pełnili swoją dobrowolną służbę po kolei, ale nawet częste zmiany nie mogły spędzić z ust i oczu wyrazu zmęczenia i nudy. Tacy właśnie ludzie zmęczeni witali pociąg z pułkiem budziejowickim.

Z wagonów bydlęcych wyglądali żołnierze okiem tępym i zmęczonym, jak skazańcy wiezieni na szubienicę.

Do tych żołnierzy podchodziły panie i częstowały ich piernikami z cukrowymi napisami: „Sieg und Rache“, „Gott strafe England“, „Der Oesterreicher hat ein Vaterland. Er liebt's und hat auch Ursache für's Vaterland zu kämpfen“.

Górale z gór Kacperskich obżerali się piernikami, ale i z ich twarzy nie znikał ani na chwilę wyraz tępoty i beznadziejności.

Potem został wydany rozkaz, że żołnierze kompaniami udawać się mają do kuchni polowych za dworcem po pożywienie.

Za dworcem znajdowała się także kuchnia oficerska i do tej kuchni udał się Szwejk z polecenia oberfeldkurata, podczas gdy jednoroczny ochotnik czekał cierpliwie, aż zostanie nakarmiony. Dwaj szeregowcy eskorty poszli po jedzenie dla całego wagonu aresztanckiego.

Szwejk wykonał otrzymane zlecenie bardzo skrupulatnie, a wracając przez tor, ujrzał nadporucznika Lukasa spacerującego wzdłuż toru. Nadporucznik czekał także na obiad.

Jego sytuacja była bardzo niemiła, ponieważ on i nadporucznik Kirschner mieli jednego wspólnego bursza. Ten zacny bursz troszczył się właściwie tylko o nadporucznika Kirschnera i z premedytacją sabotował Lukasa zawsze i wszędzie.

— Dla kogo niesiecie jedzenie, Szwejku? — zapytał nieszczęśliwy nadporucznik, gdy Szwejk poukładał na ziemi mnóstwo rzeczy, które wyłudził był w kuchni oficerskiej i niósł owinięte płaszczem.

Szwejk stropił się w pierwszej chwili, ale zaraz odzyskał równowagę ducha. Twarz jego zajaśniała spokojem i zadowoleniem.

— To dla pana oberlejtanta, posłusznie melduję. Tylko nie wiem, gdzie pan oberlejtant ma swój przedział, a także nie wiem, czy pan komendant pociągu nie będzie miał nic przeciwko temu, abym poszedł z panem. To jakaś świnią.

Nadporucznik Lukasz spojrzawszy badawczo na Szwejka, ale ten z wyrazem jak największego zaufania mówił dalej:

— To naprawdę jakaś świnią, panie oberlejtant. Kiedy odbywał przegląd inspekcyjny naszego wagonu, meldowałem mu się, że już po jedenastej i że mam prawo przejść do wagonu bydłowego albo do pana, a on mi na to, żebym sobie spokojnie siedział w wagonie aresztanckim, to przynajmniej w drodze nie narobię panu oberlejtantowi jakiego wstydu.

Szwejk miał minę męczennika niewinnie krzywdzonego:

— Jakbym ja był panu oberlejtantowi zrobił kiedykolwiek coś takiego, za co się trzeba wstydzić.

Nadporucznik Lukasz westchnął.

— Wstydu żadnego jeszcze panu nigdy nie narobiłem — wywodził Szwejk dalej — a jeśli się czasem nawet coś niecoś przytrafiło, to było zrzędzeniem bożym i nieszczęśliwą przygodą, jak mawiał stary Waniczek z Pelhrzymowa, kiedy odbywał trzydziestą szóstą karę więzienną. Nigdy nie zrobiłem nic takiego rozmyślnie, panie oberlejtant, zawsze chciałem zrobić coś zgrabnego, dobrego i nie ja temu jestem winien, jeśli obaj nie mieliśmy z tego profitu, ale raczej smutek i żalność.

— No, nie lamentujcie tak bardzo, mój Szwejku — rzekł nadporucznik Lukasz głosem miękkiem, gdy obaj zbliżali się do wagonu sztabowego. — Ja wydam rozporządzenie, żebyście znowuż byli przydzieleni do mnie.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że nie lamentuję. Tylko mi się tak żal zrobiło, że obaj jesteście najnieszczęśliwsi ludzie na tej całej wojnie i pod słońcem i obaj cierpimy niewinnie. Ciężki to los, gdy sobie pomyślę, że od maleńkości miałem serce dobre i życzliwe dla każdego.

— Uspokójcie się, Szwejku.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że gdyby to nie było naruszeniem subordynacji, to bym powiedział, że się w ogóle uspokoić nie mogę, ale ponieważ muszę słuchać rozkazów, więc melduję, że już jestem spokojny.

— No to włączcie do wagonu, Szwejku.

— Posłusznie melduję, że włączę, panie oberlejtant.

Nad obozem wojskowym w Brucku panowała cisza nocna. W barakach dla szeregowców zimno było jak w psiarni i żołnierze drżeli z zimna, w barakach oficerskich było nieznośnie gorąco i trzeba było otwierać okna.

Około poszczególnych obiektów, strzeżonych przez wartow-

ników, słyhać było kroki wartujących żołnierzy, którzy chodzeniem pokonywali senność.

Opodał w Brucku nad Litawą jarzyły się okna c. i k. fabryki konserw mięsnych, w której to fabryce w dzień i w nocy przerabiano różne odpadki. Ponieważ powiewał wiatr z tamtej strony, więc na obóz walił się smród gnijących ochłapów, kopyt i gnatów, z których wygotowywano różne wojskowe rosoly.

Z opuszczonego pawiloniku fotografa, gdzie za czasów pokojowych fotografowali się żołnierze, spędzający tu część swej młodości na ćwiczeniach w strzelaniu, oko przechodziło na czerwone elektryczne światło jarzące się w dolinie nad Litawą, a oświetlające bajzel „Pod kłosem kukurydzowym“. Był to okrzyczany dom, który odwiedzinami swymi zaszczycił arcyksiężę Stefan podczas wielkich manewrów pod Szoproniem w roku 1908. W domu tym zbierało się dzień w dzień towarzystwo oficerskie.

Był to najlepszy dom rozpusty, niedostępny dla szeregowców i jednorocznych ochotników.

Prości żołnierze i ochotnicy jednoroczni chodzili do „Domu róż“, którego zielone światła podobnież wynurzały się z za opuszczonego pawiloniku fotografa.

Był tu taki sam podział, jaki panował później na froncie, kiedy mocarstwo nie miało dla swoich żołnierzy już nic innego prócz przenośnych bajzli przy sztabach brygad, tak zwanych „puffów“.

Wszędzie więc można było znaleźć K. u. K. Offizierspuff, K. u. K. Unteroffizierspuff i K. u. K. Mannschaftspuff.

Bruck nad Litawą jarzył się światłem tak samo, jak na drugiej stronie rzeki jaśniała Kiraly Hida. Przedlitawia i Zalitawia. W obu miastach, austriackim i węgierskim, grywały kapele cygańskie, jarzyły się okna kawiarni i restauracyj, śpie-

wano i pito. Miejscowe mieszczuchy i urzędnicy chodzili do kawiarni i restauracyj z żonami i dorosłymi córkami i cały Bruck nad Litawą razem z Kiraly Hidą nie był niczym innym, tylko jednym wielkim bajzlem.

W jednym z oficerskich baraków obozu Szwejk wyczekiwał powrotu swego nadporucznika, który wyszedł był wieczorem do miasta do teatru i dotychczas nie wrócił, chociaż godzina była już bardzo późna. Szwejk siedział na rozesłanym łóżku swego nadporucznika, a naprzeciwko niego na stole siedział służący majora Wenzla.

Major Wenzl powrócił znowuż do służby w pułku, gdy w Serbii stwierdzona została jego całkowita niezdolność dowodzenia podczas walk nad Driną. Opowiadano sobie o tym, że kazał zwinąć i zniszczyć most pontonowy, kiedy pół swego batalionu miał jeszcze po drugiej stronie rzeki. Teraz został przydzielony do wojskowej strzelnicy w Kiraly Hidzie jako dowódca, a prócz tego miał w obozie obowiązki gospodarcze. Oficerowie szeptali między sobą, że major Wenzl porośnie na tej służbie w pierze. Pokoje Lukasa i Wenzla znajdowały się na jednym korytarzu.

Służący majora Wenzla, Mikulaszek, malutki, ospowaty chłopina, bujał nogami i wywodził:

— Dziwię się, że ta moja stara małpa jeszcze nie wraca. Chciałbym wiedzieć, gdzie się taki włóczy po nocach! Gdyby mi przynajmniej dał klucz od pokoju, to bym leżał. I popić byłoby czego, bo wina jest pełen pokój.

— Podobno kradnie — rzekł Szwejk, paląc w spokoju ducha papierosy swego pana, ponieważ zakazano mu palenie fajki w pokoju. — Ty musisz chyba wiedzieć o tym, skąd on bierze tyle wina.

— Chodzę tam, gdzie mi każe — głosem cieniutkim odpowiedział Mikulaszek. — Daje mi kartkę, więc idę i fasuję niby dla szpitala, a przynoszę do domu.

— A jakby ci kazał — pytał Szwejk — żebyś ukradł kasę pułkową, ukradłbyś? Tutaj siedzisz i pyskujesz, ale trzęsiesz się przed nim ze strachu.

Mikulaszek zamyślił się nad pytaniem Szwejka i odpowiedział:

— Co do kasy pułkowej, to musiałbym się zastanowić.

— Nad niczym nie wolno ci medytować, ty sieroto niemądra! — krzyknął na niego Szwejk, ale głos jego urwał się nagle, bo w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł nadporucznik Lukasz. Od pierwszego wejrzenia wiadać było, że musiał zdrowo pić, bo czapkę miał na głowie daszkiem do tyłu.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że wszystko jest w porządku — półgębkiem meldował Szwejk, stanąwszy na baczność według wszelkich prawideł przepisu i zapomniawszy jedynie wyjąć papierosa z ust.

Nadporucznik Lukasz nie zwrócił na to uwagi i podszedł prosto do Mikulaszka, który wytrzeszczonymi oczyma spoglądał na nadporucznika, śledząc każdy jego ruch. Raptowne wejście nadporucznika tak go przeraziło, że zapomniał zeskończyć ze stołu i salutował siedzący.

— Nadporucznik Lukasz — rzekł oficer podchodząc do Mikulaszka krokiem nie bardzo pewnym — a wy coście za jeden?

Mikulaszek milczał. Lukasz przysunął sobie krzesło przed oniemiałego bursza, usiadł, i spoglądając wzwyż, zwrócił się do swego sługi:

— Szwejku, podajcie mi z walizki rewolwer służbowy.

Przez cały czas, gdy Szwejk szukał w walizie rewolweru, Mikulaszek milczał i okiem wystraszonego patrzył na nadporucznika. Jeśli uświadamiał sobie, że siedzi na stole, to musiała ogarniać go rozpacz, ponieważ stopy jego dotykały kolan siedzącego przed nim nadporucznika.

— Pytam się, jak wam na imię, człowieku! — wołał nadporucznik Lukasz.

Biedak milczał dalej. Opanowała go jakaś drętwota, jak później tłumaczył Szwejkowi, spowodowana przestraciem z nagłego przyjscia nadporucznika. Chciał zeskoczyć ze stołu, ale nie mógł, chciał odpowiedzieć, ale nie zdołał otworzyć ust, chciał przestać salutować, nie mógł poruszyć ręką.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — odezwał się Szwejk — że rewolwer nie jest nabity.

— To go nabijcie, Szwejku.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że w domu nie mamy naboí, wobec czego trudno będzie zestrzelić go ze stołu. Pozwalam sobie zauważyć, że to jest Mikulaszek, bursz pana majora Wenzla. On zawsze niemieje, jak tylko zobaczy którego z panów oficerów. I w ogóle wstydzi się mówić. On jest taka sierota niemądra, że się tak wyrażę. Pan major Wenzl pozostawia go zawsze na korytarzu, gdy wychodzi do miasta, więc biedak szwenda się od jednego bursza do drugiego po całym baraku. Żeby jeszcze miał powód do takiego przestracu, ale on jeszcze nigdy nie takiego nie zrobił.

Szwejk splunął i zrobił gest, którym wyrzekał się raz na zawsze wszelkiego szacunku dla takiego tchórzliwego bursza, jakim był ten Mikulaszek, nie umiejący zachować się po woj-skowemu.

— Pozwoli pan oberlejtant — mówił Szwejk dalej — że go powącham.

Szwejk ściągnął ze stołu zgłupiałego Mikulaszka i postawiwszy go na podłodze, obwąchał jego spodnie.

— Jeszcze nie — zameldował — ale już się zaczyna. Czy pan oberlejtant nie każe go wyrzucić?

— Wyrzucicie go, Szwejku.

Szwejk wyprowadził drżącego Mikulaszka na korytarz, zamknął drzwi za sobą i rzekł:

— Uważaj, barania głowo, że ci w tej chwili uratowałem życie. Jak tylko przyjdzie ten twój major Wenzl, to mi za chyłkiem wynieś butelkę wina. Mówię bez żartów. Ja ci naprawdę uratowałem życie. Jak mój oberlejtant się schla, to nie ma z nim gadania. Tylko ja umiem się z nim obchodzić i nikt inny.

— Bo ja...

— Co ty? Fujara jesteś i tyle — rzekł wzgardliwie Szwejk. — Usiądź sobie tu na progu i czekaj na tego swojego majora Wenzla.

— Gdzie was diabli noszą tak długo — rzekł nadporucznik Lukasz do wracającego Szwejka. — Muszę z wami porozmawiać. Nie stawajcie tak idiotycznie na baczność, ale siadajcie i rozmawiajcie ze mną po prostu. Więc stulcie gębę i uważajcie, jak się patrzy. Wiecie, gdzie w Kiraly Hidy jest Szopronyi utcza? Nic mi posłusznie nie meldujcie, że nie wiecie, panie oberlejtant. Mówcie: nie wiem, i basta. Zapiszcie sobie na kawałku papieru: Szopronyi utcza nr 16. W domu pod tym numerem jest handel żelazem. Herrgott, nie gadajcie wciąż: posłusznie melduję! Mówcie: wiem albo nie wiem. Wiecie chyba, co to jest handel żelazem. No to dobrze, że wiecie. Ten handel jest własnością jakiegoś Madziara imieniem Kakonyi. Wiecie, co to zacz Madziar? No więc, Himmelherrgott, wiecie, czy nie wiecie? Aha, wiecie. Nad tym handlem na górze jest pierwsze piętro i na tym pierwszym piętrze on mieszka. Wiecie o tym? Nie wiecie? No to wam o tym mówię, żebyście wiedzieli, do stu tysięcy! Wystarczy wam to? No to dobrze, że wam to wystarczy. Gdyby wam to nie wystarczało, to kazałbym was wsadzić do paki. Już sobie zapisaliście, że ten kupiec nazywa się Kakonyi. Więc doskonale. Jutro rano około dziesiątej pójdziecie do Kiraly Hidy, odszukacie ten dom, o którym wam mówię, wejdziecie na pierwsze piętro i oddacie list ode mnie pani Kakonyi.

Nadporucznik Lukasz otworzył portfel i ziewając podał

Szwejkowi białą kopertę z listem. Koperta nie była zaadresowana.

— Jest to rzecz ogromnie ważna, mój Szwejku — mówił nadporucznik dalej. — Nigdy nie można być zbyt ostrożnym i dlatego, jak widzicie, na kopercie nie ma adresu. Okazuję wam pełne zaufanie i oczekuję od was, że list wręczycie, jak się należy. Zanotujcie sobie jeszcze, że ta dama nazywa się Etelka Kakonyi. Jeszcze raz powtarzam wam, że list musicie wręczyć za wszelką cenę, oczywiście, bardzo dyskretnie i musicie poczekać na odpowiedź, o tym już jest mowa w liście. Czego jeszcze chcecie?

— A gdybym odpowiedzi nie otrzymał, to co mam zrobić?

— To trzeba nalegać, żeby koniecznie była odpowiedź — mówił nadporucznik, ziewając od ucha do ucha. — Ja teraz pójdę spać, bo jestem bardzo zmęczony. Dużo się piło. Sądzę, że każdy byłby zmęczony po takim wieczorze i po takiej nocy.

Nadporucznik Lukasz nie myślał z wieczora o tym, że zaszedł się w mieście tak długo. Aby trochę się rozerwać, ruszył do węgierskiego teatru w Kiraly Hida, gdzie dawano właśnie jakąś węgierską operetkę z tłustymi żydówkami w rolach głównych, których główną zaletą było to, że w tańcu zadzierały nogi jak najwyżej, a nie miały na sobie ani trykotów, ani majtek, a dla większej atrakcji wygolone były jak Tatarki, z czego oczywiście nie miała galeria nic, ale co tym bardziej cieszyło oficerów artylerii, którzy dla wykosztowania tych wszystkich rozkoszy zabierali z sobą artyleryjskie lornetki.

Nadporucznika Lukasa nie bawiło wszakże to interesujące świństwo, ponieważ lornetka, którą sobie pożyczył, nie była achromatyczna, tak że zamiast ud widział w ruchu tylko jakieś sine płaszczyzny.

Podczas pauzy po pierwszym akcie zainteresowała go natomiast pewna pani, która znajdowała się w towarzystwie pana w średnim wieku i ciągle domagała się od niego, aby

ją odprowadził do garderoby i aby poszli do domu, bo na takie rzeczy patrzeć nie może. Wypowiadała to dość głośno po niemiecku, na co jej towarzysz odpowiadał jej po węgiersku.

— Tak jest, aniele, pójdziemy, masz rację. To naprawdę wstrętne.

— *Es ist ekelhaft* — mówiła zagniewana dama, gdy jej towarzysz podawał płaszcz.

Była wzburzona, jej oczy płonęły gniewem wobec tego bezwstydu. Postawę miała piękną, oczy duże i czarne. Spojrzała na nadporucznika Lukasa i jeszcze raz z naciskiem powtórzyła:

— *Ekelhaft, wirklich ekelhaft!*

To zdecydowało o króciutkiej przygodzie romantycznej.

Od garderobianej otrzymał informacje, że ci państwo nazywają się Kakonyi, że pan ma handel żelazem przy ulicy Szopronyi utcza nr 16.

— Pani Etelka mieszka z mężem na pierwszym piętrze — mówiła usłużna garderobiana z zapalem starej stręczycielki.

— Ona jest Niemką z Szopronia, on — Madziar. Tutaj wszystko jest pomieszane.

Nadporucznik Lukasz kazał sobie podać płaszcz i wyszedł także na miasto. W winiarni „Arcyksiążę Albrecht“ spotkał się z kilku kolegami z dziewięćdziesiątego pierwszego pułku.

Mówił niewiele, ale tym więcej pił, kombinując, co właściwie należałoby napisać do tej surowej, moralnej i pięknej pani, która stanowczo bardziej go pociągała niż wszystkie skaczące małpy na scenie, jak wyrażali się o nich koledzy.

W bardzo dobrym usposobieniu udał się do małej kawiarni „Pod krzyżem świętego Stefana“, kazał dać sobie osobny pokój, wypędził z niego jakąś Rumunkę, która proponowała mu, że rozbierze się do naga i że będzie mógł robić z nią, co mu się będzie podobało, zażądał papieru, atramentu i pióra, i przy butelce koniaku zabrał się do pisania listu,

który wydawał mu się najładniejszym ze wszystkich listów, jakie kiedykolwiek napisał.

Wielce Szanowna Pani!

Byłem wczoraj w teatrze miejskim na przedstawieniu, które napełniło Panią obrzydzeniem. Podczas całego pierwszego aktu obserwowałem Panią i Jej małżonka. Miałem wrażenie...

Zawahał się przez chwilę, ale potem machnął ręką i rzekł do siebie:

— Co tam! Z jakiej racji taki drab ma mieć niewiastę takiej urody? Przecież wygląda przy niej jak ogolony pawian.

Pisał więc dalej:

...że małżonek Pani z dużym zainteresowaniem przyglądał się ohydzie, przedstawianej na scenie. Ohyda ta słusznie wzbudziła obrzydzenie w Szanownej Pani, ponieważ nie była to sztuka, ale wstrętne oddziaływanie na najintymniejsze popędy człowieka.

— Co za pierś ma ta kobieta — pomyślał nadporucznik Łukasz, pobudzając się do wysiłków stylistycznych i uwodzicielskich.

Wielce Szanowna Pani raczy mi wybaczyć, iż piszę do Niej, aczkolwiek nie jestem Jej znany. Będę szczery i powiem wszystko, co czuję. Widziałem w życiu wiele kobiet, ale żadna nie wywarła na mnie takiego wrażenia, jak Pani, albowiem sąd Pani i pogląd na życie zgadza się najzupełniej z moim poglądem. Jestem przekonany, że małżonek Pani jest wielkim egoistą, który włóczy Panią razem z sobą...

— Tak nie można — rzekł Łukasz do siebie i przekreślił „schlepp mit“, po czym pisał dalej:

...dla własnej przyjemności zabiera Panią na przedstawienia, jakie odpowiadają jedynie upodobaniom jego. Lubię szczerość i nie narzucam się Pani bynajmniej, ale pragnąłbym porozmawiać z Panią na osobności o czystej sztuce...

— W tutejszych hotelach się nie uda— pomyślał — trzeba ją będzie zaciągnąć do Wiednia. Każę się po prostu odkomenderować.

Dlatego ośmielam się poprosić Wielce Szanowną Panią o spotkanie, abyśmy się z sobą bliżej poznać mogli, czego z pewnością nie odmówi Pani temu, którego w czasie najbliższym oczekują trudy i udręki wojenne, a który w razie łaskawej zgody Pani w zgiełku bitew zachowa sobie najpiękniejsze wspomnienie o duszy, która zrozumiała mnie i odczuła tak, jak ja zrozumiałem i odczułem ją. Decyzja Pani będzie dla mnie rozkazem, odpowiedź Jej stanie się dla mnie chwilą rozstrzygającą na całe życie.

Podpisał się, dopił koniak, kazał sobie podać jeszcze butelkę i pijąc kieliszek za kieliszkiem, odczytywał swój list zdanie po zdaniu. Wzruszył się nim aż do łez.

Była godzina dziewiąta, gdy Szwejk zbudził nadporucznika Lukaszka:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że pan się spóźni na służbę, a ja muszę już iść z pańskim listem do tej Kiraly Hidy. Budziłem pana już o siódmej, potem o pół do ósmej, potem o ósmej, gdy już wszyscy szli na ćwiczenia, ale pan się obracał zawsze na drugi bok. Panie oberlejtant... ja mówię, panie oberlejtant...

Nadporucznik Lukasz mamrotał coś pod nosem i chciał się znowu obrócić na drugi bok, ale mu się to nie udało, ponieważ Szwejk trząsał nim niemiłosiernie i wrzeszczał na cały głos:

— Panie oberlejtant, ja idę z pańskim listem do Kiraly Hidy.

Nadporucznik ziewnął:

— Z listem? Aha, z moim listem. Ale to rzecz dyskretna, sekret między nami. Rozumiecie? *A b t r e t e n!*

Nadporucznik owinął się znowu kołdrą, z której wyłuskał

go Szwejk, i spał dalej, podczas gdy Szwejk wędrował do Kiraly Hidy.

Znalezienie Kiraly Hidy nie byłoby takie trudne, gdyby Szwejk nie był się przypadkiem spotkał ze starym saperem Wodiczką, przydzielonym do „Sztajerów“, których koszary znajdowały się w głębi obozu. Wodiczka mieszkał przed laty w Pradze na Boisku, więc takiego spotkania nie można było puścić sobie płazem. Zaszli więc obaj starzy przyjaciele do szyneczku „Pod czarnym barankiem“ w Brucku, gdzie była znana kelnerka Rużenka, Czeszka, kredytująca wszystkim jednorocznym ochotnikom całego obozu.

Ostatnimi czasy saper Wodiczka, stary wyga i wyżeracz, wdzięczny się do niej, prowadził ewidencję wszystkich marszkompanij opuszczających obóz, chodził po jednorocznych ochotnikach, przypominał im długi i w ogóle troszczył się, aby w zgiełku wojennym żaden z nich nie odjechał, nie zapłaciwszy Rużence, co jej się należało.

— Dokąd właściwie idziesz? — zapytał stary saper Wodiczka, gdy obaj popili doskonałego wina.

— To sekret — odpowiedział Szwejk — ale tobie staremu koledze powiem.

Opowiedział mu o wszystkim szczegółowo, po czym Wodiczka oświadczył, że jako stary saper nie może opuścić dobrego towarzysza i że pójdą oddać list razem.

Czas upływał im bardzo mile na rozmowie o dawnych dobrych czasach, a gdy po godzinie dwunastej wyszli spod „Czarnego baranka“, wszystko na świecie wydawało im się ogromnie proste i łatwe.

Prócz tego nie ulegało dla nich najmniejszej wątpliwości, że nikogo się nie boją. Wodiczka przez całą drogę na Szopronyi utczę numer szesnasty przejawiał ogromną nienawiść dla Madziarów i bezustannie opowiadał, że bije się z nimi gdziekolwiek ich napotka, i że byłby się bił jeszcze częściej, ale to i owo mu czasem przeszkodziło.

— Razu pewnego złapałem takiego łobuza madziarskiego za kark i trzymam... Było to w Pausdorfie, dokąd poszliśmy, my saperzy, na wino. Więc go trzymam za kark i chcę mu dać pochwą od bagnetu po jego baranym łbie, a było ciemno, bo zaraz, jak tylko się zaczęło, puściliśmy flaszeczkę w wiszącą lampę, a ten zaczyna na mnie wrzeszczeć:

— Antek — powiada — co ty? Przecież to ja, Purkrabek, z szesnastego landwery!

— O mały figiel byłbym się grubo pomylił. Ale wynagrodziliśmy to innym łobuzom madziarskim nad jeziorem Nezyderskim, na które poszliśmy przed trzema tygodniami popatrzyć. W jakiejś wiosce załoguje tam honwedzki oddział karabinów maszynowych, a my weszliśmy przypadkowo do karczmy, gdzie te honwedy jak wściekle tańcowały swego czardasza. Rozdzierało to pyski od jednego ucha do drugiego: „Uram, uram, biro uram“ albo „Lanjok, lanjok, lanjok a faluba“. Siadamy tedy naprzeciwko nich i kładziemy sobie pochwę od bagnetów na stole. My wam tu zaraz damy „lanjok“, wy pieskie syny! — powiadamy sobie, a niejaki Mejstrzyk, który miał łapy jak niedźwiedź, mrugnął na nas, że pójdzie potańcować i zabierze któremu z tych drabów dziewczynę. A trzeba ci wiedzieć, że dziewczyny tam były paluszki lizać: łydziate takie, biedrzate, piersiste. A gdy się te łobuzy madziarskie do nich w tańcu przyciskały, to było widać, że piersi tych dziewczyn są twarde, pełne, solidne, i że się im te karesy taneczne podobają, jednym słowem, umiały ocenić przyjemności tłoku. Więc ten Mejstrzyk skończył żwawutko i najładniejszą dziewczuszkę zabiera bez ceremonii jakiemuś honwedowi. Ten na niego z pyskiem, Mejstrzyk dał mu zaraz porządnie w łeb, aż się Madziar nogami nakrył, a my za pochwę. Owinęliśmy rzemienie dokoła rąk, żeby nam bagnety nie powypadały i rzuciliśmy się w wir tej zabawy, a ja objąłem komendę i wołam: — Winny, niewinny, wal, bracie, po kolei! Szło nam jak po maśle. Hon-

wedy oknem w nogi, a my ich za nóżki i wciągamy nazad do sali. Kto nie był z naszych, dostał zdrowo. Przyplątał się tam niepotrzebnie ich starosta i żandarm, więc też oberwali. Karczmarz też dostał po łbie, bo zaczął po niemiecku urągać, że psujemy zabawę. A potem wylapywaliśmy po wsi jeszcze i tych, co się chcieli ukryć przed nami. Jednego ich zugsführera znaleźliśmy w pewnym gospodarstwie na samym końcu wsi. Zaszył się głęboko w siano, ale na nic mu się to zdało, bo go zdradziła jego własna dziewczyna za to, że w karczmie tańczył z inną. Zapatrzyła się w naszego Mejrzyka i zaprowadziła go potem w stronę Kiraly Hidy, gdzie pod lasem są suszarnie siana. Zawlekła go do jednej z takich suszarni i potem chciała od niego pięć koron, a on jej dał po gębie. Dogonił nas już koło samego obozu i narzekał sobie: myślał, że Madziarki są ogniste, a ta flądra nic, leżała jak pień i ciągle tylko szwargotała.

— Jednym słowem, Madziary, to hołota — zakończył swoje opowiadanie stary saper Wodiczka, na co mu Szwejk odpowiedział:

— Niektóry Madziar też nie winien, że Madziar.

— Jak to nie winien?! — irytował się Wodiczka. — Każdy winien, a ty nie gadaj głupstw! Życzyłbym ci, żebyś się dostał w takie opaly, jak ja, kiedym tu był pierwszy dzień po przyjeździe na kursy. Jeszcze tego samego popołudnia spędzili nas jak stado baranów do kupy, a jakiś taki idiota zaczął rysować coś na tablicy i tłumaczyć nam, co to są blindáže, jak się robi podkopy i jak się jedno z drugim mierzy. I powiada, że kto jutro rano nie będzie miał w kajecie takich rysunków, jak on nam tłumaczył, to pójdzie do paki i dostanie słupka. Ciężka choroba, myślę sobie, zameldowałem się na te kursy, żeby się trochę zadekować, a tu mi każą robić malunczki w kajecikach, jak sztubaczkowi jakiemu! Wściekłość mnie taka ogarnęła, że usiedzieć nie mogłem i mdło mi się robiło, jak spojrzalem na tego bałwana, co nam te rzeczy tłumaczył. Aż

mnie ręce świerzbiały, żeby wszystko rozbić i rozmiłować na drzazgi z tej wściekłości. Nie czekałem wcale na kawę, prosto z baraku ruszyłem do Kiraly Hidy i w zapamiętaniu myślałem tylko o jednym, żeby wyszukać jaką spelunczkę zaciszną, schlać się porządnie, zrobić piekło, dać komuś po pysku i po wyszumieniu tej złości iść spokojnie do domu. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Nad rzeką znalazłem rzeczywiście taki lokalik, jakiego było mi trzeba, zaciszny jak kapliczka, jakby stworzony do awantur. Siedziało tam tylko dwóch gości i rozmawiali z sobą po madziarsku, co mnie jeszcze bardziej rozzłościło. Toteż schlałem się prędzej, niż przypuszczałem, i po pijanemu nawet nie zauważyłem, że obok jest jeszcze jedna izdebka i że podczas gdy ja dokładałem starań, żeby się spać, do tej izdebki weszło z ośmiu huzarów, którzy rzucili się na mnie natychmiast, jak tylko tym dwom gościom dałem po pysku. Te drańskie huzary tak ci mnie zmordowali i zgonili między ogrodami, że nie mogłem trafić do domu i wróciłem dopiero nad ranem, a rano musiałem się zaraz meldować jako chory. Opowiedziałem, że wpadłem do dołu koło cegielni. Przez cały tydzień musieli mnie owijać w mokre prześcieradła, żeby mi się plecy nie obierały. Nie życz sobie, bratku, dostać się między takich łotrów. To nie ludzie, ale bydło.

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie — rzekł Szwejk. — Nie powinienes dziwić się, że chłopcy się zapamiętały. Wino trzeba było zostawić na stole, aby ciebie gonić po ogrodach w ciemnościach nocnych. Powinni byli załatwić się z tobą na miejscu i dopiero potem wyrzucić cię z lokalu. I dla nich byłoby tak lepiej i dla ciebie też, gdyby się z tobą byli rozprawili przy stole. Znałem szynkarza Paroubka w Libni. Pewnego razu upił się u niego jakiś druciarz jałowcówką i zaczął uragać, że wódka jest słaba i że szynkarz dolewa do niej wody, że gdyby on, druciarz, drutował sto lat i gdyby za cały zarobek kupił sobie takiej jałowcówki i gdyby tę jałowców-

kę wypił na raz, to jeszcze mógł by chodzić po linie i jego, niby tego Paroubka, nosić na rękę. Potem jeszcze dodał, że Paroubek jest huncfot i bestia nie byle jaka, więc Paroubek otłukł mu o głowę jego myszołówki i zwoje drutów, wyrzucił go na ulicę i tłukł go drągiem od ściągania rolet, a był taki rozłoszczony, że pędził tego druciarza aż do Domu Inwalidów w Karlinie, stamtąd na Żyżków, potem przez żyżkowskie piece do Malieszyc, gdzie wreszcie o swego gościa drąg przetrącił, tak że mógł powrócić do Libni. No tak, ale w gniewie zapomniał, że w szynku siedziało sporo gości, i nie pomyślał, że w jego nieobecności będą sobie gospodarować te draby według własnego uznania. I tak też było, gdy wreszcie dotarł do swego szynku. Przed drzwiami, na które do połowy zapuszczono żaluzje, stali dwaj policjanci, którzy wstawili się okropnie, gdy w szynku robili porządek. Zapasy szynku były na poły wypite, na chodniku leżała pusta baryłka od rumu, a pod bufetem znalazł Paroubek dwóch schlanych gości, niedostrzeżonych przez policję. Paroubek wyciągnął ich stamtąd, a ci chcieli mu zapłacić po dwa grajcarey, bo powiadali, że więcej żytniej nie wypili. Zapalczywość się nie opłaca. Tak samo jest na wojnie. Najprzód nieprzyjaciela bijemy i pędzimy przed sobą dniem i nocą, a potem trzeba wielkich sił, żeby jak najszybciej uciekać.

— Ja ich sobie dobrze zapamiętałem i gdyby mi który z tych drabów wszedł w drogę, to ja bym się z nim rozliczył. My sapery, jak się porządnie rozzłościśmy, to jesteśmy dranie. Kanoniery, to gołąbki w porównaniu z nami. Gdyśmy byli na froncie pod Przemyślem, to był u nas kapitan Jetzbacher, świnia, jakiej drugiej nie ma pod słońcem. Szykanował nas ten kapitan tak bezustannie, że jakiś Bitterlich z naszej kompanii, Niemiec, ale bardzo porządny człowiek, zastrzelił się z tego powodu. Więc powiedzieliśmy sobie tylko tyle, że jak się od strony rosyjskiej zacznie awantura to i kapitana Jetzbachera musi trafić jaka kula. Tak też się stało: jak tylko Moskale zaczęli strzelać, posłaliśmy mu pięć kulek. Twarde miał

gałgan życie, jak kot, i trzeba było dobić go, żeby się nie narobił jaki bigos. Tylko zamruczał, ale tak jakoś wesoło, szpawnie.

Wodiczka roześmiał się:

— Takie rzeczy są na froncie rzeczą zwyczajną. Jeden mój kolega opowiadał mi, że jak byli pod Białogrodem w gefechcie, to w taki sam sposób zakatrupili swojego oberlejtnanta, który też był pies niezgorszy, bo zastrzelił dwóch żołnierzy, którzy podczas marszu opadli z sił i dalej już się wlec nie mogli. Jak go dokończyli, to się jeszcze zebrał w sobie i zaczął gwizdać do odwrotu. Podobno okropnie to było śmieszne.

Prowadząc tak interesującą rozmowę, doszli wreszcie Szwejk i Wodiczka tam, gdzie na Szoproni utcza pod numerem szesnastym znajdował się handel żelazem pana Kakonyi.

— Ty, bratku, lepiej poczekaj tu przed bramą — rzekł Szwejk do Wodiczki. — Wpadnę na górę, oddam list, poczekam na odpowiedź i za chwilę będę znowuż na dole.

— Ja miałbym cię opuścić? — zdziwił się Wodiczka. — Mówię ci jeszcze raz, że nie znasz Madziarów. Tutaj potrzebna jest wielka ostrożność.

— Słuchaj, Wodiczko — rzekł Szwejk z wielką powagą — tu nie chodzi o Madziara, ale o jego żonę. Przecież opowiedziałem ci o wszystkim, kiedyśmy siedzieli u tej czeskiej kelnerki, że zanoszę list od swego oberlejtnanta i że to jest sekret absolutny. Mój oberlejtnant napominał mnie bardzo surowo, że o tym nie wolno pisać ani słówka przed nikim, a ta twoja kelnerka też mówiła, że oberlejtnant ma rację i że to jest sprawa dyskretna i nikt nie powinien wiedzieć o tym, że pan oberlejtnant pisuje listy do zamężnej kobiety. Ty sam przyświadczałeś i kiwałeś głową. Wytłumaczyłem wam obojgu, jak się należy, że wykonywam ściśle rozkaz swego oberlejtnanta, a ty się zawniżyłeś i chcesz raptem iść razem ze mną na górę.

— Ty mnie jeszcze nie znasz, bracie Szwejk — odpowie-

dział również z wielką powagą stary saper Wodiczka. — Jak raz powiem, że z kimś idę, to tak samo, jakby inny złożył uroczystą przysięgę. We dwóch zawsze bezpieczniej.

— Ja ci to wyperswaduję, mój Wodiczko. Czy wiesz, gdzie jest ulica Neklana na Wyszehradzie? Więc tam miał warsztat ślusarz, Wobornik. Był to człowiek sprawiedliwy i dnia pewnego, kiedy powrócił z pijatyki, przyprowadził sobie do domu wesołego kompana na nocleg. A potem musiał długo leżeć, a żona jego dzień w dzień, kiedy nakładała mu opatrunek na ranę na głowie, powtarzała te słowa: — Widzisz, Antosiu, żebyś był przyszedł sam, to byłabym trochę pourağała i nie byłabym cię grzmotnęła w główkę gwichtem od wagi. — On zaś, gdy już odzyskał mowę i mógł odpowiadać, powtarzał: — Masz rację, matko, jak na drugi raz pójde gdzie, to nie przyprowadzę z sobą nikogo.

— Tego by jeszcze brakowało — rozłościł się Wodiczka — żeby nam ten Madziar miał dać czymś w łeb. Złapię go za kark i zrzucę go z piętra na dół tak elegancko, że polecą jak szrapnel. Z tymi łobuzami madziarskimi trzeba postępować ostro. Pieścić się z takimi nie warto.

— E, mój Wodiczko, przecież nawet tyle nie piłeś, żeby gadać takie rzeczy. Ja wypilem o dwie ćwiartki więcej, niż ty. Pomyśl tylko dobrze, że nie możemy przecie wywołać jakiego skandalu. Ja za to odpowiadam. Przecie tu chodzi o kobietę.

— I kobieta może oberwać, jeśli o to chodzi. Mnie wszystko jedno. Mówię ci, że nie znasz jeszcze starego saperskiego Wodiczki. Pewnego razu w Zabiehicach na „Różanej kępie“ jedna taka maskara nie chciała ze mną tańczyć, że niby miałem spuchniętą twarz. Prawda, że twarz miałem spuchniętą, ponieważ akurat wracałem z pewnej zabawy tanecznej w Hostiwarzu, ale takiej obrazy ścierpieć nie mogłem, więc powiadam: — Żeby mi szanowna panienska nie zazdrościła, to słuchę pani i ja. — I wlepiłem jej, co się należało, ale z takim

szykiem, że przewróciła stół, przy którym siedziała z tatusiem, z mamusią, z dwoma braćmi. Kufle i wszystko poleciało na ziemię. Ale nie zląkłem się całej „Różanej kępy“. Byli też znajomi z Wrszowic i pomogli mi. Spraliliśmy z pięć rodzin razem z dziećmi. Hałas było słychać chyba aż w Michli, a następnie była cała ta awantura opisana w gazetach, bo to była taka zabawa ogrodowa jakiegoś stowarzyszenia jakichś tam mieszczan. Więc widzisz, bracie, sprawa jest jasna. Jak mnie dopomogli dobrzy ludzie, tak i ja dopomogę tobie i każdemu koledze, gdy się zanosi na coś grubego. Rąb mnie, bracie, siekaj mnie, nie ruszę się od ciebie. Madziarów nie znasz... Nie możesz przecie uczynić mi takiego wstrętu, żebyś mnie od siebie odpędzał, skoro widzimy się po raz pierwszy od tylu lat i jeszcze w takich okolicznościach.

— W takim razie pójdź ze mną — zdecydował Szwejk — ale musisz postępować bardzo ostrożnie, żebyśmy sobie nie narzyli jakiego piwa.

— Nie kłopotz się, kolego — szepnął Wodiczka, wchodząc ze Szwejkim na schody — jak ja go trzepnę...

I jeszcze ciszej dodał:

— Zobaczysz sam, że z takim łobuzem madziarskim damy sobie łatwo radę.

Gdyby w bramie tego domu był ktoś rozumiejący po czesku, to byłby usłyszał hasło Wodiczki: — Ty nie znasz Madziarów... — Było to streszczenie mądrości życiowej, którą zdobył Wodiczka w zacisznym szynczku nad Litawą, otoczonym ogrodami sławetnej Kiraly Hidy i górami, które żołnierze wspominąć będą zawsze z przekleństwem i nienawiścią z powodu niezliczonych udręk i ćwiczeń przy zaprawianiu się do mordów masowych przed wojną i podczas wojny.

Szwejk i Wodiczka stali przed drzwiami mieszkania panna Kakonyi. Zanim Szwejk nacisnął guzik dzwonka, rzekł do Wodiczki:

— Słyszałeś już zapewne, kolego, że ostrożność jest matką mądrości.

— Ja gwizdę na ostrożność — odpowiedział Wodiczka. — Trzeba tak zrobić, żeby nie miał czasu na otwarcie gęby.

— Tu nie chodzi o żadne otwarcie gęby, Wodiczko — rzekł Szwejk i zadzwonił, a Wodiczka dodał:

— Eins, zwei i mój Madziar zleci na łeb po schodach.

Drzwi się otworzyły i służąca pytała przybyłych po węgiersku, czego sobie życzą.

— Nem tudom — rzekł wzgardliwie Wodiczka. — Ucz się, panno, po czesku.

— Ver-steh-en sie deutsch? — zapytał Szwejk.

— A bischen.

— Also sagen sie der Frau ich will die Frau sprechen, sagen sie, dass ein Brief ist von einem Herrn, draussen im Gang.

— Dziwię się — rzekł Wodiczka, wchodząc za Szwejkim do przedpokoju — że z taką pindą rozmawiasz.

Stali w przedpokoju. Szwejk zamknął drzwi za sobą, rozejrzał się dokoła i rzekł:

— Ładne pomieszkanie mają i nawet dwa parasole na wieszaku wiszą, i obraz jest też niczego sobie.

Z pokoju, z którego słychać było szczękanie łyżek i brzęk talerzy, wyszła znowu służąca i rzekła do Szwejka:

— Frau ist gesagt, dass sie hat ka Zeit, wenn was ist, dass mir geben und sagen.

— Also — rzekł uroczyście Szwejk — der Frau ein Brief, aber halten Kuschen.

Podał jej list nadporucznika Lukasza.

— Ich — dodał, wskazując palcem na siebie — Antwort warten hier in die Vorzimmer.

— Czemu nie siadasz? — zapytał Wodiczka, który usadowił się na krześle pod ścianą. — Masz krzesło i siadaj. Nie

stój jak jaki dziad. Nie poniżaj się przed tym Madziarem. Zobaczysz, że będziemy z nim mieli awanturę, ale ja go trzepnę.

Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

— Gdzieżeś się nauczył po niemiecku?

— Sam z siebie — odpowiedział Szwejk. Znowuż zapanowała cisza, aż raptem z pokoju, do którego służąca zaniosiła list, doleciał wielki krzyk i hałas. Ktoś grzmotnął czymś ciężkim o ziemię, po czym słyhać było wyraźnie tłuczenie szklanek i talerzy, pomieszane z wykrzykiwanymi słowami:

— Basom azaniat, basom az istenet, basom a Kristus Marját, basom az astyadat, basom világot!

Drzwi się rozwarły i do przedpokoju wpadł mężczyzna w kwiecie wieku z serwetką na szyi. Wymachiwał wściekle listem przyniesionym przez Szwejka.

Najbliżej siedział stary saper Wodiczka i rozgniewany pan domu zwrócił się też przede wszystkim do niego.

— Was soll das heissen? Wo ist der verfluchte Kerl, welcher diesen Brief gebracht hat?

— Powoli, mości panie — rzekł Wodiczka, wstając z krzesła — nie wrzeszcz tak głośno, żebyś czasem nie wyleciał za drzwi, a jeśli chcesz wiedzieć, kto ten list przyniósł, to zwróć się grzecznie do kolegi Szwejka. Ale rozmawiaj z nim grzecznie, jeśli nie chcesz zlecieć po schodach.

Przyszła kolej na Szwejka, aby doświadczył na sobie bogatej wymowy pana z serwetką na szyi. Wykrzykiwał on piąte przez dziesiąte, że tego owego, że akurat jedli obiad.

— Właśnie słyszeliśmy, że państwo jedzą obiad — przyświadczył Szwejk łamaną niemczyzną i dodał po czesku: — Nie pomyśleliśmy o tym, że pora jest obiadowa i że przerywamy państwu spożywanie posiłku.

— Nie poniżaj się — odezwał się Wodiczka.

Zagniewany pan gestykulował tak mocno, że serwetka

trzymała się na szyi już tylko małym koniuszkiem. Łamaną niemieczyzną wykrzykiwał dalej, że zrazu myślał, że ten list dotyczy jakich kwater dla wojska w domu, który jest własnością jego żony.

— Tutaj zmieściłoby się istotnie jeszcze sporo wojska — rzekł Szwejk — ale w tym liście chodziło o co innego, jak pan się niezawodnie sam przekonał.

Pan domu złapał się za głowę i zaczął głośno wykrzykiwać, że też był lejtnantem rezerwy, że i teraz chętnie służyłby w wojsku, ale ma chorobę nerkową. Za jego czasów oficerowie nie byli tacy swawolni, żeby zakłócali spokój w domach porządnych obywateli. Groził, że list pośle do dowództwa pułku, do ministerstwa wojny, opublikuje go w gazetach.

— Proszę pana — rzekł z wielkim dostojeństwem Szwejk — ten list napisałem ja. Ich geschrieben, kein Oberleutnant. Podpis tylko tak sobie sfalszowany. Unterschrift, Name falsch. Pańska żona bardzo mi się podoba. Ich liebe ihre Frau. Ja jestem w pańskiej żonie zakochany po same uszy, jak mawiał poeta Vrchlick'y. Kapitales Frau.

Wzburzony pan chciał się rzucić na Szwejka, który stał spokojnie i nie zdradzał strachu, ale stary saper Wodiczka, który bardzo uważnie śledził każdy ruch zagniewanego pana, wyrwał mu list z ręki, wsunął go do kieszeni, i zanim się pan Kakonyi zorientował, złapał go Wodiczka, zaniósł go ku drzwiom, otworzył je wolną ręką, a po chwili słychać było, jak coś ciężkiego stacza się po schodach.

Wszystko stało się tak szybko, jak dzieje się w bajce, gdy diabeł przychodzi sobie po duszę, która mu się zaprzedała.

W przedpokoju pozostała tylko serwetka zagniewanego pana. Szwejk podniósł ją, zapukał grzecznie do drzwi pokoju, z którego przed pięciu minutami wyszedł pan Kakonyi i z którego słychać było płacz kobiety.

— Oddaję pani serwetkę — rzekł Szwejk, zwracając się

bardzo uprzejmie do pani, która płakała na kanapie. — Żeby jej nie podeptali. Moje uszanowanie pani.

Trzasnął obcasami, zasalutował i wyszedł do sieni. Na schodach nie było widać żadnych śladów walki, bo wszystko zgodnie z przewidywaniem Wodiczki poszło bardzo gładko. Tylko na dole, koło bramy znalazł Szwejk rozdarty biały kołnierzyk. Tutaj odegrał się widać ostatni akt tragedii, gdy pan Kakonyi trzymał się bramy i rozpaczliwie się bronił, aby nie został wywleczony na ulicę.

Natomiast na ulicy był ruch niezgorszy. Pan Kakonyi został zawleczony w pobliską bramę, gdzie polewano go wodą, a na środku ulicy stary saper Wodiczka, jak lew walczył z kilku honwedami-huzarami, którzy stanęli w obronie swego ziomka. Wywijał on bagnetem na pasie jak cepem. Walczył po mistrzowsku, ale nie walczył sam.

Ramię przy ramieniu walczyło obok niego kilku żołnierzy czeskich z różnych pułków. Przechodzili akurat ulicą i pośpieszyli ziomkowi z pomocą.

Szwejk mówił później, że sam nie wie, jak się dostał do tej awantury: ponieważ nie miał bagnetu, więc opędzał się kijem, który mu się do rąk przyplątał, a był własnością jakiegoś wystraszonego świadka tej bijatyki.

Awantura trwała dość długo, ale nawet najpiękniejsze rzeczy mają swój koniec. Nadeszło wojsko z bereitschaftu i zabrało z sobą uczestników walki.

Szwejk maszerował ze swoim kijem, który przez komendanta bereitschaftu uznany został jako *corpus delicti*. Szedł krokiem równym obok starego sapersa Wodiczki, trzymając kij na ramieniu niby karabin.

Stary saper Wodiczka przez cały czas milczał uparcie i dopiero gdy wchodzili na odwach, rzekł melancholijnie do Szwejka:

— A co, nie mówiłem ci, że Madziarów nie znasz?

IV

Nowe cierpienia.

Pułkownik Schröder z zadowoleniem spoglądał na bladą twarz nadporucznika Lukasa, który miał duże sine kręgi pod oczami i był obrazem zmęczenia. Nadporucznik nie mógł patrzeć w twarz swego zwierzchnika, ale ukradkiem, jakby studiował jakieś ważne zagadnienie, spoglądał na mapę dylokacji wojsk w obozie. Mapa ta była jedyną ozdobą całej kancelarii pułkownika.

Przed pułkownikiem leżało na stole kilka gazet z artykułami zakreślonymi kolorowym ołówkiem. Pułkownik obrzucił je jeszcze raz spojrzeniem, a potem rzekł, patrząc uważnie na nadporucznika Lukasa:

— Więc pan już wie o tym, że służący pański, Szwejk, jest pod aresztem i że zostanie prawdopodobnie oddany pod sąd dywizyjny?

— Wiem, panie pułkowniku.

— Oczywiście, że to nie wszystko — z naciskiem rzekł pułkownik, pastwiąc się nad swoim podwładnym. — Na tym sprawa się nie skończy. Opinia publiczna jest wzburzona tym, co spłatał pański służący, ale do całej tej afery zostało wplątane także i pańskie nazwisko, panie nadporuczniku. Z dowództwa dywizji nadesłano nam już pewien materiał. Mamy

także kilka gazet, które pisały o wypadku. Może pan mi te artykuły przeczyta na głos.

Podał nadporucznikowi Lukaszowi gazety z zakreślonymi artykułami, a nadporucznik zaczął odczytywać jeden z nich głosem tak monotonnym, jakby z czytanki dla dzieci odczytywał zdanie: „Miód jest daleko pożywniejszy i strawniejszy od cukru“.

Gdzie mamy gwarancję swej przyszłości?

— Czy to jest „Pester Lloyd“, panie nadporuczniku? — zapytał pułkownik.

— Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedział nadporucznik Lukasz i czytał dalej:

Wojna wymaga współdziałania wszystkich obywateli monarchii austro-węgierskiej. Jeśli chcemy zapewnić sobie pokój i bezpieczeństwo, to wszystkie narody muszą wspomagać się wzajemnie, a gwarancja naszej przyszłości spoczywa właśnie w tym rzetelnym szacunku, jaki narody okazują sobie wzajemnie. Największe ofiary naszych dzielnych żołnierzy, posuwających się stale naprzód, byłyby daremne, gdyby nasze tyły, czyli organa odżywcze naszych sławnych wojsk, nie były należycie zjednoczone, gdyby za plecami naszych żołnierzy pojawiały się żywioły rozbijające jednolitość państwa, a przez swoją niegodziwą agitację obniżające wartość władzy państwowej. Żywioły takie musiałyby uniemożliwić ostatecznie współdziałanie obywateli i doprowadziłyby do zamieszek. W tej chwili, dziejowo tak ważnej, nie możemy spoglądać spokojnie na garść ludzi, którzy powodowani szowinizmem narodowym zakłócają zgodną pracę wszystkich narodów i przeszkadzają dziełu ukarania tych nędzników, którzy na państwo nasze napadli bez jakiegokolwiek powodu z zamiarem odarcia go ze wszystkich dóbr kulturalnych. Nie podobna przemilczeć tych objawów chorobliwej nienawiści, która dąży tylko do zniweczenia jedności w duszach narodu. Już nie raz nadarzała się nam sposobność do zwracania uwagi na to, że władze wojskowe zmuszone były z całą surowością występować przeciwko jednostkom z czeskich pułków, które to jednostki, nie szanując chwalebnej tradycji owych pułków, krzewią po miastach i miasteczkach węgierskich nienawiść przeciwko całemu narodowi czeskiemu, który jako całość niczemu nie jest

winien, albowiem zawsze stał niezachwianie na straży interesów tego państwa, o czym świadczy długi szereg znakomitych wodzów czeskich, że wspomniemy tu jedynie o sławnej pamięci marszałku Radeckim i innych obrońcach mocarstwa austro-węgierskiego. Tym to świetlanym postaciom przeciwstawia się kilku łobuzów należących do czeskich szumowin społecznych. Korzystają oni z wojny światowej, aby zakłócać jednomyślność narodów monarchii, kierując się przy tym swymi najniższymi popędami. Zwracaliśmy już uwagę na awantury pułku Nr... w Debreczynie, którego postęпки były oświetlone i potępione przez sejm w Budapeszcie, a którego sztandar pułkowy został później na froncie — skonfiskowano. Kto ma na sumieniu ten haniebny grzech? — Skonfiskowano. — Kto pędził czeskich żołnierzy — skonfiskowano. — Na co jeszcze pozwoli sobie obca hołota w naszej ojczyźnie, jeśli ujdzie jej bezkarnie to, co się stało niedawno w Kiraly Hidzie nad Litawą? Jakiej narodowości są ci żołnierze i do jakiego pułku należą łotrzykowie, którzy napadli i poturbowali tamtejszego obywatela i kupca, pana Gyula Kakonyi? Uważamy za bezwzględny obowiązek władz wojskowych, aby się zabrały z całą energią do zbadania tej sprawy oraz do stwierdzenia, jaka rola w tym szcuciu przeciwko narodowi węgierskiemu przypada nadporucznikowi Lukaszowi, którego imię powtarzane bywa w mieście w związku z tym, co się tam niedawno stało. Donosi nam o tym nasz korespondent miejscowy, który śledzić będzie uważnie dalszy ciąg tej sprawy, niewątpliwie wysoce interesującej dla wszystkich czytelników „Pester Lloyd”. Jednocześnie wszakże oczekujemy komunikatu urzędowego o zbrodni w Kiraly Hidzie, jakiej dopuszczono się na miejscowej ludności madziarskiej. Że sprawą tą zajmie się także sejm w Budapeszcie, o tym mówić nie trzeba. Czeskich żołnierzy, przejeżdżających przez Węgry na front, trzeba nauczyć szacunku dla naszych praw korony św. Stefana. Jeśli zaś istnieją jeszcze ludzie, którzy nie rozumieją znaczenia takich wybryków, jakie się zdarzają, to niechaj wiedzą, że w czasach wojny różnych awanturników uczy się poszanowania prawa kulą, strykiem, kryminałem i bagnetem. Gdzie nie ma dobrej woli, tam siła nauczy, jak trzeba się liczyć z interesami naszej wspólnej ojczyzny.

— Kto jest podpisany pod tym artykułem, panie nadporuczniku?

— Bela Barabasz, redaktor i poseł, panie pułkowniku.

— To znany drań, panie nadporuczniku. Ale zanim się ta rzecz dostała do „Pester Lloyd“, ten sam artykuł był już wydrukowany w „Pesti Hirlap“. A teraz niech mi pan przeczyta urzędowe tłumaczenie artykułu, który ukazał się w szoprońskiej gazecie „Szopronyi Naplo“.

Lukasz odczytywał artykuł, w którym redaktor z jakimś osobliwym zamiłowaniem powtarzał takie zwroty, jak: przykazanie mądrości państwowej, porządek państwowy, ludzka nikczemność, podeptana godność ludzka, uczta ludożerców, zmasakrowane społeczeństwo, banda mameluków itd. Z artykułu wynikało, że Węgrzy na własnej ziemi są najbardziej prześladowanym narodem, a napisany był takim tonem, jakby czescy żołnierze napadli autora, powalili go na ziemię, skakali po jego brzuchu, on zaś ryczał z oburzenia i bólu, a ktoś tam jego ryk stenografował.

O pewnych poważnych sprawach — wyrzekął „Szopronyi Naplo“ tonem płacziwym — nie pisze się nic, chociaż nie wiadomo, dlaczego. Każdy z nas wie, co to jest czeski żołnierz na Węgrzech i na froncie. Wszyscy doskonale wiemy, co Czesi potrafią, jakie czynniki tu działają i kto wszystko aranżuje. Czujność władz zwraca się, oczywiście, ku sprawom ważniejszym, ale dla tych ważniejszych rzeczy nie powinno się przeoczać rzeczy pomniejszych, które mają też swoje znaczenie, jak np. wypadki w Kiraly Hidzie. Nasz artykuł wczorajszy miał piętnaście skreśleń, toteż i dzisiaj ze względów technicznych nie możemy wypowiedzieć się obszernie i szczegółowo o tym, co się tam stało. Korespondent nasz, wysłany na miejsce, donosi nam, że władze zabrały się do śledztwa z wielką energią. Dziwi nas jedynie to, że niektórzy uczestnicy masakry w Kiraly Hidzie jeszcze nie zostali aresztowani. Dotyczy to osobiście pewnego pana, który, jak się dowiadujemy, jeszcze ciągle przebywa w obozie i bezkarnie afizuje się w odznakach swego „papageiregimentu“. Imię jego było wymienione onegdaj w „Pester Naplo“. Jest to znany czeski szowinista Lukasz, o którego wybrykach podana będzie interpelacja przez posła naszego Gezę Savanyu, reprezentującego okrąg Kiraly Hida.

— Równie uprzejmie pisze o panu tygodnik wychodzący w Kiraly Hidzie — rzekł pułkownik Schröder do nadporucznika — a także gazety presburskie. Ale nie będzie to pana interesowało, ponieważ wszystkie te artykuły pisane są na jedno kopyto. Z politycznego punktu widzenia da się to łatwo wytłumaczyć, ponieważ my, Austriacy, czy jesteśmy Niemcami, czy Czechami, w porównaniu z Madziarami stoimy jednak... Rozumie pan, panie nadporuczniku? Mamy tu do czynienia z pewną tendencją. Bardziej interesującym dla pana byłby artykuł „Komarneńskiej Gazety Wieczorowej“, w której mowa o tym, że chciał się pan dopuścić gwałtu na pani Kakonyi i to w jadalni podczas obiadu i w obecności jej męża, któremu groził pan szablą, zmuszając go do zatykania żonie ust ręcznikiem, żeby nie krzyczała. To jest niejako ostatnia o panu wiadomość, panie nadporuczniku.

Pułkownik uśmiechnął się i mówił dalej:

— Władze nie spełniły swego obowiązku. Cenzura prewencyjna tutejszych pism jest też w ręku Madziarów. Robią sobie z nami, co im się żywnie podoba. Oficer nasz nie ma ochrony przed taką cywilną redaktorską świnią madziarską. Dopiero na skutek naszego ostrego wystąpienia czy też telegramu naszego sądu dywizyjnego, prokuratoria w Budapeszcie wydała rozporządzenia, aby przyaresztowano niektórych ludzi w tych krzykackich redakcjach. Najwięcej nabroił redaktor „Komarneńskiej Gazety Wieczorowej“, ale popamięta on swoją gazetkę! Ja zostałem upoważniony przez sąd dywizyjny, abym pana przesłuchał jako pański zwierzchnik. Posłano mi też papiery dotyczące całego śledztwa. Wszystko byłoby się dobrze skończyło, gdyby nie ten pański Szwejk niezczęśliwy. Razem z nim znajduje się niejaki saper Wodiczka, u którego po bijatyce znaleziono pański list, napisany do pani Kakonyi. Otóż pański Szwejk twierdził przy badaniu, że to on sam ten list napisał, a kiedy kazano mu go przepisać, żeby można było porównać charakter pisma, mój Szwejk prze-

pisał, ale potem zeżarł pański list. Z kancelarii pułku wysłano następnie do sądu dywizyjnego pańskie raporty dla porównania ich z rękopisem Szwejka i oto masz pan rezultat badania:

Pułkownik wyszukał w dokumentach jakiś papier i pokazał w nim nadporucznikowi miejsce podkreślone: „Oskarżony Szwejk odmówił napisania podyktowanych mu zdań, twierdząc, że przez noc zapomniał pisać”.

— W ogóle ja, panie nadporuczniku, nie przywiązuję do tego wszystkiego żadnej wagi i jest dla mnie obojętne, co tam na śledztwie wygaduje ten pański Szwejk, czy saper Wodiczka. Szwejk i saper twierdzą, że chodziło jedynie o jakiś niewinny żarcik, na którym się nie poznano, i że sami zostali napadnięci przez cywilistów, więc musieli się bronić dla ratowania honoru wojskowego. Przy śledztwie wyszło na jaw, że cały ten Szwejk, to ładny numer. Na przykład na pytanie, dlaczego się nie przyznaje, odpowiedział do protokołu: — Ja, powiada, znalazłem się w takiej samej sytuacji, w jakiej znalazł się pewien służący akademickiego malarza Panuśki z powodu jakichś obrazów Marii Panny. Kiedy mu zarzucano sprzeniewierzenie tych obrazów, to także nie mógł odpowiedzieć nic innego, tylko to jedno: — Czy chcecie, żebym sobie wyrwał serce z piersi? — Oczywiście, postarałem się, żeby na wszystkie te napastliwe i nikczemne artykuły tutejszych gazet dana była należyta odpowiedź w imieniu sądu dywizyjnego. Dzisiaj się te sprostowania porozsyła i mam nadzieję, że uczyniłem wszystko, co było trzeba dla naprawienia tych świństw, których narobiły te dziennikarskie bestie cywilnomadziarskie.

Zdaje mi się, że stylizacja moja jest bardzo dobra:

Sąd dywizyjny Nr... i dowództwo pułku Nr... oświadczają, że artykuł zamieszczony w piśmie miejscowym o rzekomych awanturach szeregowców pułku Nr... w niczym nie odpowiada rzeczywistości i od pierwszego do

ostatniego słowa jest zmyślony. Wdrożono śledztwo przeciw kierownikom pism, które pozamieszczały owe kłamliwe wiadomości i winowajcy będą surowo ukarani.

— Sąd dywizyjny — mówił pułkownik dalej — wypowiada się w liście do naszego pułku, iż zdaniem jego nie chodzi o nic innego, tylko o systematyczne podjudzanie przeciwko oddziałom wojskowym przybywającym z Przedlitawii do Zalitawii. Niech pan porówna z łaski swojej, ile wojska wysłaliśmy na front my, a ile oni. Powiem panu tylko tyle, że żołnierz czeski jest mi daleko milszy niż ta hołota madziarska. Ja mam takie wspomnienia, że mnie wściekłość ogarnia. Pod Białogrodem ostrzeliwali Madziarzy nasz drugi marszbatalion, nasz marszbatalion nie wiedział, że strzelają te gałgany madziarskie i zaczął strzelać do deutschmeistrów na prawym skrzydle, a deutschmeistrzy też się nie zorientowali i zaczęli ostrzeliwać pułk bośniacki, który stał obok nich. Mówię panu, że była wtedy sytuacja jak się patrzy! Ja byłem akurat w sztabie brygady na obiedzie, dnia poprzedniego mieliśmy na obiad tylko szynkę i zupę konserwową, więc tego dnia mieliśmy dostać porządny obiad: rosół z kurą, filet z ryżem i ciastka z szodonem. W wigilię tego dnia powiesiliśmy jakiegoś serbskiego handlarza winem, a nasi żołnierze znaleźli w jego piwnicy winko liczące sobie trzydzieści latek. Może pan sobie wyobrazić, jak cieszyliśmy się wszyscy, że będzie dobry obiad. Zjedliśmy rosół, zabieramy się do kury, gdy wtem padają pojedyncze strzały, a potem zaczyna się strzelanina na dobre. Zaś nasza artyleria, która pojęcia o tym nie miała, że to się ostrzeliwują nasze własne oddziały, zaczęła prażyć naszą linię i jeden granat padł tuż koło sztabu naszej brygady. Serbowie pomyśleli widać, że u nas wybuchnął bunt, i ze wszystkich stron zaczęli nas prać z czego się dało, a zarazem przeprawili się przez rzekę. Generała brygady wołają do telefonu, a generał dywizji zaczyna się piekłować, co to za błazeństwo na odcinku brygady, bo akurat

dostał rozkaz ze sztabu armii, aby rozpocząć atak na pozycje serbskie o godzinie drugiej minut trzydzieści pięć w nocy od lewego skrzydła. — My — powiada — jesteśmy w rezerwie, więc natychmiast kazał ogień wstrzymać. Ale to przecież śmieszne, gdy ktoś w takiej sytuacji chce „Feuer einstellen“. Centrala telefoniczna brygady melduje, że nigdzie nie może się dodzwonić, tylko że sztab siedemdziesiątego piątego pułku melduje „ausharren“, że nie może dogadać się z naszą dywizją, że Serbowie obsadzili wzgórze dwieście dwanaście, dwieście dwadzieścia sześć i trzysta dwadzieścia siedem, żąda wysłania jednego batalionu jako łącznika i telefonicznego połączenia z naszą dywizją. Przerzucamy druty na dywizję, ale połączenie już było przerwane, ponieważ Serbowie dostali się na nasze tyły i od obu skrzydeł zamykali nas w trójkącie, w którym potem pozostało wszystko: piechota, artyleria i tabory z całą autokolumną, składy i szpital polowy. Przez dwa dni nie zsiadaliśmy z koni, a dywizjoner razem z brygadierem dostali się do niewoli. A wszystko to zawinił Madziarowie przez ostrzeliwanie naszego drugiego marszbatalionu. Rzecz prosta, że całą winę zwalili na nasz pułk.

Pułkownik splunął:

— Sam pan się teraz przekonał, panie nadporuczniku, jak haniebnie wyzyskali pańską przygodę w Kiraly Hidzie.

Nadporucznik Lukasz zakaszłał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Panie nadporuczniku — zwrócił się do niego pułkownik z kordialną poufałością — połóż pan rękę na sercu i mów pan rzetelnie: ile razy przespał się pan z panią Kakonyi?

Pułkownik Schröder był tego dnia w usposobieniu bardzo dobrym.

— Niech pan mi nie gada, że zaczynał pan dopiero korespondować. Kiedym był w pańskich latach i zostałem wysłany na kursy miernicze do Jagru, to przez trzy tygodnie nic

innego nie robiłem, tylko spałem sobie z Węgierkami. Trzeba było widzieć mnie wtedy. Co dzień inna. Młode, starsze, panny, mężatki, jak się zdarzyło. Odbywałem ten kurs mierniczy tak rzetelnie, że gdy potem wróciłem do pułku, to ledwo nóżki za sobą powłóczyłem. Najwięcej kosztowała mnie żona pewnego adwokata. Pokazała mi, na co stać Węgierki. Nos mi pogryzła i przez całą noc oka mi zmrużyć nie dała.

Powiada, że zaczął korespondować — pułkownik poufale klepnął nadporucznika po ramieniu. — Znamy się na tym. Niech pan nic nie mówi, bo ja mam o całej sprawie swoje własne zdanie. Związał się pan z babiną, jej małżonek was wytropił, a ten idiotyczny Szwejk...

— Ale co prawda, to prawda, panie nadporuczniku, ten Szwejk, to jednak charakter, że tak dobrze spisał się z pańskim listem. Takiego człowieka szkoda trzymać w areszcie. Wychowanie wojskowe ma. Bardzo mi się ten chłop podoba. Koniecznie trzeba będzie śledztwo przeciw niemu przerwać i sprawę łeb ukreć. Pana sponiewierali w gazetach, więc obecność pańska jest tu zupełnie zbędna. W ciągu tygodnia wyprawiona zostanie marszkompania na front rosyjski. Jest pan najstarszym oficerem jedenastej kompanii, więc pojedzie pan jako jej dowódca. W brygadzie zostały poczynione odpowiednie zarządzenia. Niech pan powie feldfeblowi rachuby, żeby panu poszukał jakiego innego służącego zamiast tego Szwejka.

Nadporucznik Lukasz odpowiedział pułkownikowi wdzięcznym spojrzeniem, ale pułkownik mówił dalej:

— Szwejka przydzielam panu jako K o m p a n i e - O r d o n a n z.

A więc wszystko jest w porządku. Życzę panu, aby się pan odznaczył na wschodnim froncie, i w ogóle wszystkiego najlepszego. A jeśli spotkamy się znowuż kiedy, to niech pan nie unika naszego towarzystwa, jak to było w Budziejowicach. Trzeba chodzić między nas...

Nadporucznik Lukasz wracając do siebie, powtarzał sobie przez całą drogę:

— Kompanie — Kommandant, Kompanie-Ordonnanz...

Przed jego oczami wyłaniała się bardzo wyraziście postać Szwejka.

Gdy nadporucznik polecił feldfeblowi rachuby Wańkowi, aby mu wyszukał jakiego nowego służącego zamiast Szwejka, ten odpowiedział:

— Myślałem, że pan nadporucznik jest ze Szwejka zadowolony.

Gdy się dowiedział, że Szwejk został mianowany ordynansem kompanii, zawołał:

— Boże, bądź nam miłościwi!

W baraku sądu dywizyjnego o oknach zakratowanych aresztanci wstawali według przepisu o godzinie siódmej rano i sprząтали sienniki poroźściełane w kurzu i brudzie na podłodze. Prycz tam nie było. Za przepierzeniem długiej sali aresztanci układali kołdry i sienniki, a ci, co robotę skończyli, siedzieli na ławach wzdłuż ściany i wiskali się (tacy przeważnie przybywali z frontu), albo też opowiadali sobie różne przygody.

Szwejk i stary saper Wodiczka siedzieli razem z innymi żołnierzami z różnych pułków i formacyj na ławie przy drzwiach.

— Spójrzcie no, chłopcy, na tamtego łobuza madziarskiego, co stoi przy oknie i modli się, żeby go nie skazali na grubą karę. Takiemu należy rozedrzeć pysk od ucha do ucha.

— Daj mu spokój, bo to człowiek porządny i dostał się tu za to, że nie chciał służyć w wojsku. On jest przeciwnikiem wojny i należy do jakiejś sekty, a do paki dostał się za to, że się trzyma przykazania bożego i nikogo nie chce zabić. Pokażą mu oni przykazanie boże! Przed wojną był na Morawach niejaki Nemrawa, który nawet flinty na ramię wziąć

nie chciał, bo jak mówił, było to przeciwko jego zasadzie noszenie flinty na ramieniu. Wsadzili go do paki i potrzymali na chudym wikcie, a potem znowu poprowadzili go do przysięgi. A on na to, że przysięgać nie będzie, bo przysięgi też nie uznaje. I wytrzymał wszystkie szykany.

— Widać jakiś głupi człowiek — rzekł stary saper Wodiczka. — Mógł przysięgać, ile wlezie, i nasrać na całą przysięgę.

— Ja już trzy razy przysięgałem — mówił jakiś piechur — i już trzeci raz siedzę w pace za dezercję. Gdybym nie miał świadectwa lekarskiego, że przed piętnastu laty zatłukłem moją ciotkę w napadzie choroby umysłowej, to już trzy razy byłbym na froncie rozstrzelany. Ale nieboszczka ciotka ratuje mnie jakoś za każdym razem i kto wie, może dostanę się ostatecznie zdrów i cały do domu.

— A za coś ty, kolego, zatłukł swoją ciocię? — zapytał Szwejk.

— A za cóż się ludzi zatłukuje? — odpowiedział miły towarzysz. — Każdy może się łatwo domyślić, że za pieniądze. Miała baba pięć książek oszczędności i akurat przesłali jej procenty, kiedym do niej przyszedł głodny i obdarty. Prócz niej nie miałem żywego ducha na całym bożym świecie. Przeszedłem do niej i proszę, żeby się nade mną zlitowała, a ta, ścierwo, posyła mnie do roboty, że, powiada, taki młody, krzepki i zdrowy człowiek. Powiedzieliśmy sobie parę słów, a ja trąciłem ją parę razy pogrzebaczem w głowę i fizjonomię tak jej jakoś przyrządziłem, że nie wiedziałem, czy to ciocia, czy nie ciocia. Siedziałem koło niej i ciągle medytowałem: — Czy to ciocia, czy nie ciocia? — Nazajutrz znaleźli mnie koło cioci sąsiedzi. Potem siedziałem u wariatów na Slupach, a gdy przed wojną badała nas w Bohnicach komisja, zostałem uznany za wyleczonego i zaraz musiałem pójść do wojska i dosługiwać swoje zaległości.

Obok rozmawiających przeszedł żołnierz o bardzo smutnym wyrazie twarzy i z miotłą w ręku.

— To nauczyciel niejaki, z ostatniej marszkompanii — rzekł strzelec, siedzący obok Szwejka — będzie zamiatał swój ką. Ogromnie porządny człowiek. Siedzi tu za to, że napisał jakieś wierszyki.

— Chodź tu, bracie profesorze! — zawołał na człowieka z miotłą, który wolno i z powagą zbliżył się do ławy.

— Zadeklamuj nam ten wiersz o wszach.

Żołnierz z miotłą chrząknął i zadeklamował:

Wszystko zawszone. Front się wiszcze cały,
Od wszów się roi pod odzieżą.
W wygodnych łózkach generały
Co dzień bieliznę mają świeżą.
Zawszeni wszyscy: młodzi, starzy,
Nad wszów przyszłością, czuwa straż,
Bo już się z pruską weską parzy
Nasz stary austriacki wszarz.

Smutny żołnierz z miotłą przysiadł się do towarzystwa i rzekł:

— Tyle tego wszystkiego i dla takiej drobnostki już cztery razy byłem przesłuchiwany przez pana audytora.

— Cała ta wszawa historia nie warta gadania — roztropnie rzekł Szwejk. — Chodzi jedynie o to, kogo sąd będzie uważał za starego wszarza austriackiego. Dobrze pan zrobił, że wtrącił pan słowo o parzeniu, bo od tego zbaranieją zupełnie. Trzeba im będzie wytłumaczyć, że wszarz to samiec wszy, bo inaczej nie wyplącze się pan z tej afery. Przecież nie pisał pan tego z zamiarem obrażenia kogokolwiek. Co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości. Panu audytorowi trzeba powiedzieć, że pan to sobie pisał tylko tak, dla swojej prywatnej przyjemności, i że tak samo, jak samiec krowy nazywa się buhaj, tak samiec wszy nazywa się wszarz.

Nauczyciel westchnął:

— Kiedy ten pan audytor nie umie dobrze po czesku. Już mu tę sprawę tłumaczyłem w taki właśnie sposób, ale on mi dowodził, że samiec wszy nazywa się „wszyk“. Powiada do mnie ten pan audytor: Ne fśaś, ale fsik. Femininum, sie, gebildeter Kerl, ist „ten feś“, also masculinum ist „ta fsik“. Wir kennen unsere Pappenheimen.

— Jednym słowem — rzekł Szwejk — dobrze nie jest, ale nie trzeba tracić nadziei, jak mawiał Cygan Janeček w Pilźnie, kiedy w roku 1879 zakładali mu stryczek na szyję za podwójne morderstwo. A miał rację, bo trzeba było odprowadzić go spod szubienicy z powrotem do więzienia, jako że akurat tego dnia najjaśniejszy pan miał urodziny i nie można było nikogo wieszać. Więc go powiesili dopiero nazajutrz i miał chłopisko takie osobliwe szczęście, że nazajutrz po powieszeniu go przyszło rozporządzenie, że egzekucja ma być wstrzymana, bo trzeba wznowić proces z tego powodu, że wszystko świadczyło na korzyść Janečka, że to nie on dopuścił się tej zbrodni. Więc go musieli wykopać z grobu na cmentarzu więziennym, zrehabilitować i przewieźć na katolicki cmentarz, po czym dopiero pokazało się, że Janeček jest ewangelik, więc go przenieśli na cmentarz ewangelicki, a potem....

— Potem dostaniesz parę razy w pysk — odezwał się stary saper Wodiczka. — Żeby sobie zmyślać takie śmieszne kawały. My tu mamy zmartwienie, że nas czeka sąd dywizyjny, a ten sobie ze wszystkiego pokpiwa. Wczoraj, gdy nas prowadzili na badanie, zaczął mi tłumaczyć, co to jest róża jerychońska.

— Kiedy to nie moja wina — bronił się Szwejk. — Oповідаł o tym służący malarza Panuśki pewnej starej babie. Pytała go, jak wygląda róża jerychońska, więc on jej odpowiedział: — Weź pani suche łajno krowie, połóż je na talerzu i polej wodą, a ono wnet się mile zazieleni. To jest

róża jerychońska. Ja takich błazeństw nie zmyślam. Jak się idzie na badanie, to trzeba sobie o czymś pogawędzić, a ja cię chciałem trochę pocieszyć, mój Wodiczko...

— Ładnie pocieszasz — rzekł Wodiczka i splunął wzgardliwie. — Człowiek się kłopotuje dniem i nocą, w jaki sposób wydostać się z tej bryndzy, żeby jak najprędzej można było wyrwać się na wolność i rozliczyć się z tymi łobuzami madziarskimi, a ten chce pocieszać człowieka jakimś krowim gównem. Jakże się wezmę za tych łobuzów madziarskich, kiedy siedzę pod kluczem i do tego wszystkiego jeszcze muszę udawać i zapewniać pana audytora, że się na Madziarów nie gniewam i źle im nie życzę? Pieskie życie, proszę państwa. Ale jak mi taki drab wpadnie w ręce, to go uduszę jak szczenię i pokażę im wszystkim „i s t e n a l m e g a m a g y a r“! Rozrachuję się z nimi tak akuratnie, że o mnie jeszcze będą ludzie gadali.

— Niech się nikt o nic nie martwi — rzekł Szwejk. — Wszystko się ułoży jak najlepiej, tylko pamiętać trzeba o tym, że na sądzie nigdy nie należy mówić prawdy. Kto się da nabrać i przyzna się, to stracony. Z takiego głupca nigdy nic nie będzie. Jakem razu pewnego pracował w Morawskiej Ostrawie, to zdarzyła się tam taka rzecz: jakiś górnik sprzał inżyniera w cztery oczy, tak że nikt tego nie widział. Adwokat, który tego górnika bronił, doradzał mu bezustannie, żeby się wszystkiego wypierał, to mu się nic stać nie może, a znowuż prezes sądu w kółko swoje o tym, że przyznanie się jest okolicznością łagodzącą. Ale górnik nic tylko jedno, że się przyznać nie może, więc został uniewinniony, ponieważ wykazał swoje alibi. Tego samego dnia był w Brnie.

— Jezus Maria! — rozsierdził się Wodiczka. — Ja tego nie wytrzymam. Nie rozumiem, po co on nam o tym wszystkim gada. Wczoraj było to samo na badaniu. Był tam jakiś człowieczek, a gdy się go audytor zapytał, czym jest w cywilu, odpowiedział: — Dymam u Krzyża. — Przez pół godziny trzeba

było z nim gadać, zanim wreszcie audytor dowiedział się, że ten poczciwiec obsługuje miechy u kowala. Po chwili pytają go się: — Więc w cywilu jesteście robotnikiem pomocniczym? — A ten swoje: — Jakim tam robotnikiem pomocniczym! Dymam u Krzyża.

Na korytarzu odezwały się kroki wartownika i wołanie: „Z u w a c h s!”

— Chwała Bogu, będzie nas więcej — ucieszył się Szwejk. — Może mają papierosa albo trochę tytoniu.

Drzwi się otworzyły i do środka został wepchnięty jednoroczny ochotnik, który siedział ze Szwejkiem w areszcie w Budziejowicach i został skazany na skrobanie kartofli w kuchni jakiejś kompanii.

— Niech będzie pochwalony... — rzekł przekraczając próg więzienia, na co Szwejk odpowiedział w imieniu wszystkich: — Na wieki wieków amen.

Jednoroczny ochotnik z zadowoleniem spojrzął na Szwejka, położył na ziemi kołdrę, którą z sobą przyniósł, i przysiadł się na ławie do czeskiej kolonii. Zza cholewek buta powydostawał mnóstwo papierosów i częstował nimi wszystkich. Potem wygrzebał z jakiegoś ukrycia kilka zapalek poprzecinanych wzdłuż na dwoje. Z wielką ostrożnością zapalił papierosa, podał wszystkim ognia i z wesołą obojętnością oświadczył:

— Jestem oskarżony o bunt.

— To nic osobliwego — rzekł Szwejk głosem łagodnym — zwyczajny szpas.

— Szpas i bujda — zgodził się jednoroczny ochotnik — bo przecież wojen nie wygrywa się sprawami sądowymi. Jeśli już koniecznie chcą się ze mną prawować, to niech się prawują. Na ogół wzięwszy, jeden proces sądowy mniej czy więcej nic w sytuacji zmienić nie może.

— A w jaki sposób pan się zbuntował? — zapytał saper Wodiczka, spoglądając z uczuciem sympatii na jednorocznego ochotnika.

— Nie chciałem czyścić wychodków na odwachu — odpowiedział zapytany. — Więc zaprowadzili mnie do obersta. A ten oberst, to ładna świnia. Zaczął wrzeszczeć, że dostałem się do paki na podstawie regimentsraportu i że jestem zwyczajny aresztant, on zaś w ogóle dziwi się, że mnie święta ziemia nosi i nie przestaje krążyć pomimo tej niesłychanej hańby, że w armii znalazł się człowiek z prawami jednorocznego ochotnika, mający możliwość zrobienia kariery oficerskiej, a jednak człowiek ten postępowaniem swoim może wzbudzić w swoich przełożonych tylko uczucie głębokiego obrzydzenia. Odpowiedziałem mu, że krążenie ziemi nie może być przerwane, pomimo iż znalazł się na niej taki człowiek jak ja, że prawa przyrody są mocniejsze od naszywek jednorocznych ochotników i że pragnąłbym wiedzieć, kto może mnie przymusić do czyszczenia wychodków, których sam nie zanieczyściłem, aczkolwiek miałbym prawo i do tego, po takiej świńskiej kuchni pułkowej, po zgniłej kapuście i ochłapach baraniny. Potem rzekłem jeszcze temu oberstowi, iż pogląd jego na to, czemu nosi mnie jeszcze święta ziemia, jest trochę dziwny, bo dla mnie nie może przecie wybuchnąć trzęsienie ziemi. Pan oberst przez cały czas nic nie robił, tylko szcząkał zębami jak kobyła, gdy ją ziębi w pysku zmarzła rzeпа, a potem wrzasnął na mnie:

— Więc będziesz pan czyścił te wychodki, czy nie będziesz?

— Posłusznie melduję, że żadnych wychodków czyścić nie będę.

— A ja mówię, że będziecie, sie Einjähriger!

— Posłusznie melduję, że nie będę.

— Do stu tysięcy diabłów, sto wychodków wyczyścicie, jak ja wam każę!

— Posłusznie melduję, że nie będę czyścił, ani stu, ani jednego.

I tak sobie rozmawialiśmy w kółeczko: — Będziesz czyścił? — Nie będę czyścił. — Prawiliśmy sobie takie dusery

wychodkowe, jakbyśmy sobie przepowiadali sentencję z czytanki dziecięcej. Oberst latał po kancelarii jak wściekły, aż wreszcie usiadł i rzekł: — Niech pan się dobrze zastanowi, bo ja pana przekażę sądowi dywizyjnemu za bunt. Proszę sobie nie myśleć, że będzie pan pierwszym jednorocznym ochotnikiem, którego podczas tej wojny za bunt rozstrzelano. W Serbii powiesiliśmy dwóch jednorocznych ochotników z dziesiątej kompanii, a jednego z kompanii dziewiątej rozstrzelaliśmy jak jagnię. A za co? Za ich upór. Ci dwaj, których powiesiliśmy, nie chcieli przebić kobiety i chłopca pod Szabacem, a ochotnik z dziewiątej kompanii został rozstrzelany za to, że nie chciał iść naprzód i tłumaczył się tym, że ma spuchnięte nogi i że jest płaskostopy. Więc będziesz pan czyścił wychodki, czy nie?

— Posłusznie melduję, że nie będę.

Oberst spojrział na mnie i powiada:

— Słuchaj pan, czy pan aby nie słowianofil?

— Posłusznie melduję, że nie jestem słowianofil.

Zabrali mnie do paki i powiedzieli mi, że zostałem oskarżony o bunt.

— Najlepiej zrobisz, bratku — rzekł Szwejk — gdy zaczniesz teraz udawać idiotę. Jakem siedział na garnizonie, to był tam jeden sprytny człowiek, wykształcony i uczony, profesor szkoły handlowej. Dezerterował z frontu i za to miano mu wytoczyć jakiś bardzo uroczysty proces, żeby dla postrachu innych został skazany i powieszony, a on wykręcił się z tej hecy sianem i to bardzo zgrabnie. Udawał po prostu dziedzicznie obciążonego, a gdy lekarz sztabowy zaczął go badać, to mój mądrała mu powiedział, że nie dezerterował, ale że już od lat dzieciennych lubi podróżować i zawsze budzi się w nim pragnienie wędrowek w nieznane kraje. Pewnego razu znalazł się w Hamburgu, innym razem w Londynie i sam nie wie, jak to się stało, że się dostał w tamte strony. Jego ojciec był alkoholikiem i zmarł śmiercią samobójczą przed jego na-

rodzeniem, matka była prostytutką i też się upijała, aż wreszcie umarła na delirium. Młodsza siostra utopiła się, starsza rzuciła się pod pociąg, brat skoczył z kolejowego mostu na Wyszehradzie w Wełławę, dziadek zamordował swoją żonę, oblał się naftą i podpalił, druga babka włóczyła się z Cyganami i otruła się w więzieniu zapałkami, jeden z bratanków był kilka razy karany za podpalanie i w więzieniu w Kartuzach przeciął sobie żyły kawałkiem szkła, siostrzenica ze strony ojcowskiej wyskoczyła w Wiedniu z okna szóstego piętra, on zaś sam jest bardzo zaniedbany w wychowaniu i do lat dziesięciu nie umiał mówić, ponieważ zdarzyło się, że gdy miał sześć miesięcy i gdy go na stole przewijali, oddalili się od niego, a kot ściągnął go ze stołu; padając na podłogę uderzył się mocno w głowę. Miewa też od czasu do czasu mocne bóle głowy i w takich chwilach sam nie wie, co robi. I właśnie w takiej chwili ruszył z frontu do Pragi i dopiero wówczas, gdy został zaaresztowany „U Fleków“ przez policję wojskową, odzyskał przytomność. Trzeba było widzieć, z jaką paradą wypuścili go z paki i zwolnili z wojska! Siedziało razem z nim z pięciu chłopów, którzy także mieli być sądzeni za dezercję, więc na wszelki wypadek wypisali sobie wszystko pięknie i ładnie na papierku dla pamięci:

Ojciec alkoholik. Matka prostytutka.

I siostra (utopiona).

II siostra (pociąg).

Brat (z mostu).

Dziadek † żonę, nafta, ogień.

II babka (Cygany, zapałki) † itd.

Gdy jeden z nich zaczął to wszystko wyliczać lekarzowi wojskowemu, to nie zdążył wymienić nawet bratanka i lekarz, który miał już trzeci taki przypadek, przerwał mu: — Ach, ty gałganie, twoja siostrzenica ze strony ojca wyskoczyła w Wiedniu z okna szóstego piętra, jesteś okropnie zaniedbany w wychowaniu, więc przyda ci się więzienie popraw-

cze. — Odprowadzili bratka, związali w kij i zaraz skończyło się z zaniedbanym wychowaniem, z ojcem alkoholikiem i matką prostytutką. Wolał z dobrej woli pójść na front.

— Dzisiaj — rzekł jednoroczny ochotnik — już nikt w wojsku nie wierzy w dziedziczne obciążenie, bo gdyby ludzie jeszcze wierzyli w takie rzeczy, to wszystkie sztaby generalne wszystkich armii trzeba by pozamykać w domach wariatów.

W zamku okutych drzwi zachrzęścił klucz i na progu stanął profos.

— Piechur Szwejk i saper Wodiczka do pana audytora! — zawołał.

Obaj wywołani wstali, a Wodiczka rzekł do Szwejka:

— Widzisz, co te gałgany robią? Dzień w dzień badanie, a na wolność nie wypuszczają. Wolałbym, żeby nas lepiej skazali, niż takie korowody. Wylegujemy się tu całymi dniami, a te łobuzy madziarskie latają sobie po świecie, jakby nigdy nic...

Po drodze na badanie, które odbywało się w kancelarii sądu dywizyjnego, umieszczonego w innym baraku, saper Wodiczka razem ze Szwejkiem zastanawiali się nad tym, kiedy właściwie staną przed jakim porządnym sądem.

— Same przesłuchiwania — irytował się Wodiczka — a rezultatu jak nie ma, tak nie ma. Pozapisują masy papieru, a człek się sądu nie doczeka. Zgnijemy za kratami. Powiedz szczerze, czy można zreć te polewki, jakie tu dają? Albo tę kapustę ze zmarzłymi kartoflami? Do stu diabłów, takiej idiotycznej wojny światowej jeszcze nigdy nie widziałem. Wyobrażalem to sobie całkiem inaczej.

— A ja jestem zupełnie zadowolony — rzekł Szwejk. — Przed laty, kiedy służyłem w wojsku, to nasz feldfebel Solpera mawiał, że w wojsku musi być porządek, i do słów swoich dodawał takie trzaśnięcie w zęby, że się potem o tym porządku wojskowym pamiętało do samej śmierci. Albo taki nieboszczyk oberlejtant Kwajser, gdy przeglądał karabiny, to nam tłuma-

czył, że każdy żołnierz musi okazywać jak największą brutalność, bo żołnierze, to tylko bydło, które karmi skarb państwa, daje mu żreć, poi go kawą, nabija mu fajkę tytoniem i za to musi to bydełko służyć i milczeć.

Saper Wodiczka zamyślił się i po chwili mówił dalej:

— Jak cię zawoła ten audytor, to pamiętaj Szwejku, żebyś się nie plątał w zeznaniach. Powtórz to, coś mówił poprzednio, żebyś mnie nie wsypał. Główna rzecz to to, że widziałeś, jak na mnie te łobuzy madziarskie napadły. Przecież wszystko to zrobiliśmy na wspólny rachunek.

— Nie bój się, Wodiczko — uspokajał go Szwejk. — Bądź spokojny i nie denerwuj się. Taki sąd dywizyjny, to wielkie głupstwo. Trzeba ci było widzieć, jak zwiędłe odbywały się takie sądy polowe przed laty. Służył razem ze mną niejaki Heral, nauczyciel, i ten właśnie Heral opowiadał nam kiedyś, gdy wszyscy mieliśmy koszarówkę, że w muzeum praskim jest książka, a w tej książce opisany jest sąd wojenny za Marii Teresy. Każdy pułk miał swojego kata, który uśmiercał żołnierzy swego pułku jednego za drugim po terezjańskim talarze od sztuki. I widzisz, ten kat według zapisków tamtej książki zarobił sobie czasem i pięć talarów na dzień.

Naturalnie — dodał Szwejk z wielką powagą — że wtedy pułki były duże i wciąż je po wsiach uzupełniano.

— Jak byłem w Serbii — rzekł na to Wodiczka — to w brygadzie naszej byli tacy amatorzy, co wieszali Serbów za papierosy. Który żołnierz powiesił chłopca, to dostawał dzieśnię papierosów „Sport“, za kobietę i dziecko po pięć. Później intendentura zaczęła oszczędzać i rozstrzeliwano Serbów partiami. Razem ze mną służył pewien Cygan; przez długi czas nie wiedzieliśmy, dlaczego był tak często wzywany do kancelarii. Staliśmy wtedy nad Driną. Pewnej nocy, gdy go nie było, wpadło któremuś z nas do głowy, żeby pogrzebać w jego rzeczach, a ten drab miał trzy pełne pudełka po setce papierosów. Wrócił nad ranem do naszej stodoły, a my załatwi-

liśmy się z nim krótko. Powaliliśmy go na ziemię, a niejaki Beloun udusił go pasem. Ale miał ten Cygan życie mocne jak kot.

Stary saper Wodiczka splunął.

— W żaden sposób nie można było go udusić. Zrobił pod siebie, oczy wylazły mu na wierzch, ale ciągle jeszcze był żywy, jak niedorznięty kogut. Więc trzeba było przerwać go jak koguta. Dwaj trzymali go za nogi, dwaj złapali go za głowę i skręcili mu kark. Potem włożyliśmy mu na plecy jego tobolek razem z papierosami i wrzuciliśmy go w Drinę. Kto by tam palił takie papierosy! Rano szukali go, dopytywali się o niego.

— Trzeba było meldować, że zdezerterował — roztropnie doradził Szwejk — że już od dawna się do tego przygotowywał, bo co dzień powtarzał, że zwieje.

— E, kto by tam był zwracał uwagę na takie drobności — odpowiedział Wodiczka. — Zrobiliśmy swoje, a o resztę się nie kłopotaliśmy. Tam w Serbii takie sprawy były bardzo łatwe, bo co dzień ktoś znikał, a trupów nawet już z Driny nie wylawiali. Spuchnięte zwłoki Serba płynęły obok zwłok naszych żołnierzy na falach Driny do Dunaju, a było tego tyle, że niektórzy niedoświadczeni dostawali na ten widok gorączki.

— Trzeba im było dać chininy — rzekł Szwejk.

Weszli właśnie do baraku, w którym mieścili się kancelarie sądu dywizyjnego, i patrol zaprowadził ich natychmiast do kancelarii numer ósmy, gdzie za długim stołem, zawalonym mnóstwem papierów, siedział audytor Ruller.

Pod ręką miał jakiś tom kodeksu karnego, a na nim stała nie dopita szklanka herbaty. Po prawej stronie stołu stał krucyfiks z imitowanej kości słoniowej z zakurczonym Chrystusem, który rozpaczliwie spoglądał na postument swego krzyża zanieczyszczonego popiołem i niedopałkami papierosów.

Audytor Ruller strzepywał właśnie popiół z papierosa na po-

stument krzyża, a drugą ręką podnosił szklanę z herbatą, przy-
lepioną do okładki kodeksu.

Oderwawszy szlanę od kodeksu, przewracał kartki
w książce wypożyczonej z biblioteki kasyna oficerskiego.

Była to książka Fr. S. Krausego z obiecującym nagłów-
kiem: — *Forschungen zur Entwicklungsgeschichte der geschlechtlichen Moral.*

Zapatrzył się na naiwne rysunki męskiego i żeńskiego przy-
rodzenia z dostosowanymi wierszykami, które odkrył uczony
Fr. S. Kraus w wychodkach dworca Zachodniego w Berlinie,
i nie zwrócił uwagi na przybyłych.

Dopiero zakaszlanie Wodiczki wyrwało go z głębokiej za-
dumy, która towarzyszyła obserwacji zdobyczy nauki.

— Was geht los? — zapytał, przerzucając dalej
kartki i szukając dalszego ciągu naiwnych rysunczków, szki-
ców i wierszyków.

— Posłusznie melduję, panie audytor — odpowiedział
Szwejk — że kolega Wodiczka zaziębił się i teraz kaszle.

Audytor Ruller teraz dopiero spojrział na Szwejka i na
Wodiczkę.

Staral się nadać swej twarzy wyraz surowości.

— Gdzieście się włóczyli, włóczęgi? — rzekł, grzebiąc się
w kupie papierów, leżących na stole. — Kazalem wam stawić
się o dziewiątej, a tymczasem niedaleko jedenasta.

— Jak stoisz, ty wole jeden! — krzyknął na Wodiczkę,
który pozwolił sobie stanąć jakby na „spocznij“ — Jak po-
wiem: „R u h t!“ — to będziesz mógł robić z kulasami, co
ci się będzie podobało.

— Posłusznie melduję, panie audytor — odezwał się
Szwejk — że on ma reumatyzm.

— A ty stul lepiej pysk — rzekł audytor Ruller. — Jak
się zapytam, to będziesz odpowiadał. Trzy razy byleś u mnie
na badaniu i sam diabeł wie, kiedy to się skończy. Gdzie mi
się te papierzyska pozapodziewały? Mam ja z wami, wy łotry

skończone, krzyż Pański. Ale takie fatygowanie sądu nie wyjdzie wam na dobre.

Patrzcie, łajdaki, ile trzeba było napisać — rzekł, wyjmując spośród kupy papierów duży fascykuł z napisem:

Schwejk & Woditschka

— Nie wyobrażajcie sobie, że będziecie tu piecuchowali w areszcie sądu dywizyjnego i wymigacie się na długi czas od frontu. Dla jakiejś głupiej bijatyki nie uwolnicie się od służby na froncie. Przez was, wy cymbały musiałem telefonować aż do armeegerichtu.

Audytor westchnął.

— Nie rób takiej poważnej miny, Szwejku — mówił dalej — bo na froncie to ci się odechce bić się z jakimiś honwedami. Dochodzenie przeciwko wam zostaje umorzone, każdy z was udaje się do swego oddziału, ukarani będziecie przy raporcie, a potem pójdziecie z marszkompanią na front. Jeśli jeszcze raz wpadniecie mi w ręce, wy łotry, to zobaczycie, jak z wami zagadam. Macie tu każdy swój dokument zwalnający i zachowujcie się przyzwoicie. Odprowadzić ich pod numer drugi.

— Posłusznie melduję, panie audytor — rzekł Szwejk — że słowa pańskie bierzemy obaj do serca i że bardzo panu dziękujemy za pańską dobroć. Gdyby to było w cywilu, to pozwoliłbym sobie powiedzieć, że pan jest złoty człowiek. Zrazem obaj winniśmy prosić pana o przebaczenie, że pan musiał trudzić się dla nas tak bardzo. Nie zasługujemy na to wcale.

— No to idźcie już do wszystkich diabłów! — wrzasnął audytor na Szwejka. — Gdyby nie pan pułkownik Schröder, który wstawił się za wami, to nie wiem, jakby się ta sprawa dla was zakończyła.

Wodiczka odzyskał swój dawny humor dopiero na korytarzu, gdy patrol prowadził obu do kancelarii pod numer drugi.

Żołnierz, który ich prowadził, bał się, że może przyjść za późno na obiad, więc ich przynaglał:

— Ruszajcie się trochę zwawiej, moi kochani, bo wleczenie się jak muchy w smole.

Na to odpowiedział żołnierzowi Wodiczka, żeby stulił gębę i uważał za szczęście, że jest Czechem, bo gdyby był Węgrem, to by go rozdarł jak śledzia.

Ponieważ pisarze z kancelarii wojskowej poszli na obiad, więc żołnierz, który obu aresztantów prowadził, zmuszony był zaprowadzić ich z powrotem do więzienia dywizyjnego, przy czym nie obeszło się z jego strony bez przeklinania nienawistnej rasy pisarzy wojskowych.

— Koledzy pozbierają z zupy wszystek tłuszcz — zaczął lamentować — a zamiast mięsa dostanę jaki nędzny ochłap. Wczoraj eskortowałem też takich dwóch do obozu i ktoś zerzał mi pół bochenka komiśniaka świeżo fasowanego.

— Wy tu wszyscy przy sądzie dywizyjnym nie myślicie o niczym innym, tylko o żarciu — rzekł Wodiczka, który całkowicie odzyskał swój rezon.

Dowiedziawszy się o decyzji audytora co do Szwejka i Wodiczki, jednoroczny ochotnik rzekł:

— A więc marszkompania, przyjaciele! No to powiem wam słowy czasopisma czeskich turystów: — Dobrego wiatru! — Prace przygotowawcze do drogi już są poczynione, o wszystko postarała się wysoka administracja wojskowa, więc powinna wam się świetnie udać wycieczka do Galicji. Ruszajcie w świat z myślą wesołą i z sercem lekkim a radosnym. Umieście ocenić piękno krajobrazu, ozdobionego rowami strzeleckimi. Piękne to i wysoce interesujące. Na dalekiej obczyźnie czuć się będziecie jak w okolicy dobrze wam znanej, czy może nawet jak w wiosce rodzinnej. Z uczuciem wzniosłym ruszycie w strony, o których już stary Humboldt pisał: — Na całym świecie nie widziałem nic wspanialszego nad tę pocziwą Galicję. — Obfite i cenne doświadczenia, zdobyte przez nasze sławne

wojska przy odwoście z Galicji, będą przy naszych nowych wyprawach wojennych nieoszacowanym źródłem wskazówek i nie pozostaną bez wpływu przy układaniu programu drugiej podróży w tamte strony. Idźcie prosto za nosem do Rosji i z uciechy powystrzeliwujcie wszystkie naboje w powietrze.

Przed odejściem Szwejka i Wodiczki do kancelarii, podszedł ku nim niefortunny nauczyciel, który dostał się do więzienia za swoje uzdolnienie poetyckie, i odprowadziwszy obu na bok, szepnął im tajemniczo:

— Jak tylko dostaniecie się poza front do Rosji, nie zapomnijcie rzecz słowo powitania: Zdrawstwujićie, ruskije bratja, my bratja Czechy, my nie Awstrijcy.

Wychodząc z baraku, Wodiczka zamanifestował swoją nieprzejednaną nienawiść dla Madziarów tym, że Węgrowi, który nie chciał służyć w wojsku, nadepnął na nogę i wrzasnął:

— Obuj się, badyłu!

— Żeby był pisał — rzekł potem saper Wodiczka do Szwejka — żeby się był ozwał jednym słówkiem, to bym mu był jego madziarską jadaczkę rozdarł od ucha do ucha. A ten cymbał milczy i pozwala sobie deptać po nogach. Herrgott, Szwejku, wściec się można, że nie zostałem skazany. Przecież to wygląda tak samo, jakby sobie z nas kpili, że cała ta awantura z Madziarami gadania nie warta. A biliśmy się chyba zdrowo. Czy nie? Wszystkiemu ty jesteś winien, że nas nie skazali i że dali nam takie papiery, jakbyśmy się nawet porządnie pobić nie umieli. Co sobie tacy o nas myślą? Przecie zrobiliśmy całkiem przyzwoity konflikt.

— Mój kochany — rzekł poczciwy Szwejk — ja nie rozumiem twego frasunku z tego powodu, że sąd dwizyjny uznał nas za ludzi przyzwoitych, którym niczego zarzucić nie można. Oczywiście, że na badaniu wykrecałem się jak mogłem, bo przed sądami zawsze trzeba kłamać, jak poucza adwokat

Bass swoich klientów. Takí już jest obowiązek podsądnego. Gdy pan audytor pytał mnie, z jakiej racji wtargnęliśmy do mieszkania pana Kakonyi, odpowiedziałem mu rzetelnie: — Myślałem, proszę pana, że najlepiej poznamy się z panem Kakonyi, gdy go będziemy odwiedzali. — Pan audytor o nic więcej nie pytał i miał dość.

Zapamiętaj sobie, kolego — wywodził Szwejk dalej — że przed sądem wojskowym do niczego przyznawać się nie należy. Kiedym siedział w areszcie sądu garnizonowego, to jakiś żołnierzyna przyznał się tam do czegoś. Inni tak się na niego o to rozgniewali, że go sprali na kwaśne jabłko i nakazali mu wszystko odwołać.

— Żebym się dopuścił czegoś niehonorowego, to bym się nie przyznał — rzekł saper Wodiczka — ale tak, gdy się mnie ten smyk audytorski zapytał: — Biliście się? — tom mu rzetelnie odpowiedział: — Tak jest, biłem się. — Sponiewieraliście kogo? — Przypuszczam, że sponiewierałem. — Czy zraniliście kogo przy tej sposobności? — Staralem się, panie audytorze. — Niech wie, z kim ma do czynienia. I w tym właśnie cały wstyd, że nas pomimo wszystko uwolnili. Wygląda na to, że mi nie chcą wierzyć, iż na łbach tych łobuzów przetrąciłem bagnet, że narobiłem z nich makaronu, nabiłem guzów i sińców. Sam przecie widziałeś, jak w pewnej chwili rzuciło się na mnie trzech takich psubratów madziarskich, a niebawem leżeli na ziemi, a ja deptałem po nich, ile wzło. A po tym wszystkim taki smarkaty audytorek weźmie i przerwie dochodzenie, jakby chciał powiedzieć: — Nie gadaj i nie chwal się, bo i tak ci nie uwierzą, że się umiesz porządnie bić. — Jak się wojna skończy i nastaną czasy cywilne, to ja go sobie, ofertę, poszukam i pokażę mu, czy się bić umiem, czy nie umiem. Potem przyjadę tutaj do Kiraly Hidy i zrobię takie piekło, jakiego jeszcze nie było. Do piwnicy będą się ludziska chowali, gdy się dowiedzą, że przyjechałem sprać tych lapserdaków i łobuzów w Kiraly Hidzie.

W kancelarii zostało wszystko załatwione bardzo szybko. Jakiś feldfelbel z gębą jeszcze tłustą po obiedzie podał Szwejkowi i Wodiczce papiery z miną bardzo poważną i korzystając ze sposobności, wygłosił do nich przemówienie, odwołując się do ich ducha żołnierskiego, a ponieważ był Waserpolakiem, więc przemówienie przeplatał różnymi zwrotami swego narzecza, jak np.: mały zielone, głupie rolmopsy, fujary nadziewane, świńskie ryje itp.

Kiedy przyjaciele rozstawali się z sobą, ponieważ każdego odstawiano do jego oddziału, rzekł Szwejk:

— Jak się wojna skończy, to przyjdź do mnie w odwiedziny. Co wieczór od szóstej zastaniesz mnie „Pod kielichem“ na Boisku.

— Ma się wiedzieć, że przyjdę — odpowiedział Wodiczka. — Ruch w interesie jest?

— Awantury trafiają się tam bardzo często, a gdyby wypadło czekać przydługo, to sobie jakoś poradzimy.

Rozeszli się, a gdy dzieliło ich już kilkadziesiąt kroków, stary saper Wodiczka odwrócił się i wołał:

— No to pamiętaj i postaraj się, żeby było wesoło, jak przyjdę do ciebie!

Na co Szwejk odpowiedział:

— Ale pamiętaj, żebyś przyszedł, jak tylko skończy się ta wojna!

Oddalali się od siebie coraz bardziej i dopiero po chwili zza któregoś baraku odezwał się głos Wodiczki:

— Szwejku, Szwejku! Czy dobre mają piwo „Pod kielichem“?

Niby echo odpowiedział z daleka głos Szwejka:

— Wielkopopowickie.

— Myślałem, że śmichowskie! — wołał z dala saper Wodiczka.

— Przyjdź lepiej o pół do siódmej, bo mogę się czasem spóźnić! — doradzał Szwejk.

Potem jeszcze raz, ale już z bardzo daleka wołał Wodiczka:

— A o szóstej nie mógłbyś przyjść?

— No to przyjdę o szóstej — słyszał Wodiczka odpowiedź oddalającego się kolegi.

Tak rozstał się dobry wojak Szwejk ze starym saperem Wodiczką. „Wenn die Leute auseinander gehen, da sagen sie sich auf Wiedersehen!“

Z Brucku nad Litawą ku Sokalowi.

Nadporucznik Lukasz biegał zdenerwowany po kancelarii jedenastej kompanii marszowej. Kancelaria ta była ciemną dziurą w baraku kompanii, oddzieloną od pomieszczenia żołnierzy przepierzeniem z desek. Był w tej kancelarii stół, dwa krzesła, bańka do nafty i siennik.

Przed nadporucznikiem stał feldfebel Waniek, który układał tutaj listy do wypłaty żołdu, prowadził rachunki wydatków na kuchnię dla szeregowców, był ministrem finansów kompanii siedział tu przez cały boży dzień, a w nocy spał w tej samej kancelarii.

Przy drzwiach stał gruby szeregowiec, brodaty jak Madej. Był to Baloun, nowy pucybut nadporucznika, w cywilu młynarz z okolic Czeskiego Krumlowa.

— Wybrał mi pan doprawdy znakomitego pucybuta — mówił nadporucznik Lukasz do feldfebla rachuby. — Dziękuję panu serdecznie za tę miłą niespodziankę. Zaraz pierwszego dnia, jak tylko posłałem go po obiad do kuchni oficerskiej, zezarł mi połowę.

— Rozlało mi się — rzekł gruby olbrzym.

— No dobrze, rozlało ci się. Ale rozlać mogłeś tylko zupę albo sos, nie zaś frankfurcką pieczeń. Przecież przyniosłeś mi

taki kawałeczek, co czarnego za paznokciem. A gdzie podziałeś strudel?

— Strudel? Ja...

— Nie zapieraj się, boś go zeżarł.

Ostatnie słowa wymówił nadporucznik Lukasz z taką wagą i tak ostro, że Baloun mimo woli cofnął się o dwa kroki.

— Informowałem się w kuchni, co mieliśmy dzisiaj na obiad. Do zupy były na przykład kluseczki z wątróbki. Gdzie podziałeś te kluseczki? Powyciągałeś jedną po drugiej i zeżarłeś po drodze. Następnie była wołowina z ogórkiem. Coś z tym zrobił? Też zeżarłeś. Dwa płaty pieczeni frankfurckiej, a tyś mi przyniósł pół płatka. Były dwa kawałki strudla. Gdzieś go podział? Zeżarłeś wszystko, ty świnió nędzna, mizerna. Pytam się gdzie zaprzepaścieś strudel? A, w błoto ci wpadł? Ty draniu jeden! Może pokażesz mi miejsce, gdzie leży ten strudel w błocie? A, pies przyleciał, jak na zawołanie, złapał go i uciekł z nim. Jezus Maria, przecież ja cię tak spierę po pysku, że będziesz miał łeb jak szaflik! Jeszcze się ta świnią zapiera. Przecież cię widzieli. Wiesz, kto cię widział? Rechnungsfeldfelbel Waniek cię widział na własne oczy. Przyszedł do mnie i mówi: — Posłusznie melduję, panie oberlejt-nant, że ta pańska świnią, Baloun, żre pański obiad. Wyjrzałem oknem, a ten żre mój obiad tak łapczywie, jakby przez cały tydzień nic nie jadł. Słuchajcie no, rechnungsfeldfelbel, czy naprawdę nie mogłeś pan doszukać się dla mnie innego bydlaka, tylko akurat takiego?

— Posłusznie melduję, panie oberlejt-nant, że Baloun wy-dawał mi się z całej naszej kompanii marszowej najporząd-niejszym człowiekiem. Taki z niego niezguła, że nie może za-pamiętać ani jednego chwytu, a jakby mu dać w rękę karabin, to jeszcze by się stało jakie nieszczęście. Podczas ostatniego ćwiczenia ślepy mi nabojami o mały figiel byłby wystrzelił oko sąsiadowi. Myślałem więc, że przyda się przynajmniej w ta-kiej służbie.

— I będzie pożerał moje obiady — rzekł nadporucznik Lukasz — jakby mu nie wystarczała jego własna porcja! Może masz apetyt na co?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że ciągle jestem głodny. Jeśli czasem zbywa komu kawałek chleba, to od niego kupuję ten chleb za papierosy, ale to wszystko mało. Ja mam już taką naturę. Czasem zdaje mi się, że już jestem syty, ale gdzie tam! Za chwilę po jedzeniu zaczyna mi kruczyć w brzuchu i mój drański żołądek znowuż domaga się żarcia. Bywa i tak, że mi się zdaje, że się przejadłem i że już by się w żołądku nic nie zmieściło, ale to się tylko tak zdaje. Jak tylko zobaczę, że ktoś je, albo poczuję zapach jedzenia, to mi się w żołądku robi tak pusto, że aż się na płacz zbiera. Żołądek zaczyna domagać się swoich praw, a ja polykałbym w takiej chwili kamienie. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że już prosiłem, żeby mi wydali podwójną porcję. W Budziejowicach zachodziłem z tego powodu do pułkowego doktora, a doktor kazał mnie zabrać do lazaretu i przez trzy dni dawał mi na cały dzień po garnuszku czystej polewki. Ja cię, powiada, ty kanalio, nauczę być głodnym! Jak mi tu przyjdiesz jeszcze raz, to wyjdiesz ode mnie jak tyczka chmielowa! Mnie nie potrzeba jakichś dobrych rzeczy, bo nawet najzwyczajniejsze pobudzają mój apetyt, aż mi się śliny robią. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, iż proszę grzecznie, żeby mi została przyznana druga porcja. Gdyby nie starczyło mięsa, to przynajmniej te dodatki, jak na przykład kartofle, kluski, trochę sosu... Tych rzeczy zawsze sporo zostaje.

— Dobrze. Wysłuchałem cierpliwie twoje zuchwalstwa, Balunie — odpowiedział nadporucznik Lukasz, a zwracając się do feldfebla, pytał: — Słyszał pan kiedy, panie rechnungsfeldfebel, aby żołnierz dawniejszy odważył się na taką zuchwałość, jak ten drab? Zeżarł mi obiad i jeszcze chce, żeby mu została przyznana porcja podwójna. Ale ja cię zabezpieczę przed niestrawnością!

— Sie, Rechnungsfeldfebel — zwrócił się nadporucznik do Wańka — zaprowadź go pan do kaprała Weidenhofera, żeby go przywiązał do słupka dziś wieczorem na dwie godziny i to na dziedzińcu koło kuchni, jak będą wydawali gulasz. Niech go przywiąże do słupka porządnie wysoko, żeby stał na paluszkach i żeby widział, jak się ten gulasz będzie gotował. I niech pan wyda rozporządzenie, żeby Baloun był przywiązany do słupka i wówczas jeszcze, gdy gulasz będzie wydawany, żeby mu śliny z pyska leciały, jak głodnej suce, przyczajonej koło wędliniarni. Kucharzowi powiedziec, żeby jego porcję rozdał.

— Słucham, panie oberlejtnant. Chodźcie Balounie!

Gdy się oddalili, nadporucznik stanął we drzwiach i spoglądając w twarz wystraszonego Balouna, mówił głosem triumfującym:

— Ładnie się urządził, Balounie. Życzę ci smacznego apetytu! A jeśli jeszcze raz zrobisz mi coś podobnego, to bez miłosierdzia oddam cię pod sąd polowy.

Gdy Waniek wrócił i oznajmił nadporucznikowi, że Baloun jest już przywiązany do słupka, Lukasz rzekł:

— Znasz mnie pan dobrze, że takich rzeczy robić nie lubię, ale nie ma rady. Po pierwsze sam pan przyznasz, że gdy psu odbierają gnat, to warczy. Nie chcę mieć na usługach takiego podłego draba, a po drugie, już sam fakt, że Baloun został przywiązany do słupka, wyrze wpływ moralny i psychologiczny na wszystkich szeregowcach. Od chwili, gdy się dowiedzieli, że jutro albo pojutrze pójdą na front, chłopiska nie słuchają i każdy robi, co mu się podoba.

Nadporucznik Lukasz miał minę człowieka bardzo przygnębionego i cichym głosem mówił dalej:

— Onegdaj podczas ćwiczeń nocnych mieliśmy manewrować przeciwko szkole jednorocznych ochotników za cukrownią. Pierwszy pluton, straż przednia, szedł jeszcze szosą, ale drugi, który miał iść na lewo i rozsyłać patrole pod cu-

krownię, spacerował, jakby wracał z majówki. Śpiewali i hałasowali, że chyba słyhać było te hałasy aż w obozie. Następnie na prawym skrzydle trzeci pluton miał badać teren pod lasem. Oddalony był od nas o dobre dziesięć minut i nawet z takiego oddalenia widać było, jak te gałgany palą papierosy: ognik przy ogniku żarzył się w ciemnościach nocy. Czwarty pluton miał być strażą tylną i diabli wiedzą, jak to się stało, że wynurzył się nagle przed nosem naszej straży przedniej, tak że był uważany za nieprzyjaciela, a ja musiałem cofnąć się przed własną strażą tylną, która na mnie nacierała. Taka jest jedenasta kompania, którą odziedziczyłem. Co można z takich ludzi zrobić? Jak będą postępowali w prawdziwej bitwie?

Nadporucznik Lukasz składał ręce jak ciężko doświadczony męczennik, a koniec jego nosa się zaostrzył.

— Niech pan się tym wszystkim nie przejmuję, panie nadporuczniku — pocieszał go feldfebel Waniek. — Nie warto suszyć sobie głowy takimi rzeczami. Służyłem już w trzech marszkompaniach, każdą rozbili nam z całym batalionem i musieliśmy formować się na nowo. I wszystkie marszkompanie były akurat takie same, jak pańska, panie oberlejtant, ani jedna nie była lepsza. Najgorsza była dziewiąta: zawlokła z sobą do niewoli wszystkie szarże razem z dowódcą kompanii. Mnie uratowało tylko to, że byłem przy taborach pułkowych, gdzie fasowałem dla kompanii rum i wino, więc cała ta heca odbyła się beze mnie.

A czy nie słyszał pan, panie oberlejtant, że podczas tego ostatniego ćwiczenia nocnego, o którym pan właśnie mówił, szkoła jednorocznych ochotników, która miała obejść pańską kompanię, dostała się aż nad jezioro Nezyderskie? Maszerowała sobie pięknie i ładnie wciąż za nosem, aż do samego rana, a forpoczty dostały się aż do przybrzeżnych bajor. I to jeszcze prowadził ich sam pan kapitan Sagner. Gdyby nie świtanie, to byliby dotarli może do samego Szopronia — mó-

wił tajemniczo feldfebel rachuby, bo bardzo lubił podobne wypadki i miał je wszystkie w ewidencji.

— Pewno pan już słyszał — rzekł jeszcze Waniek, mrużąc poufale — że pan kapitan Sagner ma się stać naszym dowódcą batalionu. Wszyscy byli zrazu przekonani razem ze sztabfeldfeblem Hegnerem, że dowódcą batalionu będzie pan, ponieważ jest pan u nas najstarszym oficerem, a potem przyszedł z dywizji do brygady jakiś papier z mianowaniem kapitana Sagnera.

Nadporucznik Lukasz zagryzł usta i zapalił papierosa. Wiedział o tym i był przekonany, iż dzieje mu się krzywda. Kapitan Sagner już dwa razy ubiegł go w taki sposób. Irytowało go to, ale nie rzekł nic, tylko machnął ręką:

— Ba, kapitan Sagner...

— Mnie to wcale nie cieszy — poufale rzekł feldfebel rachuby. — Opowiadał nam sztabfeldfebel Hegner, że pan kapitan Sagner chciał się odznaczyć w Serbii, gdzieś w pobliżu Czarnej Góry i pędził jedną kompanię swego batalionu za drugą na serbskie karabiny maszynowe, aczkolwiek nie zdało się to na nic, bo to nie była robota dla piechoty, ale dla artylerii, która jedynie byłaby mogła Serbów stamtąd wykurzyć. Z całego batalionu pozostało wszystkiego osiemdziesiąt chłopca. Pan kapitan Sagner sam dostał postrzał w rękę, a potem w szpitalu zaraził się jeszcze dyzenterią i znowuż pojawił się w pułku w Budziejowicach, a wczoraj wieczorem miał opowiadać w kasynie, że się cieszy, iż odchodzi na front, bo choćby cały batalion miał ofiarować, to jednak pokaże, co umie, i dostanie *signum laudis*. Za Serbię, powiada, dostał po nosie, ale teraz albo zginie z całym marszbatalionem, albo zostanie mianowany oberstlejtantem. Ale batalion musi poznać wojnę na własnej skórze. Sądzę, panie nadporuczniku, że takie ryzykanctwo musi obchodzić i nas. Niedawno opowiadał nam sztabfeldfebel, że kapitan Sagner nie bardzo panu sprzyja

i że naszą kompanię jedenastą wysła do boju na pierwszy ogień i na miejsca najstraszniejsze.

Feldfelbel rachuby westchnął:

— Ja sędzę, że w takiej wojnie, jak obecna, kiedy tyle jest wojska i taki długi front, więcej można osiągnąć porządnym manewrowaniem niż rozpaczliwymi atakami. Widziałem, jak było pod Duklą z dziesiątą kompanią. Wszystko odbyło się sprawnie i gładko. Przyszedł rozkaz: Nicht schies sen — więc nikt nie strzelał i czekaliśmy, aż Rosjanie podeszli do nas na krótką odległość. Bylibyśmy ich wzięli do niewoli bez wielkiego kłopotu, tylko że wtedy na lewym skrzydle mieliśmy idiotycznych landwerzystów, a ci dostali takiego pietra na widok zbliżających się Rosjan, że zaczęli dawać dęba i zjeżdżać ze zbocza po śniegu jak przy saneczkowaniu, a my dostaliśmy rozkaz przebić się do brygady, bo Rosjanie przerwali lewe skrzydło. Byłem akurat w brygadzie, żeby mi tam podpisali *Kompagnieverpflungsbuch*, ponieważ nie mogłem znaleźć naszego taboru pułkowego, i wtedy zaczęli się do brygady zlatywać pierwsi szeregowcy z dziesiątej kompanii. Przyszło ich ze stu dwudziestu, reszta zaś zjechała po śniegu do Moskali, jak w jakim toboganie. Tam była straszna sytuacja, bo Rosjanie mieli w Karpatach stanowiska u góry i na dole. A następnie, panie oberlejtnant, pan kapitan Sagner...

— Daj mi pan spokój z panem kapitanem Sagnerem — rzekł nadporucznik Lukasz. — Ja to wszystko znam. Tylko nie myśl pan sobie, że jak będzie szturm i bitwa, to znów całkiem przypadkowo znajdzie się pan przy taborze pułkowym i będzie pan fasował rum i wino. Zwrócono mi już uwagę, że pan strasznie pije. Zresztą, kto spojrzy na pański czerwony nos, ten od razu widzi, z kim ma do czynienia.

— To z Karpat, panie oberlejtnant, tam trzeba było pić. Menaż dostarczano nam zimną, okopy były w śniegu, jedynym posiłkiem był rum. I to jeszcze dzięki mojej zabiegliwo-

ści, bo w innych kompaniach nie umieli się postarać o niego i ludzie marzli jak muchy. Za to w naszej kompanii wszyscy podostawali czerwone nosy od rumu, ale miało to także swoje ciemne strony, bo z batalionu przyszedł rozkaz, żeby na patrolowanie wychodzili tylko ci szeregowcy, którzy mają czerwone nosy.

— No, tym razem zima już za nami — rzekł z naciskiem nadporucznik.

— Rum jest żołnierzowi potrzebny w każdej porze roku, tak samo jak wino. Wytwarza on, że tak powiem, dobry humor. Za pół miarki wina i ćwierć litra rumu ludzie biją się chętnie z kim popadnie... Co za bydlę puka do drzwi? Czy nie czyta na drzwiach napisu: Nicht klopfen? Herein!

Nadporucznik odwrócił się na krześle ku drzwiom i zauważył, że otwierają się one powoli i ostrożnie. Również cicho wkroczył do kancelarii jedenastej kompanii marszowej dobry wojak Szwejk, salutując już ode drzwi. Prawdopodobnie salutował już wówczas, gdy na drzwiach odczytywał napis: Nicht klopfen — i stukał.

Jego salutowanie było jakby radosnym uzupełnieniem jego bezgranicznie zadowolonej, beztroskiej twarzy. Wyglądał jak grecki bóg złodziei w prozaicznym uniformie austriackiego piechura.

Nadporucznik Lukasz na chwilę przymknął oczy przed spojrzeniem dobrego wojaka Szwejka, który zdawał się nim ścisnąć i całować swego przełożonego.

Tak musiał niezawodnie spoglądać syn marnotrawny na ojca swego po powrocie do domu, gdy ojciec jego na przyjęcie syna obracał na różnie tuczone cielę.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że znowuż jestem — odezwał się od progu Szwejk z taką szczerą prostotą, że nadporucznik Lukasz oprzytomniał w jednej chwili. Gdy pułkownik Schröder powiedział mu, że Szwejk wróci do niego

jako ordynans kompanii, Lukasz oddał w duchu chwilę spotkania ze swoim byłym służącym. Co dzień rano powtarzał sobie miłą obietnicę:

— On jeszcze dzisiaj nie przyjdzie. Zbroi pewno coś takiego, że będą musieli go zatrzymać.

Wszystkie te kombinacje rozplynęły się jak dym w chwili, gdy Szwejk wszedł do kancelarii w sposób tak miły i prosty.

Szwejk spojrział następnie na feldfebla rachuby i z miłym uśmiechem podał mu papiery, które wyjął z kieszeni płaszcza.

— Posłusznie melduję, panie Rechnungsfeldfebel, że te papiery, które wydano mi w kancelarii pułku, mam oddać panu. To niby o żold idzie i zapisanie mnie na *Verpflegung*.

Szwejk poruszał się w kancelarii marszkompanii z taką ujmującą swobodą towarzyską, jakby był najmilszym kolegą feldfebla Wańka, który na tę poufałość zareagował prostymi słowy:

— Proszę położyć na stole.

— Zrobi pan bardzo dobrze, sie *Rechnungsfeldfebel*, jeśli pan wyjdzie i pozostawi mnie ze Szwejkiem sam na sam — rzekł nadporucznik Lukasz.

Waniek wyszedł, ale przystanął za drzwiami, aby podsłuchiwać, co ci dwaj mają sobie do powiedzenia.

Zrazu nie słyszał nic, bo Szwejk i nadporucznik Lukasz milczeli. Obaj długo spoglądali na siebie i obserwowali się. Lukasz spoglądał na Szwejka, jakby go chciał zahipnotyzować, jak to czyni kogutek gdy spogląda na kurczę i gotuje się do napadnięcia na nie.

Szwejk jak zawsze patrzył przed siebie spokojnie i obejmował nadporucznika spojrzeniem miękkim i tklwym, jakby chciał powiedzieć:

Więc znowuż jesteśmy razem, serdeńko słodkie. Teraz nic już nas nie rozłączy, gołąbku drogi.

Gdy nadporucznik Lukasz milczał trochę przydlugo, wyraz oczu Szwejka przemówił z tklwym wyrzutem:

Powiedźże mi coś, miły mój, przemów do mnie!

Nadporucznik Lukasz przerwał to męczące milczenie słowy, w które starał się włożyć jak najwięcej złośliwej ironii:

— Uprzejmie was witam, mój Szwejk. Dziękuję za odwiedziny takiego wielce miłego gościa!

Ale nie utrzymał się w tym tonie. Złość dni minionych odezwała się w nim tak mocno, że pięścią huknął w stół z całej siły, aż kałamarz podskoczył, a atrament trysnął na listę żołdu i powalał ją. Nadporucznik, podrzucony tłumioną wściekłością, rzucił się ku Szwejkowi, stanął tuż przed nim i wrzasnął:

— Ach ty bydlę jedno! — i zaczął biegać po ciasnej kancelarii, a za każdym razem, gdy mijał Szwejka, spluwał.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — rzekł Szwejk, gdy nadporucznik Lukasz nie przestawał chodzić i drzeć papierów, po które sięgał, gdy przechodził obok stołu — że list oddałem, jak się należy. Znalazłem szczęśliwie panią Kakonyi i muszę przyznać, że jest to kobieta bardzo ładna. Widziałem ją wprawdzie tylko przez chwilę, gdy płakała...

Nadporucznik Lukasz usiadł na pryczy podoficera rachuby i zawołał głosem zachrypłym:

— Kiedy się to wszystko skończy, do stu diabłów!?

Szwejk mówił dalej, jakby nigdy nic:

— Potem spotkała mnie drobna przykrość, ale wszystko wzięłem na siebie. Co prawda, nie chcieli mi wierzyć, że my sobie pisujemy z tą panią, więc wolałem list połknąć, gdy się nadarzyła okazja, żeby ich wyprowadzić w pole. Potem, sam już nie pamiętam, w jaki sposób wplątałem się do jakiejś nieznacznej awanturki. Ale i z tego się wygrzebałem. Niewinność moja okazała się w całej pełni, zostałem odesłany do regimentsraportu, a dochodzenie śledcze przeciwko mnie zostało umorzone. W kancelarii pułkowej czekałem parę minut na pana obersta, który trochę pourągał i kazał mi, żebym się zaraz zameldował u pana jako ordynans kompanii i żebym

panu powiedział, że ma pan przyjść do pana obersta w sprawie marszkompanii. Będzie już chyba pół godziny od tego czasu, ale pan oberst nie wiedział przecie, że mnie jeszcze raz pociągną do kancelarii i że będę musiał siedzieć tam przeszło kwadrans, ponieważ miałem zatrzymany żołd za te wszystkie dni i mieli mi go wypłacić w regimencie, a nie w kompanii, bo zapisany byłem jako regimentsarrestant. W ogóle wszystko tam jest poplątane i pomieszane tak bardzo, że można było zgłupieć z tego...

Nadporucznik Lukasz ubierał się szybko, słysząc, że już od półgodziny czeka na niego pułkownik Schröder, i rzekł:

— Znowu przysłużyliście mi się niezgorzej, mój Szwejku.

Słowa te brzmiały tak beznadziejnie i było w nich tyle rozpacz, że Szwejk spróbował uspokoić nadporucznika słowem przyjacielskim, które rzucił za nim tonem jak najspokojniejszym:

— E, proszę pana, pan pułkownik poczeka, bo i tak nie ma nic do roboty.

W chwilę po odejściu nadporucznika do kancelarii wszedł feldfelbel rachuby Waniek.

Szwejk siedział na krześle i podsyczał ogień w żelaznym piecyku i to w taki sposób, że kawałki węgla wrzucał przez otwarte drzwiczki do wnętrza. Piecyk dymił i śmierdział, a Szwejk dorzucał węgla dalej, nie zwracając uwagi na Wańka, który przez chwilę przyglądał się Szwejkowi, ale w końcu zamknął drzwiczki kopnikiem i wezwał Szwejka, żeby sobie poszedł.

— Panie rechnungsfeldfelbel — rzekł z dostojnością Szwejk — pozwalam sobie powiedzieć panu, że rozkazu pańskiego usłuchać nie mogę, chociaż poszedłbym sobie jak najchętniej nie tylko stąd, ale i z całego obozu, a nie mogę usłuchać pana dlatego, że ja podlegam władzy wyższej.

Milczał przez chwilę, a potem dodał z wielkim dostojnością:

— Mianowicie jestem tutaj ordynansem kompanii. Pan oberst Schröder przydzielił mnie do jedenastej marszkompanii do pana oberlejtnantsa, u którego byłem dawniej pucybutem. Za wrodzoną roztropność dostałem awans na ordynansa kompanii. Z panem oberlejtnantem znamy się już od bardzo dawna. A czym pan jest w cywilu, panie rechnungsfeldfel?

Feldfel rachuby Waniek tak był zaskoczony tym poufałym sąsiedzkim tonem dobrego wojaka Szwejka, że zapomniawszy o własnej godności, którą lubił popisywać się wobec szeregowców, odpowiedział jakby był podwładnym Szwejka:

— Ja jestem drogista Waniek z Kralup.

— Ja też byłem kiedyś w terminie u drogisty — rzekł Szwejk — u niejakiego pana Kokoszki na Perszynie w Pradze. Był to wielki dziwak, a gdy razu pewnego przez pomyłkę podpaliłem w jego składzie beczkę benzyny, tak że powstał z tego wielki pożar, wygnał mnie i żaden z drogistów już mnie do terminu przyjąć nie chciał. Z powodu takiej idiotycznej beczki benzyny nie mogłem dokończyć terminowania. Czy sprzedaje pan także ziółka dla bydła?

Waniek zakręcił głową.

— U nas wyrabialiśmy ziółka dla bydła z poświęcanymi obrazkami. Bo nasz pan szef Kokoszka był człowiekiem bardzo pobożnym i doczytał się kiedyś w jakiejś książce, że święty Pelegrinus bardzo skutecznie pomaga, gdy bydło cierpi na wzdęcie. Więc w jakiejś drukarni na Smichowie kazał sobie nadrukować obrazków świętego Pelegrinusa i kazał je poświęcić w klasztorze Emauskim za dwieście reńskich. A następnie dodawaliśmy te obrazki do owych ziółek dla bydła. Wsypywało się te ziółka do wody, krowa sobie piła, a tymczasem odczytywało się modlitewkę do świętego Pelegrinusa, która była wydrukowana na odwrotnej stronie obrazka. A tę modlitewkę ułożył nasz subiekt, pan Tauchen. Było to tak: gdy obrazki świę-

tego Pelegrinusa były już wydrukowane, okazało się, że potrzebna jest modlitewka do umieszczenia na drugiej stronie obrazka. Więc nasz stary pan Kokoszka wezwał pana Tauchena i rzekł mu, żeby do rana ułożył modlitewkę do tego obrazka i do tych ziółek i że na dziesiątą rano ta modlitewka musi być gotowa, bo trzeba odesłać ją do drukarni, gdzie już na nią czekają. Rozkazał i tyle! Albo ułoży modlitewkę i dostanie reńskiego z rączki do rączki, albo może sobie za dwa tygodnie iść, gdzie będzie chciał. Pan Tauchen pocił się nad tą modlitewką przez całą noc, a gdy rano przyszedł otwierać sklep, był jak z krzyża zdjęty, a nie miał nic napisanego. Zapomniał nawet, jak się ten święty od ziółek dla krów nazywa. Poratował go w tej biedzie nasz służący Ferdynand. Był to chłopak i do tańca, i do różańca. Gdy na strychu suszyliśmy rumianek, to zdejmował buty, łąził po tym rumianku i uczył nas, jak trzeba robić, żeby się nogi nie pociły. Łapał na strychu gołębie, umiał otwierać biurka, w których były pieniądze, i uczył nas robić różne kawały z towarem. Ja przynosiłem sobie do domu tyle różnych leków, że miałem aptekę lepszą niż w klasztorze Miłosiernych Braci. I ten Ferdynand poratował pana Tauchena. — Niech pan da — powiada do pana Tauchena — popatrzę, co i jak. A pan Tauchen zaraz mu z wielkiej uciechy kazał przynieść piwa. Zanim przyniosłem piwo, już mój Ferdynand miał połowę modlitewki i czytał nam:

Z nieba przynoszę ziółka święte,
Ratuję nimi bydło wzdęte.
Krowa, wół, jałówka, cielę,
Niech pije Kokoszki ziele,
Które dobrze smakuje
I od wzdęcia ratuje...

Potem zaś, gdy się napił piwa i poprawił tinkturą amarą, wszystko poszło jak po maśle i za chwilę modlitewka była gotowa:

Święty Pelegrinus wynalazł te zioła,
Po dwa reńskie paczka, każdy kupić zdoła.
Chroń swe wierne bydło, Pelegrinie święty,
Z lubiącymi twe zioła woły i cielęty!
Niech i gospodarz będzie razem z bydłem zdrowy,
Święty Pelegrinusie, chroń nam nasze krowy!

Pan Kokoszka przyszedł niebawem i pan Tauchen poszedł za nim do kantorku, a gdy wyszedł po chwili, pokazywał nam dwa reńskie. Nie jeden, jak mu pan Kokoszka obiecał, ale dwa. I chciał jeden z nich dać Ferdynandowi, ale służącego opętał nagle szatan mamony. Nie chciał reńskiego, ale powiada, albo wszystko, albo nic. Więc ten pan Tauchen nie dał mu nic i oba reńskie schował do kieszeni, a mnie zaciągnął do magazynu, dał mi po łbie i rzekł, że dostanę jeszcze lepiej gdybym się odważył powiedzieć, że to nie on napisał tę modlitewkę. Nawet gdyby Ferdynand poszedł na skargę, to i tak mam mówić, że on kłamie. Tak mi rozkazał i musiałem na to przysiąc przed balonem estragonu. Ale nasz Ferdynand zaczął się mścić na tych ziółkach dla bydła. Mieszaliśmy te ziółka w wielkich skrzyniach na strychu, a Ferdynand zmiatał zewsząd mysie łajna i wsypywał do tych ziółek z obrazkiem świętego Pelegrinusa. Ale i tej zemsty było mu jeszcze mało. Siusiał czasem do tych skrzyń i nawet gorsze rzeczy robił i mieszał wszystko razem...

Odezwał się dzwonek telefonu. Feldfelbel złapał słuchawkę, ale po chwili odrzucił ją z wściekłością i rzekł:

— Muszę iść do kancelarii pułkowej. Jakiś gwałt. Nie podoba mi się to.

Szwejk pozostał sam. Po chwili zabrzmiał znowuż dzwonek telefonu.

— Waniek? — pomyślał Szwejk. — „Poszedł do kancelarii pułku“. Kto mówi? — zapytał. — Tutaj ordynans jedenastej kompanii marszowej. A tam? Ordynans dwunastej? No to serwus, kolego. Jestem Szwejk. A ty? Braun? Czy to nie twój

krewniak, kapelusznik Braun przy ulicy Pobrżeżnej w Karlinie? Nie znasz go nawet... Ja też nie, tylko razu pewnego przejeżdżałem tramwajem i zauważyłem tę firmę. Co nowego? Ja nic nie wiem. — Kiedy pojedziemy?

— Jeszcze z nikim o odjeździe nie rozmawiałem. Gdzież to mamy jechać?

— Z marszkompanią na front, ty fujaro!

— Jeszcze o tym nie słyszałem.

— A no, toś ładny ordynans. Nie wiesz, czy twój lejtnant...

— Przepraszam, jeśli mój, to oberlejtnant...

— To wszystko jedno. Więc czy twój oberlejtnant poszedł do obersta na konferencję?

— Oberst go wezwał.

— A widzisz. Mój też tam jest i z trzynastej kompanii też. Właśnie rozmawiałem z tamtym ordynansem przez telefon. Jakoś mi się ten gwałt nie podoba. A nie widziałeś czasem, czy się muzykanty pakują?

— Ja o niczym nie wiem.

— Nie udawaj wołu. Wasz rechnungsfeldfelbel dostał już zawiadomienie o wagonach, czy nie? Wiele u was szeregowców?

— Nie wiem.

— Ach ty małpo jedna! Zjem cię, czy co? (Słysząc było głos mówiący do kogoś stojącego w pobliżu: Weź, Franek, drugą słuchawkę, to zobaczysz, co to za małpa jest ordynansem w jedenastej kompanii). Halo, śpisz, czy co? Odpowiadaj, gdy kolega pyta. Więc ty naprawdę o niczym nie wiesz? Nie udawaj i nie wypieraj się. Czy wasz rechnungsfeldfelbel nie mówił nic o fasowaniu konserw? Nie mówiłeś z nim o takich rzeczach? Ach, ty ofermo! Więc cię to nic nie obchodzi? (Słysząc śmiech). W ciemną cię widać mocno bili. Jeśli dowiesz się czego ciekawego, to zatelefonuj do nas do dwunastej marszkompanii. Mamusin synek z ciebie i fujara. Skąd jesteś?

— Z Pragi.

— No to powinieneś być trochę dowcipniejszy... I jeszcze jedno: Kiedy poszedł wasz rechnungsfeldfelbel do kancelarii?

— Wezwali go przed chwilą.

— I trzeba cię dopiero mocno za język pociągnąć, żebyś powiedział o tym. Nasz także poszedł przed chwilą. Coś się na pewno szykuje. Z taborem nie rozmawiałeś?

— Nie rozmawiałem.

— Ach, ty gawronie! I jeszcze powiada, że pochodzi z Pra-
gi! I nic cię to wszystko nie obchodzi? Gdzie latasz całymi dniami?

— Dopiero przed godziną zostałem zwolniony z aresztu sądu dywizyjnego.

— A, to inna sprawa, kolego. W takim razie jeszcze dzisiaj przyjdę do ciebie, żeby się zapoznać. Oddzwoń dwa razy.

Szwejk chciał sobie zapalić fajkę, gdy wtem znowu odezwał się telefon.

„Całuj psa w nos z całym swoim telefonem — pomyślał Szwejk. — Akurat ci będę ględził z byle kim“.

Ale telefon terkotał nieubłaganie dalej, tak że wreszcie stracił Szwejk cierpliwość. Sięgnął po słuchawkę i wrzasnął:

— Halo, kto tam? Tutaj ordynans Szwejk z jedenastej kompanii marszowej.

W odpowiedzi odezwał się głos nadporucznika Łukasza:

— Co wy tam robicie? Gdzie jest Waniek? Zawołajcie mi go zaraz do telefonu!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że niedawno telefonowali...

— Słuchajcie, mój Szwejku: nie mam czasu na żadne ględzenie. Wojskowe rozmowy telefoniczne, to nie pogawędka okazjna, gdy się kogoś przez telefon zaprasza na obiad. Rozmowy telefoniczne muszą być krótkie i jasne. Przy takich rozmowach nie mówi się: Posłusznie melduję, panie oberlejtant. Nie potrzeba. Więc pytam się, Szwejku, czy macie pod ręką Wańka. Żeby zaraz przyszedł do telefonu.

— Nie mam Wańka pod ręką, melduję posłusznie, panie oberlejtnant. Przed chwilą został zawołany stąd, z kancelarii, będzie jaki kwadrans, do kancelarii pułku.

— Jak wrócę, to was nauczę moresu! Czy nie możecie wyrażać się treściwie? A teraz uważajcie dobrze, co będę mówił. Czy słyszycie dobrze? Żeby potem nie było żadnych wykrętów, że w telefonie był szum. Natychmiast, jak tylko zawieszicie słuchawkę...

Pauza, nowe dzwonięcie. Szwejk sięga po słuchawkę i wysłuchuje mnóstwo wyzwisk, którymi zasypuje go nadporucznik:

— Ach ty bydlę, łotrze, łobuzie! Co ty robisz? Dlaczego przerywasz rozmowę?

— Pan mówił, posłusznie melduję, żebym powiesił słuchawkę.

— Za godzinę powrócę, a wtedy zobaczycie, co to jest udawać idiotę.... Idźcie więc natychmiast do baraku, wyszukajcie jakiego plutonowego, na przykład Fuchsa, i powiedźcie mu, żeby natychmiast wziął dziesięciu szeregowców i żeby z nimi szedł do magazynu po konserwy. Powtórzcie, co ma zrobić?

— Ma iść do magazynu i fasować konserwy dla kompanii.

— Nareszcie przestaliście się bałwanić. Ja tymczasem za telefonuję do Wańka do kancelarii pułkowej, żeby poszedł także do magazynu i przejął fasunek. Gdyby tymczasem powrócił do baraku, to niech wszystko rzuca i biegiem pędzi do magazynu. A teraz zawieście słuchawkę.

Szwejk przez dość długą chwilę daremnie szukał nie tylko plutonowego Fuchsa, ale i innych podoficerów. Byli w kuchni, ogryzali kości i bawili się widokiem Balouna przywiązanego do słupka. Stał mocno na ziemi na całych stopach, bo się nad nim zlitowali i pofolgowali mu trochę, ale przedstawiał widok interesujący z innej przyczyny. Jeden z kucharzy przyniósł mu żebro z mięsem i wsunął mu je w usta,

a spętany olbrzym Baloun nie mogąc manipulować rękoma, ostrożnie przesuwiał kość w ustach przy pomocy warg i zębów i ogryzał resztki mięsa z wyrazem dzikusa.

— Któż z was będzie tutaj plutonowy Fuchs? — zapytał Szwejk, doszukawszy się wreszcie podoficerów.

Plutonowy Fuchs nawet nie odpowiedział, widząc, że pyta o niego zwyczajny szeregowiec.

— Mówię po dobremu — powtórzył Szwejk. — który z was jest plutonowy Fuchs? Czy długo jeszcze będę pytał?

Plutonowy Fuchs wstał i zaczął wymyślać na różne sposoby, że on nie żaden plutonowy, ale pan plutonowy, że się nie mówi: Gdzie jest plutonowy? Ale mówi się: Posłusznie melduję, gdzie jest pan plutonowy? Gdy w jego plutonie ktoś nie powie: *I c h m e l d e g e h o r s a m*, to dostaje w pysk.

— Nie tak prędko — rzekł z namaszczeniem Szwejk. — Rypaj pan w te pędy do baraku, bierz pan dziesięciu chłopca i leć pan z nimi laufszytem do magazynu fasować konserwy.

Plutonowy Fuchs był tak zaskoczony, że zdobył się tylko na pytanie:

— Co?

— Żadne „co“ — odpowiedział Szwejk. — Ja jestem ordynans jedenastej marszkompanii i przed chwilą rozmawiałem przez telefon z panem oberlejtantem Lukaszem. A pan oberlejtant powiada: laufszyt, dziesięciu chłopca do magazynu. Jeśli pan nie pójdziesz panie plutonowy Fuchs, to zaraz pójdę do telefonu. Pan oberlejtant życzy sobie, żebyś pan poszedł. Zresztą szkoda gadania, bo telefoniczne rozmowy wojskowe muszą być krótkie i jasne. Powiedziano: plutonowy Fuchs idzie, to plutonowy Fuchs idzie. Taki rozkaz, to nie żadne gładzenie jak na przykład, gdy się kogo przez telefon zaprasza na obiad. W wojsku, osobliwie podczas wojny, każde spóźnienie, to zbrodnia. Jeśli ten plutonowy Fuchs nie poleci natychmiast, to mi dajcie znać, a już ja z nim pogadam. Po plutonowym

Fuchsie nawet śladu nie zostanie. Moi złoci, wy nie znacie pana oberlejtnanta.

Szwejk okiem triumfatora rozejrzał się po szarżach. Jego przemówienie zaskoczyło wszystkich i przygnębiło.

Plutonowy Fuchs mruknął coś niezrozumiałego i szybko się oddalał, a Szwejk wołał za nim:

— Czy mogę zatelefonować do pana oberlejtnanta, że wszystko w porządku?

— Zaraz będę z dziesięciu szeregowcami w magazynie — zawołał w odpowiedzi Fuchs, a Szwejk, nie powiedziawszy już ani słowa, oddalał się od podoficerów zaskoczonych wystąpieniem Szwejka nie mniej od Fuchsa.

— Już się zaczyna — rzekł niski kapral Błażek. — Będziemy się pakowali.

Po powrocie do kancelarii Szwejk znowuż nie mógł zapalić sobie fajki, bo wzywał go telefon. Znowuż rozmawiał ze Szwejkem nadporucznik Lukasz.

— Gdzie wy latacie, Szwejku? Dzwonię już po raz trzeci i nikt się nie odzywa.

— Załatwiałem to, co mi pan rozkazał.

— Już poszli?

— Ma się wiedzieć, że poszli, ale nie wiem, czy już odeszli. Może polecić jeszcze raz?

— Znaleźliście plutonowego Fuchsa?

— Znalazłem, panie oberlejtnant. Naprzód powiada: co? I dopiero jakem wyłożył, że rozmowy telefoniczne muszą być jasne i krótkie...

— Nie gładźcie, Szwejku... Czy Waniek jeszcze nie wrócił?

— Nie wrócił, panie oberlejtnant.

— Nie wrzeszczcie tak głośno. Czy nie wiecie, gdzie może być ten zatracony Waniek?

— Nie wiem, panie oberlejtnant, gdzie może być ten zatracony Waniek.

— Był w kancelarii pułkowej, ale gdzieś poszedł. Przypu-

szczam, że niezawodnie będzie w kantynie. Idźcie więc, Szwejk, do kantyny i powiedźcie mu, żeby zaraz poszedł do magazynu. I jeszcze jedno: poszukajcie natychmiast kaprała Blaźka i powiedźcie mu, żeby zaraz odwiązał tego Balouna, a Balouna pošlijcie do mnie. Powieście słuchawkę.

Szwejk chciał popatrzeć, jak będą odwiązywali Balouna, i razem z kapralem Blaźkiem poszedł do słupka. Kapral Blaźek mamrotał pod nosem:

— Jak mają pietra, to się robią grzeczni.

Po odwiązaniu Balouna, Szwejk szedł z nim razem kawałek drogi, bo śpieszył do kantyny, żeby tam poszukać Wańka.

Baloun patrzył na Szwejka jak na swego wybawcę i obiecywał mu, że podzieli się z nim każdą przesyłką, jaką otrzyma z domu.

— U nas teraz będą bić wieprze — mówił Baloun melancholijnie. — Jaki salceson wolisz: szwabski czy włoski? Mów, bracie, szczerze, ja dzisiaj wieczorem będę pisał do domu. Moja świnia będzie miała chyba ze sto pięćdziesiąt kilo. Głowa ma jak buldog. Takie świnie są najlepsze. Słonina będzie na osiem palców chyba. Jak byłem w domu, to sam robiłem kiszki i podgarlanki i obżerałem się farszem do rozpuku. Łońskiego roku świnia ważyła sto sześćdziesiąt kilo.

Ale była to świnia, że proszę siadać — mówił jak w natchnieniu, mocno ściskając rękę Szwejka, gdy się z nim rozstawał. — Wychowałem ją na samych kartoflach i aż miło było patrzeć, jak jej sadła przybywa. Szynki nasoliłem, a taki płat pieczonego pekeflejszu z knedlami posypanymi skwarkami i z kapustą, to takie papuniu, że tylko palce lizać. Jak po takim jedzeniu smakuje piwko! I takie zadowolenie ogarnia człowieka od stóp do głów... I wszystko to zabrała nam wojna.

Brodaty Baloun westchnął głęboko i pośpieszył do kancelarii pułkowej, podczas gdy Szwejk zwrócił kroki w stronę kantyny i poszedł dalej starą aleją wysokich lip.

Feldfelbel rachuby Waniek siedział tymczasem jak naj-

spokojniej w kantynie i opowiadał jakiemuś znajomemu sztabfeldfeblowi, ile to można było przed wojną zarobić na emaliowanych farbach i cementowych zaprawach.

Sztabsfeldfebel był już niemożliwy. Przed południem przyjechał pewien obywatel ziemski z Pardubic, który miał syna w obozie, dał feldfeblowi porządną łapówkę i przez całe przedpołudnie częstował go w mieście.

A teraz siedział ten wyczęstowany człowiek i poddawał się rozpacz, że już nic mu nie smakuje. Nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co do niego mówiono, a na wieść o farbach emaliowych nie reagował wcale.

Zajęty był swoimi własnymi myślami i mamrotał coś o kolejce podjazdowej z Trzeboni do Pelhrzynowa i z powrotem.

Gdy Szwejk wchodził do kantyny, Waniek jeszcze raz usiłował wytłumaczyć sztabfeldfeblowi przy pomocy liczb, ile zarabiał się przed wojną na jednym kilogramie zaprawy cementowej, dostarczanej do nowych budowli, ale sztabfeldfebel odpowiedział mu całkiem od rzeczy:

— Umarł w drodze powrotnej i pozostawił tylko listy.

Ujrawszy Szwejka, przypomniał sobie widać jakiegoś nieміęgo sobie człowieka i zaczął Szwejka wyzywać od brzuchomówców.

Szwejk podszedł do Wańka, który też już był podochocony, ale przy tym bardzo był przyjemny i miły.

— Panie rechnungsfeldfebel — meldował Szwejk — ma pan zaraz iść do magazynu, bo tam już czeka zugsführer Fuchs z dziesięciu szeregowcami i będą fasować konserwy. Ma pan biegnąć laufszytem. Pan oberlejtant telefonował już dwa razy.

Waniek parsknął śmiechem:

— Alboż ja głupi, kochanie moje? Sam sobie musiałbym dać w pysk, gdybym się przejmował takimi rzeczami, aniele. Wszystko ma swój czas, dziecko złote. Jak pan oberlejtant wyprawi tyle marszkompanii, ile ja wyprawiłem, to będzie

mógł zabierać głos w tych sprawach i nie będzie nikogo dręczył laufszytem. Przecież z kancelarii pułkowej dostawałem już takie rozkazy, że jutro się jedzie, więc trzeba się pakować i fasować rzeczy potrzebne do drogi. I co ja zrobiłem? Poszedłem sobie ładnie i grzecznie na ćwiartkę wina. Siedzi mi się tu bardzo mile i ani myślę przejmować się czymkolwiek. Konserwy będą zawsze konserwami, fasunek fasunkiem. Ja znam magazyn lepiej niż pan oberlejtant i wiem, co się na takich konferencjach pana obersta z panami oficerami wygaduje. Pan oberst wyobraża sobie w swojej fantazji, że w magazynie są konserwy. Magazyn naszego regimentu nigdy żadnych konserw nie miał i otrzymywał je od przypadku do przypadku z magazynu brygady albo pożyczał je sobie od innych regimentów, z którymi sąsiadował. Takiemu na przykład pułkowi beneszowskiemu winni jesteśmy przeszło trzysta konserw. Haha! Niech sobie na konferencjach wygadują, co im się żywnie podoba, a my zachowujmy spokój. Gdy przylecą do magazynu, to już im tam magazynier sam wytłumaczy, że dostali bzika. Ani jedna marszkompania nie otrzymała konserw przy odjeździe.

Prawda, ty stara moczygębo? — zwrócił się do sztabfeldfebla. Ale tamten zasypiał i dostawał lekkiego delirium, bo odpowiedział:

— Idąc, trzymała nad sobą otwarty parasol.

— Najlepiej dać wszystkiemu święty spokój i nie robić gwałtu — doradzał feldfebel Waniek. — Jeśli w kancelarii pułkowej powiedzieli dzisiaj, że jutro pojedziemy, to takiemu gadaniu nie powinno wierzyć nawet małe dziecko. Czy możemy wyjechać bez wagonów? W mojej obecności telefonowali na dworzec, a tam nie ma ani jednego wolnego wagonu. Tak samo było z ostatnią marszkompanią. Przez dwa dni staliśmy wtedy na stacji i czekaliśmy, aż się nad nami ktoś zmiłuje i pośle po nas pociąg. I nikt nie wiedział, dokąd pojedziemy. Nawet pułkownik nie wiedział. Byliśmy już w dro-

dze, przejechaliśmy całą Madziarię i ciągle nikt nie wiedział, czy pojedziemy do Serbii, czy na front rosyjski. Z każdej stacji porozumiewaliśmy się bezpośrednio ze sztabem dywizji. Byliśmy tylko taką sobie łąką do łątania dziur. Wsadzili nas wreszcie pod Duklę, tam dostaliśmy w skórę, aż się kurzyło, i musieliśmy się na nowo formować. Aby tylko żadnych gwałtów! Wszystko wyjaśni się z czasem i nie trzeba się śpieszyć. *Ja wohl, noch amol.*

— Wino mają tu dzisiaj nadzwyczajnie dobre — mówił Waniek dalej, nie zwracając już uwagi na to, co mamrocze feldfelbel, który wywodził:

— *Glauben sie mir, ich habe bisher wenig von meinem Leben gehabt. Ich wundere mich über diese Frage.*

— Jeszczeby też, żebym się miał przejmować odjazdem marszbatalionu. Przy pierwszej marszkompanii, której towarzyszyłem, wszystko było w porządeczku w dwie godziny. Przy innych marszkopaniach naszego ówczesnego batalionu przygotowywali się do drogi przez całe dwa dni. Ale u nas był dowódcą kompanii lejtnant Przenosil, chłop łebski. Nie śpieszcie się tak bardzo — rzekł do nas i wszystko poszło jak po maśle. Na dwie godziny przed odejściem pociągu zaczęliśmy dopiero pakowanie. Zrobisz pan bardzo dobrze, gdy się przyśiądziesz...

— Nie mogę — odpowiedział ze straszliwym samozaparciem dobry wojak Szwejk. — Muszę wracać do kancelarii. Gdyby tam kto telefonował...

— No to idź, złoty człowiecze, ale zapamiętaj sobie przez całe życie, że to nieładnie z twojej strony i że porządny ordynans nigdy nie powinien być tam, gdzie jest potrzebny. Nie bądź pan w służbie zbyt gorliwym, bo nie ma nic obrzydliwszego na tym świecie nad wystraszonego ordynansa, który chciałby całą wojnę zeżreć sam i nikomu nic z niej nie dać. Tak, duszo najmilejsza.

Ale Szwejk był już za drzwiami i śpieszył do kancelarii swojej kompanii.

Waniek pozostał sam, ponieważ stanowczo nie można było powiedzieć, aby mu sztabfeldfelbel dotrzymywał towarzystwa. Odosobnił się zupełnie i głaszcząc karafkę z ćwiartką wina mamrotał dziwaczne rzeczy po czesku i po niemiecku:

— Wiele razy przechodziłem już przez tę wieś, a nie miałem nawet pojęcia o tym, że jest ona na świecie. In einem halben Jahre habe ich meine Staatsprüfung hinter mir und meinen Doktor gemacht. Stała się ze mnie stara pokraka. Dziękuję ci Łucjo. Erscheinen sie in schön ausgestatteten Bänden — może jest tu ktoś taki, kto o tym jeszcze pamięta.

Feldfelbel rachuby z nudów wystukiwał palcami jakiegoś marsza, ale nie musiał nudzić się zbyt długo, bo drzwi się otworzyły, wszedł kucharz z kuchni oficerskiej Jurajda, i przysiadł się do Wańka.

— Dostaliśmy dzisiaj rozkaz — mówił szybko — żebyśmy poszli fasować koniak na drogę. Ponieważ nasza butla nie była pusta, więc musieliśmy ją opróżnić. Jesteśmy teraz troszkę zawiani. Szeregowcy kuchni pozwalali się jak klody. Przeliczyłem się o kilka porcyj, pan oberst się spóźnił i nie dostał nic. Więc robię dla niego omlecek. Ano szpas!

— Ładna awantura — rzekł Waniek, który przy winie lubił używać obcych słów.

Kucharz Jurajda zabrał się do filozofowania, co odpowiadało jego zajęciu w cywilu. Wydawał on mianowicie przed wojną czasopismo i księżnicę: „Tajemnice życia i śmierci“.

Na wojnie zadekował się w oficerskiej kuchni pułkowej i nieraz przypalił pieczeń, gdy zabrał się do czytania tłumaczeń staroindyjskich sutr Pragûa-Paramita (Mądrość objawiona).

Pułkownik Schröder lubił go jako osobliwość pułku, bo któ-

raz kuchnia pułkowa mogła się pochwalić, że ma kucharza — okultystę, który, zagładając w głębię tajemnic życia i śmierci, umiał przyrzadzić taką świetną polędwicę albo wy-
czynić takie kapitalne ragoût, że pod Komarowem śmiertel-
nie ranny porucznik Dufek nie wołał nikogo, tylko Jurajdę.

— Tak jest — rzekł prosto z mostu Jurajda, który ledwo mógł usiedzieć na krześle, a roztaczał na dziesięć kroków do-
koła siebie zapach rumu — gdy dla pana obersta nic już nie
zostało i gdy widział tylko duszone kartofle, tedy wpadł w stan
g a k i. Czy pan wie, co to jest g a k i? To stan głodnych du-
chów. Więc rzekłem do niego: Czy ma pan oberst dość siły do
przyzwyciężania przeznaczeń losowych, chociaż nie starczyło
dla pana cielęciny z nerką? W k a r m i e jest widać pisane,
że ma pan dostać na dzisiejszą kolację bajeczny omlet z sie-
kaną i duszoną wątróbką cielęcą.

Drogi przyjacielu — rzekł po chwili szeptem do feldfe-
bla rachuby i zrobił mimowolny ruch ręką, którym poprze-
wraçał wszystkie stojące przed nim na stole szklanki.

— Jest byt i niebyt wszystkich zjawisk, kształtów i rze-
czy — dodał zaszępiiony kucharz, spoglądając na poprzewra-
cane naczynia. — Kształt, to niebyt, a niebyt, to kształt. Nie-
byt nie różni się od kształtu, kształt nie różni się od niebytu.
Co niebyt to kształt, co kształt to niebyt.

Kucharz — okultysta owinął się płaszczem milczenia,
wsparł głowę na rękę i spoglądał na mokry zalany stół.

Sztabsfeldfelbel mamrotał dalej coś, co nie miało ani głowy,
ani pięty:

— Zboże zniknęło z pola, zniknęło — in dieser Stim-
mung erhielt er Einladung und ging zu
ihr. Zielone święta bywają wiosną.

Feldfelbel rachuby bębnił palcami po stole, pił i od czasu
do czasu myślał o tym, że na niego czeka dziesięciu szere-
gowców z plutonowym przy magazynie.

Na samo wspomnienie o tym roześmiał się i machnął ręką.

Gdy później powrócił do kancelarii jedenastej marszkompanii, zastał Szwejką siedzącego przy telefonie.

— Kształt, to niebyt, a niebyt, to kształt — rzekł i w ubra-
niu zwał się na pryczę. Usnął natychmiast.

Szwejk siedział dalej przy telefonie, ponieważ przed dwiema godzinami rozmawiał z nim nadporucznik Lukasz, że jeszcze ciągle jest na konferencji u pana pułkownika, a zapomniał mu powiedzieć, że może odejść od telefonu.

Następnie rozmawiał z nim przez telefon plutonowy Fuchs, który przez cały czas czekał razem z dziesięciu szeregowcami na przybycie feldfebla rachuby, ale czekał na próżno. Wreszcie zauważył, że skład jest zamknięty.

Oddalił się dokądś, a szeregowcy jeden za drugim porzłazili się także.

Czasem zabawiał się Szwejk tym, że brał słuchawkę i przy-
słuchiwał się rozmowom. W kancelarii znajdował się telefon
jakiegoś nowego systemu, który właśnie zaprowadzono w armii,
a miał to do siebie, że na całej linii można było słyszeć pro-
wadzone rozmowy cudze.

Tren klócił się z artylerią, saperzy odgrażali się poczie
polowej, strzelnica wojskowa warczała na oddział karabinów
maszynowych.

A Szwejk wciąż siedział przy telefonie.

Konferencja u pułkownika trwała bardzo długo.

Pułkownik Schröder rozwijał najnowsze teorie służby po-
lowej i osobliwy nacisk kładł na miotacze min.

Mówił piąte przez dziewiąte o tym, jakim był front przed
dwoma miesiącami na południu i na wschodzie, o doniosłości
dobrego połączenia między poszczególnymi oddziałami, o ga-
zach trujących, o ostrzeliwaniu aeroplanów nieprzyjacielskich,
o zaopatrywaniu wojska w polu, a wreszcie przeszedł do
wewnętrznych stosunków w wojsku.

Rozgadał się o stosunku oficerów do szeregowców i do
podoficerów, o przebieganiu na frontach do nieprzyjaciela

i o tym, że pięćdziesiąt procent żołnierzy czeskich jest „politisch verdächtig“.

— Jawohl, meine Herren, der Kramasch, Schreiner und Klofatsch...

Większość oficerów myślała przy tym wykładzie tylko o tym, kiedy właściwie ten dziadyga przestanie głądzić, ale pułkownik Schröder głądził dalej o nowych zdaniach, nowych marszbatalionach, o poległych oficerach pułku, o Zeppelinach, kawalerzystach, o przysiędze...

Nadporucznik Lukasz przypomniał sobie w tej chwili, że kiedy cały batalion przysięgał, Szwejk nie było, bo akurat siedział w areszcie sądu dywizyjnego.

I wydała mu się ta cała rzecz śmieszną. Parsknął jakimś histerycznym śmiechem i zarazil nim kilku oficerów siedzących w pobliżu, czym zwrócił na siebie uwagę pułkownika, który właśnie przeszedł do omawiania doświadczeń nabytych przez armię niemiecką przy odrocie w Ardenach. Ale poplątało mu się wszystko w głowie i zakończył swój wykład niespodziewanie:

— Moi panowie, to nie są rzeczy śmieszne.

Potem udali się wszyscy do kasyna oficerskiego, ponieważ pułkownika Schrödera odwołano do telefonu. Wzywał go sztab brygady.

Szwejk podrzemywał przy telefonie dalej, dopóki nie przebudził go dzwonek.

— Halo! — słyszał wołanie. — Tu kancelaria pułku.

— Halo! — odpowiedział. — Tutaj kancelaria jedenastej marszkompanii.

— Nie gadaj dużo — mówił głos telefonującego — ale bierz ołówek i pisz. Przyjmij telefonogram.

— Jedenasta marszkompania....

Po tych słowach nastąpiły jakieś zdania tak chaotycznie z sobą poplątane, że nie można było nic zrozumieć. Mówiły jednocześnie i dwunasta i trzynasta marszkompania. Szwejk

nie rozumiał ani słowa. Wreszcie chaos przycichł i Szwejk zrozumiał wezwanie:

— Halo! Halo! Więc teraz przeczytaj wszystko i nie zwracaj głowy?

— Co mam przeczytać?

— Co masz przeczytać, ty wole? Telefonogram!

— Jaki telefonogram?

— Do stu milionów diabłów, czyś ty głuchy!? Telefonogram, który ci dyktowałem, ty idioto!

— Ja nic nie słyszałem, bo mówiło dużo głosów.

— Ach ty małpo jedna, czy myślisz, że będę się z tobą bawił? Więc przyjmujesz telefonogram, czy nie? Masz ołówek i papier? Co? Jeszcze mam czekać, aż sobie poszukasz? I to się nazywa żołnierz! Więc słuchasz wreszcie, czy nie słuchasz? Że już się przygotowujesz? No to i tak jeszcze dobrze. Tylko nie wdziewaj paradnego uniformu! A teraz słuchaj uchem, nie brzuchem! Jedenasta marszkompania. Powtórz.

— Dowódca kompanii. Masz już? Powtórz!

— Dowódca kompanii...

— Zur Besprechung morgen... Napisałeś? Powtórz!

— Zur Besprechung morgen...

— Um neun Uhr. — Unterschrift. Czy wiesz ty małpo, co to znaczy Unterschrift? Podpis. Powtórz!

— Um neun Uhr. Unterschrift. Wiesz co to jest Unterschrift, ty małpo? To jest podpis.

— Ach ty idioto! A więc podpis: Oberst Schröder, bydlaku! Masz już? Powtórz!

— Oberst Schröder, bydlaku.

— Dobrze ty wole. Kto przyjął telefonogram?

— Ja.

— Himmelherrgott! Co to znowu za jakieś ja?

— Szwejk. I co jeszcze?

— No nareszcie! Więcej nic, ale powinieneś się nazywać nie Szwejk, ale krowa.

— Co słyszeć u was?

— Nic, wszystko po staremu.

— I kontent jesteś, co? Podobno ktoś tam u was dostał dzisiaj słupka.

— To tylko pucybut pana oberlejtanta, bo mu zeżarł obiad. Czy nie wiesz, kiedy pojedziemy?

— Co za głupie pytanie! Przecież o tym nie wie nawet nasz dziadyga. Dobranoc! Pcheł u was dużo?

Szwejk położył słuchawkę i zaczął budzić feldfebla rachuby Wańka, który bronił się jak wściekły, a gdy Szwejk zaczął nim potrząsać, dostał pięścią w nos. Potem Waniek położył się na brzuchu i wierzgał nogami dokola siebie.

Ale pomimo wszystko udało się Szwejkowi przebudzić go. Waniek otworzył oczy, rzucił się na wznak i wystraszony zapytał, co się stało takiego?

— Takiego nie stało się nic — odpowiedział Szwejk — tylko chciałem się pana poradzić w pewnej kwestii. Właśnie dostaliśmy telefonogram, że jutro rano o dziewiątej nasz nadporucznik Lukasz ma przyjść do pana obersta znowuż na konferencję. Teraz nie wiem, co mam zrobić? Czy iść do niego zaraz i powiedzieć mu o tym, czy też poczekać aż do rana? Długo się namyślałem, czy mam pana obudzić, gdy pan tak smacznie chrapał, ale potem pomyślałem, że było nie było, a poradzić się można...

— Na miłość boską, człowieku, daj mi spać! — jęknął Waniek, ziewając jak lew. — Rano będzie aż nadto czasu i nie trzeba mnie budzić.

Odwrócił się na bok i natychmiast zasnął.

Szwejk usiadł znowuż przy telefonie i zaczął podrzemywać. Obudził go dzwonek.

— Halo, jedenasta marszkompania.

— Tak jest, jedenasta marszkompania. Kto tam?

— Trzynasta marszkompania. Halo, która godzina u ciebie? Nie mogę się dodzwonić do centrali. Nie idą mnie zluzować...

— Mój zegarek stoi.

— Tak samo, jak mój. Nie wiesz, kiedy pojedziemy? Czy nie rozmawiałeś z kancelarią pułkową?

— Tam wiedzą akurat tyle, co i my, to znaczy gówno.

— Niech panienska nie będzie ordynarna. Konserwy fasowaliście już? Od nas poszli po konserwy, ale nie przynieśli nic. Magazyn był zamknięty.

— I nasi przyszli z pustymi rękoma.

— No to na próżno robią panikę. A jak ci się zdaje, gdzie pojedziemy?

— Do Rosji.

— Prędzej chyba do Serbii. Ale to się pokaże dopiero w Budapeszcie. Jeśli skierują nas na prawo, to z tego będzie Serbia, a jeśli na lewo, to Rosja. Czy macie już chlebaki? Podobno teraz będzie podwyższony żółd. W karciecia grasz? No to przyjdź jutro. My tu łupimy w karty co wieczór. Ilu was tam jest przy telefonie? Sam? No to pluń na wszystko i idź spać. Jakieś dziwne u was panują porządki. Trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno? Nareszcie przychodzą zluzować mnie. Dobranoc!

Szwejk usadowił się przy telefonie i niebawem słodko zasnął, zapomniawszy zawiesić słuchawkę, skutkiem czego nikt mu nie mógł przeszkadzać w drzemce, chociaż telefonista kancelarii pułkowej wściekał się, że nie podobna się dodzwonić do kancelarii jedenastej marszkompanii, której trzeba było przekazać nowy telefonogram, że do jutra do godziny dwunastej ma być zestawiony spis tych wszystkich szeregowców, którzy nie byli poddani ochronnemu szczepieniu tyfusu.

Nadporucznik Lukasz bawił się tymczasem jeszcze wciąż w kasynie oficerskim z lekarzem wojskowym Szanclerem, który siedział okrakiem na krześle i rytmicznie walił kijem od bilardu o podłogę, wygłaszając jednocześnie takie zdania:

— Sultan Saracenów Salah-Edin pierwszy uznał neutralność korpusu sanitarnego.

— Rannymi winny opiekować się obie strony.

— Należy dostarczyć im leków i opieki w zamian za zwrot kosztów ze strony drugiej.

— Musi być dozwolone posłać im lekarza i jego pomocników za paszportami generalskimi.

— Rannych należy odsyłać do ich wojsk pod opieką i gwarancją generalów. Można ich też wymieniać. Ale mogą potem dalej służyć.

— Chorzy obu stron nie powinni być zabierani do niewoli i traceni, ale należy ich umieszczać w miejscach bezpiecznych i szpitalach. Wolno pozostawić przy nich straż ich własnego wojska, która to straż, podobnie jak chorzy, ma prawo wrócić za paszportami generalskimi. To samo dotyczy także duchownych polowych, lekarzy, chirurgów, aptekarzy, pielęgniarzy chorych, pomocników i innych osób, wyznaczonych do obsługi chorych, których nie wolno brać do niewoli, ale właśnie w taki sposób mają być odsyłani z powrotem.

Doktor Szancler przy tym wykładzie złamał już dwa kije i ciągle jeszcze miał dużo do opowiadania o opiece nad rannymi podczas wojny. W dziwnym jego wykładzie ciągle powtarzały się słowa o paszportach generalskich.

Nadporucznik Lukasz dopił czarną kawę i poszedł do siebie. Jego służący, brodaty olbrzym Baloun, zajęty był tym, że w jakimś garnuszku smażył sobie właśnie kawałek salami, używając do tego spirytusowej maszynki nadporucznika Lukasz.

— Ośmielam się — wyjąkał Baloun — pozwalam sobie, posłusznie melduję...

Lukasz spojrział na niego. W tej chwili Baloun wydał mu się wielkim dzieciakiem, stworzeniem naiwnym, i nadporucznikowi zrobiło się nagle żal, że skazał na słupek tego człowieka, który cierpi taki wielki głód.

— Gotuj sobie, Balounie, gotuj — rzekł, odpinając szablę — jutro każę ci przypisać drugą porcję chleba.

Nadporucznik był w nastroju bardzo sentymentalnym, więc usiadł i zaczął pisać list do cioci:

Kochana Ciotuniu!

Właśnie otrzymałem rozkaz, abym był gotów na front razem ze swoją marszkompanią. Być może, iż ten list jest ostatni z tych, jakie otrzymałaś ode mnie, bo wszędzie toczą się walki zaciekle, a straty nasze są duże. Dlatego trudno mi kończyć ten list zwykłym słowem „Dowidzenia“. Stosowniej jest napisać: „Zostań z Bogiem!“

— Resztę dopiszę rano — pomyślał nadporucznik i ułożył się do snu.

Baloun widząc, że nadporucznik zasnął na dobre, zaczął szukać i szperać po izbie, jak jaki karaluch. Otworzył walizkę nadporucznika i nadgryzł tabliczkę czekolady, ale przestraszył się bardzo, gdy właściciel czekolady poruszył się przez sen. Szybko schował nadgryzioną czekoladę do walizki i przycichł.

Potem zakradł się ku stołowi i odczytał słowa Lukaszka, pisane do ciotki.

Wzruszyło go osobliwie to ostatnie słowo: Zostań z Bogiem.

Położył się więc na sienniku przy drzwiach i zaczął wspominać swój dom rodzinny i bicie wieprzy.

Bardzo żywo przedstawiał mu się miły obraz nakłuwania salcesonu, żeby z niego powypuszczać powietrze i żeby przy gotowaniu nie pękł.

Zasnął niebawem, kołysany wspomnieniem, jak to u sąsiada pękł duży szwabski salceson i rozgotował się cały.

Sniło mu się, że przy biciu wieprza ma w domu jakiegoś niezdarę rzeźnika i że przy nadziewaniu podgarlanek pękają flaki. Potem znowuż, że rzeźnik zapomniał narobić kiszek, że gdzieś zapodziała się główizna i że zabrakło zatyczek do podgarlanek. Wreszcie przysniło mu się coś o sądzie polowym,

ponieważ został przyłapany, gdy w kuchni przywłaszczał sobie pląt mięsa. We śnie widział samego siebie wiszącego na wysokiej lipie alei wojskowego obozu w Brucku nad Litawą.

Gdy Szwejk zbudził się ze snu razem z budzącym się porankiem, który przyniósł z sobą zapach rozgotowywanych konserw kawowych, wstał, odruchowo zawiesił słuchawkę, jakby właśnie skończył rozmowę telefoniczną i przechadzając się po kancelarii, śpiewał.

Zaczął jakąś śpiewkę od środka i śpiewał o tym, jak żołnierz przebiera się za dziewczynę i idzie do swej miłej do młyna. Tam młynarz układa go do snu przy swojej córce, ale przedtem woła na żonę:

Dobrych rzeczy przynieś żywlej,
Niech dziewczyna się pożywi...

Młynarka karmi podłego chłopca, z czego powstaje tragedia rodzinna:

Młynarzostwo rano wstali,
Na drzwiach napis przeczytali:
Wasza Anka, dziewczka miła,
Dobrze gościa przytuliła.

Szwejk śpiewał tę piosnkę z takim uczuciem, że cała kancelaria ożywiła się nagle. Zbudził się też feldfebel Waniek i pytał, która godzina.

— Właśnie odtrąbili pobudkę.

— Ale ja wstanę dopiero po kawie — zdecydował Waniek, któremu nigdy się nie śpieszyło. — Na pewno będą znowuż robili piekło i będą nas niepotrzebnie szykanowali różnymi gwałtami, jak wczoraj z tymi konserwami...

Waniek ziewnął i pytał, czy wczoraj po powrocie do domu nie gadał za wiele.

— Troszkę pan pogadał od rzeczy — rzekł Szwejk — ale niewiele. Mówił pan coś o kształtach i o bycie i niebycie, ale rychło zaczął pan chrapać, jak cały tartak, i było po gadaniu.

Szwejk przeszedł się wzdłuż kancelarii aż do drzwi i z powrotem, stanął koło pryczy feldfebla rachuby i rzekł:

— Co do mojej osoby, panie rechnungsfeldfebel, to jak pan zaczął mówić o tych kształtach, to mi się przypomniał niejaki Zátka, gazownik. Pracował w gazowni na Letnej i zapalał, i gasił latarnie. Był to mąż od oświaty i chodził po wszystkich knajpach na Letnej, ponieważ od chwili zapalenia latarń do chwili ich gaszenia upływa sporo czasu, a bez towarzystwa się człowiek nudzi. Otóż ten gazownik nad ranem też mówił różne takie rzeczy, tylko że on mówił o kościach do gry: „W kości się gra, gra nie ma granic“. Słyszałem to na własne uszy, gdy razu pewnego jakiś pijany policjant zatrzymał mnie za zanieczyszczanie ulicy i zamiast do komisariatu zaprowadził mnie przez pomyłkę do gazowni.

Ale z tym Zátką rzecz skończyła się kiepsko — dodał Szwejk ciszej. — Zapisał się do Mariańskiej kongregacji, chodził razem z tercjarkami na kazania patra Jemelki do kościoła św. Ignacego i razu pewnego, gdy misjonarze mieli tam rekolekcje, zapomniał pogasić światło w swoim rejonie i latarnie paliły się bez przerwy przez trzy dni i trzy noce.

Niedobrze jest — wywodził Szwejk — gdy człowiek ni z tego, ni z owego zacznie raptem filozofować, bo zawsze z tego bywa *delirium tremens*. Przed laty przetranslokowali do nas jakiegoś majora Blühera z siedemdziesiątego piątego pułku. Otóż ten major co miesiąc zwoływał nas, kazał nam ustawiać się w czworobok i zastanawiał się z nami nad tym, co to jest zwierzchność wojskowa. Nie pijał on nic innego, tylko śliwovicę. — Każdy oficer, moi żołnierze — wykladał on zawsze na dziedzińcu koszar — jest sam przez się istotą najdoskonalszą, która ma sto razy więcej rozumu niż wy wszyscy razem. Nic doskonalszego od oficera wyobrazić sobie nie zdołacie, choćbyście rozmyślali przez całe życie. Każdy oficer jest istotą konieczną, podczas gdy wy, żołnierze, jesteście istotami tylko przypadkowymi.

Istnieć możecie, ale niekoniecznie. Gdyby doszło do wojny, a wy poleglibyście za naszego najjaśniejszego pana, no to dobrze, nie byłoby to nic osobliwego, ale gdyby naprzód poległ wasz oficer, to dopiero zobaczylibyście, jak bardzo jesteście od niego zależni i co to za wielka strata. Oficer istnieć musi, a wasze istnienie jest właściwie tylko cieniem istnienia oficerskiego. Wywiedzicie się z nich i obyć się bez nich nie możecie. Bez zwierzchności wojskowej taki żołnierz jeden czy drugi nawet w portki porządnie nie narobi. Dla was, żołnierze, oficer jest prawem moralnym, czy to rozumiecie, czy nie, to wszystko jedno, a ponieważ każde prawo musi mieć swego prawodawcę, więc prawodawcą waszym jest właśnie oficer, względem którego musicie poczuwać się do wszelkiego obowiązku i wszelkiej powinności, spełniając wszystkie jego rozporządzenia, choćby się wam to i owo mogło nie podobać.

Pewnego razu po wykładzie obchodził cały czworobok i każdego z nas pytał po kolei:

— Co odczuwasz, gdy coś przeskrobiesz?

Żołnierze odpowiadali bardzo głupio. Jedni mówili, że jeszcze nigdy nic nie przeskrobali, inni mówili, że po każdym przeskrobaniu mdli ich w żołądku, jeden powiedział, że odczuwa koszarówkę itd. Wszystkich ich kazał major Blüher natychmiast odprowadzić na stronę i nakazał, żeby po południu za karę robili ćwiczenia przysiadowe za to, że nie umieją powiedzieć, co odczuwają. Zanim przyszła kolej na mnie, przypomniałem sobie słowa jego ostatniego wykładu i gdy zbliżył się, rzekłem całkiem spokojnie:

— Posłusznie melduję, panie majorze, że gdy coś przeskrobie, to odczuwam zawsze jakiś niepokój, strach i wyrzuty sumienia. Ale gdy mam wychodnie i gdy wracam do koszar w porze przepisanej i w porządku, wówczas opanowuje mnie jakiś błogi spokój, włazi na mnie wewnętrzne zadowolenie.

Wszyscy się roześmieli, a major Blüher wrzasnął na

mnie: — Pluskwy włożą na ciebie, drabie jeden, gdy gnijesz na pryczy. Patrzcie go, lotra, jeszcze sobie żarty stroi!

I przepisał mi takiego słupka, że proszę siadać.

— W wojsku inaczej być nie może — rzekł feldfelbel rachuby, przeciągając się leniwie na pryczy. — Tak już jest od początku świata i będzie zawsze, że w wojsku tak, czy owak, choćbyś był dobry jak anioł, zawsze musi wisieć nad tobą chmura i muszą bić pioruny. Bez tego nie byłoby dyscypliny.

— Całkiem słusznie — rzekł Szwejk. — Nie zapomnę nigdy o tym, jak wsadzili rekruta Pecha do paki. Lejtnant tej kompanii, niejaki Moc, zebrał rekrutów i każdego z nich pytał, skąd pochodzi.

— Wy, rekruty żółtodziobe — przemawiał do nich — musicie się nauczyć odpowiadać jasno, dokładnie, jakby biczem strzelał. Więc zaczynamy. Skąd pochodzicie, Pechu? — Pech był człowiekiem inteligentnym, więc odpowiedział: — Dolny Bousow, Unter-Bautzen, dwieście sześćdziesiąt siedem domów, tysiąc dziewięćset trzydzieści sześć mieszkańców narodowości czeskiej, kapitanat Jiczyn, okrąg Sobotka, byle dobra rycerskie Kost, parafialny kościół św. Katarzyny z czternastego stulecia, odnowiony przez hrabiego Wacława Wratysława Netolickiego, szkoła, poczta, telegraf, stacja czeskiej kolei handlowej, cukrownia, młyn z tartakiem, pustelnia Walcha, sześć jarmarków dorocznych. — Ale lejtnant nie czekał co będzie dalej, rzucił się na rekruta Pecha i zaczął go prać po gębie raz za razem, krzycząc: — Masz jeden jarmark doroczny, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty. — A Pech, chociaż i rekrut, zameldował się do batalionsraportu. W kancelarii był wtedy taki wesoly pisarz, który napisał, że Pech melduje się do raportu z powodu jarmarków dorocznych w Dolnym Bousowie. Dowódcą batalionu był major Rohell. — Also was gibt's? — zapytał Pecha, a ten odpowiedział: — Posłusznie melduję, panie majorze, że w Dolnym Bousowie jest sześć

jarmarków dorocznych. — Więc major Rohell zarzyczał na niego, zatupał i kazał go natychmiast zaprowadzić do lazaretu. Od tego czasu Pech był najgorszym żołnierzem i z paki nie wychodził.

— Wychowywanie żołnierzy jest sprawą trudną — rzekł feldfelbel Waniek. — Żołnierz, który w wojsku nie był karany, to nie żołnierz. Może to było dobre w czasach pokojowych, że niektórzy żołnierze odbywali służbę bez kary, a potem miał taki wszędzie pierwszeństwo, gdy się starał o posadę rządową. Ale teraz się pokazuje, że ci najgorsi żołnierze, którzy w czasach pokojowych ciągle siedzieli w pace, są najlepszymi żołnierzami. Przypominam sobie szeregowca Sylwanusa z ósmej marszkompanii. Walila się na niego kara za karą i jeszcze jaka kara! Nie zawahał się skraćć koledze ostatni grosz, a jak przyszło do bitwy, to pierwszy poprzerywał zaskieki z drutu, wziął do niewoli trzech chłopca, a jednego w drodze zastrzelił, bo jak mówił, nie miał do niego zaufania. Dostał wielki medal srebrny, przyszyli mu dwie gwiazdki i gdyby go później nie byli powiesili pod Duklą, to już dawno byłby plutonowym. Ale go powiesić musieli, bo po jakiejś bitwie zgłosił się na wywiad, a inny jakiś patrol widział go, jak mój Sylwanus obdzierał trupy. Znaleźli przy nim osiem zegarków i sporo pierścionków. Więc go w sztabie brygady powiesili.

— Pokazuje się z tego — rzekł bardzo roztropnie Szwejk — że każdy żołnierz musi własnymi siłami dosługiwać się stanowiska.

Zadzwoił telefon. Feldfelbel rachuby podszedł do słuchawki. Nadporucznik Lukasz pytał, co się stało z konserwami. Słychać było jakieś ostre wyrzuty.

— Naprawdę nie ma, panie nadporuczniku! — wołał Waniek, sumitując się przed słuchawką. — Skądby się miały wziąć, kiedy to jest tylko fantazja intendenty. Całkiem niepotrzebnie wysyłało się tam tych ludzi. Ja chciałem do pana

telefonować... Proszę?... Że w kantynie byłem? Kto to mówił? Ten okultysta kucharz z kuchni oficerskiej? Pozwoliłem sobie zajść tam na chwilę. Wie pan, jak ten okultysta nazwał tę panikę z powodu owych konserw? „Grozą nienarodzonego“. Bynajmniej, panie oberlejtnant. Jestem zupełnie trzeźwy. Szwejk? Jest w kancelarii. Czy każe go pan zawołać?

— Szwejku, do telefonu — rzekł feldfebel rachuby i ci-szej dodał: — Gdyby się pytał, w jakim stanie wróciłem, to powiedz pan, że w porządku.

Szwejk stanął przy telefonie i meldował:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, Szwejk.

— Słuchajcie no Szwejku, jak to jest z tymi konserwami? Czy to w porządku?

— Nie ma konserw, panie oberlejtnant. Ani śladu konserw.

— Życzylbym sobie, Szwejku, żebyście się co dzień rano meldowali u mnie, dopóki jesteśmy w obozie. Po wyjeździe będziecie stale przy mnie. Co robiliście w nocy?

— Siedziałem przez całą noc przy telefonie.

— Co nowego?

— To i owo, panie oberlejtnant.

— Tylko nie zaczynajcie się bałwanić, mój Szwejku. Czy przyszedł skąd jaki meldunek?

— Przyszedł meldunek, ale dopiero na godzinę dziewiątą.

— Dlaczego nie meldowaliście natychmiast?

— Byłem daleki tego, abym miał być niepokoić pana oberlejtanta.

— Więc mówcie, do stu diabłów, co jest nowego i co ma być na dziewiątą?

— Telefonogram, panie oberlejtnant.

— Nie rozumiem. Co to ma być?

— Ja to sobie zapisałem, panie oberlejtnant: Przyjmijcie telefonogram. Kto jest przy telefonie? Masz już? Czytaj, czy tak jakoś.

— Ach wy idioto, Szwejku, z wami nie podobna dojść do ładu. Mówcie, co za treść tego telefonogramu, bo jak nie, to wpadnę do was i dam po łbie tak, że... Więc co?

— Jakiś Besprechung, panie oberlejtnant, dzisiaj rano u pana obersta, o dziewiątej. Chciałem pana budzić w nocy, alem to sobie rozmyślił.

— Bylbym was nauczył budzić mnie w nocy z powodu byle jakiego głupstwa, na które dość jest czasu rano. Znowuż konferencja! Der Teufel soll das alles buse-rieren! Powieście słuchawkę i zawołajcie do telefonu Wańka.

Feldfelbel rachuby Waniek podszedł do telefonu.

— Rechnungsfeldfelbel Waniek, Herr Oberleutnant.

— Poszukaj mi pan natychmiast innego pucybuta. Ten łośotr Baloun zeżarł mi wszystką czekoladę. Słupka? Nie. Lepiej go przydzielimy do sanitariuszy. Chłop jak góra, więc będzie mógł dźwigać rannych. Poślę go natychmiast do pana. Niech pan to załatwi w kancelarii pułku i natychmiast wróci do kompanii. Jak pan sądzi, kiedy pojedziemy?

— Nic pilnego, panie oberlejtnant. Jak mieliśmy odjeżdżać z dziewiątą marszkompanią, to przez całe cztery dni wozili nas za nos. Z ósmą było to samo. Tylko z dziesiątą było lepiej: w południe dostaliśmy rozkaz, a wieczorem już byliśmy w drodze, ale za to wozili nas potem po całych Węgrzech i nie wiedzieli, jaką dziurę i na której części frontu nami zalatać.

Przez cały ten czas, gdy nadporucznik Lukasz był dowódcą jedenastej kompanii marszowej, znajdował się w stanie, który można by nazwać synkretyzmem: próbował wyrównywać sprzeczności pojęciowe przy pomocy ustępstw, dochodzących aż do pomieszania poglądów.

Odpowiedział więc Wańkowi:

— Może pan ma rację. Tak już jest na świecie. Więc pan

sądzi, że dzisiaj jeszcze nie pojedziemy? O dziewiątej mamy konferencję u pana obersta. — Aha, czy wie pan już o tym, że pan jest *Dienstführender*? Mówię tylko tak mimochodem. Niech pan sprawdzi... Co by tak można sprawdzić? Niech pan sprawdzi spis szarż z uwzględnieniem terminu służby. Następnie zapasy kompanii. Narodowość? Dobrze, można i narodowość... Ale głównie, niech mi pan pośle nowego pucybuta. Co ma dzisiaj robić z szeregowcami *Fähnrich Pleschner*? *Vorbereitung zum Abmarsch*. Rachunki? Przyjadę i podpiszę po jedzeniu. Nikogo nie puszczać do miasta. Do kantyny w obozie? Po obiedzie na godzinę... Niech pan zawoła Szwejka!

— Szwejku, pozostaniecie tymczasem przy telefonie.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że jeszcze kawy nie piliem.

— To przynieście sobie kawę i siedźcie w kancelarii przy telefonie, dopóki was nie zawołam. Czy wiecie, co to znaczy ordynans?

— Ordynans to taki, co lata.

— Więc żebyście mi byli na miejscu, jak was zawołam. Przypomnijcie jeszcze raz Wańkowi, żeby dla mnie wyszukał nowego pucybuta. Halo, Szwejku, gdzie jesteście?

— Jestem, panie oberlejtant. Akurat przynieśli kawę.

— Halo, Szwejku!

— Słucham, panie oberlejtant. Kawa zupełnie zimna.

— Wy wiecie, Szwejku, co to jest pucybut. Więc przypatrzcie się dobrze temu nowemu i powiedźcie mi, co on zacz. Zawięście słuchawkę.

Waniek popijał czarną kawę, do której dolewał po trosze rumu z butelki z napisem „*Tinte*“ (ostrożność nie zawadzi), spoglądał na Szwejka, potem rzekł:

— Ten oberlejtant niepotrzebnie się drze tak głośno, słyzałem każde jego słowo. Wy się z panem oberlejtantem musicie bardzo dobrze znać. Co Szwejku?

— My zawsze ręka w rękę — odpowiedział Szwejk. — Jedna ręka drugą myje. Dużośmy już z sobą przeżyli. Ile to razy chcieli nas gwałtem rozdzielić, ale myśmy się z sobą znowu zesli. On mi zawsze i we wszystkim okazywał tyle zaufania, że aż się nieraz sam dziwiłem. Więc pan sam słyszał, że mam panu przypomnieć o tym nowym pucybutcie i że mam go obejrzyć i wypowiedzieć się co o nim sądzę. Dla pana oberlejtanta pucybut pucybutowi nie równy.

Pułkownik Schröder, zwołując wszystkich swoich oficerów na konferencję, zabrał się do rzeczy z wielką miłością, pragnąc wygadać się za wszystkie czasy. Prócz tego trzeba było powziąć jakąś decyzję co do jednorocznego ochotnika Marka, który nie chciał czyścić wychodków i za bunt został odesłany przez pułkownika Schrödera do sądu dywizyjnego.

Wczoraj wrócił z aresztu sądu dywizyjnego na odwach, gdzie trzymany był pod strażą. Jednocześnie kancelaria pułkowa otrzymała papier o treści nasłuchanie powikłanej, ale wyjaśniającej bądź co bądź, że w danym wypadku nie chodzi o bunt, ponieważ jednoroczni ochotnicy nie są obowiązani czyścić wychodki. Tym niemniej zachodzi jednak przypadek *Subordinationsverletzung*, które to wykroczenie może być zrównoważone przez porządne zachowanie się wobec nieprzyjaciela. Z tego powodu jednoroczny ochotnik Marek zostaje odesłany z powrotem do pułku, a śledztwo co do naruszenia karności zostaje odłożone do końca wojny, lecz zostanie wznowione przy najbliższym wykroczeniu, jakiego mógłby się dopuścić jednoroczny ochotnik Marek.

Była jeszcze jedna sprawa. Razem z jednorocznym ochotnikiem odesłany został z sądu dywizyjnego na odwach samozwańczy plutonowy Teveles; niedawno pojawił się on w pułku, do którego został odesłany ze szpitala w Zagrzebiu. Miał wielki medal srebrny, dystynkcje jednorocznego ochotnika i trzy gwiazdki. Opowiadał o czynach bohaterskich szóstej marszkompanii w Serbii i wywodził, że z całej tej kompanii pozo-

stał tylko on jeden. Sledztwo ustaliło, że na początku wojny jakiś Teveles odszedł rzeczywiście z szóstą kompanią na front, ale nie miał praw jednorocznego ochotnika. Zażądano informacyj od brygady, do której szósta marszkompania była przykomenderowana, gdy drugiego grudnia tysiąc dziewięćset cztertnastego roku uciekała z Białogrodu, i stwierdzono, że w spisie zaproponowanych do odznaczenia lub odznaczonych medalami srebrnymi żadnego Tevelesa nie ma. Co zaś do tego, czy szeregowiec Teveles podczas kampanii białogrodzkiej został awansowany na plutonowego, tego nie można było stwierdzić, ponieważ cała szósta kompania marszowa zginęła koło cerkwi św. Sawy w Białogrodzie razem ze wszystkimi oficerami. Przed sądem dywizyjnym Teveles bronił się, że naprawdę był mu obiecany medal srebrny i że dlatego kupił go sobie od jakiegoś Bośniaka. Co do odznak jednorocznego ochotnika, to przyszył je sobie po pijanemu, a nosił je dlatego, że był stale pijany, mając organizm osłabiony dyzenterią.

Gdy konferencja się rozpoczęła, pułkownik Schröder oświadczył przed rozpatrzeniem tych dwóch przypadków, że trzeba, aby panowie oficerowie częściej się naradzali, zanim nadejdzie chwila odjazdu, chwila już niedaleka. Z brygady dowiedział się, że tam oczekują rozkazów dywizji. Niech więc szeregowcy będą w pogotowiu, a dowódcy kompanii niech pilnują, żeby nikogo nie brakło. Potem powtarzał jeszcze raz to wszystko co mówił wczoraj. Znowuż dał przegląd wydarzeń wojennych i dodał, że trzeba unikać wszystkiego, co mogłoby obniżyć siłę bojową i przedsiębiorczość wojska.

Na stole przed nim leżała mapa frontu z chorągiewkami na szpileczkach, ale chorągiewki były porozrzucane, a fronty poprzesuwane. Chorągiewki i szpileczki leżały na stole i pod stołem.

Całą widownię wojny sponiewierał w nocy kocur, którego chowali pisarze kancelarii pułkowej. Ten kocur ulżył sobie na

austriacko-węgierskim froncie, a chcąc ślady swej bytności na mapie zagrzebać, porozrzucił łapami chorągiewki i rozmazał łajno po wszystkich pozycjach, zasikał fronty i brückenkopfy i zapaskudził wszystkie korpusy armii.

Pułkownik Schröder był bardzo krótkowzroczny i oficerowie kompanij marszowych z wielkim zainteresowaniem spoglądali na niego, gdy zbliżał się do kupek pozostawionych na mapie przez kocura.

— Stąd, panowie, ku Sokalowi nad Bugiem — rzekł pułkownik Schröder proroczo i posuwał palcem na pamięć w stronę Karpat, przy czym palec jego wjechał do jednej z tych kuppek, którymi kocur uplastyczył mapę frontów.

— Wahrscheinlich Katzendreck, Herr Oberst — jeden za wszystkich wyjaśnił sytuację kapitan Sagner, uśmiechając się bardzo uprzejmie.

Pułkownik Schröder wpadł do sąsiedniej kancelarii, skąd słysząc było istny potok złorzeczeń i straszliwą groźbę, że komus każe pozlizywać wszystkie kupki po kocurze.

Przesłuchanie było krótkie. Stwierdzono, że kocura przed dwoma tygodniami przytaszczył do kancelarii najmłodszy pisarz Zwiebelfisch. Po takim stwierdzeniu kazano Zwiebelfischowi spakować swoje manatki, a starszy pisarz zaprowadził go na odwach, gdzie aresztant będzie siedział aż do dalszych rozporządzeń pana pułkownika.

Na tym zakończyła się właściwie cała konferencja. Gdy pułkownik Schröder powrócił między oficerów cały czerwony od złości, nie pamiętał już, że ma jeszcze do omówienia sprawę jednorocznika Marka i samozwańczego plutonowego Tevelesa.

— Proszę panów oficerów — rzekł zwięźle — aby byli gotowi i oczekiwali dalszych moich rozkazów i instrukcyj.

W ten sposób jednorocznik i Teveles pozostali nadal na odwachu, a gdy przybył do nich Zwiebelfisch, mogli zagrać

sobie w mariasza i dokuczać strażnikowi, wzywając go, aby wyłapał pchły z sienników.

Potem wsadzili do paki jeszcze frajtra Peroutkę z trzynastej marszkompanii, który zginął raptem, gdy wczoraj rozeszła się po obozie wiadomość, że wojsko odchodzi na pozycje, i dopiero rano został znaleziony przez patrol „Pod białą różą“ w Brucku. Tłumaczył się, że przed odjazdem pragnął obejrzeć dokładnie znaną oranżerię hrabiego Harracha pod Bruckiem i że w drodze powrotnej zbłądził i dopiero nad ranem dotarł do „Białej róży“. (Tymczasem przespał się z Różą z „Białej róży“).

Sytuacja wciąż jeszcze była niejasna. Nikt nie wiedział, czy się pojedzie, czy nie pojedzie. Szwejk, obsługujący telefon w kancelarii jedenastej marszkompanii, wysłuchiwał mnóstwo poglądów pesymistycznych i optymistycznych. Dwunasta marszkompania telefonowała, jakoby ktoś w kancelarii słyszał, że jeszcze będą ćwiczenia w strzelaniu z figurami ruchomymi i że na front odjedzie się dopiero po połowych ćwiczeniach w strzelaniu. Tych optymistycznych poglądów nie podzielała trzynasta marszkompania, która telefonowała, że właśnie powrócił kapral Hawlik z miasta i od jakiegoś kolejarza dowiedział się, że wagony już stoją na stacji.

Waniek wyrwał słuchawkę z rąk Szwejka i krzyczał rozłoszczony, że kolejarze figę wiedzą, bo on był dopiero co w kancelarii pułkowej.

Szwejk wysiadywał przy telefonie z prawdziwym zamiłowaniem i na wszystkie pytania odpowiadał zawsze jednakowo, że jeszcze nic pewnego nie wiadomo.

Tak samo odpowiedział na pytanie nadporucznika Łukasza, który pytał:

— Co tam u was nowego?

— Jeszcze nie ma nic pewnego, panie oberlejtant — stereotypowo odpowiedział Szwejk.

— Ach ty fujaro! Zawieś słuchawkę!

Potem otrzymał kilka telefonogramów z szeregiem zwykłych nieporozumień. Najpierw przyszedł telefonogram, którego nie można było podyktować mu w nocy, ponieważ nie zawiesił słuchawki i spał. Chodziło w nim o żołnierzy szczepionych i nieszczepionych.

Potem przyszedł telefonogram, również spóźniony, dotyczący konserw, co też już zostało wczoraj wyjaśnione.

Następnie telefonogram do wszystkich batalionów, kompanij i części pułku:

Kopia telefonogramu brygady nr 75692. Rozkaz brygady nr 172. Przy wykazach gospodarczych kuchni polowych należy przy wymienianiu produktów spożywczych trzymać się takiego porządku: 1 mięso, 2 konserwy, 3 jarzyny świeże, 4 jarzyny suszone, 5 ryż, 6 makaron, 7 kasza i kaszka, 8 kartofle (zamiast poprzedniego porządku: 4 jarzyny suszone, 5 jarzyny świeże).

Gdy Szwejk przeczytał ten telefonogram feldfeblowi rachuby Wańkowi, ten oświadczył uroczyście, że takie telefonogramy rzuca się do wychodka.

— Wymyślił to sobie jakiś idiota ze sztabu armii i zaraz rozsyłają takie głupstwo po wszystkich dywizjach, brygadach i pułkach.

Następnie przyjął Szwejk jeszcze jeden telefonogram, który był tak szybko dyktowany, że Szwejk zdążył zapisać na kartce tylko poszczególne wyrazy, co wyglądało jak jaki szyfr sekretny:

In der Folge genauer erlaubt gewesen
oder das selbst einem hingegen immer-
hin eingeholt werden.

— To wszystko są głupstwa — rzekł Waniek, gdy Szwejk dziwił się ogromnie, że mu się napisała taka osobliwa rzecz i gdy odczytywał ją sobie trzy razy z rzędu. Oczywiście, głupstwa — mówił Waniek — ale diabli ich wiedzą, może to jaki

szyfr, tylko że przy kompanii nie jesteśmy przygotowani do odczytywania szyfrów. Można to cisnąć.

— I ja tak myślę — rzekł Szwejk. — Gdybym zameldował panu oberlejtnantowi, że ma in der Folge genauer erlaubt gewesen oder das selbst einem hingegen immerhin eingeholt werden, to by się jeszcze raz obraził.

Bywają ludzie tacy obraźliwi, że aż strach — mówił Szwejk dalej, oddając się wspomnieniom. — Pewnego razu jechałem tramwajem z Wysoczan do Pragi, a w Libni przysiadł się do nas niejaki Nowotny. Jak tylko go poznałem, podszedłem do niego i wdałem się z nim w rozmowę, że obaj jesteśmy z Drażowa. A ten na mnie z pyskiem, żebym mu dał spokój, bo mnie nie zna. Zacząłem mu tłumaczyć, żeby sobie przypomniał, że jako mały chłopczyk chadzałem do niego z matką, której na imię było Antonina, a ojcu Prokop i że był ekonomem. Nawet wtedy nie chciał słyszeć o tym, że się znamy. Więc przypomniałem mu jeszcze inne szczegóły, że w Drażowie byli dwaj Nowotni: Antoni i Józef. I że on jest właśnie tym Józefem, bo mi o nim z Drażowa pisali, że postrzelił żonę, gdy go strofowała za pijaństwo. I widzi pan ten człowiek podniósł na mnie rękę. Uchyliłem się szczęśliwie, a ten grzmotnął pięścią w szybę i zbił ją. Tę dużą na przedniej platformie przed motorowym. Więc nam kazali wysiąść i zaprowadzili nas do komisariatu, gdzie się pokazało, że ten pan był dlatego taki obraźliwy, że się wcale nie nazywał Józef Nowotny, ale Edward Doubrawa i pochodził z Montgomery w Ameryce, a do Czech przyjechał tylko tak sobie, żeby odwiedzić krewnych.

Dzwonek telefonu przerwał opowiadanie Szwejka i jakiś zachrypnięty głos z oddziału karabinów maszynowych pytał znów, czy się jedzie, czy nie. Podobno rano ma być konferencja u pana obersta.

We drzwiach ukazał się blady jak płótno kadet Biegler,

największy idiota kompanii, ponieważ w szkole jednorocznych ochotników usiłował wyróżniać się swoimi wiadomościami. Skiął na Wańka, żeby z nim wyszedł na korytarz, i tam prowadził z nim długą rozmowę.

Po powrocie do kancelarii Waniek uśmiechał się pogardliwie.

— Co za mała! — rzekł do Szwejka. — Ładne okazy zebrały się w naszej kompanii. Był także na konferencji i pod koniec rozkazał pan oberst, żeby wszyscy plutonowi zrobili gwerwizytę i żeby byli surowi. I teraz przychodzi mi się pytać, czy ma dać Żlabkowi słupek za to, że ten wyczyścił karabin naftą.

Waniek się rozzłościł.

— O takie idiotyczne rzeczy się mnie pyta, gdy sam wie, że ruszamy na front. Pan oberlejtant dobrze się namedytował wczoraj z tym słupek, na który skazał swego pucybuta. Więc rzekłem temu smykowi, żeby się trochę zastanowił, czy to dobrze robić z szeregowców zwierzęta.

— Kiedy już mowa o tym pucybucie — rzekł Szwejk — to może już pan zbębnił jakiego odpowiedniego dla pana oberlejtanta.

— Pijcie tran — odpowiedział Waniek. — Na wszystko jest dość czasu. Zresztą ja sędzę, że pan oberlejtant przyzwyczai się do Balouna. Od czasu do czasu coś mu tam zżre — wielkie mi rzeczy! Na froncie rzecz się wyrówna, bo tam często będzie tak, że ani jeden, ani drugi nie będą mieli co żreć. Jak powiem, że Baloun ma zostać u pana oberlejtanta, to zostanie. Moja w tym głowa, a pan oberlejtant nie ma się wtrącać do nieswoich rzeczy. I nie trzeba się spieszyć.

Waniek wyciągnął się na pryczy i rzekł:

— Opowiedz mi pan, panie Szwejk, jaką anegdotę z życia wojskowego.

— Opowiedzieć zawsze można — odparł Szwejk — ale obawiam się, że znowu ktoś tam będzie dzwonił.

— To zdejm pan słuchawkę albo wyłącz pan kontakt.

— Dobrze — rzekł Szwejk, zdejmując słuchawkę. — Opo-
wiem panu coś, co pasuje do naszej sytuacji, tylko, że wtedy
zamiast prawdziwej wojny były tylko manewry i była taka
sama panika jak tutaj, ponieważ nikt nie wiedział, kiedy wy-
ruszymy z koszar. Razem ze mną służył jakiś Szyc z Porzy-
cza, człowiek porządny, ale pobożny i bojący. Wyobrażał so-
bie, że manewry to coś okropnego, że ludzie podczas manewrów
padają z pragnienia i że podczas marszów sanitariusze zbiera-
ją tych biedaków jak ulegalki. Więc pił na zapas, a gdyśmy
wyruszyli z koszar i dotarli do Mniszki, mówił: — Wiecie,
chłopcy, ja tego nie wytrzymam. Chyba, że się Bóg sam zmi-
luje nade mną. — Potem przybyliśmy do Horzowic i mieli-
śmy tam dwa dni odpoczynku, ponieważ stała się pomyłka, bo
szliśmy naprzód tak szybko, że razem z pulkami, które szły
na naszych skrzydłach, byłibyśmy zagarnęli do niewoli cały
sztab nieprzyjacielski i byłby z tego wielki wstyd, jako że
nasz korpus miał przegrać, a nieprzyjaciel wygrać, bo w kor-
pusie nieprzyjacielskim był jakiś smarkaty arcyksiążę. I wte-
dy ten Szyc zrobił taką rzecz: kiedyśmy obozowali, zabrał się
i poszedł do wsi za Horzowicami, żeby sobie tam coś kupić,
i koło południa wracał do obozu. Gorąco było, a mój Szyc wy-
pił niezgorzej, więc patrzy, przy drodze stoi słup, na słupie
kaplica, a w kapliczce malutki posążek świętego Jana Nepomu-
cena. Odmówił pacierz przed świętym Janem Nepomucenem
i powiada: — Gorąco ci, hę? Powinieneś się napić. Stoisz tu
na słońcu i pocisz się zdrowo. — Potrząchnął feldflaszka, na-
pił się sam i powiada: zostawiłem ci tu łyk, święty Janie Ne-
pomucenie. Ale żal mu było więc wypił wszystko i dla świę-
tego nie pozostało nic. — Jezus Maria — powiada — święty
Janie Nepomucenie, musisz mi to wybaczyć, ja ci to wyna-
grodzę. Zabiorę cię z sobą do obozu i napoję cię tak świetnie,
że się na nogach nie utrzymasz. — I mój zacny Szyc przez
współczucie dla świętego Jana Nepomucena zbił szkło ka-

pliczki, wyjął posążek świętego, wsadził go sobie pod bluzę i zaniósł do obozu. Potem ten święty Jan sypiał z nim na słomie, Szyc nosił go z sobą w tornistrze i miał wielkie szczęście w kartach. Gdzie tylko obozowaliśmy, wszędzie wygrywał, aż przybyliśmy w Pracheńskie, obozowaliśmy w Drahenicach i tam Szyc wszystko przegrał. Gdyśmy rano wyrukowali, to na gruszy przy drodze wisiał święty Jan powieszony. To jest anegdota z życia wojskowego. A teraz znowuż zawleśimy słuchawkę.

I telefon znowuż dostawał ataków nerwowych, dając dowód, że harmonia pokoju i spokoju w obozie została zakłócona.

W tym samym czasie nadporucznik Lukasz studiował w swoim pokoju szyfry wręczone mu przez ordynansa ze sztabu pułku. Do szyfrów dołączona była instrukcja, jak należy je odczytywać, oraz szyfr sekretny o marszrucie kompanii na pograniczu Galicji (etap pierwszy):

7217 — 1238 — 475 2121 — 35 — Moszon.

8922 — 375 — 7282 — Rab.

4432 — 1238 — 7217 — 35 — 8922 — 35 — Komarn.

7282 — 9299 — 310 — 375 — 7881 — 298 — 475 — 7979 —

Budapeszt.

Odczytując te szyfry, westchnął nadporucznik Lukasz:

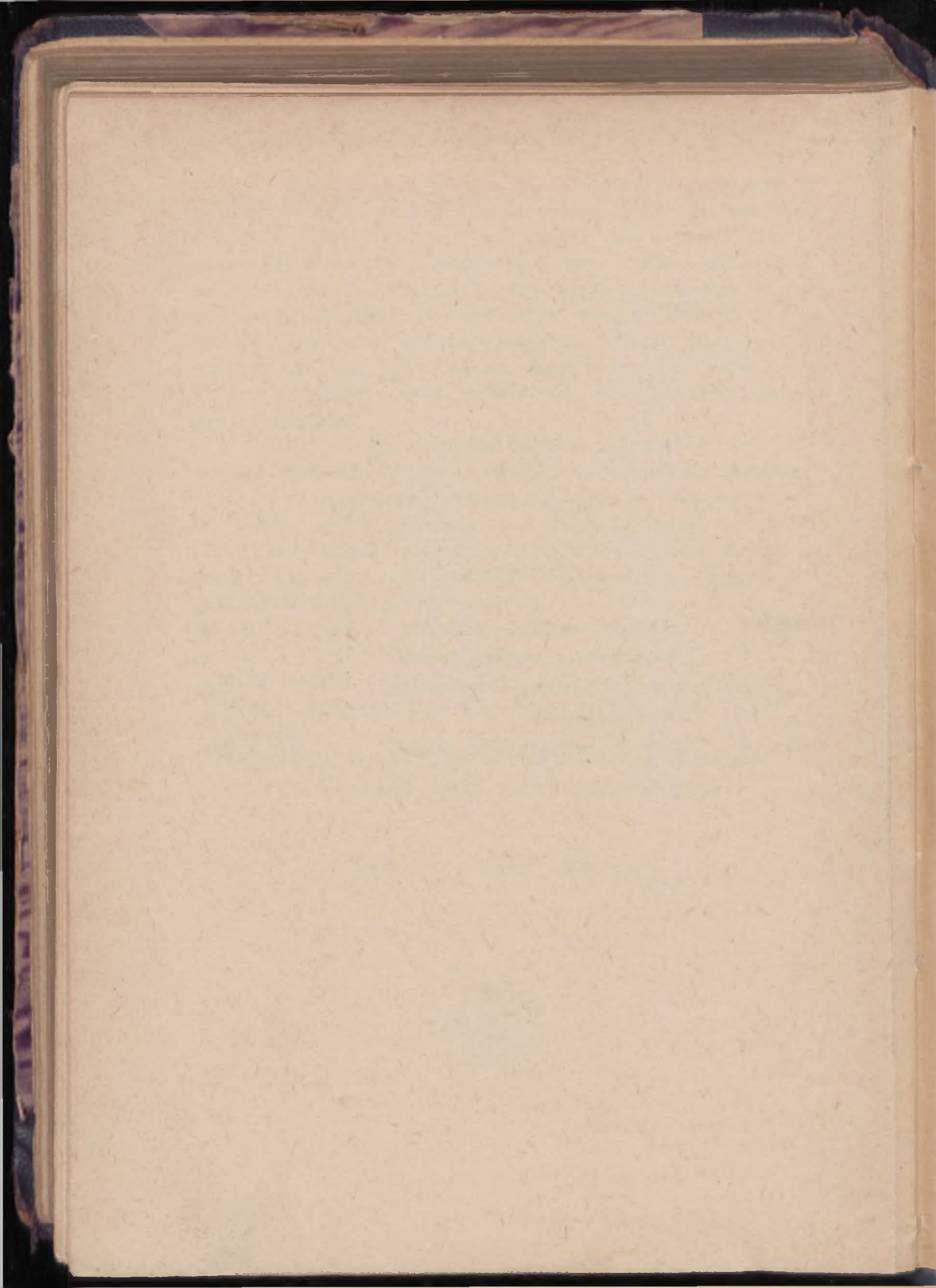
— Der Teufel soll das buserieren.

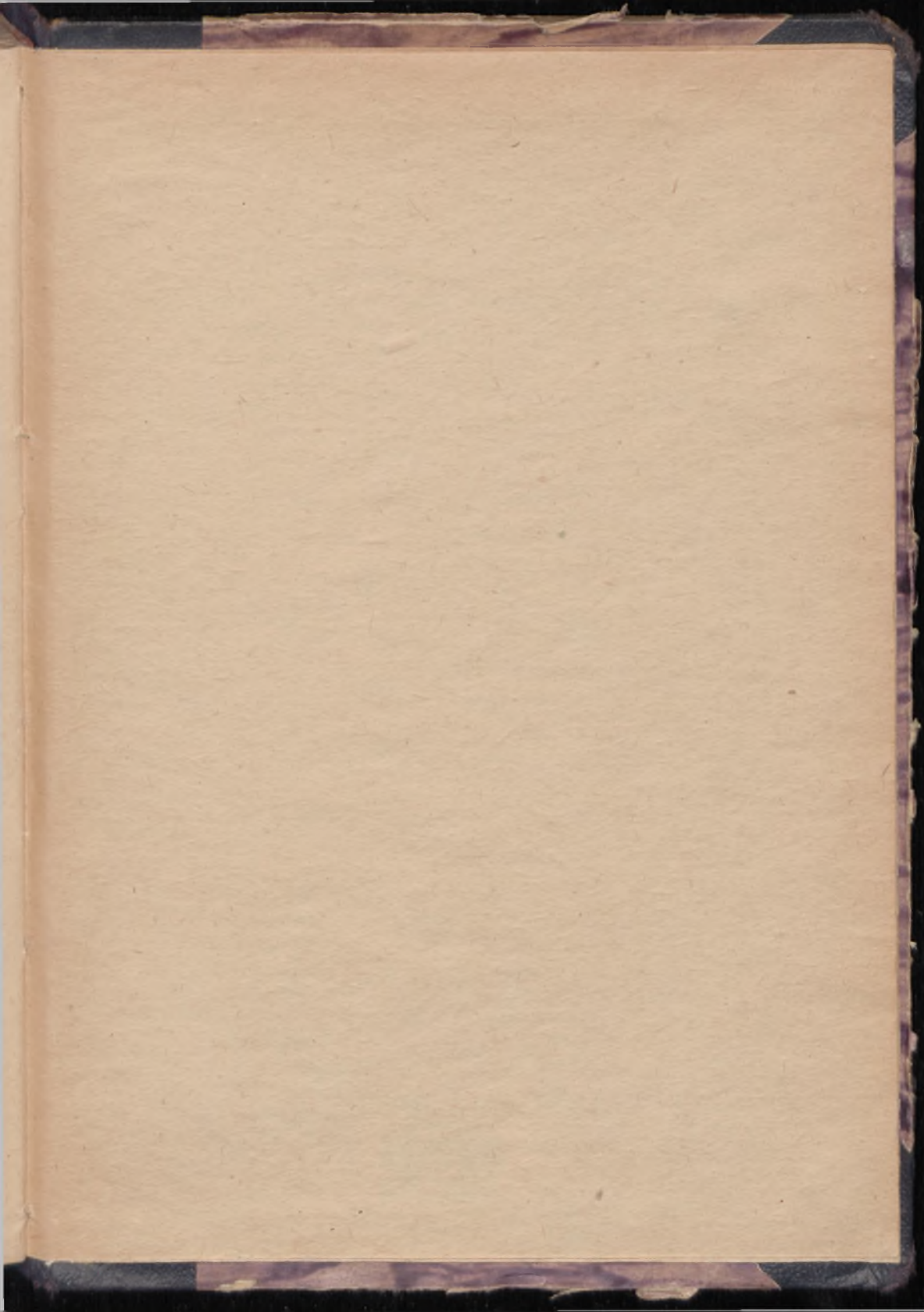
Koniec części drugiej.

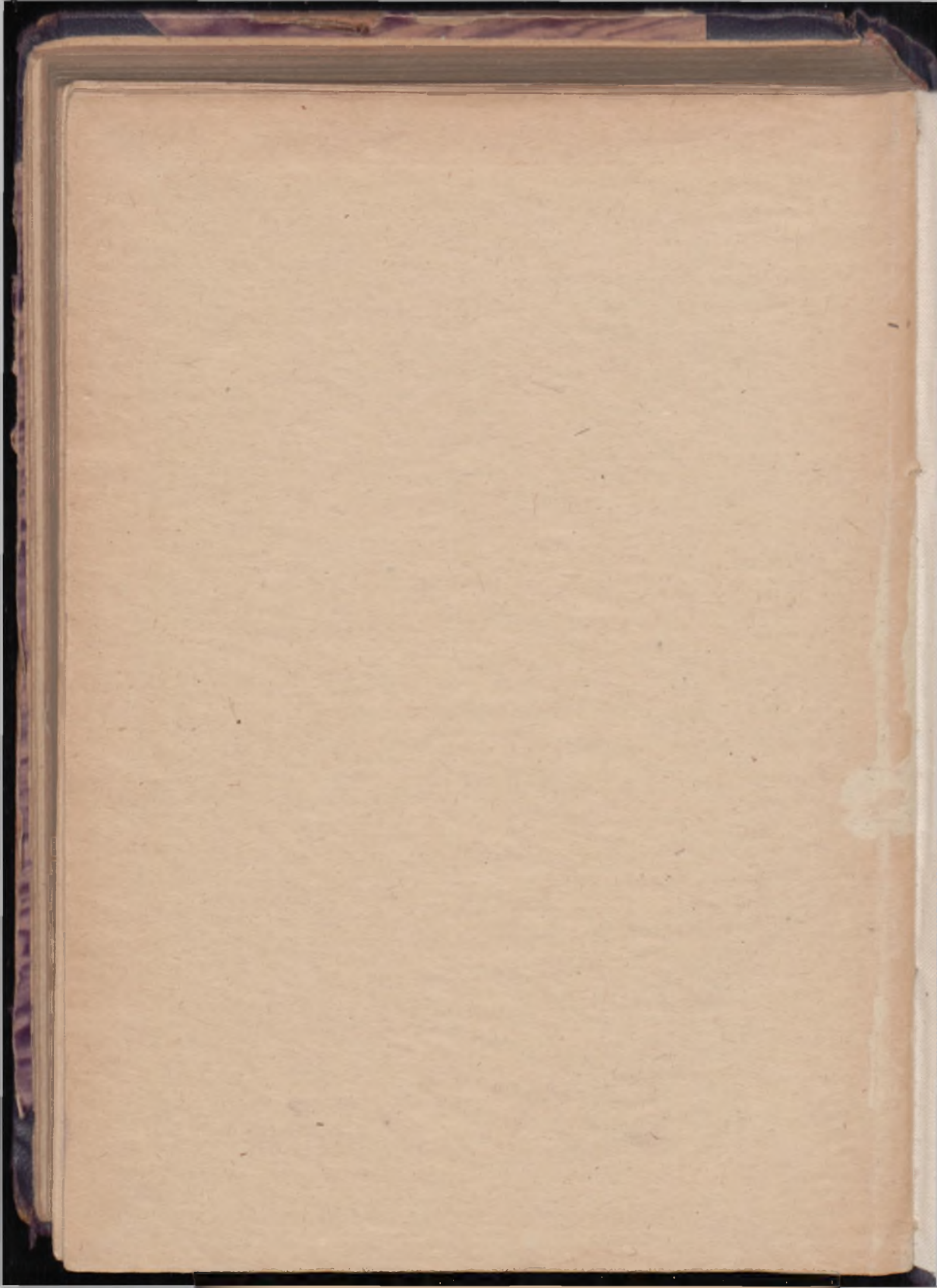


SPIS TREŚCI

		Str.
Rozdział I	Przygody Szwejka w pociągu	5
" II	Budziejowicka anabasis Szwejka	28
" III	Przygody Szwejka w Kiraly-Hida	105
" IV	Nowe cierpienia	174
" V	Z Brucku nad Litawą ku Sokalowi	202







Biblioteka Narodowa
Warszawa



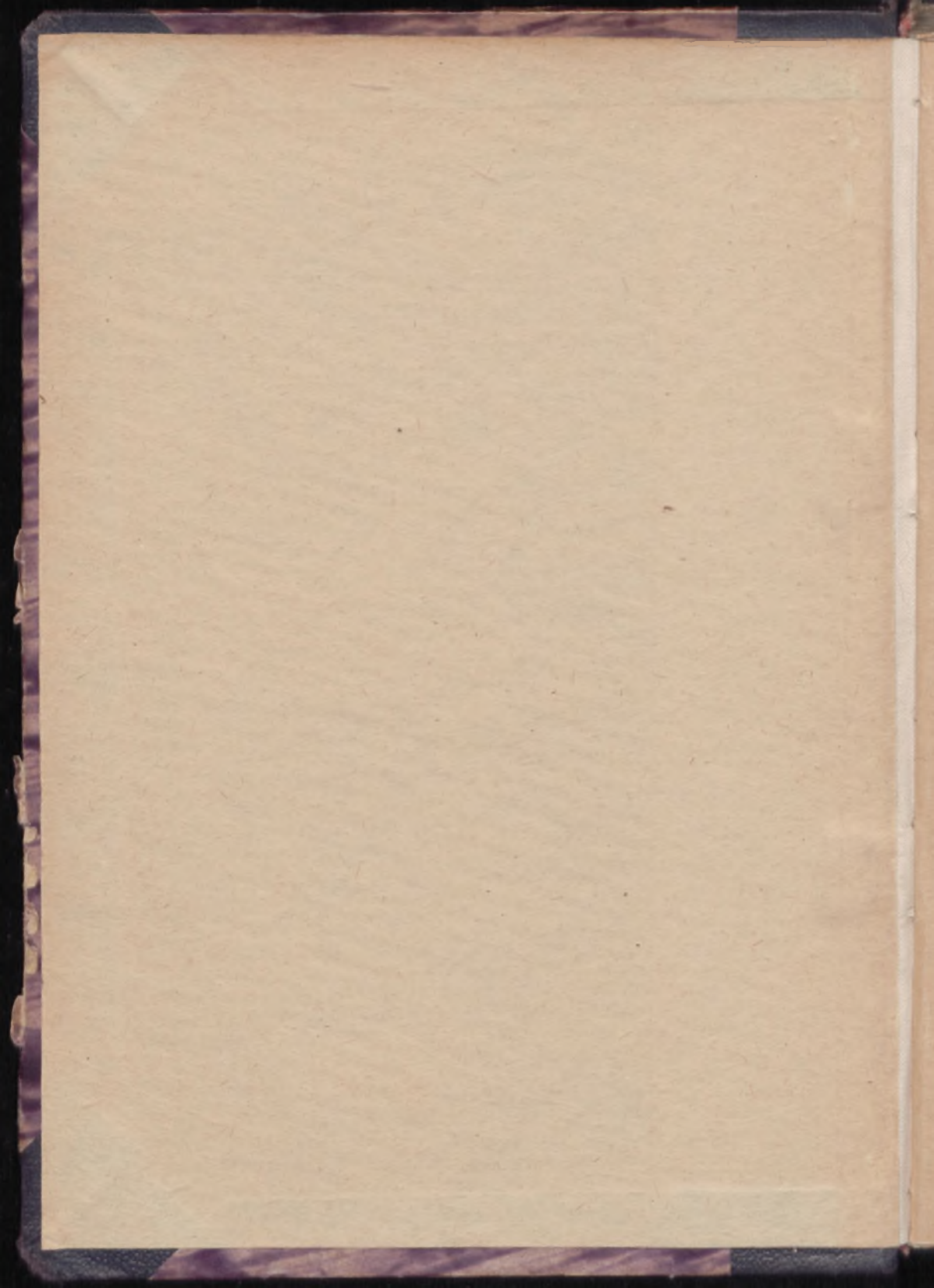
30001024266992

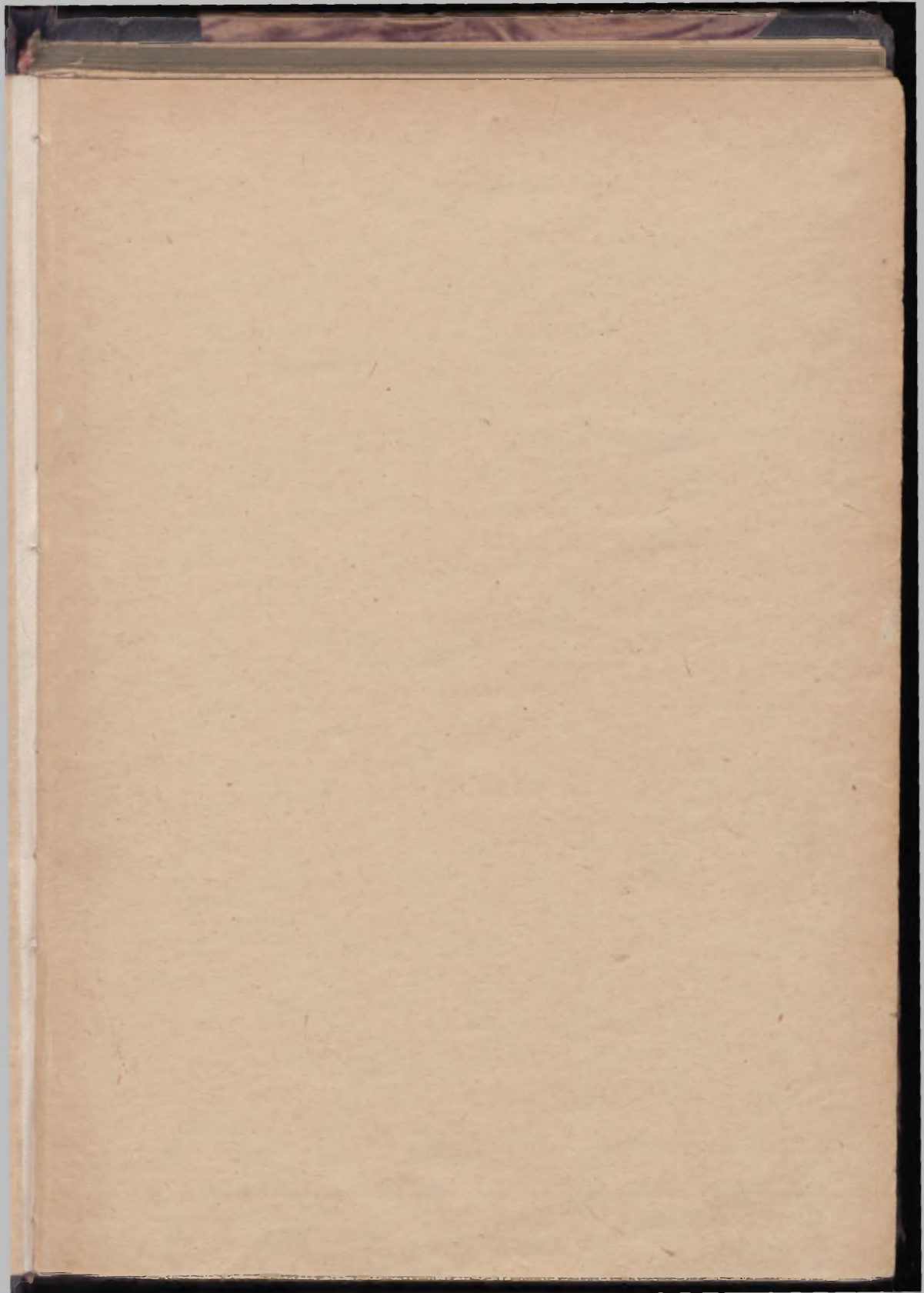


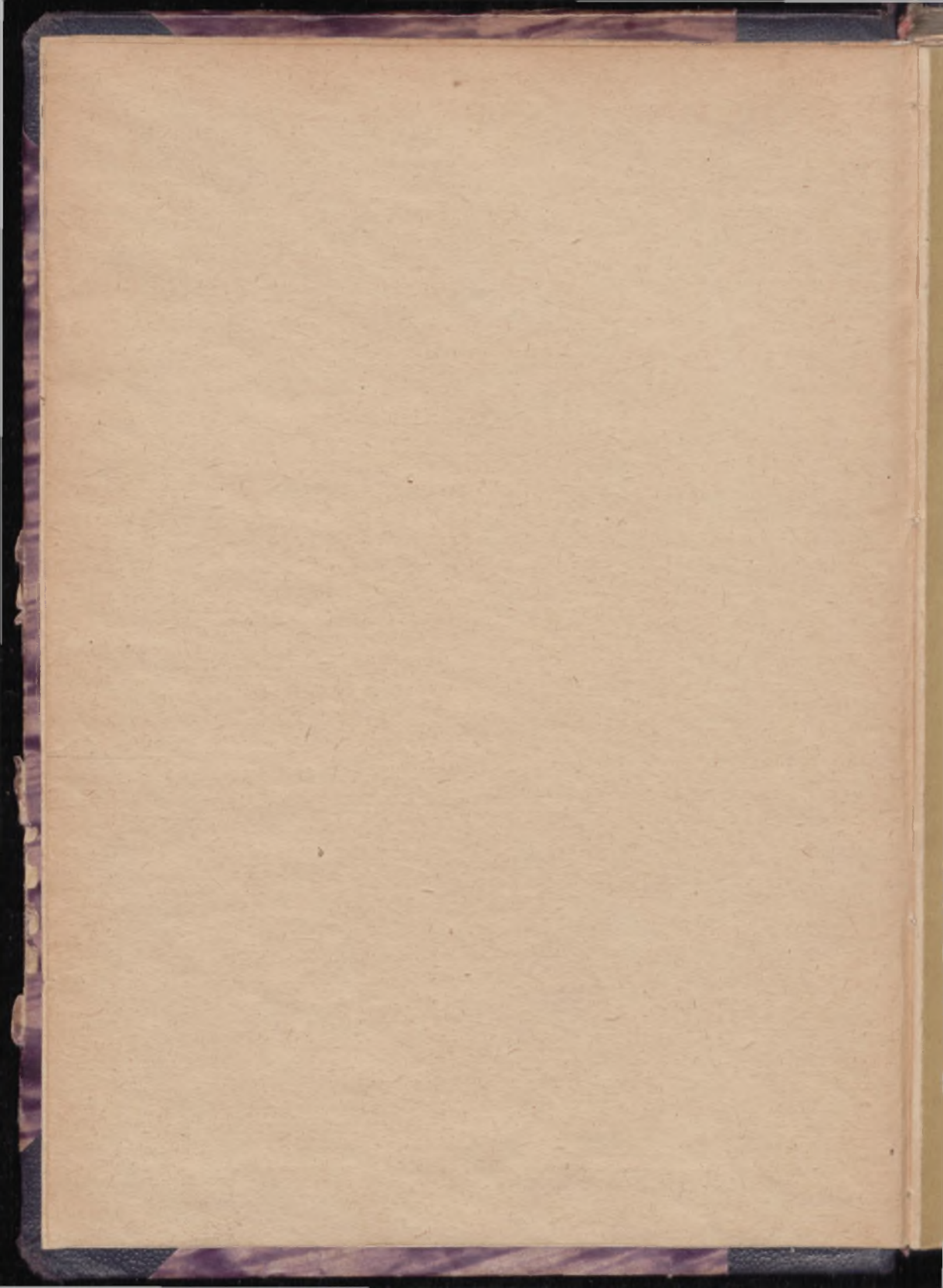
524592

2.









JAROSLAV HAŠEK



**PRZYGODY DOBREGO
WOJAKA SZWEJKA**

· KSIĄŻKA & WIEDZA ·

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

JAROSLAV HAŠEK
*
PRZESŁAWNE LANIE

W. 14

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA SZWEJKA
PODCZAS WOJNY ŚWIATOWEJ

I

Szwejk na tyłach

II

Szwejk na froncie

III

Przesławne lanie

IV

Po przesławnym laniu

JAROSLAV HAŠEK

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA
SZWEJKA

PODCZAS
WOJNY ŚWIATOWEJ

★ ★ ★

Przesławne lanie

• KSIĄŻKA I WIEDZA •
Spółdzielnia Wydawnicza

Warszawa 1949

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza”
Warszawa
Printed in Poland
Marzec 1949 rok

*

Autoryzowany przekład z czeskiego
P. HULKI-LASKOWSKIEGO

*

Okładkę projektował
IGNACY WITZ

*

Z praw wydawniczych
Towarzystwa Wydawniczego „Rój”



W. 524.592

F. 37601

Tłoczono 15.370 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” w Wałbrzychu
Obj. 15,50 ark. Papier dziółowy kl. V, 70 g, 61x88 mm

1949 601047 / 2.c

I

Przez Węgry.

Nareszcie wszyscy doczekali się chwili, w której powpychano ich do wagonów w stosunku 42 szeregowców do ośmiu koni. Koniom podróżowało się, oczywiście, wygodniej niż szeregowcom, bo mogły spać stojąc, ale to nic nie szkodziło. Pociąg wojskowy wiozł do Galicji nową gromadę ludzi na rzeź.

Na ogół wszakże wszystkie te biedne stworzenia doznały ulgi. Gdy pociąg ruszył, miało się poczucie czegoś określonego, podczas gdy przedtem była tylko męcząca niepewność, panika, bo nikt nie wiedział, czy się pojedzie dzisiaj, jutro czy pojutrze. Niejeden czuł się jak skazaniec, wyczekujący ze strachem ukazania się kata; żeby już nareszcie mieć spokój, żeby już był koniec.

Toteż jeden z żołnierzy wrzeszczał jak pomylony: — Jedziemy! Jedziemy!

Sierżant rachuby Waniek miał zupełną rację, gdy mawiał do Szwejka, że nie ma się co śpieszyć.

Zanim nadeszła chwila wsiadania do wagonów, upłynęło kilka dni, a przy tym stałe gadało się o konserwach, chociaż doświadczony Waniek zapewniał, że to tylko fantazja. Co znowu za konserwy? Msza polowa, to i owszem, bo i przy poprzedniej marszkompanii było to samo. Jeśli są konserwy, to

mszy polowej nie ma. W razie przeciwnym msza polowa zastępuje konserwy.

Zamiast więc konserw gulaszowych ukazał się oberfeldkurat Ibl, który za jednym zamachem zabił trzy muchy. Odprawił mszę polową od razu dla trzech marszbatalionów: dwa z nich pobłogosławił na drogę do Serbii, a jeden do Rosji.

Wygłosił przy tej sposobności natchnioną mowę i widać było, że materiał czerpał z kalendarzy wojskowych. Mowa ta była tak wzruszająca, że gdy już byli w drodze na Moszon, Szwajk, który znajdował się w wagonie razem z Wańkiem, w zaimprovizowanej kancelarii, przypomniał sobie to przemówienie i rzekł do sierżanta rachuby: — Morowo będzie, jak mówił pan feldkurat, gdy się dzień nachyli ku wieczorowi i słońce ze swymi złocistymi promieniami zajdzie za górami, a na poboju słychać będzie, jak wywodził, ostatnie westchnienia umierających, stękanie rannych koni, jęki rannych szeregowców i narzekanie mieszkańców, którym popodpalano strzechy nad głowami. Okropnie lubię, gdy ludzie bałwanieją do kwadratu.

Waniek kiwnął głową na znak, że się zgadza: — Przykład był pieruński i wzruszający.

— Ładny też był i bardzo pouczający — rzekł Szwajk. — Bardzo dobrze to sobie zapamiętałem i gdy powrócę z wojny do domu, to będę o tym opowiadał „Pod kielichem“. Pan feldkurat rozkraczył się jeszcze tak ładnie, gdy do nas przemawiał, że się bałem, żeby mu się jeden giczoł nie pośliznął, bo byłby mógł upaść na ołtarz polowy i skaleczyć sobie nos o monstrancję. Dawał nam taki piękny przykład z dziejów naszej armii, kiedy to jeszcze służył Radecki, a z zorzą wieczorną łączył się płomień gorejących stodół. Mówił ładnie, jakby patrzył na to.

Tegoż samego dnia oberfeldkurat Ibl był już w Wiedniu i innemu znowu marszbatalionowi wykladał wzruszającą hi-

storie, o której mówił Szwejk, a która tak mu się podobała, że nazwał ją bałwanieniem do kwadratu.

— Kochani żołnierze — przemawiał oberfeldkurat Ibl — pomyślcie sobie dajmy na to, że mamy rok czterdziesty ósmy i że zwycięstwem zakończyła się bitwa pod Custozzą, gdzie po pięciogodzinnej upartej walce włoski król Albert musiał oddać krwawe pobojowisko naszemu ojcu żołnierzy, marszałkowi Radeckiemu, który w osiemdziesiątym czwartym roku życia odniósł tak świetne zwycięstwo.

— I patrzajcież, żołnierze mili! Na wzgórzu przed zdobytą Custozzą zatrzymał się sędziwy wódz w otoczeniu swoich wiernych generałów. Powaga chwili spoczęła na całym tym kole, albowiem, żołnierze, w nieznaczej odległości od marszałka można było widzieć bojownika walczącego ze śmiercią. Z członkami strzaskanymi na polu chwały czuł ranny chorąży Hart, że spogląda nań marszałek Radecki. Pocziwy ranny chorąży ścisnął jeszcze w tężejącej prawicy złoty medal, a pierś jego pełna była natchnienia. Gdy spojrzął na wzniesłego marszałka, serce jego ożywiło się jeszcze raz, przez porażone ciało przebiegła resztką siły i umierający nadludzkim wysiłkiem próbował przyczołgać się do swego marszałka.

— Nie fatyguj się, pocziwy żołnierzu — zawołał nań marszałek, zsiadł z konia i chciał mu podać rękę.

— Nie da się zrobić, panie marszałku — rzekł umierający żołnierz — ponieważ obie ręce mam utracone, ale o jedno proszę: niech mi pan marszałek powie prawdę: Wygraliśmy tę bitwę?

— Zupełnie, mój bracie — odpowiedział uprzejmie marszałek. — Szkoda, że radość twoja jest zamącona ranami twymi.

— Tak jest, dostojny panie, ze mną koniec — głosem złamanym rzekł żołnierz uśmiechając się przyjemnie.

— Chce ci się pić? — zapytał Radecki.

— Dzień był gorący, panie marszałku, mieliśmy 30 stopni ciepła.

Wtedy Radecki sięgnął po feldflaszkę swego adiutanta i podał ją umierającemu. Ów napił się łyknąwszy porządnie.

— Bóg zapłać tysiąckrotnie! — zawołał usiłując pocałować w rękę swego wodza.

— Jak dawno służysz? — zapytał marszałek.

— Przeszło czterdzieści lat, panie marszałku! Pod Aspern wysłużyłem złoty medal. Także pod Lipskiem byłem, kanonierski krzyż mam też, pięć razy byłem śmiertelnie ranny, ale teraz już koniec, na amen. Lecz co za szczęście i radość, iż doczekałem dnia dzisiejszego. Co mi tam śmierć, gdy odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, a cesarzowi została przywrócona jego ziemia!

— W tej chwili, żołnierze, z obozu ozwały się majestatyczne dźwięki naszego hymnu: „Boże ochroń, Boże wspieraj“. Wzniosłe i potężnie płynęły nad pobojowiskiem. Ranny żołnierz, żegnający się z życiem, jeszcze raz próbował powstać.

— Niech żyje Austria! — zawołał z zapalem. — Niech żyje Austria! Niech grają dalej tę wspaniałą pieśń! Niech żyje nasz wódz! Niech żyje armia!

— Umierający pochylił się jeszcze raz ku prawicy marszałka, którą pocałował, opadł na ziemię i ciche ostatnie westchnienie wydarło się z jego szlachetnej duszy. Wódz stał nad nim z głową obnażoną, spoglądając na trupa jednego z najdzielniejszych żołnierzy. — Taki piękny koniec godzien jest zawiści — rzekł marszałek ukrywając wzruszoną twarz w złożonych dłoniach.

— Kochani żołnierze, ja i wam życzę, abyście się wszyscy doczekali takiego pięknego końca.

Wspominając tę mowę oberfeldkurata Ibla, mógł Szejnk bez najmniejszej obawy pokrzywdzenia kogokolwiek nazwać ją bałwanieniem do kwadratu.

Potem zaczął Szejnk mówić o znanych rozkazach, które były odczytywane już przed wsiadaniem do pociągu. Jeden z tych rozkazów był podpisany przez Franciszka Józefa i zwraca

cał się do armii, a drugi był rozkazem arcyksięcia Ferdynanda, głównodowodzącego armii i grupy wschodniej, zaś oba dotyczyły wydarzeń z przełęczą Dukielskiej z dnia 3 kwietnia roku 1915, kiedy to dwa bataliony 28 pułku razem z oficerami przeszły do Rosjan przy dźwiękach wojskowej kapeli.

Oba rozkazy zostały odczytane głosem drżącym i brzmiały w przekładzie tak:

Rozkaz do armii z dnia 17 kwietnia 1915.

Przepelniony bólem rozkazuję, aby c. k. pułk pieszy Nr 28 za tchórzostwo i zdradę główną wymazany został z mego wojska. Sztandar pułkowy ma być odebrany pohańbionemu pułkowi i oddany do muzeum wojskowego. Z dniem dzisiejszym przestaje istnieć pułk, który już w domu moralnie zatruty, wyruszył w pole, aby się dopuścić zdrady głównej.

Franciszek Józef I

Rozkaz arcyksięcia Józefa Ferdynanda:

Oddziały czeskie zawiodły, osobliwie w bitwach ostatnich. Zawiodły specjalnie przy obronie pozycji, na których znajdowały się przez czas dłuższy w rowach strzeleckich, z czego skorzystał nieprzyjaciel dla nawiązania stosunków i komunikacji z nikczemnymi żywiołami tych oddziałów.

Zazwyczaj zmierzały potem ataki nieprzyjaciela, wspieranego przez tych zdrajców, przeciw tym odcinkom na froncie, które były obsadzone przez takie oddziały.

Często udawało się nieprzyjacielowi zaskoczyć nasze oddziały i niemal bez walki dotrzeć do naszych pozycji, przy czym zagarniano do niewoli bardzo znaczną liczbę obrońców.

Po tysiackroć hańba, wstyd i pogarda tym nędznikom, którzy dopuścili się zdrady cesarza i państwa i splamili nie tylko cześć wspaniałych sztandarów naszej sławnej i dzielnej armii, lecz także cześć tej narodowości, do której należą.

Prędzej czy później nie minie ich kula lub powróż kata.

Obowiązkiem każdego czeskiego żołnierza, który ma honor w ciele, jest, aby dowódcy swemu wskazywał takich nikczemnych podszczuwaczy i zdrajców.

Kto tego nie uczyni, jest takim samym zdrajcą i nikczemnikiem.

Rozkaz ten ma być przeczytany wszystkim szeregowcom pułków czeskich.

C. k. pułk nr 28 rozkazem naszego monarchy został wykreślony z armii, a wszyscy wzięci do niewoli dezertarzy tego pułku krwią swoją zapłacą za swoją ciężką winę.

Arcyksiążę Józef Ferdynand.

— Przeczytali nam tę rzecz trochę przypóźno — rzekł Szwejk do Wańka. — Bardzo się dziwię, że nam przeczytali ten befel dopiero teraz, kiedy najjaśniejszy pan wydał go 17 kwietnia. Wygląda to tak, jakby dla jakichś tam powodów nie chcieli nam byli przeczytać tego od razu. Żebym ja był najjaśniejszym panem, to bym się nikomu nie dał upośledzać w taki sposób. Jak wydaję befel 17 kwietnia, to 17 ma być odczytany wszystkim regimentom, choćby szydła z nieba padały.

Na drugiej stronie wagonu naprzeciwko Wańka siedział kucharz-okultysta z kuchni oficerskiej i coś pisał. Za nim siedzieli: pucybut nadporucznika Lukasz, brodaty olbrzym Baloun i telefonista przydzielony do 11 marszkompanii, Chodounsky. Baloun przeżuwał kawałek komisiśniaka i wystraszony tłumaczył Chodounskiemu, że to nie jego wina, iż w tym tłoku przy wsiadaniu do wagonów nie mógł się dostać do wagonu sztabowego do swego nadporucznika.

Chodounsky straszył go, że teraz nie ma żartów i że za to będzie rozstrzelany.

— Żeby też już raz skończyło się to straszne biedowanie — narzekał sobie Baloun. — Już podczas manewrów pod Woticami omal życiem nie przypląciłem służenia w wojsku. Pędzili nas o głodzie i pragnieniu, więc gdy podjechał do nas batalionsadiutant, to krzyknąłem: — Dajcie nam chleba i wody! — Zawrócił ku mnie konia i rzekł, że gdyby to było czasu wojny, to kazałby mi wyjść z szeregu i zostałbym rozstrzelany, ale że nie było wojny, więc, powiada, każe mnie wsadzić do aresztu garnizonowego. Ale miałem szczęście, bo gdy jechał

do sztabu, żeby o tym donieść, po drodze spłoszył się jego koń, adiutant spadł i chwała Bogu skrzył sobie kark.

Baloun ciężko westchnął i zakaszłał się, bo mu zaskoczył do gardła kawałek chleba. Gdy wreszcie odzipnął, spojrział okiem żalonym na dwa toboły nadporucznika Lukasz, które były pod jego opieką.

— Panowie oficerowie fasowali — mówił melancholijnie — konserwy. Wątróbkę i salami węgierskie. Zjadłoby się ździebko.

Spoglądał przy tym z taką tęsknotą na oba tobołki swego nadporucznika jak piesek, który, przez wszystkich opuszczony, jest głodny jak wilk i siedząc przed sklepem wędliniarza, wdycha zapach gotowanej wędzonki.

— Nie szkodziłoby — rzekł Chodounsky — żeby na nas czekali gdzieś z dobrym obiadem. Kiedyśmy na początku wojny jechali do Serbii, tośmy się stale obżerali, bo na każdej stacji byliśmy fetowani. Z gęsich udek wycinaliśmy kostki najlepszego mięsa i tymi kostkami grywaliśmy w wilka i owce na płytkach czekolady. W Osieku w Chorwacji jacyś dwaj panowie ze stowarzyszenia weteranów przynieśli nam do wagonu duży kocioł pieczonych zajęcy, ale już tego nie mogliśmy wytrzymać i wyleliśmy im wszystko na łeb. Przez całą drogę nic innego nie robiliśmy, tylkośmy z okien wagonów rzygali. Kapral Matiejka w naszym wagonie tak się przeżarł, że trzeba było położyć mu deskę na brzuchu i skakać po niej, jak to się robi, gdy się ubija kapustę, i dopiero to go ruszyło; ale porządnie: górą i dołem. Kiedyśmy przejeżdżali przez Węgry, to oknami wagonów rzucano nam pieczone kury na każdej stacji. Ale my wybieraliśmy z tych kur tylko mózdzki. W Kapofsalva wrzucali nam Madziarowie do wagonów kawały pieczonych prosiąt, a jeden kolega dostał w łeb pieczoną wieprzową główizną i to go tak rozżłościło, że z bagnetem w ręku gonił ofiarodawcę przez trzy tory. Ale w Bośni nie dostaliśmy nawet wody do picia, chociaż przedtem pomimo zakazu mieli-

śmy wielki wybór najróżniejszych wódek i mogliśmy pić ile włąło. Wino lało się strumieniami. Pamiętam, że na jakiejś stacji panienki i panusie częstowały nas piwem, ale myśmy im w konewki na..... i trzeba ci było wiedzieć, jak damule wiały od wagonów!

— Przez całą drogę od tego żarcia i picia byliśmy jak nie-swoi. Nie umiałem już nawet odróżniać asa żołądnego od dzwonkowego, a tu raptem rozkaz! Gry nie można było do-kończyć i wszyscy wysiadać! Jakiś kapral, nie pamiętam już, jak mu było, krzyczał na swoich ludzi, żeby śpiewali: „Und die Serben müssen sehen, dass wir Oesterreicher Sieger, Sieger sind“. Ale ktoś go kopnął w zadek, a on zwałił się na szyny. Potem krzyczeli, żeby karabiny ustawić w piramidy, a pociąg zaraz ruszył i pojechał z powrotem pusty, tyle tylko, jak to już bywa w takiej panice, że zabrał z sobą prowianty, których było na dwa dni. A o kawaleczek dalej już zaczęły pękać szrapnele. Nie wiadomo skąd przyjechał batalionskomendant i zwołał wszystkich na naradę, a potem przyszedł nasz oberlejtnant Macek, Czech jak drąg, ale mówił tylko po niemiecku, blady był jak ściana i powiada, że dalej jechać nie można, bo tor wysadzony w powietrze, w nocy Serbowie przeprawili się przez rzekę i są teraz na lewym skrzydle. Ale że są jeszcze daleko od nas. Mają przyjąć posiłki, a potem posiekamy Serbów na drobno. No i żeby się nikt nie poddawał w razie czego, bo Serbowie urzynają jeńcom uszy, nosy i wykluwają oczy. A to, że niedaleko nas pękają szrapnele, to głupstwo: przystrzeliwuje się nasza artyleria. Nagle gdzieś za górą ozwało się: tatatatata. I to nic: nasze karabiny maszynowe też się przestrzeliwują. Potem z lewej strony ozwała się kanonada, a że to było dla nas nowością, więc słuchaliśmy jej leżąc na brzuchach. Nad nami przeleciało kilka granatów, dworzec stanął w płomieniach, a z prawej strony nad nami zaczęły gwizdać kule. W dali słychać było trzaskanie salw karabinowych. Oberlejtnant Macek kazał

rozebrać piramidy i nabijać karabiny. Wachmistrz podszedł do niego i powiedział mu, że to się nie da zrobić, bo nie mamy przy sobie żadnej amunicji. Sam przecie wie, że amunicję mieliśmy fasować dopiero na dalszym etapie przed pozycją. Pociąg z amunicją szedł przez nami, ale już go pewno Serbowie mają w swoich rączkach. Oberlejtnant Macek stał przez chwilę jak słup, a potem wydał rozkaz: *Bajonett auf!* Sam pewno nie wiedział, dlaczego wydał taki rozkaz. Tak mu się z rozpaczy wymówiło, żeby wyglądało, że się coś robi. Potem przez dość długą chwilę staliśmy w pogotowiu, następnie czołgaliśmy się po torze kolejowym, bo pokazał się jakiś aeroplan, a szarże wrzeszczały: „*Alles decken! Decken!*“ Okazało się, oczywiście, że to nasz, ale już go nasza artyleria przez pomyłkę podstrzeliła. Więc wstaliśmy, ale znikąd żadnego rozkazu. Skądś wyrwał się raptem jakiś kawalerzysta i jeszcze z daleka krzyczał: — *Wo ist Bataillonskommando?* — Komendant batalionu wyjechał mu na spotkanie, tamten podał mu jakieś pismo i pędził dalej na prawo. Batalionskomendant czytał sobie to pismo i raptem zwariował. Wyrwał szablę i pędził ku nam. — *Alles zurück! Alles zurück!* — ryczał na oficerów. — *Direction Mulde. Einzeln abfallen!* — I zaraz się rozpoczął dopust Boży. Jakby tylko na to czekali, że wszystkich stron zaczęli w nas palić. Po lewej stronie było pole kukurydzy podobne do piekła. Na czworakach czołgaliśmy się ku dolinie, a plecaki zostawiliśmy na tym przeklętym torze. Oberlejtanta Macka dojechała jakaś kula od prawej strony w głowę; zwałił się i ani pisnął. Zanim uciekliśmy do doliny, mieliśmy masę rannych i zabitych. Nie troszczyliśmy się o nich i pędziliśmy aż do wieczora, a cała okolica była już przed nami jak wymieciona. Wdzieliśmy tylko złupione tabory. Nareszcie dotarliśmy do stacji, gdzie już czekały nowe rozkazy, żeby wsiadać do pociągu i jechać z powrotem do sztabu, ale tego rozkazu wykonać nie mogliśmy, ponieważ cały sztab dostał się dnia poprzedniego



do niewoli, o czym dowiedzieliśmy się dopiero rano. Byliśmy wtedy jak te sieroty, bo nikt o nas nie chciał wiedzieć. Przyłączyli nas do 73 pułku, żebyśmy razem z nim uciekali, co zrobiliśmy z największą przyjemnością, chociaż przedtem musieliśmy maszerować prawie cały dzień, zanim dostaliśmy się do 73 pułku. No a potem...

Nikt go już nie słuchał, bo Szwejk z Wańkiem grali w zechcyka, kucharz-okultysta z kuchni oficerskiej pisał dalej swój obszerny list do żony, która podczas jego nieobecności zaczęła wydawać nowe pismo teozoficzne. Baloun poddrzemował na ławie, więc telefoniście Chodounskiemu nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak zakończyć opowiadanie: — Tak, tak, tego nie zapomnę nigdy...

Wstał i zaczął kibicować przy zechcyku.

— Mógłbyś mi pan przynajmniej fajkę zapalić — rzekł Szwejk po przyjacielsku do Chodounskiego — skoro zabierasz się pan do kibicowania. Zechcyk to rzecz daleko ważniejsza niż cała wojna i niż cała ta wasza głupia awantura na serbskiej granicy. — A ja tu robię takie głupstwa, że tylko się po pysku prać. Nie trzeba było poczekać z tym królem? Akurat się dama przypętała. Bydlę jestem i tyle.

Tymczasem kucharz-okultysta dokończył swój list i odczytywał go z widocznym zadowoleniem, że tak ładnie go ułożył dla cenzury wojskowej.

Kochana żono!

Gdy otrzymasz ten list, to ja już od kilku dni znajdować się będę w pociągu wiozącym nas na front. Nie bardzo mi tu przyjemnie, ponieważ w pociągu się próżnuje i nie ma nic do roboty, jako że w drodze nie gotujemy, a jedzenie dostajemy na etapach stacyjnych. Z przyjemnością byłbym w drodze przez Węgry przyrządził dla naszych panów oficerów szegedyński gulasz, ale nic z tego. Może po przyjeździe do Galicji uda mi się przyrządzić dla nich smakowicie gęś duszoną w kaszy lub w ryżu. Wierz mi, kochana Helenko, że robię wszystko, co tyl-

ko mogę, aby naszym panom oficerom uprzyjemnić życie przy ich troskach i wysiłkach. Z pułku zostałem przeniesiony do marszbatalionu, co było moim najgorętszym pragnieniem, abym mógł i przy naszych skromnych środkach doprowadzić połowę kuchni oficerską do należytego porządku. Pamiętasz jeszcze, kochana Helenko, że przy rukowaniu życzyłaś mi uprzejmych przełożonych? Życzenie twoje spełniło się, i nie tylko, że nawet w najdrobniejszych sprawach narzekać nie mogę, ale przeciwnie, wszyscy panowie oficerowie są naszymi prawdziwymi przyjaciółmi i szczególnie co do mnie zachowują się jak rodzeni ojcowie. Niebawem podam ci numer naszej poczty polowej...

List ten wymuszony był okolicznościami, a mianowicie tym, że kucharz-okultysta ostatecznie popadł w niełaskę u pułkownika Schrödera, który go dotychczas popierał, a dla którego na pożegnalnym wieczorku oficerów marszbatalionu, znowuż nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie starczyło zawijanej nerki cielecej i za to pułkownik Schröder wyprawił go z marszkompanią na front, a oficerską kuchnię oddał pod opiekę jakiemuś nieszczęśliwemu nauczycielowi z instytutu dla ociemniałych w Klarowie.

Kucharz-okultysta przeczytał jeszcze raz wszystko, co dożony napisał, a co wydawało mu się bardzo dyplomatyczne. Chodziło bowiem o to, żeby się jako tako utrzymać jak najdalej od linii bojowej, bo chociaż ludzie gadają tak i owak, każdy się na froncie dekuje, jak może.

Dekował się tedy i on, chociaż w cywilu jako redaktor napisał był do swego czasopisma, poświęconego wiedzy tajemnej, artykuł o tym, że nikt nie powinien bać się śmierci, oraz artykuł o wędrówce dusz.

Teraz podszedł do Szwejka i Wańka, aby kibicować. Między obu graczami zatarły się w tej chwili wszystkie różnice stopni wojskowych. Nie grali już we dwóch, bo przysiadł się do nich na trzeciego Chodounsky. Ordynans Szwejk po grubiąnsku beształ sierżanta Wańka:

— Dziwię się, że mógł pan zagrać tak idiotycznie. Czy pan nie słyszy, co on melduje? Ja nie mam ani jednego dzwonka, a pan zamiast rzucić dziewiątkę, rzucasz jak ostatni idiota żółednego waleta i ta małpa skutkiem tego wygrywa.

— Żeby znowu tak pysk rozpuszczać o głupiego waleta! — brzmiała uprzejma odpowiedź sierżanta rachuby. — Sam pan grasz jak skończony idiota. Skąd ja mam brać dzwonkową dziewiątkę, kiedy też nie mam ani jednego dzwonka. Miałem tylko wysokie wina i żółędzie, osłe jeden!

— To trzeba było deklarować „durcha“ i nie robić cymbalstwa — odpowiedział Szwejk z uśmiechem. — Tak samo było kiedyś u Walszów, na dole w restauracji. Też jeden taki fujara miał „durcha“, ale zamiast go zadeklarować, odrzucał po jednej swoje słabe karty i każdemu dał wygrać. A co za karty miał! Z wszystkich kolorów najwyższe. Tak samo jak i teraz nic bym z tego nie miał, gdyby pan, zamiast żółednego waleta, rzucił dziewiątkę. Wtedy ja nie wytrzymałem i mówię: — Panie Herold, graj pan „durcha“ i nie bałwań się pan! — A ten na mnie z pyskiem, że może grać, co mu się podoba, bo był na uniwersytecie. Ale nie opłaciło mu się stawić. Restaurator był dobry znajomy, z kelnerkami byliśmy w zażyłej przyjaźni, więc gdy tamten wołał policję, tośmy policjantowi wszystko akuratnie wytłumaczyli, że się nic nie stało, tylko ten pan zgoła ordynarnie zakłóca ciszę nocną wołaniem policji, bo się przed restauracją sam pośliznął i upadł tak niezgrabnie, że nosem worał się w trotuar, więc ma nos potłuczony. A myśmy go nawet palcem nie tknęli, chociaż fałszywie grał w zechcyka. Dopiero gdyśmy jego fałszowanie dostrzegli, to tak szybko wybiegł z restauracji, aż się przewrócił. Restaurator i kelnerki przyświadczyli bardzo chętnie, że zachowywaliśmy się wobec tego pana bardzo grzecznie. Ale dobrze mu tak, bo na nic lepszego nie zasłużył. Siedzi sobie taki od siódmej wieczór aż do północy przy jednym piwku i sodowej wodzie, puszy się niby wielki pan, że jest profeso-

rem uniwersytetu, a na „zechcyku“ zna się jak koza na pieprzu. Kto teraz rozdaje?

— Zagrajmy w oczko — proponował kucharz-okultysta.

— W takim razie opowiadaj nam pan lepiej coś o wędrowce dusz — rzekł sierżant rachuby — jakieś pan opowiadał pannie w kantynie wtedy, coś to sobie potłukł nos.

— O wędrowce dusz także już słyszałem — odezwał się Szejnk. — Już przed laty postanowiłem zabrać się z przeproszeniem do samokształcenia, jak to się mówi, żeby dotrzymać kroku postępowi. Więc chodziłem do czytelni Związku Przemysłowego w Pradze, ale ponieważ byłem obdarty, a dziurami przeświecał mi zadek, więc mnie do czytelni nie wpuścili, bo myśleli, że przyszedłem kraść palta. Ubrałem się tedy po świętecznemu, poszedłem do czytelni muzealnej i wypożyczyłem tam sobie taką jedną książkę o wędrowce dusz. Czytałem ją ze swoim kolegą i doczytałem się w niej, że pewien cesarz indyjski po śmierci przemienił się w świnie, a gdy tę świnie zarznęli, przemienił się w małpę, z małpy stał się jamnikiem, a z jamnika stał się ministrem. Potem, kiedy już służył w wojsku, przekonałem się, że w tym musi być trochę prawdy, bo kto tylko miał jaką gwiazdkę na kołnierzu, nazywał wszystkich żołnierzy albo morskimi świniami, albo jakimi innymi zwierzętami, z czego dałoby się łatwo wywnioskować, że ci prości żołnierze musieli kiedyś być sławnymi wodzami. Ale podczas wojny wędrowka dusz jest rzeczą bardzo głupią. Diabli wiedzą, ile to trzeba przeżyć różnych przemian, zanim się człowiek stanie, powiedzmy, telefonistą, kuchaczem czy frajtre, a tu raptem poszarpie go granat, dusza jego przechodzi w konia artyleryjskiego, a w całą baterię, gdy się przystrzeliwuje, wali znowu granat i zabija konia, w którego wcielił się ten nieboszczyk, i znowu dusza przeprowadza się w pierwszą lepszą krowę przy toborach, a z tej krowy robią gulasz dla żołnierzy, a dusza krowy przechodzi w telefonistę, z telefonisty...

— Dziwię się — rzekł Chodounsky dotknięty do żywego — że akurat ja mam być celem idiotycznych dowcipów.

— Czy ten Chodounsky, co ma prywatny zakład wywiadowczy z takim okiem na szyldzie, które oznacza trójcę Bożą, nie jest krewnym pańskim? — zapytał Szwejk z miną niewinną, jakby nigdy nic. — Bo przed laty służyłem w wojsku z pewnym prywatnym detektywem, z niejakim Stendlerem. Ten detektyw miał taką guzowatą głowę, że nasz feldfelbel mawiał do niego, że w ciągu dwunastu lat widział w wojsku dużo guzowatych głów, ale takiej to nawet w duchu sobie nie wyobrażał. — Słuchajcie, Stendler — mawiał do niego — gdyby latoś nie wypadały manewry, to wasza guzowata głowa nie zdałaby się na nic, ale ponieważ są manewry, więc artyleria będzie się podług waszej głowy przystrzeliwała, gdy dostaniemy się w okolice, w których nie będzie żadnego lepszego punktu orientacyjnego! — Nadokuczał mu ten feldfelbel. Czasem podczas marszu wysyłał go o parę kroków naprzód, a potem komenderował: „Direction guzowata głowa“. Ten pan Stendler miał w ogóle pecha także jako detektyw prywatny. Ile razy opowiadał nam w kantynie, jakie to miewał zgryzoty! Otrzymywał na przykład takie zadania, żeby wysledzić, czy małżonka takiego a takiego klienta, który przyleciał do nich na pół nieprzytomny, nie zwąchała się z jakim innym panem, a jeśli się zwąchała, to z kim, gdzie i kiedy. Albo odwrotnie. Taka zazdrosna niewiasta przyleciała, żeby się dowiedzieć, z którą też przyjaciółką jej mąż się wdaje, i żeby móc następnie zrobić piekło mężowi. Był to człowiek wykształcony, mówił bardzo oględnie o naruszeniu wierności małżeńskiej i omal że nie płakał, gdy nam opowiadał, że wszyscy chcieli od niego, żeby przyłapał in flagranti ją albo jego. Drugi cieszyłby się z tego, że może przyłapywać takie pary in flagranti, i dostałby na oczach odciski od patrzenia, ale ten Stendler przypłacał te przyjemności zdrowiem, jak nam o tym opowiadał. Mówił nam bardzo inteligentnie, że na

te plugawe wszeteczeństwa już nawet patrzeć nie mógł. Nam się nieraz śliny w gębie zbierały jak psu, gdy węszy w pobliżu gotowaną szynkę, kiedy nam opowiadał o najróżniejszych sytuacjach, w jakich te tropione pary przyłapywał. Gdy mieliśmy koszarówkę, to nam o tym bardzo szczegółowo opowiadał: „Tak i tak — powiada — widziałem tę a tę panią z tym a tym panem“. Nawet adresy nam podawał i był taki smutny. Ile ja się nabrałem po gębie od jednej strony i od drugiej! Ale i to mnie tak nie zasmucało, jak raczej to, że brałem łapówki. O jednej takiej łapówce nie zapomnę do samej śmierci. On bez ubrania, ona bez ubrania. W hotelu, i nie zamknęli się na klucz, idioci! Na otomanie się nie zmieścili, bo oboje byli zażywni, więc baraszkowali na kobiercu jak kociaki. A kobierzec był już zdeptany, zakurzony i pełno na nim było niedopałków papierosów. Gdy wszedłem do pokoju, oboje zerwali się na równe nogi. On stał przede mną i ręką zasłaniał się jak figowym listkiem. Ona odwróciła się do mnie tyłem i widać było na jej skórze odbicie kratkowanego wzorca kobierca, a na zadku miała przylepiony niedopałek papierosa. — Przepraszam, mówię, panie Zemku, jestem prywatny detektyw Stendler, od Chodounskiego, i mam urzędowy obowiązek przyłapania pana in flagranti na zasadzie meldunku pańskiej małżonki. Ta oto dama, z którą utrzymuje pan stosunki zakazane, to pani Grotowa. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem obywatela tak spokojnego. — Pozwoli pan, powiada, że się ubiorę. — Mówił tak, jakby się wszystko układało samo przez się. — Wina jest wyłącznie po stronie mojej małżonki, która swoją nieuzasadnioną zazdrością zmusza mnie do niedozwolonych stosunków, a powodując się marnymi podejrzeniami, obraża męża przytykami i ohydną nieufnością. — Ale jeśli już nie ma wątpliwości i hańby nie da się ukryć... Gdzie moje gacie? — zapytał przy tym zgoła spokojnie. — Na łóżku. — Podczas gdy wdziewał gacie, przemawiał do mnie dalej: — Gdy hańby nie da się ukryć, to się mówi: rozwód.

Ale tym się plamy pohańbienia nie ukryje. W ogóle rozwód, to sprawa ogromnie poważna — mówił dalej, ubierając się, i najlepiej, gdy małżonka uzbroi się w cierpliwość i nie daje powodu do zgorszenia publicznego. Zresztą rób pan, co uważasz za właściwe. Odchodzę i zostawiam pana z szanowną panią. — Pani Grotowa położyła się tymczasem do łóżka, pan Zemek podał mi rękę i wyszedł. — Już dobrze nie pamiętam, co nam dalej opowiadał o tej sprawie pan Stendler, ponieważ bardzo inteligentnie rozmawiał z tą damą w łóżku, oboje zaś zgodzili się na to, że małżeństwo nie jest od tego, żeby każdego prosto z mostu prowadzić do szczęścia, i że obowiązkiem każdego jest poskramianie chuci w małżeństwie i kształcenie charakteru oraz uduchowanie ciała. — Sam już — powiada — nie wiem, jak to się stało, że powoli zacząłem się rozbiierać, a gdy już byłem rozebrany i omamiony jak dziki jelen, wszedł do pokoju mój dobry znajomy, Stach, także detektyw prywatny z konkurencyjnego zakładu pana Sterna, do którego zwrócił się o pomoc pan Grot w sprawie swojej małżonki, która jakoby miała jakiś niedozwolony stosunek. — Aha, powiada tamten: pan Stendler in flagranti z panią Grotową. Winszuję! — Tylko tyle powiedział, cicho zamknął drzwi za sobą i poszedł. — Teraz już wszystko jedno — rzekła pani Grotowa — nie potrzebuje pan ubierać się tak szybko. Koło mnie masz pan dość miejsca. — A mnie, proszę pani, chodzi właśnie o miejsce — odpowiedziałem i już nawet nie bardzo wiedziałem, o czym mówię, tyle tylko pamiętam, że mówiłem coś o niesnaskach w małżeństwie i że skutkiem tych niesnasek cierpi także wychowanie dzieci. — Potem opowiadał jeszcze o tym, że się bardzo szybko ubrał i dał dęba, postanawiając, że wszystko natychmiast opowie swemu przełożonemu, panu Chodounskiemu, ale naprzód musiał się posilić, a gdy przyszedł do biura było już po wszystkim. Ten konkurencyjny detektyw Stach z rozkazu swego szefa żgnął Chodounskiego wiadomością o tym, jakich to ów pan ma urząd-

ników, a ten znowu nie wpadł na żaden lepszy koncept, tylko posłał natychmiast po małżonkę pana Stendlera, żeby się z nim załatwiła. Posyłają go z urzędowym zleceniem, a konkurencyjna firma przyłapuje go in flagranti. — Od tego czasu — mawiał zawsze pan Stendler, gdy się zgadało o takich rzeczach — mam łeb jeszcze bardziej guzowaty.

— Więc gramy dalej. Po pięć, po dziesięć?

Grali dalej. Pociąg zatrzymał się na stacji Moszon. Już był wieczór, więc nikogo nie wypuszczali z wagonów.

Gdy pociąg ruszył w dalszą drogę, z jednego wagonu ozwał się głos tak potężny, że przygłuszał turkotanie pociągu. Jakiś żołnierz z gór Kasperskich w nabożnym nastroju wieczorowym straszliwym rykiem opiewał cichą noc, spływającą na węgierskie równiny.

Gute Nacht! Gute Nacht!
Allen Müden sei's gebracht.
Neigt der Tag stille zu Ende
ruhen alle fleiss'gen Hände,
bis der Morgen ist erwacht.
Gute Nacht! Gute Nacht!

— Halt Maul, du Elender! — przerwał ktoś sentymentalnemu śpiewakowi i śpiewak zamilkł. Odciągnęli go od okna.

Ale pracowite ręce nie spoczęły do samego rana. Jak wszędzie przy blasku świeczek, tak i tutaj przy świetle małej lampki naftowej zawieszanej na ścianie, grano w karty, a gdy ktoś wpadał, Szwejk mówił o różnicach istniejących między różnymi gramy w karty i o sprawiedliwości tych gier. Przy jednej grze trzeba pamiętać o tym, przy drugiej o tamtym. W jednej jest przymus, w drugiej przymusu nie ma. Tu się ryzykuje mniej, tam więcej.

— Zagrajmy sobie w zdróweczko — zaproponował Waniek, a wszyscy zgodzili się chętnie.

— Czerwienna siódemka — meldował Szwejk, przekłada-

jąc karty. — Każdy stawia piątkę, a karty rozdaje się po cztery. Ruszajcie się i nie marudźcie.

Na twarzach wszystkich graczy malowało się takie zadowolenie, jakby nie było żadnej wojny i jakby pociąg nie wiozł ich ku pozycjom na krwawe walki i rzezie, ale jakby siedzieli w jakiej praskiej kawiarni przy stolikach do gry.

— Nawet nie przypuszczałem — mówił Szwejk po jednej rozgrywce — że gdy nic nie dostałem i trzeba było wymienić wszystkie karty, dostanę asa. Gdzie wam się pchać do mnie z królem! Przebijam go i tyle.

I podczas gdy tutaj przebijali króla asem, daleko na froncie królowie w grze ze sobą przebijali się swoimi poddanymi.

W wagonie sztabowym, gdzie siedzieli oficerowie marsz-batalionu, na początku podróży panowało dziwne milczenie. Większość oficerów pogrążona była w czytaniu małej książki w oprawie płóciennej z napisem: „Die Sünden der Väter. Novelle von Ludwig Ganghofer“. Wszyscy czytali tę książkę akurat na stronie 161. Kapitan Sagner, dowódca batalionu, stał przy oknie i trzymał w ręku tę samą książkę, podobnie na stronie 161 otwartą.

Rozglądał się po krajobrazie i zastanawiał się, w jaki by sposób jak najprzystępniej wytłumaczyć wszystkim, co z tą książką mają zrobić. Sprawa była jak najściślej tajna.

Oficerowie myśleli tymczasem, że pułkownik Schröder zgłupiał doszczętnie. Postrzelony był już dawno, ale nikt nie przypuszczał, że zgłupieje tak bardzo i szybko. Przed odejściem pociągu zwołał wszystkich do ostatniego „Besprechungs“, przy czym powiedział im, że każdy dostanie książkę „Die Sünden der Väter“ Ludwika Ganghofera i że książki te znajdują się w kancelarii batalionu.

— Panowie — rzekł z miną straszliwie tajemniczą — nie zapomnijcie nigdy o stronie 161! — Oficerowie, pogrążeni w studiowaniu tej strony, nie mogli się połapać, o co tu wła-

ściwie chodzi. Jakaś Marta na tej właśnie stronicy podeszła do biurka, wyjęła jakąś rolę i głośno wypowiadała się o tym, że publiczność musi współczuć z bohaterem tej roli. Potem na tej samej stronicy, zjawił się jakiś Albert, który stale usiłował żartować, a ponieważ był to fragment nieznanych zdarzeń opowiadanych uprzednio, wydawało się to wszystkim takim strasznym głupstwem, że nadporucznik Lukasz ze złości zmiażdżył w zębach cygarniczkę.

— Zgłupiał dziadyga — myśleli wszyscy — koniec z nim. Teraz dostanie się do ministerstwa wojny.

Kapitan Sagner powstał od okna, bo już sobie w głowie dokładnie ułożył przemówienie do oficerów. Nie miał zbyt wielkiego talentu pedagogicznego i dlatego tak długo musiał medytować nad planem wykładu o znaczeniu stronicy 161! Zanim zaczął swój wykład, przemówił do słuchaczy:

— Meine Herren! — naśladował pułkownika Schrödera, chociaż przed wejściem do wagonów mówił do nich: — Kameraden.

— Also, meine Herren... — I zaczął wykladać, że wczoraj wieczorem otrzymał od pułkownika instrukcje, dotyczące stronicy 161 utworu „Die Sünden der Väter“ Ludwika Ganghofer'a.

— Also, meine Herren — mówił uroczyście — są to informacje tajne, dotyczące nowego systemu szyfrowania depesz w polu. Kadet Biegler wyjął notatnik i ołówek i tonem jak najbardziej przyzwoitym rzekł: — Jestem gotów, panie kapitanie.

Wszyscy spojrzeli na tego głuptaka, którego lizusostwo w szkole jednorocznych ochotników graniczyło z idiotyzmem. Do wojska wstąpił jako ochotnik i zaraz przy pierwszej sposobności, gdy dowódca szkoły zapoznawał się ze stosunkami rodzinnymi uczni, powiedział mu, że przodkowie jego pisali się zrazu Büglerowie von Leuthold oraz że w herbie mieli skrzydło bociana z ogonem ryby.

Od tego czasu wszyscy nazywali go „skrzydłem bocianim z ogonem ryby“, prześladowali go okrutnie i traktowali z antypatią, wiedząc, że ojciec jego miał poczciwy handelek skórami zajęczymi i króliczymi, że więc nie ma się co puszyć. Tymczasem ten romantyczny zapaleniec robił wszystko, co było w jego mocy, aby pożreć wszystką wiedzę wojskową, wyróżniał się pilnością i znajomością nie tylko wszystkiego, czego trzeba było się nauczyć, ale i innych rzeczy, którymi sam przeladowywał sobie głowę, studiując pisma o sztuce wojennej i historii wojskowości. O tych rzeczach lubił zawsze gadać, dopóki nie nakazywano mu milczenia. W kole oficerów uważał siebie za równego oficerom wyższych stopni.

— Sie Kadet — rzekł kapitan Sagner — dopóki nie pozwolę panu mówić, masz pan milczeć, bo nikt się pana o nic nie pytał. Zresztą jesteś pan diabelnie sprytny żołnierz. Ja komunikuję panom informacje jak najściślej tajne, a pan chce je zapisywać w notatniku. Gdyby pan ten notatnik zgubił, to pójdzie pan pod sąd polowy.

Kadet Biegler miał jeszcze i to brzydkie przyzwyczajenie, iż przy każdej sposobności starał się każdego przekonać, iż właściwie on miał rację.

— Posłusznie melduję, panie kapitanie — odpowiedział — nawet przy ewentualnym zgubieniu notatnika, nikt nie odczyta moich notatek, bo ja stenografuję, a skrótów moich nikt odczytać nie zdoła. Używam angielskiego systemu stenografii.

Wszyscy spojrzeli na niego wzgardliwie, kapitan Sagner machnął ręką i mówił dalej:

— Mówiłem już o nowym sposobie szyfrowania depesz w polu, a jeśli panowie nie wiedzieli, dlaczego polecona im była właśnie jedna z nowel Ludwika Ganghofera „Die Sünden der Väter“, str. 161, to dodam, że to jest klucz do tej nowej metody, obowiązującej na podstawie nowego rozporządzenia sztabu korpusu, do którego zostaliśmy przydzieleni. Jak panowie wiecie, jest wiele metod szyfrowania

ważnych wiadomości w polu. Najnowsza, której my używamy, jest to cyfrowa metoda dopełniająca. Niniejszym podlegają unieważnieniu szyfry doręczone nam w ubiegłym tygodniu ze sztabu pułkowego jako przykłady praktyczne.

— Erzherzog Albrechtsystem — zamruczał pod nosem arcywilny kadet Biegler — Nr 8922 — R, przejęty z metody Gronfelda.

— Ten nowy system jest bardzo prosty — wywodził kapitan Sagner. — Osobiście otrzymałem od pana pułkownika książkę i informacje.

— Jeśli na przykład chodzi o rozkaz: — Auf der Kote 228, Maschinengewehrfeuer links richten — to otrzymujemy, moi panowie, taką depeszę:

Sache — mit — uns — das — wir —
aufsehen — in — die — versprochen —
die — Martha — dich — das — ängst-
lich — dann — wir — Martha — wir —
den — wir — Dank — wohl — regiekol-
legium — ende — wir — versprochen —
wir — gebessert — versprochen — wirk-
lich — denke — idee — ganz — herrscht
— Stimme — letzten.

A więc niesłychanie proste bez wszystkich zbędnych kombinacji. Ze sztabu idzie rzecz przez telefon do batalionu, z batalionu do kompanii. Dowódca otrzymawszy tę depeszę, odszyfrowuje ją w sposób następujący. Bierze „Die Sünden der Väter“, otwiera książkę na stronie 161 i na stronie przeciwległej u góry szuka słowa „Sache“. Proszę panów, po raz pierwszy słowo „Sache“ znajdujemy na stronie 160, jako kolejne słowo 52, więc na przeciwległej stronie odszukujemy 52 literę u góry. Zauważmy, że jest to litera „A“. Dalszym słowem depeszy jest „mit“. Na stronie 160 jest to słowo 7 w kolejnym porządku, a na stronie 161 odpowiada

mu litera „u“. Potem mamy „uns“, to jest, panowie będą łaskawi dobrze uważać, 88 słowo kolejne, odpowiadające 88 literze na stronicy 161, a tą literą jest „f“ i już mamy odszyfrowane słowo „Auf“. I tak postępujemy dalej, aż otrzymujemy rozkaz: „Na wzgórzu 228 ogień karabinów maszynowych kierować na lewo“. — Bardzo to jest dowcipne, moi panowie, proste i dla nikogo niedostępne bez klucza, którym jest stronica 161 książki Ludwika Ganghofera „Die Sünden der Väter“.

Wszyscy w milczeniu przypatrywali się uważnie nieszczęsnej stronicy i jakoś głęboko zastanawiali się nad nią. Przez chwilę panowało milczenie aż nagle ozwał się głos zaaferowanego kadeta Bieglera:

— Her Hauptmann, ich melde gehorsam:
Jezus Maria! Es stimmt nicht!

I sprawa rzeczywiście była wysoce zagadkowa.

Przy najlepszej woli i największym wysiłku żaden z oficerów prócz kapitana Sagnera nie znajdował na stronicy 160 tych słów, które miały wskazywać kolejne litery stronicy 161, będącej kluczem.

— Meine Herren — jękał się kapitan Sagner, gdy się przekonał, że rozpaczliwy krzyk kadeta Bieglera jest usprawiedliwiony — nie wiem, co to się stało. W mojej książce jest to, o czym mówię, w waszych tego nie ma.

— Pan pozwoli, panie kapitanie — odezwał się znowu kadet Biegler. — Pozwalam sobie zwrócić pańską uwagę, że powieść Ludwika Ganghofera składa się z dwóch części. Raczy pan się sam przekonać: na karcie tytułowej stoi: „Roman in zwei Bänden“. My mamy tom pierwszy, a pan ma tom drugi — wywodził pedantyczny kadet Biegler — i dlatego nasza stronica 161 nie odpowiada treścią pańskiej. My na tej stronicy mamy coś zgoła innego. Pierwsze słowo odszyfrowanej depeszy ma być „Auf“, a u nas wypada „Heu“.

Wszystkim nasuwała się teraz myśl, że ten Biegler nie jest znowu takim głupcem, jak się wydawał.

— Ja mam drugą część ze sztabu brygady — rzekł kapitan Sagner — więc widocznie chodzi tu o pomyłkę. Pan pułkownik zamówił dla was część pierwszą. Nie ulega to wątpliwości — mówił dalej tak, jakby o wszystkim był wiedział już dawno, zanim przystąpił do swego wykładu o bardzo prostym sposobie szyfrowania depeasz. — Pomieszali sobie, widać, te rzeczy w sztabie brygady. Nie powiadomili pułku, że chodzi o część drugą i stąd zamieszanie.

Kadet Biegler rozglądał się tymczasem dokoła jak zwycięzca, a porucznik Dub szeptał nadporucznikowi Lukaszowi do ucha, że to bocianie skrzydło z ogonem ryby pogrążyło Sagnera jak się patrzy.

— Osobliwe zdarzenie, moi panowie — odezwał się znowu kapitan Sagner, jakby chciał nawiązać mowę, bo milczenie było dla wszystkich wysoce przykre. — W kancelarii brygady siedzą gawrony.

— Pozwalam sobie zauważyć! — odezwał się znowu niestrudzony kadet Biegler, aby pochwalić się swoim rozumem — że takie sprawy tajne, ściśle tajne, nie powinny być przekazywane z dywizji do kancelarii brygady. Rzeczy dotyczące najsekretniejszych spraw korpusu mogłyby być oznajmiane ściśle tajnie przy pomocy okólników jedynie dowódcom oddziałów dywizyj i brygad oraz pułków. Znam systemy szyfrów, jakich używano podczas wojen o Sycylię i Sabaudię, podczas angielsko-francuskiej kampanii pod Sewastopolem, w czasie powstania bokserów w Chinach i w czasie ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej. Systemy te były przekazywane...

— A nam diabli do tego, panie kadecie — odpowiedział kapitan Sagner z wyrazem pogardy i niezadowolenia. — Nie ma wątpliwości, że system, o którym mówiłem i który panom objaśniałem, jest jednym z najlepszych, można nawet powiedzieć: niedoścignionym. Wszystkie oddziały kontrwywiadów-

eze sztabów nieprzyjacielskich mogą się kazać wypchać trociami. Choćby medytowały nie wiem jak, nie przeczytają takiego szyfru. Tu jest coś zgoła nowego. Szyfry te nie mają podobnych.

Uczynny kadet Biegler zakaszał znacząco.

— Pozwalam sobie zwrócić uwagę pana kapitana na książkę Kerickhoffa o szyfrach wojskowych. Książkę tę może sobie każdy zamówić w wydawnictwie „Wojskowego słownika naukowego“. Jest w tej książce doskonale opisana metoda, o której nam pan mówił, panie kapitanie. Wynalazcą tej metody jest pułkownik Kircher, który za czasów Napoleona I służył w wojsku saskim. Jest to tak zwane Kircherowskie szyfrowanie słów, panie kapitanie. Każde słowo depeszy ma odpowiednik litery na przeciwległej stronie klucza. Metoda ta została udoskonalona przez nadporucznika Fleissnera w książce „Handbuch der militärischen Kryptographie“, którą każdy kupić może w księgarni nakładowej „Wojskowa Akademia w Wiedeńskim Nowym Mieście“. Proszę pana kapitana... — Kadet Biegler sięgnął do podręcznego kufierka, wyjął książkę, o której mówił, i dodał: — Fleissner podaje nawet ten sam przykład, co i pan, panie kapitanie. Niech się pan przekona. Jest to ten sam przykład, o którym pan mówił:

— Depesza: Auf der Kote 228 Maschinengewehr feuer linksrichten.

— Klucz: Ludwig Ganghofer „Die Sünden der Väter. Zweiter Band.“

— I proszę pana, niech pan patrzy dalej: Szyfr: „Sache mit uns was wird aufsehen in die versprochen die Marta itd.“ — Słowo w słowo, cośmy przed chwilą słyszeli.

Przeciwko temu nie można było mieć żadnych zastrzeżeń. Smarkate bocianie skrzydło z ogonem ryby miało rację.

W sztabie armii któryś z panów generałów ułatwił sobie pracę. Znalazł książkę Fleissnera i miał wszystko, co mu było potrzebne.

Przez cały czas było widać, że nadporucznik Lukasz walczy z jakimś dziwnym zdenerwowaniem. Zagryzał wargi, chciał coś rzec, ale ostatecznie mówił o tym, o czym chciał zrazu powiedzieć.

— Nie trzeba tego brać tak tragicznie — rzekł z dziwnym zakłopotaniem. — W ciągu naszego pobytu w obozie w Brucku nad Litawą zmieniło się już kilka systemów szyfrowania depesz. Zanim dojedziemy na front, będą znowu nowe systemy, ale zdaje mi się, że w polu nie ma czasu na rozwiązywanie takich kryptogramów. Zanimby który z nas rozwiązał taki szyfr, jak widzieliśmy na przykładzie, po kompanii, batalionie czy brygadzie mogłoby nie być już nawet śladu. Praktycznego znaczenia takie rzeczy nie mają.

Kapitan Sagner, bardzo niezadowolony, potakiwał kiwaniem głowy.

— Rzeczywiście — rzekł — w praktyce są to rzeczy bez wielkiego znaczenia, przynajmniej o ile chodzi o moje doświadczenie zdobyte w Serbii. Nie było po prostu czasu na odszyfrowanie takich depesz. Nie mówię, oczywiście, aby szyfry takie były bez znaczenia, gdy przez dłuższy czas siedzi się w okopach i ma się dużo czasu. A że się systemy szyfrów zmieniają, to także prawda.

Kapitan Sagner cofał się na całej linii.

— Dzisiaj coraz mniej używa się szyfrów w komunikacji między sztabem a pozycją, a przyczyną tego jest telefon, nie dość precyzyjny i niejasno przekazujący poszczególne sylaby, szczególnie przy ogniu działowym. Po prostu nie słyszy się nic i na próżno traci się czas. — Zamilkł.

— Chaos jest największym nieszczęściem, jakie zdarzyć się może na froncie — dodał po chwili głosem proroczym i znowu zamilkł.

— Niedługo będziemy w Rabie — odezwał się, wyglądając oknem. — Meine Herren! Szeregowi dostaną dzisiaj po 15 dekagramów salami. Pół godziny odpoczynku.

Zajrzał do marszruty:

— Wyjeżdżamy o 4 minut 12. O 3 minut 58 wszyscy winni siedzieć w wagonach. Wsiadamy kompaniami. Jedenasta itd. Zugweise. Direction Verpflegungsmagazin nr 6. Kontrola przy wydawaniu kadet Biegler.

Wszyscy spojrzeli na kadeta Bieglera, jakby chcieli rzec:

— Użyjesz sobie, gołowąsie!

Ale uczynny kadet wyjął z kuferka arkusz papieru, linijkę, poliniował arkusz, powypisywał na nim marszkompanie i rozpytywał dowódców poszczególnych kompanii o stan liczebny, ale nikt nie umiał odpowiedzieć mu na pamięć, więc podawali tylko przybliżone liczby według uwag w notatnikach.

Tymczasem kapitan Sagner z rozpaczy zaczął czytać nie-szczęsną książkę: „Grzechy ojców“, a gdy pociąg się zatrzymał na stacji w Rabie, zamknął książkę i rzekł:

— Ten Ludwig Ganghofer pisze nieźle.

Nadporucznik Lukasz pierwszy wyskoczył z wagonu sztabu i pobiegł ku wagonowi, w którym znajdował się Szwejk.

Szwejk i inni już dawno przestali grać w karty, a służący nadporucznika Lukasz, Baloun, był już taki głodny, że zaczynał się buntować przeciwko zwierzchności wojskowej i głośno wywodził, że dobrze wie o tym, jak to panowie oficerowie obżerają się dobrymi rzeczami. Mówił, że teraz jest gorzej, niż było za czasów pańszczyzny. Dawniej było w wojsku inaczej. Przecież jeszcze w roku sześćdziesiątym szóstym, jak mawiał jego dziadek siedzący na dożywociu, oficerowie dzielili się z żołnierzami kurami i chlebem. Narzekaniom Balouna nie było końca, więc Szwejk uznał wreszcie, że koniecznie trzeba pochwalić dzisiejszą wojskowość i sposób prowadzenia wojny.

— Masz widać jakiegoś młodego dziadka — rzekł uprzemie, gdy dojechali do Raby — który pamięta jedynie wojnę roku sześćdziesiątego i szóstego. A ja, bratku, znam niejakiego Ronowskiego, którego dziadek był w Italii jeszcze za czasów pańszczyźnianych. Służył on jak się patrzy dwanaście lat i wrócił do domu jako kapral. A że nie mógł znaleźć roboty, więc ojciec tego Ronowskiego wziął go do siebie. Razu pewnego wysłano ludzi do lasu, żeby zwozili wykarczowane pniaki, a jeden z tych pniaków był taki ciężki, że niesposób było ruszyć go z miejsca. No i ten dziadek powiada: — Dajmy spokój pniakowi, niech sobie leży. — Ale gajowy, który to słyszał, zaczął wymyślać i podniósł kij na niego, żeby koniecznie ten pniak nałożyli na wóz. A dziadek Ronowski nic nie odpowiedział, tylko rzucił takie słówko: — Ty popychadło jedno, ja jestem stary, wysłużony żołnierz. — Ale po tygodniu dostał wezwanie. Znow musiał rukować, wyprawili go do Italii i był tam dziesięć lat. Pisał do domu, że jak wróci z wojska to tego gajowego siepnie siekierą w łeb. Całe szczęście gajowego, że przedtem umarł.

W tej chwili we drzwiach wagonu ukazał się nadporucznik Lukasz.

— Pójdźcie no, mój Szwejku — kiwnął na niego — i przestańcie gadać głupstwa. Musicie mi coś wytłumaczyć.

— Naturalnie, panie nadporuczniku, posłusznie melduję.

Nadporucznik Lukasz prowadził Szwejka na stronę, a spojrzenie, które rzucał nań z boku, było bardzo podejrziwe.

W ciągu wykładu kapitana Sagnera nadporucznik Lukasz rozwinął w sobie niejakie zdolności detektywne, chociaż dla wykrycia pewnych związków przyczynowych między poszczególnymi etapami wykładu, który zakończył się takim fiaskiem, nie trzeba było rozporządzać osobliwymi talentami bo w przeddzień wyjazdu Szwejk meldował nadporucznikowi Lukaszowi:

— Panie oberlejtant, w batalionie są jakieś książki dla panów oficerów. Przyniosłem je z kancelarii regimentu.

Więc gdy oddalił się ze Szwejkiem za drugie szyny, stanął z nim za wygasłą lokomotywą, która już od tygodnia czekała na pociąg z amunicją, i zapytał go wprost:

— Mój Szwejku, jakże to było wtedy z tymi książkami?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że to bardzo długa historia, a pan raczy się denerwować, gdy opowiadam o wszystkim szczegółowo. Tak samo jak wtedy, kiedy to chciał mnie pan sprać i podarł pan list dotyczący pożyczki wojennej, a ja mówiłem panu, że kiedyś czytałem w jakiejś książce, że jak dawniej była wojna, to ludzie musieli płacić od okien podatek, dwudziestkę od każdego okna, od gęsi tak samo...

— W taki sposób nie dogadamy się z sobą, mój Szwejku — rzekł nadporucznik Lukasz, przystępując do indagacji i postanawiając nie mówić o tym, że sprawa jest ściśle tajna, żeby ten łobuz nie zrobił z wojskowego sekretu niewłaściwego użytku. — Znacie Ganghoferą?

— Co to za jeden? — zapytał Szwejk z wielkim zainteresowaniem.

— Pisarz niemiecki, wy cymbale — odpowiedział nadporucznik Lukasz.

— Jak Boga kocham, panie oberlejtant — rzekł Szwejk z wyrazem męczennika — żadnych pisarzy niemieckich osobiście nie znam. Znałem osobiście tylko jednego czeskiego pisarza, niejakiego Hajka Ładysława z Domażlic. Był redaktorem „Świata zwierząt“, a ja sprzedałem mu ładnego kundelka jako rasowego szpica. Bardzo miły był ten pan i wesoły. Chodził do jednej knajpy i czytywał tam swoje powiastki, takie zawsze smutne, że się wszyscy zaśmiewali, a on potem płakał i za wszystkich w knajpie płacił, my zaś musieliśmy śpiewać:

Domażlicka brama ładnie malowana,
A ten, co ją malował, chodził za pannami...
Ale już go nie ma, nie ma między nami...

— Człowiecze, przecie tu nie teatr, a wy ryczycie jak śpiewak operowy — zawołał wystraszony nadporucznik, gdy Szwejk dośpiewał ostatnie słowa. — Nie o to was pytam. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy zauważyliście, że te książki, o których mi mówiliście, były utworami Ganghofera.

— Mówcie mi zaraz, co się stało z tymi książkami? — zawołał gniewnie.

— Z tymi, com je zaniósł z kancelarii pułkowej do batalionu? — pytał Szwejk. — Te książki były naprawdę napisane przez tego pana, o którego pan pytał, czy go nie znam. Dostałem telefonogram prosto z kancelarii pułkowej. Bo oni chcieli wysłać te książki do kancelarii batalionu, ale nikogo tam nie było, nawet dyżurnego, bo pewno siedzieli w kantynie, jak się to zawsze robi, kiedy się jedzie na front, a nikt nie wie, czy jeszcze kiedyś będzie siedział w kantynie. Więc wszyscy tam siedzieli i pili, panie oberlejtnant, i do nikogo nigdzie nie było można się dodzwonić ani nikogo znaleźć, a ponieważ pan mi przykazał, żebym był jako ordynans przy telefonie, zanim przydzielono do nas Chodounskiego, więc siedziałem i czekałem, aż doszło i na mnie. Z kancelarii pułkowej przyszło wymyślanie, że się nie mogą dodzwonić, a tymczasem jest telefonogram, żeby kancelaria marszbatalionu zabrała z kancelarii pułkowej jakieś książeczki dla wszystkich panów oficerów marszbatalionu. Ponieważ wiem, panie oberlejtnant, że na wojnie trzeba działać szybko, więc zatelefonowałem do kancelarii pułkowej, że sam zabiorę te książki i zaniosę je do kancelarii batalionu. Naładowali mi taką kupę tych książek, że z trudem ją udźwignąłem i zawlokłem ją do nas do kancelarii marszkompanii. Zacząłem je przeglądać i myślałem sobie swoje... Feldfelbel z kancelarii rachuby pułkowej powiedział mi mianowicie, że według telefonogramu, jaki w pułku otrzymali, batalion wie już, co ma sobie z tych książek wybrać, niby którą część. Bo te książki były w dwóch częściach: pierwsza część osobno i druga część osobno. Uśmiełem się

zdrowo, bo co tu znowu za wybieranie? Przecież jeszcze nikt i nigdy nie zaczynał czytać książki od części drugiej. A ten mi tłumaczy, że tu pierwsza część, a tu druga część. Którą część mają zabrać panowie oficerowie, sami już wiedzą. Pomyślałem sobie, że się wszyscy powstawiali, bo przecież dobrze wiem, że jak się ma czytać książkę, choćby i „Sünden der Väter“ — bo ja i po niemiecku przeczytam — to trzeba zaczynać od początku, a nie od końca, jak Żydzi. Dlatego też pytałem pana przez telefon, panie oberlejtnant, kiedy pan powróci z kasyna, co ma być z tymi książkami i czy podczas wojny czyta się może od końca, najprzód drugą część, a potem pierwszą. A pan mi powiedział, że jestem schlane bydlę, skoro nie wiem, że w pacierzu naprzód się mówi „Ojcze nasz“ a dopiero potem „Amen“.

— Co panu, panie oberlejtnant? — ze współczuciem zapytał Szwejk, gdy nadporucznik blednąc, oparł się o stopień wodociągu koło wygasłej lokomotywy.

W jego bladej twarzy nie było wyrazu gniewu, lecz malała się w niej jakaś beznadziejna rozpacz.

— No i co było dalej, mój Szwejku? Już mi dobrze...

— Ja proszę pana, byłem tego samego zdania — wywodził Szwejk swoim miękkim, uprzejmym głosem. — Pewnego razu kupiłem sobie powieść o bandycie z Bakońskiego lasu, Roży Sawaniu, ale brakło pierwszej części, więc musiałem się domyślać, jak to tam było. Nawet w takich historiach o zbrojach nie można się obyć bez części pierwszej. Rozumiałem bardzo dobrze, że nie miałyby to najmniejszego sensu, żeby panowie oficerowie zaczęli czytać naprzód część drugą, a potem dopiero pierwszą, i przestałem myśleć o tym głupim gadaniu w kancelarii pułkowej, że niby panowie oficerowie wiedzą, którą część mają czytać. W ogóle z tymi książkami jest coś zagadkowego i osobliwego. Wiem przecie, że panowie oficerowie w ogóle mało czytują, a tu jeszcze podczas wojny światowej...

— Zostawcie sobie swoje rozумы na własny użytek —
jęknął nadporucznik Łukasz.

— Przecież ja, panie oberlejtnant, zaraz się pana pytałem przez telefon, czy chce pan obie części od razu, a pan mi też odpowiedział tak samo jak teraz, żebym sobie swoje rozумы zostawił dla siebie. Kto by się tam, mówił pan, objuczał książkami. Więc pomyślałem sobie, że jeśli takie jest pańskie mniemanie, to inni panowie będą mieli zdanie podobne. Pytałem także naszego Wańka, bo on ma już doświadczenie frontowe. Odpowiedział mi, że naprzód wszyscy panowie oficerowie myśleli, że wojna, to taka bujda na resorach, i każdy z nich wiozł z sobą całą bibliotekę, jakby się wybierał na letnie mieszkanie. Od arcyksiężniczek otrzymywali w prezencie całe zbiorowe wydania różnych poetów, a książki były takie ciężkie, że pucybuty uginali się pod nimi i przeklinali dzień swego narodzenia. Waniek mówił, że z tych książek w ogóle nie było żadnej pociechy, o ile chodzi o skręcanie papierosów. bo wszystkie były drukowane na papierze grubym i ładnym, a znowuż na latrynie to by sobie człowiek takimi poezjami zdarł cały zadek, z przeproszeniem. Na czytanie nie było czasu, bo stale trzeba było uciekać, więc książki wyrzucano, gdzie popadło, a potem nastał już taki zwyczaj, że jak tylko dała się słyszeć kanonada, pucybut od razu wyrzucał książki baletrystyczne. Gdy to usłyszałem, postanowiłem jeszcze raz zwrócić się do pana, żeby wiedzieć dokładnie, co trzeba zrobić, a pan mi odpowiedział, że jak mi coś zasiedzie w moim idiotycznym łbie, to nie ustąpię, dopóki nie dostanę po pysku. Więc do kancelarii batalionu zaniósłem tylko pierwszą część tej powieści, a drugą część zostawiłem tymczasem w naszej kancelarii kompanii. Myślałem, że jak panowie oficerowie przeczytają część pierwszą, to im się wyda część drugą niby z czytelni, ale raptem przyszedł rozkaz, że jedziemy, i telefonogram, że wszystko niepotrzebne ma być złożone w magazynie pułku. Więc jeszcze zapytałem Wańka,

czy uważa, że druga część tej powieści jest niepotrzebna, a on mi odpowiedział, że od czasu smutnych doświadczeń w Serbii, na Węgrzech i w Galicji żadnych książek na wojnę się nie zabiera. Co innego zbieranie gazet dla żołnierzy na froncie, bo z gazety można skrócić papierosa z tytoniu czy siana, co się akurat pali w dekunkach. W batalionie porozdawali już te pierwsze części owej powieści, a resztę kazałem zanieść do magazynu.

Szwejk zamilkł na chwilę, ale zaraz dodał:

— W magazynie, proszę pana, jest mnóstwo różnych różności! Widziałem tam nawet cylinder budziejowickiego dyrygenta chórów, bo w tym cylindrze narukował...

— Powiem wam, mój Szwejku — z ciężkim westchnieniem ozwał się nadporucznik Lukasz, że wy w ogóle nie zdajecie sobie sprawy z tego, co robicie. Mnie samemu jest przykro wyzywać was od idiotów. Dla waszej głupoty w ogóle nie ma wyrazu. Nazwać was bałwanem, to jeszcze pieszczota. Zrobiliście znowuż coś tak okropnego, że wszystkie wasze dawniejsze błazeństwa, jakie tylko przypomnieć sobie mogę, są niewinnymi igraszkami. Żebyście przynajmniej pojąć mogli, czegoście narobili... Ale wy tego nigdy nie zrozumiecie... Otóż, gdyby się czasem zgadało o tych książkach, to nie ważcie mi się powiedzieć, że to ja wam kazałem zmagazynować tę drugą część... Choćby mówiono o tych książkach, nie zwracajcie na to uwagi. O niczym nie wiecie, nic nie słyszeliście, nie pamiętacie. Niech was ręka boska broni, gdybyście spróbowali wplątać mnie do czego, wy...

Nadporucznik Lukasz mówił takim głosem, jakby miał wysoką gorączkę, ale ledwo wyrzekł ostatnie słowo, Szwejk skorzystał z jego milczenia i zadał mu niewinne pytanie:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, dlaczego nie dowiem się nigdy o tym, co zrobiłem takiego strasznego? Ja, panie oberlejtant odważyłem się zapytać o to jedynie dlatego, abym na przyszłość mógł się ustrzec takich błędów, bo

mówią, że z pomyłek człowiek się uczy, jak na przykład jeden giser Adamiec z fabryki Dańka, który zamiast wody napił się kwasu solnego...

Nie dokończył zdania, bo nadporucznik Lukasz przerwał jego przykład, zaczerpnięty z życia, ostrymi słowy:

— Ach wy cymbale jeden! Tłumaczyć wam tego nie będę. Właźcie do wagonu i powiedzcie Balounowi, żeby mi przyniósł bulkę, gdy się zatrzymamy w Budapeszcie, no i ten pasztet, co go mam w kuferku. Następnie powiedzcie Wańkowi, że jest fujara. Trzy razy wzywałem go już, żeby mi podał stan liczebny szeregowców. Dzisiaj były mi te dane potrzebne, a ja znalazłem tylko stan z ubiegłego tygodnia.

— Zum Befehl, Herr Oberlejtnant — szczeptał Szwejk i powoli oddalał się do swego wagonu.

Nadporucznik Lukasz przeszedł się po torze, rozmyślając:

— Właściwie powinienem był jednak dać mu parę razy w pysk, a ja tymczasem gawędziłem sobie z nim niby z przyjaciелеm.

Szwejk z wielką powagą wlaził do swego wagonu. Miał dla siebie szacunek. Przecież nie zdarza mu się co dzień, aby zrobił coś tak strasznego, iż nigdy się o tym nie dowie.

— Panie Rechnungsfeldfebel — rzekł Szwejk, usadowiwszy się na swoim miejscu — pan oberlejtnant zdaje się być w bardzo dobrym usposobieniu. Przesyła panu pozdrowienie i każe panu powiedzieć, że pan jest fujara, bo już trzy razy prosił pana o stan liczebny szeregowców.

— Herrgott — nadał się Waniek — ja tych plutonowych nauczę! Czy ja temu winien, że każdy taki oferma plutonowy robi, co mu się podoba, i nie podaje stanu swego plutonu? Czy mogę sobie takie liczby wyssać z palca? Ładne stosunki panują w naszej kompanii! Ale ja wiedziałem, że tak będzie, bo ani przez chwilę nie zapomniałem o nieporządkach, jakie u nas panują. Jednego dnia mają w kuchni o cztery porcje za dużo, na drugi dzień o trzy za mało. Gdyby mi te

lotry przynajmniej dały znać, że ten a ten jest w szpitalu! Jeszcze w przeszłym miesiącu miałem w ewidencji niejakiego Nikodema i dopiero przy wypłacie żołdu dowiedziałem się, że ten Nikodem umarł w Budziejowicach w szpitalu na suchoty galopujące. I ciągle dla niego fasowali. Mundur dla niego wyfasowaliśmy i Bóg raczy wiedzieć, gdzie się wszystko podziało. A pan oberlejtnant powie mi następnie, że jestem fujara, chociaż sam nie umie dopilnować porządku w swojej kompanii.

Sierżant rachuby Waniek chodził zdenerwowany po wagonie i gderał:

— Gdybym ja był dowódcą kompanii! Widzielibyście, jaki porządek panowałby u mnie. O każdym szeregowcu musiałbym wiedzieć wszyściutko. Szarże musiałyby mi dwa razy dziennie podawać stan liczebny. Ale co robić z takimi szarżami! A już najgorszy ten plutonowy Zyka. Ciągłe trzymają się go żarty, przy każdej sposobności opowiada anegdoty, ale jak mu melduje, że Kolarzyk z jego plutonu został odkomenderowany do taborów, to tak, jakbym mówił do słupa: na drugi dzień raportuje mi ten sam stan liczebny, jakby o żadnym Kolarzyku nigdy mowy nie było i jakby Kolarzyk jeszcze ciągle siedział w naszej kompanii i w jego plutonie. I tak dzień w dzień, a potem jeszcze mi powiedzą, że jestem fujara... W taki sposób pan oberlejtnant nie zyska dużo przyjaciół. Rechnungsfeldfebel kompanii, to nie żaden frajter, którym może sobie wycierać gębę byle kto...

Baloun, który przysłuchiwał się temu monologowi Wańka z rozwartymi ustami, wtrącił teraz swoje trzy grosze i stanął po stronie pokrzywdzonego. Najwidoczniej chciało mu się porozmawiać.

— A wy stulcie pysk — rzekł rozsierzdzony Waniek.

— Słuchaj no, bratku Balounie — odezwał się Szwejk — tobie kazał pan oberlejtnant powiedzieć, żebyś mu się postarał o bułkę, jak przyjedziemy do Pesztu, i żebyś mu ją za-

niósł do sztabowego wagonu razem z pasztetem, co jest zawinięty w staniolu i znajduje się w kufierku.

Olbrzym Baloun opuścił gestem rozpaczony swoje długie ramiona, jak wielki szympans, grzbiet wygiął w pałąk i trwał w tej pozycji dość długo.

— Nie mam — rzekł cichym beznadziejnym głosem, spoglądając na brudną podłogę wagonu.

— Nie mam — powtarzał, urywając sylaby — ja myślałem... Przed odjazdem rozwinąłem ten pasztet... Powąchałem go... Czy nie zepsuty...

— Spróbowałem kawałek! — zawołał z wyrazem takiej szczerzej rozpaczony, że wszyscy zrozumieli od razu co się stało.

— Zeżarłeś go, bratku, razem ze staniolem — rzekł Waniek, przystając przed Balounem i rad, że nie potrzebuje dalej bronić się przed zarzutem, iż jest fujarą, jak go pan nadporucznik nazwał, ale że przyczyna chwiejności stanu liczebnego ma podstawy nieco głębsze i ugruntowana jest na innych fujarach. Rozmowa przesunęła się od razu na Balouna i na nowe tragiczne wydarzenie. Waniek zamierzał właśnie wygłosić jaki jędrny morał pod adresem Balouna, gdy do rozmowy wtrącił się kucharz-okultysta, Jurajda, który zamknąwszy swoją ulubioną książkę, tłumaczenie staroindyjskich sutr Praguã-Paramita, zwrócił się do zmiażdżonego Balouna, który coraz bardziej uginał się pod brzemieniem swego przeznaczenia.

— Wy, Balunie — rzekł — powinniście czuwać nad sobą, bo straciecie zaufanie do siebie i do swego losu. Nie powinniście przypisywać sobie tego, co jest zasługą innych. Ilekroć staniecie wobec takiego problemu jak ten, który pożarliście, musicie zawsze zadać sobie pytanie: W jakim stosunku do mojej osoby jest pasztet z wątroby?

Szwejk uznał za dobre dopełnić tę uwagę przykładem z życia:

— Sam mi mówiłeś, mój Balunie, nie tak dawno jeszcze,

że u ciebie w domu będą bili wieprze, i jak tylko staniemy na miejscu i będziesz znał numer poczty polowej, zaraz ci pošlą kawał szynki. A teraz wyobraź sobie, że tę szynkę pošliby pocztą polową do nas, do marszkompanii, a ja i pan feldfebel ukrajaliśmy sobie po kawałku. Smakowałoby nam, więc jeszcze po kawałku, ażeby się z tą szynką stało to, co z pewnym moim znajomym, listowym Kozłem. Był chory na gruźlicę kości, więc naprzód amputowali mu nogę po kostkę, potem po kolano, potem po biodro. Gdyby nie to, że w porę umarł, to byłiby go po kawałku poobcinali jak się temperuje połamany ołówek. Więc wyobraź sobie, Balounie, że zeżarlibyśmy ci tę szynkę, tak samo, jak ty zeżarłeś panu oberlejtnantowi jego pasztet...

Olbrzym Baloun spojrział na wszystkich okiem smutnym.

— Tylko dzięki mojemu wstawiennictwu i zasłudze mojej zostaliście burszem pana oberlejtanta — rzekł sierżant rachuby Waniek. — Chcieli was przenieść do sanitariatu, żebyście zbierali rannych na polu bitwy. Pod Dukłą nasi sanitariusze kilka razy z rzędu szli po rannego chorążego, który leżał przed zasiekami z drutu kolczastego, i ani jeden z nich nie wrócił: wszyscy poginęli od ran w głowę. Dopiero czwartej parze się udało, ale zanim zanieśli go na miejsce opatrunkowe, umarł.

Baloun nie mógł się dłużej opanować i załkał.

— Że też się nie wstydzisz! Taki z ciebie żołnierz? — ofuknął go Szwejk.

— Kiedy ja nie mam najmniejszego talentu do wojaczki — zaczął narzekać biedny Baloun. — Ja jestem wiecznie głodny, nigdy nie nażarty, ponieważ zostałem wyrwany z życia porządnego człowieka. Cały nasz ród jest taki. Nieboszczyk mój ojciec zakładał się w Protiwinie w karczmie, że na jedno posiedzenie zje pięćdziesiąt serdelków i dwa bochenki chleba, i zakład wygrał. Ja też się razu pewnego założyłem i zjadłem cztery gęsi i dwie misy knedli z kapustą. W domu na przykład przypomniałem sobie nieraz po obiedzie, że warto by

jeszcze czego pojeść, więc idę do komory, urzynam kawał mięsa, posyłam sobie po piwo i wcinam dwa kila wędzonki. Miałem w domu starego parobka Womełę, a ten parobek napominał mnie zawsze, żebym znowu tak bardzo nosa nie zadzierał i nie obzerał się tak gwałtownie, bo pamięta jeszcze, co mu jego dziadek opowiadał o takim jednym obzartuchu. Przyszła jakaś wojna, nic się nie rodziło przez długich osiem lat, więc ludzie piekli chleb ze słomy i z resztek lnianego siemienia, a już było wielkie święto, gdy do mleka mogli wkrużyć trochę twarogu, bo chleba nie było. I ten obzarty gospodarz umarł jakoś w tydzień po wybuchu tej wielkiej nędzy, bo jego żołądek nie był przyzwyczajony do spożywania strawy tak nędznej.

Baloun podniósł swoje smutne oczy ku niebu.

— A ja myślę, że chociaż Pan Bóg ludzi pokarze, to jednak ich nie opuści.

— Oczywiście, Pan Bóg obzartuchów stworzył, więc Pan Bóg będzie się o nich kłopotał — zauważył Szwejk. — Już raz dostałeś siupka, a teraz wart jesteś, żeby cię posłali na pierwszą linię. Kiedy ja byłem burszem u pana oberlejtanta, to mógł mi we wszystkim zaufać i nawet przez myśl mu nigdy nie przeszło, abym ja mógł mu coś zeżreć. Gdy się fasoowało coś osobliwego, to zawsze mi mówił: — Weź to sobie, Szwejku — albo: — Na co mi tam tyle tego! Dajcie kawałek, a z resztą róbcie sobie, co wam się podoba. — Gdy jeszcze byliśmy w Pradze, a on posłał mnie do restauracji po obiad, to za swoje ostatnie pieniądze dokupywałem drugą porcję, żeby mu się czasem nie zdawało, że mu połowę obiadu zeżarłem. Ale kiedyś wykrył te moje podstępny. Kazał sobie zawsze przynosić z restauracji jadłospis i wybierał, co mu się podobało. Więc pewnego dnia wybrał sobie nadziewanego gołąbka. Dali mi połówkę, a ja sobie pomyślałem, że pan oberlejtant będzie mnie podejrzewał, iż drugą połowę zeżarłem, więc dokupiłem drugą porcję za swoje i przyniosłem mu

obie. A pan oberlejtant Szeba, któremu chciało się jeść i który przyszedł akurat przed obiadem do nas w goście, też się najadł. Ale po obiedzie powiada: — Tylko mi nie gadaj, że to jedna porcja. Na całym świecie nie dostaniesz à la carte całego nadziewanego gołąbka. Jeśli zdobędę dzisiaj pieniądze, to pošlę sobie do tej twojej restauracji po obiad. Powiedz mi szczerze, że to porcja podwójna. — Pan oberlejtant wezwał mnie, żebym potwierdził, że dał mi pieniądze tylko na jedną porcję, bo nie wiedział, że oberlejtant Szeba do niego przyjdzie. Odpowiedziałem, że dał mi pieniądze na zwyczajny obiad. — No widzisz — powiada mój oberlejtant — a bywa jeszcze lepiej. Niedawno przyniósł mi Szwejk dwa gęsie uda na obiad. Wyobraź sobie tylko: rosół z makaronem, sztuka mięsa z sosem sardelowym, dwa gęsie uda, kapusty pod sam sufit i jeszcze naleśniki.

— Mmmm jakie dobre żarcie! — mlaskał Baloun językiem.

Szwejk zaś mówił dalej:

— Ale to był kamień obrażenia. Pan oberlejtant Szeba dnia następnego pošłał rzeczywiście po obiad do naszej restauracji, a jego służący przyniósł mu ździebko pilafu z kury, dobre dwie łyżeczki, nie więcej. A pan oberlejtant Szeba rzucił się na niewinnego człowieka, że połowę zeżarł. Ten mu na to, że niewinny. A pan oberlejtant Szeba buch go w pysk i każe mu, żeby sobie za przykład brał mnie. Jakie to ja, powiada, noszę porcje panu oberlejtantowi Lukaszowi. Więc ten niewinny a spoliczkowany żołnierz rozpytał się o wszystko w restauracji zaraz nazajutrz, opowiedział swemu panu, jak się rzeczy mają, a tamten powtórzył mojemu oberlejtantowi. Siedzę ja raz wieczorem z gazetką w garści i odczytuję sobie wiadomości sztabów nieprzyjacielskich, a tu wchodzi mój oberlejtant błądy i prosto do mnie, żebym mu powiedział, ile zapłaciłem tych podwójnych porcyj w restauracji, bo on już wszystko wie, i zapieranie na nic się nie zdało. Że jestem

idiota, to już wie, powiada, ale że mógłbym być takim cymbałem, tego nie przypuszczał. Narobiłem mu, powiada, takiego wstydu, że ma ochotę zastrzelić najprzód mnie a potem siebie. — Panie oberlejtnant — rzekłem do niego — kiedy mnie pan przyjmował, to zaraz pierwszego dnia powiedział mi pan, że każdy pucybut jest złodziej i podły drab. Więc gdy w tej restauracji dawali takie malutkie porcje, to byłby pan mógł myśleć, że ja naprawdę jestem jednym z takich złodziei i podłych drabów i że pożeram pańskie obiady...

— Mój Boże miłosierny — szeptał Baloun pochylając się nad kufereczkiem nadporucznika Lukasz.

— Potem nadporucznik Lukasz zaczął szukać po wszystkich kieszeniach, a ponieważ nic nie znajdował, wyjął z kamizelki srebrny zegarek i dał mi go. Był bardzo wzruszony i rzekł: — Gdy dostanę gażę, Szwejku, to mi spiszecie, wiele wydalicie na te podwójne porcje... A ten zegarek zatrzymajcie osobno. Ale na drugi raz nie bałwańcie się. Kiedyś uderzyła na nas obu taka wielka bieda, że ten srebrny zegarek musiałem zanieść do lombardu...

— Co wy tam robicie, Balounie? — zapytał sierżant rachuby Waniek.

Zamiast odpowiedzi Baloun się zakaszłał. Otworzył sobie mianowicie kuferek oberlejtnanta Lukasz i pożerał jego ostatnią bułkę...

Przez stację przejechał pociąg wojskowy bez zatrzymywania się. Od jednego końca do drugiego naładowany był deutschmeistrami, których wysyłano na serbski front. Jeszcze widać nie wytrzeźwieli ze swego zapału, który wybuchnął w nich w chwili żegnania się z Wiedniem, więc od samego Wiednia ryczeli bezustannie:

Prinz Eugenius der edle Ritter,
Wollt dem Kaiser wiedrum kriegen
Stadt und Festung Belgerad.
Er liess schlagen eine Brucken,

Dass man kunnt' hinüberraucken
Mit der Armee wohl für die Stadt.

Jakiś kapral z wojowniczo podkręconym wąsem wychylał się z wagonu, wsparty na ramionach szeregowców, którzy bujali nogami spuszczoneymi z wagonu, i dawał takt śpiewając na całe gardło:

Als der Brucken war geschlagen,
Dass man kunnt mit Stuck und Wagen
Frei passiern den Donaufluss,
Bei Semlin schlug man das Lager
Alle Serben zu verjagen...

Raptem stracił równowagę, wyleciał z wagonu i nadział się brzuchem na strzałę zwrotnicy, na której wisiał bezwładnie, podczas gdy pociąg pędził dalej, a w dalszych wagonach żołnierze śpiewali pieśń inną:

Graf Radetzky, edler, Degen,
schwur's des Kaisers Feind zu fegen
aus der falschen Lombardei.
In Verona langes Hoffen,
als mehr Truppen eingetroffen,
fühlt und rührt der Held sich frei...

Nadziany na tępej zwrotnicy wojowniczy kapral był już trupem i niebawem stał nad jego zwłokami na straży jakiś młodziutki żołnierz z bagnetem. Był to żołnierz komendy stacyjnej i obowiązki swoje traktował z wielką powagą. Stał przy zwrotnicy wyprostowany jak świeca, a minę miał taką triumfującą, jakby to on był nadział kaprala na zwrotnicę.

Ponieważ był to Madziar, więc przez cały tor ryczał po madziarsku na wszystkich żołnierzy eszelonu 91 pułku, którzy szli popatrzeć na trupa:

— Nem szabat! Nem szabat! Komision mi-
litär nem szabat!

— Ma już po kłopotcie — rzekł dobry wojak Szwejk, który znajdował się także wśród ciekawych — a dobre i to, że skoro

już ma kawał żelaza w brzuchu, przynajmniej wszystkim będzie wiadomo, gdzie zostanie pochowany. Jest to tuż koło stacji, więc nie trzeba będzie szukać jego grobu gdzieś po dalekich pobojowiskach.

— Nadział się akuratnie — rzekł jeszcze Szwejk tonem znawcy, obchodząc zwłoki kaprała ze wszystkich stron. — Kiszki ma w spodniach.

— Nem szabat, nem szabat! — krzyczał młodziutki węgierski żołnierz. — Komision militär banhof, nem szabat!

Za Szwejkem odezwał się surowy głos:

— Co wy tu robicie?

Szwejk zasalutował. Przed nim stał kadet Biegler. Szwejk stanął na baczność.

— Posłusznie melduję, że przyglądam się nieboszczykowi, panie kadecie.

— A co za agitację tu prowadzicie? Co wy tu macie do czynienia?

— Posłusznie melduję, panie kadecie — z dostojnym spokojem odpowiadał Szwejk — że żadnej agitacji tu nie prowadziłem.

Kilku żołnierzy stojących za kadetem roześmiało się, a na czoło wystąpił sierżant rachuby Waniek.

— Panie kadet — rzekł sierżant — pan oberlejtant wysłał tutaj ordynansa Szwejka, żeby zobaczył, co się tu stało. Byłem teraz koło wagonu sztabowego i ordynans batalionu, Matuszicz, szuka pana z rozkazu dowództwa batalionu. Ma pan natychmiast iść do kapitana Sagnera.

Wszyscy rozchodzili się do swoich wagonów, gdy rozległ się sygnał wzywający do wsiadania. Waniek, idąc ze Szwejkem, rzekł do niego:

— Gdy się czasem zbierze gdzieś trochę ludzi, to schowajcie swoje rozумы dla siebie. Moglibyście się czasem narazić na grube nieprzyjemności. Ten kaprał był od deutschmeistrów,

więc mogłoby wyglądać na to, że się z tego nieszczęścia cieszyacie. Ten Biegler to straszny czechożerca...

— Przecież ja nic takiego nie powiedziałem — odpowiedział Szwejk tonem, wyłączającym wszelkie wątpliwości. — Tyle tylko powiedziałem, że się ten kapral nadział akuratnie i miał kiszki w spodniach... Przecież on mógł...

— No, mój Szwejku, dajmy już spokój temu gadaniu. — Sierżant Waniek splunął.

— To wszystko jedno — zauważył jeszcze Szwejk — czy kiszki mają mu wyleźć z brzucha dla najjaśniejszego pana, czy tak oto. I tak już spełnił swój obowiązek... Bo przecież on mógł...

— Patrzcie no, Szwejku — przerwał mu Waniek — jak się obładował ordynans batalionu Matuszycz i jakie dobre rzeczy taszczy do wagonu sztabowego. Aż dziw, że się nie przewrócił na szynach.

Na krótko przedtem między kapitanem Sagnerem a uczynnym kadetem Bieglerem doszło do bardzo ostrej rozmowy.

— Bardzo się dziwię, panie kadecie Biegler — mówił kapitan Sagner — dlaczego pan nie zameldował mi natychmiast, że się nie fasuje tych 15 deka salami. Muszę ja dopiero wyjść z wagonu i przekonać się, dlaczego to żołnierze wracają od magazynu z pustymi rękoma. A panowie oficerowie zachowują się tak, jakby rozkaz nie był wcale rozkazem. Powiedziałem przecie: Do magazynu kompania za kompanią plutonami. To znaczy, że jeśli w magazynie nie dostało się nic, to wracać stamtąd trzeba także plutonami. Panu, kadecie Biegler, nakazałem pilnować porządku, ale pan wszystko puścił kantem. Byłeś pan kontent, że nie potrzebujesz się trudzić liczeniem porcyj salami. Natomiast, jak widziałem oknem wagonu, poszedł pan popatrzeć na nadzianego deutschmeistra. A kiedy następnie kazałem pana zawołać, to nie miał pan w swojej kadeckiej fantazji nic pilniejszego do zrobienia, jak tylko

głędzić o tym, że poszedł się pan przekonać, czy tam, koło tego nadzianego żołnierza, nie prowadzi się jakiej agitacji...

— Posłusznie melduję, że ordynans jedenastej kompanii, Szwejk...

— Daj mi pan spokój ze Szwejkim! — krzyknął kapitan Sagner. — Nie myśl pan, panie kadet Biegler, że będzie tu pan intrygował przeciwko nadporucznikowi Lukaszowi. Myśmy tam Szwejka posłali... Patrzy pan na mnie, jakby się panu wydawało, że się pana czepiam... Zresztą, owszem, czepiam się pana, kadecie Biegler... Kiedy pan nie umie uszanować swego przełożonego, usiłuje go blamować, to ja panu urządzę taką wojnę, że nigdy nie zapomni pan o stacji Rabie... Żeby to się tak chełpić swoimi teoretycznymi wiadomościami... Poczekaj pan, jak będziesz na froncie... Jak ja panu każę pójść jako oficerskiej patroli na zasieki z drutu... Pański raport? Nawet raportu nie złożył mi pan po powrocie... Nawet teoretycznie, panie Biegler...

— Posłusznie melduję, panie kapitanie, że zamiast po 15 deka węgierskiego salami, szeregowcy otrzymali po dwie pocztówki. Proszę, panie kapitanie...

Kadet Biegler podał dowódcy batalionu dwie z tych pocztówek, jakie wydawał zarząd wojennego archiwum w Wiedniu, gdzie naczelnikiem był generał piechoty Wojnowich. Na jednej stronie była karykatura żołnierza rosyjskiego, muzyka z długą brodą w uścisku kościotrupa. Przed karykaturą był tekst:

Der Tag an dem das perfide Russland
krepieren wird, wird ein Tag der Erlö-
sung für ganze unsere Monarchie sein.

Druga pocztówka pochodziła z Rzeszy Niemieckiej. Był to prezent złożony żołnierzom austriackim przez Niemców.

U góry czytało się napis „Viribus unitis“, a pod tym napisem widać było szubienicę z wiszącym na niej sir

Edwardem Greyem. Obok niego stali dwaj salutujący żołnierze: austriacki i niemiecki.

Pod obrazkiem był wierszyk zaczerpnięty z książki Greinza: „Żelazny kułak“. Był to jeden z tych dowcipów, jakie fabrykowano przeciw nieprzyjaciołom Austrii. O wierszach Greinza pisma niemieckie pisały, że są to chłaśnięcia biczem, zawierające prawdziwy, niekietzany humor i niedościgniony dowcip.

Tekst pod obrazkiem brzmiał tak:

Na szubienicy, dosyć wysoko,
niech się pobuja Edward Grey.
Najwyższy już po temu czas,
ale pouczyć trzeba was,
że żaden dąb się na to nie zgodzi,
by na nim zawisł ten Judasz-złodziej,
więc wisi na drzewie osiki
z francuskiej republiki.

Kapitan Sagner nie doczytał jeszcze tego wierszyka, zawierającego „niekietzany humor i niedościgniony dowcip“, gdy do wagonu sztabowego wpadł ordynans Matuszicz.

Został przez kapitana Sagnera wysłany do centrali telegraficznej dowództwa stacji, czy nie ma tam czasem jakich nowych dyspozycji, i przyniósł telegram z brygady. Nie trzeba było sięgać po żaden klucz szyfrowy. Telegram brzmiał jasno i zgola nietajemniczo:

Rasch abkochen, dann Vormarsch
nach Sokal.

Kapitan Sagner zamyślił się i zakręcił głową.

— Posłusznie melduję — rzekł Matuszicz — że dowódca stacji prosi pana na rozmowę. U niego jest jeszcze jeden telegram.

Doszło następnie do bardzo poufnej rozmowy między dowódcą stacji a kapitanem Sagnerem.

— Pierwsza depesza musiała zostać wręczona, chociaż treść jej była zgola niespodziewana dla oddziału znajdującego

się na stacji Rab: „Szybko gotować się i marsz na Sokal“. Adres był nieszyfrowany do marszbatalionu 91 pułku z odpisem dla marszbatalionu 75 pułku, który był jeszcze daleko. Podpis był właściwy: Dowódca brygady Ritter von Herbert.

— W wielkiej tajemnicy, panie kapitanie — tajemniczo mówił dowódca stacji — komunikuję panu tajny telegram naszej dywizji. Dowódca waszej brygady oszalał. Został wywieziony do Wiednia, gdy rozesłał z brygady kilka tuzinów podobnych depezb na wszystkie strony. W Budapeszcie na pewno otrzyma pan inną depezbę. Oczywiście, że wszystkie jego depezbę trzeba unieważniać, ale co do tego nie otrzymaliśmy jeszcze żadnej wskazówki. Mam, jak już powiedziałem, jedynie rozkaz z dywizji, żeby na telegramy nieszyfrowane nie zwracać uwagi. Muszę je doręczać, ponieważ pod tym względem nie otrzymałem od swoich władz odpowiednich rozkazów. Za pośrednictwem swoich władz informowałem się w dowództwie korpusu i za to oddany zostałem pod śledztwo...

— Jestem oficerem czynnej służby w korpusie inżynierii — dodał — pracowałem przy budowie naszej strategicznej kolei w Galicji.

— Panie kapitanie — rzekł po chwili — nam, starym żołnierzom, najlepiej na froncie służyć! Dzisiaj w ministerstwie wojny pęta się tych cywilów, inżynierów kolejowych więcej niż psów... Tyle, że mają egzamin jednorocznych ochotników... Zresztą pan za kwadrans jedzie dalej. Pamiętam dobrze, że w szkole wojskowej w Pradze pomagałem panu przy gimnastyce jako jeden ze starszego rocznika. Obaj mieliśmy kiedyś areszt, bo pan się też bił z Niemcami swej klasy*. Był tam też i Lukasz. Obaj byliście najlepszymi towarzyszami. Jak tylko dostaliśmy depezbę ze spisem oficerów przejeżdżającego

* Obaj panowie rozmawiali ze sobą po niemiecku i ustęp ten brzmiał w niemieczyźnie:

Sie haben sich damals auch mit den deutschen Mitschülern gerauft.

batalionu, zaraz sobie wszystko przypomniałem. Ładnych parę lat minęło od tamtych czasów... Kadet Lukasz był mi wtedy bardzo sympatyczny...

Cała ta rozmowa wywarła na kapitanie Sagnerze wrażenie bardzo przykre. Oczywiście, że doskonale poznał oficera, który z nim rozmawiał, a który w szkole wojskowej prowadził opozycję przeciwko rakuszaństwu, chociaż późniejsze karierowiczostwo kazało o tej pozycji zapomnieć. Najbardziej niechętną była wzmianka o nadporuczniku Lukasz, który zawsze i wszędzie był spychany na bok, gdy chodziło o Sagnera.

— Nadporucznik Lukasz rzekł z naciskiem — jest bardzo dobrym oficerem. Kiedy odchodzi pociąg?

— Za sześć minut — odpowiedział dowódca stacji, spojrzawszy na zegarek.

— Idę — rzekł Sagner.

— I nic mi nie powiecie, kolego?

— No to na z d a r* — odpowiedział Sagner i wyszedł przed gmach dowództwa stacji.

Gdy przed odejściem pociągu kapitan Sagner powrócił do wagonu sztabowego, znalazł wszystkich oficerów na swoich miejscach. Grali w karty, we „*frische viere*“. Tylko kadet Biegler nie grał.

Przerzucał kartki mnóstwa porozpoczynanych rękopisów opisujących bitwy, bo chciał się wyróżnić nie tylko na polu walki, ale także jako pisarz wojskowy, opisujący zdarzenia wojskowe. Mąż dziwnego „bocianiego skrzydła z ogonem ryby“, pragnął stać się fenomenem wśród pisarzy wojskowych. Jego prace literackie zaczynały się nagłówkami wielce obiecującymi, w których odbijał się militarizm owych czasów, ale były to zaledwie notatki, tak że na ćwiartkach papieru znajdowały się na razie dopiero nagłówki prac, które miały powstać później:

* W niemieckiej rozmowie brzmiało to: Also: Na z d a r!

Charakterystyka żołnierzy wielkiej wojny. — Kto rozpoczął wojnę? — Polityka austriacko-węgierska a powstanie wojny światowej. — Uwagi wojenne. — Austro-Węgry a wojna światowa. — Doświadczenia wojny. — Odczyt popularny o wybuchu wojny. — Uwagi wojenno-polityczne. — Sławny dzień Austro-Węgier. — Imperializm słowiański a wojna światowa. — Dokumenty z wojny. — Dokumenty do dziejów wojny światowej. — Dziennik wojny światowej. — Kronika wojny światowej. — Pierwsza wojna światowa. — Nasza dynastia w wojnie światowej. — Narody monarchii austro-węgierskiej w wojnie światowej. — Kronika mojej żołnierki. — Jak walczą wrogowie Austro-Węgier. — Kto zwycięży? — Nasi oficerowie i nasi żołnierze. — Znakomite czyny moich żołnierzy. — Z czasów wielkiej wojny. — O zapale walcącym. — Księga bohaterów austro-węgierskich. — Żelazna brygada. — Zbiór moich listów z frontu. — Bohaterowie naszego marszbatalionu. — Książka podręczna dla żołnierzy frontu. — Dni walk i zwycięstwa. — Co widziałem i czego doznałem na froncie. — W rowach strzeleckich. — Oficer opowiada. — Z synami Austro-Węgier naprzód! — Aeroplany nieprzyjacielskie a nasza piechota. — Po bitwie. — Nasza artyleria: wierni synowie ojczyzny. — Choćby się całe piekło sprysięgło przeciw nam... — Wojna obronna i wojna zaczepna. — Krew i żelazo. — Zwycięstwo lub śmierć. — Nasi bohaterowie w niewoli.

Gdy kapitan podszedł do kadeta Bieglera i przeczytał te nagłówki, zapytał na co zostały one napisane i jak należy je rozumieć.

Kadet Biegler odpowiedział mu w istnym natchnieniu, że każdy z tych nagłówek, to tytuł książki, która zostanie napisana. Ile nagłówek, tyle książek.

— Pragnę, panie kapitanie, żeby po mnie została pamiątka, gdy polegnę w walce. Wzorem dla mnie jest profesor niemiecki, Udo Kraft. Urodził się w roku 1870, teraz, gdy wybu-

chła wojna, zgłosił się na ochotnika i poległ dnia 22 sierpnia 1914 roku pod Anloy. Przed śmiercią wydał książkę: „Samowychowanie ku śmierci za cesarza“. (Udo Kraft, „Selbsterziehung zum Tod für Kaiser“. C. F. Amelang, Verlag, Leipzig.)

Kapitan Sagner podprowadził kadeta Bieglera ku oknu.

— Niech pan pokaże, co pan ma jeszcze, kadecie Biegler. Ogromnie interesuje mnie pańska działalność — z ironią mówił kapitan Sagner. — Co to za zeszyt, który schował pan pod bluzą?

— To nic osobliwego, panie kapitanie — z dziecięcym rumieńcem odpowiedział kadet Biegler. — Służę panu.

Na zeszytcie podanym kapitanowi był napis:

Schematy wielkich i sławnych bitw stoczonych przez wojska austro-węgierskie, na podstawie studiów historycznych ułożone przez c. k. oficera Adolfa Bieglera. Uwagami i objaśnieniami zaopatrzył c. k. oficer Adolf Biegler.

Schematy te były straszliwie proste.

Od bitwy pod Nörlingen z 6 września r. 1634, poprzez bitwę pod Zentą z 11 września 1697, pod Caldiero z 31 września 1805, pod Aspern z 22 kwietnia 1809, bitwę narodów pod Lipskiem w roku 1813, Santa Lucia w maju 1848, aż po bitwę pod Trutnowem 27 czerwca 1866 i zdobycie Sarajewa 19 sierpnia 1878 — wszystkie schemaciki były jednakowe.

W każdym z nich kadet Biegler narysował pewną ilość kwadracików, przy czym jedne były puste, drugie siatkowane. Po obu stronach było lewe skrzydło, centrum i prawe skrzydło. Następnie w tyle stały rezerwy i strzałki zwrócone tam i sam. Bitwa pod Nördlingen tak samo jak zdobywanie Sarajewa podobna była do rozstawienia graczy footballowych na jakimkolwiek boisku, przy czym strzałki mogły bardzo dobrze oznaczać kierunek kopniętej piłki.

Taka też myśl przyszła do głowy kapitanowi Sagnerowi. Dlatego zapytał:

— Panie kadecie, pan grywa w piłkę nożną?

Biegler zarumienił się jeszcze bardziej i zamrugał oczami. Przez chwilę zdawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Kapitan Sagner z uśmiechem odwracał kartki zeszytu i zatrzymał się nad schematem bitwy pod Trutnowem podczas wojny austriacko-pruskiej. Kadet Biegler dopisał przy tym schemacie uwagę:

— Bitwa pod Trutnowem nie powinna być stoczona, ponieważ pagórkowata okolica uniemożliwiała rozwinięcie dywizji generała Mazzucheli, zagrożonej przez potężne kolumny pruskie, znajdujące się na wyżynach otaczających lewe skrzydło naszej dywizji.

— A więc zdaniem pańskim — rzekł z uśmiechem kapitan Sagner, oddając Bieglerowi zeszyt — bitwa pod Trutnowem mogła być stoczona jedynie w tym wypadku, gdyby Trutnow leżał wśród równin. Jesteś pan Benedekiem budziejowickim. Bardzo to pięknie z pańskiej strony, kadecie Biegler, że w czasie tak krótkim swego przebywania w wojsku starał się pan przeniknąć wszystkie tajniki strategii, tylko że te usiłowania pańskie wypadły tak samo, jak to się zdarza chłopcom, gdy się bawią w wojsko i nadają sobie tytuły generałów. Sam pan się tak szybko awansował na oficera, aż miło patrzeć. C. k. oficer Adolf Biegler! Zanim dojedziemy do Pesztu, będzie pan marszałkiem polowym. Onegdaj siedział pan u swego tatusia i ważył pan skóry krowie, a dzisiaj k. u n d. k. Leutnant Adolf Biegler!... Człowieku, przecie panu jeszcze daleko do oficera! Kadet, to nie oficer. Wisisz pan w powietrzu między podoficerami a chorążymi. Jest pan akurat takim samym oficerem jak frajter, który w knajpie każe się nazywać sierżantem sztabowym.

— Słuchaj no, Lukasz — zwrócił się do nadporucznika — skoro masz w swojej kompanii kadeta Bieglera, to go ćwicz,

a zdrowo. Podpisuje się jako oficer, więc niech sobie na ten tytuł zasłuży w bitwie. Jak będzie ogień huraganowy, a my będziemy atakowali, to niech ze swoim plutonem idzie przecinać zasieki z drutu kolczastego der gute Junge. A propos, każe ci się kłaniać Zykan, jest dowódcą stacji w Rabie.

Kadet Biegler widząc, że rozmowa z nim jest skończona, zasalutował i zaczerwieniony przeszedł przez cały wagon, aż zaszył się wreszcie w poprzecznym przejściu na jego końcu.

Jak lunatyk otworzył drzwi klozetu i spoglądając na niemiecko-madziarski napis: „Używanie klozetu dozwolone jedynie podczas jazdy pociągu“, załkał i rozpłakał się na dobre. Potem rozpiął spodnie... Potem siedział ocierając łzy. Potem użył zeszytu z napisem: Schematy wielkich i sławnych bitw stoczonych przez wojska austro-węgierskie, ułożone przez c. k. oficera Adolfa Bieglera. Pohańbiony zeszyt zniknął w otworze klozetu i padając na tor, polatywał między szynami pod pędzącym pociągiem wojskowym.

Kadet Biegler obmył sobie w umywalni klozetu zaczerwienione oczy i wyszedłszy na korytarzyk, postanawiał być mocnym, cholernie mocnym. Już od rana bolała go głowa i brzucho.

Przechodził obok końcowego przedziałku, gdzie ordynans batalionu, Matuszicz, ze służącym dowódcy batalionu, Batzerem, grali w zechcyka.

Zajrzał do wewnątrz przez uchylone drzwi i zakaszłał. Gracze spojrzeli nań i grali dalej.

— Czy nie wiecie, co się należy? — zapytał Biegler.

— Nie mogłem — odpowiedział służący kapitana Sagnera, Batzer, swoją straszliwą niemczyzną z gór Kasperskich. — Mi'is' die Trump' a usganga.

— Należało wyjść w dzwonki, panie kadecie — mówił dalej — w wysokie dzwonki, a zaraz potem zagrać winnego króla... To się należało...

Kadet Biegler nie rzekł już ani słowa i zaszył się w kącie wagonu. Gdy później podszedł do niego chorąży Pleschner, żeby go poczęstować łykiem koniaku, którego butelkę wygrał w karty, to się zadziwił, że Biegler tak pilnie studiuje książkę profesora Udo Krafta: „Samowychowanie ku śmierci za cesarza“.

Zanim dojechali do Pesztu, kadet Biegler był taki pijany, że wychylał się z wagonu i wrzeszczał w pustą okolicę:

— Frisch drauf! Im Gottes Namen frisch drauf!

Na rozkaz kapitana Sagnera ordynans batalionu, Matuszicz, odciągnął go od okna i przy pomocy służącego kapitana Sagnera ułożył go na ławie. Kadet Biegler zasnął i miał taki sen:

SEN KADETA BIEGLERA PRZED BUDAPESZTEM.

Miał *signum laudis*, żelazny krzyż, był majorem i jechał na inspekcję odcinka brygady, która była mu powierzona. Tylko że nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego ciągle jest majorem, gdy komenderował całą brygadą. Miał podejrzenie, że oczekiwał go awans na generał-majora, ale słówko „generał“ musiało się widać gdzieś zapodziać na poczcie polowej.

W duchu musiał się śmiać, że w pociągu, którym jechali na front, kapitan Sagner groził, że jemu każe przecinać zasieki z drutu kolczastego. Zresztą kapitan Sagner już dawno został przeniesiony do innego pułku i to na jego, Bieglera, życzenie wyrażone w dowództwie dywizji. Przeniesiono go razem z nadporucznikiem Lukaszem do innej dywizji i do innego korpusu.

Ktoś mu potem opowiadał, że obaj nędznie zginęli w jakichś błotach podczas ucieczki.

Gdy autem podjeżdżał ku pozycjom dla obejrzenia odcinka swej brygady, wszystko było jasne i wyraźne. Właściwie był delegowany przez generalny sztab armii.

Koło niego przechodzili żołnierze i śpiewali pieśń, którą czytał był w zbiorze austriackich pieśni wojennych: „Es gilt“:

Halt euch brav, ihr tapfren Brüder,
werft den Feind nur herzlich nieder,
lasst des Kaisers Fahne wehn...

Okolica była taka sama jak na obrazkach „Wiener Illustrierte Zeitung“.

Po prawej stronie koło stodoły widać było artylerię ostrzeliwującą nieprzyjacielskie okopy przy szosie, po której pędził automobil. Z lewej strony stał dom, z którego strzelano, podczas gdy nieprzyjaciel kolbami karabinów starał się wywalić drzwi. Przy szosie płonął zestrzelony aeroplan nieprzyjacielski. Na horyzoncie widać było jazdę i palącą się wieś, dalej okopy marszbatalionu na małym wywyższeniu, skąd ostrzeliwano nieprzyjaciela z karabinów maszynowych. Dalej ciągnęły się okopy nieprzyjacielskie wzdłuż szosy. A szofer wiezie go dalej szosą prosto ku nieprzyjacielowi.

— Nie wiesz, gdzie mnie wieszysz? Tam jest nieprzyjaciel! — ryczy na szofera.

Ale szofer odpowiada mu zgoła spokojnie:

— Panie generale, to jedyna porządna droga. Szosa jest w stanie dobrym. Na drogach bocznych opony nie wytrzymałyby tej jazdy.

Im bliżej pozycyji nieprzyjacielskich, tym wyraźniej sły-chać strzelanie. Po obu stronach okopów ciągnie się aleja drzew owocowych i granaty niszczą tę aleję.

A szofer spokojnie odpowiada na jego uwagi:

— Ta szosa jest wyborna, panie generale, jedzie się po niej jak po maśle. Gdybyśmy zboczyli w pole, to opony popękają.

— Niech pan spojrzy, panie generale — krzyczy szofer — ta szosa jest tak świetnie zbudowana, że nawet moździerz trzydziestocentymetrowe nic nam nie zrobią. Szosa ta, to istne

boisko, ale na kamienistych drogach polowych popękałyby opony. A wracać też nie możemy, panie generale.

— Bzzz — dzum! — słyszy Biegler wybuch, a auto robi ogromny skok.

— A co? Czy nie mówiłem, panie generale? — ryczy szofer. — Przecież to jest cholernie dobra szosa. Właśnie wybuchnął przed nami pocisk trzydziestośmiocentymetrowy. Ale dziury nie ma. Szosa jak boisko. Lecz gdybym skręcił w pole, to zaraz popękają opony. Teraz ostrzeliwują nas z odległości czterech kilometrów.

— Ale dokąd my jedziemy?

— To się pokaże — odpowiedział szofer. — Dopóki będzie taka szosa jak dotąd, to ręcę za wszystko.

Lot, ogromny lot i automobil przystaje.

— Panie generale — krzyczy szofer — czy nie ma pan mapy sztabowej?

Generał Biegler zapala elektryczną lampkę i widzi, mapę sztabową ma na kolanach. Ale jest to morska mapa wybrzeży Helgolandu z roku 1864, z czasu wojny austriacko-pruskiej przeciw Danii o Szlezwig.

— Jesteśmy na rozstajach — powiada szofer — a wszystkie drogi prowadzą ku pozycjom nieprzyjacielskim. Mnie chodzi o porządną szosę, żeby nie ucierpiały opony, panie generale... Ja odpowiadam za automobil sztabowy...

Nagle huk, ogłuszający huk i gwiazdy olbrzymie jak koła. Mleczna droga jest gęsta jak śmietana.

Płynie Biegler w bezkresach wszechświata, siedząc obok szofera. Tuż przed siedzeniem auto zostało przecięte gładko jakby nożycami. Z całego auta pozostał tylko napastliwy, zacząpny przód.

— Całe szczęście, że mi pan akurat pokazywał mapę — mówi szofer. — Przeleciał pan do mnie, a resztę diabli wzięli. To była czterdziestodwucentymetrowka... Zaraz wiedziałem, że jak miniemy rozstaje, to szosa będzie diabła warta. Po

trzydziestoósemce mogła być tylko czterdziestodwucentymetrowka. Nic lepszego nie wyrabiają jak dotąd, panie generale.

— Ale dokąd jedziemy?

— Lecimy do nieba, panie generale, i trzeba omijać komety. Takie komety są znacznie gorsze od największych granatów.

— Teraz pod nami jest Mars — rzekł szofer po długim milczeniu.

Biegler czuł się znowu spokojny.

— Czy znasz pan dzieje bitwy narodów pod Lipskiem? — zapytał. — Kiedy to marszałek polowy, ksiązę Szwarzenberg, szedł na Libertkowice 14 października 1813 roku i gdy 16 października toczyła się walka o Lindenau? Wtedy generał Merweldt staczał swoje walki, wojska austriackie były w Wachowie, a 19 października padł Lipsk.

— Panie generale — rzekł szofer z wielką powagą — jesteśmy właśnie przed niebieską bramą, proszę wysiadać! Przez bramę niebieską przejechać nie podobna, bo jest tu wielki tłok. Sami żołnierze.

— Przejeżdż którego z nich, to nam poschodzą z drogi! — krzyczy na szofera.

I wychylając się z samochodu, woła:

— Achtung, sie Schweinebande! Co za bydło! Widzą generała, ale nie chce im się zrobić rechtschaut.

— Ciężka sprawa, panie generale — odpowiada na to szofer głosem łagodnym — prawie wszyscy mają poobrywane głowy.

Generał Biegler dopiero teraz zauważył, że ci, co się tłoczyą w bramie niebieskiej, to najprzeróżniejsi inwalidzi, którzy w wojnie potracili różne części ciała i dźwigają je z sobą w plecakach. Głowy, ręce, nogi. Jakiś sprawiedliwy kanonier w podartym płaszczu, pchający się przez tłum przy niebieskiej bramie, miał w tłumoczku całe swoje brzuchozę razem z dolnymi kończynami. Z innego tłumoka, dźwiganego przez jakiegoś

sprawiedliwego landwerzystę, wyglądała na generała Bieglera połowa zadka, którą zacny ów człowiek stracił pod Lwowem.

— To gwoli porządkowi — odezwał się szofer, przejeżdżając przez gęsty tłum. — Potrzebne to widać dla rajskiej superrewizji.

Przy bramie niebieskiej odźwierni puszczali jedynie na dźwięk słów hasła, które i Bieglerowi od razu przyszło do głowy: „Für Gott und Kaiser“.

Samochód wjechał do raj.

— Panie generale — rzekł jakiś anioł-oficer ze skrzydłami u ramion, gdy przejeżdżali koło koszar aniołów-rekrutów — musi pan się meldować w dowództwie głównym.

Jechali dalej koło jakiegoś placu ćwiczeń, gdzie się roiło od rekrutów-aniołów, których uczono wołać chóralnie: Alleluja!

Przejeżdżali akurat koło pewnej grupy, gdzie rudy anioł-kapral obrabiał akurat jakiegoś oferme rekruta angielskiego, tłukł go pięścią po brzuchu i wołał:

— Gębę szerzej otwieraj, słoni betlejemski! Czy to tak się woła: Alleluja? Skrzeczysz, jakbyś miał kluskę w gębie. Chciałbym ja wiedzieć co za wół wpuścił cię tutaj do raj, ty bydlę jedno. Więc jeszcze raz... Hlahlelhuj! Ach, ty bestio jedna, jeszcze nam tu w raj będziesz krzyczał przez nos!? Powtórz mi zaraz, cedrze libański!

Pędzili dalej, ale jeszcze długo słyszeli za sobą nosowe dźwięki biednego anioła-rekruta: Hla-hle-hlu-hja i krzyk anioła-kaprala: Ale-lu-ja! Ale-lu-ja! Ty krowo jordańska!

Potem zajaśniało wielkie światło nad ogromną budowlą, podobną do koszar mariańskich w Budziejowicach, a nad nią dwa aeroplany, jeden z lewej strony, drugi z prawej, zaś pośrodku, między obu aeroplanami, rozciągnięte było olbrzymie płótno z wielkim napisem:

K. u. k. Gottes Hauptquartier.

Do generała Bieglera podbiegli dwaj aniołowie w uniformach żandarmów polowych, wyciągnęli go z automobilu i ująwszy go za kołnierz, zaprowadzili na pierwsze piętro wielkiego gmachu.

— Zachowujcie się przyzwoicie przed Panem Bogiem — napomnieli go, zatrzymując się przed pewnymi drzwiami, otworzyli te drzwi i wepchnęli go do środka.

Na środku pokoju, na którego ścianach wisiały portrety Franciszka Józefa i Wilhelma, następcy tronu, Franciszka Karola Józefa, generała Wiktora Dankla, arcyksięcia Fryderyka i szefa sztabu generalnego, Konrada Hötendorfa, stał Pan Bóg.

— Kadecie Biegler — rzekł Pan Bóg z naciskiem — nie poznajesz mnie? Ja jestem twój były kapitan, Sagner z 11 marszkompanii.

Biegler zdrętwiał.

— Kadecie Biegler — odezwał się znowuż Pan Bóg — jakim prawem przywłaszczyłeś sobie tytuł generał-majora? Jakim prawem, kadecie Biegler, rozbijałeś się samochodem sztabowym po szosie wśród pozycyji nieprzyjacielskich?

— Posłusznie melduję...

— Stul gębę, kadecie Biegler, gdy rozmawia z tobą Pan Bóg.

— Posłusznie melduję — wyjąkał Biegler jeszcze raz.

— Więc ty nie zamkniesz gęby? — krzyknął na niego Pan Bóg i otworzywszy drzwi zawołał: — Dwóch aniołów! Żwawo!

Weszli dwaj aniołowie z karabinami przewieszonymi przez lewe skrzydła. Biegler poznał w nich Matuszicza i Batzera. Z ust Pana Boga zabrzmiał rozkaz:

— Wrzucić go do latryny!

Kadet Biegler zapadał gdzieś w straszliwy smród.

Naprzeciwko śpiącego kadeta Bieglera siedział Matuszicz ze służącym kapitana Sagnera, Batzerem, i jeszcze ciągle grali w zechcyka.

— Stink awer der Kerl wie a Stockfisch
— rzucił Batzer, który z zainteresowaniem przyglądał się, jak śpiący kadet zwija się na ławie i kręci. — Muss die Hosen voll ha'n.

— Taka rzecz może się zdarzyć każdemu — rzekł filozoficznie Matuszicz. — Daj mu spokój: przeodziewać go nie będziesz. Lepiej rozdaj karty.

Nad Budapesztem widać już było lunę światła, a po Dunaju przeskakiwały blaski reflektora.

Kadetowi Bieglerowi śniło się teraz co innego, bo przez sen mówił:

— Sagen sie meiner tapferen Armee, das sie sich im meinem Herzen ein unvergängliches Denkmal der Liebe und Dankbarkeit errichtet hat.

Ponieważ przy tych słowach znowu zaczął się kręcić, pod nos Batzera zaleciał mocniejszy zapach. Splunął tedy i rzekł:

— Stink wie a Hajzlpuca, wie a beschissn a Hajzlpuca.

A kadet Biegler kręcił się coraz niespokojniej, zaś nowy jego sen był wielce fantastyczny. Był obrońcą miasta Linzu w wojnie o sukcesję austriacką.

Widział reduty, retranchementy i palisady dokoła miasta. Jego kwatera główna przemieniona była w ogromny szpital. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, leżeli chorzy i trzymali się za brzuchy. Przed palisadami miasta harcowali dragoni Napoleona I.

Zaś on, dowódca miasta, stał nad tym mrowiem i także trzymał się za brzuch, a jednocześnie krzyczał do jakiegoś francuskiego parlamentariusza:

— Powiedzcie swemu cesarzowi, że się nie poddam...

Nagle, jak gdyby jego ból brzucha spadł z niego za jednym zamachem, i oto na czele batalionu pędzi on z miasta na drogę chwały i zwycięstwa, i widzi, jak nadporucznik Lukasz

gołą ręką odbija cios pałasza francuskiego dragona, który chciał ciąć jego, Bieglera, obrońcę obleżonego miasta Linzu.

Nadporucznik Lukasz umiera u jego stóp z okrzykiem:

— Ein Mann, wie sie, Herr Oberst, ist nöti-
ger, als ein nichtsnutziger Oberleutnant!

Obrońca Linzu ze wzruszeniem odwraca się od umierają-
cego, gdy wtem nadlatuje kartacz i wali Bieglera w zadek.

Biegler odruchowo sięga ręką tam, gdzie go uderzył kar-
tacz i czuje wilgoć. Coś lepkiego rozmazuje mu się po rękę.
Więc krzyczy:

— Sanität! Sanität! — i wali się z konia...

Kadeta Bieglera Batzer z Matusziczem podnieśli z podłogi,
na którą zwałił się z ławy, i ułożyli go na niej znowuż.

Następnie Matusicz poszedł do kapitana Sagnera, aby mu
zameldować, że z kadetem Bieglarem coś jest bardzo nie w po-
rządku.

— To chyba nie od koniaku — rzekł. — Najprędzej dostał
kadet cholery. Wszędzie po stacjach pił wodę. W Moszonie
widziałem, że się...

— Cholera nie przychodzi tak szybko. W sąsiednim prze-
dziale jest pan doktor, idźcie do niego i powiedzcie mu, żeby
obejrzał chorego.

Do batalionu został przydzielony „wojenny doktor“, stary
medyk i bursz, Welfer. Umiał pić i bić się, a medycynę znał
jak wytarty trojak. Przystudiował swój fach na różnych uni-
wersytetach austriackich, odbywał praktykę w najróżniej-
szych szpitalach, ale doktoratu nie robił po prostu dlatego, że
w testamencie jego stryja była klauzula nakładająca na jego
spadkobierców obowiązek wypłacania Fryderykowi Welferowi
rocznego stypendium tak długo, dopóki ów Fryderyk Welfer
nie otrzyma dyplomu lekarskiego.

To stypendium było przynajmniej cztery razy wyższe od
wynagrodzenia, jakie asystenci otrzymują w szpitalach, więc
medicinae universae candidatus, Fryderyk

Welfer, rzetelnie starał się o to, aby promowanie go na doktora medycyny były odsunięte w czasy jak najdalsze.

Spadkobiercy byli wściekli. Nazywali go idiotą, próbowali narzucić mu bogatą narzeczoną, żeby się go pozbyć. Aby spadkobiercom dokuczyć jeszcze bardziej, kandydat medycyny, Fryderyk Welfer, członek jakichś dwunastu korporacji studenckich, wydał kilka zbiorków bardzo ładnych wierszy w Wiedniu, w Lipsku i w Berlinie. Pisywał do „Simplicissimusa” i dalej studiował medycynę, jakby nigdy nic.

Aż oto wybuchła wojna i podstępnie zarzuciła swoje zdrazieckie sidła na Fryderyka Welfera.

Poeta i autor książek „Lachende Lieder“, „Krug und Wissenschaft“, „Märchen und Parabeln“ musiał po prostu ruszyć na wojnę, a jeden ze spadkobierców postarał się w ministerstwie wojny o to, że Fryderyk Welfer zrobił „wojenny doktorat“. Zrobił go na piśmie. Otrzymał szereg pytań i na wszystkie odpowiedział stereotypowo: „Lec-ken sie mir am Arsch!“ Po trzech dniach pułkownik oznajmił mu, że otrzyma dyplom doktora medycyny, że już dawno był dojrzały dla doktoratu, że starszy lekarz sztabu przydziela go do szpitala uzupełnień i że od jego własnego postępowania zależy szybki awans. Wprawdzie wiadomo o nim, że w różnych miastach pojedynkował się z oficerami, ale na wojnie zapomina się o takich rzeczach.

Autor poezyj „Dzban i wiedza“ zaciął usta i zaczął służyć w wojsku.

Ponieważ ustalono kilka przypadków, że doktor Welfer był bardzo uprzejmy dla chorych żołnierzy i przedłużał im pobyt w szpitalu jak tylko było można, doktora tego wyprawiono z jedenastą marszkompanią na front. Bo wtedy obowiązywała powszechna zasada co do chorych: — Ma się taki wylegiwać w szpitalu i zdychać na łóżku, to niech lepiej zdechnie w rowie strzeleckim albo w tyralierze.

Oficerowie służby czynnej całego batalionu uważali doktora Welfera za coś niższego od siebie, a oficerowie rezerwy także nie zwracali na niego uwagi i nie zaprzyjaźniali się z nim, żeby się przez to jeszcze bardziej nie pogłębiała przepaść między nimi a oficerami aktywnymi.

Oczywiście, że i kapitan Sagner czuł się niesłychanie wywyższony nad tego byłego kandydata medycyny, który podczas swoich bardzo długich studiów szpetnie posiekał kilku oficerów. Gdy doktor Welfer, wojenny doktor, przeszedł koło niego, kapitan nawet na niego nie spojrzął i dalej rozmawiał z nadporucznikiem Lukaszem o czymś zgoła obojętnym, że w Budapeszcie hodują dynie, na co nadporucznik Lukasz odpowiedział, że w trzecim roczniku szkoły wojskowej bawił z kilku kolegami na Słowacyzynie i że przybyli w goście do pewnego ewangelickiego proboszcza, Słowaka. Gospodarz uraczył ich wieprzową pieczenią i jarzyną z dyni, a potem kazał im dać wina i mówił:

Dynia, świnia
chce sa jej wina.

Wszyscy się tym powiedzeniem uczuli dotknięci.

— Z Budapesztu niewiele zobaczymy — rzekł kapitan Sagner, rozmawiając z Lukaszem wyjątkowo po czesku. — Objeżdżamy miasto bokiem. Według marszruty mamy tu stać dwie godzinny.

— Sądzę, że przesuną tu wagony — odpowiedział nadporucznik Lukasz — więc dostaniemy się na stację zapasową: *Transport Militär-Bahnhof*.

Obok nich przeszedł „wojenny doktor“ Welfer.

— Nic osobliwego — rzekł z uśmiechem. — Tacy panowie, którzy z biegiem czasu chcą się stać oficerami i którzy jeszcze w Brucku chępią się swoimi wiadomościami historyczno-strategicznymi, powinni wiedzieć, że to niebezpiecznie zjeść od razu cały transport słodczy otrzymany od mamusi. Od chwili, gdy wyjechaliśmy z Brucku, kadet Biegler zjadł trzydzieści

ciastek z kremem, jak mi się przyznał, i wszędzie po stacjach pił tylko gotowaną wodę. Przypomina mi się pewien wiersz Schillera...

— Słuchaj pan, panie doktorze — przerwał mu kapitan Sagner — tu nie chodzi o Schillera. Jak się ma kadet Biegler. „Wojenny doktor“ Welfer roześmiał się.

— Aspirant na oficera, pański kadet Biegler, się zerznął... To nie cholera i nie czerwonka, ale prosty i powszedni kaktus. Pański aspirant oficerstwa wypił trochę więcej koniaku i zrobił w majtki... Zresztą byłby to niezawodnie zrobił i bez koniaku. Obzarił się tak dalece ciastkami z kremem, które posłano mu z domu, że i tego byłoby dosyć... Taki dzieciak... W kasynie, jak mi wiadomo, pijał zawsze tylko ćwiartkę... Abstynent.

Doktor Welfer splunął.

— Kupował sobie cukierki i ptysie.

— A więc nic osobliwego? — zapytał kapitan Sagner. — Taka rzecz jednak... Gdyby to było zaraźliwe...

Nadporucznik Lukasz powstał i rzekł:

— Dziękuję za takiego plutonowego...

— Trochę go poratowałem — rzekł Welfer, nie przestając się uśmiechać — pan kapitan wyda odpowiednie zarządzenie... To jest, ja przekażę Bieglera do szpitala... Dam mu świadectwo, że to dyzenteria. Ciężki wypadek dyzenterii. Izolacja... Kadet Biegler dostanie się do baraku dezynfekcyjnego.

— Jest to bezwarunkowo lepsze — mówił dalej Welfer ciągle z tym wstrętnym swoim uśmiechem — niż gdyby trzeba było powiedzieć prawdę o kadecie za...nym. Dyzenteria, to sprawa bardziej honorowa, niż taka pospolita przygoda.

Kapitan Sagner zwrócił się do nadporucznika Lukasz i rzekł tonem urzędowym:

— Panie nadporuczniku, kadet Biegler z pańskiej kompanii, zachorował na dyzenterię i pozostanie na kuracji w Budapeszcie...

Kapitanowi Sagnerowi wydawało się, że Welfer śmieje się bardzo zaczepnie, ale gdy spojrział na „wojennego doktora“, widział, że jest on zgoła obojętny.

— A więc wszystko w porządku, panie kapitanie — dodał Welfer — aspirant godności oficerskiej.

Machnął ręką:

— Przy dyzenterii każdy zrobi w majtki.

Tak więc się stało, że kadet Biegler został zawieszony do wojskowego szpitala izolacyjnego w Uj Buda.

Jego powalane spodnie zginęły w zamęcie wojny światowej.

Marzenia kadeta Bieglera o wielkich zwycięstwach zostały zamknięte w pokoiku izolacyjnego baraku.

Dowiedziawszy się, że ma dyzenterię, kadet Biegler szczerze się uradował.

Wszystko jedno, czy się otrzymuje rany dla najjaśniejszego pana, czy też zapada się na jaką chorobę przy wykonywaniu obowiązków żołnierskich.

Potem przytrafiła mu się jeszcze drobna przygoda. Ponieważ wszystkie miejsca w szpitalu dla chorych na dyzenterię były zajęte, więc kadeta Bieglera przeniesiono do baraku cholerycznego.

Jakiś madziarski lekarz sztabowy zakręcił głową, gdy kadeta wykąpano i przy mierzeniu temperatury stwierdzono, że ma akurat 37 stopni! Przy cholery najgorszym objawem jest poważny spadek temperatury. Chory staje się obojętny.

Kadet Biegler nie okazywał najmniejszego wzburzenia. Był niezwykle spokojny i w duchu powtarzał sobie, że czy tak, czy owak, cierpi dla najjaśniejszego pana.

Lekarz sztabowy jeszcze raz kazał Bieglerowi zmierzyć temperaturę gruntownie.

— Ostatnie stadium cholery — pomyślał w duchu — objawy końcowe, najwyższe wyczerpanie, chory traci zaintereso-

wanie dla swego otoczenia, a świadomość jego jest przyćmiona. Uśmiecha się w przedśmiertelnym kurczach.

Kadet Biegler przy gruntownym mierzeniu temperatury uśmiechał się istotnie, ale z miną męczennika, gdy wtykano mu termometr w miejsce tak niezwykle. Nie ruszał się.

— Objawy, które przy choleryze prowadzą ku końcowi — myślał węgierski lekarz sztabowy. — Bierna pozycja...

Zapytał jeszcze podoficera-sanitariusza, czy w kąpieli kadet Biegler womitował i miał rozwolnienie.

Otrzymawszy odpowiedź przeczącą, zapatrzył się w Bieglera. Gdy przy choleryze mija rozwolnienie i kończą się wymioty, to i te objawy są oznaką zbliżającego się końca, wypełniając ostatnie godziny życia.

Kadet Biegler, zupełnie nagi, po wyniesieniu go z ciepłej wanny poczuł chłód i zaczął szczerkać zębami. Na całym ciele miał gęsią skórę.

— Widzisz pan — rzekł lekarz po madziarsku — wielka jaktygacja. Kończyny zimne. To już koniec.

I pochylając się nad kadetem, zapytał go po niemiecku:

— Also wie geht's?

— S-s-se-hr-gu-gu-tt — zaszczekał zębami kadet Biegler. — Ee-ei-ne De-deck-cke.

Świadomość częściowo jasna, częściowo przyćmiona — rzekł lekarz węgierski. — Ciało ogromnie wychudzone, wargi i paznokcie powinny być czarne... Już mam trzeci taki przypadek, że umierają u mnie ludzie na choleryę bez czarnych paznokci i warg.

Pochylił się nad kadetem i mówił dalej po madziarsku:

— Drugiego odgłosu nad sercem nie słysząc...

— Ei-ei-ne-ne De-de-de-cke-ke-ke — dygotał kadet Biegler.

— To, co teraz mówi, to ostatnie jego słowa — rzekł lekarz sztabowy do podoficera-sanitariusza po madziarsku. —

Jutro pochowamy go razem z majorem Kochem. Teraz traci przytomność. Czy papiery jego są w kancelarii?

— Pewno są — odpowiedział spokojnie sanitariusz.

— E-i-e-i-n-e-n-e D-e-d-e-d-e-c-k-e-k-e-k-e — szczękał zębami kadet Biegler.

W całej sali na szesnaście łóżek było tylko pięciu ludzi. Jeden z nich był nieboszczykiem. Zmarł przed dwiema godzinami, był przykryty prześcieradłem i nazywał się tak samo jak odkrywca zarazków cholerycznych. Był to kapitan Koch, o którym lekarz sztabowy mówił, że jutro będzie pochowany razem z kadetem Bieglerem.

Kadet Biegler uniósł się na łóżku i po raz pierwszy widział, jak to się umiera na cholere dla najjaśniejszego pana, bo z czterech pacjentów dwaj konali, dusili się i sinieli. Z ich ust wydierały się jakieś słowa, ale nie wiadomo było, co mówią i w jakim języku. Był to raczej charkot zdławionego głosu.

Dwaj inni z ogromnie burzliwą reakcją w kierunku ozdrowienia przypominali chorych na tyfus, bredzących w gorączce. Wykrzykiwali jakieś niezrozumiałe słowa i wierzgali chudymi nogami, wysuwając je spod kołder. Nad nimi stał wąsaty sanitariusz, mówiący narzeczem styryjskim (co Biegler zauważył), i uspokajał ich:

— Ja też miałem cholere, moi złoci ludkowie, ale nie wierzgałem kulasami. Teraz już z wami dobrze. Dostaniecie urlop, jak tylko...

— Nie rzucaj mi się tu tak bardzo — wrzasnął na jednego z nich, który tak porządnie wierzgnął nogą, że kołdra przeleciała mu przez głowę. — Tego się u nas nie robi. Bądź kon-tent, że masz gorączkę, bo cię nie będą wywozili z muzyką. Teraz już macie po kłopotcie.

Rozejrzał się dokoła.

— A tam oto znowu dwaj zmarli. Można się było spodzie-

wać — rzekł dobrodusznie. — A wy bądźcie kontenci, że już macie po kłopotcie. Muszę skoczyć po prześcieradła.

Po chwili wrócił. Nakrył umrzyków z wargami całkiem szerniałymi, wyprostował ich ręce ze szerniałymi paznokciami, którymi w agonii, dusząc się, darli naprężone przyrodzenie, próbował wetknąć im języki do ust, a potem ukląkł przy łóżku i zaczął odmawiać pacierz: „Heilige Maria, Mutter Gottes...” I stary styryjski sanitariusz spoglądał przy tym na obu pacjentów, których maligna oznaczała powrót ku zdrowiu i nowemu życiu.

— Heilige Maria, Mutter Gottes — mówił dalej, gdy wtem jakiś nagus potrząsnął go za ramię.

Był to kadet Biegler.

— Słuchajcie no — mówił — ja się kąpałem... To jest mnie kąpali... Potrzebna mi kołdra... Mnie zimno...

— To dziwny wypadek — mówił po upływie pół godziny ten sam lekarz węgierski, pochylając się nad kadetem Bieglerem, który odpoczywał pod kołdrą. — Pan jest rekonwalescent, panie kadecie. Jutro wyprawimy pana do zapasowego szpitala do Tarnowa. Pan jest siewcą bakterij cholerycznych... Wiedza posunęła się tak daleko, że wszystko już wiemy. Pan jest z 91 pułku...

— ... 13 marszbatalionu — dodał sanitariusz za kadeta Bieglera — kompania 11.

— Proszę pisać — rzekł lekarz wojskowy: — Kadet Biegler, 13 marszbatalion, 11 kompania, 91 pułk piechoty, na obserwację do cholerycznego baraku w Tarnowie. Siewca zarzków cholerycznych...

W taki to sposób z kadeta Bieglera, entuzjastycznego wojaka, stał się siewca bakterij cholerycznych.

II

W Budapeszcie.

Na stacji wojskowej w Budapeszcie Matuszicz przyniósł kapitanowi Sagnerowi telegram z dowództwa stacji. Autorem tego telegramu był nieszczęśliwy dowódca brygady wyprawiony tymczasem do sanatorium. Telegram był nieszyfrowany, jak na stacji ostatniej, i był tej samej treści:

Szybko gotować i marsz na Sokal.

Do tego był jeszcze dodatek:

Tabory zaliczyć do grupy wschodniej. Służba wywiadowcza zostaje zniesiona. 13 marszbatalion buduje most przez Bug. Szczegóły w gazetach.

Kapitan Sagner udał się natychmiast do dowództwa stacji. Przywitał go mały grubawy oficer przyjaznym uśmiechem.

— Co ten nawyrabiał, ten nasz generał brygady — rzekł, chichocząc na cały regulator — ale doręczać te idiotyzmy musieliśmy, ponieważ z dywizji jeszcze nie przyszło rozporządzenie, że depesze jego nie powinny być wręczane adresatom. Wczoraj przejeżdżał tędy 14 marszbatalion 75 pułku, a dowódca batalionu miał tu depeszę, rozkazującą, aby wszystkim szeregowcom wypłacono po sześć koron, jako osobne wynagrodzenie za Przemyśl, a jednocześnie było rozporządzenie,

żeby każdy żołnierz z tych sześciu koron złożył w kancelarii 2 korony na pożyczkę wojenną... Według pewnych wiadomości ten generał brygady ma paraliż postępowy.

— Panie majorze — zapytał kapitan Sagner dowódcy stacji wojskowej — czy według rozkazu pułku pojedziemy do Gödölö, jak przewiduje marszruta? Szeregowcy mają dostać po 15 deka sera szwajcarskiego. Na stacji ostatniej mieli dostać po 15 deka węgierskiego salami. Ale nic nie dostali.

— Tutaj widać także nic nie dostaną — odpowiedział major nie przestając się mile uśmiechać. — Nie wiem nic o takim rozkazie, który dotyczyłby pułków z Czech. Zresztą nie moja to sprawa; niech się pan zwróci do komendy zaopatrywania.

— Kiedy odjeżdżamy, panie majorze?

— Przed panem stoi pociąg z ciężką artylerią, idącą do Galicji. Puścimy go za godzinę, panie kapitanie. Na trzecim torze stoi pociąg sanitarny. Odchodzi w dwadzieścia pięć minut po pociągu z artylerią. Na torze dwunastym mamy pociąg z amunicją. Odjeżdża w dziesięć minut po pociągu sanitarnym, a w dwadzieścia minut po nim idzie pański pociąg. O ile, oczywiście, nie zajdą jakie zmiany — dodał z nieodmiennym miłym uśmiechem, który dla kapitana Sagnera stawał się wstrętnym.

— Pan pozwoli, panie majorze — rzekł kapitan Sagner — czy mógłby mnie pan objaśnić, jak to jest, że pan nic nie wie o rozkazie dotyczącym 15 deka sera szwajcarskiego dla pułków z Czech?

— To sprawa tajna — odpowiedział dowódca stacji wojskowej w Budapeszcie kapitanowi Sagnerowi.

— A tom się ubrał — myślał kapitan Sagner, wychodząc z gmachu dowództwa. — Tam do diabła, trzeba tylko nakazać nadporucznikowi Lukaszowi, żeby zebrał wszystkich dowódców i żeby razem z szeregowcami poszedł po 15 deka szwajcarskiego sera na osobę.

Zanim dowódca 11 marszkompanii, nadporucznik Lukasz, według rozkazu kapitana Sagnera wydał rozporządzenie dotyczące żołnierzy marszbatalionu, mających pójść do magazynu po 15 deka sera szwajcarskiego na osobę, podszedł do niego Szwejk razem z nieszczęśliwym Balounem.

Baloun dygotał ze strachu.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — ze zwykłą uprzejmością rzekł Szwejk — że sprawa, o którą chodzi, jest bardzo ważna. Prosiłbym, panie oberlejtant, żebyśmy tę sprawę mogli załatwić gdzieś na uboczu, jak powiedział mój kamrat Szpatina ze Zhorza, gdy był drużbą na weselu, a w kościele zachciało mu się nagle...

— Czego chcecie, Szwejku? — przerwał mu nadporucznik Lukasz, który tak samo zatęsknił za Szwejkim, jak Szwejk za nim. — Chodźmy więc na ubocze.

Baloun włókł się za nimi, nie przestając drzeć. Ten poczciwy olbrzym stracił zupełnie równowagę duchową i w jakiejś rozpaczliwej beznadziejności kiwał się na wszystkie strony i machał rękoma.

— Więc o co wam chodzi, Szwejku? — zapytał nadporucznik Lukasz, gdy odeszli na stronę.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — rzekł Szwejk — że daleko lepiej zawsze przyznać się do wszystkiego, nim szydło wylezie z worka. Pan mi dał rozkaz, żeby Baloun przyniósł panu pański pasztet, jak tylko przyjedziemy do Budapesztu. Baloun przyniósł ten pasztet i bułki.

— Dostałeś taki rozkaz, czy nie? — zapytał Szwejk, zwracając się do Balouna.

Baloun zaczął jeszcze bardziej wymachiwać rękoma, jakby się chciał obronić przed nacierającym nieprzyjacielem.

— Rozkazu tego — mówił Szwejk — nie można było, niestety, wykonać, panie oberlejtant, ponieważ ja ten pański pasztet zeżarłem...

— Zeżarłem go — rzekł z naciskiem, dając wystraszonemu

Balounowi sójkę w bok — bo pomyślałem, że taki pasztet może się zepsuć. Ja kilka razy czytałem w gazetach, że całe rodziny potruły się takim pasztetem. Pewnego razu na Zderazie się potruili, potem znowuż w Berounie, raz w Taborze i raz w Młodej Bolesławii, a także w Przybramie. Wszyscy ci otruci poumierali. Taki pasztet, to drańska rzecz...

Baloun usunął się na stronę, wsadził palec w usta i zaczął womitować.

— Co wam się stało, Balounie?

— Ja rzy-rzy-e-e-gam, panie ober...e-e-oeber-lejt-nant-e-e...

— mówił nieszczęsny Baloun korzystając z przerw w womitowaniu. — To ja-ja-ee-go zeżar-e-e-łłem, ja-e-e, ja-eee sa-eem-mm-e-e-e...

Z głębin biednego człowieka wrywały się kawałki pasztetu razem ze staniolem, w który pasztet był zawinięty.

— Jak pan widzi, panie oberlejt-nant — rzekł Szwejk, ani na chwilę nie tracąc swej równowagi ducha — każdy taki zeżarty pasztet wyjdzie na wierzch, jak oliwa na wodę. Ja chciałem tę rzecz wziąć na siebie, a ta małpa tak się oto zasypuje. On jest człowiekiem na ogół bardzo porządnym, ale wszystko zeżre, co ma pod opieką. Był na przykład służący w jednym banku. Można było pozostawiać tysiące na jego opiece. Pewnego razu podejmował pieniądze w innym banku i dostał o tysiąc koron za dużo. Oddał je natychmiast, ale jak mu dali 15 grajcarów, żeby przyniósł wędzonki, to połowę jej po drodze zeżarł. Taki już był, nienażarty, że gdy urzędnicy posyłali go po kielbaski, to je dziurawił scyzorykiem i wydłubywał po trosze, a dziurki zalepiał plasterkiem angielskim, który przy pięciu kielbaskach więcej go kosztował niż jedna cała kielbaska.

Nadporucznik Lukasz westchnął i oddalał się.

— Czy ma pan dla mnie jakie rozkazy, panie oberlejt-nant? — wołał za nim Szwejk podczas gdy niefortunny Baloun wciąż jeszcze tkał sobie palec w usta.

Nadporucznik machnął ręką i podążył ku magazynom zaopatrywania, przy czym do głowy przysłała mu myśl osobliwa, że skoro żołnierze pożerają swoim oficerom pasztety, to Austria wojny wygrać nie może.

Szwejk odprowadzał tymczasem Balouna na drugą stronę toru wojskowego i pocieszał go, że razem zajrzą do miasta i stamtąd przyniosą dla pana oberlejtnantsa debreczyńskich parówek. Szwejkowi wydawało się, że Budapeszt pełen jest debreczyńskich parówek.

— Jeszcze by nam pociąg uciekł — biadał Baloun, który był nie tylko wiecznie głodny, lecz i chciwy zarazem.

— Gdy się jedzie na front, to nigdy spóźnić się nie można — zdecydował Szwejk — bo każdy taki pociąg, zanim ruszy z miejsca, dobrze się zastanowi, czy opłaciłoby mu się dojechać na miejsce z połową eszelonu. Zresztą, rozumiem cię, mój Balounie; masz węży w kieszeni.

Do miasta się, oczywiście, nie wybrali, ponieważ ozwał się sygnał, wzywający do wsiadania do wagonów. Szeregowcy poszczególnych kompanii powracali od magazynów zaopatrywania znowuż z pustymi rękoma. Zamiast 15 deka sera szwajcarskiego, który miał tu być wydawany, każdy żołnierz dostał pudełko zapalek i pocztówkę, wydaną przez komitet opieki nad wojennymi grobami Austrii (Wiedeń XIX, 4, Caniziusgasse). Zamiast 15 deka sera szwajcarskiego każdy trzymał w ręku obrazek jednego z galicyjskich cmentarzy żołnierskich z pomnikiem zbudowanym przez dekującego się jednorocznego ochotnika Scholza.

Koło wagonu sztabowego panowało także niezwykle wzburzenie. Oficerowie marszbatalionu zebrali się dokoła kapitana Sagnera, który był bardzo zdenerwowany i coś im tłumaczył. Powrócił właśnie z dowództwa stacji i trzymał w ręku prawdziwy, bardzo tajny telegram ze sztabu brygady, ogromnie długi i nadziany wskazówkami, jak należy postępować wobec sytuacji, w jakiej znalazła się Austria dnia 23 maja 1915 r.

Dowództwo brygady telegrafowało, że Italia wypowiedziała Austrii wojnę.

Jeszcze w Brucku nad Litawą w oficerskim kasynie bardzo często rozmawiano przy obiadach i kolacjach o dziwnym postępowaniu Italii, ale na ogół nikt nie oczekiwał, że wypełnią się proroctwa słowa tego idioty kadeta Bieglera, który pewnego wieczoru przy kolacji odsunął talerz z makaronem i rzekł:

— Makaronu najem się do przesyty pod bramami Werony.

Kapitan Sagner przestudiował instrukcje, otrzymane właśnie z dowództwa brygady i kazał trąbić na alarm.

Gdy się wszyscy szeregowcy marszbatalionu zebrali, ustawiono ich w czworobok, a kapitan Sagner głosem ogromnie uroczystym odczytał żołnierzom dostarczony mu telegraficznie rozkaz do brygady:

„W bezprzykładnej zdradliwości i chciwości zapomniał król włoski o tych bratnich związkach, jakie łączyły go jako sprzymierzeńca z naszym mocarstwem. Od wybuchu wojny, w której winien był stanąć przy boku naszych dzielnych wojsk, odgrywał zdradziecki król włoski rolę zamaskowanego napastnika, zachowując się dwuznacznie, a jednocześnie prowadząc sekretne układy z naszymi wrogami. Zdrada jego doszła do szczytu w nocy z dnia 22 na 23 maja przez wypowiedzenie wojny naszemu mocarstwu. Nasz wódz najwyższy jest przekonany, że nasza zawsze dzielna i sławna armia odpowie na nikczemną zdradę niewiernego wroga takim ciosem, iż zdrajca zrozumie, że sam siebie zgubił, rozpoczynając wojnę haniebnie i zdradliwie. W to ufamy niezachwianie, że z pomocą Bożą rychło nadejdzie dzień, w którym równiny włoskie znowuż ujrzą zwycięzców spod Santa Lucia, Vicenzy, Novary, Custozzy. Pragniemy zwyciężyć, musimy zwyciężyć i z pewnością zwyciężymy!

Potem było zwykle „dreimal hoch!“ i wojsko posiadało znowuż do wagonów, zamilkłe jakiegoś. Zamiast 15 deka sera szwajcarskiego otrzymało nową wojnę: z Italią.

W wagonie, w którym siedział Szwejk z wachmistrzem rachuby Wańkiem, telefonistą Chodounskim, Balounem i ku-

charzem Jurajdą, zawiązała się interesująca rozmowa o przyłączeniu się Włoch do wojny.

— Przy ulicy Taborskiej w Pradze było kiedyś takie samo zdarzenie — zaczął Szwejk. — Był tam sobie kupiec, niejaki Horzejsi, a nieco dalej, naprzeciwko miał sklep kupiec Poszmourny, a w samym środku między nimi miał kramik sklepikarz Havlasa. Więc ten kupiec Horzejsi wpadł któregoś dnia na taki koncept, żeby się złączyć z tym sklepikarzem Havlasą przeciw kupcowi Poszmournemu i zaczął się z nim umawiać co do tego, że oba sklepy mogłyby istnieć pod wspólną firmą: Horzejsi i Hawlasa. A ten sklepikarz Havlasa zaraz poleciał do kupca Poszmournego i powiada mu, że Horzejsi daje mu dwanaście set za jego sklepik i chce zrobić kompanię. Ale jeśli Poszmourny da mu o sześć setek więcej, to woli zrobić kompanię z nim przeciwko Horzejsimu. Więc się z sobą ugodzili, a ten Havlasa przez jakiś czas ciągle się kręcił koło tego Horzejsigo, którego zdradził, i udawał jak najlepszego przyjaciela, a gdy się czasem zgadało o połączeniu obu interesów, to sklepikarz zawsze mawiał: — No, już niedługo się złączymy. Czekam tylko na powrót klientów z letnich mieszkań. — A kiedy klienci przyjechali z letnich mieszkań, to sprawa rzeczywiście była już załatwiona, jak to obiecywał Havlasa kupcowi Horzejsimu, co do tego połączenia. Gdy mój Horzejsi pewnego poranka otwierał swój sklep, ujrzał wielki napis nad sklepem swego konkurenta, firma jak byk:

POSZMOURNY I HAVLASA.

— U nas — zauważył głupawy Baloun — też się zdarzył wypadek podobny. We wsi sąsiedniej chciałem kupić jałówkę. Już była stargowana, a rzeźnik z Wotic zabrał mi ją sprzed nosa.

— Teraz, kiedy mamy świeżą wojnę — mówił dalej Szwejk — kiedy mamy o jednego wroga więcej i trzeba

będzie robić nowy front, będziemy musieli oszczędzać amunicji.

— Im więcej dzieci w rodzinie, tym więcej zużywa się różeg — mawiał dziadek Chovanec w Motole, który karmił wszystkie dzieci okolicznych rodzin i pobierał wynagrodzenie ryczałtowe.

— Ja się tylko jednego boję — rzekł Baloun, trzęsąc się na całym ciele — że przez tę Italię porcje będą mniejsze.

Sierżant rachuby Waniek zamyślił się głęboko i rzekł po chwili:

— Wszystko to być może, bo teraz na zwycięstwo wypadnie trochę poczekać.

— Teraz przydałby się nam nowy Radecki — zadeklarował Szwejk. — Bo Radecki znał już doskonale tamte okolice i wiedział o słabych stronach Italii, co trzeba szturmować i z której strony. Nie takie to proste wleźć gdzie i zasiąść. Taką rzecz potrafi każdy, ale wydostać się stamtąd, to jest dopiero prawdziwy kunszt wojenny. Jeśli już człowiek gdzieś wlezie, to winien wiedzieć o wszystkim, co się dzieje dokoła niego, żeby czasem nie wpadł w jaką bryndzę, która nazywa się katastrofą. Pewnego razu w naszym domu złapali na strychu złodzieja, ale chłopisko było sprytne, zauważyło dymnik, wyrwało się i dęba. Ale z dymnika ani rusz dalej. Natomiast nasz tatuś Radecki znał każdą ścieżkę i nigdzie go dogonić nie mogli. W jednej ciekawej książce o tym generale było bardzo ładne czytanie, jak to on uciekł spod Santa Lucia, a znowuż Italiany uciekły w drugą stronę i dopiero na drugi dzień ten generał zmiarkował, że właściwie bitwę wygrał, kiedy przez lornetę nie dopatrzył się ani jednego nieprzyjaciela. Więc zaraz zajął zdobytą Santa Lucię. Od tego czasu był marszałkiem.

— Italia, tak czy owak, kraj ładny — wtrącił kucharz Jurajda. — Byłem kiedyś w Wenecji i wiem dobrze, że Włoch każdego nazwie świnią. Gdy się rozzłości to wszystko dla nie-

go jest porco maledetto. Nie uszanuje nawet papieża i żadnej świętości — wszystko w rumel é porco maledetto.

Natomiast sierżant rachuby Waniek wyraził się o Italii z wielką sympatią. W Kralupach przy swojej drogerii ma fabryczkę soku cytrynowego, wyrabianego z gnijących cytryn bardzo tanio kupowanych w Italii. Teraz skończy się przesyłanie cytryn z Włoch do Kralup. Nie ma co mówić: wojna z Włochami obfitować musi w różne niespodzianki, bo Austria będzie chciała zemścić się.

— Łatwo powiedzieć! Zemścić się! — uśmiechnął się Szwejk. — Niejeden myśli sobie, że się mści, a tymczasem wszystko zwali się raptem na takiego, którego sobie ten mściciel wybrał za narzędzie swej zemsty. Kiedy przed laty mieszkałem na Winohradach, to w jednym domu był dozorca domowy, a u tego dozorca mieszkał jakiś drobny urzędniczek, który chodził stale do knajpki przy ulicy Crameriusa i w tej knajpce pokłócił się z jakimś panem, który miał na Winohradach zakład do analizowania moczu. Ten pan o niczym innym nie myślał i nie mówił tylko o tych analizach i zawsze nosił przy sobie flaszeczki z uryną, wszystkim tkał te swoje naczynia do rąk, żeby naurynowali, to on zanalizuje, bo to rzecz bardzo ważna, od której zależy często dobrobyt całej rodziny i szczęście, a kosztuje taka rzecz tylko sześć koron. Wszyscy goście tej knajpki, nawet gospodarz i gospodyni, kazali sobie mocz zanalizować, tylko ów drobny urzędniczek trzymał się krzepko, aczkolwiek ten pan od analizy łąził za nim zawsze, gdy tamten wychodził do pisuaru i zawsze go troskliwie napolinał: — Ej, panie Skorkowski, mnie się pańska uryna jakoś nie podoba. Naurynuj pan do buteleczki, zanim będzie za późno. — Nareszcie go namówił. Kosztowało to owego urzędniczka sześć koron, a rozbiór był dokumentny i akuratanny, jak wszystkie poprzednie, które zrobił dla gości, dla gospodarza i dla gospodyni. Gospodarz patrzył na tego analiza-

tora krzywo, bo mu psuł interes. Przy każdej analizie wywo-
dził, że to przypadek bardzo poważny, że nikt nie powinien
nic pić prócz wody, że nie wolno palić, że ten a ten nie po-
winien się żenić, a wszyscy powinni jadać tylko jarzyny.
Więc gdy takich rzeczy nagadał i temu urzędniczкови, to ów
bardzo się na niego rozgniewał i wybrał sobie za narzędzie
zemsty swego dozorcę domowego, ponieważ wiedział, że to
człowiek brutalny. Więc razu pewnego mówi do tego pana
od analiz, że ten dozorca nie czuje się dobrze i że go prosi,
żeby jutro rano o siódmej przyszedł do niego po urynek, bo
chce, żeby była zbadana. No i tamten poszedł. Dozorca jeszcze
spał, a ten go budzi i mówi do niego słowem przyjacielskim:
— Moje uszanowanie, panie Malek. Dzień dobry panu!
Oto jest buteleczka, niech pan do niej naurynuje i da mi pan
sześć koron. — Istny dopust boży nastąpił wtedy, gdy ten do-
zorca w gaciach wyskoczył z łóżka, złapał swego gościa za
kark, grzmotnął nim o szafę i wpakował go do niej! Potem
wyciągnął go z szafy, złapał bykowca i w gaciach pędził
przed sobą analizatora ulicą Czelakowskiego, a ten skowyczał
jak pies, gdy mu nadepnąć na ogon, na ulicy Havliczka
wskoczył do tramwaju, a dozorcę domowego złapał strażnik.
Tamten pobił się z policjantem, a ponieważ był w gaciach
i było widać, co nie trzeba, więc z powodu takiego publicz-
nego zgorszenia wrzucili go do plecionki i zawieźli do policji,
a dozorca ryczał w tej plecionce jak tur: — Ach wy draby,
ja wam pokażę analizę moczu! — Siedział sześć miesięcy za
gwałt publiczny i obrazę policji, a potem jeszcze, po ogłosze-
niu wyroku, dopuścił się obrazę domu panującego, więc może
siedzi jeszcze dzisiaj za kratami. Mówię tedy, że gdy się jeden
mści na drugim, to cierpi z tego powodu człowiek niewinny.

Tymczasem Baloun rozmyślał nad czymś bardzo usilnie
i wreszcie z wielkim strachem zadał Wańkowi pytanie:

— Proszę pana, panie rechnungsfeldfel, więc pan przy-
puszcza, że przez tę wojnę porcje będą mniejsze?

— To przecież całkiem jasne — odpowiedział Waniek.

— Jezus Maria! — krzyknął Baloun, skłonił głowę w ręce i cicho siedział w kącie.

Na tym skończyła się ostatecznie dyskusja o Italii.

W wagonie sztabowym rozmowa o nowej sytuacji na frontach wojny światowej byłaby zapewne bardzo nudna, skoro wśród rozmawiających nie było sławnego teoretyka wojennego, kadeta Bieglera, ale sytuację ratował porucznik Dub z trzeciej kompanii.

Jako cywil porucznik Dub był nauczycielem języka czeskiego w gimnazjum i podobnie jak teraz, tak i dawniej korzystał z każdej sposobności, aby popisać się swoją prawomysłnością. W zadaniach piśmiennych wymagał od swoich uczni opracowań na tematy z dziejów rodu Habsburskiego. W klasach niższych straszył uczeni cesarz Maksymilian, który wlaźł na skałę i nie umiał z niej zleźć, dręczył ich Józef II jako oracz i Ferdynand Łaskawy. W klasach wyższych tematy były, oczywiście, bardziej powikłane. W klasie siódmej zadawał np. tematy takie: — Cesarz Franciszek Józef, przyjaciel wiedzy i sztuki. — Temat ten stał się przyczyną wyłączenia jednego z gimnazystów ze wszystkich austriackich gimnazjów, ponieważ napisał on, że najpiękniejszym czynem tego monarchy było założenie mostu cesarza Franciszka Józefa I w Pradze.

Bardzo pilnował swoich uczeni, aby w dni galowe i przy różnych uroczystościach cesarskich z zapałem śpiewali hymn austriacki. W towarzystwie nie lubiano go, ponieważ wszyscy wiedzieli o nim, że denuncjuje swoich kolegów. W mieście, w którym nauczał, był jednym z trójki największych osłów i idiotów, do której prócz niego należał kapitan okręgu i dyrektor gimnazjum. W tym małym kółeczku nauczył się politykować o sprawach mocarstwa austro-węgierskiego. Oczywiście, że i teraz zaczął się popisywać swoimi rozumami, wykładając je głosem i akcentem skostniałego belfra:

— Prawdę mówiąc, mnie wystąpienie Italii nie zaskoczyło wcale. Oczekiwałem z jej strony czegoś podobnego już przed trzema miesiącami. Rzecz prosta, że Italia skutkiem zwycięskiej wojny z Turcją o Trypolis bardzo jest w sobie zadufana. Prócz tego liczy bardzo na swoją flotę i na nastrój mieszkańców w naszych krajach nadmorskich i w Tyrolu południowym. Jeszcze przed wojną rozmawiałem o tym z naszym kapitanem okręgu, żeby władze nasze nie lekcewały ruchu irredentystycznego na południu. Zgodził się ze mną bez zastrzeżeń, ponieważ każdy przewidujący człowiek, któremu zależy na pomyślności tego państwa, już dawno zdawać sobie musiał sprawę z tego, że niedaleko byśmy zaszli, gdybyśmy byli zbyt wyrozumiali dla takich żywiołów. Pamiętam dobrze, że przed jakimś dwoma laty podczas wojny bałkańskiej, gdy powstała sprawa naszego konsula Prohazki, wyraziłem się do kapitana okręgu, iż Włochy czekają tylko sposobności, aby na nas napaść zdradziecko.

— No i stało się! — zawołał takim głosem, jakby mu słuchacze przeczyli, aczkolwiek przy jego wywodach wszyscy oficerowie myśleli w duchu, żeby ich ten gaduła pocałował w nos.

— Przyznać trzeba — mówił dalej tonem już nieco łagodniejszym — że w większości wypadków zapominano o naszym stosunku do Italii także i w zadaniach szkolnych, że nie dość pamiętano o owych sławnych dniach naszych dzielnych i pełnych chwały wojsk oraz o zwycięstwach roku tysiąc osiemset czterdziestego ósmego i sześćdziesiątego szóstego, o których jest mowa w dzisiejszych rozkazach do brygady. Co do mnie, to spełniałem zawsze swój obowiązek i jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego, że tak powiem na samym początku wojny, zadałem uczniom temat: — *Unsere Helden von Vicenza bis zur Custozza, oder...*

I cymbał porucznik Dub dodał uroczyście:

— ...Blut und Leben für Habsburg! Für ein Oesterreich, ganz, einig, gross!

Zamilkł, oczekując, że w wagonie sztabowym wszyscy zabiorą się do omawiania sytuacji wojennej wytworzonej przez wystąpienie Włoch, i że on jeszcze raz udowodni im, że o wszystkim wiedział już przed pięciu laty i przepowiedział, jak się Italia zachowa wobec swego sojusznika. Ale porucznik Dub zawiódł się bardzo, bo kapitan Sagner, któremu Matuszicz przyniósł był ze stacji wieczorowe wydanie „Pester Lloyd“, zajrzał do gazety i rzekł:

— Wiecie, panowie, ta Weinerowa, którą widzieliście w Brucku na gościnnym występie, grała wczoraj tutaj na scenie „Teatru Małego“.

Na tym się dyskusja o wystąpieniu Italii skończyła także w wagonie sztabowym.

Prócz tych, którzy siedzieli nieco dalej, ordynans batalionu, Matuszicz, i służący kapitana Sagnera, Batzer, spoglądali na wojnę z Włochami ze stanowiska czysto praktycznego, ponieważ już dawno temu, przed laty, gdy odbywali powinność wojskową, obaj uczestniczyli w manewrach wojskowych w Tyrolu południowym.

— Kiepsko się będzie włąziło na włoskie kopczyki — rzekł Batzer — bo kapitan Sagner ma kuferków sporo. Wprawdzie ja pochodzę z gór, ale to co innego, gdy człowiek bierze flintę pod kapotę i idzie upatrzeć jakiego zajączka na gruntach księcia Szwarzenberga.

— Oczywiście, kwestia, czy przerzucą nas na południe, do Włoch. Mnie także nie podobałoby się łażenie po kopcach i lodowcach z rozkazami. No i żarcie tam mają psiakrewskie: nic tylko polenta i oliwa — ze smutkiem wywodził Matuszicz.

— A skąd pewność, że nas właśnie nie zapędzą między włoskie góry — sierdził się Batzer. — Nasz pułk był już

w Serbii, w Karpatach, włoczyłem kufry pana kapitana po różnych górach i dwa razy już je zgubiłem: raz w Serbii i w Karpatach podczas niezgorszego piekła. Kto wie, może po raz trzeci spotka mnie to samo we Włoszech. A co do tego żarcia na południu... — Splunął i z wielkim zaufaniem przysiadł się bliżej do Matuszicza. — Wiesz, u nas w górach Kasperskich robią takie małe kluseczki z tartych surowych kartofli, gotuje się je, nurza w jajku, posypuje tartą bułką, a następnie opieka się je na s oninie...

Ostatnie słowo wymówił głosem uroczystym, namaszczo-
nym.

— Najlepiej smakują takie kluseczki z kiszoną kapustą. W porównaniu z tymi kluseczkami makaron włoski do d...! — dodał melancholijnie.

Tymi słowy i tutaj zakończyła się rozmowa o Italii.

Ponieważ pociąg stał już ze dwie godziny i nie ruszał, żołnierze innych wagonów byli święcie przekonani, że batalion będzie cofnięty i wys'any do Włoch.

W przekonaniu takim utwierdzała żołnierzy i ta okoliczność, że tymczasem z eszelonem działy się rzeczy dziwne. Znowuż wszystkich żołnierzy powyganiano z wagonów, przyszła inspekcja sanitarna z personelem dezynfekcyjnym i wykropiła pięknie wszystkie wagony, co zosta'o przyjęte z wielkim niezadowoleniem, osobliwie w tych wagonach, w których wieziono duże zapasy komiśniaka.

Ale rozkaz, to rozkaz: komisja sanitarna wydała rozkaz dezynfekowania wszystkich wagonów eszelonu 728, więc z największym spokojem wykropiono lizolem kupy komiśniaka i worki z ryżem. Z tego można było ostatecznie wywnioskować, że dzieje się coś wyjątkowego.

Potem znowuż wszystkich żołnierzy pozapędzano do wagonów, ale nie dano im spokoju, bo po upływie pół godziny jakiś starszek generał przyszedł obejrzeć batalion. Generał był taki stary i zwiędły, że Szwejk nie mógł się powstrzy-

mać, aby go nie nazwać po swojemu. Stojąc z tyłu za pierwszym szeregiem, zwrócił się do wachmistrza rachuby Wańka i rzekł:

— Taki biedny zdechlaczek.

Zaś staruszek generał dreptał przed frontem w towarzystwie kapitana Sagnera i zatrzymał się przed pewnym młodym żołnierzem, aby przez rozmowę z nim wzbudzić zapał w reszcie szeregowców. Jął go więc pytać skąd pochodzi, ile ma lat i czy posiada zegarek. Żołnierz wprawdzie zegarek posiadał, ale ponieważ myślał, że generał chce go obdarować, więc odpowiedział, że nie ma, na co stary zdechlaczek-generał z takim głupkowatym uśmiechem, jakim odznaczał się Franciszek Józef, gdy w podróży swoich wdawał się w rozmowy z burmistrzami, odpowiedział: — To dobrze, to dobrze. — Następnie zwrócił się do stojącego obok kaprała zaszczycając go pytaniem, czy jego żona jest zdrowa.

— Posłusznie melduję — wrzasnął dziesiętnik — że jestem nieżonaty.

Na to staruszek generał odpowiedział z miłym uśmiechem:

— To dobrze, to dobrze.

Potem zdziecinniały staruszek wezwał kapitana Sagnera, żeby mu zaprezentował, jak się jego żołnierze liczą, gdy mają ustawiać się dwójkami, i po chwili słysząc było liczenie: — Pierwszy — drugi, pierwszy — drugi, pierwszy — drugi...

Bardzo się to staruszkowi podobało, bo ogromnie takie liczenie lubił. Miał nawet w domu dwóch burszów, których ustawiał przed sobą i kazał im, aby się liczyli: — Pierwszy — drugi, pierwszy — drugi...

Takich generałów miała Austria bardzo wielu.

Kiedy przegląd skończył się szczęśliwie, przy czym pan generał nie skąpił pochwał kapitanowi Sagnerowi, dano szeregowcom swobodę ruchu w granicach stacji, bo nadeszła wiadomość, że pociąg odejdzie dopiero za trzy godziny. Żołnierze łazili tedy po stacji i gapili się, a ponieważ na dworcach za-

wsze bywa dużo publiczności, więc niejeden żołnierz zdołał wyżebrać papierosa.

Stawało się jawne, że pierwotny entuzjazm, wyrażający się w uroczystym witaniu eszelonów po wszystkich stacjach, bardzo się obniżył i spadł głęboko aż na poziom żebraniny.

Do kapitana Sagnera przybyła deputacja „Stowarzyszenia witania bohaterów“, złożona z dwóch starszych strasznie zmęczonych dam, które kapitanowi wręczyły prezent przeznaczony dla eszelonu, a mianowicie 20 pudełek pachnących pastylek do dezynfekcji ust. Była to reklama pewnej peszteńskiej fabryki cukierków, a pudełka wykonane były bardzo ładnie z blachy; na wieczku wymalowany był honwed węgierski, ściskający rękę austriackiemu landszturmiście, a nad nimi jaśniała korona świętego Szczepana. Dokoła wił się napis niemiecki i madziarski: „Für Kaiser Gott und Vaterland“.

Budapeszteńska fabryka cukrów była tak lojalna, że cesarzowi dawała pierwszeństwo przed Panem Bogiem.

W każdym pudełeczku było 80 pastylek, tak że na ogół pięć pastylek przypadało na trzech szeregowców. Prócz tego umęczone damy przyniosły paczkę drukowanych modlitw dla żołnierzy, napisanych przez peszteńskiego arcybiskupa, Gezę Szatmár-Budafala. Modlitwy te były niemiecko-madziarskie i zawierały najstraszliwsze przeklęcia wszystkich nieprzyjaciół. Były one napisane językiem tak jędrnym, że zdawało się, iż na końcu brak jedynie zawieszistego węgierskiego: „Baszom a Kristusmarjãt!“

Według życzenia czcigodnego arcybiskupa dobrotliwy Bóg winien był Rosjan, Anglików, Serbów, Francuzów, Japończyków rozsiekać na makaron i na gulasz paprykowany. Dobrotliwy Bóg winien był nurzać się we krwi nieprzyjaciół i wymordować ich wszystkich tak samo, jak brutal Herod wymordował niewinne dzieci.

Dostojny arcybiskup budapeszteński w modlitwach swoich używał na przykład takich zwrotów wzruszających: „Niech Bóg błogosławi nasze bagnety, aby skutecznie pokonywały nieprzyjaciół naszych. Niech Pan najsprawiedliwszy kieruje nasz ogień artyleryjski na głowy sztabów nieprzyjacielskich. Miłosierny Bóg niechaj uczyni to, aby wrogowie nasi utonęli we własnej krwi...!”

Toteż, jak się rzekło, do zakończenia tych modlitw brakło tylko plugawego przekleństwa węgierskiego: „B a s z o m a K r i s t u s m a r j ą t !“

Gdy paniusie wręczyły kapitanowi Sagnerowi swoje prezenty, zwróciły się do niego z rozpaczliwym życzeniem asystowania przy rozdawaniu podarków. Jedna z nich okazała nawet tak wielką odwagę, iż wyraziła ochotę wygłoszenia przy tej sposobności przemowy do żołnierzy, których nie nazywała inaczej, jak tylko „Unsere braven Feldgrauen“.

Obie uczyły się ogromnie dotknięte, gdy kapitan Sagner odmówił ich życzeniu. Tymczasem prezenty, przyniesione przez obie panie, powędrowały do wagonu, w którym mieścił się magazyn. Czcigodne damy przeszły środkiem szeregu żołnierzy, a jedna z nich nie oparła się pokusie i poklepała po twarzy jakiegoś brodatego żołnierza. Był to niejaki Szymek z Budziejowic, który, nie wiedząc nic o wzniosłym posłannictwie tych dam, rzekł do swoich towarzyszy, gdy damy wędrowały dalej:

— Nachalne są te k... i zuchwałe. Żeby jeszcze taka małpa była podobna do ludzi! Ale suche to jak bocian, niczego na niej nie widać prócz tych kulasów, gęba, jakby ją na męki brali, i taka stara raszpla bierze się do żołnierzy!

Na stacji panował wielki ruch. Wystąpienie Italii spowodowało tu pewną panikę, ponieważ zatrzymane zostały dwa eszelony z artylerią i skierowano je do Styrii. Był tu także eszelon Bośniaków, którzy czekali nie wiedzieć na co już dwa

dni i czuli się zupełnie zapomniani i zagubieni. Już od dwóch dni ci zacni Bośniacy nie fasowali chleba i włączyli się, zebrząc po Nowym Budapeszcie. Niczego też nie było tu sły-chać prócz wzburzonych głosów tych zagubionych Bośniaków, żywo gestykujących i klnących żwawo i bezustannie: — „Jeben ti boga — jeben ti duszu — jeben ti majku“.

Potem dziewięćdziesiąty pierwszy batalion został znowuż spędzony do kupy i żołnierze powiadali do wagonów. Ale po chwili ordynans batalionu, Matuszycz, wrócił z dowództwa stacji z wiadomością, że pociąg pojedzie dopiero po trzech go-dzinach. Więc szeregowcy, których właśnie zapędzono do wago-nów, zostali wypuszczeni na stację. Przed samym odjazdem, do wagonu, w którym mieścił się sztab, wtargnął wzburzony porucznik Dub i domagał się od kapitana Sagnera, aby natych-miast kazał aresztować Szwejka. Porucznik Dub, stary znany denuncjant miasta, w którym pracował jako nauczyciel gimna-zjum, bardzo lubił wdawać się w rozmowy z żołnierzami, przy czym badał ich sposób myślenia, a jednocześnie korzystał ze sposobności, aby każdego z nich pouczać, dlaczego walczy i o co walczy.

Przy swoim obchodzie stacji ujrzał w pobliżu latarni Szwej-ka, który z wielkim zainteresowaniem przyglądał się afiszowi jakiejś loterii dobroczynnej i wojskowej zarazem. Afisz przed-stawiał żołnierza austriackiego, który przybijał bagnetem do muru wystraszonego brodatego kozaka.

Porucznik Dub poklepał Szwejka po ramieniu i zapytał go, czy mu się obrazek podoba.

— Posłusznie melduję, panie poruczniku — odpowiedział Szwejk — że to idiotyzm. Widziałem już dużo idiotycznych afiszów, ale takiego cymbalskiego afisza jeszcze nigdy nie wi-działem.

— Cóż wam się na tym afiszu tak dalece nie podoba? — zapytał porucznik Dub.

— Mnie się, panie lejtnant, nie podoba na tym afiszu to, że ten żołnierz tak nieostrożnie używa powierzonej mu broni. Przecież on może ten bagnet złamać o mur, a w dodatku bez najmniejszej potrzeby, bo ten Moskał podniósł ręce do góry i poddaje się. To jest jeniec, a z jeńcami trzeba się obchodzić porządnie, bo tak czy owak są oni także ludźmi.

Porucznik Dub dalej wybadywał Szwejka i zapytał go:

— Wam pewno żal tego Moskala, co?

— Mnie żal, panie lejtnant, obu, i tego Moskala, że jest przekłuty, i tego żołnierza, bo za taką rzecz dostałby się do ula. Bo przecież, panie lejtnant, on musiał swój bagnet złamać przy takiej okazji, na to nie ma rady. Tu twardy mur, a ten się pcha z bagnetem, jakby nie wiedział, że stal jest krucha. Kiedyś przed laty, gdy służyłem w wojsku, to mieliśmy pewnego lejtnanta w naszej kompanii. Nawet stary feldfelbel nie potrafił się tak wyrażać, jak ten pan lejtnant. Podczas ćwiczeń mawiał do nas: — Jak komenderuję „H a b a c h t“, to masz jeden z drugim wytrzeszczać gały jak kocur, gdy sra w sieczkę. — Ale poza tym był to człowiek porządny. Pewnego razu na gwiazdkę zwariował i kupił dla kompanii pełen wóz orzechów kokosowych. Pół kompanii połamało bagnety przy otwieraniu tych orzechów, a nasz podpułkownik kazał zaarrestować całą kompanię i przez trzy miesiące nie wolno nam było wychodzić poza koszary. A ten pan lejtnant dostał areszt domowy...

Porucznik Dub ze złością patrzył w beztroską twarz dobrego wojaka Szwejka i zapytał go:

— Znacie wy mnie?

— Znam pana, panie lejtnant.

Porucznik Dub wytrzeszczał oczy i tupał:

— A ja wam mówię, że mnie jeszcze nie znacie.

Szwejk odpowiedział z takim samym beztroskim spokojem, jakby składał raport:

— Znam pana, panie lejtnant. Pan jest, posłusznie melduję, z naszego marszbatlionu.

— Wy mnie jeszcze nie znacie — wrzeszczał porucznik Dub — wy mnie znacie może z dobrej strony, ale jeszcze mnie poznacie i ze złej strony. Nie myślcie sobie, że nie umiem być zły! Ja potrafię doprowadzić ludzi do płaczu. Więc znacie mnie, czy nie znacie?

— Znam, panie lejtnant.

— Mówię wam ostatni raz, że mnie nie znacie, wy ośle! Czy macie braci?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że mam jednego brata.

Porucznik Dub był wściekły i spoglądając na beztroską twarz Szwejka nie panował już nad sobą i wołał:

— Też pewno takie bydlę jak i wy. Czym jest ten wasz brat?

— Profesorem, panie lejtnant. Służył także w wojsku i zdał egzamin oficerski.

Porucznik Dub spojrział na Szwejka, jakby go chciał przebić spojrzeniem. Z dostojeństwem i powagą wytrzymał Szwejk złe spojrzenie porucznika Duba, tak że cała rozmowa skończyła się na razie komendą:

— A b t r e t e n !

Każdy poszedł własną drogą z własnymi myślami.

Porucznik Dub myślał o tym, że pójdzie do kapitana Sagnera i poprosi go, żeby kazał Szwejka aresztować, a znowuż Szwejk myślał, że widział już wielu idiotycznych oficerów, ale takiego jak porucznik Dub należy uważać za osobliwość.

Postanowiwszy stać się wychowawcą żołnierzy, porucznik Dub, włączając się po stacji, znalazł sobie nowe ofiary swej pedagogii. Byli to dwaj żołnierze z tego samego pułku, ale z innej kompanii, targujący się z dwiema ulicznymi dziewczynami, jakich całe tuziny włóczyły się koło dworca.

Oddalający się Szwejk słyszał jeszcze całkiem wyraźnie ostry głos porucznika Duba:

— Znacie mnie?! A ja wam mówię, że mnie jeszcze nie znacie! Ale poznacie wy mnie! Znacie mnie pewno tylko z dobrej strony. Przyjdzie czas, że poznacie mnie i ze strony złej! Ja was nauczę płakać, wy osły! Macie braci? Też pewno takie same bydlęta jak i wy! Czym są? Przy taborach? No, już dobrze... Ale pamiętajcie, że jesteście żołnierzami! Czesi...? A wiecie wy, co powiedział Palacky, że gdyby Austrii nie było, to należałoby ją stworzyć? A b t r e t e n !

Tropienie nieprawomyślności przez porucznika Duba nie wydało owoców pożądaných. Zatrzymał po kolei ze trzy grupki żołnierzy, ale jego usiłowanie pedagogiczne przymuszenia ludzi do płaczu było daremne. Ludzie, których chciał wychowywać, należeli do takich, których oczy mówiły najwyraźniej, że każdy z nich myśli sobie o nim rzeczy bardzo nieprzyjemne. Czuł się dotknięty w swej pysze, a rezultat tego był taki, że przed odejściem pociągu prosił kapitana Sagnera, aby kazał Szwejka aresztować. Uzasadniając konieczność aresztowania, mówił o bardzo dziwnym i zuchwałym zachowaniu się Szwejka, którego ostatnie słowa odpowiedzi uważał za złośliwe docinki. Wywodził, że gdyby miało iść tak dalej, to wszyscy oficerowie tracą w oczach swoich podwładnych na powadze, o czym chyba żaden z panów oficerów nie wątpi. Sam on jeszcze przed wojną rozmawiał o tym z panem kapitanem okręgu, że każdy przełożony wobec podwładnych musi umieć zachować autorytet. Pan kapitan okręgu był tego samego zdania. Osobliwie teraz, gdy coraz bardziej zbliżamy się ku nieprzyjacielowi, trzeba żołnierzy trzymać w strachu. Żąda tedy, aby Szwejk został dyscyplinarnie ukarany.

Kapitan Sagner, który jako oficer służby czynnej nienawdził wszystkich oficerów rezerwy, wywodzących się z różnych branż cywilnych, zwrócił uwagę porucznika Duba, że podobne żądania mogą być podawane jedynie w postaci raportów,

a nie w taki dziwaczny, sklepikarski sposób, jakby się targowało kartofle. O ile chodzi o Szwejka, to pierwszą instancją, której Szwejk podlega prawnie, jest pan nadporucznik Lukasz. Takie rzeczy robi się porządnie w formie raportu. Od kompanii idzie taka rzecz do batalionu, o czym chyba pan porucznik wie. Jeśli Szwejk dopuścił się czegoś takiego, to musi stanąć do raportu przed kompanią, a jeśli się odwoła, to stanie przed batalionem. Gdyby wszakże pan nadporucznik Lukasz uważał opowiadanie pana porucznika Duba za wystarczające i gdyby sobie życzył na podstawie tego opowiadania ukarać Szwejka, to on, kapitan Sagner, nie ma nic przeciwko temu, aby Szwejk został wezwany i przesłuchany.

Nadporucznik Lukasz też nie miał nic przeciwko temu, zaznaczył jedynie, że z opowiadań Szwejka sam wie bardzo dobrze, że brat jego był istotnie profesorem i oficerem zapasu.

Porucznik Dub zachwiał się wobec tego i rzekł, że domaga się ukarania jedynie w sensie ogólniejszym i że bardzo być może, iż odnośny Szwejk nie umie się należycie wyrażać i że dlatego odpowiedzi jego wydały się zuchwałymi docinkami i brakiem szacunku dla przełożonego. Prócz tego z całego wyglądu odnośnego Szwejka widać, że jest to człowiek nietęgiego rozumu.

W taki sposób burza przeleciała nad głową Szwejka nie wyrządzając mu szkody.

W wagonie, w którym była kancelaria i magazyn batalionu, sierżant rachuby batalionu, Bautanzel, z wielką przyjemnością rozdawał dwóm pisarzom po garści dezynfekujących cukierków, z tych pudełek, które miały zostać rozdane całemu batalionowi. Było to zresztą zjawiskiem stałym, że wszystko, co było przeznaczone dla szeregowców, musiało przejść przez taką samą manipulację w kancelarii batalionu, jak owe nieszczęsne cukiereczki.

Zwyczajna rzecz w czasie wojny. Jeśli czasem podczas inspekcji zostało stwierdzone, że tu czy tam nie ma złodziej-

stwa, to i tak ci najprzeróżniejsi sierżanci rachuby i pisarze kancelaryj byli stale podejrzewani, że przekraczają budżet i że dopuszczają się różnych nadużyć, żeby jedno z drugim wyrównać.

Toteż tutaj, gdzie wszyscy obżerali się tymi cukiereczkami, żeby tego świństwa użyć do sytości, skoro pod ręką nie było niczego lepszego, co można by było skraść szeregowcom, Bautanzel zaczął mówić o smutnych stosunkach panujących podczas tej podróży:

— Byłem już w dwóch marszbatalionach, ale takiej nędzy, jak podczas tej podróży, jeszcze nie zaznałem. Wtedy, zanim dojechaliśmy do Preszowa, to mieliśmy całe stopy wszystkiego, czego tylko dusza zapagnęła. Miałem na boku dziesięć tysięcy papierosów „Memfis“, dwa olbrzymie bochny sera szwajcarskiego, trzysta puszek konserw, a potem, gdy szliśmy na Bardyjów do okopów i gdy Rosjanie odcięli nas od Muszyny i przerwali komunikację z Preszowem, robiło się interesiki aż miło! Tak na oko oddałem z tego wszystkiego dziesiątą część dla marszbatalionu, że niby uciulałem, a całą resztę rozprzedałem w taborach. Mieliśmy u nas majora Sojkę, a ten major to był wielka świnia. Oczywiście, nie żaden bohater i najchętniej przesiadywał przy taborach w dołku, gdy u góry gwizdały kule i pękały szrapnele. Zawsze się do nas przypętał, że niby musi się przekonać, czy się dla szeregowców gotuje jak się należy. Zazwyczaj przychodził do nas na dół, gdy się rozchodziła wiadomość, że Moskale znowuż coś szykują. Drżał na całym ciele, trzeba było dawać mu w kuchni araku i dopiero potem zabierał się do przeglądania wszystkich kuchen polowych, jakie znajdowały się w sąsiedztwie taborów, ponieważ droga na pozycje w górze była niedostępna i jedzenie wydawało się w nocy. Stosunki były wtedy takie, że o jakiejś osobnej kuchni oficerskiej nawet mowy być nie mogło. Jedyną drogę, jaka jeszcze była wolna i łączyła nas z tyłami, obsadzili Niemcy z Rzeszy, a ci Niemcy za-

trzymywali wszystko lepsze dla siebie, nam zaś posyłali tylko to, czego sami nie chcieli. Było krucho, kuchni oficerskiej być nie mogło. Przez cały ten czas nie udało mi się nic więcej zaoszczędzić w kancelarii prócz prosiątka, które kazaliśmy sobie uwędzić, a ze strachu, żeby ten major Sojka nie wpadł na nie, przechowywaliśmy je o milę drogi przy artylerii, gdzie mieliśmy znajomego kanoniera. Więc ten major, jak tylko do nas przyszedł, to zaraz zaczął próbować w kuchniach zupy. Rzecz prosta, że mięsa nie mogliśmy dużo gotować, bo w okolicy rzadko trafiła się jaka świnia lub chuda krówka. A Prusacy robili nam jeszcze wielką konkurencję i płacili przy rekwizycjach bydła dwa razy tyle, co my. Przez cały czas, gdy staliśmy pod Bardyjowem, nie mogłem przy kupowaniu bydła oszczędzić nic osobliwego i miałem wszystkiego jakieś tysiąc dwieście koron, i to jeszcze przeważnie dostawałem zamiast pieniędzy asygnację ze stemplem batalionu, osobliwie w czasach ostatnich, kiedy już było wiadomo, że na wschodzie przed nami Rosjanie są już w Radwaniu, a na zachodzie za nami w Podolinie. Najgorzej mieć do czynienia z takim narodem jak tamtejszy, nie umiejący czytać i pisać. Każdy z takich gospodarzy podpisywał się trzema krzyżykami, o czym nasza intendentura bardzo dobrze wiedziała, tak że gdy się posyłało do intendentury po pieniądze, nie można było załączać kwitów podrabianych. Delikatniejsze rzeczy z wypłatami można robić tylko tam, gdzie naród jest bardziej oświecony i umie się podpisywać. No i jak już powiedziałem, Prusacy przelicytowywali nas i płacili gotówką, więc gdy się gdziekolwiek zjawiliśmy, to ludziska spoglądali na nas jak na bandytów, a intendentura wydała nadto rozkaz, że kwity podpisane krzyżykami będą przekazywane rachubie do kontrolowania. A tych drabów kontrolerów było zatrzęsienie. Przyszedł taki pieski syn, nażarł się i napił, a nazajutrz zrobił donos. Ten major Sojka włóczył się ciągle po kuchniach i próbował tak gorliwie, że razu pewnego powyciągał z kotła mięso przeznaczone

dla całej czwartej kompanii. Słowo honoru. Zaczął od g'owiny wieprzowej, że niby — powiada — niedogotowana i trzeba ją jeszcze trochę pogotować; mięsa się wtedy co prawda gotowało niewiele i na całą kompanię wypadało wszystkiego jakieś dwanaście dawnych, rzetelnych porcyj. A major wszystko zjadł. Potem wziął się do próbowania polewki i zaczął robić piekło, że jest wodnista. — Co to — powiada — za porządek, mięsna polewka bez mięsa! — Kazał ją zaprawić prażoną mąką i wrzucił do niej mój ostatni makaron, jaki udało mi się zaoszczędzić przez cały ten czas. Ale najbardziej mnie złościło to, że na tę zaprażkę poszły dwa kila masła śmietankowego, uciulanego jeszcze za czasów kuchni oficerskiej. Miałem to masło na półce nad pryczą, a ten z pyskiem na mnie, czyje to masło. Mówię mu, że według budżetu na utrzymanie żołnierzy, zgodnie z ostatnim rozkazem dywizji, na jednego żołnierza wypada po piętnaście gramów masła na odżywianie albo dwadzieścia jeden gram słoniny, a ponieważ to, co jest, nie wystarcza dla wszystkich, więc się przechowuje, do póki nie będzie tyle, żeby wszyscy żołnierze otrzymali co im się należy w pełnej wadze. Major Sojka rozgniewał się okrutnie i zaczął na mnie krzyczeć, że pewno czekam aż przyjdą Moskale i zabiorą nam ostatnie dwa kila masła. Natychmiast kazał wrzucić masło do polewki, skoro nie ma w niej mięsa. W taki sposób straciłem wszystkie swoje zapasy. Ten major miał już coś takiego do siebie, że gdzie się pojawił, przynosił z sobą jakąś biedę. Stopniowo tak sobie węż wykształcił, że od razu wytropił każdy mój najskromniejszy zapasik. Pewnego razu zaoszczędziłem wołowe cynadry i chciałem je sobie udusić, gdy wtem przyszedł major, zajrzał pod pryczę i znalazł je. Zaczął wrzeszczeć, więc mu powiedziałem, że te cynadry są przeznaczone do zakopania, bo są zepsute, co stwierdził dzisiaj przed południem konował artylerii, który ma kurs weterynaryjny. Major zabrał z sobą żołnierzyka z taboru i razem z tym żołnierzykiem gotowali sobie cynadry na górze

pod skałami, w kociołkach. To przypieczętowało los majora: Rosjanie ujrzeli blask płomieni, dali ognia z osiemnastki w kociołek i w majora, i szlus. Ale gdy poszliśmy potem popatrzeć w to miejsce, nie podobna było rozpoznać, czy po skałach zostały rozmazane cynadry wołowe, czy nerki pana majora.

Następnie przyszła wiadomość, że pociąg ruszy dopiero po czterech godzinach, bo tor prowadzący na Hatvan jest zajęty pociągami z rannymi. Rozeszła się też wiadomość, że pod Jagrem zderzył się pociąg sanitarny, pełen chorych i rannych, z pociągiem wiozącym artylerię.

Z Budapesztu miano tam wyprawić dwa pociągi pomocnicze.

Po chwili wyobraźnia całego batalionu była w ruchu. Mówiono o 200 zabitych i rannych, a także o tym, że to zderzenie było rozmyślne, dla zatarcia śladów różnych nadużyć popełnionych na tle zaopatrywania chorych.

To było bodźcem do ostrej krytyki niedostatecznego zaopatrywania batalionu i złodziejstw popełnianych w kancelarii i w magazynie.

Większość żołnierzy była zdania, że wachmistrz rachuby batalionu wszystkim dzieli się wiernie z oficerami.

W wagonie sztabowym kapitan Sagner oświadczył, że według marszruty właściwie powinni już być na granicy galicyjskiej. W Jagrze mieli fasować chleb i konserwy na trzy dni dla szeregowców. Do Jagru jest jeszcze dziesięć godzin jazdy. Ma tam być tyle pociągów z rannymi po ofensywie za Lwowem, że podług depeszy nie ma tam ani bochenka chleba, ani jednej puszki konserw. Otrzymał rozkaz, aby wypłacić na szeregowca 6 koron i 72 halerze, zamiast chleba i konserw, co ma być uskutecznione przy wypłacaniu żołdu za ostatnie dni dziewięć, o ile tymczasem nadejdą pieniądze z brygady. W kasie jest zaledwie jakieś dwanaście tysięcy koron.

— Świństwo to ze strony pułku — rzekł nadporucznik Lukas — żeby nas puszcząć w świat tak bez grosza.

Chorąży Wolf i nadporucznik Kolarz zaczęli szeptać z sobą o tym, że pułkownik Schröder w ciągu ostatnich trzech tygodni przekazał na swoje konto do banku w Wiedniu 16,000 koron.

Nadporucznik Kolarz opowiadał następnie, w jaki sposób robi się oszczędności. Okrada się pułk o 6,000 koron, chowa się je do własnej kieszeni i z żelazną konsekwencją logiki wydaje się rozkaz wszystkim kuchniom, żeby zmniejszały rację grochu po trzy gramy dziennie na szeregowca.

Miesięcznie czyni to 90 gramów oszczędności na szeregowcu, a w każdej kuchni przy kompanii oszczędność musi wynosić co najmniej 16 kilogramów. Kucharz musi ją na żądanie pokazać.

Nadporucznik Kolarz i chorąży Wolf opowiadali sobie o wypadkach przez nich samych zauważonych i powszednich.

Wszyscy wiedzieli, że takie rzeczy działy się stale w całej administracji wojskowej. Zaczynało się od jakiegoś sierżanta rachuby marnej kompanijki, a kończyło się na zabiegliwym generale, który skrzętnie robił zapasy na złe czasy.

Wojna wymagała dzielności także w kradzieży. Intendenci spoglądali po sobie z miłością, jakby chcieli rzec:

— Jesteśmy jednym ciałem i jedną duszą, kradniemy, kolego, dopuszczamy się oszustw, bracie, ale cóż my na to poradzimy? Trudno płynąć przeciwko prądowi. Jeśli my nie weźmiemy, to wezmą inni, i jeszcze o nas powiedzą, że nie kradniemy dlatego, iż nakradliśmy już dość.

Do wagonu wszedł pan z czerwonymi i złotymi lampasami. Był to znowuż jeden z tych generałów, którzy jeździli po wszystkich szlakach na inspekcję.

— Siadajcie, panowie — rzekł uprzejmie, ciesząc się szczerze, że znowuż przyłapał jakiś eszelon, o którym nie wiedział, czy w ogóle się z nim spotka.

Gdy kapitan Sagner chciał mu złożyć raport, generał machnęła tylko ręką:

— Pański eszelon nie jest w porządku; pański eszelon nie śpi. Pański eszelon powinien już spać. Eszelony powinny spać, gdy stoją na torze, tak samo jak w koszarach, od dziewiątej wieczór.

Mówił urywanymi zdaniami:

— Przed dziewiątą wyprowadza się szeregowców do latryny za stacją, a potem idzie się spać. Inaczej szeregowcy w nocy zanieczyszczają tor. Rozumie pan, panie kapitanie? Niech pan powtórzy. Albo niech pan tego nie powtarza i zrobi tak, jak ja sobie życzę. Zatrąbić na alarm, zapędzić do latryny, zatrąbić sztrajch i spać! I kontrolować kto nie śpi. Karać. Tak! To wszystko? Kolację wydawać o szóstej.

Mówił o czymś nieistotnym, o czymś, co się już nie dzieje, co było kiedyś. Stał przed oficerami niby upiór z czwartego wymiaru.

— Kolację wydawać o szóstej — mówił, spoglądając na zegarek, który wskazywał dziesięć minut po jedenastej w nocy. — Um halb neune Alarm, Latrinenscheissen, dann schlafen gehen. Na kolację tutaj o szóstej gulasz z kartoflami zamiast 15 deka sera szwajcarskiego.

Potem wydał rozkaz pokazania mu pogotowia. Znowuż tedy kapitan Sagner kazał zatrąbić na alarm, a inspekcyjny generał przyglądając się batalionowi, stającemu w szeregach, spacerował z oficerami, bezustannie mówił do nich o tym samym i stukając palcem w tarczę zegarka, powtarzał swoje słowa, jakby miał do czynienia z jakimiś idiotami, którzy nie zrozumieć nie mogą:

— Also sehen sie. Um halb neun scheissen, und nach einer halben Stunde schlafen. Das genügt vollkommen. W tych czasach przejściowych szeregowcy mają i tak rzadki stolec. Główna rzecz: spać! Jest to pokrzepienie do dalszego marszu. Dopóki szeregowcy

siedzą w pociągu, winni wypocząć. O ile nie ma dość miejsca w wagonach, szeregowcy śpią partienweise. Trzecia część szeregowców kładzie się wygodnie i śpi od dziewiątej do północy, reszta szeregowców stoi tymczasem i czeka. Następnie ci, co się wyspali, robią miejsce partii następnej, która śpi od północy do godziny trzeciej rano. Trzecia partia śpi od trzeciej do szóstej. Potem pobudka i szeregowcy się myją. Podczas jazdy nie pozwalać szeregowcom na wyskakiwanie z wagonów! Gdy żołnierzowi złamie nogę nieprzyjacieli...

Generał postukał się przy tych słowach w nogę.

— ...to jest to powodem do słusznej dumy, ale niepotrzebne kaleczenie się przy wyskakiwaniu z wagonów jest karygodne.

— A więc to jest pański batalion? — pytał kapitana Sagnera, przyglądając się żołnierzom ospałym i ociążałym. Niejeden, zbudzony ze snu, nie mógł się opanować i ziewał na chłodnym nocnym powietrzu od ucha do ucha. — To jest, panie kapitanie, batalion ziewający. Szeregowcy powinni spać od godziny dziewiątej.

Generał zatrzymał się przed kompanią jedenastą, gdzie na lewym skrzydle stał Szwejk. Ziewał jak lew na pustyni, ale elegancko zasłaniał usta, chociaż spod osłaniającej dłoni odzywało się takie buczenie, że nadporucznik Lukasz drżał ze strachu, żeby generał nie poświęcił temu buczeniu żywszej uwagi. Wydało mu się, że Szwejk ziewa z rozmyślną ostentacją. A generał, jakby wiedział o strachu nadporucznika, podszedł do Szwejka i zapytał:

— Böhme, oder Deutscher?

— Böhm, melde gehorsam, Herr Generalmajor!

— Dobrze — rzekł generał, który umiał trochę po czesku.

— Beczysz jak krowa na siano. Stul pysk, zamknij gębę, nie bucz. Byłeś na latrynie?

— Posłusznie melduję panie generale, że nie byłem.

— Dlaczego nie poszedłeś wy...ć się razem z innymi?

— Posłusznie melduję, panie generale, że podczas manewrów pod Piskiem, gdy szeregowcy rozłazili się po życie, to pan pułkownik Wachtl mówił nam, że żołnierz nie powinien myśleć ciągle o scheisserei, żołnierz powinien myśleć o walczeniu. I jeszcze melduję posłusznie, że nie ma po co chodzić na latrynę. I tak się nic nie robi. Podług marszruty już na kilku stacjach mieliśmy dostać kolację, a nie dostaliśmy nic. Z pustym żołądkiem nie ma co pchać się na latrynę.

Objaśniwszy panu generalowi powikłaną sytuację słowy nader prostymi, Szwejk spojrział na niego okiem pełnym takiego zaufania, że generał wziął to spojrzenie za prośbę poratowania żołnierzy. Oczywiście, gdy już wydaje się rozkaz marszu na latrynę oddziałami, to rozkaz taki musi być poparty realnymi faktami.

— Niech im pan każe wsiadać do wagonów — rzekł generał do kapitana Sagnera. — Jak to jest, że szeregowcy nie dostali kolacji? Wszystkie eszelony, przejeżdżające przez tę stację, winny otrzymać kolację. Jest to stacja zaopatrywania. Istnieje bardzo określony plan.

Generał rzekł to z taką pewnością siebie i takim tonem, jakby chciał powiedzieć, że skoro teraz już jest godzina jedenasta w nocy, a żołnierze nie dostali kolacji o szóstej wieczorem, to nie pozostaje nic innego, jak tylko zatrzymać tu pociąg przez noc i dzień następny aż do wieczora, aby żołnierze mogli otrzymać gulasz z kartoflami.

— Nie ma nic gorszego — rzekł z wielką powagą — nad zapomnienie podczas transportu o zaopatrywaniu żołnierzy. Obowiązkiem moim jest dowiedzieć się, jak stoją sprawy dowództwa stacji. Albowiem, moi panowie, czasem dowódcy eszelonów winni są sami. Podczas rewizji stacji Subotiszcze na południowej kolei bośnieńskiej, stwierdziłem, że sześć eszelonów nie otrzymało kolacji dlatego, iż dowódcy tych eszelo-

nów zapomnieli jej zażądać. Sześć razy przyrządzano na stacji gulasz z kartoflami i nikt go nie zażądał. Trzeba było jedzenie wyrzucać na kupę. Proszę panów, były istne pagórki gulaszu z kartoflami, a o trzy stacje dalej żołnierze zebrali, właśnie ci żołnierze, którzy w Subotiszczu przejechali obok kopców gulaszu i kartofli. Zebrali kawałka chleba. Jak panowie widziecie, winę ponosiła nie administracja wojskowa.

Machnął energicznie ręką:

— Dowódcy eszelonów nie spełnili swoich obowiązków. Chodźmy do kancelarii.

Oficerowie poszli za nim, myśląc w duchu, że wszyscy generalowie się zbłąznili.

W dowództwie stacji okazało się, że o gulaszu nic tu nie wiadomo. Prawda, że miano tu gotować kolację dla wszystkich eszelonów przejeżdżających, ale potem przyszedł rozkaz, żeby w rachubie wewnętrznej zaopatrywania wojsk pozaliczować po 72 halerze na żołnierza, tak że każdy oddział przejeżdżający ma na swoim koncie po 72 halerze na szeregowca i sumę tę otrzyma przy najbliższym wypłacaniu żołdu. O ile chodzi o chleb, to żołnierze otrzymają go w Watianie na stacji, po pół bochenka na żołnierza.

Dowódca punktu zaopatrywania nie bał się generała. Rzekł mu prosto w oczy, że rozkazy co chwila są zmieniane. Czasem miewa przygotowane pożywienie dla eszelonów, ale przyjeżdża pociąg sanitarny, legitymuje się rozkazem wyższym i koniec. Eszelon staje przed problemem pustych kotłów.

Generał gorliwie potakiwał, że tak jest, ale że stosunki się poprawią, bo na początku było znacznie gorzej. Wszystkiego nie podobna zrobić od razu, potrzebne jest doświadczenie, praktyka. Teoria przeszkadza właśnie praktyce. Im dłużej trwać będzie wojna, tym lepsze zapanują porządki.

— Mogę panom dać przykład z życia — rzekł z wielkim zadowoleniem, że przypomniał sobie coś kapitalnego. — Przed

dwoma dniami eszelony, przejeżdżające przez stację Hatvan, nie dostały chleba, a wy go jutro będziecie fasowali. Teraz chodźmy do restauracji dworcowej.

W restauracji pan generał zaczął znowuż mówić o latrynie i o tym, że to bardzo nieładny widok, gdy wszędzie na torze widać kaktusy. Jadł przy tym befsztyk i wszystkim się wydawało, że pan generał przeżuwa taki „kaktus“.

Na latryny kładł tak wielki nacisk, jakby od nich zależały losy monarchii.

Wobec sytuacji, jaka się wytworzyła skutkiem wystąpienia Włoch, zadeklarował, że właśnie w latrynach wojskowych spoczywa niezaprzeczone przewaga naszego żołnierza w kampanii włoskiej.

Zwycięstwo Austrii siedziało w latrynie.

Dla pana generała wszystko było niesłychanie proste. Droga do sławy wojennej prowadziła według recepty: O szóstej wieczorem żołnierze dostają gulasz z kartoflami, o pół do dziewiątej idzie wojsko do latryny, żeby się wyknocić, o dziewiątej idzie spać. Przed takim wojskiem nieprzyjaciel pierzcha ze zgrozą.

Pan generał się zadumał, zapalił cygaro „Operas“ i bardzo długo spoglądał w sufit. Namyslał się, co by tak jeszcze powiedzieć i o czym by tak pouczyć oficerów, skoro raz już wdał się z nimi w rozmowę.

— Rdzeń pańskiego batalionu jest zdrowy — rzekł niespodziewanie, gdy wszyscy byli przekonani, że jeszcze patrzeć będzie w sufit i milczeć. — Wszystko jest w zupełnym porządku. Ten żołnierz, z którym rozmawiałem, rzuca jak najlepsze światło na cały batalion swoją szczerością i postawą. To jest poręką, że batalion walczyć będzie do ostatniej kropli krwi.

Zamilkł i znowuż się zapatrzył w sufit, opierając się wygodnie o plecy krzesła. W tej pozycji mówił dalej, przy czym

jedynie porucznik Dub z niewolniczą uległością spoglądał na sufit razem z panem generałem.

— Ale batalion pański winien dbać o to, aby czyny jego nie zostały zapomniane. Bataliony waszej brygady mają już swoją historię, a wasz batalion winien tworzyć dalszy ciąg tej historii. Ale nie macie człowieka, który by prowadził dokładną kronikę czynów batalionu i tworzył jego historię. W rękę takiego kronikarza winny być wszystkie nici tego, co która kompania wykonała. Trzeba na to człowieka inteligentnego: osioł i bydlę nie zda się tu na nic. Panie kapitanie, musi pan zamianować bataillonsgeschichtsschreibera.

Potem spojrzął na zegar ścienny, który całemu ospałemu towarzystwu przypominał, że już czas się rozejść.

Generał miał na torze swój pociąg inspekcyjny i poprosił panów oficerów, aby go odprowadzili do wagonu sypialnego.

Dowódca stacji westchnął, bo generał ani pomyślał, że trzeba zapłacić za befszytk i butelkę wina. Znowuż będzie musiał wszystko zapłacić sam. Takich wizyt zdarza się po kilka dziennie. Poszły na to już dwa wagony siana, które kazał przesunąć na ślepy tor i sprzedał je firmie Löwenstein, wojskowym dostawcom siana, takim trybem, jakim sprzedaje się żyto na pniu. Intendentura znowuż te dwa wagony siana od firmy Löwenstein kupiła, ale dowódca stacji dla pewności pozostawił je dalej na ślepym torze. Nie wiadomo było, czy nie wypadnie mu jeszcze raz odprzedać je tej firmie.

Za to wszakże wszystkie wojskowe inspekcje, zawadzające o tę stację, chwaliły sobie dowódcę, że daje dobrze jeść i pić.

Rano eszelon stał jeszcze na torze. Po pobudce żołnierze myli się przy pompach, czerpiąc wodę do menażek, a pan generał, który jeszcze nie odjechał, poszedł osobiście rewidować latryny, do których według dziennego rozkazu kapitana Sagnera żołnierze chodzili „schwarzweise unter Kommando der Schwarzkommandanten“, żeby pan generał miał uciechę. Aby zaś uciechę miał także porucz-

nik Dub, kapitan Sagner zakomunikował mu, że ma dzisiaj inspekcję.

Porucznik Dub pilnował tedy latryn. Były one długie, dwurzędowe i zmieściło się w nich sporo żołnierzy.

W tej chwili żołnierze grzecznie i ładnie siedzieli w kuczki jeden przy drugim nad wykopanymi rowami, jak jaskółki na drutach telegraficznych, kiedy jesienią wybierają się w podróż do dalekiej Afryki.

Białe kolana sterczały ze spuszczonej spodni, każdy żołnierz miał pas rzemienny przerzucony przez kark, jakby się chciał powiesić i tylko czekał na rozkaz.

I w tym widać było żelazną dyscyplinę wojskową, organizację.

Na lewym skrzydle siedział Szwejk, który przyplątał się tu także i z wielkim zainteresowaniem odczytywał kawałek papieru, wyrwanego nie wiadomo z jakiej powieści Rózeny Jasenskiej:

...tejszym pensjonacie, niestety, damy
em nieokreślone, naprawdę zapewne więcej
tkie przeważnie zamknięte koło
ały menu do swoich pokojów albo też
charakterystycznej zabawie. A jeśli czasem i
człowiek, to tylko próżne tęsknoty budz
się poprawiła albo nie chciała tak skutecznie
czyć, jakby sobie życzyły.
nic nie było dla młodego Krzyczki...

Podniósłszy oczy znad świstka, Szwejk bezwiednie spojrział ku wyjściu z latryny i zadziwił się. W pełnej parady stał tam wczorajszy pan generał ze swoim adiutantem, zaś obok nich wyprostowany porucznik Dub gorliwie im coś tłumaczył.

Szwejk rozejrzał się dokoła siebie. Wszyscy siedzieli spokojnie nad rowami i tylko szarże stały jak skostniałe, bez ruchu.

Szwejk zrozumiał powagę sytuacji.

Zerwał się tak, jak był, ze spuszczoneymi spodniami, z rzemiennym pasem na karku, szybko użył papieru, który trzymał był w ręku, i wrzasnął:

— Einstellen! Auf! Habacht! Rechtschaut!

I zasalutował. Dwa długie rzędy żołnierzy ze spuszczoneymi spodniami i z rzemieennymi pasami na karkach stanęły nad latrynami. Generał uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

— Ruht! Weiter machen.

Dziesiątnik Malek pierwszy dał przykład swemu oddziałowi, że winien wrócić do pozycji pierwotnej. Tylko Szwejk stał i salutował dalej, bowiem z jednej strony podchodził ku niemu z groźną miną porucznik Dub, z drugiej — z uśmiechem pan generał.

— Ja was widział w nocy — ozwał się generał do Szwejka, żołnierza zaiste bardzo dziwnej postaci.

— Ich melde gehorsam, Herr Generalmajor — tłumaczył wzburzony porucznik Dub zwracając się do generała — der Mann ist blödsinnig und als Idiot bekannt, sagenhafter Dummkopf.

— Was sagen sie, Herr Leutnant? — wrzasnął nagle generał na porucznika Duba i zaczął mu tłumaczyć, że właśnie całkiem przeciwnie. Żołnierz, który wie, co trzeba zrobić gdy widzi przełożonego, nie jest taki głupi jak szarże, które tego nie wiedzą czy udają, że nie wiedzą. Jest tu tak samo jak w polu. W chwili niebezpieczeństwa prosty żołnierz przejmuje dowództwo. Pan porucznik Dub sam powinien był skomenderować: „Einstellen! — Habacht! Rechtschaut!“

— Podtarłeś sobie Arsch? — zapytał generał Szwejka.

— Posłusznie melduję, panie generale, że wszystko w porządku.

— Więcej s... nie będziesz?

— Posłusznie melduję, panie generale, że jestem fertig.

— No to zapnij spodnie jak się patrzy i stań na baczność.

Ponieważ ostatnie słowo generał wymówił nieco głośniejszym głosem, najbliżsi żołnierze zaczęli stawać nad latryną. Ale generał jak najuprzejmiej skinął im ręką i tonem ojcowiskiej zyczliwości mówił:

— Aber nein, ruht, ruht, nur weiter machen.

Szwejk stał tymczasem przed generałem w pełnej parady, a pan generał wygłosił do niego krótkie niemieckie przemówienie:

— Szacunek dla przełożonych, znajomość regulaminu służbowego i przytomność umysłu znaczy w wojsku bardzo wiele. A jeśli z tym łączy się jeszcze dzielność, to nie ma takiego nieprzyjaciela, którego musielibyśmy się obawiać.

Zwracając się do porucznika Duba i szturchając Szwejka palcem w brzuch, generał mówił:

— Niech pan sobie zapamięta: żołnierza tego natychmiast po przybyciu na front koniecznie awansować, a przy najbliższej sposobności podać go do nagrody brązowym medalem za ściśle pełnienie służby i znajomość... Wissen schon, was ich meine... Abtreten!

Generał oddalał się od latryny, a porucznik Dub wydawał tymczasem rozkazy tak głośne, aby mógł być słyszany przez generała:

Erster Schwarm auf! Doppelreihen...
Zweiter Schwarm...

Szwejk opuszczał tymczasem latrynę, a gdy przechodził obok porucznika Duba zasałutował z wielką energią, ale porucznik zatrzymał go pomimo to i Szwejk musiał salutować jeszcze raz, a porucznik Dub powtarzał swoje:

— Znasz mnie? Nie znasz mnie! Ty mnie znasz z dobrej strony, ale jak mnie poznasz ze złej strony, to się rozplaczesz!

Szwejk oddalił się wreszcie, aby wsiąść do wagonu, a po drodze myślał:

— Kiedyśmy stali w Karlinie w koszarach, był u nas lejtnant Chudawy, który gdy się rozzłościł, to wygadywał inaczej: Pamiętajcie, chłopcy, że ja potrafię być wielką świnią i taką świnią pozostanę, dopóki wy będziecie w naszej kompanii.

Kiedy przechodził koło wagonu sztabowego, skinął na niego nadporucznik Lukasz i kazał powiedzieć Balounowi, żeby mu prędko przyniósł kawę, i żeby mleko skondensowane zamknął porządnie, bo się może zepsuć. Baloun gotował mianowicie kawę dla nadporucznika na małej maszynie spirytusowej u sierżanta rachuby, Wańka. Dając Balounowi zlecenia nadporucznika, Szwejk zauważył, że tymczasem pije kawę cały wagon.

Puszka z kawą i puszka z mlekiem były już do połowy opróżnione, a Baloun, popijając ciepły napój, grzebał łyżeczką w mleku skondensowanym, żeby sobie kawę jeszcze poprawić.

Jurajda, kucharz-okultysta, i sierżant rachuby, Waniek, obiecywali, że jak tylko nadejdą konserwy mleczne i kawowe, to się panu nadporucznikowi Lukaszowi wszystko odda. Szwejkowi także zaproponowano kawę, ale on odmówił i rzekł do Balouna:

— W tej chwili ze sztabu armii przyszedł rozkaz, żeby każdego pucybuta, który swemu oficerowi zdefrauduje konserwę mleczną i kawową, wieszać w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Kazał ci to powiedzieć pan nadporucznik, który życzy sobie natychmiast otrzymać kawę.

Wystraszony Baloun wyrwał telefoniście Chodounskiemu jego porcję, daną mu przed chwilą, przystawił ją do ognia, żeby się ogrzała, dodał zgęszczonego mleka i pędził z filiżanką do wagonu sztabowego.

Z oczami wytrzeszczonymi podał kawę nadporucznikowi

Lukaszowi, przy czym przez głowę przeleciała mu myśl, że nadporucznik Lukasz czyta mu na oczach, jak to on gospodarował w jego konserwach.

— Trochę się spóźniłem — jękał się Baloun — ponieważ nie mogłem puszkę otworzyć.

— Pewność znowu mleko rozlał, co? — pytał nadporucznik Lukasz upijając trochę kawy. — A może żarłeś mleko łyżkami jak zupę? Wiesz, co cię czeka?

Baloun westchnął i zabiadał:

— Mam troje dzieci, posłusznie melduję, panie oberlejt-nant.

— Miej się na baczności, mój Balounie. Jeszcze raz ostrzegam cię przed skutkami twojej żarłoczności. Czy Szwejk nie mówił ci nic?

— W przeciągu 24 godzin mogę zostać powieszony — smutnie odpowiedział Baloun kiwając się na wszystkie strony.

— Nie kiwaj mi się tu, idioto — rzekł z uśmiechem nadporucznik Lukasz — i popraw się. Pozbądź się już raz tego obżarstwa i powiedz Szwejkowi, żeby się tu gdzie w okolicy rozejrzał za czym dobrym do zjedzenia. Masz tu na to dziesięć koron. Wręcz je Szwejkowi, bo ciebie nie poślę. Ty przyniosłbyś innemu coś do zjedzenia dopiero wtedy, gdybyś się sam obżarł aż do rozpuku. Czyś mi aby nie zeżarł ostatniego pudełka sardynek? Mówisz, że nie; przynies mi je i pokaż.

Baloun wręczył Szwejkowi dziesięć koron, powiedział mu, że pan nadporucznik życzy sobie otrzymać za nie coś dobrego do zjedzenia i z westchnieniem wyjął z nadporucznikowego kuferka pudełko sardynek. Serce ścisnęło mu się na myśl, że musi je pokazać swemu przełożonemu.

Tak bardzo cieszył się biedak, że nadporucznik może o tych sardynkach zapomnieć, a tu masz! Nadporucznik zatrzyma je niezawodnie przy sobie i Baloun tyle ich widział. Miał wrażenie, że został okradziony.

— Posłusznie melduję, że przyniosłem sardynki, panie

oberlejtant — rzekł głosem cierpkim, podając Lukaszowi pudełko. — Czy każe je pan otworzyć?

— Dobrze, Balounie. Nie otwieraj ich, ale zanieś je tam, gdzie były. Chciałem się tylko przekonać, czy do nich nie zajrzałeś. Gdyś mi podawał kawę, to mi się zdawało, że masz usta tłuste od oliwy. Czy Szwejk już poszedł?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że już poszedł — odpowiedział Baloun z twarzą rozjaśnioną. — Powiedział, że pan oberlejtant będzie bardzo zadowolony, że panu oberlejtantowi wszyscy będą zazdrościli. Poszedł w okolice dworca i powiedział, że tutaj wszystko dobrze zna aż do Rakosz Palaty. A gdyby pociąg odszedł bez niego, to się przyłączy do kolumny automobilowej i na stacji najbliższej dogoni nas automobilem. Powiada, że nie trzeba się o niego kłopotać, bo on zna swoje obowiązki. Dopędzi nas, choćby mu wypadło gonić nas w dorożce na własny koszt aż do Galicji. W ogóle niech się pan o niego nie martwi, panie oberlejtant.

— Idź już sobie — głosem przygnębionym rzekł nadporucznik Lukasz.

Z kancelarii dowództwa przyszła wiadomość, że pociąg ruszy dopiero po południu o godzinie drugiej na Gödölö-Aszow i że na dworcu fasuje się dla oficerów po dwa litry czerwonego wina i po butelce koniaku. Mówiono, że ma to być jakaś zagubiona przesyłka Czerwonego Krzyża. Tak czy owak, spadło to wino z koniakiem jakby z nieba i w wagonie sztabowym zrobiło się weselej. Koniak miał trzy gwiazdki, a wino było marki Gumpoldskirchen.

Tylko nadporucznik Lukasz nie odzyskał dobrego humoru. Minęła godzina, a Szwejk jeszcze ciągle nie wracał. Po upiymie dalszej pół godziny do wagonu sztabu zbliżał się dziwaczny pochód, który wyszedł z kancelarii dowództwa stacji.

Na przedzie kroczył Szwejk z wielką powagą i tak jakoś wzniosłe, jak niezawodnie chadzali pierwsi chrześcijanie, gdy prowadzono ich na arenę.

Po obu stronach miał honwedów z bagnetami na karabinach. Na lewym skrzydle szedł plutonowy z dowództwa stacji, a za nim jakaś niewiasta w czerwonej sukni z falbanką i mężczyzna w ciżmach i okrągłym kapelusiku. Mężczyzna ten miał podbite oko i niósł żywą kurę, wystraszoną i gdaczącą.

Wszystko to pchało się do wagonu sztabowego, ale plutonowy wrzasnął po madziarsku na chłopca i babę, żeby poczekali na dworze.

Ujrawszy nadporucznika Lukasa, Szwejk zaczął mrugać bardzo znacząco.

Plutonowy pragnął się rozmówić z dowódcą 11 marszkompanii. Nadporucznik odebrał od niego pismo dowództwa stacji i błędnie, czytał:

Do dowódcy 11 marszkompanii N marszbatalionu, 91 pułku piechoty dla dalszego przeprowadzenia sprawy.

Przysła się szeregowca Józefa Szwejka, rzekomo ordynansa tejże kompanii N marszbatalionu, 91 pułku piechoty, oskarżonego o zbrodnię łupiestwa, jakiej dopuścił się na małżonkach Istvan w Isatareza, w rejonie dowództwa stacji.

Dowody: Szeregowiec Józef Szwejk, schwytawszy kurę za domkiem małżonków Istvan w Isatareza, w rejonie dowództwa stacji, która to kura jest własnością małżonków Istvan (w oryginale było nowoutworzone słowo niemieckie: Istvangatten), a zatrzymany przez właściciela, który kurę chciał mu odebrać, sprzeciwił się temu, uderzył właściciela Istvana kurą w prawe oko, a ujęty przez przywołaną straż, zostaje przekazany swemu oddziałowi. Kura została oddana właścicielowi.

Podpis oficera dyżurnego.

Gdy nadporucznik Lukasz podpisywał potwierdzenie o przyjęciu Szwejka, kolana ugięły się pod nim.

Szwejk stał tak blisko niego, iż widział, że jego przełożony zapomniiał dopisać datę.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant — odezwał się Szwejk — że mamy dzisiaj dwudziestego czwartego. Wczoraj było dwudziestego trzeciego maja, bo nam akurat Italia wypowiedziała wojnę. Teraz, kiedym był za dworcem, to słysza-

łem, że o niczym innym się nie mówi, tylko o tej wojnie. Honwedzi z plutonowym oddalili się, a na torze pozostali jedynie małżonkowie Istvan, którzy bezustannie chcieli wejść do wagonu.

— Gdyby pan miał przy sobie jeszcze pięć koron, to mogliśmy tę kurę kupić. Ten gałgan chce za nią piętnaście, ale wlicza w to już i dziesięć koron za siniec pod okiem — mówił Szwejk tonem pogodnego opowiadania. — Ale mnie się zdaje, że dziesięć koron za takie parszywe oko to za wiele. Pod „Starą panią“ wybili tokarzowi Matejowi całą szczękę z sześciu zębami za dwadzieścia złotych, a wtedy pieniądze miały wartość większą niż dzisiaj. Nawet kat Wolschläger wieszka za cztery guldeny.

— Pójdź tu — kiwnął Szwejk na człowieka z podbitym okiem i kurą — a ty babo czekaj!

Chłop wszedł do wagonu.

— On rozumie coś niecoś po niemiecku — wtrącił Szwejk — szczególnie, gdy się wymyśla, i sam też umie wymyślać niezgorzej.

— Also zehn Gulden — zwrócił się do chłopca: — fünf Gulden Henne, fünf Auge. Öt forint, widzisz, kikiriki, öt forint kukuk igen. Tutaj jest wagon sztabowy, złodzieju. Dawaj tu zaraz kurę!

Wetknął zgłupiałemu chłopu dwadzieścia koron w rękę, wziął kurę, ukręcił jej łeb, a jej właściciela wypchnął z wagonu, podawszy mu uprzednio rękę i potrząsnąwszy nią mocno po przyjacielsku:

— Jo napot, baratom adieu, idź sobie do swojej baby, bo cię przepędzę na zbity łeb.

— Sam pan widzi, panie oberlejtant, że z ludźmi dogadać się można — rzekł Szwejk do nadporucznika Lukaszka. — Najlepiej, gdy się wszystko udaje załatwić bez skandalu, bez wielkich ceremonii. Teraz z Balounem ugotujemy panu takiego rosołu z kury, że w Siedmiogrodzie poczują jego zapach.

Nadporucznik Lukasz nie wytrzymał, wytrącił Szwejkowi nieszczęsną kurę z rąk i krzyknął na niego:

— Wiecie, Szwejku, na co zasługuje taki żołnierz, który w czasie wojny łupi spokojnych mieszkańców?

— Na honorową śmierć od kuli i prochu — uroczyście odpowiedział Szwejk.

— Wy zasługujecie tylko na stryczek, mój Szwejku, boście poszli łupić jak zbój. Wyście, drabie jeden, nawet nie wiem, jak was nazwać, zapomnieli o przysiędze. Przecież z wami można rozum stracić!

Szwejk spojrział na nadporucznika okiem pytającym i szybko wyrecytował:

— Posłusznie melduję, że o przysiędze nie zapomniałem i pamiętam, co żołnierz przysięga. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że uroczyście przysięgałem swemu najjaśniejszemu królowi i panu, Franciszkowi Józefowi I, że wierny i posłuszny będę także generałom jego cesarskiej mości i w ogóle wszystkim przełożonym swoim, że będę ich szanował i chronił, a ich rozkazy i rozporządzenia we wszystkich służbach spełniać gorliwie przeciwko wszelkiemu nieprzyjacielowi, którokolwiek byłby nim, i gdziekolwiek zażąda tego ode mnie wola Jego cesarskiej i królewskiej mości, na wodzie, pod wodą, na ziemi, w powietrzu, we dnie i w nocy, w bitwach, natarciach, w potyczkach i w jakichkolwiek innych przedsięwzięciach, w ogóle na każdym miejscu...

Szwejk podniósł kurę i stojąc wyprostowany, patrzył w oczy nadporucznikowi Lukaszowi i recytował dalej:

— ...każdego czasu i we wszystkich okolicznościach mężnie i dzielnie walczyć, wojsk swoich, sztandarów i chorągwi oraz dział nigdy nie opuszczać, z nieprzyjacielem nigdy w żadne porozumienia nie wchodzić, a zawsze tak postępować, jak tego prawa wojenne wymagają i jak dzielni żołnierze czynić powinni, że takim obyczajem żyć pragnę i umierać. Tak mi

dopomóż Bóg. Amen. A tej kury to ja proszę pana nie złupiłem, ale zachowywałem się przystojnie, pamiętając o przyszłości swojej.

— Rzucisz tę kurę, bydle jedno, czy nie? — wrzasnął na niego nadporucznik Lukasz i dzielił go przez rękę, w której Szwejk trzymał nieboszczkę. — Spójrz na te papiery! Masz tu czarne na białym: Przysyła się szeregowca Józefa Szwejka, rzekomo ordynansa tejże kompanii... o zbrodnię łupiestwa... A teraz powiedz mi, ty maruderze, ty hieno — nie, ja cię jednak kiedy zabiję, z a b i j ę, rozumiesz? — powiedz mi, ty idioto, zbóju, jak mogłeś być upaść tak nisko?

— Posłusznie melduję — rzekł uprzejmie Szwejk — że stanowczo o nic innego chodzić nie może, jeno o pomyłkę. Kiedym otrzymał pański rozkaz, żeby panu zbębnić coś dobrego do zjedzenia, to się zaczął zastanawiać, co jest najlepsze. Za stacją nie było nic, tylko końskie salami i jakieś suszone ośle mięso. Więc posłusznie melduję, panie oberlejtant, wszystko sobie dobrze rozważyłem. Na wojnie trzeba się odżywiać dobrze i pożywnie, żeby można było znosić wszystkie wysiłki marszów. Więc chciałem panu zrobić horyzontalną uciechę i postanowiłem, panie oberlejtant, ugotować panu rosół z kury.

— Rosół z kury! — powtórzył nadporucznik chwytając się za głowę.

— Tak jest, posłusznie melduję, panie oberlejtant, rosół z kury. Kupiłem cebulę i pięć deka makaronu. Wszystko, proszę pana, mam. W tej kieszeni cebula, w tej — makaron. Sól mamy w kancelarii i pieprz także. Potrzebna była jeszcze tylko kura. Więc poszedłem za stację, do Isatarczy. Właściwie jest to taka sobie wioska, a nie żadne miasto, chociaż zaraz na pierwszej ulicy jest tam taki napis: *Isatarcza varos*. Idę jedną ulicą z ogródkami, drugą, trzecią, czwartą, piątą, szóstą, siódmą, ósmą, dziewiątą, dziesiątą, jedenastą, aż na trzynastej ulicy, gdzie za małym domkiem zaczynały się łąki,

łaziło sobie stado kurek. Podszedłem do nich i wybrałem najlepszą, najcieńszą i największą, niech pan spojrzysz, panie oberlejtant, sam tłuszcz. Nie trzeba jej nawet obmacywać, bo to się widzi na pierwsze spojrzenie, że kokoszka dostawała ziarno. Więc wziąłem ją do rąk publicznie i na oczach wszystkich mieszkańców, którzy coś tam po madziarsku wykrzykiwali. Trzymam tę kurkę za nogi i pytam się kilku ludzi, po czesku i po niemiecku, czyja to jest kura, żebym ją mógł kupić od właściciela. W tej samej chwili z owego domku na skraju wybiega chłop z babą i zaczyna pyskować po madziarsku, a potem po niemiecku, że w biały dzień ukradłem mu kurę. Mówię mu, żeby nie krzyczał, bo zostałem wysłany, żeby kurę kupić. I mówię mu, jak się rzeczy mają. Ale ta kura, którą trzymałem za nogi, zaczęła się raptem trzepotać i machać skrzydłami, a ponieważ trzymałem ją lekko, więc mi uniosła rękę i chciała widać usiąść na nosie swego pana. A ten zaraz z pyskiem na mnie, żem go tą kurą siepnął w zęby. A jego baba w pisk i ciągle na kokoszkę wołała: puta, puta, puta, puta. A tu jakieś cymbały, nie wiedząc wcale o co chodzi, przyprowadziły honwedów, których też poprosiłem, żeby mnie odprowadzili na *Bahnhofskommando*, żeby niewinność moja wypłynęła jak oliwa na wodę. Ale z tym panem lejtnantem dyżurym nie można się było dogadać, chociaż go prosiłem, żeby się sam przekonał, że mnie pan posłał po coś dobrego do zjedzenia. Jeszcze na mnie zaczął krzyczeć, żebym stulił gębę, bo i tak, powiada, widać mi z oczu dobrą gałąź z porządnym postronkiem. Musiał być w bardzo kiepskim humorze, bo mi nawet powiedział, że takim opasem może być tylko żołnierz, który kradnie i łupi. Mówił jeszcze, że do dowództwa stacji wpłynęło już wiele innych skarg: onegdaj gdzieś tam zapodział się na przykład indyk. Ja mu na to, że onegdaj byłem jeszcze w Rabie, a on swoje, że takie wykręty nic nie znaczą. Więc mnie posłali do pana i jeszcze się tam na mnie rzucił jakiś frajter, którego nie zauważyłem; czy, powiada, nie widzę,

kogo mam przed sobą. Powiedziałem mu, że jest Gefreiter, gdyby służył w pułku strzelców, to byłby Patrollführer, a przy artylerii Oberkanonier.

— Szwejku — rzekł po chwili nadporucznik Lukasz — mieliście już tyle przygód i przypadków, tyle, jak wy mawiacie, pomyłek i zmyłek, że z wszystkich tych tarapatów wyratuje was kiedyś chyba tylko solidny postronek z całą wojskową paradą i honorami w czworoboku. Rozumiecie?

— Owszem, panie oberlejtnant; czworobok, z tak zwanego Geschlossenbataillon, składa się z czterech, czasem wyjątkowo z trzech lub z pięciu kompanij. Czy pan rozkaże włożyć do rosółu trochę więcej makaronu, żeby był gęstszy?

— Ja wam tylko rozkazuję, żebyście znikli razem z tą kurą, bo wam ją otłukę o wasz idiotyczny łeb, cymbale jeden...

— Rozkaz, panie oberlejtnant, ale seleru, posłusznie melduję, nie znalazłem i marchewki też nie napotkałem. Włożę kartof...

Szwejk nie dokończył zdania i razem z kurą wyleciał z wagonu sztabowego. Nadporucznik Lukasz sięgnął po butelkę z koniakiem i napił się porządnie.

Szwejk zasalutował przed oknami wagonu i oddalił się.

Po szczęśliwie zakończonej walce duchowej Baloun zdecydował się ostatecznie, że otworzy pudełko sardynek swego nadporucznika, gdy w tej chwili wszedł Szwejk z kurą, co oczywiście wzbudziło wielkie zainteresowanie wśród wszystkich obecnych w wagonie. Spoglądali na Szwejka z takim wyrazem, jakby chcieli zapytać: Gdzieś ją, bratku, buchnął?

— Kupiłem dla pana oberlejtnanta — odpowiedział Szwejk, wyjmując z kieszeni cebulę i makaron. — Chciałem mu ugotować rosół z kury, ale on tej kury nie chce, więc podarował ją mnie.

— Może była zdechła? — zapytał podejrzliwie sierżant rachuby Waniek.

— Sam jej łeb ukręciłem — odpowiedział Szwejk, wyjmując z kieszeni nóż.

Baloun spojrział na Szwejka z wdzięcznością i szacunkiem i w milczeniu zaczął przygotowywać maszynkę spirytusową pana nadporucznika. Potem sięgnął po garnuszki i polecił z nimi po wodę.

Do Szwejka podszedł telegrafista Chodounsky i zaofiarował swoją pomoc przy skubaniu kury, przy czym zwrócił się do niego z szeptanym pytaniem:

— Czy to daleko stąd? Czy trzeba przelazić przez płot, czy też łąką na wolności?

— Ja ją kupiłem.

— Daj spokój, kolego. Widzieliśmy, jak cię prowadzili.

Przy skubaniu kury był bardzo pomocny. Do wielkich i uroczystych przygotowań przyłączył się także kucharz-okultysta, Jurajda, który krajał kartofle i cebulę do rosółu.

Pierze, wyrzucone z wagonu, wzbudziło zainteresowanie porucznika Duba, który obchodził wagony.

Krzyknął tedy, żeby się pokazał ten, który skubie kurę, i we drzwiach wagonu ukazała się okrągła, zadowolona twarz Szwejka.

— Co to jest? — wrzasnął porucznik, podnosząc z ziemi kurzą głowę.

— To jest, posłusznie melduję — odpowiedział Szwejk — głowa kury gatunku czarnych Włoszek. Bardzo nośne kury, panie oberlejtant. Znoszą w ciągu roku do 260 jajek. Raczy pan spojrzeć, jaki bogaty miała jajnik. Szwejk podsuwał porucznikowi Dubowi pod nos różne wnętrzości kury.

Dub splunął i oddalił się, ale po chwili wrócił.

— Dla kogo ma być ta kura?

— Dla nas, posłusznie melduję, panie lejtnant. Niech pan popatrzy, ile miała sadła.

— Pod Filipi się spotkamy — mruzczał porucznik oddalając się.

— Co on mówił? — zapytał Szwejk Jurajda.

— Że się niby mamy spotkać u jakiejś Filipy. Ci uczeni panowie miewają takie rozmaite gusta.

Kucharz-okultysta zadeklarował, że tylko esteci są homoseksualistami, co wynika z samej istoty estetyzmu.

Wachmistrz rachuby opowiadał następnie o nadużywaniu dzieci przez pedagogów w klasztorach hiszpańskich.

Podczas gdy woda gotowała się na maszynie i bulgotała, Szwejk przypomniał sobie, jak to pewnemu wychowawcy oddano kolonię opuszczonych wiedeńskich dzieci pod opiekę, a on nadużył zaufania wszystkich tych dzieci.

— Ano, taka już namiętność, ale najgorzej bywa, gdy to się trafi kobiecie. W Pradze były przed laty dwie paniusie, opuszczone rozwódki, bo to były z przeproszeniem polatuchy. Jedna się nazywała Mourkowa, a druga Szouskowa. Pewnego wieczoru, gdy kwitły czereśnie, obie te paniusie złapały w alei roztockiej stuletniego impotentnego kataryniarza, zawlokły go do pobliskiego gaiku i zgwałciły go. Okropnych rzeczy dopuszczały się na tym biedaku! Na Żyżkowie jest niejaki profesor Axamita, który poszukuje starożytnych mogił i wykopał dużo dołów w Roztokach. Do jednego z takich dołów zawlokły te opuszczone rozwódki naszego kataryniarza i dręczyły go i nadużywały. Nazajutrz profesor Axamita widzi, że w jednej z rozkopanych mogilek coś leży. Ucieszył się, że to może zdobycz naukowa, a to był ten kataryniarz, umęczony przez owe dwie paniusie rozwiedzione. Dokoła niego leżało pełno takich jakichś patyczków. Ten kataryniarz umarł piątego dnia, a te megery były jeszcze takie zuchwałe, że poszły na jego pogrzeb. To już czysta perwersja.

— Soli wsypałeś? — zwrócił się Szwejk do Balouna, który korzystając z powszechnego zainteresowania, z jakim śle-

dzono opowiadania Szwejka, chował coś w swoim tobołku. — Pokaż no, bratku, co ty tam masz i co robisz?

— Co ty chcesz zrobić z tym kurzym udem, mój Balounie? — rzekł Szwejk z wielką powagą. — Patrzcie więc, państwo, skradł nam kurze udo, żeby je sobie potem w sekrecie ugotować. Wiesz, Balounie, czegoś się dopuścił? Wiesz, jak karani bywają ci, co w polu okradają swoich towarzyszy? Takiego przywiązuje się do wylotu działa i strzela się szrapnelem. Teraz wzdychasz, ale już za późno. Jak tylko napotkamy po drodze artylerię, to się melduj pierwszemu z brzoła oberfeuerwerkerowi. A tymczasem będziesz ćwiczył za karę. Wylaż z wagonu!

Nieszczęśliwy Baloun wylaż z wagonu, a Szwejk, siedząc we drzwiach, komenderował:

— Habt acht! Ruht! Habt acht! Rechts schaut! Habt acht! Patrz znowuż przed siebie! Ruht!

— Teraz będziesz wykonywał ruchy na miejscu. Rechts um! Człowieku! Ruszasz się jak krowa. Twoje nogi powinny znaleźć się tam, gdzie przedtem miałeś prawe ramię. Herstellt! Halbrechts! No widzisz, słoni, że potrafisz! Halblinks! Linksum! Links! Front! Front, idioto! Nie wiesz, co to jest front? Gradaus! Kehrt euch! Kniet! Nieder! Setzen! Auf! Setzen! Nieder! Auf! Nieder! Auf! Setzen! Auf! Ruht!

— Widzisz, Balounie, taka rzecz jest bardzo zdrowa i przyśpiesza trawienie.

Żołnierze zaczęli się zbierać dokoła nich i wybuchali wesołym śmiechem.

— Zróbcie z łaski swojej miejsce — krzyczał Szwejk — Baloun będzie maszerował. No mój Balounie, uważaj dobrze, żebym nie musiał cię hersztelować. Nie lubię dręczyć ludzi niepotrzebnie. Baczność!

— Direktion Bahnhof! Patrz, gdzie ci wskazuję kierunek. Marschieren marsch! Glied halt! Nareszcie, idioto, stanąłeś. Kurzer Schritt. Nie wiesz, co to jest kurzer Schritt? Jak ja ci pokażę, to zsiniejesz! Voller Schritt! Wechselt Schritt! Ohne Schritt! Bawole jeden! Jak ci mówię: ohne Schritt, to przekładasz kulasy na miejscu!

Koło nich zebrały się już ze dwie kompanie.

Baloun się pocił i zapominał o całym świecie, a Szwejk komenderował dalej:

— Gleicher Schritt! Glied rückwärts marsch!

— Glied halt!

— Laufschrift!

— Glied marsch!

— Schritt!

— Glied halt!

— Ruht!

— Habt acht! Direktion Bahnhof, Laufschrift marsch! Halt! Kehrt euch! Direktion Wagon! Laufschrift marsch! Kurzer Schritt! Glied halt! Ruht! Teraz sobie przez chwilę odpoczniesz! A potem zaczniemy na nowo. Przy dobrej woli dużo można zrobić.

— Co się tu dzieje? — odezwał się głos porucznika Duba, który zbliżył się zaniepokojony.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — rzekł Szwejk — że się troszeczkę ćwiczymy, żebyśmy nie wyszli z wprawy i żebyśmy nie marnowali na próżno drogiego czasu.

— Wyłaźcie z wagonu — rozkazał porucznik Dub — mam tego już dosyć. Zaprowadzę was do pana batalionskomandanta.

Gdy Szwejk znalazł się w wagonie sztabowym, nadporucznik Lukasz drugimi drzwiami wyszedł z wagonu na peron.

Porucznik Dub meldował panu kapitanowi Sagnerowi

o dziwnych zbytkach Szwejka w chwili, gdy dowódca batalionu był w bardzo dobrym usposobieniu, ponieważ wino marki Gumpoldskirchen było naprawdę świetne.

— Aha, więc wy nie chcecie marnować drogiego czasu? — roześmiał się złośliwie. — Matuszicz, chodźcie no tu!

Ordynans batalionu otrzymał rozkaz, że ma zawołać feldfebla 12 kompanii, Nasaklo, który, jak wiadomo, był największym tyranem. Szwejkowi kazano dać karabin.

— Ten oto szeregowiec — rzekł kapitan Sagner do feldfebla Nasaklo — nie chce marnować na próżno drogiego czasu. Zabrać go za wagon i przez godzinę ćwiczyć z nim chwyt. Ale bez miłosierdzia i bez odpoczynku. Przede wszystkim raz za razem: *Setzt an! Setzt ab!*

— Przekonacie się, mój Szwejk, że nudzić się nie będziecie — rzekł mu kapitan na odchodnym. I po chwili odzywała się za wagonem szorstka komenda, rozbrzmiewająca uroczyście między szynami torów. Feldfebel Nasaklo, który grał w oko i akurat trzymał bank, ryczał jak wściekły na cały boży świat:

— *Beim Fuss! — Schultert! — Beim Fuss! — Schultert!*

Potem komenda ucichła na chwilę i słychać było głos Szwejka, spokojny, pełen powagi:

— Tego wszystkiego nauczyłem się przed laty przy odbywaniu służby wojskowej. Na komendę „*Beim Fuss!*“ — flintę opiera się o prawy bok. Koniec kolby znajduje się na jednej linii z palcami nóg. Prawa ręka jest bez wysiłku oparta na lufie, a mianowicie tak, że duży palec obejmuje lufę, a inne palce obejmują lufę z przodu. Przy „*Schultert!*“ flinta wisi swobodnie na rzemieniu, na prawym ramieniu, a wylot lufy zwrócony jest ku tyłowi...

— Dość tego gładzenia — odezwał się znowuż głos feldfebla Nasaklo. — *Habt acht! Rechts schaut! Herrgott, jak wy to robicie!*

— Mam „Schultert!“ — więc przy „Rechts schaut!“ moja prawa ręka zjeżdża po rzemieniu na dół, obejmuje szyjkę, a ja podzucam głowę na prawo. Potem „Habt acht!“, więc prawą ręką chwytam rzemień, a głowa moja zwraca się prosto na pana.

I znowuż odzywał się głos feldfebla:

— In die Balanz! Beim Fuss! In die Balanz! Schultert! Bajonett auf! Bajonett ab! Fällt das Bajonette! Zum Gebet! Vom Gebet! Kniet nieder zum Gebet! Laden! Schiessen! Schiessen halbrechts! Ziel Stabswagon! Distanz 200 Schritt! Fertig! An! Feuer! Setzt ab! An! Feuer! An! Feuer! Setzt ab! Aufsatz normal! Patronen versorgen! Ruht!

Feldfebel skręcał papierosa, Szwejk zaś przyglądał się tymczasem karabinowi i zaczął mówić o jego numerze:

— 4268. Akurat taki sam numer miała pewna lokomotywa w Peczkach na 16 torze szlaku. Miano ją wyprowadzić do depôt w Łysej nad Łabą, ale sprawa nie była wcale taka prosta, jak się zdaje, bo ten maszynista, co ją miał prowadzić, nie umiał zachowywać w pamięci liczb. Więc inspektor szlaku wezwał go do kancelarii i mówi: Na 16 torze jest lokomotywa Nr 4268. Ja wiem, że pan nie ma dobrej pamięci do liczb, a gdy się panu jaką liczbę wypisze na kartce, to pan kartkę gubi. Skoro więc ma pan taką słabą pamięć do liczb, to proszę uważać, a ja panu dowiodę, że to bardzo łatwo zapamiętać sobie jakąkolwiek liczbę. Patrz pan: lokomotywa, którą ma pan odstawić do Łysej nad Łabą, ma numer 4268. Więc baczność: pierwsza liczba, to czwórka — druga dwójka. Możesz pan już zapamiętać 42, to jest dwa razy dwa, o ile bierze się rzecz od dwójki, albo też mamy 4, podzielone przez 2, równa się dwom i znowuż masz pan 4 i 2 obok siebie. A teraz, tylko nic się pan nie bój, ile to będzie dwa razy cztery? Osiem, nie-

prawdaż? Więc wbij pan sobie w pamięć, że ósemka z tej liczby jest ostatnią w tym szeregu. Gdy więc już pan wie, że pierwsza liczba jest 4, potem idzie 2, a czwarta jest 8, to i trzecią zapamiętać nietrudno, jeśli się sprytnie zabrać do rzeczy. Strasznie to proste, bo chodzi o 6. Pierwsza 4, druga 2, czyli, że razem 6. Murowane i pewne, że tej szóstki z trzeciego miejsca zapomnieć nie można. I oto masz pan liczbę 4268 utkwioną w głowie na zawsze. Albo też może pan dojść do tych samych wyników w sposób jeszcze prostszy...

Feldfelbel przestał palić i wytrzeszczył oczy na Szwejka.

— K a p p e a b! — zamruczał pod nosem, a Szwejk z wielką powagą mówił dalej:

— Więc zaczął mu objaśniać ten sposób łatwiejszy, żeby numer lokomotywy nie wyleciał z pamięci. Gdy się od 8 odejmuje 2, zostaje 6. A więc już ma szóstkę. Sześć mniej dwa, równa się czterem, jest więc i czwórka, czyli 4—68, a gdy się wstawi na drugie miejsce dwójkę, to się ma całą liczbę: 4268! Można tę rzecz zrobić jeszcze łatwiej, przy pomocy mnożenia i dzielenia, a rezultat jest taki sam. Pamiętaj pan tylko tyle, że dwa razy 42 równa się 84. Rok ma dwanaście miesięcy. Odliczamy więc dwanaście od 84 i pozostaje nam 72, od tego odliczamy jeszcze 12 miesięcy, mamy 60. Szóstka jest już murowana, a zero odrzucamy. Wiemy już 42, 68, 4. Kiedyśmy już skreślili zero, to skreślimy i tę czwórkę na końcu i znowuż ogromnie jasno i wyraźnie otrzymujemy 4268, czyli numer lokomotywy, którą trzeba odstawić do depôt w Łysej nad Łabą. A z dzieleniem sprawa też jest nietrudna. Wyliczam sobie koeficient według całkowitej taryfy. Czy panu słabo, panie feldfelbel? Jeśli pan chce, to mogę zacząć od general de charge. Fertig! Hoch an! Feuer! E, do pioruna! Pan kapitan nie powinien był wysyłać nas na takie ostre słońce. Trzeba lecieć po nosze.

Przywołany lekarz stwierdził, że chodzi o porażenie sło-

neczne albo też o ostre zapalenie opon mózgowych. Kiedy feldfelbel odzyskał przytomność, Szwejk stojąc nad nim, rzekł:

— Muszę to panu dokończyć. Czy pan myśli, panie feldfelbu, że ten maszynista sobie to zapamiętał? Wszystko pomieszał i poplątał, i pomnożył przez trzy, ponieważ przypomniał sobie o Trójcy Bożej. No i nie znalazł tej lokomotywy, która zapewne jeszcze ciągle stoi na torze 16.

Feldfelbel znowuż zamknął oczy. Szwejk wrócił do wagonu i na pytanie, gdzie bawił tak długo, odpowiedział:

— Kto innych uczy laufszytu, sam musi robić sto razy „Schultert!“. Na końcu wagonu, w kącie trząśł się ze strachu Baloun. Kiedy się kura dogotowywała, zeżarł pół porcji Szwejka.

Przed odejściem pociągu nadszedł inny pociąg wojskowy, a mianowicie mieszany. Byli to żołnierze zapóźnieni, a także rekonwalescenci ze szpitali, doganiający swoje oddziały, i inne podejrzane indywidua, wracające z komenderunków lub z aresztów.

Z pociągu tego wysiadł także jednoroczny ochotnik Marek, który swego czasu oskarżony był o bunt, ponieważ nie chciał czyścić wychodków, ale sąd dywizyjny go uniewinnił, dochodzenie przeciwko niemu zostało umorzone i dlatego Marek zjawił się w wagonie sztabowym, aby się zameldować swemu dowódcy batalionu. Jednoroczny ochotnik Marek dotychczas nigdzie przydzielony nie był, ponieważ wędrował z aresztu do aresztu.

Kapitan Sagner ujrawszy jednorocznego ochotnika Marka i przyjąwszy od niego papiery, dotyczące jego powrotu, skrzywił się, bo na papierach była uwaga: „Politisch verdächtig! Vorsicht!“ Nie ucieszył się z przybycia jednorocznika, ale na szczęście przypomniał sobie latrynowego generała, który tak interesująco zalecał mu uzupełnienie batalionu przez batalionsgeschichtschreibera.

— Jesteś pan bardzo opieszwały, jednoroczny ochotniku —

rzekł kapitan Sagner. — W szkole jednoroczników byłeś pan istną plagą. Zamiast starać się o to, aby się wybić i zająć miejsce, jakie się panu dla pańskiej inteligencji należy, wędrował pan z aresztu do aresztu. Pułk wstydzić się musi za pana, panie jednoroczny ochotniku. Ale błędy swoje może pan naprawić przez gorliwe spełnianie swoich obowiązków. Znajdzie pan znowuż miejsce wśród porządnych żołnierzy. Niech pan siły swoje z zapalem odda batalionowi. Zrobię próbę z panem. Jest pan inteligentnym człowiekiem i ma pan zdolności stylistyczne. Umie pan pisać. Czynię panu propozycję. Każdemu batalionowi podczas wojny potrzebny jest kronikarz, który zapisywałby wiernie wszystkie czyny batalionu na polu chwały. Trzeba zapisywać wszystkie zwycięskie marsze, wszystkie wyjątkowe i uroczyste chwile z życia batalionu, notować wydarzenia, w których batalion odgrywa wybitną rolę.

W ten sposób gromadzi się materiał do dziejów armii. Rozumie pan?

— Posłuszenie melduję, że rozumiem, panie kapitanie. Chodzi tu o epizody z życia wszystkich oddziałów. Batalion ma swoje dzieje. Pułk na podstawie dziejów swoich batalionów układa dzieje własne. Pułki składają się na dzieje brygady, brygady na dzieje dywizji itd. Dołożę wszelkich starań, panie kapitanie.

Jednoroczny ochotnik Marek położył rękę na sercu.

— Będę zapisywał z prawdziwą miłością wszystkie uroczyste dni naszego batalionu, osobiwie teraz, gdy ofensywa rozwija się w całej pełni i gdy niebawem nasz batalion zaściele pobojowiska swoimi bohaterskimi synami. Sumiennie zapisywać będę wszystkie wielkie wydarzenia, których nie braknie, aby karty dziejów naszego batalionu usiane były wawrzynami.

— Będzie pan się znajdował przy sztabie batalionu, panie jednoroczny ochotniku, i zwróci pan uwagę na to, kto był zaproponowany do nagrody, będzie pan zapisywał, oczywiście

według naszych wskazówek, wszystkie marsze i wypadki, które charakteryzowałyby w sposób osobliwy waleczność batalionu i jego żelazną dyscyplinę. Niełatwa to praca, ale mam nadzieję, że posiada pan tyle talentu obserwacyjnego, że przy odpowiednich wskazówkach zdoła pan wynieść nasz batalion ponad oddziały inne. Wyprawiam depeszę do pułku, że mianowałem pana batalionsgeschichtschreiberem. Niech pan się zgłosi do sierżanta rachuby Wańka z 11 kompanii, żeby panu dał miejsce w wagonie. U niego jest jeszcze względnie najwięcej miejsca. I niech mu pan powie, żeby do mnie przyszedł. Oczywiście, że zaliczony pan będzie do sztabu batalionu. Zrobi się to rozkazem do batalionu.

Kucharz-okultysta spał. Baloun drżał ciągle, ponieważ otworzył już także sardynki nadporucznika Łukasza, sierżant rachuby Waniek udał się do kapitana Sagnera a telegrafista Chodounsky, zbębniwszy gdzieś na stacji butelkę borówkowej, wypił ją, znajdował się w nastroju bardzo sentymentalnym i śpiewał:

Póki w słodkich dniach błądziłem
Wierność wszystko przyrzekało,
Pierś ma wiarą oddechowała
Serce wszystko kochało.
Lecz gdym spostrzegł, że ta ziemia
Jest fałszywa niby szakal,
Zwiędła wiara, zwiędła miłość,
A ja z żalu gorzkom płakał.

Potem wstał, podszedł do stołu sierżanta rachuby Wańka i na ćwiartce papieru wypisał wielkimi literami:

„Niniejszym proszę uprzejmie o mianowanie mnie i awansowanie na trębacz batalionu. Chodounsky, telegrafista“.

Kapitan Sagner niezbyt długo rozmawiał z sierżantem rachuby Wańkiem. Zwrócił mu jedynie uwagę na to, że tym-

czasem batalionsgeschichtschreiber, jednoroczny ochotnik Marek, znajdować się będzie w wagonie razem z Szwejkiem.

— Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że ten Marek, że tak powiem, jest podejrzany. Politisch verdächtig. Ale, miły Boże, dzisiaj to nic osobliwego. Kogóż nie uważa się za podejrzanego?! Istnieją różne podejrzenia. Pan mnie chyba rozumie. Więc tyle tylko panu powiem, że gdyby zaczął coś wygadywać, jednym słowem, coś takiego, to trzeba go zaraz przywołać do porządku, żebym i ja nie miał z tego przykrości. Powie mu pan po prostu, żeby dał spokój i nie gadał, i będzie dobrze. Oczywiście, nie chodzi o to, żeby pan zaraz leciał do mnie ze skargą. Przyjacielskie napomnienie jest zawsze lepsze niż jakiś głupi donos. Jednym słowem, nie życzę sobie dowiadywać się o niczym, ponieważ... Rozumiesz pan. Takie rzeczy rzucają zawsze cień na cały batalion.

Po powrocie od kapitana Sagnera sierżant Waniek pociągnął jednorocznego ochotnika Marka na stronę i rzekł do niego:

— Człowieku! Pan jesteś podejrzany, ale to nic nie szkodzi. Tylko niech pan tu dużo nie wygaduje przed tym Chodounskim, telegrafistą.

Ledwo wyrzekł te słowa, Chodounsky przyplątał się do nich, rzucił się sierżantowi rachuby na szyję i łkając po pijacku, zaczął śpiewać:

Gdy mnie wszyscy opuścili,
Ja na pierś twą głowę schylę,
Na twym wiernym, dobrym sercu
Moja żalność spocznie chwilę.
W oku twoim ogień płonie
Niby gwiazda w czystym niebie,
A twe usta szepczą słodko:
Nigdy nie opuszczą ciebie!

— My się nigdy nie opuścimy — wrzeszczał Chodounsky. — Co tylko usłyszę przez telefon, zaraz wam powiem. Ja s... na przysięgę.

Baloun siedzący w kącie przeżegnał się, jęty zgrozą, i głośno zaczął się modlić.

— Matko Boska, nie odrzucaj mego żalosego wołania, ale wysłuchaj mnie miłościwie i pociesz mnie dobrocią swoją. Wspomóż mnie biednego, który wołam do Ciebie z żywą wiarą, mocną nadzieją i gorącą miłością. O, królowo niebieska, wesprzyj mnie orędownictwem twoim i uczyni, abym w miłości Bożej i pod ochroną Twoją aż do końca życia mego wytrwał...

Modlitwa jego została wysłuchana, bowiem z niewielkiego swego tobołka jednoroczny ochotnik wyjął po chwili kilka pudełek sardynek i każdemu dał po jednym.

Baloun natychmiast otworzył kuferek nadporucznika Lukasza i ułożył tam pudełko sardynek, które jakby z nieba spadło dla niego.

Ale gdy wszyscy pootwierali swoje pudełka i delektowali się smaczными rybkami, Baloun nie oparł się pokusie. Wyjął pudełko z kufereka, otworzył je i z wielką żarłocznością pochłonął jego zawartość.

I wtedy niebo odwróciło się od niego, bo właśnie w chwili, gdy dopijał oliwę z blaszanki, przed wagonem ukazał się ordynans batalionu, Matuszycz, i wołał:

— Balounie, pan nadporucznik kazał, żebyś mu natychmiast zaniósł jego sardynki.

— No, dostanie on teraz po gębie! — rzekł sierżant Waniek.

— Z próżnymi rękoma lepiej wcale nie chodź do niego — rzekł Szwejk. — Weź przynajmniej kilka pustych pudełek.

— Co też mogliście zrobić takiego, że Bóg was tak karze? — rzekł jednoroczny ochotnik. — W przeszłości waszej musi być jakiś wielki grzech. Czy nie dopuściliście się czasem świętokradztwa? Czy nie skradliście proboszczowi szynki, gdy się wędziła? Czy nie dobraliście się do jego wina w piwnicy? Czy jako pacholę nie włożyliście na grusze w plebańskim ogrodzie?

Kiwając się na wszystkie strony, Baloun oddalił się z wyrazem beznadziejności w oczach pełnych rozpacz. Jego umęczona twarz mówiła swoim żalonym wyrazem:

— Kiedyż nareszcie skończą się te wszystkie udręki?

— Wyście, mój bracie, zapomnieli o Bogu — rzekł jednoroczny ochotnik, słysząc westchnienia Balouna — wy, nawet nie umiecie pomodlić się porządnie, żeby Pan Bóg uczynił koniec waszemu nędznemu żywotowi.

Szwejk dodał do tych słów:

— Bo nasz Baloun ciągle jeszcze nie może się zdecydować, żeby całe swoje życie żołnierskie, swój charakter, słowa, czyny i śmierć swoją poświęcić miłosierdziu bożemu, jak mawiał mój feldkurat Katz, gdy wypił za wiele i przypadkowo wlaź na ulicy na jakiego żołnierza.

Baloun jęknął i zabiadał, że już utracił ufność w Bogu, bo tyle razy modlił się gorąco, żeby dostał atrofii żołądka.

— Już jest tak od dawna — narzekał. — To jest już stara choroba, ten głód nienasycony. Z tego powodu żona moja odprawiała pielgrzymkę do Klokot.

— Znam Klokoty — zauważył Szwejk — to w pobliżu Tabora. Mają tam bardzo bogaty obraz Przenajświętszej Panienki z fałszywymi brylantami i pewien kościelny ze Słowaczyny chciał ten obraz okraść. Człowiek to był bardzo pobożny. Przyjechał więc i pomyślał, że może mu się uda lepiej, gdy się naprzód oczyści ze wszystkich starych grzechów, a przy spowiedzi napomknął także o tym, że zamierza okraść Przenajświętszą Panią. Oczywiście, że nawet nie pozostawili tyle czasu, ile potrzebował do odmówienia trzechset pacierzy pokutnych, bo zanim byłby zdołał wymówić „mama“, już go śludzy kościoła prowadzili ze świątyni prosto na posterunek żandarmski.

Kucharz-okultysta zaczął się sprzeczać z telegrafistą Chodounskim, czy zachodzi tu straszliwy wypadek zdrady tajemnicy spowiedziowej, czy też w ogóle rzecz niewarta gada-

nia, skoro brylanty były fałszywe. Wreszcie wszakże kucharz przekonał Chodounskiego, że to była karma, a więc los predestynowany z dalekiej nieznannej przeszłości, kiedy ten kościelny ze Słowaczyny był jeszcze głowonogiem na jakiejś nieznannej planecie. Tak samo przypieczętowany był los spowiednika. Temu paterowi z Kłokot było pisane, że zdradzi tajemnicę spowiedzi, kiedy był jeszcze, dajmy na to, gryzoniem z gatunku torbaczy, dzisiaj już zaginionych. Aczkolwiek ze stanowiska prawnego podług ustaw kanonicznych udziela się rozgrzeszenia nawet wtedy, gdy chodzi o kradzież mienia klasztornego.

Do tych wywodów dodał Szwejk uwagę bardzo prostą:

— Tak to tak, żaden z nas nie wie, co będzie wyrabiał za parę milionów lat, i dlatego niczego nie powinniśmy się wyrzekać. Oberlejtant Kwaniczka za czasów, kiedy jeszcze służył w *Ergänzungs-kommando* w Karlinie, mawiał do nas podczas swoich wykładów szkolnych: Nie myślcie sobie, wy gówniarze, wy gnuśne krowy oraz wieprze, że służba wojskowa skończy się dla was już na tym świecie. My się jeszcze po śmierci spotkamy z sobą, a ja wam spreparuję taki czyściec, że zbaraniejecie na czysto, wy bando świńska!

Tymczasem Baloun, który w beznadziejnej swojej rozpacz był przekonany, że mówią tylko o nim i że każde słowo dotyczy jego osoby, spowiadał się dalej ze swojej biedy:

— Nawet Kłokoty nic mi na mój wieczny głód nie pomogły. Żona z dziećmi wraca z pielgrzymki i zaraz zaczyna liczyć kury. Nie doliczyła się jednej czy dwóch. Ale cóż ja na to mogłem poradzić? Wiedziałem przecież, że kury są potrzebne do znoszenia jaj, ale wychodzę na podwórze, popatrzę na kury i nagle czuję w żołądku otchłań, ale po godzinie już lepiej, bo kura zjedzona. Pewnego razu, gdy żona z dziećmi znowuż była w Kłokotach i wszyscy modlili się, żeby tatuś tymczasem nic nie zezał i nie narobił nowej szkody, chodzę sobie po podwórzu i nagle przypatoczył mi się pod nogi indyk. Wtedy omal że nie przypląciłem tego życiem. W gardle utkwiała mi

kość z uda tego indyka i gdyby nie mój mały młynarczyk, chłopczyzna żwawy i roztropny, który mi ten gnacik z gardła wyjął, to już bym dzisiaj nie siedział tu z wami i nie byłbym się tej światowej wojny doczekał... Tak, tak, ten mój młynarczyk, to był chłopczyk bardzo roztropny. Malutki był szelma, ruchliwy, tłuściutki, okrągłutki...

Szwejk podszedł do Balouna i rzekł:

— Wysuń język.

Baloun wywalił na Szwejka język, a Szwejk obejrzawszy go, zwrócił się do wszystkich obecnych w wagonie i mówił:

— Zaraz wiedziałem, że zeżarł i tego młynarczyka. Przyznaj się, kiedyś go zeżarł! Pewno znowuż wtedy, gdy żona z dziećmi odprawiała pielgrzymkę do Klokot.

Baloun zrozpaczony składał ręce i błagał:

— Dajcie mi spokój, koledzy! Jeszcze takie drwiny ze strony kolegów...

— My was z tego powodu nie potępiamy — rzekł jednoroczny ochotnik. — Przeciwnie, bo widać, że będzie z was dobry żołnierz. Gdy Francuzi w czasach wojen napoleońskich oblegali Madryt to hiszpański dowódca twierdzy madryckiej przed poddaniem fortecy zjadł swego adiutanta bez soli.

— No to już wielkie poświęcenie, ponieważ adiutant nasolony byłby stanowczo strawniejszy. Jak też ma na imię, panie rechnungsfeldfebel, ten nasz adiutant batalionowy? Ziegler? Chuderlawa bestia. Z niego nie dałoby się zrobić porcyj nawet na jedną kompanię.

— Patrzcie, państwo, Baloun ma w ręku różaniec — rzekł Waniek, wachmistrz rachuby.

Rzeczywiście, Baloun u szczytu swej rozpacz szukał rątku w drobnych kulkach kłokocinowych, z fabryki Moryc Löwenstein w Wiedniu.

— Ten różaniec też z Klokot — rzekł smutny Baloun. — Wtedy, gdy mi go przynieśli, zeżarłem dwie gąski, ale to nie żadne mięso, to galareta.

Po chwili w całym pociągu powtarzano rozkaz, że za kwadrans się jedzie. Ponieważ nikt w to nie wierzył, więc pomimo całej ostrożności zdarzyło się, iż ten i ów się gdzieś zabił. Gdy pociąg ruszył, brakowało osiemnastu szeregowców. Brakło też feldfebla Nasakło z dwunastej kompanii, bo kiedy pociąg już dawno znikł za Isatarczą, pan feldfelbel w małym gajku za stacją jeszcze ciągle targował się z jakąś uczynną panią, która gwałtem domagała się od niego pięciu koron, podczas gdy on proponował jej za wyświadczoną mu grzeczność koronę albo parę razy w pysk. Ostatecznie doszło do tego drugiego wyrównania i to z takim rozmachem, że na ryk panią zaczęli się zbiegać ludzie ze wszystkich stron.

III

Z Hatvanu na granice Galicji.

Przez cały czas podróży kolejowej batalionu, który miał zbierać sławę wojenną dopiero po przemaszerowaniu przestrzeni od Laborczy do Galicji wschodniej, w wagonie, w którym znajdował się jednoroczny ochotnik i Szwejk, bezustannie prowadzono rozmowy mniej lub więcej takie, jakie przy odrobinie dobrej woli można zawsze zakwalifikować jako zdradę stanu. W mniejszych nieco rozmiarach takie same rozmowy prowadzono we wszystkich innych wagonach, a nawet w wagonie sztabowym, gdzie panowało duże niezadowolenie, ponieważ we Füzes Abony przyszedł z pułku rozkaz, dotyczący zresztą całej armii i obniżający oficerom porcję wina o ósemkę litra. Rzecz prosta, że przy takiej sposobności nie zapomniano i o szeregowcach, którym porcję sago pomniejszono o jeden dekagram na szeregowca, co było tym bardziej zagadkowe, że nikt nigdy sago w wojsku nie widział.

Tym niemniej trzeba było powiadomić o tym sierżanta rachuby, Bautanzla, który takim rozkazem czuł się żywo dotknięty i jakby osobiście okradziony. Wyraził się też, że sago jest dzisiaj rzeczą rzadką i że za kilogram można by dostać przynajmniej osiem koron.

We Füzes Abony zauważono także i to, że jedna z kom-

panij zgubiła kuchnię polową, a zauważono to dlatego, że na tej stacji miano wreszcie gotować gulasz z kartoflami, na który taki nacisk kładł „Latrinengeneral“. Dochodzenie ustaliło, że nieszczęsnej polowej kuchni w ogóle w Brucku nie zabrano i że niezawodnie dotychczas stoi ona gdzieś za barakiem nr 186, opuszczona i zimna.

Kucharski personel tej kuchni został mianowicie na dzień przed wyjazdem aresztowany i osadzony na odwachu za awantury na mieście, a umiał się tak sprytnie urządzać, że siedział jeszcze ciągle, gdy jego marszkompania już dawno przejeżdżała przez Węgry.

Kompania bez kuchni została więc przydzielona do drugiej kuchni polowej, co oczywiście musiało doprowadzić do zatargów. Między szeregowcami, jakich z obu kompanij wyznaczono do skrobania kartofli, doszło do ostrej kontrowersji. ponieważ jedni i drudzy twierdzili, że nie myślą być takimi osłami, żeby harować na innych. Ale w końcu pokazało się, że ten gulasz z kartoflami to tylko manewr, żeby żołnierzy zawczasu przyzwyczaić do tego, co się podczas wojny często zdarza, a mianowicie, że gdy się gulasz przyrządza, raptem przychodzi rozkaz „alles zurück!“ — gulasz się z kotłów wylewa i wszyscy muszą obyć się smakiem.

Było to więc coś w rodzaju ćwiczenia, nie takiego znowuż tragicznego, ale w każdym razie pouczającego. Kiedy miano gulasz rozdawać, przyszedł rozkaz wsiadania do wagonów i po chwili pociąg pędził do Miskowca. Nawet tam gulaszu nie rozdano, bo na torze stały rosyjskie wagony i szeregowcom nie pozwolono wysiadać. Żywa wyobraźnia żołnierzy ustaliła natychmiast, że gulasz będzie rozdawany dopiero w Galicji, po opuszczeniu pociągu, gdy się okaże, że jest zepsuty i gdy trzeba będzie wylać go jako do użytku niezdatny.

Następnie wieźli gulasz na Tisza-Lac, Sambor, a gdy już nikt nie przypuszczał, że gulasz będzie rozdawany, pociąg zatrzymał się w Nowym Mieście pod Siatorontem, gdzie znowu

rozpalono ogień pod kotłami, gulasz ogrzano i rozdano go w końcu.

Stacja była przepelniona, naprzód miały być wyprawione dwa pociągi z amunicją, po nich dwa eszelony artylerii i pociąg z oddziałem pontonierów. W ogóle na stacji tej zgromadziły się pociągi z wojskami różnych gatunków broni.

Za stacją huzarzy-honwedzi mieli w obrotach dwóch polskich Żydków, którym odebrali sporo wódki, a teraz w dobrych humorach bili ich po twarzy, na co prawdopodobnie mieli zezwolenie, ponieważ w pobliżu stał rotmistrz i z miłym uśmiechem przyglądał się całej tej scenie. Jednocześnie zaś za magazynem kilku innych huzarów zabawiało czarnookie córeczki bitych Żydów, sięgając im pod sukienki.

Był tu także pociąg z oddziałem lotniczym. Na dalszych torach stały na wagonach takie same rzeczy, tylko zniszczone, a mianowicie zestrzelone aeroplany, porozrywane lufy armat. Podczas gdy nowy sprzęt wojenny kierowany był na plac boju, te oto szczątki siły i chwały powracały do kraju dla naprawy i rekonstrukcji.

Porucznik Dub, oczywiście, tłumaczył żołnierzom, którzy znajdowali się w pobliżu, że te szczątki, to zdobycz wojenna; zauważył też, że w pobliżu stoi Szwejk i mówi o czymś z wielkim ożywieniem. Podeszedł tedy ku niemu i słyszał stateczne wywody Szwejka:

— Czy tak, bratku, czy owak, a zawsze to zdobycz wojenna. Szpetna to wprawdzie i niemila sprawa, że tu i ówdzie czytasz na lawecie K. u. K. Artillerie-Division, ale to niezawodnie jest tak, że taka armata wpadła kiedyś w ręce Moskali, a my odebraliśmy ją sobie. Taka zdobycz wojenna jest daleko cenniejsza, ponieważ...

— Ponieważ — rzekł uroczyście, zauważwszy porucznika Duba — nieprzyjacielowi nie należy pozostawiać w rękę nic a nic. Rzecz jest taka sama, jak z Przemyślem albo jak z tym żołnierzem, któremu nieprzyjaciel w bitwie wyrwał z rąk feld-

flaszkę. Było to jeszcze za czasów wojen napoleońskich, a ten żołnierz udał się w nocy do obozu nieprzyjacielskiego po swoją flaszkę i jeszcze na czysto zarobił, ponieważ nieprzyjaciel fasował na noc wódkę.

— Mój Szwejku, wynoście mi się stąd i starajcie się, żebym was tu więcej razy nie spotkał — rzekł porucznik Dub.

— Rozkaz, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk i poszedł ku drugiej grupie wagonów. Gdyby porucznik Dub był słyszał, co Szwejk jeszcze dodał, to byłby niezawodnie wyskoczył z uniformu, aczkolwiek Szwejk zacytował słowo niewinne: — Maluczko, a nie ujrzycie mnie, i znowuż maluczko, a ujrzycie mnie.

Porucznik Dub pomimo wszystko był jeszcze taki głupi, że zwracał uwagę żołnierzy na pewien aeroplan jako na zdobywcę wojenną, chociaż na kadłubie tego aeroplanu widać było wyraźny napis: *W i e n e r N e u s t a d t*.

— Ten aeroplan zestrzeliliśmy Rosjanom pod Lwowem — rzekł porucznik Dub.

Słowa te zasłyszał nadporucznik Lukasz, przechodzący tamtędy, i dodał głośno:

— Przy czym obaj rosyjscy lotnicy spadli prosto na główkę.

I szybko szedł dalej, myśląc w duchu, że porucznik Dub, to porządne bydlę.

Za innymi wagonami spotkał się nadporucznik ze Szwejkiem; próbował go ominąć, bo na twarzy Szwejka widać było wyraźnie, że człowiek ten dużo ma na sercu różnych spraw, którymi chciał się z nim podzielić. Ale Szwejk ruszył prosto ku niemu.

— *I c h m e l d e g e h o r s a m, K o m p a n i e o r d o n a n z.* Szwejk prosi o dalsze rozkazy. Posłusznie melduję, że już pana szukałem w wagonie sztabowym.

— Słuchajcie, Szwejku — rzekł nadporucznik Lukasz tonem zdecydowanie wrogim i odpychającym. — Wiecie, kim jesteście i jak was nazwałem?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że o takiej rzeczy nie zapomniałem, bo nie jestem znowuż taki, jak niejaki jednoroczny ochotnik Żelazny. Było to jeszcze na długo przed tą wojną i staliśmy w koszarach Karlińskich, a tam był pułkownikiem niejaki Flieder von Bumerang, czy tak jakoś.

Nadporucznik Lukasz mimo woli uśmiechnął się, słysząc oryginalne nazwisko, a Szwejk szybko opowiadał dalej:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że ten nasz pułkownik był dużo niższy od pana, nosił brodę à la księżę Lobkowitz, tak że bardzo był podobny do małpy, a gdy się rozłościł, to skakał dwa razy wyżej, niż wynosił jego wzrost, więc wszyscy nazywaliśmy go kauczukowym dziadygą. Był wtedy jakiś pierwszy maj, a my mieliśmy pogotowie, zaś ten pułkownik w wigilię tego dnia wygłosił do nas wielką mowę, że niby dla tego mamy jutro siedzieć wszyscy w koszarach i nie wychodzić na miasto, żebyśmy w razie potrzeby na najwyższy rozkaz całą tę socjalistyczną bandę mogli powyszczać. Tak samo więc, jeśli który żołnierz ma dzisiaj wychodne, a nie wróci na czas i zasiedzi się na mieście aż do dnia następnego, to taki jest zdrajcą ojczyzny, bo jak się porządnie upije, to nie trafi w żadnego socjalistę i przy salwach będzie strzelał w powietrze. Więc ten jednoroczniak Żelazny wrócił do izby i powiada, że kauczukowy dziadyga zrobił jednak dobrze, iż zwrócił uwagę na dzień jutrzejszy. Nikogo, powiada, do koszar i tak nie wpuszczą, więc najlepiej nie wracać. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że jak powiedział, tak też zrobił. Ale ten oberst Flieder, to był znowuż drań nie byle jaki, Panie świeć nad jego duszą, więc nazajutrz łąził po Pradze i rozglądał się, czy nie zobaczy kogo z naszego pułku, kto się odważył przekroczyć jego nakaz. Koło bramy Prochowej spotkał naszego jednoroczniaka i zaraz na niego z wielkim krzykiem: — Ja ci dam, ja cię nauczę, popamiętasz! — Nagadał mu w tym guście jeszcze więcej, zabrał go z sobą i wlecze go do koszar, a po drodze urągał mu brzydtko i ciągle

go się pytał o nazwisko. Sielesny, Sielesny, ja ciebie nauczyć, ja kontent, że złapać ciebie, ja tobie pokazać den ersten Mai! Sielesny, Sielesny, ty już mój, ja cię wsadzić do aresztu, tsimać w areszt! — Żelzemu już było wszystko jedno. Więc gdy szli przez Porzeczce koło Rozwarzylów, Żelzny skoczył w bramę, znikł jak kamfora i popsuł dziadydze uciechę osadzenia go w areszcie. Pana obersta tak to rozsierdziło, iż mu ten delikwent zwiął, że ze złości zapomniał na dobre jego nazwisko. Pomieszało się mu w głowie i gdy przybył do koszar, to zaczął skakać aż pod sufit i wrzeszczał, zaś oficer dyżurny nie wiedział, dlaczego to kauczukowy dziadyga zaczął raptem mówić łamaną czeszczyną: — Miedziany aresztować, nie Miedziany, Ołowiany aresztować, Cynowy! — I tak się pan oberst męczył dzień w dzień i ciągle pytał, czy już aresztowali Miedzianego, Ołowianego, Cynowego. Kazał nawet wyrukować całemu pułkowi, ale ponieważ było wiadomo, o co chodzi, więc Żelznego umieścili w szpitalu, jako że był technikiem dentystycznym. Aż oto stała się rzecz taka: jednemu z naszego pułku udało się przebić jakiegoś dragona w gospodzie u Bucków, który to dragon chodził tam do dziewczyny. Cały pułk musiał wyrukować, nawet chorzy z lazaretu, kto był słaby, tego dwaj koledzy podtrzymywali. Musiał więc chcąc niechcąc wyrukować także Żelzny. I wtedy na dziedzińcu czytali nam rozkaz do pułku, mniej więcej w ten sens, że dragoni, to także żołnierze i że nie należy przebijać ich bagnetem, dlatego że są to nasi K r i e g s k a m e r a d e n. Jeden z ochotników tłumaczył ten rozkaz, a nasz oberst rozglądał się dokoła jak tygrys. Najprzód chodził przed frontem, potem poszedł za szeregi i nagle odkrył Żelznego, chłopca jak góra. Bardzo to, panie oberlejtnant, było komiczne, gdy go wciągnął do środka czworoboku. Tamten jednoroczny ochotnik przestał tłumaczyć rozkaz do pułku, a nasz pułkownik zaczął skakać przed Żelznym jak nie przymierzając pies, gdy szczeka na kobyłę, i ryczał: — Ty mi nie ucieknąć, ty

się nie schować! Ty Siesesny, Siesesny, a ja furt mówić Miedziany, Olowiany, Cynowy. A on jest Siesesny, ten lobuz jest Siesesny, ja ci nauczyć Olowiany! Cynowy! Miedziany! Du Mistvieh! Du Schwein! Du Siesesny! — Potem wlepił mu za to miesiąc, ale po jakich dwóch tygodniach zaczęły go boleć zęby, a on przypomniał sobie, że Żelazny jest dentystą, więc z aresztu kazał go przeprowadzić do lazaretu, żeby mu wyrwał ząb. Żelazny rwał mu ten ząb z pół godziny, tak że dziadygę musieli coś ze trzy razy obmywać. Jakos go to ułagodziło, tak że darował Żelaznemu dwa tygodnie aresztu. Tak to bywa, panie oberlejtant, gdy przełożony zapomni nazwiska swego podwładnego. Ale podwładny nigdy nie powinien zapomnieć nazwiska swego przełożonego, jak nas napominał nasz pan oberst. I rzeczywiście, jeszcze po wielu latach pamiętamy dobrze, że mieliśmy obersta Fliedera. — Może ta opowieść była przydługa, panie oberlejtant

— Wiecie Szwejku — odpowiedział nadporucznik Lukasz — że im dłużej słucham waszych opowiadań, tym głębiej jestem przekonany, że nie macie szacunku dla swoich przełożonych. Żołnierz nawet po wielu latach powinien o przełożonych swoich mówić z szacunkiem i tylko dobrze.

Nadporucznik Lukasz zaczynał odzyskiwać humor.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — przerwał mu Szwejk i zaczął się tłumaczyć — przecież pan oberst Flieder już dawno nie żyje, ale jeśli pan oberlejtant sobie życzy, to mogę opowiedzieć o nim wiele dobrego. Bo on, panie oberlejtant, był dla żołnierzy jak ten anioł. On był taki poczciwy jak święty Marcin, który rozdawał biednym i głodnym ludziom świętomarcińskie gęsi. Z pierwszym napotkanym żołnierzem dzielił się swoim oficerskim obiadem, a gdy przejażdżyli się nam zrazy, to kazał nam piec schab z kapustą. Podczas manewrów był uosobieniem dobroci dla nas wszystkich. Gdyśmy przybyli do Królewic Dolnych, to wydał rozkaz, abyśmy wypili cały browar tameczny na jego koszt, a na

swoje imieniny albo urodziny kazał napiec zająca w śmietanie dla całego pułku i do tego knedle z bułką. To był taki zacny człowiek, że razu pewnego panie oberlejtant...

Nadporucznik Lukasz po przyjacielsku trzepnął Szwejka przez ucho i rzekł:

— No idź już, stary łobuzie, i przestań gadać.

— Zum Befehl, Herr Oberleutnant!

Szwejk oddalał się w kierunku swego wagonu, a tymczasem przed eszelonem batalionu, tam gdzie w wagonie znajdowały się przyrządy telefoniczne i druty, odgrywała się scena następująca. Przed wagonem stał posterunek, ponieważ z rozporządzenia kapitana Sagnera wszystko musiało być feldmässig. Wartowników rozstawiono więc po obu stronach, wagonów, a każdemu z nich wydawano „Feldruf“ i „Losung“.

Tego dnia Feldruf był „Kappe“, a Losung „Hatvan“. Przy wagonie telefonicznym, wartownikiem, który miał sobie zapamiętać oba te słowa, był Polak z Kołomyi; do 91 pułku dostał się jakimś dziwnym wypadkiem.

Oczywiście, że nie miał pojęcia co to jest „Kappe“, ale ponieważ miał w głowie jakąś zaródź mnemotechniki, więc zapamiętał sobie tyle przynajmniej, iż słowo zaczyna się na „k“ i brzmi jak: kawa. Gdy więc porucznik Dub podszedł do niego i zapytał o Feldruf, wartownik z wielką dumą odpowiedział „Kafe“. Było to rzeczą całkiem naturalną, bo Polak z Kołomyi słysząc to słowo, przypomniał sobie kawę, otrzymywaną w obozie w Brucku na śniadanie i na kolację.

Więc gdy jeszcze raz wrzasnął: Kafe, a porucznik Dub niezadowolony z odpowiedzi, zbliżał się do niego coraz bardziej, wówczas wartownik, pamiętny przysięgi i obowiązku strażującego żołnierza, krzyknął groźnie: — Halt! — a gdy porucznik zrobił jeszcze dwa kroki, ciągle domagając się Feldrufu, żołnierz wymierzył przeciw niemu karabin, wołając:

— Halt, bo strzelam! Halt!

Porucznik Dub zrozumiał, że się nie dogada, i zaczął się cofać.

— Wachkommandant! Wachkommandant! — krzyczał głośno.

Przybiegł plutonowy Jelinek, który warty rozstawiał i sam zapytał o Feldruf, a za nim znowu powtórzył pytanie porucznik Dub. W odpowiedzi brzmiało po całej stacji wciąż to samo słowo: Kafe! Kafe!

Z wagonów zaczęli wyskakiwać żołnierze z menażkami w przekonaniu, że będzie wydawana kawa, i skończyło się na popłochu i zamieszaniu. Wartownika trzeba było zmienić.

Ale porucznik Dub miał w podejrzeniu Szwejka, że to on wywołał całe zamieszanie, bo jego pierwszego widział wychodzącego z wagonu z menażką i słyszał jego głos:

— Z menażkami po kawę! Z menażkami po kawę!

Po północy pociąg ruszył na Ładowce i Trzebiszów, gdzie z rana przywitało go stowarzyszenie weteranów, które pomieszało sobie ten marszbatalion z 14 marszbatalionem węgierskiego pułku honwedów. Honwedzi przejechali przez stację jeszcze w nocy. Weterani podpili sobie z samego rana i swoim wrzaskiem „Isten almég a király“ — zbudzili ze snu cały batalion. Kilku bardziej uświadomionych żołnierzy wychyliło się z wagonu ze słowem przywitania:

— Całujcie psa w nos! Eljen!

Na co znowu weterani odpowiedzieli wrzaskiem, aż okna w wagonach brzęczały:

— Eljen! Eljen a tizennegyedik regimente! (Czternasty pułk).

Po pięciu minutach pociąg jechał dalej na Humienne. Tu już jasno i wyraźnie widać było ślady walk z czasów, gdy Rosjanie ciągnęli ku dolinie Cisy. Na zboczach były proste rowy strzeleckie, a tu i ówdzie sterczały zgliszcza siedzib i budynki przy nich, świadczące, że właściciele już wrócili.

Gdy pociąg przybył na stację, i na niej widać było ślady walk. Poczyniono szybko przygotowania do obiadu, a żołnierze mieli tymczasem sposobność przekonać się, jak władze austriackie postępują z mieszkańcami po ustąpieniu Rosjan spokrewnionych z tymi mieszkańcami religią.

Na peronie w otoczeniu węgierskich żandarmów stała gromadka zaaresztowanych Rusinów węgierskich. Śród nich było kilku popów, nauczycieli i rolników z całej okolicy. Wszyscy mieli ręce powiązane z tyłu i spętani byli parami. Ludzie ci mieli przeważnie posiniaczone nosy i poranione głowy, bo zaraz po aresztowaniu zostali doraźnie obici przez żandarmów.

O kawałek dalej jeden z żandarmów węgierskich bawił się aresztowanym popem. Uwiązał go na postronku za lewą nogę, postronek trzymał w rękę i kolbą pobudzał popa, aby tańczył czardasza. Żandarm szarpał postronkiem, pop padał na nos, a ponieważ ręce miał związane w tyle, więc nie mógł wstać, robił rozpaczliwe wysiłki, aby się przewrócić na plecy i wstać z ziemi. Żandarma tak serdecznie bawił ten widok, iż zaśmiewał się do łez, a gdy pop już się podnosił, znowu szarpał postronkiem i pop znowu padał na nos.

Uczył koniec tej scenie oficer żandarmski, który rozkazał żandarmom, aby zanim nadejdzie pociąg, zaprowadzili aresztantów do pobliskiej szopy, gdzie mogą ich bić do woli, a nikt tego widzieć nie będzie.

O tym epizodzie zawiązała się rozmowa w wagonie sztabowym i rzec można, że na ogół większość była przeciwko takiemu znęcaniu się nad ludźmi.

Chorąży Kraus był zdania, że skoro już ci aresztowani są zdrajcami stanu, to trzeba wieszać ich na miejscu bez znęcania się nad nimi, natomiast porucznik Dub nie miał nic przeciwko widzianej scenie i tłumaczył ją tak, że żandarmi mszczą się właśnie za zamach sarajewski, którego ofiarą padł arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego małżonka. Dla dodania powagi swoim słowom, powiedział, że prenumerował pewne

pismo, a w tym piśmie jeszcze przed wybuchem wojny był artykuł o tym, iż bezprzykładna zbrodnia sarajewska pozostawia w sercach ludzkich niezagojoną ranę, tym boleśniejszą, że zbrodnia ta zniszczyła życie nie tylko przedstawiciela władzy wykonawczej państwa, lecz także pozbawiła życia jego wierną i ukochaną towarzyszkę życia. Zbrodnia ta zniszczyła szczęśliwe, przykładne życie rodzinne i osierociła dzieci przez wszystkich ukochane.

Nadporucznik Lukasz mruknął pod nosem, że widać i tutaj ci żandarmi prenumerowali to samo pismo i czytawali ów wzruszający artykuł. W ogóle wszystko zaczynało budzić w nim głębokie uczucie wstrętu. Postanowił upić się, żeby uciec od welt schmerzu. Wyszedł z wagonu i szukał Szwejka.

— Słuchajcie, Szwejku — rzekł do niego — nie wiecie, gdzie można by tu dostać butelkę koniaku? Czuję się jakoś niedobrze.

— To, wszystko, posłusznie melduję, panie oberlejtnant, z powodu zmiany pogody. Może się zdarzyć, że gdy przybędziemy na front, to pan się będzie czuł jeszcze gorzej. Im bardziej oddala się człowiek od swojej pierwotnej bazy wojennej, tym mu słabiej na wewnątrz. Pewien ogrodnik ze Strasznic, Józef Kalenda, też się kiedyś oddalił od domu, poszedł ze Strasznic na Winohrady, zatrzymał się w gospodzie „Na przystanku“ i czuł się jeszcze jako tako, ale gdy się znalazł na ulicy Koronnej, to od samego wodociągu nie opuszczał ani jednej gospody aż poza kościół świętej Ludmiły i słabł coraz bardziej. Ale się tym nie zrażał, bo w wigilię tego dnia założył się w jednej knajpie w Strasznicach z tramwajarzem, że obejdzie świat dokoła w ciągu trzech tygodni. Oddalał się więc coraz bardziej od swego domu, aż dotarł do „Czarnego browaru“ na placu Karola, a stamtąd poszedł na Małą Stronę do Św. Tomasza do piwiarni, następnie do restauracji „U Montagów“, do „Króla Brabanckiego“, a w końcu do bro-

waru klasztoru Strahowskiego. Ale w tych okolicach zmiana klimatu już mu się dawała we znaki. Dotarł aż do placu Loretańskiego, a tam ogarnęła go nagle taka tęsknota za stronami rodzinnymi, że rzucił się na ziemię, tarzał się na chodniku i wrzeszczał: — Ludzie kochane, ja już dalej nie pójdę, ja, powiada, przepraszam pana oberlejtanta, na całą podróż dokoła świata gwizdzę. — Ale jeśli pan sobie życzy, panie oberlejtant, to za koniakiem rozejrzeć się mogę. Tylko żeby mi tymczasem pociąg nie uciekł.

Nadporucznik Lukasz zapewnił go, że pociąg ruszy dopiero za dwie godziny, i powiedział mu, że koniak sprzedają na butelki tuż za stacją, że kapitan Sagner posyłał tam już Matuszica, który za 15 koron przyniósł butelkę przyzwoitego trunku. Więc daje mu oto 15 koron, ale w razie czego niech nie mówi, że to dla nadporucznika Lukasz, bo właściwie jest to rzecz zakazana.

— Niech pan będzie spokojny, panie oberlejtant — rzekł Szwejk — wszystko zrobię jak się patrzy, ponieważ ja bardzo lubię rzeczy zakazane. Tak mi się zawsze zdarzało, iż sam nie wiem jak, a znalazłem się raptem w czymś zakazanym. Pewnego razu w koszarach Karlińskich nakazali nam...

— *K e h r t e u c h - m a r s c h i e r e n - m a r s c h !* — Przerwał mu nadporucznik Lukasz.

Szwejk ruszył tedy poza dworzec, powtarzając sobie szczegóły swej wyprawy, a mianowicie, że koniak ma być dobry, więc naprzód trzeba go skosztować, że ta rzecz jest właściwie zakazana, więc trzeba być ostrożnym.

Gdy właśnie skręcał za peron, zetknął się znowu z porucznikiem Dubem.

— Po co się tu szwendasz? Znasz mnie? — zapytał Szwejka.

— Posłusznie melduję — odpowiedział Szwejk salutując — że nie życzę sobie poznać pana ze strony zlej.

Porucznik Dub zdrętwiał ze zgrozy, ale Szwejk stał spokojnie z ręką przy daszku czapki i mówił dalej:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że pragnę poznać pana tylko z pańskiej dobrej strony, żeby mnie pan nie zmusił do płaczu, jak mi to pan obiecywał.

Od takiego zuchwalstwa porucznikowi Dubowi aż się w głowie zakręciło, ale zdobył się tylko na słowo pogróżki:

— Idź na zbity łeb, gałganie! Jeszcze z sobą pogadamy!

Szwejk poszedł za stację, a porucznik Dub ochłonawszy nieco, poszedł za nim. Za stacją, tuż przy szosie, stał szereg kramików w postaci głębokich cebrów ustawionych dnem do góry, na tych dnach leżały koszałki, w koszałkach były różne niewinne przysmaki, jakie zazwyczaj kupują dzieci szkolne. Były tam karmelki i cukierki różnych kształtów i rozmiarów, a także kawałki ciemnego chleba z plasterkami salami, najniewątpliwiej końskiego pochodzenia. Ale pod cebrami stały butelki z różnymi napojami alkoholowymi: z koniakiem, arakiem, jarzębinówką i z innymi likierami i wódkami.

Tuż za rowem przydrożnym znajdowała się buda i właśnie w tej budzie załatwiano wszystkie niedozwolone transakcje alkoholowe.

Żołnierze umawiali się o wszystko przy kramikach, po czym Żyd wyjmował spod niewinnego cebra butelkę z wódką i pod kapotą przenosił ją do owej budy, gdzie znowu żołnierz chował ją w kieszeń u spodni lub pod bluzę.

Do jednego z tych kramików poszedł także Szwejk, nie wiedząc, że jest śledzony przez detektywa tak utalentowanego, jak porucznik Dub.

Transakcję załatwił Szwejk natychmiast przy pierwszym kramiku. Kupił sobie naprzód cukierków, zapłacił je i schował do kieszeni, przy czym słyszał oczywiście, co mu mówił Żydek:

— Schnaps hab ich auch, gnädiger Herr Soldat.

Targ był krótki. Szwejk wszedł do budy, ale nie śpieszył się z płaceniem, dopóki Żyd butelki nie otworzył i nie dał

mu skosztować. Był wszakże z koniaku zadowolony, zapłacił i schowawszy butelkę pod bluzą, wracał na stację.

— Gdzieś ty się włóczył, łobuzie? — zapytał porucznik Dub, zastępując mu drogę.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że kupiłem sobie cukierków. — Szwejk sięgnął do kieszeni i wyjął garść zakurzonych cukierków. — Gdyby się pan lejtnant nie brzydził... Ja już próbowałem, są nienajgorsze. Mają taki przyjemny, osobliwy smak, jakby były nadziewane powidłami, panie lejtnant.

Pod bluzą widać było obłe kształty butelki. Porucznik Dub poklepał Szwejka po bluzie:

— Co ty tu niesiesz, łobuzie jeden? Pokaż no!

Szwejk wyjął spod bluzy butelkę z złocistym płynem i z niedwuznaczną etykietą: „Cognac“.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk nie tracąc równowagi — że do tej butelki od koniaku nabrałem trochę wody do picia. Po tym gulaszu, cośmy go wczoraj jedli, mam jeszcze ciągle straszliwe pragnienie. Tylko że woda w tamtej pompie, jest, jak pan widzi, taka żółtawa, widać żelazista. Takie żelaziste wody są bardzo zdrowe i pożyteczne.

— Jeśli masz takie pragnienie, Szwejku — rzekł porucznik Dub, uśmiechając się szatańsko i przedłużając scenę, którą zdaniem jego Szwejk przegrać musiał — to się napij, ale porządnie. Wypij wszystko od razu!

Porucznik Dub był przekonany, że po paru łykach Szwejk nie będzie mógł pić dalej, a wówczas on, porucznik, zatriumfuje nad nim i powie:

— Podaj i mnie butelkę, abym się napił, bo i ja mam pragnienie.

Co za minę zrobi w takiej chwili ten gałgan i jak się będzie kręcił, gdy zostanie na niego złożony raport!

Szwejk odkorkował butelkę, przyłożył ją do ust, i opróżniał butelkę łyk za łykiem. Porucznik Dub zdrętwiał, bo Szwejk w jego oczach wypił całą butelkę koniaku, nie skrzywiwszy się nawet, pustą butelkę wrzucił przez szosę do stawu, splunął i rzekł, jakby wypił szklaneczkę wody mineralnej:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że ta woda ma naprawdę smak żelazisty. W Kamyku nad Wełtawą pewien szynkarz robił dla swoich gości żelazistą wodę w ten sposób, że do studni wrzucał stare podkowy.

— Ja ci dam stare podkowy! Chodź razem ze mną i pokaż zaraz mi tę studnię, z której brałeś tę wodę.

— To niedaleko stąd, panie lejtnant, zaraz za tą drewnianą budą.

— Idź naprzód, ty nicponiu, żebym widział czy idziesz prosto.

— Dziwna rzecz — pomyślał porucznik Dub. — Na tym niegodziwcu nie znać, że wypił tyle koniaku.

Szwejk szedł tedy naprzód zdany na wolę bożą, ale nie tracił nadziei, że tam gdzieś studnia będzie i rzeczywiście była. Co więcej, była tam nawet pompa, a gdy do niej przeszli i Szwejk zapompował, popłynęła z rury żółtawa woda. Szwejk odzyskał zupełną pewność siebie i wołał triumfując:

— To tu jest ta żelazista woda, panie lejtnant.

Wystraszony kupiec zbliżył się do nich, a Szwejk rzekł do niego po niemiecku, żeby przyniósł szklaneczkę, bo pan lejtnant chce się napić.

Porucznik Dub zgłupiał z tego wszystkiego, więc wypił pełną szklanekę wody, po której miał w ustach wyraźny smak końskiego moczu i gnojówki. Ale tak dalece stracił równowagę ducha, że za tę szklaneczkę wody dał Żydowi pięć koron, a zwracając się do Szwejka, fuknął na niego:

— Co się tu włóczysz? Marsz na stację!

Po pięciu minutach Szwejk ukazał się w wagonie sztabo-

wym, tajemniczymi znakami wyciągnął nadporucznika Lukasa na dwór i zameldował mu:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że za pięć, a najdalej za dziesięć minut będę kompletnie pijany i będę leżał w swoim wagonie, więc proszę pana, żeby pan mnie przynajmniej przez trzy godziny nie wołał i nie udzielał mi żadnego rozkazu, dopóki się nie wyśpię. Wszystko w porządku, ale mnie pętyłapał pan porucznik Dub, powiedziałem mu, że to woda, więc musiałem przed nim tę całą butelkę koniaku wypić, żeby go przekonać, że to woda. Wszystko jest więc w porządku, niczego nie zdradziłem, jak mi to pan oberlejtant nakazał, i byłem bardzo ostrożny, ale teraz czuję już, że mi nogi drętwieć zaczynają. Oczywiście, posłusznie melduję, że jestem do picia przyzwyczajony, bo z panem feldkuratem Katzem...

— Idź precz, bestio! — krzyknął nadporucznik Lukasz, ale bez cienia gniewu. Natomiast porucznik Dub stał mu się daleko nienawistniejszym, niż dotąd.

Szwejk wlaźł ostrożnie do swego wagonu i układając się na swoim płaszczu i tobołku, rzekł do sierżanta rachuby i do innych:

— Pewnego razu schlał się jeden człowiek i prosił, żeby go nie budzili...

Po tych słowach przewrócił się na drugi bok i zaczął chrapać.

Gazy, jakie wydzielał jego organizm, szybko napełniły cały wagon. Kucharz Jurajda pociągał nosem i delektując się zapachem, zadeklarował:

— Psiamać, tu koniak pachnie.

Przy składanym stole siedział jednoroczny ochotnik Marek, który po szeregu najróżniejszych przeżyć dochrapał się do stanowiska kronikarza batalionu.

W tej chwili opisywał na zapas bohaterskie czyny batalionu, a po jego minie było widać, iż spojrzenie w przyszłość sprawia mu przyjemność.

Sierżant rachuby Waniek z zainteresowaniem przyglądał się piszącemu Markowi, który śmiał się przy pisaniu od ucha do ucha. Wstał więc i pochylił się nad piszącym, który począł mu tłumaczyć:

— Okropny to szpas pisanie dziejów batalionu na zapas. Rzecz główna trzymać się systemu i postępować metodycznie. We wszystkim musi być ład i porządek.

— Systematyczny system — rzucił Waniek, uśmiechając się dość wzgardliwie.

— Tak jest — rzekł niedbale jednoroczny ochotnik — systematyzowany, systematyczny system potrzebny jest koniecznie przy pisaniu dziejów batalionu. Nie można od razu zaczynać wielkimi zwycięstwami. Wszystko musi iść pomalutku według określonego planu. Nasz batalion nie może przecie wygrać tak raptownie tej wojny światowej. Nihil nisi bene. Dla takiego historyka, jak ja, rzeczą główną jest zrobienie naprzód planu naszych zwycięstw. Tutaj na przykład opisuję, jak nasz batalion, dajmy na to, za dwa miesiące, o mały figiel że nie przekroczył granicy rosyjskiej, mocno strzeżonej przez pułki, przypuścmy, dońskie, podczas gdy kilka nieprzyjacielskich pułków obchodziło nasze pozycje. Zrazu zdaje się, że nasz batalion jest zgubiony, ale w tej chwili kapitan Sagner wydaje rozkaz do batalionu: — Bóg nie chce, abyśmy tutaj zginęli. Uciekajmy! — Nasz batalion bierze więc nóżki za pas, ale nieprzyjacielska dywizja, która już nas była obeszła, widząc, że właśnie pędzimy za nią, rzuca się do panicznej ucieczki i bez wystrzału wpada w ręce rezerw naszej armii. Od tego właśnie zacznie się cała historia naszego batalionu. Z wydarzeń skromnych, iż wyrażę się stylem prorockim, rozwiną się rzeczy doniosłe. Batalion nasz pójdzie od zwycięstwa do zwycięstwa. Ciekawe będzie, jak to nasz batalion zaskoczy śpiącego nieprzyjaciela. Do opisu takich wydarzeń potrzeba stylu „Ilustrowanego sprawozdawcy wojennego“, jaki wychodził podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Nasz

batalion zaskoczy więc śpiącego nieprzyjaciela. Każdy żołnierz upatrzy sobie jednego z nieprzyjaciół i z całej siły wbije mu bagnet w piersi. Bajecznie wyostrzony bagnet wjedzie w pierś jak w masło i tylko tu i ówdzie trzaśnie łamane żebro, śpiący nieprzyjaciele miotają się i wiją, wytrzeszczają zdziwione oczy, zacharczą i sztywnieją. Śpiącym nieprzyjaciółom pokazują się na ustach krwawe śliny, sprawa jest załatwiona, nasz batalion odniósł zwycięstwo. Jeszcze lepiej będzie za jakie trzy miesiące, gdy batalion nasz weźmie do niewoli rosyjskiego cara. Szczegóły tego wydarzenia opowiem wszakże nieco później, bo tymczasem muszę sobie przygotować na zapas nieco epizodów świadczących o bezprzykładnym bohaterstwie naszych żołnierzy. Będę musiał stworzyć zgoła nowe terminy wojenne. Jeden taki termin już sobie wymyśliłem. Będę pisał o ofiarnej dzielności naszych żołnierzy, naszpikowanych odłamkami granatów. Skutkiem wybuchu nieprzyjacielskiej miny jeden z naszych plutonowych, powiedzmy, dwunastej czy trzynastej kompanii straci głowę.

— Ale, a propos — rzekł jednoroczny ochotnik, uderzając się w czoło — bez mała byłbym zapomniał, panie rechnerfeldfebel, czyli po ludzku mówiąc, panie Waniek, że ma mi pan dostarczyć spisu wszystkich szarż. Proszę mi wymienić jakiego plutonowego kompanii dwunastej. — Houska? — Dobrze, niech sobie będzie Houska. To on straci głowę przy wybuchu miny. Głowa odleci na bok, ale ciało jego zrobi jeszcze parę kroków i zestrzeli nieprzyjacielski aeroplan. Rzecz prosta, że takie zwycięstwa będą obchodzone w rodzinnym kółku cesarskim w Schönbrunnie. Austria ma bardzo wiele batalionów, ale tylko jeden batalion się wyróżni, to jest nasz, i właśnie na jego cześć odbędzie się mała rodzinna uroczystość w domu cesarskim. Wyobrażam to sobie w swoich zapiskach tak, że arcyksiążęca rodzina Marii Walerii przeprowadzi się w tym celu z Wallsee do Schönbrunnu. Uroczystość ta będzie zgoła intymna i odbywać się będzie w sali

sąsiadującej z sypialnią cesarską, oświetloną białymi świecami woskowymi, albowiem, jak wiadomo, na dworze nie lubią lampek elektrycznych, obawiając się krótkiego spięcia. O godzinie szóstej zacznie się ta uroczystość ku czci i chwale naszego batalionu. W tej chwili do sali zostają wprowadzone wnuki jego cesarskiej mości, a sala ta należy właściwie do apartamentów zmarłej cesarzowej. Powstaje kwestia, kto ma być obecny prócz rodziny cesarskiej. Oczywiście, że musi być obecny i będzie obecny generał adiutant monarchy, hrabia Paar. Ponieważ podczas takich rodzinnych uroczystości robi się czasem któremu z uczestników słabo, chociaż nie chcę bynajmniej twierdzić, że hrabia Paar porzyga się koniecznie, pożądana jest obecność lekarza przybocznego, radcy dworu dra Kerzla. Dla porządku, aby na przykład lokaje dworscy nie pozwolili sobie na jakieś poufałości w stosunku do dam dworu, biorących udział w uroczystości, przybywa najwyższy ochmistrz, baron Lederer, podkomorzy hrabia Bellegarde i najwyższa dama dworu hrabina Bombelles, która wśród dam dworu odgrywa taką samą rolę, jaką w zamtuziku u Szuhów odgrywa madam. Gdy dostojne towarzystwo już się było zebrało, powiadomiono o tym cesarza, który ukazał się następnie w towarzystwie swoich wnuków, zasiadł przy stole i wznosił toast na cześć naszego marszbatalionu. Po nim zabrała głos arcyksiężna Maria Waleria, która z wielkimi pochwałami odzywa się osobliwie o panu, panie rechnungsfeldfel. Oczywiście, że według notatek moich nasz marszbatalion ponosi ciężkie i dotkliwe straty, ponieważ batalion bez zabitych, to nie żaden batalion. Trzeba będzie napisać jeszcze nowy artykuł o naszych poległych. Dzieje batalionu nie mogą się składać jedynie z suchych relacyj o zwycięstwach, których przygotowałem już przeszło czterdzieści. Pan, panie Wańku, zginiesz na przykład nad małą rzeczulką, a znowuż Baloun, który tak dziwnie wytrzeszcza na nas oczy, nie zginie ani od kuli karabinowej, ani od szrapnela, czy też granatu, lecz umrze

śmiercią zgoła osobliwą. Uduszony zostanie przez lasso zarzucone mu na szyję z aeroplanu nieprzyjacielskiego w chwili, gdy pożerać będzie obiad swego oberlejtanta Lukasz.

Baloun cofnął się, rozpaczliwie zamachał rękoma i z westchnieniem wyrzucił ze ściśniętej piersi:

— Czy ja temu winien, że mam taki charakter? Jeszcze za dawnych czasów, kiedym odslugiwał wojskowość, to nieraz po kilka razy chodziłem do kuchni po obiad, dopóki mnie nie wsadzili do paki. Pewnego razu dostałem na obiad żebro, i z powodu tego żebra siedziałem miesiąc. Niech się dzieje wola boża.

— Nie bójcie się, Balounie — pocieszał go jednoroczny ochotnik — w dziejach batalionu nie będzie mowy o tym, że zginęliście w drodze z kuchni oficerskiej do okopów. Będziecie wymieniony razem z innymi bohaterami naszego batalionu, jako jeden z tych, którzy polegli na chwałę monarchii, jak np. wachmistrz rachuby, Waniek.

— A jaką śmierć przeznacza pan mnie, panie Marek?

— Niech pan się tak bardzo nie śpieszy, bo tak szybko nie można.

Jednoroczny ochotnik zamyślił się i mówił dalej:

— Pochodzisz pan z Kralup, prawda? Więc pisz pan do domu, do Kralup, że znikniesz pan bez śladu, ale pisz pan ostrożnie. Czy może pragniesz pan otrzymać ciężką ranę i leżeć przed zasiekami z drutu kolczastego? Możesz pan sobie z przetrąconą nogą w taki sposób przeleżeć ślicznie i ładnie cały dzień. W nocy nieprzyjaciel reflektorem oświetli nasze pozycje i zauważy pana. Pomyśli, że pełni pan służbę wywiadowczą i zacznie walić w pana granatami i szrapnelami. Dokona pan dla naszego wojska niesłychanie wiele, ponieważ nieprzyjaciel zużyje na pana taką masę amunicji, jakiej potrzeba na cały batalion, a szczątki pańskie rozlatujące się w powietrzu na wszystkie strony śpiewać będą pieśń wielkiego zwycięstwa. Jednym słowem, każdy doczeka się swej kolejki

i każdy się odznaczy, tak że karty dziejów naszego batalionu jaśnieć będą zwycięstwami pełnymi chwały. Nie chciałbym gromadzić zbyt wiele materiału, ale trudna rada, wszystko musi być wykonane dokładnie, aby pozostała po nas jaka taka pamiątka, zanim, powiedzmy, w miesiącu wrześniu, nie pozostanie po nas zgoła już nic, prócz tych świetnych kart, które przemawiać będą do serc Austriaków, że wszyscy ci, którzy już nigdy nie ujrzą swoich stron rodzinnych, bili się dzielnie i mężnie. Zakończenie tego nekrologu już ułożyłem, panie Wańku. Cześć i chwała poległym! Ich miłość dla monarchii jest miłością najświętszą, albowiem nie cofnęła się przed śmiercią. Imiona ich niechaj będą wymawiane ze czcią, jak np. imię Waniek. Ci zaś, którzy w poległych stracili żywicieli, niechaj z uczuciem dumy otrą łzy, albowiem polegli należą do bohaterów naszego batalionu.

— Przybliżcie się, panowie — rzekł jednoroczny ochotnik, przerzucając kartki swoich zapisków. — Oto stronica 13: Telefonista Chodounsky poległ 3 września równocześnie z kucharzem batalionu Jurajdą. A oto dalsze moje zapiski: Bezprzykładne bohaterstwo. Chodounsky z narażeniem własnego życia uratował druty telefonu w swoim schronisku, pełniąc służbę przez trzy dni bez przerwy. Jurajda widząc niebezpieczeństwo okrążenia oddziału przez nieprzyjaciela zachodzącego od skrzydła, z kotłem gotującej się zupy rzuca się na wrogów siejąc wśród nich zgrozę i oparzelizny. Piękną śmierć ponieśli. Pierwszy został rozszarpany przy wybuchu miny, drugiego udusiły gazy trujące, które podsunęto mu pod sam nos, gdy biedak już nie miał czym się bronić — Obaj giną z okrzykiem: — *Es lebe unser Bataillonskommandant!* — Dowództwo Armii dzień w dzień wydaje rozkazy z podziękowaniem dla nas, aby i inne oddziały wojska dowiedziały się o dzielności naszego batalionu i brały nas sobie za przykład. Mogę wam przeczytać wyjątek z rozkazu do armii, który odczytywany będzie po wszystkich oddziałach

armii, a który bardzo jest podobny do owego rozkazu arcyksięcia Karola, gdy w roku 1805 stał z wojskiem pod Padwą i nazajutrz po tym rozkazie dostał porządne lanie. Słuchajcie więc, co się będzie odczytywało o naszym batalionie jako o przykładowie bohaterskim oddziale: — ...Mam nadzieję, że cała armia weźmie sobie przykład z wyżej wymienionego batalionu, osobliwie zaś, że przyswoi sobie tego ducha samodzielności i zaufania we własne siły, przewyciężające wszystkie niebezpieczeństwa, że przejmie się duchem wzorowego bohaterstwa, miłości i zaufania względem swoich przełożonych, które to cnoty, wyróżniające ów batalion, prowadzą go do czynów godnych podziwu ku szczęściu i pomyślności naszego państwa. Niech wszyscy idą za tym przykładem!

Z miejsca, na którym leżał Szwejk, ozwało się ziewnięcie i dały się słyszeć słowa mówione przez sen:

— Ma pani rację, pani Müllerowo, że ludzie są do siebie podobni. W Kralupach budował pompy niejaki pan Jarosz, a ten Jarosz podobny był do zegarmistrza Lejhanza z Pardubic, jakby był jego bratem rodzonym, a ten zegarmistrz przypominał znowu pana Piskora z Jiczyna, a wszyscy razem podobni byli do nieznanego wisielca, którego mocno już zgniłego znaleziono w stawie koło Jindrychowa Hradca, akurat koło kolei, gdzie się ten samobójca zapewne rzucił pod pociąg. — Dało się słyszeć nowe ziewnięcie i słowa dodatkowe: — Potem ich wszystkich skazali na wysoką grzywnę, a jutro niech mi pani Müllerowa ugotuje na obiad makaron.

Szwejk przewrócił się na drugi bok i chrapał dalej, podczas gdy między kucharzem-okultystą, Jurajdą, a jednorocznym ochotnikiem wywiązała się dyskusja dotycząca rzeczy przyszłych. Okultysta Jurajda był zdania, że chociaż na pierwsze spojrzenie wydaje się to być głupstwem, gdy człowiek pisze o rzeczach przyszłych, to jednak pewne jest, że i takie głupstwa zawierają fakty prorocze, gdy człowiek okiem ducha przenika tajemnicze siły, przesłaniające przyszłość. Od

tego słowa poczynając, Jurajda mówił dużo o samych zasłonach. Co zdanie, to zasłona przyszłości, aż wreszcie przeszedł do telefonu regeneracji, czyli do odnawiania ludzkiego ciała, zmieszał to ze zdolnością odnawiania ciała u wymoczków i zakończył wywodem, że każdy może urwać jaszczurce ogon, a ogon odrośnie.

Na to zauważył telefonista Chodounsky, że ludzie obrywaliby się po kawałeczku, gdyby u nich było tak samo, jak jest z ogonem jaszczurki. Byłoby dobrze. Na przykład dla administracji wojskowej byłoby to bardzo pożądane: jednemu kula urwie głowę, drugiemu inną część ciała i pełno jest inwalidów, a tak, już by żadnych inwalidów nie było. Jeden taki austriacki żołnierz, któremu stale odrastałyby ręce, nogi, głowy, byłby więcej wart niż cała brygada.

Jednoroczny ochotnik zadeklarował, że dzisiaj skutkiem udoskonalonej techniki wojennej można nieprzyjaciela rozerwać gładko i składnie na dwie, a nawet trzy części w poprzek. Śród wymoczków każda rozdwojona część zaczyna żyć całkiem samodzielnie; otrzymuje własny organizm i żyje sobie na własną rękę. Gdyby tak samo było z ludźmi, to po każdej bitwie austriackie wojsko stawałoby się dwukrotnie, trzykrotnie, a nawet dziesięciokrotnie liczniejsze, bo do każdej oderwanej nogi przyrósłby nowy szeregowiec.

— Gdyby tę rozmowę słyszał Szwejk — zauważył sierżant rachuby Waniek — to by wam przytoczył przynajmniej jeden przykład.

Szwejk zareagował na dźwięk swego imienia mruknięciem „Hier“ i chrapał dalej, uczyniwszy zadość dyscyplinie wojskowej.

W uchylonych drzwiach wagonu ukazała się głowa porucznika Duba.

— Czy jest tu Szwejk? — zapytał.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że śpi — odpowiedział jednoroczny ochotnik.

— Gdy pytam o Szwejka, panie jednoroczny ochotniku, to masz pan skoczyć i zawołać mi go.

— Tego uczynić nie mogę, panie lejtnant, bo on śpi.

— To go trzeba obudzić! Aż mi dziwno, że jednoroczny ochotnik sam na taki koncept nie wpadnie! Trzeba przecie okazywać swoim przełożonym więcej usłużności! Jeszcze wy mnie nie znacie, ale gdy mnie poznacie...!

Jednoroczny ochotnik zaczął budzić Szwejka.

— Wstawaj, Szwejku, pali się!

— Jak się onego czasu paliły młyny Odkolkowskie — mruzczał Szwejk, przewracając się na drugi bok — to strażacy przyjechali aż z Wysoczan...

— Sam pan widzi, panie poruczniku — rzekł uprzejmie jednoroczniak, zwracając się do porucznika Duba — że go budzę, ale to ciężka sprawa.

Porucznik Dub się rozzłościł.

— Jak się nazywacie, jednoroczny ochotniku? — zapytał. — Marek? Aha to ten jednoroczny ochotnik Marek, co to ciągle siedział w areszcie, prawda?

— Prawda, panie lejtnant. Odbyłem swój jednoroczny kurs, że tak powiem w kryminale, ale zostałem zredegradowany, to jest uwolniono mnie przez sąd dywizyjny, gdzie niewinność moja wyszła na jaw, zostałem mianowany batalionsgeschichtsschreiberem z pozostawieniem mnie w randze jednorocznego ochotnika.

— Zbyt długo nim nie będziecie — rzekł porucznik Dub purpurowiejąc ze złości, jakby mu twarz czerwieniała po obiciu — już ja się o to postaram.

— Proszę pana, panie lejtnant, o wezwanie mnie do raportu — rzekł z powagą jednoroczny ochotnik.

— Tylko ze mną nie igrajcie! — rzekł porucznik Dub. — Ja wam dam raport! My się z sobą jeszcze spotkamy, ale miło wam nie będzie, bo mnie wtedy poznacie, jeśli mnie jeszcze nie znacie!

Porucznik Dub oddał się rozżłoszczony, od wagonu, zapomniawszy we wzburzeniu o Szwejku, aczkolwiek miał zamiar zbudzić Szwejka, stawić go przed sobą i rzec: — Chuchnij na mnie! — aby spróbować ostatniego sposobu ustalenia jego nielegalnego alkoholizmu. Później było na to już za późno, ponieważ w pół godziny po jego oddaleniu się od wagonu rozdano szeregowcom czarną kawę z arakiem. Szwejk już nie spał i na wezwanie porucznika Duba jak jelonek wyskoczył z wagonu.

— Chuchnij na mnie! — wrzasnął na niego porucznik Dub.

Szwejk wionął na niego całym zapasem swoich płuc, jakby na pola powiał wiatr od gorzelni.

— Czym ciebie, drabie, czuć?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że mnie czuć arakiem.

— Więc widzisz, mój gagatku — zwycięsko zawołał porucznik Dub — że nareszcie cię złapałem.

— Tak jest panie lejtnant — rzekł Szwejk bez jakiegokolwiek zaniepokojenia — bo akurat fasowaliśmy arak do kawy, a ja naprzód wypilem arak. Ale jeśli wyszło jakie nowe rozporządzenie, że naprzód trzeba pić kawę, a dopiero potem arak, to przepraszam pana i na przyszłość zastosuję się do rozkazu.

— A czemuś tak chrapał, kiedym przed półgodziną był przed wagonem? Nie można było zbudzić cię.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że całą noc nie spałem, ponieważ przypominałem sobie czasy, kiedyśmy mieli manewry pod Wesprimem. Wtedy pierwszy i drugi korpus armii maszerował przez Styrię i Węgry zachodnie, a nas okrążył czwarty korpus, który obozował w Wiedniu i okolicach, gdzie mieliśmy utwierdzenia, ale oni nas okrążyli i dostali się aż do mostu zbudowanego przez pontonierów z prawego brzegu Dunaju. My mieliśmy robić ofensywę, a na pomoc miały nadejść wojska z północy, a następnie także z południa, od

Osjaku. Odczytali nam w rozkazie, że na pomoc zdąża nam trzeci korpus armii, żebyśmy nie zostali rozbici między jeziorem Błotnem a Pressburgiem, gdy wyruszymy przeciwko drugiemu korpusowi armii. Ale na nic nam się to nie zdało; właśnie wtedy, kiedyśmy już już wygrywali, trębacze zatrąbili i zwyciężyli tamci, z białymi opaskami.

Porucznik Dub nie rzekł ani słowa i oddalił się zakłopotany. Kręcił głową, ale niebawem zawrócił do wagonu sztabowego i rzekł do Szwejka:

— Zapamiętajcie sobie, że przyjdzie taki czas, iż będziecie skowyczeć przede mną!

Na nic więcej się nie zdobył i poszedł do wagonu oficerskiego, gdzie kapitan Sagner przesłuchiwał akurat jakiegoś nieszczęśnika z 12 kompanii, przyprowadzonego przez sierżanta Sternada. Ów badany nieszczęśnik zaczął się troszczyć o swoje bezpieczeństwo w okopach już obecnie i skądś ze stacji przywłókł sobie drzwiczki od świńskiego chlewu obite blachą. Stał przed kapitanem wystraszony, z wytrzeszczonymi oczami, tłumacząc się, że chciał zabrać te drzwiczki z sobą do okopów jako ochronę przeciwko szrapnelom, bo chciał się zabezpieczyć.

Sposobności tej użył porucznik Dub do ogłoszenia wielkiego kazania o tym, jak się ma zachowywać żołnierz, jakie są jego obowiązki wobec ojczyzny i monarchy, który jest najwyższym wodzem i panem armii. Skoro istnieją w batalionie takie żywioly, to trzeba je wytępić, ukarać i aresztować. Głędzenie porucznika było tak dalece wstrętne, że kapitan Sagner poklepał przestępcę po ramieniu i rzekł:

— No, zamiar był dobry, ale głupi. Na przyszłość takich głupstw nie róbcie, drzwiczki odnieście na ich miejsce i wyńście mi się do wszystkich diabłów!

Porucznik Dub zacisnął usta i postanowił czuwać, uważając, że już od niego tylko zależy zabezpieczenie rozkładającej się dyscypliny batalionu. Dlatego jeszcze raz obszedł wszyst-

kie okolice stacji i koło magazynu, na którym był napis, że nie wolno tam palić, znalazł żołnierza czytającego gazetę. Żołnierz siedział i tak był osłonięty gazetą, że nie było widać, co to za jeden. „H a b t a c h t!“ — krzyknął na niego porucznik Dub, ale nie zdało się to na nic, bo żołnierz należał do pułku węgierskiego, stojącego tam w rezerwie.

Wściekły porucznik zatrząsł żołnierzem, ten podniósł się, nie uznał za dobre nawet zasalutować, wsadził gazetę do kieszeni, powlókł się w stronę szosy. Porucznik Dub ruszył za nim, oszołomiony, ale węgierski żołnierz przyśpieszył kroku, a następnie odwróciwszy się, z drwiącym uśmiechem podniósł rękę do góry, aby porucznik ani przez chwilę nie wątpił, iż został poznany jako oficer jednego z pułków czeskich. Po chwili zwawy Madziar zniknął między bliskimi domami przy szosie.

Porucznik Dub, pragnąc widać pokazać, że z tą sceną nie ma nic wspólnego, majestatycznie wszedł do małego kramiku przy szosie, wskazał zmieszany dużą szpulkę czarnych nici, wsadził ją do kieszeni, zapłacił i powrócił do wagonu sztabowego, gdzie ordynansowi batalionu kazał, aby mu przyprowadził jego służącego Kunerta.

— O wszystkim muszę pamiętać ja sam! Z pewnością zapomniawsz o niciach — rzekł, podając służącemu szpulkę.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że mamy cały tuzin szpulek.

— Natychmiast mi je pokażcie i to na jednej nodze! Czy wy myślicie, że ja wam wierzę?

Kiedy Kunert wrócił z całym pudełkiem nici białych i czarnych, porucznik Dub rzekł do niego:

— Przyjrzyj się, drabie, dobrze tym niciom. Popatrz na szpuleczki, któreś ty kupował, i na tę dużą szpulkę, którą ja przyniosłem. Widzisz, jakie twoje niteczki są cienkie i jak łatwo je przerwać, a moje grube i mocne? W wojsku nie potrzebna tandeta, bo wszystko musi być jak się patrzy. Więc

zabierz te wszystkie nici, czekaj moich rozkazów i pamiętaj, żebyś mi na drugi raz nic nie robił na własną rękę i żebyś się o wszystko pytał, gdy chcesz coś kupować. Nie pragnij mnie poznać! Jeszcze mnie nie znasz z mej złej strony!

Kiedy Kunert odszedł, porucznik Dub zwrócił się do nadporucznika Lukasa:

— Mój bursz jest człowiekiem bardzo inteligentnym. Czasem zrobi jaki błąd, ale na ogół jest bardzo pojętny. Najważniejsze to, że jest on bezwzględnie uczciwy. Szwagier mój mieszkający na wsi przysłał mi do Brucku kilka pieczonych gąsek. Kunert nie tknął ich, a ponieważ nie zdążyłem zjeść ich sam, zepsuły się, zaśmierdły. Jest to, oczywiście, sprawa dyscypliny. Oficer musi swoich żołnierzy wychowywać.

Nadporucznik Lukasz chcąc okazać, że nie słucha głędzenia tego idioty, odwrócił się ku oknu i rzekł:

— Istotnie, dzisiaj środa.

Porucznik Dub odczuwając potrzebę gadania, zwrócił się do kapitana Sagnera i zaczął tonem koleżeńskim i poufałym:

— Słuchajcie, panie kapitanie, co sądzicie...

— Przepraszam na chwileczkę — rzekł kapitan Sagner i wyszedł z wagonu.

Tymczasem Szwejk z Kunertem opowiadali sobie o poruczniku Dubie.

— Gdzie siedziałeś tak długo, że cię wcale widać nie było? — pytał Szwejk.

— Co tu dużo gadać — odpowiedział Kunert. — Z tym moim starym idiotą mam dużo roboty. Co chwila woła człowieka i pyta o rzeczy, które nikogo nic nie obchodzą. Pytał mnie także, czy się z tobą przyjaźnię, a ja mu odpowiedziałem, że widujemy się bardzo rzadko.

— To bardzo pięknie z jego strony, że pyta o mnie. Ja go bardzo lubię, tego twojego lejtnanta. Taki jest miły, poczciwy i dla żołnierzy jak ten ojciec rodzony — mówił Szwejk z wielką powagą.

— Tak ci się zdaje — zastrzegął się Kunert — ale to niezgorsza świnia, a głupi jak gówno. Już go mam po dziurki w nosie, bo mnie stale szykanuje.

— Dałbyś spokój, bracie — uspokajał go Szwejk. — Myślałem zawsze, że to naprawdę taki zacny, poczciwy człowiek, a ty tak jakoś dziwnie się wyrażasz o swoim lejtnancie. Ale to już wrodzone u wszystkich pucybutów. Taki na przykład pucybut majora Wenzla, to się o swoim panu nie wyrazi inaczej, tylko wciąż powtarza, że ten jego major, to kawał idiotycznego bałwana, a gdy pucybut pułkownika Schrödera mówi o swoim przełożonym, to go nazywa za... pokraką i cuchnącym śmierdzielem. Pochodzi to stąd, że każdy bursz nauczył się takich rzeczy od swego pana. Gdyby panowie nie pyślewali, to by służący ich wyzwisk nie powtarzali. W Budziejowicach był w służbie aktywnej lejtnant Prochazka, który pucybuta nie wyzywał, ale mówił do niego krótko: „Ty krowo wspaniała!” Innego wyzwiska jego pucybut, niejaki Hibman, nigdy z jego ust nie słyszał. Otóż ten Hibman tak się do tego wyzwiska przyzwyczaił, że gdy powrócił z wojska do domu, to do ojca, matki i sióstr mówił: „Ty krowo wspaniała!” Tak samo odezwał się do swojej narzeczonej, która się o to na niego pogniewała, zerwała z nim i zaskarżyła go do sądu o obrazę, ponieważ takimi słowy odezwał się do niej, do ojca i matki na jakiejś zabawie publicznej. I nie darowała mu, a przed sądem wywodziła, że gdyby ją był nazwał krową gdzieś na uboczu, to by poszła na zgodę, ale takie publiczne słowo to wstyd europejski. Między nami mówiąc, nie byłbym sobie nigdy wyobrażał, że i twój lejtnant taki sam jak inni. Na mnie zrobił ogromnie dobre wrażenie już wówczas, gdy rozmawiałem z nim po raz pierwszy; był taki miły jak kielbaski prosto z wędzarni. Przy drugiej rozmowie wydał mi się człowiekiem bardzo odczytanym, pełnym życia i polotu. — A ty skąd właściwie pochodzisz? Prosto z Budziejowic? Bardzo lubię, gdy ktoś pochodzi prosto skądciś. A gdzie

mieszkaś? W podcieniach? No to dobrze, bo w lecie masz cień. Żonatyś? Zona, powiadasz, i troje dzieci? No toś szczęśliwy, kolego, przynajmniej będzie miał kto cię opłakiwać, jak mawiał zawsze w swoich kazaniach feldkurat Katz. Feldkurat miał rację, bo taką samą mowę wygłosił pewien oberst do landwerzystów w Brucku, gdy odjeżdżali do Serbii. Dowodził, że gdy taki landwerzysta polegnie, to zrywa wprawdzie wszystkie stosunki łączące go z rodziną, ale to nic nie szkodzi. Ten pan oberst mówił mniej więcej tak: „Kiedy solnirz sabita, tła familie sabita, już nie ma solnirz rodzina ani swionski szadny, ale ma fiency, bo jest Held, ponieważ on hat swój sicie geopfert za fięksi familia za Vaterland“. — Na czwartym piętrze mieszkaś, czy na pierwszym? Ano, masz rację, teraz sobie przypominam, że na budziejowickim rynku nie ma ani jednego domu czteropiętrowego. Gdzie tak lecisz? Aha, twój pan oficer stoi przed sztabowym wagonem i spogląda tutaj. Gdyby cię zapytał, czy o nim nie mówiłem, to mu powiedz szczerą prawdę, że i owszem, ale nie zapomnij dodać, że mówiłem o nim bardzo ładnie i że mało kiedy spotykałem takich oficerów, którzy zachowaliby się wobec żołnierzy tak po przyjacielsku i po ojcowsku, jak on. Nie zapomnij mu powiedzieć, iż zdaje mi się być bardzo czytany i taki, uważasz, inteligentny. I dodaj jeszcze, że cię napomniałem, żebyś był grzeczny i żebyś szybko spełniał wszystkie życzenia, jakie wyczytasz w jego oczach. Nie zapomnisz?

Szwejk wrócił do wagonu, a Kunert z niemi poszedł do swego legowiska.

Po kwadransie pociąg jechał dalej do Nowej Czabyni przez pogorzelska wsi Brestów i Wielki Radwan. Widać było, że tu walczoneo do upadłego.

Podnóża i zbocza gór Karpackich były pobrużdżone rowami strzeleckimi, ciągnącymi się z doliny do doliny wzdłuż toru, którego szyny poukładane były na nowych podkładach. Po obu stronach widniały głębokie wyrwy od granatów. Tu

i ówdzie na rzeczulkach i strumieniach, będących dopływami Laborczy, widać było nowe mosty i opalone belki mostów starych. Pociąg biegł równoległe z rzeką.

Cała dolina Mezzo Laborczy była rozorana i skopana, jakby tu pracowały wielkie stada olbrzymich kretów. Szosa za rzeką była poszarpana i zryta na wszystkie strony, tylko miejscami widać było udeptane ścieże, którymi waliły się wojska.

Nawałnice i deszcze potworzyły w wyrwach sadzawki, a dookoła nich wszędzie leżały strzępy austriackich uniformów.

Za Nową Czabyną, na starej opalanej sośnie wisiał śród płataniny gałęzi but jakiegoś austriackiego piechura z częścią goleni.

Widziało się tu lasy bez liści i bez igliwia, bo wszystko pozmiatał ogień artyleryjski; tu i ówdzie stały drzewa bez koron porozstrzeliwane samotne gospodarstwa.

Pociąg jechał powoli, bo tory kolejowe były świeżo zbudowane na nowych nasypach, więc batalion miał czas do dokładnego przypatrzenia się skutkom uciech wojennych. Spoglądając na cmentarze wojskowe usiane białymi krzyżami po płaszczyznach i zboczach spustoszonych, przygotowywał się batalion powoli, ale nieodmiennie do wkroczenia na pole chwały, która to chwała kończy się zabłoconą austriacką czapką, powiewającą strzępami na białym krzyżu.

Niemcy z Kasperskich gór, ulokowani w ostatnich wagonach, jeszcze w Milowicach na stacji ryczeli: „W a n n i' k u m m, w a n n i' k u m m...” — ale od Humennej zamilkli i zamyślili się snąc nad tym, że niejedyn z tych, których czapki widać na grobach, także śpiewali o tym, jak to będzie ładnie, gdy się wróci do domu, aby na zawsze pozostać przy swojej wybranej.

Koło Mezzo Laborczy był przystanek za postrzelanym i spalonym dworcem, z którego zgliszcz sterczały poskręcane żelazne trawersy.

Nowy długi barak drewniany, naprędce zbudowany koło spalonego dworca, był oblepiony plakatami we wszystkich językach: „Zapisujcie się na austriacką pożyczkę wojenną!“

W drugim podobnym baraku znajdowała się nawet stacja Czerwonego Krzyża. Wyszły stamtąd dwie siostry z otyłym lekarzem wojskowym i śmiały się hałaśliwie z dowcipów pana doktora, który naśladował różne wygłosy zwierzęce i nieudatnie krząkał jak świnia.

Pod nasypem kolejowym, w dolinie nad potokiem, leżała rozbita kuchnia polowa. Wskazując na nią, rzekł Szwejk do Balouna:

— Patrzajcie, Balounie, co na nas czeka w niedalekiej przyszłości. Właśnie mieli wydawać jedzenie, gdy wtem nadleciał granat i oto tak kuchenkę urządził.

— To straszne! — westchnął Baloun. — Nigdy dotychczas nie pomyślałem, że spotka mnie coś podobnego, ale moja to wina, bo sobie, drań stary, ostatniej zimy kupiłem w Budziejowicach skórkowe rękawice. Taka pycha mnie rozparła! Nie dość mi było nosić na swoich wiejskich łapskach stare plecione rękawice, jakie nosił nieboszczyk ojciec, i ciągle mi się zachciewało takich miejskich rękawiczek skórkowych. Ojciec jadał pęczak, a ja na takie rzeczy, jak na przykład groch, nawet patrzeć nie mogę, tylko drobiu mi się zachciewa. Zwyczajny schab też mi się nie bardzo podobał i moja stara musiała mi go przyrządzać, Boże odpuść winy, na piwie.

Z wyrazem najczarniejszej rozpaczki Baloun zaczął odprawiać generalną spowiedź.

— Ja przecież bluźniłem świętym Pańskim wybrancom i wybrankom na Malszy w karczmie, a w Dolnym Zagaju sprąłem wikarego. W Boga jeszcze wierzyłem, to trzeba powiedzieć, ale co do świętego Józefa, to już zaczynałem powątpiewać o nim. Wszystkich świętych cierpiałem w mieszkaniu, ale obrazek świętego Józefa kazałem wyrzucić, więc teraz karze mnie Pan Bóg za moje grzechy i za moją niemoralność. Ilu i ja-

kich niemoralnych uczynków nadopuszczałem się w swoim młynie, jak często zjeździłem swego teścia czyniąc gorzkim jego dożywocie i jak bardzo szykanowałem żonę!

— Wyście młynarz, prawda? — rzekł Szwejk w zamyśleniu. — To powinniście byli wiedzieć, że młyny boże miały powoli, ale nieodmiennie, i że z waszej winy wybuchnie ta wojna światowa.

Do rozmowy wtrącił się jednoroczny ochotnik Marek:

— Na tych bluźnierstwach, Balounie, i na nieuznawaniu wszystkich wybrańców i wybranek Pańskich wyjdzie pan kiepsko, bo trzeba przecie pamiętać, że nasza armia austriacka jest już od wielu lat armią czysto katolicką, mającą najjaśniejszy przykład w naszym najwyższym wodzu i panu. Co za zuchwałstwo ruszać do boju z trucizną powątpiewania o niektórych wybrańcach i wybrankach Pańskich, skoro zaprowadzone zostały dla dowództwa załóg, to jest panów oficerów, jezuickie egzorty i skoro braliśmy udział w wojskowej rezurekcji? Zrozumieście, Balounie? Czy pojmujecie, że dopuszczacie się właściwie czegoś przeciwko samemu duchowi naszej sławnej armii? Co do świętego Józefa, którego obrazek kazaliście wyrzucić z izby, to zrobiliście wielkie głupstwo, bo on, Balounie, jest właściwie patronem wszystkich tych, którzy pragną z wojny powrócić, wymigać się z niej. Był on cieślą, a każdy zna przecie przysłowie: „Patrzaj, gdzie cieśla zostawił dziurę“. Iluż to ludzi z takim hasłem poszło do niewoli! Widząc sytuację bez wyjścia i okrążenie ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela, starali się uratować nie tyle z pobudek egoistycznych, ale uratować siebie jako członka armii, aby następnie, po powrocie z niewoli, mogli rzec najjaśniejszemu panu, że oczekują jego dalszych rozkazów. Rozumiecie więc Balounie?

— Nie rozumiem — z westchnieniem odpowiedział Baloun — ja mam w ogóle łeb tępy. Mnie wszystko trzeba powtarzać dziesięć razy.

— Akurat dziesięć razy? Może mniej wystarczy? — pytał Szwejk. — Ja ci w każdym razie jeszcze raz wytłumaczę. Słyszałem tu, że masz się trzymać tego ducha, jaki panuje w armii, że powinienes wierzyć w świętego Józefa, gdy będziesz okrążony przez nieprzyjaciela, i pamiętać o przysłowiowej dziurze pozostawionej przez cieślę, abyś się ocalił dla najjaśniejszego pana do następnej wojny. Teraz może tego jeszcze nie rozumiesz, więc zrobisz dobrze, gdy powiesz nam nieco dokładniej, jakich to niemoralności dopuszczałeś się w swoim młynie. Tylko, uważasz, bez wykrętów, żeby nie było tak jak z pewną dziewczyną, która się spowiadała, a gdy już wszystkie grzechy wyliczyła, to się zaczęła wstydzić i dodała, że co noc dopuszczała się wszeteczeństwa. Naturalnie, że gdy pan pleban usłyszał takie słowo, to mu się śliny w gębie zbiegły i rzekł: No, nie wstydź się moja córko, i opowiedz mi szczegółowo o tych wszeteczeństwach, bo mnie trzeba wszystko powiedzieć. A dziewczyna w bek, że się strasznie wstydzi, bo to takie okropne wszeteczeństwa, a on znowuż ją napominał, żeby mówiła wszystko. Po długim wzdraganiu zaczęła wreszcie od tego, że co wieczór się rozbierała i kładła do łóżka. Ale dalej mówić nie mogła, tylko ryczała jeszcze głośniej. Więc on znowuż dodawał jej otuchy, że człowiek jest naczyniem grzesznym z natury swojej, ale miłosierdzie boże nie ma granic. Więc się dziewczyna wreszcie zdecydowała i z wielkim płaczem mówiła: Gdy się rozebrana w łóżku ułożyłam, to spomiędzy palców u nóg wydłubywałam brud i wachałam go. — Takich więc dopuszczała się ta dziewczyna wszeteczeństw. Ale ja mam nadzieję, Balounie, żeś ty we młynie takich rzeczy nie robił i że nam opowiesz coś rzetelniejszego, jakieś porządniejsze wszeteczeństwo.

Okazało się, że Baloun według swego wyrażenia dopuszczał się wszeteczeństw z gospodyniami wiejskimi, a wszeteczeństwa te polegały na fałszowaniu mąki, co Baloun w prostocie swego ducha uważał za niemoralne. Najbardziej był rozczar-

wany telegrafista Choudounsky i pytał go, czy aby naprawdę nie miał jakich sprawek z gospodyniami na worach z mąką, na co Baloun wymachując rękoma odpowiedział:

— Na takie rzeczy byłem za głupi.

Szeregowców zawiadomiono, że obiad będzie za Palotą w Łupkowskim przesmyku. Istotnie, wyruszyli do Mezzo Laborczy: sierżant rachuby batalionu z kucharzami kompanii i z porucznikiem Cajthamlem, który zajmował się gospodarstwem batalionu. Czterech szeregowców dodano im jako patrol.

Powrócili w niespełna pół godziny z trzema wieprzami uwiązanymi za zadnie łapy i z ryczącą rodziną podkarpackiego Rusina, któremu wieprze zarekwirowano, oraz z otyłym wojskowym lekarzem z baraku Czerwonego Krzyża, który bardzo gorliwie tłumaczył coś porucznikowi Cajthamlowi wrzuszającym ramionami.

Przed wagonem sztabowym spór stał się bardzo ostry, gdy lekarz wojskowy zaczął przekonywać kapitana Sagnera, że wieprze te przeznaczone są dla szpitala Czerwonego Krzyża, o czym jednakże chłop nie chciał nic wiedzieć, domagał się, aby mu jego wieprze oddano, wywodził, że to jego ostatnie mienie i że stanowczo nie może je oddać za tę cenę, jaką mu wyplacono.

Przy tych słowach wtykał kapitanowi Sagnerowi pieniądze, jakie otrzymał za wieprze, zaś gospodyni trzymała kapitana za drugą rękę i obcałowywała ją z uniżonością, jaką kraj ten zawsze się wyróżniał.

Kapitan Sagner nie wiedział, co ma robić, i dopiero po chwili udało mu się odepchnąć starą gospodynię. Nie na wiele to się przydało, bo zamiast niej opadły go młode siły, które także rzuciły się do obcałowywania jego rąk.

Porucznik Cajthaml wywodził przy tym tonem zgola kupieckim:

— Ten drab ma jeszcze dwanaście świń i otrzymał zapłatę zgodnie z ostatnim rozkazem do dywizji numer 12420, część

gospodarcza. Według § 16 tego rozkazu należy kupować wieprze w miejscowościach przez wojnę nie dotkniętych nie drożej jak po 2 korony 16 halerzy za kilogram żywej wagi; w miejscowościach przez wojnę nawiedzonych należy dodać 36 halerzy na kilogram żywej wagi, czyli, że należy płacić za kilogram 2 korony 52 halerze. I jest jeszcze taka uwaga: O ile w miejscowościach przez wojnę dotkniętych znajdują się gospodarstwa z niepomniejszonym stanem nierogacizny, która może być zajęta dla celów zaopatrywania wojsk przechodzących, należy wypłacać za wieprze zabrane ceny takie, jakie się wypłaca w miejscowościach przez wojnę nie dotkniętych z osobną dopłatą 12 halerzy na kilogram żywej wagi. Gdyby sytuacja nie była zupełnie jasną, należy natychmiast na miejscu powoływać rozstrzygającą komisję, składającą się z interesanta, dowódcy oddziału przechodzącego i z tego oficera lub sierżanta rachuby (o ile chodzi o formacje mniejsze), którzy prowadzą gospodarkę oddziału.

Wszystko to przeczytał porucznik Cajthaml z kopii rozkazu do dywizji, którą to kopię stale nosił przy sobie i znał jej treść na pamięć, wiedząc na przykład, że na terytorium przyfrontowym cenę za marchew podnosi się do 15, 30 halerzy za kilogram, a dla „Offiziersmenageküchenabteilung“ za kalafior na terytorium przyfrontowym płaci się 1 koronę i 75 halerzy za kilogram.

Ci, co w Wiedniu te cenniki układali, wyobrażali sobie niezawodnie, że terytorium przyfrontowe jest krainą opływającą marchwią i kalafiorami.

Porucznik Cajthaml przeczytał to wszystko wzburzonemu gospodarzowi w języku niemieckim i zapytał go w tym samym języku, czy go rozumiał. Gdy chłop zakręcił głową, ryknął na niego:

— Więc chcesz komisję?

Chłopek zrozumiał słowo „komisja“ bo kiwnął głową, i podczas gdy wieprze jego zostały tymczasem zawleczone ku polo-

wym kuchniom na stracenie, obścąpili go przydzieleni do rekwirowania żołnierze z bagnetami na karabinach i komisja udała się do jego gospodarstwa, aby ustalić, czy chłop ma otrzymać 2 korony 52 halerze za kilogram, czy też tylko 2 korony 28 halerzy.

Nim doszli do drogi prowadzącej ku wsi, od strony kuchen polowych doleciał potrójny śmiertelny kwik wieprzy i chłop zrozumiał, że wszystko skończone, więc w rozpaczy tylko zawołał:

— Dawajcie mnie za każduju swinju dwa rynskija!

Czterej żołnierze otoczyli go z bliska i cała rodzina zagroziła drogę kapitanowi Sagnerowi i porucznikowi Cajthamlowi, ukląkwszy przed nim na środku szosy.

Matka z dwiema córkami obejmowała kolana obu oficerów, nazywając ich dobrodziejami, aż gospodarz wrzasnął na nie w narzeczu węgierskich Rusinów, aby wstały. Niech żołnierze zeżrą wieprze i pozdychają po nich.

Nie składano więc komisji, a ponieważ chłop się nagle zbuntował i zaczął grozić pięścią, więc od jednego z żołnierzy dostał kolbą tak porządnie, aż pod jego kożuchem zadudniło, a cała rodzina się przeżegnała i razem z ojcem wzięła nogi za pas.

W dziesięć minut później sierżant rachuby batalionu razem z ordynansem batalionu, Matusziczem, delektowali się mózdzkiem wieprzowym. Siedzieli w swoim wagonie i obżerali się statecznie, docinając pisarzowi jadłowitymi uwagami:

— Żarlibyście i wy, co? Ba, takie rzeczy to tylko dla szarż. Dla kucharzy cynaderki i wątróbka, mózdzek i głowina dla panów rechnerfeldfeblów, a dla pisarzy tylko podwójne porcje mięsa, z tych, co przeznaczone są dla szeregowców.

Kapitan Sagner już też wydał rozkaz dotyczący kuchni oficerskiej:

— Pieczeń wieprzowa na kminku; wybrać mięso co najlepsze, żeby nie było bardzo tłuste!

Stało się więc, że kiedy w Łupkowskim przesmyku rozdawano szeregowcom jedzenie, na dnie menażki w porcji polewki znajdował piechur dwa malutkie kawałeczki mięsa, a jeśli się który urodził pod planetą jeszcze gorszą, to znajdował tam tylko kawałek szperki.

W kuchni panował zwykły nepotyzm wojskowy, obdziałający wszystkich, którzy byli blisko kliki panującej. Pucybuty w Łupkowskim przesmyku łazili z zatłuszczonymi gębami, a każdy ordynans miał brzuch twardy jak kamień. Działy się rzeczy wołające o pomstę do nieba.

Jednoroczny ochotnik zrobił w kuchni skandal, bo chciał być sprawiedliwy. Kiedy kucharz wrzucał mu do menażki porządny kawał gotowanej szynki i dodał: „To dla naszego geschichtsschreibera“ — Marek zadeklarował, że w wojsku wszyscy służący w szeregach są sobie równi, co zostało przyjęte wyrazami głośnego uznania i stało się pobudką do wymyślenia na kucharzy.

Jednoroczniak rzucił otrzymany kawał mięsa nazad do kołta i oświadczył, że nie prosi o żadną protekcję. Ale w kuchni tego nie zrozumieli i sądzili, że bataillonsgeschichtsschreiber nie jest zadowolony, więc mu kucharz rzekł, żeby przyszedł później, gdy jedzenie będzie rozdane, to mu da kawał nogi.

Pisarze też mieli pyski na glanc, sanitariusze posapywali od nadmiernego dobrobytu, a dokoła tego wielkiego błogosławieństwa bożego widać było wszędzie ślady niedawnych ciężkich walk. Wszędzie leżały magazyny od nabojów, puste blaszane pudełka od konserw, strzepy rosyjskich, austriackich i niemieckich uniformów, części zdruzgotanych wozów, długie pokrwawione pasma gazy i waty.

W starej sośnie koło dawnego dworca kolejowego, z którego pozostała tylko kupa rumowisk, tkwił granat, który nie

wybuchł. Wszędzie widać było skorupy granatów, a w bezpośredniej gdzieś bliskości musiano pochować zwłoki żołnierzy, ponieważ zalatywało straszliwym odorem zgnilizny.

Że tedy przechodziły masy wojsk i że tu krótko lub długo obozowały, o tym świadczyły kupki ludzkich nieczystości pochodzenia międzynarodowego, od wszystkich narodów Austrii, Niemiec i Rosji. Te kupki po żołnierzach wszystkich narodowości i wszystkich wyznań religijnych leżały obok siebie lub warstwiły się jedne na drugich i ani myślały bić się z sobą.

Zrzucony wodociąg kolejowy, drewniana budka stróża i wszystko w ogóle, co miało jaką taką ścianę, było poprzerwane kulami karabinowymi jak rzeszoto.

Gwoli pełniejszemu wrażeniu uciech wojennych za nie-dalekim szczytem górskim wznosiły się kłęby dymu, jakby się paliła cała wieś i jakby tam był ośrodek operacyj wojennych. Spalano tam baraki choleryczne i biegunkowe ku wielkiej radości pewnych panów, którzy przykładali ręce do urządzania owych szpitali pod protektoratem arcyksiężnej Marii, a którzy kradli i nabijali sobie kieszenie przedstawianiem rachunków za nie istniejące baraki choleryczne i biegunkowe.

Teraz grupa baraków paliła się za wszystkie inne i w smrodzie palących się sienników wznosiło się ku niebu arcyzłodziejstwo arcyksiążęcego protektoratu.

Za dworcem, na skale, Niemcy z Rzeszy pokwapili się już z ustawieniem pomnika na cześć poległych brandenburskich żołnierzy, czcząc ich napisem: „Den Helden von Lupkapass“ i wielkim orłem cesarstwa odlanym w brązie. U dołu na cokole znajdowała się bardzo rzeczowa uwaga, że ten symbol odlany został z armat rosyjskich zdobytych przez pułki niemieckie przy wyzwaniu Karpat.

W tej dziwnej i dla żołnierzy niezwyklej atmosferze batalion po obiedzie odpoczywał w wagonach, a kapitan Sagner z adiutantem batalionu jeszcze ciągle nie mogli się dogadać szyfrowanymi telegramami z bazą brygady co do dalszego marszu

batalionu. Wiadomości przychodziły takie dziwne, że wyglądało na to, iż batalion nie powinien był w ogóle przybywać do przełęczy Łupkowskiej i miał jechać zgoła inną drogą do Nowego Miasta pod Szatoroutem, bo w telegramach wymienione były miejscowości: Czap-Ungvar, Kis-Berezna-Użok.

Po dziesięciu minutach okazuje się, że w brygadzie siedzi jakiś pętaś sztabowy, bo oto przychodzi telegram szyfrowany z zapytaniem, czy mówi 8 marszbatalion 75 pułku (szyfr wojskowy G. 3). Pętaś z brygady jest zdziwiony, gdy otrzymuje odpowiedź, że chodzi o 7 marszbatalion 91 pułku, i pyta, kto dał rozkaz jazdy na Munkaczew wojskowym torem na Stryj, kiedy marszruta przepisuje przełęcz Łupkowską na Sanok do Galicji. Pętaś strasznie się dziwi, że mu telegrafują z Łupkowskiej przełęczy, i wysyła szyfr: Marszruta niezmieniona, na Łupkowską przełęcz — Sanok, gdzie dalsze rozkazy.

Po powrocie kapitana Sagnera powstaje w wagonie sztabowym dyskusja o czymś tam bezhołowiu i padają przytyki, że gdyby nie Niemcy z Rzeszy, to wschodnia grupa wojskowa byłaby zupełnie bez głowy.

Porucznik Dub próbował bronić tę bezgłowość sztabu austriackiego i głądził coś o tym, że tutejsza okolica była bardzo spustoszona niedawnymi walkami i że tor kolejowy nie mógł zostać doprowadzony do należytego porządku.

Wszyscy oficerowie spoglądali na niego ze współczuciem, jakby chcieli powiedzieć, że ten pan za swój idiotyzm nie odpowiada. Ponieważ nikt mu nie przeczył, więc porucznik Dub głądził dalej o potężnym wrazeniu, jakie wywarła na nim ta spustoszona okolica, świadcząca o tym, jak potrafi walić żelazna pięść naszego wojska. Znowuż nikt mu nie odpowiada, on zaś mówi:

— Tak, to tak, naturalnie, Rosjanie cofali się tu w szalonej panice.

Kapitan Sagner postanawia sobie w duchu, że wyśle porucznika Duba przy najbliższej sposobności jako patrol oficer-

ski, gdy sytuacja w okopach stanie się w najwyższym stopniu niebezpieczna. Niech idzie na zasieki z drutu kolczastego rekognoskować pozycje nieprzyjacielskie. Ponieważ on i nadporucznik Lukasz wychylają się z okna wagonu, kapitan Sagner szepcze:

— Diabli nadali nam tych cywilistów! Im większy inteligent, tym większe bydlę!

Ma się wrażenie, że porucznik w ogóle mówić nie przestanie. Opowiada dalej wszystkim oficerom, co czytał w gazetach o tych walkach karpackich i o zmaganiach się o przełęcze karpackie podczas ofensywy austriacko-niemieckiej na San.

Opowiada o tym tak, jakby nie tylko uczestniczył w tych walkach, ale jakby nimi osobiście kierował. Osobliwie wstrętne są jego zdania, takie na przykład:

— Potem szliśmy na Bukowsko, aby sobie zabezpieczyć linię Bukowsko — Dynów, mając połączenie z grupą bardyjowską pod wielką Polanką, gdzie rozbiliśmy samarską dywizję nieprzyjaciela.

Nadporucznik Lukasz nie wytrzymał i rzekł do porucznika Duba:

— O czym niezawodnie rozmawiałeś ze swoim kapitanem okręgowym jeszcze przed wojną.

Porucznik Dub spojrział na Lukasa nienawistnie i wyszedł z wagonu.

Pociąg wojskowy stał na nasypie, a pod nim na kilkumetrowym zboczu różne przedmioty, pozarzucone przez ustępujące wojska rosyjskie, które najwidoczniej cofały się między innymi i tędy. Widziało się tu zardzewiałe czajniki, jakieś garnki, ładownice. Obok najróżniejszych rzeczy leżały tu także zwoje drutu kolczastego i znowu dużo tych strzepów waty i gazy. Nad tym zboczem stała w pewnym miejscu gromadka żołnierzy i porucznik Dub ustalił natychmiast, że między nimi znajduje się Szwejk i o czymś mówi.

Podszedł więc do tej grupy.

— Co tu się stało? — zapytał porucznik Dub głosem surowym, stając prosto przed Szwejkim.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk za wszystkich — że się przypatrujemy.

— A czemu wy się tu przypatrujecie? — wrzasnął porucznik Dub.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że patrzymy z nasypu na dół.

— A kto wam na to pozwolił?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że takie jest życzenie naszego pana obersta Schlagera z Brucku. Gdy odjeżdżaliśmy na front, a on się z nami żegnał, to w przemówieniu swoim wezwał nas, żebyśmy się wszyskiemu dobrze przypatrywali, gdy będziemy przejeżdżali przez opuszczone pobojo-wiska, żebyśmy wiedzieli, jak to się tam wojowało i żebyśmy się z tego uczyli. Więc my teraz patrzymy, panie lejtnant, na ten rów i widzimy, ile to różnych rzeczy musi poodrzucać żołnierz uciekający. My tu widzimy, panie lejtnant, jakie to głupie gdy żołnierz zabiera z sobą różne rzeczy niepotrzebne i dźwiga nad siły. Zmęczy się takim dźwiganiem, gdy wlecze tyle tobołów i potem nie może lekko wojować.

Porucznikowi Dubowi błysnęła nagle iskierka nadziei, że nareszcie zdoła może pociągnąć Szwejka przed sąd polowy za propagandę antymilitarną, więc zapytał go prosto z mostu:

— Więc wy sądzicie, że żołnierz powinien zarzucać patrony, które tu leżą, albo i bagnety, które tam widzimy?

— O, bynajmniej, posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk, uśmiechając się przyjemnie. — Raczy pan porucznik spojrzeć tutaj w rów na ten zarzucony nocnik blaszany.

Istotnie, pod nasypem wyzywająco leżał nocnik z pootłukiwaną emalią, zżarty rdzą, a dokoła niego pełno było, jakichś potłuczonych garów, które to naczynia nie nadające się

już do użytku domowego, układał tu zawiadowca stacji jako ewentualny materiał do dyskusyj archeologicznych przyszłych stuleci. Po odkryciu tych garnków archeologowie zgłupieją, a w szkole dzieci uczyć się będą o epoce nocników emalio- wanych.

Porucznik Dub zapatrzył się na ten przedmiot, ale nie zdo- łał stwierdzić nic ponadto, że jest to istotnie jeden z tych inwa- lidów, których młodość upłynęła pod łóżkiem.

Spostrzeżenie Szwejka wywarło na wszystkich wrażenie ogromne, więc gdy porucznik Dub milczał, głos zabrał zno- wu Szwejk:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że z takim samym nocnikiem był kiedyś ładny szpas w Podiebradach. Opowia- dano sobie o tym u nas, na Winohradach, w gospodzie. W owym czasie zaczęto wydawać w Podiebradach gazetę „Niezawisłość“, a głową jej był podiebradzki aptekarz, zaś redaktorem zrobili niejakiemu Ładysława Hajka z Domažlickie- go. A ten pan aptekarz był to sobie taki dziwak, że zbierał stare garnki i inne takie drobiazgi, aż sobie uzbierał całe mu- zeum. Otóż pewnego razu ten domažlicki Hajek zaprosił do wód podiebradzkich jakiegoś kolegę, który także pisywał do gazet i obaj wstawili się porządnie, bo się już z tydzień nie widzieli, no i gość obiecał gospodarzowi redaktorowi, że za tę fetę napisze mu felieton do jego niezawistej gazetki, niby do „Niezawisłości“. Więc napisał ten kolega taki felieton o ja- kimś zbieraczu, który znalazł w piasku na brzegu Łaby stary blaszany nocnik i myślał, że to przyłbica świętego Wacława, i narobił tyle hałasu, że na miejsce zjechał aż biskup Brnych z Hradca, z procesją i chorągwiami. Ten aptekarz wziął to wszystko do serca, że to niby przytyk do niego, więc on i ten pan Hajek zaczęli się boczyć na siebie.

Porucznik Dub byłby najchętniej strącił Szwejka na łeb z nasypu, ale się opanował i tylko wrzasnął na wszystkich:

— Mówię wam żebyście się tu nie gapili! Wy mnie wszyscy jeszcze nie znacie, ale poznacie wy mnie jeszcze!

— A wy zostanieie tutaj! — wrzasnął na Szwejką głosem srogim, gdy ten razem z innymi chciał się oddalić.

Stali tak, naprzeciw siebie i porucznik Dub zaczął się zastanawiać, co by tak powiedzieć straszliwego. Uprzedził go Szwejk:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że byłoby dobrze, gdyby ta ładna pogoda trwała dalej. Za dnia nie bywa zbyt gorąco, a noce są także dość przyjemne, tak że pogoda do wojowania jest w sam raz.

Porucznik Dub wyjął rewolwer i zapytał:

— Znasz to?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że pan oberlejtnant Łukasz ma taki sam.

— Więc sobie, ty łobuzie, zapamiętaj, że mogłoby cię spotkać coś bardzo nieprzyjemnego, gdybyś w dalszym ciągu uprawiał swoją propagandę.

Porucznik Dub oddalał się zadowolony i myślał w duchu:

— Teraz powiedziałem mu jak się należy: propagandę, tak jest, propagandę.

Przed wejściem do wagonu Szwejk przechadzał się jeszcze przez chwilę i mruczał pod nosem:

— Jak takiego nazwać?

Myślał długo i intensywnie, aż wreszcie wyłoniła się z tego myślenia nazwa najodpowiedniejsza: „Wicipierdoła“.

W słowniku wojskowym słowo „pierdoła“ było od dawna używane z wielką miłością, osobliwie gdy chodziło o pułkowników lub starych kapitanów i majorów, a zawierało w sobie pewne wystopniowanie ulubionego epitetu: „Pieski dziadyga“. Bez tego przymiotnika słowo „dziadyga“ było raczej uprzejmością w stosunku do starego pułkownika czy majora, który dużo ryczał, ale pomimo to żołnierzy swoich lubił i stawał w ich obronie wobec innych pułków, osobliwie zaś gdy

chodziło o obce patrole, które wyławiały żołnierzy z różnych spelunek, gdy ci żołnierze nie mieli zezwolenia na pozostawanie na mieście po capstrzyku. Dziadyga troszczył się o dobrobyt swoich żołnierzy, jedzenie musieli dostawać jak się patrzy, ale miewał też swoje dziwactwa. Czepiał się tego czy owego i dlatego nazywano go dziadygą.

Ale gdy dziadyga niepotrzebnie szykanował żołnierzy i szarżę, kombinując na przykład ćwiczenia nocne i podobne rzeczy, to mówiono o nim „pieski dziadyga“.

Z „pieskiego dziadygi“ awansowano zwolenników idiotycznych szykan i głupich przyczepek na „pierdołów“. To słowo znaczyło bardzo wiele i trzeba podkreślić, że między pierdołą cywilnym a pierdołą wojskowym jest różnica ogromna.

Pierdoła cywilny, to także jakiś pan przełożony na urzędzie, plaga niższych urzędników i woźnych. Jest to filister-biurokrata, który potrafi zrobić piekło o to, że jakiś papierek nie jest należycie osuszony bibułą itp. Jest to w ogóle idiotyczna i bydlęca postać w ludzkim społeczeństwie, ponieważ taki cymbał udaje uosobienie roztropności, jest przekonany, że na wszystkim się zna, że wszystko umie wytłumaczyć i wszystkim czuje się dotknięty.

Kto służył w wojsku, temu nie trzeba mówić, jaka istnieje różnica między pierdołą-cywilem a pierdołą w uniformie. W wojsku słowo to oznaczało dziadygę pieskiego, naprawdę pieskiego, który wszystkiego się czepiał, o wszystko zrzędził, ale zawahał się wobec każdej przeszkody; żołnierzy nie lubił i niepotrzebnie ich szykanował, bo o pozyskaniu ich szacunku czy zaufania nie mogło być mowy.

W niektórych załogach, jak na przykład w Trydencie, zamiast „pierdoła“ mówiło się „nasza stara dupa“. W każdym z tych wypadków chodziło o osobę starszą, więc gdy porucznika Duba nazwał Szwejk „wicepierdołą“, to doskonale wyraził istotę rzeczy, ustalając, że zarówno co do wieku jak i co do

stanowiska całego pierdoły brak porucznikowi Dubowi 50 procent.

Wracając do swego wagonu, Szwejk myślał o tych rzeczach i zgoła niespodzianie spotkał się z pucybutem porucznika Duba, Kunertem, który twarz miał spuchniętą i coś tam bełkotał, że akurat spotkał się ze swoim porucznikiem, który bez najmniejszego powodu obił go po twarzy za to, że jakoby wdaje się ze Szwejkem.

— W takim razie — rzekł Szwejk z dostojeństwem — pójdziemy do raportu. Austriacki żołnierz powinien dać się bić po gębie tylko w określonych wypadkach. Ale ten twój Dub przekroczył wszelkie granice, jak mawiał stary Eugeniusz Sabaudzki: „Stąd — dotąd“. Więc teraz sam musisz iść do raportu, a jeśli nie pójdziesz, to i ode mnie dostaniesz po gębie, żebyś wiedział, co to jest dyscyplina w armii. W karlińskich koszarach mieliśmy niejakiego lejtnanta Hausnera, a ten lejtnant też miał bursza, którego bił po twarzy i kopał. Pewnego razu ten bursz był tak mocno obity po twarzy, że zgłupiał z tego wszystkiego i stanął do raportu, a przy raporcie meldował, że został skopany, bo mu się wszystko w głowie poplątało, a jego pan bez trudu dowiódł, że ten bursz kłamie, bo go owego dnia nie skopał, lecz tylko obił po twarzy, więc zacnego pucybuta za fałszywe oskarżenie wsadzili na trzy tygodnie do paki.

— Ale to nie ma nic do rzeczy — mówił Szwejk dalej — bo to wszystko jedno, jak mawiał medyk Houbiczka, czy w patologicznym instytucie krajesz człowieka, który się powiesił, czy też takiego, który się otruił. Pójdę z tobą. I w mordobiciu musi być umiarkowanie.

Kunert zgłupiał do reszty i ruszył ze Szwejkem ku wagonowi sztabowemu. Porucznik Dub wyglądał akurat oknem i wrzasnął:

— Czego tu szukacie jeden z drugim, wy draby?

W sionce ukazał się nadporucznik Lukasz, a za nim szedł kapitan Sagner.

Nadporucznik Lukasz, który miał już tyle do czynienia ze Szwejkiem, strasznie się zdziwił, gdy ujrzał swego służącego, bo twarz jego nie miała zwykłego wyrazu poczciwości, ale była tak jakoś zacięta w sobie i poważna, że wyraz ten można było wziąć za zapowiedź jakichś niemiłych wydarzeń.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — rzekł Szwejk — że sprawa idzie do raportu.

— Tylko mi się tu nie bałwań, mój Szwejku, bo ja też mam tego dosyć.

— Raczy pan pozwolić — rzekł Szwejk — ja jestem ordynansem pańskiej kompanii, pan raczy być dowódcą kompanii jedenastej. Ja wiem, że to jest rzecz bardzo dziwna, ale i to wiem, że pan porucznik Dub jest pod panem.

— Tyś, mój Szwejku, w ogóle zgłupiał — przerwał mu nadporucznik Lukasz. — Jeśli się upiłeś, to zrobisz najlepiej, gdy pójdziesz co rychlej na zbity łeb. Rozumiesz, ty bydlę jedno? Ty idioto?!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — mówił Szwejk popychając przed sobą Kunerta — że to jest tak samo, jak pewnego razu robili w Pradze próbę z ramą ochronną, zabezpieczającą od przejechania przez tramwaj elektryczny. Ten pan, co tę ramę wynalazł, sam się ofiarował na próbę, jak ta rama działać będzie, a potem miasto musiało płacić odszkodowanie jego wdowie.

Kapitan Sagner, nie wiedząc, co ma powiedzieć, kiwał głową, a nadporucznik Lukasz miał wyraz beznadziejnej rozpacz.

— Wszystko musi być załatwiane na raporcie, posłusznie melduję, panie oberlejtant — mówił nieustępliwy Szwejk dalej. — Jeszcze w Brucku mawiał pan do mnie, że skoro jestem ordynansem kompanii, to mam na głowie inne jeszcze obowiązki, nie tylko jakieś tam rozkazy. Że niby powinienem być o wszystkim poinformowany, co się w kompanii dzieje.

Na podstawie tego rozporządzenia pozwalam sobie zameldować panu, panie oberlejtnant, że pan lejtnant Dub spotkał swego bursza i obił go po twarzy bez wystarczającej przyczyny. Ja bym tego, panie oberlejtnant, może i nie mówił, ale skoro widzę, że pan lejtnant Dub jest oddany pod pańską komendę, więc myślę sobie, że to trzeba pociągnąć do raportu.

— To jakaś osobliwa sprawa — rzekł kapitan Sagner. — Czemu wleczenie tutaj tego Kunerta?

— Posłusznie melduję, panie batalionskommandant, że wszystko musi iść do raportu. On zgłupiał, bo został obity po twarzy przez pana lejtnanta Duba, a nie może sobie pozwolić na to, żeby sam poszedł do raportu. Posłusznie melduję, panie Hauptmann, żeby pan spojrział na niego, jak mu się trzęsą kolana. On jest na pół nieżywy, że musi iść do tego raportu. I żeby nie ja, to by się do raportu wcale może nie dostał, jak ten Kudela z Bytouchowa, który podczas służby w wojsku tak długo chodził do raportu, aż został przeniesiony do marynarki, stał się kornetem, a na jakiejś wyspie na Oceanie Spokojnym został ogłoszony jako dezertor. On się potem ożenił na tej wyspie i rozmawiał z podróżnikiem Havlasą, który go nie odróżnił od tubylców. W ogóle jest to rzecz bardzo smutna, gdy ktoś dla takiego głupiego mordobicia musi stawać do raportu. Ale on wcale nie chciał iść tutaj, ponieważ mówił, że nie pójdzie. W ogóle jest to taki mordobity bursz, że nawet nie wie, o które mordobicie tutaj chodzi. I nie chciał się ruszyć do tego raportu i nieraz da się sprać jeszcze mocniej. Posłusznie melduję, panie Hauptmann, niech pan spojrzy na niego, że on z tego wszystkiego jest już cały zafajdany. Z drugiej strony powinien był natychmiast skarżyć się, że dostał po gębie, ale się nie odważył, bo uważał, że lepiej być skromnym fiołkiem, jak powiedział pewien poeta. Bo on jest służącym pana lejtnanta Duba.

Popychając Kunerta przed sobą, rzekł Szwejk do niego:

— Nie trzęś się tak, mazgaju, jak dąb na osice!

Kapitan Sagner zapytał Kunerta, jak się rzeczy miały.

Ale Kunert drząc na całym ciele, zadeklarował, że wszyscy mogą zapytać pana lejtnanta Duba, że go w ogóle nie zbił po twarzy.

Zdrajca Kunert trzęsąc się w dalszym ciągu na całym ciele, oświadczył nawet, że wszystko w ogóle zmyślił sobie Szwejk. Sytuacja była wysoce kłopotliwa i nie widać było wyjścia z niej, ale jak na zawołanie przypatoczył się porucznik Dub i wrzasnął na Kunerta:

— Chcesz jeszcze raz dostać po pysku?

Sprawa została więc całkowicie wyjaśniona i kapitan Sagner, zwracając się do porucznika Duba, rzekł krótko i wężłowało:

— Od dzisiaj Kunert przechodzi do kuchni batalionu, co zaś do nowego bursza, to pan porucznik Dub zwróci się do sierżanta rachuby, Wańka.

Porucznik Dub zasalutował i oddalając się, warknął pod adresem Szwejka:

— Zalóżę się, że będziecie kiedyś wisieć.

Gdy porucznik Dub odszedł, Szwejk zwrócił się do nadporucznika Lukasa i rzekł do niego tonem przyjemnym i przyjacielskim:

— W Mnichowie-Ilradiszczu też był taki jeden pan i też w taki sposób rozmawiał z drugim panem, a tamten mu odpowiedział: — Na szafocie się spotkamy.

— Szwejku — rzekł nadporucznik Lukasz — jesteście piramidalnie głupi, ale nie ważcie mi się odpowiedzieć, jak macie w zwyczaju: Posłusznie melduję, że jestem głupi!

— **F r a p a n t!** — odezwał się kapitan Sagner, wychylając się z okna. Najchętniej byłby się cofnął, ale już nie było czasu na ucieczkę przed biedą: porucznik Dub stał tuż pod oknem.

Zaczął od tego, że jest mu bardzo przykro, iż kapitan Sa-

gner oddalił się nie wysłuchawszy jego wywodów o ofensywie na wschodnim froncie.

— Jeśli chcemy zrozumieć tę olbrzymią ofensywę — wołał porucznik Dub, wspinając się ku oknu wagonu — to musimy sobie uświadomić, jak rozwijała się ofensywa pod koniec kwietnia. Musieliśmy przerwać front rosyjski i za najdogodniejszy punkt dla tej operacji uznaliśmy miejsce między Karpatami a Wisłą.

— Ja się z twymi wywodami najzupełniej zgadzam — odpowiedział kapitan Sagner i oddalił się od okna.

Kiedy po upływie pół godziny pociąg ruszył dalej na Sanok, kapitan Sagner wyciągnął się na siedzeniu i udawał śpiącego, aby porucznik Dub mógł tymczasem zapomnieć o swoich oklepnych poglądach na ofensywę.

W wagonie, którym jechał Szwejk, nie było Balouna. Na jego prośbę pozwolono mu mianowicie wytrzeć chlebem kocioł po gulaszu. Znajdował się na platformie z kuchniami polowymi w sytuacji bardzo nieprzyjemnej, bo gdy pociąg ruszył, zacny Baloun wpadł do kotła głową na dół, tak że tylko nogi wystawały z gulaszowego naczynia. Ale Baloun przystosował się do tej sytuacji i z kotła odzywało się takie forsowne mlaskanie, jakie bywa słychać, gdy jeź poluje na prusaki. Po chwili ozwało się nawet wołanie:

— Koledzy na miłość boską, rzućcie mi tu kawałek chleba, bo w kotle jest jeszcze sporo sosu.

Ta sielanka trwała aż do następnej stacji, a rezultat był taki, że wewnątrz kotła jedenastej kompanii błyszczało jak nowe.

— Bóg wam zapłać, koledzy — dziękował Baloun serdecznie. — Od czasu, jak jestem na wojnie, szczęście uśmiechnęło się do mnie po raz pierwszy.

Rzeczywiście, Baloun mógł mówić o szczęściu. W Łupkowskiej przełęczy dostał aż dwie porcje gulaszu, a nadporucznik Lukasz, zadowolony, że jego służący przyniósł mu z ku-

chni oficerskiej obiad nie tknięty, dał mu za to dobrą połówę tego obiadu. Baloun czuł się więc całkiem szczęśliwy, bujał nogami spuszczoneymi z wagonu i nagle cała ta wojna wydała mu się czymś miłym, pełnym rodzinnego ciepła.

Kucharz kompanii zaczął sobie z niego pokpiwać, że po przybyciu do Sanoka będzie się gotowało kolację i jeszcze jeden obiad, a mianowicie obiad zaległy, którego nie dostali w drodze. Baloun potakiwał głową z wielkim zadowoleniem i powtarzał co chwila:

— Zobaczycie, koledzy, że Pan Bóg nas nie opuści.

Wszyscy śmieli się serdecznie, a kucharz siedząc na kuchni, zaśpiewał:

Niech się duch wszelki wesoło śmieje,
Chyba nas Pan Bóg nie zapodzieje.
A choćbyśmy się gdzieś zapodzielł,
To i tak dobrze będziemy się mieli.
Choćbyśmy się zapodzieli w rowle,
To i z rowu wyleźliśmy, panowie...

Za stacją Szczawną w dolinkach znowu zaczęły się pokazywać cmentarze żołnierskie. Koło stacji widać było wielki krzyż przydrożny z Chrystusem, któremu pocisk ustrzelił głowę.

Pociąg biegł coraz szybciej z górki na pazurki ku Sankowi, horyzont stawał się coraz szerszy i coraz więcej widać było po obu stronach toru spustoszonych wsi.

Pod Kulaśną widać było w rzeczulce pod nasypem rozbity pociąg Czerwonego Krzyża.

Baloun wytrzeszczył na ten widok oczy. Osobliwie dziwiły go części lokomotywy porzucane na wszystkie strony. Komin maszyny wtłoczony był w masę żelastwa i sterczał z tej masy niby lufa działa 28-centymetrowego.

Widok ten wzbudził także zainteresowanie w wagonie, w którym znajdował się Szwejk. Najbardziej wzburzył się kucharz Jurajda.

— Czyż to wolno strzelać do wagonów Czerwonego Krzyża?
— Nie wolno, ale można — rzekł Szwejk. — Wycelowali akuratnie, a wytłumaczyć się nietrudno, że to było w nocy i że znaków Czerwonego Krzyża nie było widać. W ogóle dużo jest na świecie takich rzeczy, których robić nie wolno, ale można. Najważniejsze to, żeby spróbować, czy zakazanej rzeczy zrobić nie można. Podczas cesarskich manewrów w okolicy Pisku przyszedł rozkaz, że nie wolno wiązać żołnierzy w kij. Ale nasz kapitan wymiarkował, że robić to można, bo taki rozkaz był strasznie śmieszny: każdy przecie mógł łatwo wymiarkować, że żołnierz związany w kij nie mógłby maszerować. Więc się nad tym befelem nie zastanawiał tak bardzo, żołnierzy związanych w kij kazał wrzucać na wóz taborowy i maszerowało się dalej aż miło. Albo weźmy taki przypadek, który zdarzył się u nas przed laty sześciu. W naszej ulicy mieszkał niejaki pan Karlik na pierwszym piętrze. A na drugim piętrze mieszkał student konserwatorium, Mikesz. Ogromnie lubił kobiety i między innymi zaczął się też zalecać do córki tego pana Karlika, który był właścicielem domu transportowego i cukierni, a gdzieś na Morawach miał podobno zakład introligatorski pod jakąś obcą firmą. Otóż, gdy ten Karlik się dowiedział, że ten student zaleca się do jego córki, poszedł do niego do mieszkania i powiada: — Z córką moją żenić się panu nie wolno, mój panie łapserdaku, bo jej panu nie dam! — No dobrze — odpowiedział pan Mikesz — jeśli żenić mi się z nią nie wolno, to się przecie na kawalki nie rozszarpie. — Po dwóch miesiącach pan Karlik przyszedł znowu do tego Mikesza, przyprowadził z sobą nawet swoją małżonkę i obaj rzekli jednogłośnie: — Pan, panie łapserdaku, pozbawił naszą córkę honoru. — Tak jest — odpowiedział Mikesz — pozwoliłem sobie zhańbić ją, szanowna pani. — Ten pan Karlik zaczął na niego niepotrzebnie wrzeszczeć i przypominać mu, że przecie powiedział, że z jego córką żenić mu się nie wolno, bo mu jej nie da, ale mu tamten całkiem rzeczowo odpowie-

dział, że ani myśli się z nią żenić, skoro nie wolno. Wtedy zaś nie było mowy o tym, co wolno. A ponieważ o tym nie było mowy, więc on dotrzyma słowa i prosi, żeby się nie niepokoili, bo on jest człowiekiem charakteru i stałych zasad: córki państwa Karlików nie chce i nigdy chcieć nie będzie. A gdyby z tej racji miał być narażony na prześladowania, to także sobie z tego nic nie robi, bo sumienie ma czyste, a jego nieboszczka mamusia jeszcze na łożu śmiertelnym zaklinała go, żeby nigdy w życiu nie kłamał, on zaś przyrzekł jej to uroczyście, a takie przyrzeczenie obowiązuje. W jego rodzinie w ogóle nikt nie kłamał, on zaś sam miewał w szkole zawsze stopnie celujące. — Widzicie więc — wywodził Szwejk — że wielu rzeczy czynić nie wolno, ale ostatecznie można. Drogi ludzkie mogą być różne, byle cel był wzniosły.

— Drodzy przyjaciele — rzekł jednoroczny ochotnik, który notował coś z wielką gorliwością — nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ten oto pociąg Czerwonego Krzyża wyrzucony w powietrze, na poły spalony i zrzucony z nasypu, wzbogaca sławne dzieje naszego batalionu nowym bohaterским czynem przyszłości. Wyobrażam sobie, że około 16 września, jak to sobie już zaznaczyłem w notatniku, z każdej kompanii naszego batalionu zgłosi się kilku prostych żołnierzy pod wodzą kaprała, jako ochotników do wyrzucenia w powietrze pancernego pociągu nieprzyjacielskiego, który nas ostrzeliwa i nie pozwala nam przejść przez rzekę. Zaszczynie spełnili swoje zadanie przebrani za wieśniaków...

— Co ja widzę! — zawołał jednoroczny ochotnik, zaglądnąwszy w swoje notatki. — W jaki sposób dostał się do moich notatek nasz pan Waniek?

— Słuchaj pan, panie rechnungsfeldfebel — zwrócił się do Wańka — co za piękny artykułik będzie o panu w dziejach batalionu. Zdaje mi się, że już pana gdzieś opisałem, ale

to będzie stanowczo lepsze i wydatniejsze. — I jednoroczny ochotnik zaczął czytać głosem podniesionym i uroczystym:

Bohaterska śmierć sierżanta rachuby, Wańka.

Do ryzykownej wyprawy, mającej na celu wyrzucenie w powietrze pancernego pociągu nieprzyjacielskiego, przyłączył się także sierżant rachuby, Waniek, w przebraniu wieśniaczym, jak i inni uczestnicy tej wyprawy. Wywołanym przez siebie wybuchem został ogłuszony, a gdy odzyskał przytomność, ujrzał się otoczonym przez nieprzyjaciela i niebawem zaprowadzono go do sztabu nieprzyjacielskiej dywizji, gdzie w obliczu śmierci odmówił jakichkolwiek wyjaśnień o sytuacji i sile naszego wojska. Ponieważ ujęty został w przebraniu, przeto jako wywiadowcę skazano go na śmierć przez powieszenie, którą to karę przez wzgląd na jego wysokie stanowisko zamieniono mu na śmierć przez rozstrzelanie. Egzekucja została wykonana natychmiast pod murem cmentarnym, a dzielny sierżant Waniek prosił, aby mu nie zawiązywano oczu. Na pytanie, czy nie ma jakiego specjalnego życzenia, odpowiedział: — Zakomunikujcie za pośrednictwem parlamentariusza mojemu batalionowi ostatnie pozdrowienie ode mnie oraz doniesienie mu, że umieram przekonany, iż nasz batalion kroczyć będzie nadal drogą zwycięstwa. Dalej doniesienie panu kapitanowi Sagnerowi, że według ostatniego rozkazu brygady porcja konserw została podniesiona do półtrzeciej puszki na jednego szeregowca. — Tak umarł nasz sierżant rachuby, wzbudzając ostatnim swoim zdaniem popłoch u nieprzyjaciela, który był przekonany, że broniąc przejścia przez rzekę, odcina nas od punktów zaopatrywania, że więc doprowadzi do rychłego wygłodzenia nas, a tym samym do zdemoralizowania. O jego spokoju, z jakim spoglądał śmierci w oczy, świadczy i ta okoliczność, że przed straceniem grał w zechcyka z nieprzyjacielskimi oficerami sztabowymi. — Kwotę przeze mnie wygraną proszę wręczyć rosyjskiemu Czerwonemu Krzyżowi — rzekł, stojąc przed lufami karabinów. Ta szlachetna wspaniałomyślność wzruszyła obecnych wojskowych aż do łez.

— Niech mi pan wybaczy, panie Wańku — mówił dalej

jednoroczny ochotnik — że pozwoliłem sobie w taki sposób rozporządzić się pieniędzmi przez pana wygranymi. Zastanawiałem się nad tym, czy nie należałoby raczej oddać je austriackiemu Czerwonemu Krzyżowi, ale wreszcie doszedłem do wniosku, że ze stanowiska ludzkiego wszystko to jedno, która humanitarna instytucja te pieniądze otrzyma.

— Mógł ten nasz nieboszczyk przeznaczyć swoje pieniądze rozdawnictwu ciepłej zupy miasta Pragi — rzekł Szwejk — ale właściwie lepiej się stało, bo starosta praski mógłby tę sumę przejeść sam w jakim barze.

— Trudna rada, ale kradną ludzie wszędzie — rzekł telefonista Chodounsky.

— Najwięcej kradną ludziska w Czerwonym Krzyżu — z wielkim gniewem zawolał kucharz Jurajda. — Miałem w Brucku znajomego kucharza, który gotował dla siostrzyczek pracujących w baraku, i ten kucharz powiedział mi, że przełożona i starsze pielęgniarki wysyłają do domu całe skrzynki malagi i czekolady. Do kradzieży zachęca człowieka okazja; powiedziałbym, że takie już jest przeznaczenie człowieka. Każdy człowiek w ciągu swego istnienia przeżył niezliczone przemiany, więc przynajmniej raz musi zjawić się na tym świecie jako złodziej w określonych fazach swej działalności. Sam już przeżyłem jedną taką fazę.

Kucharz-okultysta Jurajda wyjął ze swego tobołka butelkę koniaku.

— Oto jest nieomylny dowód mego twierdzenia — rzekł, otwierając butelkę. — Zabrałem tę butelkę przed odjazdem z kuchni oficerskiej. Koniak ten jest najlepszej marki i przeznaczony był jako dodatek do soków na torty i ptysie. Ale przeznaczeniem jego było, aby go ukradziono, podobnie jak przeznaczeniem moim było, abym się stał złodziejem.

— Byłoby nieźle, gdyby przeznaczenie nasze skazywało nas na współwinowajców pańskich. Nawet mi się zdaje, że tak jest istotnie — rzekł Szwejk.

Przeznaczenie było rzeczywiście nieublagane. Butelka krążyła z rąk do rąk, pomimo protestów sierżanta rachuby Wańka, który twierdził, że koniak trzeba pić kubkiem i że należy podzielić się nim sprawiedliwie, bo wszystkich jest pięciu, więc przy takiej nieparzystej liczbie łatwo może się zdarzyć, iż ten albo ów pociągnie o łyk więcej, niż mu się należy.

Na to odpowiedział Szwejk:

— Całkiem słusznie. Jeśli pan Waniek chce mieć liczbę parzystą, to niech się wyłączy ze spółki, a będzie po sporach i kłopotach.

Waniek cofnął więc swój projekt i zaproponował, aby ofiarodawca Jurajda ustawił się tak, iżby miał możliwość napić się dwa razy, co wywołało burzę protestów, bo ofiarodawca już się raz napił, próbując koniak przy otwieraniu butelki.

Wreszcie przyjęty został projekt jednorocznego ochotnika Marka, żeby pić podług abecadła, uzasadniając to tym, że i w nazwisku też jest niejaki przeznaczenie.

Resztę koniaku dopił Chodounsky, który był pierwszy według abecadła. Towarzyszyło mu gniewnie spojrzenie Wańka, który liczył na to, że ponieważ jest ostatnim, więc będzie miał o jeden łyk więcej, co oczywiście było grubym błędem matematycznym, bo łyków było dwadzieścia i jeden.

Potem grali w stukulkę, a jednoroczniak Marek wygłaszał mnóstwo głębokich sentencji przy kupowaniu kart. Kiedy zaś wytykano mu jakąś niedokładność, odpowiedział wesołą filozoficzną przypowieścią, z czego wszyscy byli bardzo zadowoleni.

Jednoroczny ochotnik Marek miał wyjątkowe szczęście w kartach. Podczas gdy inni przebijali swoje atuty, on miał zawsze kartę wyższą i bił wszystkich, tak że wpadali jeden za drugim. Naprzykrzyła im się wreszcie gra, więc grać przestali, gdy telefonista Chodounsky oświadczył, że przegrał swój żołd za całe półroczce naprzód. Był tym bardzo zgnębiony, a Marek

domagał się rewersów, aby przy wypłacie żołdu należność wypłacana była nie Chodounskiemu, lecz jemu.

— Nie martw się, Chodounsky — pocieszał go Szwejk — jeśli będziesz miał szczęście, to polegiesz w pierwszej potyczce, a Marek dostanie figę, nie twój żołd. Podpisz mu rewers i kpij sobie z niego.

Uwaga o możliwości padnięcia w pierwszej potyczce dotknęła Chodounskiego bardzo niemile. Odpowiedział z całą stanowczością:

— Ja paść nie mogę, bo jestem telefonistą; telefoniści siedzą zawsze w miejscu bezpiecznym, a druty się przeprowadza albo poprawia po potyczkach.

Jednorocznik Marek wywodził, że telefoniści całkiem przeciwnie narażeni są na wielkie niebezpieczeństwo, bo nieprzyjacielska artyleria szuka zawsze przede wszystkim telefonistów. Żaden telefonista w swoim schronie nie jest bezpieczny. Choćby się schron znajdował dziesięć metrów pod ziemią, to i tam go nieprzyjacielska artyleria znajdzie. Że telefoniści giną jak muchy, o tym świadczy fakt, że gdy opuszczał Bruck, to właśnie urządzali tam 28 kurs dla telefonistów.

Chodounsky spoglądał na mówiącego okiem posmutniałym, co pobudziło Szwejka do przyjacielskiej uwagi:

— Całe telefonowanie, to też ładna bujda i szwindel.

— Nie gadajcie, kumie — odpowiedział Chodounsky.

— Zajrzę do swoich notatek — rzekł Marek. — Co też tam jest pod literą Ch? Chodounsky... Aha, jest. Telefonista Chodounsky zasypany przy wybuchu miny. Ze swego grobu telefonuje do sztabu: — Umieram i winszuję batalionowi zwycięstwa.

— Powinieneś być zadowolony — rzekł Szwejk. — Czy może pragniesz dodać coś od siebie? Pamiętasz tego telegrafistę „Titanica“, który gdy statek już tonął, ciągle telegrafował na dół do zanurzającej się kuchni, pytając, kiedy nareszcie będzie obiad.

— Mnie na szczegółach nie zależy — rzekł jednoroczny ochotnik. — Ewentualnie można przedśmiertne zdanie Chodounskiego uzupełnić na przykład okrzykiem: — Pozdrówcie ode mnie naszą żelazną brygadę!

IV

Marschieren! Marsch!

Po wyjeździe do Sanoka okazało się, że ci, co jechali razem z Balounem, który puszczał wiatry po wielkiej wyżerce, mieli rację. Będzie kolacja, a oprócz kolacji rozdawany będzie komiśniak za te wszystkie dni, w których żołnierze chleba nie otrzymywali. Okazało się także, że właśnie w Sanoku znajduje się sztab „żelaznej brygady“, do której przydzielony został batalion 91 pułku piechoty. Ponieważ połączenie kolejowe prowadziło stąd pod sam Lwów, a w kierunku północnym na Wielkie Mosty, przeto było zagadką, dlaczego sztab wschodniego odcinka wydał dyspozycję, aby „żelazna brygada“ ze swoim sztabem koncentrowała się o sto pięćdziesiąt kilometrów od frontu, skoro linia jego szła w owym czasie od Brodów ku Bugowi i ku północy na Sokal.

Ta wysoce interesująca kwestia strategiczna została rozstrzygnięta w sposób wyjątkowo prosty, gdy kapitan Sagner składał w Sanoku meldunek o przybyciu batalionu.

Adiutantem brygady był tam kapitan Tayrle.

— Bardzo się dziwię — rzekł kapitan Tayrle — że nie otrzymaliście wiadomości dokładnych. Marszruta jest pewna. O linii swego marszu powinniście byli, rzecz prosta, powiado-

mić nas zawczasu. Podług dyspozycji sztabu głównego przyby-
liście o dwa dni za wcześniej.

Kapitan Sagner zaczerwienił się z lekka, ale nie przyszło
mu na myśl, aby się legitymować tymi wszystkimi telegra-
mami szyfrowanymi, jakie otrzymywał w ciągu całej jazdy.

— Ja się panu bardzo dziwię — rzekł adiutant Tayrle.

— Zdaje mi się, że wszyscy oficerowie są z sobą na
„ty“ — odpowiedział kapitan Sagner.

— Niech i tak będzie — zgodził się kapitan Tayrle. — Po-
wiedz mi, czyś ty na służbie czynnej, czy rezerwista? Ach
tak, aktywny! A, to całkiem co innego... Tu panuje taki za-
męt, że sam diabeł się nie rozezna w tym wszystkim. Prze-
jechało tędy bardzo wielu takich idiotów poruczników rezer-
wy... Kiedyśmy się cofali spod Kraśnika i od Limanowej, to
wszyscy ci niby-porucznicy potracili głowy, jak tylko zoba-
czyli patrol kozacki. My w sztabie nie lubimy takich pasoży-
tów. Taki fujara po skończeniu gimnazjum wstępuje do woj-
ska albo jako jednoroczniak zda egzamin oficerski, a potem
głupieje dalej jako cywil, a gdy trzeba ruszyć na wojnę, to
taki pan robi ze strachu w majtki.

Kapitan Tayrle splunął i poufale poklepał kapitana Sagne-
ra po ramieniu:

— Zabawicie tu ze dwa dni. Postaram się, żeby wam się
nie przykrzyło. Mamy tu takie ładne dziweczki, „Engel-
huren“. Potańcujemy sobie. Jest tu także córka jednego
generała, która dawniej uprawiała miłość lesbijską. Przebie-
ramy się wszyscy w suknie kobiece i bywa wesoło. Zobaczysz,
co ona potrafi. Taka sucha małpa, że trudno sobie wyobrazić,
ale gusta ma! Ananas pierwszej klasy. Zresztą sam zobaczysz.

— Pardon! — zawołał nagle. — Będę znowu womitował.
Powtarza się to dzisiaj już trzeci raz.

Kiedy po chwili wrócił, tłumaczył się Sagnerowi, że to skut-
ki wczorajszego wieczoru, w którym uczestniczył także oddział

inżynieryjny. Tłumaczył się zaś tylko dlatego, aby kapitan Sagner widział, jak tu bywa wesoło.

Z dowódcą oddziału inżynieryjnego, który miał także stopień kapitana, zapoznał się kapitan Sagner bardzo szybko. Do kancelarii wpadł chłop jak tyka chmielowa, niby w półśnie przeoczył obecność kapitana Sagnera i w tonie najfamiliarniejszym zwrócił się do kapitana Tayrle:

— Co robisz, stara świniu? Wczoraj wieczorem ładnie urządziłeś naszą hrabiankę! Usadowił się na krześle i waląc się trzcina po łydkach, wołał: — Pękam ze śmiechu, gdy sobie przypominam, żeś jej porzygał całe brzucho...

— Masz rację — odpowiedział Tayrle — wczoraj było rzeczywiście bardzo wesoło.

Dopiero potem zapoznał kapitana Sagnera z oficerem przybyłym i przez kancelarię administracyjnego wydziału brygady wszyscy poszli do kawiarni, która zrodziła się nagle w dawnej piwiarni.

Gdy przechodzili przez kancelarię, kapitan Tayrle wziął z ręki oficera inżynierii trzcina i uderzył nią w długi stół, dookoła którego ustawilo się na komendę dwunastu pisarzy wojskowych. Byli to wyznawcy dekowania się przy spokojnej i zgoła bezpiecznej pracy na tyłach armii, mieli ładne okrągłe brzuszki i ubrani byli w odświętne uniformy.

Do tych dwunastu spasionych apostołów dekowania rzekł kapitan Tayrle dla popisania się przed kapitanem Sagnerem i drugim kapitanem:

— Nie wyobrażajcie sobie, że trzymamy was tutaj niby w karmniku. Wy świniu! Trzeba mniej żreć, a więcej biegać!

— Teraz pokażę wam jeszcze inną tresurę — rzekł kapitan Tayrle do towarzyszy.

Znowu uderzył trzcina w stół i zapytał pisarzy stojących przy stole:

— Kiedy popękacie, prosięta?

— Według rozkazu pana kapitana.

Smiejąc się z własnego blażeństwa i idiotyzmu, wyszedł kapitan Tayrle z kancelarii.

Gdy znaleźli się w kawiarni, kapitan Tayrle kazał podać butelkę jarzębinówki i przysłać kilka wolnych panienek. Okazało się, że cała ta kawiarnia, to po prostu najzwyczajniejszy zamtuż. Ponieważ żadna z panienek nie była wolna, kapitan Tayrle rozzłościł się okrutnie, zezwał od ostatnich zarządzającą madam i głośno rozpytywał się, kto jest u panny Elli. Kiedy mu odpowiedziano, że siedzi u niej jakiś porucznik, Tayrle krzyczał jeszcze głośniej.

U panny Elli siedział tymczasem porucznik Dub, który, gdy już batalion rozlokowany był w gimnazjum, zwołał swój oddział i w długim przemówieniu wywodził, że Rosjanie przy odwróceniu wszędzie zakładali domy rozpusty z personelem porażanym chorobami płciowymi, aby tym podstępem narazić armię austriacką na wielkie straty. Niniejszym ostrzega przeto żołnierzy przed udawaniem się do takich domów rozpusty. Sam osobiście przekona się, czy żołnierze usłuchali jego rozkazu, który jest surowy dlatego, że wojsko znajduje się już w strefie przyfrontowej. Każdy żołnierz przyłapany w domu rozpusty będzie pociągnięty przed sąd polowy.

Porucznik Dub poszedł przekonać się osobiście, czy żołnierze nie wykraczają przeciwko jego rozkazowi i dlatego za punkt oparcia dla swojej kontroli wybrał sobie kanapkę panny Elli w pokoiku na pierwszym piętrze tak zwanej miejskiej kawiarni. Na kanapce owej bawił się bardzo mile.

Tymczasem kapitan Sagner powrócił już do swego batalionu. Towarzystwo kapitana Tayrle rozlazło się, bo jego, głowę tego towarzystwa, wzywali do brygady, gdzie generał dowodzący już od godziny szukał swego adiutanta.

Przyszły nowe rozkazy z dywizji i trzeba było oznaczyć ostateczną marszrutę dla przybyłego 91 pułku, ponieważ drogą, jaka była dla niego pierwotnie wyznaczona, według nowych dyspozycji jechać ma marszbatalion 102 pułku.

Wszystko było beznadziejnie poplątane, Rosjanie wycofywali się z północno-wschodniego zakątka Galicji bardzo szybko, tak że niektóre oddziały armii austriackiej pomieszały się tam z sobą, a w tę mieszaninę wbijały się klinem oddziały armii niemieckiej, tworząc chaos potęgowany jeszcze przybywaniem na front nowych marszbatalionów i różnych formacji wojskowych. Tak samo było na odcinkach frontowych, znajdujących się jeszcze dalej na tyłach, jak i tutaj w Sanoku, do którego przybyły nagle rezerwy niemieckiej dywizji hanowerańskiej pod dowództwem pułkownika o tak ponurym spojrzeniu, że brygadier stracił głowę ostatecznie. Pułkownik rezerw niemieckich pokazał mianowicie dyspozycje swego sztabu, według których miał rozlokować swoich żołnierzy w gmachu gimnazjum, zajętym właśnie przez pułk dziewięćdziesiąty pierwszy. Dla ulokowania swego sztabu zażądał opróżnienia domu Banku krakowskiego, w którym właśnie przebywał sztab brygady.

Brygadier połączył się bezpośrednio z dywizją i przedstawił jej sytuację jak najściślej, następnie z dywizją rozmawiał ponury Hanowerczyk, po czym z brygady przyszedł rozkaz:

Brygada wychodzi z miasta o szóstej wieczorem na Turową-Wolską-Starą Sól-Sambor, gdzie otrzyma dalsze rozkazy. Razem z nią idzie marszbatalion 91 pułku jako ochrona według podziału opracowanego w brygadzie: Przednia straż wychodzi na Turową o godzinie pół do szóstej, między południową a północną ochroną boczną odległość trzech i pół kilometra. Straż tylna wyrusza o godzinie kwadrans po szóstej.

W gimnazjum wszczął się z tego powodu wielki ruch; do rozpoczęcia konferencji oficerów batalionu brakło tylko porucznika Duba i Szwejkowi polecono odszukać go.

— Mam nadzieję, że znajdziecie go bez wielkiego trudu, bo stale coś z sobą macie — rzekł nadporucznik Lukasz.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że proszę o pi-

semny rozkaz dowództwa kompanii. Właśnie dlatego, że zawsze coś z sobą mamy.

Podczas gdy nadporucznik Lukasz na kartce notatnika wypisywał wezwanie, aby porucznik Dub przybył natychmiast na konferencję, Szwejk meldował dalej:

— Tak jest, panie oberlejtnant, i tym razem, jak zawsze, może pan być pewien, że go znajdę. Ponieważ żołnierzom nie wolno chodzić do domów rozpusty, więc pan porucznik Dub na pewno siedzi w jednym z nich, aby się przekonać, czy za przekroczenie tego zakazu nie udałoby się pociągnąć któregoś z żołnierzy przed sąd polowy, którym zawsze wszystkich straszy. On sam uprzedził żołnierzy swego oddziału, że zbada wszystkie burdele i że biada przyłapanym, bo go potem poznają ze złej strony. Zresztą ja wiem, gdzie on jest. Siedzi w tej kawiarni naprzeciwko, bo wszyscy żołnierze patrzyli za nim, aby wiedzieć, który z tych domów zbada najpierw.

„Połączone Domy Rozrywek i Kawiarnia Miejska“, czyli przedsiębiorstwo, o którym Szwejk wspominał, było podzielone na dwie części. Kto nie chciał przechodzić przez kawiarnię, wchodził od tyłu, gdzie wygrzewała się na słońcu jakaś stara kobieta. Po niemiecku, po polsku i po węgiersku przemawiała ona do przybywających mniej więcej tymi słowami:

— Niech pan pozwoli, panie żołnierzu, mamy tu bardzo ładne panienki.

Gdy pan żołnierz przyjmował zaproszenie, prowadziła go korytarzem do jakiegoś przedpokoju czy poczekalni i wołała jedną z panienek, która przybiegała natychmiast w koszuli. Naprzód żądała pieniędzy, które z kolei inkasowała madam, podczas gdy pan żołnierz odpinał bagnet.

Oficerowie wchodziłi przez kawiarnię. Droga panów oficerów była nieco trudniejsza, bo prowadziła przez pokoje tylne; był tam dobór drugiej partii, przeznaczonej dla szarż oficerskich; były tam też koronkowe koszulki i pijano tam wino i likiery. Madam surowo przestrzegła obyczajów i na nic

tu nie zezwalała; wszystko odbywało się na górze w pokojach. W jednym z takich rajów na kanapie pełnej pluskiew leżał w kalesonach porucznik Dub, a panna Ella opowiadała mu zmyśloną, jak to już zawsze bywa, tragedię swego życia jej ojciec — wywodziła — był fabrykantem, ona zaś sama nauczycielką w liceum w Budapeszcie, a puściła się z nieszczęśliwej miłości.

Za porucznikiem Dubem na stoliku pod ręką stała butelka jarzębinówki i kieliszki. Ponieważ butelka była opróżniona dopiero do połowy, a porucznik Dub i panna Ella mówili już od rzeczy, widać było, że porucznik nie ma tegiej głowy. Ze słów jego łatwo też można było wywnioskować, że mu się w głowie wszystko pomieszało i że pannę Ellę uważa za swego służącego Kunerta. Nazywał ją też Kunertem i zwyczajem swoim groził jej stale:

— Kunercie, Kunercie, bestio jedna, poznasz ty mnie kiedyś ze złej strony...

Szwejką chciano poddać tej samej procedurze, jakiej poddawano wszystkich innych żołnierzyków, którzy przybywali tu wchodząc tylnym wejściem, ale on wyrwał się statecznie jakiejś dziewczynie w koszuli. Na jej krzyk przybiegła madam i w żywe oczy łągała, że nie bawi u niej żaden pan lejtnant.

— Niech szanowna pani nie wyjeżdża na mnie z pyskiem — rzekł uprzejmie Szwejk, uśmiechając się słodko — bo trzasnę w zęby. U nas, przy ulicy Płatnerskiej pewnego razu sprali taką madam tak dokumentnie, że straciła przytomność. Syn tam szukał ojca swego, niejakiego Wondraczka, handel pneumatykami. Tamta madam nazywała się Krzowanowa, ale gdy ją ocucili i pytali jej się o imię, to odpowiedziała, że nazywa się jakoś na „Ch“. A jaka godność szanownej pani?

Czcigodna matrona zaczęła straszliwie wrzeszczeć, gdy po tych słowach Szwejk ją odepchnął i z wielką powagą szedł po drewnianych schodach na pierwsze piętro.

Na dole zjawił się sam właściciel tego domu, jakiś zubożały panek. Poleciał za Szwejkem po schodach i zaczął go szarpać za bluzę, wykładając mu po niemiecku, że na piętro wchodzić mu nie wolno, bo to dla panów oficerów, a dla wojska na dole.

Szwejk powiedział mu, że przybywa tutaj w interesie całej armii i że szuka pewnego pana porucznika, bez którego armia nie może wyruszyć w pole. Gdy zaś właściciel poczynił sobie coraz napastliwiej, Szwejk zepchnął go po schodach na dół, a sam zabrał się do przeglądania pokojów. Przekonał się, że wszystkie pokoje są puste i dopiero na samym końcu korytarza, gdy ujął za klamkę, odezwał się wrzaskliwy głos panny Elli: „Besetz t!“, a w ślad za nią przemówił porucznik Dub, któremu zdawało się widać, że jest jeszcze w swoim pokoju w obozie: „Herein!“

Szwejk wszedł do pokoju, zbliżył się do kanapy i oddając kartkę z wezwaniem porucznikowi Dubowi, rozglądał się po pokoju, gdzie porozrzucane były części garderoby pana porucznika, i meldował:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że ma się pan ubrać i stawić się natychmiast podług tego rozkazu, który panu wręczam, w naszych koszarach w gimnazjum, bo odbywamy tam wielką naradę wojenną.

Porucznik Dub wytrzeszczył na niego oczy o malutkich źrenicach, ale opamiętał się, że nie jest znowu tak dalece wstawiony, iżby Szwejka poznać nie mógł. Przyszło mu jednak na myśl, że posyłają mu Szwejka do raportu, więc rzekł do niego:

— Zaraz zabiorę się do ciebie. Zobacysz — co — z tego — będzie...

— Nalej mi jeszcze jeden, Kunercie — zwrócił się do panny Elli.

Napił się i drąc rozkaz pisany, śmiał się:

— To ma być — zaświadczenie? U — nas — żadne — zaświadczenie — nie — nie znaczy. Teraz — jest — wojna — a nie — szkoła. — No, bratku — złapaliśmy — cię — w burdelu — co? Chodź — no tu — Szwejk — bliżej — dostaniesz — po — pysku. W którym — roku — Filip — Macedoński — pobił — Rzymian — tego — nie — wiesz — ty — ogierze!

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — nastawał Szwejk nieubłaganie dalej — że to jest najwyższy rozkaz z brygady, że panowie oficerowie mają się ubrać i pójść na konferencję batalionową, bo ruszamy w pole, a teraz ma być zadecydowane, która kompania będzie strażą przednią, boczną lub tylną. Teraz będzie o tym mowa, a ja sędzę, że i pan lejtnant powinien zabrać głos w tej sprawie.

To dyplomatyczne przemówienie trochę porucznika Duba oprzytomniło. Zaczynał się orientować, że jednak nie jest w koszarach, ale dla pewności zapytał:

— Gdzie to ja jestem?

— Raczy pan się znajdować w burdelu, panie lejtnant. Ludzie bowiem różnymi chadzają drogami.

Porucznik Dub odsapnął ciężko, wstał z kanapy i zaczął zbierać części swego uniformu, przy czym Szwejk mu pomagał. Gdy porucznik był już ubrany, wyszli obaj razem z pokoju, ale po chwili Szwejk wrócił i nie zwracając uwagi na pannę Ellę, która z nieszczęśliwej miłości natychmiast układała się w łóżku, wypił resztę jarzębinówki i pośpieszył za porucznikiem.

Na ulicy znowu wódka uderzyła porucznikowi Dubowi do głowy, ponieważ był wielki upał. Opowiadał Szwejkowi największe głupstwa bez jakiegokolwiek związku. Mówił, że w domu ma markę pocztową helgolańdzką i że natychmiast po maturze poszli z kolegami grać w bilard i nie ukłonili się wychowawcy klasowemu. Przy każdym zdaniu dodawał:

— Sędzę, że mnie należycie rozuwajecie.

— Tak jest, rozumiem pana należycie — odpowiedział Szwejk. — Mówił pan lejtnant mniej więcej tak samo, jak blacharz Pokorny w Budziejowicach. Gdy go ludzie zapytywali, czy się tego roku kąpał w Malszy, odpowiadał: — Nie kąpałem się, ale za to urodzi się latoś dużo węgierek. — Albo go pytali: — czy jadł pan latoś grzyby? — A on odpowiadał: — Nie jadłem latoś grzybów, ale ten nowy sułtan marokański ma być podobno bardzo porządnym człowiekiem.

Porucznik Dub przystanął i zawołał:

— Sułtan marokański? Ten facet już nic nie znaczy. — Otarł pot z czoła i spoglądając na Szwejka oczyma zamglonymi, mruzczał: — Nawet zimą nie pocilem się tak jak teraz. Zgadzasz pan się ze mną? Zrozumiałeś pan?

— Rozumiem, panie lejtnant. Do naszej gospody „Pod kielichem“ chodził pewien starszy pan, niejaki radca emerytowany z Komisji Krajowej, i twierdził słowo w słowo to samo. Mawiał zawsze, że mu dziwno, iż taka jest różnica między temperaturą letnią a zimową. I bardzo się dziwił, że ludzie tej przyczyny jeszcze nie poznali.

— W bramie gimnazjum Szwejk opuścił porucznika Duba, który zataczając się wszedł po schodach na piętro do auli, gdzie odbywała się narada wojenna, i natychmiast zameldował się kapitanowi Sagnerowi jako zupełnie pijany.

Gdy wszystkie dyspozycje były już opracowane, a kompanii nadporucznika Lukaszka wyznaczono zostało zadanie straży przedniej, zerwał się Dub na równe nogi i rzekł:

— Pamiętam, panowie, naszego klasowego profesora w ósmej klasie: Chwała mu! Chwała mu! Chwała mu!

Nadporucznikowi Lukaszowi przyszło na myśl, że będzie najlepiej, gdy porucznika Duba ułoży jego służący, Kunert, w gabinecie fizykalnym, gdzie stała straż, aby ktoś nie ukradł reszty nierozkradzionych jeszcze minerałów gabinetu. Na pilnowanie tego gabinetu stale zwracało uwagę dowództwo brygady.

Troskliwość dowództwa zrodziła się w chwili, gdy jeden

z batalionów honwedów, ulokowany w gimnazjum, zabrał się do rabowania gabinetu. Honwedom podobał się osobiście zbiór minerałów, barwne kryształy i kamyki, więc ich sobie ponapychali do tornistrów.

Na jednym z okolicznych cmentarzyków znajduje się biały krzyż z napisem: „Laszlo Gargany“. Pod tym krzyżem śpi snem wiecznym jeden honwed, który podczas rabowania tego gabinetu wypił wszystek denaturowany spirytus z naczynia, w którym znajdowały się różne płazy.

Wojna światowa wymordowywała pokolenie ludzkie nawet przy pomocy spirytusu konserwującego węże.

Gdy się wszyscy porozchodzili, nadporucznik Lukasz wezwał służącego porucznika Duba, Kunerta, i kazał mu ułożyć pijanego na kanapie w gabinecie.

Porucznik Dub stał się nagle grzeczny jak małe dziecko. Ujął Kunerta za rękę, zaczął się przyglądać jego dłoni i zapewniał go, że z dłoni wyczyta imię jego przyszłej małżonki.

— Jak pan się nazywa? Niech pan wyjmie notatnik i ołówek z kieszeni mej bluzy. Więc nazywa się pan Kunert. No to przyjdź pan za kwadrans, a ja zostawię tu dla pana kartkę z imieniem pańskiej małżonki.

Ledwie wymówił te słowa, zasnął i chrapał, ale rychło się przebudził i zaczął coś pisać w swoim notatniku. Co napisał, to wyrывał i rzucał na podłogę, a kładąc palec na ustach, marmotał:

— Teraz jeszcze nie, dopiero za kwadrans. Najlepiej będzie szukać papierku z oczyma zawiązanymi.

Kunert był takim zdeklarowanym poczciwcem, że po kwadransie przyszedł istotnie, zbierał papierki i na jednym z nich wyczytał:

— Imię pańskiej przyszłej małżonki: pani Kunertowa.

Gdy po chwili karteczkę pokazywał Szwejkowi, ten poradził mu, aby ją sobie dobrze schował, bo na wojnie takie dokumenty pochodzące od panów oficerów są osobiście cenne.

Dawniej tego nigdy nie było, żeby oficer korespondował ze swoim służącym i żeby się do niego odzywał per „panie“.

Gdy wszystkie przygotowania do wymarszu były według ustalonych dyspozycji wykonane, generał brygady, który tak ładnie został wyświecony przez hanoverańskiego pułkownika, kazał cały batalion ustawić w czworobok i wygłosił do niego przemowę. Ten pan w ogóle bardzo lubił wygłaszać mowy, więc ględził piąte przez dziewiąte, a gdy już nie wiedział, co by tak jeszcze powiedzieć, przypomniał sobie pocztę polową.

— Żołnierze! — grzmiał jego głos na cały batalion. — Obecnie zbliżamy się ku frontowi nieprzyjacielskiemu, od którego dzieli nas kilka marszów dziennych. Dotychczas, żołnierze, nie mieliście możności przesłać swoim miłym, których opuściliście, adresu, aby wiedzieli, jak do was pisać trzeba, iżby was uradowali domownicy wasi listami pełnymi dobrych wiadomości.

Jakoś nie wiedział, co ma powiedzieć dalej, i z dziesięć razy powtarzał słowa o ukochanych krewnych, drogich domownikach, opuszczonych, miłych itd., aż wreszcie wyrwał się z tego zaczarowanego koła potężnym okrzykiem:

— Od tego mamy poczty polowe na froncie!

Dalszy ciąg jego mowy wyglądał tak, jakby wszyscy ci ludzie w szarych uniformach powinni byli pójść na śmierć z największą uciechą jedynie dlatego, że na froncie istnieją poczty polowe i że jeśli komuś granat oberwie obie nogi, to śmierć musi być dla takiego nieszczęśnika wielką przyjemnością, gdy pomyśli, że jego poczta polowa ma numer 72 i że na tej poczcie leży może list z domu od jego dalekich krewnych, a przy liście jest paczka z kawałem wędzonki, słoniny i sucharów domowych.

Po mowie tej, gdy orkiestra wojskowa odegrała hymn cesarski i gdy wzniesiono trzykrotny okrzyk na cześć cesarza, poszczególne grupy tego mięsa ludzkiego, przeznaczonego dla armat, ruszyły po kolei w drogę.

Kompania jedenasta wyszła o pół do szóstej na Turową-Wolską. Szwejk włókł się w tyle ze sztabem kompanii i z sanitariuszami, a nadporucznik Lukasz objeżdżał całą kolumnę i co chwila zajeżdżał ku sanitariuszom, aby się przekonać, czy dobrze został ułożony na sanitariackim wózku porucznik Dub, wieziony ku bohaterskim czynom nieznaney przyszłości. Dla zabicia nudy nadporucznik Lukasz wdawał się w rozmowę ze Szwejkem, który cierpliwie dźwigał swój plecak i karabin i opowiadał sierżantowi rachuby, Wańkowi, o tym, jak to się ładnie maszerowało onego czasu na manewrach koło Wielkiego Międzyrzecza.

— Okolica była zupełnie taka sama jak tutaj, tylko że nie maszerowali tak „feldmässig“, bo wtedy nawet nikt nie wiedział, co to są rezerwowe konserwy. Jeśliśmy czasem konserwy fasowali, tośmy je na najbliższym noclegu zeżarli, a zamiast puszek wkładaliśmy do plecaka cegłę. W jednej wsi przybyła inspekcja i powyrzucała nam cegły z plecaków, a było ich tyle, że z tych cegieł człowiek niejaki wybudował sobie później domek familijny.

Po chwili maszerował Szwejk przy koniu nadporucznika Lukasa i opowiadał o pocztach polowych:

— Ładna była ta mowa i każdemu jest bardzo przyjemnie, gdy mu do wojska poślą jaki ładny list z domu. Ale gdy ja służyłem w wojsku w Budziejowicach, to dostałem całego kramu tylko jeden list, który noszę zawsze przy sobie.

Szwejk wyjął z brudnego i wymiętego portfela zatłuszczony list i dotrzymując kroku koniowi nadporucznika Lukasa, który popędział swego wierzchowca, czytał:

— Ty łobuzie obrzydliwy, ty morderco i łotrze! Pan kapral Krzyż przyjechał do Pragi na urlop, więc z nim tańcowałam u „Indyków“, a on mi opowiadał, że ty w Budziejowicach tańcujesz „Pod zieloną żabą“ z jakąś głupią flądą i że mnie już na dobre puściłeś kantem. Żebyś wiedział, że list ten piszę w wychodku na desce koło dziury i już koniec z nami. Twoja

dawna Bożena. Aha, żebym nie zapomniała. Ten kapral, to majster i będzie cię szykanował porządnie, bo go o to prosiłam. I jeszcze muszę ci napisać, że mnie nie znajdziesz śród żyjących, jak przyjedziesz na urlop.—

— Naturalnie — wywodził Szwejk, biegnąc łagodnym truchcikiem — kiedy przyjechałem na urlop, to była między żyjącymi i jeszcze między jakimi żyjącymi! Spotkałem się z nią także u „Indyków“, gdzie ubierali ją dwaj żołnierze z jakiegoś obcego pułku, a jeden z nich był taki żwawy, że publicznie sięgał pod jej sukienkę, jakby chciał, posłusznie melduję, panie oberlejtnant, wy dostać stamtąd puszek jej niewinności, jak się wyraża powieściopisarka, pani Wiencesława Lużycka. W podobny sposób odezwała się na lekcji tańca pewna szesnastoletnia panienka do gimnaziasty, który w tańcu uszczypnął ją w ramię: — Panie, pan starł puszek mego panięstwa! — I wybuchła płaczem. Oczywiście, że wszyscy się z tego śmieli, a jej matka wyciągnęła swoją głupią córunię na korytarz i sprząła ją po łbie. Ja, proszę pana oberlejtnanta, jestem zdania, że wiejskie dziewczyny są jednak szersze niż te mizdrzące się panienki miejskie, które chodzą na lekcje tańca. Kiedy przed laty staliśmy w obozie w Mniszku, to chodziłem na tańce do Starego Knina, namówiłem tam sobie niejaką Karolinę Weklewównę, ale nie bardzo się jej podobałem. Pewnego wieczora niedzielnego poszedłem z nią nad staw, usiedliśmy sobie na grobli, a gdy słońce zachodziło, zapytałem się jej czy mnie lubi. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że wieczór był ciepły, wszystkie ptaszki śpiewały, a ona mi odpowiedziała z okrutnym śmiechem:

— Owszem lubię cię jak zadrę w dupie. Przecież jesteś głupi.

— A ja byłem naprawdę głupi, taki straszliwie głupi, bo, posłusznie melduję, panie oberlejtnant, chodziliśmy po miedzach w wysokim zbożu, gdzie nie było żywego ducha, i nawet nie przysiedliśmy, a ja pokazywałem jej ciagle całe to błó-

gosławieństwo boże i mówiłem jej, tej wiejskiej dziewczynie, że to jest żyto, a to pszenica, a tamto znowu, to owies.

Jakby na potwierdzenie tego owsa gdzieś na czele kolumny dobrzmiewały głosy żołnierzy śpiewających pieśń, z którą pułki czeskie chodziły już pod Solferino, aby krwawić się i ginąć za Austrię:

A gdy było po północy,
Owies z worka wyskoczył.
Zupajdija, żupajda
Każda panna da...

Co znowu uzupełniały inne głosy:

Oj da, oj da, oj da,
Bo czemuż nie dać ma?
Gdy się gratka nadarzy,
Da ci buzi dwa razy!
Zupajdija, żupajda
Każda panna da!
Oj da, oj da, oj da,
Bo czemuż nie dać ma?

Potem Niemcy zaczęli śpiewać tę samą piosnkę po niemiecku.

Jest to stara piosnka żołnierska, którą soldateska śpiewała być może już podczas wojen napoleońskich we wszystkich językach. Teraz grzmiała uciechą wśród kurzawy szosy. Okolice Turowej-Wolskiej po obu stronach szosy aż po zielone pagórki na południu pola były stratowane i zniszczone kopytami koni i podeszwami tysięcy i setek tysięcy ciężkich butów wojskowych.

— Tak samo urządziliśmy jedno pole podczas manewrów w okolicy Pisku — odezwał się Szwejk, rozglądając się dookoła. — Był tam z nami jeden pan arcyksiążę, ale to był pan bardzo sprawiedliwy, bo gdy ze względów strategicznych włączył się ze sztabem swoim po polu obsianym zbożem, to tuż za nim jechał adiutant, który całą wyrządzoną szkodę szacował. Niejaki Picha, gospodarz wiejski, nie umiał się cieszyć

z takich wysokich odwiedzin i nie przyjął od urzędu skarbowego osiemnastu koron odszkodowania za pięć morgów stratanego zboża, chciał się prawować i dostał za to, panie oberlejtnant, osiemnaście miesięcy. A ja sędzę, panie oberlejtnant, że właściwie powinien się był cieszyć, że ktoś z domu cesarskiego przebywał na jego gruncie. Inny gospodarz, trochę sprytniejszy, byłby wszystkie swoje dziewczuchy poubierał w białe sukienki jako druchny, byłby im powkładał w ręce bukiety i porozstawiał je na swoich gruntach, żeby witały dostojnego pana. Czytałem kiedyś o wielkim władcy indyjskim, którego poddani tak samo pozwalali się trutować takiemu słoniowi.

— Co wy wygadujecie, Szwejku? — wołał na niego nadporucznik Lukasz.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że mówię o słoni, który na swoim grzbiecie dźwigał tego władcę, o którym czytałem.

— Bardzo dobrze, mój Szwejku, że umiecie wszystko należycie wytłumaczyć — rzekł nadporucznik Lukasz i ruszył zwa-
wiej ku czołu kolumny.

Kolumna rwała się coraz bardziej. Żołnierze nie przyzwyczajeni do maszerowania, po długim wypoczynku w pociągu i obciążeni pełnym ekwipunkiem polowym, czuli zmęczenie i ból w ramionach i każdy sprawiał sobie ulgę, jak umiał. Przekładali karabiny z ramienia na ramię, większość nie niosła ich już na pasie, ale taszczyła je niedbale jak jakie widły czy grabie. Niejeden myślał, że mu będzie lepiej, gdy pójdzie miedzą lub rowem, gdzie grunt czuło się pod nogami miększy niż na zakurzonej szosie.

Ludzie szli przeważnie z głowami pochylonymi ku ziemi i wszyscy mieli wielkie pragnienie, bo chociaż słońce już zaszło, było tak samo duszno i parno jak w południe, a żaden z żołnierzy nie miał ani kropli wody we flaszcze polowej. Był to pierwszy dzień marszu, a ta niezwykła sytuacja, będąca jak-

by wstępem do coraz większych udręk, osłabiała wszystkich coraz bardziej i przygnębiała. Przeszali też śpiewać i zaczęli w rozmowach ze sobą zgadywać, jak też może być daleko do Turowej-Wolskiej i gdzie się będzie nocowało. Niektórzy siadali na chwilę w rowie, a dla zamaskowania tego kradzionego odpoczynku zdejmowali obuwie i na pierwsze spojrzenie wywierali wrażenie ludzi, którzy źle owinęli stopy onuczka i teraz poprawiają je, aby im nie przeszkadzały w marszu. Inni znowu skracali lub podłużali pasa od karabinu, zdejmowali plecaki i przekładali w nich swoje rzeczy, jakby im chodziło o równomierny rozkład ciężaru na oba ramiona. Gdy nadporucznik Lukasz zbliżał się do nich, wstawali i meldowali, że coś ich tam uwierało i że trzeba było poprawić. Oczywiście, najczęściej wpędzali ich z powrotem do szeregu plutonowi lub kadeci, gdy z daleka widzieli nadjeżdżającego nadporucznika Lukasa.

Mijając ich, nadporucznik Lukasz dość grzecznie zachęcał ich do dalszego maszerowania, mówiąc, że do Turowej-Wolskiej już tylko trzy kilometry, a tam będzie odpoczynek.

Tymczasem zbudził się i oprzytomniał porucznik Dub, podrzucany na wszystkie strony sanitariacką dwukółką, na której go ułożono. Nie oprzytomniał wprawdzie na dobre, ale zdołał się już usadowić i wychylić z wózka. Zaczął krzyżeć na sztab kompanii, ponieważ wszyscy, od Balouna aż po Chodounskiego, poukładali swoje toboły na dwukółkach. Tylko Szwejk kroczył statecznie z plecakiem na ramionach i z karabinem zawieszonym po dragońsku na piersi. Palił fajkę i śpiewał:

Gdyśmy szli do Jaromierza,
Niech nam wierzą czy nie wierzą,
Dostaliśmy tam wieczerzą...

Dalej niż na pięćset kroków przed porucznikiem Dubem wznosiły się nad szosą chmury kurzu, otaczającego żołnierzy gęstą mgłą. Porucznik Dub, który odzyskał tymczasem swój

zapał wojenny, wychylił się z dwukółki i zaczął ryczeć w te kłęby kurzu:

— Żołnierze! Nasze wzniosłe zadanie jest trudne, oczekują nas ciężkie marsze, najróżniejsze niedostatki, braki wszystkiego i różne udręki. Ale z całkowitym zaufaniem oczekuję od was dowodów wytrwałości i siły woli.

— Ach ty wole! — mruknął Szwejk w odpowiedzi na to wezwanie.

Porucznik Dub improwizował dalej:

— Dla was, żołnierze, żadna przeszkoda nie jest tak wielką, byście nie zdołali jej pokonać. Jeszcze raz, żołnierze, powtarzam wam, że nie prowadzę was ku zwycięstwu łatwemu. Twardy to dla was będzie orzech do zgryzienia, ale wy go zgryzicie. A dzieje wieków głosić będą waszą chwałą.

— Jest to cnota nad cnotami... — deklamował Szwejk.

Porucznik Dub na chwilę zamilkł, jakby właśnie chciał uprawiać cnotę trzymania języka za zębami, ale w rzeczywistości zaczął womitować i dopiero gdy mu trochę ulżyło, wrzasnął z całej siły:

— Żołnierze naprzód! — Natychmiast wszakże opadł z powrotem na tobołek telegrafisty Chodounskiego i spał bez przerwy aż do Turowej-Wolskiej, gdzie go wreszcie zbudzono i ściągnięto z wozu na rozkaz nadporucznika Lukasa, który miał z nim uciążliwą i długą rozmowę. Porucznik otrzeźwiał ostatecznie tak dalece, że zdołał oświadczyć:

— Logicznie rzeczy biorąc, zrobiłem głupstwo, ale naprawię je w obliczu nieprzyjaciela.

Musiał jednak nie być jeszcze całkiem trzeźwy, bo oddalając się od swego oddziału, rzekł do nadporucznika Lukasa:

— Jeszcze wy mnie nie znacie, ale poznacie mnie!

— Niech pan się poinformuje u Szwejka o tym wszystkim, co pan wyrabiał.

Przed udaniem się więc do swego oddziału, porucznik Dub

poszedł do Szwejka, którego znalazł w towarzystwie Balouna i sierżanta rachuby Wańka.

Baloun opowiadał właśnie o tym, że u siebie w młynie miewał zawsze butelkę piwa w studni i że piwo było takie zimne, aż zęby drętwiały. I w innych młynach wszędzie zapijano takim piwem gomółki, ale on w żarłoczności swojej, za którą teraz Pan Bóg go karze, zjadał po gomółkach jeszcze kawał mięsa. A teraz oto sprawiedliwość boża ukarała go ciepłą naśmierdłą wodą ze studni w Turowej-Wolskiej, do której to wody żołnierze dla zabezpieczenia się przed cholera wysypywać musieli kwas cytrynowy, rozdany im przed chwilą, gdy plutony fasowały wodę ze studzien. Baloun wyraził przekonanie, że ten kwas cytrynowy jest chyba na to tylko, żeby w ludziach wzbudzać tym większy apetyt. Nie można co prawda zaprzeczyć, że w Sanoku trochę się pożywił, co więcej, że oberlejtant Lukasz podarował mu połowę porcji cielęciny, którą Baloun przyniósł dla niego z brygady, ale swoją drogą jest to rzecz okropna, iż jedzenia jest tak mało, bo przez całą drogę był przekonany, że gdy przybędą gdzieś na nocleg, to dostaną porządną kolację. Był o tym przekonany tym bardziej, gdy kucharze nabierali wody do kotłów; zaraz też poszedł się przepytac, co i jak, ale mu odpowiedzieli, że tymczasem kazano naczepać wody, ale za chwilę może przyjść rozkaz, że wodę trzeba wylać.

W tej właśnie chwili zbliżył się do nich porucznik Dub, a ponieważ nie miał zwykłej pewności siebie, więc zapytał:

— Rozmawiacie sobie?

— Rozmawiamy sobie, panie lejtnant — odpowiedział w imieniu wszystkich Szwejk. — Bawimy się wesoło, bo zawsze najlepiej jest dobrze się bawić. Właśnie rozmawiamy o kwasie cytrynowym. Bez przyjemnej rozmowy żaden żołnierz wytrzymać nie może, jako że przy rozmowie zapomina się o trudach wojennych.

Porucznik Dub wezwał go, żeby mu kawałek drogi towa-

rzyszył, bo ma go o coś zapytać. Kiedy oddalili się od reszty żołnierzy, rzekł do Szwejka strasznie niepewnym głosem:

— A czy nie rozmawialiście o mnie?

— Bynajmniej, panie lejtnant, nic podobnego, tylko rozmawialiśmy o kwasie cytrynowym i o mięsie wędzonym.

Oberlejtnant Lukasz mówił mi, że niby coś wyrabiałem, a wy, Szwejku, macie o tym jakoby wiedzieć.

Szwejk z wielką powagą i z naciskiem odpowiedział:

— Nic takiego pan nie wyrabiał, panie lejtnant, był pan tylko z wizytą w pewnym domu rozpusty. Ale to musiało być przez pomyłkę. Blacharza Pimpra z Koziego Placyku też zawsze musieli szukać, gdy wybierał się do miasta po blachę, i znajdowali go w takim samym lokalu albo u Szuhów, albo u Dworzaków, jak ja znalazłem pana lejtnanta. Na dole była kawiarnia, a na górze w naszym przypadku były dziewczyny. Pan lejtnant widać nie bardzo się orientował, gdzie się znajduje, ponieważ było bardzo gorąco, a gdy człowiek nie jest przyzwyczajony do picia, to przy takim gorącu upije się nawet zwykłym arakiem, nie tylko jarzębinówką, jak pan, panie lejtnant. Więc otrzymałem rozkaz wręczenia panu zaproszenia na konferencję, która miała się odbyć przed wyruszeniem w pole, no i znalazłem pana porucznika u tej dziewczyny na górze. Skutkiem tego gorąca i tej jarzębinówki pan mnie wcale nie poznał i leżał pan tam na kanapie rozebrany. Wcale pan tam nic nie wyrabiał i nie mówił pan: Wy mnie jeszcze nie znacie. Taka rzecz może się przytrafić każdemu, gdy jest tak gorąco. Niejeden lata za takimi przygodami jak opętany, drugiemu przytrafi się taka rzecz jak ślepej kurze ziarno. Gdyby pan był znał, panie lejtnant, starego Wejwodę, to by pan wiedział, co się może stać człowiekowi na tym świecie. Postanowił on mianowicie, że nie będzie używał żadnych napojów, jakimi można się upić. Więc kazał sobie nalać jeszcze jednego na drogę i ruszył w świat na poszukiwanie napojów bez alkoholu. Najsampierw zatrzymał się w go-

spodzie „Przystanek“, kazał sobie podać ćwiarteczkę wermutu i nieznacznie zaczął przepytawać gospodarza, co też pijają ci niby abstynenci. Całkiem słusznie wyrozumował, że czysta woda byłaby nawet dla abstynentów napojem okrutnym. Gospodarz wytłumaczył mu tedy, że abstynenci piją wodę sodową, limoniadę, mleko, a następnie wina bez alkoholu, napoje chłodzone i podobne rzeczy czyste. Z tego wszystkiego najbardziej przemówiły do przekonania tego Wejwody owe wina bez alkoholu. Zapytał potem, czy istnieją wódki bez alkoholu, wypił jeszcze jedną ćwiarteczkę, porozmawiał z gospodarzem o tym, że to doprawdy grzech schlać się zbyt często, na co gospodarz mu odpowiedział, że wszystko na świecie znieść potrafi, tylko nie pijanego człowieka, który uchla się Bóg wie gdzie, i do niego przyjdzie wytrzeźwieć przy flaszcze wody sodowej i jeszcze zrobi piekło. — Schlaj się u mnie — powiada szynkarz — to cię będę uważał za swego, ale jak się upijasz gdzie indziej, to cię znać nie chcę. Stary Wejwoda dopił swoje i poszedł dalej, aż dotarł, panie lejtnant, na plac Karola do handlu winem, w którym bywał już dawniej, i pytał, czy nie mają win bez alkoholu. Win bez alkoholu nie mamy, panie Wejwodo — odpowiedzieli mu — ale gdyby pan chciał wermutu albo sherry... Stary Wejwoda wstydział się odejść bez spożycia czegoś, więc wypił ćwiartkę wermutu i ćwiartkę sherry, a podczas gdy siedział i pił, zapoznał się, panie oberlejtnant, z pewnym człowiekiem, który też był abstynentem. Pogadali ze sobą, wypili jeszcze po ćwiartce i wreszcie ten nowy znajomy wygadał się, że wie, gdzie mają wina bez alkoholu. — Jest to przy ulicy Bolzano, schodzi się tam po schodach na dół i mają tam gramofon. — Za tę dobrą wiadomość pan Wejwoda zafundował całą butelkę wermutu, a potem ruszyli obaj na ulicę Bolzano, gdzie to się schodzi po schodach na dół i gdzie mają fonograf. I rzeczywiście, tam podawano tylko wina owocowe bez alkoholu. Najprzód każdy kazał sobie podać pół litry wina agrestowego, po-

tem pół litra wina porzeczkowego bez alkoholu, ale zaczęło im się robić ciepło po tych wszystkich wermutach i sherry, które przedtem wypili, więc dalejże hałasować i domagać się urzędowego potwierdzenia, że to wino, co piją, jest rzeczywiście bez alkoholu. Bo oni są abstynenci, a jeśli nie przedstawią im takiego zaświadczenia, jakiego żądają, to wszystko porozbijają w drobne kawałki razem z gramofonem. Potem policjant musiał ich obu taszczyć po tych schodach na górę, żeby ich wywlec na ulicę Bolzano. Trzeba ich było wsadzić do plecionki i zamknąć w areszcie i obaj jako abstynenci zostali skazani za pijaństwo.

— Czemu wy mi o tym opowiadacie! — krzyknął porucznik Dub, który podczas tego opowiadania wytrzeźwiał ostatecznie.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że to właściwie nie ma nic do rzeczy, ale ponieważ się tak zgadało...

Porucznikowi Dubowi wydało się w tej chwili, że Szwejk obraził go znowu, ponieważ odzyskał tymczasem pełnię swej samowiedzy, więc krzyczał na niego:

— Ty mnie poznasz kiedyś! Jak stoisz?

— Posłusznie melduję, że stoję źle, bo zapomniałem złożyć pięty do kupy. Zaraz się zrobi.

Szwejk stanął jak najpoprawniej według przepisu. Porucznik Dub zastanawiał się, co by tak jeszcze powiedzieć, ale wreszcie zdobył się tylko na uwagę:

— Ty się, uważasz, pilnuj, żebym ci tego nie musiał drugi raz powtarzać. — I starym swoim zwyczajem dodał: — Ty mnie jeszcze nie znasz... — I dla odmiany dokończył: — Ale ja cię znam.

Oddalając się od Szwejka, porucznik Dub pomyślał o pedagogicznym wpływie na niego:

— Kto wie, czy nie byłbym na niego wpłynął lepiej, gdybym mu był powiedział: ja cię, drabie, już dawno znam z twej złej strony.

Potem porucznik Dub zawołał swego służącego Kunerta i kazał mu się postarać o dzban wody.

Ku czci Kunerta trzeba powiedzieć, że bardzo długo szukał po Turowej-Wolskiej i dzbana i wody.

Dzban udało mu się wreszcie ukraść księdzu plebanowi, a dzban napelnił wodą z pewnej studni, całkiem zabitej deskami. W tym celu musiał oczywiście wyrwać kilka desek, ponieważ studnia była zabita nimi jako podejrzana, że ma wodę tyfusową.

Porucznik Dub wypił wszakże cały dzban wody bez jakiegokolwiek szkody dla zdrowia, czym potwierdził prawdziwość przysłowia:

— Dobry wieprz i na wodzie się upasie.

Wszyscy mylili się, oczywiście, przypuszczając, że nocować będą w Turowej-Wolskiej.

Nadporucznik Lukasz wezwał telefonistę Chodounskiego, sierżanta rachuby Wańka, kuriera kompanii Szwejka oraz Balouna. Rozkazy były proste. Wszyscy pozostawią ekwipunek u sanitariuszy i drogą polną ruszą natychmiast na Mały Polaniec, a następnie wzdłuż potoku na południowy wschód pójdą w kierunku na Liskowiec.

Szwejk, Waniek i Chodounsky są kwatermistrzami. Wszyscy muszą starać się o nocleg dla kompanii, która przybędzie za nimi, najwyżej za godzinę lub półtorej godziny. Zaś Baloun, na kwaterze, która zostanie wyznaczona dla nadporucznika Lukasza, każe upiec gęś, a wszyscy trzej pilnować będą Balouna, żeby połowy nie zeżał. Prócz tego Waniek i Szwejk muszą kupić świnię dla kompanii, według przepisu, żeby każdy żołnierz dostał mięsa. W nocy będzie się przyrządzało gulasz. Noclegi dla szeregowców muszą być porządne. Unikać chałup zawszonych, żeby żołnierze mogli należycie odpocząć, bo kompania już o pół do siódmej rano rusza z Liskowca na Krościenko do Starej Soli.

Batalion nie był już taki ubogi jak jeszcze niedawno. Intendentura brygady w Sanoku wypłaciła batalionowi zaliczkę na przysługą rzeź. W kasie kompanii znajdowało się przeszło sto tysięcy koron, a sierżant rachuby Waniek otrzymał już rozkaz powypłacania żołnierzom należności i zaległości, jak tylko kompania znajdzie się na miejscu, to znaczy w okopach.

Podczas gdy wszyscy czterej wybrali się w drogę, aby wypełnić rozkazy, do kompanii przybył miejscowy pleban i rozdawał żołnierzom karteczki z „pieśnią lourdską“ we wszystkich językach. Miał tych pieśni całą pakę, bo pozostawił je u niego jakiś wysoki wojskowy dostojnik kościelny, przejeżdżający przez opustoszałą Galicję automobilem w towarzystwie jakichś kobiet. Pieśń była taka:

Kędy rzeczulka wytryska z górskich łon,
Anielskie wieści zwiastuje wszem wiernym dzwon:
Ave, ave, ave, Maria! — Ave, ave, ave, Maria!

Bernardo, dziewczę, cóż to dokoła za ruch?
Na zieleń łąki splywa niebiański duch. Ave!

Przed skałą wstrzymaj, dziewczyno, krok,
Gwiazd blaskiem patrzy na ciebie najświętszy wzrok. Ave!

Cudnie ją zdobi szata liliowej bieli
I pas ma z obłoku na swojej szacie anielej. Ave!

Z jej rąk złożonych różaniec splywa,
— O Pani, Królowo nasza miłościwa! Ave!

— Cóż to, Bernardo, tak cudnie ci błyszczą na twarzy,
Jakby się na niej jasny niebieski odblask rozżarzył? Ave!

Już klęka oto, pacierz odmawia do swojej Pani,
A ona w odpowiedzi niebiańskiej słowo dla niej. Ave!

O, dziecię moje, wiedz, że, bez grzechu jestem poczętą,
Dla wszystkich chcę być ochroną tutaj możną i świętą. Ave!

Świadczy: tutaj mlejsce zjawienia mam,
Chcę, by mi tutaj wzniesiono z marmuru chram. Ave!

A zdroj żywej wody, co tryska tu z ziemi,
Jest zmiłowania mojego poręką nad wszystkimi. Ave!

Chwała tobie, dolinko, pełna miłości,
Bo tutaj nasza Matka Najświętsza gości. Ave!

W skale cudowna się mieści grotą twą,
A ty nas rajem obdarzasz, królowo miłościwa. Ave!

Od chwili świętej, kiedyś zjawiła się tu,
Mężów i niewiast przybywa tutaj pobożny tłum. Ave!

Ty, która tutaj, o Pani, czczona być chcesz,
Zmiłuj się, Ciebie prosimy, nad nami też. Ave!

Gwiazdo zbawienia blaskami swymi nam świeć
I ku tronowi Bożemu drogami ziemi nas wiedz. Ave!

O Panno święta, opiekę swoją nam daj
I miłosierdziem nam otwórz po śmierci raj! Ave!

W Turowej-Wolskiej na każdym kroku i w każdym miejscu można było znaleźć mnóstwo takich karteczek z „pieśnią lourdską“.

Kapral Nachtigal, pochodzący z okolic Kasperskich Gór, zdobył butelkę wódki od jakiegoś wystraszonego Żyda, zebrał kilku kamratów i wszyscy popijając śpiewali lourdską pieśń po niemiecku na nutę „Prinz Eugen“.

Wędrówka po zachodzie słońca była obrzydliwa i owi czterej wysłańcy, którzy mieli się wystarać o nocleg dla kompanii jedenastej, dostali się do lasu nad potokiem, który miał ich zaprowadzić do Liskowca.

Baloun, który po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji, iż nie wiedział, dokąd właściwie idzie, a któremu wszystko wydało się ogromnie tajemnicze i zastanawiające, że oto jest ciemno i że idą szukać noclegu, powziął straszliwe podejrzenie. Ehe — myślało mu się, tu coś jest nie w porządku.

— Koledzy — rzekł szeptem, potykając się co chwila — zostaliśmy poświęceni na stracenie.

— Jak to? — szeptem ryknął na niego Szwejk.

— Koledzy, nie wrzeszczmy tak głośno — błagał po cichu Baloun — ja już czuję tę całą hecę w krzyżach. Usłyszą nas i zaczną do nas strzelać. Ja już wiem: posłali nas naprzód, żeby się przekonać, czy tu gdzie nie ma nieprzyjaciela, a gdy usłyszą strzelanie, to zaraz będą wiedzieli, że dalej już iść nie można. My, koledzy, jesteśmy takim patrolem, co go się wysyła naprzód, jak mnie tego uczył kapral Terna.

— No to idź naprzód — rzekł Szwejk. — My pójdziemy grzecznie za tobą, żebyśmy mieli w tobie ochronę, skoro już jesteś taki olbrzym. Jak cię postrzelą, to nam zamelduj, żebyśmy mogli upaść na ziemię. Ładny z ciebie żołnierz, że się boisz, iż do ciebie będą strzelali. Przecie każdy żołnierz to właśnie najbardziej powinien lubić, jako że każdy żołnierz wie, iż zapasy amunicji nieprzyjacielskiej maleją tym bardziej, im częściej do żołnierza naszego strzelają. Z każdym wystrzałem wymierzonym przez nieprzyjaciela przeciwko tobie zmniejsza się jego siła bojowa. Zresztą on też kontent, że może strzelać do ciebie, bo potem nie potrzebuje dźwigać patro-nów i łatwiej mu uciekać.

— Kiedy ja mam w domu gospodarstwo — ciężko westchnął Baloun.

— Pluń ty, bratku, na gospodarstwo — radził mu Szwejk.

— Lepiej polegnij za najjaśniejszego pana. Czy cię tego w wojsku nie uczyli?

— Mówili o tym tylko jakby mimochodem — rzekł zgłupiały Baloun. — Tyle tylko, że mi kazali chodzić na plac ćwiczeń i nic podobnego już potem nie słyszałem, bo ja byłem burszem... Żeby najjaśniejszy pan kazał nam przynajmniej dawać lepiej jeść!

— Ach ty nienasycona przeklęta świni! Żołnierzowi przed bitwą w ogóle nie powinni dawać jeść. Mówił nam o tym już przed laty kapitan Untergrietz, który nauczał w szkole żołnierskiej. Mawiał on przy każdej sposobności: — Ej, łobuzy

przekłete, gdyby kiedyś doszło do wojny, to pamiętajcie, żeby się przed bitwą nie obżerać. Kto się obeżre i zostanie ranny w brzuch, przepadnie jak amen w pacierzu, bo komiśniak i zupa wyleżą mu zaraz z kiszek i zapalenie murowane. Ale gdy żołądek ma pusty, to taka rana w brzuchu jest głupstwem, jakby go ukąsiła osa, jednym słowem, sama uciecha.

— Ja szybko trawię — rzekł Baloun — w moim żołądku nic się nie zależy. Ja, kolego, wsunę na przykład miskę kneдли ze schabem i kapustą, a za pół godziny stołeczek mam jak u dzieciątka. Reszta gdzieś tam we mnie przepada. Mówią ludzie, że takie bedłki, jak na ten przykład kurki, są niestrawne, że wychodzą nienaruszone, więc można by je wyprać i przyrządzić z octem. U mnie przeciwnie: nażrę się tych kurków tyle, że inny pękłby chyba, a gdy idę za stodołę, to tyle tam wszystkiego, co w pieluszcze półrocznego dziecka. Reszta też się gdzieś gubi we mnie. Powiem ci nawet, kolego — zwierzał się Baloun coraz szczegółowiej — że we mnie rozpuszczają się ości ryb i pestki śliwek. Pewnego razu umyślnie pestki liczyłem. Zjadłem siedemdziesiąt klusek ze śliwkami, pestek nie wypluwając, a potem za stodołą dokładnie pestki przeliczyłem. Połowy się nie doliczyłem, rozpuściły się we mnie.

Z piersi Balouna wyrwało się głębokie westchnienie:

— Moja żona robiła kluski ze śliwkami z ciasta ziemniaczanego, do którego dodawała trochę twarogu, żeby było pożywniejsze. Sama wolała posypywane makiem, a ja znowu chciałem, żeby były posypywane tartym serem. Raz ją nawet z tego powodu sprąłem. Ach, nie umiałem uszanować swego szczęścia rodzinnego!

Baloun przystanął, mlasnął językiem i głosem smutnym rzekł miękko:

— Wiesz, kolego, teraz, kiedy tych klusek nie mam, to mi się zdaje, że żona jednak miała rację, że kluski z makiem są jednak lepsze. Wtedy zawsze mi się wydawało, że mi ten mak włazi między zęby, a teraz myślę sobie często: niechby go

właziło w zęby jak najwięcej. Moja biedna żona miała ze mną nieraz ciężki krzyż i splotała się często, kiedym się na przykład upominał, żeby do podgarlanek dawała więcej majeranku, a przy sposobności szturchnąłem ją zdrowo pod zebro. Pewnego razu spralem ją biedaczkę tak, że leżała dwa dni, za to, że na kolację nie chciała dla mnie zarznąć indyka i kazała mi się zadowolić kogutkiem.

— Eh, kolego — rozplakał się Baloun — gdyby teraz była podgarlanka nawet bez majeranku i kogut... A sos koperkowy lubisz? Widzisz, o ten sos koperkowy pieklowałem się często, a teraz piłbym go jak kawę.

Baloun zapominał powoli o domniemanym niebezpieczeństwie i w ciszy nocnej, nawet gdy już skręcali na drogę do Liskowca, opowiadał Szwejkowi o wszystkim, czego onego czasu nie szanował i nie lubił, a teraz jadłby, ażby mu się uszy trzęsły.

Za nimi szedł telefonista Chodounsky z sierżantem rachuby Wańkiem.

Chodounsky opowiadał Wańkowi, że zdaniem jego, ta wojna światowa, to blażeństwo. Najgorsze na tej wojnie to, że gdy się czasem przerwie przewodnik telefoniczny, to trzeba go w nocy naprawiać, a jeszcze gorsze to, że teraz mają reflektory, jakich dawniej nie znano. Otóż teraz, właśnie w chwili, gdy naprawiasz te przekłute druty, nieprzyjaciel wyszuka cię reflektorem i poszczuje na ciebie całą artylerię.

We wsi, w której mieli wyszukać nocleg dla kompanii, było ciemno i rozszczeżały się wszystkie psy, co zmusiło wyprawę do zatrzymania się i naradzenia, w jaki sposób zabezpieczyć się przed tymi kundlami.

— Czy nie byłoby lepiej zawrócić? — szepnął Baloun.

— Balounie, Balounie, gdybyśmy powtórzyli twoje słowa komu należy, to zostałbyś rozstrzelany za tchórzostwo — napominał go Szwejk.

Psy szczekały coraz bardziej, odzywały się nawet w stronie południowej za rzeką Ropą, w Krościenku i w innych wsiach, bo Szwejk wrzeszczał w ciszę nocy:

— Leżeć! leżeć! leżeć! — jak niegdyś wrzeszczał na swoje psy, kiedy nimi handlował.

Psy szczekały coraz natarczywiej, tak że sierżant rachuby rzekł do Szwejka:

— Nie wrzeszczcie tak, Szwejku, bo się na nas rozszczeka cała Galicja.

— Coś podobnego — odpowiedział Szwejk — przytrafiło się nam na manewrach w Taborszczyźnie. Przybyliśmy tam w nocy do pewnej wsi, a psy zaczęły okropnie ujadać. Okolice są tam wszędzie bardzo ludne, tak że to psie szczekanie przerzucało się ze wsi do wsi, coraz dalej, a gdy psy tej wsi, w której obozowaliśmy, zamilkały, to słyszały szczekanie innych psów, na przykład z Pelhrzymowa, więc znowu zaczynały ujadać i po chwili szczekała cała Taborszczyzna, Pelhrzymowszczyzna, Budziejowskie, Humpoleczczyzna, Trzebońskie i Jihlawnszczyzna. Nasz kapitan był to sobie taki nerwowy dziadyga, który nie mógł wytrzymać psiego szczekania, nie spał przez całą noc, kręcił się i bezustannie pytał wartowników: — Kto szczeka? Co szczeka? — Żołnierze posłusznie meldowali, że psy szczekają, a jego to tak rozzłościło, że za to ci, co wtedy stali na warcie, dostali po manewrach koszarówkę. Potem zawsze wybierał „psią komendę“ i wysyłał ją naprzód. Ta psia komenda miała za zadanie powiadomić mieszkańców wsi, żeby pilnowali psów i nie pozwalali im szczekać w nocy, bo każdy pies, który zaszczeka, zostanie zastrzelony. Ja też należałem do takiej „psiej komendy“, a gdy przybyliśmy do pewnej wsi w Milewsku, pomieszało mi się wszystko w głowie i zawiadomiłem starostę, że każdy właściciel psa, który zaszczeka w nocy, zostanie ze względów strategicznych stracony. Starosta się przeraził, zaprzął konie do wozu i natychmiast pojechał do sztabu głównego prosić o łaskę dla ca-

łej wsi. Do sztabu nie dopuścili go w ogóle, a wartownicy byliby go o mały figiel zastrzelili. Musiał więc wracać do domu z niczym i zanim przybyliśmy do wsi, wszyscy właściciele psów poowiązywali swoim kundlom pyski gałganami, żeby nie mogły szczekać, z czego trzy psy dostały wścieklizny.

Wchodzili do wsi ostrożnie, przyjąwszy do wiadomości doświadczenia Szwejka, że psy boją się w nocy ognika zapalonego papierosa. Na nieszczęście nikt z nich papierosów nie palił, tak że rada Szwejka pozostała bez znaczenia. Pokazało się wszakże, że psy szczekają z uciechy, bo przypomniały sobie oddziały wojskowe, które przechodząc przez wieś, zawsze pieskiem coś do zjedzenia zostawiały.

Mądre stworzenia czuły już z daleka, iż zbliżają się ci, co pozostawiają po odejściu kości i padlinę końską. Nie wiadomo skąd otoczyły Szwejka cztery duże psiska i zaczęły się z nim burzliwie witać, wymachując ogonami na wszystkie strony. Szwejk głaskał je, klepał po karkach i rozmawiał z nimi jak z dziećmi:

— Więc przyszedliśmy do was, moje pieski, będziemy tu lulać i papusiać, damy wam kosteczki i skórki, a rano ruszymy dalej przeciwko nieprzyjacielowi.

We wsi po chałupach ludzie zapalali światła, a gdy kwatrymistrze zaczęli pukać do drzwi pierwszej z brzoza chałupy, aby się dowiedzieć, gdzie mieszka starosta, zza zamkniętych drzwi odezwał się jękliwy i wrzaskliwy głos kobiety, który z polska po ukraińsku wywodził, że mąż na wojnie, w domu dzieci chore na ospę, że Moskale wszystko pozabierali i że jak mąż wyruszał na wojnę, to nakazywał, żeby w nocy nikomu nie otwierać. Dopiero gdy szturm do chałupy poparł oświadczeniem, że są kwatrymistrzami, drzwi otworzyła im jakaś tajemnicza ręka, a wtedy pokazało się, że to właściwie tutaj mieszka starosta, który daremnie starał się Szwejka przekonać, że to nie on przemawiał takim jękliwym głosem kobiecym. Tłumaczył się, że spał na sianie i że jego żona,

gdy ją w nocy niespodzianie obudzić, zaczyna mówić od rzeczy. Co do noclegu dla kompanii, to wioska jest taka mała, że nawet jeden żołnierz się w niej nie zmieści. Do kupienia też tu nie ma niczego, bo Moskale wszystko zabrali.

Gdyby panowie dobrodzieje nie pogardzili jego towarzystwem, to zaprowadziłby ich do Krościenka, gdzie są wielkie gospodarstwa, a wszystkiego kwadrans drogi dalej. Miejsca jest tam dużo, każdy żołnierz będzie się mógł przykryć baranim kozuchem, a krów tam tyle, że każdy dostanie pełną menażkę mleka. I woda tam jest dobra, panowie oficerowie będą mogli spać we dworze, ale tutaj w Liskowcu?... Bieda, parchy i wszy. On sam miał niegdyś pięć krów, ale Moskale wszystko mu zabrali, tak że on sam, gdy potrzebuje mleka dla swoich chorych dzieci, musi po nie chodzić aż do Krościenka.

Jakby na dowód prawdziwości jego słów z pobliskiej obory ozwało się buczenie krówek pomieszanę z głosem kobiecym, który nakazywał nieszczęsnym krowom milczenie i życzył im, żeby je cholera pokręciła.

Ale starosty nie zmieszało to bynajmniej. Wdziewając buty z cholewami, mówił dalej:

— Jedyną krowę ma tutaj sąsiad Wojciech, której głos panowie dobrodzieje raczyli słyszeć. Jest to krowa chora, melancholijna. Moskale zabrali jej cielątko. Od tego czasu mleka nie daje, ale gospodarzowi jej żal, nie chce jej zarznąć, bo ma nadzieję, że Matka Boska przemieni wszystko na lepsze.

Mówiąc to wdziewał sukmanę.

— Chodźmy, panowie dobrodzieje, do Krościenka. Niedaleczko. Trzech kwadransów nie będzie. Co ja grzeszny człowiek mówię: za pół godziny zajdziemy. Znam drogę przez strumień, potem przez gaik brzozowy koło dębu... Wieś jest duża, a w propinacjach jest tam dużo mocnej wódki. Chodźmy, panowie dobrodzieje! Na co jeszcze czekać? Panom żołnierzom z waszego szanownego pułku trzeba wyszukać nocleg porządny,

wygodny. Pan żołnierz cesarsko-królewski bije się z Moskalami, więc potrzebuje koniecznie porządnego i czystego noclegu... A u nas? Wszy, parchy i cholera. Wczoraj u nas, w naszej przeklętej wsi szerniało trzech chłopów chorych na cholereę... Miłosierny Bóg przeklął Liskowiec...

W tej chwili Szwejk majestatycznie skinął ręką.

— Panowie dobrodzieje — zaczął, naśladowując styl starosty — czytałem kiedyś że za czasów wojen szwedzkich, gdy trzeba było kwaterować wojsko, a starosta się wykręcał, to go wieszali na najbliższej gałęzi. Następnie, dzisiaj mówił mi w Sanoku pewien kapral, że gdy przychodzą kwatery, to starosta ma zwołać wszystkich radnych i razem z nimi chodzi się po wszystkich chałupach i mówi się: Tutaj zmieści się trzech, tam czterech, na plebanii będą mieszkali panowie oficerowie, a za pół godziny wszystko musi być w porządku. Panie dobrodzieju — rzekł Szwejk, zwracając się do starosty — gdzie masz tutaj porządne drzewo?

Starosta nie zrozumiał, o jakie drzewo chodzi, więc mu Szwejk wytłumaczył, że to wszystko jedno, czy to będzie brzoza czy dąb, czy grusza, czy jabłoń, bo chodzi o drzewo, które ma krzepkie gałęzie. Starosta znowu nie zrozumiał, ale gdy słyszał, że jest mowa o drzewach owocowych, zląkł się, bo czereśnie już dojrzewały, więc powiedział, że o niczym podobnym nie wie, ale przed domem ma dąb.

— Dobrze — rzekł Szwejk, robiąc ręką międzynarodowy znak wieszania — powiesimy cię więc przed chałupą, bo powinieś zdawać sobie sprawę z tego, że jest wojna i że mamy rozkaz spać tutaj, a nie w jakimś Krościenku. Ty nam, drabie, nie będziesz zmieniał naszych planów strategicznych, bo się będziesz dyndał, jak o tym jest napisane w książkach opisujących wojny szwedzkie... Zdarzyło się, moi panowie, na manewrach koło Wielkiego Międzyrzecza...

Przerwał mu sierżant rachuby Waniek:

— Opowiecie nam to później, mój Szwejku. — Zwracając się do starosty, Waniek rzekł: — teraz zabierajmy się żwawo do szukania kwater!

Starosta zaczął dygotać ze strachu, tłumaczył się, że miał wobec panów dobrodziejów jak najlepsze zamiary, ale skoro się już tak uparli, to może i w tej wsi da się coś zrobić ku ogólnemu zadowoleniu. Zaraz przyniesie latarnię.

Gdy wyszedł z izby, bardzo lichy oświetlonej małą lampką naftową, wiszącą pod obrazem jakiegoś świętego, który przypominał biednego kalekę, Chodounsky zawołał nagle:

— Gdzież to się podział nasz Baloun?

Zanim zdołali się zorientować, otwarły się drzwi za piecem, zza nich wysunął się Baloun, rozejrzał się dokoła, czy nie ma w izbie starosty i głosem tubalnym, jakby miał wielki katar, mówił:

— Jha bhyłem w phiharni nhamhacathem cohoś, wsahadzilhem dho ghęby i wszyhystko mhi się w ghębie zhlephiło. Nie słohone, nie słohodkie, ciahasto na chleheb.

Sierżant rachuby Waniek oświetlił go latarką elektryczną i wszyscy stwierdzili, że w życiu swoim nie widzieli jeszcze nigdy takiego umazanego austriackiego żołnierza. Przestraszyli się też, bo spostrzegli, że bluza na Balounie tak się wydęła, jakby był w ostatnim stadium brzemienności.

— Co tobie, Balounie? — zapytał Szwejk ze współczuciem i trącił go w wydęte brzuch.

— To są ogórki — charczał Baloun, duszący się ciastem, którego nie mógł ani połknąć, ani wypluć. — Ostrożnie, to są kiszzone ogórki. Sam zjadłem trzy, a parę zabrałem dla was.

Zaczął wyjmować z zanadrza ogórki jeden za drugim i podawał je towarzyszom.

Tymczasem wrócił starosta z latarnią, a widząc od proga, co się święci, przeżegnał się i zaczął narzekać:

— Moskale zabrali i nasi zabierają.

Wszyscy wyszli na drogę. Towarzyszyło im stado psów, które trzymały się Balouna i obwąchiwały jego kieszeń u spodni, bo miał w niej kawał słoniny, także zdobyty w spiżarni, ale przez chciwość zdradliwie zatajony przed towarzyszami.

— Czemu te psy otaczają cię tak wiernie? — zapytał Szwejk Balouna.

— Czują we mnie dobrego człowieka — odpowiedział zapytany po dłuższym namyśle, ale nie dodał, że trzymał rękę w kieszeni na słoninie i że jeden z psów bezustannie chwytą go za nią zębami.

Przy wędrownce kwaterunkowej po wsi stwierdzono, że Liskowiec jest wielką osadą, która jednakże została już porządnie wyciśnięta przez wojnę. Nie było tu pożarów, żadna ze stron walczących jakby cudem nie wzięła jej pod ogień swej artylerii, ale za to osadzono tu mieszkańców pobliskich zniszczonych osiedli: Chyrowa, Grabowa i Hołobli.

W niektórych chatach mieszkało czasem po osiem rodzin w największej nędzy, bo łupieska wojna pierwszym swoim kresem przewaliła się nad głowami tych rodzin niby niszczyielska powódź.

Kompanię trzeba było częściowo ulokować w spustoszonej gorzelni na drugim końcu wsi, gdzie w samej drożdżowni mogło się zmieścić pół kompanii. Reszta żołnierzy została rozmieszczona po dziesięciu w większych gospodarstwach, których właściciele nie dopuścili do siebie zubożonych biedaków.

Sztab kompanii z wszystkimi oficerami, sierżantem rachuby Wańkiem, ze służącymi oficerów, z telefonistą, sanitariuszami, kucharzami i ze Szwejkiem usadowił się na plebanii, która także nie przyjęła żadnej ze zrujnowanych rodzin, a miała dużo wolnego miejsca.

Pleban był wysokim chudym starcem w znoszonej i zatłuszczonej sutannie. Swoje skąpstwo posuwał tak daleko, że prawie wcale nie jadał. W domu rodzinnym wpojono mu

wielką nienawiść dla Rosjan, ale nienawiść ta znikła nagle, gdy ci ustąpili, a po nich przyszli Austriacy i pożarli wszystkie jego kury pozostawione mu przez wrogów, chociaż mieszkało u niego kilku kudłatych zabajkalskich Kozaków.

Znienawidził austriackie wojska jeszcze bardziej, gdy do wsi przybyli Węgrzy i wybrali mu z ulów wszystkie miód. Z wielką nienawiścią spoglądał teraz na swoich niespodziewanych nocnych gości i bardzo był zadowolony, że mógł chodzić koło nich, wzruszać ramionami i powtarzać:

— Nic nie mam. Jestem zupełny żebrak. Nie znajdziecie panowie u mnie nic, nawet kromki chleba.

Najbardziej przygnębiało to, oczywiście, Balouna, który omal że się rozplakał nad taką nędzą. Po głowie tłukła mu się bezustannie jakaś nieokreślona wizja prosiątka, którego skórka jest złocista jak miód, chrupie i pachnie. Marząc tak Baloun podrzemywał w kuchni plebana, do której co chwila zaglądał wyrostek, będący na plebanii parobkiem i kucharką zarazem. Pleban surowo mu nakazał, aby pilnował, żeby żołnierze czego nie ukradli.

Baloun nie znalazł w kuchni nic prócz trocha kminu w papierku na solniczce. Wsypał go sobie do ust i właśnie zapach tego kminu wywołał w nim halucynację prosiątka.

Na podwórzu małej gorzelni za plebanią płonął ogień pod kotłami kuchen polowych, bulgotała woda, ale w tej wodzie nie gotowało się nic.

Sierżant rachuby razem z kucharzami biegali po całej wsi i szukali wieprza, lecz szukali na próżno. Wszędzie powtarzano im to samo, że Moskale wszystko zjedli i pobrali.

Zbudzili także Żyda w karczmie, który rwał włosy i głośno lamentował z wielkiego żalu, iż nie może panom żołnierzom niczym posłużyć, i wreszcie zaczął ich namawiać, żeby kupili od niego starą stuletnią krowę, chude zdechactwo, składające się tylko ze skóry i z kości. Żądał za nią horendalnych pieniędzy, szarpał brodę i zapewniał, że takiej kro-

wy nie znajdują w całej Galicji, w całej Austrii i Niemczech, a nawet w całej Europie, na całym świecie, przy czym wył, zawierzał się i z płaczem wywodził, że jest to najtłustsza krowa, jaka kiedykolwiek z dopuszczenia Jehowy przysłała na ten świat. Zaklinał się na wszystkich praojców, że krowę tę przyjeżdżają oglądać aż z Wołoczysk, że w całej okolicy mówią o niej jak o postaci z bajki, że to nawet nie krowa, ale najso czystszy bawół. Wreszcie ukląkł i obejmując przybyłych za kolana, wołał:

— Zabijcie raczej starego biednego Żyda, ale bez krowy nie odchodźcie!

Od jego lamentu i gadania wszyscy wreszcie tak zbaranieli, że to zdechłactwo, od którego hycel byłby się odwrócił ze wstrętem, powlekli ku kuchni polowej. Zaś Żyd długo jeszcze wywodził, że go zupełnie zgubili, zniszczyli, że sam zrobił z siebie żebraka, gdy krowę tak wspaniałą sprzedał za takie marne pieniądze. Gadał, chociaż już miał pieniądze w kieszeni. Prosił ich, żeby go powiesili za to, że na swoje stare lata zrobił takie głupstwo, za które ojcowie jego muszą się w grobie przewracać.

Jeszcze trochę potarzał się w kurzu, potem wstał, strząsnął z siebie wszystką żalność, poszedł do domu i rzekł do swojej żony:

— Elsaleben, żołnierze głupie chamy, ale twój Natan ma delikatny rozum.

Z krową było dużo roboty. Chwilami zdawało się, że skóra w ogóle nie da się z niej ściągnąć. Kilka razy skóra się przerwała, a pod nią ukazały się mięśnie poskręcane i twarde jak liny okrętowe.

Tymczasem skądś przytaszczyli żołnierze worek kartofli i kucharze zabrali się do gotowania tych beznadziejnych żył i gnatów, gdy tymczasem w sąsiedniej kuchni oficerskiej kucharz z rozpaczą w sercu pitrasił ze straszliwego mięsa jedzenie dla oficerów.

Nieszczęśliwa ta krowa, jeśli ten dziwaczny kaprys natury w ogóle nazwać można krową, pozostała wszystkim uczestnikom w żywej pamięci. Nie ulega wątpliwości najmniejszej, że gdyby później przed bitwą pod Sokalem dowódcy przypomnieli byli żołnierzom krowę liskowiecką, to jedenasta kompania z rykiem straszliwej wściekłości byłaby się z bagnetem w ręku rzuciła na nieprzyjaciela.

Krowa ta była w ogóle taka bezwstydną, że nie udało się zrobić z niej czegoś przypominającego rosół. Im dłużej mięso się gotowało, tym mocniej przylegało do gnatów, zespalając się z nimi w jedną całość, skostniało jak biurokrata, który przez pół roku gnieździ się w aktach urzędowych i żywi się tylko papierem.

Szwejk, który jako kurier utrzymywał stałe połączenie między sztabem a kuchnią, aby donieść zainteresowanym, kiedy mięso będzie ugotowane, meldował wreszcie nadporucznikowi Lukaszowi:

— Panie oberlejtant, mięso jest jak porcyneła. Mięsem tej krowy można krajać szkło. Kucharz Pawliczek razem z Balounem próbowali mięso i kucharz wyłamał sobie przedni ząb, a Baloun złamał ząb mądrości.

Z wielką powagą poszedł do nadporucznika Lukasa Baloun i podawał swój ząb wyłamany, zawinięty w lourdską pieśń:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że robiłem, co mogłem. Ząb ten wyłamałem sobie w kuchni oficerskiej, kiedy z kucharzem próbowałem, czy z tego mięsa nie dałoby się zrobić befsztyku.

Po tych słowach z fotela pod oknem dźwignęła się jakaś smutna postać. Był to porucznik Dub, którego na dwukółce sanitariackiej przywieziono jako człowieka zgnębionego ostatecznie:

— Proszę, żeby było cicho — rzekł głosem zrozpaczo-nym. — Jest mi słabo.

Usiadł znowu na czcigodnym fotelu, w którego każdej szparce pluskwy ułożyły tysiące jajeczek.

— Jestem zmęczony — rzekł głosem tragicznym — jestem chory i słaby, więc proszę, żeby ze mną nikt nie mówił o wyłamanych zębach. Mój adres jest: Smichow, Kralowska 18. Jeśli nie dożyję do jutra, to proszę, aby rodzina moja została o wszystkim powiadomiona w sposób delikatny i proszę, aby na moim nagrobku nie zapomniano dodać, że przed wojną byłem także c. k. profesorem gimnazjum.

Zaczął delikatnie chrapać, więc nie słyszał już, jak Szwejk odśpiewał słowa pieśni pogrzebowej:

Któryś Marii zmazał winę
A łotrowi grzech przebaczył,
I mnie wybaw w tę godzinę.

Potem sierżant rachuby Waniek doniósł, że znakomita krowa musi się jeszcze pogotować dwie godziny, że w kuchni oficerskiej o jakimś befsztyku nawet mowy być nie może, więc zamiast befsztyka będzie się robiło gulasz.

Postanowiono, że przed wydawaniem jedzenia szeregowcy zdrzemną się troszkę, bo kolacja i tak będzie dopiero nad raniem.

Sierżant rachuby Waniek przytaszczył skądciś wiązkę siana, położył się na niej w plebańskiej jadalni, nerwowo podkręcał wąsa i szeptem rzekł do nadporucznika Lukasz, który tuż obok odpoczywał na starej kanapie:

— Niech mi pan wierzy, panie oberlejtant, że w ciągu całej wojny jeszcze ani razu podobnej krowy nie żarłem.

W kuchni przy zapalonym ogarku świecy kościelnej siedział telefonista Chodounsky i pisał zapasowy list do domu, żeby miał gotowy, gdy wreszcie zostanie im zakomunikowany numer poczty polowej. Pisał tak:

Kochana i droga żono, najmilsza Bożenko!

Już noc, ale ja stale wspominam o Tobie, moje ty złoto, i widzę Cię w duchu, jak i Ty o mnie wspominasz, spoglądając na puste łóżko obok siebie. Musisz mi wybaczyć, że mi przy tym to i owo przychodzi na myśl. Wiesz dobrze, że już od samego początku wojny jestem w wojsku i że wiele rzeczy słyszałem od swoich kolegów, którzy jako ranni mieli urlop i pojechali do domu, ale byliby woleli zginąć, niż widzieć na własne oczy, że jakiś przybłąda włóczy się za rodzoną żoną. Bardzo to dla mnie przykre, kochana Bożenko, że takie rzeczy muszę ci pisać. Nawet nie pisałbym ci o tym, ale ty sama zwierzyłaś się przecie, że nie jestem pierwszym, który miał z tobą stosunek poważny i że przede mną miał cię już pan Kraus z ulicy Mikołaja. Teraz, gdy myślę o tym w nocy i gdy wyobrażam sobie, że ten nędzarz w czasie mojej nieobecności mógłby odnawiać swoje pretensje do Ciebie, to mi się wydaje, kochana Bożenko, że mógłbym go udusić na miejscu. Długo tłumiliłem to w sobie, ale gdy pomyślę, że znowuż mógłby się włóczyć za Tobą, to serce mi się ściska i muszę Ci zwrócić uwagę, że nie zniósłbym obok siebie takiej świni, która kurwiłaby się z pierwszym lepszym i przynosiłaby wstyd mojemu nazwisku. Daruj mi, kochana Bożenko, moje ostre słowa, ale pilnuj się, żebym o Tobie nie usłyszał nic złego. W przeciwnym razie byłbym zmuszony wypuścić flaki jednemu i drugiemu z was, ponieważ na wszystko jestem zdecydowany, choćbym za to miał życie postradać. Po tyśiąckroć całuję Ciebie oraz pozdrawiam ojca i matkę, Twój Tolek. N. B. A. nie zapomnij, że nosisz moje nazwisko!

Zabrał się do pisania drugiego listu zapasowego:

Moja najmilsza Bożenko!

Gdy słowa te czytać będziesz, my będziemy odpoczywali po wielkiej bitwie, w której szczęście nam dopisało. Między innymi zestrzeliliśmy z dziesięć nieprzyjacielskich aeroplanów i jednego generała z wielką brodką na nosie. W najcięższych walkach, gdy nad nami pękały szrapnele, myślałem o Tobie, droga Bożenko, co

też porabiasz, jak się masz i co słyhać u Ciebie nowego. Często wspominam o tym, jak to pewnego wieczoru byliśmy w browarze „U Tomasza“ i jak potem prowadziłaś mnie do domu, a nazajutrz bolała Cię ręka od wysiłku. Teraz znowu ruszamy naprzód, tak że już nie mam czasu pisać więcej. Mam nadzieję, że pozostałaś mi wierną, bo dobrze wiesz, że w tych sprawach potrafię być draniem. Ale już czas na mnie: ruszamy w pole. Całuję Cię po tysiąckroć, droga Bożenko, i miej nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. Twój szczerze Ci oddany Tolek“.

Telefonista Chodounsky zaczął się kiwać i zasnął nad stołem.

Pleban, który nie spał i chodził bezustannie po swoim domu, uchylił drzwi od kuchni i przez oszczędność zdmuchnął ogarek świecy kościelnej, który palił się obok Chodounskiego.

W jadalni prócz porucznika Duba nie spał nikt. Sierżant rachuby, Waniek, który w Sanoku w kancelarii brygady otrzymał nowe przepisy dotyczące zaopatrywania wojska w produkty żywnościowe, studiował je starannie i dochodził do wniosku, że im bardziej wojsko przybliży się do frontu, tym mniejsze wyznacza się mu racje żywnościowe. Musiał się uśmieć serdecznie nad jednym paragrafem rozkazu, w którym zakazano zaprawianie polewek dla żołnierzy szafranem i imbirem. Znajdowała się też w rozkazie uwaga, że kuchnie polowe mają zbierać kości i odsyłać je na tyły do składów dywizyj. Było to trochę niejasne, bo nie wiadomo było, o jakie kości chodzi: o kości ludzkie, czy też o kości innego bydła jatkowego.

— Słuchajcie no, Szwejku — rzekł nadporucznik Lukasz, ziewając z nudy — zanim dadzą nam coś zjeść, moglibyście mi opowiedzieć jakie zdarzenie.

— O jej — odpowiedział Szwejk — zanim dadzą nam coś zjeść, panie oberlejtant, to musiałbym panu opowiedzieć całe dzieje narodu czeskiego. A ja znam tylko krótką opowieść o pewnej pani pocztmistrzowej z Sedlecańska, która

po śmierci swego męża odziedziczyła po nim urząd. Przypomniało mi się o niej natychmiast, jak tylko zaczęło się u nas mówić o pocztach polowych, chociaż nie ma to nic wspólnego z pocztami polowymi...

— Szwejku — przerwał mu nadporucznik Lukasz — znowu zaczynacie straszliwie głupiec.

— Tak jest, panie, oberlejtnant, ta historia jest naprawdę bardzo głupia. Ja sam nie wiem, w jaki sposób przyszło mi do głowy, żeby mówić o czymś podobnie głupim. Albo jest to głupota wrodzona, albo też są to wspomnienia młodości. Proszę pana oberlejtnanta, na naszej kuli ziemskiej są różne charaktery i zdaje się, że nasz kucharz Jurajda miał jednak rację, gdy pewnego razu w Brucku wstawił się i wpadł w dół z gnojówką, a nie mogąc się z niego wydrapać, krzyczał w tym dole: — Człowiek jest powołany i przeznaczony ku temu, aby poznał prawdę, aby panował nad duchem swoim w zgodzie i harmonii ze wszechświatem, aby się stale rozwijał i kształcił, podnosząc się stopniowo w sfery wyższe, inteligentniejszych światów i pełniejszych umiłowań. — Gdy chcieliśmy go z owego dołu wyciągnąć, to gryzł i drapał. Zdawało mu się, że jest u siebie w domu i dopiero, gdyśmy go nazad zepchnęli, zaczął żebrać i jęczeć, żeby go wyciągnąć.

— A co się stało z tą pocztmistrzową? — zawołał zrozpaczony nadporucznik Lukasz.

— To była bardzo porządna niewiasta, tyle tylko że była świnią, panie oberlejtnant. Wszystkie swoje obowiązki pocztowe spełniała jak się należy, ale miała jedną wadę, bo jej się zdawało, że wszyscy ją prześladują, że myślą tylko o tym, jakby jej dokuczyć, więc po pracy dziennej pisywała raporty do swoich władz, według tego, jak się różne okoliczności zbiegały. Pewnego ranka poszła do lasu po grzyby, a przechodząc obok szkoły, zauważyła, że pan nauczyciel już nie śpi i stoi przed szkołą. Oczywiście, że jej się uklonił i zapytał, dokąd wybrała się o tak wczesnej godzinie. Gdy mu powiedziała, że

idzie na grzyby, odpowiedział jej, że przyjdzie za nią. Z tego wynioskowała, że miał względem niej, starej babiny, jakieś nieuczciwe zamiary, a następnie, gdy go ujrzała wynurzające się z gąszcza, przestraszyła się, uciekła i napisała na niego do miejscowej rady szkolnej doniesienie, że chciał ją zgwałcić. Przeciwno nauczycielowi wdrożono dochodzenie dyscyplinarne, aby zaś nie powstał z tego jaki wielki skandal publiczny, przyjechał sam pan inspektor szkolny dla zbadania tej sprawy i zwrócił się do wachmistrza żandarmerii z zapytaniem, czy uważa nauczyciela za zdolnego do takiego czynu. Wachmistrz żandarmerii zajrzał do akt i powiedział, że to niemożliwe, bo ów nauczyciel już raz był oskarżony przez proboszcza, że niby miał się kręcić dokoła proboszczowskiej kuzynki, która wcale nie była kuzynką proboszcza. Wtedy to nauczyciel przedstawił świadectwo lekarskie, że od lat sześciu jest impotentem, bo jakoś bardzo nieszczęśliwie spadł ze strychu okrakiem na dyszel wozu drabiniastego. Więc ta pokraka stara podała skargę na wachmistrza żandarmerii, na lekarza okręgowego i na inspektora szkolnego, że niby wszyscy zostali podkupieni przez tego nauczyciela. Wszyscy trzej zaskarżyli ją do sądu i została skazana, ale odwołała się do wyższej instancji jako osoba niepoczytalna. Została więc zbadana przez lekarzy sądowych, którzy orzekli, że idiotką jest istotnie, ale wszelkie obowiązki urzędowe spełniać może.

Nadporucznik Lukasz zawołał:

— Jezus Maria! — i dodał do tego: — Powiedziałbym wam coś, mój Szwejku, ale nie chcę sobie psuć kolacji.

— Mówiłem panu oberlejtantowi — odpowiedział Szwejk — że ta historia jest straszliwie głupia.

Nadporucznik Lukasz machnął ręką i odpowiedział:

— No, od was nie nasłuchałem się znowuż opowieści o wiele mądrzejszych.

— Nie wszyscy mogą być mądrzy, panie oberlejtant — rzekł Szwejk tonem głębokiego przekonania. — Głupi muszą

stanowić wyjątek, bo gdyby wszyscy ludzie byli mądrzy, to na świecie byłoby tyle rozumu, że co drugi człowiek zgłupiałby z tego. Gdyby na przykład wszyscy znali prawa natury, to posłusznie melduję, panie oberlejtnant, każdy mógłby sobie obliczyć odległości między ciałami niebieskimi i molestowałby swoje otoczenie, jak czynił niejaki Czapek, który bywał „Pod kielichem“, w nocy zawsze wychodził z szynku na dwór, rozglądał się po gwiazdzistym niebie, a gdy potem wracał, to chodził od jednego do drugiego i mówił: — Dzisiaj bardzo ładnie błyszczy Jowisz, ale ty drabie nawet nie wiesz, co masz nad głową. To są takie odległości, że gdyby cię, gałganie, wystrzelili z armaty, to byś z szybkością kuli armatniej leciał w tamte strony wiele milionów lat. — Bywał przy tym taki ordynarny, że sam wylatywał z gospody z szybkością zwykłego tramwaju elektrycznego, posłusznie melduję, panie oberlejtnant, mniej więcej dziesięć kilometrów na godzinę... Albo weźmy na przykład, panie oberlejtnant, mrówki...

Nadporucznik Lukasz usiadł na kanapie i złożył ręce:

— Aż mi dziwno, doprawdy, że wdaję się z wami, mój Szwejku, w rozmowę, chociaż was znam już od dość dawna.

Szwejk potakiwał głową na znak zupełnej zgody.

— To z przyzwyczajenia, panie oberlejtnant, to właśnie skutkiem tego, że już się bardzo dawno znamy i żeśmy razem bardzo wiele przeżyli. A gdy nam się czasem coś przytrafiło, to tak, jak ślepej kurze ziarno. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że to już taki los. Co najjaśniejszy pan postanowił, to jest dobre; on nam kazał trzymać się kupy, więc i ja nic innego sobie nie życzę, tylko żeby być panu pożytecznym, panie oberlejtnant. — A może pan głodny?

Nadporucznik Lukasz, który tymczasem wyciągnął się znowu na starej kanapie, odpowiedział, że ostatnie pytanie Szwejka jest najlepszym przypomnieniem, co w tej chwili zrobić należy. Szwejk został wysłany do kuchni oficerskiej, aby się przekonać, czy jedzenie już gotowe, czy jeszcze nie. W ogóle

lepiej będzie gdy Szwejk przejdzie się trochę i opuści go na chwilę, bo to głędzenie, którym go bezustannie częstuje, męczy bardziej niż cały marsz na Sanok. Chciałby chwilę pośpać, ale nie może zasnąć.

— To pluskwy spać nie dają, panie oberlejtnant. Istnieje stary zabobon, że nie ma plebanii bez pluskiew. Rzeczywiście, nigdzie nie ma tyle pluskiew co na plebaniach. W Górnych Stodółkach był proboszcz i napisał całą książkę o pluskwach, które nawet podczas kazania po nim łąziły.

— Więc słyszeliście, Szwejku, co macie zrobić, czy nie? Pójdziecie do kuchni, czy ja mam pójść za was?

Szwejk wyszedł na dwór, a za nim jak cień wykradł się na palcach Baloun.

Gdy nazajutrz rano z Liskowca wyruszyli na Starą Sól — Stambor, wieźli z sobą w kuchni połowej nieszczęśliwą krowę, która jeszcze się nie ugotowała. Postanowiono gotować ją w drodze i zjeść w połowie drogi, gdy będzie odpoczynek między Liskowcem a Starą Solą.

Na drogę dostali szeregowcy czarnej kawy.

Porucznika Duba znowu wieźli na sanitarnej dwukółce, bo po dniu wczorajszym był jeszcze słabszy niż przedtem. Najwięcej kłopotu miał z nim jego służący, bo musiał biec tuż przy dwukółce, a porucznik stałe krzyczał na niego, że wczoraj nie pielęgnował go wcale i że zabierze się do niego, jak tylko przyjadą na miejsce. Co chwila kazał sobie podawać wodę, ale po wypiciu natychmiast ją zwracał.

— Z kogo — z czego wy się śmiejecie? — krzyczał ze swego wózka. — Ja was nauczę! Wy ze mną nie igrajcie, bo mnie poznacie!

Nadporucznik Lukasz jechał wierzchem i rozmawiał ze Szwejkiem, który tak bystro maszerował obok niego, jakby się nie mógł doczekać chwili spotkania z nieprzyjacielem. Idąc opowiadał:

— Czy pan już zauważył, panie oberlejtant, że niektórzy nasi ludzie są jak te muchy? Na plecach mają niecałe trzydzieści kilo i nie mogą tego wytrzymać. Należałoby im urządzić kilka odczytów, jakie wygłaszał nam pan oberlejtant Buchanek, co to się zastrzelił z powodu kaucji na żeniączkę, którą wziął od swego przyszłego teścia i przełajdaczył ją z innymi dziewczkami. Potem wziął drugą kaucję od innego przyszłego teścia i używał jej już trochę oszczędniej: po troszku przegrywał ją w karty, a od dziewczek stronił. Ale też mu pieniędzy nie na długo starczyło, więc musiał się udać do trzeciego przyszłego teścia. Za trzecią kaucję kupił sobie konia arabskiego ogiera pełnej krwi....

Nadporucznik Łukasz zeskoczył z konia.

— Jeśli zaczniecie mówić o czwartej kaucji, to was zrzucę do rowu! — rzekł surowo.

Wskoczył na konia, a Szwejk z wielką powagą mówił dalej:

— Posłusznie melduję, że o czwartej kaucji nie może być nawet mowy, bo już po trzeciej się zastrzelił.

— Nareszcie! — rzekł Łukasz.

— Aha, co to ja panu chciałem powiedzieć — wywodził Szwejk. — Takie odczyty wygłaszał nam zawsze ten pan oberlejtant Buchanek, gdy podczas marszów żołnierze padali ze zmęczenia, i podług mego skromnego mniemania podobne odczyty powinny być wygłaszane naszym żołnierzom. On nakazywał odpoczynek, zgromadzał nas wszystkich dokoła siebie jak kwoka kurczęta i zaczął przemawiać: — Wy łobuzy, wy nie doznajecie uczucia dumy, że maszerujecie po kuli ziemskiej, bo jesteście jeden z drugim nieokrzesaną bandą. Rzygać się chce, kiedy człowiek na was patrzy. Na słońce należałoby was przenieść, żebyście tam maszerowali, gdzie człowiek, który na naszej biednej planecie ma sześćdziesiąt kilogramów, waży przeszło tysiąc siedemset kilogramów! Pozdychalibyście chyba, gdybyście w plecaku musieli dźwigać przeszło dwieście osiemdziesiąt kilogramów, a karabin ważyłby

półtora korca. Stękalibyście i wywieszali jężory jak zziajane psy. — Był tam między nami pewien nieszczęśliwy nauczyciel, który rozzuchwalił się tak dalece, że też zabrał głos w tej sprawie: — Z przeproszeniem, panie oberlejtant — odezwał się — na księżycu człowiek ważący u nas sześćdziesiąt kilogramów, waży tylko trzynaście kilogramów. Na księżycu lepiejby nam się maszerowało, ponieważ nasz plecak ważyłby tylko cztery kilogramy. Na księżycu nie maszerowalibyśmy, lecz, że tak powiem, wnosilibyśmy się. — To straszne — odpowiedział na to nieboszyk pan oberlejtant Buchanek — ty drabie wyszczekany, przymawiasz się, żeby dostać po pysku. No, bądź szczęśliwy, że dam ci tylko zwyczajnie po ziemsku w pysk, bo gdybym ci dał po księżycowemu, to byś zaleciał aż gdzie na Alpy i spadłbyś na nie jak jaki niemrawy placuszek. A gdybym ci dał po słonecznemu, to mundur zmieniłby się na tobie na kaszkę, a głowa twoja odleciałaby aż gdzie do Afryki. — Więc mu dał w pysk zwyczajnie po ziemsku, wścibski nauczyciel rozbeczał się, a my maszerowaliśmy dalej. Przez całą drogę ten nauczyciel płakał, panie oberlejtant, i ciągle gadał o jakiejś tam ludzkiej godności i o tym, że się z nim obchodzą jak z jakim niemym stworzeniem. Potem pan oberlejtant posłał go do raportu i wlepili mu dwa tygodnie i musiał dosłużyć sześć tygodni, ale nie dosłużył ich, bo miał przepuklinę, a w koszarach kazali mu się forsownie gimnastykować na rękę, a on tego nie wytrzymał i umarł w szpitalu jako symulant.

— Osobliwa rzecz, mój Szwejku — rzekł nadporucznik Lukasz — że wy, jak już wam to mówiłem nieraz, macie we zwyczaju pogardliwie odzywać się o korpusie oficerskim.

— Nic podobnego we zwyczaju nie mam, panie oberlejtant — odpowiedział Szwejk. — Chciałem panu tylko opowiedzieć, jak to dawnymi czasy ludzie samo chcąc pchali się w nieszczęście. Taki człowieczyna wyobrażał sobie, że jest mądrzejszy od tego pana oberlejtanta, chciał się swoim

księżycem pochwalić przed szeregowcami, więc gdy dostał w pysk po ziemsku, to nam wszystkim ulżyło, nikomu nawet na myśl nie przyszło, żeby się dąsać o to, przeciwnie, byliśmy radzi, że pan oberlejtnant zrobił taki dobry dowcip dając człowiekowi w twarz po ziemsku. To się nazywa ratowanie sytuacji. Chodzi o to, żeby się znaleźć w kropce i wszystko w porządku. Naprzeciwko Karmelitów w Pradze, panie oberlejtnant, miał przed laty handelek królikami i innym ptactwem, niejaki pan Jenom. Zapoznał się on z córką introligatora Bilka. Pan Bilek nie życzył sobie, żeby jego córka utrzymywała znajomość z tamtym panem i publicznie w gospodzie się wyraził, że gdyby pan Jenom przyszedł prosić o rękę jego córki, to by go zrzucił po schodach na łeb, jak jeszcze nikt nikogo nie zrzucił. Pan Jenom napił się dla dodania sobie odwagi i pomimo wszystko poszedł do pana Bilka z oświadczeniami, a pan Bilek przyjął go w przedpokoju z wielkim nożem w rękę, jakim introligatorzy obcinają książki. Nóż jest ostry i krzepki. Mój introligator ryknął na gościa, czego szuka u niego, a pan Jenom puścił ze strachu tak głośno, aż od tego zegar ścienny stanął. Pan Bilek roześmiał się wesoło, podał gościowi rękę i stał się bardzo uprzejmy: — Pan pozwoli, panie Jenom, niech pan siada, przypuszczam, że nie narobił pan w majtki, bo widzi pan, ja nie jestem znowu taki zły człowiek, chociaż prawda, że chciałem pana wyrzucić za drzwi, lecz teraz widzę, że pan jest bardzo miły człowiek, jest pan oryginał. Jako introligator czytuję dużo powieści i nowelek, ale jeszcze ani razu nie czytałem, aby się konkurent przedstawiał w taki sposób. Śmiał się przy tym, aż się za brzucho trzymał, i wywodził, że mu się wydaje, jakby się znali od samego urodzenia, jakby byli rodzonymi braćmi. Podawał mu cygara, posłał natychmiast po piwo i serdelki, zawołał żonę i przedstawił go jej ze wszystkimi szczegółami tego przypadku. Pani Bilkowa splunęła i wyszła. Potem zawołał córkę i powiada: — Ten pan przyszedł prosić o twoją rękę i przytrafiło mu się to

a to. — Córka rozplakała się natychmiast i zadeklarowała, że tego człowieka nie zna, że go nawet widzieć nie chce, więc nie pozostało nic innego, tylko wypić piwo we dwójkę, zjeść serdelki i rozejść się. Potem pan Jenom miał jeszcze wstyd w gospodzie, do której chodził pan Bilek, i wreszcie w całej dzielnicy nie mówiło się o tym panu Jenomie inaczej, jak „ten zafajdany Jenom“, i wszędzie sobie opowiadali o nim, jak to on chciał uratować sytuację. — Życie ludzkie, posłusznie melduję, panie oberlejtnant, jest takie powikłane, że w porównaniu z nim człowiek jest szmata. — Do nas, do gospody „Pod kielichem“, na boisku chodził jeszcze przed wojną starszy strażnik policyjny, niejaki pan Hubiczka, i pewien pan redaktor, który zapisywał wszystkie złamane nogi, przejechanych ludzi i samobójców i zanosił wszystko do gazet. Był to taki wesoły pan, że więcej się wysiedział na policyjnym odwachu niż w redakcji. Więc ten redaktor pewnego razu upił tego starszego strażnika Hubiczkę, a potem w kuchni zamienili się na ubranie, tak że starszy strażnik stał się cywilem, a pan redaktor policjantem. Otóż ten pan redaktor przebrany za strażnika zakrył numer rewolweru i ruszył na miasto jako patrol. Na ulicy Resslera, za dawnym więzieniem św. Wacława, spotkał w ciszy nocnej jakiegoś starszego pana w cylindrze i w futrze, a ten pan prowadził pod rękę starszą panią w płaszczu futrzanym. Oboje śpieszyli do domu i nie odzywali się do siebie ani słowem. A mój przebrany redaktor rzucił się na nich i wrzasnął temu staremu panu nad uchem: — Nie rycz pan tak głośno, bo pana zaaresztuję! — Niech pan sobie wyobrazi, panie oberlejtnant, jak się oboje przestraszyli. Daremnie mu tłumaczyli, że to pewno jakaś omyłka, ponieważ oboje wracają do domu z przyjęcia u pana namiestnika. Ekwipaż podwiózł ich aż do Teatru Narodowego, a teraz idą pieszo, żeby użyć trochę świeżego powietrza, bo mieszkają niedaleko stąd na Morani, a on, niby ten pan w futrze, jest nadradcą namiestnictwa z małżonką. — Proszę sobie ze mnie nie kpić —

wrzeszczał dalej domniemany policjant. — Wstydź się pan, jeśli pan jesteś takim jakimś radcą namiestnictwa, a na ulicy zachowuje się pan jak łobuziak. Przyglądam się panu już dość dawno, jak pan walił łaską w spuszczone drzwi sklepów spotykanych po drodze i jeszcze panu ta pani, jak pan mówi, małżonka, pomagała. — Przecież ja nawet żadnej łaski nie mam, jak pan widzi. To widać szedł tu ktoś przed nami. — Jak pan może mieć łaskę, skoro ją pan przetrącił tam na rogu o tę babę, która po gospodach roznosi pieczone kartofle i kasztany. — Ta pani radczyni nawet płakać nie mogła z tego wszystkiego, a pan radca taki był wzburzony, że zaczął mówić coś o hultajstwie, za co został aresztowany i zaprowadzony do najbliższego posterunku policyjnego przy ulicy Salma. Ten niby starszy strażnik kazał tych państwa zaprowadzić do komisariatu i powiedział, że sam jest z dzielnicy św. Jindrzycha i przy obchodzie służbowym przyłapał tę dwójkę na zakłócaniu ciszy nocnej, przy bijatyce, a w dodatku ludzie ci dopuścili się obrazy władz. On sam załatwi, co ma załatwić, i za godzinę przyjdzie do komisariatu przy ulicy Salma. Więc policja zabrała tych państwa i zaprowadziła do komisariatu, gdzie siedzieli do samego rana i czekali na tego starszego strażnika, który tymczasem, klucząc, powrócił „Pod kielich“ na boisku, zbudził starszego strażnika Hubiczkę, delikatnie powiedział mu, co się stało i jakie dochodzenie dyscyplinarne czeka na niego, jeśli nie będzie milczał...

Nadporucznik Lukasz zdał się być zmęczony opowiadaniem Szwejka, ale zanim zwawszym klusem ruszył dalej, aby dotrzeć do czoła kolumny, rzekł do Szwejka:

— Choćbyście gadali, mój Szwejku, do samego wieczora, to gadanie wasze byłoby tylko coraz głupsze.

— Panie oberlejtant — wołał Szwejk za odjeżdżającym nadporucznikiem — czy nie życzy pan sobie dowiedzieć się, jak to się skończyło?

Nadporucznik popędził tym zwawiej.

Stan porucznika Duba poprawił się tak dalece, że chory mógł opuścić dwukó kę. Zebrał więc dokoła siebie cały sztab kompanii i jak w gorączce zaczął wszystkich o czymś pouczać. Wygłosił długą mowę, która wszystkim wydała się daleko cięższą niż plecaki i karabiny.

W mowie tej była mieszanina różnych przypowieści. Mówił tak:

— Miłość żołnierzy dla panów oficerów umożliwia czyny niewiarogodnej ofiarności, ale to zupełnie obojętne, bo jeśli taka miłość nie jest wrodzona, to można ją wymusić. W życiu cywilnym miłość wymuszona, powiedzmy na ten przykład, miłość ucznia dla ciała profesorskiego trwa tak długo, jak długo trwa siła zewnętrzna, która tę miłość wymusza. Ale na wojnie widzimy coś zgoła przeciwnego, ponieważ żołnierzowi nie można pozwolić na najdrobniejsze pomniejszenie rzeczowej miłości która, żołnierza przywiązuje do jego przełożonych. Miłość ta nie jest bynajmniej zwyczajną miłością, ale jest to właściwie szacunek, strach i dyscyplina.

Przez cały czas Szwejk kroczył po lewej stronie i podczas gdy porucznik Dub przemawiał, patrzył na niego jakby na komendę: W prawo patrz!

Porucznik Dub jakoś tego zrazu nie zauważył i mówił dalej:

— Ta dyscyplina i obowiązek posłuszeństwa, nakazana miłość żołnierza dla oficera, wyraża się bardzo zwięźle, ponieważ stosunek między żołnierzem a oficerem jest bardzo prosty: jeden rozkazuje, drugi musi słuchać. Już dawno czytaliśmy w książkach o sztuce wojskowej, że wojskowy lakonizm, czyli zwięźłość, jest właśnie tą cnotą, którą każdy żołnierz pielęgnować powinien, bo czy chce, czy nie chce, musi kochać swego przełożonego. A ten przełożony w oczach żołnierza musi być najwyższym, jasnym i skryształizowanym wyrazem niezachwianej i doskonałej woli.

Teraz dopiero zauważył, że Szwejk przy swoim „w prawo

patrz“ nie odwraca od niego oczu, co mu się nie bardzo podobało, ponieważ sam wyczuwał, że w mowie swojej nieraz się płacze tak dalece, iż nie wie, jak wybrnąć z plątaniny miłości żołnierza dla swoich przełożonych. Wrzasnął tedy na Szwejka:

— Czemu się na mnie gapisz jak ciele na malowane wrota?

— Według rozkazu, panie lejtnant, pan sam raczył mnie napominać, abym patrzył na jego usta, gdy przemawia. Ponieważ każdy żołnierz winien spełniać rozkazy swoich przełożonych i pamiętać o nich, więc spełniam swój obowiązek.

— Patrz teraz — krzyczał porucznik Dub — w drugą stronę, ty drabie idiotyczny, i nie gap się na mnie, bo wiesz, że tego nie lubię. Twój widok, to nie żadna osobliwa przyjemność.

Szwejk zrobił głową zwrot na lewo i dalej maszerował obok porucznika Duba tak sztywno, że porucznik Dub znowu krzyknął:

— Gdzie ty się gapisz, kiedy z tobą rozmawiam?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że według rozkazu pańskiego stoję „w lewo patrz!“

— Ach — westchnął porucznik Dub — z tobą jest krzyż pański. Patrz prosto przed siebie i myśl o sobie: Jestem taki idiota, że nie trzeba mnie będzie żałować. Zapamiętałeś to sobie?

Szwejk patrzył prosto przed siebie i rzekł:

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, czy mam na to odpowiedzieć?

— Na co ty sobie pozwalasz! — wrzasnął na niego porucznik Dub. — Jak rozmawiasz ze mną i co to znaczy?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że to znaczy, że sobie przypomniałem pewien rozkaz pański dany mi na jednej stacji, że w ogóle mam milczeć, gdy pan przestaje mówić.

— Więc się mnie boisz — rzekł uradowany porucznik Dub — chociaż jeszcze mnie nie poznałeś. Przede mną drżeli nie tacy jak ty, zapamiętaj to sobie. Nauczyłem moresu większych od ciebie łobuziaków, więc stul pysk i zostań w tyle, żebym cię wcale nie widział.

Szwejk przyłączył się tedy na końcu kolumny do sanitariuszy i wygodnie jechał na dwukółce, aż dojechali wreszcie na miejsce wyznaczone na odpoczynek, gdzie żołnierze doczekali się zupy z nieszczęsnej krowy.

— Krowę tę powinni byli położyć przynajmniej na dwa tygodnie w ocet, a jeśli nie tę krowę, to przynajmniej tego, co ją kupował.

Z brygady przycwałował konny kurier z nowymi rozkazami dla jedenastej kompanii, a mianowicie marszruta została zmieniona na Felsztyn; Woralicze i Sambor należy ominąć, gdyż nie można by tam rozkwatować żołnierzy, jako że są tam dwa pułki poznańskie.

Nadporucznik Lukasz wydał natychmiast odpowiednie dyspozycje. Sierżant rachuby Waniek i Szwejk wyszukają dla kompanii nocleg w Felsztynie.

— Ale pamiętajcie, Szwejku, żebyście w drodze nie robili żadnych głupstw — napominał go nadporucznik Lukasz. — Najważniejsze, żebyście się wobec ludności zachowywali przyzwoicie!

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że będę się starał, chociaż miałem jakiś obrzydliwy sen, gdy się nad ranem trochę zdrzemnąłem. Śniło mi się o nieckach, które miały dziurę, tak że przez całą noc ciekła woda na korytarz tego domu, w którym mieszkałem. Woda przeciekła na sufit mieszkania gospodarza, który natychmiast kazał mi się wyprowadzić. Taka rzecz, panie oberlejtant, zdarzyła się w rzeczywistości. Było to w Karlinie za wiaduktem...

— Dajcie nam spokój, Szwejku, ze swoim głupim gadaniem i razem z Wańkiem popatrzcie raczej na mapę, żebyście wiedzieli, którądy macie iść. Więc tutaj oto macie te wsi: od tej wsi ruszacie na prawo ku rzeczulce, a stamtąd idziecie dalej aż do miejsca, w którym wlewa się do niej pierwszy dopływ. Będzie po stronie prawej. Potem pójdziecie połą drogą na północ i nie możecie się dostać nigdzie indziej, tylko do Felsztyna! Zapamiętacie to sobie?

Szwejk ruszył tedy razem z sierżantem rachuby Wańkiem według marszruty...

Było po południu i w panującej spiekocie cała okolica zdawała się ciężko dyszeć. Z płytkich grobów żołnierskich dobywał się zaduch zgnilizny. Dotarli w okolice, w których staczano walki podczas marszu na Przemyśl i gdzie karabiny maszynowe skosiły całe bataliony. W niedużych laskach nad rzeczulką widać było ślady ognia artyleryjskiego. Na wielkich przestrzeniach i zboczach zamiast drzew sterczały z ziemi jakieś ulomki i pniaczki, a pustynia ta była jakby oborana rowami strzeleckimi.

— Trochę tu inaczej niż pod Pragą — rzekł Szwejk, aby przerwać milczenie.

— U nas już będzie po żniwach — rzekł na to sierżant rachuby Waniek. — W okolicach Kralup żniwa zaczynają się najwcześniej.

— Tutaj po wojnie będą bardzo dobre urodzaje — rzekł po chwili Szwejk. — Nie trzeba będzie kupować mączek kosztnych. Dla rolnika jest to rzeczą bardzo korzystną, gdy na polu spróchnieje cały pułk. Jednym słowem, obłowi się nie jeden gospodarz i to porządnie. Tylko o jedno się boję, a mianowicie, żeby ci rolnicy nie dali się nabrać i nie sprzedawali tych kości żołnierskich cukrowniom. W karlińskich koszarach był na przykład oberlejtant Holub, taki uczony, że cała kompania uważała go za idiotę, ponieważ z powodu swej uczo-

ści nie nauczył się wyzywać żołnierzy i nad wszystkim zastanawiał się tylko ze stanowiska naukowego. Pewnego razu żołnierze zameldowali mu, że komiśniaka, który właśnie fasowali, żreć nie podobna. Innego oficera byłoby takie zuchwalstwo rozłościło, ale on nic; zachował spokój, nikogo nie nazwał świnią czy bydlakiem i nikomu nie dał w pysk. Tyle tylko, że zwołał wszystkich swoich szeregowców i rzekł do nich swoim bardzo przyjemnym głosem: — Po pierwsze, musicie sobie uświadomić, że koszary to nie żaden *Delikatessenhandlung*, żebyście sobie mogli do woli wybierać marynowane węgorki, sardynki i sandwicze. Każdy żołnierz winien być na tyle inteligentny, żeby żreć wszystko, co fasuje, i ma mieć tyle dyscypliny, żeby się nie zastanawiać nad gatunkiem tego, co mu każą żreć. Wyobraźcie sobie, żołnierze, że może być wojna. Tej ziemi, w której was po bitwie pochowają, będzie wszystko jedno, jakiego komiśniaka nażarliście się przed śmiercią. Matka ziemia rozłoży was i zeżre razem z butami. Na świecie nic zginąć nie może. Z was, żołnierze, wyrosnie nowe zboże na komiśniak dla nowych żołnierzy, którzy znowu może tak samo jak wy nie będą zadowoleni z otrzymanego chleba, pójdą na skargę i natkną się na kogoś, kto każe ich wsadzić do paki, aż im oko zbieleje, ponieważ będzie miał prawo. Teraz wam wszystko ładnie wytłumaczyłem, moi żołnierze, i nie potrzebuję wam chyba dodawać, że kto by się w przyszłości chciał uskarżać, to miałby tylko jedną przyjemność, a mianowicie, wyjście z paki na wolny świat boży. — Żeby był choć trochę urągał! Nic, tylko takie delikatne słowa, które wszystkich żołnierzy oburzały. Więc pewnego razu wybrała mnie kompania, żebym mu o tym delikatnie powiedział, że go wszyscy bardzo lubimy, ale że wojsko bez wyzwisk, to nie żadne wojsko. Więc poszedłem do niego do mieszkania i prosiłem go, żeby się nie krępował, że wojsko, to rzecz przecie twarda jak rzemień, a żołnierze już są przyzwyczajeni do tego, iż co dzień im się powtarza,

że jeden w drugiego pies i świnia, bo w przeciwnym razie tracą szacunek dla położonych. Zrazu się wymawiał, mówił coś o inteligencji, o tym, że dzisiaj już się nie służy pod batem, ale wreszcie dał się przekonać, sprął mnie po pysku i wyrzucił za drzwi, żeby słowa jego nabrały większej wagi. Kiedy powiedziałem kolegom o rezultacie swojej wizyty u niego, wszyscy się ogromnie ucieszyli, ale on popsuł nam uciechę już dnia następnego. Podchodzi do mnie i wobec wszystkich powiada: — Szwejku, ja się wczoraj zapomniałem. Macie tu guldena i napijcie się za moje zdrowie. Z żołnierzami trzeba umieć postępować.

Szwejk rozejrzał się po okolicy. Po chwili rzekł:

— Zdaje mi się, że nie idziemy tak, jak iść trzeba. Pan oberlejtnant wytłumaczył nam przecie wszystko jak się należy. Najprzód idzie się pod górkę, potem na dół, następnie w lewo i na prawo, potem znowu w prawo i na lewo. A my ciągle idziemy prosto. A może szliśmy dobrze, tylko że przy gadaniu nie zauważyliśmy. Ja tu stanowczo widzę dwie drogi wiodące do tego Felsztyna. Proponowałbym, żebyśmy teraz ruszyli tą drogą, która prowadzi w lewo.

Sierżant rachuby, jak zawsze, gdy dwoje ludzi znajdzie się na rozstajach, zaczął dowodzić, że trzeba iść na prawo.

— Moja droga byłaby wygodniejsza niż pańska — rzekł Szwejk. — Ja pójdę wzdłuż strumienia, nad którym rosną niezapominajki, a pan idź sobie zakurzoną drogą wśród tej spiekoty. Ja się trzymam tego, co nam powiedział pan oberlejtnant, że w ogóle nie możemy dojść nigdzie indziej, tylko do Felsztyna, a skoro zbłądzić nie możemy, to po co leźć pod górę. Pójdę łąkami, przypnę kwiatek do czapki i narwę bukiet niezapominajek dla pana oberlejtnantsa. Zresztą przekonamy się niedługo, kto z nas miał rację, więc mam nadzieję, że się rozejdziemy jako dobrzy towarzysze. Okolica jest tu taka, że wszystkie drogi prowadzą do tego Felsztyna.

— Nie małpujcie, Szwejku — rzekł Waniek. — Podług mapy z tego miejsca ruszyć musimy, jak już powiedziałem, w prawo.

— Mapa też się może mylić — odpowiedział Szwejk, zbaczając ku strumieniowi w dolince. Pewnego razu wędliniarz Krzenek wracał od Montagów na Małej Stronie na Królewskie Winohrady podług planu miasta Pragi, błąkał się całą noc, a nad ranem dotarł do Rozdzielowa koło Kładna. Znaleźli go w życie; leżał zdętwiały ze zmęczenia i chłodu. Skoro pan nie chce mnie słuchać, panie rechnungsfeldfelbel i trwa przy swoim, to się musimy rozejść i spotkamy się dopiero w Felsztynie. Niech pan spojrzy na zegarek, żeby było wiadomo, kto prędzej dojdzie do celu. A gdyby panu zagrażało jakie niebezpieczeństwo, to niech pan wystrzeli w powietrze, żebym wiedział, gdzie pan się znajduje.

Po południu Szwejk dotarł do niedużego stawu, gdzie spotkał się ze zbiegłym jeńcem rosyjskim. Zbieg kąpał się właśnie, ale gdy ujrzał Szwejka, wyskoczył z wody i nagi zaczął uciekać.

Szwejk był ciekaw, czy pasowałby mu rosyjski uniform, leżący nad stawem pod wierzbami, więc się rozebrał i przywdział uniform nieszczęsnego zbiegłego nagusa, który uciekł z transportu zakwaterowanego we wsi za lasem. Szwejk chciał się dokładnie przejrzeć przynajmniej w wodzie stawu, więc tak długo chodził po grobli, aż go dostrzegł i zabrał patrol żandarmerii polowej, szukający zbiegłego jeńca. Byli to Węgrzy, więc pomimo protestów Szwejka odprowadzili go na etap w Chyrowie, gdzie został włączony do szeregu jeńców rosyjskich, pracujących właśnie przy naprawie toru linii kolejowej wiodącej do Przemyśla.

Wszystko to stało się tak szybko, że Szwejk dopiero na zajutrz zdał sobie sprawę ze swojej przygody i na białej

ścianie izby szkolnej, w której ulokowana była część jeńców.
wypisał kawałkiem węgla drzewnego:

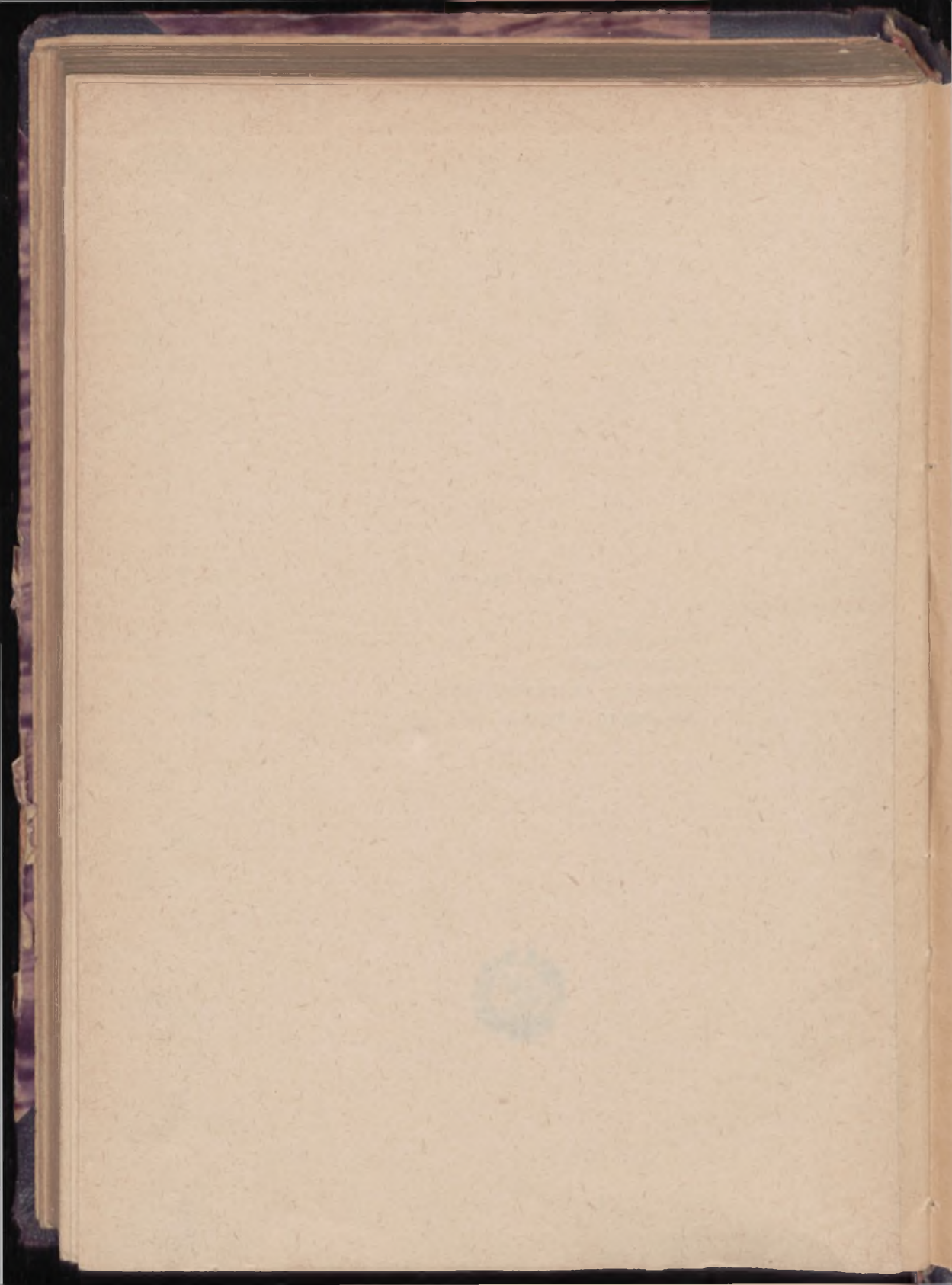
TU NOCOWAŁ JÓZEF SZWEJK Z PRAGI,
ORDYNANS JEDENASTEJ MARSZKOMPANII
91 PUŁKU,
KTÓRY JAKO KWATERMISTRZ
PRZEZ POMYŁKĘ DOSTAŁ SIĘ
POD FELSTYNEM
DO NIEWOLI AUSTRIACKIEJ

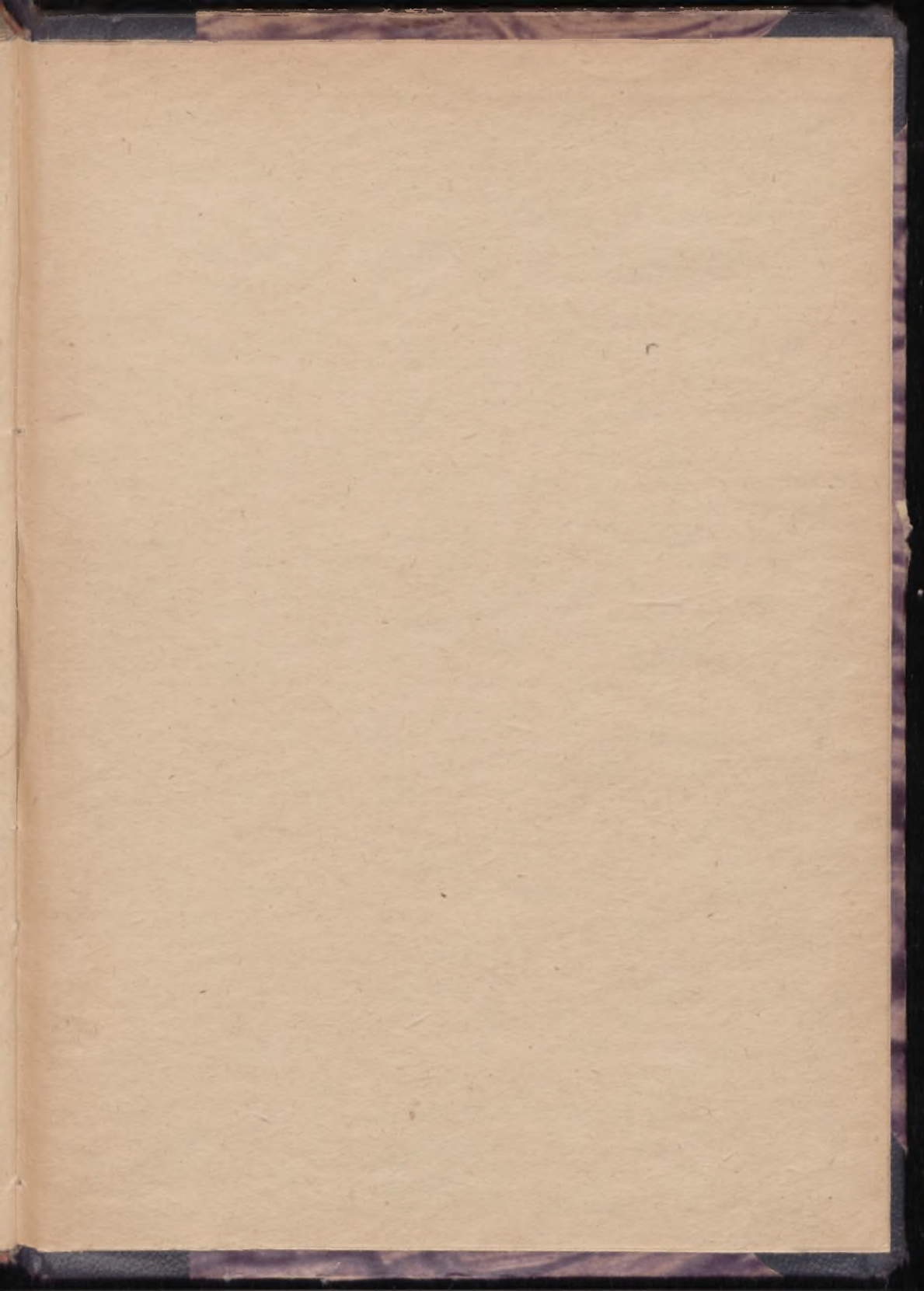
Koniec części trzeciej

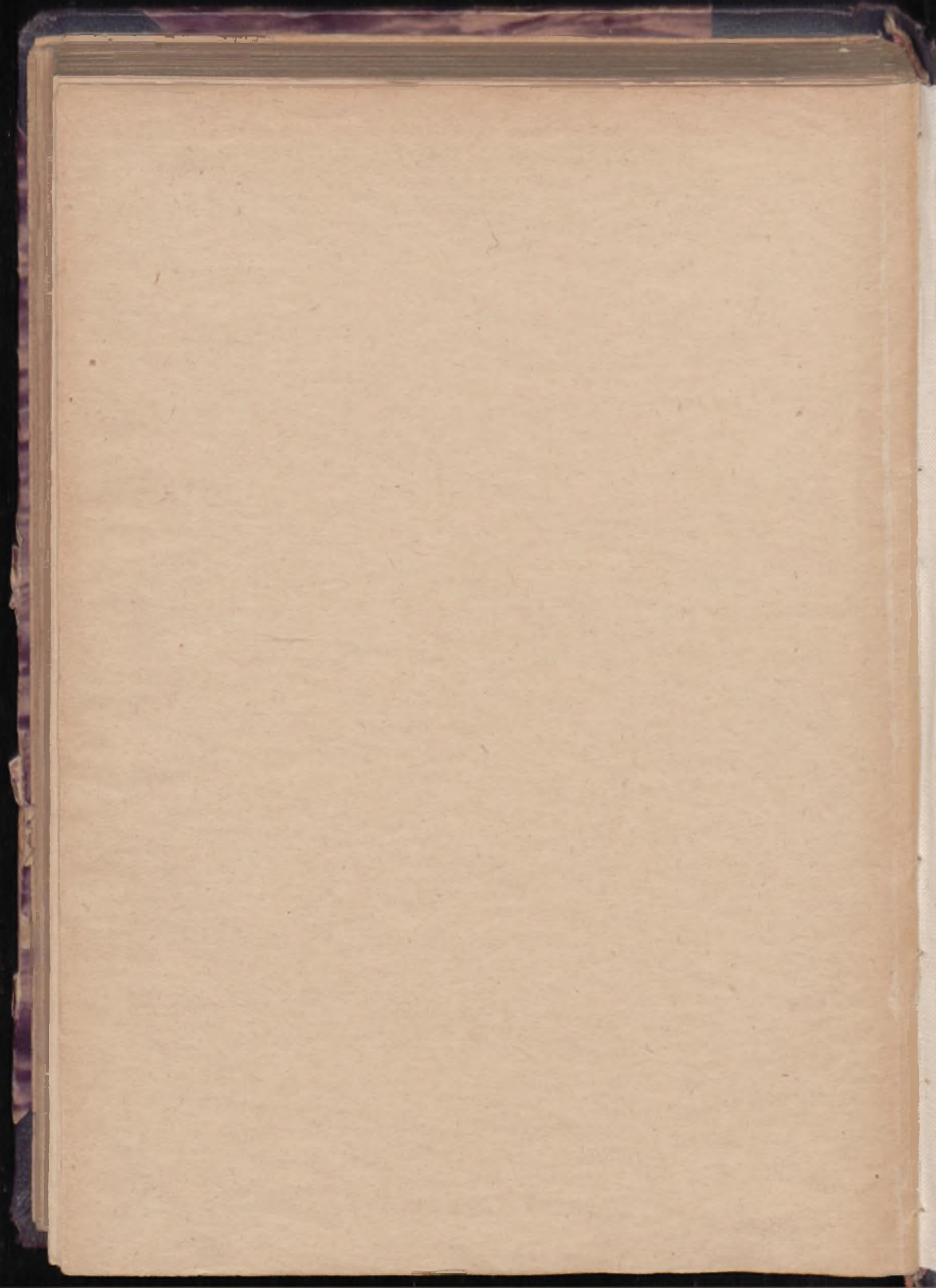
SPIS TRESCI

	Str.
Rozdział I Przez Węgry	5
" II W Budapeszcie	70
" III Z Hatwanu na granice Galicji	131
" IV Marschieren! Marsch!	189









Biblioteka Narodowa
Warszawa



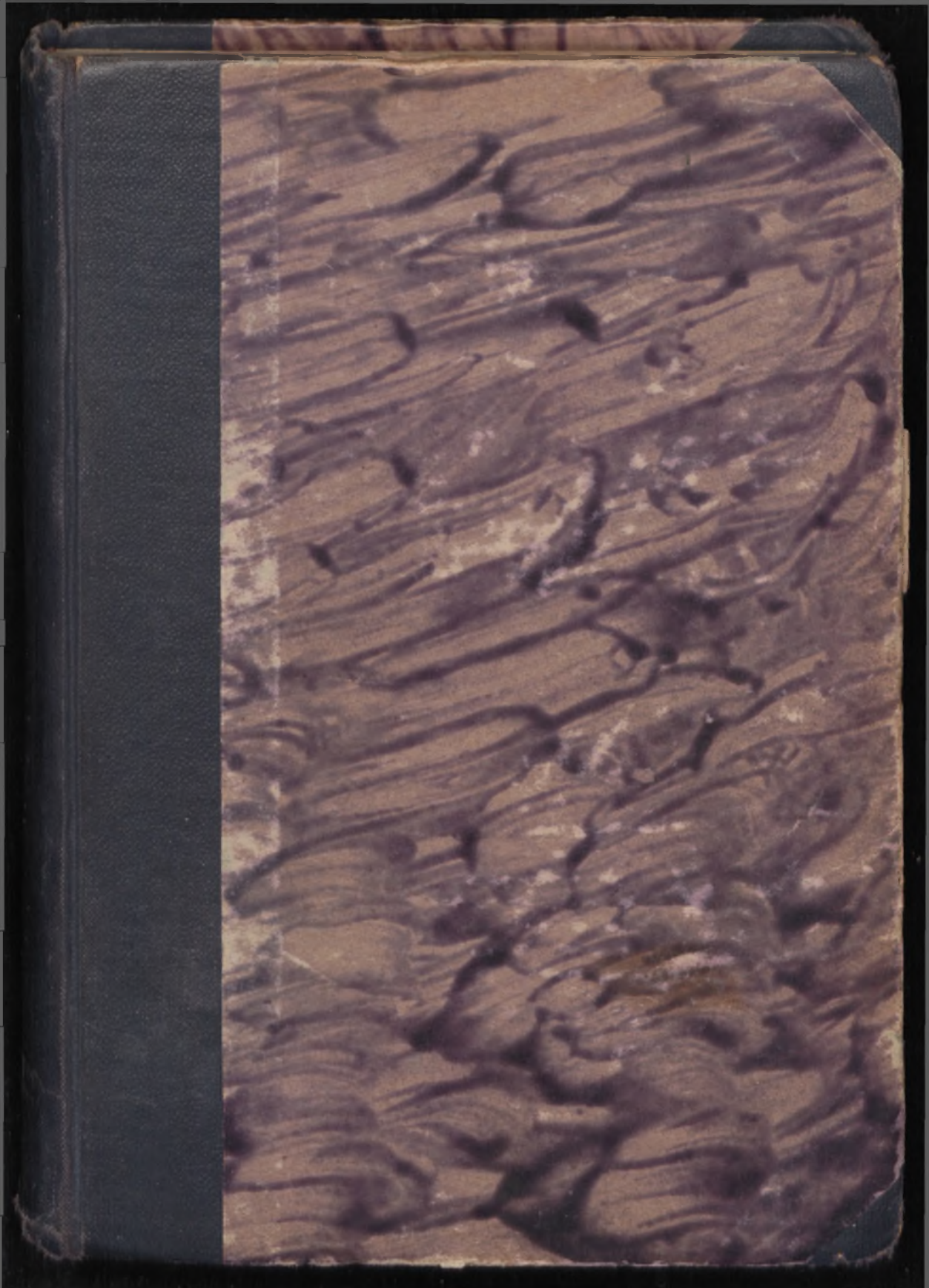
30001024266985

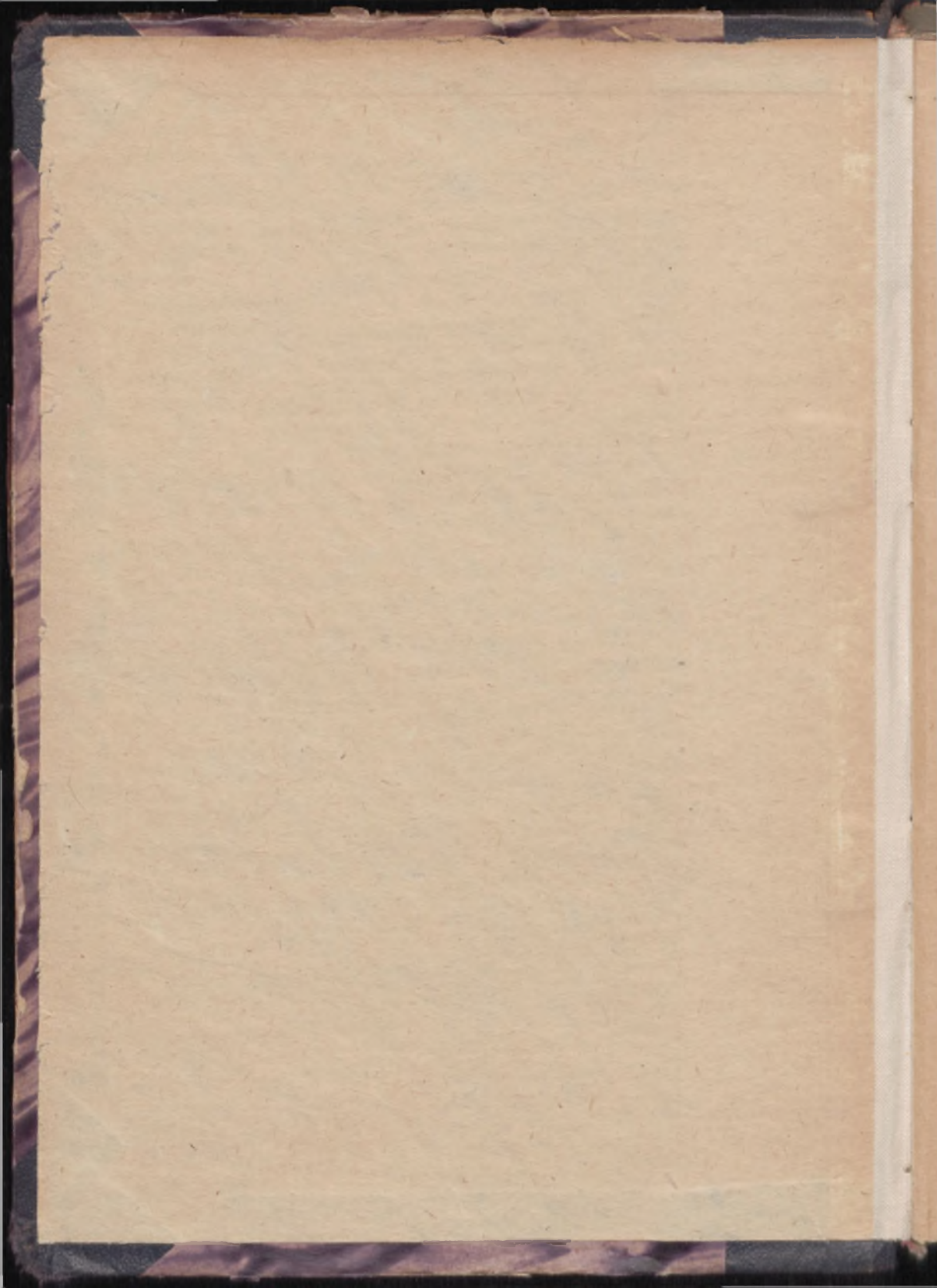


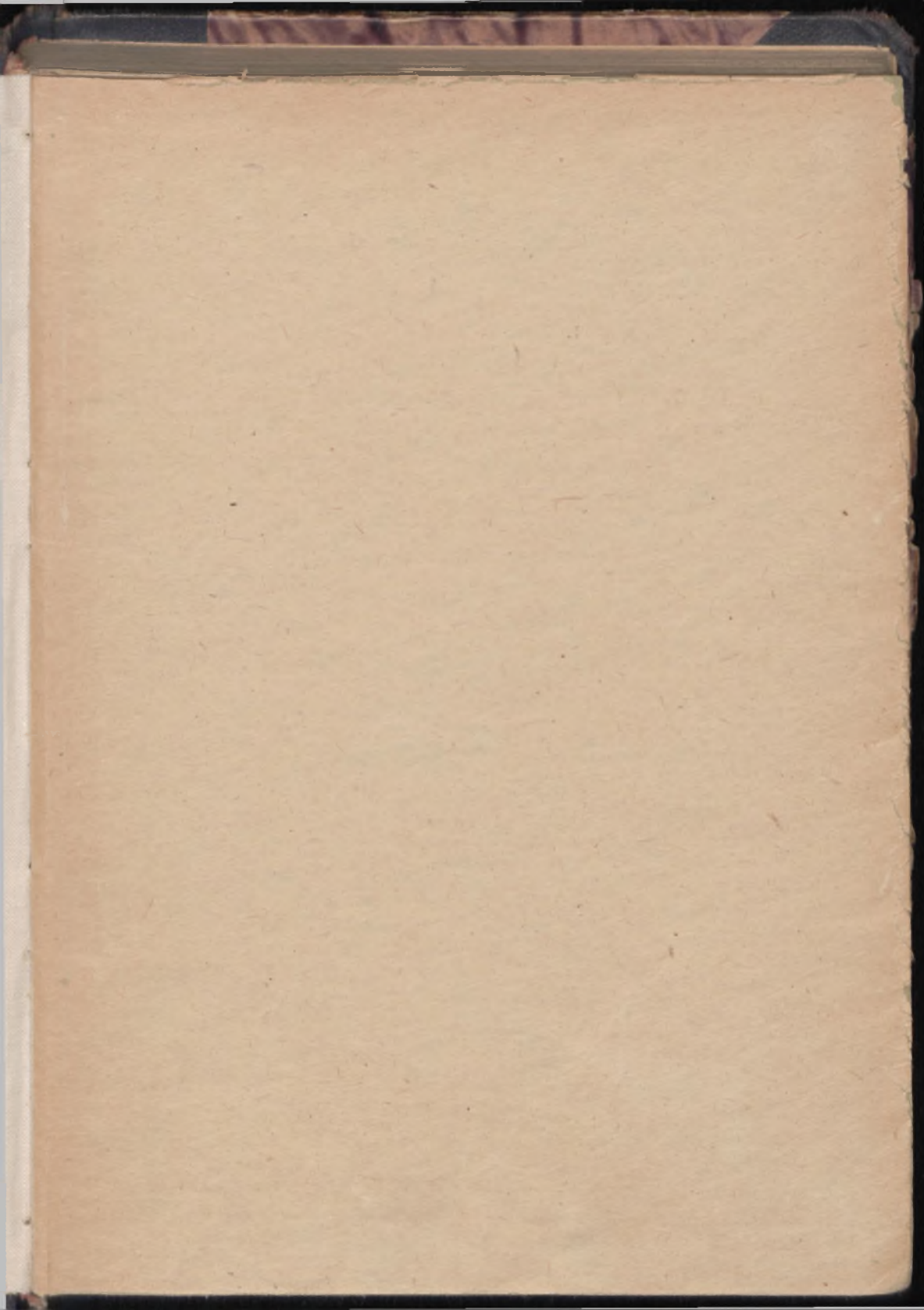
BIBLIOTEKA
NARODOWA

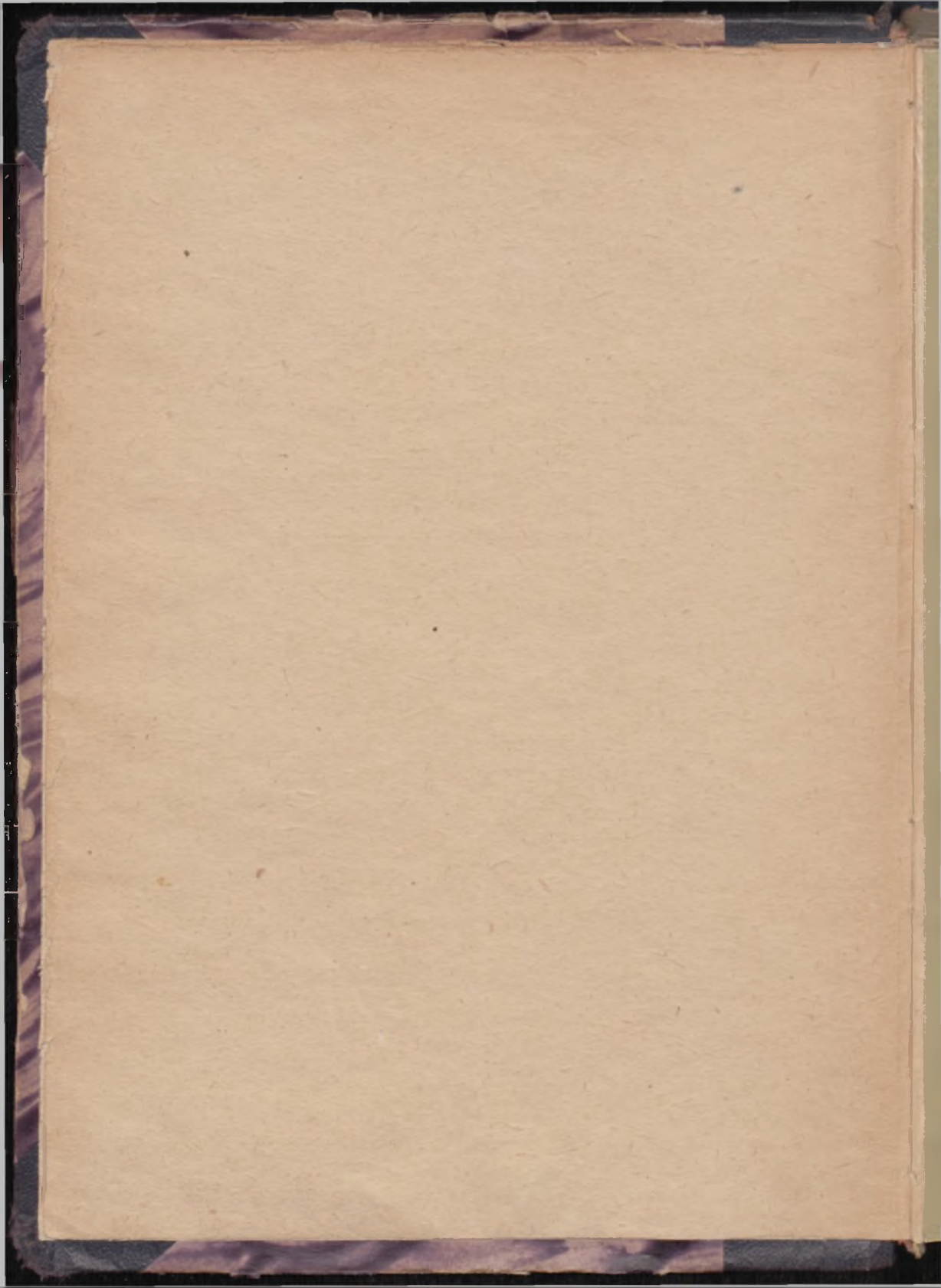
3

524592







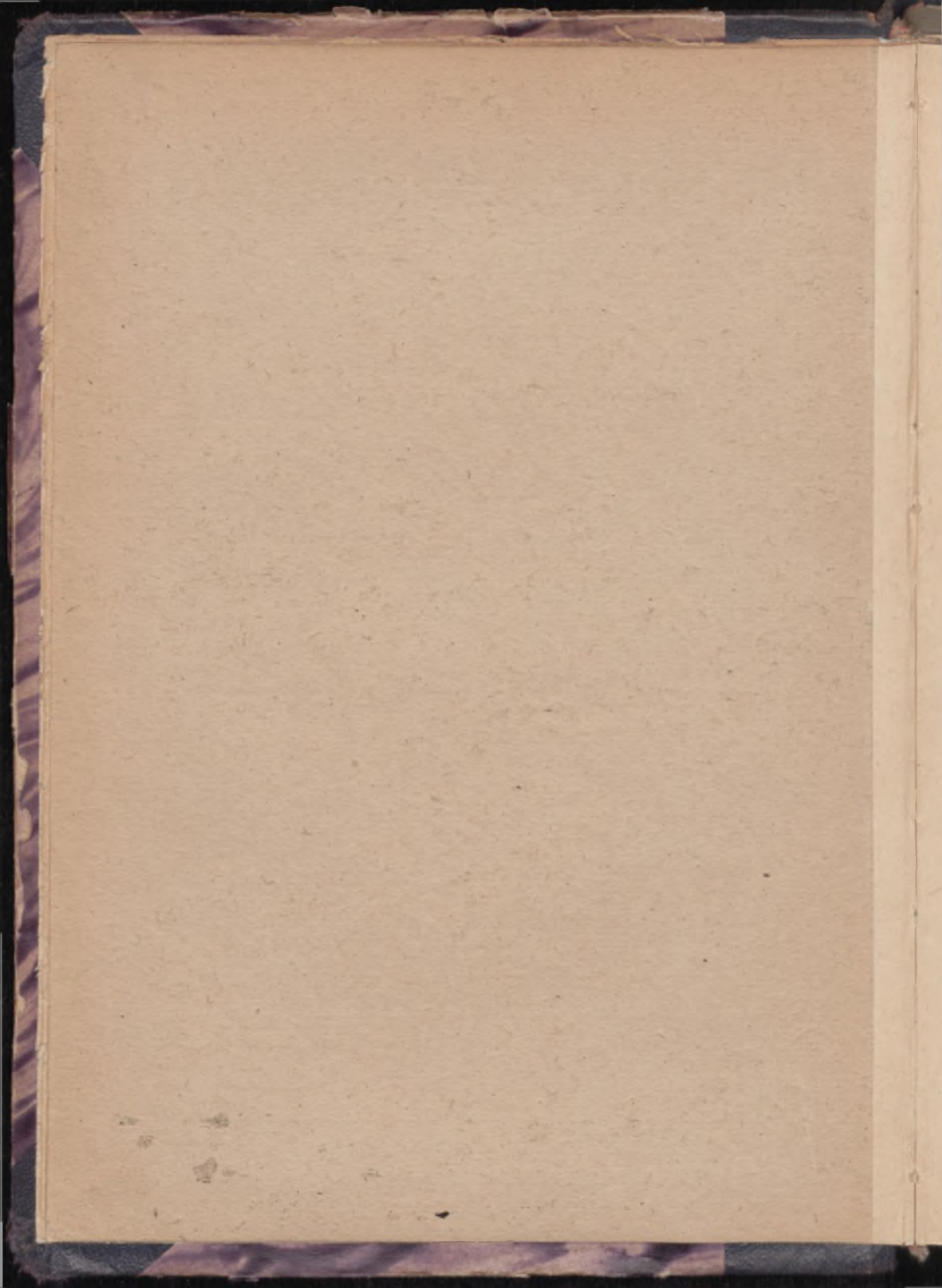


JAROSLAV HAŠEK



**PRZYGODY DOBREGO
WOJAKA SZWEJKA**

· KSIĄŻKA & WIEDZA ·



JAROSLAV HAŠEK
*
PO PRZEŚLAWNYM LANIU

14

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA SZWEJKA
PODCZAS WOJNY ŚWIATOWEJ

I

Szwejk na tyłach

II

Szwejk na froncie

III

Przesławne lanie

IV

Po przesławnym laniu

JAROSLAV HAŠEK

PRZYGODY
DOBREGO WOJAKA
SZWEJKA

PODCZAS
WOJNY ŚWIATOWEJ

★ ★ ★ ★

Po przesławnym laniu

• KSIĄŻKA i WIEDZA •
Spółdzielnia Wydawnicza

Warszawa 1949

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza”
Warszawa
Printed in Poland
Marzec 1949 rok

*

Autoryzowany przekład z czeskiego
P. HULKI-LASKOWSKIEGO

*

Oktładkę projektował
IGNACY WITZ

*

Z praw wydawniczych
Towarzystwa Wydawniczego „Rój”



II. 524.592

F. 37601

Tłoczono 15.370 egzemplarzy
Zakłady Graficzne „Książka i Wiedza” w Wałbrzychu
Obj. 16 ark. Papier dzielowy kl. V, 70 g, 61×86 m.

1949 61047 / 2d

I

Szwejk w transporcie jeńców rosyjskich.

Kiedy Szwejk, błędnie uważany za jeńca rosyjskiego, zbiegłego ze wsi w pobliżu Felsztyna, pisał swoje rozpaczliwe okrzyki węglem na ścianie, nikt nie zwracał na to uwagi, a gdy w Chyrowie na etapie chciał wszystko szczegółowo objaśnić jednemu z oficerów, przechodzącemu właśnie obok niego, gdy im rozdawano po kawałku twardego chleba kukurydzowego, jeden z żołnierzy węgierskich dzielił go kolbą w ramię wołając:

— Baczom az élet! Do szeregu, ruska świnió!

Działo się to, oczywiście, w stylu obchodzenia się węgierskich żołnierzy z jeńcami rosyjskimi, z którymi porozumieć się nie mogli.

Szwejk stanął więc w szeregu i zwrócił się do najbliższego jeńca:

— Człowiek ten spełnia swój obowiązek, ale i sam siebie naraża przy tej sposobności na niebezpieczeństwo. Przecież mogłoby się zdarzyć, że karabin byłby nabity, a zamek otwarty, więc gdy taki zacznie pracować człowieka kolbą, a lufę ma przeciwko sobie, to karabin mógłby wystrzelić, a cały nabój mógłby mu wlecieć w gębę. Mógłby więc spełnianie obowiązku przypłacić życiem. Na Szumawie w pewnym ło-

mie kamienia robotnicy kradli zapalniki dynamitowe, żeby mieć zapas przy karczowaniu pni w zimie. Dozorca kamieniołomu otrzymał rozkaz rewidowania każdego robotnika, a zabrał się do tego z wielką miłością; pierwszego z brzegu zaczął tak zamaszycie tłuc po kieszeniach, że zapalniki wybuchnęły i obaj razem z dozorcą wylecieli w powietrze i to tak jakoś śmiesznie, jakby się trzymali za szyje.

Jeniec rosyjski, któremu Szwejk to wszystko opowiadał, spoglądał na niego tak pocziwie, jakby chciał rzec, że ze wszystkich tych wywodów nie rozumie niczego.

— Ne ponymat, ja krymski Tataryn, Allah achper — rzekł wreszcie i usiadł na ziemi podwinawszy nogi pod siebie, po czym złożył ręce na piersi i zaczął się modlić:

— Allah achper — Allah achper — bezmilla — arachman, arachim — malinkin mustafir.

— Więc tyś, bratku, Tatar — rzekł Szwejk ze współczuciem. — No, toś się udał. Naturalnie, że jeśli ty Tatar, to ani ja ciebie, ani ty mnie rozumieć nie możesz. Hm, a czy ty znasz Jarosława ze Szternberga? Nie znasz tego imienia? Ach ty, łobuzie tatarski! To przecież ten sam, co to wam dał tak mocno po dupie pod Hostynem. Wialiście wtedy od nas z Moraw, wy, łobuzy tatarskie, świńskim truchtem. Widać, że w waszych czytankach nie piszą o tym tak, jak w naszych. A czy znasz Matkę Boską Hostyńską? Naturalnie, że nie znasz — a to Ona przyczyniła się do waszego lania. Ale teraz w niewoli ochrzczą cię, ty smyku, jak amen w pacierzu.

— A ty także z Tatarów będziesz? — zwrócił się Szwejk do drugiego jeńca.

Zagadnięty zrozumiał słowo Tatar i zakręcił głową:

— Tataryn net, Czerkes, rodneja Czerkes, gołowy reżu.

Szwejk miał osobliwe szczęście, bo znalazł się w towarzy-

stwie członków różnych narodów wschodnich. W transporcie jeńców znajdowali się Tatarzy, Gruzini, Osetyńcy, Czerkiesy, Mordwiny i Kałmuki.

Miał też pecha, że z nikim nie mógł się dogadać, więc razem z innymi wleczono go na Dobromil, skąd miano zacząć naprawę drogi żelaznej, idącej przez Przemyśl na Niżankowice.

W Dobromilu, na etapie w kancelarii zapisywano wszystkich jeńców jednego po drugim, co odbywało się nie bez trudu, ponieważ wśród wszystkich 300 jeńców, spędzonych do Dobromila z różnych stron, nie było ani jednego, który rozumiałby mowę rosyjską sierzanta siedzącego za stołem i pełniącego obowiązki tłumacza we Wschodniej Galicji, bo twierdził, o sobie, że język rosyjski zna. Przed jakimś trzema tygodniami sprowadził sobie słownik rosyjsko-niemiecki i rozmówki, ale jak dotychczas nie bardzo mu szło, tak iż zamiast po rosyjsku mówił łamanym językiem słowackim, który przyswoił sobie jako tako, gdy podróżował po Słowacyzynie i sprzedawał obrazy św. Stefana, różańce i kropielnice, wyrabiane przez jedną z firm wiedeńskich.

Wobec tych dziwacznych postaci, z którymi w ogóle dogadać się nie mógł, był całkiem bezradny. Wyszedł więc przed kancelarię i wrzasnął na gromadę jeńców:

— Wer kann deutsch sprechen?

Z gromady wystąpił Szwejk, który z twarzą rozradowaną śpieszył się ku sierzantowi i natychmiast został przez niego zabrany do kancelarii.

Sierzant usadowił się za stołem, ułożył przed sobą stos blankietów z rubrykami na imiona, nazwiska i przynależność jeńców i rozpoczął ze Szwejkem wysoce pocieszną rozmowę:

— Jesteś Żyd, co? — zapytał przede wszystkim.

Szwejk zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie potrzebujesz się wypierać swego żydostwa — z wielką pewnością siebie mówił dalej sierzant-tłumacz — bo każdy spośród waszych jeńców, który umiał po niemiecku,

był Żyd i basta. Jak się nazywasz? Szwejh? No, widzisz! Po co się zapierasz, skoro nazwisko masz żydowskie? U nas możesz się do tego przyznać bez obawy, bo w naszej Austrii nie ma pogromów żydowskich. Skąd pochodzisz? Aha, Praga, ja ją znam, bo to przedmieście Warszawy. Przed jakimś tygodniem miałem tu już dwóch Żydków z Pragi spod Warszawy. A twój pułk? Nr 91?

Sierżant sięgnął po schemat, przerzucał kartki i wreszcie rzekł:

— Pułk dziewięćdziesiąty pierwszy nazywa się Erywański, jest z Kaukazu, kadre ma w Tyflisie. A co? Gapisz się na mnie, że my tu wszystko tak dobrze wiemy!

Szwejk gapił się naprawdę na tę całą historię, a sierżant mówił dalej z wielką powagą, podając Szwejkowi połowę niedopalonego papierosa:

— Masz i pal. To inny tytoń niż wasza machorka. Ja tu jestem, mój Żydku, najwyższym panem. Gdy powiem słowo, to wszystko musi trząść się przede mną i padać na pysk. w naszym wojsku panuje inna dyscyplina niż w waszym. Wasz car, to łobuz, ale nasz car, to mądra głowa. A teraz pokażę ci coś, żebyś wiedział, jaka u nas panuje dyscyplina.

Otworzył drzwi prowadzące do pokoju przyległego i krzyknął:

— Hans Löfler!

— H i e r! — ozwało się w odpowiedzi i do izby wszedł żołnierz z wielkim wolem. Styryjczyk o wyrazie splakanego kretyna. Na etapie żołnierz ten był dziewczyną do wszystkiego.

— Hans Löfler — polecił sierżant — bierz moją fajkę, wsadź ją sobie w usta jak pies aportujący i na czworakach biegnij dokoła stołu, dopóki nie powiem H a l t! Prócz tego musisz szczekać, ale tak, żeby ci fajka z ust nie wypadła, bo dam ci słupka!

Wolasty Styryjczyk zabrał się do łażenia na czworakach i szczekania.

Sierżant spojrzął na Szwejka okiem zwycięskim.

— A co? Czy nie mówiłem ci, Żydku, że u nas jest doskonała dyscyplina?

I sierżant z wielkim zadowoleniem spoglądał na biedne wystraszone zwierzę pochodzące z jakiegoś alpejskiego szlaku, biegające na czworakach.

— Halt! — zawołał wreszcie. — Teraz służ i podaj mi fajkę. Doskonale, a teraz jodluj.

— Holarijo, holarijo! — ozwało się w izbie jodlowanie.

Gdy już było po przedstawieniu, sierżant wyjął z szuflady cztery papierosy „Sport“ i podał je Hansowi. Wtedy Szwejk łamaną niemiecką zaczął sierżantowi opowiadać, że pewien oficer miał takiego posłusznego służącego, iż ten robił wszystko, co mu jego pan rozkazał, a gdy pewnego razu zapytali go, czy zeżarłby łyżką to, co jego pan wy..., miał odpowiedzieć: — Gdyby mi mój pan kazał zrobić taką rzecz, to zrobiłbym według rozkazu, ale żeby w tym nie było włosa, bo włosami bardzo się brzydzę i zaraz by mnie zemdlilo.

— Wy, Żydzi, macie osobliwe anegdoty — roześmiał się sierżant — ale założyłbym się, że w waszym wojsku nie ma takiej dyscypliny jak w naszym. Tu wszakże o co innego nam chodzi. Mianuję cię starszym nad całym transportem! Do wieczora spiszesz mi nazwiska wszystkich jeńców! Będziesz dla nich fasował jedzenie, podzielisz ich na dziesiątki i będziesz mi odpowiedzialny, jeśli ci który z nich ucieknie. Gdyby ci który z jeńców uciekł, mój Żydku, to cię rozstrzelamy!

— Chciałbym z panem porozmawiać, panie sierżancie — rzekł Szwejk.

— Tylko mi się nie targuj i nie wykręcaj — odpowiedział sierżant — bo cię pošlę do obozu. Nie lubię wykrętów. Jakoś ogromnie szybko zaaklimatyzowałeś się u nas w Austrii.

Patrzcie go, on by chciał ze mną porozmawiać... Im człowiek grzeczniejszy dla was, tym natarczywsi jesteście... Dalej, bierz się do roboty! Masz tu papier i ołówek i rób spis!... Czego ci jeszcze?

— Ich melde gehorsam, Her Feldfebel...

— Wynoś mi się zaraz! Widzisz, ile mam roboty! — wołał sierżant przybierając wyraz twarzy człowieka wielce przepracowanego.

Szwejk zasalutował i odszedł ku jeńcom, przy czym pomyślał sobie, że cierpliwość w służbie dla najjaśniejszego pana musi wydać owoc.

Trudniejszą sprawą było układanie spisu jeńców, bo ci nie bardzo rozumieli, że mają wymieniać swoje nazwiska. Szwejk przeżył w swoim życiu wiele, ale pomimo to te tatarskie, gruzińskie i mordwińskie nazwiska nie mieściły mu się w głowie.

— Nikt mi przecie nie będzie wierzył — myślał Szwejk — że ktoś mógłby się nazywać tak, jak się nazywają ci Tatarzy dokoła: — Muhlahalej Abdrachmanow — Bejmurat Allahali — Dżeredże Czerdedże — Dawlatbalej Nurdagalejew i jak ich tam jeszcze... U nas jednak mają ludzie lepsze nazwiska, jak na przykład proboszcz w Żydohouszti, który się nazywał Niemrawa.

Szwejk chodził dalej przed szeregami jeńców, którzy po kolei wykrzykiwali swoje imiona i nazwiska:

— Dżindralej Hanamalej — Babamulej Mirzahali itd.

— Jeszcze się w język ugryziesz — mówił do każdego z nich z pocziwym uśmiechem Szwejk. — Czy to nie lepiej, gdy u nas ludzie nazywają się: Bogusław Sztiepanek, Jarosław Matouszek, albo Rużena Swobodowa?

Gdy wreszcie po straszliwych udrękach Szwejk spisał wszystkich tych Babula Halejów, Chudzi Mudżich itd., postanowił jeszcze raz zrobić próbę i wytłumaczyć sierżantowi-tłumaczowi, że jest ofiarą pomyłki i że już kilka razy w cza-

sie transportowania daremnie usiłował doprosić się sprawiedliwości.

— Sierżant-tłumacz, który już przedtem niezupełnie był trzeźwy, stracił tymczasem przytomność całkowicie.

Siedział nad częścią ogłoszeniową jakiejś gazety niemieckiej i odśpiewywał ogłoszenia na nutę marsza Radeckiego:

— Gramofon wymienię na wózek dziecięcy. — Szkło białe i zielone, także potłuczone, skupuję. — Buchalterii i bilansowania nauczy się każdy, kto przejdzie piśmienny kurs buchalterii, itd.

Do niektórych ogłoszeń nie nadawała się nuta marsza, ale sierżant przemocą wtłaczał słowa w melodię i dlatego tłukł pięścią w stół i nogami walił w takt. Wąsy jego, zlepione kontuszką, sterczały po obu stronach, zeschnięte jak pędzle używane do gumy arabskiej. Jego oczy z obrzękłymi powiekami zauważyły wprawdzie Szwejką, ale sierżant zachowywał się tak, jakby go nie widział, tyle tylko, że przestał wybijać takt rękoma i nogami. Zmienił też rytm na nutę piosnki: *Ich weiss nicht was soll es bedeuten*, i wyśpiewywał na tę melodię ogłoszenie: „Karolina Dreger, akuszerka, poleca się szanownym damom we wszelkich okazjach“.

Przyśpiewywał sobie coraz ciszej i ciszej, aż wreszcie zamilkł, bez ruchu spoglądał na całą wielką kolumnę ogłoszeń i dał Szwejkowi okazję do rozgadania się o jego przygodzie, o której ten opowiadał zdaniami urywanymi i niemczyzną najokropniejszą.

Zaczął Szwejk od tego, że jednak miał rację, gdy wybierał drogę na Felsztyn wzdłuż potoku, ale nie jego to wina, że jakiś nieznany rosyjski żołnierz uciekł z niewoli i poszedł się kąpać do stawu, koło którego on, Szwejk, musiał akurat przechodzić, jako że jego obowiązkiem było wybierać drogę najkrótszą, bo był przecie kwatermistrzem. Rosjanin, jak tylko go zobaczył, zaraz uciekł, zostawiając na brzegu swój uniform.

On, Szwejk, słyszał nieraz, że na przykład na pozycji, wywiadowcy przebierają się w uniformy poległych żołnierzy nieprzyjacielskich, i dlatego na próbę przebrał się w porzucony uniform, żeby się przekonać, jakby mu się w takim uniformie w razie potrzeby chodziło.

Wyjaśniwszy tę swoją pomyłkę, Szwejk zauważył, że mówił zgoła na próżno, bo sierżant już dawno spał, zanim opowieść doszła do owego stawu, w którym kąpał się jeńiec rosyjski. Szwejk poufale podszedł do śpiącego i dotknął jego ramienia, co wystarczyło, aby sierżant spadł z krzesła na podłogę i aby spał spokojnie dalej.

— Pan pozwoli, panie sierżant — rzekł Szwejk — że pana opuszczę. — I zasalutowawszy, wyszedł z kancelarii.

Wczesnym rankiem kolejowe dowództwo wojskowe zmieniło dyspozycje i postanowiło, że ta grupa jeńców, w której znajdował się Szwejk, będzie wyprawiona prosto do Przemyśla do naprawienia toru Przemyśl — Lubaczów.

Pozostało więc wszystko po staremu i Szwejk odbywał w dalszym ciągu odyseję razem z jeńcami rosyjskimi. Węgierscy wartownicy pędzili wszystkich szybkim marszem naprzód.

W pewnej wsi, gdzie był odpoczynek, spotkali się z oddziałem trenu. Przed grupą wozów stał oficer i przyglądał się jeńcom. Szwejk wyskoczył z szeregu, stanął przed oficerem i zawołał:

— Herr Leutnant, ich melde gehorsamst...

Więcej powiedzieć nie zdołał, bo natychmiast pośpieszyli za nim dwaj węgierscy żołnierze, którzy pięściami wpędzili Szwejka ponownie do szeregu.

Oficer rzucił za nim niedopałek papierosa, ale podniósł go i wypalił inny jeńiec. Potem oficer zwrócił się do stojącego w pobliżu kaprała i tłumaczył mu, że w Rosji są niemieccy koloniści i że także muszą walczyć.

Potem, w ciągu całej drogi do Przemyśla nie nadarzyła się ani razu sposobność do poskarżenia się komukolwiek i wy-

tłumaczenia, że właściwie jest on ordynansem 11 marszkompanii 91 pułku. Dopiero w Przemyślu, gdy wieczorem spędzono jeńców do jakiegoś rozbitego fortu strefy wewnętrznej, mógł Szwejk odpocząć w jednej ze stajen koni artylerii fortecznej.

Leżały tam kupy słomy tak zawszonej, że krótkimi źdźbłami wszy poruszały, jakby to były nie wszy, ale mrówki, znoszące materiał do budowania mrowiska.

Jeńcy dostali trochę „kawy“ z samej cykorii, brudnej jak pomyje, i po kawałku trocinowatego chleba z kukurydzy.

Potem przejmował jeńców major Wolf, władający owego czasu wszystkimi jeńcami, pracującymi przy naprawach w Przemyślu i okolicy. Był to człowiek bardzo drobiazgowy. Przy sobie miał cały sztab tłumaczy, którzy spośród jeńców wybierali specjalistów do budowli według ich zdolności i wykształcenia.

Major Wolf miał idée fixe, że jeńcy rosyjscy ukrywają swoje wykształcenie, ponieważ zdarzało się, że gdy on pytał jeńca:

— Czy umiesz budować koleje żelazne? — to jeniec odpowiadał:

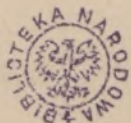
— O niczym nie wiem, o niczym podobnym nie słyzałem, żyłem sprawiedliwie i uczciwie.

Gdy więc wszyscy stali już uszykowani przed majorem Wolfem i całym jego sztabem, ten zapytał najprzód w języku niemieckim, kto z nich umie po niemiecku.

Szwejk wysunął się dziarsko naprzód, stanął przed majorem, zasalutował i meldował, że on po niemiecku umie.

Major Wolf był tym widomie uradowany i zaraz pytał Szwejka, czy nie jest on czasem inżynierem.

— Posłusznie melduję, panie majorze — odpowiedział Szwejk — że nie jestem inżynierem, ale ordynansem 11 marszkompanii 91 pułku. Dostałem się do naszej niewoli, a stało się to, panie majorze, tak...



— Co takiego? — wrzasnął major Wolf.

— Posłusznie melduję, panie majorze, że to się stało tak...

— Wy jesteście Czech? — ryczał dalej major. — Wyście się przebrali w rosyjski uniform?

— Posłusznie melduję, panie majorze, że to się wszystko jedno z drugim zgadza. Bardzo się cieszę, że pan major natychmiast wżył się w moją sytuację. Być może, że nasi już gdzieś walczą, a ja mógłbym w ten sposób przegawronić całą wojnę. Więc ja panu majorowi wszystko jeszcze raz dokumentnie opowiem.

— Dość — rzekł major Wolf i zawołał dwóch żołnierzy, aby tego człowieka natychmiast odprowadzili na odwach, a sam szedł powoli za Szwejkiem w towarzystwie jeszcze jednego oficera; w rozmowie z nim energicznie wymachiwał rękoma. W każdym jego zdaniu było coś o czeskich psach, a z całego jego zachowania wyzierała uciecha, że dzięki swej spostrzegawczości schwytał jednego z tych ptaszków, o których działalności antypaństwowej za granicą już od kilku miesięcy przysyłano dowódcom oddziałów wojskowych tajne komunikaty, mające rzekomo dowodzić, że liczni dezertery czeskich pułków, zapominając o swojej przysiędze, wstępują do szeregów wojska rosyjskiego i służą nieprzyjacielowi osobliwie cennymi usługami szpiegowskimi.

Austriackie ministerstwo spraw wewnętrznych błąkało się w mrokach, o ile chodziło o wykrycie jakiejś organizacji bojowej z jednostek, które przedostały się na stronę rosyjską. Nie wiadano jeszcze nic pewnego o organizacjach wojskowych na obczyźnie i dopiero w sierpniu na linii Sokal — Miljatyn — Bubnowo dowódcy batalionów otrzymali poufne komunikaty, że były austriacki profesor Masaryk uciekł za granicę i prowadzi propagandę przeciwko Austrii.

Jakiś głuptasek ze sztabu dywizji uzupełnił ten komunikat takim śmiesznym rozkazem:

— W razie ujęcia go, przyprowadzić natychmiast do sztabu dywizji!

Przypominam o tym panu prezydentowi, żeby wiedział, jakie sidła i zasadzki czekały na niego między Sokalem — Miliatynem a Bubnowem.

W owym czasie major Wolf nie miał jeszcze nawet pojęcia o tym, jakie zamiary mają wobec Austrii ci, co pouciekali spod jej sztandarów i spotykając się w Kijowie lub gdzie indziej, prowadzili z sobą takie romowy:

— Co tu porabiasz?

— Zdradziłem najjaśniejszego pana — brzmiała wesoła odpowiedź.

Major Wolf znał tylko jeden z tych tajnych komunikatów o uciekinierach i szpiegach i oto cieszył się, że jeden z tych szpiegów przez własną nieostrożność wpadł mu w ręce tak łatwo. Major Wolf był człowiekiem bardzo próżnym i wyobrażał sobie, że wyższe instancje pochwalą go i zasypią odznaczeniami za jego czujność, spryt i zdolności.

Zanim doszli do odwachu, był przekonany, że pytanie o znajomość języka niemieckiego rzucił rozmyślnie, ponieważ ujęty szpieg wydał mu się natychmiast podejrzanym przy pierwszym przeglądzie jeńców.

Oficer idący z nim razem kiwał głową i rzekł, że trzeba będzie zameldować to aresztowanie w dowództwie garnizonu dla dalszego załatwienia sprawy i dla przeprowadzenia oskarżonego do wyższego sądu wojskowego, bo stanowczo nie można zrobić tak, jak mówi pan major: przesłuchać go na odwachu, a potem natychmiast powiesić tuż za odwachem. Powieszony będzie tak czy tak, ale drogą prawną, według sądu wojskowego, aby można było ustalić związki istniejące między innymi podobnymi zbrodniarzami. Dlatego przed powieszeniem konieczne jest badanie szczegółowe. Kto wie, ilu rzeczy ciekawych można się będzie jeszcze dowiedzieć!

Majora Wolfa opanował nagły upór, zbudziło się w nim

utajone zbydlęcenie, tak że oświadczył, iż tego dezerterszpiega każe natychmiast powiesić na własne ryzyko. Może sobie na to śmiało pozwolić, bo ma wysokie znajomości, a zresztą wszystko mu jedno. U niego jest tak, jak na froncie. Gdyby ten szpieg został ujęty tuż za linią bojową, to byłby przesłuchany i natychmiast powieszony, i nikt nie robiłby z nim ceregieli. Zresztą pan kapitan wie chyba, że dowódca na froncie bojowym, poczynając od kapitana wzwyż, ma prawo wieszać wszystkich ludzi podejrzanych.

Oczywiście, że major Wolf trochę sobie poplątał kompetencje, o ile chodziło, o prawo wieszania ludzi przez dowódców wojskowych.

W Galicji Wschodniej, im bliżej frontu, prawo wieszania zniżało się coraz bardziej ku coraz niższym szarżom, aż dochodziło do tego, że na przykład kapral prowadzący patrol kazał powiesić dwunastoletniego smyka, który wydał mu się podejrzany dlatego, że w opuszczonej i obrabowanej wsi gotował sobie w jakiejś zburzonej chacie łupiny z kartofli.

Toteż spór między majorem a kapitanem stawał się coraz ostrzejszy.

— Nie ma pan prawa do tego — krzyczał zdenerwowany kapitan. — Człowiek ten zostanie powieszony na podstawie wyroku sądu wojskowego.

Szwejk, który szedł przed nimi i słyszał tę ciekawą rozmowę, nie rzekł do swego towarzysza nic osobliwego, tylko obyczajem swoim jął wywodzić:

— Z wyrokiem czy bez wyroku, wszystko jedno. W jednej gospodzie w Libni mieliśmy kiedyś spór o to, czy kapelusznik Waszaka, który nam zawsze psuł zabawę, należy wyrzucić natychmiast, jak tylko się pokaże we drzwiach, czy też dopiero potem, gdy każe sobie podać piwo, wypije i zapłaci, a także zastanawialiśmy się, czy trzeba mu ściągnąć buty po pierwszym tańcu. Gospodarz proponował, żebyśmy go wyrzucili dopiero wtedy, gdy zabawa dobiegnie połowy i gdy kapelusznik będzie

miał już jaki taki rachuneczek. Potem będzie musiał zaraz zapłacić i won z nim! I wiecie, co ten łobuz zrobił? Nie przyszedł wcale! Cóż wy na takie gałgaństwo?

— Nix böhmisch — odpowiedzieli obaj żołnierze, którzy pochodzili z jakichś okolic Tyrolu.

— Verstehen sie deutsch? — spokojnie zapytał Szwejk.

— J a w o h l — odpowiedzieli obaj.

— No to doskonale — ucieszył się Szwejk — bo w takim razie nie zginiecie śród swoich.

Prowadząc takie przyjacielskie rozmowy, doszli wszyscy do odwachu, gdzie major Wolf dalej prowadził dyskusję z kapitanem o wieszaniu pojmanego, podczas gdy Szwejk skromnie siedział na ławie.

W końcu major Wolf przychylił się jednak do zdania kapitana, że człowiek ten powinien wisieć dopiero po dłuższej procedurze, która ma rozkoszną nazwę „drogi prawnej“.

Gdyby byli zapytali Szwejka, co o tym sądzi, byłby odpowiedział:

— Mnie bardzo przykro, panie majorze, ponieważ pan ma wyższą szarzę niż pan kapitan, ale pan kapitan ma rację. Co nagle, to po diable. W pewnym sądzie okręgowym w Pradze, razu pewnego zwariował jakiś sędzia. Przez długi czas nie można było zauważyć w nim nic osobliwego, aż raptem, podczas jakiejś rozprawy o obrazę czci, wariacja wybuchła. Niejaki wikary Hortik podczas nauki religii dał po pysku uczniowi, a ojciec tego ucznia, niejaki Znamenaczek, spotkawszy tego wikarego, rzekł do niego na ulicy: — Ty koniu, ty czarna bestio, ty świętobliwy kretynie, ty czarna świnió, ty plebański koźle, ty plugawicielu nauki Chrystusowej, ty obłudniku i szarlatananie w sutannie! — Ten zwariowany sędzia był bardzo pobożny i miał trzy siostry, a wszystkie były księżymi gospodyniami, on zaś był ojcem chrzestnym dzieci tych sióstr. Więc go ta sprawa tak wzburzyła, że raptem stracił rozum

i ryknął na oskarżonego: — W imieniu najjaśniejszego pana, cesarza i króla, skazuję pana na śmierć przez powieszenie! Przeciw temu wyrokowi nie ma apelacji! — Potem zwrócił się do woźnego i rzekł: — Panie Horaczek, weźmiesz pan tego draba i powieszysz go pan tam, gdzie się trzepie dywany. Potem dostaniesz pan na piwo! — Oczywiście, że woźny i ten pan Znamenaczek zdębieli po takim wyroku, ale sędzia tupnął na nich: — Słuchacie, czy nie słuchacie?! — Woźny tak się przestraszył, że już zaczął ciągnąć pana Znamenaczka, żeby go powiesić, i gdyby nie obrońca, który wtrącił się do tej sprawy i wezwał pogotowie lekarskie, to sprawa byłaby się dla pana Znamenaczka skończyła fatalnie, bo nawet jeszcze w chwili, gdy pana sędziego wsadzali do karetki pogotowia, krzyczał na całe gardło:

— Jeśli nie znajdziecie powroza, to go powieście na przecieradle, a rachunki załatwimy w wykazach półrocznych.

Ostatecznie Szwejk pod eskortą odstawiono do dowództwa garnizonu, a przedtem został podpisany protokół, ułożony przez majora Wolfa, że ujęty jako członek armii austriackiej, dobrowolnie, bez przymusu z czyjejkolwiek strony, przebrał się w rosyjski uniform, a po odwróceniu Rosjan został zatrzymany przez żandarmerię polową za frontem.

To wszystko było świętą prawdą, a Szwejk, jako człowiek wielkiej poczciwości, nie mógł przeciwko temu protestować. Gdy przy podpisywaniu protokołu spróbował uzupełnić go jakimś zdaniem, które byłoby mogło nieco wyjaśnić sytuację, pan major przerwał mu natychmiast:

— Stulcie pysk, o to was się nie pytają! Sprawa jest zupełnie jasna!

Gdy go następnie przyprowadzono do dowództwa garnizonu, zamknięto go w jakiejś dziurze, gdzie dawniej był skład ryżu, a zarazem pensjonat mysi. Wszędzie był tu porozsypywany ryż, a myszy bynajmniej się Szwejka nie bały i wesoło biegały zbierając ziarnka. Szwejk musiał sam pójść po sien-

nik dla siebie i gdy rozejrzał się w ciemności, zauważył, że do jego siennika natychmiast wędruje cała rodzina mysia. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że tutaj pragną sobie one usłać gniazdo, aby żyć na ruinach sławy przegniętego austriackiego siennika. Szwejk zaczął walić w zamknięte drzwi, po czym przyszedł jakiś kapral, Polak, i Szwejk poprosił go o przeprowadzenie do innej izby, bo kładąc się na sienniku, mógłby pognieść myszy i wyrządzić szkodę skarbowi wojskowemu, jako że wszystko, co jest w magazynach, stanowi własność rządową.

Polak jako tako zrozumiał Szwejka, pogroził mu pięścią przed zamknięciem drzwi i rzuciwszy jeszcze jakieś słowo o zasranej dupie, oddalił się, dodając coś niecoś o cholerach, jak gdyby Szwejk nie wiem jak go obraził.

Noc spędził Szwejk spokojnie, bo myszy nie miały do niego żadnych pretensyj i ułożyły sobie widać jakiś specjalny nocny program, który wypełniały w sąsiednim składzie płaszczy wojskowych i czapek. Myszki gryzły tę odzież z wielką pewnością siebie i w spokoju ducha, ponieważ dopiero po roku intendentura przypomniała sobie o tych rzeczach i wprowadziła do składów wojskowych instytucję kotów etatowych, nie mających prawa do emerytury. W intendenturach koty te były rejestrowane w rubryce: K. u. k. Militärmagazinkatze. Ten urząd koci był właściwie tylko odnowieniem prastarej instytucji, która skasowana została po wojnie roku 1866.

Dawniej, jeszcze za Marii Teresy, w czasach wojennych, zaprowadzone były koty tak samo do wszystkich składów, gdy panowie z intendentury wszystkie swoje oszukaństwa spychali na nieszczęsne myszy.

C. k. koty w licznych wypadkach nie spełniały wszakże swoich obowiązków, zdarzyło się więc raz pewnego za cesarza Leopolda w magazynie wojskowym na Pogorzelcu, że na zasadzie wyroku sądu wojennego zostało powieszonych 6 ko-

tów, przydzielonych do magazynu wojskowego. Można sobie wyobrazić, jak uśmiechali się wtedy pod wąsem ci wszyscy, co mieli do czynienia z tym magazynem wojskowym...

Razem z kawą poranną wepchnęli do aresztu Szwejkowego jakiegoś człowieka w rosyjskiej czapce wojskowej i w rosyjskim płaszczu.

Człowiek ten mówił po czesku z obcym akcentem. Był to jeden z łotrów należących do kontrwywiadu przy korpusie armii, którego dowództwo znajdowało się w Przemyślu. Jako członek wojskowej policji tajnej, nie bardzo się troszczył o jakieś wyrafinowane metody przy wybadywaniu Szwejka. Zaczął prosto z mostu:

— Wkopałem się w ładne świństwo przez swoją nieostrożność. Służyłem w 28 pułku, zaraz przeszedłem do Moskali i raptem daję się tak głupio złapać. Melduję się Moskałom, że pójdę jako patrol... Służyłem w szóstej dywizji kijowskiej. A w którym rosyjskim pułku służyłeś ty, kolego? Tak mi się zdaje, żeśmy się gdzieś w Rosji spotykali. Ja znałem w Kijowie wielu Czechów, którzy szli z nami na front, gdyśmy przeszli do rosyjskiego wojska, ale nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć ich nazwisk i nie pamiętam, skąd pochodzili, ale ty pamiętasz niezawodnie niejednego, z którym miałeś do czynienia. Chciałbym wiedzieć, kto tam jest z naszego 28 pułku.

Zamiast odpowiedzi, Szwejk dotknął jego czoła, potem zbadał mu puls, a wreszcie podprowadził go ku małemu okienku i kazał wysunąć język. Wobec całej tej procedury nikczemnik zachowywał się zupełnie biernie, przypuszczając widocznie, że chodzi o jakieś tajne znaki spiskowców. Potem Szwejk zaczął walić pięścią we drzwi, a gdy wartownik zapytał go, czemu robi awantury, zażądał po czesku i po niemiecku, żeby natychmiast wezwano lekarza, ponieważ ten człowiek, którego wprowadzono do jego celi, zaczyna bredzić w gorączce.

Oczywiście, nie zdało się to na nic, bo po człowieka tego nikt się nie zgłosił. Pozostał więc w celi i głądził o Kijowie, dowodząc, że Szwejk widywał tam z pewnością, jak maszerował z żołnierzami rosyjskimi.

— Musiałeś, bratku, opić się wodą z bagna — rzekł Szwejk — jak młody Tynecky z naszych stron, człowiek na ogół całkiem roztropny. Ale razu pewnego wyruszył w świat i dostał się aż do Italii. Też o niczym nie mówił, tylko o tej Italii, że tam są takie wody bagienne, a poza tym nic osobliwego nie zauważył. No i od tej wody bagiennej dostał zimnicy. Cztery razy w roku miewał napady gorączki: na Wszystkich Świętych, na święty Józef, na Piotra i Pawła i we Wniebowstąpieniu Marii Panny. Jak go ta gorączka złapała, to wszystkich ludzi poznawał tak samo, jak i ty, bracie. Nawet w tramwaju zagadywał do byle kogo, że go zna, że się przecie widzieli na dworcu kolejowym w Wiedniu. Wszystkich ludzi, jakich spotykał na ulicy, widywał bądź na dworcu w Mediolanie, bądź też siedział z nimi w styryjskim Gratzu, w piwnicze rady miejskiej przy winie. Jeśli w chwili napadu gorączki siedział akurat w gospodzie, to od razu wszystkich gości poznawał, wszystkich widywał, czy to na tym statku, którym jechał do Wenecji, czy gdzie indziej. Ale na to nie było żadnej rady, tylko jedna, a mianowicie ta, jakiej użył pewien nowy pielęgniarz u Katarzynek. Pielęgniarszowi temu oddano pod opiekę jakiegoś chorego pomyleńca, który przez cały Boży dzień nic nie robił, tylko siedział w kącie i liczył: Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... — po czym zaczynał od nowa: Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Był to podobno jakiś profesor. Ten pielęgniarz mało ze skóry nie wyskoczył, widząc, że ten chory ani rusz nie może dostać się dalej niż do szóstki, więc zaczął naprzód po dobremu i prosił, żeby chory powiedział: siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Ale gdzie tam! Ten profesor ani myślał słuchać. Siedzi sobie w kąciku i liczy: Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... i znowu: Jeden,

dwa, trzy, cztery, pięć sześć... Zgniewało to pielęgniarza wreszcie tak bardzo, że skoczył do swego pacjenta i dał mu w łeb, gdy tamten rzekł: „sześć“. Masz — powiada — siedem, a tu osiem, a tu dziewięć, a tu dziesięć. — Co liczba, to w łeb. Chory złapał się za głowę i pytał, gdzie jest. Gdy się dowiedział, że u czubków, odzyskał przytomność i przypomniał sobie dokładnie, że dostał się do wariatów z powodu jakiejś komety, gdy wyliczał, że ukaże się ona w roku przyszłym 18 lipca o godzinie szóstej rano, a inni astronomowie mu dowiedli, że jego kometa spaliła się już przed kilku milionami lat. Tego pielęgniarza znałem. Gdy profesor oprzytomniał zupełnie został wypuszczony ze szpitala, zabrał owego pielęgniarza z sobą, a ten pielęgniarz nie miał nic do roboty, tylko co rano musiał swemu profesorowi dać cztery razy w łeb. Obowiązki swoje wykonywał sumiennie i dokładnie.

— Ja znam wszystkich twoich znajomych kijowskich — niezmordowanie powtarzał funkcjonariusz kontrwywiadu. — Czy nie był tam razem z tobą jeden taki tłusty, a drugi taki chudy? W tej chwili nie pamiętam, jak się nazywali i z którego byli pułku...

— Nic sobie z tego, bracie, nie rób — pocieszał go Szwejk — bo to się może zdarzyć każdemu, że nie zapamięta sobie wszystkich tłustych i wszystkich chudych z imionami i nazwiskami. Chudych ludzi nieco trudniej zapamiętać, ponieważ jest ich na świecie bardzo dużo. Tworzą oni większość, jak to się mówi.

— Kolego — zaczął narzekać nikczemnik cesarsko-królewski — widzę, że mi nie wierzysz. Przecież czeka nas obu jednaki los!

— Od tego jesteśmy żołnierzami — rzekł Szwejk nie dbale — na to nas matki urodziły, żeby z nas był umundurowany kanonenfutter. Ale to przecież frajda nasza, ponieważ wiemy, że kości nasze nie będą próchniały nadaremno. Polegniemy za najjaśniejszego pana i jego rodzinę, dla której wy-

walczyliśmy Hercegowinę. Z kości naszych będzie wyrabiane spodium dla cukrowni, o czym już przed laty mówił nam pan lejtnant Zimmer. — Ej, wy świńskie łobuzy — mówił — wy nieokrzesane byki, wy niepotrzebne, nieruchawe małpy, wleczenie za sobą te swoje giczoły, jakby one nie miały żadnej wartości. Gdybyście kiedyś polegli na wojnie, to z każdego waszego kulasa zrobią pół kilograma spodium, z całego chłopca przeszło 2 kilogramy, i przez wasze gnaty filtrować będą w cukrowniach cukier, wy durnie. Nawet pojęcia nie macie, jak dalece nawet po śmierci będziecie pożyteczni swoim potomkom. Wasze smyki będą piły kawę słodzoną cukrem, który się filtrował przez wasze kości, wy bałwany! — Ja się wtedy zamyśliłem, a ten do mnie, o czym przemyślałem. — Posłusznie melduję — mówię — że spodium z panów oficerów będzie pewno znacznie droższe niż z prostych żołnierzy. — Dostałem za to trzy dni „pojedyńki“.

Towarzysz Szwejka zakolał do drzwi i układał się o coś z wartownikiem, który pobiegł do kancelarii.

Po chwili przyszedł jakiś sierżant sztabu i zabrał towarzysza Szwejka, który pozostał w areszcie sam. Odchodząc z sierżantem sztabowym kreatura szpicłowska rzekła głośno do sierżanta:

— To mój stary znajomy z Kijowa.

Przez całą dobę był Szwejk zupełnie sam, z wyjątkiem tych chwil, gdy przynoszono mu pożywienie.

W nocy doszedł do przekonania, że rosyjski płaszcz wojskowy jest cieplejszy i obszerniejszy niż austriacki i że gdy w nocy mysz obwąchuje ucho śpiącego człowieka, to nie ma w tym nic przykrego. Szwejkowi wydawało się to czymś przypominającym delikatny szept. Było jeszcze szaro na dworze, gdy przyszli po niego.

Szwejk nie umie sobie dzisiaj zdać sprawy z tego, co to właściwie była za formacja sądowa, przed którą stawiono go owego smutnego ranka. Że był to sąd wojenny, o tym nie

można było wątpić. Uczestniczył w nim nawet jakiś generał, następnie był tam pułkownik, major, nadporucznik, porucznik, sierżant i jakiś piechur, który właściwie nie robił nic, tylko zapalał innym papierosy.

Szwejka nie zamęczano pytaniami.

Major, uczestniczący w sądzie, okazywał więcej zainteresowania dla sprawy niż inni sędziowie i mówił po czesku:

— Zdradziliście najjaśniejszego pana! — szczechnął na Szwejka.

— Jezus Maria, kiedy, panie majorze? — krzyknął Szwejk. — Nawet o tym nie wiedziałem, że zdradziłem naszego najmiłościwszego monarchę i pana, dla którego już tyle wycierpiałem!

— Nie róbcie tu żadnych głupstw — rzekł major.

— Posłusznie melduję, panie majorze, że zdradzić najjaśniejszego pana to nie żadne głupstwo. My, ludzie wojenni, przysięgaliśmy najjaśniejszemu panu wierność, tak samo, jak śpiewają w teatrze, a ja mu wierności dotrzymałem.

— My wszystko wiemy — mówił major — i tutaj oto posiadamy dowody waszej zdrady — dodał wskazując na spory zeszyt.

Człowiek, którego wsadzono do aresztu Szwejka, dostarczył materiału aż nadto.

— Więc wy jeszcze i teraz przyznać się nie chcecie? — zapytał major. — Przyznaliście się już przecie, że dobrowolnie i bez jakiegokolwiek przymusu przebraliście się w rosyjski uniform, chociaż jesteście członkiem armii austriackiej. Pytam was jeszcze raz, ale już po raz ostatni, czy zmuszano was do tego?

— Zrobiłem to bez przymusu.

— Dobrowolnie?

— Dobrowolnie.

— Bez nacisku?

— Bez nacisku.

— Czy wiecie, że jesteście zgubiony?

— Wiem, że się zgubiłem 91 pułkowi i że mnie ten pułk na pewno już szuka, a jeśli pan pozwoli, panie majorze, na drobną uwagę, to powiem, w jaki sposób ludzie przebierają się dobrowolnie w cudze ubranie. W roku 1908, było to może w lipcu, kąpał się introligator Bożetiech z ulicy Przechnej w Pradze na Zbrasławiu w starej łąsce Berounki. Ubranie ułożył w krzakach i ogromnie był kontent, gdy nieco później wlaź do wody i zbliżył się do niego jeszcze jeden pan. Gadugadu, zaczęli zbytkować, opryskiwali się wzajemnie, nurkowali do samego wieczora. Potem ten obcy pan wylaź z wody i powiada, że musi iść na kolację. Pan Bożetiech jeszcze chwilę został w wodzie, a potem wlaź w krzaki, gdzie miał ubranie, żeby się ubrać. I cóż znaleźli? Łachmany włóczęgi oraz karteczkę:

„Długo się zastanawiałem, czy brać czy nie brać? Kiedyśmy się tak przyjemnie bawili w wodzie, urwałem kwiatek wodny i wróżyłem sobie na nim, a na ostatni listek wypadło: brać! Dlatego jedynie pomieniałem się z panem na szmatki. Niech pan śmiało włazi w moje gałgany, bo doskonale były odwszone przed tygodniem na urzędzie w Dobrzyszu. Na drugi raz niech pan zwraca baczniejszą uwagę na ludzi, z którymi pan się kąpie. W wodzie każdy człowiek wygląda jak poseł, a może być mordercą. I pan też nie wiedział, z kim się pan kąpał. Ale była dobra kąpiel. Teraz pod wieczór woda jest najprzyjemniejsza. Wleź pan w nią jeszcze raz, to ochłonieś“.

Panu Bożetiechowi nie pozostawało nic innego, jak tylko poczekać do zmierzchu, a potem ubrał się w te łachmany włóczęgi i ruszył z powrotem do Pragi. Omijał szosę i szedł ścieżkami przez łąki i pola, aż spotkał się z żandarmskim patrolem z Chuchli. Zaczny introligator został aresztowany i na-
zajutrz rano zaprowadzono go do Zbrasławia do sądu okręgo-

wego, bo przecież każdy mógł powiedzieć, że się nazywa Józef Bożetiech i że jest introligatorem zamieszkałym przy ulicy Przemysłowej nr 16.

Sekretarz sądu, który po czesku nie rozumiał, domyślił się tylko, że oskarżony podaje widać adres swego współwinowajcy i dla pewności zapytał:

— Ist das genau? Prag, Nr 16, Józef Bożetech?

— Czy mieszka jeszcze w tym samym mieszkaniu tego nie wiem — odpowiedział mu Szwejk, — ale wtedy, w roku 1908, tam mieszkał. Bardzo ładnie umiał oprawiać książki, ale trzymał je długo, bo musiał przeczytać każdą książkę, jaką miał w oprawie. Gdy książki oprawionej dawał czarny sznyt, to już można było wcale jej nie czytać, bo zaraz było wiadomo, że powieść zakończyła się bardzo smutno. Czy życzy sobie pan jakich szczegółów? Aha, żebym nie zapomniał: co dzień siadywał u Fleków i opowiadał o wszystkim, co wyczytał w książkach, które właśnie miał w oprawie.

Major zbliżył się do sekretarza i szeptał mu coś do ucha, a sekretarz przekreślił zaraz adres domniemanego spiskowca Bożetiecha.

Potem odbywał się dalej ten dziwaczny sąd, przypominający sądy polowe, jakie umiał organizować generał Fink von Finkenstein.

Są ludzie, którzy ulegają manii zbierania pudełek od zapalek; manią pana generała Finka było organizowanie sądów polowych, aczkolwiek w większości wypadków było to przeciwnie procedurze sądowej.

Generał ten mawiał, że żadnych audytorów nie potrzebuje, że wszystko potrzebne zbębni w przeciągu trzech godzin i po upływie tego czasu każdy oskarżony drab musi wisieć. Dopóki był na froncie, to o sądy polowe u niego nigdy trudno nie było.

Niektóry szachista musi dzień w dzień zagrać partię szachów, bilardzista nie obejdzie się bez bilardu, karciarz bez mariasza, a znowuż ten znakomity generał nie umiał się obyć bez sądów polowych. Przewodniczył w tych sądach, i z wielką powagą i rozkoszą dawał mata oskarżonemu.

Gdyby się chciało być sentymentalnym, to można by było napisać, że ten człowiek miał na sumieniu śmierć dziesiątków ludzi, osobliwie tam na wschodzie, gdzie walczył z wielkorusyjską agitacją, jak się lubił wyrażać, i gdzie galicyjskich Ukraińców przerabiał na patriotów. Ale z jego stanowiska nie można rzec, aby miał coś na sumieniu.

Sumienia w ogóle nie miał. Gdy kazał powiesić nauczyciela, nauczycielkę lub popa, albo nawet całą rodzinę, na zasadzie wyroku sądu polowego, to najspokojniej powracał do swojej kancelarii, jak wracają ludzie z gospody po kuflu piwa czy partii mariasza, rozmyślając o fintach, jakich użyli, aby pogrążyć przeciwnika. Generał Fink uważał wieszanie za coś prostego i naturalnego, za rodzaj chleba powszedniego, a przy wydawaniu wyroków dość często zapominał o najjaśniejszym panu i nawet nie mawiał: „W imieniu najjaśniejszego pana skazuję was“ — lecz mówił po prostu: „Skazuję was“.

Niekiedy w wieszaniu dopatrywał się i komicznej strony, o czym razu pewnego pisał do małżonki swojej mieszkającej w Wiedniu:

„...albo na przykład, kochanie moje, nie możesz sobie wyobrazić, jakem się serdecznie uśmieł, gdy przed kilku dniami skazałem pewnego nauczyciela za szpiegostwo. Mam człowieka wytrawnego, który tę hołotę wiesz. Ma już ogromną wprawę i jest w wieszaniu istnym rekordmenem. Jest to dziarski sierżant. Otóż znajdowałem się właśnie w namiocie, gdy ten sierżant przyszedł zapytać, gdzie mu każę tego nauczyciela powiesić. Odpowiedziałem, żeby go powiesił na najbliższym drzewie, i oto wyobraź sobie komizm sytuacji, bo znajdowaliśmy się wśród takiego stepu, na którym od końca do końca nie ma nic prócz trawy, na przestrzeni paru mil nie widać

najmniejszego drzewka. Ale rozkaz jest rozkaz, więc mój sierżant zabrał ze sobą nauczyciela razem z eskortą i wyruszyli na poszukiwanie drzewa.

Wrócili dopiero wieczorem, ale razem z nauczycielem. Sierżant podchodzi do mnie znowuż, i pyta: „Na czym mam powiesić tego draba?” Zwymyślałem go, bo przecież rozkaz był wyraźny, że na najbliższym drzewie. Odpowiedział więc, że rano spróbuje rozkaz wykonać, a rano przychodzi do mnie blady i powiada, że nauczyciel znikł. Wydało mi się to tak śmieszne, że przebaczyłem wszystkim wartownikom i jeszcze powiedziałem dowcip, że najwidoczniej sam poszedł szukać drzewa na powieszenie dla siebie. Widzisz więc, moja droga, że się tu wcale nie nudzimy. Powiedz naszemu małemu Wilusiowi, że tatuś go całuje i że pośle mu żywego Moskala, na którym Wiluś będzie mógł jeździć jak na koniku. I jeszcze, droga moja, wspominam o pewnym śmiesznym wypadku. Onegdaj wieszaliśmy jakiegoś Żyda za szpiegostwo. Włazł nam Żydzisko w drogę, chociaż nie miał tam nic do czynienia, i tłumaczył się, że handluje papierosami. Wisiał już, ale tylko parę sekund, bo powróz się urwał, a mój Żyd upadł na ziemię, natychmiast oprzytomniał i powiada: — Panie generale, ja idę do domu, bo podług prawa nie mogę być wieszany dwa razy za to samo. Raz zostałem powieszony, to dość. — Uśmiełem się niezgorzej, a Żyda puściliśmy. U nas tu, kochanie moje, bardzo wesoło...

Gdy generał Fink został dowódcą garnizonu twierdzy w Przemyślu, nie miał już tyle sposobności do urządzania dla siebie takich zabaw i dlatego skwapliwie zabrał się do sprawy Szwejka.

Przed tym tygrysem stał więc Szwejk. Pan generał siedział przy długim stole, wypalał papierosa za papierosem, kazał tłumaczyć na niemiecki odpowiedzi Szwejka i z zadowoleniem kiwał głową.

Major zaproponował, aby wysłać telegraficzne zapytanie do brygady dla ustalenia, gdzie znajduje się obecnie 11 marsz-

kompania 91 pułku, do której oskarżony według własnych zeznań należy.

Generał oparł się temu i oświadczył, że tym niepotrzebnie odwleka się wyrok sądu polowego i jego wykonanie. Nie ma to sensu. Przecież oskarżony sam się przyznał, że przebrał się w uniform rosyjski, a następnie ma się przecie bardzo ważne świadectwo, iż oskarżony przyznał się, że był w Kijowie. Proponuje więc udać się na naradę, aby mógł być wydany wyrok i natychmiast wykonany.

Ale major oparł się przy swoim, że należy ustalić tożsamość oskarżonego, ponieważ cała ta sprawa jest pod względem politycznym ogromnie ważna. Przez ustalenie jego tożsamości można będzie wykryć, z kim oskarżony miał do czynienia, a także będzie można poznać jego współwinnych.

Major był romantycznym marzycielem. Mówił jeszcze i o tym, że trzeba szukać jakichś nici, że nie dość jest człowieka skazać. Skazanie musi być rezultatem ścisłego badania, zawierającego w sobie nici, które to nici... Nie umiał za tymi nićmi dotrzeć do kłębka, ale wszyscy go doskonale rozumieli i kiwali głowami. Nawet panu generałowi tak dalece podobały się te nici, że w duchu widział je takimi grubymi jak powrozy, na których można będzie wieszać nowe ofiary. Dlatego wcale już nie protestował i zgodził się, aby w brygadzie było ustalone, czy Szwejk naprawdę należy do 91 pułku, kiedy mniej więcej mógł być przejść do Rosjan i podczas jakich operacyj 11 marszkompanii.

W ciągu całej tej dyskusji Szwejk strzeżony był na korytarzu przez dwa bagnety, po czym znowuż stawiono go przed sądem, aby dał odpowiedź, do którego pułku właściwie należy. Wreszcie przeprowadzono go do więzienia garnizonowego.

Gdy generał Fink po nieudałym sądzie polowym powrócił do domu, położył się na kanapie i zaczął się zastanawiać, w jaki by sposób przyśpieszyć procedurę sądową.

Był mocno przekonany, że odpowiedź nadejdzie niebawem, ale pomimo to sąd nie odbędzie się z tą piorunującą szybkością, jaką wszystkie jego sądy się wyróżniały. A potem trzeba jeszcze zostawić trochę czasu duchownemu dla udzielenia pociechy religijnej skazańcowi i wykonanie wyroku odwlecze się niepotrzebnie o jakie dwie godziny.

— Zresztą to wszystko jedno — pomyślał generał Fink — pociechy religijnej możemy udzielić mu z góry, zanim jeszcze przyjdzie odpowiedź z brygady. Wisieć będzie tak, czy owak.

Generał Fink kazał wezwać do siebie kapelana polowego Martineca.

Był to nieszczęsny katecheta i wikary z jakiejś zapadłej mieściny morawskiej. Miał takiego niegodziwego proboszcza, że wolał pójść do wojska. Był to człowiek szczerze religijny, który z żalem w sercu wspominał o swoim proboszczu, zdaniem jego powoli, ale stale zbliżającym się ku wiekiustemu potępieniu. Przypominał sobie, że jego proboszcz śliwownicę złopał jak tęcza i że razu pewnego usiłował wepchnąć mu do łóżka jakąś włóczącą się Cyganke, którą spotkał na drodze, gdy nocą wracał do domu z winiarni.

— Jasiu, Jasiu, taka pulchna dziewczynka, to uciecha nad uciechami!

Nadzieje jego się nie spełniły. Przerzucali go z garnizonu do garnizonu, gdzie w ogóle nie miał nic do czynienia, chyba że co jakie dwa tygodnie wygłaszał kazanie dla żołnierzy, a sam ćwiczył się, aby mógł stawiać czoło pokusom wychodzącym z kasyna oficerskiego, gdzie gadano o takich sprawach, że pulchniutka dziewczyna proboszcza była po prostu niewinną modlitwą do anioła stróża.

Zazwyczaj wzywany był do generała Finka w czasach wielkich operacyj bojowych, gdy miano obchodzić jedno z wielkich zwycięstw armii austriackiej. W takich razach generał Fink organizował uroczyste msze polowe z takim samym zamiłowaniem, z jakim przystępował do sądów polowych.

Ow niegodziwiec Fink był takim zaciętrzewionym patriotą austriackim, że nie chciał się modlić o zwycięstwo dla wojsk niemieckich lub tureckich, ale trwał przy swoich austriackich wyłączeniach. Gdy odnosili zwycięstwo Niemcy bijąc Francuzów lub Anglików, to mój generał ani słowem wspomnieć o tym nie pozwalał.

Natomiast najpodrzędniejsza potyczka austriacka, jakieś spotkanie wywiadowcze z przednimi strażami rosyjskimi, które sztab korpusu rozdymał do rozmiarów wielkiej zwycięskiej bitwy, stawało się dla generała Finka bodźcem do organizowania nabożeństw uroczystych, tak że nieszczęśliwemu kapelanowi wydawało się niekiedy, iż generał Fink jest zarazem najwyższą głową kościoła katolickiego w Przemyślu.

Generał Fink decydował także o tym, jaki program ma mieć taka uroczystość, i najchętniej byłby chciał mieć stale coś w rodzaju Bożego Ciała z oktawą.

Miał też i to w zwyczaju, że gdy już było po mszy polowej, przybywał konno na pole ćwiczeń, pędził jak szalony i wołał po trzykroć:

— Hurra! Hurra! Hurra!

Kapelan polowy Martinec, dusza pobożna i sprawiedliwa, jeden z tych niewielu ludzi, którzy jeszcze wierzyli w Pana Boga, nie lubił chodzić do generała Finka.

Po każdej z instrukcyj, jakie otrzymywał od generała, powtarzało się jedno: generał kazał podać jakiej ostrej wódki, a następnie opowiadał mu najnowsze anegdoty, czerpane z idiotycznych książeczek, wydawanych dla wojska przez „Lustige Blätter“.

Miał całą bibliotekę takich książeczek o idiotycznie pretenjonalnych nazwach jak na przykład: „Humor w tornistrze dla oczu i uszu“, „Anegdoty o Hindenburgu“, „Hindenburg w zwierciadle humoru“, „Drugi tornister, naładowany humorem przez Feliksa Schlempera“, „Z naszej armaty gulaszowej“, „Soczyste dykteryjki okopowe“, albo też takie błazeń-

stwa: „Pod dwugłowym orłem“, „Sznycel wiedeński z c. k. kuchni polowej odgrzany przez Artura Lokescha“. Czasem generał śpiewał mu wesołe piosenki ze zbiorów wojskowych „Wir müssen siegen“, przy czym dolewał bezustannie czegoś ostrego i zmuszał polowego kapelana Martineca, aby pił i śpiewał razem z nim. Potem wygadywał rzeczy wstrętne, przy których biedny feldkurat z żalością wspominał o swoim proboszczu, chociaż ten w niczym nie ustępował generałowi, o ile chodziło o słowa krzepkie.

Feldkurat Martinec spostrzegał ze zgrozą, że im częściej chodzi do generała Finka, tym bardziej upada pod względem moralnym.

Nieszczęśnik zaczynał znajdować upodobanie w likierach, jakie pijał u generała, a nawet gadanie generalskie zaczynało mu się powoli podobać. Jednocześnie zaczynały go prześladować lubieżne obrazy, dla jarzębinówki i dla butelek omszonych starego wina zapominał o Bogu, a między wierszami brewiarza tańczyły mu przed oczami dziewczyny z opowieści generała. Dawny wstręt do odwiedzin u generała znikał coraz bardziej.

Pan generał polubił feldkurata Martineca, który zrazu wydawał się czymś w rodzaju Ignacego z Loyoli, ale powoli przystosował się do generalskiego otoczenia.

Pewnego razu generał zaprosił do siebie dwie siostrzyczki ze szpitala polowego, które to siostrzyczki nawet niewiele miały w tym szpitalu do czynienia i były do niego tylko przypisane dla pozorów i poborów, które uzupełniały intratniejszą prostytutką, jak to bywało zwyczajem w owych ciężkich czasach. Generał kazał wezwać także feldkurata Martineca, który upadł był już tak nisko w sidła diabelskie, że w ciągu półgodziny upieścił obie czcigodne damy, oddając się grzechowi z wielkim zapalem i upodobaniem. Potem przez dłuższy czas wyrzucał sobie swoje grzeszne postęпки, których nie zdołał, oczywiście, naprawić tym, że tejże samej nocy, wracając

od generała, ukląkł przez pomyłkę przed pomnikiem budowniczego i starosty miasta, pana Grabowskiego, który dla Przemysła położył wielkie zasługi w latach osiemdziesiątych.

Noc była cicha i tylko odgłosy kroków nocnych patroli wojskowych mieszały się z jego słowami, gdy się modlił:

— Nie wchodź w sąd ze służebnikiem swoim, albowiem żaden człowiek nie będzie usprawiedliwiony przed Tobą, jeśli Ty nie dasz odpuszczenia wszystkich grzechów jego. Niechaj tedy nie będzie ciężkim dla mnie sąd Twój. Pomocy Twojej żądam i oddaję się w ręce Twoje, o Panie!

Od owego czasu kilkakrotnie ponawiał próbę zrzeczenia się wszystkich rozkoszy ziemskich i kiedykolwiek wzywany był do generała Finka, wykręcał się na różny sposób, a to że na żołądek chory, a to to, a to owo, uważając te kłamstwa za konieczne, aby dusza jego nie zakosztowała mąk piekielnych. Ale jednocześnie rozumiał, że dyscyplina wojskowa wymaga, aby feldkurat słuchał, i że gdy mu generał powie: „Chlaj, kolego“! — to ten kolega winien koniecznie chlać, choćby przez sam szacunek dla swoich przełożonych.

Oczywiście, że wykręty nigdy mu się nie udawały, osobliwie wtedy, gdy generał po uroczystych nabożeństwach polowych urządził jeszcze uroczystsze obżarstwo z pijaństwami na rachunek kasy garnizonowej, gdzie następnie buchalteria maskowała te pozycje na sposób wszelaki, żeby szydło nie wylazło z worka. Zaś biedny feldkurat w takich razach wyobrażał sobie, że moralnie pogrzebany jest przed twarzą Pańską i ze strachu drżącym uczyniony był.

Chodził potem jak otumaniony, a że nie tracił wiary w Boga, pomimo chaosu w jakim żył teraz stale, zaczął z całą powagą rozmyślać o tym, czy nie byłoby dobrze poddawać się codziennie regularnemu biczowaniu.

W takim nastroju udał się do generała, gdy ten wezwał go do siebie.

Generał Fink wyszedł mu na spotkanie promieniejący i rozradowany.

— Słyszał pan już, panie feldkuracie — wołał z daleka. — Mam nowy sąd polowy! Będziemy tu wieszali jednego ziomka pańskiego.

Przy słowie „ziomka“ feldkurat Martinec spojrział na generała okiem pełnym żalości i wyrzutu. Już kilka razy tłumaczył generałowi, że nie jest Czechem, i powtarzał mu przy każdej sposobności, że do ich parafii należą dwie gminy, czeska i niemiecka, że więc musi miewać kazania niemieckie jednej niedzieli, a czeskie drugiej niedzieli, a ponieważ w gminie czeskiej nie ma szkoły czeskiej, lecz jest tylko niemiecka, przeto on w obu szkołach musi nauczać religii w języku niemieckim, z czego wynika, że nie jest Czechem, lecz Niemcem. Ten wywód logiczny pobudził pewnego majora, siadującego przy stole generalskim, do uwagi, że ten feldkurat z Moraw jest właściwie dziewczyną do wszystkiego.

— Pardon — rzekł generał — zapomniałem. To nie pański ziomek. To Czech, dezterter, który nas zdradził i poszedł na służbę do Rosjan. Będzie wisiał. Tymczasem wszakże dla formy ustalamy jego tożsamość, ale to nic nie szkodzi, bo wisieć będzie natychmiast, jak tylko nadejdzie odpowiedź telegraficzna.

Usadowił feldkurata na kanapie obok siebie i mówił dalej wesoło:

— U mnie jak jest sąd polowy, to wszystko musi być po polowemu żwawe. Taka jest moja zasada. Kiedym był jeszcze za Lwowem, na początku wojny, osiągnąłem taki rekord, że draba powiesiliśmy w trzy minuty po wyroku. Oczywiście, był to Żyd, ale i Rusina też powiesiłem w pięć minut po odbytej naradzie.

Generał śmiał się bardzo wesoło i poczciwie.

— Tak się szczęśliwie złożyło, że ani jeden, ani drugi nie potrzebowali pociech religijnych, bo Żyd był rabinem a Rusin

popem. Była to okoliczność wyjątkowa, ale dzisiaj wieszac będziemy katolika, więc wpadłem na kapitalny pomysł, żeby potem nie było niepotrzebnej zwłoki. Otóż chodzi o to, żeby mu pan, panie feldkuracie, udzielił teraz pociechy religijnej, a potem wszystko pójdzie już jak z płatka.

Generał zadzwonił i rozkazał służącemu:

— Przynieś dwie z tej wczorajszej baterii.

Po chwili, napełniając kieliszek feldkurata, mówił generał:

— Niech pan się pocieszy przed udzielaniem pociechy religijnej...

Zza zakratowanego okna aresztu, w którym siedział Szwejk, odzywał się w tym samym czasie straszliwy jego śpiew:

Żołnierze są wielkie pany,
Kochają ich piękne damy,
Żaden nie wie, co to trud,
A pieniędzy mają w bród...
Tra rara! Ein, zwei.....

II

Pociecha religijna.

Feldkurat Martinec nie wszedł do Szwejka, ale dosłownie wpłynął do niego niby baletnica na scenie. Tęsknoty niebiańskie i butelka dobrego Gumpoldskirchen uczyniły go w tej wzruszającej chwili lekkim jak piórko. Zdawało mu się, że w tym uroczystym i wzniosłym momencie przybliża się ku Bogu, podczas gdy faktycznie przybliżał się do Szwejka.

Zamknęli za nim drzwi i pozostawili obu sam na sam, a feldkurat z miną uroczystą i natchnioną rzekł do Szwejka siedzącego na pryczy:

— Drogi synu, jestem feldkurat Martinec.

Przemówienie to wydało mu się po wędrówce w te strony najodpowiedniejszym i po ojcowsku tkliwym.

Szwejk wstał z pryczy, kordialnie uściśnął dłoń feldkurata i rzekł:

— Bardzo mi miło. Ja jestem Szwejk, ordynans 11 marszkompanii 91 pułku. Niedawno kadrę naszą przeniesiono do Brucku nad Litawą, więc niech pan feldkurt siada obok mnie i powie mi, za co pana tu wsadzili. Ma pan przecie rangę oficera, więc należy się panu areszt oficcerski przy garnizonie, a nie tutaj, bo na tej pryczy aż się roi od wszów. Czasem oczywiście zdarza się, że nie wiadomo do jakiego aresztu

kto należy, ale to tylko wtedy, gdy się coś pomiesza w kancelarii lub gdzie indziej. Pewnego razu, panie feldkuracie, siedziałem w areszcie w Budziejowicach i przyprowadzili do mnie jakiegoś zastępcę kadeta. Tacy zastępcy kadetów, to tak jak feldkuraci, ani proszę, ani mysz: na żołnierzy ryczał taki niby oficer, a jak się co stało, to go pakowali do paki jak prostego żołnierza. Były to, panie feldkurat, takie bękarty, że ich nie przyjmowano na utrzymanie do kuchni podoficerskiej, a do kuchni dla szeregowców nie mieli prawa, bo stali od szeregowców wyżej, a do pełnej oficerskiej kuchni, było im daleko. Mieliśmy takich kadeckich zastępców pięcioro i zrazu obżerali się wszyscy samymi suchymi gomółkami w kantynie, ponieważ nigdzie im jeść nie dawali, aż zabrał się do nich raz pewnego oberlejtnant Wurm i zakazał im chodzić do kantyny dla prostych szeregowców, bo — powiada — uchybia to honorowi zastępców kadetów. Ale cóż oni mieli robić, kiedy do kantyny oficerskiej ich nie puszczano? Byli jakby zawieszeni w powietrzu i w ciągu niewielu dni przeszli przez istny czyściec udręk, aż jeden z nich wskoczył do rzeki Malszy, a drugi zbiegł nie wiadomo dokąd i po dwóch miesiącach pisał do pułku, że jest w Maroku ministrem wojny. Było ich czterech, bo tego co się topił w Malszy wyłowili żywcem. W chwili, gdy się topił, był bardzo wzburzony i zapomniał zupełnie, że umie pływać i że zdał egzamin na dyplom ze sztuki pływania. Odstawili go do szpitala, ale i tam nie wiedzieli, co z nim zrobić, czy go mają przykryć kołdrą oficerską, czy też zwyczajną derką żołnierską. Znaleźli wreszcie wyjście z tej trudnej sytuacji i nie dali mu żadnej kołdry w ogóle, ale zawinęli go w mokre prześcieradło, tak że po upływie pół godziny biedak prosił, żeby go puścili z powrotem do domu. I to był właśnie ten, którego zamknęli w pace razem ze mną, a był cały mokry. Siedział ze mną chyba cztery dni i dobrze mu było, ponieważ dostawał tam regularne pożywienie, wprawdzie aresztanckie, ale stałe

i pewne. Na piąty dzień przyszedł go zabrać, a po półgodzinie wrócił do mnie po zapomnianą czapkę i płakał z radości. Rzekł do mnie wtedy: — Nareszcie przyszło rozporządzenie dotyczące nas. Od dzisiaj my, zastępcy kadetów, będziemy zamykani w areszcie na odwachu między oficerami, na pożywienie możemy sobie dopłacać w kuchni oficerskiej, jeść będziemy dostawali po wyjściu oficerów, sypiać będziemy z szeregowcami, kawę będziemy dostawali także z kuchni szeregowców i tytoń będziemy fasowali z prostymi żołnierzami.

Dopiero teraz feldkurat Martinec opamiętał się tak dalece, że przerwał wywody Szwejka zdaniem, które treścią swoją nie należało bynajmniej do rozmowy poprzedniej.

— Tak jest, kochany synu! Są takie sprawy między niebem a ziemią, nad którymi należy zastanawiać się z miłością w sercu i z ufnością w nieskończone miłosierdzie Boże. Przybywam, drogi synu, aby ci udzielić pociechy religijnej.

Zamilkł, bo wszystko, co powiedział, wydawało mu się nieodpowiednim. Idąc do Szwejka układał sobie treść i formę przemówienia, którym miał nieszczęśliwca doprowadzić do rozmyślenia nad sobą i do wiary w odpuszczenie grzechów w niebie, gdy kajać się będzie i okaże skruchę prawdziwą.

Teraz zastanawiał się, co by tak powiedzieć jeszcze, ale Szwejk przerwał jego rozmyślenia pytaniem, czy nie ma papierosa.

Feldkurat Martinec dotychczas nie nauczył się palić i to było niejako ostatnim szczątkiem utraconej niewinności. Czasem u generała Finka, gdy miewał już trochę w czubie, próbował palić cygara, ale zaraz zrobiło mu się źle, tak iż miał wrażenie, że anioł stróż przestrzega go łaskotaniem w gardle.

— Nie palę, kochany synu — odpowiedział Szwejkowi z niezwykłym dostojeństwem.

— To dość dziwne — rzekł Szwejk. — Znałem wielu feldkuratów, a każdy z nich kurzył jak nie przymierzając go-

rzelnia na Zlichowie. Feldkurat w ogóle nie umiem wyobrazić sobie niepalącego. Jednego tylko znałem takiego, co nie palił, ale za to żuł on tytoń tak zaciekle, że podczas kazania popłuł całą kazalnicy. A skąd też pan pochodzi, panie feldkurat?

— Z okolic Nowego Jiczyna — głosem zgnębionym odezwał się c. k. wielebny Martinec.

— To może pan feldkurat znał niejaką Rużenę Gaudersównę, która zaprzeszłego roku pracowała w pewnej winiarni przy ulicy Płatnerskiej w Pradze i, niech sobie pan feldkurat wyobrazi, zaskarżyła kiedyś osiemnastu chłopca do sądu o alimenty, ponieważ porodziła bliźniaczki. Jedno z tych bliźniąt miało jedno oko niebieskie a drugie czarne, więc ona wywnioskowała z tego, że odpowiedzialność za to spoczywa na czterech panach z podobnymi oczami, jako że ci panowie do owej winiarni chodzili na wino i coś tam z nią mieli. Drugie z bliźniąt miało chromą nóżkę tak samo jak pewien radca magistratu, który także chodził do tej winiarni, i miało to dziecko sześć palców u jednej ręki jak pewien poseł, który bywał codziennym gościem owego lokaliku. A teraz niech pan feldkurat sobie wyobrazi, że takich gości chodziło do owej instytucji osiemnastu, a te bliźnięta odziedziczyły po każdym z nich jakieś znamięczko, bo odwiedzała tych panów w mieszkaniu albo chodziła z nimi do hotelów. Wreszcie sąd zawyrokował, że w takim ścisku i tłoku ojciec jest nieznanym, a ona zwała wszystko na właściciela winiarni, u którego pracowała, ale on dowiódł, że już od lat dwudziestu jest impotentem skutkiem operacji, której musiał się poddać z powodu ostrego zapalenia. Więc tę pannę wyprawiono potem ciupasem do nas do Nowego Jiczyna. Z tego wynika, że kto żąda za wiele, dostanie figę. Powinna była trzymać się jednego, a nie wygadywać przed sądem, że jedno bliźniętko pochodzi od pana posła, a drugie od pana radcy magistratu, czy też od kogo innego. Każdą taką sprawę można sobie bardzo łatwo wyliczyć.

Tego a tego dnia byłam z nim w hotelu i tego a tego dnia urodziło mi się dziecko. Oczywiście, panie feldkurat, jeśli rozwiązanie jest normalne. W takich spelunczkach zawsze się znajdzie uczynny dozorca albo pokojówka, aby za pięć koron można było otrzymać świadectwo sądowe, że tej a tej nocy niewiasta była rzeczywiście w towarzystwie tego pana i że, gdy schodzili na dół po schodach, ona rzekła do niego: — A jeśli z tego coś będzie? — a on odpowiedział: — Nie bój się, makagigo, o dziecko będę miał staranie.

Feldkurat zadumał się i cała pociecha religijna wydała mu się raptem niesłychanie ciężka, chociaż miał ją w głowie z najdrobniejszymi szczegółami i wiedział, co i jak trzeba mówić o najwyższym miłosierdziu w dniu sądu ostatecznego, gdy powstaną z martwych wszyscy przestępcy wojenni ze stryczkami na szyjach, bo chociaż dopuścili się zbrodni, to jednak kajali się i dostąpili miłosierdzia tak samo, jak ów łotr z Nowego Testamentu.

Miał przygotowaną jedną z najpiękniejszych pociech religijnych i podzielił ją sobie na trzy części. Najprzód chciał porozmawiać o tym, że śmierć na szubienicy jest bardzo lekka, gdy człowiek pojednany jest z Bogiem. Prawo wojskowe karze przestępcę za jego zdradę, jakiej dopuścił się na najjaśniejszym panu, który jest ojcem swoich żołnierzy, a więc na każde najdrobniejsze wykroczenie ich należy spoglądać jako na ojcobójstwo i pohańbienie ojca. Następnie pragnął rozwinąć swoją teorię, że najjaśniejszy pan jest władcą z Bożej łaski, że ustanowiony jest przez Boga dla kierowania sprawami świeckimi, jak z drugiej strony papież ustanowiony jest, aby kierował sprawami duchownymi. Zdrada, popełniona na najjaśniejszym panu, jest zdradą popełnioną wobec samego Boga. Zbrodniarza wojennego oczekuje więc, prócz stryczka, także kara zagrobową, czyli wiekuiste potępienie. Ale podczas gdy sprawiedliwość ziemską przez wzgląd na dyscyplinę wyroku zmieniać nie może i musi powiesić zbrodniarza, nie

wszystko jeszcze jest stracone, o ile chodzi o karę drugą, zagrobową. Można się od niej wymigać wybornym posunięciem, a mianowicie pokutą.

Feldkurat wyobrażał sobie w tym miejscu scenę ogromnie wzruszającą, która i jemu samemu przyda się w niebie do wymazania wszystkich przewinień i grzechów, jakich dopuścił się z biegiem czasu w mieszkaniu generała Finka w Przemyślu.

Wyobrażał sobie, jak w ostatecznym wywodzie ryknie na skazańca:

— Żałuj za grzechy, synu! Powtarzaj za mną, synu!

I dalej wyobrażał sobie, jak w tej zawieszanej, śmierdzącej celi odzywać się będą słowa modlitwy.

— Boże, który zawsze się zmiłowujesz i odpuszczasz grzechy, z głębi serca proszę Ciebie o przebaczenie dla duszy tego żołnierza, której rozkazałeś odejść z tego świata na zasadzie wyroku wojennego sądu polowego w Przemyślu. Daj temu żołnierzowi, aby nie zakosztował mąk piekielnych, lecz by zażywał radości wiekuistych.

— Z przeproszeniem, panie feldkurat, siedzi pan już dobre pięć minut jak zarżnięty i zdaje się, że nie pan ochoty do gaudania. Zaraz widać po panu, że siedzi pan w pace po raz pierwszy.

— Ja tu przybyłem — rzekł z wielką powagą feldkurat — gwoli pociechy religijnej.

— Osobliwa rzecz, że pan feldkurat ciągle coś wygaduje o pocieszce religijnej. Ja, panie feldkuracie, nie czuję się tak dalece na siłach, żebym mógł panu udzielić jakiej takiej pociechy. Ale niech pan się sam pocieszy: pan nie jest pierwszym i ostatnim feldkuratem, jaki dostał się za kratki. Zresztą, aby rzec prawdę, panie feldkurat, ja nie mam żadnego daru słowa, żebym mógł komukolwiek udzielać pociechy w jego ciężkim położeniu. Spróbowałem tego pewnego razu, ale nie udało mi się. Niech pan się trochę przysunie, to panu opo-

wiem. Kiedy mieszkałem przy ulicy Opatowickiej, to miałem kolegę, Faustyna, odźwiernego w hotelu. Był to człowiek bardzo zacny, sprawiedliwy i można rzec, uczynny. Znał wszystkie dziewczęta z ulicy i można było na nim polegać nawet w ciemnościach nocnych godzin. Wystarczyło rzec: — Panie Faustynie, potrzebna mi jest panienka — a on natychmiast jak najsumienniej wypytał, o co chodzi: blondynka, brunetka, mała, duża, smukła, otyła, Niemka, Czeszka, Żydówka, panna, rozwódka, mężatka, inteligentna, głupia?

Szwejk przytulił się poufale do feldkurata i obejmując go ramieniem, mówił dalej:

— Dajmy na to, że pan feldkurat powiedziałby: — Proszę o blondynkę biedrzatą, wdowę, bez inteligencji — a po upływie minut dziesięciu miałby ją pan w łóżku razem z metryczką.

Feldkuratowi zaczynało być ciepło, ale Szwejk mówił dalej, tuląc go do siebie jak matka rodzona:

— Rzadko trafił się człowiek tak dbający o uczciwość i moralność, jak wyżej wymieniony Faustyn. Od tych kobiet, które stręczył i dostarczał panom w pokojach, nie przyjął ani grosza, a jeśli czasem która z nich zapomniała się i chciała mu podsunąć napiwek, to bywał bardzo oburzony i zaczynał krzyczeć: — Ty, świnię jedna, która handlujesz ciałem swoim i dopuszczasz się grzechu śmiertelnego, nie wyobrażaj sobie, że lecę na twoich parę groszy! Ja nie jestem stręczycielem, ty dziewczko bezwstydna! Ja wszystko robię tylko przez współczucie dla ciebie, skoro już upadłaś tak nisko, żebyś nie musiała hańbą swoją świecić ludziom w oczy i żeby cię w nocy nie zaarrestował patrol i musiałabyś potem siedzieć trzy dni w komisariacie! Przynajmniej odbywa się wszystko w sekrecie i nikt nie potrzebuje wiedzieć, że się puściłaś na lekki chleb! — On sobie tę moralność wynagradzał na gościach, bo od tych kobiet nie chciał brać wynagrodzenia, niby jaki pastuch. Miał swoją takse: za niebieskie oczy liczył dziesiątkę,

za czarne piętnaście grajcarów, a on wyliczał wszystko szczegółowo, jak się to robi na każdym rachunku, i przedstawiał gościowi. Ceny jego były bardzo przystępne. Za kobietę bez inteligencji przypisywał sobie dodatek dziesięciu grajcarów, ponieważ był przekonany, że takie nieuczone stworzenie ucieszy gościa daleko lepiej niż wykształcona dama. Pewnego razu ku wieczorowi przyszedł do mnie pan Faustyn na ulicę Opatowicką, ogromnie wzburzony i nieswój, jakby go akurat byli wyciągnęli spod ramy ochronnej tramwaju elektrycznego i jakby mu przy tej sposobności ktoś był ukradł zegarek. Zrazu nic nie mówił, ale wyjął z kieszeni butelkę araku, napił się, podał i mnie i mówi: — Pij! — Nie mówiliśmy nic i piliśmy po kolei. Dopiero gdy butelka była pusta, odezwał się nagle: — Kolego bądź taki dobry i wyświadcź mi grzeszność. Otwórz okno od ulicy, ja siądę na parapecie, ty złapiesz mnie za nogi i zrzucisz mnie z trzeciego piętra na dół. Ja od życia nie chcę już niczego, pozostała mi już tylko ta ostatnia pociecha, że mam zacnego towarzysza, który mnie zgładzi z tego świata. Ja już dalej żyć nie chcę, bo mnie, człowieka uczciwego, oskarżono o stręczycielstwo, jak jakiego pierwszego lepszego gałgana. Nasz hotel jest przecie pierwszorzędny, wszystkie trzy pokojówki i moja żona mają książki w porządku i nie są winne panu doktorowi ani grosza. Jeśli masz dla mnie choć troszkę przyjaźni, zrzuć mnie z trzeciego piętra, udziel mi tej ostatniej pociechy. — Rzekłem mu, żeby więc wygodnie usiadł na parapecie okna, i zrzuciłem go na ulicę. Ale niech się pan feldkurat nic nie boi.

Szwejk wlaź na pryczę, przy czym pociągnął za sobą feldkurata:

— Niech pan patrzy, panie feldkurat, tak go złapałem i bęc! Spuściłem go na dół całkiem gładko.

Szwejk podniósł feldkurata, zsunął go na podłogę i podczas gdy wystarszony Martinec powstawał, Szwejk mówił obrazowo dalej:

— No, widzi pan feldkurat, że nie stało się panu nic złego, a temu panu Faustynowi też się nic nie stało, bo okno mojego mieszkania było niewiele wyżej od ziemi niż ta prycza. Muszę dodać, że ten pan Faustyn był wstawiony jak się należy i zapomniał, że mieszkam przy ulicy Opatowickiej na bardzo niskim parterze, a nie na trzecim piętrze, jak przed rokiem, kiedym jeszcze mieszkał przy ulicy Krzemencowej, a on bywał u mnie częstym gościem.

Feldkurat spojrział wzwyż ku Szwejkowi, który stojąc na pryczy opowiadał, wymachując rękoma. Biedny Martinec nie wiedział, co zrobić z wariatem, i jąkał wystraszony:

— Tak, tak, synu kochany, było to niewiele wyżej od ziemi...

Mówiąc to, wycofywał się powoli ku drzwiom, w które zaczął raptem walić tak mocno, a przy tym wrzeszczeć, że otworzono mu natychmiast.

Przez zakratowane okienko Szwejk widział, że feldkurat ucieka jak postrzelony w towarzystwie wartownika i gestykuje żywo, opowiadając o swojej przygodzie.

— Teraz zaprowadzą go chyba do lazaretu — pomyślał Szwejk, zeskoczył z pryczy i maszerując po celi krokiem wojskowym, przyśpiwywał sobie:

Dałaś mi pierścionek, dała,
Ale go nosić nie będę.
Zrobię ja z niego kulę,
A na wiwat ją wystrzelę,
Na wiwat, psiamać, wystrzelę....!

Po paru minutach felkurata meldowano u generała Finka.

Znowuż było u generała bardzo wesoło, a w licznym towarzystwie wybitną rolę odgrywały dwie uczynne damy, wina i likiery.

Śród oficerów goszczących u generała znajdował się cały komplet porannego sądu polowego, prócz owego piechura, który podczas posiedzenia zapalał sędziom papierosy.

Feldkurat wpłynął w to wesołe zebranie niby jakiś upiór z bajki. Był blady, wzburzony i pełen takiego dostojeństwa, jak człowiek, który jest świadom, że spoliczkowany został całkiem niewinnie.

Generał Fink, który w ostatnich czasach spoufalął się z feldkuratem coraz bardziej, pociągnął go ku sobie na kanapę i głosem przepitym pytał:

— Co tobie, pociecho duchowna?

Jedna z wesołych dam rzuciła w feldkurata papierosem.

— Pij pociecho religijna — rzekł jeszcze generał Fink, podając feldkuratowi zielony kielich z krzepiącym napojem. Ponieważ Martinec nie zaraz zabierał się do picia, generał zaczął go pić własnoręcznie i gdyby pojony nie był pośpiesznie łykał, to generał byłby go całego pochlapał alkoholem.

Dopiero potem nastąpiło przepytywanie, jak też tam poszło z pociechą religijną. Feldkurat wstał i głosem pełnym tragizmu rzekł:

— Oszalał.

— W takim razie musiała tam być znakomita pociecha religijna — roześmiał się generał, po czym wszyscy wybuchnęli straszliwym śmiechem, a obie damy znowuż zaczęły rzucać w feldkurata papierosami.

U końca stołu siedział major, a ponieważ mocno przebrał miarkę, więc podrzemywał chwilami. Teraz zbudził się ze swej apatii, do dwóch kieliszków od wina nalał szybko jakiegoś likieru, wśród krzesel utworował sobie drogę ku feldkuratowi i oszołomionego sługę bożego zmusił wypić z nim brudersaft. Potem wrócił na swoje miejsce poprzednie i podrzemywał dalej.

Wraz z brudersaftem, wypitym z majorem, feldkurata omotały sidła diabelskie, a szatan spoglądał na niego jak na swego z całej baterii butelek i ze spojrzeń i uśmiechów wesołych dam, które rozłożyły nogi na stole, tak że na biedaka szczyrzył zęby sam Belzebub, zaczajony w koronkach.

Do ostatniej chwili nie tracił on świadomości, że chodzi tu o jego duszę i że jest męczennikiem.

Wyraził tę myśl w rozmyślaniach, ogłoszonych pod adresem dwóch służących pana generała, gdy ci nieśli go do jednego z odległych pokojów na kanapę:

— Smutny to wprawdzie, ale i wzniosły zarazem widok roztacza się przed oczami waszymi, gdy sercem czystym i skupionym wspominać zaczniecie o tych niezliczonych i wślawionych ofiarach, którzy dla wiary ponieśli niesłychane udreki, a powszechnie znani są pod nazwą męczenników. Na mnie widzicie, że człowiek może się czuć wyższym ponad wszelkie cierpienie, albowiem w sercu gości prawda i cnota, które są puklerzem przed najstraszliwszym cierpieniem i poręką sławnego zwycięstwa.

W tej chwili odwrócono go twarzą ku ścianie i feldkurat zasnął natychmiast.

Sen miał niespokojny.

Śniło mu się, że w dzień wykonywa czynności feldkurata, a wieczorem jest odźwiernym w hotelu, zamiast Faustyna, którego Szwejk strącił z wysokości trzeciego piętra. Ze wszystkich stron posyłano na niego skargi do generała, że zamiast blondynki przyprowadził gościowi brunetkę, zamiast rozwódki i damy z inteligencją, dostarczył wdowę bez inteligencji.

Rano zbudził się spocony jak mysz, w żołądku miał istne piekło i ciągle mu się zdawało, że jego proboszcz na Morawach jest w porównaniu z nim aniołem.

III

Szwejk wraca do swej marszkompanii.

Ów major, który przed południem na posiedzeniu sądowym pełnił obowiązki audytora w sprawie Szwejka, był tym samym panem, który u generała Finka pił bruderszaft z feldkuratem.

Pewne było tylko to jedno, że nikt nie wiedział, kiedy i jak major wyszedł w nocy od generała. Wszyscy znajdowali się w takim stanie, że nikt nie zauważył jego nieobecności, a generał był już tak dalece pijany, że nie wiedział, kto do niego mówi. Już ze dwie godziny majora nie było w towarzystwie, ale generał pomimo to podkręcał węża, uśmiechał się głupawo i wołał:

— Doskonale powiedziane, panie majorze!

Rano nie można było pana majora nigdzie znaleźć. Płaszcz jego wisiał w przedpokoju, szabla była na wieszaku, brakło tylko czapki oficerskiej. Przypuszczano, że może zasnął w którym z ustępów, i przeszukano je wszystkie, ale nigdzie go nie znaleziono. Zamiast niego odkryto na drugim piętrze pewnego śpiącego nadporucznika, należącego do towarzystwa pana generała. Spał klęcząc, pochylony nad klozetem, albowiem sen zmorzył go w chwili, gdy wymiotował.

Major przepadł jak kamień wrzucony w wodę.

Ale gdyby ktoś zajrzał oknem zakratowanym do izby, w której siedział Szwejk, to byłby zobaczył, że pod rosyjskim płaszczem wojskowym śpią na pryczy dwie osoby, bo spod płaszcza wyglądały dwie pary butów.

Buty z ostrogami były własnością majora, bez ostróg — Szwejka.

Obaj leżeli przytuleni do siebie jak kocięta. Szwejk trzymał łapę nad głową majora, a major obejmował Szwejka za biodro, tuląc się do niego jak szczenię do suki.

Nie było w tym nic osobliwego. Pan major uświadomił sobie po prostu swoje obowiązki.

Zdarzyło wam się chyba nie raz, że siedzieliście z kimś i piliście przez całą noc, a tu raptem towarzysz wasz zrywa się, chwytą się za głowę i woła: — Jezus Maria, o godzinie ósmej miałem być w biurze! — Jest to tak zwany atak obowiązkowości, który zdaje się być zjawiskiem szczątkowym wyrzutów sumienia i wybucha najniespodziewaniej. Człowieka, który dostanie takiego szlachetnego ataku, nic nie zdoła odwieść od przekonania, że koniecznie musi on wynagrodzić swoje zaniedbanie urzędowe. Ofiarami takiego ataku są owe postaci bez kapeluszy, które woźni na urzędach zatrzymują po korytarzach i w swoich izdebkach służbowych układają na kanapkach, żeby się przespały.

Podobnego ataku dostał także pan major.

Gdy przebudził się w fotelu przy stole, przyszło mu na myśl, że natychmiast musi przesłuchać Szwejka. Ten napad obowiązkowości urzędowej wyłonił się w jego świadomości tak niespodziewanie i miał skutek tak szybki i zdecydowany, że nikt nie zwrócił uwagi, gdy się pan major oddalał.

Natomiast tym realniej poczuli obecność majora wszyscy pełniący służbę w areszcie wojskowym. Major wpadł do aresztu jak bomba.

Sierżant pełniący służbę spał przy stole, a wszyscy warto-

wnicy dokoła niego podrzemywali w najróżniejszych pozycjach.

Major, w czapce na bakier, narobił takiego piekła, że wszystkim od razu odechciało się ziewać, a twarze żołnierzy nabrały wyrazu takiego osobliwego grymasu, że majorowi wydawało się, iż to nie żołnierze spoglądają ku niemu, ale stado śmiejących się małp.

Walił pięścią w stół i ryczał na sierżanta:

— Wy, niedołęgo jeden! Czy nie mówiłem wam już tysiąc razy, że wasi szeregowcy to zafajdana świńska banda!? — Zwracając się do wystraszonych piechurów krzyczał: — Żołnierze! Z waszych oczu bije bałwaństwo, nawet gdy śpicie, a gdy was zbudzić ze snu, to macie, wy draby, takie miny, jakby każdy z was zeżarł wagon dynamitu.

Wygłosił następnie długie i wydatne kazanie o obowiązkach żołnierzy strażujących i wreszcie kazał sobie natychmiast otworzyć izbę aresztu Szwejka, bo musi poddać delikwenta przesłuchaniu.

W taki więc sposób dostał się pan major w nocy do celi Szwejka.

Przyszedł do niego w takim stanie, gdy wszystko, jak to się mówi, uleżało się w nim. Ostatnim jego wybuchem był rozkaz, aby mu oddano klucze aresztu.

Sierżant zastrzegł się przeciwko temu jakimś ostatnim rozpaczliwym przypomnieniem sobie swoich obowiązków, co na majorze wywarło wrażenie wprost ogromne i oszalamiające.

— Ach ty, zafajdana świńska bando — krzyczał na dzieidźnicu — nauczyłbym ja was moresu, gdybyście mi oddali klucze!

— Posłusznie melduję — odpowiedział sierżant — że jestem obowiązany zamknąć pana majora razem z delikwentem i dla bezpieczeństwa pańskiego postawić przy drzwiach warto-

wnika. Gdy pan major będzie chciał wyjść, raczy zapukać do drzwi.

— Ty głuptasku jeden — rzekł major — ty pawianie, wielbłądzie, myślisz, może, że ja się boję głupiego aresztanta, żebyś mi miał przystawiać straż, gdy go będę przesłuchiwał? *Donnerwetter Sakrament*, zamknijcie mnie w jego celi i wynoście się na zбитy łeb!

W niszy nad drzwiami w okratowanej latarni lampka naftowa z przykręconym knotem kopcila i dawała zaledwie tyle światła, że major dostrzegł przebudzonego Szwejka, który cierpliwie czekał stojąc na baczność koło pryczy, co to będzie z tej nocnej wizyty.

Szwejk przypomniał sobie, że najlepiej będzie złożyć panu majorowi raport, i z rażną służbistością zawołał:

— Posłusznie melduję, panie majorze, jeden aresztowany szeregowiec, a poza tym nic się nie stało.

Major zapomniał nagle, po co tu przyszedł, więc rzekł tylko:

— Spocznij! Gdzie masz tego aresztowanego szeregowca?

— Posłusznie melduję, panie majorze, że to ja nim jestem — dumnie odpowiedział Szwejk.

Ale major nie przyjął do wiadomości tej odpowiedzi, bo wino i likiery pana generała dokonywały w jego mózgu ostatecznej reakcji. Ziewnął tak straszliwie, że każdy cywil przy takim ziewnięciu byłby sobie wywichnął szczękę. U majora owo ziewnięcie przerzuciło się jakimś osobliwym skojarzeniem w te ośrodki mózgu, w których człowieczeństwo przechowuje dar śpiewu. Zwalił się z miłą swobodą na pryczę Szwejka i głosem, jaki wydaje poderżnięte prosię, zaczął śpiewać:

O Tannenbaum! O Tannenbaum,
wie schön sind deine Blätter!

Powtórzył to kilka razy, wplątując do słów pieśni niezrozumiałe skrzeki.

Następnie przewrócił się na wznak niby mały niedźwiadek, skulił się i natychmiast zaczął chrapać.

— Panie majorze — budził go Szwejk — posłusznie melduję, że pana obleżą wszy.

Ale nie zdało się to na nic. Major spał jak zabity. Szwejk spojrział na niego okiem tkliwym i rzekł:

— No to spij, ty pijanico.

Przykrył śpiącego płaszczem, a później położył się koło niego i tak ich, przytulonych do siebie, rano znaleźli.

Okolo godziny dziewiątej, gdy majora szukano z wielkim już zaniepokojeniem, Szwejk znalazł z pryczy i uznał za właściwe zbudzić swego przygodnego towarzysza. Potrząsnął nim kilka razy bardzo energicznie, zdjął z niego rosyjski płaszcz wojskowy i wreszcie major opamiętał się tak dalece, że usiadł na pryczy i patrząc błędnymi oczyma na Szwejka, starał się zrozumieć, co się właściwie stało.

— Posłusznie melduję, panie majorze — rzekł Szwejk — że już parę razy przychodzili tu ludzie ze straży, żeby się przekonać, czy pan jeszcze żyje. Dlatego pozwoliłem sobie zbudzić pana w tej chwili, bo nie wiem, jak długo sypia pan zazwyczaj, i boję się, żeby pan czasem nie zasnął czego. W browarze w Uhrzyniewsi był pewien bednarz, który sypiał zawsze do godziny szóstej rano, ale gdy zasnął, choćby tylko o kwadrans, to już potem spał do samego południa i powtarzał to tak długo, aż go wyrzucono z browaru, w którym pracował. Otóż ten bednarz ze złości, że został wyrzucony z roboty, dopuścił się obrazy jednego z członków naszego domu panującego.

— Ty być idiota, prawda? — rzekł major z akcentem zrezygnowanej rozpacz, ponieważ głowę po wczorajszej pijatyce miał jak szkopek i w żaden sposób nie znajdował odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób znalazł się w areszcie, dlaczego szukali go ludzie strażujący i dlaczego ten drab, który przed nim stoi, wygaduje takie głupstwa, co to ani przy-

piął, ani przyłatał. Wszystko to wydawało mu się bardzo dziwne. Niejasno przypominał sobie, że już raz w nocy tu był, ale po co?

— Ja tutaj w nocy już być? — pytał Szwejka z uczuciem niepewności.

— Wedle rozkazu, panie majorze — odpowiedział Szwejk — o ile zrozumiałem pańskie słowa, pan major przybył tutaj, żeby mnie zbadać.

Wtedy majorowi pojaśniało w głowie, spojrzął po sobie i poza siebie, jakby czegoś szukał.

— Niech pan się o nic nie niepokoi, panie majorze — rzekł Szwejk. — Zbudził się pan akurat w takim samym stanie, w jakim pan tu przyszedł. Płaszcz pan nie miał i szabli także nie, tylko czapkę. Czapka leży tam oto, bo musiałem ją położyć na bok, żeby pan jej sobie nie pogniótł; chciał pan położyć się na niej, a galowa czapka oficerska jest jak cylinder. Wyspać się w cylindrze umiał tylko niejaki pan Karderaz w Lodienicy. Wyciągnął się w gospodzie, położył sobie cylinder pod głowę — bo on śpiewał po pogrzebach i ubierał się na swoje występy odświętnie — zasugestionował się, że nie wolno mu go podnieść i przez całą noc leżał tak jakoś osobliwie, że nie tylko cylindrowi nie zaszkodził, ale go w dodatku włosami swojej głowy wyglansował.

Major, który oprzytomniał zupełnie i zdawał sobie sprawę, co i jak się stało, nie przestawał spoglądać na Szwejka okiem tępym i powtarzał raz za razem:

— Ty mocno głupi, prawda? Ja tutaj być, a teraz ja stąd iść.

Wstał, podszedł ku drzwiom i zakołatał. Zanim przyszli mu otworzyć, rzekł do Szwejka:

— Jeśli telegram nie przyjdzie, że ty jesteś ty, to ty wisieć!

— Serdecznie dziękuję — rzekł Szwejk. — Ja wiem, panie majorze, że pan ma wielkie staranie o mnie, ale o ile się zdarzyło, że na prycy złapał pan jedną czy drugą wesz, to niech

pan będzie przekonany, że jeśli wesz jest malutka i ma zadeczek różowawy, to to jest samczyk, a jeśli prócz niego jest jeszcze wesz długa i szara z różowawymi prążkami na brzuszku, to jest to niezawodnie parka, a trzeba dodać, że to paskudztwo mnoży się niesłychanie szybko i łatwo.

— Lassen sie das! — rzekł major zgnębiony, gdy mu otwierano drzwi.

Na odwachu nie robił już żadnych scen, głosem spokojnym polecił, żeby mu sprowadzono dorożkę, i podczas gdy dorożka turkotała po nędznym bruku Przemyśla, major myślał tylko o jednym, że mianowicie delikwent jest idiotą pierwszej klasy, ale że najniezawodniej będzie to niewinne bydlę. Co zaś do niego, majora, to nie pozostaje mu nic innego, tylko zastrzelić się natychmiast po powrocie do domu albo też posłać do generała po płaszcz i po szablę i wykapać się w miejskiej łaźni, a po kąpeli wstąpić do winiarni Vollgrubera, poprawić sobie apetyt, a wieczorem telefonicznie zamówić bilet na przedstawienie do teatru miejskiego.

Zanim dojechał do swego mieszkania, zdecydował się na kąpiel.

W mieszkaniu czekała na niego miła niespodzianka. Przybył akurat w porę.

W sieni przed jego mieszkaniem stał generał Fink, trzymając za kark bursza, potrząsał nim z całej siły i ryczał na niego:

— Gdzie podziałeś swego majora, bydlę jedno? Gadaj mi, psie parszywy!

Ale pies parszywy nic nie mówił, bo jego twarz siniąta coraz bardziej, w miarę jak pan generał go dusił.

Major przy wejściu do sieni natychmiast spostrzegł, że nieszczęsny bursz trzyma mocno pod pachą jego płaszcz i szablę, które najwidoczniej przyniósł z przedpokoju pana generała.

Scena ta zaczęła majora żywo bawić, więc stanął w pół-

otwartych drzwiach i przyglądał się cierpieniu swego wiernego sługi, który już dawno stał mu kością w gardle za różne galgania.

Generał na chwilę wypuścił z rąk zsiniałego bursza, ale tylko na to, aby wyjąć z kieszeni depeszę, którą następnie począł tłuc biednego sługę po twarzy i po ustach, krzycząc w kółko:

— Gdzie masz swego majora, ty bydle, gdzie masz swego majora audytora, ty psie, abys mu mógł wręczyć telegram urzędowy?!

— Jestem! — zawołał major Derwota od progu, bo kombinacja słów: major, audytor i telegram, przypomniała mu natychmiast pewne jego obowiązki.

— Aha! — zawołał generał Fink — ty wracasz?

W akcentach tego pytania było tyle złośliwości, że major nie odpowiedział i stał, nie wiedząc, co z sobą zrobić.

Generał poprosił go do pokoju, a gdy usiedli przy stole, rzucił mu telegram, otłuczony o twarz bursza, na stół i głosem tragicznym rzekł:

— Czytaj! To twoja sprawka!

Podczas gdy major odczytywał telegram, generał powstał z krzesła, latał po pokoju, przewracając krzesła i stołki i wrzeszczał:

— A ja go jednak powieszę!

Telegram był tej treści:

„Szeregowiec Józef Szwejk, ordynans 11 marszkompanii, zginął dnia 16 b. m. podczas marszu na Chyrów — Felsztyn przy spełnianiu obowiązków kwatermistrza. Natychmiast dostarczyć Szwejka do dowództwa brygady w Wojałyczu“.

Major otworzył szufladę, wyjął z niej mapę i zamyślił się nad faktem, że Felsztyn znajduje się o 40 kilometrów od Przemysła na południowym wschodzie. Powstawała zagadka, w jaki

sposób szeregowiec Szwejk zdobył rosyjski uniform w miejscu oddalonym o 150 kilometrów od frontu, skoro pozycje ciągną się na linii Sokal — Turze — Kozłów.

Gdy major zakomunikował o tym generałowi i pokazał mu na mapie miejsce, gdzie Szwejk przepadł przed kilku dniami, jak to wynikało z telegramu, generał ryczał jak byk, ponieważ zdawał sobie sprawę, że wszystkie jego nadzieje co do sądu polowego rozplywają się w nic. Podszedł do telefonu, połączył się ze strażnicą i wydał rozkaz, aby natychmiast przeprowadzono do jego mieszkania aresztanta Szwejka.

Zanim rozkaz mógł zostać wykonany, generał, klęcząc straszliwie, raz za razem dawał upust swej wściekłości, że dał się przegadać majorowi i nie powiesił Szwejka bez jakiegokolwiek telegrafowania i śledztwa.

Major oponował i mówił coś o tym, że prawo i sprawiedliwość to dwa filary ładu. Mówił w ogóle bardzo ładnie, układając zdania w krasomówcze okresy, o sprawiedliwych sądach, o mordach sądowych i w ogóle o wszystkim możliwym, co mu ślina przynosiła na język, albowiem po wczorajszej pijatyce miał straszliwy katzenjammer, z którego musiał się wygadać.

Gdy wreszcie przeprowadzono Szwejka, major zażądał od niego wyjaśnienia, w jaki sposób koło Felsztyna zdobył rosyjski uniform.

Szwejk opowiedział wszystko w sposób należyty i poparł opowiadanie kilku przykładami z życia własnego i z życia ludzkiego w ogóle. Gdy następnie major zapytał go dlaczego nie powiedział tego natychmiast przy przesłuchiowaniu i na sądzie, Szwejk odpowiedział, że go o to nikt nie pytał, w jaki sposób zdobył rosyjski uniform, ale że wszystkie pytania brzmiały: — Przyznajecie się, żeście się dobrowolnie i bez czegokolwiek nacisku przebrali w uniform rosyjski? — Ponieważ przebrał się dobrowolnie, więc mógł tylko powiedzieć: „Tak jest, istotnie, owszem, niewątpliwie“. Dlatego też z obu-

rzeniem odrzucił oskarżenie sądu, że zdradził najjaśniejszego pana.

— Ten chłop jest skończonym idiotą — rzekł generał do majora. — Kto słyszał, żeby się przebierać na grobli stawu w uniform jakiegoś rosyjskiego jeńca, czy diabli wiedzą kogo, dostać się do aresztu i do szeregów jeńców rosyjskich! Taka rzecz może się zdarzyć tylko idiotcie.

— Posłusznie melduję — odezwał się Szwejk — że ja sam spostrzegam na sobie nieraz oznaki idiotyzmu, osobliwie ku wieczorowi...

— Milcz, ty wole — rzekł do niego major i zwracając się do generała zapytał, co wobec tego ma zrobić ze Szwejkiem.

— A niech go sobie sami wieszają w jego brygadzie! — zadecydował generał.

Po upływie godziny eskorta prowadziła Szwejka na dworzec, dla odtransportowania go do sztabu brygady w Wojałyczu.

W areszcie zostawił Szwejk po sobie małą pamiątkę, a mianowicie patykiem na ścianie powypisywał dokładnie wszystkie polewki, sosy i potrawy, jakie jadał jako cywil. Miał to być niezawodnie protest przeciw temu, że w przeciągu 24 godzin od chwili aresztowania nie dostał nic do jedzenia.

Razem z Szwejkiem wędrował do brygady taki papier:

„Na zasadzie telegramu nr 469 dostarcza się szeregowca Józefa Szwejka, zbiegłego z 11 marszkompanii, dla dalszego postępowania w brygadzie“.

Eskorta Szwejka, składająca się z czterech szeregowców, reprezentowała kilka narodów: był w niej Polak, Węgier, Niemiec i Czech, ten ostatni był frajtresem i dowódcą eskorty. Wobec aresztanta — ziomka, strasznie wysoko zadzierał nos i dawał mu odczuć swoje wysokie stanowisko i swoją potęgę. Gdy mianowicie na dworcu Szwejk wyraził życzenie pójścia

do ustępu, frajter odpowiedział w sposób wysoce grubiański, że na to będzie miał dość czasu, gdy przybędzie do brygady.

— Dobrze — odpowiedział Szwejk — ale proszę mi dać to oświadczenie na piśmie, a gdy mi pęknie pęcherz, niech będzie wiadomo, komu to zawdzięczam. Od tego jest prawo, panie frajtrze.

Frajter, parobek od wołów, przeraził się tego możliwego zdarzenia z pęcherzem i dlatego na dworcu cała eskorta w sposób uroczysty prowadziła Szwejka do ustępu. Frajter w ogóle w ciągu całej podróży wywierał wrażenie człowieka brutalnego i nadymał się tak okropnie, jakby jutro miał zostać co najmniej dowódcą korpusu.

Gdy siedzieli w pociągu na linii Przemyśl — Chyrów, rzekł Szwejk:

— Panie frajter, gdy spoglądam na pana, to zawsze przypominam sobie tego frajtra Bozbę, który służył sobie onego czasu w Trydencie. Gdy mianowano go frajtre, zaczął raptem tyć i pęcznieć. Twarz mu nabrzmiała, a brzuch tak napęczniało, że już nazajutrz po mianowaniu nie mógł się zmieścić w skarbowych spodniach. Ale najgorsze było to, że zaczął jednocześnie i rosnać. Więc go wsadzono do lazaretu, a doktor pułkowy powiedział, że takie rzeczy dzieją się ze wszystkimi frajtrami, bo każdy z nich po mianowaniu zaczyna pęcznieć. Zrazu nadmą się mocno, ale niektórzy wracają rychło do zdrowia. Lecz ten frajter Bozba, to był przypadek zgoła osobliwy i ciężki, bo nadymanie od gwiazdek rzuciło mu się na pępek. Żeby go uratować, trzeba było odpruć mu te gwiazdki, i mój frajter znowuż spłaszczył się.

Od tej chwili Szwejk daremnie usiłował utrzymać z frajtre jaką taką rozmowę i wyjaśnić mu po przyjacielsku, dlaczego mówi się powszechnie, że frajter jest nieszczęściem kompanii.

Frajter nie odpowiadał na to wcale i tylko czynił jakieś ciemne pogrożki, że po przybyciu do brygady odechce się ko-

musz robić głupie uwagi. Jednym słowem, ziomek nie okazał należytej przyjaźni, a gdy Szwejk zapytał go, skąd pochodzi, odpowiedział, że nic mu do tego.

Ale Szwejk nie ustępował i na wszelki sposób usiłował nawiązać z nim rozmowę. Opowiadał, że nie pierwszy raz jest eskortowany, ale że zawsze bywało wesoło przy takiej sposobności i że był z eskortą w dobrej przyjaźni.

Frajter milczał i nie odpowiadał, zaś Szwejk wywodził:

— Tak mi się wydaje, panie frajter, że musiało pana spotkać na świecie jakieś nieszczęście, skoro pan tak nagle zaniemówił. Znałem sporo smutnych frajtrów, ale takiej kupki, nieszczęścia jak pan, panie frajter, z wielkim przeproszeniem, jeszcze nigdy nie widziałem. Niech mi się pan zwierzy ze swej udręki, a być może, iż zdołam panu poradzić, ponieważ żołnierz, którego prowadzą pod eskortą, miewa zawsze daleko większe doświadczenie niż ci, co go pilnują. Albo wiecie co, panie frajter, żeby nam się nie nudziło, niech pan opowie coś ciekawego, choćby o tym, jaka w pańskich stronach jest okolica, czy dużo tam jest stawów, czy też może znajduje się tam jaka ładna ruina, oraz, czy do tej ruiny nie jest przywiązana jaka ciekawa legenda.

— Mam tego dość! — wrzasnął frajter.

— No to szczęśliwy z pana człowiek — rzekł Szwejk — bo inny nigdy niczego nie ma dosyć.

Frajter pogрузzył się w milczeniu i tylko rzekł proroczym ponurym głosem:

— W brygadzie powiedzą ci więcej, niż ci będzie miło, a ja nie myślę wdawać się z tobą.

W eskorcie było w ogóle niewiele wesołego. Węgier rozmawiał z Niemcem w sposób wysoce oryginalny, bo z języka niemieckiego znał tylko dwa słowa: — *J a w o h l i W a s*. — Gdy Niemiec mówił mu o czymś, to Madziar kiwał głową i mówili: *J a w o h l*. A gdy Niemiec milkł, to Madziar prze-rywał mu pytaniem: *W a s?* I wtedy Niemiec zaczynał opo-

wiadanie na nowo. Polak z eskorty trzymał się arystokratycznie na uboczu, na nikogo nie zwracał uwagi i bawił się na własną rękę, smarząc na podłogę przy pomocy dwóch palców i rozcierając smarki kolbą karabinu, po czym kolbę zręcznie ocierał o spodnie i od czasu do czasu mruczał pod nosem: — Święta Panienko.

— Niewiele się nagadasz — rzekł do niego Szwejk. — Na Boisku mieszkał w suterenie niejaki stróż Machaczek, który umiał się wysmarkać na okno i tak zręcznie rozmazać smarki, że z tego powstawał obraz Libuszy, przepowiadającej sławę Pragi. Ale za każdy swój obraz dostawał od żony takie stypendium, że gębę miał jak szaflik. Nie dał się wszakże zastraszyć i ciągle się w sztuce swojej doskonalił. Była to jego jedyna uciecha.

Polak nie odpowiedział mu na to i wreszcie cała eskorta pogrążyła się w głębokim milczeniu, jakby jechała na pogrzeb i z pietyzmem rozmyślała o nieboszczyku.

Pociąg zbliżał ich do sztabu brygady w Wojałyczu.

Tymczasem w sztabie brygady zaszły pewne poważne zmiany.

Kierownictwo sztabu brygady oddane zostało pułkownikowi Gerbichowi. Był to pan posiadający wielkie zdolności wojskowe, które wlaży mu w nogi w postaci podagry. Miał wszakże w ministerstwie wielce wpływowe osoby, które zdziałały, że nie podawał się do dymisji, ale szwendał się po różnych sztabach większych formacyj wojskowych, pobierał dodatki służbowe i pozostawał tak długo na miejscu, dopóki przy ataku podagry nie zrobił jakiego głupstwa. Potem translokowali go gdzie indziej, a translokacja taka była zawsze awansem. Z oficerami przy obiedzie zazwyczaj nie mówił o niczym, tylko o swoim spuchniętym dużym palcu u nogi, który od czasu do czasu nabierał rozmiarów wprost groźnych, tak że jego właściciel musiał nosić but specjalnie duży.

Przy jedzeniu najmiłą jego przyjemnością było opowia-

danie o tym, jak ten palec ropieje i wilgnie i jak ta wilgoć w wacie przypomina skisły rosół.

Toteż cały korpus oficerski żegnał się z nim zawsze z najszczerzym zadowoleniem, gdy pana pułkownika przenoszono na inne miejsce. Ale poza tym był to pan wielce lojalny i względem oficerów niższych stopni zachowywał się z wielką przyjaźnią, opowiadając im niekiedy, ile to dobrych rzeczy zjadł i wypił, zanim dostał podagry.

Gdy Szwejkę odstawiono do brygady i według rozkazu dyżurnego oficera zaprowadzono z odpowiednimi papierami do pułkownika Gerbicha, siedział u niego w kancelarii porucznik Dub.

Przez tych kilka dni, jakie upłynęły od marszu na Sannok — Sambor, porucznik Dub przeżył znowuż nie lada przygodę. Za Felsztynem mianowicie spotkała 11 marszkompania transport koni, które odstawiano do pułku dragonów w Sądowej Wiszni.

Porucznik Dub sam nie wiedział, jak to się stało, dość że chciał pokazać nadporucznikowi Łukaszowi, jak on umie jeździć, wskoczył na jakiegoś konia, a ten popędził ze swoim przygodnym jeźdźcem i znikł z nim w dolinie potoku, gdzie potem znaleziono porucznika Duba solidnie tkwiącego w gęstym moczarze. Najrzęczniejszy ogrodnik nie byłby umiał zaflancować go tak dobrze. Gdy przy pomocy sznurów wyciągnięto go z tego bagna, porucznik nie skarżył się na nic, tylko z cicha pojękiwał, jakby konał. W takim stanie odstawiono go do lazaretu przy sztabie brygady.

Po kilku dniach odzyskał przytomność, tak iż lekarz oświadczył, że jeszcze dwa lub trzy razy każe wysmarować mu plecy, a potem śmiało może rozpocząć na nowo służbę w swoim oddziale.

I oto teraz porucznik Dub siedział u pułkownika Gerbicha i obaj opowiadali sobie o najróżniejszych chorobach.

Gdy porucznik ujrzał Szwejka, krzyknął głosem wielkim, bowiem było mu już wiadomo o tajemniczym zniknięciu jego w okolicach Felsztyna.

— Aha, mamy cię nareszcie! Niejeden idzie w świat jako gałgan, a powraca jako bestia. I ty jesteś taka bestia.

Dla ścisłości trzeba dodać, że porucznik Dub przy swojej przygodzie doznał lekkiego wstrząsu mózgu i dlatego nie należy się dziwić, że podchodząc ku Szwejkowi, przemawiał wierszem i wyzywał Boga do walki z nim:

— Wzywam cię, Ojcze, patrz, dymem otulają mnie grzmiące działa, straszliwa leci ze świstem strzała nad głową, o władco bitew, Ojcze, wzywam cię, abys sprowadził klęskę na tego tutaj łobuza... Gdzieś ty się włóczył gałganie? Co za uniform masz na sobie?

I jeszcze trzeba dodać, że pułkownik, dotknięty podagrą, wszystko w swojej kancelarii miał urządzone bardzo demokratycznie i był demokratą, jeśli akurat nie trapiła go podagra. Do kancelarii jego przybywały wszelkie możliwe szarże, aby słuchać jego poglądów na opuchły palec z wypocinami o zapachu skisłego rosołu wołowego.

W czasach, gdy pułkownik Gerbich nie miewał ataków, w kancelarii jego bywało bardzo wesoło. Przesiadawali u niego różni oficerowie, bo pułkownik był bardzo miły, gdy go nie dręczyła choroba, lubił gawędzić i cieszył się, gdy miał dokoła siebie dużo słuchaczy, których raczył lepkimi anegdotami. Jemu sprawiało to wielką uciechę, a słuchaczy bawiło, że opowiadano im kawały, które były w obiegu jeszcze za generała Laudona.

Służba pod pułkownikiem Gerbichem była w takich czasach bardzo lekka, każdy robił, co mu się żywnie podobało, a gdziekolwiek przydzielony został Gerbich, tam były kradzieże i oszustwa na porządku dziennym, o czym wszyscy dobrze wiedzieli.

Także i w tej chwili razem ze Szwejkem wtłoczyło się do

kancelarii pułkownika mnóstwo najróżniejszych szarż, bo wszyscy byli ciekawi, co się będzie działo. Pułkownik tymczasem odczytywał pismo do sztabu brygady, wykoncypowane przez majora w Przemyślu.

Zaś porucznik Dub dalej prowadził rozmowę ze Szwejkiem swoim zwykłym miłym sposobem, wywodząc:

— Ty mnie jeszcze nie znasz, ale jak mnie poznasz, to zdrętwiejesz ze strachu.

Pułkownik odczytywał pismo majora i baraniał coraz bardziej, bo pismo to było niewątpliwie dyktowane pod wpływem trwającego jeszcze zatrucia alkoholem.

Pomimo to, pułkownik był w dobrym usposobieniu, ponieważ wczoraj i dzisiaj wolny był od swoich przykrych bólów, a jego obrzmiały palec zachowywał się przyzwoicie jak baranek.

— Więc coście właściwie spłatali? — zapytał Szwejka tonem tak uprzejmym, że aż porucznika Duba kolnęło w okolicy serca. Nie wytrzymał i odpowiadał za niego:

— Szeregowiec ten — przedstawiał pułkownikowi Szwejka — udaje idiotę, żeby swoim idiotyzmem przesłaniać niezliczone gałgaństwa. Nie znam, oczywiście, treści dostarczonego panu pisma, ale jestem przekonany, że drab dopuścił się czegoś na większą skalę. Gdyby pan pozwolił, abym się zapoznał z treścią tego pisma, to niezawodnie mógłbym panu udzielić cennych wskazówek, jak z nim postąpić należy. — A zwracając się do Szwejka, rzekł do niego po czesku:

— Skracasz mi życie, czy nie?

— Skracam — odpowiedział Szwejk z dostojeństwem.

— Niech pan słucha, panie pułkowniku — mówił dalej porucznik Dub. — Nie można go o nic zapytać, w ogóle nie można z nim rozmawiać. Wreszcie musi kosa natknąć się na kamień. Trzeba go ukarać przykładnie. Pan pozwoli, panie pułkowniku...

Porucznik Dub zabrał się do odczytywania pisma przysłanego z Przemyśla, a gdy je odczytał, zwrócił się do Szwejka i zawołał rozradowany:

— Teraz koniec z tobą! Gdzieś podział uniform skarbowy?

— Zostawiłem go koło stawu na grobli, kiedyś sobie przymierzałem te gałgany, co je mam na sobie. Chciałem wiedzieć, jak się rosyjskim żołnierzom chodzi z takich uniformach — odpowiedział Szwejk. — Właściwie nie idzie o nic innego, tylko o omyłkę.

Szwejk zaczął opowiadać porucznikowi Dubowi, ile udręk przeżył z powodu tej swojej omyłki, a gdy skończył opowiadanie, porucznik Dub ryknął na niego:

— Teraz dopiero mnie poznasz! Wiesz ty, co to znaczy zgubić uniform skarbowy? Wiesz ty, co to znaczy zgubić w czasie wojny uniform?

— Posłusznie melduję, że wiem, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk. — Gdy żołnierz zgubi stary uniform, to musi wyfasować nowy.

— Jezus Maria! — zawołał porucznik Dub. — Ach ty wole, ty zwierzę nieokrzese, tak długo będziesz ze mną igrał, że po wojnie będziesz sto lat dosługiwał.

Pułkownik Gerbich, który dotychczas siedział spokojnie i roztropnie za stołem, skrzywił się nagle w sposób straszliwy, bowiem jego dotychczas spokojny palec u nogi z łagodnego i spokojnego baranka przemienił się raptem w ryczącego tygrysa, w prąd elektryczny o napięciu 600 wolt, w członek ciała miażdżony ciężkim młotkiem. Pułkownik machnął tylko ręką i ryknął głosem straszliwym człowieka pieczonego na wolnym ogniu:

— Wszyscy won! Podajcie mi rewolwer!

Otoczenie pułkownika znalazło już te napady i dlatego wszyscy rzucili się ku drzwiom, zabierając także Szwejka, którego wartownicy wlekli za sobą na korytarz. Jedyne porucznik

Dub pozostał w kancelarii i w chwili, która wydała mu się przygodną, by przysłużyć się Szwejkowi, rzekł do krzywiącego się pułkownika:

— Pozwalam sobie zwrócić uwagę pana pułkownika, że człowiek ten...

Pułkownik miauknął i rzucił w porucznika kałamarzem, po czym dopiero wystraszony porucznik Dub zasalutował i znikł za drzwiami, mówiąc:

— Według rozkazu, panie pułkowniku.

Długo potem odzywał się w kancelarii ryk pułkownika, przeplatany wyciem, aż wreszcie nastąpiła cisza. Palec pułkownika przemienił się najnieoczekiwanej znowuż w łagodnego baranka, atak podagry minął, pułkownik zadzwonił i rozkazał przyprowadzić Szwejka.

— Więc o co ci właściwie chodzi? — zapytał tak uprzejmie, jakby wszystkie udręki świata spadły z niego raz na zawsze i było mu teraz błogo i słodko niby człowiekowi leżącemu w ciepłym piasku, na brzegu morskim.

Szwejk uśmiechając się przyjaźnie do pułkownika, opowiedział mu całą swoją odyseję, jako jest ordynansem 11 marszkompanii 91 pułku, a nie wie, co tam sobie bez niego poczną. Pułkownik także się uśmiechał i wreszcie wydał takie rozkazy:

— Wypisać dla Szwejka wojskowy bilet do stacji Żółtańce przez Lwów, bo tam ma jutro dotrzeć jego marszkompania, i wydać mu z magazynu nowy uniform oraz wypłacić 6 koron 82 halerze w zamian za pożywienie.

Gdy następnie Szwejk w nowym mundurze opuszczał sztab brygady, aby się udać na stację, w kancelarii sterczał porucznik i zdziwił się niesłychanie, gdy Szwejk zameldował mu się ściśle według przepisów wojskowych, przedstawił mu dokumenty i zapytał, czy nie ma jakich zleceń dla nadporucznika Łukasza.

Porucznik Dub nie zdobył się na nic innego, tylko na

słówko: „Abtretien!“ Ale gdy spoglądał za oddalającym się Szwejkem, mruczał pod nosem:

— Jeszcze ty mnie poznasz! Jezus Maria, ty mnie poznasz...!

Na stacji Żółtańce zgromadzony był cały batalion kapitana Sagnera, z wyjątkiem straży tylnej, to jest 14 kompanii, która gdzieś się zapodziała, gdy opuszczano Lwów.

Przy wkroczeniu do miasteczka Szwejk znalazł się w całym nowym środowisku, tutaj bowiem wśród powszechnego ruchu można już było zauważyć, że się jest nie tak daleko od pozycyj, na których się ludzie zarzynają. Wszędzie było pełno artylerii i taborów, ze wszystkich domów wyrajali się żołnierze najróżniejszych pułków, a między nimi, niby elita, snuli się Niemcy z Rzeszy i arystokratycznie rozdawali Austriakom papierosy, których sami mieli pod dostatkiem. Przy niemieckich kuchniach polowych stały nawet beczki z piwem, a żołnierze otrzymywali po miarce piwa na obiad i na kolację. Koło tych beczek włożyli się niby łakome koty zaniedbani austriaccy żołnierze o brzuchach napęczniałych od wywaru słodzonej cykorii.

Pejsaci Żydzi w długich kaftanach pokazywali sobie wzajemnie chmury dymu na wschodzie i wymachiwali rękoma. Ludzie pokrzykiwali, że to nad Bugiem pali się Uciszków, Busk i Derewiany.

Wyraźnie słyhać było grzmienie dział. Gdzie indziej krzyczano znowuż, że Rosjanie z Grabowej bombardują Kamionkę Strumiłową i że walka wre wzdłuż całego Bugu, a żołnierze zatrzymują uchodźców, którzy już chcieli wracać za Bug do swoich domów.

Wszędzie panował zamęt i nikt nie wiedział nic pewnego, czy Rosjanie nie przeszli znowuż do ofensywy i nie powstrzymali swego odwrotu na całym froncie.

Do dowództwa miasteczka żandarmeria polowa co chwila przyprowadzała jakąś wystraszoną duszę żydowską, oskarżo-

na o rozpowszechnianie niepokojących i kłamliwych wieści. W dowództwie bito nieszczęśliwych Żydów do krwi i z posiekanymi zadami puszczano ich następnie do domu.

W ten chaos przybłąkał się więc Szwejk i szukał po miasteczku swojej marszkompanii. Już na stacji byłby bez mała popadł w konflikt z dowództwem etapu. Gdy zbliżył się do stołu, przy którym udzielano informacyj żołnierzom, szukającym swoich oddziałów, jakiś kapral wrzasnął na niego, pytając, czy nie życzy sobie może, aby mu jego marszkompanię wyszukał? Szwejk odpowiedział, że chce się tylko dowiedzieć, gdzie tu w miasteczku jest rozłożona 11 marszkompania 91 pułku takiego a takiego marszbatalionu.

— Jest to dla mnie sprawą bardzo ważną — z naciskiem wywodził Szwejk — abym się dowiedział, gdzie jest 11 marszkompania, ponieważ jestem jej ordynansem.

Na nieszczęście przy stole sąsiednim siedział jakiś sierżant sztabowy, który podskoczył jak tygrys i wrzasnął na Szwejka:

— Ach ty przeklęta świnio! Powiada, że jest ordynansem, a nie wie, gdzie jest jego kompania...!

Zanim Szwejk zdołał odpowiedzieć, sierżant znikł w kancelarii i po chwili przyprowadził stamtąd tłustego nadporucznika, który wyglądał tak dostojnie, jakby był właścicielem firmy rzeźniczej.

Dowództwa etapów były pułapkami na szwendających się i zdziczałych żołnierzy, którzy miewali ochotę przez całą wojnę szukać swoich oddziałów i włóczyli się od etapu do etapu, a najchętniej wystawali w ogonkach przy tych stołach dowództwa etapów, nad którymi był napis: *M e n a g e g e l d*.

Gdy tłusty nadporucznik wszedł do izby, sierżant krzyknął: — *H a b t a c h t!* — a nadporucznik zwrócił się do Szwejka z zapytaniem:

— Gdzie masz dokumenty?

Szwejk podał mu swoje papiery, nadporucznik przekonawszy się o ich autentyczności i o dotrzymaniu marszruty od sztabu brygady w Przemyślu do Żółtańca, gdzie była jego kompania, zwrócił mu je i uprzejmie rzekł do kaprała siedzącego przy stole:

— Udzielić mu informacyj — i powrócił do swojej kancelarii.

Gdy drzwi zawarły się za nim, sierżant sztabowy ujął Szwejka za ramię i odprowadzając go ku drzwiom, udzielił mu takiej informacji:

— Wynoś się, śmierdząca pokrako, pókim dobry.

Szwejk znalazł się więc znowuż w chaosie miasteczka i wypatrywał teraz jakiej znajomej twarzy ze swego batalionu. Długo błąkał się po ulicach, aż wreszcie postawił wszystko na jedną kartę.

Zatrzymał jakiegoś pułkownika i łamaną niemczyzną pytał go grzecznie, czy nie wie czasem, gdzie się znajduje batalion razem z jego marszkompanią.

— Ze mną możesz rozmawiać po czesku — rzekł pułkownik — jestem Czech. Twój batalion jest rozlokowany w pobliskiej wsi Klimontowie za koleją, ale do miasteczka waszych żołnierzy nie puszczają, ponieważ pobili się na rynku z Bawarczykami, jak tylko tu przyszli.

Szwejk ruszył tedy w stronę Klimontowa.

Pułkownik zawołał na niego, sięgnął do kieszeni i dał Szwejkowi pięć koron, żeby sobie kupił papierosów, pożegnał się z nim bardzo uprzejmie i oddalając się, myślał w duchu:

— Co za sympatyczny żołnierzyk.

Szwejk kroczył dalej drogą ku wsi i rozmyślając o pułkowniku, przypomniał sobie, że w Trydencie przed dwunastu laty był niejaki pułkownik Habermaier, który także zachowywał się wobec żołnierzy tak uprzejmie, a potem pokazało się, że był to homoseksualista, bo w łazienkach nad Adygą

chciał zgwałcić jakiegoś aspiranta na kadeta, grożąc mu regulaminem służbowym.

Z takimi ponurymi myślami doszedł Szwejk powoli do pobliskiej wsi i bez wielkiego trudu znalazł swój batalion, bo chociaż wieś była bardzo duża, to jednak znajdowała się w niej tylko jedna przyzwoitsza budowla, a mianowicie szkoła.

Szkoła ta w czasie wojny przeżyła kilka przemian, Przebywało w niej kilka rosyjskich i austriackich sztabów, a przez pewien czas w sali gimnastycznej mieściła się sala operacyjna, gdy w okolicy toczyły się wielkie bitwy, które decydowały o losach Lwowa. Tutaj urzynano ręce i nogi i trepanowano czaszki.

Za szkołą w ogrodzie był wielki lejowaty dół, skutek wybuchu wielkiego granatu. W kącie ogrodu stała stara grusza, ze zwisającym postronkiem, na którym przed kilku dniami wisiał pop unicki, oskarżony o to, że podczas okupacji rosyjskiej był członkiem grupy starorusinów i że w kościele odprawiał nabożeństwo na intencję zwycięstwa rosyjskiego wojska i prawosławnego cara. Oskarżenie było oczywiście kłamliwe, ponieważ oskarżonego w czasie krytycznym wcale tu nie było, gdyż jako chory na kamienie żółciowe leczył się wtedy w małej miejscowości leczniczej, z dala od działań wojennych, w Bochni Zamurowanej.

Na powieszenie unickiego popa złożyło się kilka okoliczności: narodowość, fanatyzm religijny i kury. Nieszczęśliwy pop zabił mianowicie jedną z kur nauczyciela w swoim ogrodzie, nie mogąc się zgodzić na to, aby obce kury rozgrzebywały jego zagonki i grządki.

Po nieboszczyku popie plebania została pusta, bo każdy zabrał sobie z niej na pamiątkę, co mu się akurat podobało.

Jakiś poczciwy chłopiec wziął sobie nawet stary fortepian, którego wierzch przydał mu się doskonale do naprawienia świńskiego chlewika. Część sprzętów porąbali żołnierze na

ogień, jak to już było zwyczajem, bo na szczęście na plebanii znajdował się nieuszkodzony wielki piec i doskonała kuchnia, jako że pop lubił dobrze podjeść sobie, podobnie jak wszystkie inne popy, i miał wielki zapas rondli, garnków i brytfann.

Było to już niemal tradycją, że wszystkie oddziały wojsk, przechodzące tamtędy, na tej opustoszałej plebanii zakładały kuchnię dla oficerów. Zaś na piętrze, w dużym pokoju mieściło się coś w rodzaju oficerskiego kasyna. Stoły zabierano gdzie popadło, po domach mieszkańców wsi.

Dzisiaj właśnie oficerowie batalionu urządzili sobie uroczystą kolację. Złożyli się, kupili wieprza, i kucharz Jurajda szykował wyżerkę jak się patrzy. Otaczała go cała sfera paszytów z szeregów burszów oficerskich, wśród których wyróżniał się sierżant rachuby, który udzielał rad Jurajdzie, jak powinien dzielić głowiznę, żeby dla niego zostało kawałek ryjka.

Najbardziej wytrzeszczał oczy na te dobre rzeczy nienazarty Baloun.

Tak chyba przyglądają się ludożercy misjonarzom, pięknym się na roźnie i wydającym miły zapach, gdy na płomień kapnie tłuszcz ich ciała. Baloun doznawał niezawodnie uczuć psa ciągnącego mleczarski wózek, gdy przed nim idzie chłopiec wędliniarza i na nieckach niesie stos świeżych serdelków z wędzarni, a ich różaniec zwisa z niecek aż na ramię, tak że tylko podskoczyć i chwycić zębami... Ale cóż? Wstrętny rzemień trzyma biednego psa na uwięzi, a pysk zamyka kaganiec.

A tymczasem nadzienie do podgardlanek, pierwsza faza wybornego żarcia, olbrzymia mgławica podgardlankowa leżała na stole i pachniała pieprzem, tłuszczem i siekaną wątróbką.

Tymczasem Jurajda z podwiniętymi rękawami miał w sobie tyle powagi, że byłby mógł służyć jako model do obrazu, jak Bóg z chaosu tworzył świat.

Baloun nie wytrzymał i załkał. Jego łkanie przechodziło stopniowo w regularny płacz z szlochaniem.

— Czemu mi tu ryczysz jak ten byk? — zapytał kucharz Jurajda.

— A bom sobie przypomniał mój dom rodzinny — odpowiedział łkający Baloun. — Zawsze pomagałem robić wszystkie te rzeczy, ale nawet najlepszemu sąsiadowi nie posłałem kawałka takiej podgardlanki czy kiszki, bo wszystko chciałem zawsze zeżreć sam i sam też wszystko zeżerałem. Pewnego razu tak się obzarłem podgarlankami, iż wszyscy myśleli, że pęknę, i pędzili mnie dokoła podwórka, smagając obficie biczem jak krowę, która najadła się koniczyny i cierpi na wzdęcie.

— Panie Jurajda, niech mi pan pozwoli wziąć garstkę tego nadzienia, a potem niech mnie skazą na słupek, bo inaczej udreki tej nie przeżyję.

Baloun wstał ze stołka i zataczając się jak pijany, zbliżył się do stołu i wyciągnął rękę ku nadzieniu.

Doszło do zaciętej walki. Z trudem udało się obecnym oderwać go od stołu, aby się nie rzucił na niedoszłe podgardlanki albo żeby z rozpaczyny nie porwał garści flaków moczących się w garnku.

Kucharz Jurajda był taki wzburzony, że za uciekającym Balounem rzucił cały pęk patyków do kiszki i krzyczał:

— Masz, draniu, nażryj się patyków!

O tym czasie na piętrze zebrali się już oficerowie batalionu i podczas gdy w uroczystym skupieniu czekali na to, co się rozdziło w kuchni na dole, pili w braku innego napoju prostą żytniówkę, odwarem cebuli zabarwionej na żółto, bo kupiec żydowski, który jej dostarczył, twierdził, że to jest najlepszy i najoryginalniejszy koniak francuski, odziedziczony przez niego po ojcu, który z kolei odziedziczył go po dziadku.

— Ach ty złodzieju — rzekł mu przy tej sposobności ka-

pitan Sagner — jeśli jeszcze powiesz, że twój pradziadek kupił go prosto od Francuzów, gdy uciekali spod Moskwy, to cię każę wsadzić do paki na tak długo, aż twoje najmłodsze dziecko stanie się najstarszym w twoim rodzie. Po każdym łyku przeklinał przedsiębiorczego Żyda.

Tymczasem Szwejk siedział w kancelarii batalionu, gdzie nie było nikogo prócz jednorocznika Marka, który jako historyk batalionu skorzystał z odpoczynku batalionu pod Żółtańcem, żeby na zapas opisać kilka zwycięskich bitw, jakie rozegrają się z pewnością w niedalekiej przyszłości. Tymczasem robił tylko bardzo ogólnikowe szkice, a w chwili, gdy Szwejk wszedł do kancelarii, napisał był właśnie, co następuje:

„Gdy przed oczyma naszego ducha jawią się wszyscy ci bohaterowie, którzy brali udział w walkach koło wioski N., gdzie przy boku naszego batalionu walczył jeden z batalionów pułku N. i drugi batalion pułku N., to widzimy, że nasz batalion nr X okazał najświetniejsze zdolności strategiczne i niewątpliwie przyczynił się do zwycięstwa dywizji X, mającej na celu utrwalenie naszych pozycji na odcinku N.“.

— Widzisz, bracie — rzekł Szwejk do jednorocznika — zgubiłem się, ale się odnalazł.

— Pozwól, że cię obwącham — rzekł jednorocznik przyjemnie wzruszony. — Hm, naprawdę śmierdzisz kryminałem.

— Jak zazwyczaj — odpowiedział Szwejk — chodziło tylko o drobne nieporozumienie. A ty co porabiasz?

— Sam widzisz — mówił Marek — że rzucam na papier czyny bohaterskich zbawców Austrii, ale nic mi się kupy nie trzyma i wszystko z przeproszeniem do dupy. Mamy do czynienia z samymi iksami i niewiadomymi, które dopiero przyszłość wyjaśni. Prócz dawnych moich zdolności odkrył we mnie kapitan Sagner niezwykły talent matematyczny. Muszę kontrolować rachunki batalionu i doszedłem do wniosku, że

nasz batalion jest zgoła bierny i że czeka tylko na jakąś okazję, żeby zrobić jakie takie wyrównanie ze swoimi rosyjskimi wierzycielami, ponieważ po porażce i po zwycięstwie kradnie się najwięcej. Zresztą wszystko to jedno. Nawet gdybyśmy zostali pobici na głowę, to i tak mielibyśmy dość dokumentów o naszym zwycięstwie, ponieważ jako historyk batalionu mam tyle zaufania, iż wolno mi pisać: — I znowuż zwróciliśmy się czołem ku nieprzyjacielowi, który już był mniemał, że zwycięstwo jest po jego stronie. Wypad naszych żołnierzy i atak na bagnety był dziełem okamgnienia. Nieprzyjaciel zrozpaczony poniesioną klęską ucieka, rzuca się we własne okopy, a my kłujemy go bez litości, tak że w nieporządku opuszcza swoje rowy strzeleckie, pozostawiając w naszych rękach rannych i jeńców. Jest to jeden z najslawniejszych momentów. Kto takie chwile przeżyje, ten natychmiast pisze do domu kartę i wysyła ją pocztą polową: — Dostali po dupie, kochana żono! Jestem zdrow. Odstawiłaś już naszego smyka? Tylko go nie przyuczaj, żeby cudzych ludzi nazywał tata, ponieważ byłoby to dla mnie bardzo niemiłe. — Cenzura przekreśli następnie zdanie: Dostali po dupie — ponieważ właściwie nie wiadomo, kto dostał, a można by się domyślić rzeczy najróżniejszych, jako że wyrażenie było niejasne.

— Główna rzecz w tym, żeby zawsze mówić jasno i wyraźnie — wtrącił Szwejk. — Gdy w roku 1912 w kościele świętego Ignacego w Pradze byli misjonarze, to jeden z nich wywodził, że chyba z nikim nie spotka się w niebie. A na tych wieczorowych ćwiczeniach duchownych był pewien blacharz Kuliszek, który po nabożeństwie mówił w gospodzie, że ten misjonarz musiał nagrzeszyć co niemiara, skoro w kościele deklarował, że z nikim się w niebie nie spotka. Czemu to takich ludzi wysyłają na kazalnice? Należy zawsze mówić jasno i wyraźnie, a nie kręcić tak i owak. U Brejszków był przed laty pewien kiper, który miał ten zwyczaj, że gdy po pracy całodziennej wracał do domu, to wstępował do jednej

nocnej kawiarni i przepijał do nieznanym sobie gości: — Wy na nas, a my na was... — Za to dostał od jakiegoś przyzwoitego pana z Iglawy tak siarczyście po gębie, że właściciel kawiarni po zamieceniu lokalu zawołał swoją córkę, która była uczennicą piątej klasy, i zapytał ją, ile właściwie zębów ma człowiek dorosły. Ponieważ tego nie wiedziała, więc ojciec wybił i jej w gniewie dwa zęby, a na trzeci dzień otrzymał od tego kiperu list, w którym to liście zacny kiper tłumaczył mu się i przeproszał go za wszystkie przykrości wynikłe z jego przyczyny. Zapewniał, że nie chciał rzeć nic nieprzyzwoitego, ponieważ powiedzenie to brzmi naprawdę tak: Wy na nas, a my na was nie gniewamy się. Kto się wyraża dwuznacznie, z góry winien zastanowić się nad możliwymi następstwami. Prosty człowiek, który mówi tak jak mu dziób urósł, mało kiedy dostanie po gębie. A jeśli pomimo to zdarzy mu się taka rzecz niemiła, to w ogóle nauczy się trzymać język za zębami, gdy jest w towarzystwie. Oczywiście, i to prawda, że o takim człowieku każdy myśli, że jest fałszywy i Bóg wie jaki jeszcze, i że takiemu też dostanie się nieraz po pysku, ale powaga jego i roztropność też ma swoją wartość, bo powiadają, że to człowiek mądry, który ustępuje, bo gdyby się stawiał, to dostałby dwa razy tyle. Taki człowiek musi być skromny i cierpliwy. W Nuslich jest niejaki pan Hauber, otóż tego pana pewnej niedzieli w Kundraticach na szosie pchnęli nożem przez pomyłkę, gdy powracał z wycieczki w malownicze okolice. Z tym nożem w plecach wrócił ten pan do domu, a gdy żona pomagała mu zdjąć surdut, to przy sposobności wyjęła i ten nóż i nazajutrz krajała nim mięso na gulasz, ponieważ nóż ten był ze stali solingenńskiej i dobrze był wyostrzony, a oni mieli w domu wszystkie noże tępe i szczerbate. Ta niewiasta chciała potem mieć cały komplet takich noży i zawsze w niedzielę wysyłała męża do Kundratic na wycieczkę, ale pan Hauber był człowiekiem tak skromnym, że nie chodził nigdzie na dalsze wycieczki, lecz wybierał się

najdalej do Banzetów w Nuslich, bo wiedział, że gdy siedzi w kuchni, to Banzet wyrzuci go wcześniej, niż ktokolwiek zdążyłby podnieść na niego rękę.

— Tyś się wcale nie zmienił — rzekł do Szwejka jedno-
roczniak.

— Nie zmieniłem się — odpowiedział Szwejk — bo nie miałem na to czasu. Chcieli mnie nawet rozstrzelać, ale najgorsze to, że od dwudziestego jeszcze nie dostałem żołdu.

— U nas teraz żołdu w ogóle nie dostaniesz, ponieważ idziemy na Sokal, a żołd będzie wypłacany dopiero po bitwie, bo musimy oszczędzać. Jeśli przypuścimy, że do awantury dojdzie za dwa tygodnie, to na każdym poległym żołnierzu oszczędzimy razem z dodatkami 24 korony i 72 halerze.

— A co prócz tego słyhać u was?

— Po pierwsze, zgubiliśmy straż tylną, a następnie korpus oficerski ma na plebanii wyżerkę, bo tam zarżnięto wieprza składkowego, zaś szeregowcy poróżnili się na wszystkie strony i nurzają się w nieprawościach z miejscową ludnością płci żeńskiej. Przed południem dostał słupka jeden żołnierz z waszej kompanii za to, że laził na strych za jakąś siedemdziesięcioletnią babą. Ale człowiek ten jest niewinny, ponieważ w rozkazie dziennym nie było o tym mowy do jakich lat to jest dozwolone.

— I ja tak myślę, że jest niewinny — rzekł Szwejk — ponieważ gdy taka wiekowa baba lezie po drabinie na strych, to jej twarzy człek nie widzi. Taki sam przypadek zdarzył się na manewrach pod Taborem. Jeden z naszych plutonów kwaterował w gospodzie, a jakaś kobieta szorowała podłogę w sionce. Otóż przypatoczył się do niej niejaki żołnierz Chramosta i poklepał ją, jakby ci to powiedzieć? No, poklepał ją po kieckach. Do tego szorowania musiała się bardzo podkasać. Klepnął ją raz, ona nic, klepnął drugi raz, znowuż nic, jakby to wcale nie jej dotyczyło. Więc on wziął i zaryzykował, a ona nic, tylko dalej szorowała podłogę na kolanach,

a potem zwraca się do niego pełną twarzą i powiada: — A tom cię nabrała, żołnierzyku! — Babinie tej było przeszło siedemdziesiąt lat i później rozpowiadała o tym po całej wsi. A teraz pozwoliłbym sobie zapytać, czy podczas mej nieobecności nie dostałeś się, bracie, i ty do paki?

— Nie było okazji po temu — tłumaczył się Marek — ale za to, o ile o ciebie chodzi, batalion porzyszył za tobą listy gończe.

— To nic nie szkodzi — wtrącił Szwejk — postępek jest całkiem słuszny. Batalion winien był właśnie tak postąpić i rozesać za mną listy gończe, bo przecież przez tak długi czas nie wiadomo było, gdzie przebywam. Nie można powiedzieć, aby batalion postąpił nierozważnie. — Mówisz, że wszyscy oficerowie są na plebanii na świńskiej wyżerce? Trzeba tam będzie pójść i przedstawić się im, że już jestem, bo i tak się pan oberlejtant Lukasz z pewnością dość namartwił o mnie.

Krokiem żołnierskim ruszył Szwejk ku plebanii, a po drodze śpiewał:

Popatrz na mnie, panno moja,
Popatrz jeszcze raz.
Oj, zrobili ze mnie pana,
Oj zrobili, panno moja!
Czy mnie znasz?

Nie zatrzymując się, Szwejk wszedł po schodach na górę i zamierzył ku drzwiom, zza których odzywały się głosy oficerów.

Rozmawiano tam o wszystkim możliwym i właśnie plotkowano o brygadzie i o nieporządkach, jakie w niej panują, a adiutant brygady dołożył od siebie także coś niecoś, mówiąc między innymi:

— Telegrafowaliśmy niby z powodu tego Szwejka...

— Hier! — zawołał Szwejk, otwierając drzwi i wchodząc do pokoju, po czym powtórzył meldunek: Hier!

Melde gehorsam, Infanterist Szwejk, Kompanieordonanz 11 Marschkompanie!

Widząc zdziwione twarze kapitana Sagnera i nadporucznika Lukasa, których opanowywała jakaś cicha rozpacz, nie czekał Szwejk na pytanie i zawołał:

— Posłusznie melduję, że chcieli mnie rozstrzelać za to, że miałem zdradzić najjaśniejszego pana!

— Jezus Maria, Szwejku! Co też wy wygadujecie?! — krzyknął nadporucznik Lukasz, blednąc.

— Posłusznie melduję, że to było tak, panie oberlejtnant...

I Szwejk zaczął szczegółowo opowiadać, jak to się stało.

Wszyscy spoglądali na niego oczyma wytrzeszczonymi, on zaś nie zapominał o najdrobniejszych szczegółach i przytoczył nawet takie spostrzeżenie: na grobli tego stawu, nad którym przytrafiła mu się owa przygoda, kwitły niezapominajki. Potem wymieniał nazwiska tatarskie tych ludzi, z którymi spotkał się podczas swej wędrówki, jak na przykład Halimulabalibej, a do tego nazwiska dodał cały szereg nazwisk zmyślonych: Waliwulawaliwej, Malimulamalimej itd. Nadporucznik Lukasz nie wytrzymał i zawołał na Szwejka:

— Ach ty bydlę głupie! Gadaj krótko i zwięźle, bo cię kopnę!

Ale Szwejk mówił dalej z wielką szczegółowością, a gdy doszedł w swym opowiadaniu do sądu polowego i mówił o sędziach, dodał, że generał zezował na lewe oko, a major miał oczy niebieskie.

Dowódca dwunastej kompanii, Zimmermann, rzucił w Szwejka garnuszkciem, z którego pił mocną wódkę, kupowaną u Żyda.

Szwejk opowiadał dalej całkiem spokojnie o tym, jak następnie doszło do pociechy religijnej i jak pan major spadł w jego objęciach. Potem świetnie obronił brygadę, do której został wyprawiony, gdy batalion upominał się o niego jako zaginionego. Wreszcie złożył kapitanowi Sagnerowi dokumen-

ty, z których okazało się, że przez tę wysoką instancję został uwolniony od jakiegokolwiek odpowiedzialności i oczyszczony z podejrzeń.

— Pozwalam sobie posłusznie zameldować — zakończył swoje sprawozdanie — że pan lejtnant Dub znajduje się w brygadzie ze wstrząśniętym mózgiem i wszystkich panów kazał pięknie pozdrowić. Proszę o żołd i pieniądze na tytoń.

Kapitan Sagner i nadporucznik Lukasz wymienili z sobą pytające spojrzenia, ale w tej chwili otworzyły się drzwi i żołnierze wnieśli w dużym kociołku dymiącą polewkę podgardlankową.

Był to początek wszystkich tych rozkoszy, jakie czekały tego wieczoru zebranych na plebanii oficerów.

— Ach ty przekłety włóczęgo! — zawołał kapitan Sagner, będący w ogromnie dobrym usposobieniu przed nastającymi uciechami. — Żebyś sobie zapamiętał, że cię uratowała tylko ta świńska wyżerka!

— Szwejku — dodał do tego nadporucznik Lukasz — jeśli stanie ci się jeszcze coś podobnego, to będzie z tobą źle.

— Posłusznie melduję, że ze mną musi być źle — zsalutował Szwejk — bo gdy człowiek jest na wojnie, to powinien wiedzieć i rozumieć...

— Zniknij! — ryknął na niego kapitan Sagner.

Szwejk znikł i zeszedł na dół do kuchni. Wrócił tam także zgnębiony Baloun i prosił, aby mu pozwolono obsługiwać przy uczcie nadporucznika Lukasz.

Szwejk wszedł akurat w chwili, gdy rozpoczynała się polemika między kucharzem Jurajdą a Balounem.

W sporze Jurajda używał wyrazów dość niezrozumiałych.

— Jesteś mogoł nienażarty — rzekł do Balouna — żarłbyś aż do potów, a gdyby ci dać podgardlanek dla nadporucznika, to byś się z nimi migdalił na schodach.

Kuchnia miała teraz całkiem inny wygląd. Sierżanci rachuby batalionów i kompanij obżerali się według stopni

swoich i zgodnie z planem opracowanym przez kucharza Jurajdę. Pisarze z batalionów, telefoniści z kompanij i kilka szarż chciwie pożerało rozrzedzoną polewkę podgardlankową z zardzewiałej miednicy.

— Na z d a r! — zawołał sierżant rachuby Waniek do wchodzącego Szwejka, ogryzając jednocześnie kopytko. — Był tu przed chwilą nasz jednoroczniak Marek i doniósł nam, że już wróciliście i macie na sobie nowy mundur. Wpakowaliście mnie teraz w ładną bryndzę. Trzeba będzie rozliczyć się za ten mundur z brygadą, a tymczasem wasz mundur znalazł się na grobli stawu, o czym już raportowaliśmy brygadzie przez kancelarię batalionu. W mojej ewidencji jesteście zapisani jako utopiony podczas kąpieli, więc w ogóle nie powinniście byli wracać i robić nam trudności z podwójnym mundurem. Wy nawet pojęcia nie macie, jakich trudności narobiliście batalionowi. Każda część waszego munduru jest u nas zapisana i znajduje się w moich spisach mundurów jako przyrost. Kompania ma o jeden pełny mundur więcej. O tym złożyłem raport batalionowi. Teraz otrzymamy z brygady zawiadomienie, że dostaliście tam nowy mundur. Ponieważ batalion tymczasem melduje w wykazach przyrost jednego kompletu mundurowego... Już ja to znam i wiem, że z tego może być rewizja. Gdy chodzi o takie drobiazgi, to przybývają do nas panowie z intendentury, lecz gdy zginie 2,000 par butów, to nikt się o takie rzeczy nie troszczy.

Ale u nas zaginął ten wasz mundur — dodał z gestem tragicznym Waniek, wysysając szpik z kości i wygrzebując go zapałką, którą przedtem dłubał w zębach — i dla takiego drobiazgu na pewno zjedzie do nas komisja inspekcyjna. Kiedy staliśmy w Karpatach, przyjechała do nas inspekcja dlatego, że jakoby nie dopilnowaliśmy rozporządzenia, aby ze zmarłych żołnierzy ściągano buty bez uszkodzenia ich. Ściągano je tedy, jak się dało, ale w dwóch wypadkach popękały, a w jednym były już podarte za życia żołnierza. I stała się

bieda. Przyjechał do nas pewien pułkownik z intendentury i gdyby nie to, że natychmiast po przyjeździe dostał rosyjską kulą w łeb i stoczył się w wąwóz, to nie wiem, co by z tego było.

— Czy ściągnęliście z niego buty? — zapytał Szwejk z wielkim zainteresowaniem.

— Ściągnęliśmy — odpowiedział Waniek w zadumie — to jest ktoś je ściągnął, a my nie zdołaliśmy się dowiedzieć, kto je ściągnął, więc nie mogliśmy ich wpisać do wykazu.

Kucharz Jurajda powrócił z piętra i pierwsze jego spojrzenie padło na zmiążdżonego Balouna, który siedział zasmucony i zgębiony na ławie koło pieca i z wyrazem straszliwej rozpaczyny spoglądał na swoje wychudzone brzuch.

— Powinieneś przyłączyć się do sekty hezychastów — ze współczuciem rzekł uczony kucharz Jurajda — oni także całymi dniami spoglądają na swój pępek, dopóki im się nie zacznie wydawać, że z pępka bije łuna świętości. Wtedy są pewni, że osiągnęli stopień pożądaną doskonałości.

Jurajda podszedł do kotła i wyjął z niego małą podgardlanę.

— Żryj, Balounie — rzekł uprzejmie — nażryj się, aż pęknieś, zadław się, zmoro niesyła!

Baloun miał łzy w oczach.

— U nas w domu, gdy biliśmy wieprze — rzekł na wpół z płaczem, pochłaniając podgardlanę — to najprzód zjadłem porządny kawał nogi albo głowizny, cały ryj, serce, ucho, kawał wątroby, cynadry, śledzionę, kawałek boczkę, ozór, a następnie...

I dalej mówił głosem cichym, jakim opowiada się bajki:

— A następnie przyszła kolej na podgardlanek, sześć, dziesięć sztuczek, na pękate kiszki różnie nadziewane, że człek nie wiedział, czego jąc się naprzód. Wszystko rozplywa się na języku, wszystko pachnie, a człek sobie żre i żre...

Więc myślę sobie — narzekał Baloun — że jeśli kula mnie ominie, to głód mnie dobije i że już nigdy w życiu nie stanę twarzą w twarz wobec brytfanny takiego podgardlankowego nadzienia, jakie robili u nas w domu. — Zimnych nóżek nie lubiłem, prawdę powiedziawszy, bo to się tylko trzęsie na języku i nie pożywi człeka. A znowuż moja żona byłaby za zimnymi nóżkami poleciała na koniec świata. Ale ja nie dałem jej do zimnych nóżek nawet kawałka ucha, bo wszystko chciałem sam pożreć i wybierałem to, co mi najlepiej smakowało. Nie szanowałem tego dobrobytu i tego szczęścia, a teściowi, dożywociarzowi, odmówiłem wieprzka, który mu się należał, sam go zabiłem i sam zeżarłem i jeszcze do tego wszystkiego byłem zbyt chciwy, żeby temu staremu poczciwcowi posłać choć kawałek czegoś dobrego. I on mi właśnie potem prorokował, że kiedyś zdechnę z głodu.

— No i już zdychasz, bratku — rzekł Szwejk, który uważnie przysłuchiwał się opowiadaniu Balouna.

Kucharza Jurajdę opuścił już nagły napad współczucia dla Balouna, ponieważ ten przysunął się zręcznie ku piecowi, dobył kawał chleba i chciał go zanurzyć w sosie, który na wielkiej brytfannie opływał dokoła olbrzymią połąć pieczeni wieprzowej.

Jurajda uderzył Balouna w rękę, tak że jego chleb wpadł do sosu tak zamaszycie jak pływak skaczący z mostu w rzekę.

Nie pozostawiając mu czasu, aby mógł wyjąć przysmak z brytfanny, Jurajda schwycił go za kark i wyrzucił za drzwi.

Zgnębiony Baloun widział jeszcze przez okno, jak Jurajda widelcem wylawia ten kawał chleba, który nasiąkszy sosem był cały rumiany, i jak podaje go Szwejkowi razem z kawałkiem pieczeni, skrojonej z wierzchu, mówiąc:

— Jedz, mój skromny przyjacielu!

— Panienko Przenajświętsza — biadał za oknem Baloun — mój chleb w prewecie!

Wymachując długimi rękoma, poszedł na wieś, żeby znaleźć coś do zjedzenia.

Szwejk, dojadając szlachetny dar Jurajdy, przemówił zując pełną gębą:

— Doprawdy cieszę się, że znowuż jestem śród was. Bardzo byłoby mi przykro, gdybym nie mógł dalej służyć naszej kompanii swoim bogatym doświadczeniem wojskowym.

Ocierając z brody sos i tłuszcz, dodał jeszcze:

— Nawet nie wiem, co byście sobie beze mnie poczęli, gdyby mnie tam gdzieś byli zatrzymali, a wojna przedłużyłaby się jeszcze o lat kilka.

Sierżant rachuby Waniek zapytał z dużym zainteresowaniem:

— Co sądzicie, Szwejku, jak też długo trwać będzie ta wojna?

— Piętnaście lat — odpowiedział Szwejk. — To całkiem jasne, ponieważ już raz była wojna trzydziestoletnia, a teraz jesteśmy o połowę mądrzejsi niż dawniej, więc $30 : 2 = 15$.

— Pucybut naszego kapitana — odezwał się Jurajda — opowiadał, że słyszał, iż jak tylko obsadzimy granice Galicji, to już dalej nie pójdziemy. Rosjanie zaczną wtedy układać się o pokój.

— Tak to by się nawet nie opłaciło rozpoczynać wojny — rzekł z naciskiem Szwejk. — Jak wojna, to wojna! Ja stanowczo nie zacznę prędzej mówić o pokoju, dopóki nie będziemy w Moskwie i w Piotrogradzie. Przecież to nie warte gadania szwendać się koło granicy, skoro jest wojna światowa. Weźmy na przykład Szwedów podczas wojny trzydziestoletniej. Z jak daleka szli, a jednak dostali się aż do Niemieckiego Brodu, gdzie narobili takiego bigosu, że jeszcze dzisiaj po szynkach ludzie wygadują tam od północy po szwedzku i jeden drugiego nie rozumie. Albo Prusacy. To też nie byli przecie sąsiedzi z najbliższej wioski, a na Lipnicy pamiętają ich

starsi ludzie bardzo dobrze. Dostali się aż do Jedouchowa i do Ameryki i z powrotem.

— Ostatecznie — rzekł Jurajda, któremu od wyrobu podgardlanek poplątało się cokolwiek w głowie, tak iż stracił równowagę ducha — wszyscy ludzie powstali z karpi. Weźcie, kochani przyjaciele, teorię rozwoju Darwina...

Dalszy jego wywód został przerwany wtargnięciem jednorocznego ochotnika Marka.

— Uciekajcie! Ratujcie się! — zawołał Marek. — Porucznik Dub przyjechał przed chwilą automobilem i przywiózł z sobą tego zafajdanego kadetą Bieglera.

— Nic mu nie lepiej — informował Marek dalej swoich słuchaczy. — Gdy wysiadł z auta, wtargnął do kancelarii, a ja wychodząc stąd, postanowiłem przespać się trochę. Wyciągnąłem się w kancelarii na ławie i już mile zasypiałem, gdy wtem przyskoczył do mnie kadet Biegler i ryknął: *H a b a c h t!* — Porucznik postawił mnie na nogi i też zaczął: — A co, czy nie zgrabnie zaskoczyłem pana jednoroczniaka w kancelarii przy niespełnianiu obowiązków? Sypiać wolno po capstrzyku. — Ku czemu dodał od siebie Biegler: — Ustęp 16, §9 przepisów koszarowych. — Wtedy porucznik Dub huknął pięścią w stół i krzyknął: — Batalion chciał się mnie może pozbyć, ale nie myślcie sobie, że to był wstrząs mózgu? Mój łeb wytrzyma nie takie rzeczy! — Kadet Biegler przerzucał papiery na stole i dla wiadomości swojej odczytał między innymi na głos: — Rozkaz do dywizji nr 280! — Porucznik Dub myślał, że kadet pokpiwa sobie z niego z powodu jego ostatniego zdania, i zaczął mu robić wyrzuty z powodu nieprzyzwoitego i impertynenckiego zachowywania się wobec starszego oficera. Teraz zabrał go z sobą i poszedł z nim do kapitana, żeby na niego naskarzyć.

Po chwili obaj weszli do kuchni, przez którą trzeba było przejść, gdy się szło na górę, gdzie siedzieli wszyscy oficerowie i gdzie przy wieprzowym udźcu pucołowaty chorąży

Mały śpiewał arię z Trawiaty, bekając przy tym po kapuście i tłustym mięsie.

Gdy porucznik Dub wkroczył do kuchni, Szwejk zakomenderował:

— H a b a c h t! — Wszyscy wstać!

Porucznik Dub podszedł do samego Szwejka i wrzasnął mu prosto w nos:

— Teraz możesz się cieszyć, ty drabie! Koniec z tobą i amen! Każę cię wypchać na pamiątkę dla 91 pułku.

— Z u m B e f e l, panie lejtnant — zsalutował Szwejk. — Pewnego razu czytałem, posłusznie melduję, że była wielka bitwa i że w tej bitwie poległ jakiś szwedzki król razem z koniem. Obie padliny wyprawiono do Szwecji i teraz te dwa trupy stoją wypchane w muzeum w Sztokholmie.

— Skąd masz takie wiadomości, ty parobku? — wrzasnął porucznik Dub.

— Posłusznie melduję, panie lejtnant, że od swego brata, profesora.

Porucznik Dub odwrócił się, splunął i popychając przed sobą kadeta Bieglera, zamierzył ku sieni, przez którą szło się na górę. Ale nie wytrzymał, obrócił się we drzwiach i z nieubłaganą surowością rzymskiego cezara, decydującego o losach gladiatora zranionego w cyrku, zrobił gest kciukiem prawej dłoni i krzyknął na Szwejka:

— Palce na dół!

— Posłusznie melduję — krzyczał za nim Szwejk, że już są na dole!

Kadet Biegler był słaby jak mucha. Przeszedł w ciągu niedługiego czasu przez kilka stacyj cholerycznych i po wszystkich manipulacjach, które przedsięwzięto wobec niego jako podejrzanego o cholere, przyzwyczał się całkiem nieświadomie popuszczać czasami w spodnie. Aż wreszcie dostał się w ręce jakiegoś porządnego specjalisty pewnej stacji cholerycznej, gdzie nie znaleziono w jego wydalinach żadnych

bakteryj cholerycznych, zahartowano mu kiszki tanniną i wylatano je w ogóle tak dobrze, że kadet Biegler mógł wreszcie zostać wysłany do najbliższego dowództwa etapu jako „frontdiensttauglich“, chociaż biedak ledwo się trzymał na nogach po wszystkich kuracjach szpitalnych.

Ów specjalista był człowiekiem wielkiej zacności. Gdy kadet Biegler zwracał mu uwagę, że czuje się bardzo słabym, ten odpowiedział mu z uśmiechem:

— Złoty medal za dzielność udźwignie pan jeszcze. Wszak pan się dobrowolnie zgłosił na wojnę jako ochotnik.

Stało się tedy, że kadet Biegler wyruszył na zdobywanie złotego medalu.

Jego zahartowane kiszki nie wydzielały już rzadkiego płynu w spodnie, ale pomimo to pozostało mu jako pamiątka po cholerycznych stacjach nieznośne parcie, tak że od ostatniego etapu aż do sztabu brygady, gdzie spotkał się z porucznikiem Dubem, podróż jego była jakąś manifestacyjną wędrówką po wszystkich możliwych wychodkach. Kilka razy spóźnił się na pociąg, ponieważ wysiadywał po wychodkach dworcowych tak długo, iż pociągi czekać na niego nie mogły. Czasem znowuż przegapił przesiadanie, siedząc w ustępie wagonu.

Ale pomimo wszystkich wychodków, jakie włożyły mu w drogę, Biegler jednak przybliżał się ku brygadzie.

Porucznik Dub powinien był jednak jeszcze przez kilka dni pozostać na kuracji w brygadzie, ale tegoż samego dnia, gdy Szwejk odjechał do batalionu, sztabowy lekarz zabrał się do porucznika i dowiedziawszy się, że po południu automobil sanitarny odjeżdża w kierunku 91 batalionu, wyprawił go tym samym automobilem do jego oddziału.

Lekarz był bardzo rad, że pozbył się porucznika Duba, który jak zazwyczaj, każde swoje zdanie potwierdzał słowy:

— O tym jeszcze przez wojnę rozmawialiśmy u nas z kapitanem okręgu.

— Mit deinem Bezirkshauptmann kanns du mir Arsch lecken — pomyślał lekarz sztabowy i bardzo był rad przypadkowi, że auto sanitarne jechało właśnie na Kamionkę Strumiłową przez Żółtaniec.

Szwejk nie widział w brygadzie kadeta Bieglera jedynie dlatego, że ten znowuż przez dwie godziny siedział w pewnej ubikacji z przyrządem do splukiwania, przeznaczonej na użytek oficerów brygady.

Śmiało rzec można, że kadet Biegler w takich miejscach nigdy nie tracił czasu na darmo, ponieważ powtarzał sobie w duchu wszystkie sławne bitwy wojsk austriacko-węgierskich, poczynając bitwą pod Nördlingen dnia 6 września 1634 roku, a kończąc bitwą pod Sarajewem dnia 19 sierpnia 1878 roku.

Kiedy po niezliczone razy pociągał za łańcuch płuczki klozetowej i gdy woda z łoskotem spadała na porcelanę, kadet Biegler przemyślał czy i marzył o zgiełku bitew, o natarciu jazdy i huku dział.

Spotkanie porucznika z kadetem Bieglerem nie należało do najmiłszych i stało się przyczyną kwasów w ich późniejszych stosunkach służbowych i pozasłużbowych.

Mianowicie zdarzyło się, że porucznik Dub już po raz czwarty dobijał się do klozetu, a ciągle znajdował go zamkniętym.

— Kto tam siedzi? — zapytał wreszcie.

— Kadet Biegler, 11 marszkompania, batalion En. 91 pułku — brzmiała dumna odpowiedź.

— A tutaj — przedstawiał się kandydat klozetu po drugiej stronie drzwi — porucznik Dub z tej samej kompanii.

— Zaraz skończę, panie poruczniku!

— Czekam!

Porucznik Dub spoglądał niecierpliwie na zegarek. Nikt by nie uwierzył jakiej potrzeba energii i wytrwałości, aby w sytuacji podobnej wytrzymać przed drzwiami całych 15

minut, potem jeszcze 5 i jeszcze, podczas gdy na pukanie, walenie pięścią i kopanie nogami otrzymuje się zawsze tę samą odpowiedź:

— Zaraz kończę, panie poruczniku!

Porucznik Dub dostał ataku gorączki, gdy po obiecującym szeleście papieru upłynęło dalszych siedem minut, a drzwi się nie otwierały.

Kadet Biegler był na szczęście jeszcze tak dalece taktowny, że wyczekiwał ze spuszczeniem wody.

Porucznik Dub w przystępie gorączki zaczął rozmyślać, czy nie należałoby udać się ze skargą do dowództwa brygady, które być może wydałoby rozkaz wyłamania drzwi i wyciągnięcia stamtąd kadeta Bieglera przemocą. Przychodziło mu też do głowy, że ma się tu może do czynienia z naruszeniem dyscypliny.

Dopiero po upływie dalszych pięciu minut porucznik Dub zauważył, że za ewentualnie wyłamanymi drzwiami nie miałby właściwie już nic do czynienia, bo mu się dawno odechciało. Wystawał wszakże przed klozetem niejako z zasady, kopiąc w drzwi, za którymi odzywało się wciąż to samo zapewnienie:

— In einer Minute fertig, Herr Leutnant.

Wreszcie słyhać było, że kadet Biegler spuszcza wodę i po chwili obaj panowie spotkali się twarzą w twarz.

— Kadecie Biegler — zagrzmał na niego porucznik Dub — nie myślcie sobie, że przyszedłem tutaj w tym samym celu co i wy. Przyszedłem tu dlatego, że mi się pan po swoim przybyciu do sztabu brygady nie zameldował. Czy nie zna pan przepisów? Czy wie pan, komu dał pan pierwszeństwo?

Kadet Biegler przez chwilę zastanawiał się gruntownie, czy może jednak nie dopuścić się jakiej niewłaściwości, która kłóciłaby się z dyscypliną i z przepisami regulującymi stosunki między oficerami niższymi i wyższymi.

W jego wiadomościach w tej dziedzinie istniała olbrzymia luka niby bezdenna przepaść.

W szkole nikt im takiej rzeczy nie wykładał, aby wiedzieli, jak się winien zachowywać oficer niższego stopnia względem oficera stopnia wyższego.

Czy może miał sobie przerwać, wylecieć jak bomba z klozetu i jedną ręką przytrzymując spodnie, drugą salutować?

— Proszę mi odpowiedzieć, panie kadecie Biegler! — wyzywająco wołał porucznik Dub.

Ale w tej chwili wpadł kadet Biegler na szczęśliwą odpowiedź, która zawikłaną sytuację rozwikłała natychmiast:

— Panie poruczniku, nie miałem pojęcia po swoim przybyciu do sztabu brygady, że pan się tu znajduje, a po załatwieniu swoich spraw w kancelarii udałem się natychmiast do klozetu, gdzie pozostawałem aż do przyjścia pańskiego.

I głosem uroczystym dodał:

— Kadet Biegler melduje się panu porucznikowi Dubowi.

— Sam pan widzi, że to nie byle co — z goryczą rzekł porucznik Dub. — Zdaniem moim, panie kadecie Biegler, powinien pan być natychmiast po przybyciu do sztabu brygady zapytać się w kancelarii, czy nie ma tu przypadkiem którego z oficerów naszego batalionu i naszej kompanii. O zachowaniu pańskim zadecydujemy w batalionie. Odjeżdżam do batalionu autem, a pan pojedzie ze mną. Proszę mi się nie wykręcać!

Kadet Biegler zaznaczył mianowicie, że w kancelarii sztabu brygady wyznaczono mu marszrutę kolejową, który to sposób podróżowania wydawał mu się daleko wygodniejszym przez wzgląd na nieustaloną równowagę jego kiszek. Każde dziecko przecież wie, że automobile takich urządzeń nie posiadają. Zanim przejedziesz 180 kilometrów możesz mieć wszystko w spodniach.

Diabli wiedzą, jak to się stało, że dygotanie automobilu

nie miało zrazu, gdy wyjechali, żadnego wpływu na kadeta Bieglera.

Porucznik Dub był wprost zrozpaczony, że nie uda mu się przeprowadzić zamierzonego planu zemsty. Gdy bowiem ruszyli w drogę, porucznik Dub myślał w duchu:

— Czekaj, kadecie Biegler! Jeśli przytrafi ci się coś takiego, nie myśl, że każę zatrzymać auto na pierwsze twoje życzenie.

W tym też celu prowadził miłą rozmowę, o ile pozwalała na nią szybkość, z jaką łykali kilometry, i wywodził, że automobile wojskowe, mające wyznaczoną marszrutę, nie mogą trwonić benzyny i zatrzymywać się po drodze.

Kadet Biegler odpowiedział na to całkiem trafnie, że gdy automobil stoi i czeka na kogoś, to w ogóle nie potrzebuje benzyny, ponieważ szofer wyłącza motor.

— Jeśli w czasie oznaczonym ma się przybyć na właściwe miejsce — wywodził dalej porucznik Dub — to nie wolno zatrzymywać się nigdzie.

Na to kadet Biegler wcale nie odpowiedział.

Tak cięli powietrze przez jaki kwadrans, gdy wtem porucznik Dub poczuł, że ma jakoś dziwnie rozdęte brzuch i że dobrze byłoby zatrzymać auto, wysiąść, wleźć do rowu, zdjąć spodnie i szukać ulgi.

Trzymał się po bohatersku aż do 126 kilometru, ale wreszcie pociągnął szofera energicznie za płaszcz i wrzasnął mu do ucha:

— H a l t!

— Kadecie Biegler — rzekł łaskawie porucznik Dub, zeskakując z auta i co rychlej pędząc do rowu — teraz masz pan sposobność. Korzystaj pan.

— Dziękuję — odpowiedział kadet Biegler — nie chcę na próżno zatrzymywać auta.

A chociaż kadet Biegler całą siłą woli musiał panować nad swoimi zdemoralizowanymi kiszkami, to jednak powie-

dział sobie w duchu, że woli narobić w spodnie, niż stracić sposobność do zadrwienia z porucznika.

Zanim dojechali do Żółtańca, porucznik Dub jeszcze dwa razy kazał zatrzymać automobil, a na ostatnim przystanku rzekł ze złością do Bieglera:

— Na obiad miałem polski bigos. Z batalionu zatelegrafuję skargę na brygadę. Użyto zepsutej kapusty kiszzonej i bezwartościowego mięsa, niezdatnego do użytku. Zuchwałość kucharzy przekracza wszelkie granice. Kto mnie jeszcze nie zna, ten mnie pozna.

— Feldmarszałek Nostitz-Rhieneck, elita kawalerii rezerwowej — odpowiedział na to kadet Biegler — wydał dzieło: „Was schadet dem Magen im Kriege“, a w dziele tym zalecał przy wysiłkach wojennych unikanie wieprzowego mięsa w ogóle. Każde nadużycie podczas marszu jest szkodliwe.

Porucznik Dub nie odpowiedział na to ani słowem i tylko sobie pomyślał:

— Pluję na twoją uczoność, ty smyku!

Ale potem, zastanowił się nad słowami kadeta Bieglera i wyrwał się ze zgoła głupim zapytaniem:

— Mówi pan o nadużyciu. Czy przypuszcza pan, panie kadecie Biegler, że oficer, względem którego pan uważać się winien za podwładnego, jada nieumarkowanie? Czy może chciał pan powiedzieć, panie kadecie Biegler, że się obżarłem? Niech pan będzie pewien, że za to grubiaństwo zda mi pan rachunek. Dziękuję za takie komplementy! Pan mnie jeszcze nie zna, ale jak mnie pan pozna, to popamięta pan porucznika Duba.

Przy ostatnim słowie byłby sobie przegryzł język, bo auto wpadło w jakiś wybój.

Kadet Biegler znowuż nic nie odpowiedział, co tak rozgniewało porucznika Duba, że zapytał:

— Słuchaj pan, panie kadecie Biegler, sędzę, iż uczono pana, że na pytanie swego przełożonego winien pan dawać odpowiedzi.

— Tak jest — rzekł kadet Biegler — istnieje taki przepis. Przedtem wszakże należałoby zanalizować nasz stosunek wzajemny. O ile mi wiadomo, nie mam jeszcze przydziału, tak że nie może być mowy o tym, aby pan był moim przełożonym, panie poruczniku. Najważniejsze jest wszakże to, że w kołach oficerskich odpowiada się na pytania przełożonych jedynie w sprawach służbowych. My dwaj, siedzący tutaj w aucie, nie reprezentujemy żadnej jednostki bojowej o określonym przeznaczeniu wojskowym. Między nami nie ma żadnego stosunku służbowego. Obaj jedziemy do swoich oddziałów i nie byłoby zgoła żadnym służbowym wypowiedzeniem się, gdybym odpowiedział, czy chciałem, czy też nie chciałem powiedzieć, że pan się obżarł, panie poruczniku.

— Już pan skończył? — ryknął na niego porucznik Dub. — Pan jest...

— Już skończyłem — głosem spokojnym odpowiedział kadet Biegler. — Niech pan pamięta, panie poruczniku, że z tym, co tu między nami zaszło, niezawodnie mieć będzie do czynienia oficerski sąd honorowy.

Porucznik Dub tracił przytomność ze złości. Wściekał się. Było to osobliwością jego natury, że gdy się rozgniewał, to mówił jeszcze większe głupstwa, niż gdy był spokojny. Dlatego odmruknął pod nosem:

— O panu wypowie się sąd wojskowy.

Kadet Biegler skorzystał z tej sposobności, żeby przeciwnika dobić ostatecznie, i dlatego tonem jak najprzyjaźniejszym rzucił:

— Żartujesz, kolego.

Porucznik Dub krzyknął na szofera, żeby zatrzymał auto.

— Jeden z nas musi iść piechotą — rzęził.

— Ja jadę — odpowiedział spokojnie kadet Biegler — a ty, kolego, rób, co ci się podoba.

— Jechać! — krzyknął porucznik Dub głosem furiata na szofera i otulił się milczeniem, jak Juliusz Cezar togą, gdy spiskowcy zbliżali się ku niemu ze sztyletami, aby go zabić.

Tak przybyli do Żółtańca, gdzie znaleźli ślad batalionu.

Podczas gdy porucznik Dub z kadetem Bieglerem jeszcze na schodach kłócili się o to, czy kadet, który jeszcze nie ma przydziału, może mieć pretensje do podgardlanek z tej ich liczby, jaka przypada na oficerów poszczególnych kompanij, na dole w kuchni byli już wszyscy syci, poukładali się wygodnie na ławach i rozmawiali o wszystkim możliwym, kurząc fajki tak zajadle, że w izbie było zupełnie ciemno.

Kucharz Jurajda oświadczył:

— Zrobiłem dzisiaj znakomite odkrycie. Sądzę, że mamy tu do czynienia z zasadniczym przewrotem w kucharstwie. Ty, Wańku, wiesz przecie, że po całej wsi daremnie szukałem majeranku do podgardlanek.

— Herba majoranae — rzekł sierżant rachuby Waniek, przypominając sobie, że jest drogistą.

Jurajda mówił dalej:

— Niezbadane są drogi ducha ludzkiego, chwytającego się najróżnorodniejszych sposobów, odsłaniającego nowe horyzonty i wynajdującego rzeczy, o jakich ludzkości nie śniło się dotychczas... Szukam ja tedy po wszystkich domach majeranku, tłumaczę, objaśniam na co mi to potrzebne i jak to wygląda...

— Trzeba było powiedzieć, jak on pachnie — odezwał się z ławy Szwejk. — Trzeba było powiedzieć, że majeranek pachnie tak, jak gdy się wacha buteleczkę atramentu w alei kwitnących akacyj. Na pagórku Bohdalec pod Pragą...

— Ależ, Szwejku — przerwał mu głosem błagalnym jednoroczny ochotnik Marek — pozwól dokończyć Jurajdzie.

Jurajda mówił dalej:

— W pewnym domu natknąłem się na starego wysłużo-

nego żołnierza z czasów okupacji Bośni i Hercegowiny, który odbył służbę wojskową w Pardubicach u ułanów i jeszcze dzisiaj umie po czesku. Człowiek ten zaczął się ze mną sprzeczać, że w Czechach nie dodaje się do podgardlanek majeranku, ale rumianek. Nie wiedziałem naprawdę, co mam począć, bo przecie każdy rozsądny człowiek, który nie ma przesądów, uznać musi, że wśród korzeni, jakimi przyprawia się podgardlanki, majeranek, to królewicz. Trzeba było wynaleźć na poczekaniu taką namiastkę, która zastąpiłaby charakterystyczny i swoisty zapach majeranku. Otóż w pewnej chałupie znalazłem pod obrazem jakiegoś świętego ślubny wianuszek mirtowy. Trafiłem na nowożeńców, gałązki mirtu w wianuszkach były jeszcze dość świeże. Użyłem więc mirtu jako przyprawy do podgardlanek; oczywiście, przedtem trzeba było sparzyć wianuszek trzy razy wrzącą wodą, żeby listki zmiękły i pozbyły się zbyt ostrego zapachu i smaku. Rzecz prosta, że gdy ten wianuszek ślubny zabierałem do podgardlanek, płaczu było wiele. Na odchodnym właściciele zapewnili mnie, że za takie straszne świętokradztwo (wianuszek był poświęcony) najbliższa kula mnie zabije. Jedliście przecie polewkę z podgardlanek i żaden z was nie spostrzegł, że zamiast majerankiem pachniała mirtem.

— W Hradcu Jindrzycha — odezwał się Szwejk — był przed laty wędliniarz Józef Linek, a ten Linek miał zawsze na półce dwa pudełka: w jednym znajdowała się mieszanina korzeni, której używał do podgardlanek i kiszek, w drugim trzymał proszek na robaki, ponieważ zdarzyło mu się stwierdzić, że klienci jego rozgryźli nieraz pluskwę lub prusaka w podgardlanecze czy też w kiszce. Ów Linek mawiał zawsze, że o ile chodzi o pluskwę, to ma ona smak korzenny i przypomina gorzkie migdały, jakich używa się do ciasta, ale prusaki śmierdzą w kiełbasach jak stara biblia, dotknięta pleśnią. Dlatego też bardzo dbał o czystość w swoim warsztacie i wszędzie gorliwie sypał proszek na robaki. Razu pewnego

robił sobie zacny człowiek kiszki, a miał akurat katar. Nie wiele myślący łapie pudełko z proszkiem na robaki i sypie w farsz podgardlankowy. Od tego czasu po kiszki i podgardlanki chodzili wszyscy tylko do Linka. Ludzie tłumem pchali się do sklepu. A chłop był lepski, bo zaraz wymiarkował, że to zawdzięcza temu proskowi na robaki i od tego czasu zamawiał całe skrzynie tego specjału za pobraniem, ale firmie nakazał, żeby na skrzynce pisała: ziele indyjskie. Był to jego sekret, który zabrał z sobą do grobu. Ale najciekawsze było to, że w domach rodzin, które kupowały kiszki u niego, wyginęły pluskwy i prusaki. Od tego czasu Hradec Jindřicha należy do najczystszych miast w całych Czechach.

— Już skończyłeś? — zapytał jednoroczny ochotnik Marek, który niezawodnie także pragnął wtrącić się do rozmowy.

— Co dotyczy Linka, to już skończyłem — odpowiedział Szwejk — ale znam podobny przypadek, który zdarzył się w Beskidach. Lecz o nim opowiem wam dopiero, gdy będziemy staczali walki.

Jednoroczny ochotnik Marek rozgadał się na dobre:

— Sztukę kucharską najlepiej poznać można podczas wojny, osobiście na froncie. Pozwolę sobie zrobić małe porównanie. Przed wojną czytywaliśmy i słyszeliśmy nieraz o tak zwanych chłodnikach, to jest zupach, do których dodaje się lód, a które cieszą się wielkim powodzeniem w północnych Niemczech, w Danii i Szwecji. Otóż i macie. Przyszła wojna i latoś w zimie w Karpatach mieli żołnierze tej zmarzłej zupy tyle, że już na nią patrzeć nie mogli. A przecież to specjał.

— Zmarznięty gulasz można jeść — rzekł sierżant rachuby Waniek — ale niedługo; najwyżej tydzień. Z powodu takiego zmarzniętego gulaszu nasza 9 kompania opuściła pozycje.

— Jeszcze w czasie pokoju — rzekł Szwejk z niezwykłą powagą i godnością — dokoła kuchni i najrozmaitszych po-

traw kręciło się w wojsku wszystko. Mieliśmy na przykład w Budziejowicach oberlejtanta Zakreja, który stale się szwendał dokoła kuchni oficerskiej, a gdy który z szeregowców coś spletał, to mu kazał stanąć na baczność i ryknął na niego: — Ty łobuzie jeden, jeśli popełnisz jeszcze raz coś podobnego, to z gęby twojej zrobię mięciutkie bitki, rozdepczę cię jak tłuczone kartofle i każę ci to zeżreć. Pocięknę z ciebie kałdun z ryżem i będziesz wyglądał jak szpikowany zajac na brytfannie. Sam więc widzisz, że się musisz poprawić, jeśli nie chcesz, żeby ludzie myśleli, że zrobiłem z ciebie faszzerowaną pieczeń z kapustą.

Dalszy wykład o tym, w jaki sposób używano jadłospisu przy wychowywaniu żołnierzy w czasach przedwojennych, został przerwany wielkim krzykiem na piętrze, gdzie kończyła się uroczysta wyzerka.

W chaosie głosów można było odróżnić głos kadeta Bieglera, krzyczącego:

— Żołnierz już w czasie pokoju winien wiedzieć, czego żąda od niego wojna, a podczas wojny nie powinien zapominać o tym, czego nauczył się na placu ćwiczeń.

Następnie dał się słyszeć sapliwy głos porucznika Duba:

— Proszę o ustalenie faktu, że już po raz trzeci zostałem obrażony.

Na piętrze działy się rzeczy wielkie.

Porucznik Dub, który wobec kadeta Bieglera miał zamiary zgoła zdradliwe i chciał go pogrążyć wobec komendanta batalionu, zaraz przy wejściu między oficerów powitany został wielkim hałasem. Wszyscy znajdowali się pod wpływem znakomitego działania żydowskiej wódki.

Podrwiwając z jego niefortunnej przygody przy jeździe wierzchem, jeden przez drugiego pokrzykiwali na porucznika Duba:

— Bez grooma rady nie dasz! — Płochliwy mustang! —

Jak długo przebywałeś, kolego, wśród cowboyów na dzikim zachodzie? — Artysta jazdy konnej!

Kapitan Sagner szybko napoił go szklanką przekłętą gorzałki i urażony porucznik usiadł przy stole. Stare poturbowane krzesło przystawił obok nadporucznika Lukasz, który powitał go słowy przyjaznymi:

— Wszystko już zjedzone, kolego.

Smutna postać kadeta Bieglera została niedostrzeżona, pomimo że ten ściśle według przepisu obszedł cały stół, i porzynając od kapitana Sagnera, meldował się wszystkim oficerom po kolei, powtarzając w kółko, chociaż wszyscy go dobrze widzieli:

— Kadet Biegler przybył do sztabu batalionu.

Potem sięgnął po pełną szklanicę, usadowił się z nią zgoła skromnie koło okna i czekał na odpowiednią chwilę, aby wyrzucić w powietrze jedną ze swoich mądrości, zaczerpniętych z podręczników.

Porucznik Dub, któremu to straszliwe głędzenie mąciło w głowie, zapukał palcem w stół i bez jakiegokolwiek wstępu zwrócił się do kapitana Sagnera:

— Z kapitanem okręgu mawialiśmy zawsze: patriotyzm, wierne spełnianie obowiązków, przewycięzanie samego siebie, to najlepsza broń podczas wojny. Wspominam o tym właśnie dzisiaj, gdy wojska nasze w czasie najbliższym przekroczą granice*.

Kadet Biegler odezwał się spod okna:

— Przekraczanie granic wielkiego państwa jest zawsze operacją bardzo ważną. Studiowałem mapę w czasie swego ostatniego pobytu w baraku cholerycznym i ustaliłem, że na odcinku, który właśnie obsadzamy, mamy przeciwko sobie siły trójkąta rosyjskich twierdz: Łuck, Dubno, Równe. Będziemy mieli do czynienia nie tylko z piechotą w rowach strze-

* Tu kończy się rękopis † Jaroslava Haska.

leckich i parą ośmiocentymetrowych i dwunastocentymetrowych armat. Pójdziemy na twierdze, na osłony betonowe; będą nas bili z ciężkich dział fortecznych. A to jest co innego niż walki polowe. Główne zadanie przypadnie artylerii, która w twierdzy narobi dziur, a my wleziemy w te dziury jak szarańcza. Potem bić się będziemy na bagnety: Hurra! Hurra!

Kadet Biegler był już pijany i nic na świecie nie wydawało mu się równie łatwe, jak zdobywanie twierdz rosyjskich.

Na jego wywody poważnie i roztropnie odpowiedział porucznik Dub, któremu wódka też już rzasadzała mózg i dawała skrzydła myślom.

— Całkiem słusznie. Ale artyleria będzie robiła tylko przejścia. Zdobywanie i obsadzanie twierdz będzie dziełem piechoty. Musi ona być odważna, bohaterska, przed niczym się nie cofająca. Piechota musi posiadać ideę, a tą ideą jest patriotyzm, miłość dla cesarza, troska o szczęście państwa. Naszemu wojsku tej rzeczy nie braknie i dlatego wojnę wygramy. Bo wojnę wygrywa idea, idea i jeszcze raz idea! Jeszcze przed wojną mówił to samo pan kapitan okręgu. Pano wie koledzy, towarzysze broni! Czy zdajecie sobie sprawę z tego, jaka to wielka rzecz, gdy się do boju idzie z ideą!? Tylko idei potrzeba dla wygrania wojny!

Lejtnant Dub rozejrzał się pijanym wyzywającym wzrokiem po oficerach, oczekując wyrazów zgody. Samemu sobie wydawał się czymś w rodzaju Eugeniusza Sabaudzkiego, który mawiał: — Do wygrania wojny potrzebne są pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. — Nawet przez myśl mu nie przeszło, że jego własny program jest daleko trudniejszy w wykonaniu niż program garbatego księcia francuskiego.

Ale kapitan Sagner okiem ospałym i tępym patrzył przed siebie, jakby wypatrywał czegoś w kącie izby, a nadporucznik Łukasz przycinał scyzorykiem paznokcie.

Dub zaczął wywodzić na nowo:

— Największą rolę w życiu żołnierzy odgrywa ich wychowanie. A wychowaniem zajmujemy się my, nauczyciele w szkole. Jesteśmy profesorami i wychowawcami. My budujemy podwaliny pod ducha żołnierzy, jaki ma być podczas wojny. Każdy może też zauważyć, że postawa wobec wojny ludzi wychowanych w szkole, czyli inteligencji, jest inna niż postawa ludzi prostych. Dla prostego żołnierza wojna nie jest niczym innym, tylko lataniem za dziewczynami, pijaństwem i zgrywaniem się w karty. Czy nie mam racji?

Porucznik Dub jednym duszkiem wypił szklanekę mocnej wódki, cuchnącej denaturatem.

Kadet Biegler siedzący przy oknie uśmiechał się głupkowato. Kapitan Sagner mruknął coś pod nosem i wyszedł na dwór, kilku oficerów poukładało głowy na stole i spało, chrapiąc co się zowie, a Dub, nie panujący już nad językiem, głądził w dalszym ciągu:

— Wszystko dla cesarza. Wszystko dla dziecka! Najwyższą sprawą tego świata jest pomyślność państwa! Niech żyje armia! Wszystko dla dziecka!

Tak więc hasło starego cesarza, które zdawało się być szlachetne i w najwyższym stopniu ludzkie, rozbrzmiewało pod stropem szkoły galicyjskiej wobec oficerów armii cesarskiej, z których ani jeden nie był w stanie zrozumieć je i rozważyć, że w praktyce wyrażało ono tę samą troskę, jaką gospodynie otaczają prosięta, gdy do koryta dolewają im po trosze mleka, żeby prędzej podrosły i dojrzały dla noża rzeźniczego, żeby miały delikatniejsze i smaczniejsze mięso i żeby za pieczę, jaką je otaczano, wydały stokrotne zyski.

Dub, który dostawał łagodnego delirium wrzasnął jeszcze:

— Idea, idea, idea! Gdyby Austrii nie było, to trzeba by ją stworzyć! Niech żyje nieboszczyk Palacky!

Zwalił się z krzesła pod stół.

Kapitan Sagner powrócił, za nim wpadł do izby kucharz

Jurajda, zgorączkowany, z wypiekami na twarzy, zirytowany i wściekły. Stuknął obcasami i salutował, nie bacząc na to, że nie miał czapki na głowie:

— Posłusznie melduję, że go zeżał! Od a do zet, ani kawałeczka nie zostawił! Nawet szpagat zeżał! Panie kapitanie, posłusznie melduję, że ja temu nie winien. Ułożyłem go, żeby ostygł, a on wziął i zeżał go. Taki ładny salceson! Przecież było go najmniej ze dwa kilogramy! Skąd ja mogłem wiedzieć, że takie będzie jego przeznaczenie?

— Wy, kucharzu, powiedzcie zwięźle, co się stało? Czemu się tu pchacie? Czy to czas i miejsce na raport? H i m m e l h e r r g o t t, łazicie już do oficerów jak do jakiej knajpy! — krzyknął na wystraszonego kucharza kapitan Sagner.

Kucharz wyprostował się przed nim.

— Posłusznie melduję, panie kapitanie, pan mi kazał zrobić salceson, więc salceson zrobiłem i zaniósłem go do piwnicy, żeby ostygł. Pod nim deseczka, na nim deseczka i dwa spore kamienie, żeby się sprasował. Bo to się tak robi. Ale pucybut Baloun widział mnie, gdy go tam zaniósłem, wlażł potem do piwnicy i zeżał go. Nawet nie czekał, aż ostygnie. Posłusznie melduję, panie kapitanie, że już pan tego salcesonu nie dostanie, ponieważ pucybut pana nadporucznika Lukaszka go zeżał. Tak jest. Ja temu nie winien.

Kapitan, który już od Lukaszka słyszał o nienasyconości jego służącego, potrząsnął raz i drugi śpiącym nadporucznikiem, z trudem opanowując śmiech.

— Ty, Lukasz, idź zrobić porządek. Ten twój Baloun zeżał nasz salceson. Cieszyłeś się, że sobie użyjesz na tym salcesonie z cebulą. Przyjmij, kolego, wyrazy mego szczerego współczucia.

Senny Lukasz zaklął, przypiął szablę i ruszył za kucharzem na dół. Na podwórzu na kupie polan siedział Baloun, a przed nim z fajką w zębach stał Szwejk:

— Widzisz, ty świnio, do czego doprowadziła cię twoja żarłoczność! Kto to słyszał, zeżreć panom oficerom salceson! Żeby to był salceson pana nadporucznika, to bym jeszcze nie mówił, bo to dobry pan i wyrozumiały! Ach, ty, drabie, podły, przecież cię każą rozstrzelać, bydlaku! Jezus Maria, jeśli nie był porządnie ugotowany i były w nim trychiny, to dostaniesz solitera! Rozumiesz, kolego?

Oberlejtant ryknął najprzód na Szwejka:

— H e r r g o t t, stul pysk, łotrze, bo cię każę wsadzić do paki, aż szczerniejesz. Ach ty świnio. Balounie, gdzieś ty salceson podział? Do stu milionów diabłów, bydlaku, wstań przecie, gdy z tobą rozmawiam!

Szwejk wyjął fajkę z ust:

— Posłusznie melduję, że on wstać nie może, bo jest całkowicie zgnębiony. Salceson miał przeszło dwa kilogramy. W Nuslich, panie oberlejtant, był jeden właściciel domu, który tak się obzerał, że trzeba mu było do stołu przysuwać łóżko, bo sam byłby do łóżka nie doszedł. Ludzie mają, posłusznie melduję, panie oberlejtant, dużo różnych takich słabości. W Jinonicach była jedna szwaczka, bardzo porządna kobieta, i otóż ta szwaczka...

— Szwejku, stulcie pysk, do stu diabłów, bo was przebiję! — syknął oberlejtant. — Wy tu nie macie nic do gadania. Wstań ty, żarłoczna bestio, ty krowo, ty psie niesyty! — krzyczał na Balouna. — D o n n e r w e t t e r, Szwejku — krzyczał dalej, widząc, że Szwejk staje na baczność — jeśli piśniesz, to cię przebiję na wylot.

Wściekłym ruchem wy dobył szablę.

— Chciałem tylko, posłusznie melduję, powiedzieć — rzekł Szwejk z błogim uśmiechem — że i taka śmierć byłaby dla mnie dobra i piękna. Śmierć z ręki pańskiej ma być słodka podobno. Pewnego razu, panie oberlejtant, czytałem o tym w starym kalendarzu ładne opowiadanie. Bardzo piękne i wzruszające. Był sobie we Francji pewien markiz i miał

starego kamerdynera, a gdy potem wybuchła rewolucja i wszędzie po wsiach chłopci robili porządki, ten markiz przez pomyłkę zastrzelił swego kamerdynera. Gdy kamerdyner już konał, a markiz chciał posłać po doktora, ten konający rzekł: „Niech jasnie pan nie posyła po doktora, ja umrę bardzo chętnie. Kiedy mnie pan postrzelił w brzuch, a ja jęknąłem, czyliż nie zawołał pan: — Mon Dieu! To ty José? Pardon! — Wystarczy mi to najzupełniej“. — I umarł całkowicie i zupełnie. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że teraz może mnie pan przebić.

Szwejk rozpiął dwa guziki bluzy i cofnął się o dwa kroki od Lukasa.

— Niech zimna stal przebije pierś gorącą i niech ostudzi żar mej krwi! — zadeklamował głosem podniesionym.

— Szwejk, idioto, czy chcecie, żebym i ja zwariował? Jezus Maria, przecież dla waszych błżeństw będę się musiał zastrzelić — jęknął oberlejtnant, łapiąc się za głowę. — Moje nerwy, moje nerwy!

Szwejk zapiął bluzę.

— Niech pan się nie strzela, posłusznie melduję, bo to byłoby głupstwo, panie oberlejtnant. Gdy pana zastrzela Rosjanie, to dla Austrii będzie taniej, a tak za wszystko musiałby płacić skarb. Naboje do rewolweru też kosztują. Proszę pana oberlejtanta, to o zimnej stali mam z teatru Winohradzkiego, bo tam grywają takie kawałki. Ludzie zwracają tam na wszystko pilną uwagę i grają razem z aktorami. Pewnego razu dawano sztukę: „Król Wacław i jego kat“. Posłusznie melduję, że ten król znajdował się w kundratickiem wieczerzadle, pił tam wino i ciągle powtarzał: „Gromy boskie, gromy boskie!“ A jeden z tych panów nasypał mu do kielicha trucizny. Król chciał się napić, podniósł kielich i powiada: — Gromy boskie, gromy boskie — ale jakaś babunia nie wytrzymała i ze strachem zawołała z galerii: — Niech kawaler tego nie pije, bo to załrute! — Innym razem...

Nadporucznik Lukasz zatkał sobie uszy, wściekłym okiem spojrzał na Szwejka, łysnął oczami, kopnął bezwładnego Balouna i zwrócił się do sierżanta rachuby Wańka:

— Balouna wiązać przez trzy dni z kolei po dwie godziny dziennie. Niech się tym zajmie plutonowy. Czy to pewne, że to on zażarł salceson? — i nie czekając na odpowiedź, jak bomba wskoczył do sieni. Za nim zaś długo spoglądały tkliwym spojrzeniem pocziwe oczy Szwejka. Gdy umilkł szczęk szabli uderzającej o stopnie schodów, Szwejk zwrócił się do zgnębionego Balouna:

— Widzisz idioto, czegoś sobie narobił! Niedaleko ci było do szubienicy. Już drugi raz ocalam ci życie, ale więcej razy robić tego nie będę, jak Boga kocham, nie będę. Czy takie rzeczy robi porządny żołnierz, żeby zeżerać oficerom salceson? Gdyby się o tym dowiedział najjaśniejszy pan, byłby wielki wstyd dla ciebie i dla mnie. I co by sobie o nas pomyślał!

A widząc, że wiecznie niesyty olbrzym łąka i rękawem ociera łzy, spływające mu po twarzy, zdjął mu czapkę z głowy, pogłaskał go po włosach i rzekł:

— No nie becz już, nie rycz jak stara kurwa! Dla takiego gówna jak słupek nie będziesz chyba beczał? Pomyśl kolego, że na nas czekają jeszcze lepsze rzeczy. W Radlicach była pewna węglarka, która mawiała: — Nigdy Pan Bóg nie dopuści takiego złego, żeby nie mógł dopuścić jeszcze gorszego.

Przyszedł plutonowy z postronkami i dwaj żołnierze z bagnietami na karabinach odprowadzili Balouna ku szkole i tam przywiązali go do młodej lipy. Z otwartego okna na piętrze krzyczał na nich lejtnant Dub:

— Przywiążcie tę świnię porządnie, żeby szerniał gałgan! Niech stoi na samych palcach jak baletnica. Plutonowy, jeśli ten chłop nie będzie porządnie przywiązany, to ja was przywiążę własnoręcznie. Wy mnie jeszcze nie znacie. Do stu diabłów, mówię że mnie jeszcze nie znacie!

Więc plutonowy ściągał postronki, aż się wrzynały w ciało Balouna.

— Pofolguj! Nasraj na niego — mówił Szwejk. — Przecież to idiota. To taki belfer, szkolarz, faja z gipsową głową.

Przy Balounie postawiono wartownika, który miał pilnować, żeby delikwent nie omdlał. Zaś najedzony Baloun w napadzie czysto czeskiego radykalizmu zwrócił się do Szwejka:

— Jak tylko skończy się ta wojna, to pójdę do niego i powiem mu: Pocałuj mnie w dupę, ja na ciebie sram. Ja mam młyn, a ty jesteś głodny piesek miejski. Jesteś taki lalusz uczony, pies z tobą tańcował!

Był już wieczór, słońce zachodziło i zalewało przywiązanego Balouna krwawymi blaskami. Do wsi przygnali żołnierze całe stado bydła, które w ciągu dnia paśli na łąkach i w lasach. Buczenie krów i trzaskanie biczów przypomniało Balounowi dom rodzinny, wędzonkę i bochenki chleba. Łzy na nowo zapełniły mu oczy. Spoglądał na słońce, które zachodziło gdzieś tam, gdzie stał jego młyn, i płacz wstrząsał całym jego ciałem.

— Czemu mnie, Panie Boże, nie stworzyłeś takim oto wołem? Przynajmniej nie byłbym nigdy zaznał tyle głodu! Jak świetnie byłbym się mógł napaść na tym kawałku ziemi, który przemaszzerowaliśmy!

Było już ciemno, gdy plutonowy przyszedł odwiązać Balouna. Biedny pucybut przyglądał się sinym pręgom na rękach, tarł poodzieraną skórę i zataczał się jak pijany, a Szwejk go pocieszał:

— Nic sobie z tego nie rób, tutaj się kar nie zapisuje. Z biednymi ludźmi, kolego, trzeba gadać ostro, surowość musi być i na wojnie. Gdzieżby się świat podział, gdyby ludziom pozwalali na wszystko! Ja ci, bracie, teraz, kiedy byłem w niewoli austriackiej, widziałem kawał frontu i wszędzie panowała najsurowsza surowość i dyscyplina. U deutschmeistrów przywiązywano żołnierzy, u landschützów, w trzydzie-

stym szóstym pułku, u honwedów, wszędzie... Świat, armia i Austria stoją na porządku i na surowości, a kara musi być. Nawet Pan Bóg, chociaż jest wielce miłosierny, wszystko karze i też by ci nie darował, gdybyś mu zjadł dwa kilogramy salcesonu. A teraz pójdź na kolację, bośmy ci ją przechowali. Ale zapamiętaj sobie: Surowość wobec ubogich ludzi musi być, choćby diabli świat wziąć mieli.

IV

Szwejk jako pielęgniarz.

Na ławie w jednej z klas leżał kadet Biegler, wystraszony, blady i żółty. Na krześle naprzeciwko niego siedział oberlejtant Lukasz, a w głowach stał kapitan Sagner i mówił gniewnie:

— Więc kadet Biegler znowuż pójdzie do szpitala? Bardzo pięknie i bardzo dobrze. U doktora już pan był? Jeszcze nie? A więc jeszcze pan nie wie, o co chodzi? A czy była przynajmniej ładna? Ile to kosztowało? Przeklęte dziewczyny! A ty, Lukasz, zawsze jeszcze zdrow jesteś? Ja także. Nie daj Boże, żeby mi się coś miało przytrafić. Poślę po doktora, kadecie. Ty, Lukasz, poślij po Szwejka, żeby był pod ręką, gdyby kadet czego potrzebował. No servus!

Salutując niedbale i ironicznie, kapitan wyszedł. Nadporucznik Lukasz wypytywał Bieglera dalej:

— Więc to ta siostra miłosierdzia dała panu taką pamiątkę? Jasna blondynka, co? Czy to prawda, że ona jest z arystokracji? Nawet baronówna. No to bywaj zdrow. Masz przynajmniej chorobę arystokratyczną. Poślę ci Szwejka, to cię rozweseli. Servus — rzekł i wyszedł także, pełen zadowolenia, że kadet wierci się i kręci.

Kadeta Bieglera powaliła na ławę boleści (tak przynaj-

mniej przypuszczał) przygoda miłosna, przeżyta wieczorem owego dnia, gdy Baloun był przywiązany po raz ostatni. Wybrał się do wsi sąsiedniej, gdzie był szpital z siostrami, i jedna z tych sióstr od razu się w nim zakochała. On, odpowiadając jej sercem na serce, dał jej pięćdziesiąt koron i pierścionek, otrzymany od narzeczonej w Wiedniu, gdy się z nią żegnał. — Pamiętaj o mnie zawsze — napominała go narzeczone, tonąc we własnych łzach. Zaś owa siostra miłosierdzia, widząc jego ofiarność, odprowadziła go wieczorem i dość łatwo pozwoliła się uwieść.

Kadet wspominał ją teraz z cichymi przekleństwami.

— Rany boskie! Jeśli z tą chorobą zawiozą mnie do Wiednia, a Mitzi przyjdzie do mnie w odwiedzin...! Żeby jasny piorun trzasnął w tę kurwę!

— Posłusznie melduję — stanął obok niego Szwejk — że pan oberlejtant posyła mnie do pana kadeta, żebym był pod ręką, że niby pan chory. Pan oberlejtant mówił, że panu potrzebna jest pociecha. Ja panu kadetowi wszystko przyniosę, co będzie potrzeba.

— Szwejku — jęknął kadet — pomóżcie mi wstać, zaprowadźcie mnie do ustępu.

Szwejk ujął go pod ramię:

— Według rozkazu, panie kadecie! Posłusznie proszę, czy z małą potrzebą, czy z dużą? To bym zaraz tutaj poodpiął guziki. Więc idziemy pomalutku. Ein, z wei...

I Szwejk prowadził kadeta do szkolnego ustępu, gdzie kadet oddawał mocz ze zgrzytaniem zębów i w pocie czoła. Jęczał przytem:

— Herrgott, jak to boli!

— Bardzo pali, panie kadecie? — pytał Szwejk ze współczuciem. — To przejdzie, to tylko drobnostka na parę dni albo na trzy tygodnie. Tego w ogóle, panie kadecie, za chorobę uważać nie można. To tylko taka drobna przykrość. A teraz niech pan się znowuż położy i niech pan się pilnuje.

Pod głowę włożył kadetowi zwiniętą bluzę, przykrył go płaszczem i z zainteresowaniem wypytywał:

— A czy pan kadet ma to już dawno? Z tego niech pan sobie nic nie robi, bo to nic takiego. Dostanie pan się do szpitala, będzie pan połykał santalowe kapsułki, będzie płukanie hipermanganem i po paru miesiącach będzie pan jak ryba. Taka rzecz bywa zła tylko rzadko kiedy, chociaż zdarza się to często. Na Smichowie był niejaki pan Regl, komiwojażer, i on też dostał taką pamiątkę od pewnej panienci z „Belgii“. Tej paniencie było na imię Sylwia, ale to było imię nieprawdziwe. Naprawdę nazywała się Katarzyna i pochodziła z Doubrawczyc. Znałem jej ojca, który był kłusownikiem i pewnego razu postrzelił gajowego, bo ten gajowy tropił kłusowników jak wszyscy diabli. Otóż ten pan Regl łąził za tą Sylwią i pisywał do niej, ale jednocześnie pisywał do niej pewien tenor z areny smichowskiej. Więc gdy ten pan Regl już tę pamiątkę miał, poszedł do pana doktora Wirtha na Smichowie i powiada mu, że się we śnie zląkł i że mu się stała taka rzecz. A ten doktor rozgniewał się i mówi: — Czemu to pan nie powie mi od razu, że pana zawiął taki wiatr? Jak bujać, to bujać! Czy to ja nie doktor, ale królowna z bajki? — I posłał go do szpitala do Kreibicha. A ten pan doktor był bardzo cierpliwy, ale był doktorem w Kasie Chorych i ludzie mu okropnie dokuczali. Przychodzi do niego jedna żona murarza, której mąż przez całą zimę zawsze leżał chory na reumatyzm, i prosi, żeby jej doktor podpisał kartkę do Kasy. Doktor podpisuje i pyta: — Jak się ma stary? — Wciąż jeszcze kiepsko, panie doktorze — narzeka baba — bo ciągle mróz i nie ma roboty. — A bierze te proszki, co mu zapisałem? — pyta doktor i zapisuje sobie coś w książce. — Używać, używa. — No to mu się kłaniajcie, pani matko. — Ale baba nie rusza się z miejsca i pyta doktora: — Panie doktorze, czy nie byłoby dobrze, gdybym go nacie-rała? — Nacierajcie go, matko. — I gdybym mu gotowała

rumianek i kwiat lipowy? — Gotujcie mu, matko, co tylko chcecie. — Ale, panie doktorze, sąsiadka mówiła, że będzie mu lepiej, gdy tych proszków brać nie będzie. Jak pan myśli, panie doktorze? — Tego już doktor nie wytrzymał i rzucił pióro o ziemię. — Moja zacna matko, dwadzieścia lat się uczyłem i dwadzieścia lat jestem doktorem, ale wy słuchajcie rad tamtej baby, a mnie dajcie święty spokój...

Więc posłusznie melduję, panie kadecie, że ten pan Regl też go nie usłuchał i nie poszedł do szpitala sam, ale musieli go tam w gorączce zawieźć. Dostał zapalenia jąder, bubony i Bóg wie co tam jeszcze. Z tego szpitala przyszedł jak mucha słaby. A potem dostał jeszcze gruźlicy i musieli mu oba kłębuszki urznąć. Z początku też miał takie mocne palenie, ale taka choroba, to nie żadna choroba. Złego nic się stać nie może. Pali pana kadeta jeszcze bardzo, czy też już jest lepiej?

— Mój Szwejk, jeśli nie umiecie opowiadać o czymś weselszym, to dajcie spokój i nie gadajcie — jęknął kadet, wystraszony przyjemną perspektywą, jaką malował mu ordynans marszkompanii.

A Szwejk nabijając fajkę, wtrącił:

— Posłusznie melduję, żeby mi było wolno palić.

Wypuścił z ust duży kłęb dymu i z miną poczciwca mówił dalej:

— Wie pan co, panie kadecie, zamiast trypra, życzylibym panu, posłusznie melduję, syfilis. Panie kadecie, pan nie jest z tych najgłupszych i mógłby pan zrobić karierę. Przy syfilisie dostaje się zmiękczenia mózgu, paraliżu postępowego, czy jak się to zwało, a na to choruje prawie każdy generał. Pan, panie kadet, jest jeszcze młody i mógłby się pan stać generałem w niedługim czasie. Dopieroż cieszyliby się z pana tatuś i mamusia! Ale żeby dostać paraliżu, to trzeba leczyć się bardzo troskliwie. Na Wyszehradzie był jeden oberkelner i dostał od pokojówki syfilis, ale nie chciał się nikogo radzić, bo doktora bał się jak ognia, i mawiał, że te baby, co to mają

takie zielniki, wiedzą więcej niż oba wydziały lekarskie, czeski i niemiecki razem. Ale bo też, posłusznie melduję, między ludźmi jest dużo znających się na chorobach. Niektórzy ludzie znają takie choroby, o jakich doktorzy nigdy nie słyszeli. Kiedym ja chadzał do Czarnego Kościelca do obozu, to tam była niejaka baba Mędrzycka. Chodziła po stodołach i nosiła nam bułki i kawę: bułka kosztowała dwa grajcare, a kawa trzy. Ta baba pewno już nie żyje, Panie świeć nad jej duszą, ale kawę, drań, gotowała zawsze kiepską, z samej cykorii i z żołądzi. I ta Mędrzycka też miała taki zielnik i umiała zażegnawać mzy. Czy pan kadet słyszał już kiedy o takiej chorobie? Ja też nie słyszałem, ale jak tam tylko jaka dziewczyna zaczynała blednąć, to starzy zaraz w lament, że dostała niby tych mzów, i zaraz biegli do starej Mędrzyckiej. A wtedy, jak tam był obóz, panie kadecie, dziewczyny bladły tam bardzo często i jak jeszcze! A ta baba kazała takiej chorej dziewczynie uklęknąć i odmawiać „Zdrowaśkę“, uważając, czy się dziewczyna trzęsie. Jeśli się trzęsła, to miała te mzy na pewno. Wtedy, posłusznie melduję, dziewczyny się jeszcze trzęsły bo wtedy odmawiały pacierze bardzo pobożnie, gdyż jeszcze nie umiały pisać pod mariańskim obrazem na Świętej Górze: — Panno, któraś poczęła bez grzechu, daj mi grzeszyć bez poczęcia! — Więc ta baba mierzyła dziewczynę niemi maczanymi w wodzie święconej, pisała dokoła niej na podłodze koła kredą cudowną, pocierała ją gałązką psiego bzu i wreszcie wołała. — Panienko Przenajświętsza, ta dziewczyna ma mzy: Panie, zbaw nas ode złego! — Sypialiśmy u pewnego garncarza, który miał bardzo ładną córkę, a z tą chodził na jagody pewien plutonowy z naszego pułku. Otóż i ta ładna dziewczyna raptem zaczęła blednąć, a stara Mędrzycka chodziła do niej i zażegnawała jej mzy. A potem, kiedyśmy już wszyscy o tym pozapominali, nasz plutonowy dostał niespodzianie list od tej dziewczyny, że powiła bliźnięta, żeby się z nią ożenił. A jej ojciec do tego listu dopisał: — Panie z u g s-

f ü h r e r, spełnij pan swój obowiązek, skoroś mi pan córkę zepsuł! Ja wiedziałem, że ona tych mzów dostała od pana, boście się razem zaziębili. — Ale może pan kadet już nie ma ochoty słuhać, bo opowiadam takie długie historie...

— Jesteście żywą kroniką, mój Szwejku — rzekł kadet — ale zapomnieliście mi powiedzieć, co się stało z tym kelnerem.....

— Niby z tym kelnerem z Wyszehradu? — zapytał Szwejk, uradowany, że kadet po raz pierwszy słuha jego opowiadań bez wymyślania i gniewu.

— Nic osobliwego. Leczył go stary Ludwik ze smichowskiej areny i od czasu do czasu kupował dla niego w drogerii za dziesiątkę pudru cynkowego, żeby nim te swoje bolączki przysypywał. Ale potem temu kelnerowi zaczęło jakoś ciało odłazić od kości, więc się w Chuchli koło kościolka powiesił. Dobrze zrobił, bo to był cywil i nie mogło być mowy o tym, żeby się stał generałem, choćby miał paraliż mózgu. Posłusznie melduję, panie kadecie, że chorób jest na świecie dużo i wszyscy chcą na coś chorować, bo prości żołnierze nie mogą swymi pustymi łbami zrozumieć, że to piękna rzecz zginąć za najjaśniejszego pana. Każdy się tylko stara o chorobę, a gdy taki cham włazi do wagonu, to nie krzyczy: — Żegnaj, Prago! — ale ryczy: — Do widzenia za tydzień! Mam bilet powrotny! Kupiłem go sobie za trzy korony w knajpie „pod Napoleonem“.

— H a b a c h t! — zawołał nagle Szwejk, stając na baczność.

We drzwiach ukazał się kapitan Sagner z doktorem Steinem, który zwrócił się do kadeta:

— Proszę się rozebrać.

Szwejk z wielkim zainteresowaniem przyglądał się badaniu lekarskiemu, bo doktor miał krótki wzrok i wtykał głowę aż między kolana kadeta.

— Nic osobliwego, zwyczajna rzeźączka — oświadczył doktor. — Pił pan wódkę? Niech pan pośle do mnie po proszki, a jutro będzie lepiej. No servus, mam dużo roboty — rzekł, wychodząc w towarzystwie kapitana Sagnera.

— Posłusznie melduję, że panu kadetowi te proszki przyniosę — zaofiarowywał Szwejk swoje usługi — ale bardzo mi przykro, że choruje pan tylko na rzeźączkę i że nie dostał pan syfilisu. Mógł pan zostać generałem na poczekaniu i uradować swoich szanownych troskliwych rodziców. Widzi pan...

Nie dokończył. But, kadeta grzmotnął Szwejka w łeb, zsunął mu się po nosie i przyczernił mu twarz. Zza gwiazd, które się Szwejkowi pokazały przed oczami, ujrzał kadeta, który zerwał się, jakby go nigdy nic nie bolało, i wskazując na drzwi ryczał:

— Marsz! Marsz! Ty bydlę jedno! Ty świnię morską! Jak śmiesz rozzuchwalać się podobnie! Jezus Maria, ty psie, ja cię oddam pod sąd wojenny, żeby cię kazał rozstrzelać!

Gdy Szwejk zszedł na dół, jednorocznik Marek pytał go, co robił na piętrze i u kogo tam był doktor. Szwejk pluł na chusteczkę do nosa, zmywał plamy szuwaksowe z lewego policzka i zaglądając ciekawie w potłuczone zwierciadelko, czy dużo ich jeszcze, z miną najniewinniejszą odpowiadał:

— Pan kadet Biegler nie mógł zrobić siusiu, więc byłem u niego i pielęgnowałem go. Gawędziliśmy z sobą bardzo przyjemnie...

— No to dobrze, że nie jest ciężko chory. — ucieszył się Marek — bo go potrzebuję do wykonania rzeczy wielkich i nie mógłbym się zgodzić na to, żeby ciągle leżał w szpitalu. Każę mu wykonać rzeczy bohaterskie, za które dostanie brązowy medal „Für Tapferkeit“, mały srebrny medal, wielki srebrny, mały złoty, wielki złoty, signum laudis i błogosławieństwo papieskie. On, nie kto inny, wyrzuci w powietrze prochownię nieprzyjacielską, on pod-

pali Piotrogród, on bez niczyjej pomocy weźmie do niewoli cały rosyjski sztab generalny. W dziejach naszego pułku dokona takich czynów, że po wojnie na cześć kadeta Bieglera śpiewane będzie „T e D e u m“.

Szwejk słuchał uważnie, a potem rzucił jakby od niechcienia:

— Jak kto umie pisać, to naspisuje czasem takich głupstw najrozmaitszych, że uwierzyć trudno.

Wyjął paczkę tytoniu, przykląkł przy ławce i krając tytoń na drobno, zaczął wyśpiewywać:

W Brnie przy świeżym piwku — holariholaho
Tańczyły dwie dziwki — holariholadrila.

I ja także tam byłem — holariholaho
Jedną sobie namówiłem — holariholadrila.

Złotówczynę jej dałem — holariholaho
Całą noc ją kochałem — holariholadrila.

Do szpitala mnie zabrali — holariholaho
Badali, oglądali — holariholadrila.

A pan doktor się pytał — holariholaho
U jednej zdrowej dziwki — holariholadrila.

W Brnie, przy świeżym piwku — holariholaho
U jednej zdrowej dziwki — holariholadrila.,,

Czechosłowacki Wojskowy Instytut Naukowy zbiera obecnie wszystkie piosneczki i gadki żołnierskie, jakie powstały podczas wojny światowej. Niechże skorzysta i z tej piosenki dobrego wojaka Szwejka.

V

Za nieprzyjacielem.

Przy każdym zajęciu zdobywa się doświadczenia i czyni się odkrycia, które pozwalają ściśle określać rzeczy i sprawy przyszłe. Starzy owczarze lepiej od stacji meteorologicznej na Petrzynie znają się na pogodzie; dziewczęta koło Bramy Prochowej tylko raz spojrzą i zaraz wiedzą, czy warto poprosić o papierosa poważnego jegomościa, który w nocy przygląda się budowli banku przemysłowego; doktorzy powiedzą każdemu z góry, że jeśli ma suchoty, a nie ma pieniędzy, to umrze na te swoje suchoty niedługo; ba, w dyrekcji policji praskiej jest pewien radca, który wie, że gdy badany aresztant prosi o szklankę wody, to zamierza się przyznać.

Więc gdy żołnierze marszbatalionu 91 w Żółtańcu dostali raptem rozkaz kopania nowych dużych latryn, stare wygi wojskowe mówiły z wielką powagą:

— Wiecie, chłopcy, to nie jest bez kozery. Jutro, a najdalej pojutrze, pójdziemy stąd precz. Teraz żarty się kończą.

Nikt na świecie nie zdoła objaśnić związku, jaki istniał między latrynami a armią austriacką, ale jedno oddziaływało na drugie, jak plamy na słońcu oddziaływują na wybuchowość wulkanów. Po wsiach nikt i nigdy nie troszczył się o to, gdzie wojsko szuka ulgi, ale jak tylko nadchodziły ja-

kieś wieści o bliskich marszach, żołnierze dostawali łopaty i siekiery z rozkazem wybudowania obszernych i solidnych latryn. Zdaje się, że oddziały armii boją się, żeby te wojska, które przychodzą po nich, nie mogły ich obmawiać.

W Żółtańcu żołnierze kopali latryny wieczorem, a nazajutrz rano był alarm. Do sztabu pułku przybyli dwaj oficerowie ze sztabu generalnego. Przyjechali w zabłoconym aucie, a żołnierze stojący w szeregach witali ich uciesznymi uwagami:

— Niech ich diabli wezmą! — Jak tylko pokażą się te draby w czapkach muzykanckich, zaraz potem jest Vormarsch i awantura. Bóg raczy wiedzieć, co to za głupcy, ci Moskale, że ciągle uciekają, jakby to była osobliwa przyjemność gonić ich wiecznie.

I zaraz się zaczęło. Kompanie stały na nawsiu, do nich podjeżdżały wozy zaopatrywania i żołnierze fasowali. Dwieście patronów, dwa i pół bochenka chleba na pięć dni z góry, dwie konserwy, garść sucharów, torebkę konserwy kawowej. Był to ładunek dla młodego słonia, a nie dla człowieka, który ma robić czterdzieści kilometrów dziennie. Ale taki już był austriacki system wojenny, bo nigdy nie wiadomo było, kiedy się zacznie uciekanie albo gdzie zagubią się tabory podczas marszu.

Żołnierze z cichymi westchnieniami układali konserwy i chleb w plecakach, naboje sypali do chlebaków, plecaków, ładownic, gdzie się dało. A w tyle u swej kompanii Szwejk przemawiał do Balouna:

— Widzisz, teraz my ich popędzimy. A ty gapo nie myśl sobie aby, że to, coś dostał, masz zjeść koniecznie dzisiaj, bo tego starczyć ci musi na cały tydzień. Teraz kuchni nie zobaczysz prędzej, aż nieprzyjaciela pobijemy i rozproszymy. Dopiero wówczas będzie odpoczynek i dostaniemy jeść. Możliwe, że i rum będziemy fasowali.

— Matko Boska Kłokocka! — jęknął Baloun. — Ostatnia godzinka nadchodzi. Przecież ja wiem, że zjem wszystko, zanim pan kapitan powie: Marsz!

— Nie wygaduj głupstw — rzekł uroczyście Szwejk — i pamiętaj o przysiędze i o honorze wojskowym. W Czasławiu przy dwunastym pułku landwery był niejaki Starek, takie pocziwe, zacne, ale głupie bydlę. Jednym słowem, idiota. Gdy narukował i gdy kapral Endler dostał go w swoje rączki, to rzekł do niego: — Jesteś taki głupi, że to nawet niemożliwe, żeby ktoś mógł być takim cymbałem i mógł nie poznać się na tobie, że jesteś głupi. — A ten Starek był tak samo wiecznie niesyty, jak ty. Gdy fasował chleb, to go zabierał z sobą na pryczę i pod koldrą gryzł po kawałku, tak że koło północy nie miał już nawet skórki. Ale gdy się obzeżał chlebem, to zawsze tak śmierdział, że jego sąsiedzi chodzili potem do doktora, a doktor kazał im leżeć jako zatrutym. Ale potem wymiarkowali, z czego to wszystko jest, i tego Starka zawsze na noc wyrzucali, a on sypiał na samym strychu, żeby go nikt nie znalazł. U wszystkich żołnierzy stracił wszelki szacunek i nikt nie traktował go jako żołnierza. Przezywali go rozmaicie, podczas ćwiczeń kapitan wysyłał go gdziekolwiek, żeby go nie miał na oczach. Potem musieli odesłać go do domu, bo żołnierze dwunastego pułku i dwudziestego pierwszego pułku robili dla niego składki komiśniaka. Dostało się to do gazet i za to go z wojska wygnali. Do nas do Budziejowic przybył jeden feldfebel z Czasławia i on nam o tym opowiadał, przedstawiając nam tego Starka jako przykład odstraszący, żebyśmy wiedzieli, do czego dochodzi, gdy żołnierz nie umie opanować swoich namiętności i popędów. A ten feldfebel został do nas przeniesiony za karę, ponieważ w Czasławiu okradał magazyn wojskowy, a rzeczy kradzione zanosił do pewnej kelnerki, bo ją kochał, i kupił jej jedwabną suknię.

Następnie, po skończonej naradzie oficerów, nastął sławny

marsz poprzez moczary i piaski galicyjskie. Był to taki marsz, że ludzie mieli ramiona pokaleczone od plecaków, a skórę na całym ciele pozdzieraną. Na nogach wszyscy mieli pęcherze jak jaja. Trzy dni trwał taki marsz poprzez wsie popalone, a sypiało się w polu. Żołnierze zasypiali, jak tylko poustawiali karabiny. Wszyscy byli tak pomęczeni, że nikt z nikim nie rozmawiał. Z rana ten i ów spróbował coś zaśpiewać, roześmiać się, zrobić dowcipną uwagę, ale wszelkie próby poprawienia nastroju zawodziły. Nabojów nie można było porzucić, ponieważ trzy razy dziennie była rewizja: porzucano więc chleb i bieliznę. Trzeciego dnia wieczorem, gdy batalion rozkładał się dla odpoczynku na skraju młodego lasu, żołnierze wywierali wrażenie umęczonych kalek, a długo w noc wlekli się ku obozowi ludzie słabi i padali na ziemię jak kłody. Z rana, gdy ten i ów budził się ze snu, słyszał od wschodu grzmienie dział, a w pobliżu z lewej i z prawej strony także były armaty: Bum-bum-bum!

Ten stały grzmot przebudził ze snu i Szwejka. Gromadka żołnierzy kręciła się już dokoła swego gospodarstwa i dyskuutowała na temat, gdzie i kto strzela.

— To nasi strzelają. — Nie, to nie nasi, to Rosjanie. Słyszysz przecie, że to całkiem inny huk. — W takim razie Niemcy. — Jakoś niedaleko muszą być armaty. O co zakład, że jeszcze dzisiaj dostaniemy się w ogień.

Nadporucznik Lukasz spędził kiepską noc, bo nogi miał poodzierane, a biodra poodparzane od siodła. Gdy Szwejk zbliżył się do strumienia, płynącego środkiem łąki, zastał tam oberlejtanta rozebranego i siedzącego nad brzegiem. Obmywał się chłodną wodą. Szwejk zasalutował.

— Posłusznie melduję dzień dobry panu oberlejtantowi. Czy dzisiaj dostaniemy kawy? Czy przyjedzie kuchnia?

— Dzień dobry, Szwejku — rzekł Lukasz familiarnie. — No i cóż ty na to wszystko, mój chłopie? Może już dzisiaj znajdziemy się w ogniu. Ale na pewno nie wiem, a czy

przyjdzie kuchnia, także nie wiem. Może będziemy mieli dziś odpoczynek, ale i tego nie wiem na pewno. Wiecie, Szwejku, co jest na wojnie najciekawsze? Że nikt nic nie wie, niby jaki Sokrates. Wiecie też aby, kto to był Sokrates? Grecki filozof. Mędrcom był dlatego, iż mawiał: — Wiem, że nic nie wiem. — Jak się czujecie, Szwejku, po tych marszach?

— Posłusznie melduję, iż mam nadzieję w Bogu, że mi Bóg ześle dość sił, abym dla najjaśniejszego pana umiał znośić dobre i złe — odpowiedział Szwejk. — Czy pan oberlejtant nie ma przypadkiem trochę śliwowicy w swej feldflaszce? Mdło mi jakoś i czuję się nieswój.

— Ale tylko jeden łyk, Szwejku! Nie wychlaj mi wszystkiego! — napominał go Lukasz, widząc, że Szwejk już sięga po butelkę.

— Łyknę tylko raz, żeby nie mieć w ustach złego smaku. Bardzo dobra śliwowica! Posłusznie dziękuję — mlasnął językiem i wierzchem dłoni otarł usta. Potem usadowił się na brzegu i zaczął się przyglądać muskularnym nogom i włochatym biodrom oberlejtanta.

— Pan oberlejtant ma z przeproszeniem ciało takie ładne i gładkie, jak kobieta. Bardzo ładną i delikatną skórę ma pan na sobie. Pod Dzwonem bywała na tańcach pewna dziewczyna, niejaka Marzena Mrazkówna, i też była taka delikatna i biała. Bardzo lubiła chłopaków i na skałach, gdy odprowadzali ją do Brzewnowa, nieraz sobie z nimi zdrowo pofiglowała. Ale nikomu nie pozwoliła, żeby ją poglaskał po kolanach, albo jeszcze wyżej nad kolanami. Chłopcy opowiadali to sobie o niej i dziwili się, więc pewnego razu złapali ją, żeby się przekonać, dlaczego ona na wszystko pozwala, a broni się tylko przeciwko temu. No i pokazało się, że skórę miała jak oskubana gęś, gdy puszczają się jej palki. Taką kostropatą miała skórę. Daję słowo, panie oberlejtant, że zadek miała jak tarkę.

— A ty Szwejku, też się o tym przekonałeś? — zapytał Lukasz, wdzierając kalesony. — Przyznaj się, Szwejku, ile ty dziewcząt zepsułeś?

— Ja, panie oberlejtnant, byłem zawsze porządny, ale miałem takiego kolegę, który mi o tym opowiadał. Bo ten kolega był straszny dziwkarz i o wszystkich przygodach z dziewczynami zapisywał sobie w książce, jak Schicht, co sprzedaje sklepikarzom mydło na kredyt, zapisuje należności. Miał w kieszeni kalendarzyk i w nim zapisywał pod odpowiednią datą imię tej dziewczyny, z którą akurat miał do czynienia, gdzie to się stało, i ile kosztowało. A na Nowy Rok zawsze robił inwentarz, bilans i statystykę. Był to urzędnik banku i znał się na księgowaniu. Nieraz mawiał nam: — Najtańsze dziewczyny, to służące, bo z nimi chodzi się na Cesarską łąkę albo w niedzielę w Zacisze na wycieczkę; szwaczki kosztują o dwadzieścia procent drożej, bo każą się prowadzić do kinematografu; jeszcze droższe, o całe dziesięć procent, są biuralistki, modystki i guwernantki, bo taką trzeba już zabrać do teatru i iść z nią do wędliniarza na kolację; następnie idą dziewczęta z teatru i z baletu: taka chce, żeby jej sprawić suknię, na kolację chce iść do restauracji, ale za to ma własne mieszkanie. Dla naszego urzędnika, to już zbytek, ale i to jeszcze wytrzymać można. Nie można natomiast wdawać się z panną z dobrej rodziny, która nic nie robi i ma wielkie pretensje, bo wtedy trzeba by bank okradać. Taka porządna panna chce kina, teatru, bukietów, wycieczek, sukien, wszystkiego, na Cesarską łąkę taka nie pójdzie, bo jej się koniecznie zachciewa hotelu. Takie oto doświadczenia miał ów znajomy. Wiedział też, co lubią jadać blondynki, a co brunetki, czym można skaptować niewiastę chudą, a czym tłustą, co trzeba mówić Maryniom, co Antosiom i Andziom. Wszystko wybadał i wiedział dokumentnie.

— Miał już widać własną metodę, naukową metodę badania — rzekł oberlejtnant, którego opowiadanie Szwejka za-

czynąło bawić nowością poglądów i oryginalnością zdobytych doświadczeń. Szwejk tymczasem spoglądał pobożnie na flaszkę ze śliwownicą, a ponieważ widział, że oberlejtant zabraniać mu nie będzie, łyknął znowuż i z zadowoleniem dodał:

— O tych niby metodach mógłbym panu także coś opowiedzieć. Na Smichowie był jeden kupiec, a nazywał się Worliczek. Ten znowuż miał specjalną metodę przyjmowania subiektów. Gdy potrzebował sklepowego to zamieszczał w „Politice“ takie ogłoszenie:

Młody uczciwy i gorliwy sklepowy znajdzie miejsce w praktycznym domu handlowym, jeśli nie tyle kładzie nacisk na wynagrodzenie, ile na uprzejme obchodzenie się z nim. Wymagana znajomość języka niemieckiego, palenia kawy i kiszenia ogórków.

Gdy następnie taki sklepowy bez zajęcia posłał mu ofertę i prosił o udzielenie mu miejsca, którego stać się godnym obiecywał przez gorliwe i sumienne spełnianie obowiązków, to ten pan Worliczek wzywał go do siebie do sklepu i mówił: — Mój zacny człowiecze, proszę mi obejść tę ladę. — Młodzian obchodził ladę ostrożnie, a po chwili pryncypał zwracał mu ofertę i świadectwa: — Nie nadaje się pan do mego sklepu, bo chodzi pan zbyt wolno. — Za każdym razem ogromnie w sklepowych przebierał, aż wreszcie trafił na takiego, który latał koło lady niby łasiczka. Pryncypałowi zapaliło się w oczach. — Podobasz mi się, człowiecze, przyjmuję cię — powiada — ale ostrzegam cię, że miałem pewnego razu subiekta, który pijał mój atrament. To się od razu zauważa, ponieważ po atramencie usta są czarne. I okradać też się nie pozwolę i zaraz wszystko poznam. Mam ja swoje metody; jestem mistrzem metod. — No i wysłał tego sklepowego do filialnego sklepu w Koszyrzach, bo mu się ten młodzian bardzo podobał. A ten sklepowy w czasach przed Bożym Narodzeniem wyprzedał mu cały sklep i z pewną dziewczyną od

Kutzerów wyjechał do Italii. Z tego wynika, panie oberlejtnant, że nie każda metoda jest dobra. Z najlepszą można wpaść po same uszy. Ale tam stoi Baloun i spogląda ku panu. Widać nagotował kawy.

Szwejk przy boku oberlejtanta wszedł między żołnierzy, a gdy potem Baloun podał Lukaszowi menażkę z kawą, zasałutował i rzekł grzecznie:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że panu życzę dobrego apetytu.

Na co Lukasz syknął, popijając kawę:

— Dziękuję ci!

— Słuchaj no, Szwejk — pytał go po chwili jednoroczniak Marek — od kiedy spoufaliliście się tak dalece z oberlejtantem, że już cię tyka?

Szwejk spojrział na Marka swoimi szczerymi oczyma:

— Chciał, żebym i ja mówił mu „ty“. Tam nad strumieniem piliśmy jego własną śliwownicą bruderszaft. To bardzo porządny pan i zaczyna tykać, jak tylko słyszy huk armat. Gdy usłyszymy strzelaninę karabinową, to i pan pułkownik będzie z nami na „ty“. Na wojnie panuje już taki obyczaj, że gdy zaczyna być kiepsko, to oficerowie od razu uważają swoich żołnierzy za braci.

Wokoło płonęło z dziesięć ogieńków, a nad nimi syczała woda w menażkach. W wędzie tej żołnierze rozgotowywali konserwy kawowe na gęsty, czarny, śmierdzący i cikliwy płyn. Mokre drzewo dymiło na wszystkie strony i nie chciało się palić, a żołnierze dmuchali w ogień obrzękłymi ustami, aż im z oczu łzy płynęły, albo wymachiwali czapkami, żeby się ogień lepiej palił. Potem ukazał się kapitan Sagner i powiedział żołnierzom, że jest odpoczynek, która to wiadomość przyjęta została z wielkim zadowoleniem. Jeszcze większą uciechę wywołała wieść, że przybędą kuchnie. Cud ten ziścił się koło południa; kuchnia przybyła i to od razu z gotową polewką. Rozdawano ją natychmiast. Polewka była

dobra i Szwejk zdziwił się wielce, że jeden z żołnierzy pokpiwał:

— Gdyby podobne zupy podawano w restauracjach, to na jadłospisach mogliby śmiało wypisywać: Zupa a q u a f o n t., albo jeszcze krócej: H:O.

Szwejk odszukał sierżanta rachuby, Wańka, i powtórzył mu zdanie żołnierza. Waniek się zamyślił.

— To jakiś pysk łakomy tak szczeka. Trzeba przecie oszczędzać, więc wszystkiego dać nie mogę. Ale kucharze, te dranie opasłe, żarły pewno przez całą drogę. To, co powiedział ten łobuz, to łacińska nazwa, i symbol chemiczny wody. Na co sobie taki wszawy łobuz pozwala! Ale, dzisiaj, mój Szwejk, będziemy fasowali wino.

Fasowanie wina, czekolady i różnych innych przysmaków, należało do takich specyfików armii austriackiej, o których żołnierze wyrażali się jednym słowem: złodziejstwo! Wina fasowano jedno wiadro na kompanię: do tego wiadra podchodził feldfelbel sztabowy i nabierał pełną menażkę; po nim szedł sierżant rachuby i czynił to samo; potem po kolei szli kucharze, oficerscy służący i brał każdy, ile się dało, a tym, co pozostało, miano napoić kompanię. Kończyło się tak, że gdy kapral podchodził do swoich żołnierzy i wołał: — Wino dzielić! — na dnie wiadra widzieli żołnierze dwie łyżki czerwonych fusów i dziesięciu chłopu odzywało się jednomyślnie: — Niech pan kapral raczy wypić to sam, bo nie warto wąsów maczać. — Toteż gdy Szwejk powiedział Wańkowi, że się będzie fasowało wino, Szwejk odpowiedział bardzo prosto:

— E, to bluff, bo wino wypiją panowie oficerowie, a nam każą tylko powąchać, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że nie dostajemy wszystkiego, co nam się należy. Podczas ucieczki spod Kraśnika był jeden żołnierz, nauczyciel z zawodu, nie pamiętam już w którym służył pułku; zatrzymał dowódcę korpusu i powiedział mu, że już od tygodnia nie mieli ani ciepłej strawy, ani chleba, a przecie im się to należy. Pan ge-

nerał poklepał go po ramieniu i rzekł: — Ja ja, das ist sehr gut; należeć wam się należy, ale chleba nie ma. To przecie jasne, nicht wahr? — Potem ten nauczyciel był w Pradze w lazarecie, chodził ciągle po izbie i powtarzał: — Dajcie żołnierzom, co im się należy. Sprawiedliwości nie ma, ale się ludziom należy! Czy życzy sobie pan generał sprawiedliwości w majonezie?

— E, mój Szwejku — zdziwił się sierżant rachuby — co za historie wy ciągle opowiadacie! Wojna, to wojna i musi być źle podczas niej. Przypomnijcie sobie, że już w litaniach jest mowa o tym: od powietrza, głodu i wojny zachowaj nas, Panie! Patrzcie, tam już niosą wino. Idźcie się dowiedzieć dla której to kompanii.

Szwejk ruszył naprzód i spotkał żołnierza, który ze strumienia niósł w płóciennym wiadrze wodę. Do tego żołnierza raptem poszedł porucznik Dub.

— Co ty niesiesz? Na co ta woda?

— Posłusznie melduję, że to jest woda dla koni. Dla koni od kuchni polowej.

— Skąd nabrałeś tej wody? Ze strumienia? Do stu milionów diabłów! Od kiedy wolno czerpać wodę ze strumienia?

Żołnierz milczał i spoglądał na porucznika. Widać było, iż wysiła się, aby rozstrzygnąć pytanie: Czy ja głupi, czy on głupi?

— Donnerwetter, to ma być dyscyplina? — krzyczał Dub. — Zugsfürer, czemu temu żołnierzowi nie dodano szarży do asysty? Czy nie wiecie, że gdy szeregowiec idzie po wodę dla jakich koni, to trzeba mu dodawać szarżę? Dlaczego nie poszedł z nim frajter?

Szwejk odpowiedział zamiast feldfebla:

— Posłusznie melduję, że ta woda jest całkiem zdrowa, bo pan oberlejtnant Lukasz umył w niej nogi i pił z niej kawę. Nikt do tej wody nie mógł niczego nasypać, bo teraz

się koniom strychniny nie daje, żeby nie były zanadto bystre. W Radeszowicach był, panie lejtnant, hycel, a zawsze mawiał...

— Mawiał, że cię każe wsadzić do paki, aż szerniejesz jak mumia króla egipskiego — ryknął na niego porucznik Dub. — Ty krowo jedna, nie kpij sobie ze mnie, bo Jezus Maria, gdybyśmy nie stali w obliczu nieprzyjaciela, to nie wiem, co porobiłbym z tobą, żeby się wreszcie pozbyć ciebie, ty zakało regimentu! *A b t r e t e n!*

— Ryczy sobie ten facet jak wół — rzekł jeden z żołnierzy, gdy się porucznik oddalił. — Kiedym służył w Czasławiu, to przy landwerze był tam dziadyga Cibulka. Też tak ryczał. Raport przyjmował zawsze konno, więc trzeba było ryczeć na cały dziedziniec, a on sam ryczał najgłośniej: — Ty smarkaty rekrucie, gadaj głośno, bo ci pysk rozedrę. Co to jest, żeby tak szeptać, jak stara kurwa, gdy idzie do spowiedzi! Do stu diabłów! Pomyślcie przecie, że przed wami stoi wasz kapitan i że dla takich smarkatych rekrutów nie będzie przecie wysilał swoich uszu. Ten kapitan ryczał tak głośno, że z całej okolicy kobiety wysłały deputację do pułkownika, żeby mu tego ryczenia zakazał, bo się dzieci budzą ze snu i z przestachu dostają konwulsji.

Po południu cały obóz przemienił się w wielki tłum nagich małąp, tępiących wszy. Każdy trzymał tu przy oczach koszulę albo gacie i zaglądał między szwy, tropiąc z wielką zaciekłością wszy i gnidy. Niektórzy wyjmowali pudełka z szarą maścią i rozcierali ją po biodrach i plecach, budząc zawiść tych, którzy o takim środku ochronnym przeciwko wszom zapomnieli. Rozpoczęła się oryginalna dyskusja:

— Mówią, że najlepszym środkiem przeciwko wszom jest olejek gwoźdźkowy — zadeklarował pewien wążacz, który wszów nie zabijał, ale prztykaniem paznokci strącał je w trawę. Podobno wystarczy kilka kropelek tego olejku i wszystkie wszy wyzdychają. Ale ja ich mam zbyt dużo i potrzebowałbym przynajmniej litr olejku.

— Lepiej wysmarować się naftą — wtrącił drugi. — Nafta zabezpiecza od wszów i ludzi i świnię.

— Podobno wszy nie trzymają się wcale w bieliznie jedwabnej — zaczął trzeci. — Pisali w „Politice“, że kto nosi bieliznę jedwabną, ten wszów nie dostanie.

— To prawda — odpowiedział Szwejk — ale nie wszyscy możemy chodzić w jedwabiach. Najlepiej plenią się wszy w grubych trykotach. Po kilku dniach ma się ich pełno, niby maku. Dobrze byłoby pozostawić je, żeby powyzdychały na uwiad starczy, ale nie wolno, żeby żołnierz pozwolił zjeść się wszom. Żołnierz jest od tego, żeby zginął za najjaśniejszego pana, a nie od tego, żeby się nim pożywiło kilka głupich wszów.

Dzień był jasny i piękny. Ludzie wyprali sobie bieliznę, obmyli przepecone nogi i zabrali się do gry w karty. Ze wszystkich stron słychać było: — Wino, czerwień, siódemka... Wychodź w waleta, ty idioto... — Jednocześnie pod paznokciami trzaskaly zabijane wszy. Jeśli wszy mają swoje dzieje, to w tych dziejach rok 1914 będzie wryty złotem na marmurze jako rok nieopisanej wprost płodności i żywotności tego stworzenia.

Szwejk, który grał w karty do samego mroku, poszedł spać w pobliżu kuchni. Pod płaszczami leżeli tam już: Baloun, Waniek i jednoroczniak Marek. Spoglądali w głąbie błękitnego nieba wyłoczonego gwiazdami, a Jurajda wywodził:

— Każda z tych gwiazd, to świat. Astralny świat. Gdy się pomyśli, że gwiazd, czyli słońce jest około 20 milionów, gdy człowiek zacznie wyobrażać sobie odległość, na której przebycie światło potrzebuje 537 lat, gdy przypomnimy sobie, że słońce jest półtora miliona razy większe od ziemi, to czymże jestem ja razem ze swoją kuchnią polową i co znaczy tych kilka kilometrów, któreśmy przemaszerowali!? Wszechświat jest ogromny i ma swoje olbrzymie tajemnice, ale my nie wie-

my, kto tam jest i jakie stworzenia zamieszkują te przestwo-
ry.

— Chciałbym tylko wiedzieć — mówił jednorocznik Ma-
rek — czy są tam tacy idioci, aby toczyli z sobą wojny.

— Może tak, może nie, nikt nie wie. Może mieszkają tam
ludzie, może zwierzęta, w które wcielają się dusze zmarłych,
zanim ponownie wrócą na ten świat. Czytałem o tym
w książkach Flammariona.

— Trochę prawdy w tym może i jest — odezwał się
Szwejk — i gdyby pan feldfelbel znał panią Marszałkową na
Żyżkowie, to by głową nie kręcił. Ta pani była wieśniaczką,
wróżyła z kart i miewała przecucia, co się stanie w przy-
szłości. Mieszkała przy ulicy Cimburkowej, ale ludzie garnęli
się do niej z całej Pragi, bo dobrze umiała wróżyć i każde-
mu powiedziała, co było trzeba. Nawet duchy wywoływała.

— A czy byliście u niej, Szwejku, na seansie spirytystycz-
nym? — zapytał Jurajda.

— Ja się do takich seansów nie nadaję — mówił
Szwejk — ale słyszałem o pewnym medyku, który u niej
mieszkał. Ten medyk miał niby zbadać tę wieszczkę w inte-
resie wiedzy i stał się medium pani Marszałkowej. Gdy się
„Pod kielichem“ dobrze wstawił, to nam o tym opowiadał.
Więc ta gospodyni i ten medyk utworzyli spółkę i jak tylko
zaczęła się wojna, to kobiety wystawały w ogonku przed mie-
szkaniem tej wieszczki. Ale potem ta Marszałkowa nie chcia-
ła powtarzać wszystkim niewiastom to samo, że mąż wróci
z wojny zdrów i cały i że przez wiele lat cieszyć się będzie
szczęściem małżeńskim, i niejednej powiedziała, że mąż stra-
cił na wojnie nogi czy głowę, czy też inaczej został okaleczo-
ny. A te głupie baby zaczęły wymyślać na wojnę i przeklinać
najjaśniejszego pana, że im zabrał żywiciela. Policja capnęła
jedną i drugą, a te wygadały wszystko, że wieszczka powie-
działa im o smutnych przygodach ich mężów. Więc policjanci

zabrali się i do pani Marszałkowej i w dyrekcji policji chcieli ją najprzód powiesić za zradę główną, ale potem ją puścili, tylko że jej nakazali przepowiadać ludziom same dobre rzeczy, a brać może za to, ile zechce. Ale ona się tak przestraszyła, że zarzuciła swoje rzemiosło i już tylko pomagała owemu medykowi. Pewnego razu przyszła pani adwokatowa, dama bardzo wykształcona, bo się jej niby śniło, że jej mąż, który na Hradczanach sądził ludzi za obrazę najjaśniejszego pana albo za dezercję, umarł czy też poległ w walkach i że dusza jego za karę wcieliła się w konia. Należało mu się, oczywiście, bo był dla ludzi draniem. Przecież nawet jednej babinie wlepił osiemnaście miesięcy za to, że kupowała sobie pantofle, a gdy Żyd zażądał za drogo, rzekła: — Żeby też już Moskale przyszli! — Więc ta pani adwokatowa dała wróżce pieniądze i kazała sobie ten sen wytłumaczyć. Marszałkowa nie chciała o żadnym wróżeniu nawet słyszeć. Pani adwokatowa dodała jeszcze, a wróżka poszła zbudzić medyka, który był mocno wstawiony i spał. Na posiedzeniu z panią adwokatową też zaraz usnął i Marszałkowa musiała mu dawać sójki w bok, żeby odpowiadał na pytania. I zaraz też, jak tylko ten duch na niego zstąpił, rzekł że czuje się być w koniu i że to jest kara. Pani adwokatowa mdlała i pytała, czy ta dusza długo musi przebywać w koniu. Pani Marszałkowa szturchnęła medyka, a on odpowiedział: — Tak długo, dopóki nie przyswoję sobie wszystkich przymiotów konia. — A czy, kochanie, dużo jeszcze uczyć się musisz? — szepnęła ta pani adwokatowa. — Już niewiele; umiem już żreć owies, pić z kubelka, żuć siano, spać stojąc. Dusza moja zostanie wyzwolona — deklamował medyk — jak tylko nauczę się pierdzieć w biegu. Tego jeszcze nie umiem. — Potem ta pani Marszałkowa dostała się do kozy.

Sierzant się roześmiał jak tygrys w śpiącej dżungli, a rozgniewany Jurajda kopnął Szwejka w zadek.

— Jesteście, mój Szwejku, nie tylko idiota, ale i świnia.

Pokpiwacie sobie z wiedzy najtajniejszej. Bóg was za to ukarze. Nie ważcie mi się przychodzić do kuchni i obierać kości.

— Między niebem a ziemią jest wiele rzeczy— odpowiedział Szwejk — które są tajemnicą niezbadaną. Jak na przykład takie wszy. Czy mógłby mi pan powiedzieć, na co wszy są na świecie? Dzisiaj, ponieważ się umyłem i wdziałem czystą bieliznę, czuję się tak dobrze, jakbym spoczywał na sprężynowym materacu. Na biodrach miałem już strupy od brudu, na kolanach rósł mi mech, a między palcami robił mi się ser. Czy panu pocą się nogi, panie Jurajda?

Kucharz, zagniewany na dobre, milczał, a jednorocznik mówił zasypiając:

— Niech granaty padają jak deszcz, niech bitwa grzmi, niech działa ryczą, bo z tego nic sobie nie robi nasz bohater, plutonowy 91 pułku, Antoni Wychodził z Wyżerek pod Czeskim Brodem. Kroczy naprzód po palmę zwycięstwa. — Potem zamruczał coś pod nosem i obróciwszy się na drugą stronę, szeptał: — Chłodna ziemia galicyjska kryje to serce bohaterskie, na którym spoczywał wielki srebrny medal za męstwo. Pozostała po nim suchotnicza wdowa i pięcioro drobnych dzieci...

Historyk batalionu cierpiał na manię wynajdywania różnych głupstw dla sławy armii. Nie miał spokoju nawet w nocy i robił uwagi, za które nieraz dostałby się do paki. Z pobliskiego namiotu oficerskiego dochodziły odgłosy jakiejś sprzeczki, a Szwejk, któremu jeszcze ciągle spać się nie chciało, obserwował niebo i myślał, czy też księżyc świeci tak samo nad Pragą i było mu jakoś nieswojo, że starym obyczajem nie gryzły go wszy. Półgłosem przyśpiewywał sobie.

Ajmazońscy czeladnicy
Do gąiku szli,
Siedli sobie w lubym cieniu
I wiskali wszy.

Z Kromierzyża na Hodomin
Furę ciągną wszy,
Jedna siedzi na koziołku,
I fajeczkę ęmi.

Zauważywszy, że i Jurajda nie śpi i stale wzdycha, zwrócił się do niego:

— Słyszał pan już o tym profesorze, co miał przygodę z wszą? Było to w Młodej Bolesławi, gdzie był taki pan profesor nauk przyrodniczych, który się martwił, że w zbiorach owadów nie ma wszy. Pcheł miał dość, ale wszy ani jednej. Kiedy regulowano Izerę, to na roboty przybyli włóczęgi z różnych stron świata i profesor dowiedział się, że tym ludziom wszów nie braknie. Wybrał się do nich pewnej niedzieli i wziął na wszy buteleczkę. Nad brzegiem rzeki siedział akurat jakiś obdartus, wiszcze się i rzuca wszy do rzeki. A ryby lubią wszy jak wściekle. Więc mój profesor powiada temu włóczędze, że potrzebuje kilka wszy do zbiorów szkolnych i prosi o takowe. Mój obdartus sięga pod pachę, wyjmuje pięć sztuk jak ziarna jęczmienia, podaje je profesorowi na dłoni i mówi: — Pięć sztuk po dwadzieścia centów, to korona. Proszę o pieniądze! — Ale profesor był sknera i ani myślał płacić. — Przecież — powiada — nie będziecie, mój człowiecze, żądali pieniędzy za wszy. — A ten włóczęga schował wszy za pazuchę i wrzasnął na profesora: — To je pan sobie wyhoduj sam! — Ten włóczęga, to były docent filozofii, socjologii i ekonomii społecznej, a puścił się dlatego, że jego żona miała z innym dziecko. Rozumiał on bardzo dobrze, że jeśli ktoś chce mieć wszy, to powinien za nie płacić, jeśli sam ich nie chce hodować. Towar, to zawsze towar. Tak czy nie, panie Jurajda?

Jurajda, który nie umiał się gniewać zbyt długo, odpowiedział pojednawczo:

— Zdarzają się, panie Szwejk, takie przypadki, nad którymi trzeba się zastanowić, a które bynajmniej nie są śmie-

szone. Kobiety zmarnowały już wielu ludzi i tego cały system słoneczny naprawić nie zdoła. Ja, panie Szwejk — Jurajda był bardzo wzruszony i dlatego nazywał Szwejka panem — w tej chwili staram się zgłębić zagadkę, czy moja żona dostrzymuje mi wierności i nie łamie przysięgi, sypiając z innym. Dawno już bawię poza domem, a ona jest ładna i ma czarne ogniste oczy. Dawniej, panie Szwejk, gdy rycerze wyruszali na wojnę, to małżonkom swoim nakładali takie zmyślne pasy, że wiarołomstwo było wyłączone. Słyszał pan o tym niezawodnie. Jutro, panie Szwejk, będziemy mieli na obiad gulasz z konserw i kartofli. Ja dla pana trochę odłożę na bok. Oby tylko Bóg dał, żeby mi się małżonka nie puściła.

— Słyszałem o takich pasach wierności, a nawet czytałem — pośpieszył Szwejk z odpowiedzią, słysząc o jutrzejszym gulaszu. — Było to podczas wojen krzyżowych, kiedy to rycerze chadzali bić psów niewiernych, Turków i pogan, aby zdobyć Ziemię Świętą. Takie pasy, panie Jurajda, znajdują się nawet w muzeum w Paryżu. Pisał o tym Horkey, literat, który wydawał w Pradze gazetę. Ten pan Horkey bardzo te pasy zachwalał i pisał, że o nich istnieje mnóstwo najdelikatniejszych dowcipów. W Paryżu są podobno trzy rzeczy najciekawsze: trupiarnia, w której przechowują na lodzie nieboszczyków, co umarli na mieście bez podania adresu, Moulin Rouge, gdzie się schodzą uczynne panienki, i to muzeum, w którym znajdują się owe pasy, zabezpieczające wierność małżeńską. Szkoda, panie Jurajda, że nie wysłano nas raczej na front francuski. Po zdobyciu Paryża bardzo chętnie poszedłbym popatrzeć na takie pasy.

— Na co zdałby się taki pas — westchnął Jurajda — gdy my bylibyśmy w Paryżu, a żona w domu. Taki pas, panie Szwejk, to rzecz bardzo ważna i artystyczna. Zrobiony musi być na miarę, dokładnie. A żona, dajmy na to, rozmyślnie pośle inną miarę.

— W naszych czasach — zauważył Szwejk — nawet i dobra

miara mogłaby się na nic nie przydać. Na świecie panuje teraz same cygaństwo i złodziejstwo. Taki pas, panie Jurajda, zamykał się na zameczek, a klucz pod karą śmierci mógł ślusarz zrobić tylko jeden. Ten kluczyk zabierał rycerz z sobą do boju, nosił go na sercu, a gdy było po bitwie, a psów saraceńskich wymordowano sporo, albo gdy rycerz dostał się do niewoli, to się modlił do Najświętszej Panny, żeby mu strzegła tego skarbu, od którego on miał kluczyk. Ale dzisiaj, panie Jurajda, klucze najróżniejsze wyrabiane są u Hoffmana w Horzowicach na pudy, a u Rotta na Małym Ryneczku można ich sobie kupić, ile wlezie. Dzisiaj ludzie umieją włamać się nawet do kas ogniotrwałych, a tam są przecie zameczki nie byle jakie. No i te damy dawniejsze inne były niż teraz, chociaż dużo musiały wycierpieć. Niech pan tylko spojrzy na stare obrazy, przedstawiające te panie: każda blade jak lilia. A jednak modliły się za małżonków swoich i czekały cierpliwie, aż pan wróci z kluczykiem. Jeśli zaś rycerz poległ, to pani jego z tym pasem szła do grobu. Na sądzie ostatecznym poznamy je łatwo, panie Jurajda. Nie myślę przyganiać pańskiej małżonce, bo jej nie znam, ale ponieważ która kobieta to taka polatucha, że gdyby jej mąż kazał zrobić taki pas, choćby nawet całkiem malutki i gdyby go nie zakuł na amen, to by zaraz poleciała do ślusarza, żeby jej dorobił kluczyk albo wytrych.

— Tak to, tak — westchnął Jurajda — niełatwe ma życie człowiek żonaty.

Dookoła wszyscy już spali i słychać było tylko rytmiczne oddechy, chrapanie i pogwizdywanie. Czasem dał się słyszeć odgłos kroków frajtra, który rozprowadzał strażę. Cała okolica pogrążona była w głębokim pokoju, który nagle przerwało czterokrotne wściekłe szczeknięcie dalekich dział. Szwejk już zasypiał, ale ciągle napastowała go myśl, że na froncie francuskim byłoby lepiej, bo po zdobyciu Paryża można by zwiedzić muzeum z pasami chroniącymi cnotę.

— Ukradłbym jeden z nich i przyniósłbym go jako zdobycz wojenną dla pani Müllerowej — pomyślał przed zaśnięciem.

— Saperzy pod gradem szrapneli budowali most... Wytrwać, a zwyciężymy! — mówił przez sen jednoroczniak Marek, rzucając się na pościeli.

Jurajda poczuł się sam na tym olbrzymim świecie, który przytłaczał go swoją wielkością. W przededniu bitwy żołnierze myślą o tym i owym, a powieściopisarze opowiadają zawsze, jak to żołnierze w takich chwilach jednoczą się duszą ze swoim narodem i państwem, jak życie ich własne wydaje się im lichym w porównaniu z całą ludzkością i jej sprawami, i jak chętnie zgadzają się zginąć, wiedząc, że ból ich jest nikły w porównaniu z bólem świata. Może tak jest, może nie, ale kucharz Jurajda myślał w tej chwili tylko o tym, czy przy żonie w łóżku nie leży teraz inny i nie pięści jej. Wszystko inne nie interesowało go w tej chwili. Tuż obok niego głębokim basem pochrapywał dobry wojak Szwejk, który już w drodze na front wyraził się:

— Grać porządnie w mariasza, to sprawa dla nas daleko ważniejsza niż cała wojna światowa.

Rano nikt nie wiedział, co się będzie robiło. Kapitan Sagner nie miał jeszcze rozkazów dla swego batalionu, dowódca pułku także nie. Kapitan Sagner gniewnie odpalił kadeta Bieglera, który chciał mu zaimponować umiejętnością odczytywania map, i razem z Lukaszem udał się nad strumień, gdzie oberlejtant powtórzył odświeżającą kurację przemęczonych nóg i odparzonej skóry. Lukasz narzekał, że konna jazda sprawia mu duże trudności, ale kapitan pocieszył go, że to jest kwestia przyzwyczajenia. Żołnierzom poprawił się humor, jak tylko dostali kawę, a potem zabrali się ponownie do gry w karty o zapalki i grosze. Gdyby nie grzmiały działa na północy, wszystko przypominałoby spokojne manewry.

Około południa zaterkotał telefon, oficerowie zbiegli się na naradę, a plutonowi krzyczeli:

— Alarm! Alarm! Do stu diabłów, rzućcie te karty! Nie słyszycie, że alarm!? Chcecie dostać po łbie?

Po pięciu minutach cały batalion stał w szeregach z tobołami na plecach i z karabinami w garści.

Do późnej nocy maszerowano żwawym krokiem. Batalion wyprzedzały straże i niezbędne Verbindungi. Żołnierze przeszli przez kilka wsi, gdzie widać było jawne ślady dawniejszych walk. Następnie znowu odpoczywano w lesie.

Kuchnia przyszła za oddziałem dopiero nad ranem. Gulasz, który miał być zjedzony dnia poprzedniego na obiad, był teraz na śniadanie. Armaty grzmiały już całkiem blisko, a niektórzy twierdzili, że w nocy słychać było wyraźnie karabiny maszynowe. Jednych opanowała nerwowość, drudzy stawali się apatyczni, obojętni na wszystko, co się stanie z nimi i z innymi. Ledwo że gulasz został rozdany, gdy przyleciał Meldereiter i znowuż był alarm. Żołnierze rękoma pchali jedzenie w usta, żeby nie musieli zarzucać je, a oficerowie kończyli konferencję i długo patrzyli na mapę, tocząc spór o kierunek drogi. Kapitan Sagner długo kręcił głową nad rozkazem, porównyując wskazany kierunek z mapą. Potem porozchodzili się do swoich oddziałów.

— Żołnierze! Zadanie, które mamy przed sobą, to wielkie głupstwo. Być może, iż do linii bojowej w ogóle nie dojdziemy, bo nasza brygada tworzy trzecią rezerwę. O jakie dwie mile stąd stoi batalion rosyjski, zbłąkany w głębi lasu. Moskale siedzą tam od wczoraj i nie wiedzą, jak się wydostać. Nasz pułk ma za zadanie las otoczyć i zabrać Rosjan do niewoli. To właśnie zrobimy. Rosjanie poddadzą się z wielką uciechą, może nawet bez wystrzału. Nie bójcie się, bo jak powiadam: to głupstwo. Hurra! Hurra! Hurra!

Szeregowcy odpowiedzieli jakimś niezdecydowanym „Hurra“! i kapitan Sagner wydał dyspozycje, w jakim porządku

mają iść kompanie. Żołnierze, którzy już brali udział w bitwach, mówili:

— Jezus Maria, jeśli tworzymy trzecią rezerwę, to najdalej za godzinę dostaniemy lanie. Pod Gródkiem też byliśmy trzecią rezerwą i po trzech kwadransach dostaliśmy w skórę. Zawsze się gada o jakiejś trzeciej rezerwie. Niech mnie powieśz, jeśli nas nie prowadzą gdzieś, gdzie nie ma ani jednego naszego żołnierza. Uważajcie, chłopcy, że zanim wam się ten gulasz uleży w żołądku, dostaniecie lanie.

Jest godne uwagi, że Czesi w wojsku austriackim nigdy nie mówili: — Będziemy się bili — albo: — Będziemy ich bili — ale zawsze wyrażali się o tej rzeczy w trybie aż nadto biernym: — Dostaniemy lanie. — Jedenasta kompania miała iść przodem jako *Vorhut*, czwarty pluton szedł jako szpica, a łączniki miał pod sobą kadet Biegler. Kadet sam kroczył z sześciu szeregowcami na czele, a wśród tych sześciu był Szwejk, który dobrowolnie zameldował się jako patrol. Reszta żołnierzy wyciągnęła się w długą linię, żeby się nie stracić z oczu i żeby jeden żołnierz mógł dawać drugiemu znaki, w jakim kierunku idzie szpica. Ci, co prorokowali, że za godzinę dostaną lanie, mylili się. Marsz trwał już dwie godziny przeszło, a o nieprzyjacielu ani słycho, ani dychu. Nastrój poprawił się, osobliwie, gdy odgłosy strzelaniny zacięły. Mniemano, że Rosjanie wycofali się co rychlej i że teraz nie zatrzymają się wcześniej aż w Moskwie. Ku wieczorowi batalion dotarł na skraj lasu, gdzie na niego czekała szpica, nie mająca rozkazów co do dalszego marszu. Nowego rozkazu nie było i dopiero w nocy przybył *Meldereiter* z rozkazem, że oddział ma się rozłożyć na miejscu i czekać na wyjaśnienie sytuacji do jutra. Kapitan Sagner zaprowadził swoich żołnierzy głębiej w las i nakazał ostre pogotowie. Wszyscy mieli być przygotowani do boju na pierwszy alarm. W lesie było ciemno, noc była chłodna, padał natrętny, drobny, zimny deszcz. Przed północą nikt nie spał, żołnierze

przemokli tak dalece, że woda spływała im po plecach i nogach. Spróbowali rozniecić ogień. Drzewa było dość, w pobliżu była poręba, ale zaledwie błysnął płomyczek, gdy się zajęło wysuszone drzewo, przyleciał porucznik Dub i nakazywał:

— Zagasić! Natychmiast zagasić! Czy chcecie, żeby do nas zaczęli strzelać?

Żołnierze niechętnie gasili ogień, mrużąc coś o trzeciej rezerwie, ale lejtnant był jak wściekły.

— Który z was odważa się nie słuchać? Stulić pyski! Dla waszego ognia nikt nie ma ochoty kazać się zastrzelić. *H e r r g o t t*, nie starajcie się mnie poznać!

I zamasyżycie kopnął w ogień, aż się wszystko rozleciało.

— Ależ, panie lejtnant, niech pan da spokój — odezwał się w ciemnościach głos nadporucznika Lukasz, który tak już był rozdygotany od zimna, że mu zęby szczękały, jak w febrze. — Niech pan da spokój. Sam się pan też ogrzeje. Pozapalajcie, chłopcy, kilka ogni, także i dla nas jeden. Diabli wiedzą, czy w tym lesie w ogóle są Moskale, czy też są gdzieś daleko. A nad lasem nikt ognia nie dostrzeże.

Żołnierze pobiegli do poręby po suche drzewo i wkrótce wrócili z naręczami polan. Niebawem płonęło kilka ogni. Przy jednym usadowili się oficerowie i słuchali kapitana Sagnera, który klął głośno:

— Diabli wiedzą, czy jesteśmy tam, gdzie być mieliśmy. Do stu tysięcy diabłów, w sztabie brygady pokręcą zawsze wszystko. Przyjmują meldunki, wydają rozkazy i żadnemu z takich panów nawet do głowy nie przyjdzie, żeby pomyślał, czy jego rozkaz może być wykonany.

Wyjął mapę, rozłożył ją na kolanach i podał nadporucznikowi Lukaszowi rozkaz brygady.

— Przeczytaj sam. Według meldunku oddziału sprawozdawczego na wzgórzu 431 znajduje się oddział nieprzyjacielski w sile około 600 ludzi, ukrytych w lesie. Rozkaz: Marsz-

batalion 91 p. p. idzie jako samodzielny détachement w kierunku wzgórza 431, aby otoczyć nieprzyjaciela znajdującego się w lesie na wzgórzu 431. Meldunki kierować do dowództwa brygady.

A teraz proszę spojrzeć na mapę: kawał boru, jakaś głupia rzeczulka, drogi nie ma i same moczary. Nie ulega wątpliwości, że Rosjanie się cofają, ale żeby mieli włązić akurat tutaj, tego zrozumieć nie mogę.

Lukasz spoglądał na mapę, nie mając nic do powiedzenia. Zamiast niego odezwał się pan lejtnant Dub:

— Nie mamy prawa oczekiwać, że Rosjanie będą postępowali tak, jak w okolicznościach podobnych postępowałibyśmy my. Rosjanie mają swoje doświadczenia z czasów wojny z Japończykami, mają lekkie tabory, bardzo ruchliwe i zdolne przedrzeć się nawet przez teren najgorszy. A galicja jest akurat taka, jak cała Rosja. Nieprzyjaciel przyzwyczajony jest do pokonywania takich trudności terenowych już z domu.

Sagnera drażniła opozycja, z jaką przy każdej sposobności wrywał się porucznik Dub, ale pozwolił mu gadać i zwrócił się do nadporucznika Lukaszka:

— Śliczna noc, co? Ja już dostaję zimnicy. Diabli wiedzą, dlaczego musimy tak starannie omijać kwatery po wsiach. Chyba dlatego, żeby żołnierze nie zawstawili mieszkańców. Nie, jeśli przez parę dni miałyby być tak jak w tej chwili, to ja tego nie wytrzymam. Na takie rzeczy trzeba mieć zdrowie żelazne. Sądzę, kolego, że niedługo pójdziesz na czele batalionu jako dowódca, a ja tymczasem będę sobie smarował nogi maścią od reumatyzmu.

Kapitanowi Sagnerowi zaczynała się taka wojaczka nie podobać. Front w ruchu, Rosjanie się cofają, sam diabeł wie, gdzie człek wlezie z batalionem i czy wróci z głową do domu. Szpital byłby przyjemniejszy, to chyba jasne. Zresztą wszyscy byli ciągle przekonani, że wojna skończy się lada dzień. Rosjanie zbliżają się już do swoich granic, więc po co pchać

się za nim? Czy to ma sens? Kapitan nie zawahał się dać wyraz tym myślom.

— A właśnie, że trzeba iść za nimi koniecznie — wywozili porucznik Dub. — Rosjanie liczą tylko na rozległość swego państwa i na obszary, od których oczekują ratunku. Zapomnieli, że dziś mamy rok 1915 a nie 1812; rosyjscy generałowie nie myślą o tym, że dzisiaj walczy się inaczej niż ongi, gdy Napoleon szedł na Moskwę. W owych czasach armia musiała się żywić tym, co znajdowała w okolicach, przez które przechodziła, dzisiaj za tyralierą, która idzie naprzód, od razu buduje się kolej, a kolej dowozi wojsku wszystko, co potrzebne, z kraju. No i Francuzi nie byli przyzwyczajeni do rosyjskich zim, które dla nas są drobiazgiem. Mamy chwałę Bogu, za sobą jedną zimę w Karpatach.

— Teraz za armią wożą pocztówki z widokami, proszek do zębów i Bóg wie co tam jeszcze. Jeśli wojna potrwa jeszcze lat kilka, to na froncie można będzie dostać i smoczki gumowe — ziewnął nadporucznik Lukasz, który nienawidził wszelkiego teoretyzowania. Widząc zaś, że i innym gadanie porucznika Duba jest wstrętne, zawołał Szwejka, który przysłuchiwał się przy drugim ogniu opowiadaniu o najskuteczniejszym sposobie tępienia myszy polnych przez sypanie zatrutego ziarna do nor mysich.

— U nas zastawiają na nie pułapki — rzekł jeden z żołnierzy. — W tych pułapkach myszy się duszą. Gdy ich jest dużo, to się nie nadąży zmieniać pułapek.

— Lepiej chodzić za pługiem i zabijać je miotłami — sprzeczał się inny — bo w takim razie wytępią się je razem z młodymi.

Szwejk chciał o tym coś powiedzieć, ale gdy usłyszał głos nadporucznika Lukasza, zerwał się i stanął przed nim.

— Szwejku — zapytał porucznik Dub — czy nie prowadzicie tam jakiej agitacji? O czym tam rozprawialiście?

— Posłusznie melduję, panie lejtnant — odpowiedział Szwejk — że rozmawialiśmy o wojnie. Koledzy powiadają, że Rusów jest dużo i że najlepiej tępić ich miotłą razem z młodymi. Podobno i myszy tępi się w ten sposób.

Lejtnant ugryzł się w język, bo wyczuł, że Szwejk kpi sobie z niego.

— Jakże tam, Szwejku — zapytał Lukasz — czy nie boisz się lasu w nocy? Widzisz, bratku, teraz zaczyna się awantura na dobre. Takie noclegi możemy teraz mieć i siedem razy w tygodniu. Jak się czujesz?

— Posłusznie melduję — odpowiedział Szwejk — że czuję się dwojako. Od frontu już jestem suchy, a po plecach sływa mi woda. Proszę pana oberlejtnanta, i w czasie pokoju niełatwo jest znaleźć sobie nocleg z komfortem, bezpieczny i z wszelkimi wygodami. Czy pan oberlejtnant był kiedykolwiek w Nymburgu? Jeśli pan tam nie był, to oczywiście, nie zna pan tam wszystkiego, jak się należy. Jest tam hotel „Praga“. Bardzo solidny i porządny hotel. Otóż pewnego razu niejaki Benesz, sztukator, chciał swojej żonie na urodziny podarować rasową kozę. Już panu mówiłem, że miałem handel psami, ale gdy kto chciał kupić jakie inne zwierzę rasowe, to mu się o nie postarałem. I właśnie wtedy przeczytałem w „Politice“, że w Nymburgu nr 286 jest na sprzedaż piękna koza rasowa. Więc po tę kozę pojechałem, ale przyjechałem za późno, bo koza była sprzedana. Radzili mi, żebym się rozejrzał po okolicy, że może taką kozę znajdę gdzie indziej. Ale już był późny wieczór, a w Nymburgu był jarmark, więc w żadnej gospodzie nie mogłem znaleźć noclegu i trzeba było iść do tego hotelu „Praga“. Dałem dozorczy parę groszy w rękę, a ten obiecał mi za to pokój na noc, ale potem okazało się, że pokoju nie ma i zwracał mi napiwek. Wtem przechodził właściciel hotelu i pytał się, o co niby chodzi. Mówię tak i tak, że nie mam się gdzie przespąć. A on mówi do dozorczy:

— Powiedzcie panie kelnerce, żeby dzisiaj spała z poko-

jówką i zaprowadźcie tego pana do pokoju kelnerki. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że było mi bardzo żal, że tej kozy kupić nie mogłem, i z tym żalem nie mogłem pójść spać. Więc poszedłem na dół między gości, wypilem coś niecoś i wygrałem guldena i trzydzieści sześć grajcarów w mariasza. A potem stróż mnie zaprowadził na górę do pokoju tej panienki. Bardzo ładnie było w tym pokoiku, a na łóżku leżał koronkowy szlafroczek. Nawet nie wiem, panie oberlejtnant, co mi przyszło do głowy, ale wziąłem i przymierzyłem sobie ten szlafroczek. Zrzuciłem koszulę i gacie i wdziałem ten szlafrok damski. Bardzo mi w nim było do twarzy i przyjemnie było mieć go na skórze, bo był taki mięciutki i ładnie pachniał. Więc położyłem się w nim do łóżka i nawet nie zamknąłem drzwi na klucz. Spałem dobrze, aż mnie przebudziły kroki na schodach. Nagle ktoś otwiera drzwi i ku mnie zbliża się jakiś pan, a musiał być wstawiony, bo o mały figiel byłby się przewrócił o krzesło. Usiadł na krawędzi mego łóżka, zdjął kamazki i zaczął się rozbierać; przystawił do łóżka krzesło i ubranie ułożył na nim bardzo starannie. Są tacy ludzie, co nawet po pijanemu robią wszystko, jak się należy. Znałem niejakiego Buresza, szewca ze Zderazu, który po pijanemu rozebrał się pod pomnikiem Palackiego, ubranie złożył bardzo starannie, buty podłożył sobie pod głowę i nawet sztuczną szczękę wyjął z ust i położył ją na jednej z figur na plecach. Tak go tam rano znaleźli i w pleciance zanieśli do komisariatu. A w komisariacie doktor uznał go za wariata, więc go odstawiono do Katarzynek, gdzie jego stan umysłowy badali profesorowie, a pewien docent wziął go z sobą na wykład i demonstrował na nim pigmalionizm, czyli, że ten Buresz miał przekładać pomniki nad żywe niewiasty. Tak samo jak ten pułkownik Redl z Małej Strony, co to sprzedał Austrię naszym nieprzyjaciółom, i potem dla ratowania czci oficerskiej sam się musiał w Wiedniu zastrzelić. Mówił mi, proszę pana oberlejtanta, pewien tajny policjant, że ten pan

pulkownik miał trzy szafy, a w tych szafach trzy wielkie lale gumowe. Każda była jak dorosła kobieta i miała wszystko, co się należy. Opowiadał mi też, że raz pewnego ten pan pulkownik podarował jedną z tych lal burszowi, bo miała jakiś tam brak i już wychodziła z mody. Otóż ten docent mówił o tym szewcu to i owo do swoich słuchaczy, a mój szewc nie wytrzymał i w krzyk:

— Ach ty drabie — powiada — nie obrażaj mnie, bo ja mam żonę i nigdy żadnemu posągowi nie robiłem propozycyj niemoralnych. Ja jestem żonaty, ty idioto, więc o mnie nie wygaduj takich głupstw, bo ci dam w pysk.

— A że ten profesor nie przestawał wygadywać, więc mu dał po głębie, a potem był dwa lata w Bohnicach i dopiero gdy go wypuścili, znalazł sobie adwokata, żeby tego docenta zaskarżyć o obrazę. Jak się czasem wstawił, to walił pięścią w stół i krzyczał: — Ja mu tego, panowie, nie daruję, nawet gdybym miał sprawę poprowadzić aż do wiedeńskiego sądu. Jeśli ktoś jest niemoralny, to niech go nie robią profesorem, żeby nie psuł młodzieży i nie obrażał ojców porządných rodzin. Co z takich idiotów w ogóle będzie?

Posłusznie melduję, że ten pan jak przyszedł do mnie, to się położył koło mnie, gdy się rozebrał, ale to było przez pomyłkę, bo zamiary miał czyste. Ja byłem odwrócony do ściany, a on zaczął mnie poklepywać, i głaskać, i sapać. — Panna Marynia już śpi? Miała na mnie poczekać? — Leżałem cichuteńko, żeby się nie spostrzegł, a on zaczął mnie całować w szlafrok. Objął mnie i całował w plecy, coraz niżej, niżej, odsunął wreszcie koronki i całował mnie tam, gdzie mnie mamusia poklepywała, gdy byłem jeszcze całkiem malutki. Potem znowuż szedł ustami coraz wyżej i szeptał: — Ale też Marynia mocno śpi... A ja jej przyniosłem na bluzkę, a jeśli będzie grzeczna, to jej dodam jeszcze gumy na podwiązki. No, kochanie, nie każ mi tak długo czekać, przecież ja wiem, że nie śpisz. — I znowuż zaczął mnie całować, ale już nie był

taki skromny i nie zadowolili się podołkiem szlafrocza, dobierał się ustami do piersi i chciał mnie przewrócić na wznak. Położyłem się na wznak, a ten zaczyna mnie ścisnąć i szepcze: — Niech Marynia będzie grzeczna, to jej dodam pończoszki, jedwabne, śliczne cieliste pończoszki... — A wtem jak na niego ryknę:

— Idź, człowieku, do stu diabłów! Cóż to znowu takiego? Myślisz pan, że jesteś niemieckim księciem i że jesteś w Berlinie?

Panie oberlejtant, posłusznie melduję, że ten pan tak się wystraszył, że mało nie umarł ze strachu. Ani pisnął, tylko złapał z krzesła swoje ubranie i w nogi. A ja zamknąłem za nim drzwi i położyłem się na nowo do łóżka czekając, co będzie dalej. A potem przyszedł dozorca z prośbą o kamaszki. Że niby jeden pan spał tam wczoraj i zapomniał kamaszki. Ale ja mu powiedziałem, żeby mnie nie budził z najlepszego snu, bo nie zapłacę za nocleg. A tamten mówi przez drzwi, że ten pan dał mu pięć koron za przyniesienie tych kamaszków, żebym się więc zlitował, bo on, niby ten dozorca, ma żonę i dzieci i miło mu zarobić parę koron. Więc mu kamaszki dałem.

Ten pan to był jakiś kupiec z Hradca Królowej, a żonę miał z Nehanic. Dopiero dwa miesiące był żonaty, a jego teściowa mieszkała w Rosji. Więc, proszę pana, człowiek szukający noclegu zawsze jest w niebezpieczeństwie i gdyby nad nim nie czuwał anioł-stróż, to mogłoby mu się przytrafić Bóg wie co. Nikomu wierzyć nie można, gdy się jest w obcym kraju. Ja jestem zasłużony żołnierz i też mogłem być stracić wianuszek w Nymburgu. Słyszałem kiedyś...

Szwajk zamilkł, bo oficerowie siedząc spali, jakby się porażali od żołnierzy, którzy także poopierani jeden o drugiego chrapali przy dogasających ogniach. Deszcz przestał padać i od wschodu do lasu przedzierał się młody dzień. Było jeszcze szaro, ale liście na drzewach ożywiły się nagle i witały ra-

nek. Senność opanowała i Szwejka. Zdjął bluzę i koszulę, spodnie i kalesony i wszystko trzymał nad ogniem, żeby jak najprędzej wyschło. Za jego przykładem poszedł żołnierz, który właśnie powrócił z wartowania. Obaj stali nad ogniem, machali koszulami, żeby rozniecić żar, koszule nadymały się niby balony, a żołnierz mówił:

— To najlepszy sposób na wszy, kolego: rozgrzeją się, puszczą i wpadną w ogień, a gnidy pozaparzają się i popękają. Jeśli ruszymy dzisiaj dalej, to nasi koledzy będą mieli wszów jak maku. Bo jak człowiek zmoknie, a potem się w marszu na słońcu zagrzeje, to się wszy lęgą jak sto tysięcy diabłów. Wszystko z brudu! Cała ta wojna to jeden brud.

Rozgarniał szwy bluzy, przytkaniem paznokci strącał wszy w ogień i mówił w zadumie:

— Gdybym był w domu, to jużbym teraz klepał kosę i wyruszałbym na łąkę. Trawę, kolego, siecze się najlepiej po nocnym deszczu albo po rosie. Wtedy kosa dobrze bierze. Taki poranek jest bardzo piękny. W buteleczce ma się trochę alaszu z rumem, popijesz od czasu do czasu, a kosa brzęczy jak struna. A teraz tępimy tu wszy i sami idziemy na tępie. Eh, człowieku, możesz mi powiedzieć, na co jest ta głupia wojna?

Szwejk milczał, żołnierz drapał się pod pachami i wywodził:

— Tutaj gryzą najbardziej. Patrz, bracie, wszystko od nich czerwone.

Ubrał się i kładąc się na swoim tobołku, przysuwał nogi do ognia.

— Szwejku, kolego — mówił — na co to wszystko? Czy my nie osły i głupcy?

Rano żołnierze myli się w kałużkach wody i szykowali się do gotowania kawy, gdy wtem na spienionym koniu przycwawł Melderer. Wręczył kapitanowi Sagnerowi jakieś papiery, zawrócił konia i pędził precz. Sagner zajrzał

w papier, zwrócił się do oficerów i po upływie minuty cały obóz ożywił się wołaniem: — Alarm! Alarm!

— Herrgott, draby, włożycie na siebie plecaki, czy nie? — ryczeli plutonowi. — Prędszej do stu diabłów, bo Moskale walą się na nas! Jezus Maria, nie gmerajcie się przecie jak stare kobyły, gdy się im wkłada chomąta! Rüstung umhängen!

Batalion ustawiał się w szeregach i zamiast pacierza porannego, słycać było przekleństwa i wyzwiska.

— Zwariować można! Czyż nie ma czasu nawet na to, żeby sobie ugotować trochę lury? Dalej, chłopcy, stawiajmy menażki na ogniu, to nam się kawa jeszcze dogotuje.

— Nieprzyjaciel nigdy nie jest tak blisko, żebym sobie nie mógł ugotować Vertésgulaszu! — rzekł jakiś kawalarz.

Znowuż wysłano przednią straż, która na czoło wysunęła jako szpicę kadeta Bieglera. Wyciągnęła się linia łączności. Kolumna szła znowuż w tym samym kierunku, z którego przyszła, ale bardziej na prawo.

Na skraju lasu spotkali się z autem, które wiozło oficera sztabu generalnego. Zatrzymał batalion, wezwał do siebie oficerów i rozmawiając z nimi, gestykułował nad mapą z takim wzburzeniem, że wśród żołnierzy ozwał się głos:

— Już znowuż zabłądziliśmy. Patrzcie, chłopcy, jak im zmywa głowy za to, że zrobili jakieś osielstwo.

— E, chyba nie zrobili nic takiego. Słyszeliście dzisiaj strzelaninę? Przecież od rana nie było ani jednego wystrzału. Może pokój już zawarty i ten pan przyszedł powiedzieć, której mamy iść na dworzec kolejowy — wywodził jakiś pocziwiec. — Pewien frajter z szóstej kompanii mówił mi, że ma dziewczynę, która służy u jakiegoś posła w Pradze i ta dziewczyna mu pisała, że ten poseł mówił, iż wojna skończy się niedługo. Słyszał o tym w Wiedniu od jakiegoś portiera w ministerstwie, więc...

— Direction mir nach! Marschieren
marsch! — wrzasnął kapitan Sagner.

Przednia straż i szpica zostały tymczasem ściągnięte z powrotem i maszerowało się przez niebezpieczny las ze dwie godziny. Potem las przerzedził się, pokazały się piaski wśród sosen i niebawem żołnierze wyszli na drogę wozową wśród wysokich drzew i kadet Biegler znowu wystąpił w roli macek.

Po niedługim odpoczynku wojsko szło naprzód ostrym krokiem, jakby chodziło o prześcignięcie Rosjan. Żołnierze dotarli do poręby, gdzie kapitan Sagner, prowadząc konia za uzdę, sam wdepnął w coś ciepłego jeszcze, co było niezawodnym dowodem, że przed chwilą odpoczywał tu jakiś oddział wojska.

Śród żołnierzy powstała wesołość, a na twarzach oficerów widać było bezradność. Byli tu Rosjanie czy nasi? Węchem się tego nie pozna. W tym, co rozdeptał kapitan Sagner, były pestki czereśni, kilka plew, skórka z salami i parę ziarenek grochu. To mogło być zarówno rosyjskie jak i austriackie.

Oficerowie w milczeniu spoglądali na tajemniczy obiekt, a nadporucznik Lukasz wyraził przypuszczenie:

— Może nasza przednia straż. Ale jak na nią, byłoby tego trochę za dużo.

Lejtnant Dub zaprzeczył:

— Przednia straż nie mogła się tu zatrzymywać, gdyż bylibyśmy ją dogonili. Pewno byli tu Rosjanie i zdarzyło im się to ze strachu. A my — z wyrzutem spojrzeli na kapitana Sagnera — szliśmy niezabezpieczonym marszem.

Nagle Dub, uderzył się w czoło:

— Ależ to się przecie da ustalić. Chłopcy rozejrzyjcie no się wśród tych kaktusów i przynieście to, czym się podcierało — zawołał na najbliższych żołnierzy.

Żołnierze poznikali w krzakach i po chwili wracali, trzymając w dwóch patykach dziwaczne rzeczy: kępki trawy, gałązki i liście, białą damską rękawiczkę skórkową, obrazki świętych, pocztówki poczty polowej, a jeden przyniósł nawet ka-

walek gazety z obrazkiem. Lejtnant kazał zarzucić trawę i liście i wziął od żołnierza pocztówkę. Była napisana w języku madziarskim i dlatego treść jej pozostała mu niezrozumiała. Ale tak się z tego ucieszył, że z uczuciem triumfatora rzekł do kapitana Sagnera:

— Przypomniałem sobie, że przy zajęciu obozu nieprzyjacielskiego ma się natychmiast poddawać badaniu latryny. W taki sposób ustala się najłatwiej, jakie oddziały nieprzyjacielskie tam obozowały. Przed nami stoi — odwrócił kartkę — nie, tego nie przeczytałam. Wszystko zamazane. Ale z pewnością nie są to Rosjanie. Podajcie mi ten kawałek gazety. Co to za gazeta? „Pokrzywy“. A więc czeskie pismo humorystyczne!

Żołnierz trzymał przed nim na patyczku urywek gazety, a Dub czytał na głos:

- eczna
- Havlena
ramiona
- w twoich oczach znika
- pełna tajemnic mechanika.

Walec, który wszystko zmiecie
Co się czoło stawić waży...
Już się stało, bo w tej chwili,
Precz ucieka oddział wraży.
Tak, koledzy, naprzód idziem w sławę
A wrogom dajem nauczenie krwawe.
Ucieka Moskal. Rusczy oficerzy
Wołają: Zmykaj, kto tam w Boga wierzy!
I macha szablą wódz naczelny cara:
Z Galicji granic niechaj zmyka wiara!

Lejtnanta Duba tak dalece zainteresował ten wiersz, że sięgnął po gazetę, aby go przeczytać cały, ale papier przykleił mu się do palców, a nos pouczył go, że coś się rozmazało. Rzucił gazetę na ziemię i wycierając palce o chusteczkę do nosa, ze słodkim uśmiechem mówił do nadporucznika Łukasza:

— Jest takie przysłowie łacińskie: *Inter arma silent musae* — podczas wojny milczą muzy, ale u nas na szczęście muzy nie zamilkły. To, co przeczytałem, jest pięknym, patriotycznym, lojalnym wierszem. Szkoda, że wiersz ten nie jest cały, bo przeczytałbym go przy sposobności żołnierzom dla podniesienia ich na duchu. Panowie, mogę wam powiedzieć jedno: przed nami szli nasi.

Sagner odwrócił się zły, a Lukasz trzącał papierek końcem buta i proponował:

— Może dałoby się to wyprać. Co za bydlęta, ci żołnierze! Patriotyczna, lojalna poezja, która mogłaby podnieść wojsko na duchu, poezja, w którą poeta włożył całą swoją duszę, a taki drab podetrze się nią, jakby na świecie nie było innego papieru.

Uśmiech jego był pełen złośliwego sarkazmu i ironii.

Wojsko szło dalej, a po godzinie znowuż nikt nie pomyślał o tym, że już dawno nie widziano żołnierzy łączności. Około południa zbliżyli się ku łące, od której słychać było głosy. Kapitan polecił wysłać strażę. Wróciły z meldunkiem, że na łące obozuje mały oddział naszej artylerii i pasie tam konie.

Batalion zbliżał się ku łące, żołnierze cieszyli się, że będzie odpoczynek, gdy nagle na skraju lasu ukazał się oficer wierzchem. Pędził w klusa ku Sagnerowi i wrzeszczał na niego:

— *Welches Regiment? Einundneunzigste? Wohin führen sie das? Aber meine Herren! Das ist doch falsche Richtung! Ich habe links befohlen!* — i zawróciwszy na miejscu pędził precz.

Kapitan dał koniowi ostrogę i popędził za nim, prosząc o rozkazy dokładniejsze, gdyż spostrzegł, że jest to dowódca brygady. Ale rozkazów nie otrzymał. Dziadyga powtarzał swoje:

— Ich haben doch links befohlen.

Kapitan zawrócił i odpowiedział:

— Zum Befehl, Herr Oberst!

Dopiero wówczas stary szympans zatrzymał się i wrzasnął na kapitana:

— Herr Hauptmann! Merken sie sich für immer: Oberst-Brigadier!

Kapitan pomyślał coś o idiotyzmie i zawrócił ku swemu batalionowi, gdzie na złość brygadierowi pozwolił żołnierzom na trochę dłuższy odpoczynek. Potem rozkazał maszerować dalej, nieco w lewo. Nikt nie pomyślał o tym, że straż przednia maszeruje w poprzednim kierunku i że należałoby ją ściągnąć, że oddział idzie nie zabezpieczony i bez wywiadowców, jak papierowi landwerzyści, gdy w Milowicach chodzili na ćwiczenia strzeleckie z wielką paradą i ostentacją.

Kadet Biegler wlepiając oczy w mapę i konfrontując jej znaki z miejscowościami, które mijali, kroczył ostrożnie naprzód, aczkolwiek nie miał najmniejszego pojęcia dokąd właściwie ma dojść i gdzie ma się spotkać z Rosjanami. Ale wiedział, że zostało mu powierzone zadanie bardzo ważne, więc usiłował wywiązać się z niego tak, aby zasłużył na uznanie. Szedł na czele batalionu ostro, zachęcając żołnierzy do żywego marszu i nie mógł się doczekać spotkania z pierwszym nieprzyjacielem, aby móc wysłać meldunek, że można na wroga natrzeć.

Za kadetem w niewielkim oddaleniu szedł Szwejk jako łącznik boczny w towarzystwie innego żołnierza, który na Szwejka umyślnie zaczekał, ponieważ samemu było jakoś nieraźnie, i przywitał kolegę słowami:

— We dwóch będzie nam raźniej, gdyby na nas kto napadł i chciał ograbić. Tutaj, człowiecze, są takie lasy, że tylko zbójem być. Masz nabitą flintę? Na kadeta i na towarzyszy z przodu liczyć nie możemy, bo idą ciągle naprzód i nawet

się na nas nie obejrzą. Ostatecznie zabłądzić tu nie możemy, jest tylko jedna droga.

— Flinty nie nabiłem — odpowiedział roztropnie Szwejk — bo z nabitymi flintami szpasu nie ma. Weźmie strzelbę w łapy jaki łamaga, bawi się i bęc, masz cały ładunek w brzuchu. Trzeba przyznać, że miał rację nasz lejtnant Frömmer, gdy służyłem w Budziejowicach, że *Manlicherrepetiergewehr*, model 1895 jest najlepszą bronią strzelną i jeśli który z was, wy łobuzy, nie będzie miał karabinu wyczyszczonego akuratnie albo po ćwiczeniu zapomni w nim nabój, to mu karabin otłukę o łeb. Zresztą, zabłądzić, kolego, można i w Pradze.

— Znałem niejakiego Halde, który pracował w kotłowni Ringhoffera a mieszkał przy ulicy Celnej. W Bubnach miał dziewczynę i chodził z nią do pewnej gospody na Letnej na solidne tańce. Bo w tej gospodzie był taki napis: — Uprasza się o przyzwoite tańcowanie.

— No i pewnego razu wstawił się ten facet troszeczkę, z dziewczyną się poprzytykał i idzie do domu. Przyszedł na Plac Wacławski i pyta policjanta, co to za plac i w jaki sposób można się z niego dostać na Smichów. Policjant objaśnił mu wszystko, jak się należy i dodał: — Niech pan idzie prosto wzdłuż tych szyn. — No i ten Halda szedł ciągle wzdłuż tych szyn, aż się wybił z sił i usiadł, żeby troszkę odpocząć. A potem ktoś nim zaczął potrząsać i piekłować się. Mój Halda otworzył oczy, a tu jakiś kolejarz trzyma go za kołnierzyk i wrzeszczy na niego: — Złaz pan zaraz na dół! Chcesz pan spaść pod pociąg?

I dopiero spostrzegł ten Halda, że zabłądził. Było już widać, a on siedział na barierze winohradzkiego przejazdu i miał całą gębę pokiereszowaną, bo spadł ze schodów w Nuslach. Tak mi się coś zdaje, że nikt nie idzie przed nami i nikt za nami.

Było tak istotnie; kadet Biegler trzymając się mapy, ruszył miedzą w prawo, a batalion szedł znowuż swoją drogą. Kolega Szwejka miał duszę w piętach.

— Widzisz, fujaro, gędzisz, a myśmy zabłądzili. Chodź nazad, pójdziemy do tych kanonierów, co pasą konie na łące. Będzie już południe i może tam akurat dają jeść.

— Oczywiście, sami wojować nie możemy — zgodził się Szwejk — trzeba się przyłączyć do jakiego oddziału.

Dowódcą półbaterii był młody nadporucznik, na szczęście Czech. Gdy Szwejk mu zameldował, że są łącznością 6 batalionu 91 pułku i że zgubili szpicę, przednią straż i batalion, roześmiał się i rzekł:

— Czekaście, łobuzy, będzie wam ciepło. Gdzieście mieli oczy? Nie wiem, czy wasi tędy szli. Jesteśmy tutaj od rana, a wojska przeszło tędy bardzo dużo. Jezus Maria, wy gapy! *V e r b i n d u n g* przy pościgu nieprzyjaciela, a oni się gdzieś zapodzieją! Przecież za takie rzeczy rozstrzeliwują!

— Posłusznie melduję — zaczął Szwejk — że my sobie, panie oberlejtнант, zdajemy sprawę z powagi sytuacji. Bo to zgubić swój pułk w polu, to nie jest znowu byle co. Żołnierz powinien zawsze myśleć o tym, w jaki by sposób posłużyć swemu pułkowi jak najlepiej, żeby się jego sztandar okrył sławą. Kiedym służył w Budziejowicach, panie oberlejtнант, to mieliśmy niejakiego kapitana Murcka. Był troszkę garbaty, służył jako wywiadowca w Serbii i za to zrobiono go kapitanem. Otóż ten kapitan Murck podczas wielkich ćwiczeń kazał każdemu żołnierzowi wpakować do tornistra dwieście pięćdziesiąt ostrych nabożów, a następnie, gdy przednia straż ruszyła, to sam szwendał się między żołnierzami łączności, podsłuchiwał, co mówią, i zapisywał to sobie w notesie. A następnie gdy żołnierze mieli odpoczynek, to on wzywał do siebie tych żołnierzy łączności i mówił: — Czy wiecie, co to jest *m o r a l e*? Jest to jak najściślejsze wypełnianie obowiązków, które żołnierzowi zostają wyznaczone według jego zdolności. Ale nie

jest morale, wy morskie świnię, gdy w tornistrze macie dwieście pięćdziesiąt ostrych naboí i lezecie ze łbem spuszczone, jak te świnię, a w osobie swoich przełożonych pyskujecie na swego najjaśniejszego pana. *Abtreten, Morgen zum Rapport!*

Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że myśmy się zaśląkać nie chcieli i nie mamy zamiaru osłabiać armii o dwa karabiny. Posłusznie proszę o przyjęcie nas do swego oddziału na menaż, chleb i fasowanie. *Lehnungu* od pana nie chcemy, bo jakoś tam swój batalion odnajdziemy i pan Waniek nam wszystko wypłaci.

— Mój złoty kolego — roześmiał się nadporucznik, słuchając poczciwych wywodów Szwejka — do baterii przyjąć was nie mogę. Cóż ja bym z wami robił? Zresztą jeszcze dzisiaj znajdziecie niezawodnie swój batalion. Nie będzie on znowu tak daleko i ktoś o nim będzie wiedział. Polowa żandarmeria pokaże wam drogę na pewno albo nawet odprowadzi was do niego.

— Niech pan oberlejtnant, posłusznie melduję, zastanowi się dobrze, zanim odrzuci nasze usługi — rzekł posmutniały Szwejk. — Stoimy w obliczu nieprzyjaciela jak dwa kołki w płocie, ale bateria może być o dwóch szeregowców mocniejsza, a w walce to nie byle co. A my pójdziemy z panem wiernie, choćby miało być najgorzej. Menaż i chleb moglibyśmy fasować od dzisiaj.

— Nie, nie, chłopcy, nie ma o tym mowy — zdecydował nadporucznik — ale trochę jedzenia dadzą wam kucharze, a chleba znajdzie się dla was wśród kanonierów pod dostatkiem. *Abtreten!* Szczęśliwej drogi!

Szwejk i jego kolega, który głośno podziwiał krasomówczy talent Szwejkowy, udali się ze zleceniem nadporucznika do kuchni. Tam kucharz mrucał coś o piechurskiej zebrani-
nie, o nienażartych łazikach, ale ostatecznie sięgnął łyżką w kocioł i nalał im czubate menażki gęstej zupy z ryżem i sie-

kany mieniem wołowym. Szwejk i towarzysz jego zdjęli plecaki, usadowili się na nich, ustawili menażki na kolanach i do bywszy łyżek, zabrali się do jedzenia.

Podszedł do nich fajerwerker i zaczął przemawiać po niemiecku. Szwejk miał pełne usta, więc nie odpowiadał. Fajerwerker zaczął po polsku. Kolega Szwejka mruknął po niemiecku, że nie rozumie, więc rozmowny gość jął coś wywozić po madziarsku, przy czym tak mocno poklepywał Szwejka po ręce, że zupa rozlewała się mu na mundur. Tak go to rozzłościło, że podniósł głowę znad menażki i rzekł:

— Co mi tu będziesz głądził, głądo zatracony! Pies by cię nie zrozumiał, gdy zaczniesz mleć ozorem. Herrgott, daj mi spokój, bo dam w zęby!

— Czech jesteś? — roześmiał się fajerwerker. — Czemu nie gadasz od razu. No, widać zaraz, że się z sobą zgadamy.

Artylerzysta usiadł obok nich w trawie i zaczął wypytywać, co są zacz, skąd idą i dokąd.

— Przypuszczam, że pułk 91 albo jego część tędy szła — rzekł po chwili — ale gdzie poszli, tego nie wiem. Teraz, gdy front jest w ruchu, trzeba dobrze uważać, żeby się nie zgubić. Żaden obcy oddział was nie przyjmie, a jeśli przyjmie, to potem musicie przynieść do swego oddziału potwierdzenie, żeście służyli i w jakich walkach braliście udział. Sporo już było takich łazików, że niby to się zabłąkali i przyłączyli się do innego oddziału, ale jak tylko ów oddział ruszać miał naprzód, to uciekali do innego oddziału. Niejeden przez trzy miesiące był stale w czołowej linii, a prochu nie powąchał. Ale teraz już tak dobrze nie ma. Z Pragi jesteście?

Szwejk zameldował się jako prażanin i zaraz pytał:

— Czy pan czasem nie jest sklepowym z handlu pana Pexidera na Winohradach? — Chyba nie, bo tamten był jaśniejszy blondyn. Ale kto wie, czy pan nie jest kowalem i czy pan nie pracował przy ulicy Szczepańskiej u pana Souczka. Też nie? No to mi bardzo dziwno, bo ja pana skądś znam.

Fajerwerker przyniósł im bochenek chleba i dwie paczki tytoniu. Szwejk ze wzruszeniem podziękował zacnemu krajownikowi i właśnie obaj nasyceni piechurzy wkładali plecaki na ramiona, gdy nadporucznik podszedł ku nim i zdziwił się szczerze:

— Cóż to, wy łaziki, jeszcze jesteście tutaj? Wynoście się natychmiast, bo się za was wezmę trochę ostrzej. Zdaje się, że prochu przy łazikowaniu nie wynajdziecie.

Szwejk stanął na baczność, ustawił karabin przy nodze i przepisowo patrząc na oficera, rzekł z niezwykłą powagą:

— Posłusznie melduję, że już odchodzimy. Panie oberlejt-nant, co do wynalezienia prochu, to zdarzyło się, że nieuczenni porobili wielkie wynalazki, bo ludzie nie są tacy głupi, jak wyglądają. Co też pan oberlejt-nant myśli, gdy spogląda na swoje armaty? Pewno pan oberlejt-nant nie myśli nic, ale ja myślę. Więc niech pan oberlejt-nant sobie wyobrazi: każda armata ma takie kreski i wyżłobienia, z powodu których granat albo szrapnel leci naprzód w górę, a potem łukiem spada na dół. Kula leci tak:

Szwejk ujął karabin lewą dłonią, a prawą opisał parabolę.

— Więc kula leci tak, a panu nie przychodzi do głowy nic? Otóż gdyby się armatę kładło na boku, to kula leciałaby z prawej strony na lewą, albo z lewej na prawą, podług tego, na którym kole zostałaby ułożona. Można by ostrzeliwać Rosjan ogniem flankowym od frontu i nikt by nie wiedział, skąd się kule biorą.

Oberlejt-nant śmiał się, aż go brzuch boleło. Fajerwerker i inni artylerzyści nie rozumieli doniosłości odkrycia Szwejka i głupkowato spoglądali na nadporucznika i na Szwejka. Wreszcie nadporucznik przestał się śmiać, dał Szwejkowi garść papierosów i rzekł:

— No, ale teraz już zmykajcie, a swoje odkrycie prześlijcie sztabowi generalnemu.

Szwejk znowuż meldował swój odmarsz i obejmując dowódcę baterii tklwym spojrzeniem, dodał:

— Do samej śmierci, panie oberlejtant, nie zapomnę pańskiej dobroci.

Obaj piechurzy wzięli karabiny na ramiona i ruszyli w drogę, którą dzisiaj przebyli już dwa razy. Długo maszerowały te dwie stracone owce armii austriackiej i gawędziły o tym, czy iść w prawo, czy też w lewo, czy wreszcie prosto za nosem. Nie spotykali po drodze ni wozów, ni piechurów, i coraz bardziej stawało im się dziwne, że okolica jest tu taka pusta i bezludna. Kolega Szwejka zaczął się niepokoić, czy aby nie znaleźli się przypadkiem za frontem rosyjskim. Szwejk się rozłościł:

— No, a choćby tak, to co? Napadniemy nieprzyjaciela z tyłu. Nie lamentuj, że zabłądziliśmy, bo nie jesteśmy małymi dziećmi, żebyśmy mieli zginąć. W szpitalu w Pradze opowiadał pewien reumatyk taką historię z roku czternastego:

— Zabłądzili z ich oddziału tambor i trębacz. W jakiejś wsi galicyjskiej poleźli za dziewczynami, żeby przed śmiercią na polu chwały wyzbytkować się jak się patrzy. Ale zbytowanie trwało trochę przydługo, a gdy się rano przebudzili, pułku nie było. Poszedł sobie bez nich. Stanęli jak te słupy solne i biadali: — Jezus Maria, co my teraz pocniemy? — Następnie ruszyli na poszukiwanie swego pułku i tak samo go szukali, jak my teraz szukamy swego batalionu. Trębacz miał trąbkę, tambor dźwigał bęben. A ten trębacz był to jakiś uczony od budowania domów, czy coś takiego, więc gdy tak szli, to on na bębnie tamborowym rysował ołówkiem mapę. Zaznaczył każdą wieś, kałużę, krzyż, gruszę na miedzy, strumień, świętego Jana, kupę gnoju, kościół, gorzelnię, karczmę, drogi leśne, poręby, wąwozy. Jednym słowem rysował na bębnie wszystko, co podczas tej wędrówki widzieli.

— Szwendali się w ten sposób po świecie od sierpnia do listopada, przewędrowali całą Galicję wzdłuż i w poprzek,

a wypasieni byli jak te świnię. Na bębnie było wszystko, co powinno być na mapie. Pewnego razu, ku wieczorowi się miało, byli na węgierskiej granicy i natknęli się na swój pułk. Ale ich tam już nikt nie poznał prócz kapitana, bo ten pułk był już parę razy rozbity i formowany na nowo.

Kapitan nie chciał własnym oczom wierzyć, że to oni, dopóki ich nie obmacał własnymi rękami. Bo Czerwony Krzyż już dawno wykazał, że przypadli bez wieści, dostali się do niewoli, czy nawet zginęli w walkach, żeby rodzinom ich nie trzeba było wypłacać zapomóg.

Pan kapitan odesłał ten bęben do Wiednia, do wojskowego oddziału kartograficznego, a tam, kolego, podług tego bębna musieli robić mapy sztabu generalnego. Ten trębacz dostał za to wielki złoty medal, a tambor srebrny. Trębacza mianowano trębaczem pułkowym, a tambor dostał się do więzienia w Teresienstadzie, bo powiedział, że ci oficerowie, co rysują mapy, to idioci i darmo biorą pieniądze z kas państwowych. Z taką mapą w garści jaką narysował ów trębacz, nikt zabłądzić nie może.

Las zaczynał się przeredzać, a między koronami drzew ukazało się błękitne niebo. Kolega Szwejka przyśpieszył kroku, wyprzedził go i zawołał:

— Jak Boga kocham, pole! A tam dalej wieś! Tam przecież kogoś znajdziemy!

Znaleźli. Między drzewami na skraju lasu przypatoczył się kadet Biegler i pytał:

— No i cóż? Trafiliście do tej leśniczówki. Dostaliście tam coś do zjedzenia dla mnie? To wy szliście przecie razem ze mną jako szpica. Tak, czy nie?

— Posłusznie melduję, panie kadecie, że nie szliśmy — objaśnił go Szwejk. — Czy pan jest tutaj sam? My nie szliśmy z panem w szpicy, my byliśmy *V e r b i n d u n g*, a z panem szli inni. Pewno tamtych posłał pan do leśniczówki, a my nie widzieliśmy żadnych kolegów i żadnej leśniczówki, bo-

śmy zabłądzili. A za nami nie idzie nikt, panie kadecie, batalion zgubił nas na czysto i nikt o nas nic nie wie. Teraz, panie kadecie, batalion diabli wzięli, a my musimy wojować sami. Ale niech pan sobie z tego nic nie robi, bo jakoś tam będzie. Dużo ludzi walczy na własną rękę.

Kadet bezradnie opuścił głowę. Złoty medal oddalał się i znikał, a jemu pozostało tylko westchnienie:

— Ale jeść mi się chce i brzuch mnie boli, bo napiłem się jakiejś niedobrej wody. Potrzeba mi czegoś gorącego. Może ci z leśniczówki nadejdą niedługo.

— Nie nadejdą, panie kadecie — odpowiedział Szwejk z wielką pewnością siebie. — Oni także zabłądzili. Wieczór za pasem, musimy sami rozejrzeć się za czymś. Naszych już dzisiaj nie znajdziemy. Całe szczęście, że pan jest oficerem i ma pan mapę przy sobie. Rano się rozejrzemy, gdzie nasz batalion może być mniej więcej i ruszymy prostą drogą do niego. Sądzę, że teraz powinniśmy pójść do tej wsi na nocleg i na kolację.

— Idźmy, gdzie chcecie — jęknął kadet, ściskając brzuch rękoma. — Jezus Maria, co to za ból! Zdechnąć, czy co? Ale ja na siebie odpowiedzialności nie biorę za nic, mój Szwejk. W tej wsi mogą się znajdować Rosjanie.

— Jeśli ich tam nie ma, to na nich uderzymy, a jeśli są, to się cofniemy — rzekł Szwejk filozoficznie. — Pan jest chory oficer, panie kadecie. Porządny żołnierz nie opuszcza swego chorego przełożonego. Komendę obejmuję ja, jako najstarszy. Direction tamta wieś. Marschieren marsch!

Wzięli pod rękę kadeta, który się kręcił i stękał, i głęboką drogą wozową ruszyli ku wsi. Biegler konał ze strachu, że mogą wleźć prosto w ręce Moskalom, ale Szwejk był całkiem spokojny:

— Wie pan, panie kadecie, że stanie się tylko to, co się

stać ma. Bez woli Bożej nawet włos z głowy człowiekowi nie spadnie. Opowiadał mi tu jeden żołnierz przy ogniu, że łośńskiego roku szli na Rosjan, a razem z nimi szedł feldpater. W lesie był odpoczynek i jego wielebność zabrała się do podwieczorku. Miał na podwieczorek salami węgierskie, jajka i wino czerwone, a Rosjanie dostrzegli ten oddział w lesie i zaczęli go ostrzeliwać szrapnelami i granatami. Wszyscy w nogi, ale ten feldpater siedział przy pniaku nakrytym serwetką i nie przerywał podwieczorku. Za żołnierzami krzyczał: — Nie uciekajcie, wy kury tchórzliwe! Wszędzie jesteście w rękach boskich, a bez powodu Bóg nikogo skrzywdzić nie pozwoli. Wszystko jest dobre, co Bóg czyni! — I raptem wybuchnął tam granat — właśnie ostatni — a gdy się dym rozpląnął, widać było na serwetce na pniaku butelkę wina, sześć jaj i salami węgierskie krajane w talarki. Proszę pana, panie kadecie, to był taki celny strzał, iż z tego feldpatera nawet guzika nie znaleźli, a podwieczorkowi nic się złego nie stało. Bo na świecie wszystko jest już tak urządzone, że każdego spotyka akurat to, co mu idzie naprzeciw. Jeśli mamy się dostać do niewoli, to się do niewoli dostaniemy zgodnie z wolą Bożą. Zresztą, jak słyhać, to Rosjanie...

— Mój Szwejku — przerwał mu kadet — tu nie chodzi tylko o dostanie się do niewoli, ale i o to, że Rosjanie jeńców torturują. Wykluwają oczy, urzynają nosy, kleszczami wyrrywają przyrodzenie i wtykają torturowanemu w usta. Rosjanie są podobni do ludożerców. Są to barbarzyńcy.

— Dużo się różnych głupstw wygaduje — Szwejk machnął beznadziejnie ręką — ale już się takich rzeczy nie robi. To się robiło dawniej, podczas wojen tureckich, albo w czasach gdy nasi obsadzali Hercegowinę. Zresztą taka drobnostka, jak obcięcie nosa, nie warta gadania. Na Żyżkowie był niejaki Antek Wejwoda, który stracił nos, bo miał raka, a ten Antek płacił za kolegów w karczmie i mawiał: — Dzisiaj wyżebrałem trzy guldeny i osiemdziesiąt grajcarów, dwie koszule

i dwie pary kamaszków. Dopóki nos miałem w porządku, musiałem na osiemdziesiąt grajcarów pracować cały dzień.

Za dawnych czasów, panie kadecie, dręczenie ludzi było różnorakie. Do męczenia mieli wtedy przeróżne instrumenty. Jak pan przyjedzie do Pragi, to niech pan idzie popatrzeć na nie do muzeum miejskiego. Męczyli ludzi przez naciąganie ich na drabinkach, skręcali ich na wszelaki sposób, przybijali za język, łamali kołem, a ludzie wszystko jak najchętniej znosili, byle tylko mieli zapewnione ostatnie namaszczenie. Dużo takich rzeczy działo się wtedy z obustronną przyjemnością, bo to wszystko było ku większej czci i chwale bożej. Takiemu heretykowi czy też czarownicy pognieciono i połamano gnaty, pod paznokcie wbijano im bretnale, a ciała ich prasowano niby skwarki. Każdy instrument, przy pomocy którego robiło się takie rzeczy, miał nawet własną nazwę, podług tego, co się nim jeńcowi robiło. Do gniecenia nóg były golenie świętego Józefa, do wybijania zębów szczeka Matki Boskiej, do łamania kości w ciele służyły żebra świętego Piotra. Więc taki herezyk czy też jeniec już z góry wiedział, czym zamierzają uprzyjemnić mu chwile: gdy starszy inkwizytor rozkazał, żeby mu podali nabijaczkę św. Walentego, to mógł być pewien, że z niego będą robili postne kiszki.

Tego wszystkiego Rosjanie na pewno nie mają, więc nic złego stać się nam nie może. Gdy nóż jest dobrze wyostrzony, to jedno chłaśnięcie wystarcza i już po uchu. I to nawet nie bardzo boli. Gdy ludzie wytrzymują wielki ból i zachowują spokój, to stają się świętymi. W Rzymie pewnemu papieżowi przypalano boki pochodniami, a gdy myśleli, że już będzie miał dość, ten rzekł im nagle z miłym uśmiechem: — Proszę, niech mnie panowie obrócą na drugą stronę, bo lubię, żeby wszystko było zrobione akuratnie.

Tymczasem zbliżyli się do wsi, a kadet zaproponował, żeby jeszcze chwilę poczekać, dopóki się nie ściemni. Usadowili się więc w ogrodzie za stodołą, kadet stękał i narzekał, drugi

żołnierz podpełzł na czworakach ku chałupie, żeby zobaczyć, co się w niej dzieje, a Szwejk pocieszał kadeta:

— Ugotuję panu kadetowi wody na czosnku i przywiążę panu do brzucha gorącą cegłę. To bardzo pomaga, a ja pana nie opuszczę.

Wywiadowca wrócił i zapewniał, że we wsi prócz chłopów nie ma nikogo. Odwaga kadeta podniosła się znacznie. Poszli i zapukali w okno pierwszej chałupy. Jakaś stara babina otworzyła im drzwi i krzyknęła z przestachu, gdy ujrzała żołnierzy. Złożyła ręce jak do modlitwy i zaczęła zapewniać:

— Niczego nie mamy, panowie! Moskale zabrali!

— Dawno byli tu Moskale? — pytał kadet.

— Niedawno — jęczała baba. — Z rana tu byli, wczoraj wieczorem tu byli, co dzień przychodzą. Moskale zabrali. Wy-rznęli kury i poszli sobie.

— A wychodek macie — pytał kadet dalej, gdy bóle zaczęły mu na nowo dokuczać.

— Nie ma, panoczku — zakręciła babina głową — Moskale zabrali.

— Czekajno, babo, zobaczymy, czy Moskale naprawdę wszystko zabrali — rzekł Szwejk i odsunął babinę na bok.

Izba jak na ruską chatę była aż nadto czysta i ładna. Od wielkiego pieca biło ciepło, a na ławie leżało jeszcze kilka bochenków chleba przygotowanego do pieczenia. Z izby Szwejk otworzył drzwi do komory: w kobiałkach piętrzyły się tu stosy jaj, pod sufitem wisiała szynka, na ścianach jaśniały półce słoniny i zwoje suchej domowej kielbasy. Serce Szwejka rozradowało się na ten widok. Cofnął się, aby zawołać kolegę i kadeta, których babina nie przedstawiała zapewniać:

— My biedni ludzie. Tam dalej za strumieniem znajdują panowie żołnierze chaty bogatych gospodarzy. U nas wszystko zabrali Moskale.

— Nie gadajcie głupstw, matuchno — rzekł do niej kole-

gialnie Szwejk. — My już tę piosenkę dobrze znamy. Moskale pozabierali. Wyróżnili kurki, pokochali córki i poszli sobie.

Panie kadecie, posłusznie melduję, że możemy się tutaj rozgościć, bo ta czarownica ma w komorze istny handel delikatesów.

Hej, pani matko — zwrócił się do staruszki — zostajemy tutaj na kolacji i będziemy tu spali. Nie darmo — zapłacimy. Jak chcesz: po dobremu czy po złemu. Co ty? Nie chcesz wpuścić do izby nawet naszego pana kapitana? Poczekajno!

Szwejk wyjął z pochwy bagnet i jego ostrze przytknął babinie do szyi. Babina wystraszyła się, jęknęła i cofając się, uniżenie zapraszała wszystkich do izby. W izbie przy świetle spostrzegła, że wśród przybyłych jest oficer, więc się rozgadała, powtarzając: — Pan kapitan, pan kapitan — i schylała się ku ręce kadeta, żeby ją ucałować.

— Widzisz, matko, tak, to mi się podobasz — poklepał ją Szwejk uprzejmie po ramieniu. — Tak należy szanować żołnierzy.

Kadet wyjął pieniądze, baba przyniosła chleba, ugotowała mleka, wyciągnęła skądś wędzonkę i okazywała coraz więcej uprzejmości dla nieoczekiwanych gości. Przy tym wszystkim nie przestawała spoglądać na drzwi.

Szwejk gotował dla kadeta herbatę, mocną i cierpką, po czym ułożył go na pryczy zastępującej łóżko, przykrył go babinym kożuchem, a Biegler, któremu gorąca herbata od razu złagodziła bóle brzucha, zasnął.

Przy chlebie i mięsie siedział tylko Szwejk i jego towarzysz. Stara wsadziła chleb do pieca i wyszła, bo widać kogoś wyczekiwała, a towarzysz Szwejka, żując ogromny kawał wędzonki, wywodził:

— Porządne mięso, akuratnie nasolone i porządnie przewędzone. Od kości czuć je już po trosze, ale to nic nie szkodzi. Najlepiej, kolego, wędzić mięso na trocinach i palić jałowiec, wtedy mięso jest jak tort. Powiadam ci, jak ten tort.

— To mięso nie jest wcale jak tort, a smakuje ci tak, że mało się nie zadławisz — odpowiedział Szwejk. — No, mięso zawsze mięso. Nawet pies mięso lubi.

Stara wróciła, a za nią weszła do izby młoda, jędrna i ładna kobieta.

— To moja córka — przedstawiała ją baba — jej mąż na wojnie. — Widzisz — zwróciła się do córki — nasi panowie żołnierze przyszedli do nas w gości. Moskale wypędzają.

Młoda w uprzejmym uśmiechu wyszczerzyła duże zęby, a Szwejk grzecznie zaproponował jej garnuszek herbaty.

— Niech się pani napije z nami herbaty. A jak na imię pani mężowi? No, ładna z pani kobieta — rzekł, głaszcząc ją po bujnej piersi.

Przysiadła się do herbaty i rozgadała się ze Szwejkim, którego ręce stały się dziwnie niespokojne i wciąż głaskały ładną niewiastę to po piersi, to po udach.

Towarzyszowi Szwejka chciało się spać. Stara przyniosła skądś jeszcze jeden kozuch i poszła z nim do komory, rzucając na córkę spojrzenie napominające, ale córka śmiała się zgoła wesoło, gdy Szwejk uszczypnął ją w udo. Niebawem wstała.

— Czas już spać — i wlaźła za piec, dokąd przedtem zaniosła sobie brudną poduszkę. Towarzysz Szwejka wyciągnął się na ławie, a ponieważ było na niej niewygodnie, więc przeniósł się na podłogę. Widząc, że Szwejk co chwila zerka tęsknym okiem za piec, mruknął pod nosem:

— Że też ci się chce takich zbytków, kolego! Czy jeszcze nie dość masz kobiet? Poszedłbyś lepiej spać, bo i tak po tym mięsie będą ciężkie sny.

— Masz rację — zgodził się Szwejk, kładąc się obok niego — ale ja tylko tak dla kawału, bo żadna kobieta się nie pogniewa, gdy da się jej do zrozumienia, że się podoba. Mamy więc pierwszy nocleg od czasu, gdyśmy się zbłąkali. Ujdzie jeszcze. W każdym razie jest on daleko lepszy niż w tym

lesie, gdy się deszcz rozpadał. Opowiadałem tam przy ogniu oficerom, jak niby jeden murarz chciał żonie podarować na urodziny rasową kozę, a pan oberlejtant nie chciał mi wierzyć i mówił, że takich rzeczy się na urodziny nie daje. A tymczasem ludzie dają sobie na złość i dla dokuczenia komuś jeszcze gorsze rzeczy niż taka rasowa koza, która jest zwierzęciem pożytecznym. Pewnego razu kupiłem od pana Krausa, buchaltera z mleczarni Radlickiej psa bernardyna. Był to pies bardzo piękny, duży jak roczny buhaj, a sprzedano mi go za pięć guldenów, żeby go się pozbyć. Mówił, że na tego psa patrzeć nie może.

I opowiedział mi wszystkie swoje udręki, jakie miał z tym psem. Swojej narzeczonej dał na urodziny złoty zegarek w bransoletce i chociaż był z nią zaręczony, nie śpieszył się z żeniączką. Więc jego narieczona kupiła mu tego psa. Płakał, gdy mi o tym psie opowiadał. Gospodyni, u której mieszkał przeszło sześć lat, przestała z nim rozmawiać, gdy przyszedł pewnego dnia do domu i przyprowadził tego psa, i nazajutrz wymówiła mu mieszkanie, ponieważ pies przez całą noc był na balkonie. Uprosił ją, żeby go nie wyrzucała, to jej będzie płacił o pięć guldenów miesięcznie więcej i obiecał, że psa będzie brał na noc do swego pokoju, żeby mu się na balkonie nie przykrzyło. Więc rzeczywiście brał psa na noc do pokoju, ale z rana przychodzi dozorca, że lokator na dole ma przemoczony sufit, czy aby w pokoju nie rozlała się woda. Gospodyni oświadczyła, że po tym psie sprzątać nie będzie i karcić też go nie będzie.

Ale ten pan Kraus nie tracił głowy. Poszedł do końskiego rzeźnika, nakupił serdelków i kiszek. Kupił od razu za dwa guldeny, czyli osiemdziesiąt sztuk, i pół bochenka chleba. Rzucił psu te serdelki i cieszył się, że bernardyn chwyta je w locie. Pies zeżał w południe wszystko, a wieczorem był z głodu. Więc znowu jego pan poszedł po serdelki do końskiego rzeźnika, a rzeźnik myślał, że on ma restaurację i za-

pewniał go, że nikomu nie powie i zamówienie pośle mu przez chłopca.

I tak dzień w dzień musiał chodzić do rzeźnika po serdelki, do piekarza po chleb, a potem wyprowadzać psa na dwór. Jego panna na niego wyczekiwała wieczorami i razem z tym psem wszyscy troje spacerowali. I to trwało aż do czerwca, a potem ten pan powiada do kolegów: — Muszę zastrzelić siebie albo psa, albo się muszę ożenić. — I ożenił się. A w dwa dni po ślubie ta pani wezwała mnie, żebym przyszedł po psa. Sprzedali tanio i jeszcze mi dodali jedzenia z wesela. Takie, kolego, robią sobie ludzie rzeczy. Spisz już?

Żołnierz chrapał jak tartak, Szwejk wstał, po cichu zasurgał się ku piecowi i rychło znalazł czego szukał. Wyciągniętymi rękoma domacał się łydek, a gdy się cofnęły, położył się koło młodej niewiasty, która niby to się dąsała:

— Nu tiebja k czortu! Kuda leziesz!

Potem słyhać było jakieś mlaskanie i mruczenie i wreszcie głos kobiecy pytał:

— A na płatoczek dasz?

I znowu w całej izbie zapanowała głęboka cisza, przerywana tylko chrapaniem żołnierza na podłodze i szelestem na piecu.

Po północy gdzieś daleko zaszczekały działa, ale nikt ich nie słyszał, bo i Szwejk zasnął wreszcie głębokim snem, wyczerpany wrażeniami minionego dnia. Nie zastanawiał się bardzo nad faktem, że im dalej na wschód, tym miłość jest tańsza. To, co gdzieś tam otrzymuje się w zamian za ślubowanie wiecznej miłości, notarialną umowę i obrzęd kościelny, to o kilkaset kilometrów na wschód otrzymywało się w zamian za obietnicę, że się da na chusteczkę. Dość było kiwnąć głową na pytanie: — Na płatoczek dasz? — Prima-donna teatru żąda brylantów, niewieście w ruskiej chacie dość jest obietnic, że dostanie na chusteczkę.

Rano gdy się kadet przebudził, babina kręciła się już koło pieca, a Szwejk gotował białą kawę, pogwizdując nad garnuszkami z mlekiem. Zauważywszy, że kadet już nie śpi, podszedł ku niemu:

— Posłusznie melduję, panie kadecie, że w nocy nic się nie stało. Czy lepiej panu? Zaraz podam panu śniadanie.

— Szwejku — rzekł kadet Biegler miękkiem głosem — dajcie coś do zjedzenia. Już nic mnie nie boli, ale jestem słaby jak mucha. Czy nie słyhać czego o nieprzyjacielu? Nie wiem, czy będę mógł pójść razem z wami.

— My pana kadeta nie opuścimy, żeby nie wiem co — zadeklarował Szwejk z całą stanowczością. — Tu, w tej chalupie, nie potrzebuje pan obawiać się żadnego niebezpieczeństwa. Młoda gospodyni jeszcze śpi na piecu.

— A Rosjan nie ma tu gdzie w pobliżu? — pytał kadet.

— Posłusznie melduję, panie kadecie, że ta stara wczoraj wieczorem kłamała. Cofających się Rosjan nikt tu nie widział. Ta młoda to serce szczere, udzieliła mi informacyj akuratnych. Rosjanie cofają się tu z prawej strony, wzdłuż kolei, gdzie jest szosa. Sądzę, że najlepiej będzie, panie kadecie, gdy pan sobie tu odpocznie, zanim pan okrzepnie. Armaty słyhać już bardzo słabo. Daleko, widać, strzelają.

Kadet nie sprzeciwiał się w niczym Szwejkowi i pozwolił wyprowadzić się do ogrodu. Przy stodole drugi żołnierz rąbał drzewo i wołał Szwejka na pomoc.

Zabrali się do tarcia polan. Pila tępa i zardzewiała zgrzytała w drzewie i piszczała, a drewek przybywało coraz więcej, tak że gdy młoda gospodyni wyszła na dwór, uśmiechnęła się z zadowoleniem:

— Nu, panowie żołnierze, czy nie lepiej drwa rąbać, niż się na froncie bić? Ile roboty wy mi oszczędzicie!

— Moja gosposiu — mrugnął na nią Szwejk oczkiem — czego by to człowiek dla takiej miłej gospodyni nie zrobił!

Sercem podzieliłby się człek z nią, a cóż dopiero taki drobiazg jak rąbanie drewek! Zamiary mam jak najlepsze!

Gospodyni niewiele zrozumiała z tej przemowy, więc się roześmiała i poszła do chaty, a Szwejk zaciął siekierę w pniu i rzekł do kolegi:

— Cokolwiek robisz, człowiecze, zawsze musisz mieć uczciwe zamiary, jeśli chcesz mieć powodzenie, ale musisz też mocno rzecz obmyślić, żeby ci się do niej nic nie przyplątało, co by mogło ją spaczyć. W Nachodzie był starosta, którego nagle wezwano do kapitanatu, aby mu powiedzieć, że przez Nachod przejedzie najjaśniejszy pan. Więc mój starosta wezwał natychmiast wszystkich radnych i powiedział im, jaki zaszczyt spotka ich miasto. Był to starosta bardzo porządny, a nie taki, jak ów Zemanek w Kozojadach, który mawiał do radnych: — Jesteśmy rajcy jednej gminy, a wszyscy razem pieskie syny. — Starosta z Nachoda kazał budować bramy triumfalne, a ponieważ lubił, żeby wszystko było jak się patrzy, więc się zabrał do medytowania, jaki by też napis umieścić na bramie triumfalnej. Na dwa dni przed przejazdem najjaśniejszego pana sprowadził malarza, zamknął go u siebie, dał mu płótno i farby, kazał mu malować i w ogóle go nie wypuszczał od siebie, aż do skończenia roboty. Potem ten malunek przybili do bramy triumfalnej i zasłonili tak, żeby go nikt nie mógł przeczytać, zanim przyjedzie najjaśniejszy pan.

Wreszcie cesarz jedzie, policjant pociągnął za sznurek, zasłona spada, a ludzie czytają pięknie wymalowany napis.

Gelobet sei Jesus Christus!

Jetzt kommt Josephus Franziskus!

Najjaśniejszemu panu bardzo się ten napis podobał, a gdy starosta go witał, rzekł do niego:

— Bardzo mi przyjemnie, że to pan jest starostą w Nachodzie. Czy na Wełtawie jeszcze spławiają drzewo?

I najjaśniejszy pan pojechał dalej, ale pan starosta dostał zegarek złoty, w którym był ładny napis, oraz krzyż zasługi z koroną. Ten starosta był bardzo z tego dumny, a gdy się zestarzał, to na starostę wybrano jego syna.

Młody był starostą może rok, a tu i jego wołają do kapitanatu i mówią mu, że przez Nachod przejeżdżać będzie najjaśniejszy pan i że trzeba go witać. Zamknął się w pokoju i zaczął rozmyślać nad bramami triumfalnymi i nad napisem, a potem kupił kawał płótna, sam napis wymalował, w nocy go przybił, zasłonił i nikomu ani słowa, nawet ojcu nic nie powiedział.

Cesarz jedzie, policjant zrywa zasłonę, a na bramie napis taki:

Jezus! Maria! Józef!

Przyjechał Franciszek Józef!

Najjaśniejszy pan wcale z nim nie gadał, nawet gdy starosta go witał i czytał przemówienie z kartki w kapeluszu. Nie powiedział mu nawet, iż go cieszy, że Nachod jest w Europie, i pojechał dalej. Potem tego starostę usunęli z urzędu i wlepili mu cztery miesiące za zdradę i obrazę majestatu. Ale jego zamiary też były dobre i uczciwe, tylko że nie przemyślał wszystkiego jak jego ojciec i nie zastanowił się dobrze, co z tego może być.

— A mówią, że najjaśniejszy pan po czesku nie umie i ani słowa nie rozumie — rzekł kolega Szwejk.

— Mało to ludzie gadają o najjaśniejszym panu — bronił Szwejk cesarza — ale serce ma nasz cesarz dobre, a czeskiego też się uczył. Dla posłów do parlamentu ma być bardzo uprzejmy i z każdym grzecznie rozmawia. — Czy macie w Pradze jeszcze ciągle kanalizację — pyta jednego, a do drugiego zwraca się z pytaniem: — Jak pan sądzi, czy zima będzie latoś długa? — Bardzo przyjemnie, że mosty prowadzą u was z jednego brzegu na drugi. — Co tu dużo gadać, kolego, nie

łatwa to sprawa panować i jeszcze pamiętać o kanalizacji. Nie dziwnego, gdy się taka wysoka osoba czasem zmyli. Tak było na przykład na Morawach, gdzieś koło Hodonina. Cesarz pyta starostę: — Urodzaj latoś dobry? Gdyby nie padały deszcze, to pogoda byłaby bardzo ładna. — A ten starosta, cham nieokrzesany, powiada: — Wasza cesarska mości, żyto niczego sobie, pszenica jest ładna, ale kartofle pogniły na sraczkę.

Cesarz tego słowa nie zrozumiał i pytał o nie adiutanta, a ten mu na to, że lud się tak wyraża o rzeczach na pół zgniłych i mówi, że są na sraczkę. A po tygodniu cesarz przyjechał do Przerowa, a tam kapitan okręgu przedstawił mu kierownika szkół. Już przedtem cesarz zauważył, że go wita bardzo mało dzieci i zapytał tego kierownika, jaka jest tego przyczyna.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział nauczyciel — mamy tu epidemię odry. Połowa dzieci jest chora na...

— Ich weiss, ich weiss — przerwał mu cesarz, kiwając z zadowoleniem głową — na sraczkę, na sraczkę. — Przecież i taka dostojna osoba może się czasem pomylić i nie trzeba zaraz wygadywać o niej Bóg wie co.

Kadet Biegler, siedząc pod gruszą na ogrodzie, wracał do sił bardzo szybko i zaraz po południu chciał ruszyć dalej, ale Szwejk zaprotestował:

— Posłusznie melduję, panie kadecie, że nie ma się co śpieszyć, bo naszego batalionu i tak nie znajdziemy. Musimy ruszyć na prawo ku kolei, to batalion na pewno przyplącze się do nas. A następnie pan kadet jeszcze jest słaby, nie mówiąc o tym, iż w nocy będzie padał deszcz, jak twierdzi nasza babina.

Kadet zaczął się rozglądać na mapie i w duchu przyznawał Szwejkowi rację. Przy sposobności wyjaśniło się i to, że pan kapitan Sagner miał rację, gdy twierdził, że Rosjanie nigdy nie mogli cofać się tymi drogami, na których ich szu-

kano, bo z artylerią i taborami nikt w takie bajora wleźć nie może.

Szwejk znowu gotował herbatę i znowu w nocy przeprowadził się za piec, gdzie gorliwie pocieszał słomianą wdowę. Wieś spała snem głębokim w potokach deszczu, który przestał padać dopiero nad ranem.

Kadet spał dobrze i okrzepl tak dalece, że odzyskał całkowicie ducha wojowniczego. Na żołnierza, który gotował śniadanie, podczas gdy Szwejk z młodą gospożą poszli do obory doić krowę, wrzasnął, aż się chałupa zatrzęsła:

— H e r r g o t t , chacie, jak stoisz, gdy z tobą rozmawiam! Ustawisz giczoly jak się należy, czy nie? Stańże na baczność, do diabła!

Po śniadaniu ubrał się pośpiesznie i rozkazał ruszyć w dalszą drogę.

Zapłacił babinie, która pocałowała go w rękę, i wyszedł z chaty pierwszy, a za nim wyszli obaj towarzyszący mu żołnierze. W sieni Szwejk zdążył pożegnać się z młodą gospodynią i głaszcząc jej dłonie, uspokajał ją:

— Nie płacz, moja miła, boć nie rozstajemy się chyba na wieki, a zresztą i twojego starego puszczą może na urlop. A gdyby ci się miało coś przytrafić, to przecie i w Galicji jest chyba instytut położniczy. Zostań tedy z Panem Bogiem i bądź zdrowa.

Kadet zamierzył przez ogrody ku północy, bo stara gospodyni powiedziała mu, że tam jest droga ku kolei. Szedł tak żwawo, że Szwejk z kolegą pozostali nieco w tyle i kolega zaczął mówić do niego:

— Jak będziesz miał apetyt, kolego, to powiedz, bo ja tej babie buchnąłem kielbasę, których w komorze jest jeszcze sporo.

— Jak ci nie wstyd okradać takich dobrych ludzi — strofował go Szwejk. — Mnie ta młoda z dobrej woli dała kawał wędzonki i bochenek chleba. Głodny nie jestem, ale z ra-

na ukręciłem lby sześciu kurczętom i dwom kurom. Plecak mam taki nabity, że ledwo leżę. Żeby mi się tylko nie zepsuły te rzeczy.

Kadet skręcił między domki wsi, która ciągnęła się na przestrzeni paru kilometrów. Szwejk obejrzał się za chatą, w której znalazł tak wszechstronną gościnność, i w nagłym przystępie uczuć sentymentalnych jął nucić półgłosem:

Dziewczę piękne niby anioł
Nad jeziora brzegiem lka.
Ach, zdradzona, opuszczona,
Tylko w łzach pociechę ma.

Wydało mu się jednak, że te słowa nie wyrażają należy-
cie jego uczuć, więc zaczął śpiewać inną piosenkę:

A kiedym wracał od ciebie,
Gwiazdy świeciły na niebie,
Rybki pluskały się w wodzie
I księżyc na niebie gasł,
Gdym swoją miłą odprowadzał
Ostatni, ach, ostatni raz...

Nagle kadet się zatrzymał, osłonił oczy dłonią i popa-
trzywszy uważniej, zawołał:

— Nieprzyjacieli! Rosjanie! N i e d e r !

— Doprawdy Moskale — zdziwił się Szwejk. — Więc
jednak....

Kolega Szwejka na słowo o Moskalach rzucił karabin i pod-
niósł ręce do góry, ale widząc, że nieprzyjacieli nie idzie, opu-
ścił ręce i rzucił się na ziemię, podczas gdy kadet komende-
rował:

— L a d e n — l a d e t !

Kadet był wystraszony i śmiertelnie blady. W rękę ści-
skał rewolwer. Szwejk, który nic nie widział, przykląkł za
nimi i pytał zaciekawiony:

— Posłusznie proszę, panie kadecie, gdzie są ci Rosjanie?

Nie wiem, jak wyglądają, bo Moskale jak żyją nie widziałem. Madziarów widywałem sporo.

Kadet pociągnął go ku sobie na ziemię i wskazał mu Rosjan ręką, w której trzymał rewolwer. Wtedy zobaczył ich i Szwejk.

Sród chałup szwendali się trzech żołnierze rosyjscy: dwaj starsi brodacze i jeden gołowąs, dzieciak prawie. Szli noga za nogą, jak zmęczone niedźwiedzie, a karabiny mieli przewieszane przez ramię, na postronkach. Widać było, że są bezradni i zniechęceni jak owce, odbite od stada i strudzone do ostateczności. Każdy ich ruch zdawał się ilustrować piosenkę żołnierską:

Czy pójdę tu, czy pójdę tam,
Całą wojaczkę w dupie mam.
Czy tam pójdę, czy tu ślędę,
Ja wygrywać bitw nie będę.

Przystanęli pomiędzy domkami i naradzali się nad czymś, spoglądając ku chacie, na której podwórzu leżał kadet z dwoma swoimi żołnierzami. Kadet spoglądał ukosem na Szwejka, a widząc, że ten na komendę jego zaczyna karabin nabijać w jakiś zgoła osobliwy sposób, wyrwał mu go i nabił sam:

— Ach wy, bydlę, nawet karabinu nabić nie umiecie! Mierźcie dobrze. A n! — skomenderował i podniósł rewolwer.

Nie zdążył wymówić ostatniego słowa: — Feuer! — bo Szwejk pociągnął go za rękę z rewolwerem i mruknął:

— Jezus Maria, panie kadecie, czy chciałby ich pan zastrzelić! Przecież oni nie robią nam nic złego! Panie kadecie, posłusznie melduję, że jeśli strzelimy do nich, a nie trafimy, to oni mogą zastrzelić nas. Przecież i oni mają strzelby i jakie długie! Przecież, panie kadecie, to może być szpica, kto wie, czy za nimi nie idzie cała dywizja. Może też być, że ich jest tylko trzech, że tak samo się zbłąkali, jak i my. Gdy ich zastrzelimy, to będziemy musieli kopać dla nich groby, a przy

dzisiejszym upale, panie kadecie, taka rzecz nie jest przyjemnością, ale ciężką orką.

Szwejk od razu jakoś nabrał przekonania, że Rosjanie są także zabląkaną szpicą, a jego sympatie wzmogły się dla Rosjan niepomierne. Objął kadeta ramieniem tak mocno, że ten nie mógł nawet oddychać i szeptał zachwycony:

— Niech pan sobie wyobrazi, panie kadecie, że oni także pewno zgubili swój oddział i będą się teraz włóczyli po świecie, i żaden pułk nie przyjmie ich za swoich, nikt im nie wypłaci żołdu, nikt nie da wikt. Medytują pewno, jakby się tu dostać do niewoli. Może nawet myślą, że my jesteśmy tacy głupi, że ich zabierzemy i będziemy się głowili o żywność dla nich. Ale oni się przeliczyli, panie kadecie. Nie ma chyba głupich! Nas prowadzi pan kadet Biegler, który nie jest znowuż takim fujarą, żeby miał zbierać rosyjskich podrzutków i kłopotać się nimi.

Szwejk tulił kadeta coraz mocniej do siebie. Rosjanie postali, pogadali i ruszyli dalej. Uścisk Szwejka pofolgował. Jego ramię puściło kadeta, a palec wskazywał długie bagnety zbląkanym żołnierzom rosyjskim.

— Panie kadecie — rzekł wreszcie tonem ojcowskiego napomnienia — w tej chwili uratowaliśmy sobie życie. Nie jestem łaskotliwy, ale gdy taka bestia zacznie człowiekowi liczyć żebra podobnym szpikulcem, to nie ma w tym chyba nic przyjemnego.

Kadet milczał, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Wydawało mu się nawet, że może Szwejk ma rację. Skoro znalazło się tu Moskali trzech, to może ich tu być także więcej. Strzelanina wywołałaby popłoch w całej okolicy i diabli wiedzą, jakby się to wszystko skończyło.

Ruszył przez pole ku lasowi, pochylając się jak najniżej ku ziemi. Dopiero w lesie zaczął ratować swój autorytet i wrzasnął na Szwejka:

— Ja tu komenderuję! Cokolwiek rozkażę, macie wykonać i stulić pysk. Zrozumiano?

— Posłusznie melduję, panie kadecie, że zrozumiano. Będę słuchał i stulę pysk — oświadczył Szwejk z wielką uległością. — Posłusznie proszę, panie kadecie, czy nie chciałby pan kawałek salami. Jest dobre, suche i z czosnkiem.

Szli skrajem lasu wolno i ostrożnie, ale prócz mieszkańców pracujących w polu, nigdzie nie było żywego ducha. Po południu dotarli do drogi, która prowadziła prosto na północ, przecinając wysoki i gęsty las.

Kadet nakazał odpoczynek. Usadowili się w trawie, a kadet rozłożył przed sobą mapę i jeździł po niej palcem.

Kolega Szwejka, którego podczas tego całego marszu nie interesowało prócz spania i jedzenia, zasnął natychmiast. Szwejk patrząc na mapę przez ramię kadeta, zapytał:

— Posłusznie proszę, panie kadecie, czy już pan znalazł miejscowość, w której mógłby się znajdować nasz batalion? Bo mówią, że na takich mapach sztabu generalnego jest wszystko, ale znać się na takich mapach to musi być sztuka. W naszym pułku był niejaki oberlejtnant Hoffman, który w szkole podoficerskiej uczył używać takich map. Bardzo często mawiał: — Żołnierze, znać się na mapie, to rzecz ważniejsza, niż wiedzieć, ile części ma karabin. Kaprale, plutonowi i frajtrzy muszą znać się na mapach lepiej od generałów, co sami chyba widzicie, gdy pułk nasz ma wielkie ćwiczenia albo manewry. Najprzód zginie pan oberst razem z kobyłą, na której siedzi, potem przepadnie pan major, następnie pan kapitan, a wreszcie niżsi oficerowie. Cały pułk prowadzi wreszcie feldfelbel albo plutonowy i zobaczylibyście, co by go spotkało, gdyby zabił. W czasie pokoju takie wykroczenia karze się surowym aresztem, podczas wojny — prochem i ołowiem. — Tego pana oberlejtnantsa potem zdegradowali, teraz jest on w Pradze redaktorem i bardzo często siedzi w kozie za obrazę armii. Na redaktorów też musi być kara.

Kadet nie odpowiedział i zagłębiał się w mapie coraz bardziej. Wreszcie podkreślił pewne miejsce paznokciem i zapytał:

— Ta wieś, mój Szwejku, w której nocowaliśmy, nazywała się?... Aha — Piętaki. No, więc to tutaj. Teraz jesteśmy w lesie, o tu, a ta kolej, o której gospodyni mówiła, nie może być inna, tylko właśnie linia Lwów—Brody. Kolejek podmiejskich tutaj nie ma. Chyba, że Rosjanie zbudowali sobie jaką kolejkę podjazdową. W ciągu trzech godzin dotrzemy do szosy.

Ale nie dotarli do tej szosy nawet po trzech godzinach, chociaż szli krokiem ostrym. Dopiero wieczorem doszli do czegoś, co od biedy mogło się nazywać szosą. Była ta szosa tak rozorana i rozjeżdżona kołami niezliczonych samochodów ciężarowych i armat, że przypominała raczej jakiś wertep. Gdy zbliżali się ku niej, włókł się tamtędy ogromnie długi łańcuch wozów z chlebem, słomą, sianem. Przydrożem szli maruderzy różnych oddziałów wojska, żołnierze wyczerpani z sił lub też tacy, którzy sądzili, że na to, co ich czeka, mają czasu aż nadto.

Kadet zapytał o pułk 91. Nikt o nim nie wiedział, aż dopiero jakiś kapitan pionierów powiedział mu:

— Dziewięćdziesiąty pierwszy z Budziejowic. Widzieliśmy go wczoraj. Ciągnie ku Brodom. Rosjanie się tam okopali. Gromadzi się tam cała dywizja.

Kadet znowu wyjął mapę i szukał drogi, którą mógłby dotrzeć do Brodów, do swego batalionu. Przez chwilę szedł szosą, a potem ruszył w prawo, polną drogą wąwozową.

— Do tej szosy dojdziemy znowu ale nasi jeszcze do niej dojść nie mogli. Może spotkamy ich gdzieś we wsi.

Maszerowali dalej i wreszcie dogonili kilku zapóźnionych szeregowców, których potem spotykali coraz więcej. Żołnierze różnych pułków szli pojedynczo i gromadkami, siadali i pokładali się przy drodze, a gdy Szwejk ich pytał, dokąd

idą, odpowiadali bądź wściekłym pomrukiem, bądź frazesem pełnym rezygnacji:

— Idziemy umrzeć za najjaśniejszego pana.

Droga prowadziła ku moczarom, ale już nad nią pracowano, aby się stała możliwą dla wozów. Cała kompania żołnierzy znosiła pnie wysokich drzew, podwożone z lasu przez zmobilizowanych chłopów, i układała jeden obok drugiego. Inny oddział wypełniał luki między poszczególnymi pniami mchem, trzeci zwoził piasek i wszystko tym piaskiem przysypywał. Nad żołnierzami stał lejtnant i wrzeszczał:

— Herrgott, chłopcy, róbcie robotę porządnie! Droga musi być gładka, jak w Schönbrunnie w parku. Plutonowy, powiedzcie no tam ludziom, żeby zwozili tylko piasek czysty i drobny.

Kadet wdał się w rozmowę z lejtnantem. Szwejk przyglądał się z wielkim zainteresowaniem robocie żołnierzy sypiących piasek i rzekł do jednego z nich:

— Robisz robotę bardzo ładną. Czyściutko i zgrabnie, jak w kościele — rzekłby stary Morawiec, gdyby cię przy tej robocie widział. Bardzo zgrabnie robisz swoje. Ten Morawiec to murarz, ale z tych lepszych. Do jakiej hołoty należycie?

— E, mój kolego — westchnął zapytany — robimy same głupstwa. Gdy tą drogą przejdzie choć jedna kompania, to po naszej czystej robocie nie zostanie nawet śladu. Albo jeśli przejdzie tędy artyleria, czy też tabory, to konie kopytami wszystek ten mech powyrzucają, a my go zwozimy o milę drogi stąd. Robimy osielstwa, a zmordowani jesteśmy od tych osielstw niby konie. Wiele takich robótek już zrobiliśmy, a wszystko psu na budę. Ale cóż robić, gdy nasi inżynierowie to sami idioci! Wczoraj budowaliśmy most dla taborów nad takim strumyczkiem, że go dziecko przeskoczy. Tabory ogromne, ze czterysta wozów, ale muszą stać i ruszyć naprzód nie mogą, bo na drodze jest ten strumyczek. Posłali nas. Dobrze, ja jestem kołodziej, kolego, więc gdyby mnie ka-

zali zrobić tę rzecz, to z brzoza na brzeg byłbym przerzucił trzy belki, do belek poprzybijałbym grube deski i jazda. Ale nasz pan lejtnant jest inżynierem, więc zabrał się do tego głupstwa planowo. Posłał do wsi o półtoiej mili stąd po jakieś tam przyrządy i miary, wszystko na włoskę wymierzył i wyliczył, potem kazał belki starannie obciosać, potem wysłano ludzi po specjalne deski, które przywieziono dopiero wieczorem i jeszcze z obu stron musieliśmy porobić poręczę. Od jedenastej przed południem pracowaliśmy przy tym głupim mostku do trzeciej rano i przez cały ten czas tabory stały i ruszyć się nie mogły, a wiozły chleb dla wojska! Dopiero po trzeciej puścił pan lejtnant pierwszy wóz i natychmiast pierwsza fura oderwała poręcz. Potem przed mostkiem porobiły się takie głębokie koleiny, że trzeba było drągami windować wozy na ten nieszczęsny mostek. W taki sposób, kolego, wojny tej wygrać nie możemy. Taki oficer to idiota, ale powiedzieć mu tego nie mogę, a z jego rodziny też mu tego nikt nie napisze. A ty skąd jesteś? My jesteśmy kompania robocza 36 pułku, a między sobą nazywamy się stowarzyszeniem zdobniczym.

— Więc i wy macie takich idiotycznych oficerów — rzekł Szwejk ze współczuciem. — Ja jestem z 91 pułku i też mamy cymbalskich oficerów. My jesteśmy, uważasz, przygięta szpica i szukamy swego pułku. Ale jeśli ten twój lejtnant jest taka fujara, to nasz kadet niewiele dowie się od niego. Jeść wam dają dobrze, kolego?

Członek stowarzyszenia zdobniczego machnął ręką z przysługą, ale właśnie w tej chwili kadet wezwał swoich podkomendnych do dalszego marszu. Szwejk zwrócił się do pracujących żołnierzy i rzekł im na pożegnanie:

— Więc, chłopaszkowie, dekorujcie okolice jak się patrzy. Gdy wrócicie do cywila, to będziecie mogli dekorować salę na bale weterańskie.

Kadet naprawdę nie dowiedział się nic nad to, co mu powiedział kapitan pionierów. Koło Brodów Rosjanie się zatrzymali i okopują się. Widocznie nie chcą puścić Austriaków w głąb Rosji. O tym, gdzie mógłby być batalion, nie wiedział lejtnant nic.

Zapadał zmierzch, żołnierze i kadet byli zmęczeni i dlatego kadet nie oponował, gdy Szwejk odkrywszy gajówkę, poradził, żeby w niej odpocząć. Stary gajowy przyjął gości dość życzliwie i powiedział im, że onegdaj i wczoraj przeszło tędy wojska bardzo wiele. Ostatni Rosjanie przemaszerowali przed czterema dniami.

Dla gości szykowano jakąś skromną kolację. Widząc przygotowania, Szwejk udał się do kuchni, zagotował wielki garnek wody i zabrał się do parzenia kurcząt i kur.

Kadet, widząc, co Szwejk robi, spostrzegł z zadowoleniem, że już mu się chce dobrze jeść, a jego podwładny okazał mu w całej pełni swoje dobre serce.

— Mówilem panu, panie kadecie, że pana nie opuszczę. Z tych kurek ugotuję rosółu, a kurczęta upiekę. Dobrze, żeśmy nie marnowali czasu na strzelanie do tych Moskali, bo kolacja nie byłaby na czas.

Dwie kury i trzy kurczęta zostały zjedzone natychmiast, pozostałe trzy zawinął Szwejk starannie w zapasowe onuczki i ułożył je w plecaku.

— Upieczone kurczęta zepsuć się nie mogą — rzekł i beknął głośno.

Gdy rano odchodzili, żona gajowego niespokojnym okiem liczyła kury i dopiero po chwili twarz jej się rozjaśniła. Zapewniła gości, że co dzień będzie się za nich modlić.

— Będę się za was modlić co dzień, panowie wielmożni. Kurki są wszystkie, co do jednej.

Na drodze panował ruch jeszcze żywszy niż wczoraj. Wojska szły naprzód kolumnami. Napotkano żandarmów polowych, którzy na pytanie odpowiedzieli:

— Wasz batalion? Wczoraj był w Smotynie, ale gdzie jest teraz, tego nie wiemy.

Kadet wypytał się, w której stronie jest ta wieś i zdecydował, że pójdą do niej, bo tam najpewniej się dowiedzą, gdzie pułk znajdować się może.

Wojsko pokazywało się teraz i w polu. Widać było telefonistów, zakładających przewodniki i biegających z długimi tykami od drzewa do drzewa, i Szwejk wspomniawszy Chodounskiego dał wyraz współczucia dla niego:

— Mógł się razem z nami pożywić kurczakiem, a tymczasem musi biedak latać jak postrzelony od drzewa do drzewa.

Niedługo zrównał się z nimi Meldereiter, pędzący, co koń wyskoczy. Szwejk krzyknął na niego:

— Ej, kolego, kłaniaj się tam naszemu 91 pułkowi i powiedz mu, że już idziemy!

Jeździec zatrzymał konia:

— Jadę naprawdę do tego pułku. Jest w Wierbianach i ma przybyć do Piętek. Będzie mila drogi stąd. Możecie iść naprzód i poczekać tam na swój pułk.

W taki więc sposób zdarzyło się, że o godzinie szóstej wieczorem kadet Biegler meldował swój powrót kapitanowi Sagnerowi i stając na baczność miał w pogotowiu odpowiedź na przypadek, gdyby go kapitan zaczął strofować. Ale kapitan, któremu Lukasz dał połowę kurczaka otrzymanego od Szwejka i opowiedział mu dzieje ich błędzenia, poklepał go z uznaniem po ramieniu:

— Dobrze, bardzo dobrze, wywiązał się pan z zadania, panie kadecie! Ze sztabu brygady otrzymywaliśmy rozkazy tak popłatane, że można było zgłupieć na czysto.

Gdy Szwejk ukazał się wśród kolegów przywitał go Marek okrzykiem:

— Groby się otwierają, umarli wstają z martwych, dzień

sądu ostatecznego nadchodził! Szwejku, łaziku zatracony, gdzie cię diabli nosili?

— Nie pytaj, bracie, i ciesz się, że jestem na świecie — rzekł Szwejk wzruszony. — Dam ci kawał kurczaka, ale jest trochę twardy, bośmy zabłądzili, a kadet nie miał widać dobrej mapy.

A potem, gdy przybył Baloun i zaczął się przyglądać Markowi ogryzającemu kostki kurczęcia, Szwejk ulitował się nad nim, rozwiązał plecak i rozwinął onuczki.

— Masz, stary draniu, żryj! Schowałem dla ciebie kawał kury. Wspominałem was we dnie i w nocy, wy łobuzy. A wyście co porabiali?

— Włóczyliśmy się po świecie — odpowiedział jednoroczniak, gryząc spaloną kostkę. — Chodziliśmy tam, sam, jakbyśmy drutowali kulę ziemską. Ale za to kurczę, bracie Szwejku, napiszę o tobie w historii pułku takie opowiadanie:

Marek wyjął z kieszeni jakieś papiery, rozłożył je i zaczął deklamować:

— Jeśli w opisach bitew zdarzy ci się czytać o ostatnim kanonierze, pochyl nisko głowę, zapamiętaj sobie jego imię i myśl o nim z szacunkiem. Albowiem samo słowo o ostatnim kanonierze zawiera w sobie tyle duchowej mocy, tyle nerwowej równowagi i dzielności, że każda próba opisanie tej nadludzkiej siły byłaby tylko jej pomniejszeniem. Spróbujmy zrozumieć bliższe okoliczności takiej sytuacji. Nieprzyjacielowi udało się wykryć stanowisko naszej baterii i niebawem posyłał nam granat za granatem, szrapnel za szrapnelem, druzgocząc bez miłosierdzia wszystko dokoła. Ciężkie pociski wyją w locie i biją w działa, niszcząc je po kolei. Na poszarpanej i zoranej ziemi leżą ciężko ranni, zabici, umierający. Padali jeden po drugim. Z całej baterii pozostało już tylko jedno działo i jeden żołnierz do jego obsługi. Tym żołnierzem jest Józef Szwejk, rezerwista 91 pułku, który zagrożonej baterii pośpieszył na pomoc. Pociski wyją dalej, biją w lewo i biją

w prawo, wybuchając to bliżej, to dalej, ale żaden z nich na szczęście nie wyrządza dzielnemu żołnierzowi szkody. Jest to ostatni kanonier. W tym szale bitwy, w tym piekle wybuchających pocisków stoi mężnie i niezachwianie, nie traci zimnej krwi i spokojnie spełnia swój obowiązek. Jakże nazwiemy tego człowieka? Spiszowym dźwiękiem krótkiego słowa powiemy o nim: Bohater! Toteż ostatni kanonier stał się tematem najslawniejszych malarzy. Wizja takiego bohatera znalazła swoje ucieleśnienie w Józefie Szwejku, on stał się uosobieniem legendy, stał przy armacie, nabijał i strzelał raz za razem. I dla Rosjan i dla śmierci był zbyt twardym ten mąż. Był niepokonanym! Obecnie na piersi jego połyskuje wielki srebrny medal.

— Mniej więcej tak samo jak w owej piosence o kanonie-rze Jaburku — odpowiedział Szwejk — co to przy armacie stał i stale nabijał. Wiesz, bracie jednoroczniku, że zaczynasz po trosze idiociec. Gdyby pod Hradcem Królowej Clamm-Gallas nie zabrał sprawy, to mogliśmy ową bitwę wygrać, bo żołnierze byli tam dobrzy, jak o tym piosenki świadczą. Czy już wiesz, że plan tej bitwy pod Hradcem zrobił austriackiemu sztabowi generalnemu pruski sztab generalny? Wiedział o tym niejaki kapitan Heppner, a ponieważ nie mógł prze-dostać się przez Elbę, więc się zastrzelił. Ale o wszystkim napisał swojej żonie i za to cesarz odmówił jej emerytury. Ona najprzód klękała przed najjaśniejszym panem na ulicy i składała ręce, żeby jej udzielił audiencji, a potem zamknęła ją w szpitalu dla wariatów, bo chciała najjaśniejszego pana oblać wtriolejem.

— Nie rozpuszczaj, mój Szwejku, tak bardzo swego języka — napomniał go Marek. — Nie wiesz, kto cię słucha.

— Niechże słucha, kto tylko chce — obraził się Szwejk — chciała najjaśniejszego pana spaskudzić, żeby się nie podobał Elżbiecie. Chociaż znowuż z drugiej strony cesarzowa i tak uciekała od swego małżonka, aż ją ten anarchista prze-

bił w Genewie pilnikiem. Nie lubił widać ładnych kobiet. Moskale też mają bagnety jak pilniki. Najjaśniejszy pan mógł być żyć ze swoją małżonką jeszcze długie lata w szczęśliwym małżeństwie.

Zgiełk w obozie przycichał, żołnierze układali się do snu. W sąsiednim namiocie ktoś wywodził:

— Powinniśmy byli pójść do kucharza, żeby nam dał przynajmniej kości do obrania, i powiedzieć mu: — Herrgott, cóż to my jesteśmy jakie lobuzy i przybłędy, że nam żrąc nie dajecie? W ogóle żyje tu człowiek jak ten wół: ani wódki, ani miłości.

Ale w obozie nie było kojącego spokoju letniego wieczoru. Od czasu do czasu odzywało się pogrzmiwanie dział, turkotanie wozów, dudnienie kroków piechoty i tupot jazdy. Odgłosy te słyhać było przez całą noc, a budziły one wrażenie wydarzeń pełnych grozy i takiej jakiejś niepewnej przyszłości, że nadporucznik Lukasz układając się do snu na wiązce siana rzekł do Szwejka, który przyszedł zapytać, jakie na rano otrzyma rozkazy:

— Tymczasem nic. Bóg raczy wiedzieć, co będzie rano. Czy wiesz, Szwejku, że teraz zaczyna się na dobre? Nawarzyli ludzie piwa, a my je będziemy pili.

Na to z rezygnacją odpowiedział Szwejk:

— Posłusznie melduję, że o niczym takim nie wiem, ale piwo, jak jest dobrze uwarzone, to się je dobrze pije przy każdej sposobności. Posłusznie melduję, panie oberlejtnant że rano zobaczymy, jakiego piwa nam Moskale nawarzą.

VI

Vorwärts! Vorwärts!

Duże znaczenie podczas wojny ma stopniowe i wyrafinowane przytępienie zmysłów żołnierzy i stałe karmienie ich nadziejami.

Gdyby przeciętnego obywatela, rzemieślnika czy kupca, oderwać od jego powszedniego zajęcia i przerwucić od razu do okopów, to zdarzyć by się mogło, że połowa całej armii wisiałaby na pierwszych napotkanych chojakach. Powywieszaliby się ci zacni ludzie z rozpacz, bo po prostu nie znieśliby takiego nagłego przejścia z jednej sytuacji do drugiej.

Dlatego robi się te rzeczy etapami, stopień za stopniem, powoli, niedostrzegalnie, jak się używa arszeniku od jednej pigułki do dziesięciu, co dzień o jedną więcej.

Najprzód przywyka się do brudu koszar i brutalności oficerów. Pod nędznym płaszczykiem troskliwości ukrywa się haniebne traktowanie. Nędzne jedzenie i okropne noclegi są dalszym ciągiem, po czym idzie podróżowanie w śmierdzącym wagonie, znużenie i udręki marszów, a dzień w dzień odzywa się nadzieja, że to się jutro skończy, że do niczego nie dojdzie i że nic się stać nie może.

Nadzieja, że jutro będzie koniec, powstrzymuje żołnierzy od kroków nierozważnych i samobójstwa. To, że życie staje

się coraz bardziej zwierzęcym i przemienia się w piekło, doprowadza wreszcie do tego, że żołnierz śmierci się nie boi i w niebezpieczeństwie jest zgoła obojętny. Jest to stan duchowy, wyrażony przez Havliczka: — Jestem austriackim obywatelem. Cóż gorszego jeszcze spotkać mnie może?

Toteż, gdy nazajutrz rano oficerowie odbywali naradę, a kurier przylatywał za kurierem, telefoniści zaś zwijali przewodniki, żołnierze batalionu stali już tacy ogłupieni, jak owce przed bramą jatek.

Nikomemu już się nawet gadać nie chciało i wszyscy byli jak zdrętwiiali. A gdy nagle raz za razem huknęły działa całkiem blisko, aż się ziemia zatrzęsła pod nogami, po chwili zaś zagrzmiały ciężkie działa gdzieś z tyłu za oddziałem, żołnierze bledli i jeden na drugiego spoglądał pytająco, ale widział tylko tyle, że i sąsiad blednie. Nie wszczynano alarmu, bo był zgoła zbędny. Żołnierze sami pozarzucali na plecy swoje toboly i każdy miał na myśli tylko jedno:

— Jak tylko zaczniemy uciekać, to rzucę to draństwo. Dźwigać tego nie myślę.

Potem kapitan Sagner krzyknął: — **H a b a c h t!** Włazł na pustą beczkę i zaczął gadać.

Przypominał żołnierzom ich przysięgę i obowiązek wiernej obrony sztandaru. Z naciskiem wywodził, że Rosjanie zostali wyparci poza granice państwa. Jeszcze parę metrów, a na kolanach prosić będą o pokój. Zaklinał żołnierzy, żeby się nie bali, że on ich poprowadzi jakby za żelaznym murem, i wzywał ich, żeby dbali o reputację swego żelaznego pułku, który nigdy się nie cofał i zawsze zwyciężał. Twierdził, że im wcześniej na polu walki dojdzie do decydujących wydarzeń, tym prędzej powrócimy do swoich domów, do kochanych rodzin, w objęcia kochających żon. Mówił, że nasz dostojny sprzymierzeniec Wilhelm (szarże dawały żołnierzom sójki w bok, żeby krzyczeli hura i hoch, bo po zębach i do paki, mówił o powrocie do domu, zanim liście z drzew opadną,

i że ta przepowiednia jest prawdziwa, a dotyczy tej właśnie jesieni. Wielkich i niebezpiecznych walk nie będzie, bo Rosjanie nie mają amunicji, a granaty już nabijają piaskiem. Gdyby ktoś jednak został zraniony, niech ranę zawiąże jako tako i uda się na Hilfspplatz. Gdyby ze względów strategicznych nakazany został odwrót, rannych nie zostawiać na polu, ale wszystkich zabierać. Lekko ranni niech niczego nie rzucają i wszystko zabierają z sobą, osobiwie karabin, który odebrany zostanie na Hilfspplatzu.

— Karabin, żołnierze, to nie patyk, który można sobie uciąć gdziekolwiek! — zapalał się kapitan. — Kto wraca bez karabinu, ten naraża na śmierć towarzysza, który nie będzie miał czym się bronić. Kto przyniesie karabin, dostanie pięć koron, kto nie przyniesie, ten nie dostanie po wyzdrowieniu urlopu. A teraz na cześć naszego wodza najwyższego, najjaśniejszego pana: Hura! Hura! Hura!

Bez ognia i zapалу żołnierze powtórzyli okrzyk, a kapitan, zląwszy z beczki, dodał już nieoficjalnie, bez namaszczenia i niejako po ojcowsku:

— Do niewoli się nie pchajcie, bo do domu nie wrócicie z Rosji nawet po dziesięciu latach. Gdyby pomimo wszystko, który miał polec, to żona jego dostanie za niego 300 koron. Zresztą do końca świata tu nie zostaniemy. Czy który z was chciałby może żyć na wieki?

Zapatrzył się na żołnierzy i spojrzenie jego zatrzymało się na Szwejku z taką siłą, że ten wyszedł z szeregu, zasalutował i odpowiedział:

— Postusznie melduję, że nie chciałbym!

Potem padła komenda: — Marsz! — i batalion ruszył naprzód, ale każda kompania szła własną drogą. Armaty hukaly coraz mocniej i coraz częściej. Salwa odzywała się za salwą. Przechodzili koło baterii i widzieli, jak po każdym wystrzale powietrze dygocze, a działo podskakuje. Kanonierzy

przy działach pozrzucali mundury, pozawijali rękawy koszul, a pot lal się z nich ciurkiem.

Szwejk szedł obok Balouna tuż za Lukaszem. Olbrzym Baloun modlił się z rękoma pokornie złożonymi na ładownicy, a Szwejk go pocieszał:

— Nic się nie bój; jeśli cię zabiją, to żona dostanie za ciebie 300 koron odszkodowania. Słyszałeś przecie, co kapitan mówił. Za zastrzeloną wronę gajowy dostaje trzy graj-cary, za łasiczkę pięć, za kunę lub tchórza koronę, za lisa pięć koron. Wszystko jest tak dokumentnie wyliczone, że trzysta koron za męża i ojca dzieciom jest w sam raz.

Nagle gdzieś daleko, akurat naprzeciwko ozwały się armaty i nad głowami żołnierzy przeleciało coś z łoskotem. Żołnierze, którzy byli w polu po raz pierwszy, ciekawie zadzierali głowy do góry, a ich bardziej doświadczeni koledzy twierdzili:

— To szesnastka albo jeszcze pewniej osiemnastka. Dopóki leci taka rzecz nad nami, wszystko w porządku, ale gdy taki saganek wpadnie pomiędzy nas, to się, chłopcy, za brzuchy od śmiechu złapiecie.

Szwejk rozwijał w dalszym ciągu swoje poglądy o odszkodowaniu za poległych:

— Trzysta koron to w sam raz, bo to akurat tyle, ile kosztuje młody wólek. Gdybyś wpadł do stawu i utonął, to żona musiałaby ci jeszcze pogrzeb wyprawiać i nie dostałaby za ciebie nic. Nie jest znowu tak źle, kolego. Jeśli po tobie zostaje porządny młyn, na którym nie ma długów, to wdowa po tobie może łatwo znaleźć męża: na porządną wdowę z młynem zawsze się amator znajdzie. Zresztą, kto cię wie, czy byłeś dla żony takim, jakim dla takiej porządnej kobiety być się powinno. Wiesz, Balounie, że do praskiego magistratu przyszła raz pewnego po zapomogę niejaka Anna Prouzowa, która pracowała w przedzalni w Bubnach. A kasjer nie wypłaca jej zapomogi, tylko spogląda na nią tak jakoś dziwnie i wreszcie powiada: — Niech się pani nie lęka, ale już pani

zapomogi dostawać nie będzie. Mam dla pani smutną nowinę: mąż pani poległ na froncie serbskim, a oto ma pani za niego trzysta koron.

A ta Anna Prouzowa złożyła ręce i ze łzami w oczach, dużymi jak groch, zalkała:

— Bóg zapłać panu, że mnie pan tak pocieszył. Więc mojego Wacka naprawdę zastrzelili? Jak to dobrze, proszę pana, że mi pan za niego daje trzysta koron, bo on mi, ten łobuz, nigdy ani grosza nie dał. Więc on, mój kochany Wacio, już świętą ziemię gryzie! Proszę pana, zanim odjechał na wojnę, to mnie tak sprął, że jeszcze dzisiaj mam na rękach siniaki. Niech pan patrzy.

Zdjęła bluzkę i pokazała kasjerowi sińce, które jej nieboszczyk narobił. Inne kobiety zaczęły krzyczeć, żeby nie zwozdiła kasjera do grzechu, bo mu się poplączą rachunki przy wypłacaniu zapomóg, a jedna z nich uklękła przed kasą i prosiła, żeby jej dał trzysta koron i może jej męża też kazać zastrzelić. Ale to nie była jego prawdziwa żona, tylko żyła z nim na wiarę i miała dwoje dzieci, ale on już jej miał dość i zaczął się przystawiać do jakiejś garncarki z Proseka. Przypuszczam, że twoja żona, Balunie...

W tej chwili Szwejk oniemiał. Wysoko nad głowami żołnierzy pękł szrapnel, a na polu zakotłowało się od kul, uderzających w suchą ziemię. Jakiś żołnierz idący za nim złapał się za ramię, z którego płynęła krew, i pobiegł nazad.

— Ten chłop ma szczęście — ozwał się ktoś za Szwejkiem, ale tymczasem nadleciał szrapnel drugi, a wysoki głos nadporucznika Lukasa komenderował:

— Kompanie! Schwarmlinie! Direction erster Zug!

Kompania rozsypała się przy straszliwym wrzasku podoficerów, którzy popychali żołnierzy na wszystkie strony. Z trzeciego plutonu jakiś sierżant odganiał żołnierza od siebie i wrzeszczał:

— Idziesz precz, idioto, czy nie? Nie widzisz że się robi tyralierę?

— Ja nic nie wiem — zaprotestował żołnierz na wpół z płaczem. — Ja jestem z landszturmu i w kompanii byłem tylko dwa tygodnie, a potem dostałem zapalenia płuc i leżałem w szpitalu. Ja w tym pułku nie służyłem, ale w 42! Ja się tylko uczyłem powtarzać: — *I n h a b e r* naszego c. i k. pułku nazywa się Erzherzog Friedrich von Kumberland-Bruchswillig zu Linneburg.

— Stul pysk! Jezus Maria! Posyłają nam tu dzieciaków, które potrzebują niani! — wykrzykiwał zrozpaczony feldfelbel.

Tyraliera rozwijała się; żołnierze, którzy dla braku wykształcenia nie wiedzieli, co mają robić, spoglądali na wojaków doświadczonych i na podoficerów. Szrapnele przelatywały co chwila w równych odstępach czasu, ale morderczą zawartość swoją wysypywały zawsze za szeregami.

Nadporucznik Lukasz, lejtnant Dub i kadet Biegler kroczyli przodem z wielką odwagą i statecznością, z czego starzy bywalcy wywnioskowali:

— Idziemy tylko na pomoc, widać przed nami są jacyś ludzie. Gdy dojdzie do prawdziwej bitwy, to ci trzej zwieją.

Tyraliera doszła do łąki, której środkiem płynął strumień zarośnięty wierzbiną. Nad głową zawarczał aeroplan, a nadporucznik Lukasz komenderował:

— Naprzód! Do krzaków i padnij! Dekujcie się szybko, bo będzie rzucał bomby!

Olbrzymi ptak warczał na wysokościach, zataczając kręgi, potem zawrócił i leciał w lewo. Do Lukusza przybiegł ordynans od kapitana Sagnera, który ze swoją kompanią rozłożył się w zagłębieniu pola.

— Leżeć aż do nowych rozkazów! — skomenderował Lukasz.

Żołnierze zanurzali flaszki w strumieniu, czerpali wodę i pili, zastanawiając się nad tym, kogo też przysłali do nadporucznika i co z tego będzie.

Dzisiaj albo najdalej jutro dostaniemy lanie — rzekł jeden z żołnierzy, na co inny odpowiedział:

— E, to głupstwo. Przed sobą mamy widać jakiś słaby rosyjski oddział.

Obok Szwejk leżał mały piegowaty żołnierz. Gdy Lukasz oddalił się nieco, wyjął z chlebaka rosyjską kulę karabinową, wsadził ją w otwór bagnetu i zaczął ją wyjmować. Po wyjęciu jej część prochu z gilzy wyrzucił i znowu kulę w gilzie umocowywał.

— Co to za zabawki? — pytał Szwejk. — Przecież to nie wystrzeli.

— Co nie ma wystrzelić, kolego? — odparł żołnierz.

— Ale za dużo zostawiłeś prochu. To ci, bratku, tak buchnie, że może ci utracić całą łapę.

— Gdyby też Pan Bóg dał, żeby Moskale zaczęli strzelać, to bym sobie tę kulę wpakował w rękę tutaj w tych krzaczkach. Nawetby nikt nie zwrócił uwagi, a ja powędrowałbym do szpitala. Ja, kolego, już raz dostałem prawdziwą kulę w brzuch i nie bardzo mi zależy, żeby dostać jeszcze raz. Na całą wojnę z przeproszeniem gwizdzę. Trzeba sobie radzić. Namocz gałgan, owiń dokoła ręki, pluń w nią kulę i nawet najmądrzejszy doktor nie pozna się na tym. Tak, mój kolego, ja byłem w polu przez sześć miesięcy, mam swoje doświadczenie i mnie to długo bawić nie będzie.

— Lepiej położyć na nodze bochenek chleba — wtrącił swoje jakiś inny żołnierz — komiśniak zatrzyma w sobie wszystko to paskudztwo, proch i spaleniznę, a łapa przestrzelona czysto i ładnie.

— Najlepiej wziąć kawałek darniny — odezwał się trzeci — porządny kawał gęstej darniny. Wyróżnić ładnie i gładko, przywiązać porządnie i mocno, gdzie trzeba, i można potem strzelać do siebie nawet austriacką. Zostanie po niej tylko czysta dziurka. Rosyjska kula tłucze się w lufie i może człowiekowi poprzetrącać gnaty.

— Do mnie pisał brat ze szpitala — odczuwał się jakiś głos z krzaków — z włoskiego frontu, że tam żołnierze robią to sobie przy pomocy kamieni. Kładzie się rękę na kamieniu, a drugim kamieniem tłucze się z całej siły. Mój brat pisze, że z lewej ręki poobtrącał ciało tak zgrabnie, że stracił władzę na dobre. No tak, ale na taką rzecz trzeba mieć charakter.

— E, na co się kaleczyć — ozwały się krzaki opodal — przecież i tak niekoniecznie musi nam się coś stać. Nie strzelajcie, żeby nie wiem co. Byłem w polu przez pięć miesięcy, brałem udział w ośmiu bitwach i ani razu nie strzeliłem. Nie zabijaj, a nie zabijają ciebie; nie kalecz innych, to i tobie nie się nie stanie. Nad nami czuwa los, a los jest sprawiedliwy.

Głos ostatni był wśród tych austriackich żołnierzy najpiękniejszym kwiatem kultury. Żołnierz, który tak przemawiał, był czymś więcej niż najślawniejsi poeci, malarze, rzeźbiarze i aktorzy. Był to człowiek, który nie chce zabijać i nie myśli kazać się zabić.

Szwajk powziął dla niego żywą sympatię. Chciał się zapytać o szczegóły jego postępowania, ale Lukasz powracał, a wysłuchawszy ordynansa zawołał:

— Vorwärts! Direction mir nach!

Szrapnele padać przestały, strzelanina przycichła. Tyralliera przeszła przez łąkę i kawał pola i wspinała się na rozległe zbocze. U góry ujrzeli żołnierze nowy obrazek wojny: stos trupów rosyjskich. Austriaka nie było tam ani jednego, bo dowództwo było doskonałym psychologiem także i pod tym względem. Dopóki żołnierz nie znalazł się w bitwie bezpośrednio, stylizowano mu wojnę na podobieństwo obrazków jarmarcznych, na których giną tylko żołnierze nieprzyjacielscy. Nasi wystrzeliwują ich, wykluwają bagnetami, siekają, pędzą przed sobą, a sami wychodzą z tych awantur bez jedyne go guza. Tuzin aniołów-stróżów czuwa nad każdym na-

szym żołnierzem, ponieważ w Wiedniu modli się za nich sędziwy monarcha.

Leżały więc trupy żołnierzy rosyjskich, pozbawione butów, na wznak, na boku, na twarzy, jak popadło, a ich wyszczerzone zęby i czerniejące twarze miały dodać odwagi armii austriackiej.

Szwejk wzdrygnął się na ten widok, ale potem przyjrzał się trupom dokładniej i rzekł do jednorocznika Marka:

— Jestem pewien, że zakopują ich tak bez wszystkiego i że nawet nie posypią ich wapnem. A żołnierzowi należy się dół głęboki i wapno w nagrodę odwagi. Tutaj miałoby wdzięczne zadanie do wykonania stowarzyszenie arymatyjskie w Pradze i powinno by przysyłać trumny. Bo nawet w prostych nieheblowanych deskach jakoś przyjemniej niż tak bez wszystkiego prosto w ziemię.

A Marek odpowiedział mu na to całkiem od rzeczy:

— Albo namoczony gałgan jest dobry, albo kawał darniny. Śniło mi się, mój Szwejku, że byłem w domu na urlopie. Matka gotowała knedle z czereśniami i podawała je na stół, a wtem przychodzi stróżka i powiada: — Pani Markowa, gdzie pani ma syna? — Bo zza misy knedli wcale mnie widać nie było. Odezwałem się, a stróżka podchodzi do mnie i powiada: — Cóż to znowu, proszę panicza, żeby tak długo siedzieć w polu? Wszyscy porządni ludzie są już w Rosji albo w szpitalu. Przecież sam jeden nic pan na to wszystko nie poradzi. — Czy wierzysz, bracie Szwejku, że sny pochodzą od Boga? Ja wierzę. Mnie się, uważasz, ta wojna nie podoba. Czuję że straszylbym po śmierci, gdyby mnie pochowali nagiego i bosego.

A Szwejk tak samo roztargniony skutkiem obrazów, które widział, odpowiadał również nielogicznie:

— Bóg oświeca ludzi w sposób rozmaity. Co do darniny, to mam wątpliwości, ale mokry gałgan może byłby dobry.

Ja ci galganek namoczę i odprowadzę cię potem na Hilfspplatz.

Na pagórku był rzadki gaj brzozowy, a gdy dotarli do niego, Szwejk aż krzyknął ze zdumienia. Było tu pełno wojska: Niemcy z Rzeszy, honwedzi, bośniacy, spieszeni dragoni, kilka oddziałów z miotaczami bomb, huzarzy i piechota ze wszystkich możliwych pułków. Gdy ułożyli się za bośniakami, ci przywitani ich:

— Je b e m t i d u s z u. Będzie szturm i będzie rum. Bez rumu nie ma szturmu.

Od przodu dochodził tu piekielny loskot strzelaniny i szaleńcze terkotanie karabinów maszynowych. Rosyjska artyleria odezwała się znowu i rzucała nad las szrapnele, ale im dalej, tym rzadziej.

— Nie mają amunicji — szeptał lejtnant Dub Lukaszowi do ucha. — I dzisiaj będą wiać znowu. Przelecimy się zdrowo.

— Jeszcze nie uciekają — odpowiedział sceptycznie usposobiony Lukasz. — Będziemy się bili na bagnety, jak dobrze pójdzie. Szwejku — zwrócił się w tył — nie zapominaj, że jesteś ordynansem i trzymaj się blisko mnie. A ty, Balounie, drabie jeden, żebyś mi nie zwiął z konserwami. Gdybym został ranny, pojechałbyś ze mną do domu.

Bośniacy mieli dobry nos. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, w tyle za laskiem ukazały się wozy pełne beczulek. Wydawano rum; oddział za oddziałem zbliżał się ku wozom i napełniał flaszki polowe, a kto umiał wypić otrzymaną porcję, dostawał jeszcze jedną. Rezultat był natychmiastowy, nastrój się poprawił:

— Je b e m t i d u s z u, g ł a z a i s e r c e! — odzywało się coraz częściej i coraz ostrzej. Niemcy zaczęli śpiewać: — Ich hatte einen Kameraden — a spo-

śród Czechów, jeden pijany na dobre wstał i trzymając się brzozy, zaczął wrzeszczeć:

A nad Sanem pod Kraśnikiem,
Smutne lasy są.
Ciała zmarłych towarzyszy,
Płyną pod wodą.
A ja stoję sam na warcie,
I w ten nocny czas,
Myślę o tym, czy zobaczę,
Czy zobaczę was....!

— No, no, tylko nie zaczynaj nam tu ryczeć, jak stara kura — napominał go ktoś i pociągnął z powrotem na ziemię.

Gdy już ciemniało, ozwało się wołanie: — *Vorwärts!* *Vorwärts!* — i masa ludzka znowu ruszyła naprzód. Ludzie byli pijani i szli, aby umierać za wielkość Austrii i sławę cesarza. Znajdowali się w stanie, o którym biuro prasowe pisało:

— Wojska nasze bohaterstwem swoim i bezprzykładnym poświęceniem budzą podziw w nas wszystkich. Nacierają wspólnie i w pogardzie śmierci biją się brawurowo, pełni wojenniczego rozmachu.

Ten rozmach, jakim administracja wojskowa napełniała swoich dzielnych żołnierzy, wyrabiała z kartofli wszystkie gorzelnie, produkowali go na zimno i na ciepło wszyscy Żydzi od Sudetów aż po morze Adriatyckie i zarabiali duże pieniądze, dostarczając państwu tego surogatu zwycięstwa, tak że gdy później kupowali sobie nowe fabryki i majątki, mogli mawiać:

— To wszystko zawdzięczamy entuzjazmowi wojennemu.

Opar alkoholu zamraczał mózg i zaślepił oczy. Nic na całym świecie nie wydawało się wstrętne i ohydne, nie było rzeczy trudnych, wszystko wydawało się bardzo proste i łatwe. Spirytus robił swoje.

Nieprawidłowe, połamane i załamujące się szeregi pchały się naprzód, popędzane szaleńczym wołaniem: — Vorwärts! Vorwärts!

Kulki pogwizdywały i jęczały coraz wyraźniej i coraz bliżej głów. Niby niewidzialne muchy bzykały miękko koło uszu: — Ti-juuu, c-fijuu-u — aż Szwejk bezwiednie machnął ręką, jakby odpędzał natrętną muchę:

— Poszła won, psiajucho!

— Vorwärts! Vorwärts! — odezwał się głos tuż za nim i Szwejk poznał natychmiast kapitana Sagnera. — Vorwärts! Vorwärts! — powtórzył nieco dalej nadporucznik Lukasz.

Szwejk obejrzał się za siebie, ale nie widział żadnej znajomej twarzy. Wszyscy dokoła byli obcy. Jakiś gruby i krzepki Niemiec z Rzeszy dał Szwejkowi sójkę w bok i zarechotał wściekłym śmiechem.

— Möchtest nicht auch die Front hinten halten? Du Scheisser, das ist doch bloss für die Herren Offiziere!

— Nie o to idzie, kolego — odpowiedział Szwejk — ale ja jestem ordynans i mam się trzymać blisko pana oberlejtanta, abym w razie potrzeby mógł mu pośpieszyć z pomocą. Ten idiota Baloun na pewno zgubił się w tym ścisku.

W tej właśnie chwili w szeregi grzmotnął granat. Ogromna błyskawica buchnęła z ziemi, ciężki duszny dym przesłonił okolicę, a ziemia zadygotała tak mocno, że Szwejk się przewrócił.

Leżał na ziemi, podczas gdy wszyscy dokoła porozbiegali się na wszystkie strony. Potem obmacał się starannie i rzekł do siebie:

— Ładny fajerwerk. Ładniejszy niż te, które puszcza pan Hajek na święty Jan nad Weltawą. Tylko trochę za dużo hałasu. I zabić może kogoś taka choroba!

Szeregi znowu się jako tako wyrównały. — Vorwärts! Vorwärts! — rozlegało się z coraz większym szaleństwem wołanie spotęgowane aż do wściekłości. Żołnierze pędzili naprzód, padając co chwila, jakby ich ktoś z tyłu pędził biczącami. Granaty wybuchały teraz już poza szeregami. Szwejk podniósł się i podbiegł do dużego krzaka tarniny, rosnącego na miedzy. Tam położył się znowu. Po chwili zbliżył się do niego węgierski oficer z rewolwerem w ręku i popędził go naprzód. Szwejk zauważył, że za żołnierzami ciągnie się cały łańcuch żandarmów i oficerów.

— Całkiem jak oblawa policyjna — pomyślał Szwejk i ruszył żwawiej naprzód. — Gdy policja poszukuje kogoś w Pradze, robi to samo.

— Widzi pan, ja czekałem na mojego pana oberlejtanta — rzekł do oficera. — Niech pan nie raczy się denerwować. Ja wiem, że surowość musi być i na polu chwały.

I znowu zaszył się w tłumie ludzkim, aż wreszcie dopadł do okopów naprędce przygotowanych, gdzie zdyszani i brudni żołnierze strzelali jak opętani. Ale ledwo żołnierze wpadli do okopów, ozwała się komenda:

— Schiessen! Schiessen! Lebhaft schiessen!

Karabiny zatrzaśkały i tysiące płomyków wyblyskało z mroków. Dziesięć minut trwała ta oszalala strzelanina, piętnaście minut przelatywały nad okopami szrapnele i granaty. Potem wzmoгло się strzelanie po obu stronach, podczas gdy w środku nastawała cisza na komendę:

— Feuer einstellen! Feuer einstellen!

I znowu ciszę przerwały rozkazy:

— Bajonett auf! Sturm! Sturm! Vorwärts! Vorwärts!

Masa ludzka wywaliła się z okopów, aby mordować już całkiem z bliska, kluciem bagnetu w brzuch lub w piersi i dobijaniem tego, co oszczędziły kule karabinów, szrapnele

i granaty. Ledwo wyleźli z okopów, zaczęła ich ostrzeliwać artyleria austriacka. Słychać było, jak ktoś krzyczy w telefon:

— Ogień zaporowy! Szrapnel — granaty!

Technika wojny była doskonała. W kim nie wywołał za palu rum, tego pobudzało do entuzjazmu ostrzeliwanie zadków.

Szwejka porwał z sobą pędzący tłum. W oka mgnieniu przebiegł kilka kroków dzielących go od okopów rosyjskich, ale okopy już były puste. Prócz rannych i zabitych, poukładanych na dnie, nie było ani jednej żywej duszy: wszyscy wycofali się w czas.

— Nie zatrzymywać się! Vorwärts! Vorwärts! — rozkazywali oficerowie. Szereg przeszedł przez okopy i rzucił się w mrok. Szwejk zatrzymał się wśród rannych.

— No, chłopcy, ładnie was tu urządzili — mówił ze współczuciem, pojąc ich wodą ze swej flaszki polowej. — Czy nie trza było uciec stąd prędzej? Sami widzicie, że z naszym wojskiem szpasoś nie ma. Nawet cywil, jak się schła, to może człowieka okaleczyć.

Po chwili żołnierze wracali. Rosjanie zniknęli w mrokach, jakby się w ziemię pozapadali. Z okopów wynoszono rannych i zabitych i przekazywano ich sanitariuszom, a żołnierze urągali:

— Herrgott, dopieroż trzeba będzie rano pędzić znowu za nimi! Teraz nie zatrzymają się już prędzej aż w Moskwie. Mówią, że Niemcy są już pod samą Warszawą. Jeśli im damy co dzień tyle, ile dzisiaj, to załatwimy się z nimi niedługo.

— A czy dużo ich jeszcze, koledzy? — pytał Szwejk. — Na czas trwania wojny byłoby dobrze podzielić ich sobie i co dzień zmiatać jednaka porcję. Niedobrze jest śpieszyć się zanadto. Na przykład w Młodej Bolesławi był w banku kasjer, niejaki Wildt, i okradał sobie kasę powolutku i nieznanie, żeby się nie rzucało w oczy, a chociaż brał po trosze,

to jednak rozkradł wszystko na czysto. Tak samo ów Drozd w kasie pożyczkowej Św. Wacława. Też kradł powolutku i ostrożnie, tak że nawet święty Wacław nic nie zauważył, aż raptem kasa opustoszała. Nie trzeba pożerać od razu wszystkiego, choćby się nawet miało apetyt, bo już niejeden się przeżarł. Przecież i nasz najjaśniejszy pan pięćdziesiąt lat panował w pokoju, zanim przygotował się do wojny porządnie. A ten Drozd kradł w pożyczkowej kasie św. Wacława czternaście lat.

Jakaś postać zbliżała się ku niemu, a potem rzuciła mu się na szyję, wołając:

— Szwejku, bracie, żyjesz i ty?

— Żyję — rozpromienił się Szwejk. — A ciebie, bracie jednoroczniaku, też nic złego nie spotkało? Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę, że już jedziesz do szpitala.

— Kapitana Sagnera zabrali sanitariusze — rzekł ktoś obok nich. — Podobno zamroczyl go granat.

— Nie gładź, stary, o granatach! — odciął się ktoś inny.

— On ma takie pigułki, po których się mdleje. Dostał je od doktora. Już trzy razy widziałem go w polu, ale zawsze po pierwszej potyczce zaczyna mdleć i mdleje tak często, dopóki nie dostanie się do szpitala na tyłach. Tak to, tak, oficerom jest dobrze na świeccie, bo i z doktorami się zgadają. A nasz brat nie dostanie się do domu, dopóki na Hilfspatz nie przyniesie głowy pod pachą.

— O tych pigułkach też już slyszalem — rzekł Marek, pochylając się nad Szwejkiem. — Nie mam odwagi, żeby sobie samemu coś zmajstrować. Dojdzie do tego, że jednak tu człowieka zakatrupią.

— Ranek jest mądrzejszy od wieczora — rzekł Szwejk roztropnie. — Sądzę, że lepiej przespać się teraz. A co jest tam dalej? Nie widziałeś czego?

— Tam dalej nie ma nic — ziewnął Marek — tylko trzy rosyjskie armaty i parę karabinów maszynowych. Zostało

to tam, bo nikt nie chciał z tym mieć do czynienia. Strach po prostu, jacy jesteśmy pomęczeni!

Podniósł kołnierz płaszcza, ułożył się wygodnie i natychmiast zasnął. Szwejk przez chwilę pykał fajkę, a następnie, gdy go jakiś kaprał wezwał, aby poszedł na wartę, wziął karabin i ruszył za nim.

Po kilku krokach w kierunku oznaczonym przez kaprała, Szwejk potknął się o coś i spojrzał przed siebie. Przy blasku żarzącej się fajki ujrzał nogę ludzką w cholewie buta z częścią brzucha i kiszek omotanych dokoła cholewy.

— Biedaku — szepnął Szwejk — na sąd ostateczny też będziesz się musiał zbierać po kawałku. Sanitariusze niebardzo się kłopotali o ciebie.

Kazał iść spać wartownikowi, którego zluzował, i po chwili w mroku rozpoznał armaty stojące w polu i wylotami zwrócone w stronę, od której przybywał. Opodal stały dwa karabiny maszynowe.

— Patrzcie państwo, Moskale mają takie strzelby na kółczkach — ucieszył się Szwejk. — Daleko to lepiej, niż dźwigać to paskudztwo na plecach.

Jeden z karabinów maszynowych przywiązał do pasa, drugi ujął za zamek i ruszył ku okopom:

— Dalej! Wio! Jedziemy!

Kółka zgrzytały, Szwejk ciągnął karabiny maszynowe i stanął wreszcie na wyznaczonym mu miejscu jako wartownik, a gdy po upływie godziny przyszła zmiana, zabrał oba karabiny aż ku okopom i z uczuciem zadowolenia usnął pod nimi.

Gdy zaświtał ranek, okopy ożywiły się. Szarże budziły żołnierzy:

— Verkaterung! Każdy do swego oddziału! Z dziewięćdziesiątego pierwszego pułku na prawo! Sześćdziesiąty szósty honwedzki nazad! A blesung!

Szwejk zbudził Marka, a potem wygramolił się na okop, zaprzął się do karabinów maszynowych i ciągnął je na prawo, gdzie ujrzał niebawem nadporucznika Lukasa, który przejął dowództwo batalionu i formował go na nowo. Brakowało wielu żołnierzy i Lukasz ucieszył się szczerze, gdy stanął przed nim żołnierz, który salutując lewicą, trzymał w prawicy pas, na którym ciągnął dwa karabiny maszynowe. Żołnierz meldował:

— Panie oberlejtant, Infanterist Szwejk posłusznie melduje się kompanii jako ordynans. Nowego nie ma nic, bitwa wygrana na czysto. Te dwa karabiny maszynowe zdobyłem wczoraj podczas szturm, ale kółka skrzypią, bo nie są nasmarowane. Posłusznie melduję, że tę zdobycz wojenną oddaję swemu pułkowi, żeby miał większą sławę w gazetach.

— Szwejk — fuknął na niego oberlejtant — czy wiecie, co czeka ordynansa, który podczas bitwy odłączy się od swe go dowódcy? Kula w łeb!

— Posłusznie melduję, że o tym nie wiedziałem — pocziwie odpowiedział Szwejk. — Ja na pana oberlejtanta czekałem, bo wiedziałem, że się panu będzie przykrzyć beze mnie, ale jakiś inny pan oberlejtant od huzarów chciał mnie za to zastrzelić z rewolweru. Posłusznie melduję, że bitwę wygraliśmy bez niczyjej pomocy i że teraz już się od pana ani na krok nie ruszę. Posłusznie proszę, czy dzisiaj będziemy faszowali rum?

— A, pan Szwejk! — odezwał się tuż za nim lejtnant Dub. — Gdzieżeście się znowu włóczyli? Wiem, że nie wystrzeliliście ani razu. Bardzo mi dziwno, iż nie słyszę, że Szwejk już jest u Moskali.

Szwejk spojrzął na Duba, szykując odpowiedź, ale uprzedził go oberlejtant Lukasz, który wskazując na zdobycz wojenną Szwejka — rzekł tonem ostrym:

— Szwejk jest dzielny żołnierz. Podam go do odznacze-

nia małym srebrnym medalem. Wieczorem w ataku zdobył te dwa karabiny maszynowe.

Później zaś zwracając się do Szwejka, rzekł do niego:

— Ach, ty fujaro! Gdzie zbierasz taki szmelc, żeby go wlec za sobą?

Na odpowiedź nie było czasu. Ze strony przeciwnej ozwały się nagle armaty i trzy granaty wysłane ku szeregom austriackim pękły tak blisko, że Szwejk rozłożył ręce:

— Panie oberlejtнант, melduję posłusznie, że to Moskale strzelają pewno z tych armat, od których odciągnąłem wczoraj te karabiny maszynowe. Na pewno!

— Zdobyliście nawet armaty? — zapytał Lukasz. — Czemużeście je tam zostawili?

— Posłusznie melduję, panie oberlejtнант — westchnął Szwejk — że armaty nie uciągnę. Nawet na dwie pary koni byłoby dość roboty.

Strzelanina ożywiała się coraz bardziej i stawała się gwałtowna. Po upływie pół godziny widać już było szeregi, nadsciągające Rosjanom na pomoc. Szeregi te były zwarte, spokojne i zdecydowane, szły noga w nogę tępo i leniwie i z największą obojętnością przyłączały się do strzelających.

— Czy spróbują nas obejść, czy też podejmą atak czołowy? — pomyślał Lukasz. — Uciekać, widać, już im się nie chce.

Przewidywania jego były słuszne. W jednej chwili nad szeregami rosyjskimi rozległo się długie i przeciągłe Hurrraaaararrarra! — i Rosjanie ruszyli do ataku.

Batalion zachwiał się, lecz natarcie wytrzymał. Rosjanie cofnęli się, ale ku południowi Hurrraaara! odezwało się na nowo i oberlejtнант Lukasz otrzymał rozkaz odwrotu.

Zresztą żołnierze cofali się już sami, nie czekając na rozkazy. Cała okolica zarośla się od Rosjan i nie starczyło nawet jednej kompanii honwedów dla bronięcia odwrotu i czekania na Moskali, którzy zabiorą ich do niewoli. Chodziło o to, aby kosztem tej ofiary zapobiec panice.

Ledwo żołnierze usłyszeli głos nadporucznika: — Z u r ü c k! Z u r ü c k! — zawracali z miejsca, obracali na głowach czapki daszkami w tył i cieszyli się:

— Teraz przez jakiś tydzień będziemy znowu nacierali w taki fason. Moskali jest jak szarańczy. Chłopy kochane, smarujcie nóżki zajęczym sadłem.

Ucieczka trwała aż do południa, gdy masy Niemców, podwożone na linię bitwy w automobilach, pośpieszyły zatkać dziurę we froncie. Batalion Szwejka był tymczasem blisko jakiegoś dworca kolejowego, gdzie palił się magazyn i zaczynał się palić pociąg.

Rosjanie zatrzymali się, uzupełniając swoje siły. Ku wieczorowi podjęli natarcie na nowo. Artyleria rosyjska biła w Austriaków ogniem huraganowym, a pod jej ochroną piechota coraz energiczniej nacierała na front austriacki, który nie dał się utrzymać i cofał się powoli. Nadszedł rozkaz obsadzenia i utrzymania dworca. Batalion doszedł do niego, ale artyleria nieprzyjacielska skoncentrowała przeciwko niemu wszystkie siły, tak że pociąg stojący na dworcu, musiał się porządnie śpieszyć, żeby ująć z tej opresji zdrowo i cało.

— Dworzec utrzymać za wszelką cenę — rozkazał brygadier Lukaszowi, który przez ordynansa przesłał mu meldunek o stanie rzeczy.

— Powiedzcie panu pułkownikowi, żeby sam przyszedł utrzymać dworzec — fuknął Lukasz na żołnierza. — Tam się nawet pies nie utrzyma.

Dotarli wreszcie aż do dworca, ale artyleria przystrelała się już dobrze i zasypała ich istnym deszczem szrapneli. Żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony, a Lukasz kłął:

— Do stu tysięcy diabłów, co za komedia!

— Posłusznie melduję — krzyczał mu prosto w ucho Szwejk — że nasz czwarty pluton został przez granat rozbity na czysto. Pan lejtnant Dub...

Granaty gwizdały tuż za nimi i wybuchały, zasypując wszystkich ziemią. Wysilając głos, aby przekrzyczeć ten wściekły zgiełk, Szwejk wołał na nadporucznika:

— Panie oberlejtnant, najlepiej zrobimy, gdy sobie stąd pójdziemy. Przecież te dranie strzelają do nas!

Żołnierze uciekali już całymi grupkami, przypadając co chwila do ziemi. Dopiero z dala za dworcem udało się ich zatrzymać na skraju lasu i zwrócić znowu twarzą ku nieprzyjacielowi. Przypadli do ziemi i okopali się naprędce w sypkiej ziemi. Części batalionu zaczęły się znowu zwoływać do kupy. Kiedy się pokazało, że jedenasta kompania straciła prawie cały czwarty pluton, Szwejk podszedł do dowódcy Lukaszka i stanąwszy na baczność, podniósł rękę do salutowania:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że nie było czasu, żeby zabrać pana lejtnanta Duba, chociaż pan kapitan Sagner kazał nam zbierać rannych. Posłusznie melduję, że do samego wieczora nie bylibyśmy pozbierali wszystkich cząsteczek pana porucznika, bo w niego trzasnął granat i poszarpał go na kawałki.

— Więc nasz Dub jest już po kłopotcie! — pomyślał Lukasz. — O tym nie powiedział mu chyba jego kapitan okręgu.

— Gdzie? Tam koło dworca? — zapytał.

— Właśnie tam spotkało go to nieszczęście — przyświadczył Szwejk — bo też tam prali z armat jak wszyscy diabli. Jezus Maria! — krzyknął nagle — przecież ja tam zgubiłem swoją fajkę!

Zaczął przeszukiwać wszystkie kieszenie, obmacał chlebak, zajrzał nawet do ładownic, ale fajki nie było. Szwejk jęknął tak szczerze, że Lukaszowi wydało się, iż z ust jego nigdy takiego jęku nie słyszał.

— Wszystko, co nas dotychczas spotkało, to głupstwo. Pan porucznik jest już po wojnie, ale jak ja mam istnieć bez fajki?

Szwejk był w tej chwili uosobieniem żalości i smutku,

który udzielił się Lukaszowi, przemieniając się natychmiast we wściekłość na cały świat za to, że możliwe są na nim takie błazeństwa. Wezwał Balouna, kazał sobie podać butelkę śliwownicy i pocieszał się nią do samego wieczora, aż na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy i ogień artyleryjski na obu stronach przycichł. Wreszcie zdrzemnął się pod starą sosną, a Szwejk pochylił się nad nim i stwierdził:

— Napił się jak niemowlę i śni mu się widać coś ładnego. Naturę ma, biedak, bardzo miękką!

Przykrył nadporucznika płaszczem, sam ułożył się koło niego i jał sobie przypominać piękne obrazy z kazania feldkurata, który opowiadał o tym, jak to ładnie, gdy na pobojowisku płoną wsie, a ranni jęczą...

— Trzeba było dać mu po gębie — pomyślał jeszcze i zasnął. Śniło mu się, jak to granat trzasnął w porucznika Duba, a on w dymie i w płomieniu wznosił się ku niebu, niby prorok Eliasza na wozie ognistym. Przy bramie niebieskiej ścisk i tłok dusz poubieranych w przenajróżniejsze mundury, a dusza lejtnanta Duba przedziera się skroś ten ścisk, popycha żołnierzy i krzyczy: — Puśćcie mnie, ja zginąłem za Austrię i mam prawo pierwszy rozmawiać z Panem Bogiem. Co, święty Piotrze, powiadasz, że to twoja rzecz? Ale ja chcę rozmawiać z samym Bogiem. Precz mi z drogi! Jeszcze wy mnie nie znacie i nie życzyście sobie poznać mnie! — A potem po całym niebie rozlała się ogromna zorza złocista, na tle tej zorzy ukazał się wspaniały starzec w białej szacie, a przy jego boku stał młodzian w uniformie powalany krwią i w koronie cierniowej zamiast czapki. Starzec zaglądając w księgę, którą trzymała przed nim przepiękna dziewczica, pytał Duba głosem wielkim: — Lejtnancie Dubie, czemu prześladowałeś dobrego wojaka Szwejka? Czemu zmusiłeś go do upicia się koniakiem? — Dub nie odpowiadał, a młodzian rozłożył ręce, na których były krwawe rany niby róże rozkwitłe. Następnie starzec krzyknął: — Do piekieł! — i lejtnant Dub leciał na ziemię. Zo-

rza gasła, starzec znikł, młodzieniec w koronie cierniowej oddalał się płacząc i ukrywając głowę w białej chustce, a Szwejk przebudził się i rzekł: — Co za głupi sen!

Świtało. Szwejk sięgnął do kieszeni i przypomniał sobie raptem o zgubieniu fajki. Zerwał się na równe nogi, drząc z zimna. Wszystko dokoła spało, tylko wartownicy czuwali i biegali śród sosen. Szwejk wyszedł z lasu. Przed nim stał żołnierz z jego plutonu. Słyszając kroki za sobą, przestraszył się i wymierzył karabin przeciwko Szwejkowi:

— Halt! Wer da?

— Nie miel po próznicy ozorem — fuknął Szwejk — wychodzę na patrol. Czy mnie nie znasz, fujaro? Jezus Maria, co za bałwany te rekruty żółtodziobe!

— Ach, to ty Szwejku? — rzekł wartownik, opuszczając karabin. — Nie wiesz, czy będzie dzisiaj kawa? Czy jeszcze mamy jaką kuchnię?

— Tego nie wiem, kolego — mruknął Szwejk — a na pogawędkę nie mam czasu. Dzisiaj rozgrzeją nas Moskale.

— A hasło znasz? I zawołanie? — pytał jeszcze żołnierz.

— Zgubiona fajka! — odpowiedział mu Szwejk.

Razem z pierwszymi promieniami słońca ozwały się działa rosyjskie, ale od razu tak po wariacku, jakby miały zanadto amunicji i nie wiedziały, co z nią zrobić. Trwonily ją też, zasypując nią dworzec, dokoła którego łąził Szwejk szukający swej fajki. Dojrzeli go najwidoczniej i zaczęli walić w niego szrapnelami. Potem gdzieś w pobliżu rozszczękał się karabin maszynowy, zasypując pole kulami tak gęsto, że Szwejk uznał za dobre ukryć się za murem dworca. Orientował się powoli, któredy przyszli i któredy uciekali, a gdy armaty przycichły, poszedł we właściwym kierunku. Znalazł głęboki lej od granatu, który rozbił czwarty pluton, i kręcił się dokoła niego.

— Mógłbym tutaj łązić w taki sposób do sądneho dnia, jakbym szukał straconego szczęścia — pomyślał i oczy rozbliły mu nagłą uciechą.

W wilgotnej trawie leżała fajka, jego własna fajka, a rosa perliła się na niej niby łzy żalu za jej panem. Szwejk pochylił się, aby ją podnieść, a karabin maszynowy zaczął mu płuć kulami prosto pod nogi.

Podniósł fajkę, która nagle szarpnęła mu się w rękę i wiał, aby ukryć się wśród murów dworca.

W ukryciu wyjął z chlebaka paczkę tytoniu, nabił fajkę i chciał zapalić, ale właśnie gdy podnosił ją ku ustom, zauważył, że fajka nie ma ustnika i że brak jej kawałka cybucha. Cybuch był jakby brzytwą ścięty i Szwejk zrozumiał, że ustrześliła mu go kula, gdy podnosił fajkę z ziemi. Wysunął rękę zza muru i grożąc fajką całemu rosyjskiemu frontowi, rzekł ze wzgardą:

— Ach. ty hołoto! Czy takie rzeczy robi porządny wojak porządnemu wojakowi? Kto was, wy, świntuchy, uczył takiego wojowania?

Odpowiedzi na to pytanie nie otrzymał. Granaty i szrapnele ciągle waliły w dworzec kolejowy. Spokojnie było na nim tylko chwilami, gdy nieprzyjaciel ostrzeliwał artylerię austriacką, stojącą za lasem.

Za rumowiskiem spalonego magazynu siedział Szwejk, trzymał fajkę w gębie za resztkę cybucha i kurzył, spoglądając na menażkę, w której na dopalającej się belce gotował sobie kawę. Był pogodny i wesoły, a z jego umorusanej twarzy wodziła na świat niewinność. Napił się kawy, wyciągnął się wygodnie na słońcu i zaczął śpiewać:

Znam ja jeden piękny zamek.
Mieszka w nim moja miła;
Siedzi sobie na stołeczku,
Białą chustkę wyszywa.

Dobrze tobie, ma panienko,
Białą chustkę wyszywać,
A ja, biedny żołnierz, muszę,
Już od rana w glidzie stać.

W glidzie stoję jak ta skała,
W glidzie stoję niby mur,
Aż tu kula leci ostra,
Mocno wali w szereg mój.

Gdy mnie z glidu wyrzuciła,
Do szpitala biorą mnie;
Piszcie list do mojej panny,
Że już ze mną bardzo źle.

Jedna ręka przetrącona,
Druga ręka ucięta.
Przyjdź, ma miła, popatrz sama,
Jaka wojna przekłeta.

Ja na ciebie nie popatrzę,
Ja już nie chcę ciebie znać,
Wziąłeś mi zielony wianek,
I poszedłeś wojować.

Żołnierska pieśń Szwejka rozbrzmiewała przy odgłosie strzelaniny, a śpiewak dodawał coraz nowe strofy, aż doszedł wreszcie do słów rannego żołnierza, który odpowiada dziewczynie, że mogła nie chodzić za żołnierzami do koszar i nie figlować z nimi. Wreszcie umilkł. W pobliżu ktoś narzekał i jęczał.

Szwejk poszedł za głosem narzekającego i za magazynem znalazł młodziutkiego żołnierza, który leżąc na brzuchu i podpierając się rękami czołgał się w stronę Szwejka. W nogawkach spodni miał ranny żołnierz pełno zakrzepłej krwi. Jęcząc, posuwał się z wielkim trudem, jak kot z przetrąconym krzyżem. Ujrawszy Szwejka złożył ręce i odezwał się błagalnie:

— Proszę pana, niech pan mnie poratuje! Na rany boskie, niech mnie pan ratuje!

— A co ci to, chłopysiu, zrobili? — zapytał Szwejk, podchodząc do rannego. Przekonał się niebawem, że żołnierz ma przestrzelone obie łydki.

Podniósł go ostrożnie i zaniósł za magazyn. Tam ściągnął z niego buty, rozpruł spodnie i przyniósł z pobliskiej studni wody dla obmycia ran. Żołnierz postękiwał, przypatrując się robocie Szwejka. Założywszy mu jaki taki opatrunek, Szwejk dał się rannemu napić i rzekł wesoło:

— To nic takiego. Kula przeszła przez łydkę i nie naruszyła kości. Będziesz, bracie, zdrow!

— Żeby ich cholera pokręciła, sk...synów! — groził żołnierz Moskalom. — Oh moje nogi! Moje nogi... — i rozbezczał się.

— Ty, chłopusiu, zdrzemnij się teraz trochę i nie krzycz za głośno — napominał go Szwejk — żeby się tu kto nie przypatoczył. Ja się rozejrzę, czy nie znajdę czego do zjedzenia. Zresztą, poczekaj, zaniosę cię do tamtego dużego leja, żeby na ciebie nie spadło kawał muru, gdy zaczną znowu strzelać.

Przeniósł rannego Polaka i poszedł na dworzec. W kancelarii nie było nic, prócz rozbitego aparatu telegraficznego, ale w piwnicy znalazł Szwejk kosz z dużą oplecioną butlą. Nożem oderznął wierzch plecionki i bagnetem kawałek po kawałku wydłubał korek. Przytknął nos do otwartej butli i łyknął okiem.

— Herrgott, wińsko, jak mamę kocham! Jakiś porządny naczelnik stacji musiał tu urzędować, że pamiętał o biednym człowieku!

Przechylił butelkę i nalał pełną menażkę wina. Popił, mlaśniał językiem, wypił wszystko jednym duszkiem i odezwał się o winie z wielkim uznaniem:

— Bycze winko, jak u Szulca w Braniku na Kopeczku. Ale na czczo podobno wino niezdrowe. Wyniósł butlę przed dworzec i włożył do magazynu. Było tam pusto, tylko w kącie sterczało kilka popalanych skrzyń. Szwejk podszedł do nich, bagnetem oderwał deskę i odetchnął z głębi:

W skrzyni były rosyjskie konserwy mięsne i Szwejk natiychmiast zaczął wyjmować i wynosić je w płaszczu przed dworzec, gdzie stała butla z winem. Potem wrócił do rannego towarzysza, zabrał tornister i znosił konserwy do leja.

Granaty prały w gruzy dworca, ale Szwejk nic sobie z tego nie robił. Zataszczył butlę do swej nory i znosił konserwy pracowicie, jak mrówka.

Ranny towarzysz był cały pookładany blaszankami, gdy Szwejk wysypał z tornistra ostatni ładunek i włącząc do leja, stwierdził:

— Naznosiłem tu dobrych rzeczy jak wróbel do gniazda. Niech aby teraz nie myślą, że nas stąd wykurzą.

Otworzył kilka puszek i zagrzewał je na rozpalonym murze. Gdy wrócił z ogrzаныmi konserwami, zachwalał je towarzyszowi:

— Wiesz, kolego, że konserwy mają Moskale akuratne? Smakuje to mięso jak polędwica z bobkowymi listkami.

Obaj wojacy zabrali się do jedzenia i do picia. Wino rozgrzewało wnętrzności, a razem z ciepłem rozgaszczało się w duszy wesele. Wybuchy szrapneli i granatów przypominały ku wieczorowi już tylko akompaniament pianisty, towarzyszącego solowej produkcji tenora. Bo Szwejk siedząc w leju od granatu śpiewał:

Już po północy pierwsza była,
Gdy mnie ma miła odprowadziła.
Odprowadziła mnie do gaiku,
Tam słuchaliśmy śpiewu słowików,
Słowiczek śpiewa na twardej skale:
Czekaj, dziewczyno, trzy lata na mnie.
Trzy lata czekać, trochę za wiele,
Mogłabym synka wychować śmieie.
Mogłabym sobie synka wychować,
Żeby na wojnę poszedł wojować.
Nauczyłby się syn maszerować,
I do raportu umiałby stawać.

Kpią z kapitana nasi junacy,
Bo taki raport niewiele znaczy.
Za dziewczynami teżby się włóczył,
I innych rzeczy by się nauczył,

Jakby u dziewcząt umiał już bywać,
Nauczyłby się w pace siadywać.
W pace siadują zacne piechury,
Mina sto diabłów, uszy do góry.

W pace się piechur nauczy wiele,
Jak się ma z panną bawić w niedzielę.
A kiedy słupka często dostanie,
Dopiero pozna, co to kochanie.

— Dopiero, pozna co to kochanie! — wywodził Szwejk głosem uroczystym i wielkim, i leżąc nalewał wina do menażki. A ranny żołnierz Polak, któremu wino wlało w nogi w postaci drętwy, tak że przestały go boleć, wsparł się na łokciu i po występie Szwejka sam też zaczął śpiewać:

Będzie wojna z Moskalami,
Nasz pan frajter pójdzie z nami,
Daleko, daleko w Rosyją.
Od samej Warszawy do Petersburga,
Nasi Moskala pędzą i biją.

Artyleria pójdzie z nami,
Będzie strzelać kartaczami,
Daleko, daleko w Rosyją.
Od samej Warszawy do Petersburga,
Nasi Moskala pędzą i biją.

Krzyż Czerwony pójdzie z nami,
Będzie zbierał krew za nami,
Daleko, daleko...

— E, bratku, sanitariusze nie bardzo się kwapią zbierać krew! — przerwał mu Szwejk. — Sam wiesz przecie, że cię tu nie szukali...

Strzelanina karabinowa ustała, obie strony odpoczywały.

Tylko baterie dział odstrzeliwały się sobie marnując amunicję, na którą obywatele musieli płacić krwawe podatki. Ustalała się sytuacja, o jakiej sztab generalny przysyłał do gazet komunikaty tej treści:

Bez zmian. Wojska nasze zajęły z góry upatrzone pozycje. Na poszczególnych odcinkach frontu trwają wspaniałe pojedynki artyleryjskie. Nasza ofensywa została przerwana na czas dłuższy fatalną pogodą i mgłami, które przeszkadzają operacjom.

Dwa dni i dwie noce obozował Szwejk ze swoim rannym towarzyszem wśród ruin kolejowego dworca, rozgościwszy się w leju od granata niby w salonie. Drugi mniejszy lej służył jemu i jego towarzyszowi jako latryna. Trzeciego dnia z rana nieprzyjaciel znowu zaczął ostrzeliwać dworzec, ale raptem artyleria przycichła. Front rosyjski dalej na północy został przerwany przez wojska niemieckie i na całej linii wojska rosyjskie musiały się cofnąć dla wyrównania frontu.

Gdy już widziano, że nieprzyjaciel ucieka, ścigany przez nowe i wypoczęte siły, kilku oficerów wyjechało dla obejrzenia pobojowiska, po którym włóczyli się sanitariusze, zbierający rannych i poległych.

Objeżdżając dworzec, posiadali z koni i zaglądali do lejów od granatów. Nagle pułkownik Schröder przystanął, dając znaki, aby panowie zamilkli. Z głębi ziemi wydierał się ku nim krzepki i smutny głos śpiewaka:

Kiedy w mym sercu smutek gości,
To sobie szukam samotności,
Gdzie cieszyć można się we dwoje,
Gdzie wszystko szczęściem błogim dyszy,
A nikt nie widzi i nie słyszy.
Ile zrobiłam głupstw dla niego!
A on, ach, zdradzał mnie tajemnie,
Bo już bogatszą miał ode mnie.
I o niej tylko myślał właśnie,
A niechże w zdrajcę piorun trzaśnie!

Ja szczęścia, bogactw wszystkim życzę,
Nie pragnę dla się łąk ni pól,
Bogactwo swoje łzami liczę,
Minęło wszystko, został ból.

— Wariat jaki, czy kto tu jest u diabła? — zapytał Schröder wyjmując rewolwer.

Ale w tej chwili jak spod ziemi wyrósł żołnierz, ostrym krokiem podszedł do grupy oficerów, zatrzymał się na trzy kroki przed nimi, jakby uciął, i meldował się:

— Posłusznie melduję, panie oberst, że według rozkazu obsadziłem i trzymam ten dworzec kolejowy.

— Wy trzymacie? Jak to? trzymacie dworzec? Przecież dworzec nie jest obsadzony — pytał pułkownik zmieszany.

W odpowiedzi na to, żołnierz wypiął pierś i raportował:

— Posłusznie melduję, że dworzec obsadziłem w poniedziałek w nocy, głodny i spragniony, i że na stanowisku wytrzymałem do dzisiaj, ponieważ, posłusznie melduję, żaden żołnierz bez rozkazu stanowiska nie może opuścić, a ja rozkazu opuszczenia stanowiska od pana pułkownika nie otrzymałem. Posłusznie melduję, że mam jednego rannego i fajkę z przestrelonym cybuchem.

— Wy z mojego pułku? — dziwił się pułkownik. — Która kompania?

— Posłusznie melduję, że jestem Szwejk, ordynans jedynastej kompanii — odpowiedział żołnierz z naciskiem, a rozjejrzawszy się tęsknym okiem dokoła i odkrywszy wśród oficerów Lukasa, dodał: — Oto jest mój dowódca, pan oberlejt-nant Lukasz.

— Panie nadporuczniku — rzekł pułkownik Schröder uroczyście, kładąc Szwejkowi rękę na ramieniu — tego piechura należy przedstawić do odznaczenia wielkim srebrnym medalem za męstwo w obliczu nieprzyjaciela i za wzorowe wypeł-

nianie rozkazów. To wyjątkowo dzielny żołnierz, a takich właśnie armia nasza potrzebuje. Jego czyn należy wymienić w rozkazie i odczytać szeregowcom. Serwus!

Wyjął z kieszeni dwadzieścia koron i podał Szwejkowi rękę.

Szwejk przekazał rannego żołnierza sanitariuszom, nakładł sobie do plecaka puszek z konserwami, wlał do menażki resztę wina i maszerował w kierunku lasu do swojej kompanii, gdzie dowiedział się, że telegrafista Chodounsky został ranny w głowę, a jednorocznik Marek jeszcze w poniedziałek udał się na *Hilfsplatz* z przestrzeloną ręką.

— Więc obaj moi wierni towarzysze siedzą sobie jak u Pana Boga za piecem — westchnął Szwejk — a ja nie mogę osładzać ich samotności. Balounie, jesteśmy jak ostatni Mohikanie. Masz tu, drabie, konserwy, będziesz mi za nie czyścił te medale, które mi obiecano... Jeszcze dzisiaj napiszę do pani Müllerowej, żeby mi przysłała pięć pudełek pucpomady.

Batalion został ściągnięty z frontu i skierowany do Jasinowa na odpoczynek i dla skompletowania. Wystarczyły dwie niewielkie bitwy, aby go rozbito i aby z szeregowców i oficerów pozostała ledwo połowa. I znowu wojaczka stała się przyjemniejsza. Okazało się, że jasinowscy Żydzi są dobrze zaopatrzeni w wódkę, a gdy tabory i kuchnia zaczęły funkcjonować sprawnie, dowożąc pod dostatkiem chleba i przyrządzając gulasz z koniny, nastrój wojska podniósł się znacznie. Żołnierze mawiali, że w taki sposób można wojować do ostatniej kropli krwi. Poczta połowa ożywiła się i przywoziła pełne worki listów do Jasinowa i tyleż zabierała z powrotem. Do Jasinowa nadchodziły pozdrowienia i wiadomości o tym, kto został obity i przez kogo podczas zabaw tanecznych, a z Jasinowa odchodziły pozdrowienia i wiadomości, kto ze znajomych jest już po kłopotcie. Pucybut Baloun pisał do domu, żeby mu przysłali szynkę i bochenek chleba.

„Kochana moja małżonko! Módl się za mnie i ofiaruj świecę do Klokot, aby Przenajświętsza Panienska tak mnie nadal chroniła, jak w czasie ostatnich straszliwych bitw. Modliłem się żarliwie i oto granat czterdziestodwucentymetrowy, który walił prosto na mnie, o jakiś metr ode mnie odchylił się na bok i poleciał tak daleko, że straciłem go z oczu. Byłem w okropnym niebezpieczeństwie i jestem głodny. Przyślij mi wędzonki, jeśli masz, i bochenek grysikowego chleba. Nie zapomnij, że trzeba przykrzesać kamienie, świeczka do Klokot niech będzie spora, a wędzonki przyślij jeszcze trochę. Jeśli wody mało, to każ za mielenie płacić drożej. A starosty zapytaj, kiedy będzie pokój, i o wszystkim napisz mi porządnie.

Twój do grobu wierny małżonek“.

Pocztówka ta wywołała wielką dyskusję teologiczną między Balounem a Szwejkem. Do dyskusji wtrąciło się kilku pobożnych żołnierzy, którzy stanęli po stronie Balouna. Szwejk twierdził, że Baloun łączy jak pies, a Baloun zaklinał się na Boga, że z owym granatem było właśnie tak, jak pisał do żony. Pogląd pobożnych żołnierzy nie dopuszczał najmniejszych wątpliwości w tej materii. Jeśli ktoś wyszedł z walki zdrów i cały, to znaczy, że Pan Bóg go kocha i nim się opiekuje, a jeśli padł z przestrzeloną piersią albo głową, to Bóg kocha go także i dlatego wziął go do siebie. Wierzyli w to żarliwie i bronili swego stanowiska z zapalem.

— Bałwan jesteś, mój Balounie — rzekł przekorny Szwejk. — Po pierwsze granatu nie widać, a po drugie Rosjanie takiego kalibru wcale nie mają, ponieważ tego pana Skodę, co w Pilźnie takie armaty leje, wsadzili by do ula, gdyby i Moskałom je sprzedawał. W trzecim batalionie służył niejaki Kratochwil, który zapewniał, że opieka boska w polu jest niepewna i że naraża człowieka tylko na przykrości. W ich kompanii służył niejaki Bouczek z Motola, człowiek okrutnie pobożny. Na szyi miał podobno medalik z kosteczką świętego Ignacego, a na sercu nosił obrazek pocierany o jakąś wiel-

ką relikwię. Do czapki poprzyszywał sobie wszystkie medaliki, jakie żołnierze podostawali w drodze na front. Był to człowiek bardzo pobożny, a jego pobożność była nagradzana: był w dziewiętnastu bitwach, miał osiem medali za dzielność i nigdy nie spotkała go rzecz najdrobniejsza. Aż tu raptem, gdy szli do ostatniej bitwy, ktoś skradł mu czapkę z medalikami, obrazek pocierany i notes z pieniędzmi. Prócz tego zgubił medalik, bo się sznureczek przetaił. Więc gdy ruszyli naprzód i gdy jeszcze nawet strzelaniny porządnej nie było, kula grzmotnęła go w ramię. Poszedł na Hilfsplatz, tam założył mu doktor opatrunek i wyprawił go do szpitala...

— A widzi pan — rzekł jeden z pobożnych żołnierzy — jest tak, jak mówimy.

— Trzymaj język za zębami — odpowiedział uprzejmie Szwejk — dopóki ja gadam. Jego talizmany były znane w całym pulku, a doktor też o nich wiedział i mówił do niego: — Widzicie, mój Bouczku, że od kuli was te talizmany nie ochroniły. Całkiem przypadkowo unikaliście rany tak długo. — A Bouczek mu na to, że wszystkie medaliki pogubił. Doktor zamyślił się i odpowiedział mu: — Nic sobie z tego nie róbcie, ja wyślę was do szpitala w Pradze. — A Bouczek zapłakał, pocałował doktora w rękę i powiada: — Bóg zapłać, panie Regimentsarzt. Gdybym był wiedział, że jako ranny dostanę się do domu, to byłbym się wszystkich tych świecidełek pozbył już dawno.

— Za takie gadanie powinieneś pan dostać po mordzie — pokwitował opowiadanie jeden z pobożnych żołnierzy. — Bodaj pana cholera pokręciła, bodaj ci wrony oczy wydziobały, bodaj cię pierwszy szrapnel rozszarpał.

— Mój ty dobrodzieju — odpowiedział Szwejk. — Pan Bóg sam będzie wiedział, co ma ze mną zrobić, bez twego podpowiadania. Umiałbyś ty radzić Panu Bogu! I ładnie by świat wyglądał, gdyby Pan Bóg miał słuchać każdego ta-

kiego cymbała, jak ty. Pan Bóg sam wie najlepiej, że ludzie to bydełko.

— Szwejku — rzekł pewnego dnia nadporucznik Lukasz — jutro kompanie pójdą po kolei do Podhorców. Nasza jedena-stka idzie pierwsza. Tam was wykąpią, odwszą i dadzą wam czystą bieliznę. Uważaj, żebyś mi nic nie pomieszał. Powtórz, co powiedziałem.

— Posłusznie melduję, że jutro pójdzie pan oberlejtnant pierwszy z naszą kompanią do Podhorców. Tam was wykąpią, odwszą i dadzą wam czystą bieliznę. Posłusznie proszę, panie oberlejtnant, czemu to mamy chodzić wiskać wszy aż do Podhorców? Przecież i tutaj moglibyśmy panu oberlejtnantowi poradzić. Nawet nie wiedziałem, że i pan oberlejtnant też ma wszy. Myślałem, że trzymają się tylko szeregowców.

Nadporucznik wytrzeszczył oczy na Szwejka.

— Jezus Maria, co z ciebie za bałwan, Szwejku! Od razu wiedziałem, że splatasz jakiego głupiego figla. Kogo ja ci mam dać na drogę, żeby czuwał nad twoją głupotą? Niech cię ręka boska broni, mój Szwejku, jeśli nie zrobisz wszystkiego tak, jak ci mówię. Uważaj: pójdziesz z kompanią, i, rzecz prosta, ze mną, do tych Podhorców. Tam się wykąpiesz, rozumiesz, wykąpiesz się ty. — Nadporucznik mówił coraz dobitniej. — Potem wdziejesz czystą bieliznę i poczekasz, aż ci wydezynfekują mundur. Ten mundur starannie oczyścisz, każesz się ostrzyć i ogolić, wyglancujesz buty, a strzelbę wyczyścisz, jakbyś miał w Boże Ciało pójść z procesją i strzelać salwami. Czy teraz rozumiałeś?

— Teraz zrozumiałem, posłusznie melduję — kiwał głową Szwejk. — Słowo honoru, panie oberlejtnant, że rano będę jak laleczka. Ale na co, posłusznie melduję, mam być taki wygalowany?

— Ponieważ — nadporucznik Lukasz odcinał sylaby, skan-

dując — do Podhorców przyjeździe następca tronu, Karol Franciszek Józef, i będzie ci przypinał, Szwejk, dwa srebrne medale...

— Do Podhorców przyjeździe jego cesarska wysokość Karol Franciszek Józef i będzie mnie, Szwejkowi, przypinał dwa medale — powtórzył sobie uszczęśliwiony Szwejk. — Posłusznie proszę, żeby mi wolno było usiąść, bo ja tej radości nie przeżyję. Więc ten dostojny pan przyjeździe we własnej osobie i przypnie mi medale własnoręcznie? O tym będą opowiadał „Pod kielichem“ do samej śmierci. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że może pan na mnie liczyć, że się na tę uroczystość nie spóźnię. Ja proszę pana oberlejtanta, pożyczę sobie zegarek od sierżanta Wańka razem z łańcuszkiem, żeby nasza marszkompania była dobrze reprezentowana. Bo to bardzo ważna rzecz, żeby wszędzie przychodzić w porę. Kiedym jeszcze służył w Budziejowicach, miał do nas przyjechać niejaki feldmarszałek lejtnant, który był dywizjone-rem i chciał zrobić przegląd naszego pułku. Nakazał, żebyśmy byli zgromadzeni na placu ćwiczeń o jedenastej przed południem, a dnia poprzedniego mieliśmy odpoczynek, bo ten pan lubił, gdy chłopcy byli weseli i rozglądali się po świecie różno. Pułkownik rozkazał majorom, żeby pułk stał na placu o godzinie dziesiątej, majorowie, żeby się nie spóźnić, wyznaczili kapitanom godzinę dziewiątą, kapitanowie wydali lejtnantom rozkaz na pół do ósmej, ci zaś kazali sierżantom stać o szóstej, a frajtrzy wyrzuchtowali nas o pół do piątej. Było to, panie oberlejtant, akurat po żniwach i słońce paliło aż strach. Pan feldmarszałek przyjechał punktualnie o jedenastej, a chłopcy stali w tym słońcu jak zmordowane muły, bo od pół do piątej rano mieli tej parady dość. Siedmiu chłopca omdlało, a czterech trzeba było odwieźć do szpitala. A ten pan dywizjoner sam ich poił koniakiem, bo miał parę butelek w trokach przy siodle. Gdy chłopcy z trzeciego batalionu zobaczyli, jak pan generał cuci omdlałych, wszyscy zaczęli

mdleć jeden po drugim i odzyskali siły dopiero wówczas, gdy koniakowi już nie było i omdlałych polewano wodą.

Po południu Szwejk siedział na pniu za stodołą, dwaj szeregowcy trzymali go za ręce, dwaj za nogi, a kucharz Jurajda golił go brzytwą pana sierżanta. Szwejk miał łyzy w oczach, z nosa mu kapalo, ale głowę trzymał prosto i dodawał odwagi kucharzowi:

— Różnij, bracie, i nie myśl o mnie. Niech następca tronu widzi, że ma do czynienia z porządnym człowiekiem, a nie z andrusem. Jutro muszę być taki ładny, żebym się podobał nawet Iwonie z „Narodni Politiki“. Różnij więc, bracie, i nic sobie z tego nie rób, że z bólu już się posusiałem. Gorzej już nie będzie, a na sławę trzeba zapracować jak na palmę męczeństwa.

A gdy, po upływie pół godziny, obmył krew z twarzy i spojrzawszy w zwierciadelko, przekonał się, iż twarz miał pokierszowaną jak niemiecki bursz po pojedynku, chodził od baraku do baraku i rozmawiał ze znajomymi żołnierzami:

— Jutro, chłopcy jedziemy do Podhorców i będziemy tam odwzali was i oficerów. Umówiliśmy się z następcą tronu, że się tam spotkamy. Z jego wysokością cesarską, Karolem. Przyjedzie, żeby ze mną pogadać o tym i owym i naradzić się jak ma panować, i czy nie byłoby dobrze zawrzeć z Moskalami oddzielnego pokoju. Sitwa z Wilhelmem już mu się naprzykrzyła i teraz chce się zaprzyjaźnić ze mną.

Dzień następny miał należeć do tych chwil życia, w których Szwejk przeżył najwięcej szczęścia, radości i uciechy. Gdy powrócił z Podhorców, sam o tym opowiadał:

— Rozebrali mnie tam, moi drodzy, do naga i dali mi natrysk z zimnej wody. Potem szliśmy dwoma szeregami i jeden plutonowy z sanitariatu nas ostrzygł i wygolił, gdzie tylko był jaki kłaczek. Maszynką jeździł tam i sam, żeby się wszy nie miały gdzie trzymać.

— Potem szmaty musiałem oddać do takiej jakiejś wędzarni, a w tej wędzarni usmażyli mi pas na skwarki, bo zapomniałem wyjąć go ze spodni. Potem nam te wędzone gałgany rzucali, a myśmy się w nie ubrali.

Po mój płaszcz wyciągał łapy obcy Bośniak, więc musiałem dać mu w pysk.

Potem przyszedł jakiś lejtnant i czytał nam, który z nas ma być przedstawiony najjaśniejszemu panu. Krzyknąłem: — Hier! — Odprowadzili nas potem osobno między drzewa na nawsiu, żebyśmy już nie gadali z tymi, co mają wszy.

Następnie ustawili tam ołtarz i przyszła muzyka. Feldkurat odprawił mszę, a gdy nadeszła kolej Zum Gebet, przyszedł do nas następca tronu, niby ten Karol, co to będzie cesarzem.

Zaraz wymiarkowałem, że z niego będzie dobry cesarz i mogę go każdemu z czystym sumieniem polecić. Podobał mi się natychmiast, jak tylko go zobaczyłem. A gdy się do mnie zbliżył, to stał mi się jeszcze sympatyczniejszym, bo zalatywało od niego bardzo ładnym zapachem śliwownicy, rumu i koniaku. To bardzo przyzwoity człowiek i do tego demokrata: nie wstydzi się pić rumu, chociaż pewno pije tylko ten prawdziwy, jamajski.

Jakiś pan kapitan czytał potem z karty, co który z nas popelnił sławnego i mówił, że w wojnie zwycięża ten, kto ma lepsze nerwy. Potem zakomenderował! — Rechts schaut! — więc zaczęliśmy się przyglądać następcy, jak przypina medale.

Jeden lejtnant trzymał te medale na porcelanowej tace, a na niej był napis „Mattonis Giesshübler, najlepsza woda na dolegliwości żołądka“. Najjaśniejszy pan następca brał te medale i przypinał je nam po kolei na lewą stronę piersi.

Podchodzi do mnie, podrzucam łeb i rękę spuszczam po

pasie. On przypina mi medal, ale ze wzruszenia ręka mu się trzęsie, tak że przypiął mi order do skóry.

Ja nawet nie mrugam i patrzymy sobie w oczy, jak łotr lotrowi, a on do mnie:

— Ruht, solnieszyk, zdaje mi się, my się już gdzieś widzieć.

— Bardzo możliwe — ja mu na to. — Posłusznie melduję, że to nie jest wykluczone, bo ja chodzę „Pod kielich“ albo do „Banzetów“ w Nuslach. — Pyta mnie jeszcze czy nigdy nie byłem w Brandysie, a ja odpowiadam:

— Posłusznie melduję, że w Brandysie nie byłem, ale razu pewnego wypadło mi pojechać do Młodej Bolesławi po angorskiego kota do niejakiego pana Swobody. Wsadzili mnie tam do ula, ponieważ przez pomyłkę buchnąłem koło Łysej psa leśniczemu Hrabietowi, bardzo ładnego wyżła. — Więc mi podał rękę i rzekł: — Ich gratuliere — i zaraz poszedł dalej, do innego sławnego żołnierza. Chodźcie, chłopcy, i powąchajcie moją prawicę, żebyście nie powiedzieli, że jestem skąpy i nikomu nic nie życzę.

Potem mieliśmy obiad w kupie z oficerami. Jakiś pułkownik siedział pierwszy, a kadet, który prowadził nas na ten obiad, napominał wszystkich:

— Żołnierze! Bohaterzy! Będziecie spożywać obiad z panami oficerami. Pamiętajcie, że macie medale, że wojna zrobiła z was ludzi, i nie zachowujcie się jak świnie. Jedzenie podawane będzie na półmiskach, naprzód wam. Nie wyobrażajcie sobie, że zeżreć musicie wszystko, i nie nakładajcie pełnych talerzy, żeby pozostało także i dla panów oficerów. Jesteście bohaterami i gośćmi następcy tronu, więc się nie obżerajcie i nie upijajcie, jakbyście byli w domu na chrzcinach. Na cześć następcy tronu po trzykroć: Hurra! Hurra!

Wrzasnęliśmy: Hurra! Kadet usadowił nas dokoła stołu i jeszcze nas napominał:

— Pan oberst będzie na was patrzył i jeśli który z was będzie się obzerał, to każe mu dać słupek.

Kelnerzy przynieśli nam talerze, noże i widelce. Najprzód dali nam zupy. Wychlipaliśmy ją żwawo, a ten kadet stał nad nami.

Zaczęli roznosić na półmiskach schab, ale bardzo małe porcje. Pan oberst zachęcał nas, żebyśmy wzięli więcej, nie tylko po jednym kawałku, ale kadet mrugał na nas, żebyśmy nie brali. Ale ja i tak wziąłem trzy kawałki. Kadet kopnął mnie w nogę, a ja zerwałem się i mówię:

— Muszę sobie nabrać porządnie, bo sobie tego pan oberst życzy. Pan oberst jest moim przełożonym i gdyby rozkazał, to wsunę wszystko. Mnie dzisiaj jego cesarska wysokość podala rękę, więc nie będę naruszał subordynacji.

Knedli i kapusty włożyłem sobie na talerz tyle, aż oficerowie wytrzeszczali oczy. A ja sobie myślę: Patrz jeden z drugim, co bohater umie.

Potem była jeszcze pieczeń cielęca i pieczone kurczęta z zielonym groszkiem, ale tylko dla oficerów. Do stołu podawali piwo, a na drogę dali nam do feldflaszki rumu. Już ten rum wypilem i nie mam dla nikogo ani kropelki, ale prawicę moją, którą wczoraj ścisnął dostojny następca tronu, może każdy wachać, ile mu się podoba. Będziecie mieli przynajmniej taką pamiątkę.

Wieczorem, gdy nadporucznikowi Lukaszowi opowiadał o przebiegu uroczystości, dodał z żalnością:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że przynajmniej jeden z tych medali chciałem sobie zostawić tak, jak mi go przypiął następca tronu, ale medale przypięte były do skóry i trzeba było szpilkę wyjąć, bo bardzo bolało. Taka pamiątka byłaby ładna. W Pradze był pewnego razu starostą, czyli pry matorem, niejaki doktor, którego nazwiska już nie pamiętam. Urzędował wtedy, kiedy to najjaśniejszy pan był w Pradze ostatni raz. Na Hradczanach była uczta, więc pan starosta był

we fraku, w białej kamizelce i w prasowanej koszuli. Kamizelkę zabrał sobie sosem serdelowym, a gors koszuli polał czarną kawą. Gdy wrócił do domu, wezwał rzeźbiarza, kazał sobie zrobić piękną złoconą ramę i w tej ramie za szkłem przechowywał kamizelkę i koszulę, które sobie pobabrał. Chciał tę pamiątkę zawiesić pod obrazem Jana Husa na ratuszu, żeby Praga miała wielką osobliwość i żeby nauczyciele przyprowadzali tam dzieci szkolne i pokazywali im, jak wygląda ją plamy na ubraniu, w którym się było na ucztę cesarskiej. Ale narodowi socjaliści zwołali przeciwko temu masówkę na Żofinie i Frania Zeminowa potępiła ten pietyzm jako niegodny posta młodoczeskiego. Więc ten pan prymator ma tę osobliwość w sypialni naprzeciwko obrazu Havliczka-Borowskiego. A pod nią jest napis z wierszy Havliczka:

Barwy moje czerwona i biała,
W nich się będzie wierność wyrażała.
Wygrażajcie mi, obiecujcie, co chcecie,
Mej wierności mi nie zabierzecie...

— Dużo rzeczy wiesz, mój Szwejku — wzruszył Lukasz ramionami. — Mógłbyś być redaktorem „Tajemnic Pragi“.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że ja nic nie zmyślam, ale wszystko czerpię z bogatych doświadczeń życiowych. Ludzie zawsze o czymś gadają, a ja słuchając uczę się. To i owo znajdzie się w gazetach, inne rzeczy opowiedzą ludzie, a pamięć, chwała Bogu, mam dobrą — wywodził Szwejk.

— Na przykład w Brzewnowie był jeden właściciel domu. Nazywał się Nikl, a synów miał dwóch. Jeden wyjechał do Ameryki i na wyjeźdym pożyczył sobie od brata guldena, że — powiada — zaraz mu odda. Ale potem zapomniał i odjechał. Lata płynęły, stary pan Nikl oddał dom drugiemu synowi, ten syn się ożenił, a stary poszedł na dożywocie. Mijało akurat trzydzieści lat od chwili, gdy obaj bracia rozeszli

się z sobą i stary pan umarł. Już stał przed domem karawan i ksiądz kropił zwłoki, gdy nagle zajeżdża dorożka, a z niej wysiada solidny pan i idzie po schodach na górę. Nikt go nie poznał, dopóki ów pan nie ukląkł przy trumnie i nie zaczął płakać: — Ojczulku, przynajmniej w trumnie widzę cię po raz ostatni.

Ludzie zaraz wymiarkowali, że to młodszy syn pana Nikła, Jerzy, który wyjechał do Ameryki, a ksiądz z kościoła św. Małgorzaty zaraz mądrze przemówił o dziwnym zrządzeniu boskim, które przyprowadziło syna do trumny ojca. Ledwo wszakże proboszcz skończył swoje przemówienie, gdy starszy syn, Alojzy, wyjął z kieszeni notatnik, podchodzi do Amerykanina i powiada: — Przyszedłeś w samą porę, żeby mi oddać tego guldena, com ci go pożyczył, zanim wyjechałeś do Ameryki. Akurat kończy mi się notes, więc nie będę musiał przepisywać tego długu do nowego. Rocznie zapisuję dwa notatniki i tego guldena dwa razy rocznie musiałem przepisywać, czyli ogółem sześćdziesiąt razy. Płać, Jurku, dług i kwita.

Posłuszenie melduję, panie oberlejtant, że po tym zakluciu też będę o następcy tronu pamiętał.

Nazajutrz zauważył Szwejk, że na lewej stronie piersi robi się mu duży wrzód. Pokazał go Wańkowi, który doradził mu zimne kompresy; nie wymieniając nikogo Szwejk rzekł:

— Schła się takie bydłę i kłuje ludzi, którzy przelewali za niego swoją krew.

VII

W okopach.

Ponieważ wszelka teoria jest szara, a życia wiekuiste drzewo jest zielone, przeto wszyscy teoretycy sztuki wojennej po miesiącu wojny pogłupieli do cna.

Jakiś profesor w Czechach wyliczył, że Austria może walczyć sto lat i że jeszcze będzie miała dosyć mąki, aby smażyć pączki, podczas gdy po roku wojny nie można było dostać bułki w sklepie.

Wyliczono dokładnie, ile nabojów wystrzeli żołnierz w ciągu godziny, a na podstawie praktyki strzelniczej poukładano statystyki, ilu nieprzyjaciół zostanie zabitych i poranionych. A tymczasem żołnierze trzy czwarte otrzymanych nabojów powrzucali do latryn, a resztę powystrzelowali na chybił trafił. Ustalono też, ilu nieprzyjaciół zabije granat, ilu szrapnel, i wymierzono dokładnie płaszczyznę rozprysku takiego pocisku przy wybuchu. Liczono na to, że granaty będzie się wrzucało między oddziały wojska, tak samo, jak się wrzuca kamień między stado gęsi. Tymczasem armatę, która kosztowała sto tysięcy, zwyciężała łopatką za kilkadziesiąt groszy. Żołnierz zakopywał się na metr w ziemi i gwizdał na armaty.

Wiedziano też, ile kilometrów dziennie może zrobić wojsko atakujące, i posiadano dane przeciętne od czasów wojen Napo-

leońskich aż do wojen bałkańsko-tureckich, dotyczące marszów dziennych. Ale pokazało się, że kolczasty drut, porozpinany na kółkach, może zatrzymać rozpędzone wojsko przez dwa tygodnie na miejscu.

Armia broniąca się włączyła w ziemię, armia atakująca musiała pójść za jej przykładem.

Terytoria, na których toczyły się walki, przemieniały się w jakieś ogrody, otoczone płotami. Za płotami stali stróże, a na każdym drzewie były sidła. Brakło tylko napisu na płotach:

— Obcym wstęp wzbroniony.

Zaś stróże czuwali nad płotami swoimi i nad płotami sąsiada tak długo, dopóki nie przychodził rozkaz, że trzeba wyleźć z rowów, iść do sąsiada i narobić mu świństwa. Żeby się żołnierze nie nudzili, wysyłano ich na patrole, z których nikt nie wracał, kazano kompaniom demonstrować wobec nieprzyjaciela, przy czym zawsze tyłu a tyłu ludzi ginęło, ale nikt się tym nie przejmował, bo marszkompanie nadchodziły z domu prawidłowo, młodzież podrasła i krzepła, tak że nie trzeba było przepisywać dla ludzi ochrony, jaką cieszą się zajęce w marcu.

Ludzie włączyli w nory ziemne jak ich dawni przodkowie, troglodcy, i powoli, ale dokładnie przemieniali się w zwierzęta. Urzędowo nazywało się to „wojną pozycyjną“.

Toteż gdy do batalionu 91 pułku nadeszła marszkompania, która wylatała dziury w plutonach, nikt się nie dziwił, że pewnego popołudnia nakazano przegląd mundurów i badanie karabinów. Karabiny badał nadporucznik Lukasz tylko słowami:

— Nabity? Czy zamek rusza się jeszcze jako tako? Doskonale!

Tymczasem w innych kompaniach oficerowie ryczeli:

— To ma być wyczyszczony karabin? Jezus Maria, ty pawianie morski, dam ci takiego słupka, że ci oko zbieleje! Dwa tygodnie piecuchuje, a karabin ma cały w rdzy! Jak się popsuje, to zapłacisz za niego!

Oberlejtantowi Lukaszowi było już wszystko jedno. Doszedł do wniosku, że cała wojna jest psu na budę, że to wszystko jest bezcelowym niweczeniem mienia i ludzi, i obowiązki swoje spełniał jako zło konieczne, od którego uchylić się nie podobna. Zobojętniał i na duchu czuł się fatalnie. Był przygnębiony, zatruwał go brud, a wiecznie te same rozmowy z oficerami działały mu na nerwy. Czasem gdy Szwejk rozgał się na dobre, nadporučnik myślał:

— Temu drabowi trzeba zazdrościć. Doprawdy, jego idiotyzm, to większe szczęście niż główna wygrana w loterii.

Oberst Schröder nakazał ćwiczenia i przechodzenie z żołnierzami tego wszystkiego, co się robiło w koszarach. Lukasz spełniał ten rozkaz tak, że przed południem kazał żołnierzom wyruszać za wieś, a po południu polecał szarżom odbywać szkołę, która to praca polegała na opowiadaniu pieprzonych anegdot. Przyłapał pewnego razu kadeta Bieglera przerabiającego z żołnierzami *Salutierübungi* i poprawiającego stale ich ruchy i to napęliło go takim rozgoryczeniem, że przez kilka dni myślał:

— Idiota! Zabiją go może jutro, a on się kłopotuje o to, żeby przy salutowaniu mały palec żołnierza był na jednej linii z okiem. Boże Wszchemogący, na co te wszystkie błazeństwa?!

Razu pewnego wyraził tę myśl przed Szwejkim, a Szwejk udzielił mu natychmiast pociechy duchowej:

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że cały świat i całe życie to jeden wielki dom wariatów. Tak już być musi, żeby ludzie mieli utrzymanie. Ludzie uczeni, panie oberlejtant, nic nie robią, tylko gmerają się w głupstwach, bo głupota to największy kapitał. Posłusznie melduję, że znałem dwóch sadowników, niejakiego Lojzę Womaczkę i Frantę Peczenkę, i obaj upatrzyli sobie w Uhrzyniewsi aleję czereśniową i gdy czereśnie kwitły, obaj chodzili do właściciela, żeby im tę aleję wydzierzawił. Każdy myślał tylko o tym, żeby te czereśnie zagarnąć dla siebie. I ten Womaczka i ten Pe-

czenska. A właściciel obiecywał i temu i temu, ale starał się wycisnąć z nich jak najwięcej, a ci się przelicytowywali. Pewnego razu idzie Womaczka z jednej strony alei i patrzy w górę, ile też kilogramów owocu zgarnie z jednego drzewa, a z drugiej znowu strony idzie Peczenka i trapi się takimi samymi myślami. Womaczka był człowiekiem krewkim i roz- złościł się, więc powiada do Peczenki. — Ach, ty ryży smyku, nie szwendaj mi się po mojej alei, bo ci kulasy przetrączę! — A Peczenka mu odpowiada: — Lojzo, Herrgott, nie odzywaj się do mnie nieprzyzwoicie, bo ja jestem kupcem i nie pozwolę nikomu, żeby sobie na mnie strzępił jęzor. Ty psie zezowaty! Jeśliś kupiec, to się zachowuj inteligentnie, bo jak nie, to ci pysk rozedrę od ucha do ucha. — Potem Womaczka dał mu w pysk, a Peczenka sprął tamtego kijem. Obaj poszli do doktora i kazali sobie wystawić świadectwa lekarskie, że niby jeden drugiego poturbował, przybrali sobie adwokatów i poszli do sądu. Pierwszą instancja, druga instancja, trzecia... Ale nie było końca, bo adwokaci doradzali im, żeby się procesowali dalej, więc ci skierowali sprawę do sądu karnego w Pradze. Tę aleję wydzierżawił wreszcie Womaczka, a Peczenka znalazł dla siebie coś kolo Dobropuli. A teraz posłusznie melduję, panie oberlejtant niech pan wszystko zliczy: dwóch doktorów medycyny, dwóch adwokatów z pisarzami, sędziowie i sekretarze w Ryzczanach, sędziowie w Pradze... Iluż ludzi miało użyteczne zajęcie! Zanim się wszystko skończyło, był już sierpień i dawno było po czereśniach. W Pradze jakiś sędzia rzekł do nich, że ich obu wpakuje do kryminalu, a adwokaci prascy doradzili im, żeby sobie przebaczyli i cofnęli skargi. Tak też zrobili. Potem poszli do gospody do Sztupartów i obaj spojrzeli po sobie z rozżaleniem. Lojza Womaczka rzecze do Peczenki: — Wiesz, Franek, osiel jestem, bo doktorom i adwokatom oddałem wszystkie czereśnie i jeszcze robotę do tego. — A Franek Peczenka wytarł rękawem oczy i załkał: —

Lojzo, bracie, i ja jestem osieł! Ja też latosiego roku dopłacę do tego interesu. Jezus Maria, co powiedzą nasze żony?! — Posłusznie melduję, panie oberlejtant, czy pan już wszystko zliczył, ilu to ludzi mogło porządnie zarobić na tym, że dwaj głupcy w Uhrzyniewsi dali sobie po pysku?

— Zdaje mi się, mój Szwejku — rzucił zamyślony Lukasz — że doktorów i uczonych ludzi nie kochasz osobliwie. Cóż takiego ci zrobili, że ich ciągle zaczepiasz?

— Nic mi takiego nie zrobili, posłusznie melduję, panie oberlejtant — odpowiedział Szwejk z niewinnym uśmiechem. — Opowiedziałem panu oberlejtantowi o tym tylko tak sobie, żeby pan widział, że i głupota też musi być na świecie. Niech mnie ręka boska broni, żebym ja miał coś przeciwko uczonym panom i żebym przeciwko nim wygadywał. Dość im nadokuczają te dranie anarchisty. Na przykład w Libni był ślusarz a nazywał się Soukup. Był to człowiek młody i też był anarchistą. Najprzód należał do młodzieży katolickiej, potem poszedł do socjalistów narodowych i gadał sporo na wiecach. I rozwijał się tak jakoś zwawo, aż stał się z niego anarchista. Często gęsto siedział w kozie i popadł w melancholię. Mawiał, że na świecie nie ma już żadnej uciechy. Pewnego razu rzekł do nas: — Długów robić nie mogę, bo mi nikt nic nie pożyczy, a jak otworzę usta, to mnie zaraz pakują do uła za obrazę najjaśniejszego pana. Gdy zrobię awanturę z policją, to samo. Już się mnie czepiają myśli samobójcze, — Tej samej nocy chciał się powiesić na płocie parku porzyckiego, ale jakaś pinda wyperswadowała mu to i zabrała go do siebie na nocleg. A ta dziwka, posłusznie melduję, przywróciła mu ochotę do życia i pokazała mu, jaki ten świat jest piękny. Posłusznie melduję, że dostał od niej trypra. Kurował się na klinice, a gdy złopał piwo i jadł parówki z chrzanem, mawiał do nas: — Teraz już wiem, jak się do nich zabierać. Postaram się o chronicznego i będę się na nich mścił do samej śmierci. Wyobraźcie sobie, towarzysze, że radca regencyjny i cesarski,

ten niby profesor Janowski, powiada do medyków, że trzeba mi zbadać prostatę, czyli jakiś tam gruczoł wewnętrzny. — Niech pan — powiada — rozstawi nogi i pochyli się — a następnie wsuwa mi palec z przeproszeniem w zadek i kręci nim tam i sam. Wyobraźcie to sobie, chłopcy: radca cesarski i regencyjny i musi mi gmerać w zadzie. Anarchista nie zrobiłby takiej rzeczy nawet papieżowi. — Więc posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że przeciw inteligencji nie mam nic, a czasem nawet muszę jej współczuć, gdy widzę, że znajduje się w ciężkim położeniu. Na biedny naród trzeba srogości i ktoś musi tę srogość wykonywać. Gdyby jej nie było, to uczeni ludzie musieliby kraść chyba.

Przyszedł potem rozkaz, że oddział ma iść na stanowisko i zluzować jakiś batalion polskiego pułku, i nadporucznikowi Lukaszowi zrobiło się źlej na duszy. Nadchodziła zmiana, która mogła być początkiem innych zmian i nowych wrażeń.

Przeгляд był skończony, ozwała się komenda — *Batalion! Maschieren, marsch!* — i oddział ruszył. Przed zmierzchem doszli do wsi Teofiopki, za którą już się zaczynał front. Był krótki odpoczynek, podczas którego oficerowie zbrali się na naradę do sztabu tego pułku, którego części mieli zluzować. Żeby zaś po ciemku nie zabłądzili, dostali przewodnika, który napominał żołnierzy obiecująco:

— Uważajcie, łaziki, żebyście leźli cicho, bo szosa, którą pójdziemy, jest pod obserwacją nieprzyjaciela i bywa ostrzeliwana. Niech tylko coś szcęknie, to zaraz poślą nam tu parę granatów. Nie mam ochoty kazać się zabijać dla waszej przyjemności.

Papierosy pogasły, fajki poukrywały się pod płaszczami, żołnierze przytrzymywali rękoma łopatki, żeby nie potraçały o bagnety, i niby cienie sunęli w pole za wieś. Weszli do szerokiego rowu i zmierzali ku pagórkowi. Szeroki rów rozwił się na kilka rowów węższych, a oficer prowadzący rozsyłał kompanię każdą innym rowem, sam zaś z jedną kompa-

nią poszedł rowem środkowym. U góry rów kończył się nagle w okopie, z którego jak spod ziemi wylazły zaczęły czarne postacie. Ciemno było, więc miało się wrażenie, że prosto z ziemi wylażą dżdżownice. Żołnierze zlurowani wylazili z okopów z prawej i lewej strony, a oficer popychał na ich miejsce żołnierzy nowoprzybyłych, pobudzając ich do pośpiechu:

— Właźcie, do diabła! Do każdej dziury tyłu, ile jest otworów dla karabinów. Karabiny natychmiast wstawić w dziury. Leziesz, lapserdaku, czy nie? Chcesz może w dupę nogą?

Zaś zlurowani żołnierze ostrzegali towarzyszy:

— Nosa nie wyścibiać! Moskale strzelają jak wściekli. Wczoraj ustrzelili nam dwóch kolegów, a dziewięciu ranili.

Perspektywa była więc dość wesoła. Szwejk chciał o coś zapytać, ale w tej chwili zawołał Lukasz jego i Balouna i dlatego do pogawędki nie doszło. Obaj zawołani szli za nadporucznikiem, którego przewodnik prowadził na bok do głębokiego dołu, w którym był schron oficerski.

Dół był bardzo głęboki i trzeba było schodzić do niego po kilku stopniach. Kapitan, który ten schron opuszczał, szcudrobliwie pozostawił w nim zapaloną świecę, którą jego pucybut chciał zabrać, i z dumą rzekł do Lukasz:

— Przez tydzień żołnierze kopali ten dołek i przez cztery noce robili strop. S.....yny, Moskale, zabili przy tym trzech ludzi i szesnastu ranili. Ale teraz jest tu bezpiecznie i żaden granat nic nie robi. Oficer musi przecie być zabezpieczony.

Uściskał Lukaszowi dłoń i oddalił się.

Nadporucznik wyszedł, aby się przekonać, czy rozstawiono strażę. Wracając, słyszał, jak Szwejk perswaduje Balounowi:

— Muszę mu zbębnić jaką deskę, żeby miał na czym siedzieć i leżeć. Wilgotno tu i ze ścian leje się woda Móg!hy tu dostać reumatyzmu. Postaram się też o trochę heblowin i zrobię mu miękkie posłanie.

— Jezus Maria, jak my tu wyżyjemy! — zabiadał Baloun

w odpowiedzi. — Boże wszechmogący, tutaj przecie kuchni nie podwiożą!

W tej chwili cały świat był Lukaszowi beżmiernie wstrętny. Rzucił się na trochę heblowin, które pozostały tu po jego poprzedniku, przykrył się derką aż na głowę i mrucał pod nosem:

— Drańskie życie! Zastrzelić się, czy pójść do Moskali?

Spał licho, rzucając się z boku na bok i uciekając przed jakimis̄ upiorami, które ścięwały go śród czarnych skał. Rano, gdy zmęczony i połamany otrzymał z rąk Balouna śniadanie, wyszedł z filiżanką na dwór. Na dnie wężozu płynął chudy strumyczek, a nad nim siedział Szwejk i nożem wyrzynał figurki dla ozdobienia młynka, który wesoło kręcił się nad wodą. Ujrzawszy nadporucznika, wstał i salutując dość opieszale, rzekł:

— Posłusznie melduję, dzień dobry panu oberlejtntantowi. W pismach rodzinnych pisało, że każdy ma upiększać swoje mieszkanie. Ale mam, panie oberlejtntant, nóż bardzo tępy. Ten Bośniak, co mi go sprzedał, nabrał mnie brzydko. Mówił, że to stal solingęńska, a kozik miękki jak ołów.

Lukasz zeszedł na dół a widząc, jak Szwejk trzdzi się, aby z drewna wyrznąć jaką taką postać człowieka, rzekł beżwiednie:

— Sancta simplicitas!

Baloun nie mógł pojąć, dlaczego Szwejk o dziesięć minut później pytał go:

— Cóż to wyfasowaliście tyle śliwowicy, że oberlejtntant wstawił się już od samego rana?

W okopach wściekali się ludzie z nudów i gnili za życia, żarci przez brud i wszy. Nie myli się, nie golili, nie czesali. Ci, co byli w pobliżu strumienia, mogli mówić o szczęściu, bo mieli przynajmniej pod dostatkiem wody. Ci, co byli dalej, musieli odzwyczajać się od wody, bo chodzenie po nią narażało

na śmierć. Menażka wody kosztowała litr krwi; woda była droga, krew nie miała wartości.

Resztki inteligencji i człowieczeństwa, jakie jeszcze pozostawały w żołnierzach, gasły, jak iskry w popiele. Zmysły i czucie tępiały, ludzie dziczeli coraz bardziej i troszczyli się tylko o jedno: najeść się i spać.

W Karpatach służyłem razem z piechurem, którego znałem od dawna jako zacnego i inteligentnego chłopca, ale w okopach leżał i sypiał po dwadzieścia dwie godziny na dobę, a dwóch ostatnich nie przesypiał tylko dlatego, że jako wartownik musiał w nocy strażować.

Poza okopami było niebezpiecznie, więc żołnierze całymi dniami siedzieli w dziurach. Szwejk nie miał nic do roboty i dlatego laził z jednego schronu do drugiego i gawędził z żołnierzami o sytuacji.

Pokój nie nadchodził i wiadomościom o nim nikt już nie wierzył. Gazety rzucano, a ich redaktorów wyzywano od idiotów i oszukańców, wodzących porządnym ludzi za nos.

W okopach powstawały najróżniejsze wiadomości, bo wśród żołnierzy nie brakło takich, którzy dla własnej przyjemności puszczali w bieg największe bzdury. Ale wszystko, co miało znak wyrobu miejscowego, przyjmowano z zadowoleniem i kolportowano gorliwie. Każdą najgłupszą plotkę roztrząsano szczegółowo i omawiano wszechstronnie. To, że Szwejk miał jakieś wiadomości od nadporucznika, a do nich dodawał jeszcze to i owo, budziło dla niego powszechny szacunek i zapewniało dobre przyjęcie największym błazeństwom, jakie po okopach rozpowszechniał. Pewnego razu szwendał się wśród żołnierzy z wiadomością:

— Uważajcie, chłopcy, dwunastka będzie o świcie robić demonstrację przeciwko Moskałom. Chciano wysłać naszą kompanię, ale ja zaproponowałem oberstowi dwunastkę, bo i tak wyzdycha niedługo.

— Szczęść im Panie Boże, wezmą zdrowo w skórę — rzekł kapral Rytina, gospodarz z Kolińskiego. — Gdy byłem w Serbii, to takie same błazeństwa wyrabiał przeciwko Serbom nasz batalion. Po dziesięciu minutach wróciła nas ledwo połowa, a groby kopaliśmy przez dwa dni. Wiem ja, że oberst z de-kunku nie wylezie, bo wojowniczego ducha podtrzymuje na nasz rachunek. Co to ma, Chryste Panie, za sens?

— Pan oberst mówił, że się Moskałom pokaże, iż się ich nie boimy — objaśnił go Szwejk.

— On się ich bać nie potrzebuje — ozwał się żołnierz Brze-czka, cieśla z powołania.

— Nie wiecie nawet, chłopcy, co za dekunek ma oberst. Sie-dzi sobie aż za rezerwami, osobno, na swoim. Schował się z pięć metrów pod ziemię, strop ma z belek na krzyż, na nich wory z ziemią, a następnie nawóz i chrust. Boi się, że-by na niego nie rzucili czego z aeroplanu. W takiej norze tkwi jak suseł i może zdrowo głądzić o duchu wojowniczym.

— Wiecie, panowie, co by było fajną bujdą? Gdyby ten nasz pierdoła wyzwał na pojedynek tamtego pierdołę, co do-wodzi Rosjanami — wtrącił się do dyskusji frajter Trnka, stolarz z Peczek. — Powiedzcie, panowie, czy tak nie byłoby lepiej? Każdy batalion, czy pułk, czy nawet dywizja wysta-wiłyby z tej i tamtej strony po jednym człowieku do walki, a reszta przyglądałaby się walce i wydawałaby sąd, czy wszy-stko odbywa się prawidłowo. Gdyby Moskał grzmotnął o zie-mię naszego, to znaczyłoby, że myśmy przegrali. A znowu gdyby nasz powalił Moskala, poddaliby się Rosjanie. I nie mu-siałoby się tylu ludzi mordować nad zwycięstwem. O takim sposobie wojowania czytałem, moi panowie, w pięknej książce: „Syn łowcy niedźwiedzi“. W tej książce jest sobie bohaterem niejaki Old Shatterhand, który chadzał walczyć z Indianami w imieniu całej swojej drużyny. Chociaż tym czerwonoskó-rym dzikusom mówił dużo o miłosierdziu chrześcijańskim, to jednak strzelał do Indian, gdy było potrzeba, ale niechętnie.

Gdy ten Old Shatterhand szedł do walki z Indianinem, to do towarzyszy mawiał: — Nie bójcie się o mnie i ufajcie Bogu, że da mi zwycięstwo. Nie zabiję go, ale żeby poznał, że jestem chrześcijaninem, utnę mu obie ręce. Religia nasza, wy psy czerwonoskóre, nakazuje nam miłosierdzie!

— To nieglupia myśl — rzekł Brzezka. — Może by nawet było lepiej, żeby sam Wilhelm poszedł wojować z rosyjskim Mikołajem. Albo i Franc Józef. A wiecie już, chłopcy, co oni do siebie telegrafowali, gdy ich rządy zaczęły sobie przysyłać ostre noty dyplomatyczne? Wilhelm miał telegrafować do Petersburga: — Ej ty stary Mikołaju, całuj psa w nos, będziesz w raju. — A na to mu Mikołaj odpowiedział: — Wilusiem cię nazywają, a wszyscy cię w dupie mają. — A nasz stary pan depeszował do obu kolegów: — Ty, czy on, mnie wszystko równo; cóż będę mieć z wojny? Gówno. — Więc gdy się tak ze sobą przekomarzali, to mogliby też powojować.

— Co powiedzialesz o Wilhelmie i Mikołaju to święta prawda — rzekł Szwejk z wielką pewnością siebie — ale to, co mówią o naszym najjaśniejszym panu, to nędzna plotka. Nasz najjaśniejszy pan wiadomość o wypowiedzeniu mu wojny przez Rosję przyjął z dostojnym spokojem, jak o tym pisały wszystkie gazety. Podobno miał się wyrazić na radzie ministrów: — Im więcej wrogów, tym więcej honoru. Skoro żadnej jeszcze wojny nie wygraliśmy, nie troszczmy się więc o to, że przegramy jeszcze jedną — czy coś w tym guście. I zaraz potem pojechał do klasztoru kapucynów, modlił się tam i kazał się fotografować, żeby było w gazetach. Był też niejaki pan Lukesz z Dobrzysza, blacharz, i był prezesem stowarzyszenia weteranów. Dowiedział się że taki obrazek ma być w praskich gazetach, więc umyślnie pojechał do Pragi, żeby sobie taką gazetę kupić. Nawet mu piwo nie smakowało, gdy widział na tym obrazku wielki smutek najjaśniejszego pana. Myśleli ludzie, że się chłop wstawił i jeden z gości poradził mu, żeby połknął garstkę soli z solniczki. Ale potem, gdy mu jednego

syna zastrzelili, a drugi wrócił bez ręki i z wypalonymi oczami, to on ten obrazek ze smutnym cesarzem przybił na ścianie w wychodku. Żandarmi zabrali chłopca i siedzi podobno w Teresinie.

— A jednak lepiej by było, gdyby monarchowie sami z sobą wojowali i gdyby dali poddanym spokój — upierał się Brzezczka przy swoim. — Nie potrzebowaliby się bić ani na pistolety, ani na szable, kiedy nie znoszą widoku krwi, Mogliby załatwić te sprawy w walce grecko-rzymskiej lub w stylu wolnym, jak Szmejkal z Fryszteńskim i teżby nikt nie miał nic przeciwko temu.

— Nie idzie, kolego — roztropnie odpowiedział Szwejk — gdy mają jakiś spór potentaci, to spór taki może być rozstrzygnięty tylko w sprawiedliwej walce, w której nie ma szwindlu. Prócz tego w walce musi brać udział tylu ludzi, żeby się w złodziejstwach nie mogli z sobą pogodzić. Kiedy byłem w szpitalu, to koło mnie leżał niejaki Pepik Skuhra. Był to artysta z Variété, komik salonowy, szlifierz i złodziej, a ponieważ nie wolno mu było mieszkać w Pradze, więc o ile akurat nie kradł, jeździł po świecie z cyrkiem. Umiał wyrabiać nadzwyczajne rzeczy z kartami, połykał noże, wydmuchiwał z ust ogień, w nos wtykał sobie sześciocalowe gwoździe, ale najlepiej umiał kraść. Prócz tego był grecko-rzymskim zapasnikiem. Pewnego razu zaczął mi opowiadać zdarzenia ze swego życia i opowiadał mi między innymi jedno, które utkwiło mi w pamięci. Opowiadał tak:

— Miałem dziecko z niejaką Andą Czadówną. Ładna to była kobieta, pochodziła z hrabiowskiego rodu i była córką niemieckiej księżnej, ale w Józefowie puszczała się z żołnierzami. Więc ja popycham przed sobą kółko szlifierskie, ona wózek dziecięcy i jedziemy z Jiczyna ku Turnowu. Czymś mnie mocno rozżościła, więc rzuciłem i ją i kółko szlifierskie i zwałem. Uwierzysz, kolego, że spotkałem się z nią dopiero po trzech latach na szosie za Kralowicami koło Pilzna? Kie-

dym od niej uciekł, poszedłem do Nowej Paki, bo tam niejaki Szymek miał cyrk, i natychmiast zaangażował mnie jako niezranionego fakira, pogromcę tygrysów i króla dżungli. Ale w Pace ludzie są przebiegli, więc nasz cyrk świecił pustkami. Bo też ten Szymek miał tylko dwa konie, tresowaną kozę i psa, którego nie można było niczego nauczyć. Później żona jego występowała z uczoną małpą. Więc razu pewnego zwinęliśmy namioty i ruszyliśmy do Nowego Bousowa, bo Szymek mówił, że tam jeszcze nigdy cyrku nie było i że miasto jest, iż tak powiem dziewicze. Mamy pierwsze gala-przedstawienie, a tu przyszło wszystkiego paru łobuziaków. Siedzenia puste, honoracji ani w ząb. Szymek podrapał się po głowie i ruszył do Młodej Bolesławi, skąd wieczorem przywiózł z drukarni olbrzymie afisze: — Grecko-rzymskie zapasy o mistrzostwo świata i o nagrodę dziesięciu tysięcy koron rozgrywać się będą w cyrku Szymka dzisiaj i codziennie, aż do ostatecznego rozstrzygnięcia. Rano rozlepiliśmy te afisze, a w południe przyjechali z Pragi trzech panowie, którzy nigdy i nikomu nie przedstawiali się z nazwiska, i dopytywali się o dyrektora. Byli to mistrzowie Niemiec, Rosji i Portugalii. Wieczorem była walka. Ja byłem czwarty i występowałem jako atleta w czarnej masce. A ten łobuz Szymek rozpuścił w gospodzie plotkę, że atleta w czarnej masce to obywatel Bousowa. Wieczorem cyrk był nabitý tak, że płachta pękała, no i były walki według programu. Ułożyliśmy się naprzód, kto kogo i kiedy pokona, a te łobuzy paskudne rzucały mną na wszystkie strony, jak pies flakiem. Pomimo to ułożyłem na obie łopatki mistrza Portugalii, ale mistrzowie Niemiec i Rosji trzymali się. Dopiero na drugi dzień dał mi się przewrócić ten drab, co udawał Rosjanina, a cyrk ryczał z wielkiej uciechy i zapału. Na trzeci dzień kazał mój Szymek obębnić po mieście, że mistrzowie świata wyzywają do walki mocnych obywateli Bousowa i okolicy o nagrodę pięćdziesięciu koron. Na to przedstawienie naschodziło się narodu ze wsi i miasteczek oddalonych o trzy mile.

a ja musiałem zabrać się do mistrza Niemiec tak energicznie, że grzmotnąłem nim o ziemię. Ale po przedstawieniu wszyscy trzej mistrze spili się i sprali dyrektora za to, że mało im płacił, i w nocy dali dęba. Przed południem rąbię ja drwa za wozem cyrkowym, a tu raptem woła mnie oknem dyrektor Szymek. W wozie siedzi obcy pan i podaje mi rękę. — Tiuhiczek — powiada — jestem, rzeźnik tutejszy. Chciałbym wieczorem zmierzyć się z panem, żeby się dowiedzieć, czy mam siłę. — Mnie pociemniało w oczach, bo chłop był jak byk, ręce jak łopaty, nogi jak słupy. Więc się przytrzymuję klamki i mówię: — Bardzo mi przyjemnie. A czy pan ubezpieczony przeciwko nieszczęśliwym wypadkom? Czy ma pan żonę i dzieci zabezpieczone? Wie pan, ja z amatorami walczę zawsze bardzo oględnie i to z zasady, ale nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić. — Pan Tiuhiczek posmutniał, a dyrektor mruga na mnie, żebym z nim wyszedł na dwór, niby z tym gościem. A na dworze pan Tiuhiczek zaczyna z wielkim zakłopotaniem: — Wie pan, panie mistrzu, siłę to ja mam, o tym wątpić nie trzeba, ale nie znam się na tych waszych przebiegłościach i chwytach. — Panie mistrzu, niech mi się pan da pokonać! — Ja się obrażam. — Jak pan to sobie wyobrażasz? — mówię. — Ja jestem mistrzem Europy i mam się dać pobić panu? Ja walczyłem już z Petrakiem, Szmejkalem, Fryszteńskim, Steinbachem, Cyganiewiczem i nawet z tym Murzynem Zipselem i wszyscy dostali ode mnie, co im się należało. Czy pan myśli, że taka sława nic nie kosztuje i że można tak bez wszystkiego odrzucić ją od siebie. — On zaś złożył ręce jak do modlitwy. — Mistrzu — powiada — pan stąd wyjedzie, a do gazet się taka rzecz nie dostanie, ale ja jestem tutejszy i do samej śmierci śmieliby się ze mnie, gdybym został pokonany. Bo pan nie zna bousowiaków. Niech pan się pozwoili pokonać, a ja panu jeszcze dam pięćdziesiąt koron i zapłacę wszystko, co pan zje i wypije w gospodzie. I zaraz zaciągnął mnie na papryczkę, więc się ostatecznie na swoją porażkę zgo-

dziłem i zastrzegłem się, że pokonany zostanę dopiero po kwadransie walki. Eh, kolego, jak żyję, nie przeżyłem tyle okropności, co owego wieczora. Cyrk był nabity, chociaż bilety kosztowały trzy razy tyle co zwykle, a pan Tiuhiczek trząsł mną jak pies flakiem. Gnióttł mnie tak, że nie mogłem oddychać, rzucił mnie na piasek, aż rozciągnąłem ręce i nogi jak żaba. Trzymałem się go tylko dlatego, że bym z wyczerpania nie upadł na ziemię. Wreszcie szepczę mu do ucha. — Teraz! — A ta małpa rzuca mnie na ziemię i klęka mi na piersi. Potem jedną nogą wlał mi na brzuch i zaczął się kłaniać publiczności. Powstał, kolego, taki ryk, że z Sobotki przybiegali ludzie na poły ubrani, żeby zobaczyć, co się dzieje, a dziad kościelny zaczął dzwonić na trwogę że niby na Sobockie ciągnie Prusak. Pani dyrektorka musiała mnie potem przez cały tydzień nacierać, bo byłem jak połamany.

— Widzicie więc, chłopcy — kończył Szwejk opowiadanie — że i najjaśniejszym panom też nie można by wierzyć, gdyby spór rozstrzygali przy pomocy grecko-rzymskiej walki. Mogliby się też umówić i zrobić jakie złodziejstwo. Gdy dawnymi czasy bywały w Pradze takie same walki, to było całkiem co innego. Taki na przykład Urbach, łobuz niemiecki, urwał naszemu Szmejkalowi ucho i rozplatał mu nos, co ogromnie podniosło w publiczności sympatie dla Szmejkała. Bo Szmejkał rozmazał sobie krew po całej gębie i miał przemowę do publiczności, żeby sobie wyobraziła, co siłacz musi znieść za granicą, skoro w samej słowiańskiej Pradze tak go urządził niemiecki atleta. Ale potem odplacił Urbachowi tak pięknie umiejscowionym chwytem, że Niemiec ryczał jak byk, a dwie panienki od sprzedawania biletów omal że się na śmierć nie zamęczyły, gdy rękoma i nogami pomagały Szmejkalowi, żeby mu się ten łobuz berliński nie wymknął. W nocy wstawili się obaj u Grafa na Winohradach, ściskali się i całowali. Podobno wszyscy atleci mają już taki obyczaj, że zachowują się względem siebie po rycersku. Ale to długa historia; opowiem

wam ją chyba kiedy indziej, bo zdaje się, że już czas na fasowanie.

Szwejk się oddalił, a z jakiegoś innego kąta odezwał się głos:

— Chłopcy, jutro na całym froncie zaczyna się ofensywa, a nasza dwunasta kompania wali na pierwszy ogień na Moskali. Taki befeł przyszedł od najjaśniejszego pana, bo się śpieszy, żeby jak najprędzej było po wojnie.

Podczas gdy Szwejk siał po okopach poploch swoimi wiadomościami z poczty latrynowej, pucybut Baloun trzymał cierpliwie menażkę nad ogniem i coś pitrasił. Przy swoim wiecznym głodzie stał się łatwo ofiarą namiętności, która zresztą opanowała także innych żołnierzy. Namiętność polegała na glancowaniu menażki i na kombinowaniu coraz nowych potraw. Często, gdy Szwejk powracał ze swoich spacerów, widział, jak Boloun wyciera menażkę kawałkiem skóry od słoniny, przystawia ją do ognia, a potem szybko wyciera gałgankiem, żeby błyszcząca jak srebrna. Rozwiązywał chlebak i wyjmując z niego różne torebki i zawiniątka, objaśniał:

— Najprzód weź kawałek słoniny, dodaj kawałeczek czosnku, parę ziarenek pieprzu i niech to się smaży; następnie wsyp łyżkę mąki, dorzuć kilka suszonych śliwek i nalej wody; gotuj tak długo, aż zupa zgęstnieje, dodaj kawałek cebuli i pogotuj jeszcze chwilę. Możesz dodać i kawałek cukru, ale nie zapomnij osolić. A jeśli dodasz do tego kostkę bulionu Maggi i nakrajesz chleba, to będziesz miał jedzenie tak wyborne, jakiego nie podadzą ci w żadnym hotelu.

Smakowitość tych potraw łatwo można było wytłumaczyć sobie, bo zaopatrywanie pozostawiało bardzo wiele do życzenia. Rosjanie czuwali w dzień i w nocy i uniemożliwiali jakąkolwiek komunikację na większą skalę. Ledwo że zaturkotały wozy taboru we wsi, na szosę zaczęły padać granaty. Kuchnia podjeżdżająca ku okopom nad ranem, przystawała dwa

kilometry od nich i żołnierze po nocy włożyli się ku niej z menażkami.

Każdy szeregowiec dźwigał trzy menażki z rozgotowanym ryżem, kawalkami flaków, wątroby, żołądka dla dziewięciu kolegów. Żołnierze zaczęli dorabiać dziurki w pasach, bo brzuchy płaskły.

Chleba dostawali ćwierć bocheneczka na dzień, z sera szwajcarskiego fasowano przeważnie dziury z cieniutką obwódką. Konserwy kawowe były psu na budę ponieważ w fabrykach tych konserw mieszano w nie zamiast kawy otręby. Słoniny dostawali żołnierze po takim kawałeczku, jakich używa się do szpikowania zajęcy. Ale Baloun i z tego umiał zykombinować nadzwyczajne potrawy.

Pewnego wieczora zachciało się Rosjanom ostrzeliwać wieś i zaczęli walić z ciężkich armat, utrzymując ogień przez całą noc. W dzień posyłali czasem hałaśliwe pozdrowienie, żeby było wiadomo, że nie posnęli, a z nastaniem ciemności zaczęli strzelać na dobre.

Kuchnia nie podjechała, tabory zawrócono, bo zaraz przy pierwszym wozie granat zabił konie, a ogień obejmował całą szosę. Przez dwa dni żołnierze nic nie fasowali i w okopach zapanował wielki głód.

Nadporucznik Lukasz pozwolił zjeść „żelazne porcje“, ale te porcje były zjedzone już dawno i przeniosły się do latryn. Chociaż podoficerowie codziennie sprawdzać musieli, czy konserwy nie zjedzone, żołnierze zdołali pozjadać je jednak, żeby w razie ich śmierci lub zranienia nie dostały się w ręce sanitariuszy na wyzerkę.

Wojna stawiała się matką całkiem nowych wynalazków. Blaszanek przy obwodzie nadcinano niedostrzegalnie, treść wyjadano, a pusta puszką figurowała w dalszym ciągu jako żelazna porcja. Szeregowcy mieli przy rewizji konserwy zawsze w porządku i dopiero kiedyś tam wpadł ktoś na koncept,

żeby przy rewizji brać puszki w rękę i popatrzeć na nie z bliska.

Do nieszczęśliwców, w taki sposób oszukujących swoich przełożonych, należał, oczywiście i Baloun, który swoją żelazną porcję zjadł natychmiast po otrzymaniu jej, gdy tylko jeden sprytny żołnierz pokazał mu, jak to się robi. Teraz latał zrozpaczony po okopach i szukał kawałka pożywienia, ale nigdzie niczego nie znajdował, a konserwy nadporucznika znikły też już dawno.

Baloun stracił głowę i zaczął mówić, że nadchodzi koniec świata i zbliża się dzień sądu ostatecznego. Siedział w kąciuku i modlił się z małej książki do nabożeństwa, którą żona posłała mu z domu razem z wędzonką, żeby i duszy jego nie zabrakło strawy.

Owej nocy Rosjanie atakowali, ale zostali odparci, a nad ranem atakowali po raz drugi. Wzdłuż całego łańcucha okopów rozlegał się trzask straszliwej strzelaniny, na okopy i na druty kolczaste walił granat za granatem, a Baloun zatykał uszy i narzekał głośno:

— Koniec świata, mój Boże! Zamorzyli nas głodem, a teraz nas wymordują.

— Nie jest to wykluczone — rzekł Szwejk, który stał oparty o ścianę i z siły wstrząsu starał się wymiarkować, gdzie mniej więcej uderzył granat. — Nawet powiem, że to jest całkiem w porządku, żeby się człowiek porządnie przepościł. Śmierć to rzecz ważniejsza niż komunia. Po śmierci idziesz na ucztę rajską, a na taką ucztę nie wybierzesz się przecie z bebeciami nabitymi. Na początku wojny po bitwie pod Zamościem feldkuraci ruszyli w pole z pociechami duchownymi, a razem z nimi poszedł rabin, czy nie znajdzie jakiego rannego Żyda, żeby go też pocieszyć. Więc chodzi razem z jednym feldkuratem, rozgląda się i nagle widzi pod jakimś krzakiem dwóch rannych: jeden z nich był chrześcijanin, drugi Żyd. Feldkuratabrał się do swojego, udzielił mu rozgrzeszenia

i pociechy, a rabin zrobił na swój sposób to samo ze swoim. — Mojsze — powiada — pociągniesz chyba niedługo, ale nie żałuj życia, bo na każdego czeka chwila, w której trzeba porzucić interesa. Ty zaś umierasz taką śmiercią, że jeszcze dzisiaj wieczerać będziesz z Abrahamem. — A ten żołnierz splunął i rzekł: — Żebym był tak zdrow, wolałbym wcale nie żyć. — Balounie, człeczko grzeszny, i ty przygotuj się na drogę do nieba!

Pucybut ukląkł i zaczął obcałowywać okładkę książki od nabożeństwa. W tej chwili granat wybuchnął tak blisko, że ze stropu posypała się ziemia, a Szwejk rzekł ostrzegawczo:

— Zaraz przyjdzie i na nas bieda!

W największym zgiełku strzelaniny ozwało się wołanie:

— K o m m a n d a n t ! K o m m a n d a n t ! K o m m a n d a n t !

— Idźno, Szwejku, i popatrz, kogo tu diabli niosą — rozkazał nadporucznik Lukasz. — H e r r g o t t , może to ordynans z rozkazem, żebyśmy wiali?

Szwejk zataczał się wzdłuż okopu, idąc za głosem wołającego, który nie przestawał wrzeszczeć:

— K o m m a n d a n t ! K o m m a n d a n t !

Po chwili wrócił z dwoma żołnierzami, niosącymi na plecach duże ciężkie wory.

— Fasunek. Ser? Konserwy? Słonina? — pytał nadporucznik, wychodząc im na spotkanie.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtnant, że nie wiemy, co jest w tych workach — odpowiedział jeden z przybyłych — ale mamy list od pana obersta Schrödera. Nakazano nam wręczyć te worki za wszelką cenę. Mamy za to dostać srebrne medale i tydzień urlopu.

Nadporucznik ruchem niecierpliwym rozdarł kopertę i przecieciał oczyma treść listu:

Zawartość worków ma być natychmiast z największym pośpiechem rozdana szeregowcom batalionu z rozkazem, żeby z niej zrobiono celowy użytek. — Podpis. Oberst Schröder.

— Herrgott, co też takiego może być w tych workach — rozciekawiał się nadporucznik, obmacując toboły. — ręczne granaty? Amunicja? Rakiety świetlne?

Kazał Szwejkowi otworzyć przyniesione worki, a Baloun, w którym zapłonęła iskierka nadziei, pośpieszył Szwejkowi z pomocą, przekonany, że w workach są suchary.

Szurki porozcinano, ręce Szwejka zanurzyły się we wnętrzu i wydobyły na światło płonącej świeczki paczuszki cienkiego papieru poprzewiązywane wstążeczkami. Szwejk podawał je Lukaszowi.

— Rany boskie, co to może być? — jęknął nadporucznik. — Cieniutki papier! Czy to ma służyć żołnierzom do skręcania papierosów? Przecież tytoniu jeszcze nie fasowano.

Lukasz spojrział bezradnie na worki i na żołnierzy, którzy je przynieśli, czekając jakiegoś wyjaśnienia.

— Posłusznie proszę — odezwał się jeden z nich — że wczoraj we wsi była wizyta jakichś doktorów, którzy zaglądali do latryn. Służący pana obersta mówił, że ci panowie rozmawiali o tym, iż żołnierze wrzucają do latryn listy z domu, obrazki świętych i obrazy najjaśniejszego pana, bo na froncie trudno o kawałek papieru, skutkiem czego zanika szacunek dla rodziny, religii i ustroju społecznego. Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że ten papier będzie niezawodnie...

— Ehe! — uradował się Szwejk — przecież nam tu posyłają papier różnych kolorów: biały, różowy, czerwony, niebieski jak niebo! Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że jak żyję nie widziałem jeszcze takiego ładnego papieru klozetowego! Przecież na nim są nawet ładne napisy. Czystość to świątynia zdrowia! — Posłusznie melduję, panie oberlejt-

nant, że teraz będzie wielką uciechą iść do latryny. Jak te łobuzy wyfasują taki ładny papier, to nic nie będą robili, tylko będą siedzieli w latrynie. Bo też papier jak jedwab i nie podrapie się człek!

Szwejk był pełen entuzjazmu. Ale Lukasz się nie zapalał. Zwracając się do Szwejka, kazał mu być cicho, a do żołnierzy rzekł:

— Zameldujcie panu oberstowi, że od trzech dni nie mamy chleba, fasunku, menaży, konserw. Zameldujcie, że wyczerpuje się nam amunicja i że nie mogę się jej doprosić przez telefon. Zameldujcie, że ten papier każę rozdać, jak tylko nieprzyjaciel przestanie strzelać. Teraz go żołnierze nie potrzebują.

Baloun załamywał nad worami ręce. Gdy żołnierze szykowali się do odejścia, Szwejk uznał za stosowne podkreślić słowa nadporucznika:

— Widzieliście, chłopcy, jak Moskał nas grzmoci. Powiedzcie panu oberstowi, że każdy smyk ma ze strachu zadek tak ściśnięty, że o potrzebie papieru mowy nie ma. Powiedzcie mu, że u nas w ogóle już się do latryny nie chodzi, bo...

— Szwejk, stul pysk! — krzyknął podrażniony nadporucznik, a Szwejk zwracając się ku niemu z miną pocziwca, rzekł tonem łagodnym:

— Wcale się panu oberlejtntantowi nie dziwię, że ten papier klozetowy wytrącił pana z równowagi duchowej. Z tym pas-kudztwem też już miałem do czynienia i też spotkała mnie przykreść. Było to — posłusznie melduję — wtedy, gdy terminowałem w drogerii pana Kokoszki na Persztynie. Gdy subieki wychodzili na obiad, to w sklepie zostawałem tylko ja i pan szef w kantorku. Razu pewnego przychodzi jakaś pani i chce malattiny do rąk. Patrząc do szufladki, malattiny nie ma, więc mówię: — Nie mamy, proszę pani — i ta pani sobie poszła. Stary pan Kokoszka wychodzi z kantorku i pyta się, o co chodzi, więc mu odpowiadam, a on mi na to: — Tak

się, mój Józiu nie odpowiada. Jak czegoś akurat nie ma, to trzeba zaproponować coś innego, podobnego. Bo czy taki gatunek, czy inny, to wszystko jedno. Dał mi po łbie, żebym pamiętał. I znowu pewnego razu w obiad przychodzi jakaś pani i chce pięć paczek papieru klozetowego. A myśmy właśnie tego samego dnia z rana sprzedali resztę, a nowego jeszcze nie otrzymaliśmy. Już chciałem jej powiedzieć, że nie mamy, ale przypomniałem sobie napomnienie pana pryncypała i mówię szybko: — Papier klozetowy, proszę pani, akurat wyprzedaliśmy, ale mamy wszystkie gatunki papieru szmergłowego. Ile arkuszy szanowna pani sobie życzy? — Posłusznie melduję, że wtedy dostałem od pana Kokoszki tak porządnie po łbie, że jeszcze dzisiaj, gdy sobie o tym przypomnę, zaczyna mi szumieć w uszach. Ten pan Kokoszka był pryncypałem bardzo surowym i pilnował porządku.

Baloun zasnął na workach z nieoczekiwanym fasunkiem, a Lukasz wyszedł ze schronu, bo strzelanina przycichała. Szwejk naukladał sobie papieru klozetowego pod ścianą i wyciągając się na nim, mówił:

— Co za szkoda, że nie posyłają nam confetti i serpentyn!

Koło dziewiątej strzelanina zacięła zupełnie, a Rosjanie wysłali parlamentarzysty dla umówienia się o zawieszenie broni, celem pozbierania rannych i pochowania poległych. Było ich niemało, a niektórzy leżeli o kilka kroków od austriackich zasieków drucianych. Gdy formalności zostały załatwione, Lukasz rozkazał roboczemu oddziałowi batalionu, żeby poszedł pomagać Rosjanom przy kopaniu grobów. A sierżant, który dowodził tym oddziałem, powrócił po chwili z meldunkiem, że wśród zabitych są także Austriacy, bo przednie straże nie miały czasu wycofać się w porę i padły ofiarą strzelaniny ze stron obu.

Ze wsi przybyła kuchnia, przyjechał też tabor z chlebem i fasunkiem. Okopy ożywiły się, z dekunków pokazał się dym i drugi oddział roboczy poprawiał to, co bombardowanie zni-

szczyło. Żołnierze, nasyceni i zadowoleni, wylazili z okopów, przyglądali się pracy grabarzy i sanitariuszy, którzy rannych zanosili za okopy, a poległych układali w grobach, rozbierając ich przedtem ze wszystkiego. Zabitych było bardzo wielu, a stosy ich rosły po każdym opróżnieniu noszy.

Z przeciwka nad okopami ukazali się także Rosjanie. Stali przestępując z nogi na nogę, spoglądając na tych, których w nocy chcieli wymordować, a którzy musieli w obronie własnej mordować ich, i z przerażeniem przyglądali się spustoszeniu wyrządzonemu przez bitwę. Nagle wśród żołnierzy ukazał się duży łaciaty pies. Wysunął pysk, obwąchał poległych, podlaź pod rosyjskimi zasiekami z drutu, które kolcami rwały mu skórę, i wyjął, podbiegł ku gromadce ludzi grzebiących zabitych. Obszedł wszystkich po kolei, a potem puścił się biegiem ku okopom austriackim, nie słuchając nawoływań ze strony rosyjskiej:

— Kazbek! Ej, Kazbek!

Prześliznął się przez przeszkody, podlażąc pod drutami i wpadł do rowu, jakby kogoś szukał. Potem wbiegł do schronu, gdzie z innymi żołnierzami siedział Szwejk i gdzie oceniano sytuację, jaka się wytworzyła po bitwie i po przybyciu kuchni.

— Oberlejtnant zażądał zluzowania — twierdził Szwejk — w nocy zostaniemy zluzowani.

— Gdyby nas chcieli zluzować — sprzeczał się kapral Rytina — to nie posyłałiby nam menaży, a tym mniej fasunku. Za nami, kolego, nie ma ani nogi. Będziemy tu siedzieli, dopóki nie zabiorą nas Moskale.

— Patrzcie, chłopcy, pies! I akurat taki sam jak mój Burek! — rozradował się szeregowiec, Mały, chłopina spod Tabora. — Burek, pójdź tu! Na, na!

Młasnął językiem, a pies merdając ogonem, stanął przed nim i pozwolił ująć się za obrozę. Mały, uszczęśliwiony, że

w okopach znalazł coś, co przypomina mu jego domek, ścisnął psa i całował.

— Moja zacna psina! Jakie śliczne ma oczy! Nikt na świecie, koledzy, nie ma takich ładnych oczu, jak zwierzęta. Miałem ja w domu parę buhajków roboczych. Sam je sobie wychowałem. A jeden z nich miał takie ładne oczy, że nawet święci Pańscy na obrazach ładniejszych nie mają. Strasznie lubiłem, koledzy, — Mały wzruszał się do łez — te moje buhajki! Tylko dla nich żyłem!

— To dość dziwne — rzekł Szwejk z westchnieniem — że żyłeś dla wołków, a umrzesz za najjaśniejszego pana. Tak - to, tak, kolego...

Zamilkł, bo nad okopami słychać było wzburzone głosy żołnierzy, a następnie głos nadporucznika Lukaszka. Potem wszystko przycichło i do schronu wszedł jakiś żołnierzyna, szepcząc:

— Jest zawieszenie broni, to i przyszli, bo inaczej nie byliby weszli do nas. Mamy, chłopcy, wizytę: oberst, jacyś obcy oficerowie, doktorzy i generał.

Po okopach chodził istotnie lekarz generalny, dr Witrowski, ten sam, który w nocy przysłał dwa worki papieru klozetowego. Generalarzt miał myśl natrętną, że dyzenteria, cholera i tyfus wybuchają na froncie tylko dlatego, że żołnierze nie mają odpowiedniego papieru. Teraz więc chodził po okopach i sprawdzał, jak żołnierze korzystają z nadesłanego im papieru. Przemawiał też do swego otoczenia:

— A, meine Herren, czystość to rzecz bardzo ważna. Choroby i śmiertelność można pokonać tylko przez odpowiednie używanie papieru klozetowego.

I wygłaszając takie zdania pitagorejskie, wracał właśnie od jednej z latryn, krocząc na czele swoich towarzyszy, gdy wtem w okopie zetknął się z dziwnym korowodem. Na rozłożonej derce dwaj żołnierze nieśli człowieka całkiem nagie-

go, który miotał się i rzucał, podrywany nieoczekiwanymi i nieopanowanymi skurczami mięśni.

— Was ist? — zapytał doktor zatrzymując żołnierzy.

— Posłusznie melduję — rzekł pierwszy z brzoza wystraszony żołnierz, opuszczając derkę na ziemię — że to żywy nieboszczyk. Był niby umarły, a teraz jest żywy. Leżał między nieboszczykami i raptem ożył.

— Wstrząśnienie nerwowe przy wybuchu granatu — stwierdził dr Witrowski z całym spokojem. — Popatrzcie, panowie, macie tu klasycznie piękny, wspaniały przypadek. Nasz czy Rosjanin? — zapytał, pochylając się nad nagusem.

Człowiek leżący na derce patrzył na swoje otoczenie oczyma wytrzeszczonymi, ale nie odpowiadał. Więc generał pochylił się aż do jego ucha i krzyczał:

— Nasz czy Rosjanin? Czech, Madziar, Niemiec, Polak?

Ale zamiast odpowiedzi, ciało miotało się coraz straszniej, nogi podrzucały się jak w tańcu, ręce szukały czegoś, zaciskały się i rozwierały, a doktor ryczał:

— Pofic, Austriak, ci Moskał?

Lukaszowi ścisnęło się serce na widok nieszczęśliwego, którego głowa tłukła się o ziemię, podskakując w podrzutach jak piłka gumowa. Doktor, doznając też już niemiłych uczuć na ten bolesny widok, zwrócił się do żołnierzy, stojących w pobliżu:

— Kto z was go zna? Kolega, czy nieprzyjaciel?

Nikt nie odpowiadał, ale nagle skądś przypatoczył się dobry wojak Szwejk, znalazł się w pobliżu generała, a spojrzawszy w twarz ludzkiej ruiny, podrzucanej kurczami na poziomie oficerskich butów, rzekł z miłym uśmiechem:

— Posłusznie melduję Waszej Ekscelencji, że to jest człowiek. Gdy się ludzie rozbiorą do naga, to jednego od drugiego nic nie różni i po niczym nie można rozpoznać, z którego kraju i państwa pochodzą. Posłusznie melduję, że nawet psom trzeba dawać obrozę z numerkiem, a kurom i gęsiom trzeba

na nóżkach zakładać krążki, żeby było wiadomo, z którego są stada. W Michli była niejaka pani Krucka, mleczarka, i powiła trojaczki, dziewczynki, a chociaż była ich własną matką, nie mogła odróżnić jednej od drugiej i musiała je sobie nazczyć atramentowym ołówkiem na zadeczkach, która już nakarmiona, a która nie.

— Ja, ja, das ist wahr. Das ist Mensch, das ist noch Mensch — rzekł doktor Witrowski do swej świty. — Also, meine Herren, weiter, weiter!

Za plecami generała błądy nadporucznik Lukasz pokazał Szwejkowi gardło i język, żeby mu dać do zrozumienia, że znowu zrobił coś takiego, co sąsiaduje z szubienicą.

Batalionu nie złuzowano i nudne życie ciągnęło się dalej. Brudu, świerzby i wszów przybywało. W niezmiętej bielźnie roilo się od pasożytów, a walka toczona z nimi przy pomocy palców, nie na wiele się zdała. Przez cały dzień żołnierze zajęci byli wiskaniem, a nazajutrz trzeba było rozpocząć na nowo. Oficerowie też byli zawszeni; i nadporucznik Lukasz nie uchronił się od szarych pasożytów, chociaż od żołnierzy trzymał się z dala. Pewnego poranku Szwejk zauważył, że nadporucznik sięga pod pachę, zbiera wszy i rzuca je na trawę. Były duże, wypasione, solidne i Szwejkowi zdawało się, że widzi, jak padając rozczapierzają nogi.

— Posłusznie melduję — zaczął grzecznie — że nie wiedziałem, iż pan oberlejtant też ma wszy. Może by pana oberlejtanta natrzeć szarą maścią, bo mam jej pełne pudełko. Po szarej maści ma się wszy w dalszym ciągu, ale już nie gryzą.

Lukasz propozycję przyjął z wdzięcznością i poddał się łaskotliwej procedurze. Następnie wdział czystą koszulę, podszedł do kuferka, wyjął z niego medal brązowy i podał go Szwejkowi:

— Masz, Szwejku, i noś go sobie. Formalności załatwię

później. Jest to medal za dzielność i za to, że swego oficera nie opuściłeś w niebezpieczeństwie.

— Ale bo też pan oberlejtant znajdował się naprawdę w niebezpieczeństwie — roześmiał się Szwejk. — Żeby tak było jeszcze parę dni, to by pana wszy zeżarły. Posłusznie melduję, że idę do lasu po drzewo.

Rosjanie znowu od czasu do czasu strzelali. Nadchodził wieczór, a Szwejk z drzewem nie wracał. Jeszcze nigdy nie bawił tak długo poza okopami. Nadporucznik wyprawił Balouna, żeby Szwejka szukał po schronach, ale po niedługiej chwili wrócił Baloun wystraszony i splakany, prowadząc za sobą jakiegoś obcego żołnierza. Stał z nim przed nadporucznikiem i zapłakał:

— Rany boskie, panie oberlejtant, Szwejk też już nieboszczyk. Panie świeć nad jego duszą! W lesie go zabili!

— Szwejka? Kto zabił Szwejka? — ryknął Lukasz na Balouna.

Baloun, płacząc, wskazał na żołnierza, który podając nadporucznikowi żółte pudełeczko rzekł:

— Posłusznie melduję, że to jest kapsel legitymacyjny, znaleziony przez naszych chłopców przy zabitym. Szwejk jest z pańskiej kompanii, panie oberlejtant. Nasz pan lejtnant prosi, żeby pan przysłał kogoś po zwłoki. Może koledzy sami będą chcieli go pochować.

Oberlejtant otworzył kapsel. Nie było wątpliwości: legitymacja była własnością Szwejka. Lukasz doznał wrażenia, jakby od głowy ku piętom ześliznął się po nim kawał lodu.

— Gdzie jest? Czy zwłoki przyniesione? — zapytał jednym tchem.

— Posłusznie melduję, że nie przynieśliśmy. Leżą jeszcze w lesie. Dostał w głowę gilzą od szrapnela.

Oberlejtant udał się z żołnierzem do lasu, podczas gdy Baloun biadał i szukał żołnierzy do wykopania grobu. Razem z nimi pobiegł za nadporucznikiem.

Na skraju lasu leżał zabity żołnierz. Był tylko w spodniach, a nad nim na krzaku wisała bluza z trzema błyszczącymi medalami. Jego buty stały opodal. Głowa zabitego była zmiażdżona, mózg i krew poprysały wszystko dookoła. Oberlejtnant obejrzał bluzę i stwierdził, że należała ona do Szwejka. Zdjął z bluzy medale i rzekł do żołnierzy:

— Wykopcie dla niego grób pod tym dębem — i oddał się szybko, bo mu się serce ścisnęło, a do oczu napływały łzy. — Patrzcież i ten Szwejk także! Biedak Szwejk!

Wydało mu się, że teraz kolej na niego.

Baloun wrócił do okopów bardzo późno i zataczał się jak pijany. Zagrzał dla nadporucznika kolację i usadowił się przy świecy z książką do nabożeństwa.

— Zrobiliśmy mu koledze złotemu, duży brzozy krzyż na grobie. Bo przecież odpoczywa biedaczek w ziemi niepoświęcanej, jak nieme bydłatko.

Lukasz nie odpowiadał. Baloun otworzył książeczkę i półgłosem zaczął czytać litanię za dusze zmarłych.

Nadporucznik poszedł rychło spać, a Baloun modlił się dalej:

— Módlmy się za wiernych zmarłych! Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci! Odpoczywajcie w pokoju! Zbaw, Panie, sługi swoje w Ciebie ufające!

W tej chwili z lekka poruszyła się derka zasłaniająca wejście do schronu, a zza niej wyrzała biała postać.

— Matko Boska Klokocka! Duch Szwejka! Nie ma spokoju w grobie! — wyjąkał Baloun, cofając się ku śpiącemu nadporucznikowi. Biała postać zatrzymała się koło ściany i zaczęła obmacywać wiszący na niej tornister. Baloun, raczej umarły niż żywy, zasłaniał się książeczką od nabożeństwa i wygłaszał zaklęcie:

— W imię Boga trójjedynego, odstęp, szatanie. Przez Pa-

na naszego, który umarł za nas na krzyżu, nie czyni szkody duszy niewinnej.

— Balounie, ośle jeden, nie bałwań się! Zglupiałeś, czy schlałeś się i masz *delirium tremens*? — głosem cichym przemówiła zjawa. — Herrgott, stul pysk i nie budź nadporucznika. a ja sobie do rana jakoś poradzę!

— Jezus Maria! On tu chce siedzieć do rana! — wrzasnął Baloun i zwałił się na oberlejtanta, wołając: — Duch Szwejka! Duch Szwejka!

Nadporucznik zerwał się na równe nogi i odrzucił koldrę.

— Zwariowałeś, Balounie, czy co? Co się tu dzieje? — krzyknął na pucybuta.

W tej chwili biała postać podeszła z boku ku niemu, podniosła rękę do daszka czapki i wysunęła pierś.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant, że drzewa nie przyniosłem i że mi ktoś w lesie ukradł uniform. Poukładałem ubranie na mrowisku, żeby mrówki powyławiały wszy i gnidy. Posłusznie melduję, że jest to wynalazek bardzo praktyczny. Mrówki wyławiają wszy i gnidy, aż miło. Trochę sobie w strudze umyłem nogi i zdrzemnąłem się maluczko. A tymczasem uniform znikł. Za dnia nie chciałem przyjść, panie oberlejtant, żeby kompanii nie narobić wstydu. Posłusznie proszę o nowy uniform i o szukanie złodzieja, co mi ukradł moje trzy medale. Mówili mi, że dzisiaj kogoś z naszej kompanii zabili.

— Dostaniesz uniform, mój Szwejku — z ulgą rzekł nadporucznik. — Dużo z tobą miałem zgrzyot, ale gdyby cię byli naprawdę zabili, byłoby smutno na świecie.

— Posłusznie melduję, panie oberlejtant — tkliwie uśmiechnął się Szwejk — że jeśli tak, to się zabić nie pozwolę, żeby panu nie było smutno.

Baloun ochłonał tymczasem, a gdy Szwejka obmacał i widział, że ten pali fajkę, zrozumiał, że to nie jego duch, ale on sam. Opowiedział mu, jaki uroczysty wyprawili mu po-

grzeb i jak szrapnel zabił złodzieja. Szwejk dowiedziawszy się, że medale ocalały, rzekł:

— I nawet na nich nie napisałem: — Kto mi je ukradnie, niech mu łapa upadnie. — Wciągnął na siebie tylko moje portki i spotkała go surowa kara. Kto wie, co by się było stało, gdyby był wdział i moją bluzę. Mogło go spotkać coś znacznie gorszego.

* * *

*

W jakiś tydzień po tym wydarzeniu Rosjanie atakowali znowu. Armaty zagrały na nowo waląc granatami w okopy austriackie, a ziemia przemieniła się w piekło. Dwanaście godzin z rzędu walił się ogień na druty kolczaste i okopy, rozwalając schrony i zabijając ludzi. Ku wieczorowi ogień osłabł, ozwało się wołanie:

— Zurück! Zurück! Alles zurück!

Batalion nie ustępował, ale wiał, aż się kurzyło, i nie trzeba było pobudzać go do pośpiechu. Za nim co chwila odzywało się przeciągłe rosyjskie „Hurraaarara!“ i samo echo tego okrzyku dodawało ducha nogom. Do późnej nocy uciekali żołnierze, brnąc po kolana w piasku albo tonąc w mokradłach. Wreszcie natknęli się na jakąś wieś i śmiertelnie strudzeni poukładali się w stodołach do snu. Nieprzyjaciel nie ścigał ich i użyzył im odpoczynku do rana, po czym zaczął zasypywać ich szrapnelami.

Nadporucznik Lukasz wydał rozkaz dalszego odwrotu, aby jak najprędzej dostać się z batalionem na szosę. Wreszcie dotarli do szosy, ale wpadli w straszliwy chaos. Czasem wywracał się wóz i zatrzymywał wszystkich tak długo, dopóki go nie zrzucono do rowu przydrożnego. Koło takich wozów zatrzymywali się żołnierze i zabierali z nich konserwy, chleb, cukier, nie zwracając uwagi, że oficerowie tłukli ich kijami i grozili im rewolwerami. W tłum, który łupił konserwy, wplą-

tał się i Szwejk, nakładł sobie pełen tornister, za to pochwalił go inny spryciarz:

— Masz rację, bracie! Tego pilnuj, a wszystko inne odrzuć do diabła. Dopóki masz chlebak, łyżkę i menażkę, to na wojnie nie zginiesz. Dla obrony życia są to rzeczy ważniejsze niż strzelba.

Nadporucznika stracił Szwejk z oczu już dawno. Balouna nie widział od rana. Szedł sobie sam spokojnie w ludzkiej cizbie, która miotała się, szarpała, klęła i narzekała, ale płynęła naprzód. Przed nimi pędzili poganiacze stada bydła, które pragnęli także zapędzić w miejsce bezpieczne. Masa wołów, krów i cieląt, mieszała się teraz z bohaterskim wojskiem austriackim. A tymczasem nieprzyjaciel nacierał w szybkim tempie. Wstrzelał się w szosę i posyłał na nią szrapnele salwami. Biedne czworonogi, które nigdy nie myślały o tym, żeby miały żywot swój kończyć w taki niesamowity sposób, zaczęły stawać dęba, rzucać się na ludzi, bóść i deptać. Ranione zwierzęta, szalejące z bólu i strachu, pędziły naprzód, uciekając z szosy w pole. Na szosie zaczęły tworzyć się kłębowiska, miotające się z boku na bok, a Rosjanie do szrapneli dodawali granaty. Jeden z granatów wybuchnął na samym środku szosy i w zamieszaniu, jakie z tego powodu powstało, odegrała się tragedia, na którą niejeden z żołnierzy nawet uwagi nie zwrócił. Z olbrzymiego słupa dymu wyłoniło się ogromne krówsko i pędząc w opętańczym strachu wbiło rogi w tornister żołnierza, który maszerował skrajem szosy. Na rogach poniosła go w pole. Żołnierz miotał się, wymachiwał rękami, tłukł nogami i krzychał:

— Stój, małpo jedna, bo cię zastrzelę za dezercję! Przecież tego jeszcze świat nie widział.

Patrol 8 pułku dońskich kozaków posuwał się ostrożnie, krok za krokiem naprzód, tworząc szpicę swego oddziału, który miał właśnie zluzować przemęczone oddziały trzeciego korpusu kaukaskiego. Pięciu kozaków jechało cicho drogą woz-

wą, przytrzymując długie piki przy nogach. Na skraju młodego lasu zatrzymali się i pozsiadali z koni, aby je dalej prowadzić za uzdę. Chorąży szedł przodem. Nagle obrócił się do swoich żołnierzy i skomenderował: — Łoژیś!

Kozacy rzucili się na ziemię, a chorąży, pełzając na brzuchu, skradał się ku krzakom, z których dochodziło ryczenie krowy, tupot i ludzki głos. Po chwili wrócił i szeptem wydał rozkazy. Kozacy powskakiwali na konie i półkolem zawrócili ku drodze, pod którą było urwisko. Pochylili piki do ataku, ujęli za szable, czekając rozkazu. Ale i bez rozkazu łatwo wykryli dziwnego nieprzyjaciela. Na łące pod szosą pała się duża srokata krowa, którą wodził na postronku człowiek w podartym uniformie austriackim. Zatrzymał ją, przywiązał do krzaka i wlaższy pod nią, zaczął doić, rozmawiając z nią przyjaźnie:

— Widzisz, srokulo, teraz będziemy się błakać po tych lasach jak te pustelniki, ty będziesz mnie żywiła swym mlekiem, żebym nie umarł z głodu. Tylko wstydz się, krówko, i dawaj mleka więcej. Święta Genowefa miała tylko łanie, a i tak dostawała od niej dość mleka, a ty jesteś rasowa szwajcarska krowa!

Chorąży skinął na najbliższego kozaka i szepnął do niego:

— *Wojenoplennyj? Sumaszedszij? Czto-li?*

— *Wasze błaħorodje* — szepnął kozak — *u niego wintowka!*

— *Da!* — zdziwił się chorąży, który dopiero teraz zwrócił uwagę, że człowiek z krową ma na plecach karabin. — *Nu w pieriod, rebjata!* — rozkazał, a czterej jeźdźcy momentalnie otoczyli pustelnika i mierząc pikami w jego pierś, wołali: — *Ruki w wierch!*

Człowiek z krową podniósł ręce w górę, a jeden z kozaków przyskoczył do niego i odebrał mu karabin. Po czym oficer podjechał ku niemu i pytał:

— Ty kto takoj? Czto ty zdzieś die-
łajesz?

Jeniec odpiął bluzę i obnażając pierś, odpowiedział:

— Zabijcie mnie, bo zdradziłem najjaśniejszego pana!

— Masz wszy, bratku? I ciebie żrą zdrowo? — śmiał się kozak, sądząc, że jeniec pokazuje mu ślady wszów na pier-
si. — Nu, trogaj, pan, w plen, ruskuju kaszu
kuszat! Nu, paszo! Paszo!

Ujmując jeńca za ramię, zauważył na jego bluzie trzy me-
dale i rzekł do oficera:

— Wot swołocz! Medali u niewo! Znacził
charaszo naszego brata bił.

Dał mu w łeb, zerwał medale i schował do kieszeni.

Trzymając go za ramię, cofnął się z nim wstecz, do sztabu
oddziału. Jeniec obrócił się do kozaka i rzekł:

— Tej krowy nie zabijajcie, bo dobrze doi. Słuchajno, ko-
zak, gadają o was, że niby jesteście nasi bracia, ale ja widzę,
że wy tacy bracia, co to jeden drugiemu bebechy wypuszcza.
Nie trzymaj tak mocno, nie ucieknę ci. Na Kesnerce mieszkał
druciarz, niejaki Fujaczek, a gdy pewnego razu policjant tak
samo położył na nim rękę, dał mu w pysk.

Spotkali pułk i kozak zaprowadził jeńca do sztabu. Na ofi-
cerach błyszczało złoto i srebro, aż się oberwańcowi-Austria-
kowi w oczach mieniło. Jakiś gruby pułkownik wrzasnął na
niego:

— Wot wojenoplennyj, każetsia żywoj ja-
zyk! Kak twaja familja?

— Posłusznie melduję, że jestem kawaler — odpowiedział
jeniec — i familii nie mam, ale bardzo to ładnie z pańskiej
strony, że mnie pan pyta, jak się ma moja żona i dzieci.

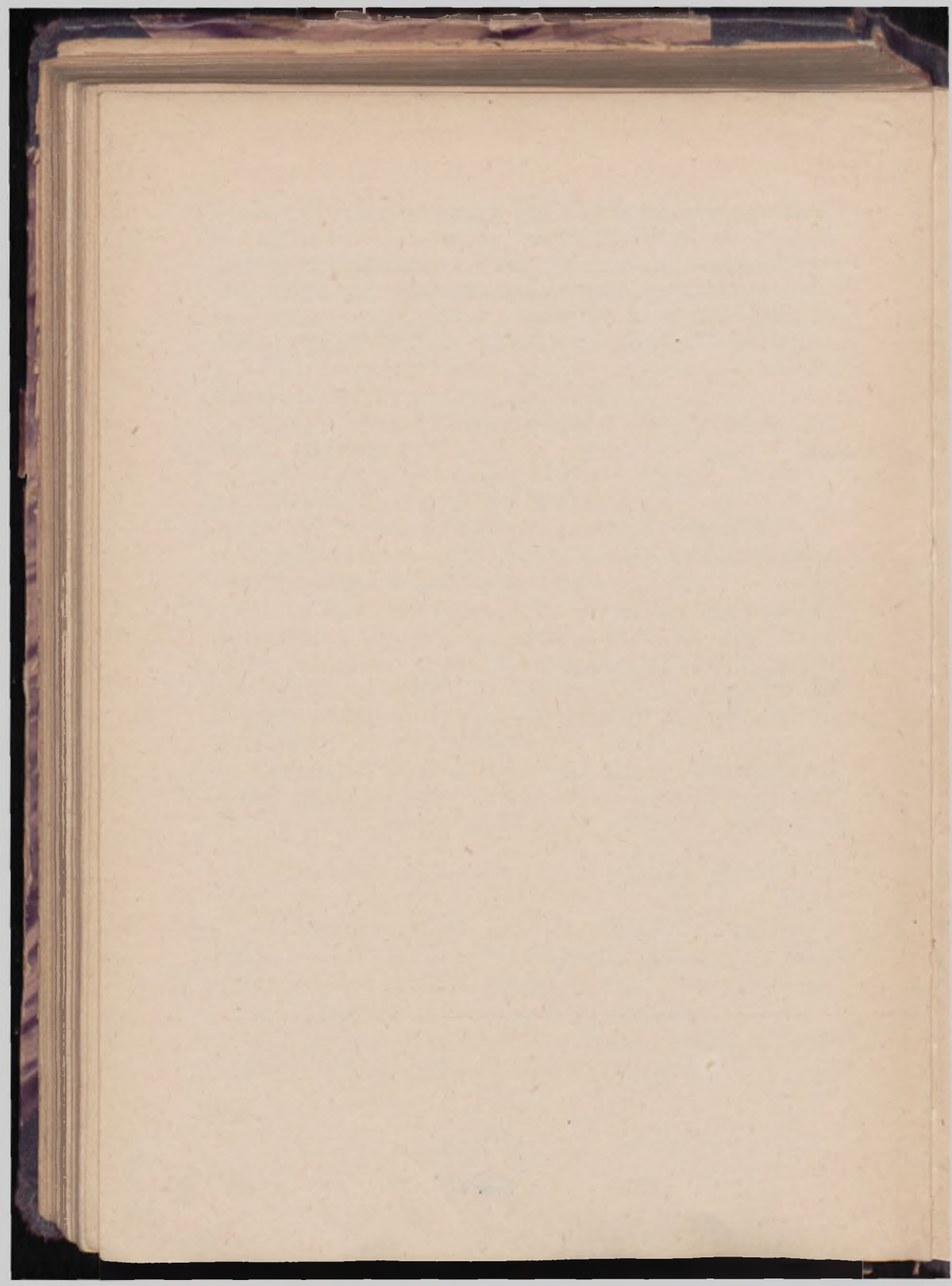
Oficer zwrócił się do kolegów z zapytaniem:

— Durak? Czudak? — i łamaną niemczyzną pytał
o nazwisko. — Sagst du dein Name?

Żołnierz wyprostował się jak struna, spojrzął orlim wzrokiem w oczy pułkownika, który zrozumiał, że stoi przed nim przedstawiciel wrogiego mocarstwa, i odpowiedział głosem, który obleciał stepy Ukrainy, całą bezkresną Rosję, Ural, Syberię i Kaukaz aż ku Czarnemu morzu:

„JÓZEF SZWEJK, PRAGA. „NA BOISKU“, „POD KIELICHEM!“.

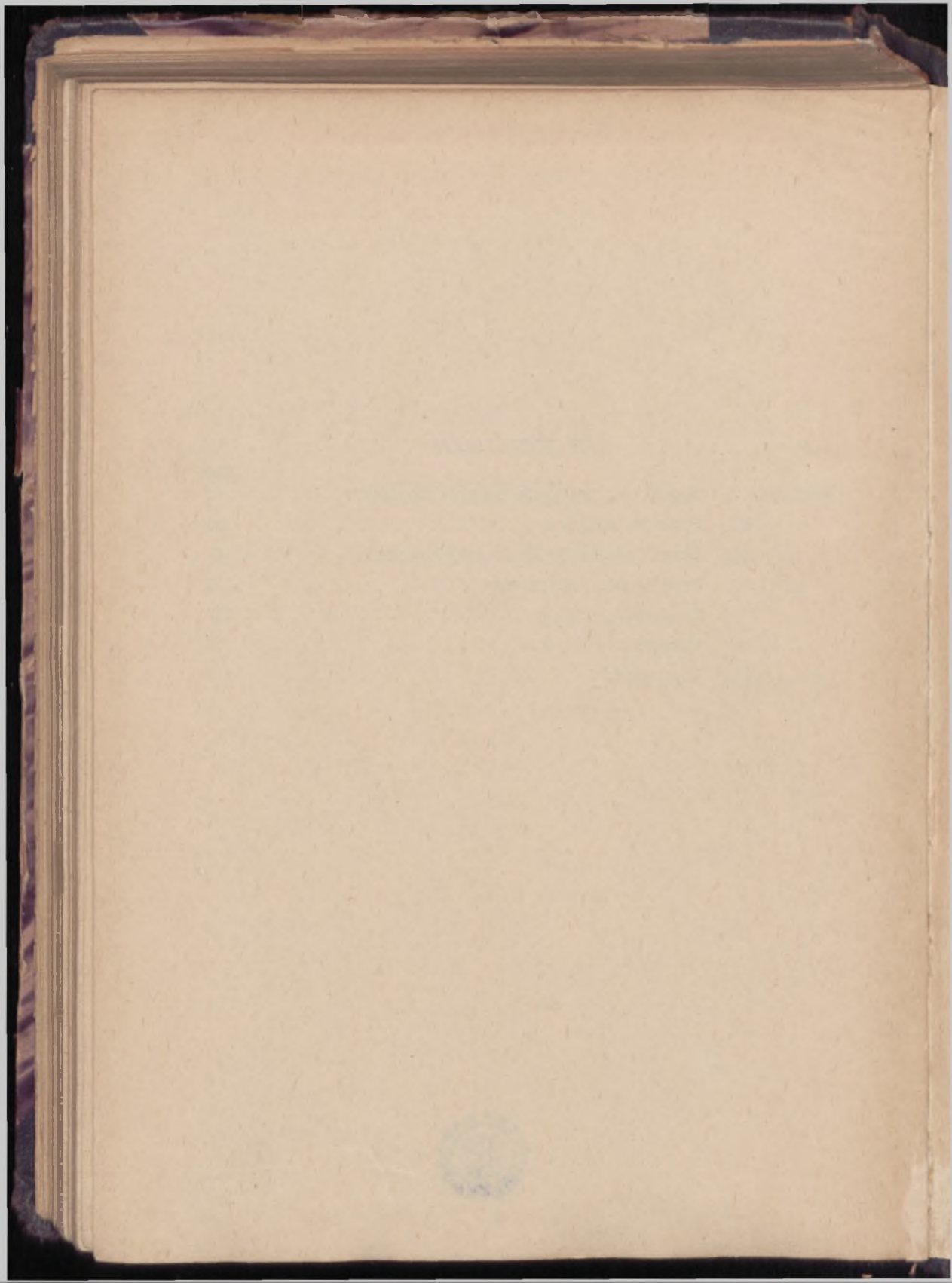
K o n i e c

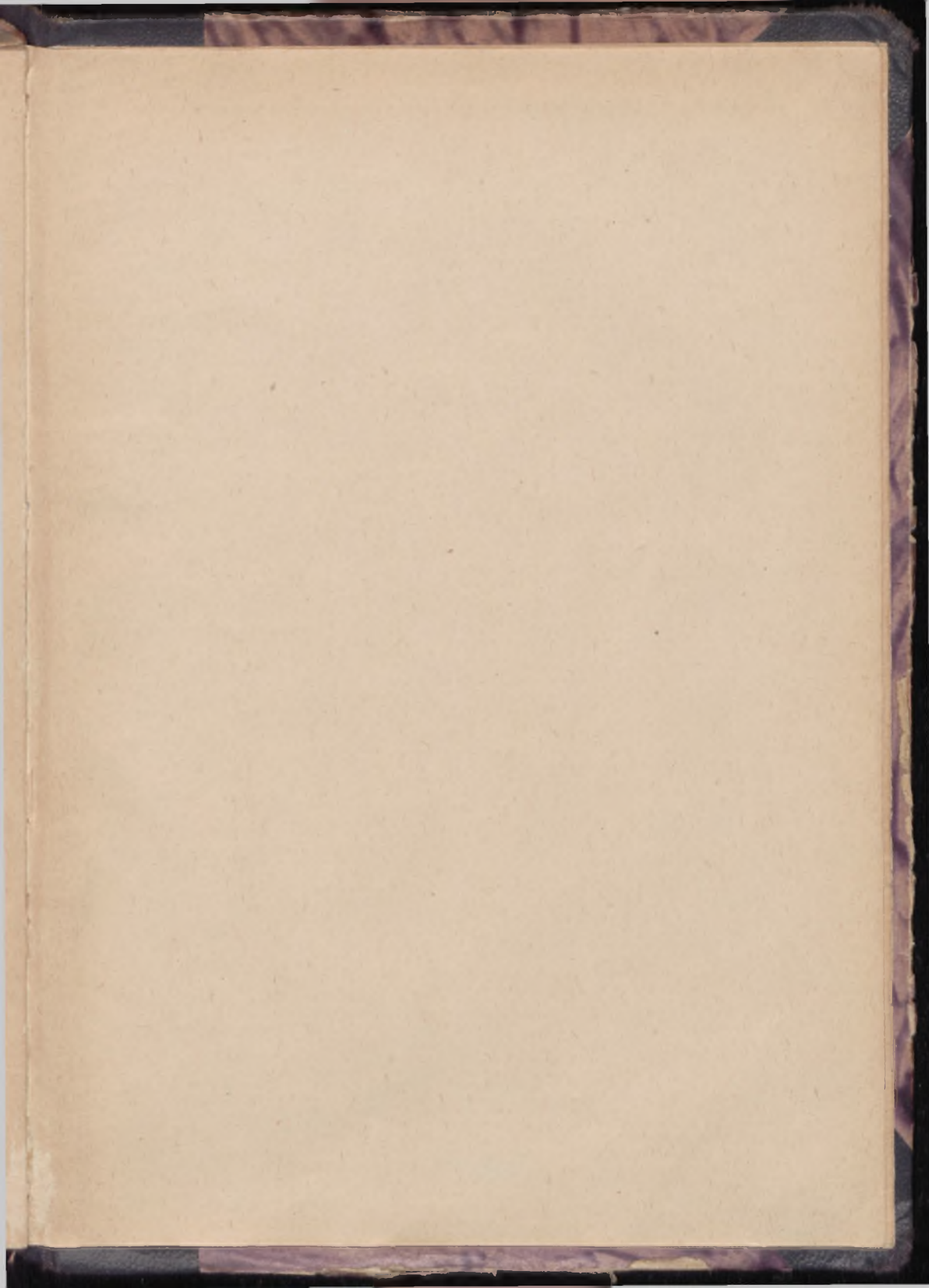


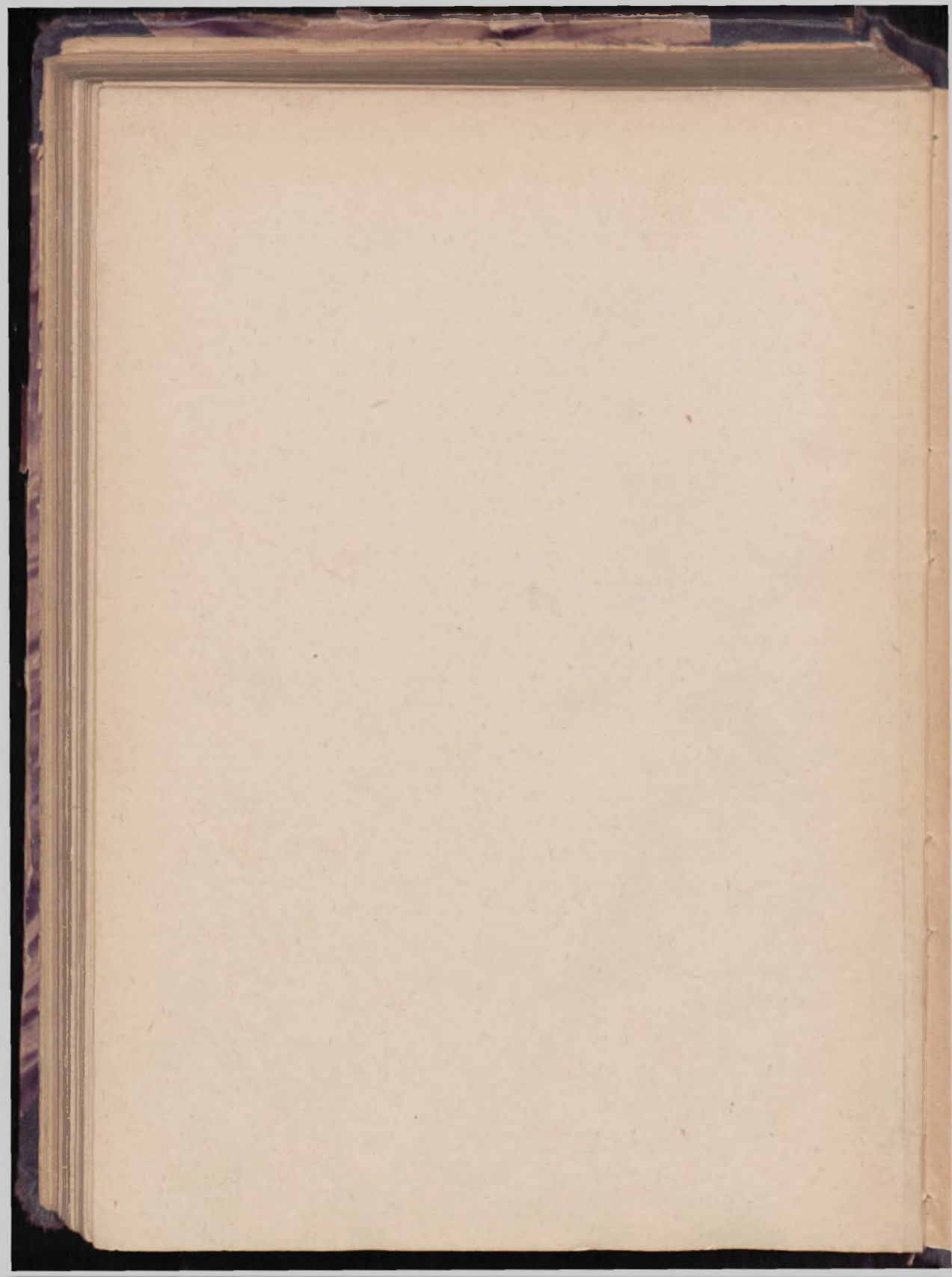
SPIS ROZDZIAŁÓW

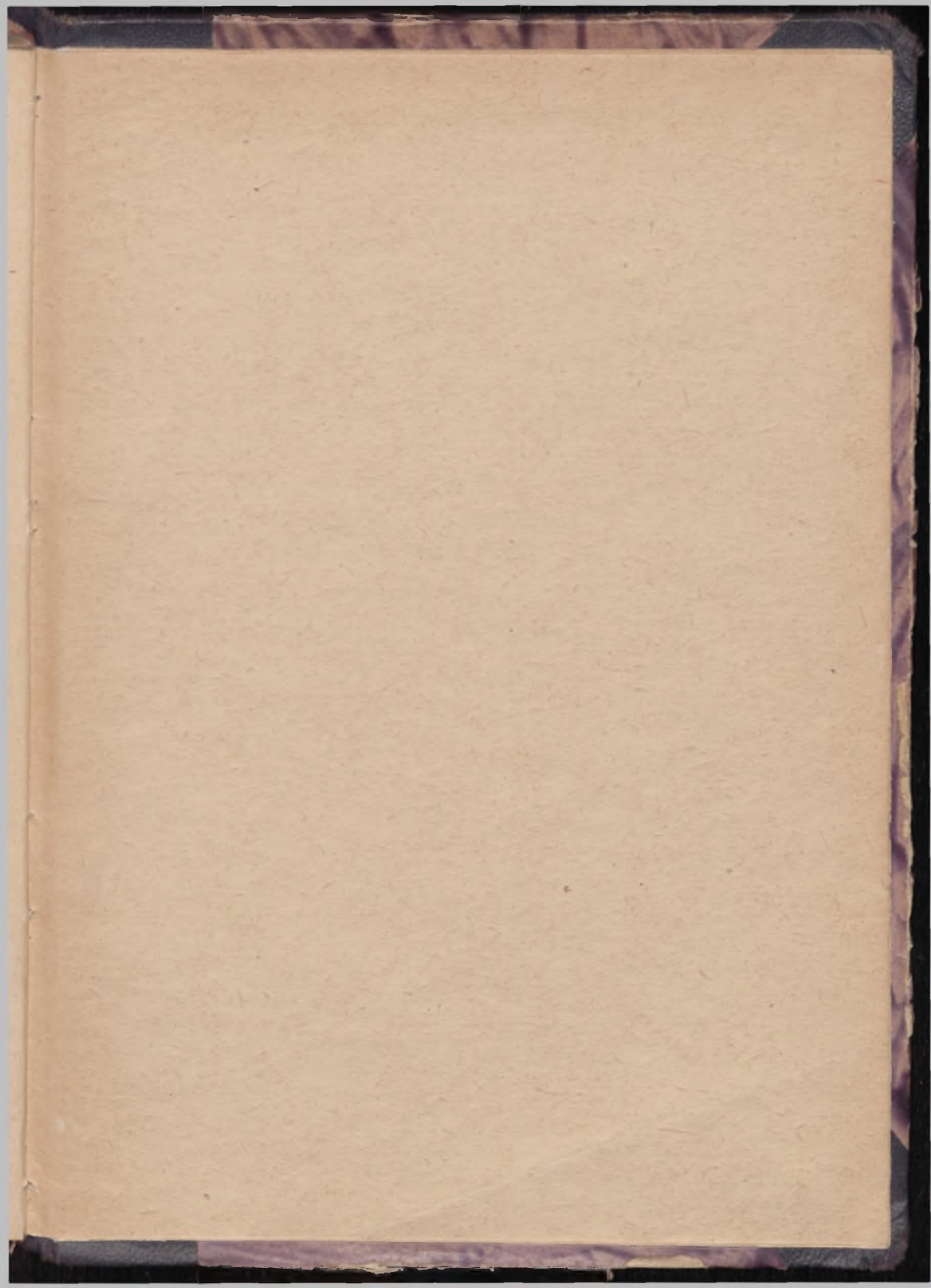
	Str.
Rozdział I. Szwejk w transporcie jeńców rosyjskich	5
„ II. Pocięcha religijna	36
„ III. Szwejk wraca do swej marszkompanii	47
„ IV. Szwejk jako pielęgniarz	104
„ V. Za nieprzyjacielem	112
„ VI. Vorwärts! Vorwärts!	178
„ VII. W okopach	218











Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024266978



BIBLIOTEKA
NARODOWA

524592

4.